

Papierowi bandyci

Wypisy
z polskojęzycznych
powieści
obiegu
trywialnego
do 1939 roku

redakcja naukowa
Łukasz Biskupski
Monika Rawska



Papierowi bandyci

Papierowi bandyci

Wypisy
z polskojęzycznych
powieści obiegu
brukowego do
1939 roku

Pod redakcją
Łukasza Biskupskiego
i Moniki Rawskiej

Wydawnictwo Przypis
Łódź 2017

Papierowi bandyci. Wypisy z powieści obiegu brukowego w Polsce do 1939 roku

Copyright by Łukasz Biskupski, Monika Rawska, 2017

Copyright by heirs and Wydawnictwo Officyna, 2017

Copyright by Uniwersytet Humanistycznospołeczny SWPS, 2017

Wydanie 1, Łódź 2017

Recenzenci: dr hab. Anna Gomółka; dr hab. Tomasz Majewski, prof. UJ

Redakcja naukowa: Łukasz Biskupski, Monika Rawska

Współpraca redakcyjna: Justyna Jaworska

Redakcja językowa: Malwina Wadas, Ilona Krysiak, Bogusław Nyk, Małgorzata Pawlata

Korekta: Łukasz Urbaniak, Maja Wójcik

Projekt okładki: Katarzyna Turkowska

Projekt typograficzny i skład: Monika Rawska / Legut

Publikacja afiliowana przy Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych Uniwersytetu swps w Warszawie.

Wydawnictwo Przypis

ul. Przędzalniana 99, 93-114 Łódź

www.przypis.com.pl, przypis@przypis.com.pl

tel. 508 156 066

Przypis jest marką Wydawnictwa Officyna s.c.

Partner:

Uniwersytet swps

Chodakowska 19/31, 03-815 Warszawa

www.swps.pl

Druk: ReadMe, 90-001 Łódź, ul. Olechowska 83

ISBN 978-83-62409-70-9

Publikacja powstała w ramach projektu badawczego finansowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji nr DEC-2012 /07/E/HS2/03878.

Źródła wykorzystane w książce znajdują się w domenie publicznej lub ich publikacja została uzgodniona z właścicielami i dysponentami praw autorskich. Wydawnictwo dołożyło wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich posiadaczy praw. Osoby, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt.

Spis treści

7	Łukasz Biskupski Literatura obiegu brukowego: świat niepospolitych zdarzeń i straszliwych przygód
11	Obiegi
15	Literatura obiegu brukowego
26	Produkcja
30	Odbiorcy
37	Dyskurs
41	Konstrukcja antologii
45	Wypisy z powieści
47	Adolf Rode [George Füllborn] Barbara Ubryk, czyli tajemnice klasztoru karmelitów w Krakowie
81	J. F. Born [George Füllborn] Izabella królowa Hiszpanii. Powieść historyczna
101	Karol Kropidełko [Adam Nowicki] Tajemnice Krakowa. Romans współczesny. Napisał dr Karol Kropidełko
141	Adam Witold Koszutski [Adam Pierzchnicki] Tajemnice Warszawy. Powieść na tle wypadków z lat ostatnich
181	Tajemnicze Przygody Szerloka Holmesa, słynnego agenta śledczego. Zeszyt 33. Rzeźnia ludzka
223	Lord Lister. Tajemniczy Nieznajomy. Zeszyt 1. Postrach Londynu
265	Buffalo Bill. Bohater dalekiego zachodu Zeszyt 1. U Pała Męczarni
303	Rocambol, herszt Czarnej Ręki. Zeszyt 1. Krwawy Sobowtór
321	Rocambol, herszt Czarnej Ręki. Zeszyt 5. Noc w podziemiach
339	Ludwik Payor Jerzy Rolicz. Przygody 16-letniego podróżnika Zeszyt 5. Skarb Sundrama

359	Edmund Bartoszek Skazana przez życie
389	Andrzej Młot Bezkarńi bandyci stolicy. Powieść o Warszawie grozy i zbrodni
431	Julian [Ludwik] Starski Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno -kryminalna
525	Rinaldo Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty włoskiego, romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia
553	Juanita Dela Cuezca Zabiłem brata. Powieść z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii
575	Materiały kontekstowe
577	Ks. A. Lisiecki Kolportaż pożytecznych pism i książek. Referat wypowiedziany na zebraniu xx. Patronów i wicepatronów związku tow. Robotniczych dnia 1.3.1909 w Poznaniu
589	Zygmunt Wasilewski O sztuce i człowieku wiecznym
603	Prawdziwe tajemnice Krakowa
627	W rymsztoku. Garść uwag o literaturze brukowej
631	Stanisław Dzikowski Za kulisami „literatury” sensacyjnej
637	Juliusz Kaden-Bandrowski Ballada o książce
647	Klin. Książka na ulicy
651	Zasady wydania
657	Bibliografia
661	Spis ilustracji
663	Podziękowania

Literatura obiegu brukowego

Świat niepospolitych
zdarzeń i straszliwych
przygód

Łukasz Biskupski

Czy widział ktoś takiego człowieka, który z uśmiechem na twarzy spaceruje z armatą na plecach? Czy słyszał ktoś o takim człowieku, który napadnięty przez czterech drabów, zamyka ich w szafie, bierze ją na plecy i zanosí w biały dzień przed gmach policji?¹

Intrygi zazdrosnej rywalki dążą do wtrącenia jej na dno nędzy. Piękna siostra miłosierdzia nie ulega jednak. Poprzez wszystkie nieszczęścia idzie z podniesioną głową, uśmiechem na ustach i wiarą, że uczciwość, czystość i szczerą miłość przewyciężą wszelkie przeciwności. Czytelnicy ronić będą łzy wzruszenia i radości, kiedy wreszcie słońce szczęścia zajaśnieje naszej bohaterce i kiedy po mękach i przejściach połączy się ze swym ukochanym hrabią Herbertem².

W 1932 roku Juliusz Kaden-Bandrowski w *Balladzie o książce* nakreślił trzy spersonifikowane figury książki. Pisał o książce „matronie” — w skórzanym płótnie, z kantami okutymi w mosiądz, z wytłoczonym złotą czcionką tytułem, takim jak *Pan Tadeusz* albo *Stara baśń*, z obrazkami oddzielonymi bibułą, leżącej ciężko na fortepianie od tak dawna, że zmatowiał pod nią spory fragment polityry³. Jest też książka „kamieniczniczka” — odziedziczona w dużej liczbie wraz z regałami, dostojnymi ozdobami mieszkania wypełnionymi Orzeszkową, Dygasińskim, Prusem, Konopnicką itd., służącymi raczej jako schowek na klucz do strychu albo leki ukryte przed dziećmi niż jako źródło lektur. I jest w końcu książka „ulicznica” — z kolorową okładką przedstawiającą harem hrabin gwałconych na pustyni, tudzież angielski kask i bokobrody lorda albo dwupłatowiec, którym ucieka para przed krokodylami. Taka książka jest blisko życia, czerpiąca tematy...

Z asfaltu, z mobiloil, z gazoiliny, ze stadionu, z wystawy rękawiczek, krawatek, czy loterii. Albowiem ta ulicznica niestrudzona, odbijana w tysiącach egzemplarzy jest właśnie tylko siostrą, młodszą i lepszą siostrą tamtej starszej, złocistej, wzniosłej, haftowanej, która na niebotycznym tronie przeznacznych cnót zasiada i woła szklanym głosem świętości niedołączonej: Świat ma być dla wszystkich!!!!⁴.

Tak jak — zgodnie ze słynną maksymą Hegla — nowoczesną modlitwą mieszcza-
nina było czytanie gazety przy pół czarnej i chrupiącej bułeczce w kawiarni lub domowym salonie, tak przedstawiciele klasy ludowej mieli swoje rytuały — czytali

1 Z reklamy *Maciste, najsilniejszy człowiek świata*. J. Dunin i Z. Knorowski, *Polskie powieściowe serie zeszytowe: materiały bibliograficzne*, Uniwersytet Łódzki 1984 poz. nr. 58.

2 W. Gutowski, *Piękna siostra*, I. Michalska, Warszawa bdw., reklama na 4 stronie okładki.

3 J. Kaden-Bandrowski, *Ballada o książce* [w:] *Za stołem i na rynku*, Zakład Narodowym im. Ossolińskich, Lwów 1932, s. 151—166.

4 *Ibidem*, s. 160.

pasjami odcinki gazetowe lub tasiemcowe powieści. W tramwaju, w drodze do fabryki lub po fajraniu pochłaniali kolejne przygody 16-letniego podróżnika w Afryce albo poznawali karkołomne wyczyny cyrkowca, akrobata i genialnego dektetywa. W przerwie obiadowej poznawali dramatyczne dzieje hrabiego-milionera, który stał się hersztem zbójów albo dżentelmena-włamywacza i mistrza przebieranek. Po lekcjach emocjonowali się straszliwą historią hrabiny pogrzebanej żywcem. Na kuchennych schodach śledzili rozdzierające serce perypetie cnotliwej siostry miłosierdzia, cierpliwie znoszącej kolejne ciosy losu w nadziei na miłość hrabiego albo cierpienia księżnej, która wyrzeka się tytułu i bogactw, aby wyjść za szlachetnego i ubogiego Cygana. W cieniu podwórek-studni kompletowali wiedzę o kolejnych podbojach „40-razy żonatego”, hojnie obdarzonego przez naturę uwodziciela.

Badania nad funkcjonowaniem literatury jarmarcznej i brukowej w polskim kręgu językowym mają swoją długą tradycję i nabrały już pewnego rozmachu instytucjonalnego⁵. Idea niniejszej antologii wzięła się z rozpoznania istotnej luki: mimo względnie licznych opracowań z literaturą tą trudno zapoznać się bezpośrednio. Jako druki „notorycznie bezwartościowe” nigdy nie były systematycznie gromadzone przez biblioteki, pojedyncze tytuły są rozproszone po zbiorach różnych instytucji, poza katalogami komputerowymi, nieopatrzone odpowiednimi hasłami przedmiotowymi⁶. Kolekcje prywatne, współczesnych bibliofilów, tudzież tych, z którymi współpracował na przykład Janusz Dunin — jeśli istnieją — są niedostępne szerszej publiczności. Wprawdzie postępujący rozwój bibliotek cyfrowych daje nadzieję, że dostęp do takiej literatury będzie coraz łatwiejszy, niemniej wybór i opracowanie krytyczne wyimków będzie mieć wartość nie tylko naukową, ale również dydaktyczną i popularyzatorską.

Jesteśmy przekonani, że rozumienie narodzin nowoczesnej kultury polskiej będzie niepełne bez dogłębnego poznania zakorzeniającej się wówczas na rodzimym gruncie kultury popularnej, a w tym wypadku — beletrystyki rozrywkowej nazywanej literaturą brukową, tandetną, uliczną, sensacyjną, wagonową, kolejową czy groszową. Pogląd ten ponad 40 lat temu w artykule *Potrzeby i metody badania literatury brukowej* wyraził dobitnie Czesław Hernas, zwracając uwagę, że chociaż literatura brukowa nie spełnia elitarnych, upowszechnionych przez szkołę kryteriów literackości, to jako wytwór „innej kultury literackiej”,

5 Należy zwrócić uwagę na pionierskie badania Feliksy Bursowej, publikacje Janusza Dunina, Czesława Hernasa, Józefa Bachorza, a także grupy literaturoznawców zajmujących się obiegiem, gatunkami i poetykami literatury popularnej z Uniwersytetu Wrocławskiego, m.in. Tadeusza Żabskiego i Anny Gemry. Ich ustalenia wykorzystuję w niniejszym szkicu.

6 Jeśli chodzi o powieści zeszytowe i poszytowe, lokalizację niektórych tytułów podają J. Dunin i Z. Knorowski, *Polskie powieściowe serie zeszytowe...*, op. cit.; J. Dunin i K. Mierzwińska, *Polska powieść zeszytowa: materiały bibliograficzne*, Wydawnictwa Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1978. Wiele z tytułów opatrzonych signum JD, oznaczających księgozbiór prywatny Janusza Dunina, można odnaleźć w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego. Zob. też J. Dunin, *Warsztat bibliograficzny i biblioteczny badacza literatury tandetnej*, „Studia o Książce”, 1970, nr 1, s. 117—131.

sytuującej się pomiędzy literaturą uczoną a folklorem, stanowi pełnoprawną część literatury polskiej⁷. Przedstawił też postulat, aby obok wąskiego, podręcznikowego rozumienia pojęcia „literatura polska” przyjąć i drugie, szersze rozumienie tego terminu, oparte wyraźnie na kryteriach kulturowych⁸. Tym bardziej dzisiaj kulturowa czy też społeczna historia literatury lub po prostu — historia kultury polskiej, znacznie silniej uwrażliwiona na różne rejestry, nie może obejść się bez wiedzy o tej „książce-ulicznicy”. Wydrukowana na papierze fatalnej jakości, krzywo pocięta i pozszywana, ignorowana przez biblioteki i piętnowana przez inteligenckich moralistów jednocześnie była ważna dla dużej grupy czytelników. Stanowiła narzędzie upowszechnienia aktywnego czytelnictwa i demokratyzacji przyjemności lektury, a także przejaw modernizacji społeczeństwa polskiego. Bez dozy przesady można też stwierdzić, że wyobrażenie o świecie rzesz Polaków żyjących na przełomie XIX i XX wieku zostało ukształtowane właśnie przez brukowe opowieści. Chociażby z tego powodu warto im się bliżej przyjrzeć.

Obiegi

Wyodrębnionym przedmiotem badań jest od lat literatura zalegitymizowana, oficjalna, „piękna”, realizująca obowiązujące w danym momencie kryteria literackości, a z drugiej strony — folklor ludowy. Mieszcząca się gdzieś pomiędzy, różnie określana — literatura popularna, paraliteratura, literatura brukowa lub trywialna rodzi liczne problemy definicyjne⁹. Stojąc na stanowisku, że termin „literatura popularna” ma charakter zbyt ogólny, aby dookreślić, jaki zasób utworów mamy w zasięgu radaru, przyjmijmy kryteria nie z obszaru poetyki, jak to się czasami próbuje robić, ale społecznej historii literatury. Odwołamy się mianowicie do kategorii „obiegu” zaproponowanej przez Stefana Żółkiewskiego, wskazując, że interesuje nas literatura obiegu brukowego¹⁰.

Obiegiem nazywa Żółkiewski:

Krążenie tekstów literackich pomiędzy odrębnymi typami nadawców a swoistymi środowiskami odbiorców, tekstów odbieranych w określonych, charakterystycznych dla danej kultury społecznych sytuacjach komunikacji literackiej. [...] Najczęściej każdy obieg cechuje także swoista technika komunikacyjna, technika upowszechniania tekstów, wyróżnialna nawet poprzez materialną odrębność¹¹.

7 C. Hernas, *Potrzeby i metody badania literatury brukowej* [w:] *O współczesnej kulturze literackiej*, red. S. Żółkiewski i M. Hopfinger, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1973, t. I, s. 15—45.

8 *Ibidem*, s. 19.

9 Zob. K. Dmitruk, *Kultura popularna — obieg — literatura*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” no 1340, 1992, nr 2, *Literatura i kultura popularna*, s. 3—24; A. Martuszevska, *Ta trzecia: problemy literatury popularnej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1997.

10 S. Żółkiewski, *Kultura literacka (1918—1932)*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973, s. 412 i nast.

11 *Ibidem*, s. 412.

Kategoria obiegu charakteryzuje nie tylko konkretny zestaw dzieł, lecz przede wszystkim dynamiczną konfigurację społeczną. Tworzy ją określona socjologicznie publiczność, konsumująca przeznaczone dla siebie treści dostarczane przez twórców i krążące poprzez dedykowane im kanały rozpowszechniania¹². Charakterystyczną cechą obiegów są specyficzne modele produkcji (np. ekskluzywne wydawnictwa limitowane lub książki kieszonkowe czy zeszytowe). Kategoria obiegu stanowi więc funkcjonalny model obejmujący sfery produkcji, dystrybucji i konsumpcji treści kulturalnych — swoiste osobne sieci kultury literackiej czy też segmenty rynku wydawniczego¹³.



II. 1

W kulturze literackiej w Polsce w latach 20. XX wieku Żółkiewski wyróżnił pięć obiegów literackich: wysokoartystyczny, trywialny, brukowy, jak również obieg literatury „dla ludu” oraz jarmarczno-odpustowy. Czym się one charakteryzują?

Obieg wysokoartystyczny — w nim funkcjonuje literatura zwana piękną, „nadobną” (zarówno tradycyjna, jak i awangardowa), w nim realizuje się model „obcowania z literaturą” jako czymś kulturowo istotnym. W dwudziestoleciu

12 Przy czym należy zauważyć, że wiele utworów funkcjonowało w wielu obiegach naraz (jednym z bardziej jaskrawych przykładów jest *Dekameron*, który, oprócz obiegu wysokoartystycznego, można było kupić również na ulicy, „na koszach” jako przykład literatury erotycznej).

13 Szerszy komentarz do kategorii obiegu w kontekście literatury popularnej zob. K. Dmitruk, *Kultura popularna — obieg — literatura*, „Acta Universitas Wratislaviensis”, 1992, nr 2, *Literatura i kultura popularna*, s. 15–20.

międzywojennym uczestnictwo w obiegu wysokoartystycznym było wspierane i kształtowane przez oficjalne instytucje kultury literackiej, przez przymus szkolny i państwową politykę kulturalną, wcześniej natomiast stanowiło domenę troski polskich elit symbolicznych (inteligencji). To spośród utworów tego obiegu ukształtował się historyczny kanon literatury polskiej. Żółkiewski podkreśla jednak, że chociaż znaczna część obiegu wysokoartystycznego zdominowana była przez warstwę inteligencją, to nie można pomijać również dążeń emancypacyjnych grup do awansu społecznego — ma tu na myśli przede wszystkim klasę robotniczą, ale też chłopów. Do tego obiegu zalicza też więc literaturę funkcjonującą w ramach „zdobywania awansu kulturalnego” — propagowaną przez organizacje społeczne, kółka samokształceniowe czy uniwersytety ludowe.

Kolejne obiegi można zaliczyć do sfery kultury popularnej, przy czym ich różniczenie pozwala na bardziej precyzyjne zrozumienie jej różnych społecznych kontekstów.

Obieg literatury „dla ludu” Żółkiewski uważał za twór sztuczny, przejaw reliktu „feudalnej kultury patronackiej”, którą cechuje protekcyjny i moralizatorski stosunek do mas ludowych, wywodzący się ze społecznikowskich dążeń dziewiętnastowiecznej inteligencji postępowej do „edyfikacji ludu”. Za sprawą takiej literatury, cytując słowa Floriana Łagowskiego z 1879 roku, „inteligencja spełnia obowiązek moralny względem młodszej współbraci”¹⁴. W tym celu pod auspicjami instytucji patronackich wydawano przeróbki dzieł literackich (Prusa, Orzeszkowej, Dygasińskiego), spreparowane specjalnie dla ludu, publikacje popularnonaukowe przeznaczone dla niewyrobionego czytelnika, liczne zwłaszcza w okresie pozytywizmu¹⁵. W dwudziestoleciu międzywojennym tradycję tę, w zgodzie z rozpowszechnianym przez siebie systemem wartości, prowadził zakon franciszkanów w Niepokalanowie i Koncern Wydawniczy św. Wojciecha w Poznaniu¹⁶.

Obieg jarmarczny z kolei to zjawisko jeszcze z ery przedindustrialnej, przednowoczesnej, związane z tradycyjnymi wzorami czytelnictwa wiejskiego. Cyrkulacja treści i praktyki czytania w tym obiegu wiązały się z jedną z najważniejszych instytucji życia wiejskiego — jarmarkami i targami, odpustami, nabywaniem na straganach druków nowiniarskich, pieśni¹⁷, wzorów listów

14 Cyt. za: J. Dunin, *Wydawnictwa popularne w opinii publicznej na przełomie XIX i XX wieku*, „Przegląd biblioteczny”, 1965, nr 4, s. 230.

15 S. Reymont, *Warszawskie wydawnictwa popularne w latach 1880—1914* [w:] *Z dziejów książki i bibliotek w Warszawie*, red. S. Tazbir, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 385—432.

16 S. Żółkiewski, *Kultura literacka (1918—1932)*..., op. cit., s. 458—460.

17 M. Waliński, *Pieśń jarmarczna? Nowiniarska? Ballada? Czy — pieśń dziadowska? Prologomena do badań pieśni dziadowskiej* [w:] *Wszystek krąg ziemski. Antropologia, historia, literatura. Prace ofiarowane Profesorowi Czesławowi Hernasowi*, red. P. Kowalski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1998, s. 164—194.

miłosnych, literatury dewocyjnej, kalendarzy, pism dla ludu, „magielon” — powieści o baśniowo-romansowym charakterze (od *Historii o Magiellonie*), ale też *Żywotów św. Genowefy* czy *Historii o siedmiu mędrcach*. Liczne wydawnictwa dla tego obiegu funkcjonowały zwłaszcza w miastach galicyjskich i na Śląsku przed 1914 rokiem, później stopniowo zanikając, a kolportażem zajmowali się wędrowni sprzedawcy i „węgrowie” krążący od jarmarku do jarmarku¹⁸.

Obieg trywialny cechuje z kolei nastawienie na zabawowe społeczne funkcje komunikacyjne, odpowiadanie na potrzeby ludyczne i funkcjonowanie w obrębie skomercjalizowanego przemysłu produkcji kulturalnej. Formatami kulturalnymi stosowanymi w tym obiegu były powieści odcinkowe w prasie, tanie powieści „groszowe” wydawane w seriach, ale też kultura literacka przeniesiona w performatywną sferę teatryków i kabaretów. Model biznesowy wydawnictw funkcjonujących w tym obiegu opierał się w znacznym stopniu na produkcji seryjnej dostarczanej przez zawodowych producentów kulturalnych — „techników literackich”, jak to ujmuje Żółkiewski. W obiegu tym funkcjonowały utwory kryminalne, szpiegowskie czy melodramatyczne, sentymentalne, przygodowe autorstwa takich pisarzy jak Helena Mniszkówna, później Tadeusz Dołęga-Mostowicz, Antoni Marczyński, Ferdynand Antoni Ossendowski czy Adam Nasielski, a przede wszystkim liczne przekłady z literatury zagranicznej¹⁹.

W końcu obieg brukowy, najbardziej nas tu interesujący, analogiczny do trywialnego, będący formą przemysłu produkcji kulturalnej, właściwy miejskiej kulturze przemysłowej, folklorowi miejskiemu i nowoczesnej masowej rozrywce, ale obejmujący czytelników o niższych kompetencjach kulturowych.

Powyższa typologia ma rzecz jasna charakter modelowy i można z pewnością wskazać wiele punktów dyskusyjnych. Liczne sporne kwestie dotyczą różnych granicznych sytuacji w przypadku obiegu jarmarcznego, brukowego i trywialnego. Obieg jest jednak kategorią socjologiczno-historyczną, która pozwala uchwycić społeczne funkcjonowanie literatury, znosząc niektóre aporie ujęć skoncentrowanych jedynie na sferze tekstualnej (wyróżniających dzieła o określonej poetyce). Zaproponowana typologia odnosi się do kultury literackiej lat 20., ale przy pewnych zastrzeżeniach można rozciągnąć ją na cały interesujący nas okres.

18 Literaturę jarmarczną omawia Dunin w rozdziałach „Rymy kramarskie” i „Opowieści z jarmarcznego kramu”, zob. J. Dunin, *Papierowy bandyta: książka kramarska i brukowa w Polsce*, Wydawn. Łódzkie 1974, s. 23—59, 89—190; Por. J. Dunin, *U źródeł czytelnictwa ludowego* [w:] *W świecie pieśni i bajki: studia folklorystyczne*, red. R. Górski i J. Krzyżanowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1969, s. 85—95; J. Dunin, *Wydawnictwa popularne w opinii publicznej na przełomie XIX i XX wieku...*, op. cit.; T. Żabski, *Proza jarmarczna XIX wieku: Próba systematyki gatunkowej*, Wydawn. Uniw. Wrocławskiego, Wrocław 1993, *Acta Universitatis Wratislaviensis*. No 1403.

19 J. Kolbuszewski, *Powieść popularna na przełomie XIX i XX wieku*, „*Acta Universitatis Wratislaviensis*”, 1991, nr 1, *Literatura i kultura popularna*, s. 97—110; H. Kirchner, *Powieść popularna* [w:] *Literatura polska 1918—1975*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1993, t. 2: 1933—1944, s. 824—848.

Za prekursora europejskiej powieści popularnej uznaje się *Tajemnice Paryża* Eugeniusza Sue, wydawane w odcinkach na łamach paryskiego „Journal des débats” w latach 1842—1843²⁰. Powieść ta łączy romansowe wątki melodramatyczne, schematy baśniowe i mityczne oraz elementy powieści gotyckiej z tradycjami powieści awanturkowej i powieści pikareskiej. Innowacja Sue polegała na osadzeniu tych klasycznych schematów w świecie nizin społecznych ówczesnego Paryża (weryzm socjologiczny) i przemyceniu ideowego przekazu socjalizmu utopijnego. Ta nowatorska formuła zapewniła Sue olbrzymi sukces czytelniczy, a codzienne dotarcie do finalnej frazy „la suite a demain” rozbudzało apetyt czytelników na kolejne odcinki. Demokratyzacja kultury poprzez rozwój gazet i powieści w odcinkach, demokratyzacja tematów i propaganda idei demokratycznych symbolizowana przez Sue, ale też Aleksandra Dumasa, Wiktora Hugo i w pewnym stopniu Honoré Balzaka wyznaczają narodziny nowoczesnego obiegu popularnego na zachodzie Europy, różniącego się z czasem na obieg popularny i brukowy spod znaku *roman-feuilleton*, *penny dreadful*, *Groschenliteratur* czy *dime novel*.

Powieść Sue do polskojęzycznych czytelników dotarła błyskawicznie. W październiku 1843 pojawiły się zapowiedzi, a w formie cyklicznie ukazujących się 9 tomów/zeszytów publikację ukończono w kolejnym roku²¹. W połowie XIX wieku ani zacofana Galicja i rolniczy zabór pruski, ani tereny Królestwa Polskiego nie tworzyły podatnego gruntu dla rozwoju skomercjalizowanej kultury popularnej. Powieść Sue funkcjonowała w elitarnym kręgu czytelników jako lektura obowiązkowa osoby wykształconej:

Był czas, gdzie nie znać utworów Suego, nie czytać *Tajemnic Paryża*, było to jedno i to samo, co przyznać się otwarcie do nieuctwa lub w najlepszym razie jakiejś do dzisiaj nagannej obojętności na pojawy życia umysłowego

— pisał Józef Dzierzkowski²². Taka „wysoka” recepcja powieści skierowanej do masowego czytelnika nie pozostaje bez związku z niewielką liczebnością publiczności czytającej w owym czasie. Trudno więc uznać publikację powieści Sue za cezurę wyznaczającą początek obiegu popularnego, a tym bardziej brukowego w polskim kręgu czytelniczym.

Podobnie jak w innych krajach europejskich sukces powieści Sue pociągnął za sobą szereg naśladownictw tego wzorca na potrzeby polskiego wykształconego

20 D. Kulczycka i A. Narolska, red., *Eugeniusz Sue: życie — twórczość — recepcja*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2014, t. 3, Wydanie specjalne, Scripta Humana; J. Bachórz, *Polska powieść tajemnic. Szkic stułetniej kariery* [w:] *Romantyzm a romanse: studia i szkice o prozie polskiej w pierwszej połowie XIX wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2005, s. 218—224; U. Eco, *Eugeniusz Sue: socjalizm i pocieszenie* [w:] *Superman w literaturze masowej: powieść popularna — między retoryką a ideologią*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.

21 E. Sue, *Tajemnice Paryża*, Glücksberg, Warszawa 1844.

22 J. Dzierzkowski, *Eugeniusz Sue*, „Dziennik Literacki”, 1857, nr 102—104; Cyt. za: J. Rosnowska, Dzierzkowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków b.d., s. 178.

czytelnika. W niewielkim stopniu jednak można je uznać za wernakularne odpowiedniki powieści Sue. Traktujące pierwowzór jako katalog pomysłów fabularnych — przy zwiększonym poziomie moralizowania, ograniczonym ładunku rozrywkowym i realizmie odmalowywanych konkretnych realiów miejskich (raczej salon niż ulica) — w dużo większym stopniu były to utwory dydaktyczno-obyczajowe, a nie sensacyjne. A przede wszystkim — nie były to powieści o dużym ładunku idei politycznych²³. W niewielkim stopniu też te rodzime powieści tajemnic eksplorowały ciemną stronę nowoczesnego miasta, którego specyfika była obca słabo zurbanizowanej kulturze polskiej i jej realiom społecznym. Jak pisał Bogucki:

Ani pan Sue, ani pan nie-Sue nie zdołaliby napisać »Tajemnic« jakiejś miściny o półtora tysiącu mieszkańcach; byłoby to proste powtórzenie sprawozdań dziennych oklepanych przez całe miasto jeszcze przed zachodem słońca²⁴.

Abstrahując od oceny tych dzieł, należy skonstatować, że te wernakularne powieści tajemnic wytwarzane przez polskich pisarzy skierowane były do czytelnika mieszczańskiego, stanowiąc produkcję kulturalną pisarzy *minorum gentium* w obiegu wysokim, tudzież świadectwo kształtowania się popularnego obiegu literatury. Nie docierały jednak do nowego czytelnika o niskich kompetencjach kulturowych.

Nowoczesny obieg brukowy dla czytelników funkcjonujących w środowisku miejskim wyłania się na ziemiach polskich w ostatnich dekadach XIX wieku wraz z silniejszym impulsem industrializacyjnym i urbanizacyjnym. Rozwój miast, powstawanie fabryk, które przyciągały rzesze mieszkańców wsi liczących na poprawę swojego losu, którzy — jeszcze nie na masową skalę — uczyli się czytać, zaczęli posiadać odrobinę czasu wolnego od pracy i trochę własnych pieniędzy, wytworzył publiczność o nowych potrzebach czytelniczych (zwłaszcza po wprowadzeniu obowiązku szkolnego w 1918 roku) oraz rynek księgarski, który odpowiadał na jej zapotrzebowanie²⁵.

Wcześniej funkcjonowały przejmujące tradycje rynku szlacheckiego romanse w rodzaju *Meluzyny* i *Magiellony*, jarmarczne senniki i kalendarze, podporządkowane często programowej dydaktyce szlacheckiej, literatura młodzieżowa,

23 „Słabość naszych powieści tajemnic w pierwszym ćwierćwieczu ich istnienia ujawniła się bowiem w sposobach korygowania i modelowania francuskiego schematu fabularnego. Szablon tajemnic, dostosowywany do potocznego stylu myślenia polskiego audytorium czytelniczego wyjął się ze społeczno-historycznych ujęć losów bohatera, a został uzupełniony stereotypami upotocznionej dydaktyki, wywodzącej się z drugorzędnej literatury oświeceniowej, i zdeformowany mocno u nas zakorzenionym, a przez romantyzm nie przewyżczonym przeświadczeniem o sielskości polskiego »ducha narodowego«: J. Bachórz, *Polska powieść tajemnic. Szkic stuletniej kariery*, op. cit., s. 235; Por. S. Tomaszewski, *Odrażający złoczyńcy i poczciwi rzemieślnicy. O sposobach prezentacji postaci miejskich plebejuszy w polskich powieściach tajemnic okresu międzypowstaniowego*, „Prace polonistyczne”, 1983, XXXIX.

24 J. S. Bogucki, *Kapitałiści*, nakładem i drukiem Józefa Unger, Warszawa 1852, t. 1—4, s. 159.

25 Materialne warunki rozwoju kultury literackiej w kolejnych dekadach omawia S. Żółkiewski, *Społeczne konteksty kultury literackiej na ziemiach polskich: 1890—1939*, Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1995; S. Żółkiewski, *Kultura literacka (1918—1932)...*, op. cit.

śpiewniki ludowe i patriotyczne²⁶. Jednak uczestnicy miejskiego życia, często niedawno przybyli ze wsi do miast, zanurzeni byli jeszcze w znacznym stopniu w systemie wartości, imaginarium i praktykach kulturowych wsi. Dotyczyło to również upodobań czytelniczych. Wiele pozycji funkcjonujących w obiegu brukowym pokrywało się z tytułami obiegu jarmarcznego, a takie opowieści jak różne wersje Vulpiusowskiej historii o Rinaldo Rinaldinim zajęły poczesne miejsce w obiegu brukowym, stając się wręcz ich symbolem. Typowymi formami wydawniczymi folkloru drukowanego, krążącymi w obiegu brukowym, były: druki ulotne z prostymi ilustracjami, życzeniami, wróżbami, życzenia kominarzy i dozorców, wiersze karmelkowe na opakowaniach cukierków, przepowiednie kataryniarzy, ale też pieśni polityczne, informacyjne, ballady podwórkowe²⁷, a także, co nas tu najbardziej interesuje i co najbardziej z tym obiegiem się kojarzy, powieści ze znacznym pierwiastkiem sensacyjności.

Bodaj pierwszym na ziemiach polskich wydawcą specjalizującym się w literaturze brukowej był warszawski księgarz Jan Breslauer. Jego nazwisko na pewien czas stało się symbolem literatury na niskim poziomie — w XIX wieku „drukami breslauerowskimi” zwano wydawnictwa tandetne i sensacyjne²⁸ skierowane do masowej publiczności. Około 1870 roku jego firma wydała w zeszytach polski przekład niemieckiej powieści Georga Füllborna *Barbara Ubryk, czyli Tajemnice klasztoru karmelitów w Krakowie. Z notatek pewnego zakonnika spisał dr Rode* — utrzymaną w duchu antyklerykalnym historię, odwołującą się do niewiele wcześniej ujawnionej tragedii zakonnicy, więzionej przez wiele lat w klasztorze²⁹. Następnie zaś nakładem Breslauera ukazały się kolejne utwory tego samego autora: *Izabella królowa Hiszpanii, czyli tajemnice dworu madryckiego. Romans historyczny osnuty na współczesnych dziejach Hiszpanii*, *Tajemnice stolicy świata, czyli Grzesznica i pokutnica* oraz *Eugenia, czyli Tajemnice zamku Tuileries*³⁰. Z ogłoszeń samego wydawcy można wywnioskować, że zdawał on sobie sprawę, że swoją ofertą odpowiada na potrzeby nowej wielkomiejskiej publiczności. W 1875 roku jego folder reklamowy głosił:

26 C. Hernas, *Potrzeby i metody badania literatury brukowej*, op. cit.; M. Waliński, *Pieśń jarmarczna? Nowiniarska? Ballada? Czy - pieśń dziadowska? Prologomena do badań pieśni dziadowskiej*, op. cit.

27 Zob. rozdział „Podwórkowe rymy” J. Dunin, *Papierowy bandyta...*, op. cit., s. 60–88; W. L. Karwacki, *Żywoć robotnika w pieśni* [w:] *Polska klasa robotnicza. Studia historyczne.*, red. A. Kiżys, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978, t. 8, s. 292–360; B. Wiczorekiewicz, *Warszawskie ballady podwórkowe. Pieśni i piosenki warszawskiej ulicy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971.

28 J. Dunin, *Książka i czytelnictwo popularne: przyczynek do polskiego słownictwa księgoznawczego*, „Roczniki Biblioteczne” 1971, z 1–2, s. 355.

29 Przy czym ta głośna historia pojawia się dopiero w 2/3 objętości powieści.

30 Na temat kontrowersji bibliograficznych zob. A. Gemra, „Kwiaty złota” na miejskim bruku: o powieści zeszytowej XIX i XX wieku, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1998, s. 24–25.

Ze wszystkich rodzajów literatury nadobnej najbardziej poczytną jest forma romansu i powieści. Stanowią one w dzisiejszym społeczeństwie konieczną rozrywkę po pracy, czy to umysłowej, czy fizycznej. Liczba drukowanych u nas corocznie romansów i powieści najlepiej to stwierdza³¹.

W kolejnych latach powieści wydawano sporadycznie, a zauważalny wzrost nastąpił po uruchomieniu w Łodzi drukarni Karoliny Kolińskiej i Alfreda Zonera w roku 1897 (później wydawnictwo przeniosło się do Warszawy). W sferze powieści zeszytowej aktywni byli też tacy producenci jak F. Feitizinger w Cieszyńsku, Szabik w Katowicach wydający *Klimczoka — herszta rozbójników* na Śląsku czy W. Spychałowicz w Bytomiu (*Żywcem pogrzebana*). W dwudziestolecie pojawiły się kolejne wydawnictwa wraz z bodaj najaktywniejszą — Księgarnią Komisową, wydającą m.in. polskie powieści Witolda Gutowskiego, autora kilkunastu melodramatycznych tasiemców³².

Model biznesowy produkcji dla obiegu brukowego zakładał serializację treści przy niskiej cenie pojedynczego produktu. Dlatego powieści zeszytowe stanowią najbardziej charakterystyczną formę wydawniczą literatury brukowej. Pierwszy zeszyt zwany „okazowym” był darmowy — jeśli nie dostało się go od znajomych, można go było otrzymać od ulicznego kolportera albo w kiosku podczas kupowania gazety. Przypadkowa lektura często skłaniała do nabywania dalszych zeszytów. W ten sposób w czytelniku kształtowała się potrzeba i nawyk posiadania kolejnych numerów wydawanych raz, a nawet kilka razy w tygodniu. Powieści w tym modelu ukazywały się zarówno poszytami, bardzo obszernymi, liczonymi w tysiącach stron, jak i w formie odrębnych zeszytów, zserializowanych nowel powiązanych ze sobą zazwyczaj postacią głównego bohatera. Janusz Dunin uszczegóławia edytorski punkt widzenia na te dwa typy powieści zeszytowej:

Pierwszy — to powieści zeszytowe, których poszczególne składy były wprawdzie opatrzone okładkami i sprzedawane oddzielnie, miały jednak ciągłą numerację stron, a tekst urywał się w przypadkowym miejscu, nawet w środku zdania lub słowa i kontynuowany był w następnym poszycie. Najczęściej okładki nie były wliczane w ogólną paginację i przy oprawie usuwane. W takim wypadku trudno stwierdzić, czy wydawnictwo ukazywało się pierwotnie w formie poszytów, tym bardziej że wydawcy resztę nakładu często sprzedali już jako całość i w tym charakterze pojawiały się w księgarskich katalogach. Drugi rodzaj tych wydawnictw — to powieści, które zazwyczaj opatrywano uwagą „każdy zeszyt stanowi całość”. Z bibliograficznego punktu widzenia stanowią one serię znormalizowanych druków zwartych; każdy zeszyt posiadający własny tytuł — ukazuje się w stałym formacie, ilości stron i w ustalonej szacie graficznej³³.

Każda powieść poszytowa ukazywała się w zeszytach liczących stałą liczbę stron (najczęściej 32); z uwagi na redukcję kosztów na najgorszej jakości papierze, bez korekty i z błędami. Janusz Dunin i Krystyna Mierzwianka w swojej

31 J. Breslauer, Ogłoszenie księgarskie Księgarni Jana Breslauera. Rok 1875, Wydawnictwo Romansów, Powieści i Procesów Kryminalnych, Warszawa 1875.

32 J. Dunin, *Papierowy bandyta...*, op. cit., s. 213.

33 *Ibidem*, s. 192.





bibliografii powieści zeszytowych uwzględnili łącznie 205 tytułów powieści zeszytowych wydanych do 1939 roku, przy czym znaczna część z nich to przedruki wcześniej wydanych tekstów — oryginalnych wydań można naliczyć raptem 36³⁴. W przypadku tego rodzaju literatury markę stanowił nie autor, ale postać tytułowa, a same utwory były często pisane przez różne osoby. Najczęściej były to publikacje anonimowe lub pod pseudonimem. Jak pisze Anna Gemra:

Anonimowość, pseudonimy, plagiaty — w wypadku powieści zeszytowej były to zjawiska „naturalne”: w procesie wydawniczym „autor” (z reguły właściwie był tłumaczem lub redaktorem) pełnił podrzędną funkcję służebną, pisał bowiem na zamówienie nakładcy³⁵.

Powieść taka tworzyła „różaniec przygód”³⁶ — strony kolejnych zeszytów wypełniały tasiemcowe ciągi sensacyjnych zdarzeń fabularnych. Szczególnie rozpowszechniła się formuła powieści współczesnej (w której czas fabuły jest tożsamy z czasem powstania utworu), stanowiąca w ocenie Gemry większość powieści zeszytowych. Były to utwory oparte na swoistej aktualizacji, decydującej o ich atrakcyjności, czyniąc zeń rodzaj „wielkomiejskiego druku nowiniarskiego”³⁷: ujawnienie sprawy Barbary Ubryk w 1869 roku, zabójstwo serbskiej pary królewskiej w 1903 czy sprawa Dreyfusa. Liczne powieści opowiadały o tragediach z życia wyższych sfer (arystokracji, fabrykantów), w których ważną rolę dramaturgiczną odgrywał motyw wydziedziczenia, a także melodramaty ludowe o tragediach megalomanii. Z powieści współczesnych wydawano też powieści quasi-kryminalne, eksplorujące jednak raczej motyw przestępstwa i jego moralny wymiar niż strukturę śledztwa. Mniej było za to powieści historycznych, odnoszących się często do wielkich postaci, władców i dostojników: Jana III Sobieskiego, Marii Stuart, carów rosyjskich, Garibaldi. Zmieniał się tylko sztafaż i rekwizyty, a struktury fabularne nie odbiegały od innych powieści zeszytowych. Do przeszłości odnosiły się też powieści o spiskach tajnych związków (*Geheimbänderromane*), zwłaszcza nihilistów i masonów, a także zeszytowe romanse zbójckie o przygodach szlachetnych bandytów, jak Ludwik Dominik Kartusz czy Rinaldini.

Drugi typowy rodzaj powieści brukowej, powieści zeszytowe, z których „każdy zeszyt stanowił całość”, będące odpowiednikiem amerykańskiej *dime novel*, pojawiły się na ziemiach polskich dużo później — w 1907 roku, docierając do nas przez Niemcy. Szczyt popularności w USA nowele groszowe miały już za sobą, ale w Europie renesans przeżyły w pierwszej dekadzie XX wieku. Wówczas Alwin Eichler z Drezna podpisał umowę z amerykańskim wydawnictwem Street and

34 J. Dunin i K. Mierzwianka, *Polska powieść zeszytowa...*, op. cit.; Anna Gemra, weryfikując tę bibliografię, oddzielając m.in. te same powieści wydane pod innym tytułem, podaje listę 103 tytułów, przy czym spośród nich tylko 36 to pierwsze wydania, reszta to ich przedruki, często zmodyfikowane. A. Gemra, „Kwiaty zła” na miejskim bruku..., op. cit., s. 16—17.

35 A. Gemra, „Kwiaty zła” na miejskim bruku..., op. cit., s. 30.

36 S. Żółkiewski, *Kultura literacka (1918—1932)...*, op. cit., s. 448.

37 A. Gemra, „Kwiaty zła” na miejskim bruku..., op. cit., s. 76.

Smith na tłumaczenie i rozpowszechnianie opowieści m.in. o Bufallo Billu i Nicku Carterze w Europie. Przetłumaczono wówczas masowo te opowieści na niemiecki, francuski, hiszpański, włoski, węgierski, rosyjski i polski³⁸. Jednocześnie w Niemczech zapoczątkowano apokryficzną serię *Groschenhefte* o przygodach Sherlocka Holmesa (*Aus den Geheimakte der Weltdetektiv*³⁹), Nata Pinkertona (*Der König der Detective*) i Lorda Listera (*Lord Lister, genannt, der Meisterdieb*), będącego — analogicznie do zabiegu zastosowanego wobec bohatera Conan Doyle’a — wariacją na temat bohatera powieści Ernesta Williama Hornunga.

Rodzimy rynek zaroił się od licznych wariantów przygód kolejnych detektywów. We Lwowie księgarnia Maniszewskiego i Heinharta wypuściła *Ciekawe przygody detektywa-geniusza Szerlocka Holmesa*, w Warszawie Jan Fiszer publikował serię *Szerlok Holmes i jego przygody*. Oba wydawnictwa oparte były na oryginalnych opowiadaniach Conan Doyle’a, ale na fali ich popularności zaczęto sprowadzać też rozmaite apokryfy o przygodach „brukowego bastarda kreacji Conan Doyle’a”⁴⁰. Fiszer wydał też w polskiej i rosyjskiej wersji językowej co najmniej 80 zeszytów apokryficznych *Tajemniczych Przygód Szerloka Holmesa słynnego agenta śledczego*. W tym samym roku Aleksander Ripper w Krakowie wypuścił na rynek we wszystkich zaborach nie mniej niż 80 zeszytów serii *Szerlok Holmes słynny agent śledczy* (m.in. z. 22 *Tajemnica Jui’ego Jitsu*)⁴¹. Nagromadzenie różnych wydań spowodowało zapewne, że „szerloki” stały się publicystycznym określeniem tej literatury. W pierwszych miesiącach egzystencji zeszytów na polskojęzycznym rynku pojawiły się również opowieści o innych „agentach” i „kryminalistach”, również kobietach. Można tu wskazać *Przygody słynnych agentów śledczych* wydawane w Warszawie przez Księgarnię Nakładową Alfreda Zonera, opowiadające o czynach Nicka Cartera, Sherlocka Holmesa i Nata Pinkertona i *Nadzwyczajne przygody agentki śledczej Ethel King, współzawodniczki Szerloka Holmesa*, ukazujące się nakładem Kazimierza Kotlarskiego w Warszawie⁴². Potentat druków brukowych z Krakowa, Aleksander Ripper, od około 1910 roku wydawał „Tygodnik ciekawych powieści i zdarzeń Sensacya”, który zawierał „w każdym numerze opis ciekawych zdarzeń z życia sławnych detektywów, zuchwałych bandytów, włamywaczy, rafinowanych oszustów itd.”⁴³ W serii tej ukazywały się przygody Sherlocka

38 J. R. Cox, *The Dime Novel Companion: A Source Book: A Source Book*, Greenwood Press, Westport-London 2000, s. XIX.

39 Z uwagi na zatargi związane z prawem autorskim nazwa serii ewoluowała, a partnerem Holmesa był Harry Taxon.

40 A. Ślępa, *Chłopięca pasja książek* [w:] *Kopiec wspomnień*, Stanisław Broniewski et al., Kraków 1959, Wydawnictwo Literackie, s. 217.

41 J. Dunin i Z. Knorowski, *Polskie powieściowe serie zeszytowe...*, op. cit. pozycje, odpowiednio, 20, 110, 118, 111.

42 *Ibidem*, poz. nr 94 i 66.

43 *Ibidem*, poz. nr 101.

Holmesa, Lorda Listera (Rafflesa), szlachetnego włamywacza i „dżentelmena od stóp do głów”. W kolejnych latach powieści zeszytowe eksplorowały motywy kryminalne (bohaterem był detektyw lub szlachetny przestępca), westernowe (między innymi pogromca Indian, wódz lub szeryf), ale też na przykład nawiązujące do popularności kina w ramach „powieści filmowych” (*Przygody Fatty Grubaska*) lub mistrzów sportu. Znakiem rozpoznawczym tych wydawnictw była jaskrawa okładka zdobiąca treść niczym, jak to ujął Kaden-Bandrowski, kolorowy fular apaszowski, przedstawiająca najbardziej dramatyczną sytuację powieści.



II. 10

Powieści brukowe pojawiały się również w prasie codziennej. Oczywiście periodyki powszechnie drukowały rozmaite formy beletrystyczne, zarówno nowele i opowiadania, jak i powieści. Były powieści odcinkowe, pisane specjalnie dla gazet, w których narracja podporządkowana została podziałowi na odcinki, jak i powieści w odcinkach, w których większe gotowe teksty były dzielone zgodnie z dostępną objętością, a ich struktura i dramaturgia podporządkowane były cyklowi i objętości wydawniczej⁴⁴. Sama forma wydawnicza nie przesądza o przynależności do obiegu brukowego, jako że w prasie drukowano

44 O. S. Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna: (1918—1926)*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1982; O. Czarnik, *Bibliografia powieści odcinkowych: 1918—1926*, Wydawn. Uniw. Wrocławskiego, Wrocław 1979; E. Pieścikowski, *„Emancypantki”* Bolesława Prusa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970.

w zasadzie wszystkie rejestry literackie, zarówno literaturę tandetną, jak i wysoko-artystyczną. To raczej same pisma sytuowały się w konkretnych obiegu i nawiązywały się do określonej klasy czytelników. W dwudziestoleciu międzywojennym, wraz z postępującym rozwojem kultury masowej, pojawiły się liczne sensacyjne czasopisma wysokonakładowe⁴⁵. Do tej „prasy rewolwerowej” należały między innymi takie tytuły jak „Ostatnie wiadomości”, gazety łódzkiego koncernu Republika, w tym „Express Ilustrowany”, katolicki „Mały Dziennik”, w pewnym stopniu „Kurier Informacyjny i Telegraficzny” (późniejszy „Kurier Czerwony”). Były najtańsze na rynku i skierowane do szerokiego grona czytelników, często takich, którzy dopiero niedawno nauczyli się czytać. Gazety te wykorzystywały sensacyjne odcinki powieściowe jako jeden z największych atraktorów dla czytelników.

We wskazanych periodykach zamieszczano przede wszystkim powieści kryminalno-przygodowe. Oskar Czarnik zwraca uwagę na to, że „Kurier Informacyjny i Telegraficzny” (Czerwony) i „Express Wieczorny Ilustrowany” prowadziły w tym zakresie własną politykę literacką, publikując cykle beletrystyczne prezentujące rodzimą twórczość sensacyjno-kryminalną. Natomiast powieści sentymentalno-obyczajowe w prasie rewolwerowej — w przeciwieństwie do periodyków mieszczańskich — nie pojawiały się zbyt często⁴⁶, co być może wynika z lepszego zagospodarowania tego typu tematyki przez powieść zeszytową. Późniejszy „czerwoniak” publikował m.in. *Tajemniczą garbuskę. Powieść na tle życia współczesnej Warszawy* (1922) i *Historię złej kobiety. Powieść z wyżyn i nizin współczesnej Warszawy* (1922), obie autorstwa Stefana Dobrycza czy anonimową powieść *Tajemnica Czarnej Damy. Powieść awanturnicza na tle stosunków warszawskich* (1923). Ilościowo dominowała jednak wytwórczość „ekspresjaka”. Publikowano liczne powieści Juliana Starskiego: *Szatan Łodzi. Powieść awanturniczo-obyczajowa z życia łódzkiego* (1923/1924) czy zamieszczoną w niniejszym tomie *Damę w czarnym dominie. Zagadkę psychologiczno-kryminalną* (1927), a także Jerzego Rzęckiego, Stefana Brzega i Jerzego Bolskiego. Przewaga tych tworzonych *ad hoc* powieści nad tłumaczeniami wynikała, zdaniem Czarnika, z zastosowania „aktualizacji dziennikarskiej”, czyli wplecenia w fikcję gazetową wydarzeń i motywów znanych czytelnikowi z bieżących doniesień prasowych, beletryzacji treści z kolumn informacyjnych. Współgrało to z preferencjami wielkomiejskiego czytelnika oraz specyfiką prasy codziennej. Szczególnie atrakcyjne były wydarzenia lokalne i uwzględnienie miejscowego kolorytu, realiów topograficznych i obyczajowych⁴⁷.

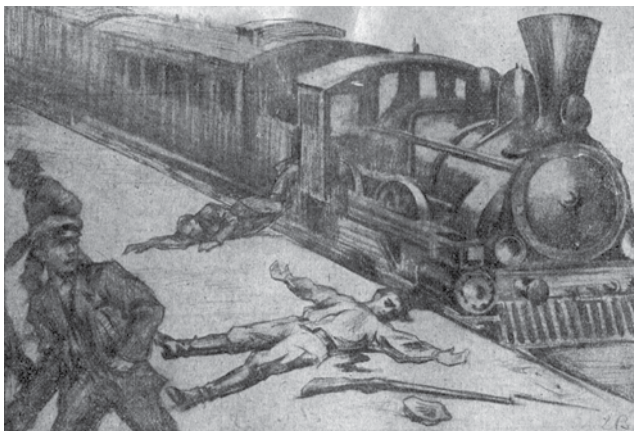
45 Zob. W. Władyka, *Krew na pierwszej stronie: sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Czytelnik, Warszawa 1982.

46 Zob. rozdział „Ewolucja prozy sentymentalno-obyczajowej” O. S. Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna...*, op. cit.

47 Na temat wzorców fabularnych sensacyjnych powieści w odcinkach zob. rozdział „Utwory sensacyjne a tradycja literacka”. *Ibidem*; O realiach produkcji powieści brukowych odcinkowych w gazetach popularnych zob. też A. Ochocki, *Reporter przed konfesjonatem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980, s. 55—65; M. Krzepakowski, „Ostatnie Wiadomości” (ze wspomnień), *„Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego”*, 1970, t. IX, nr 2, s. 443—457.

W ten sposób początkujący nabywcy „Expressu” i „Kuriera” znajdowali w utworach zdarzenia, które mogły być niejednokrotnie tematem ballad ulicznych, pieśni nowiniarskich czy innych form funkcjonujących w obiegu brukowym⁴⁸.

Brak w tych powieściach jednak „aktualizacji politycznej”. Ta, jak przekonuje Czarnik, była domeną pism pravicowych, które wykorzystywały powieść popularną jako wehikuł dla swoich idei⁴⁹.



Il. 11

Wytwarzana i rozpowszechniana w celach komercyjnych literatura brukowa stanowi przykład nowoczesnego — aczkolwiek funkcjonującego w realiach peryferyjnego kapitalizmu — przemysłu produkcji kulturalnej. Model biznesowy tego przemysłu opierał się na serializacji, przyjmującej formę dystrybucji zeszytowej i nastawienia na dostarczanie treści charakteryzującej się aktualizacją tradycyjnych ludowych fabuł przygodowych w realiach nowoczesnej cywilizacji wielkomiejskiej. Dzieła z obiegu brukowego — co krytycy interpretowali jako prymitywizm — nie były nastawione na tryb czytelniczy nazywany przez Żółkiewskiego „obcowaniem z literaturą”, nie oferowały wyrafinowanej formy, pozwalającej na użycie standardowych narzędzi z zakresu poetyki. Chociaż na wskroś nowoczesne, nie były to też powieści realistyczne, ani tym bardziej naturalistyczne (nie wspominając o innych konwencjach obiegu wysokoartystycznego). Jak zwraca uwagę Czesław Hernas, w romansie brukowym istnieje wiele relikwów z czasów formowania się nowoczesnych gatunków powieści przygodowej i romansu:

Stąd tyle tu barokowych elementów i w pojmowaniu wzoru osobowego (tj. pojmowaniu konstrukcji bohatera), w sposobie budowania zaskakującej fabuły, w topice, metaforyce, stylistyce literackiej, w zasobach motywów grozy, męczeństwa czy choćby w znamiennej konwencji

48 O.S. Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna...*, op. cit., s. 126.

49 O.S. Czarnik, *Literatura w prasie codziennej: wzorce fabularne sensacyjnych powieści w odcinkach z lat 1918—1926*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej”, 1979, nr 3, s. 31.

tytułowania (tytuł dwuczęściowy w rodzaju: *Groby sybirskie, czyli Tajemnice zamku cesarskiego* — por. Tasso, *Gofred albo Jeruzalem wyzwolona*)⁵⁰.

Hernas pisze o istnieniu „różnych warstw współczesności” tak, że to, co w obiegu wysokoartystycznym naiwne i irytujące, w obiegu brukowym, w którym żywe są stare wzory fabularne i stylistyki, ma pełną rację bytu i funkcjonalną racjonalność.

Zgodnie z preferencjami czytelnickimi w tym segmencie rynku wydawniczego powieści te cechowała schematyzacja fabuły w sferze kreacji bohaterów, konfliktów fabularnych i sposobów ich przezwyciężania, a także języka utworu. Motywacja psychologiczna bohaterów ma charakter szkicowy, a postaci są jednoznacznie pozytywne lub negatywne. To przygoda jest podstawową jednostką organizacyjną fabuły. Powszechnie występowały takie chwytły jak podróż jako „szkielet” zdarzeń fabularnych; dramaturgia oparta była na motywie prześladowania (i dążeniu do uwolnienia od prześladowcy), uwięzienia (i próbach uwolnienia), pogoni lub ucieczce, poszukiwaniu, likwidacji, rozłąki lub przezwyciężeniu presji czasu (ucieczka przed niebezpieczeństwem); bardzo często dochodziło do rozpoznania, że ktoś jest czyimś ojcem/matką/siostrą, znajomy okazywał się nieprzyjacielem; często wehikułem zmiany był po prostu przypadek (nagle, wtem) itd. W powieściach sensacyjnych większą rolę odgrywała technika opowiadania unaoczniającego, przeważały dialogi i krótkie monologi, a opis miał charakter bardzo zwięzły. Z kolei w powieści sentymentalnej istotniejsze były opisy i komentarze odautorskie, obfitowały one w liczne konwencjonalne figury stylistyczne.

Poetyka tych powieści, jak zwracał uwagę najbardziej przenikliwy komentator epoki, Zygmunt Wasilewski⁵¹, odpowiadała na potrzebę bajki, egzotyki i cudowności — aktualizując w realiach współczesnych klasyczne fabuły i techniki narracyjne, a za modelowego czytelnika przyjmowały osobę o niskim poziomie kompetencji czytelnickich. To właśnie przyciągało odbiorców. Z dozą stereotypizacji, ale jednocześnie posiadając trochę empirycznego potwierdzenia (zob. omówienie badań Feliksy Bursowej poniżej), można powiedzieć, że czytelnicy płci męskiej podziwiali twardych bohaterów i czerpali przyjemność z szybkiej i burzliwej akcji, zwycięskich pojedynków i ucieczek w ostatniej chwili. Kobiety zaś emocjonowały się cnotliwymi heroinami, które dzielnie znosiły wszelkie troski, aż w końcu doświadczały zadośćuczynienia w postaci prawdziwej miłości.

Produkcja

Zdaniem Janusza Dunina obsługujące obieg brukowy ośrodki produkcyjne tworzyły „drugi rynek księgarski” — wyspecjalizowani wytwórcy i dystrybutorzy wydawnictw jarmarcznych i brukowych tworzyli sieć instytucjonalną, składającą się z hurtowni,

50 C. Hernas, *Potrzeby i metody badania literatury brukowej*, op. cit., s. 43.

51 Z. Wasilewski, *O sztuce i człowieku wiecznym*, E. Wende i Sp., Lwów 1910.

kiosków, kolporterów odrębnych od księgarni sortymentowych⁵². Wizytę u jednego z największych hurtowników literatury brukowej, który oprócz powieści sensacyjnych zarabiał również na sprzedawanych na ulicach piosenkach kabaretowych, „wydawanych w nakładzie sto i więcej tysięcy egzemplarzy”, opisał w 1911 roku warszawski tygodnik społeczno-kulturalny „Świat”:

Hurtownia ta leży na krańcu jednej z pierwszorzędnej ulic naszych. Niepozorna z zewnątrz, składa się z dwóch olbrzymich pokoi, wypełnionych doszczętnie literaturą sensacyjną. Na olbrzymich półkach, sięgających aż do samej powały, rozmieszczono setki tysięcy egzemplarzy kilku nowości sensacyjnych, mających obecnie największe powodzenie. Biorę do ręki kilka zeszytów i czytam: *Józef Petrosino, pogromca Czarnej Ręki*, *Jack Teksas*, *Panna sklepowa*, czyli *dzieje kobiety upadłej* i naturalnie *Przygody najsławniejszych agentów policyjnych*⁵³.



Il. 12

Sprzedaż detaliczna odbywała się przez punkty sprzedaży i kolporterów ulicznych, a także na rynku wtórnym, przez antykwariaty. W Warszawie zagłębiem tanich księgarni i antykwariatów była ul. Świętokrzyska. Jak czytamy w raporcie w „Świecie”:

I kiedy wieczorem na ulicach różnobarwne światła zapłoną, w ich oknach wystawowych błyszczą refleksami jaskrawym tytułowe strony sensacyjnych powieści, widnieją z daleka wielkimi wypisane literami zachęcające napisy⁵⁴.

W pierwszych latach w Krakowie głównym źródłem powieści zeszytowych i innego rodzaju *Hintertreppenliteratur* była księgarnia kolejowa Kafki w kiosku na dworcu. Z kolei antykwariaty, w których młodzież sprzedawała używane podręczniki, ale też powieści zeszytowe, znajdowały się na „Szpitalce”

52 Należy jednak zauważyć, że najsłynniejsze księgarnie również handlowały, a często i wydawały literaturę brukową, która stanowiła ważną część ich przychodów.

53 S. Dzikowski, *Za kulisami „literatury” sensacyjnej*, „Świat”, 1911, nr 18, s. 8.

54 S. Dzikowski, *Za kulisami „literatury” sensacyjnej...*, op. cit.

— ul. Szpitalnej od placu Ducha do Małego Rynku⁵⁵. Sprzedaż odbywała się też u wędrownych kolporterów, którymi były często kilkuletnie dzieci, bosonogie, zachwalające swój towar ochrypłym wrzaskiem:

„*Tajemnicze przygody ajenta śledczego!*”,

„*Hrabina zbrodniarka, czyli szatani miłości!*”,

[...]

„*Prostytucja hrabiny... na ulicy...!*”,

„*Tajemnice akuszerki!*”,

„*Niech pan kupi, bardzo ciekawe! Jeszcze dziś nic nie jadłem!...*”⁵⁶



II. 13

Pierwsze druki breslauerowskie podobno zyskały 2 500 abonentów. Wraz z kolejnymi tasiemcowymi powieściami Füllborna *Barbara Ubryk*, *Eugenia* i *Tajemnice świata* miały już abonentów 8 800⁵⁷. Było to przedsięwzięcie zyskowe, zważywszy, że za komplet zeszytów *Izabelli...* czytelnik płacił 4 ruble, co dało 10 000 zysku za cały nakład 2 400 egzemplarzy. Siedem zaś najpopularniejszych w owym czasie tytułów przyniosło wydawcy 37 420 rubli (12,5 kopiejki za 24-stronnicowy zeszyt). Trudno oszacować ilościowo popularność tych druków, ponieważ, jak zwraca uwagę Janusz Dunin, ze względów podatkowych wydawcy zaniżali wysokość nakładu podawaną w publikacji. Gdyby powieść

55 A. Słapa, *Chłopięca pasja książek*, op. cit., s. 211—218.

56 W ryznztoku. *Garść uwag o literaturze brukowej*, „Tygodnik Ilustrowany”, 1909, nr 12, s. 234.

57 Wzrost czytelnictwa i jego kierunek, „Niwa”, 1873, nr 30.

Potajemnie zaślubiona Gutowskiego rzeczywiście miała 1 100 egz. nakładu, trudno byłoby nawet o zwrot kosztów druku, nie wspominając o innych inwestycjach⁵⁸. Cytowany reportaż podawał, że Fiszer wypuścił „ze dwa miliony” Sherlocka Holmesa, a największy wydawca, „żydek w chałacie z Walicowa”, w Krakowie produkuje serie po 140 zeszytów i 100 000 nakładu. Po I wojnie światowej powieść brukowa przestała być złotym interesem. Jak szacuje Dunin, nawet przy 10 000 egzemplarzy trudno było pokryć koszty druku, autora lub jakiegoś rodzaju praw itd.⁵⁹ Wtedy też rynek znacząco się zmienił. W dwudziestoleciu międzywojennym koncerny wysokonakładowej prasy coraz silniej zdominowały rynek, marginalizując małych wydawców. Pisma popularne, takie jak „Mały Dziennik”, łódzka „Republika”, „7 groszy” (później „Kurier Wieczorny”), zaczęły wydawać też swoje własne zeszyty. Łódzka seria „Co tydzień powieść” prezentowała dzieła autorów z obiegu popularnego: Adama Nasielskiego, Antoniego Marczyńskiego, tłumaczenia zagraniczne oraz importowane amerykańskie i europejskie cykle zeszytowych powieści groszowych *Bufallo Billa*, *bohatera dzikiego Zachodu*, *Lorda Listera*, *tajemniczego nieznajomego*, czy *Harry’ego Dicksona*, *przygody zagadkowego człowieka*⁶⁰. Drugi rynek księgarski przekształcił się w nowoczesny przemysł produkcji kulturalnej.

W polskich realiach peryferyjnego kapitalizmu oczywiście odbywało się to na mniejszą skalę niż w USA czy w Niemczech. Wyróżnikiem modelu biznesowego tego słabo rozwiniętego przemysłu produkcji kulturalnej był — po pierwsze — duży udział importu treści w stosunku do produkcji oryginalnej. Dotyczyło to zarówno powieści poszytowej, jak i zeszytowej. Autopsja wydań i porównania pomiędzy nimi skłoniły Annę Gemrę do wniosku, że trudno mówić o polskiej powieści zeszytowej⁶¹. W przypadku powieści poszytowej, jak ustaliła badaczka, były to w przeważającej mierze przekłady z języka niemieckiego (zdradzają to imiona i nazwiska bohaterów, nazwy miejscowe, a nawet składnia). Spośród 36 wyodrębnionych przez nią pierwszych wydań powieści w języku polskim 34 miało niemiecki pierwowzór. Często ukrywano ten fakt, starając się nadać mu znamiona rodzimej produkcji, jak w przypadku podpisanej przez Witolda Gutowskiego powieści *Księżniczka Tatiana* (1935), będącej tłumaczeniem powieści Heinza Bruna Harta (Deckera) *Der Rote Kosak. Die Liebe der Prinzessin Tatjana. Historischer Volksroman aus der Zeit der Russischen Revolution* z 1927 roku. Importowano też groszowe zeszyty o przygodach Sherlocka Holmesa,

58 J. Dunin, *Papierowy bandyta...*, op. cit., s. 220.

59 „Jaskinia Leichtweisa” złożona z 85 zeszytów po 32 strony, kosztujących 25 gr za zeszyt kosztowała w sumie 21 zł. „Krystyna” Orłowskiego zaś w całości sprzedawana była za 15 zł. Zob. *Ibid.*, s. 220.

60 Francuskim klonem, zapoczątkowanym w 1929 roku, tego formatu był z kolei *Harry Dickson. Le Sherlock Holmes Americain*, najpierw tłumaczone przez Jeana Raya z niemieckiego, a następnie już pisane autorsko, inspirowane jedynie ilustracją na okładce.

61 A. Gemra, „Kwiaty zła” na miejskim bruku..., op. cit., s. 19—20.

Nata Pinkertona czy Lorda Listera. Rodzima twórczość była ilościowo niewielka⁶². Do jednej z nielicznych polskich serii zeszytowych należy zapoczątkowany w 1907 roku cykl *Poznaj życie — poznasz siebie*, gdzie opowiadania osadzono w lokalnych realiach (np. zeszyt nr 7. *Frania z Ujazdowskich Alei*)⁶³, seria z 1909 roku *O czym mówi miasto*, a po wojnie ukazały się m.in. *Cud nad Wisłą. Przygody starszego żołnierza Józka Śliwki* z 1925 roku. Co godne odnotowania, dla rodzimej produkcji liczył się impuls polityczny — powieść służyła jako narzędzie umożliwiające dotarcie z przekazem o charakterze ideowym do szerokich mas odbiorców⁶⁴. Taką funkcję mają *Powieść na tle wypadków lat ostatnich* z 1908 roku, podpisana przez Adama Pierzchnickiego i faszystowsko-antysemickie *Zabiłem brata. Powieść z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii* z 1936 roku, publikowane we fragmencie w niniejszej antologii.

Model ten opierał się również na recyklingu treści. Częste wydawanie przedruków pozwalało oszczędzić na honorariach translatorskich i autorskich oraz na ponowne wykorzystanie istniejących matryc drukarskich. Wówczas, ze względów marketingowych, publikowano je pod innym tytułem i innym nazwiskiem autora, ze zmienionymi imionami bohaterów, lokalizacją lub uwspółcześniając realia historyczne⁶⁵. Również w przypadku powieści zeszytowej wielokrotnie wznawiano te same opowieści o przygodach Holmesa czy Pinkertona, czasami tylko stosując drobne zmiany, sugerujące na powierzchniowym poziomie nowy produkt. W ten sposób przygody Jerzego Vertona, 16-letniego podróżnika, po kilku latach stały się przygodami 16-letniego Jerzego Rolicza.

Odbiorcy

W przeciwieństwie do wysokich form literackich w przypadku literatury obiegu brukowego więcej jesteśmy w stanie powiedzieć o czytelnikach niż o ich autorach. Zaczniemy od dwóch wglądów jednostkowych.

14-letni Aleksander Ślapa, w przyszłości słynny księgarz i wydawca, we wspomnieniach z pierwszych lat XX wieku, kiedy był uczniem gimnazjum św. Jacka przy ul. Siennej w Krakowie, opisuje jedno ze swoich częstych odwiedzin u znajomych ze szkolnej orkiestry dętej. Wizyta ta była początkiem fascynacji powieścią brukową:

Miałem tam kilku znajomych chłopców z klas wyższych, którzy pozwalali mikrusowi dmuchnąć w trąbę lub wyrznąć kilka razy pałą w wielki bęben. Tym razem Półtorak — mistrz

62 Autorami tych powieści, jeśli wierzyć komentatorowi, byli „warszawscy inteligenci, podupadli literaci bez stałego zajęcia dorabiający piórem i przesiadujący w cukierniach”. „Panowie, którzy «robią» trochę w dziennikarstwie, trochę w sporcie, trochę w humorze, przeważnie jednak «robią» w sensacji”. S. Dzikowski, *Za kulisami „literatury” sensacyjnej...*, op. cit. s. 7.

63 Ukazywały się jako dodatek do różnych czasopism. J. Dunin i Z. Knorowski, *Polskie powieściowe serie zeszytowe...*, op. cit., poz. 85.

64 Autorem był Bohdan Pawłowicz, a wydawcą był Stanisław Krukowski, *Ibidem*, poz. 21.

65 A. Gemra, *„Kwiaty zła” na miejskim bruku...*, op. cit., s. 18.

helikonu, chłop z Niepołomic, dwudziestokilkuletni wąsаты szóstoklasista — zanim pozwolił mi dmuchnąć w olbrzymią trąbę zapytał: — Co tam masz za knibę za pazuchą? Podałem mu [Świętego] Jura. [...] Z pogardą wyrznął czterotomowym Jurem o ławę, a z kieszeni swych przepastnych portek wyjął w czworo złożony obstrzępiony i wymięty zeszyt z dwuszpaltowym zadrukiem. — Masz, poczytaj! Nie pokazuj nikomu! Trefne! Jutro oddaj na pauzie. A te kniby od Paulischa [nauczyciela gimnazjalnego] pod tramwaj! — Schowałem zeszyty pod bluzę, dmuchnąłem potężnie w helikon, pozбирам cztery tomy Jura i wyszedłem na ulicę. W świetle pierwszej latarni wyjąłem zeszyt od Półtoraka i przeczytałem na okładce: *Przygody detektywa Sherlocka Holmesa* — *Kuba rozpruwacz*. Pod napisem ilustracja: oprych z rzeźniczym nożem skulony do skoku i uciekająca przed nim grupka kobiet. Cwałem ruszyłem do domu⁶⁶.

W ten sposób Słapa został namiętym pozeraczem sensacyjnych zeszytów. Chociaż później zupełnie „wyleczył się” z tej sherlockowej choroby, to stanowiła ona ważny, choć negatywny moment w jego biografii czytelniczej i procesie dojrzewania.

W 1924 roku w Rzeszowie uwagę mieszkańców zwróciły tajemnicze ślady. Na kilku kamienicach i przylegających do nich murach w centrum miasta pojawiły się czarne odciski dłoni⁶⁷. Wizerunki te rozpowszechniała młodzież, zafascynowana jedną z sensacyjnych powieści zeszytowych — *Rocambolem* — *hersztem Czarnej Ręki*. W tej wersji Rocambol był znanym paryskim aktorem-transformistą (mistrzem przebieranek), nieuczciwie skazanym za śmierć swojej ukochanej. Udało mu się zbiec i stanął na czele organizacji „Czarna Ręka”, mszcząc się za swoje niesłuszne skazanie i tropiąc oszustów, którzy dzięki swoim wpływom unikają sprawiedliwości. Na swoich wizytówkach i listach zamiast pieczętki zostawiali czarny odcisk dłoni. Używając współczesnych kategorii można powiedzieć, że była to akcja viralowa, świadcząca o istnieniu fandomu — wspólnoty miłośników, którzy w taki transmiedialny sposób manifestowali swoje głębokie zaangażowanie i identyfikację z fikcyjnym uniwersum Rocambola, wiążąc je ze swoim życiem codziennym.

Sygnalizowałem już, że czytelnictwo wśród grup o niskim poziomie kapitału kulturowego, chłopów i robotników, tak zwane czytelnictwo ludowe, było przedmiotem troski inteligencji od połowy XIX stulecia. Pod koniec XIX wieku w kontekście debat o czytelnictwie klas niższych i w duchu pozytywistycznego empiryzmu podjęto próbę odpowiedzi na pytanie: *Co czyta lud?* za pomocą badań ankietowych. Mieczysław Brzeziński opublikował w „Głosie” ankietę *Co i jak nasz lud czyta?*⁶⁸, a Antoni Potocki i wspomniany już Zygmunt Wasilewski *Kwestionariusz w sprawie czytelnictwa ludowego*⁶⁹. Ku niezadowoleniu inteligencji ponownie okazało się, że czytelnik ludowy chętniej czyta powieści typu Rinaldo Rinaldiniego i senniki niż literaturę dydaktyczną. Podobnie w 1912 roku wypadła ankieta przeprowadzona przez Władysława Dropiowskiego wśród lwowskich uczniów na temat ich zajęć pozaszkolnych. „Czytuję Texasy, Holmesy, Cartery” — odpowiadali nagminnie uczniowie (przy okazji autor z niezadowoleniem odnotował,

66 A. Słapa, *Chłopięca pasja książek*, op. cit., s. 210.

67 Ojciec, *Brońcie dzieci!*, „Ziemia Rzeszowska i Jarosławska”, 1924, nr 44, s. 2.

68 M. Brzeziński, *Co i jak nasz lud czyta*, „Głos”, 1890, nr 19, s. 214.

69 A. Potocki i Z. Wasilewski, *W sprawie czytelnictwa ludowego*, „Głos”, 1890, nr 18, s. 216.

że najpopularniejszy spośród widowisk jest kinematograf)⁷⁰. Zainteresowanie to zwięźczyła nieopublikowana praca dyplomowa napisana pod kierunkiem Heleny Radlińskiej na Wydziale Pedagogicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w 1939 roku⁷¹. Było to socjologiczne badanie publiczności przeprowadzone w kilku warszawskich szkołach publicznych i szkołach wieczorowych dla młodocianych i dorosłych, świetlicach i zakładach poprawczych. Wiedzę z ankiet uzupełniono informacjami z wywiadów (nie tylko z czytelnikami, ale też np. kolporterami), co dało unikalny wgląd w to, jak rzeczona literatura była używana. Feliksa Bursowa chciała się w ten sposób dowiedzieć, jaki jest profil czytelników powieści brukowej, jaki ma na nich wpływ, jak do nich dociera, jakie emocje wzbudza i z czego wynika jej popularność. Wiedza ta miała pomóc w lepszym zwalczaniu tego typu lektury i zmianie nawyków czytelnich.



Il. 14

Bursowa pokazała, że czytanie „bruków” było czynnością powszechną, ale skrywaną. Badani zinternalizowali bowiem pogląd głoszony przez publicystów, szkołę oraz instytucje oświatowe, że powieści te są niskiej jakości, a ich czytanie jest czynnością moralnie naganną. Dlatego wiele trudu zajęło badaczce „uruchomienie” swoich rozmówców, którzy nawet w anonimowych ankietach prezentowali wyobrażone przez siebie pożądane postawy wobec tej literatury. Podczas rozmowy młody stolarz początkowo kpił sobie z czytelników powieści, ale gdy zobaczył u badaczki w torbie kilka zeszytów, wówczas „w cichej rozmowie przy rozwartych drzwiach

70 W. Dropiowski, *Wynik kwestionariusza przedłożonego uczniom, a odnoszącego się do ich zajęć pozaszkolnych* [w:] *Sprawozdanie z czwartej konferencji dyrektorów szkół średnich galicyjskich: Sprawozdanie z czwartej konferencji dyrektorów szkół średnich galicyjskich*, Drukarnia Władysława Łozińskiego pod zarządem J. Niedopada, Lwów 1913, s. 321—339.

71 Opracowanie badań pozostało w maszynopisie do 1998 roku. F. Bursowa, *Brukowa powieść zeszytowa i jej czytelnictwo*, Biblioteka Publiczna m. st. Warszawy, Warszawa 1998.

szafy wyznał, że pożera je”⁷². Z kolei spotkana w świetlicy kobieta na czas wywiadu włączyła radio, aby nikt nie słyszał ich rozmowy, w której wykazała się znajomością dziesiątek tytułów powieści zeszytowych. Z drugiej strony nauczyciele i opiekunowie przedstawiali badaczce pogląd, że wśród ich podopiecznych „bruki” nie cieszą się popularnością, że skutecznie zakrzewiła się wśród nich wyższej jakości literatura. Po tych rozmowach zaś, w bezpośrednich kontaktach z uczniami, kiedy nawiązała do pistoletu wydrukowanego w numerze „Morza” trzymanego przez jednego z chłopców, wywiązała się ożywiona dyskusja. Otworzono przed nią uczniowskie szafki, ukazując stosy gazetek i zeszytów powieściowych. Udało jej się wniknąć w ten krąg czytelniczy, poznając praktyki odbiorcze.

Jak zbadała Bursowa, pierwsze zetknięcie z zeszytem powieściowym następowało za pośrednictwem grupy rówieśniczej (36%), przez zakup w kiosku (26%), przez zakup u kolporterów ulicznych (23,2%) i przez rodzinę (10,6%). Pierwszy w życiu zeszyt zazwyczaj dostawało się od kolegi z klasy czy fabryki, z rekomendacją lekturową, dalej, wciągnąwszy się, następne zeszyty kupowało się samemu. Czytało się po kryjomu, pod ławką w szkole, w przerwie obiadowej, w drodze do pracy. Lektura miała charakter grupowy, powstawały łańcuszki wymiany i kolejki. Zeszyty cyrkulowały pomiędzy kolejnymi osobami, wymieniali je uczniowie w szkole czy chorzy na sali szpitalnej. Czytelnicy dzielili się między sobą uwagami, dyskutując o fabule utworów. Jeden z respondentów zdradzał:

Jeden chłopiec kupuje w kiosku np. Bufallo Billa, inny inną i ja jeszcze inną i pożyczamy sobie wzajemnie. Chociażby było na dworze najładniej, to najpierw czytam zeszyt, a później idę na dwór⁷³.

Krąg czytelniczy był tak duży, że na swoją kolejkę czekało się kilka, a nawet kilkanaście dni. Czytanie stanowiło aktywność czasu wolnego i pustego — czyta się w niedziele i święta, ale też, w przypadku robotników, podczas dojazdów do pracy, w tramwajach czy podczas obiadu lub u fryzjera, a uczniowie po odrobieniu zadań domowych i w szkole, nawet w trakcie lekcji, kryjąc się przed nauczycielami. Rozwijał się też nawyk kolekcjonerski — zeszyty starannie przechowywano, pod poduszką czy w szufladzie stołu, nawet przez wiele lat, tak, że uczniowie pod koniec lat 30. znajdowali jeszcze egzemplarze sprzed I wojny światowej, zbierane przez ich rodziców.

Z badania wynikało, że największe zainteresowanie literaturą brukową przypada na 14. rok życia, przy czym autorka zwraca uwagę, że literatury brukowej nie można uznawać wyłącznie za zjawisko młodzieżowe. Ważny jest fakt, że z wiekiem i podjęciem intensywnej aktywności zawodowej zmniejsza się ilość czasu na lekturę. Poza tym osoby starsze miały już zinternalizowany społeczny status tego typu literatury i odmawiały odpowiedzi na pytania ankietowe lub nie mówiły prawdy. Co więcej czytanie nie ograniczało się wyłącznie do klas

⁷² *Ibidem*, s. 13.

⁷³ *Ibidem*, s. 38; Chodzi o powieść *Graj cyganie, czyli dziewczę znad Olzy*. Zob. J. Dunin i K. Mierzwińska, *Polska powieść zeszytowa...*, op. cit. poz. 137.

niższych. Bursowa przytacza odpowiedź kioskarki z przydomowego kiosku — na prośbę o poradę lekturową: „»Graj cyganie« musi być ładne, pani pułkownikowa od początku kupuje wszystkie numery”⁷⁴.

Autorce udało się pokazać różnice w czytelnictwie mężczyzn i kobiet. Chłopców pociągał wątek przygodowy, który nie był atrakcyjny dla dziewcząt (tylko 3 ze 190 wskazały to jako istotny czynnik) — 45% 13—14-latków uznało go za atrakcyjny. Podobnie wątki detektywistyczno-kryminalne, o słynnym detektywie. „Czytam dlatego, bo ona podnieca, chcę się dowiedzieć, kto będzie poćwiartowanym człowiekiem i kto odgrywał rolę garbusa, który w tajemniczy sposób o wszystkim wiedział”⁷⁵ — wyjaśniał jeden z ankietowanych. Zagadnienia etyczne najczęściej wylapywały dziewczęta w wieku 15—18 lat. Wśród chłopców najpopularniejsze były powieści awanturniczo-kowbojskie (*Buffalo Bill*, *Alaska Jim*, *Lord Lister*, *Harry Dickson*, *Bob Hunter*, *Jerzy Rolicz*) i kryminalne (*Leonardo Pratto*, *Białe kaptury*). Kobiety tych powieści zupełnie nie czytały, preferując romanse historyczne i melodramatyczne fabuły związane z różnym pochodzeniem klasowym kochanków — *Marietta*, *Dziewczę fabryczne*, *Białe niewolnice*. Wspólne zaś było zainteresowanie *Pozorną śmiercią*, *Mariettą*, *Krystyną* czy *Graj cyganie*.

Lektury tych „płodów skandalu” były doświadczeniem kształtującym horyzont wyobrażeń kilku pokoleń. Imaginarium symboliczne „szalejącej tumanami odętej bujdy” — jak to ujął Kaden-Bandrowski — wędrowało od Rio de Janeiro aż „pod poduszkę, gdzie właśnie uczeń ukrywa te książeczki”⁷⁶. Świadczą o tym na przykład *Wspomnienia niebieskiego mundurka* Wiktora Gomułickiego. W szkole uczniowie, korzystając z drzemki profesora podczas głośnej grupowej lektury rosyjskiej poezji, podmieniają tekst na *Rinalda Rinaldiniego*. Podczas choroby zaś, w tajemnicy przed matką, trzymają tę książkę pod poduszką i głośno sobie czytają o tym, jak Rinaldini i Altaverde siedzieli gdzieś w Apeninach przy płomieniu ogniska pod osłoną skał i stuletnich dębów, emocjonując się kolejnymi przygodami i nadając sobie wzajem w grupie koleżeńskiej imiona bohaterów powieści.

Kilka lat później było podobnie. W swoim niepoahamowanym młodzieńczym promiskuityzmie czytelnictwem rozciągającym się od podręczników botaniki po broszurki spirytystyczne Julian Tuwim przeszedł również, jak sam to nazwał, „odrę detektywistyczną”. Przyznawał się do fascynacji zeszytowymi powieściami. Czytał „zapojem” o przygodach Nata Pinkertona, Nicka Cartera czy Sherlocka Holmesa⁷⁷.

Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego choroba ta trawiła jeszcze w wieku dorosłym. Podobno nawiązał znajomość z uczniem, którego spotkał, czytającego w świetle gazowej latarni. On przygotowywał go do egzaminów na

74 F. Bursowa, *Brukowa powieść zeszytowa i jej czytelnictwo...*, op. cit., s. 27.

75 *Ibidem*, s. 38.

76 J. Kaden-Bandrowski, *Ballada o książce...*, s. 162.

77 J. Tuwim, *Książki, Chopin i Inowódz (1936—1911 = XXV)* [w:] *Tam zostałem. Wspomnienia młodości*, red. T. Januszewski, Czytelnik, Warszawa 2003, s. 62.

kursy wieczorowe, a w zamian dostawał tytuły takie jak Rinaldo Rinaldini, zeszyty z przygodami Jacka Texasa, Sitting Bulla, Nicka Cartera czy Sherlocka Holmesa⁷⁸. W 1929 roku w „Cyruliku warszawskim” ukazał się purnonsenso-
wy wierszyk: *Jak Rinaldo Rinaldini tańczył z kardynatem*.

Sącz się, wino z włoskich winnic,
dzwoń mi, strofo doskonała:
o Rinaldo Rinaldinim
i kuzynce kardynała:

Miał Rinaldo siedem szpad,
złote były wszystkie szpady.
Końcem szpady serenady
na gitarze grał i bladł —

i tak śpiewał wciąż: — Kuzynko,
serce z żalu pęka mi,
o! szatynko, chodź na winko,
bella stella do re mi!

Zasię ona: — Nie chcę zbója,
co miast czoła nosi miedź;
gdy chcesz ze mną dzieci mieć,
wyspowiadaj się u wuja.
[...]

„Książdz jest chyba energumen” —
myśli Rinald — mogę wstać.
W obie ręce wziął instrument
i jak zacznie na nim grać!
[...]

I tak dalej, dalej w tany
purpuratus szedł ze zbójem,
a zbój rzęził: — Daj kuzynkę,
bo na śmierć cię zatańcuję!

Trudna rada: trzeba dać,
gdy się chce na nogach stać.

78 A. Maliszewski, *Konstanty [w:] Wspomnienia o K. I. Gałczyńskim*, red. J. Śpiwak i A. Kamieńska, Czytelnik, Warszawa 1961, s. 68.

Wziął Rinaldo Rinaldini
kuzyneczkę kardynała.
Kłaniał mu się Mussolini
i zgoła Italia cała.

Szczęśni byli niewymownie,
a szczęście — to chyba wszystko.
Ona potem została stenotypistką
w papieskiej elektrowni.



Il. 15

Jeszcze na urodzonym w 1934 roku Marku Hłasce to doświadczenie czytelnicze wywarło istotne piętno. W *Pięknych dwudziestoletnich* bohaterowi przestuchowanemu przez UB na widok wyciągniętego pistoletu przypomina się lektura zbójceckich powieści z dzieciństwa:

Teraz zaczyna się Mike Hammer. Może zresztą Lord Lister, czyli tajemniczy nieznajomy. We wszystkich tych książeczkach zawsze było: „czyli”. *Lord Lister — czyli tajemniczy nieznajomy*. *Ken Maynard — czyli mściciel prerii*. *Jerzy Rolicz — czyli szesnastoletni chłopiec wśród Thugów*. Ale najlepszy był Lister. Moja matka, która kazała mi czytać, wepchnęła mi kiedyś Żeromskiego; miałem wtedy dziesięć lat. Przeczytałem zdanie: „Śnica zapuścił sępie spojrzenie swoich źrenic w jej duszę”. Poczuliem się zwolniony na zawsze od obowiązku czytania Żeromskiego; wziąłem pełne wydanie Mortkowicza i zaniósłem na ulicę Ciepłą, gdzie był warsztat naprawy lalek i jednocześnie antykwariat; zamieniłem komplet Żeromskiego na Lorda Listera i o tym drugim, który zawsze mówił:

„Nie podaje się nigdy ręki maikutowi. To mi nieraz ocaliło życie”. Już nie pamiętam, jak się nazywał ten szybkołap. Dostałem od matki pasem, który został jeszcze po moim dziadku; dziadek był komendantem Straży Pożarnej Miasta Stołecznego Warszawy, a wszyscy wiemy, że pasy strażackie są najszersze i mają najwięcej miedzianych sprzączek⁷⁹.

Hłasko napisał, że wówczas na przesłuchaniu w pałacu Mostowskich Lord Lister pomógł mu bardziej niż Balzac czy Żeromski — pozwolił zrozumieć świat PRL, na tyle fantastyczny, że nie da się w niego uwierzyć. I tak wszedł w świat pisarskiej fantazji — i jako pisarz, i jako konfident.

Jak widać, kulturowe oddziaływanie powieści brukowej było silne i długotrwałe, kształtujące wyobraźnię kolejnych pokoleń.

Dyskurs

W różnych miejscach świata literatura brukowa i jarmarczna były niezmiennie figurą i obiektem tego, co przedstawiciele studiów kulturowych nazwali paniką moralną⁸⁰. Na ziemiach polskich na przełomie XIX i XX wieku literaturę jarmarczną i później brukową rozpatrywano przez długi czas w odniesieniu do zagadnienia propagandy oświaty ludowej i animacji obiegu literatury dla ludu. W gronie inteligencji postępowej toczono liczne dyskusje na temat złej i dobrej literatury dla ludu, nakierowane na analizę szkodliwego wpływu tandety literackiej na niewyrobione i nieuświadomione masy ludowe. Przedmiotem troski było to, że działania mające na celu rozwój kompetencji czytelnich i aktywizację czytelników ludowych idą w złą stronę. Obieg literatury dla ludu nie funkcjonował jednak sprawnie, w przeciwieństwie do obiegu jarmarcznego. Książki rozprowadzane, często bezpłatnie, przez inteligencję nie spotykały się z wielkim zainteresowaniem w przeciwieństwie do pism kolportowanych przez wędrownych pieśniarzy odpustowych i kramarzy — „węgrów”. Krytykowano treści krążące w obiegu jarmarczno-odpustowym, debatując nad tym, jak wzmocnić obieg „literatury dla ludu”, nie kryjąc przy tym podziwu dla sprawności kolporterskiej na jarmarkach.

Pierwsza fala krytyki przypada na czas ofensywy „druków breslauerowskich”. W pozytywistycznej „Niwie” w 1873 roku anonimowy autor zaatakował „płody skandalu” — powieści zeszytowe wydawane przez Jana Breslauera jak i inne archaiczne opowieści. Zwracał również uwagę na złudną ich taniość — 24 powieści

79 M. Hłasko, *Piękni dwudziestoletni*, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1994, s. 19.

80 J. Springhall, *Youth, popular culture and moral panics. Penny Gafs to Gangsta Rap, 1830—1996*, Macmillan, Houndmills, Basingstoke, Hampshire; New York 1998. Co znamienne, pomimo licznych oskarżeń w dyskursie publicznym, większość powieści ma charakter głęboko moralistyczny, opowiadający się za elementarną — nie zawsze zbieżną z regułami prawa stanowionego — sprawiedliwością i dobrocią, opowiadaniem się za słabszymi i uciskanymi, nawet jeśli wiąże się to z przestępstwem (Stanisław Baczyński pisał w tym kontekście o zbrodni jako proteście społecznym). Dobre czyny są nagradzane, a zło ukarane. Zbrodnia jest bohaterska. Jest to widoczne w różnej formie, od romansu historycznego, przez powieść awanturniczą, po melodramat i powieść kryminalną.

kosztowały 12,5 kopiejki, czyli dużo więcej niż w wydawnictwach o wyższej jakości. W 1872 roku redaktor „Wędrowca” Filip Sulimierski ubolewał nad tym, że utwory Füllborna i innych „fabrykantów skandali” są „grabarzami romansu”, a pod ich piórem powieść doznaje największego w swojej historii upadku⁸¹. Kiedy Breslauer w 1875 roku ogłosił plan rozpowszechnienia kolejnych wydawnictw, Henryk Sienkiewicz napisał w jednym z felietonów:

Oto niejaki pan Breslauer, wydawca wielu pięknych dzieł, jak np. *Izabela*, *Eugenia* i tym podobne, zarówno artystyczne, jak i budujące utwory, zamierza puścić w świat nową serię podobnych romansów, których treścią główną będą zbrodnie kryminalne. Pan Breslauer ma nadzieję, że zaprawione na Izabeli i Eugenii umysły będą teraz smakować w podobnej, lubo zapewne pieprzniejszej jeszcze stawie. Czy będą smakować? Nie wiemy; sumienie jednak nakazuje nam ostrzec, w interesie społeczeństwa, wszystkich, że w zakresie czytania nie masz nic bardziej szkodliwego, nic bardziej zgubnego dla moralności jak podobne utwory⁸².

Później zaś napiętnował te powieści w *Szkicach węglem*, czyniąc je ulubionym przedmiotem lektury negatywnego bohatera o znaczącym nazwisku Zołzikiewicz.

Druga fala dyskursywnego zatroskania nad czytelnictwem bruków pojawiła się w momencie rozpowszechnienia na rynku powieści zeszytowych około 1907 roku. Antoni Euzebiusz Walicki porównał płody powieści brukowej do zarazy gorszej od epidemii cholery, która wówczas wybuchła w Petersburgu⁸³. Ubolewał nad popularnością zarówno tasiecmowej powieści poszytowej, jak i kryminalno-awanturnych zeszytów wśród młodzieży, katastrofalnym wpływem na portfel i zdrowie moralne. „[P]rawie nie ma ucznia i uczennicy, sługi i lokaja, wyrobnika i stróża domowego, któryby ich nie miał, nie pożyczał i nie czytał.” — zauważał i pomstował na to, że społeczeństwo prawie z tym nie walczy⁸⁴. Ksiądz Arkadiusz Lisiecki pisał w 1909 roku, że złe książki w zastraszającym tempie rozprzestrzeniają się wciskane w ręce przez zręcznych kolporterów w Warszawie, Lwowie, Krakowie czy Poznaniu, czyniąc moralne spustoszenie wśród ludności⁸⁵. Lektura Sherlocka Holmesa, Nicka Cartera, Jacka Texasa czy *Oblubienicy weneckiej*, *Królowej awanturnicy*, *Żywcem pogrzebanej*, tudzież kabał i senników ogłupia ludzi, czyni ich zabobonnymi i pobudza do zbrodni. W tym samym roku warszawski „Tygodnik Ilustrowany” grzmi:

81 F. Sulimierski, *Przegląd najnowszych płodów piśmiennictwa polskiego 1870—1871*, W drukarni Józefa Ungra, Warszawa 1872, s. 15. Dodawał: „Umysł wyższy musi szukać nowych szlaków dla swojego ujawniania się, bo ani w gmatwaniu intrygi, ani w plastyce zewnętrznej nie potrafi rywalizować z bezecną czeredą skandalistów. Do naszych pocziwych ognisk domowych utwory tych panów nie mają jeszcze, dzięki Bogu, tak łatwego przystępu; powieść czystsza, szlachetniejsza, zajmuje nasze kobiety; bo co się tycze mężczyzn, to bardzo mało który w naszym społeczeństwie czyta powieści.”

82 H. Sienkiewicz, *Chwila obecna* [w:] *Dzieła*, red. J. Krzyżanowski, t. 48, Warszawa 1948—1955, s. 60—61.

83 A. E. Balicki, *Zaraza* [w:] *Ukochane muzy nasze, czyli miłość w kajdanach. Sensacyjna opowieść o dziewięciu totrzykach i Sherloku Holmesie*, Nakładem autora, Kraków 1908, s. 1—9.

84 *Ibidem*, s. 4.

85 A. Lisiecki, *Kolportaż pożytecznych pism i książek*, Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha, Poznań 1909.

Najwybitniejsza wyobraźnia hiper-supra-non-plus-ultra-romantyczna nie wymyśli tyłu okrucieństw, ile ich znalazło się na okładkach tych piśmideł, istnych zakał drukowanego słowa⁸⁶.

Podobnie w „Świecie” w 1911 roku autor podkreślał demoralizujący wpływ tego typu tekstów, chyba przeceniając wpływ literatury na życie codzienne⁸⁷. Zaangażowani, postępowi inteligenci odnosili się również do zjawiska bezideowości i komercjalizacji kultury, a zatem braku zaangażowania społecznego tej literatury. Literatura jarmarczna i brukowa nie tylko, zdaniem krytyków, nie przyczyniała się, ale szkodziła działalności oświatowej, a tym samym stanowiła przeszkodę do realizacji idei postępu. Nie przejawiała żadnej wrażliwości społecznej, nie podejmowała istotnych problemów, lecz zaspokajała głód ciekawości i potrzeby przyjemności⁸⁸. Nie mieściło się to w etosie inteligencji.

Zarówno na tym tle, jak i współcześnie, wyróżnia się pogląd Zygmunta Wasilewskiego, współtwórcy ankiety na temat czytelnictwa ludowego. Jak to ujęła Bożena Wojnowska, jego głos stanowi „świadełstwo »górnego pułapu« możliwości epoki w stosunku do analizy interesującego nas fenomenu”⁸⁹. Wasilewski mniej uwagi poświęcił temu, co czyta lud i dlaczego powinien czytać coś innego, ale temu, dlaczego czyta to, co czyta. Autor ten podjął jednocześnie próbę rehabilitacji literatury jarmarcznej i brukowej.

Wasilewski argumentuje, że literatura brukowa odpowiada na demokratyczny „głód bajki”, czyli fabuły, opowieści, sytuując go w nowoczesnych wielkomiejskich realiach. Zwraca uwagę, że ówczesna powieść artystyczna (w dobie modernizmu) przeniosła swoje zainteresowania w sferę estetyki, porzucając misję dostarczania bajkowych fabuł i przestając zwracać uwagę na odbiorcę w imię „sztuki dla sztuki”. Zapotrzebowanie na bajkę jednak nie zanikło, ukryło się jedynie przed okiem „sfer oświeconych” skupionych na sztuce pisanej wielką literą. Zwraca też uwagę Wasilewski, że sfery te, do których on sam się zalicza, patrzą ze zgorszeniem na powieści Conan Doyle’a albo Leblanca, zajmujące pełnoprawne miejsce na półkach księgarskich. Rynek księgarski odpowiadał jednak jedynie na powstanie nowej publiczności i jej potrzeby. Powieść artystyczna służyła wrażliwości estetycznej, powieść ludowa — „instynktowi ciekawości”. Sposobem na to zaś jest cudowność i egzotyczność w powieści ludowej: opowiadanie historii z przeszłości i innych sfer społecznych. Wasilewski słusznie wywodzi tradycję tego typu literatury z gatunków przednowoczesnych, opowieści o Marcholcie czy Magielonie, żywotów świętych, XVIII-wiecznego

86 W rymsztoku. *Garść uwag o literaturze brukowej...*, op. cit.

87 Podane są dwa przykłady. Po pierwsze u łódzkiego bandyty Dłużniewskiego, którego postać uzyskała spory rozgłos medialny znaleziono ponoć pokaźny księgozbiór złożony z szerłoków. Podobno 16-letni Edward Tober dokonał morderstwa również pod wpływem tego typu zbójceckich lektur. S. Dzikowski, *Za kulisami „literatury” sensacyjnej...*, op. cit.

88 B. Wojnowska, *Literatura popularna w oczach publicystów „Głosu” i „Przeglądu społecznego” (1900—1907)*, „Pamiętnik Literacki”, 1988, t. LXXIX, nr 2, s. 50—73.

89 *Ibidem*, s. 59.

romansu historycznego, zwracając uwagę, że stare struktury fabularne i tematy uległy modernizacji.

Do zasobów powieściowych poprzednich okresów, przechowywanych wśród ludu: religijnych, królewskich, rycerskich, szlacheckich — przybyła literatura powieściowa wielkich miast, wywołana ciekawością tych sfer ludowych, które do miasta się zbliżały i kazały sobie opowiadać o cudach miejskich⁹⁰.

Miasto stało się odpowiednikiem ciemnego boru z przeszłości, a Waligórowi, świętych i rycerzy zastąpił detektyw i szlachetny przestępca w tych bajkach „o życiu miejskim i cudach cywilizacji”. Autor nie tylko dostrzegł wykluczający charakter — z uwagi na wymagany poziom kompetencji kulturowej — ówczesnej głównonurtowej literatury artystycznej, ale i próbował wnikać w psychologiczny mechanizm czytania tej literatury, powiązać ją z przemianami nowoczesnego życia⁹¹. Warto pokreślić, że analiza ta jest zaskakująco zbieżna ze współczesnymi próbami dowartościowania kultury popularnej. Zrozumienie Wasilewskiego dla mechanizmów działania popkultury jest wyjątkowe na tle innych komentatorów jego czasów.

Dyskusje, zwykle krytyczne, trwały również w dwudziestoleciu międzywojennym przy większej aktywności środowisk katolickich i z nastawieniem na propagowanie tak zwanego „dobrego czytania”. Interwencje takie jak słynny przewodnik księdza Mariana Pirożyńskiego selekcjonowały książki „pożyteczne” i „zakazane” pod kątem obyczajowym, religijnym i politycznym⁹². Tu również, w zalewie moralizatorstwa, można wskazać na głos wyraźnie odrębny — analizę powieści kryminalnej dokonaną przez krytyka literackiego Stanisława Baczyńskiego. Wbrew „wytwornej krytyce” w jego opinii

[...] zadaniem pracy o romansie kryminalnym nie może być sąd moralny o jego wartości pedagogicznej, obrona, czy oskarżenie, ale pogodzenie się z faktem jego istnienia oraz wyznaczenie mu właściwego w literaturze miejsca⁹³.

Wprawdzie studium Baczyńskiego odnosi się do najlepszych warsztatowo form powieści kryminalnych funkcjonujących w obiegu trywialnym, nie brukowym, niemniej, podobnie jak wcześniejsza o ponad dwie dekady analiza Wasilewskiego, stanowi ona wyjątkową próbę wyjścia poza moralizowanie i zrozumienia logiki rządzącej polem kultury popularnej.

90 Z. Wasilewski, *O sztuce i człowieku wiecznym...*, op. cit.

91 Wasilewski zwraca też uwagę — co istotne w kontekście toczącej się wówczas kampanii antysienkiewiczowskiej w gronie radykalnie postępowej inteligencji — na zdolność rozpoznania przez Sienkiewicza i wykorzystania tego „głodu bajki” w powieściach historycznych.

92 G. Nieć i G. Wrona, „Walka z lekturą zakazaną”. Bibliologiczne spojrzenie na dyskusje wokół książki „zakazanej” i jej wpływu na dzieci i młodzież w końcu XIX w. i na pocz. XX w., *Toruńskie Studia Bibliologiczne*, 2013, nr 2, s. 135.

93 S. Baczyński, *Powieść kryminalna*, Nakł. Wydawn. Literacko-Naukowego, Kraków-Warszawa 1932, s. 6.

Jak przybliżyć formy i świat powieści brukowej? Wyszliśmy z założenia, że kryterium wyodrębniania przedmiotu naszego zainteresowania nie powinno być ani bibliologiczne (forma wydawnicza, np. poszytowa), ani genologiczne (powieści tajemnic, powieści kryminalne, melodramatyczne itd.), lecz socjologiczno-kulturowe: zgodnie z typologią obiegu literackich i form w nich funkcjonujących. Do niniejszej antologii wybraliśmy zatem utwory, które dają panoramiczny ogłód obiegu brukowego i kluczowych jego właściwości, od pierwszych wydań powieści Füllborna, aż po lata 30. XX wieku, kiedy lokalny przemysł produkcji kulturalnej w obszarze literatury masowej osiągnął już formę rozwiniętą. Samego *Jacka Texasa* opublikowano ponad 150 zeszytów, a *Izabella królowa Hiszpanii, czyli tajemnice dworu madryckiego* rozciąga się na ponad 1 500 stron. Biorąc pod uwagę nieprzebraną liczbę i tasiemcowatą długość utworów tego typu literatury, możliwe było jedynie wybranie fragmentów lub pojedynczych zeszytów czy odcinków (dlatego też każdemu tytułowi powieściowemu towarzyszy nota wprowadzająca szerszy kontekst historyczny i fabularny oraz informacje bibliograficzne). I tak, czytelnik ma możliwość zapoznania się z „drukami breslauerowskimi”, pierwszymi powieściami zeszytowymi (poszytowymi) tłumaczonymi na język polski — *Barbarą Ubryk* (1870) i *Izbellą*... tak krytykowaną przez Sienkiewicza. Przykładem późniejszej melodramatycznej fabuły powieściowej rozciągniętej na dziesiątki zeszytów są trzy pierwsze odcinki *Skazanej przez życie* Edmunda Bartosza (1930). Formę wydawniczą powieści zeszytowej („każdy zeszyt stanowi całość”) przybliży kilka tytułów reprezentujących różne gatunki. Mamy więc kryminalne „szeroki” — apokryficzną *Rzeźnię ludzką* z serii *Tajemnicze Przygody Szerloka Holmesa słynnego agenta śledczego* (1907—1909) o amerykańskim śledztwie Sherlocka Holmesa i jego partnera Harry’ego Taxona oraz jeden zeszyt *Lorda Listera Tajemniczego nieznajomego* (1937). Prezentujemy też westernowego *Bufallo Billa. Bohatera dzikiego zachodu* (1938), który również zawędrował do Polski z USA przez Niemcy, jak i rodzime produkcje (choć trudno ostatecznie stwierdzić, czy nie był to jednak zakamuflowany import) — podróżniczą powieść młodzieżową *Jerzy Rolicz. Przygody 16-letniego podróżnika* (1938), stanowiącą recykling wcześniejszego *Jerzego Wertona*. Powieści gazetowe reprezentuje *Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno-kryminalna*. Sensacyjna powieść autorstwa Juliana [Ludwika] Starskiego. Publikujemy ją *in extenso* z zachowaniem podziału na odcinki, co pozwoli czytelnikom na zapoznanie się z poetyką tej formy prozatorskiej, powstającej w trybie doraźnym. Druga powieść gazetowa to *Bezkarci bandyci stolicy* drukowani w efemerycznym socjalistycznym „Głosie Stolicy” w 1932 roku. Wybrany przez nas początkowy fragment pozwala z kolei na wniknięcie w mechanizmy zasygnalizowanej powyżej aktualizacji dziennikarskiej i jednocześnie politycznej. Z rodzimych powieści pełniących funkcję polityczną prezentujemy również fragmenty dwóch innych utworów. Światopogląd radykalnej prawicy lat 30. oddaje *Zabiłem brata* (1936)

— historia osadzona w realiach wojny domowej w Hiszpanii. Popularną powieścią głoszącą idee lewicowe stanowią z kolei *Tajemnice Warszawy* (1908) Witolda Koszutskiego, odwołujące się do doświadczeń rewolucji 1905 roku. Ta ostatnia powieść wraz z *Tajemnicami Krakowa* (1888) Adama Nowickiego stanowi dodatkowo egzemplifikację lokalnych adaptacji formuły powieści tajemnic zapoczątkowanej w połowie XIX wieku przez Eugeniusza Sue, która rozpoczęła serię licznych tajemnic wielkich miast. W końcu, dla dopełnienia obrazu, włączyliśmy teksty źródłowe dotyczące literatury brukowej: wystąpienia i artykuły publicystyczne, szkice i reportaże. Z uwagi na ich stosunkowo niewielką objętość przedrukowujemy je w całości, co daje czytelnikowi możliwość zapoznania się ze źródłami często przywoływanymi w literaturze naukowej w formie cytatów.

Praktycznie każda praca naukowa dotycząca problematyki polskiej literatury popularnej zawiera odniesienia do pionierskiego opracowania Janusza Dunina *Papierowy bandyta. Książka kramarska i brukowa w Polsce* z 1974 roku (powstała na podstawie rozprawy doktorskiej obronionej sześć lat wcześniej). Tytuł książki, jak wyjaśniał autor, nawiązywał między innymi do głośnego wówczas hasła o kapitalizmie jako papierowym tygrysie — polemizując z powszechnymi tezami o szkodliwości literatury popularnej, Dunin nazwał te książki papierowymi bandytami, ogrywając również dosłowne i metaforyczne znaczenie tego słowa⁹⁴. Tytuł niniejszej antologii, parafrazujący tytuł rzeczonoego pionierskiego opracowania, stanowi hołd dla bibliofilskiego i literaturoznawczego dorobku Janusza Dunina, który otworzył dla nas uniwersum literatury obiegu brukowego. W ślad za nim zapraszamy zatem do świata niepospolitych zdarzeń i straszliwych przygód.

94 J. Dunin, *Moja łódź pełna książek — o kulturze książki ze źródeł i wspomnień*, Łódzka Księg. Niezależna, Łódź 2002, s. 62—63.

Wypisy z powieści

BARBARA UBRYK

CZYLI

TAJEMNICE KLASZTORU KARMELITÓW W KRAKOWIE

Z notatek pewnego zakonnika,

spisał

Dr. Rode.

Przekład z niemieckiego.

Tom III.

WARSZAWA.

Nakładem **Jana Breslauera.**

Ulica Miodowa, Nr. 489a.

—
1869.

Barbara Ubryk

czyli tajemnice klasztoru
karmelitów w Krakowie

Adolf Rode
[George Füllborn]

1870

Barbara Ubryk była prawdopodobnie najstępniejszą zakonnicą XIX wieku. Jej uwięzienie, zakończone procesem, rozpało antyklerykalne emocje nie tylko w Galicji, ale w całej Europie. Anna (bo tak naprawdę miała na imię kobieta) urodziła się w 1817 roku w Węgrowie. Jako dwudziestolatka wstąpiła do nowicjatu u wizytek w Warszawie, ale została z niego wydalona. Dwa lata później przekroczyła granicę zaborów i złożyła śluby wieczyste w Krakowie, w zamkniętym klasztorze karmelitanek bosych. Wkrótce zauważono u niej objawy choroby psychicznej (podobno tańczyła i śpiewała nago, miewała ataki śmiechu, agresji i chorobliwej pobożności). Przez jakiś czas próbowano ją leczyć puszczaniem krwi i innymi metodami uznawanymi wówczas za skuteczne. Gdy odmówiła opuszczania celi, została przeniesiona do karceru, gdzie spędziła w nieludzkich warunkach aż dwadzieścia jeden lat. Siostry замуrowały jej okno, zabrały wszystkie sprzęty, a jedzenie podawały przez szparę w drzwiach. Skandal, który poruszył opinię publiczną, wybuchł w 1869 roku: na skutek anonimowego donosu do klasztoru wkroczyła komisja sądowa i po wytamaniu drzwi izolátky odnalazła skuloną w barłogu postać, nagą, brudną i wychudzoną. Biskup Gałęcki uwolnił Barbarę Ubryk

od klauzuli. Przewieziono ją do szpitala. Resztę życia spędziła w zakładzie dla obłąkanych i tam zmarła w zapomnieniu po prawie trzydziestu latach.

Mimo prób zachowania dyskrecji sprawa przedostała się do gazet, a w mieście wybuchła antyklerykalna rewolta. Kilkutysięczny tłum szturmował klasztor, obleżono siedziby jezuitów oraz norbertanek i zebrano tysiące podpisów pod petycją w sprawie wydalenia zgromadzeń zakonnych z Krakowa. Pod zarzutem gwałtu publicznego aresztowano przeoryszkę Marię Wężyk i jej poprzedniczkę, a także przeora zgromadzenia męskiego, który miał nad nimi nadzór. Proces zakończył się jednak uniewinnieniem, bo uznano, że klauzula nie pozwalała usunąć chorej z klasztoru, a prawo kościelne na mocy konkordatu nie podlegało świeckiemu, poza tym osoby chore psychicznie mogły być wówczas izolowane bez konsekwencji.

Sprawa Ubryk przyczyniła się do nasilenia (czy może — po prostu odsłonięcia) społecznej niechęci wobec Kościoła, a także podzielała na zbiorową wyobraźnię. Plotki i legendy, niekiedy o charakterze wręcz pornograficznym, krążyły na temat wyjątkowego okrucieństwa i zepsucia w klasztorach. Przypisywano też siostrze Barbarze rozmaite historie romantyczne — miała

być bardzo piękna, próbować ucieczki z ukochanym albo oszaleć na skutek nieszczęśliwej miłości. Miała być potomkinią Habsburgów, znalazł się też świadek, który w czasie Wiosny Ludów widział kobietą postać wybiegającą z powozu i chroniącą się za klasztorną bramą... Temat podjęły liczne pitavale, broszury sensacyjne, ballady i powieści. O nieszczęsnej mniszce pisano po polsku, niemiecku, francusku, czesku i angielsku. Wysyp tych publikacji przypadł na czas procesu (1869—1870), ale w 1909 roku, na czterdziestolecie sprawy, spór o karmelitanki powrócił: Stanisław Tomkowski (siostrzeniec przeoryszy Marii Wężyk) w *Prawdzie o Barbarze Ubrykównie* wziął zakon w obronę. Publikacja *Zbrodnia w klasztorze* miała wymiar oskarżycielski. Jeszcze w 1934 roku sprawę podjął Juliusz Stanisław Harbut w czterotomowej, pełnej fantastycznych przypuszczeń powieści *Mały Rzym. Przetworzone echa opowieści o pięknej i szalonej mniszce* odnaleźć też można w opowiadaniu Iwaszkiewicza *Matka Joanna od Aniołów* (1942), sfilmowanym pod tym samym tytułem przez Jerzego Kawalerowicza (1961).

Największą popularność zyskał jednak utwór *Barbara Ubryk, czyli Tajemnice klasztoru Karmelitów* (Barbara Ubryk, oder Die Geheimnisse des

Karmeliter-Klosterszu Krakau), wydany przez Jana Breslauera jako pierwsza polska powieść poszytowa (1869). Jako tłumacz figuruje tu tajemniczy doktor Rode, ale za dziełem stoi niemiecki pisarz Georg Füllborn, którego sylwetkę przedstawiamy bliżej jako autora *Izabeli królowej Hiszpanii* (1870). Powieść zebrano w trzech tomach, z których dwa pierwsze mają charakter romansowo-awanturniczy i traktują głównie o losach hrabianki Elki Ubryk, matki Barbary. Akcja, wzięta w ramy wizyty narratora u antykwariusza, który opowiada mu niezwykłą historię, toczy się początkowo w zamku hrabiego Żółkiewicza. Tu, jako emisariusz z samego Watykanu, przybywa niejaki Rembiński, jezuita w przebraniu. Zostaje nauczycielem jego córki Elki i uwodzi ją, a równolegle wdaje się w romans z jej matką, hrabiną — z oboma „używa życia w całej rozciągłości tego wyrazu”. Na perypetie erotyczne tego trójkąta nakładają się intrygi kościelne, wreszcie Elka odkrywa, że ma do czynienia z duchownym i ucieka swojemu prześladowcy. Poznaje legionistę Kazimierza Ubryka, z którym los ją rozdziela i wtedy na jej drodze znów staje przebiegły jezuita. Dopiero tom trzeci opowiada o klasztornych przygodach młodej Barbary, której piękno, niewinność i anielski głos budzą zazdrość reszty zakonnic. Ich okrucieństwo (powieść

obfituje w detaliczne opisy flagelacji, zdzierania habitów i najwymśliszszych tortur) doprowadzają biedaczkę do obłędu.

Istotnym wątkiem powieści jest niechęć wobec różnych zgromadzeń zakonnych. I tak na przykład rywalizujący z Rembińskim franciszkanin to także „świętoszek, obłudny i fałszywy”. Bohaterowie, jak to u Füllborna, dzielą się zdecydowanie na prześladowców i ofiary, a wyobraźnia erotyczna autora, z wyraźnym sadomasochistycznym odcieniem, może robić wrażenie nawet na bezpruderyjnym czytelniku. Przedrukowany fragment pochodzi z wydania Jana Breslauera z 1869 roku, gdzie jako autor figuruje Dr Rode, co najpewniej było jednym z pseudonimów Füllborna.

Justyna Jaworska

Adolf Rode [George Füllborn], *Barbara Ubryk* czyli *Tajemnice klasztoru karmelitów w Krakowie. Z notatek pewnego zakonnika spisał Dr. Rode* (Tom III, s. 69—83; 118—133; 222—281; 394—399; 428—439). Przekład z niemieckiego. Nakładem Jana Breslauera, ulica Miodowa, nr 489a, Warszawa 1870.

To nieustanne czuwanie ze strony matki na koniec stało się dla Barbary zanadto uciążliwym. Gwałtowne nieraz zachodziły między nimi sceny, wskutek których nastąpiło między matką a córką niejaki rozdzielenie. Z ojcem również pozostawała Barbara od dawna na stopie nieporozumienia, ponieważ nie robiła mu nadziei spełnienia kiedykolwiek planu jego co do pana von Schweitzer.

Śmierć ojca przerwała wprawdzie ten nieprzyjemny stosunek, ale nieporozumienie z matką trwało jeszcze i w Warszawie. Owszem przerodziło się w widoczne niezadowolenie, gdy Elka zrobiła córce uwagę, że ma już lat 23 i powinna zdecydować się na oddanie ręki swojej mężczyźnie, bo inaczej będzie już za późno. Kiedy panna przeżyje lat 24, wielki dla niej czas obejrzeć się za mężczyzną, jeżeli mężczyźni sami za nią się nie oglądają. Lecz na takie upominania Barbara odpowiadała ciągłym milczeniem, tak że matka miała wątpliwość co do jej prawdziwych uczuć.

Po zamążpójściu obu jej sióstr, znikło na koniec wszelkie dobre porozumienie z matką. Elka teraz usilnie nalegała na Barbarę, aby oświadczyła, czy pragnie wstąpić w związek małżeński, czy nie?

— Nie chcę iść za mąż, odpowiedziała rozdrażniona Barbara. Mężczyzna odrazą mnie przejmuję.

— Więc chcesz zawsze być panną?

— Tak jest, taka moja niecofnięta wola.

— Zawsze panną! Okropność! Cóż za przyczyna tak dziwnego przywidzenia? Dlaczego mężczyzna sprawia ci odrazę?

— Nienawidziłabym człowieka, który by mnie pozbawił dziewiczości. Nigdy kochać bym go nie mogła! Jestem za dumna, iżbym mężczyźnie miała pozostawić tę sławę, że mnie pokonał. Zabiłabym się zaraz pierwszego dnia ze wstydu i gniewu. O, nigdy żaden mężczyzna nie dozna tego szczęścia, aby mnie mógł nazwać swoją! [...]

— To powiedz mi, proszę, co jeszcze jako panna masz na świecie do czynienia?

— Nic zupełnie, matko. Ja zaręczyłam się Chrystusowi, który mówi o tym stanie: „Nie wszyscy ludzie mogą posiadać mnie, jeno ci, którym to z nieba dano”. Nie uznaję więc żadnego innego narzeczonego, prócz Chrystusa i do niego tylko jedynie należeć pragnę.

- Jużeś tedy dojrzała na zakonnicę, Barbaro?
- Toteż chcę wstąpić do klasztoru, matko. Zechciej tylko na to zezwolić. [...]

Teraz wszystko jasno pojęła i zrozumiała, że Barbara, pragnąc zostać zakonnicą, odrzuca wszelkie projekta małżeństwa.

Nazajutrz znajdujemy Barbarę klęczącą przy konfesjonale w klasztorze św. Józefa. Właśnie wychodzi z zakrystii wysoki, chudy mnich, w stule na habicie i dąży do konfesjonału. Uśmiech zadowolenia przebiega po jego ustach, gdy widzi, że czeka go tam jakaś dama.

Msza się skończyła, pobożni wychodzą, prócz kilku starych kobiet, którym zostało jeszcze dosyć czasu na zrządzenie, a konfesjonał, w którym zasiadł ojciec Gracjan, stoi w półciemnym kącie i przy tym zakrywa go potężny filar. Gdy spowiednik w zbytku swojej gorliwości ukrył się za zieloną zasłoną przed oczami niepowołanych, odsunął okienko i z radosnym zdziwieniem poznał swoją wierną penitentkę Barbarę. [...]

— O, Gracjanie! Pomieść mnie tylko wkrótce w klasztorze, abym mogła zachować mój stan dziewiczy! [...]

— Teraz jeszcze nie czas, Barbaro; staraj się najprzód pozyskać matkę, aby ci oddała twój majątek, po czym będziesz mogła wstąpić w każdej chwili. Pójdź moja owieczko; przyjm pocałunek pokoju!

Już podczas spowiedzi pasterz odsunął był żelazną kratkę, aby wygodniej z owieczką swoją mógł rozmawiać i kiedy niekiedy po policzkach pogłaskać. Dał więc teraz zachwyconej dziewicy pocałunek pokoju — czy jednak pocałował ją w czoło, czy w usta, tego z powodu ciemności panującej w konfesjonale dostrzec nie można było. Dowiemy się o tym na sądnym dniu, gdy wszystkie tajemne słowa, czyny i myśli bez względu wykryte zostaną.

— Bądź zdrowa moje dziecię, a przyjdź jutro znowu, przyjmij teraz rozgrzeszenie. [...]

Gdy się to dzieje, nasi szanowni przyjaciele, jezuici, nie pozostali beczynni, nie założyli rąk za pas. Zdawało się, że po doznanej od dra Ł. porażce, zrzekli się wszelkich pretensji do majątku Żółkiewiczów. Ale wypadki z roku 1831 przekonały, że rzecz ma się przeciwnie. Wielkie ofiary Kazimierza Ubryka dla sprawy publicznej zupełnie im się nie podobały. Gdyby je był złożył na ołtarzu kościoła, byłiby mu to wynagrodzić umieli, a potomność ujrzałaby teraz w kalendarzu nowego świętego Kazimierza. [...]

Jednocześnie też i warszawskie karmelitki zwróciły uwagę na dosyć jeszcze znaczny majątek trzech panien Ubrykówien. Klasztor był ubogi, bez dochodów, umiał więc bardzo dobrze ocenić rozporządzalny kapitał. Przełożona udała się w tym względzie do ojca Gracjana, szanowanego doradcy i spowiednika klasztoru, który sam był również karmelitą. Posłużyła jej do tego jedna z częstych wizyt, jakie jej ojciec często w celi oddawał.

45. Trzy święcenia

Zemsta!

Ten wykrzyknik i gniewnie zaciśnięta pięść jezuita towarzyszyły Barbarze do klasztoru. Ale nie towarzyszyło jej tam błogosławieństwo matki.

Przestąpiono klasztorną furtę. Czworo drzwi przegradzało świat od wejścia do siedziby świętego pokoju. Pierwsze sosnowe, malowane ciemną olejną farbą; klucz od nich miał spowiednik. Drugie dębowe, na których również olejną farbą wypisane były imiona *Jezus*, *Maryja* i *Teresa*. Trzecie drzwi były żelazne, na zewnątrz najeżone licznymi kolcami; czwarte nakoniec, znowu dębowe, zamykały się wielką na środku nich urządzoną zasuwą. Te troje drzwi można było tylko z wewnątrz otwierać.

Na odgłos dzwonu odźwierna otworzyła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Czego panie żądają?

— Przywożę moją córkę do klasztoru — odpowiedziała Elka.

— Ach! Witamy łaskawą panią! Racz pani odchylić zasłonę, bo zaledwie panią poznałam. Zaraz dam znać matce przeoryszy.

I zaryglowawszy drzwi odźwierna szybko poszła korytarzem i znikła za kłauzurą. Matka Barbary, korzystając z chwili samotności, jeszcze raz przemówiła:

— Barbaro, jeszcze czas cofnąć się. Zastanów się, co czynisz. Ja nie chcę, abyś wstępowała do zakonu.

— O, ja się już dobrze zastanowiłam, matko; jedyne życzenie moje przychodzi nakoniec do skutku. Szczęśliwą będę, skoro raz zrzucę tę światową odzież. I to mówiąc, wskazała na swoją skromną czarną suknię.

Tymczasem przysłała przełożona i odźwierna. Po przyjaznym powitaniu uściśkała Barbarę i pocałowała ją w czoło.

— Matko przeoryszo, oddaję pani moją córkę, Barbarę. Więcej nie mam nic do powiedzenia. Pozwól pani zatem pożegnać ją.

— Nie płacz, łaskawa pani! Łzy te mogą nie podobać się Bogu, który pragnie szczęścia twojej córki. Pojmuję ja dobrze, że serce panią boli.

Wśród gwałtownego łkania, owładnięta macierzyńskim uczuciem Elka, już się była odwróciła i przestąpiła próg pierwszych drzwi przez odźwierną otworzonych, a Barbara zimna i bez serca osłupiała w nią patrzała; matka należała do świata, a dla córki już nie istniała.

Odźwierna szybko pootwierała inne drzwi, a przeorysza odprowadziła Elkę aż na schody. Tu jeszcze raz odezwała się:

— Wiadomo pani, że zakon nasz jest bardzo surowy. Świeckie odwiedziny są zakazane; dlatego najuprzejmiej proszę, przynajmniej w pierwszym roku nowicjatu, wcale swojej córki nie odwiedzać. Pisywać zaś do niej możesz w każdym czasie.

— Słowa te brzmią tak, jakby mnie nimi z klasztoru wypchnąć chciano. Bywaj zdrowa, Barbaro!

Potem nic już jej więcej nie spotkało, lecz wsiadła do oczekującego na nią powozu i odjechała mocno ugodzona w serce postępowaniem przełożonej, a bardziej jeszcze oziębłością córki.

Przeorysza wróciła do Barbary i uradowana jeszcze raz ją uściskała.

— Moje kochane dziecko, ponieważ tu jesteś, więc wszystko dobrze! Podziękujże siostram za łaskawe przyjęcie ciebie do naszego zgromadzenia.

Tymczasem zbiegło się mnóstwo zakonnic, dla oglądania nowicjuszek. Jedne wystawiały głowy ponad drugie, a inne powstępowały nawet na ławki. Natychmiast zaczęły robić rozmaite spostrzeżenia nad Barbarą.

— Ładna jest — mówiły niektóre.

— Nie, brzydka — odpowiadały drugie.

— Figurę ma wysmukłą i piękną.

— Ale policzki blade, musiała już żyć!

— Twarz pociągająca.

— O, jak ma odstręczającą powierzchowność!

— Co za silne brwi i pyszne czarne oczy!

— Ach, ona się już na pewno kochała.

— Jak odrażający jest wyraz jej twarzy! Długie loki oznaczają, że zalotna!

— Co za szkaradna kresa na czole!

Potem oburącz pochwycono Barbarę i szybko naprzód popchnięto. Rozerwano jej wstążkę u kapelusza, zabrano szal i zdziwioną zaprowadzono na chór. Tu musiała uklęknąć przed wielką złożoną kratą.

— Podziękuj Bogu, że cię odprowadził do tego miejsca zbawienia! — rzekła przeorysza.

Barbara modliła się, stosownie do rozkazu. Chór zapewne nie wywierał żadnego pociągającego wpływu na inne mniszki, bo cofnęły się i porozbiegały po korytarzach i celach. Zdaniem ich nowicjuszek popełniła bardzo wielki błąd, bo była ładna, a nawet ładniejsza, jak wszystkie inne zakonnice. Uderzało to mocno zaraz za pierwszym spojrzeniem.

Po chwili przeorysza kazała Barbarze powstać i rzekła:

— Pójdź, moje kochane dziecko, dzień zbliża się ku końcowi, musimy urządzić twoją celę. Oddam cię teraz mistrzyni nowicjuszek, której odtąd jedynie masz być posłuszną. Nie troszcz się o inne siostry, dopóki będziesz nowicjuszką. Skoro ukończysz nowicjat, wtedy dopiero przejdziesz pod moją władzę i należeć

będziesz do towarzystwa sióstr. Jutro otrzymasz pierwsze święcenie i odtąd liczyć się będzie twój nowicjat.

Barbara udała się za przeoryszą do części klasztoru zwanej nowicjatem. Korytarze i cele jego są dla wszystkich prawdziwych zakonnic zamknięte, a nowicjuszkom nie wolno stamtąd wychodzić. Tu samowładnie i nieograniczenie rządzi mistrzyni nowicjuszek i przygotowuje one do wyrzeczenia ślubów.

Ten czas próby w zakonach męskich trwa trzy lub cztery lata, w żeńskich zaś najwyżej lat dwa. Zwierzchność jednak skrócić go może. W nowicjacie wyznaczono Barbarze osobną celę, do której już zniesiono przedmioty stanowiące jej posag. Szanowna mistrzyni, siostra Ediltruda od Siedmiu Bolesci Maryi, bardzo łaskawie przyjęła nową uczennicę, oświadczając, iż pragnie być jej drugą matką. Ale ta dobra matka natychmiast zamknęła Barbarę w celi i rozkazała przygotowywać się modlitwą i łzami do nastąpić mającego jutro pierwszego święcenia.

Gdy zamknięto drzwi jej celi, Barbara uklękła i modliła się. Nigdy jednak modlitwa nie była dla niej tyle ciężką, co teraz. Po raz pierwszy w życiu doznała uczucia nieskończonego opuszczenia. Wyrwana na zawsze ze społeczeństwa, wśród którego 25 lat przeżyła, zaraz w pierwszej chwili pobytu w klasztorze została zamknięta i skazana na poufne obejście i codzienne zetknięcie się z mniszkami i mnichami. [...]

Obrzęd ukończył się drugim łacińskim frazesem:

— *Ut vivant mortui, et moriantur viventes!* „Umarli żyją, a żyjący umarli!” Zaiste! Ludzie w klasztorach przemieszkujący są umarli dla świata, a przecież żyją; o tyle tylko umarli, aby ich nikt nie widział. Ale i ludzie na świecie żyjący, także są umarli: *moriantur viventes!* O, gdyby w rzeczy samej dla klasztornych bezprawi byli pomarli!

Teraz generalny wikariusz znowu pobłogosławił nową zakonnicę, podał jej Najświętszy Sakrament i nazwał ją Jowitą od Aniołów.

Jak obcięcie włosów oznacza całkowite odłączenie się od świata, który, jak wiadomo, wielce dba o piękne włosy, tak też i przybranie nowego imienia rozrywa węzeł łączący człowieka ze światem — węzeł rodzinny. Przez ostrzyżenie włosów zakonnik i zakonnica odrzekają się świata w ogólności, a przez przybranie klasztorного imienia odrzekają się krewnych i rodziców. „Pokonaj naprzód część dla twoich rodziców! Jeżeli dom twój, rodzinę swoją pokonasz, to pokonasz także i świat”, mówi św. Ambroży.

Jeżeli zatem szanowny czytelnik pragnie udać się wraz z nami do wnętrza klasztoru, zechce zapomnieć o Barbarze, a poznać Jowitę od Aniołów.

Po komunii przybliżyła się przeorysza, a za nią wszystkie zakonnice kolejną stopnią swego i ucałowały jedną po drugiej nową siostrę Jowitę, a cały obrzęd

zakończył się krótkim kazaniem na temat, że niebo raduje się klasztorным życiem.

Powolnym, uroczystym pochodem udał się cały orszak zakonnic, ze spowiednikiem ubranym w ornat na czele, przez kościół do furty klasztornej. Każda zakonnica niosła krzyż w ręku, przy tym śpiewano psalm 122: „Weseliłem się, z tego, co mi powiedziano: pójdziemy do domu Pańskiego”.

Gdy przybyli do klasztoru, Jowita według klasztorного zwyczaju padła do nóg przeoryszy, ucałowała rąbek jej sukni i w imię Boże prosiła o święte błogosławieństwo i macierzyńską miłość, przewodnictwo i troskliwość. Przeorysza przyobiegała jej to, pobłogosławiła, kazała jej powstać i zaprowadziła do parlatorium.

Tam pierwiej już zgromadzili się zaproszeni goście, gdzie podawano im ciasta i rozmaite chłodniki. Nastąpiły zwykłe komplementa, wszyscy winszowali nowej zakonnicy i jej matce.

Zakonnice mają zwyczaj ofiarować bukiet sztucznych róż biskupowi i każdemu duchownemu, który znajdował się na nabożeństwie. Jowita obdzieliła takimi bukietami generalnego wikariusza jako zastępcę arcybiskupa, klasztorного spowiednika — ojca Hilarego i jej własnego — ojca Gracjana, który różę zaraz w swój brewiarz włożył, na koniec swą matkę Elkę.

Zadzwoniono na obiad. Przy takich uroczystościach zwykle w żeńskich klasztorach wyprawiane bywają sute obiady. Nowa zakonnica jest jako gość, chociaż uczta wyprawia się jej kosztem i odpowiednio do wysokości jej majątku. [...]

— A więc nie trafiłaś jej? jednocześnie pytał ojciec Gracjan siostry Eufrozyny, której powrotu niecierpliwie w sali oczekiwał.

— Niestety nie! Upuściłam wazon w chwili, gdy ujrzałam jej cień. Ale zapewne musiała zatrzymać się i stać, bo wazon z łoskotem upadł pod jej nogi. Ja naturalnie uciekłam do celi, aby mnie nikt nie widział.

— Ona ma anioła opiekuńczego! Więc, *da capo ma fare meglio!*

— Gdyby nawet miała całe wojsko aniołów opiekuńczych, to musi zginąć. Trupią głowę nie dla żartu narysowałam!

— Zostaw to mnie, już ja ją usunę z drogi. Nienawiść moja jest usprawiedliwiona i wywołana bezbożnością; mnie więc służy prędzej prawo ukarania jej jak tobie, która działasz wiedzioną jedynie ślepą zazdrością.

— Bez zazdrości nie ma miłości, Gracjanie!

— Ten sposób usunięcia jej z drogi w ogóle nie podoba mi się, jest za nikczemny, za pospolity. Nie trzeba zanadto podniecać sumienia, jeżeli się go podrzędniejszymi rzeczami obciąża. Uspakaja się ono daleko prędzej, jeżeli się kogoś przyprowadza do stanu śmiertelnego, aniżeli skoro go się wprost zabije.

— Czymże sobie w tym poradzisz? Trucizną?

— Trucizna działa za szybko i odzywa się we własnym sumieniu. Przy tym użycie jej jest zdradliwe; trup szybko przechodzi w zgniliznę, przybiera niebieską barwę, paznokcie i włosy wychodzą mu. Znam prościejsze i niewinniejsze środki; spuść się na mnie zupełnie.

— Przeorysza dzwoni. Czy nie słyszysz?

— Może i jej się co przytrafiło. Zaraz ja zobaczę. Ojciec opuścił siostrę Eufrozinę i udał się do przeoryszy. Spotkał ją na korytarzu i jakby niechcący, z obojętną miną zbliżył się do niej.

— Z tą siostrą krzyż Pański cierpię, markotnie przemówiła Zitta.

— Z którą?

— Ach, z Jowitą. Żeby już raz umarła!

— Cóż się znowu z nią zdarzyło?

— Chciała niedawno pójść do ogrodu i na wschodach dostała ataku czy też kurczów, albo ja wiem? Spadła ze stopni i leżała na dole. Ponieważ niosła z sobą wazon z kwiatami, więc gdy upadła, wazon naturalnie rozbił się. Dla usprawiedliwienia swojej niezgrabności na chwilę niby to zemdłała, a potem utrzymywała, że wazon rzucono na nią z góry i, że dlatego straciła przytomność. Ale trzeba być szalonym, aby tak bezsensownym mówom uwierzyć.

— O, co za wąż! Każde jej słowo jest kłamstwem i tylko rzuca podejrzenie na inne siostry! Za tę kłamliwość wpakowałbym ją na 30 dni do aresztu, gdyby do mnie należała klasztorna policja.

— Ona ciągle chora, a przy tym ojciec Alfons, jej spowiednik, jest przyjacielem generalnego wikarego! Więc to raz na zawsze nie uchodzi.

— Czy ona jeszcze chora?

— Leży w łóżku i udaje naprawdę bardzo zdenerwowaną i cierpiącą. Nie znam jej dotąd tak dokładnie, iżbym prawdę od udania rozróżnić mogła.

— Jeżeli udaje, to się z pewnością o tym dowiemy. Znam pewien proszek, który natychmiast uzdrowia osoby udające chorych, a rzeczywiście choremu nie szkodzi. Damy go jej zażyć i zaraz dowiemy się powodu jej słabości.

— Czy tylko ten proszek nie szkodliwy?

— Bynajmniej! Jest to tak zwany prokrustes, albo proszek próżniaków, który dajemy naszym nowicjuszom dla przekonania się, czy gorączkują tylko ze strachu przed swoim przełożonym, gdy się meldują do infirmerii, czy też naprawdę chorzy.

— Daj mi receptę, każę zrobić proszek w naszej aptece.

— Recepta jest tajemnicą naszego klasztoru. Jutro jednak przyniosę proszek, a wtedy będziesz mogła zrobić próbę.

Przeorysza poprzestała na tym. Ojciec wkrótce pożegnał ją i gdy wyszedł z klasztoru, udał się do apteki cesarskiej dla zakupienia rzeczzonego proszku.

Prowizor spytał, czego żąda.

— Proszę o jedenaście gram tartych korzeni usypiającego proszku, zmieszanych z pół gramem tymianku.

— Proszek usypiający wydawać możemy tylko za wyraźnym przepisem, a to dla uniknięcia nadużyć.

— Przecież to nie trucizna!

— Ale szkodliwy w skutkach; rozrzedza mózg człowieka.

— Nie bój się mój panie i ufaj sukni, jaką noszę. Proszek nie jest przeznaczony dla chorego, lecz dla chemicznych doświadczeń w naszej klasztornej aptece.

— W takim razie proszę o pokwitowanie odbioru na piśmie.

Ojciec nabazgrał swoje nazwisko w podanej sobie księdze i otrzymał żadaną mieszaninę. Zapłacił brzęczącą monetą i ukrył lekarstwo pod fałdami swojego okrycia.

— Jak ostrożni są ci ludzie — mruczał, idąc. Czyżbym się nie mógł powiesić, kiedy mi trucizny odmawiają? To niepotrzebny wzgląd dla szczerów, na których wyniszczenie otrzymuje się arsenik dopiero po zostawieniu swojego dobrego nazwiska u Poncjusza lub Kajfasza!

Nazajutrz ojciec Gracjan oddał przeoryszy mieszaninę, do której dla większej pewności dodał jeszcze kilka odurzających ingrediencji.

— Oto jest proszek prokrustes, nauczał. Rozpuszczaj go w trzech łyżkach spirytusu przez trzy dni i daj zażyć Jowicie. Jeżeli rzeczywiście chora, to nieco uczyni ją senną i znużoną, ale nic jej nie zaszkodzi; jeżeli zaś udaje chorą, to nabierze ogromnego apetytu i ciągle będzie jeść chciała.

— Proszek pachnie bardzo przyjemnie, zauważyła przeorysza.

— Ale niesmaczny, dlatego trzeba go zażywać w spirytusie i prędko.

Przeorysza nie domyślała się, że proszek nie jest tyle niewinnym, jak go ojciec przedstawiał. Gdyby była mu nie dowierzała i proszek podała do rozpoznania doświadczonemu lekarzowi, ten byłby zaraz poznał zgubne ziółko po przyjemnym zapachu, z dała nawet z niego się wydobywającym i odurzające jego działanie, jakie z bliska wywierał.

Ciekawa, jakie będą jego skutki, przeorysza natychmiast wyspała trzecią część do kieliszka znanego karmelickiego spirytusu i sama Jowicie zaniósła.

— Czy cię jeszcze twoja słabość nie opuściła? — spytała.

— Nie, jeszcze, wielebna matko przeoryszo.

— Wypij no to. Z polecenia doktora co dzień ci mam dawać do picia po kieliszku karmelickiego spirytusu. Pij.

— O jak łaskawa jesteś wielebna matko! Trudzisz się do mnie osobiście, nie umiem ci za to dostatecznie podziękować.

Jowita podniosła się i powoli wychyliła kieliszek.

— Nasz napój trzeba od razu połykać, jeżeli ma krew rozgrzać. Czy ci nie smakuje, tak długo pijesz?

— Trochę za gorzki, wielebna matko.

— Gorzki? Nasz spirytus nigdy nie bywa gorzki. Twoje podniebienie musi się mylić. Pomnij zresztą, że zółć, którą Chrystus na krzyżu uśmierzał pragnienie, stokroć bardziej była gorzką.

Jowita widocznie przewyżając się, wypila kieliszek i podziękowała przeorczy.

— Mam nadzieję w Bogu, że się wkrótce podniesiesz, odpowiedziała przeorczy. Uwalniam cię tymczasem od chóru i przysłę tu siostrę dozorczyńnię do posługi.

To powiedziawszy, wyszła i zaleciła siostrze Korduli, aby starannie czuwała nad Jowitą i pamiętała wszystko, co ona mówić będzie. Kordula udała się do celi chorej i zawołała:

— Czemuż cię już raz diabli nie porwą? Kiedy wszystkie siostry są zdrowe, to ona miewa bóle, sama nie wie gdzie, czy w głowie, czy w nogach. Muszę tylko dla niej ciągle być na miejscu i posługiwać jej. Cóż ci znowu dolega?

— Bądźże wyrozumiałszą dla mnie, siostrzo Kordulo — łagodnie odparła Jowita błagającym tonem. — Pan Bóg tak często zsyła na mnie różne przypadłości.

Święty Franciszek Salezy utrzymuje w swojej *Filetei*, że słoń choć najbardziej rozniewany, nagle łagodnieje i do łez wzruszony bywa, gdy obaczy białego baranka. Ale Kordulę, która słońowi może tylko we wspaniałomyślności ustępowała, łagodność i błagalne spojrzenia Jowity jeszcze bardziej rozniewały.

— Pan Bóg, tak, On musi być wszystkiemu winien i wtedy nawet, gdy wolisz przewalać się raczej na łóżku, niż iść na chór. Powiedz no, jakie są te twoje ataki? Czy pochodzą z lenistwa, czy z gniewu, a może z zazdrości i miłości?

Tak w chrześcijańskiej miłości wściekała się Kordula, nie przestając lżyć Jowity. Szczęściem, że ta zasnęła snem zdrowym i mocnym, z którego się obudziła dopiero na drugi dzień. Mimo wzdregania się, musiała znowu wypić kieliszek karmelickiego spirytusu i użaliwszy się na gwałtowny szum w głowie, znowu zapadła w sen głęboki.

Ojciec Gracjan przez ten czas gdy przybył do klasztoru, ani słowa nie wspomniał o Jowicie; czwartego dnia jednak przybył przekonać się o stanie jej zdrowia.

— Jakże z proszkiem? — spytał przeorczy. Zapewne już Jowita kucharkę do rozpaczy przyprowadziła?

— Nie, zdaje się, że ona naprawdę chora. Jeszcze jadła nie żądała i przez cały czas śpi tak mocno, że Kordula nawet biciem przebudzić jej nie może.

— Doprawdy? Więc rzeczywiście jest chora i krzywdę jej uczyniliśmy, posądżając o udawanie. Czy przez te trzy dni wcale się nie budziła?

— Tylko na krótko, jak donosi Kordula. Ma okrutny ból głowy i sny przerażające, w których prześladowają ją jacyś czarni ludzie; w których czuje, że stoi nad brzegiem głębokiej przepaści albo w rozbitej łodzi kręci się w wirze morskich bałwanów. Ma wstręt do wszelkich potraw i utrzymuje, że jej pierś pęknie. Jeżeli ten stan nie zmieni się, każe przywołać lekarza.

— Zapewne cierpi zawrót głowy. Krew uderza na mózg i majaczy, jak wiele innych panien zanadto krwistych. Pójdźmy do niej!

Przeorysza odpowiedziała wprawdzie, iż niechętnie widzi, aby ksiądz odwiedzał chorą w jej celi, lecz mimo to pozwoliła Gracjanowi towarzyszyć sobie, a on wiedział dobrze, co znaczy taka przymówka. Gdy weszli do celi, Kordula właśnie wywijala różgą i ujrawszy wchodzącą przeoryszę, szybko różgę rzuciła za łóżko Jowity. Zitta jednak dostrzegła to i rzekła:

— Czyś ty biła Jowitę?

— Nie, odpowiedziała zmieszana; ale nic by nie było dziwnego, gdybym ją kiedy niekiedy różgą karciła, bo ciągle wygaduje bezbożne rzeczy.

Tymczasem Jowita usiadła na łóżku i nieruchomie wpatrywała się w przeoryszę i ojca Gracjana. Nagle wybuchła głośnym śmiechem.

Zdziwiona przeorysza spojrzała na ojca Gracjana, który w tej chwili zmienił barwę twarzy. Co mu się stało? Czy się w nim odezwał głos sumienia?

— Jowita ma gorączkę — zawołała przeorysza. Patrzy na nas wzrokiem upiora.

— Na miłość boską, co ci jest, Jowito? — spytał ojciec. — Czy poznajesz mnie?

Chora milczała nieprzerwanie i przeszywający wzrok utkwiała w pytającym. Po chwili ugryzła się w usta i wrzasnęła:

— Ha, przeklęty! Jeżeli śmierć nieprędko nastąpi... niezawodnie zdradzoną!... Ja będę... przeklęta... ekskomunikowana... Idź precz, przeklęty!... Nie mów mi o niebie, ani o Najświętszej Pannie... Jeżeli Ona wspiera nieszczęśliwych, dlaczego nie przychodzi mi na pomoc... mnie i biednemu stworzeniu, które pod sercem czuję?

To mówiąc, roześmiała się tak silnie, iż trzy obecne osoby struchlały. Przeorysza zbłądła i ze strachu dzwoniła zębami.

— Matko Bożka! — zawołała. — Miałaby Jowita mówić prawdę?

— Teraz mamy ją — ryknęła Kordula tymczasem już w różgę uzbrojona. — Ona brzemienna i to cała jej choroba! — przy tym tak mocno uderzyła chorą po głowie, że aż ta głośno krzyknęła.

— Cicho! — zagrmiał ojciec Gracjan. — Precz z różgą! Czyż nie widzisz, że nieszczęśliwa zwariowała?

— Zwariowała! — powtórzyła przeorysza, załamując ręce ponad głową.

— Czy widzicie tego młodzieńca?... Wojciechu, chodź do mnie... Jeżeli odejdziecie stąd pokalani, to trzy lata pokuty nie wystarczą na mycie brudów waszych!

— Okropność! Okropność! — zawołała przeorysza. — Mówi jak obłąkana.

— Cicho! — nakazał ojciec Gracjan. — Domyślam się powodu jej nieprzytomności. To nie szaleństwo. Słuchajmy, co jeszcze powie.

Po wstrząsającym śmiechu, Jowita wskazując ręką, krzyczała:

— To miejsce demony uczyniły niebezpiecznym... Oto są... Widzę ich... Jednego po drugim... Hola! Ty tam w kącie... dlaczego się tak wykrzywasz?...

A ty znowu tam... Ha! widzisz go, jak ci pod habit włazi?... Już cię ma, uciekaj, uciekaj!

— Wszystkie dobre duchy — uroczyście powiedział ojciec — kochają Boga i Pana! Bóg jest na nich łaskaw, ona jest opętana!

— Opętana! — zawołała przeorysza.

— Boże, ratuj! Tak jest.

— Mój Boże, ona ma diabła w sobie! — wrzasnęła Kordula i rzuciwszy różgę, czym prędzej uciekła z celi.

I przeorysza przestraszona także się ku drzwiom cofnęła, i otworzyła je na wpół, aby w razie potrzeby natychmiast uciec mogła. Tylko ojciec Gracjan pozostał przy łożu chorej i co miał siły huczał *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryja*.

Tymczasem poschodziły się zakonnice. Kordula przebiegła wszystkie klasztorne korytarze i powypędzała z cel wszystkie siostry, wołając:

— Na pomoc! Na pomoc! Zły duch w klasztorze! Jowita opętana!

Nie pytając o nic więcej, wszystkie mniszki całym pędem pośpieszyły do celi Jowity, pragnąc o ile możliwości tego złego ducha ujrzyć na własne oczy, jeżeli tylko przyjął jaką postać cielesną. Chociaż na znak dzwonu na chór zwykły się zbierać bardzo powoli, teraz zebrały się wszystkie rozebrane w celi opętanej i paplając, i popychając się, obstały łożo chorej.

Jowita przyjęła je głośnym śmiechem i wymawiała same tylko niezrozumiałe słowa. Dosyć długo spokojna, zmieniała się na twarzy, płakała i śmiała się, wreszcie zawołała okropnym głosem:

— Dajcie tu noża!... Gdzie jest nóż?... Zabiliście moją matkę, nieprawdaż? Chodźcie tu, pozarzynam was wszystkie jak kury!

Pochwyciła najbliższą stojącą siostrę i byłaby ją zraniła, ale ta krzycząc, wyknęła się z jej rąk.

Zakonnice z przestachu zaczęły mocno wrzeszczeć, a jedna zemdlała.

— Co to za nieszczęście! — mówiły między sobą. — Cały klasztor skalany obecnością demona! Byleby tylko zły duch i w nas nie wstąpił!

— Kiedy wychodzi z jednego stworzenia, to wstępuje w drugie.

— To byłoby okropnie!

— To byłoby przerażające!

I tak wrzeszczały ciągle. Można sobie wyobrazić, jakiego alarmu narobiło trzynaście zakonnice. Tak wielki niepokój i nieprzerwany szwargot zachwiał nawet złym duchem, który mieszkał w Jowicie, zatem uspokoiła się. Skutkiem wstrząśnienia i wycieńczenia zapadła w sen ołowiany i teraz dopiero zakonnice odważyły się do niej przybliżyć i poruszać ją, aby się przekonać, czy zły duch może, i jak mocno, spać.

Korzystając z tej sposobności, przeorysza wezwała siostry, aby wyszły z celi chorej. Ale nadzwyczaj zaciekawione tym, co się stało, zadawały sobie tysiące pytań, jak to być może, aby człowiek mógł być opętany. Po czym tu opętanie

poznać można, jakie są jego następstwa i jak mu zapobiec. Ojciec Gracjan musiał im objaśniać najdrobniejsze szczegóły, a im więcej mówił, tym je bardziej zaciekał. Aby więc w dobry sposób wyprowadzić zakonnicę z celi opętanej, przeorysza prosiła ojca, by siostram w refektarzu udzielił potrzebnych objaśnień, bo i tak już nadchodził czas jedzenia.

Wnet więc cała zgromadzoną mniszek wyruszyła do refektarza, prowadząc pomiędzy sobą ojca Gracjana jak więźnia.

Pobożny człowiek jednak dla płynniejszej wymowy wychylił pierwszej potężną miarkę spirytusu karmelickiego. Zakonnicę siadły wokoło stołów i z największą uwagą a wewnętrznym przestrachem słuchały słów jego. [...]

Zjawiska wykazujące opętanie są tysiąc razy i mógłbym tu jeszcze przytoczyć tysiączne przykłady, gdybym się nie obawiał, że znudzę was, moje siostry. Jakiego rodzaju duch wstąpił w Jowitę, przekonamy się dopiero z zaklęcia, które w każdym razie będzie z nią przedsięwzięte. To tylko pewne, że za wolą Bożą ona musi być uwolniona od tego szatana. Siła duchownego egzorcyzmu zmusi go do wyjścia z ludzkiego naczynia, a do was należy błagać Pana Zastępów, aby szatan więcej nie wrócił w poświęcone miejsce klasztoru.

Na tym zakończył ojciec Gracjan swoją naukę i wyschłe przez długą mowę gardło odwilżył potężnym łykiem z faszki stojącej przed nim z zakonnym napojem. Siostry z pobożnymi minami siedziały przy stole, czekając, aż ustanie zimny dreszcz, który je przejął wskutek opowiedzianych wydarzeń. Wszystkie i każda z osobna tak były wzruszone, iż potrzebowały pewnego czasu na opamiętanie się i uspokojenie. Dlatego żadna teraz nie śmiała podnieść głosu i żądać rozwiązania mnóstwa wątpliwości, które mimo woli im się nastroczyły musiały.

Zadowolony wielkim powodzeniem swojej przemowy ojciec Gracjan zaczął silnie chrząkać, aby przebudzić cicho i markotnie siedzące siostry z marzeń, w jakie przy zastanowieniu się nad tak smutnymi wypadkami mimowolnie wpadły. [...]

Wzburzenie wszystkich mieszkanki klasztoru św. Teresy z powodu opętania Jowity przez złego ducha ojciec Gracjan bardzo korzystnie wyczerpywał na szkodę Jowity i ojca Alfonsa, jej ostatniego spowiednika. Przede wszystkim starał się zniszczyć wrażenie, jakie nauka Alfonsa wywarła na wielu siostrach, które wraz z przeoryszą i bez tego nie mogły się zgodzić na to, że diabeł może opętać zakonnicę. Umiał jednak odwrócić ich od przekonania, że Jowita jest tylko wariatką i wmówić w nie, że diabeł rzeczywiście w niej mieszka. Wiele mu na tym zależało, aby jej nie miano za szaloną, bo w takim razie mogłaby być przeniesioną do domu obłąkanych, co ograniczałoby sferę jego mściwych planów. Jako opętana zaś mógł ją dręczyć według upodobania i mordować, tłumacząc się, że dokucza

tylko diabłowi, który w niej mieszka. Prócz tego, nigdy by nie padło nań podejrzenie, że ten stan spowodował swoim proszkiem, gdyż opętanie bez zewnętrznego wpływu przypisane by być musiało jedynie dopuszczeniu bożemu.

Wkrótce rzeczy doprowadził do tego, że przeorysza i siostry, przekonane jego wymową, rzeczywiście zaczęły uważać Jowitę za opętaną. Przeorysza miała się za bardzo nieszczęśliwą, z powodu że obecność piekielnego ducha odbiera świętość jej klasztorowi i kała go, siostry zaś obawiały się, nie ważyły się chodzić pojedynczo na chór i zęgały się, ilekroć przechodziły około celi opętanej. Nawet Kordula tak dalece bała się piekielnego majestatu, że ledwie dała się nakłonić do dozorowania chorej w przytomności drugiej siostry.

Dzikie wybuchy Jowity powtarzały się od dnia do dnia, często tak dalece szalała, że obie jej dozorkynie uciekały przestraszone. Przeorysza co wieczór truchlając, słuchała opowiadań o tym, co w ciągu dnia Jowita zrobiła lub mówiła.

— Dłużej tak rzeczy pozostać nie mogą — powiedziała do ojca Gracjana. — Trzeba, żeby lekarz jej stan rozpoznał.

— Tylko nie sprowadzajmy lekarzy do rozpoznania tego rodzaju chorób, Zitto! Czy lekarz może się znać na opętaniu? Przyczyną tego stanu nie jest ani krew, ani członki, więc on go wyleczyć nie potrafi.

— Któż więc może jej pomóc?

— Nikt, tylko lekarz dusz, ksiądz. Duchownemu jedynie Kościół udzielił łaski i mocy wyganiania szatana, Kościół, którego piekielna potęga pokonać nie może. Przed duchownym zaklęciem musi ustąpić nieprzyjaciół.

— Czy chcesz podjąć się zaklęcia szatana?

— Czemu nie? Zwracam tylko twoją uwagę Zitto na to, że nie wszystko, co szatan mówi, jest prawdą, bo to duch kłamstwa! I że go nieraz długo, całe lata nawet zaklinać trzeba, nim ustąpi. Nie obowiązuję się zatem wypędzić go ani dzisiaj, ani jutro.

— Miał więc ojciec Alfons słuszność, gdy utrzymywał, że zaklęcie na nic się nie zda i że diabeł ustępuje wtedy dopiero, gdy sam zechce.

— Nie powtarzajże takich kacerstw, Zitto. Zaklęcie zawsze się na coś przyda, a przynajmniej na dokuczenie szatanowi. Jeżeli mu się naprzykrzą ciągłe egzorcyzmy, to przecież na koniec ustępuje; trzeba więc cierpliwie go wypędzać, póki mu się dokuczanie nie znudzi.

— Ha, to w imię Boże chwycimy się tego środka.

Co powiedziano, to wykonano. Ojciec Gracjan ubrany w stułę udał się do klasztornej kościoła, gdzie poszła za nim przeorysza i część sióstr. Nim się przystąpi do zaklęcia, stosownie do rytuału egzorcyzmów, należy pierwszej poświęcić wodę, którą opętany ma być kropiony i mieszać ją z solą.

Zakrystian przyniósł konewkę wody i nieco soli, już święconej, ale mimo to niedostatecznej, bo diabeł tę tylko wodę szanuje, która co tydzień bywa odnawiana.

Po krótkiej modlitwie ojciec Gracjan odwrócił się od ołtarza i zaczął odmawiać błogosławieństwo przepisane rytuałem.

Po ukończonym obrzędzie ojciec Gracjan wziął kropidło, dla poświęcenia według przepisów korytarzy, cel i klasztornych pokojów, by zły duch w razie jeżeli usłucha zaklęć i ustąpić zechce, nie mógł się nigdzie schować. Siostry uszykowane parami szły przed nim, a za przeoryszą postępował Gracjan z zakrystianem, który niósł naczynie z wodą. Tak uszykowany orszak przeszedł przez zakrystię do klasztoru, a podczas gdy ksiądz na prawo i na lewo święcił wszystkie ściany, wszyscy śpiewali przepisane antyfony.

Gdy cały klasztor modlitwami i wodą poświęcony i oczyszczony został, udano się do celi Jowity. Ojciec Gracjan wszedł pierwszy i obficie pokropił ściany i opętana, tak, że zmoczona Jowita drząc, wilgoć z siebie otrząsała. Przeorysza zapaliła dwie woskowe świece i postawiła między nimi krucyfiks, Kordula zaś znowu uzbroiła się w różgę, siostry stanęły przy drzwiach.

Z początku to liczne zgromadzenie nie obchodziło wcale Jowity. Dopiero gdy święcona woda ją zmoczyła, dała znak niechęci i szemrała przeciw księdzu. Oślupiałym i tylko obłąkanym właściwym wzrokiem patrzyła na siostry, lecz była spokojna, nie sądząc, aby cośkolwiek względem niej przedsiębrano.

Uroczyście zatem zaczęto zaklinać diabła. Ojciec Gracjan upomniął siostry, aby się przeżegnały za każdą odpowiedzią szatana i aby zamykały usta, bo ten niegodziwiec w razie wyjścia może wstąpić w którąś z nich. Wszystkim serca biły mocno w piersiach, każda tajemnie bała się, aby naprawdę zły duch w nią nie wstąpił.

Ojciec rozkazał siostrze Korduli, aby opętana usadowiła na krześle przy łóżku stojącym i aby nie dozwalała jej wstawać podczas egzorcyzmu. Po lekkim oporze Jowity umieszczono ją w krześle i ręce w tył związane. Gdy się to stało, Kordula stanęła z tyłu za Jowitą i położywszy swoje łapy jak niedźwiedź na ramionach, mocno ją trzymała.

Teraz już wszystko było gotowe.

Ojciec Gracjan przeżegnał się, a za jego przykładem poszły wszystkie siostry.

— Siostro Jowito, czy poznajesz mnie?

Przez chwilę przypatrywała się mu, jakby namyślając się, potem rzekła z uśmiechem:

— Czy cię poznaję? A któż to mnie tak słodko całował? Któż to kazał mi się zaślubić? Chodź, daj mi pocałunek, kochany mężu!

Podczas tej odpowiedzi siostry czym prędzej się żegnały. Tylko siostra Eufrozyna zapomniała o żegnaniu się; słowa te obudziły w niej uczucie podobne do zazdrości. Ojciec Gracjan zarumieniony, zwracając się do sióstr, rzekł:

— Już szatan z niej przemawia. Pamiętajcie, że niezobowiązany mówić prawdy i że jego zeznaniom dlatego bezwarunkowo wierzyć nie można. W dziedzinie, w której panuje, dano pole tylko przeczeniu, a prawda ma przystęp jedynie jako zniweczone zaprzeczenie: połączenie prawdy z poezją jest rzeczą bardzo w porządku.

Potem, zwracając się do Barbary, dodał:

— Ciebie, siostró Jowito, opętał szatan. Czy wiesz o tym?

— Któż ci to powiedział?

— Czy słyszycie? Szatan przyznaje się, że jest tu obecny. Czekaj, piekielny łotrze, zaraz ja cię tu wywołam.

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, w imię Jezusa Chrystusa, tego Słowa, które się ciałem stało! Zaklinam cię szatanie, jeżeli mieszkasz w tej siostrze, abys mi powiedział, czego żądasz?

Jowita wpoila wzrok w ojca i niechętnie odpowiedziała:

— Czego mnie dręczysz twoimi pytaniami? Daj mi pokój.

— Nie dam ci spokojności, ale rozkazuję ci w imię Boga, odpowiadaj na to, o co zapytam.

— Więc pytaj!

— Czego tu żądasz?

— Lucyfer rozkazał mi mieszkać w tym naczyniu, dopóki mnie z niego jaki święty nie wypędzi.

— Powiedźże mi najprzód, jak się nazywałeś?

— Jowita od Aniołów.

— Kłamiesz szatanie. Tak się nazywa siostra, w której mieszkasz. Wymień twoje imię albo cię do tego zmuszę.

— Nazywam się Zoopyt, to jest poród węża otchłani.

— Czy jesteś sam, czy z drugimi duchami?

— Ja, Zoopyt, jestem przywódca legionu, mnóstwo demonów zostaje pod moimi rozkazami. Jestem jedność i mnogość.

— Wielu demonom przywołasz?

— Legion to nazwa, która liczbami wyrazić się nie da.

Siostry głośno ze strachu krzyknęły. Więc legion demonów mieszkał w ich klasztorze! Z trudnością uspokoił je ojciec Gracjan i oświadczył, że egzorcyzmu przerywać nie można. Po czym pytał dalej:

— Jaki występki jest twoim przymiotem?

Jowita milczała, utrudzona pytaniami i odpowiedziami zwiesiła głowę na piersi. Chociaż ojciec kilkakrotnie powtórzył zapytanie, nie odpowiadała i zdawało się, że zapomniała o tym, iż on przed nią stoi. Nawet gdy ją Kordula silnie wstrząsnęła, nie obudziła się z tego osłupienia. Zamknęła oczy jak śpiąca.

— Diabeł opiera się, powiedział Gracjan. Zamierza umknąć, bo opętana usypia. Znam jego przebiegłość, lecz nie oszuka mnie swoją chytryością. Daj no diabłu różgi! — zawołał na Kordulę.

Ta nieokrzesana siostra zręcznie pochwyciła różgę, przechyliła głowę usypiającej Jowity i mocno uderzyła ją po bladej, zapadłej twarzy. Nieszczęśliwa głośno krzyknęła, a na jej skórze ukazały się liczne czerwone kresy. Z bólu nie

mogła otworzyć oczu, na które padł także zadany raz i jęcząc, schyliła głowę jak dziecko, które nachyla się z obawy bicia.

Zgromadzone siostry z radością przyklasnęły tak srogiemu postępkowi.

Kordula, zachęcona ich zadowoleniem, silnie uderzyła Jowitę po plecach, tak, że ta z bólu zawyła. Ojciec Gracjan kazał jej nareszcie wstrzymać się, nad czym mocno bolały siostry, z okrutną radością słuchające jęków pożałowania godnej istoty.

— Czy będziesz teraz mówił, szatanie? — zaczął znowu zaklinać ojciec Gracjan.

— Chętnie! — płacząc, odpowiedziała Jowita.

— Wyznaj więc twój występki. Jakim duchem jesteś?

— Jestem duchem nieczystym.

— Duchem nieczystości! Dlatego to milczałeś i wzdragałeś się wyznać twą hańbę, niegodziwy! Odpowiadaj mi zaraz, czy zamieszkiwałeś w innych ludziach pierwej, nim ta siostra stała się twoim mieszkaniem?

— Kiedy jednego człowieka opuścić muszę, to szukam sobie innego na schronienie. Do piekła mogę tylko wtedy wrócić, gdy mi to Bóg wyraźnie nakaze.

— Z kogoż więc wyszedłeś ostatnim razem?

— Z nikogo. Przychodzę prosto z piekła, aby ludzi dręczyć po kolei.

— Jakie w piekle miałeś zatrudnienie?

— Karanie potępionych.

— Dlaczego opuściłeś piekło i przyszedłeś na ten świat?

— Ponieważ nie dosyć im dokuczałem, więc Lucyper odebrał mi urząd i rozkazał, abym się udał na świat i kusił ludzi, dopóki nie będę wezwany do powrotu. Poszedłem i wstąpiłem w tę mniszkę.

— Okropność! Krew krzepnie nam w żyłach! — powiedziały siostry, które ze zgrozą przysłuchiwały się opowiadaniom szatana.

Ojciec upominał je, aby się uspokoiły i aby mógł dalej prowadzić zakłęcie. Gdy się uciszyły, wrócił znowu do egzorcyzmu.

— Jakże długo, szatanie, myślisz pozostać w tym naczyniu?

— Aż mnie z niego wypędzą.

— Przez kogo możesz być wypędzony? Co trzeba zrobić, abyś ustąpił?

— Jeżeli święty człowiek dotknie moich ust jakby pocałunkiem, to ustąpię.

— Któż jest tym świętym człowiekiem? — ciekawie spytał ojciec.

— Tego nie powiem.

— Musisz szatanie! Może to ja?

— Odkądże zostałeś świętym?

Odpowiedź taka, która nigdy nie powinna spotkać egzorcysty, uniosła ojca Gracjana takim gniewem, że uderzył Jowitę w twarz.

— Oto masz szatanie, karę za złośliwość twoją. Zaklinam cię, wyznaj, kogo rozumiesz pod nazwą świętego!

— Mojego Wojciecha! Mojego Wojciecha! — zawołała Jowita.

— Wojciech! — powiedział rozczarowany ojciec.

— Wojciech Żarski, były sługa kościelny! — powtórzyła przeorysza. A więc jej kochanek ma być świętym! Co za myśl!

— Gdzież znajduje się ten święty Wojciech? Odpowiadaj szatanie!

— Nie wiem.

— Nie kłam. Wiesz przecież, że od dawna stąd wyjechał.

— Wiem o tym.

— Gdzież teraz przebywa?

— Mógłbym ciebie o to samo zapytać. Może ty wiesz, gdzie!

Według mniemania ojca diabeł znowu stawiał opór. Na wszystkie zadawane mu pytania odbierał niedostateczne odpowiedzi. Jowita ciągle twierdziła, że nie wie o miejscu pobytu Wojciecha.

Nakoniec, strudzona naleganiami, przestała zupełnie odpowiadać na dalsze pytania ojca.

W tym wszystkim obłąkanym właściwym uporze ojciec Gracjan, przejęty namiętą zagorzałością zaklinania, widział tylko opór ze strony diabła, który chciał koniecznie przełamać. Naturalnie nie mogło to nastąpić innym sposobem, jak przez dotkliwe bicie. Bicie mniemanych opętanych jest to ulubiona praktyka egzorcystów. Skądże jednak wiedzą oni, że diabeł, jeżeli rzeczywiście mieszka w człowieku, to bicie także czuje? Musiałby to być bardzo głupi diabeł, który by się tak dobrowolnie bić pozwolił; a jednak wiele było takich wypadków, że domyślnych opętanych zabito na śmierć w mniemaniu, iż się złemu duchowi ten ból zadawało.

Ponieważ Jowita usiłowała rozwiązać skrupowane w tył ręce swoje, więc się obie z siostrą Kordulą szamotały. Udało się jej powstać z krzesła. Ale Gracjan, może z bojaźni, aby na niego się nie rzuciła, a może przez zemstę za to, że wołała innego, porwał nieszczęsną i aby ją mógł należycie ukarać, powłókł na łóżko i przywołał na pomoc Kordulę i inne siostry. Kordula wpadła zaraz na Jowitę i przytrzymała ją mocno na łóżku, zarazem pochwyciła różgę, a inne siostry całymi siłami Jowitę do łóżka przyciskały.

— Bij! Bij dobrze! — zachęcał ojciec Gracjan.

Wszystkie siostry obnażyły plecy Jowity. I nie wstydziły się. Był to widok zwyczajny dla kobiet klasztornych. Rozpoczęło się więc bicie opętanej.

Już po pierwszych cięciach Jowita zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Gdy usiłowała się oswobodzić, trzymające siostry biły ją pięściami w głowę i w kark. Za każdym uderzeniem kurczyła się, za każdym cięciem przejmujące wydawała krzyki.

— Włóżcie jej głowę pod poduszki, aby nie mogła tak krzyczeć! — rozkazał ojciec Gracjan. Tylko bić, może diabeł ustąpi.

Wśród głośnych oznak zadowolenia sióstr, Kordula biła coraz wścieklej, a Jowita wiała się z bólu po łóżku. Spod poduszek wychodziły tylko przytłumione tony,

ale po kurczeniu się członków widziano, że okropnie cierpi. Wkrótce ukazały się na jej ciele krwawe kresy, a nakoniec zaczęła tryskać z nich krew.

Na ludziach obyczajnych taka scena, jeżeli jej gdzie mimo woli towarzyszyć muszą, czyni najboleśniejsze, najbardziej upokarzające wrażenie. Ale serc oblubienic Boskich ta scena nie poruszyła.

Jowita, córka szlachetnego ojca, pochodząca z jednej z najznakomitszych rodzin, była teraz ofiarą najwyuzdańszej srogości, najbardziej oburzającego okrucieństwa roju mniszek, którymi kierował mnich zemstą zięjący. Takież to szczęście oblubienicy Chrystusa?

Różga Korduli nie spoczywała. Ona sama już się biciem zmęczyła i potrzebowała na przemian to prawej, to lewej ręki. Zatrzymała się na chwilę, zaczerpnęła powietrza i sapiała:

— Już mi ręce zdrętwiały. Zmordowałam się.

— Dosyć już tej lekcji! — zauważyła przeorysza, która, jak się zdawało, miała jeszcze w sobie cokolwiek ludzkiego uczucia. — Dajmy już jej pokój!

— Jak chcecie — odpowiedział ojciec. — Ale kobietą litością diabła nie wypędzicie.

Kordula położyła skrwawioną różgę, a siostry puścili Jowitę. Ale ta pozostała na miejscu nieruchoma. Jasna krew obficie płynęła z obitego miejsca i plamiła łóżko i podłogę.

Kordula na wezwanie ojca rozwiązała ręce, których stawy, również wskutek silnego skrępowania, krwią pozachodziły. Mocno wstrząsnęła Jowitę, wzięwszy ją za ramiona, ale ta nie poruszyła się.

— Zemdlą! — lekceważąc, powiedział ojciec. Obmyjcie ją i odmówcie *Zdrowaś* za nią, aby ją Bóg od złego wybawił.

Zakłęcie należało odłożyć. Jowita leżała mocno zemdlą, należało ją przeto przenieść do łóżka. Siostry porozchodziły się do swoich cel, a przeorysza zaprosiła do siebie ojca Gracjana na obiad.

Gdy zemdlą wskutek tak okropnego obejścia Jowita leżała na górze w swojej celi, w kilka minut później zakonnice i ojciec siedzieli w refektarzu na dole i wśród wesolej gawędki śmiali się z kary, której uległa opętana.

„Tout homme est homme, et les moines sans dout”, mówi La Fontaine. [...]

51. Jeszcze miłość chrześcijańska

„Wszystko, co istnieje na świecie, ma prawo istnieć na nim”, mówi Linneusz we wstępie do swojego traktatu o jadowitych płazach.

Rzetelności tego twierdzenia nie można zbijać bezwarunkowo. Jednak świat, który środek ciężkości w naszym własnym rodzie widzi, stara się wyswobodzić z tego, co uważa za szkodliwe dla siebie i już tyle żużli usunął, że powoli ukazuje się zacniejszym, jak w poprzednich wiekach.

I tak, od dawna już potępił on klasztorne życie, nie przeszkodziło to jednak potomności wlec się po drodze starego zwyczaju. Wyniszczyć zakorzenione złe jest trudno, chociaż budzi się lepsze pojęcie, chociaż przekonanie o wykorzenieniu tego złego stało się powszechnym. Wróćmy znowu w mury, poza którymi zabijają ducha i męczą ciało!

W Krakowie, w klasztorze karmelitek znajdujemy znowu Barbarę. Właśnie dostawiono ją tam. Przeorysza niezbyt ucieszyła się z jej przybycia. Znajdowała się ona ze spowiednikiem, ojcem Hyginem i jedną siostrą w parlatorium, gdzie także obecna była Barbara.

Przeorysza miała rysy ciemne, suche i pomarszczone jak jej habit. Oblicze miała martwe jak śmierć, a tylko oko jej żyło i surowym spojrzeniem mierzyła dostawioną zakonnicę. Miałaby matka Tarsylia nie być podobną do swoich poprzedniczek? Chodzi wieść po Krakowie, że przełożone tego klasztoru były to po większej części furie albo zakamieniałe diablice i jak mogło być inaczej, kiedy tylko takie przymioty do tego stanowiska prowadziły?

Matka Tarsylia trzymała właśnie jakieś pismo w ręku. Przeczytała obecnym doniesienie wikariusza ojca Urbana Wergifosseog o schwytaniu i odtransportowaniu Barbary.

— Zostawiony przez ojca Gracjana rysopis zupełnie zgadza się z jej osobą — zauważył ojciec Hygin. Ale żeby usunąć wszelką wątpliwość co do jej tożsamości, proszę przywołać warszawską eksprzeoryszę.

Przeorysza zgodziła się na ten projekt. Kazała zadzwonić na siostrę Zittę, która też wkrótce zjawiała się.

Niespodziane wzajemne spotkanie wielkie wrażenie wywarło tak na Zitcie, jako i na Barbarze. Obie przelewały się wzajemnie: Barbara, bo ujrzała w Zitcie swoją dawną dręczycielkę, a ta, że w Barbarze upatrywała mścicielkę.

Zitta natychmiast stwierdziła, że ta kobieta jest zbiegłą zakonnicą Jowitą i ostrzegła zarazem matkę Tarsylię, iż obecność tej opętanej zanieczyści klasztor. Lecz gdy przeorysza wyjaśniła siostrze Zitcie, że nie ma żadnych opętanych i że w tym domu nie ścierpi propagowania takich twierdzeń, naradzała się ze swoim *alter ego*, młodym księdzem Hyginem, co dalej czynić wypada.

— Ja życzyłabym — rzekła do niego — aby siostrę oddano światu. W naszym domu ona tylko niepokój robić będzie. Cóż pocniemy z chorą siostrą? Musimy jedną osobę więcej żywić, a sami zaledwie z czego żyć mamy. „Bóg daje pożywienie małym ptaszętom”, mówi Racino, lecz za złamanie ślubu może powinniśmy ją zamknąć? — Jeżeli śmiem zalecać ci matko największą łaskę, bo znam twoje nieskończenie dobre serce, to poprzestań na wymierzeniu jej kary trzeciego stopnia!

— Uczynię jej tę łaskę. Może i dla mnie Bóg raczy być łaskaw!

Barbara, czyli jak ją znowu nazwano, Jowita z osłupiałą spokojnością wysłuchiwała swojego losu. Nieszczęście zupełnie ją przybiło, a gdy się znowu ujrzała w ręku zakonnic, stała się znowu tak apatyczną jak dawniej. Najmniejsze nawet

serce gnie się tylko do pewnego stopnia nieszczęścia; jeżeli los zanadto je przesładuje, to twardnieje.

Przeorysza powtórzyła nieszczęśliwej jej wyrok. Ta, według zwyczaju, na podziękowanie ucałowała jej rękę. Jedna z siostr zabrała ją zaraz ze sobą do sali karnej. Przeorysza poszła za nimi, a spowiednik pożegnał się.

Wzdłuż ścian sali przybite były przyrządy do zawieszania sukien — jako to: ciemnych habitów, jeszcze grubszych koszul i spodni, a nad sukniemi stały drewnianka ze skórzanymi rzemykami, tj. sandały. Wisiało tam także mnóstwo dyscyplin, większych i mniejszych, pasów pokutnych i łańcuchów.

Przeorysza rozkazała Jowicie rozebrać się. Z początku opierała się ona temu, trzęsła się i drżąc, zgrzytała zębami i odepchnęła od siebie siostrę, która się do niej zabierała. Ale gdy przeorysza pogroziła dyscypliną, pozwoliła spokojnie zdjąć z siebie świeckie suknie. Zdejmowała je po kolei i ukazały się wszelkie powaby ciała Jowity, które mimo okrutnego obchodzenia się z nią w poprzednim klasztorze dotąd jeszcze posiadała. Ale jej alabastrowa skóra miała na sobie wiele blizn, wskutek dobrowolnych i przymusowych biczowań.

Przeorysza i tak zwana siostra pokutna, która Jowitę rozbierała, z zadowoleniem przypatrywały się kształtom swojej ofiary. Lecz nie było to zadowolenie, jakie zawsze nastęrcza piękność, lecz w oczach tych żeńskich szatanów malowała się jakaś żądza drapieżnych zwierząt, patrzących chytrze na pochwycony łup. Ich spojrzenia zdawały się mówić: „Oto wyborny egzemplarz do urągania się karą stworzeniu Bożemu”.

Ostatnie okrycie jeszcze nie spadło. Siostra pokutna przyszła z nożyczkami i gładko obcięła włosy Jowity, które od czasu wyświęcenia nieco jej były odrosły.

Przystąpiono do początku kary.

Kara ma trzy stopnie. W pierwszym stopniu trzeba się biczować samemu przez dni cztery i wymawiać głośno siostrom swoje grzechy. W drugim stopniu trzeba się biczować przez ośm dni dwa razy dziennie i przyjmować tylko chleb i wodę. W trzecim stopniu biczowanie odbywa się przez dni dwanaście, po trzy razy na dzień, po każdym *Pozdrowieniu Anielskim*, nie chodzi się do komunii, dostaje się tylko chleb i wodę, i przebywa się w areszcie.

Ta skala klasztornej praktyki udoskonalenia na pierwszy rzut oka nie wydaje się tak niebezpieczną. Skoro jednak pomyślimy, że każde uderzenie zadaje 36 cięć (a zatem to mała dyscyplina, bo wielka ma 300 rzemyków) i to cięć wymierzonych z całą siłą na obnażone plecy i lędźwie, zapewne przyznamy, że to kara bardzo przykładna. Ale jeżeli taka kara powtarza się kilkakrotnie na dzień, jeżeli tak nierozsądnie katowane ciało żywi się tylko chlebem i wodą, rzecz jasna, że taka kara, mianowicie trzeciego stopnia, wychodzi na zupełne skazanie na śmierć.

Religijne szaleństwo jest najniebezpieczniejszym obłąkaniem i nigdy wyłączonym być nie może. Gdzie na całym świecie wymaga Bóg tak nierozsądnego mordowania siebie? I nie jestże to szaleństwo z miłości dla Boga, prawie się na śmierć

biczować? Czyliż rzeczywiście innym sposobem nie można okazać miłości Bogu? Tak jest i właśnie kobiety okazują w tym największą rozkosz! Wiadomo, że podczas rewolucji francuskiej kobiety daleko przewyższały mężczyzn w niemiłosierdziu, ale tak nieustanne okrucieństwo, jak kary klasztorne, nigdy podżęgnięciem ducha usprawiedliwić się nie dadzą. W sali karnej było tylko małe okienko, niewiele światła wpuszczające. Siostra pokutna i światłu wejść nie dozwoliła, bo okno zakryła zieloną zasłoną. Teraz zdjęto z Jowity ostatnie okrycie, stała obnażona, jak mieć chce przepis o biczowaniu.

Na środku sali u sufitu zawieszono były dwa sznury, a na ich końcach umocowane żelazne pęta na ręce. Tam siostra przyprowadziła pokutującą Jowitę i spętała jej ręce. Sznury wisiały w odległości dwóch kroków od siebie; gdy Jowitę do nich przymocowano, pociągnięte zostały prostym mechanizmem tak, że Jowita, mając ręce w górę wyciągnięte, zaledwie palcami nóg ziemi dotykała.

Przeorysza zaczęła teraz odmawiać głośno siedm psalmów pokutnych. Stosownie do brzmienia jej głosu siostra pokutna oburącz wywijając dyscypliną, zadawała silne razy plecami Jowity. Przy tym liczyła powoli: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć, dziesięć...

Nieszczęśliwa Jowita! Już przy dziesiątym cięciu zaczęła mocno krzyczeć, bo dotąd ból wytrzymywała. Ale siostra pokutna biła coraz mocniej, z każdym cięciem wzrastała jej gorliwość, a im mocniej biła, tym większą miała zasługę.

Jowita zaczęła się kręcić i jęcząc z bólu, wic się wkoło; ale siostra pokutna pozostała na miejscu i zadawała razy, nie troszcząc się, gdzie padną.

Gdy przeorysza siódmy psalm skończyła, naliczyła też i siostra pokutna 36 zadanych razów. Popuściła sznury, na których Jowita wisiała, a ta padła na kolana. Siostra pokutna zdjęła jej z rąk pęta, Jowita zemdlna leżała na podłodze.

Krzyk jej przemienił się w jęk, wreszcie ucichł zupełnie.

Siostra pokutna przyniosła koszulę, okrycie, parę sandałów i rzuciła je na zemdlałą. Gdy przeorysza odsłoniła okno, pokazała się krwią świeżą zalana podłoga, a sznurki jeszcze się bujały.

Siostra pokutna podniosła wtedy omdlałą i przeciągnęła ją do przyległej celi. Tam był tapczan z siennikiem, dzbanek z wodą i kawałek czarnego chleba, a naprzeciw, na ścianie — krucyfiks. Rzuciła ciało Jowity na łóżko i zamknęła celę, a klucz oddała przeoryszy.

Trzy razy dziennie powtarzała się ta straszliwa scena, rano w południe i w wieczór, kiedy dzwoniło na *Anioł Pański*.

Dwanaście dni trwało to męczeństwo. Była to kara trzeciego stopnia, w ogólności 1296 razy! Oto miłość chrześcijańska!

Okropność!

Czyli żeś Panie taką miłość nakazał?

Dziwi nas bardzo, że Jowita nie padła ofiarą tak barbarzyńskiej srogości. Ciało miało zupełnie osłabione z powodu poprzedniego przez wiele lat znoszonego

niedostatku w klasztorze, tudzież przejść ostatnich połączonych z nieporządnym życiem, była delikatnie zbudowana, nie mogłaby więc nigdy wytrzymać takiej kary, gdyby nie żelazna wola i nieposkromiony upór, który ją ciągle utrzymywał i znośną równowagę przywracał.

Ten upór i nieugiętą siłę woli odziedziczyła po swojej matce Elce, a jeżeli dołąd rzadko zwracaliśmy uwagę na ten przymiot jej charakteru, to niestety, przyczyną tego była jej własna wola, zgodnie z klasztornym posłuszeństwem ulegać swojej zwierzchności. [...]

Było to o północy. W klasztorze panowała najzupełniejsza cisza. Jakaś zakonnica w podartym habicie, jakaś błąda wynędzniała postać, włóczy się o tej godzinie upiórów po ogrodzie. Jak duch podbiega pod mur. Nagle staje. Z zewnątrz, z ulicy przechodzącej pod klasztorem słysząc lekkie gwizdnięcie. Zakonnica porywa sznurek, rzucony przez mur i podwójnie obwija nim swoje ciało, kaszle i na ten znak ktoś z zewnątrz ciągnie za sznurek, a zakonnica podnosi się ku niemu, rękami o mur się opierając. Wtem urywa się sznurek i ona pada na powrót do ogrodu. Wydaje przytłumiony okrzyk bólesci, ale zrywa się i jeszcze raz okręca się na nowo przez mur przerzuconą liną. To samo kaszlnięcie, ten sam znak, to samo wznoszenie się, dostaje się na szczyt muru, czołga się po nim i znajduje drabinę. Schodzi na dół i na pół omdlała pada w objęcia Wojciecha.

Pierwsza część ucieczki udała się. Powóz, który Wojciech zamówił, nie przybył. Zmarł się więc niezmiernie, tym bardziej, że Barbara przez upadek tak skaleczyła kolano, iż ani stać, ani iść nie mogła. Koniecznie wymogła, aby ją jak najprędzej stąd unieść. Wojciech sam był jak błędny, nieprzytomny. Zaniósł Barbarę do przyległej oberży, gdzie gospodarzem był szewc, kazał sobie dać osobny pokój i wymógł na gospodarzu milczenie. Podczas gdy kładł Barbarę w łóżku i zmywał krew oraz obrzmiałość z miejsc pokaleczonych, gospodarz wydał tajemnicę swojej żonie. Gospodyni, wielka bigotka, nazajutrz jak najraniej pobiegła do zakonnic i powiedziała, gdzie się znajduje zbiegła karmelitka. Przeorysza kazała jak najprędzej sprowadzić spowiednika, który znalazł jeszcze na murze sznury i drabinę, bo ich Wojciech z powodu takiego stanu Barbary zabrać z sobą nie mógł. Ojciec Hygin wraz z posługaczką udał się do szewca. Gdy wszedł do pokoju, głęboko zasmucony Wojciech siedział przy łóżu Barbary, lecz na widok księdza, skoczył jakby piorunem rażony.

Ojciec Hygin, nic nie mówiąc, pobłogosławił Barbarę, która dziko patrząc na niego, zawołała:

— O Boże! Teraz jestem zgubiona! Wojciechu ratuj mnie!

Nastąpił gwałtowny spór między Wojciechem a spowiednikiem. Ten utrzymywał, że Jowita jest obłąkana i starał się mianowicie przekonać o tym gospodarza, zwanego Halman. Również starał się uspokoić Barbarę tym, że się jej

nic nie stanie; ale ona nazwała to kłamstwem i prosiła, załamując ręce oboje, gospodarstwo, aby jej karmelitkom nie wydawali, że nie chce wcale wracać do klasztoru i woli umrzeć.

Wojciech nakoniec rzucił się na spowiednika i chciał go za drzwi wytrącić, ale Halmen, człowiek silny, schwycił go z tyłu i wypchnął z wielką trudnością z pokoju, po czym drzwi zaparł.

Wojciech przekonał się, że oboje z Barbarą są zgubieni. W rozpaczę poszedł sam, nie wiedząc gdzie. Był wściekły.

W Krakowie nie widziano go wcale. Policja, która go poszukiwała, była zdania, że utonął w Wiśle. Wojciech wieczorem uciekł był z klasztoru, zostawiając w łóżku człowieka ze słomy wypchanego, którego znalazł w klasztorным ogrodzie. U przyjaciela swojego, Ograbiszerskiego, który o wszystkim wiedział, przemienił habit na odzież świecką, zabrał swoje papiery i nieco pieniędzy, i pożegnał go. Smutny skutek ucieczki znamy.

W rok później, po rozmaitych przygodach losu, Wojciech dostał się do Londynu. Przyciśniony ostatnią nędzą sprzedał swoje rękopisma handlarzowi książek Jedediahowi Pumpkinsowi. Niech sobie teraz łaskawy czytelnik przypomni oba rękopisma. Ojciec Alfons opuścił w Londynie swojego pana lorda Ainswortha i pod dawną firmą Jedediaha Pumpkinsa na nowo otworzył tandeciarski sklepik. Wojciech Żarski opowiedział mu całą swoją i Barbary historią i pozostał u niego w służbie jako kupczyk. Lecz nie długo. Z żalu stracił rozum, a stała myśl, że jest człowiekiem bez głowy i że zamordował Barbarę, już go opuścić nie chciała. Jego przełożony, master Pumpkins, umieścił go przeto w wielkim domu obłąkanych w Londynie. Tam nieszczęśliwy Wojciech umarł w roku 1863. Pumpkins uzupełnił pozostałe po nim rękopisma, część ich sprzedał, a część zatrzymał. Oba te rękopisma kupiliśmy w Londynie i w Paryżu, przetłumaczyliśmy je i przerobiliśmy na romans pod tytułem: *Człowiek bez głowy*. Wówczas nie myśleliśmy, że on ma tak bliski związek z mniszką Barbarą Ubrykówną i niezmiernie nas zdziwiła wiadomość o jej wynalezieniu. *Człowiek bez głowy* został tedy odpowiednio obrobiony, mimo to jednak wstrzymaliśmy jego pojawienie się. Udaliśmy się jeszcze raz piśmiennie do byłego karmelity, a teraz handlarza książek Pumpkinsa do Londynu, z prośbą o dokładniejsze wiadomości o Barbarze — i oto znalazł on jeszcze korespondencję Wojciecha z Barbarą, którą wyżej przytoczyliśmy, dostarczył nam nadto jeszcze innych punktów wyjścia, które sprawiły, że dzieło nasze nie tylko jest dosyć zgodnym z prawdą, lecz wyczerpującym życie klasztorne i usprawiedliwiającym wrażenie, jakie pojawieniem się swoim wywołało w starym i nowym świecie.

Oba rękopisma na tym się kończą. Dalszą historią nieszczęśliwej zakonnicy czerpiemy z jej akt śledczych.

54. *In pace*, czyli: co opowiada podziemne przejście

Gadatliwość żony szewca Halmana, mimo najusilniejszych prośb ojca Hygina, postarała się o to, że nie tylko całe miasto Kraków dowiedziało się o chybionej ucieczce karmelitki, ale nadto generalny wikariat biskupi, a to jeszcze tego samego dnia przed południem. Gazety wspomniały wówczas o tym tylko pobieżnie. Nikt nie wiedział, kto była owa zakonnica, ani jak się nazywała i tak wkrótce zaprzestano mówić o całym tym wypadku.

Przeciwnie, generalny wikariat biskupi natychmiast rozkazał wyprowadzić śledztwo i tymczasowo zamknąć mniszkę za przełamanie klauzury. Rozkaz ten przeorysza otrzymała o południu. Ona i jej dzielny spowiednik, ojciec Hygin, o którym w pewnych kółkach Krakowa nie bez zasady utrzymywano, że jest synem czcigodnej matki Tarsylii, pochodzącym z duchownego małżeństwa, nie bardzo się zbudowali tym biskupim dekretem. Śledztwo skoro się rozpocznie, wyda na jaw rozmaite rzeczy, które na cały klasztor rzucą jak najgorsze światło. Tarsylia zatem i Hygin postanowili o losie Jowity rozstrzygnąć stanowczo na zgromadzeniu wielkiej kapituły, na odbycie której Hygin jeszcze tego samego dnia otrzymał pozwolenie przeora wizytatora.

Klasztory mają swoją własną jurysdykcją, według której sądzą, wyrokuja i karzą, której na mocy opieki konkordatów ani rząd, ani biskupi zaprzeczać nie mogą. Tym sposobem tworzą one rząd w rządzie, rzeczpospolitą w monarchii.

Nazajutrz rano zgromadziła się cała kapituła, przeorysza z czterema doradczyniami, które dzisiaj wystąpiły w siwych ubiorach, tudzież wszystkie siostry. Narada trwała całą godzinę; wreszcie wyrok już był poprzednio wydany, bo go ojciec Hygin skreślił, a cztery powiernice potwierdziły. Brzmiał następująco:

Postanowienie konwentu karmelitek bosych Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny.

W obecności czcigodnej matki przeoryszy Tarsylii Dołgorówskiej i czterech doradczyń itd. Postanowiono:

i. Dawniejsza Jowita od aniołów Ubryk, później siostra świecka, a teraz *discola* (odrzucona) z zakonu winną jest dopuszczania się niemoralnego postępowania.

ii. Ciągłych niespokojności, przekraczania reguł, złodziejstwa, chytrych napaści itd.

iii. Wyprzysiężenia się łaski Chrztu Świętego i oddania się diabłu.

iv. Niegodnego komunikowania, świętokradztw i obrazy boskiej.

v. Naruszenia ślubu czystości przez stosunek miłosny z nowicjuszem zakonu Wojciechem Żarskim, również:

v. Naruszenia haniebnie ślubu posłuszeństwa, ubóstwa i mianowicie samotności, przez ucieczkę, której się dopuściła w dniu 25 maja 1848 r. dopelnioną.

Gdy więc ta *discola*, według świętych reguł matki naszego zakonu św. Teresy, dostatecznie zasłużyła na śmierć przez zamurowanie, gdy kara ta dla Majestatu Boskiego i dla zbrodni haniebnych godności naszego świętego zakonu uwłaczających byłaby za małą, przeto w imieniu Trójcy Świętej, Boga Ojca, Jezusa Chrystusa, Syna Jego i Ducha Świętego, tudzież Wszystkich Świętych, a szczególnej Świętej Teresy, skazaną zostaje:

- I. Na odprawienie trzydniowej kościelnej pokuty;
 - II. Na ochłostanie przez wszystkie siostry, na odarcie z zakonnej odzieży i na pozbawienie duchownej godności;
 - III. Na ogłoszenie za umarłą i na wykreślenie z listy zakonu;
 - IV. Na pozbawienie mszy świętej i komunii; i na koniec
 - V. Na wieczne zamknięcie.
- (Tu następują podpisy wszystkich sióstr).

O zarzucie nieczystości pobożne siostry zamilczeć wołały. Tak jest, wiadomo rzeczywiście, iż zakonnice dopuszczają się potajemnych grzechów, iż w klasztorach istnieją grzechy, których „przewrotny” świat, dzięki Bogu, wcale nie zna, grzechy przedstawiające najwyrafinowsze płciowe rozkosze, grzechy, które bez klasztorów nigdy by nie istniały!!! Jednak nie możemy zaprzeczać, że Barbara w złej godzinie upadła. Tu chodzi tylko o odparcie zarzutu nieczystości.

Przypomnijmy sobie listy Barbary do Wojciecha: jest tam mowa o tym wypadku, ale zarazem przedstawiono tam jasno dążność przeoryszy i mniszek do moralnego i fizycznego jej zgubienia. Wiemy, co sądzić o wszystkich tych zarzutach. Odebrano jej brewiarz, zabroniono uczęszczać do kościoła, modlić się, a potem obwiniano ją o porozumienie z diabłem, o obrazę Boga. Doprowadzono ją do rozpacz, aby się sama zabiła, doprowadzono ją do szaleństwa, aby ją o opętanie obwinić można było. Jeżeli rzeczywiście była tak bezbożna, tak niebezpieczna, dlaczegoż raczej nie wygnano jej z klasztoru?

Gdy postanowiono ten okrutny wyrok, wprowadzono Jowitę i odczytano jej takowy wśród uroczystej ciszy. Jedna tylko siostra Agnieszka płakała, ale wyrok ten także podpisała. Jowita wysłuchiwała go zimno, nie zdradziwszy się żadną miną. Umarła już była dla świata, od chwili, w której ostatnia jej nadzieja tak srogo zawiedziona została.

Po czym oświadczyła jej przeorysza, że po południu wyrok wchodzi w wykonanie, a siostry ostrzeżono, aby się nie zanieczyszczały jej dotknięciem.

Tymczasem ukazał się w klasztorze wysłany z generalnego wikariatu biskupiego wizytator w osobie kanonika Bomella. Ale, mimo biskupiego pełnomocnictwa, nie dopuszczono go do wizyty. Przeorysza oznajmiła mu, że biskup nie ma prawa wtrącać się do ich spraw klasztornych, a tylko generał zakonu może zarządzić nadzwyczajną wizytę. Spowiednicy oświadczyli, że jeżeli biskup zechce interweniować, to nie będą odprawiali mszy w kościele, ani

żadnych w klasztorze duchownych obowiązków sprawowali, bo przez to przeorysza i konwent wezmą udział w cudzych grzechach. Wskutek tego Bomell oddalił się, a biskup zabronił wizyty i wyprowadzenia śledztwa. Przeorysza tedy wygrała sprawę.

Po skończonym obiedzie przeorysza ukazała się w celi Jowity, a z nią mniszka niosąca bardzo grubą pokutną suknię. Mniszka milcząc, zerwała czarny kwef z głowy Jowity, tudzież całe ubranie. Gdy Jowita stanęła nago, wrzucono na nią pokutną suknię, zaczynającą się pod szyją i aż do stop spadającą. Głowę miała odkrytą, nogi bose.

Tymczasem zbliżyły się wszystkie siostry i uszykowały w dwa długie rzędy, śpiewając litanie. Włożono Jowicie na szyję sznurek i dano gorejącą pochodnię w jedną, a dyscyplinę w drugą rękę. Jedna zakonnica podchwyciła za koniec sznurka i ciągnęła Jowitę pomiędzy obu szeregami, a cała procesja śpiewając, ruszyła do sali modlitwy, na której małym ołtarzyku paliły się dwie świece. Przeorysza rozkazała Jowicie, aby Boga i całe zgromadzenie prosiła o przebaczenie za zgorzenie, jakiego się dopuściła. Bliżej stojące zakonnice podpowiadały jej po cichu, co ma mówić; powtarzała więc wszystko słowo w słowo. Potem pokutną koszulę obciągnięto aż do połowy ciała i tu przymocowano ją żelaznym pokutnym pasem. Zgaszono świece i procesja udała się na dół, w podziemia, aż do zakrystii. Tu odzwiertna otworzyła drzwi ukryte w niszy i wprowadzono Jowitę na sznurku do zimnej, ciemnej izby. Siostry powoli śpiewały *Miserere*, a tylko pochodnia, którą Jowita trzymała w ręku, ponuro oświeślała podziemne przejście, aż wszyscy przybyli do czworokątnej trupiarni. Siostry drżały od zimna, woń trupia z psujących się ciał tamowała im oddech, szczury, żyjące pośród kości spoczywających tu siostr, przerażały je. Znajdowano się pod wielkim ołtarzem kościoła.

Przeorysza kazała Jowicie klęknąć, każda siostra przystępowała do niej i wymierzała dyscypliną trzy silne razy... Gdy to skończono, jedna mniszka wyjęła z rąk pokutującej pochodnię, a procesja wróciła znowu na światło dzienne, milcząc i pozostawiając tam Jowitę. Ta pozostała tu na pokucie aż do wieczora, póki jej znowu ta sama procesja nie zabrała i nie zamknęła w karnej celi.

Przez trzy dni powtarzała się ta sama ceremonia, a pokutującej nie dano ani chleba, ani wody. Czwartego dnia rano stawiono ją przed kapitułą, dla otrzymania drugiej części kary. Jeszcze raz ubrano ją w suknie zakonne i te odbierano jej potem sztuka po sztuka, aż została w pokutnej koszuli. Przeorysza oświadczyła jej, że teraz ubioru zakonnego i godności duchownej na zawsze już jest pozbawiona i wolno każdej siostrze czynić jej wstyd i hańbę. Wpadły więc na nią, płuwały jej w twarz, biły pięściami z tyłu i przodu, rwały włosy z głowy; słowem: każda według upodobania dopełniała okrucieństwa na nieszczęśliwej. Jowita padła na kolana, bo już stać nie mogła; przez trzy dni pokuty sypano jej pod nogi tłuczone szkło, tak, że jej pokaleczone nogi stanowiły jedną ranę. Bita i kluta igłami przez mniszki najokropniej z bólu jęczała. Przeorysza lękała się, aby za wcześniej nie omdlała, kazała więc chłostać odrzuconą. Mniszki

uszykowały się w dwa rzędy, a w środku umieszczono ławkę. Obnażono Jowitę zupełnie, położono ją na ławce, dwie siostry trzymały ją za ramiona, dwie drugie za nogi. Po kolei występowała jedna mniszka po drugiej i brzoową różgą wymierzała nieszczęśliwej liczne razy, gdzie jej się podobało. Przeorysza przyłożyła jej do skrwawionej nogi zapaloną gąbkę i trzymała, aż póki się nie zwęgeliła.

Gdy na koniec wszystkie mniszki dostatecznie nasyciły swoje tygrysie serca, Jowita od dawna omdlała. Spadła z ławki nieruchoma stękała, lecz przyszła do siebie. Zostawiono ją obok pokutnej sukni leżącą we krwi, zamknięto salę kary i udano się do chóru dla zaśpiewania *Ciebie Boże chwalimy*. Temu, który powiedział: „Nie sądźcie, aby i was nie sądzono!”

Jeszcze tego samego dnia nazwisko Barbara Jowita Ubryk zupełnie wykreślone zostało z ksiąg znajdujących się w tajemnym archiwum w zakrystii. Ojciec Hygin wyskrobał to nazwisko.

Od trzech dni zalecono zgromadzeniu klasztornemu, aby się modliło publicznie za tę pożałowania godną istotę, mniszki obłudnie odprawiały modlitwy za „odrzuconą”. Teraz nadszedł dzień, w którym na wieki miała zostać uwięzioną. Gdy się mniszki przed obiadem udały do chóru, przeorysza z faworytkami swoimi znowu wróciła do karnej sali do Jowity. Rozwiązano jej ręce, przy czym Jowita krzyczała, sznury aż do krwi ciało jej poprzerywały.

— Módl się po raz ostatni! — nakazała przeorysza. Nigdy więcej nie ujrzysz krzyża świętego!

Odebrano jej żelazny krucyfiks, postawiono ją na nogi i narzucono wreszcie na nią pokutną koszulę. Dwie posługaczki wzięły ją pod ręce, trzecia popychała ją z tyłu, a przeorysza kazała jej iść. Tak szła, nie wiedząc dokąd, ale przekonana, że ją teraz wiodą na stracenie, szeptała więc:

— O Boże, zlituj się nade mną! O Boże, dopomóż! O Boże, nie opuszczaj mnie i Boże przebacz, jeżeli cię obraziłam!

Przybyli do chóru. Mniszki klękały już w swoich stallach. Na środku chóru stała trumna. Przed nią postawiono Jowitę. Zamarłym wzrokiem patrzyła na cztery deski, które ciało jej przyjąć miały.

Mniszki zaczęły przez nos odprawiać modlitwy. Dwie z nich wzięły Jowitę i położyły w trumnie, przy niej postawiono dwie zapalone świece i kociołek ze święconą wodą. W kościele spowiednik, ojciec Hygin, odprawiał mszę żałobną. Podniesienie i komunika już przeminęły, bo tym dwom tajemniczym ofiarom ołtarza „odrzucona” nie powinna była towarzyszyć.

Przy końcu mszy odezwał się dzwon za umarłych. Niejeden pobożny krakowianin, który wówczas przechodził, zdjął kapelusz i odmówił *Zdrowaś* za mniszkę, która według jego mniemania umarła.

Zarzucono całun na Jowitę. Ojciec udzielił rozgrzeszenia *in articulo mortis* i głębokim głosem odśpiewał wigilię za umarłych.

Mniszki odpowiadały mu. Nastąpiła litania do wszystkich świętych i pieśń:

Od wrót piekła.
Wybaw, panie, jej duszę.
Requiescat in pace!
Amen.

Dzwon umilkł, ojciec odszedł od ołtarza, mniszki powstały ze stali. Pojedynczo przychodziły do naczynia ze święconą wodą, kropiły nią Jowitę i odchodząc z chóru mówiły:

— *Requiescat in pace!*

Znowu dwie z nich zdjęły całun, zagasły świece i wezwały Jowitę, by wstała z trumny. Gdy się to stało, była cała wodą zmoczona, którą mniszki złośliwie ją zlały. Msza za jej duszę już została odprawiona, nie należała już do liczby żyjących.

Requiescat in pace! — mówiły mniszki, odchodząc. Trzeba znać klasztorny sposób wyrażania się, aby pojąć szyderstwo zawarte w tych słowach. *Requiescat* znaczy: „Niech odpoczywa”, a *in pace*: „w pokoju.” Ale w klasztornym języku i więzienia nazywają się *in pace*, co znaczy, że przyjęta przez nie istota spoczywa tam w spokojnej nocy grobowej. Ta dwuznaczność tym razem w kształcie pobożnego wyrażenia zawierała okropny los Jowity: „Niech odpoczywa — w więzieniu!”

Mniszki udały się do refektarza na obiad. Podprzeorysza wyjątkowym sposobem dzisiaj przewodniczyła u stołu, a dzwon dał znak, aby się nikt nie pokazywał. Mniszki wiedziały, że ich nieszczęśliwa ofiara wydaną została swojemu losowi; ale więzienia nie powinny były widzieć, dlatego kazano im udać się na obiad. Na chórze przy Jowicie pozostała tylko przeorysza i najstarsza siostra Zuzanna, która swojej godnej matce nie ustępowała ani w okrucieństwie, ani w zakamieniałości niewieściego serca. Ta znowu związała Jowicie ręce w tył, a potem czekano na ojca Hygina. Gdy ten ukazał się, przeorysza podała mu bicz, a takież bicz trzymała ona i Zuzanna.

— Naprzód! — rozkazała przeorysza.

W tym samym czasie trzy uderzenia biczem padły na głowę Jowity, która okropnie krzyknęła. Zuzanna szła pierwsza, ciągnąc za sobą Jowitę, a ksiądz i przeorysza popędzali ją przed sobą i bili biczami.

Z chóru wyszli na korytarze, potem zeszli na dół i jeszcze niżej, w podziemia. Jowita pojmowała teraz okropność swojego położenia, wpadła w rozpacz. Krzyczała, wzywała pomocy. Błagała Nieba o ratunek, padła na ziemię, ale ją ciągniono.

Gdy ją tym sposobem ze schodów zwleczono, miała nogi krwią złane, skórę poranioną, a cały jej stan był taki, iż nawet kamienne serce wzruszyć by był powinien. W podziemnym przejściu nie udano się teraz do trupiarni: drzwi zamykały tę drogę, lecz skierowano się gdzie indziej i nagle zatrzymano przed małymi półokrągłymi drzwiczkami. Otwarto je potężnymi kluczami i wrzucono Jowitę w małą podziemną przestrzeń — do więzienia, *in pace*.

Jeszcze padły bicze na jej głowę, jeszcze raz prosiła zmiłowania, litości; wołała do Boga, aby jej wysłuchał; jeszcze raz odpowiesziano jej zuchwałym, szyderczym śmiechem... potem drzwi zatrzaśnięto, rygle zasunięto, klucze zgrzytnęły — wszystko się skończyło.

Działo się to 30 maja 1848 roku.

J. F. BORN



Isabella

Izabella królowa Hiszpanii

Powieść historyczna

J. F. Born
[George Füllborn]

1939

Izabella królowa Hiszpanii była drugą wydaną po polsku powieścią poszytową (1870). Rok wcześniej wyszła po niemiecku jako *Isabella, Spaniens verjagte Königin oder Die Geheimnisse des Hofes von Madrid*, a jej autorem był Georg Füllborn, płodny, choć nie najwyższych lotów, producent fabuły, piszący pod pseudonimem Georg F. Born (1837—1902). *Izabella* ukazała się w anonimowym tłumaczeniu w warszawskiej oficynie Jana Breslauera, który zaraz potem („ku większej chwale naszej literatury”, jak kpił Sienkiewicz) wydał następne części trylogii: *Tajemnice stolicy świata, czyli grzesznicę i pokutnicę oraz Eugenię, czyli Tajemnice zamku Tuileries*, a wcześniej *Barbarę Ubryk* tego samego autora, po czym zakończył swoją działalność, szykanowany przez krytyków za rozpowszechnianie tandety. Pięć innych spośród ponad dwudziestu powieści Füllborna opublikował po polsku Zygmund Benzinger — wśród nich *Błądą hrabinę, czyli walkę o milion* (1879) i *Jana Sobieskiego, króla Polski, oswobodziciela Wiednia, czyli Ślepą niewolnicę z Sziraz* (1881). Utwory te, wielowątkowe i trzymające w napięciu, łączyły ramy historyczne z konwencją tajemnic, a do tego antyklerykalizm (częsty motyw okrutnych mnichów i zepsutych zakonnic) z dość perwersyjną erotyką.

Pierwsze wydanie powieści cieszyło się wielkim powodzeniem, co wykpił Henryk Sienkiewicz w *Szkicach węglem* — pisarz gminny Żołzikiewicz ze wsi Barania Głowa zaczytuje się w zeszytach *Izabelli*. „Znakomity ten pod każdym względem romans [...] przejmował go tak dalece, że w swoim czasie zamierzał nawet rzucić wszystko i jechać do Hiszpanii”, pod jego też wpływem „zapatrywał się bardzo sceptycznie na duchowieństwo”. Pogryziony przez psa Żołzikiewicz fantazjuje, że niczym „Serrano przybywa do Eskurialu pokryty ranami po świetnym zwycięstwie nad karlistami. Młoda Izabela przyjmuje go wzruszona i blada. Muślin faluje żywo na jej piersiach”. Bohater nie pozwala jednak w swym marzeniu, by królowa go opatrzyła...

Akcja *Izabelli* jest zbyt pogmatwana, by ją streszczać — dość wyjaśnić opisane w rozdziale XXIII niedole pięknej Henryki. Otóż bohaterkę, „dziewicę ludu”, poznajemy jako ukochaną Franciszka Serrano, andaluzyjskiego księcia de la Torre, uosabiającego hiszpański ideał. „Franciszek był piękny! Jego szlachetnie wyrzeźbione, świeżo rumiane usta wzywały do pocałunku, a mała czarna bródka po niemi nadawała podłużnej, regularnej twarzy ów śmiały, wzywający wyraz, tyle dziewczętom i kobietom ulubiony”. Zakochanej

parze rodzi się córeczka, niestety nie dostają błogosławieństwa starego księcia, bo Henryka jest na zamku de la Torre jedynie dwórką. Na dodatek pożąda jej Józef Serrano, zazdrosny brat Franciszka, który „już w dzieciństwie uczuwał dziwne pragnienia i miał pociąg do szkodliwych uciech”. Na skutek jego intryg dziewczyna wraz z dzieckiem zostaje uwięziona, a Franciszek wyrusza z listem do Madrytu, na dwór królowej regentki Marii Krystyny. Odtąd o ich rozdzielenych losach czytamy na przemian. Henryka ucieka Józefowi i znajduje schronienie w obozie cygańskim, gdzie zakochuje się w niej dziki Azzo, syn króla Cyganów. Jego z kolei bez wzajemności kocha Aja (tak naprawdę zbiegła z Genui księżna Julia), zdecydowana pozbyć się rywalki. Kiedy Józef dociera do obozu, zawiązuje spisek z Ają. Ostatecznie intrygantka porwuje dziecko i oddaje je na wychowanie jednokiej Nepardowej, „fabrykantce aniołków”, a Józef bezskutecznie próbuje odbić Henrykę Azzowi, który otacza ją platoniczną opieką. Tymczasem Franciszek wstępuje do gwardii królewskiej i, choć wciąż tęskni za ukochaną, stopniowo ulega urokowi następczyni tronu, koronowanej wkrótce Izabeli. Flirtuje z nią na balu maskowym, wreszcie daje się jej uwieść i zostaje jej faworytem, kiedy jednak na trybunie

podczas walki byków dostrzega „czarną donnę”, czyli Henrykę w towarzystwie Azza, odżywając w nim dawne uczucia. Próbuje odnaleźć ukochaną. W trop za nimi rusza Józef Serrano i znów dopada swej ofiary, a zazdrosna Izabela, niezależnie od knowań Józefa, poprzysięga zemstę na tajemniczej donnie. Kiedy zatem w rozdziale XXIII Henryka cudem ratuje się z odmętów rzeki, szuka jej z różnych pobudek większość głównych bohaterów: Józef Serrano, Franciszek Serrano, królowa Izabela, Cygan Azzo i Aja vel księżna Julia (występująca też w przebraniu zakonnicy). Powieść, jako pierwsza część trylogii, urywa się bez wyraźnej konkluzji: Henryka wraz ze starą Nepardową znajdują schronienie w chatce pustelnika, a Izabela nie odzyskuje względów Franciszka.

Wszystko to dzieje się na historycznym tle wojny domowej, wywołanej przez odsuniętego od tronu stryjca Izabeli don Carlosa, hrabiego de Molina. Do jego konserwatywnego stronnictwa karlistów przystaje Józef Serrano. Historyczny jest ślub Izabeli z Franciszkiem Burbonem zawarty w 1845 roku i sama postać Franciszka Serrano, zwanego Pięknym Generałem, zasłużonego w walkach z karlistami i uważanego za kochanka królowej (później czekał go jeszcze urząd regenta). Powieść Füllborna łączy zatem plotki z wyższych sfer

z atrakcyjnym schematem roman-
sowym.

Przedrukowany fragment po-
chodzi z wydawnictwa „Powieść
Zeszytowa” z 1939 roku, gdzie
jako autor widnieje J. F. Born
(pseudonim Füllborna).

Justyna Jaworska

J. F. Born [George Füllborn], *Izabella
królowa Hiszpanii. Powieść historyczna*
(s. 419—443), Wydawnictwo „Powieść
Zeszytowa”, Warszawa 1939.

23. Dzień św. Franciszka

Owej straszliwej nocy Henryka, uciekając przed obrzydłym Józefem, którego oddech już prawie jej policzków dotykał, a drżąca ręka prawie chwytiała, dostała się na Prado Bermudez, osławioną ulicę nad brzegiem Manzanaresu, prowadzącą na podwórze kata. Siły jej zupełnie się wyczerpały. Jeszcze chwila, a osłabiona wpadłaby w ręce szatana, ścigającego ją w pocie czoła. Nagle ziemia znikła spod nóg uciekającej, która już nie mogła krzyczeć, bo przyszła do takiego stanu duszy, w którym obojętne jest dla nas wszystko, cokolwiek się dzieje.

Henryka znikła sprzed oczu Józefa.

Wnet fale Manzanaresu zamknęły się nad głową nieszczęśliwej.

Wody czarnej rzeki, z powodu dziennego upału, jeszcze były dosyć ciepłe, co stanowiło wielki kontrast z szybko oziębiającym się nocnym powietrzem. Dlatego to Henryka rozgrzana ściganiem po ulicach zaledwie zdołała wydostać się znowu na powierzchnię wody, przed którą stał dreszczem przejęty Józef.

Słyszał on gardłowy głos tonącej kobiety, do której rwała się jego dusza. Mimo ciemności widział blade ramiona Henryki niknące w falach. Drżący odwrócił się, bo nie chciał skoczyć na jej ratunek, gdyż pewny był, że i sam utonie.

Henryka, gdy się zanurzyła, czuła, że ją zmysły opuszczają.

Walka ze śmiercią czy też instynkt zachowawczy sprawiły, że gdy ostatni raz na powierzchnię wody wypłynęła, ruchem rąk broniła się przeciw nowemu zatonięciu. Wypiła już tyle wody, a suknie tak nią przesiąkły, że wszelkie siły wyęczała w śmiertelnej trwodze, aby się nie pogrążyć znowu. Ale nawet i tu, w nurtach rzeki, myśl o śmierci była dla niej dobrodziejstwem w porównaniu z doznaną obawą dostania się w ręce straszliwego brata Franciszka, bo los jej wtedy byłby daleko smutniejszy!

Gdy dopłynęła do środka Manzanaresu, uczuła, że pęd wody porywa ją oraz unosi i że teraz łatwiej na powierzchni utrzymać się może. Wielki był czas ku temu, bo jeszcze kilka minut, a postradałaby resztę sił, jakich jej śmiertelna trwoga użyczyła. Ale czy osiągnie brzegu, czy mimo prądu wkrótce nie utonie? Ciemność nocy nie pozwalała jej rozpoznać stałego lądu. Fale unosiły ją bez ratunku.

Wtem siły ją opuszczają, zdrętwiałe ręce opadają w wodę, z porannym brzaśkiem zbliża się jej ostatnia godzina.

— Mario, dopomóż! — jęczą jej blade usta, coraz bardziej zbliżające się do nadpływającej fali. Jeszcze chwila, a Henryka utonie.

Nagle siła prądu wyrzuca ją na ląd, biedną, udręczoną, której życie dotychczas tylko przez krótki czas szczęściem promieniało, wówczas, gdy się cieszyła błogą miłością. Której dni później upływały w trwodze i niedoli, bo jej wydarto dziecię, wydarto najdroższy klejnot. Którą, gdy Franciszka swą pełną poświęcenia, najwyższą miłością obdarowała, ścigano jako dzieciobójczynię. Biedna, udręczona Henryka nie wypła jeszcze pełnego kielicha cierpień i doświadczeń, bo fala wzgardziła nią i wyrzuciła na niską wyspę, leżącą na środku Manzanaresu, na której, jak sobie czytelnik przypomni, znajdowała się chuda jednooka.

Henryka leży blada i nieprzytomna na płaskim brzegu wyspy, pod krzakami i palmami. Wiatr poranny owiewa jej śmiertelnie blade rysy, a fale moczą nogi i ręce.

Stara Maria Nepardowa opuściła wyspę z nadejściem nocy, po otrzymaniu pierścienia, który jej przyniósł posłaniec hrabiny genueńskiej. Miał on być zgubnym dla dziecka, które jej ta hrabina powierzyła. Wiemy, że odpowiedziała posłańcowi przezornej Aji, iż o wszystkim pamiętała oraz że z dziewczynką rzecz zupełnie załatwiona. To znaczyło, że fabrykantka aniołów zabiła ją, jak wiele innych dzieci.

Ale stara jednooka, dotąd nieznająca serca Maria Nepardowa, upodobała sobie dziewczynkę, która jak ona nazywała się Maria i pełnym miłości zaufaniem przywiązała się do niej. Dotychczas żadne dziecię tego u niej nie doznało i tego z początku sama sobie wytłumaczyć nie mogła. Ona, która sama nigdy nie była matką, której całe nieszczęście właśnie od tego pochodziło, zaczęła okazywać miłość, jakiej niegdyś nigdy nie czuła, tej obcej, powierzonej sobie dziewczynie, której pozbyć się chciano.

Stara jednooka cieszyła się miłymi słowami, pochlebnymi, pełnymi zaufania przymileniami niewinnego dziecka, i wkrótce pozwoliła, aby paplająca dziewczyna uściskała ją i całowała!

Jakże opuszczone i nieszczęśliwe musiało być to dziecię, skoro mogło zaufać i kochać tę odrażającą Marię Nepardową! Zamiast więc pozbawić ją, podobnie jak inne powierzone sobie dzieci, wszystkiego, co najpotrzebniejsze, wychowywała i pielęgnowała małą Marię z taką miłością i starannością, iż łatwo można było widzieć, jak dalece to dziecko umiało się wcisnąć w zakamieniałe dotąd serce starej jednookiej. Mała Maria bez wątpienia miała być zamordowana, tak jak inne dzieci. Przekonywała o tym rozmowa z obcą damą, mimo warunku co do pierścienia. Ale Nepardowa uczynić tego nie mogła, chociaż z początku kilkakrotnie usiłowała nie mieć żadnego względu dla niewinnie uśmiechającego się i wyciągającego do niej rączka dziecięcia.

Gdy więc ukazał się wieczorem ów Joachim, pokazał pierścień i oznajmił, że ma zabrać jej małą Marię, stara jednooka odmówiła mu i mniemała, że woli obcej, dostojnej donny zupełnie uczyniła zadość, skoro kazała jej oświadczyć, że dziecię już dawno nie istnieje.

Pierścień odebrała, ale zatrzymała małą, niczego się nie domyślającą Marię. Skoro posłaniec oddalił się, nachyliła się nad śpiącą i rozważała, czy ona teraz może jeszcze bezpiecznie przebywać u niej na wyspie i na koniec przysłała do przekonania, że owa donna, dla której dziecię tak wiele znaczyło, może przybyć tu niespodzianie i, znalazłszy dziewczynkę, rozgniewać się i zgubić ją.

Bo poznała zaraz przy pierwszym widzeniu się, że ta donna stać musi blisko tronu.

Namyślała się zatem stara jednooka, jakim sposobem ustrzec małą Marię przed prześladowaniem ze strony straszliwej matki, a w każdym razie wypadało wraz z nią opuścić wyspę, bo donna jeszcze tej nocy przybyć może.

Maria Nepardowa owinęła swoją ulubioną małą w ciepłe sukno, bo noc była nadzwyczaj chłodna i ciemna. Pośpieszyła z nią do małej łodzi, której ciągle używała, pragnąc przepłynąć na drugi brzeg, co działo się tylko pod osłoną nocy. Ostrożnie i przezornie, czegoby się nikt po fabrykantce aniołów nie spodziewał, złożyła modrooką Marię w łodzi. Po cichu i powoli wiosłowała, aby się nie obudził mały anioł, którego tym razem nie wiodła na śmierć, lecz którego pragnęła ocalić.

Bez szmeru dotykało wody wiosło starej jednookiej, która okiem swoim usiłowała przejrzeć zwykle bezludny brzeg, aby się przekonać, czy nikt na nią nie patrzy. Noc była tak burzliwa i ciemna, iż z trudnością zaledwie zdołała uniknąć kierunku ku Prado Bermudez i na lądzie nic dostrzec nie mogła.

Na dalekich wieżach kościelnych wybiła godzina dziesiąta wieczorem.

Wtem nagle spostrzegła stara Nepardowa, że wzburzone fale rzeki popędziły ją w stronę brzegu, na którym leżało ogrodzone podwórze starego Bermudeza.

Jednooka zadrżała, bo w niewielkiej odległości dostrzegła niski budynek, w którym kat przyłożył do jej oczu rozpalone żelazo. Walczyła z falami, z całej siły poruszała wiosłem przeciw prącej wodzie oraz by odbić od nienawistnego miejsca na brzegu, które wzbudzało w niej straszliwe wspomnienia.

Ale burza w tym miejscu rzeki, gdzie nic jej nie przeszkadzało, srożyła się coraz bardziej, a lodowaty deszcz nie tylko smagał członki stojącej w łodzi jednookiej, lecz także przeciskał się przez okrycie ochraniające małą Marię.

Wtem, niespodzianie, złamało się wiosło jak słomka. W ręku starej Nepardowej pozostał tylko kawał kija, a fale całkiem zawładnęły łodzią i popędziły ją prędomą ku brzegowi.

Mała Maria krzyknęła głośno. Zbliżyły się czyjeś kroki z podwórza starego Bermudeza ku miejscu na brzegu, gdzie osiadła łódź. Jednooka rozgniewana i przestraszona ujrzała, że brat, wraz z parobkiem niosącym za nim pochodnię, przybył na miejsce, w którym ona wraz z dzieckiem chciała wysiąść na ląd, aby nie zostać igraszką fali.

Stary Bermudez słyszał trzask łamiącego się wiosła, prócz tego usłyszał krzyk małej Marii. Zawołał więc parobka, aby przy blasku światła przekonać się, co się dzieje na brzegu.

Stara jednooka usiłowała ukryć się, a tymczasem fale szybko uniosły łódź.

Bermudez spostrzegł, że jakaś kobieta przesuwając się szybko obok niskiego budynku, w którym kat Madrytu odbywał swoje ćwiczenia. Rozkazał więc parobkowi, aby mu oddał pochodnię i sam schwycił kobietę dla dowiedzenia się, co to za jedna.

Maria Nepardowa знаła dobrze dom ojcowski, z którego wypędzono ją z przekleństwem. Znała każdy jego zakątek i zagłębienie: szybko przebiegła przez dom, pragnąc dostać się do ogrodzenia otaczającego podwórze. Już czuła za sobą parobka swojego brata. I chociażby ją schwycił, nie chciała wydać dziecka w ręce kata, nie chciała, aby Maria pozostała w tym osławionym miejscu.

— Ale któż — nagle pomyślała, zatrzymawszy się na chwilę — śmiałyby wydrzeć jej dziecię?

I zrobiwszy śmiało postanowienie, jednooka obróciła się do ścigającego ją prześladowcy i do nadchodzącego Bermudeza.

Kat, aby poznać, kto to jest, przybliżył pochodnię do obcej, zgarbionej kobiety, której oko błyszczało i na której twarzy malowała się okropna wściekłość. Zbladł, bo ujrzał Nepardową po raz pierwszy od owej straszliwej kary, jaką na niej dopełnił.

Jednooka przez wysilenie, jakiego wymagało kierowanie łodzią, nie zważając na to, zgubiła czarny plaster, który jej zasłaniał wypalone oko. Mały i siwy jej włos unosił się rozpuszczony wiatrem ponad jej głową, a twarz jej oświetlona pochodnią tak okropnie wyglądała, że kto jej nie znał, mógłby w tej chwili wziąć za piekielnego wyrzutka.

Bermudez spojrział w tę pustą otchłań, a potem dostrzegł, że mieszkanka wyspy na Manzanariesie dźwiga na ręku trzyletnie dziecko.

Czyżby więc ludzie oskarżający siostrę kata o mordowanie dzieci mieli rację? Więc Maria, z jednej z nim matki urodzona, jest i dzisiaj taką, jak była dawniej, straszliwą hieną?

Uniósł się nadzwyczajnym gniewem, ponieważ przypuszczał, że kobieta, którą zwano jego siostrą, próbowała swojej morderczej ręki na niewinnych dzieciach oraz domyślał się, że skazała na śmierć i to nieszczęśliwe dziecię, które trzymała na ręku i którego dziki krzyk doszedł jego uszu.

Stary Bermudez zadrżał na tę myśl.

— Szkaradna hieno! — wrzasnął. — Czy dotąd jeszcze nie zaniechałaś chęci mordy, czy nie uśmierzyłaś w sobie pragnienia krwi? Mamże cię tu spotykać wraz z twoją nową ofiarą? Precz stąd, tam, gdzie będziesz musiała wyznaczyć, co z tym dzieckiem uczynić zamierzyłaś!

I kat wyrwał jej z ręki płaczącą dziewczynkę.

— Precz z nią do tego domu! — zawołał na parobka, wskazując mu Nepardową, a stawiając dziecię na ziemi.

— Czy chcesz wyjąć mi drugie oko, któreś mi jeszcze zostawił, nędzniku? Niebo cię ukarze!

— Ukarze mnie, jeżeli cię puszczę z tym nieszczęśliwym dziećciem, nie dowiedziawszy się, jakie miałaś względem niego zamiary! Myślisz może, że my tu w Prado Bermudez nie wiemy o twojej sławie, ty fabrykantko aniołów? Precz z tobą, musisz się przyznać!

Parobek powlókł siostrę kata do niskiego budynku, oświetlonego ciemną lampą i zbyt dobrze jej znanego. Bermudez, zostawiwszy dzieć na ogrodzonym dziedzińcu, sam dopomógł zaprowadzić Marię Nepardową w bezpieczne miejsce i w kilka minut później ujrzała się ona w pokoju ćwiczeń kata obok bloku, do którego była przymocowana wówczas, gdy kochany braciszek ją oślepił.

— Czego żadasz, okrutniku? Oddaj mi dzieć, które mi odebrałeś, które mi wydrzeć pragniesz. Tę jedyną istotę, która mnie kocha i którą ja kocham! — wołała jednooka przejęta trwogą i rozpaczą.

— Czarownico, znamy twoje obrzydłe zamiary, chciałeś dzieć zamordować!

— Przysięgam ci na Matkę Bożą, że nie chciałam.

— Udowodnij niewinność, bo ciąży na tobie mocne podejrzenie!

— Przywołaj tu dzieć, zbójco i zapytaj je sam! Jeżeli ucieknie ode mnie i u ciebie szukać będzie pomocy, przywiąż mnie po raz drugi do tego bloku. Wtedy sama dam ci na to pozwolenie, niegodziwcze!

— Dzieć, bojąc się ciebie, nie przyjdzie szukać u mnie pomocy.

— Jeżeli zbliżysz się z dzieckiem, przeklęte niech będzie skinienie mojej ręki, przeklęte każde przynęcające słowo, każde mrugnięcie okiem! Z radością, z miłością, jak do matki, przybiegnie do mnie to dzieć, skoro je przyprowadzisz. Szczęśliwe wyciągnie do mnie rączki, nieprzymuszone lub wyuczone, lecz powodowane prawdziwą głęboką miłością! Czy może to zrobić dzieć dręczone bojaźnią, jeżeli widzi, że dręczycielka jego uwięziona, a ono potrzebuje tylko wyznać prawdę, aby potępić znienawidzoną?

Bermudez rozmyślał. Zdawało się, że projekt jednookiej nieco mu objaśniał, ale tak dalece niedowierzał Nepardowej, zwanej fabrykantką aniołów, że pierwszej zastanowił się nad tym, czy Maria w swoim projekcie nie ukrywa jakiegoś podstępu.

— Pilnuj tej kobiety! — rozkazał kat parobkowi. Potem wyszedł, aby przyprowadzić dzieć z miejsca, w którym je na dziedzińcu, na ziemi, zostawił. Noc była tak ciemna i burzliwa, że Bermudez, nie znajdując zaraz dziewczynki, z trudnością zdołał przejrzeć w ciemności. Nadaremnie szukał, dziecko znikło bez śladu. Zakłopotany Bermudez wołał je, lecz nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Pośpieszył do niskiego budynku, w którym znajdowali się jednooka oraz parobek i rozkazał im, aby czym prędzej pomogli mu odszukać dzieć.

Jeżeli Bermudez dotychczas słusznie nie dowierzał słowom swojej siostry, to w chwili śmiertelnej trwogi, malującej się na przeraźliwie brzydkiej twarzy jednookiej, musiał się przekonać, że Nepardowa mówi prawdę.

— Nędzniku, co teraz powiesz? — zawołała w rozpacz. — Nie możesz znaleźć dziecka? Dlaczego wyrwałeś je spod mojego serca? Moja Maria przepadła!

— krzyczała i, gdy Bermudez wychodził z pochodnią, porwała ponurą latarnię, zawsze w środku budynku ponad blokiem gorejącą, pragnąc sama poszukać tego, co było jej najdroższe i czego teraz miała być pozbawiona.

Burza i deszcz wkrótce zgasiły pochodnię kata tak, że wraz z parobkiem, szukając po ciemku, macał wkoło siebie. Jednooka zgięta do ziemi i z latarnią w ręku trwożliwie szukająca, błędząc po ciemnością pokrytym dziedzińcu, przedstawiała zgrozą przejmujący widok, a siwe jej włosy dziko rozwiewała burza. Światelko latarki rozwidniało miejsce, na którym się znajdowała i czerwono odbijało się na twarzy pokrytej zmarszczkami i fałdami, z której wyglądało niespokojnie błyszczące oko i czarna, obrzydliwa jaskinia.

— Mario! — z przerwami wołała donośnym głosem. — Mario moja, gdzie jesteś? Kto mi cię zabrał?

Wszelkie poszukiwania i wołania były nadaremne. Przejrano każdą stopę nieprzyjemnego podwórza, a Nepardowa szukała dziecka to za pokrwawionymi deskami, to za wozami i blokami. Słowem wszędzie, w mniemaniu, że się przed Bermudezem ukryło, bo wiedziała, iż mimo swych ledwie trzech lat wieku, dziecię dobrze już rozumiało, skąd może mu grozić niebezpieczeństwo.

Gdy jednooka dostała się do ogrodu i do bramy wiodącej do Prado Bermudez a otwartej, wpadła w nieograniczoną wściekłość, drżała na całym ciele i w tej chwili była zdolna zabić siwego Bermudeza, który jej porwał dziecię.

Pochwyciła latarnię, którą dotychczas, ostrożnie szukając, ponad ziemią trzymała i cisnęła ją ku stopniom wiodącym do domu kata, będącym niegdyś domem jej ojca. Szkło zabrzęczało ponuro, a ciemna noc pokryła jednooką i całe podwórze.

— Przekleństwo na ciebie, ty uprawniony morderco! Przekleństwo na twój dom, na twoją żonę i dziecię! Dlaczego porwałeś biednej jednookiej ostatnie, co posiadała? Niepokoiło cię, że twoja rodzona siostra miała się czym cieszyć, że miała dziecię, do którego od młodości tęskniła! Przekleństwo na ciebie, że z radością i namysłem porwałeś mi moją Marię, która przez swą miłość pojednałaby mnie znowu z ludźmi! Bo ciebie, wyrzutku, ludzie na wieki spomiędzy swojego społeczeństwa wytrącili, bo tobą pogardzają i jeszcze bardziej pogardzać będą, skoro się wszyscy dowiedzą, że jesteś moim bratem! Ty się mnie wstydzisz, ty siwy, znienawidzony morderco ludzi, ale ciebie wstydzi się cała ludzkość!

Stara Maria Nepardowa szukała ciągle, a gdy wyszła za bramę, idąc ponad brzegiem rzeki i przez Prado Bermudez, długo jeszcze po imieniu wołała dziecko, ale głos jej nie mógł go dosięgnąć.

Gdy łódź jednookiej wyrzucona została na płaski brzeg, a mała Maria wydała okrzyk trwogi, który posłyszał stary Bermudez, wracał do domu zgarbiony człowieczyzna z narady braci Latającej Pętlicy, która o tej godzinie odbyła się w mieście. Wypadało mu przechodzić koło podwórza kata, a potem przez pola i drogi, przez ścieżki i pagórki, aż do brzegu zwalisk Teby, leżących w dali na brzegu lasu.

Stanął więc i słuchał. Wyspa, gdzie mieszkała stara Nepardowa, o której wiedział, że ją nie na próżno nazywano fabrykantką aniołów, musiała leżeć na środku rzeki. Wiedział także, iż stary Bermudez był bratem owej Nepardowej, a teraz nagle usłyszał płacz dziecka na podwórzu.

Gwałtowna zgroza wstrząsnęła członkami garbatego, kiedy mimo wycia burzy usiłował rozpoznać, co się dzieje za ogrodzeniem.

Ostrożnie zbliżył się do bramy. Po cichu, aby go nikt nie słyszał, że otwiera, i aby dzwonek nie zadzwonił, nacisnął drzwi i coraz wyraźniej i bliżej słyszał płacz dziecka. Ale noc była tak ciemna, że nie mógł widzieć nieszczęśliwego dziecka, które według jego mniemania było skazane na śmierć.

Powoli, ostrożnie szedł za głosem, aż nakoniec znalazł skurczone na wilgotnej ziemi podwórza, rozpaczliwie płaczące dziecię.

Szybko i zanim krzyknąć mogło pochwycił je i, zamierzwszy bądź co bądź uratować biedną istotę, śpieszył, o ile mu nieszczęśliwe członki dozwoliły, ku wyjściu, dźwigając ten ciężar dosyć znaczny dla jego małych sił.

Gdy się dostał na ulicę, dziewczynka strwożona i przerażona zaczęła krzyczeć, ale Frazko uspokoił ją, przyrzekając, że ją odniesie do matki. Rozumiał przez to Joannę i wyobrażał sobie już zdziwioną twarz małżonki, kiedy wróci do domu z dzieckiem, którego sam nawet nie widział, które może jest chore, niedołączne i odrażające. Ale dziecko wołało ciągle babkę Marię, kochaną babkę Marię.

Z początku dziwiło to starego Frazkę, bo nie mógł wierzyć, aby dziecię przez to rozumiało fabrykantkę aniołków; potem jednak przyszło mu na myśli, że jednooka może zdołała przywiązać do siebie małą ofiarę, aby tym pewniej zamordować ją mogła!

Śpieszył więc, ostrożnie owinąwszy dziecię i chroniąc je od niepogody, po ścieżce wijącej się to na prawo, to na lewo, której ślad pośród ciemności nocnej się gubił.

Nakoniec przybył do znanych zwalisk i do mieszkania swojego, znajdującego się w ostatnich murach, gdzie oczekiwała go już niespokojna, pocziwa Joanna.

Opowiedział jej, co się stało i oddał dziecię.

— Chwała Najświętszej Pannie, że ci się udało uratować biednego robaczka! — zawołała Joanna, ściskając rękę starego Frazki. — Postaramy się, aby się uspokoiło!

Gdy matka Joanna zdjęła okrycie z małej Marii i przy świecy okazała ją mężowi, oboje uradowani klasnęli w ręce. To dziecię, ta prześliczna modrooka dziewczynka miała lat trzy. Z początku krzyczała i płakała, ale później strudzona prędko usnęła w łóżeczku, które Joanna skwapliwie jej sporządziła.

Widzieliśmy znowu małą Marię, gdy po trzyletnim pobycie u starych małżonków w zwaliskach Teby tańczyła i bawiła się przy blasku księżyca. Lecz nim dalej losy jej śledzić będziemy, musimy jeszcze raz wrócić do owej strasznej nocy i do starej jednookiej, która nadaremnie szukała swojej małej Marii.

Ponieważ już zaczynało świtać, zaniechała poszukiwań i wołania. Gniewnie groziła podwórz brata, który ją znowu pozbawił jedynej istoty ukochanej, potem odczepiła gondolę od znajdujących się w pobliżu pali, aby powrócić na wyspę do pustej chaty.

Rybacy wiedzieli, że od czasu do czasu jednooka używa ich gondoli, bo po jakimś czasie zawsze im je zwracała, dlatego nie przeszkadzali jej i chętnie ustępowali z drogi.

Stara Nepardowa, która nigdy w dzień nie korzystała z drogi przez Mazanares, ale tylko w nocy opuszczała wyspę i wracała, dzisiaj, z powodu jawiącego się poranku, szybko pragnęła gondolą przebyć rzekę.

Wtem, zbliżając się do wyspy, spostrzegła nagle na wpół ukrytą w zaroślach otaczających wyspę, na pół martwą młodą kobietę, która leżała częściowo na brzegu, częściowo w wodzie.

Stara jednooka zaraz poznała, że ową martwą fale wyrzuciły na wyspę. Gdy zaś uwiązała gondolę i wyszła z niej, by się zbliżyć do bladej kobiety, ta wydała głębokie westchnienie.

Henryka otworzyła strudzone oczy, ale tylko na chwilę, potem znowu je zamknęła. Śmiertelnie znękana, prawie bliska wiecznego snu, znowu wpadłaby w wodę, której fale przedtem nią wzgardziły, gdyby Nepardowa nie pochwyciła szybko jej ramienia i nie wyciągnęła głębiej na wyspę. Po czym przyniosła przedko z chaty małą staroświecką flaszeczkę, w której znajdowała się mocno pachnąca woda i potarła nią czoło nieprzytomnej.

Gdy Henryka na koniec znowu otworzyła oczy, a jej miłe spojrzenie spotkało się ze wzrokiem jednookiej, ta przestraszona i zdziwiona odskoczyła w tył, tak wielkie znalazła podobieństwo między tą kobietą a dzieckiem, które porwano tej nocy. Dziwnym jej się wydawało to, że na swojej wyspie znalazła tę nieszczęśliwą, której blade oblicze tak mocno przypominało jej utraconą małą Marię, że ujrzała się zniewoloną podać pomocną rękę biednej Henryce. Z trudnością wydarta śmierci, dowlokła się do chaty jednookiej pomiędzy palmami i zaroślami wyspy.

Chociaż widok Marii Nepardowej był odrażający, tym bardziej, że niezakryta jaskinia utraconego oka jeszcze bardziej zwiększała szkaradę, Henryka schwyciła się podanego ramienia starej jak ostatniej nadziei życia. Nie patrzyła na swoją zbawczynię, ale z uczuciem wdzięczności trzymała się jej i, wsparta przez nią, wlokła się do chaty. Jednooka suszyła przemokłe, czarne, tu i ówdzie podarte suknie Henryki, dawszy jej inne, które ledwie łachmanami można było nazwać, ale zawsze przyjemniejsze i suche, i zaniósła ją na swoje łóżko.

Stara Maria Nepardowa, poznawszy dziwne podobieństwo, czuła, że ją coś nagli do niesienia pomocy zesłanej sobie biednej kobiecie. Przypuszczała, że z przyczyny małej Marii, która rączkami swoimi tak często obejmowała jej szyję i mimo odrażającej twarzy wyciskała na niej pocałunki, znacznie się zmieniła i bardziej ludzką stała.

Kiedy dotychczas powierzane jej dzieci ciągle ze wstrętem odwracały się od niej i, krzycząc, uciekały, co bardzo ułatwiało względem nich zamiary i zlecenia,

mała Maria stała się dla niej aniołem, który powstrzymywał ją od powtarzania okropności tym, że przystępował do niej z niewinnym uśmiechem i pieszczotami.

Rozmyślała nad tym stara jednooka, siedząc przy łożu śpiącej Henryki, tak podobnej do tego anioła.

Potem jednak posunęła się ku miejscu chaty, gdzie stał podobny do ogniska komin i wyjęła ostrożnie z ukrytej w nim dziury worek z czerwonymi, błyszczącymi pieniędzmi złotymi, aby, korzystając z chwili, nasycić oko blaskiem, jaki rozsiewały te nagromadzone monety. Budziły się znowu w starej Nepardowej chciwość, skąpstwo i chociaż ukradkiem, jednak nie bez żalu, spojrzała w miejsce, gdzie tak długo istniały posłania nieszczęśliwych, skazanych na śmierć dzieci, a które teraz były puste. Słoma i litości godne kołdry nie okrywały już schorzałych ciał małych istot, dlatego też nie napełniał się teraz worek, który jednooka trzymała w ręku.

Gdy śpiąca poruszyła się, jednooka szybko się zerwała i ukryła złoto, ale strudzona Henryka jeszcze się nie obudziła. Sen po tak strasznej nocy był jej bardzo potrzebny, uspokajał niezmiennie wzruszoną duszę i wyczerpane siły nieszczęśliwej. Z łagodnym uśmiechem na bladej twarzy marzyła, że spoczywa w objęciach Franciszka, którego nakoniec po wielu dniach nędzy i udręczenia znowu znalazła. Wargi jej drżały, śniła, że Franciszek ją całuje!

Błogie obrazy były tak piękne, że śpiąca chętnie przesłaby z nimi do wieczności.

Gdy Henryka obudziła się, a jej usta wymówiły imię ukochanego, z przerażeniem przekonała się, że wszystko to było tylko snem. W tej chwili nie wiedziała wcale, jak daleko sięga rzeczywistość, a gdzie zaczyna się sen. Z trudnością i powoli opamiętała się, że widziała Franciszka w pałacu Azza, że królowa obwiniła ją o morderstwo, a siepacze prześladowali i myślała, że znajduje się w więzieniu. Wtem obejrzała się po nędznej chacie.

A potem, bojaźnią przejęta, wyskoczyła z łóżka i zbliżyła się do starej jednookiej.

— Jestem ścigana, ratujcie mnie! Przez wszystkich świętych, ukryjcie i ratujcie mnie! Oni mówią, że moje dziecko zabiła, ja zabiłam moje dziecko...

I z największą boleścią, mówiąc te słowa i załamując ręce, Henryka padła obok Nepardowej.

— Ale wierzcie mi, że to nieprawda! Ja nad życie kochałam moje dziecko, raczej sama sobie bym krzywdę wyrządziła niż mojemu dziecku! Ścigają mnie, siepacze szukają mnie, chcą mnie zawlec do Santa Madre. Brr, dreszcz mnie przejmie na samo wspomnienie tej nazwy! Uwięziono mnie, posługacze już mnie wtrącili do piwnic, ale udało mi się ocalić życie, jednak oni mnie ścigają, oni mnie szukają! Dlatego zlitujcie się nad nieszczęśliwą, nie mającą nigdzie przytułku na ziemi, w którym byłaby bezpieczna, żadnego miejsca, gdzie mogłaby spocząć!

Stara Nepardowa najpierw zdziwiona, a potem znowu znajdując wielkie podobieństwo między utraconą Marią a tą niewiastą nie mającą przytułku, z daleko przyjaźniejszą miną spojrzała na biedną, ściganą przez okrutnych siepaczy inkwizycji.

— Pozostań u mnie, biedna kobieto. Ja także byłam wyrzutkiem bez schronienia, ale byłam winna. Pozostań przy mnie, tu cię nikt szukać nie będzie, a gdyby cię szukano, ja cię ukryję.

— Dzięki Najświętszej Pannie! — szepnęła Henryka, wznosząc piękne oczy ku niebu. Potem stara Nepardowa opowiedziała jej, jak ją cudownie znalazła i ocaliła.

Henryka jak przez sen przypominała sobie straszliwe przygody zeszłej nocy.

— Ten okrutny Józef ścigał mnie aż do brzegu, noc była czarna. Wpadłam w rzekę, potem już nie wiem, co się ze mną stało...

— Fale wyrzuciły cię na moją wyspę.

— To łaska Boska. Pozwólcie mi mieć u was schronienie. Nie odpychajcie mnie, nie zdradźcie biednej i nie wydajcie niewinnej nieprzyjaciółom — błagała.

— Tu na wyspie jesteś najbezpieczniejsza, tu nie domyślą się twojej obecności ani siepacze, ani kat. Wpadłabyś w ich ręce, gdyby cię tu Najświętsza Panna nie przywiodła, dostałabyś się albo do Mutara albo do mojego brata Bermudeza!

— Do waszego brata?

— Czy ci się to tak straszne wydaje? Nie potrzebujesz się bać, ja cię mojemu bratu nie wydám. Ten łajdak wydarł mi, co miałam najdroższego!

Henryka z przerażeniem spojrzała na jednooką. Słowa jej i obrzydła postać, jak też złowroga w tej chwili twarz, takie na niej sprawiły wrażenie, że aż się zatrzęsła. Lecz po chwili przypomniała sobie Henryka, że ta stara pustelnica ofiaruje jej przytułek, że ją przed nieprzyjaciółmi ukrywa. Do tego jeszcze, z trwogi i obawy straszliwych chwil, zaczęły ją boleć wszystkie członki. Winna więc była podziękowania Matce Boskiej za to, że nie potrzebowała wahać się po ulicach Madrytu.

A że w nieszczęściu nie można być wymagającym, więc się zbliżyła do jedynej ludzkiej istoty, jaka jej pozostała, jakby chciała przebłagać ją za chwilowe przestraszenie się jednookiej — ujęła jej rękę i dziękowała, że czuła litość dla biednej Henryki, która niegdyś marzyła o wielkości i spodziewała się iść przez życie wsparta na ramieniu Franciszka — a która teraz cieszyć się musiała tym, że wywołana, unikana fabrykantka aniołów otworzyła chatę swoją dla niej!

Z nadejściem wieczoru Henryka wsunęła się w kącik i zamyśliła się.

Nagle Nepardowa zerwała się i słuchała.

Ktoś płynął ku wyspie, bo słyszać było uderzenia wiosła.

— Idź Henryko! — szybko powiedziała jednooka. — Nie wiem, kto tak późno przybywa do mojej chatki. Lepiej więc będzie, jak poczekasz na dworze, aż te odwiedziny przeminą!

Henryka obejrzała się wokoło z pewnym wyrazem trwogi. Od wczorajszej nocy tak była zdenerwowana, że wszędzie upatrywała nieprzyjaciół i mniemała, że ją ścigano. Szybko więc wyskoczyła z chaty i w tej chwili znikła pomiędzy drzewami, a tymczasem łódź zbliżała się do brzegu wyspy.

Stara Nepardowa stała w drzwiach chaty i czekała niecierpliwie na przybywającą osobę.

Nakoniec zbliżyła się mocno okryta donna słusznego wzrostu.

Jednooka struchlała. Sprawdził się jej domysł, bo owa obca, znakomita dama, która jej przyniosła małą Marię, przybyła teraz zapytać o dziecko.

Hrabina genueńska, otulona szerokim ciemnym płaszczem, z twarzą zakrytą, przystąpiła do jednookiej, szybko wzięła ją za rękę i weszły razem do chaty.

— Mario Nepardowa, sama przybywam do ciebie — przemówiła głosem bardziej niż kiedykolwiek groźnym. — Przybywam sama, bo służącego, którego do ciebie wysłałam, odprawiłaś słowami, które mnie przeraziły!

Henryka po cichu zbliżyła się ku drzwiom, aby przez małą w nich szczelinę dostrzec i przekonać się, czy kto nie trafił na jej ślad.

Jednooka odpowiedziała:

— Dostojna donno, uczyniłam, jak mi rozkazano.

— Przyniosłam ci dziecko, nie dlatego, abyś je aniołem zrobiła, przypomnij sobie moje słowa, lecz abyś je tu wychowała w oddaleniu od świata. Powiedziałam ci, że dziecko to jest mi niezmiernie drogie i groziłam ci zemstą, jeżeli, gdy go zażądałam, ośmielisz się wyznać, że znajduje się między aniołami.

— Wiem o tym dobrze, dostojna donno i pamiętam każde wasze słowo.

— A jednak odpowiedziałas mojemu służącemu...

— Że mała Maria dobrze jest zachowana, dostojna donno.

— Nie wierzyłaś mu, chociaż ci przyniósł pierścień?

— Szmaragd brylantami otoczony, w szmaragdzie królewska korona nad literą G. Wszystko prawda, dostojna donno — rzekła jednooka.

Henryka słyszała każde słowo.

— Aja — wyszeptała i słuchała dalej z bacznością.

— Przychodzę zatem sama zabrać dziecko — mówiła znowu hrabina genueńska. — Wszystko zależy od tego dziecka!

— Rozkaz wasz jest spełniony, dostojna donno. Dziecko, które nazwaliście Marią Henryką... — stara jednooka przerwała na chwilę — które nazwaliście Marią Henryką, jest dobrze umieszczone między aniołami!

— Biada ci, stara, jeżeli mówisz prawdę!

— Racz, dostojna donno, przypomnieć sobie swój rozkaz! Brzmiał on, a Maria Nepardowa ma bardzo młodą pamięć: „Jeżeli ktokolwiek przyniesie ci ten pierścień, ma to być znak dla ciebie, że ja to dziecko... — i jednooka następujące słowa wymówiła tak cicho i z takim wyrachowaniem, aby ich Henryka nie dośłyszała. Aja zaś słuchała jej niespokojna.

— Służący twój, dostojna pani, przyniósł mi ten pierścień — zakończyła stara Nepardowa.

— Łotr! — mruknęła hrabina. — Więc to rzeczywiście prawda i nie ma już ratunku?

— Sądziłam, że przez moją punktualność zasłużę na wasze podziękowanie, dostojna donno. A zamiast niego...

— Mamże cię jeszcze wynagrodzić? Za to, żeś mi spłatała takiego figła, że gorszy nie mógł mi się przytrafić? Weź to, dałabym ci tysiąc razy więcej, gdybyś się nie pośpieszyła względem owego fałszywego poselstwa.

Stara Nepardowa przelekła się. „Tysiąc razy więcej”, powiedziała donna, a woreczek był ciężki. Kusiło ją, aby powiedzieć donnie, że dziecię może jeszcze żyje. Lecz zastanowiła się nad tym, iż niepewność może jeszcze bardziej rozgniewać donnę niż pewność, której teraz wierzyła.

— Wszystko to boli mnie niezmiernie, dostojna donno — rzekła pokornie — ale uczyniłam to, co musiałam!

Hrabina genueńska odwróciła się ku drzwiom. Henryka nie mogła dłużej wątpić, że to Aja, która jednookiej przyniosła jej dziecię, lecz gdzież ono jest? Nie dostrzegła go w chacie, dręczyła ją zatem straszna niepewność. Miała wystąpić i Aję pociągnąć do odpowiedzialności?

W takim razie wydałaby siebie samą, a ów wąż, którego wzrok w pierwszym zaraz dniu ujrzała, wydał się jej złowrogim, mógł ją zgubić...

Hrabina genueńska zbliżyła się do wyjścia i rozgniewana wyszła z chatki.

Henryka chciała rzucić się za nią i wstrzymać ją, ale ona nie miała jej dziecka. Miała je jednooka, może więc zobaczy i znowu odzyska małą.

Serce Henryki oczekującej w cieniu drzew z przerażającą niecierpliwością, biło gwałtowniej niż kiedykolwiek, cała jej dusza drżała radością i macierzyńską miłością, miała odnaleźć swój klejnot! W serdecznej modlitwie wzniosła ręce do góry; bo ją tu chyba sama Matka Boska umyślnie sprowadziła!

Henryka wpadła do chatki. Tchu jej zabrakło, oczy błyszczały i pały, szukając, błądziły po ciemnej przestrzeni i wołała:

— To moje dziecię przyniosła wam ta kobieta! To moja Maria, którą miałam za straconą! Oddajcie mi ją, zlitujcie się!

Henryka padła na kolana i wyciągnęła ręce ku jednookiej.

— Wierzę ci, że to było twoje dziecię, bo tak dalece do ciebie podobne, iż przestraszyłam się, ujrawszy cię!

— Tak, to było moje dziecię! — zawołała śmiertelną trwogą przejęta Henryka. — Gdzie je podziałyście? O mówcie wszystko, odepchnijcie mnie, zamordujcie mnie, tylko mi powiedzcie, że mi go już oddać nie możecie! Dusza moja drży, matka błaga was o oddanie jej najukochańszej istoty, haniebnie sobie wydartej!

I w gorączkowym oczekiwaniu oczy Henryki utkwily w ustach Marii Nepardowej, spragnione jej odpowiedzi.

— Twojego dziecka już nie mam! — rzekła nakoniec.

Henryka wydała rozdzierający serce okrzyk. Z największą obawą oczekiwała stanowczych słów jednookiej, pokładała w niej ostatnią nadzieję, a teraz słyszy te same straszne wyrazy, które rozszarpały już raz jej macierzyńskie serce: „Nie mam już twojego dziecka!”.

Ostatnie siły Henryki, pożerające ją wzruszenie i zaczynająca się choroba: wszystko to naraz się w niej odezwało. Gorączkowe rumieńce wystąpiły na jej twarz niedawno tak bladą, a z ust wychodziły słowa bez związku.

— A więc to jej porwano to dziecko! — mruczała stara Nepardowa. — Ale kim mogła być ta donna, która mi je przyniosła? Przeklęta bądź, nędznico! O, gdybym miała teraz małą Marię!

Zaniosła udręczoną matkę na łóżko i czuwała przy niej, litowała się nad nieszczęśliwą chorą i nie spostrzegając tego, coraz bardziej ją zaczynała lubić, bo widziała, że co dzień bardziej błakają się jej myśli i słowa.

Chłodziła palące czoło Henryki, podawała jej uspokajający napój, aż nareszcie przekonała się, że gorączka zmniejsza się. Prawie się tym ucieszyła i po raz pierwszy musiała sobie przyznać, że ocaliła życie bliźniemu, a nie byłaby tego nigdy uczyniła, gdyby nie podobieństwo Henryki z ową małą Marią, i gdyby Henryka nie była matką dziecka, które jej serce zdobyło! Może byłaby zostawiła Henrykę swojemu losowi, a nawet może by ją nienawidziła, i wtedy, gdyby posiadała przy sobie małą Marię, z bojaźni, aby prawa matka nie odstręczyła od niej dziecka — ale mała Maria była dla nich obu stracona, a Henryka podobna była do straconej.

Nieszczęśliwa kobieta podniosła się dopiero po upływie kilku miesięcy. Pozostała przy życiu, dla przyjęcia i przeniesienia na siebie wszelkich udręczeń, a przywykła do wychylenia nierównie przykrzejszego kielicha boleści, zdołała znieść i tą nową straszną pewnością, że jej dziecko na zawsze stracone było dla niej.

Henryka pozostawała ukryta u Marii Nepardowej, gdzie czuła się bezpieczną od prześladowań Józefa i strasznych siepaczy. Prawie trzy dni przebywała w chatce na wyspie, gdy nadszedł dzień św. Franciszka, o którym wzmiankowano na zgromadzeniu braci Latającej Pętlicy. Jeden głos oświadczył związkowcom, że nie tylko na ucztę osławionej nocy użyta będzie w Santa Madre piękna Dolores, lecz że nadto siepacze inkwizycji krążą wokół wyspy na Manzanaresie dla schwytania jednookiej, tudzież młodej, pięknej kobiety, która u niej mieszka.

Stara Maria Nepardowa już od kilku dni widziała spomiędzy cienia drzew, że po Prado Bermudez krążą jakieś podejrzone postacie. Zataiła to przed smutną Henryką, nie chcąc mnożyć trosk tej, która jeszcze myślała o dowiedzeniu się, dokąd dziecko jej owej nocy mogło uciec z podwórza kata.

Ale wieczorem, w przeddzień św. Franciszka, opanowała jednooką dręczącą trwoga. Swojej obawy dłużej powstrzymać nie mogła.

— Henryko — rzekła ostrzegającym, poważnym tonem — musimy opuścić wyspę, bo już tu nie jesteśmy bezpieczne.

— Trafili na mój ślad? Mów, ty wiesz o tym!

— Tego się właśnie lękam. Jacyś podejrzani ludzie znowu dzisiaj chodzili po tamtym brzegu.

— Czyń, co chcesz, tylko ocal mnie i ukryj przed tymi okrutnikami! — błagała Henryka, truchlejąc na samo wspomnienie o tym.

— Jutro, gdy tylko wieczór zapadnie, wyruszmy stąd. Z trudem mi przyjdzie opuszczać moją chatkę. Może kiedyś będziemy mogli wrócić na wyspę, ale teraz nieomylnie grozi nam na niej jak największe niebezpieczeństwo.

I nie myliła się stara Nepardowa.

Józef doniósł hrabinie genueńskiej, pobożnej i szczególnymi oznakami łaski niebieskiej obdarzonej zakonnicy Rafaeli del Patrocinio, że uciekającą Henrykę ścigał aż do Manzanaresu i że rzuciła się w nurty. To w zastanawiającej się nad wszystkim hrabinie wzbudzało mimowolne podejrzenie, że nienawistna jej Henryka może ocalała i dostała się na wyspę Nepardowej.

Dlatego owego wieczoru hrabina genueńska w podwójnym zamiarze odwiedziła jednooką, ale mimo bystrego wzroku śladu Henryki znaleźć nie mogła. Tylko, gdy gondola od wyspy odpływała, zdało się jej, że między drzewami w dali przebiegła jakaś postać, jednak przypisywała to błędnej fantazji.

Gdy po kilku miesiącach siepacze inkwizycji, niezmordowanie szukający z rozkazu królowej, nigdzie śladu Henryki nie mogli znaleźć, prześladowanie na pewien czas ustało. Przypuszczano bowiem, że obwiniona o morderstwo zginęła w nurtach Manzanaresu. Aż nakoniec familiarowie z Santa Madre, od znanych sobie złoczyńców i manoli z ulic Toledo i Prado Bermudez, dowiedzieli się niedługo przed dniem św. Franciszka, że na wyspie Nepardowej przebywa młoda, ładna kobieta.

W Santa Madre nie wątpiono, że należy sprowadzić tę piękną kobietę, a siepacze inkwizycji zostali zaopatrzeni w potrzebne rozkazy i papiery. Na noc po wspomnianym dniu potrzebowano w wielkim pawilonie klasztornego ogrodu nie tylko najdelikatniejszych win i potraw wszelkich krajów, ale także obecności pięknych kobiet na wypadek, gdy któremuś z wielkich zakonników, rozgrzanych winem, przyjdzie ochota w głębokiej ciszy na godzinkę przekroczyć ślub czystości, który zakonnicy inkwizycji bardziej i chętniej niż wszelkie inne przekraczali.

W dzień św. Franciszka po ulicach miasta przechodziły wielkie procesje. We wszystkich dzielnicach Madrytu widziano rozariosów, to jest tłumy świętoszków i chytrych żebraków, którzy, w dwa rzędy ustawieni, głośno odmawiali różaniec, przerywany jedynie ochryplym głosem demandorów (żebraków), wołających po każdym *Zdrowaś Mario*:

Maria santissima del Rosario, hermanos! (Dajcie bracia, dla Najświętszej Marii Różańcowej!)

We wszystkich kościołach Hiszpanii odprawiano msze, a wszystkie obrazy św. Franciszka przybrane były oliwkowymi liśćmi.

Królowa pojechała do kościoła Antocha, do miejsca spowiedzi zasekwestrowanego przez jezuitów i inkwizycję. Król modlił się w zamkowej kaplicy.

Na ulicach widziano tylko śpieszących z pochylonymi głowami i z książkami do modlitwy nabożnisiów i nabożnisie. Tu i ówdzie habitem owinięty mnich przesuwiał się szybko pod domami, a obywatele Madrytu ścigali go niedowierzającymi spojrzzeniami i ruchami.

Lud doświadczył tyle złego ze strony jezuitów i zakonnic, że ich ciągle do piekła wyprawiał, a Hiszpanie przeklinali ich i przeklinaliby jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli, co mnisi i ojcowie w nocy, po owym modlitwie poświęconym dniu, w swoim zamkniętym pawilonie ogrodowym w Santa Madre wyprawiali.

Zanim będziemy obecni na tej orgii, musimy najpierw wrócić do Franciszka Serrany, aby się dowiedzieć, co zaszło w ciągu trzech lat po owej straszliwej nocy.

TAJEMNICE KRAKOWA.

ROMANS WSPÓŁCZESNY

napisał

DR. KAROL KROPIDELKO.



KRAKÓW.

NAKŁADEM i DRUKIEM JÓZEFA FISCHERA.

Główny skład w Warszawie

u Leopolda Eber, ul. Marszałkowska Nr. 109.

Tajemnice Krakowa

Romans współczesny

Napisał dr Karol Kropidełko

[Adam Nowicki]

1888

Pod pseudonimem dra Karola Kropidełki ukrył się Adam Nowicki, dziennikarz i literat, który współpracował m.in. z „Prawdą” Aleksandra Świętochowskiego i „Życiem” Zenona Przesmyckiego; w latach późniejszych pisał historyczne powieści i książki, upowszechniające historię; tłumaczył też literaturę niemiecką i skandynawską. *Tajemnice...* opublikował jako dwudziestotrzylatek świeżo po studiach prawniczych, filozoficznych i polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Decyzja o publikacji pod pseudonimem okazała się trafnym posunięciem z uwagi na sensacyjną treść utworu, niepozbawioną kontekstów politycznych. Jednemu z inteligentnych autorów powieść ta dała asumpt do krytyki świata kolportażu druków brukowych. W 1892 roku w „Przeglądzie Powszechnym” ukazał się artykuł „Prawdziwe tajemnice Krakowa” (przedrukowany w całości w niniejszym tomie). Autor opisuje, jak napotkał na wystawie antykwarium tytuł *Tajemnice Krakowa*: „Co za tajemnice mogą być w Krakowie, myślę sobie. Tajemnice Paryża, Londynu, a choćby Petersburga, na to zgoda! tam mogą być kryjówki, pieczary, ukryte zbrodnie. Ale w tym Krakowie, który się mieści na jednej dłoni, który każdy z nas zna jak swą kieszeń, w Krakowie, gdzie nawet niema

kanatów, gdzie mogą być tajemnice? Zaintrygowany wchodzi i kupuję”.

Akcja powieści doktora Kropidełko toczy się w 1855 roku w Krakowie, opisywanym jako miasto senne, ponure i wyludnione nocą, które staje się tłem dla fabuły utrzymanej w konwencji *Geheimbundroman*, powieści o tajnych związkach. Gatunek ten wykształcił się, jak pisze Anna Gemra, w Prusach pod koniec XVIII wieku, a jego początki stanowią takie teksty jak *Abelino straszny bandyta i bandyta oraz Rinaldo Rinaldini*. Tego typu utwory najczęściej poświęcone były organizacjom anarchistycznym (nihilistom) i wolnomularskim. Przykładami takich powieści są *Galernik Marino Marinelli*, czyli *Krwawe Noce Wenecji* Georga Brühla albo *Wolnomularze, czyli tajemnice łóż masońskich*. Fabuła takich powieści skonstruowana jest wokół spisku organizowanego przez bojowników o wolność czy niepodległość ukazanych albo w pozytywnym świetle, albo, w przypadku utworów bardziej masowych, finalnie potępionych jako zagrożenie dla państwa. „Opisy pełnych grozy rytuałów, atmosfera tajemniczości i zagrożenia, towarzysząca działalności związków, zwiększały atrakcyjność fabuły” pisze wspomniana autorka.

W tym przypadku tajną organizacją są „Biali

Ludzie” rekrutujący się z międzynarodowego grona rewolucjonistów i powstańców, którzy walczą z austriacką dominacją i wywodzą się z tradycji ruchu o zjednoczenie Włoch. Ich zawołaniem jest „Verdi” — „Vivva Emmanuel Re d’Italia”. Tajny związek ma swoją siedzibę w podziemiach koło Wieliczki, pod łóżykiem Wisły. Kilometrami ciągną się tam urządzono z przepychem i rozmachem sale, połączone siecią tajnych przejść. Spiskowcy mają swoją siatkę, rytuały, bojowców i przygotowują się do ostatecznego rozrachunku z zaborczą Austrią. Czytelnik poznaje organizację w momencie przełomowym...

Ale tło polityczne przystania na początku historia kryminalna. Powieść zaczyna się bowiem od tego, że tuż po swoim powrocie z Italii, z przyczyn rzekomo rabunkowych, zostaje zasztylowany hrabia Kazimirski (jak się potem okazuje — zdrajca, który wydał plany „Białych Ludzi” Austriakom). Z miejsca zbrodni zbiega Marcin Jaskulec zwany Babiarzem, łotrzyk i pijaczyna wynajmowany przez stowarzyszenie do brudnej roboty oraz tajemniczy Jan Jednooki. To właśnie on jest tu głównym bohaterem; opaska na oku to tylko przebranie, naprawdę nazywa się Hipolit Leśnicki i jest muzykiem, a poza tym — prezesem „Białych Ludzi”. Pojawia się także pod innymi

postaciami, opanował bowiem do mistrzostwa sztukę kamuflażu, a czujny czytelnik zauważy, że podczas podziemnych zgromadzeń występuje zawsze tylko jeden z bohaterów, za których przebiera się Jednooki. Leśnicki okaże się także (co typowe dla powieści tajemnic) zaginionym ojcem młodego malarza, Jerzego Rybackiego, który wpada na trop jego tajemnicy. Mało tego, później dowiadujemy się, że zasztylowany przez Leśnickiego hrabia był jego ojcem, a szlachetny komisarz Żywiecki, tropiący sprawę i uprowadzony w toku śledztwa — bratem.

Skomplikowanych powiązań rodzinnych, o których bohaterowie nie mają początkowo pojęcia, jest więcej, na przykład przyrodnia siostra Rybackiego, śliczna Zosia, odnajduje po latach swego naturalnego ojca w tureckim baszy Mahmedzie, który przybywa do Krakowa z misją polityczną. Zosia kocha z wzajemnością młodego lekarza, lecz uprowadza ją drugi adorator, demoniczny adwokat Rzecki, hipnotyzer, który pragnie też wejść w posiadanie zaginionych w zamachu na hrabiego szkatułek. Jedną szkatułkę zakopuje Leśnicki w zaułku podczas ucieczki przed policją, druga wpada w ręce posługaczki Mańki, która w kolejnym tomie wraca na scenę powieści jako hrabina. Równolegle poznajemy losy chciwej matki Zosi oraz losy pięknej

doktorowej Kulskiej, która „znała salon, teatr i spacer publiczne, znała wykrochmalonych fircyków i kobiety płoche, jak ona [...] Lecz za to nie znane jej były ciężkie walki o chleb codzienny, dążenie do zdobycia prawdy i wiedzy, walka o zasady i przekonania”. Kulska doznaje upokorzenia, gdy zrujnowana postanawia wyjść na ulicę i jej pierwszym klientem okazuje się jej własny mąż. I ona zostaje wplątana w intrygę — ma zwabić w pułapkę komisarza Żywieckiego.

W powieści (fabularnie tak splecionej, że niemożliwej do streszczenia) stykają się zatem nie tylko postaci szlachetne i niegodziwe, ale i różne sfery społeczne, przy czym z opisu przebiega sympatia dla bohaterów ubogich, za to szlachetnie urodzonych, ciepłe zrozumienie dla postaci z ludu i niechęć wobec zepsutych warstw uprzywilejowanych.

Z atrakcji fabularnych wymieńmy na jednym oddechu ucieczkę balonem, zapadnięcie w podłódze, pojedynki na szpady, truciznę w pierścieniu, sztylety w częstym użyciu, wreszcie próbę zamachu przez podpiłowanie balkonu. Ostatecznie bractwo „Białych Ludzi” ponosi spektakularną klęskę, a hipnotyzer Rzecki, Marcin i Mańka dostają wysokie wyroki, więc sprawiedliwość w pewnej mierze triumfuje. Zakochani biorą ślub i wyjeżdżają do Turcji, część bohaterów znajduje schronienie

we Włoszech. I tylko „zakopanej przez Leśnickiego szkatułki nie odszukano. Leśnicki również nie miał czasu wykopać jej i tak prawdopodobnie znajduje się ona po dziś dzień w ten samem miejscu”. Doktor Kropidełko zostawia więc Kraków z nierozwiązaną tajemnicą.

Justyna Jaworska,
Łukasz Biskupski

Karol Kropidełko [Adam Nowicki],
Tajemnice Krakowa, romans współczesny. Napisał dr. Karol Kropidełko
(Tom I: s. 47—63, 81—101, 190—212,
Tom II: 3—15, 95—108), nakładem
i drukiem Józefa Fischera, główny
skład w Warszawie u Leopolda Eber,
ul. Marszałkowska nr. 109, Kraków
1888.

[...]

Lecz Marcin spostrzegł, iż z tego zbiegowiska może łatwo rozpaść ogień, przy którym potem upiecze własną pieczeń. Uwaga wszystkich była zwrócona na pijaka, ulica była prawie pusta, a zresztą każdy przechodzień miał oczy zwrócone na ów tłum.

Przemknął zatem szybko koło rogu i niebawem wszedł do szynku, na którego szyldzie widniał wymalowany szczupak, tak wielki, tak potężny, a zarazem tak mało do szczupaka podobny, że mógł uchodzić i za polec słońiny, i za tarczę, a także kawałek blachy, gdyby przezorny artysta malarz nie umieścił był pod spodem napisu: „Pot Szczupagiem”. Ten tekst pozwalał się domyślać przechodniom, że twórca szyldu tworzył ową rybę nie z modelu, lecz z wybujałej swej fantazji, a zarazem, że znajomość ortografii również pochodziła z tego samego źródła.

Marcin atoli tych uwag nie czynił. Po pierwsze nie umiał czytać, a szczupaka nigdy ani nie widział, ani tym bardziej nie jadł, po drugie zbyt zajęty był własnym losem, aby mógł jeszcze czynić jakiegokolwiek uwagi krytyczne.

Przystąpił do szynkarza, kiwnął mu głową i rzekł:

— Biały człowiek jest zawsze dobry.

— A czy czarny wyszedł na polowanie?

— Psy chodzą wokoło.

— W takim razie otworzę gołębnik.

— I to najwyższy.

Szynkarz kiwnął głową na Marcina, rzucił okiem na sklep jeszcze pusty i zaprowadził go do drugiej stancji. Tu w rogu widniały w podłodze drzwi prowadzące do piwnicy.

Zapalona świeca, za podniesieniem owych drzwi, pokazała kamienne, wilgotne, śliskie schody prowadzące na dół. Obaj mężczyźni poczęli schodzić.

Na pierwszym zakręcie, który tworzył rodzaj małej platformy, szynkarz, człowiek stary, z długą siwą brodą, przystanął:

— Wieczorem do skarbca czy na miasto? — spytał krótko.

— Do skarbca — odpowiedział Marcin, a sina bladeść pokryła jego oblicze.

— Ha, to pójdziemy tedy — odrzekł gospodarz i nacisnął sprężynę ukrytą gdzieś w murze.

Nagle w kamiennej i na pozór jednolitej ścianie ukazały się drzwi. Jeszcze jedno naciśnięcie innej znowu sprężyny i wrota się otworzyły.

Zimne i zatęchłe nieco powietrze wionęło ku nim z ciemnego i wąskiego korytarza.

— Chodź za mną, a zamknij drzwi za sobą — rzekł gospodarz i, osłaniając dłonią płomień świecy, wszedł pierwszy do owej szyi.

Marcin postąpił podług rozkazu gospodarza. Nastąpił lekki trzask, a w tej samej chwili najbieglejsze oko niewtajemniczonego nie dostrzegłoby na murze najmniejszej nawet skazy lub rysy.

Wędrówka nie była zbyt długa. Po trzydziestu krokach gospodarz znowu stanął, gdyż kolejny mur zagradzał im dalszą drogę. I znowu właściciel nacisnął sprężynę jedną, a potem drugą i obydwaj znaleźli się w jasnym, ciepłym pokoju, oświetlonym dwoma oknami, które wychodziły na ogród.

W pokoju tym siedział jakiś młody chłopiec, który na widok przybyłych rzucił czym prędzej jedzenie, którym raczył się do woli.

— Znowu jesz — zawołał szynkarz — a ciekawy jestem, czy pamiętasz o gościach.

— Ależ pamiętam, panie.

— Niech mię jeszcze jedna dojdzie skarga, a natychmiast uwolnię cię od obowiązków służącego w schronisku. Może cięższa służba oduczy cię łakomstwa.

Chłopak milczał.

— No, mam nadzieję, że się poprawisz — ciągnął dalej szynkarz — a teraz zajmij się Jaśku Babiarem, daj mu pokój z łóżkiem, jedzenie i napitek. Jest bardzo zmęczony, potrzebuje wypoczynku.

Po tych słowach, kiwnąwszy obu głową, zniknął na powrót w korytarzu, który w jednej chwili zasłoniła biała, tapetowa ściana.

Jasiek był to młody chłopak, który usługiwał w schronisku. Miał dach nad głową, jedzenia pod dostatkiem, dość dużą pensję, a roboty wcale niedużo. W schronisku przebywało wprawdzie codziennie po kilku ludzi, lecz były to jednostki niewymagające i niemające wielkich potrzeb.

Marcina znał już od dawna. Serdecznie więc uściśnął jego rękę i zapytał:

— Dlaczegoż to tak zabiedzony jesteś, Babiarszu? Przyznaj się, że pewnikiem hulałeś z dziewczynami przez całą noc, pieniądze wydałeś, a teraz pragniesz podreperować naszą strawą brzuch i siły.

— Eh, diabła tam bawiłem się. Robotę miałem przez całą noc.

— Robotę mieliście — zawołał Jasiek, a oczy błysnęły mu niezdrowym ogniem. — Wy mówicie, Marcinie, nieraz dobre roboty, wiem o tym doskonale. Jesteście zdrowi, silni i zgrabni, to wam Jednooki ufa.

Na wspomnienie Jednookiego Marcin pobladł znowu, a na wzmiankę o dobrej robocie zaklął z cicha i splunął z obrzydzeniem.

Jasiek ową bladeść i owo zakłęcie brał za oznakę głodu i niecierpliwości, że mu nie podaje posiłku. Ujął go zatem za rękę i zaprowadził do pokoju leżącego tuż obok, również widnego i czystego jak poprzedni.

Pomógł mu się rozebrać i ułożył go na łóżku, a oddaliwszy się, przyniósł za chwilę gorące, dymiące się, mięsne śniadanie, które nęciło smacznym, korzennym zapachem. Butelka wina towarzyszyła temu daniu. Ustawivszy to wszystko w porządku, znikł.

Marcin jadł żarłocznie, niby dziki, wygłodzony zwierz. Potem ułożył się, otulił i pragnął zasnąć. Daremne atoli były te zachcenia, sen nie chwycił się powiek. Spędzała je bowiem stamtąd obawa co do przyszłości.

Przed oczyma stał ciągle Jednooki. Z tym człowiekiem nie było żartów. W ogóle „Biali Ludzie” żartować nie lubią. Kto wie nawet, czy umieją.

Marcin przypomniał sobie dokładnie swój los poprzedni, swój zamach i swoje ocalenie.

Kiedy tajemniczy nieznajomy puścił go na wolność, a sam zniknął niby duch jaki w ciemnościach nocnych, Marcinowi w pierwszej chwili przyszło na myśl nie posłuchać jego rozkazu. Lecz rozsądek, a może i ciekawość zwyciężyła wreszcie. I tak do stracenia nic nie miał, mógł więc tylko zyskać.

O oznaczonej godzinie stawiał się pod murem kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu. Pusto było i ciemno, choć oko wykol, jak to mówią. Nikogo widać nie było, z daleka tylko na Wolnicy błyszczały światła w oknach domów żydowskich i słyszać było kroki spóźnionych przechodniów biegnących koło Ratusza.

Marcin chodził jak sztyldwach po wyboistym chodniku, oczekując przybycia nieznajomego, a oczekiwany się nie zjawiał.

Chłopak sądził, że stał się ofiarą żartu, który skomponował ów nieznajomy, chcąc się raz stanowczo wyrwać z jego rąk. Lecz on tego mu nie daruje. Gdy go pozna, w biały dzień wyrzuci na nim zemstę.

Wtem przy drugim końcu muru zamajaczyła jakaś czarna postać i zbliżała się ku niemu. Marcin w pierwszej chwili cofnął się z przestachu. Kościół i cmentarz tuż pod bokiem nasunęły mu myśl, że to może duch jaki, upiór, z grobu powstały nieboszczyk, który idzie mu głowę urwać. Toteż im bardziej naprzód posuwała się owa mara, tym bardziej cofał się przestraszony Marcin.

Lecz w końcu przystanął i z drżeniem oczekiwał dalszych wypadków. Czarna postać zbliżała się i zbliżała, wreszcie stanęła tuż przy Marcinie.

Teraz ten ostatni mógł się wygodnie przyjrzeć owemu zjawisku. Był to mężczyzna z siwą głową i siwym wąsem. Ubranie miał na sobie dość zniszczone. Na lewym oku czerniał wielki plaster, który nadawał twarzy wyraz nieprzyjemny i tajemniczy.

— To on zapewne — szepnął sobie Babiarz. — Niech się dzieje, co chce, oddam się w jego ręce, może nieznajomy i dobrze radził.

Postąpił kilka kroków i ozwał się drżącym głosem:

— Jam jest Babiarz.

— A ja jestem Jednooki Jan — brzmiała odpowiedź surowym wyrzeczoną głosem.

I tajemniczy człowiek przystąpił do Marcina tak blisko, że twarz się prawie z twarzą stykała, ujął go za rękę i zawołał:

— Chodź za mną, a bądź mi posłusznym.

I nim się Marcin spostrzegł, nieznajomy pociągnął go wzdłuż muru, a jego kościste palce ścisnęły rękę Marcina jak żelazne okowy.

Na rogu nieznajomy stanął wraz z towarzyszem, wyciągnął rękę i dotknął nią muru, jakby naciskał ukrytą tamże sprężynę. Marcin z ciekawością spoglądał na tę czynność.

Nagle odskoczył z przestרחu. Tuż pod jego nogami ukazał się w ziemi otwór.

— Wejdz! — przemówił nieznajomy, wskazując ręką na otwór.

— Nie głupim — pomyślał Marcin, z coraz większym przerażeniem patrząc na czarną czeluść. — Pewnikiem to diabeł — ciągnął dalej, patrząc spod oka na nieznajomego. — Ślepiec przeklęty chce mię teraz do piekła wrzucić i kark skrócić.

I z rozpaczą oglądał się wokoło, czy nie ma jakiegoś środka do ucieczki. Z lewej strony mur cmentarny okalający olbrzymi i milczący zabytek średnich wieków, kościół Bożego Ciała, z prawej tyły kamienic i parkany. Za nim odzywał się od czasu do czasu coraz bardziej usypiający Kazimierz, a przed nim czerniała jakaś pustka, pole szare tu i ówdzie drewnianą chałupą zasiane.

— Żeby tak przez mur przeskoczyć i do kościoła się dostać, to by człowiek był już pewny życia — myślał Marcin, a przestרח coraz większy ogarniał go, bo dygotał ze strachu jak w febrze.

Lecz owe zachcianki były daremne, bo mur był wysoki, gładki i nie przedstawiał nigdzie jakiegokolwiek punktu oparcia. Jedynym więc ratunkiem było się wyrwać z rąk tego szatana i uciekać przed siebie lub w stronę miasta.

Szarpnął się więc raz i drugi, lecz moc nieczysta — jak sądził — trzymała go silnie.

— Cóż ośle wyrabiasz? — mruknął Jednooki. — Nie chcesz iść na dół? Eh, bratku, to każdego pierwszy raz tak przeraża. Za drugim razem idzie już sam dobrowolnie, a nawet z przyjemnością.

— To ci prechera szwargocze, jeszcze sobie kpi z człowieka — mruknął Marcin.

Wtem wrzasnął przeraźliwie, bo na swym karku uczuł drugą rękę Jednookiego, który nim wstrząsnął, uniósł w powietrze i nogi wsadził do ciemnego otworu.

— Żeby cię cholera... — zaklął Jednooki. — Czegóż wrzeszczysz, przecież nikt ci nic złego nie robi. No, idź na dół.

Rzeczywiście Marcin uczuł pod nogami stopnie schodów. Zaczął więc wśród dreszczy zstępować na dół. Za nim, trzymając go za kark, postępował Jednooki.

Jak długo szli w ten sposób, tego Marcin nie umiał oznaczyć. On szedł na ślepo, kierował zaś nim, znający widać dobrze tę drogę, Jednooki. Skręcali to w tę, to w ową stronę, szli na dół, to znowu prosto, to do góry.

Wreszcie przed oczyma stękającego Marcina, gdzieś tam daleko, na dole, ukazało się światółko, które z każdym stopniem przybierało coraz większe rozmiary. Jaskrawa światłość zalewała korytarz.

— Piekło! — jęknął przerażony już ostatecznie Marcin.

— Ha, ha! — zaczął się śmiać Jednooki. — Nie bądźże głupi, Babiarszu, i nie gadaj takich głupstw. Dla ciebie piekło byłoby na razie niezasłużoną nagrodą. Musisz się jeszcze dobrze napracować, aby po kilkudziesięciu latach móc tam wejść.

Marcin szeroko otworzył oczy. Słowa Jednookiego wydały mu się zbyt dziwne i niezrozumiałe.

— Piekło jest nagrodą?

— A tak, mój kochany. Dla takiego biedaka jak ty, który całe życie marznął w zimie, który sypiał nocami w nieopalanej, poddasznej dziurze, kędy wiatr przewiewał na wszystkie strony, to piekło, w którym opału nie brak, panuje zawsze przyjemne ciepło, jest raczej nagrodą niżeli karą.

Lecz Marcin jeszcze i teraz nie mógł się pogodzić z wywodami Jednookiego. Przecież on słyszał coś o smole, w której gotują grzeszników, o piecach, na których każą siedzieć stałym mieszkańcom podziemi. Tak żywo wyobrażał sobie owe męczarnie, że w pewnych okolicach ciała uczuwał już jakieś silne przygrzewanie.

Wreszcie stanęli w jakimś przedsionku, gdzie paliły się dwa olbrzymie słońca elektryczne. Marcin z podziwem przypatrywał się tym dwóm szklanym baniom, które wyglądały tak, jakby były pełne świecącego płynu.

— Takie bestyjstwo małe, a tak silnie świeci — mruknął i rozglądał się wookoło. Przechodek był pusty, lecz co dziwniejsze, nie było w nim żadnych innych drzwi, tylko te, którymi weszli.

Lecz w tej chwili Jednooki przyłożył do ust świstawkę i dał dwa krótkie, urywane sygnały. W sekundę może, gdy świst umilkł, ściana na wprost ich oczu rozsunęła się i w otworze ukazał się jakiś człowiek, uzbrojony karabinem i pałaszem.

Ujrawszy Jednookiego, skłonił się i rzekł:

— Droga wolna.

Jednooki pchnął więc Marcina w otwór, sam poszedł za nim, a strażnik czym prędzej zsunął sprężynę i ściana się zamknęła.

Byli teraz w niewielkiej salce, wygodnie urządzonej, pełnej krzesel, ławek i stołów. Elektryczna lampa także tu oświetlała wnętrze i rzucała srebrzyste promienie na twarze kilkudziesięciu ludzi, którzy się tu znajdowali.

Kilku było uzbrojonych, jak ten, który ich wpuścił, inni byli w białych maskach, z białymi kokardami na ubraniach. Stroje te były różne. Niektórzy chodzili w łachmanach, inni mieli na sobie rzemieślnicze bluzy, inni wreszcie przystroili się w najmodniejsze ubrania, świeżo wprost przysłane od krawca. Wszyscy śmiali się, żartowali lub śpiewali najnowsze operetkowe arie.

Jednooki przypiął sobie również białą kokardę, a potem, obracając się do Marcina, rzekł:

— Poczekaj tutaj! — i ręką wskazał mu kąt pusty i najmniej jasny.

Marcin podszedł tam i, usiadłszy na krześle, począł się przypatrywać wszystkiemu, co mu się przed oczy nawinęło.

— Jeżeli to piekło — myślał — to tutaj jest rzeczywiście bardzo przyjemnie.

Lecz gdy spostrzegł liczne drzwi, pozasłaniane kotarami, a prowadzące do dalszych pokoi, wstrząsnął nim znowu dreszcz.

— Eh, to może diabelska moc — przyszła mu uwaga. — Naumyślnie tutaj tak przyjemnie się przedstawia początek piekła, żeby potem tym łatwiej odurzonego człowieka pochwyć w swe krogulcze szpony, którymi ma i ręce i nogi opatrzone.

Lecz strach powoli mijał, a Marcin patrzył, a dziwił się wszystkiemu, co mu się przed oczami przewijało.

Dziwił go ów ruch i gwar, jaki panował wśród obecnych, dziwiła go familiarność i poufałość, z jaką każdy do drugiego przemawiał bez względu na ubranie. Zazdrościł, że nie mógł, jak inni, przysunąć się do stołów, na których kurzyły się półmiski, pełne pieczonego mięsiva i stały butelki wina i kufle pełne złotawego piwa. Podziwiał olbrzymie lustra, pozawieszane na ścianach, których złożone ramy lśniły się w tysięcznych blaskach przy księżycowym świetle lamp elektrycznych. Rozkosznym wydawało się powietrze w pobliżu olbrzymich bukietów, których dwanaście stało w salce wzdłuż ściany, foremnym kołem obejmującej całą salę. Jego podarte i obłocone buty dziwnie wreszcie odbijały się od wywoskowanej i gładkiej, niby tafla lustrzana, posadzki.

Śmiechy i krzyki nie ustawały, owszem, wzrastały ustawicznie, gdyż co chwila na przeraźliwy głos świstawki z zewnątrz ściana się otwierała i przybywał nowy gość do okrągłej salki.

Marcin szukał Jednookiego wśród tego różnobarwnego tłumu, nigdzie go atoli nie mógł dojrzeć.

Nagle głos dzwonka zapanował nad tą wrzawą i nad śmiechem. Marcin zdrętwiał, bo w jednej prawie chwili tłum zamilkł i spowaźniał. Lekki, cichy szept zaledwie poruszał owe wargi, sekundę przedtem otwarte szeroko do wesołego śmiechu.

Dwaj uzbrojeni strażnicy stanęli po obu stronach jakichś bardzo szerokich drzwi przysłoniętych kotarą. Obecni poczęli szykować się w szeregi po czterech. Surdutowcy stanęli bez wahania obok wyrobników.

Stoły zostały pozbawione biesiadników, odbieżono od potraw i napoi. Marcin patrzył na wszystko z podziwem. Pozostał sam w swoim kąciку, nikt się o niego nie troszczył, nikt nie zawołał. Sądził, że Jednooki przyjdzie po niego, lecz ten się nie zjawiał.

Nagle dzwonek ozwał się po raz drugi.

Drzwi otworzyły się bez najmniejszego szmeru, lecz co za nimi się znajdowało, tego Marcin ze swego miejsca nie mógł w żaden sposób zobaczyć.

Długi wąż, jaki utworzyły szeregi, stopniowo znikał w otwartych drzwiach. Zmniejszał się z każdym krokiem zamaskowanych. Szeregów pozostało jeszcze sześć, potem pięć, potem cztery, trzy, dwa, jeszcze jeden, aż na koniec i ten ostatni zniknął. Za nim weszli obaj strażnicy, skrzydła drzwi znowu bez szmeru się zeszły, kotara spadła i zasłoniła je.

W okrągłej sali pozostał Marcin i strażnik, który na głos świstawki naciskał sprężynę.

Ta pustka przerażała początkowo eksmularza. Prędko jednak oswoił się on z nowym swym położeniem i, nie tracąc czasu, począł rzucać naokoło swobodne spojrzenia.

Uwagę jego zwróciła mnogość potraw, jakich pełno było na stołach. Równocześnie w brzuchu począł przypominać się głód. W ustach od rana nic nie miał prócz kieliszka wódki.

— Hm — mruknął — warto by coś zjeść.

Tu spod oka spojrzał na swego towarzysza. Strażnik zdawał się spać. Przynajmniej oczy miał zamknięte.

Marcin wstał i, ostrożnie idąc na palcach, doszedł do najbliższego stołu. Obejrzał się i drgnął, bo zdawało się mu, że strażnik oczy otworzył.

— Eh, to zapewne przywidzenie — mruknął i szedł dalej, zachowując te samą co poprzednio ostrożność.

Już był przy stole i porwał za pierwszy widelec leżący blisko.

— Jeżeli to diabelska strawa — pomyślał — to gdy przeżegnam, zapali się, zaśmierdzi siarką i zniknie.

Przeżegnał więc półmisek pełen wybornej pieczeni z kartofelkami i czekał chwilę. Lecz płomień się nie zjawiał, owszem lekko unosząca się para przyjemnie drażniła umysł powonienia i pobudzała apetyt.

Nie namyślając się więc dłużej, przysunął do siebie półmisek i począł jeść niesłychanie żarłocznie. Nie krajał, tylko szarpał zębami, połykając olbrzymie kawały mięsa. Półmisek niebawem się opróżnił. Wtedy Marcin uczuł potrzebę przepłukania żołądka jakimś płynem. W pobliżu stało kilka odkorkowanych butelek piwa. Złapał je i w kilka minut pozbawił je ich zawartości.

Wtedy apetyt wrócił na nowo.

Przesunął się tedy wzdłuż stołu dalej, gdzie stał inny znowu półmisek, pełen kotletów z sosem kaparowym. Marcin, trochę już spokojniejszy, poszukał noża i nieco prawidłowiej przeprowadził proces opróżniania naczynia.

Ta część biesiadników raczyła się winem. Marcin wyszukał tedy dużą, czystą szklankę, która mieściła w sobie trzecią część butelki i w dziesięć minut wychylił takich szklanek dziesięć.

Lecz apetyt jego nie był jeszcze zaspokojony. Za dalszym posunięciem natrafił na rzymską pieczeń, której jeszcze spory kawałek widniał na platerowanym półmisku.

Kto ma tak szczerą ochotę jak Marcin, to nawet po zjedzeniu pół wołu znajdzie jeszcze miejsce w żołądku dla jakiegoś tam mizernego pół łokcia rzymskiej pieczeni oblanej sosem ze śmietaną i ugarniowanej marynowanymi rydzami. A kilka marnych butelek porteru może przecież znieść wytrawna głowa.

Lecz gdy zabierał się z nieco już zamglonymi oczyma do spożywania kurcząt pieczonych, stojących tuż obok, uczuł na swym ramieniu ciężką jakąś dłoń. Obejrzał się i zdrętwiał.

Za nim stał strażnik.

Lecz nie miał on groźnego wyrazu na twarzy. Owszem, mina była uśmiechnięta i dobrodusznna.

— Słuchaj no — przemówił do Marcina — może by już było dosyć tego dobrego. Wprawdzie musiałeś być diabelnie głodnym, ale teraz narażasz się już na zadławienie. No, a co do trunków, to chyba jak wstaniesz, nie utrzymasz się na nogach.

Marcin obrócił się i zawołał:

— He, he! Brachu, nie znasz Babiarza w takim razie. Drugie tyle jeszcze wypiłbym i nic mi się nie stanie. Ot, zamiast gaworzyć na darmochę, siadaj lepiej obok mnie i pijmy razem.

— O nie, mój kochany. Ja jestem na służbie teraz, a i ty nie pij tyle, bo wkrótce zostaniesz wezwany przed Wielką Radę.

— Przed Wielką Radę — powtórzył nieco drżącym głosem Marcin. — Co to jest takiego?

— Zobaczysz wkrótce. Skoro dzwonek zabrzmi, wtedy drzwi się otworzą i zawołają cię wewnątrz. Ot, lepiej teraz przejdź się nieco po sali, by ci głowa ochłodziła nieco.

Na Marcina owa powaga, z jaką mówił strażnik, wywarła niemały wpływ. Wygramolił się więc spoza stołu i począł chodzić, myśląc ze strachem o chwili, kiedy dzwonek zabrzmi. Co to jest ta Wielka Rada? To może Lucyper z oberdiabłami. Pozwolili się mu najeść, a teraz mu głowę utną.

Wtem zabrzmiał dzwonek.

Kotara się rozsunęła, drzwi rozwarły się szeroko, a głos z zewnątrz pochodzący, zawołał:

— Marcin Jaskulec.

Strażnik rzekł:

— Idź zaraz.

Marcin, drżąc ze strachu, postąpił naprzód. Gdy przeszedł próg, drzwi zamknęły się za nim, lecz on olśniony, przejęty podziwem, nie mógł ruszyć się ani krokiem naprzód.

Znajdował się w olbrzymiej sali, której strop kończył się rodzajem kopuły. Ściany tak sali, jak i kopuły, przybrane były olbrzymimi taflami szklanymi, w których tysiąckrotnie, do nieskończoności niemal, odbijały się wszystkie sprzęty

i wszystkie postacie zgromadzonych w tej sali osób. Marcin nie umiał naprawdę zdać sobie sprawy, gdzie ta sala się kończyła, a gdzie rozpoczynało się złudzenie. Lamp elektrycznych było kilkanaście, a zlewały one olbrzymi ocean światła.

Na końcu sali, na wprost drzwi, wznosiła się estrada, cała czerwonym suknem obita. Na scenie poza stołem zasiadało siedmiu mężów w czarnych togach i biretach na głowie. Na lewym ramieniu każdy z nich miał białą kokardę.

Po obu stronach sali stali ci, których Marcin widział poprzednio. Tworzyli oni jakoby dwa operowe chóry pod przewodnictwem siedmiu solistów, z których środkowy zdawał się być przewodniczącym, bo biret jego był u dołu lamowany złotym sztychem.

Marcin stał więc i gapił się na wszystko. Lecz z tego niemego podziwu wyrwał go surowy głos przewodniczącego. Był to przystojny mężczyzna, trzydziestoletni może, którego twarz, całkiem pozbawiona zarostu, promieniała zdrowiem i zadowoleniem z własnego „ja”, a włosy spadały na szyję w czarnych lśniących lokach. Kiwnął on ręką na Marcina, by zbliżył się ku środkowi i rzekł, a głos jego brzmiał nieco z cudzoziemska:

— Marcinie Jaskulec, przyłapano cię dzisiaj na plantach krakowskich w chwili, kiedy chciałeś obrabować, może zabić nawet, spokojnego przechodnia. Odpowiedz, czy to prawda?

Marcin milczał, lecz dreszcz za dreszczem wstrząsał nim uporczywie, a on sam ustawicznie szeptał:

— Patrzcie, to ci mię ściągnęli w pułapkę. Pewnikiem moja ostateczna nadeszła godzina. O Chryste Panie, zmiłuj się nade mną, poprawię się z pewnością.

Przewodniczący chwilę czekał, a nie doczekawszy się, jak z góry można się było domyślać, odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Milczysz, a zatem przyznajesz się. Na jakąż więc zasługujesz karę? Oznacz ją sam.

Marcin pomyślał, że najlepiej byłoby stąd uciec, a tymczasem mruczał dalej:

— Jezu najmiłościwszy, już od przyszłego poniedziałku poprawię się i pójdę roboty szukać, tylko wyrwij mię z diabelskiej mocy.

— Ponieważ nie oznaczasz kary, więc ja i obecni tutaj sędziowie jesteśmy zmuszeni ukarać cię.

Marcin ze strachu odchodził prawie od przytomności. Obiecywał poprawić się już od niedzieli, nawet od soboty, a wtedy była to środa, on zaś przed poprawą chciał pić jak najdłużej.

Teraz najedzony, spoczywając w wygodnym łóżku, ze śmiechem przypomina sobie ową trwogę, która wtedy tak srodze dała się mu we znaki. Teraz śmieje się już z owego strachu i z owych kar, z owych bied doznawanych przedtem, a nawet i z wczorajszej nocy, spędzonej wśród deszczu i na błocie. Z jednej tylko rzeczy śmiać się nie zdoła, z tego mianowicie, że mu ukradziono ową nieszczęsną kasetkę.

Ha! Gdyby wiedział, kto mu to uczynił!

I konwulsyjnie ścisnął potężną pięść, która by porządnie każdemu zdołała się dać we znaki w razie potrzeby. Lecz nie tracił nadziei, że jeszcze odnajdzie sprawcę swego nieszczęścia.

A niepowodzenie to było dwojakie: groziła mu kara śmierci z ręki „Białych Ludzi”, a gdyby nawet tej uniknął, z bogacza w przeciągu kilku godzin stał się żebrakiem.

Kiedy bowiem po naradzie tajemniczy sąd przebaczył mu, a nawet pozwolił wstąpić do nowicjatu „Białych Ludzi”, wpojono w niego zasadę, że największymi grzechami w stowarzyszeniach jest nieposłuszeństwo, brak ostrożności i zręczności oraz zatajenie czegokolwiek, czy to pieniędzy, czy to wiadomości, przed przełożonymi stowarzyszenia.

A on dzisiejszej nocy dopuścił się wykroczenia przeciwko drugiemu i trzeciemu punktowi regulaminu. Biada mu więc.

Lecz przyszła potem myśl: Na co ma się niepotrzebnie martwić? Nie wiadomo jeszcze, co go spotka do wieczora. Lepiej spać.

I przewrócił się na drugi bok, naciągnął kołdrę i położył się do snu. Rzeczywiście po kilku minutach rozległo się potężne chrapanie znużonego Marcina. Kto wie, co mu się tam śniło? Lecz, że mu się coś śnić musiało, było to widocznym po jego niespokojnym sposobie spania. Rzucił się na łóżku, stękał i jęczał, a na czoło występował pot.

Kto wie, czy nie śniło mu się piekło przygotowane przez „Białych Ludzi”? Kto wie, czy nie śniło mu się, że siedzi w kotłach pełnym wrzącej smoły? Taka zaś kąpiel mogła sprowadzić poty, i to dobre. [...]

10. Sąd

Marcin spał dosyć długo. Już zmierzch zapadał, kiedy Jasiek obudził go niezbyt delikatnym dotknięciem ręki.

— Czego chcesz? — spytał, spoglądając na niego rozespanymi oczyma.

— Zjecie obiad, Babiarszu.

— A doskonale, że pamiętałeś o tym. Jesteś dzielny chłopak, lubię cię za to.

— Eh, cóż mi z tego przyjdzie, że mię lubicie, kiedy nie pamiętacie o mojej prośbie.

— Ach, jakąż ja mam pamięć! — zawołał Marcin, uderzając się dłonią w czoło. — Toż jestem w stanie udzielić ci jak najpewniejszych wiadomości.

— Więc mówcie prędzej, gdzie jest Mańka?

— Mańka służy obecnie.

— Co? — twarz wyrostka zdradzała niedowierzanie.

— Nie oszukuję cię bynajmniej, gdyż nie jestem zazdrosny i nic bym z tego nie skorzystał.

— Na której więc ulicy się znajduje?

— Na ulicy Garncarskiej w dwupiętrowym domu. Łatwo go poznasz, bo tylko taki jeden znajduje się w tej dziurze.

— Które piętro?

— Drugie.

— Ach! Żebym ja dzisiaj wieczorem miał czas, to bym zaraz tam poszedł. Może się jakoś wykręcę.

Marcin pomyślał, że i jemu należałoby również zwiedzić uważnie tamte strony jeszcze raz, gdyż może wpadłby na jakiś ślad owej nieszczęsnej szkatułki.

— Wiesz co? — zawołał. — Ja mam również interes w tamtej stronie. Daj mi obiad, a potem pójdziemy razem.

— Dobrze! Powiem brodatemu, żeby mi dał urlop.

I wyleciał czym prędzej z pokoju.

W pół godziny potem Marcin i Jasiek wchodzili do domu, gdzie mieszkała Mańka.

Marcin wyglądał teraz na zamożnego majstra. Miał porządne ubranie, był świeżo ogolony, włożył nawet rękawiczki i miał trzcinę ze srebrną gałką. Jasiek wyglądał również nieźle, choć złe życie robiło go nad wiek starszym.

Marcin z pewną siebie miną prowadził swego towarzysza na drugie piętro i to frontowymi schodami, ponieważ Mańka mówiła mu, że państwo wyjechali i nie wrócą, aż za kilka dni.

Stanęli wreszcie u celu, lecz, mimo kilkakrotnego dzwonienia, nikt im nie otwierał.

Wreszcie otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie. Jakiś mężczyzna, wychyliwszy głowę, zapytał:

— Do kogo to panowie przyszli?

Marcin pomyślał, że nie może wygadać się z tym, iż przyszli odwiedzić Mańkę, a nie państwo...

Nazwiska nie mógł przeczytać, choć tabliczka była na drzwiach przybita, z tej prostej przyczyny, że nie umiał czytać.

Lecz sprytny Jasiek odgadł myśl swego starszego towarzysza, a że posiadał sztukę czytania, odpowiedział:

— Do państwa Jaśmińskich.

— Nie ma ich w domu, wyjechali.

— To może jest służąca, bo chcielibyśmy zostawić kilka słów.

— Ach! Ta łotrzyca dzisiaj rano uciekła, okradłszy swych państwa.

— Co za nieszczęście! — wykrzyknął Jasiek, ratując sytuację, bo nie stracił przytomności jak Marcin, który w pierwszej chwili mowę utracił.

Z chwilą bowiem ucieczki Mańki tracił możliwość dowiedzenia się czegoś bliższego o całym domu i jego mieszkańcach.

Lokator powstał chwilkę jeszcze, potem cofnął się i zatrzasnął drzwi za sobą.

Marcin szepnął:

— Chodźmy.

Tu spojrzął na Jaśka, a ujrzawszy w jego oczach łzy, zawołał:

— Dziecko jesteś, że płaczesz po niej. Tysiące od niej lepszych znajdziesz.
— Lepszych nie wiem, bo ja ją tak kochałem.
— He! He! Miłość dla takiej Mańki — zaśmiał się Marcin rubasznie.
— No, ja wracam do domu — przerwał Jasiak niechętnie, bo nie lubił, kiedy się wyśmiewano z jego uczucia.

Sierota, od zarania życia chował się na ulicy, żywiony od czasu do czasu z litości. Często głodu zaznał, często spał pod gołym niebem. Raz w zimie przemarzniętego już na poły znalazła Mańka włączając się po ulicy i zabrała do siebie. Kilka tygodni trwała choroba, dziewczyna nie żałowała ani pieniędzy, ani czasu, ani starań, by chorego doprowadzić do zdrowia.

Wreszcie usiłowania jej uwieńczył pomyślny skutek. Chłopiec wyzdrowiał i odtąd przywiązał się namiennie do tej zepsutej dziewczyny, która gdzieś jeszcze w głębi serca zachowała iskierkę lepszych i czystszych uczuć.

Jasiak był ładnym chłopcem i sprytnym, a wyświadczał Mańce tysiące przysług. Ta nawzajem przywiązała się do swego pupila. Obie te istoty zaś nie miały żadnego hamulca moralnego, toteż sympatia ich wkrótce przybrała takie formy, jakich w każdym razie między dwudziestotrzyletnią kobietą a siedemnastoletnim chłopcem przybierać nie powinna. Lecz to związało ich jeszcze silniej ze sobą.

Dopiero kiedy Jasiak dostał miejsce w schronisku, musieli się ze sobą rozłączyć. Widywali się rzadziej: raz, czasem dwa razy na tydzień.

Aż wreszcie pewnego razu Mańka na umówioną schadzke nie przyszła i wszelki po niej ślad zaginął. Jasiak, nie mogąc sam dla braku czasu robić poszukiwań, prosił o to Babiarsza, który Mańkę znał również dobrze.

Jasiak wiedział, co stanowiło zarobek Mańki. Lecz w najniższej klasie ludności pojęcia moralne są zbyt niewyraźne, zbyt zatarte, by się miał o to martwić lub tym zrażać. Lecz mimo to nie lubił, jak ktoś się wyśmiewał z jego dla niej uczucia.

Pożegnał więc czym prędzej Marcina i poszedł w swoją stronę. Ten ostatni skierował swe kroki ku cmentarzowi.

„Biali Ludzie” mieli rozmaite do podziemia wejścia. Koło muru cmentarnego znajdowało się także jedno. Każdy członek stowarzyszenia miał rozkaz co kilka dni innego używać wejścia, a to dlatego by zbyt częstym pojawieniem się w jednej okolicy nie zwracać na siebie uwagi okolicznych mieszkańców.

Marcin stanął przy wejściu w chwili, gdy jakiś inny członek stowarzyszenia z białą kokardą na ramieniu również zabierał się do zejścia.

— *Verdi* — szepnął Babiarsz.
— *Italia* — odpowiedział nieznajomy.
— Idź pan przodem — rzekł Marcin.

W milczeniu szli podziemnym korytarzem, który był tak samo zbudowany jak ów koło Bożego Ciała, z tą tylko różnicą, że przewyższał ten ostatni długością.

Wreszcie Marcin dał znak świstawką i obydwaj znaleźli się po chwili w małej, okrągłej sali.

Wnętrze jej wyglądało jak zwykle. Może było tylko gwarniej i ludniej niż kiedy indziej.

Tym razem Marcin nie bał się już piekła, lecz natychmiast zasiadł do stołu, na którym kurzyło się kilka półmisek i stało kilkanaście baterii z butelek wina.

Jego towarzysz natomiast szukał prezydującego i dlatego wprost po przybyciu zapukał do drzwi, na których różnobarwną emalią wypisano *Verdi*.

Po zapukaniu, nie czekając pozwolenia, wszedł. W pokoju tym, zbytkownie urządzonym, stało lub siedziało sześciu członków Wielkiej Rady. Trzech z nich miało białe maski, trzech pozostałych twarzy nie zasłoniło.

Skłonił się tym dostojnikom spokojnie gwarzącym o jakiejś sprawie i rzekł:

— Szukam przewodniczącego. Mam udzielić mu nader ważnej wiadomości.

— Czekamy na niego, bo jeszcze nie przyszedł — odrzekł jeden.

I dał znak młodzieńcowi, by się oddalił.

Jerzy był posłuszny. Znał cel stowarzyszenia i wiedział, że osiągnięcie tegoż wymaga wielkich wysiłków, wielkiego zaparcia się siebie i ofiar. Dlatego też nie sarkał nigdy, gdy dostał jakiś trudny rozkaz lub gdy jakiegokolwiek polecenie udzielono mu w ostrej, nieraz nawet odstręczającej formie.

Za powrotem do salki spotkał kolegę swego, również ucznia Szkoły Sztuk Pięknych, przyjętego do stowarzyszenia przed kilku zaledwie dniami.

— Ach! Jerzy! — zawołał tenże. — Dobrze, że cię spotykam. Tak mi tu jakoś pusto, obco, strasznie nawet. Ponieważ ty namówiłeś mię, żebym wstąpił do „Białych Ludzi”, to teraz winienesz mi kilka objaśnień dopełniających poprzednie wskazówki.

— Pytaj się, odpowiem ci na wszystko, co mówić wolno.

— Otóż, dlaczego niektórzy członkowie noszą białe maski i są nieznani, inni zaś twarz swą pokazują wszystkim?

— Rzecz bardzo prosta. Zasłonięci maskami są to ludzie obcy: Włosi, Francuzi, Anglicy, którzy przyjeżdżają do Krakowa na dwa jedynie tygodnie i potem wracają do Włoch lub do Szwajcarii, prowadzić dalej agitację przeciw Austriakom. Ci więc, jako ważne osobistości, muszą pozostać nieznani. My, członkowie miejscowi, nie nosimy masek z tej prostej przyczyny, że lepiej będzie nawet, gdy poznamy się dokładnie. W razie czego możemy łatwiej udzielać sobie wzajem pomocy.

— Prawda. Lecz mówiłeś mi, że celem stowarzyszenia jest wypędzenie Austriaków z północnych Włoch.

— Tak jest. I dlatego właśnie zarząd stowarzyszenia pomieszczono tutaj, w Krakowie, gdzie policja, tropiąc za wszystkim, nigdy by nie zgadła, że gdzieś w podziemiach koło Wieliczki, pod łożyskiem Wisły, schodzą się wysłańcy całej Europy, by krzyknąć: *Verdi*, to jest: *Viva Emmanuel Re d'Italia*.

— Lecz czyżasż zasługą jest ten sprytny pomysł, w czyjej głowie on się zrodził?

— W głowie prezydującego, słynnego muzyka Hipolita Leśnickiego, który długie lata spędził we Włoszech i żywo brał udział w całym tym ruchu. On to Garibaldiemu i innym podsunął tę myśl i w nagrodę został prezydującym zarządu.

— Dziwna rzecz atoli, że muzyk zdołał być tak sprężystym, energicznym, realnym. Zdawałoby się, że taki słynny kompozytor jak Leśnicki winien po obłokach bujać.

— Toteż od czasu powrotu z Włoch Leśnicki nic już więcej nie tworzy. Polityka zabiła w nim kompozytora.

— Wielka szkoda!

— Jest to względne. Przy rozstrzyganiu tego pytania trzeba pamiętać, czy ludzkość odniesie większą korzyść wtedy, gdy Leśnicki będzie komponował, czy też, gdy przewodnicząc „Białym Ludziom”, przyczyni się do wypędzania Austriaków z Włoch.

— Nie zastanawiałem się nad tym.

— Owszem, łatwa jest odpowiedź na to pytanie. Wiadomo ci, że dzisiejsze stosunki na półwyspie włoskim są przykre i krępujące. Prawda?

— Bez wątpienia.

— Wielu więc ludzi pada ofiarą tych stosunków. Ponieważ zaś tobie chodzi tylko o samą muzykę, zastanówmy się nad tą tylko sprawą. Włosi są niezwykle muzykalni, a więc śmiało można przypuścić, że na stu przynajmniej jeden posiada taki talent kompozytorski jak Leśnicki, który znowu do nazwy geniusza pretensji rościć sobie nie może. Zlicz teraz, wielu Włochów zmarniało choćby przez ostatnie dziesiątki lat, a będziesz miał pojęcie o stanie rzeczy.

— Jerzy, wiesz, że ty powinienesz być zostać adwokatem, a nie malarzem.

— O nie, mylisz się. Jeżeli potrafię mówić z ogniem, to z nie mniejszym zapałem zdołam malować rzecz, która przemawia do mej wyobraźni.

— A tak, tak, wiem, że z ogromnym zapałem malowałeś swego czasu panią Kulską — zauważył nieco złośliwie towarzysz. — Lecz nie chcę dłużej mówić o tej sprawie, bo mam jeszcze jedno pytanie na ustach.

— Słucham cię.

— Wytlumacz mi teraz, dlaczego towarzystwo mające tak szlachetne cele przyjmuje do swego grona ludzi więcej aniżeli dwuznacznej sławy, to jest zło-dziei i oszustów? Wiesz, że mię to oburza. Popatrz tylko, oni bardzo familiarnie rozmawiają z takim na przykład porządnym człowiekiem jak aktor Drucki.

— I mię to gniewa, mój Stanisławie.

— Więc dlaczego nie wystąpisz z odpowiednim wnioskiem? Stowarzyszenie „Białych Ludzi” oparte jest na zasadach parlamentarnych, a więc życzenia członków, w razie jeżeli uzyskają większość głosów, muszą być uwzględnione.

— Otóż widzisz, po pierwsze nie znalazłbym większości, a po drugie przyjmowanie członków lub ich odrzucanie zależy jedynie i wyłącznie od woli przydującego.

— No, a Leśnicki?

— Leśnicki jest niestety zwolennikiem tego mieszanego systemu. Twierdzi on, że my, stowarzyszenie wojujące, potrzebujemy różnych rodzajów ludzi do spełniania różnych zadań i różnorodnej roboty. I zdaje się, że ma słuszość.

— Jak to? — wybuchnął Stanisław.

— Rzecz prosta. Wyjaśnię ci przykładem. Słyszałeś zapewne w mieście o morderstwie hrabiego Kazimirskiego.

— Słyszałem.

— Otóż wykonany ono zostało z rozkazu Wielkiej Rady „Białych Ludzi”.

— Czyż może być?

— Nie inaczej. Hrabia Kazimirski mieszkał długi czas we Włoszech i tam początkowo należał do gorliwych zwolenników „Białych Ludzi”. Był nawet członkiem zarządu. Powierzano mu wiele trudnych zadań i wiele ważnych misji. Naraz, przed laty pięciu, nie wiadomo dlaczego, karta się odwróciła. Hrabia zdradził stowarzyszenie i stał się najzazartszym stronnikiem Austriaków. Przez niego dowiedzieli się oni o istnieniu „Białych Ludzi”, przez niego dostali listy członków, przez niego poznali organizację i środki. Towarzystwo było bliskie upadku, nastąpiło rozprężenie, dezercja i zdrada były na porządku dziennym. Wtedy u Garibaldeggo oraz innych zjawił się Leśnicki i przedstawił plan przeniesienia zarządu do Krakowa. Projekt ten podobał się i uzyskał poklask. Z dwóch więc względów obrano go przewodniczącym Wielkiej Rady. Raz przez wdzięczność, a także, co najważniejsza, ze względów praktycznych jako najlepiej obznajomionego ze stosunkami krajowymi.

— To prawda. Lecz wróćmy do hrabiego.

— On także poradził, by na razie nie mścić się na wiarołomnym arystokracie. I rzeczywiście dobrze mówił. Mediolańska policja strzegła hrabiego jak oka w głowie, jak najdroższego klejnotu. Pałac był wiecznie obstawiony niewidzialną siecią agentów różnego rodzaju i postaci, a na mieście ukazywał się hrabia w żelaznej karecie. Kiedy zamachy nie miały miejsca, Austriacy sądzili, że towarzystwo, rozwiązawszy się, nie myśli już o zemście.

— Rzeczywiście dobry pomysł — szepnął Stanisław.

— Dopiero, kiedy w Krakowie Leśnicki wszystko urządził i stowarzyszenie tu już przeniosło się, Wielka Rada nakazała zdrajcę zabić, a zarazem odebrać sto dwadzieścia tysięcy reńskich, które hrabia zabrał „Białym Ludziom”.

— To podłość ze strony Kazimirskiego.

— Nie, podłością nie można sobie wytłumaczyć dziwnego postępowania hrabiego. Tu ukrywa się jakaś tajemnica, która teraz, z jego śmiercią, zdaje się na zawsze zostanie nierozjaśnioną. Wzięto się więc do wykonania wyroku. Zamach następował po zamachu, lecz wszystko było na próżno. Parę razy kule drasnęły hrabiego, kiedy indziej o północy przyłapano „brawa” ze sztyletem w rękę już w sypialni Kazimirskiego. W końcu gubernator poradził hrabiemu wyjechać do Krakowa, by raz już położyć koniec tym zamachom, podniecającym nawet ludność do zamieszek. Hrabia gotował się do wyjazdu. „Biali Ludzie”, którzy przez swych szpiegów o wszystkim są zawsze dokładnie powiadomieni, pozwolili mu spokojnie odjechać, zemstę odkładając na Kraków. I rzeczywiście, jeszcze w dzień przyjazdu wieczorem spotkała go zasłużona kara.

- Teraz cieszę się z tego, bo znam powody.
- Lecz powiedz mi, jak sądzisz, kto mógł podjąć się tego zadania?
- No, ani ja, ani ty.
- Więc widzisz, że są u nas potrzebni ludzie, którzy by wykonywali tego rodzaju czynu. Za to dostaje każdy trzecią część odebranej sumy.
- Ho, ho! To płacicie po książęcemu.
- Nie, mój kochany. Włosi są praktyczni. Wiedzą, że lepiej mieć czterdzieści tysięcy, bo tu dwóm płacą, aniżeli zero.
- A któż podjął się wykonania wyroku?
- Marcin Babiarz, eksmularz, nieźle nawet w gruncie rzeczy chłopisko i urwi-połeć spod ciemnej gwiazdy Jan Jednooki, którego Wielka Rada naznacza do najniebezpieczniejszych przedsięwzięć. Odważny, zręczny, lecz zarazem niesłychanie tajemniczy to człowiek,
- Bywa na zgromadzeniach?
- Rzadko, pokazuje się na chwilę, potem znika, nie wiadomo gdzie i kiedy.
- Skąd jest rodem?
- I tego nie wiem. Naprawdę nie można nawet powiedzieć, do jakiej on klasy ludności należy. Czasem gburowaty i gminny niesłychanie, a czasem znowu spod tych łachmanów przebija lepszy ton, formy towarzyskie, a nawet wykształcenie.
- Polak?
- Zapewne, lecz z równą łatwością jak po polsku, mówi po angielsku, francusku i włosku. Słyszałem już kilka razy, jak z niesłychaną biegłością porozumiewał się w tych językach ze spiskowcami.
- W każdym razie zagadkowa figura?
- Jak wiele tutaj innych osób. Trudno, mój kochany. Rzeczy, które odbywają się w podziemiach, nie mogą być tak czyste jak te, na które słońce patrzy. Dużo tutaj brudnego osadu, dużo mętów społecznych. Nie przeczę temu wcale.
- Czy nie żal ci, Jerzy, czasem, że dałeś się wciągnąć do tego stowarzyszenia?
- Ach, nie! Owszem, w tej tajemniczości dużo leży fantastycznego żywiołu, a wiesz, jak go lubię. To jedno już powinno przemawiać do mojej duszy. A cóż dopiero, gdy pomyślę o głównym celu.
- Ale, ale, powiedz mi, dlaczego posiedzenie nie odbywa się? Już dawno minęła dziesiąta.
- Wielka Rada czeka na przewodniczącego.
- A dlaczegoż Leśnicki się spóźnia?
- Mój kochany, czy mogę wiedzieć przyczynę? Choć wyznać muszę, że jestem niespokojny.
- No, może wiesz co nowego.
- Jerzy chciał coś mówić, wtem donośnym głosem zabrzmiał dzwonek i zapanował nad wrzawą oraz śmiechem rozlegającym się w sali. W jednej prawie

chwili tłum zamilkł i spowaźniał. Lekki, cichy szept poruszał owe wargi, sekundę przedtem otwarte szeroko do wesołego i głośnego śmiechu.

Dwaj uzbrojeni strażnicy stanęli po obu stronach jakichś bardzo szerokich drzwi przysłoniętych kotarą. Obecni poczęli szykować się w szeregi po czterech.

— Chodźmy do szeregu — szepnął Jerzy do towarzysza, posuwając się naprzód.

Stanisław pospieszył za nim.

Tylko Babiarz, który jadł niemożliwie wiele, ociągał się z pójściem do szeregu. Wiedział, że za tymi drzwiami czeka go wcale niemiła historia. Lecz karność panująca między „Białymi Ludźmi” zrobiła swoje. Nim dzwonek drugi raz dał znak, Babiarz z ustami jeszcze pełnymi mięsa, znalazł się w kolumnie.

Nagle dzwonek ozwał się znowu.

Drzwi otworzyły się bez najmniejszego hałasu.

Długi wąż, jaki utworzyły szeregi, stopniowo znikał w otwartych drzwiach. Niebawem Jerzy i Stanisław weszli do olbrzymiej sali, której strop kończył się rodzajem kopuły. Udali się oni na prawą stronę i przypatrywali następnym szeregom, wchodzącym cicho, a miarowo i zgodnie.

W przedostatnim szeregu postępował Babiarz nieco chwiejnym krokiem. Drżał on ze strachu jak w dniu, kiedy pierwszy raz wchodził w podziemia. Dreszcz za dreszczem wstrząsał jego ciałem. Wiedział, że teraz już nie wykręci się tak łatwo jak wówczas. Za innymi postępując, skręcił na lewo i stanął.

Teraz rzucił okiem na koniec sali, gdzie na wprost drzwi wznosiła się estrada, cała czerwonym suknem obita. Na scenie poza stołem zasiadało sześciu mężów w czarnych togach i biretach na głowie. Na lewym ramieniu każdy z nich miał białą kokardę.

Siódme, środkowe miejsce było puste.

Brakowało przewodniczącego.

— Żle — zauważył Jerzy. — Musiało zajść coś nader ważnego.

Jeden z członków Wielkiej Rady zabrał głos:

— Przewodniczący nie przyszedł. Ponieważ ważne sprawy są na porządku dziennym, przeto w zastępstwie jego oznajmiam, że posiedzenie otwarte.

Drugi członek począł przerzucać papiery leżące przed nim, aż w końcu zawołał:

— Niech wystąpi Marcin Babiarz.

Na środek sali wyszedł wywołany „Biały Człowiek”. Oj, był rzeczywiście biały, bo kolor twarzy, zwykle rumiany, obecnie przypominał kredę. Spojrzenia wszystkich obecnych spoczęły na nim.

— Masz zdać sprawę Marcinie z poleconego ci zadania.

Marcin milczał.

— Nie możesz tłumaczyć swego milczenia nieobecnością Jednookiego, chociaż ten brał główny udział w całym zamachu. Wiesz dobrze, że Jednooki, w skutek rozkazu przewodniczącego, raz na zawsze został uwolniony od stawiania na

naszych zgromadzeniach i zdawania sprawozdań, on bowiem może w każdej chwili potrzebnym być na zewnątrz. Odpowiedz na moje pytanie: Cóżście robili i oddaj pieniądze lub wskaż, gdzie są schowane.

Marcin czuł, że prawdziwy stan rzeczy nie da się dalej ukrywać. Toteż z niezmierną skruchą opowiedział wszystkie wypadki, które miały miejsce poprzedzającej nocy.

Przysłuchiwano się temu opowiadaniu w głuchym milczeniu.

Gdy Marcin skończył, ocierając zimny pot z czoła, członek Rady spytał:

— Czy wiesz, co cię czeka?

— Wiem.

— A więc przygotuj się odpowiednio, za pół godziny umrzesz.

Zaraz obrócił się do dowódcy strażników i wydał mu rozkaz, by przygotował swój oddział do wykonania egzekucji na Marcinie, któremu dał znak ręką, by nazad wstąpił do szeregu.

— Biedny człowiek — szepnął Stanisław do Jerzego. — On przecież nie winien.

— Widzisz Stasiu, Rada podejrzewa go, że kłamie, że pieniądze dane mu przez Jednookiego zataił.

— A czy tu nie może być wypadku, że właśnie Jednooki wiedząc, gdzie się Marcin ukrywa, przyszedł w nocy i, korzystając z jego nieobecności, szkatułkę zabrał?

— Wiesz, że i to może być.

— Czy nie zdołamy go uratować?

— Ani myśl o tym! „Biali Ludzie” nie przebaczą.

— No, a jeśli się znajdą dowody niewinności?

— Znajdź je przez pół godziny.

Stanisław uznał słuszność uwag Jerzego i zamilkł.

Marcin był zgubiony.

Tymczasem załatwiono inne sprawy, a czas biegł tak szybko jak orzeł, gdy ujrzy dobry łup w pobliżu.

Wreszcie rzekł członek Rady.

— Niech tu wystąpi Jerzy Rybacki.

Młody malarz wyszedł na środek sali, wzbudzając podziw swą postawą, pełną wdzięku i energii zarazem.

— Miałeś coś powiedzieć prezydującemu. Nie wahaj się — dodał, widząc jakieś poruszenie ramion Jerzego — że powiesz wobec wszystkich. U nas panuje zasada jawności.

— Tajemnica istnienia naszego stowarzyszenia tutaj, w Krakowie, jest zdradzoną — wyrzucił prawie jednym tchem Jerzy z rozplamionymi gniewem oczyma.

Po tych słowach przeleciał przez salę szmer grozy i trwogi. Niektóre twarze pobladły, innym zdało się, że ściany sali drżeć poczynają, a lampy elektryczne

gasną, innym, że już widzą u wejścia białe mundury austriackich żołnierzy. Strach ma wielkie oczy.

Tymczasem Jerzy opowiadał, jakim sposobem wpadł na ślad tej zdradzonej tajemnicy.

Słowa jego powoli uspokajały wzburzone umysły. Pogoda na nowo zjawiała się na obliczach.

Gdy Jerzy skończył, członek Wielkiej Rady odezwał się:

— Nic straconego jeszcze nie ma. Zarządzimy ściśle śledztwo, a jeżeli odkryjemy winowajcę, a odkryć powinniśmy, wtedy postaramy się odpowiednio ukarać go. Tymczasem raz jeszcze zalecam wszystkim ostrożność i małowówność.

I dał znak, by wystąpili inni petenci.

Tymczasem wielki zegar z czterema tarczami, umieszczony w środku sali, wydzwonił wpół do dwunastej. Dziwić się trudno, że dźwięki te ponurym językiem odbiły się w uszach Marcina.

Godzina jego śmierci nadeszła.

Oddział strażników, uzbrojony w karabiny, których nowe lufy złowrogo połykiwały w promieniach elektrycznego światła, wmaszerował do sali. Na hasło komendy ustawili się w dwa szeregi, broń spuścili do nogi i stanęli.

Członek Wielkiej Rady skinął ręką i rzekł tonem surowym:

— Weźcie skazanego.

Dowódca oddziału zakomenderował. Strażnicy broń włożyli na ramię, złamali się w czwórki i miarowym, zgodnym krokiem posunęli aż do miejsca, na którym stał Babiaryz. Dwóch uzbrojonych wystąpiło z kolumny, by ująć więźnia za ręce.

Lecz Marcin skoczył ku estradzie, ukląkł przed nią i począł, łkając, wołać głosem wielkim, rozdzierającym serca tych wszystkich, w których tkwiła jeszcze słabo płonąca iskierka litości, miłosierdzia, ludzkości.

A tych ostatnich była spora garść, bo to nie byli zbrodniarze, lecz wszystko ludzie po większej części wojennego rzemiosła, którzy tylko czekali stosownej chwili, by spod ziemi wyjść na pole, by zrzucić surduty, a włożyć czerwona garybaldkę. By sztylet zamienić na szpadę, którą przeszywaliby wraże piersi w otwartym boju, wśród słonecznego światła, wśród huku strzałów armatnich i wśród nawoływań wodza z Caprery.

Toteż gdy Marcin wołał:

— Litości, darujcie mi życie na rany Chrystusa, jestem niewinny! — wtedy wśród tego tłumu ludzi, przyzwyczajonych wprawdzie do subordynacji, lecz zawsze jeszcze ludzi, a nie machin militarnych, idących naprzód jakby za pościśnięciem sprężyny, bez zapалу, bez ochoty, wszczął się szmer, świadczący, że istnieją jacyś niezadowoleni z wyroku członka Wielkiej Rady.

Ten ostatni spostrzegł to, więc chwilowo nie zwracając uwagi na wijące go się ze strachu Marcina, obrócił się w stronę, gdzie stał Rybacki oraz Kars, i spytał:

— „Biali Ludzie”, czego sobie życzycie?

Wtedy Jerzy spojrział na sąsiadów, a potem na dalej stojących, a ponieważ wszędzie widział tylko zachętę, wystąpił więc śmiało naprzód i rzekł:

— Wielka Rado! Racz nam darować, że w imieniu własnym oraz imieniu towarzyszy mych skorzystam z prawa, przysługującego każdemu członkowi i przemówię słów kilka. Nam zdaje się, wewnętrzne przynajmniej przekonanie mówi to, że Marcin jest niewinny zbrodni zatajenia pieniędzy, odebranych hrabiemu Kazimirskiemu. Prędzej był lekkomyślnym w całej tej sprawie, nie przypilnował dobrze powierzonego mu skarbu, lecz z pewnością go nie ukrył. Prosiłbym zatem o uwolnienie go od kary śmierci tym bardziej, że w nieobecności przewodniczącego tak ważnego kroku przedsięwziąć nie można. Żądam podania mego wniosku pod głosowanie zgromadzenia.

Członkowie Wielkiej Rady zmarszczyli gniewnie brwi. Nieprzyjemnym im było przypomnienie, że bez przewodniczącego niewiele znaczą. Jerzy przez prędkość popełnił błąd taktyczny, groźny w swych skutkach dla Marcina. Wielka Rada postanowiła pokazać śmiałkowi, że potrafi i bez przewodniczącego wydać oraz wypełnić wyrok śmierci.

Jeden więc z nich zabrał po przemówieniu Jerzego głos w te słowa:

— Żądanie mówcy, by wniosek jego podać pod głosowanie, jest całkiem słuszne i Wielka Rada zupełnie się temu nie sprzeciwia. Inaczej atoli rzecz się ma z samym wnioskiem. Czyn popełniony przez Marcina jest nie tylko występny, lecz zarazem, gdyby pozostał bez kary, może wywołać licznych naśladowców. Czym dotychczas „Biali Ludzie” byli silni? Oto niesłychaną karnością. Z tym dniem, w którym jakkolwiek występnek nie poniesie kary, towarzystwo nasze zrobi pierwszy krok do upadku. Panowie, rozważcie, o co nam idzie. Chodzi nam o cel wielki, o wypędzenie Austriaków z Włoch. By celu tego dopiąć, poświęciliśmy już niejedno życie i po niejednym jeszcze trupie przejdziemy. Kto wie, czy moje ciało nie będzie służyć za jeden szczebel więcej ku górze, gdzie powiewa sztandar zwycięstwa? I teraz mielibyśmy się cofać dla jakiegoś śpiocha czy łotra? Nie, panowie, kto Italii sprzyja, kto śmiało pod obłoki chce wykrzyknąć: *Verdi!*, ten wyda wyrok śmierci na Marcina.

Mowę tę, wygłoszoną z zapalem, z ogniem i żywą gestykulacją, zgromadzenie przyjęło entuzjastycznie. Jerzy widział, że Marcin jest nieodwołalnie zgubiony. Odwrócił się więc do Karsa i rzekł:

— Zostaniemy przegłosowani.

— Już jesteśmy — brzmiała odpowiedź.

Jerzy obejrzał się wokoło i spostrzegł, że wszyscy, z wyjątkiem ich dwóch, podnosili ręce w górę.

— Tłum jest zmienny — szepnął z goryczą. — Pokazuje się, że ludzie niewiele różnią się od zwierząt. Zawsze i wszędzie pożądają krwi.

I obaj przyjaciele umilkli, z goryczą patrząc na Marcina, którego porwali dwaj strażnicy i poprowadzili ku jednej z bocznych ścian. Marcin, chłop wielki i rośły, a mimo to staniał się z przestachu jak dziecko, jak pijany prawie.

Za dotknięciem sprężyny jedno ze zwierciadeł znikło i ukazała się nisza, dość głęboka, o nagich ścianach.

— Z jakiego to materiału te ściany? — spytał się Kars Jerzego.

— To sól, widzisz przecie, jak się błyszczą kryształki.

— A skądże sól tutaj, koło Krakowa?

— Mój kochany, po pierwsze trzeba ci wiedzieć, że ta sala znajduje się tuż pod łożyskiem Wisły, a pokłady soli rozciągają się od Wieliczki na kilka mil kwadratowych wszerej i wzdłuż. Później opowiem ci historię urządzenia tych podziemi. Teraz nie mogę już mówić. Patrz, strażnicy nabijają karabiny.

Wśród panującej ciszy złowrogo rozległ się chrzęst odwodzonych kurków. Marcina ustawiono w niszy i zawiązano mu oczy.

— Na ramię broń! — zabrzmiała komenda.

Wszyscy milczeli, oddychając głęboko.

— Do oka broń! — rozległ się głos dowódcy.

Każdy czekał złowrogiej chwili, dech zapierając w piersiach. Nawet Marcin umilkł. Strach i trwoga zabrały mu przytomność, siłę i wolę. Upadł na kolana, głowę zwiesił i czekał owych dwunastu kul, które miały przeciąć pasmo jego życia.

— Celuj!

I lufy karabinów pochyliły się na dół, a potem skierowały się ku skazanemu. Komendant strażników, człowiek stary już, z siwą brodą spadającą na piersi jak u lwa szerokie, zimnym wzrokiem ocenił dokładny kierunek karabinów. Był zadowolony. Egzekucja ta nie robiła na nim żadnego wrażenia. Był już świadkiem tysiąca śmierci. Wiele trupów pokaleczonych w najokropniejszy sposób przesunęło się przed jego oczyma. Chciał więc wygłosić komendę: „Ognia!”, gdy wtem w sali ode drzwi zabrzmiał krzyk:

— Stójcie!

Oczy wszystkich poleciały w tym kierunku. I Wielka Rada, i członkowie, i żołnierze, i nawet Marcin, wpół omdlały, spojrzeli ku drzwiom.

Stał tam Jednooki.

Lecz gdyby nie czarny, duży, obrzydliwy plaster, może by i trudno było poznać Jednookiego. Czerwony ze zmęczenia, ochlapany błotem od stóp do głowy, tak wyglądał, jak gdyby nurzał się w szlamie, który obficie pokrywa dno morskie lub też niektóre ulice przedmieść krakowskich w deszczowej porze. Nadto ubranie porozdzierane w wielu miejscach rozpadało się na strzępki.

Zdumienie, na razie nieme i głuche, poczęło przemieniać się w głośny podziw.

— Co to ma znaczyć? — pytali jedni.

— Skąd prosty członek ma prawo wstrzymywać bieg sprawiedliwości?

— Aresztować go! — krzyknął jakiś gorliwszy.

Jednooki słyszał te głosy i powiódł okiem po wszystkich zgromadzonych. A w jego spojrzeniu, mimo łachmanów pokrywających ciało, było tyle dumy, tyle powagi, że każdy niezadowolony na razie umilkł i tylko w skrytości ducha czekał na nową sposobność do zaczepki.

Jednooki ze zręcznością salonowca poszedł ku estradzie. Gdy stanął przed nią, uklonił się i rzekł:

— Członkowie Wielkiej Rady, mam honor donieść, że przewodniczący, pan Hipolit Leśnicki kazał mi oznajmić, że dzisiaj na posiedzenie przybyć nie może i że wszelkie ważniejsze sprawy mają być odłożone do następnego razu.

Wśród ciszy, która towarzyszyła jego ostatnim słowom, wyrwało się gdzieś z głębi sali jakieś ciężkie westchnienie. Wyglądało to tak, jak gdyby z tej piersi spadł studentnarowy ciężar, który groził uduszeniem.

W ten sposób cieszył się Marcin, że zyskał kilka dni życia. Dziwny jest bowiem człowiek. Mimo klęsk i trosk, mimo nieszczęść, które ścigają go ustawicznie, kocha on życie nade wszystko. Zniesie choroby, więzienie, wygnanie, głód i mróz, byle tylko żyć jak najdłużej, byle tylko jak najdalej oddalić od siebie dzień, w którym dowie się o najwspanialszej, a zarazem najstraszniejszej zagadce trapiącej ludzkość, o tym, czy byt człowieka dzieli się na dwie połowy, ziemską i zagrobową, nieustającą już nigdy.

Członek Wielkiej Rady, wypytawszy się o bliższe szczegóły, o Leśnickiego i dowiedziawszy się, że tenże dla niezwrócenia podejrzeń musiał przyjąć zaproszenie na obiad do głównodowodzącego załogą krakowską, rozwiązał posiedzenie i nakazał Marcina zaprowadzić do więzienia.

17. Walne zgromadzenie

Koło pierwszego kwietnia Jerzy Rybacki zauważył wielki ruch pomiędzy „Białymi Ludźmi”. Posłańcy z różnych stron Europy, przesyłki rozmaite i wiadomości przychodziły do podziemi.

Nie było w tym nic dziwnego.

Owszem, ustawa „Białych Ludzi” nakazywała w tym czasie odbywać doroczne walne zgromadzenie, na którym każdy dziesiętnik przynajmniej niechybnie obowiązany był się stawić. Od tej powinności mógł się uwolnić tylko ten, kogo ważne zlecenia starszych przykuwały do miejsca.

Na takim walnym zgromadzeniu roztrząsano ważne sprawy, mianowano starszyznę i uchwalano wnioski, mające na celu zmianę ustawy.

Na zakończenie odbywała się wspólna uczta, podczas której następowało zaznajomienie się członków.

Jerzy i Kars knuli coś ze sobą od dłuższego czasu. Odbywali ustawicznie tajemnicze narady, nieraz można ich było widzieć wybierających się na jakieś nocne przechadzki, nieraz usłyszeć można było dość żywą sprzeczkę lub gorszą wymianę argumentów.

Wszystko to niezmiernie zaciekawiało dziadzię Kalasantego.

— Co wy tam macie za konszachty? — dopytywał się ciekawie.

— Ależ żadne, dziadziu kochany — usprawiedliwiali się obydwaj.

— Ho, ho! Jestem stary wróbel, nie dam się ułapić na plewy.

— Chcemy dziadzi kupić kamienicę.

— Kiedy ja nie Krenglowa, nie miałbym tak dobrej jak ona monety.

Koniec końców dziadzio niczego od swego ulubieńca dowiedzieć się nie mógł.

I może lepiej, że nie wiedział o niczym, gdyż w przeciwnym razie niepokoiłby się wielce o dalsze losy swego ulubieńca.

Nadszedł dzień walnego zgromadzenia. Już o godzinie ósmej wieczorem podziemia pełne były gości z przeróżnych stron przybyłych.

Kręcili się tam Polacy, Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, Anglicy, lecz przede wszystkim pełno było Włochów. Byli Rzymianie znad Tybru, poddani papie-scy, byli poddani austriaccy z Mediolanu, byli potomkowie dożów weneckich, dzisiaj uginający karku przed czarno-żółtym dwugłowym orłem. Nie brakowało i poddanych króla obojga Sycylii.

Neapolitańczycy dumni ze swego miasta, które uważają za najpiękniejsze na świecie, chodzili pod rękę z mieszkańcami Palermo, których przodkowie niegdyś Francuzom krwawe zgotowali sycylijskie nieszpory.

Wysłannicy królestwa sardyńskiego, radcy municypalni miasta Turynu, posłowie Izby Deputowanych, tajemni wysłańcy króla stanowili najpoważniejszą partię, na którą inni mieszkańcy apenińskiego półwyspu z nietajoną spoglądali zazdrością.

Jerzy z Karsem wmieszali się pomiędzy ten tłum barwny i malowniczy. Z zajęciem, jako artyści, śledzili gesty, ruchy, spojrzenia, grę uczuć malującą się na obliczu owych południowców, z których niejeden, po raz pierwszy będąc w Krakowie, dziwił się nie tylko wspaniałości urządzenia podziemi, lecz zarazem wyrażał zdumienie, że w ogóle podobne podziemia istnieją.

Jerzy i Kars, obaj dobrze władając językiem francuskim, udzielali cudzoziemcom rozmaitych objaśnień. Wokoło nich zebrała się gromadka ludzi, słuchająca ich uważnie.

— To nic jeszcze — mówił Jerzy — ta sala i te podziemne wejścia. Dopiero, kiedy zobaczycie, panowie, salę narad i salę zabaw, wtedy zdziwienie wasze będzie usprawiedliwione.

Tłum coraz bardziej wzrastał, rósł, potężniał, niebawem już zabrakło miejsca w okrągłej sali, otworzono podwoje prowadzące do bocznych komnat, które otwierano w takich właśnie chwilach.

Różnorodny gwar brzmiał w powietrzu.

— Patrz, jaki tu zapal — szepnął Jerzy do przyjaciela — jak ci ludzie się cieszą, że znowu postawią jeden krok, prowadzący ich bliżej do celu.

— I to wszystko miałoby zmarnieć, obrócić się wniwecz przez nieuczciwość jednego łotra?

— Tak, musimy temu zapobiec.

— Musimy — powtórzył Stanisław.

— I nie brak ci odwagi?

— Och, nie, mój drogi, polegaj na mnie.

Obaj przyjaciele, wzruszeni, uściśli sobie dłonie. W tej chwili oczy ich połyskiwały zapalem i męstwem.

Wtem zabrzmiał dzwonek.

Mimo ogromnej ilości osób nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju porządku nastąpiła cisza. Obecni poczęli się ustawiać w szeregi po czterech, stając obok siebie bez zważania na stan i godność.

Jerzy pociągnął Karsa za sobą i wkrótce znaleźli się w kolumnie obok dwóch Włochów.

Jeden z nich nachylił się do Jerzego i przemówił parę słów w swym rodzinnym języku.

— Daruj pan — odpowiedział na to Jerzy po francusku — lecz nie posiadam języka włoskiego.

— A ja sądziłem, że pan jesteś mym ziomkiem — odparł Włoch, tym razem także po francusku — masz bowiem zupełnie nasz typ twarzy. Ogień, który panuje w twym oku, żywość ruchów i gestykulacji zdawałaby się świadczyć, że jesteś dzieckiem południa, że ujrzałeś światło dzienne w Neapolu jak ja lub w Palermo jak mój towarzysz, a nie...

— A nie nad Wisłą, prawda! — dokończył, śmiejąc się Jerzy.

Lecz tu zamyślił się. Jakaś chmura nadspodziewanie zasępiła mu czoło.

Tak śmiało i tak bez wahania powiedział cudzoziemcowi, że się urodził nad Wisłą. A przecież pocziwa staruszka, która go wychowała, zawsze jedynie westchnieniem odpowiadała na jego gorące pytania, gdzie się urodził, czy jego rodzice żyją lub kiedy pomarli.

A kiedy już bardzo prosił, kiedy łkając i ocierając łzy, kapiące z błękitnych źrenic, tulił swą twarzyczkę rumianą, gładką i pełną do pomarszczonych lic starej swej opiekunki, wtedy ta, znowu westchnąwszy, odpowiadała:

— Dowiesz się kiedyś o wszystkim, mój aniołku, z chwilą gdy dorośniesz, gdy nauczysz się lepiej na świat patrzeć, gdy zrozumiesz wiele rzeczy dzisiaj dla ciebie zakrytych i zagadkowych.

Nigdy nic więcej ponad te tajemnicze słowa nie wymknęło się z sinych warg staruszki.

Jerzy rósł, z dziecka zmieniał się w młodzieńca, młodzieniec lada chwila miał zostać mężczyzną. Niebawem więc musiał się dowiedzieć, dla jakich powodów rodzice wyparli się go, ojciec nie dał mu swego nazwiska, matka nie obdarzyła nigdy pieczęcią, pocałunkiem, dlaczego nigdy nie zaznał uciech pożycia z rodzicielstwem, dlaczego nie dowie się, czy w ogóle ma takowe.

A kiedy tego wszystkiego będzie świadom, wtedy — tak myślał sobie Jerzy — powie do swej opiekunki:

— Dziękuję ci za to, żeś wychowała mnie jak syna i żeś mnie kochała jak syna, lecz teraz chodź i zaprowadź mnie do tych nieszczęśliwych czy złych ludzi, którzy są moimi rodzicami. Za pierwszym razem powiem im: kocham was i oto ta, która mnie kochać was nauczyła, nie odtrącajcie mnie więcej, żyjemy wspólnie wszyscy czworo. Za drugim poprosi tylko o jeden pocałunek matki, o jeden uścisk ojcowskiej dłoni i nigdy nie narzuci im się więcej.

Lecz marzenia młodzieńcze przerwał jeden wypadek, bolesny i stanowczy.

Oto staruszka nagle umarła, a tajemnica z nią zesłała do grobu. Daremnie szukał Jerzy między jej papierami jakiegokolwiek dla siebie wskazówki, jakiegoś dokumentu lub choćby listu, mogącego rozświecić tę czarną zagadkę.

Nic podobnego nie znalazł.

Kilka lat minęło już od tej pory, a Jerzy błąkał się po manowcach różnych przypuszczeń, ciągle nierozwiązanych, zawsze błędnych.

Może więc cudzoziemiec miał słuszość, może ojczyzną jego są Włochy, Francja, Hiszpania. On tego nie wie, niestety.

Nagle dzwonek ozwał się po raz drugi.

Drzwi otworzyły się bez najmniejszego hałasu.

Długi wąż, jaki utworzyły szeregi, stopniowo znikał w otwartych drzwiach. Niebawem Jerzy i Stanisław weszli do olbrzymiej sali, której strop kończył się kopułą.

Na dzień tak uroczysty jak dzisiejszy, z rozkazu Wielkiej Rady, przyozdobiono wspaniale całą salę. Powiększono ilość lamp elektrycznych, po rogach poumieszczano gaje złożone z egzotycznych krzewów i kwiatów, wśród których były fontanny wysokimi, kryształowymi słupami w górę, a na zwierciadlanych ścianach poprzetwierdzano olbrzymie napisy we wszystkich europejskich językach z wyjątkiem niemieckiego: „Witajcie nam”. Wszędzie powiewały różnobarwne chorągwie, widać było popiersia sławnych mężów, świeciły ich nazwiska i czyny.

Stojąc po prawej stronie sali, Jerzy i Stanisław przypatrywali się wszystkim tym wspaniałym ozdobom. Tymczasem następne szeregi długo jeszcze wchodziły cichym i miarowym krokiem.

Na estradzie, czerwonym suknem obitej, siedziała już Wielka Rada. Leśnicki objął przewodnictwo i zadowolonym okiem rzucał na te niezliczone tłumy, posłuszne każdemu jego skinieniu.

Wreszcie ostatnia czwórka zjawiała się w tym morzu światła.

Leśnicki ujął w rękę prezydialny dzwonek, potrząsnął nim i rzekł w języku francuskim:

— Ogłaszam, że dwudzieste czwarte walne zgromadzenie „Białych Ludzi” jest już otwarte.

Wtedy wystąpiły deputacje rozmaitych kółek włoskich, francuskich, angielskich, hiszpańskich i polskich, a każda z nich głośno i wyraźnie składała sprawozdanie za rok ubiegły. Następnie przedkładano swe życzenia, wnioski i żądania.

Charakterystycznym znamieniem było, że wszystkie kółka włoskie żądały wojny. Paliła ich chęć spotkania się z Austriakami w otwartym polu.

Kiedy już ostatnia deputacja skończyła mówić i wstąpiła nazad do szeregu, wtedy Leśnicki ponownie zadzwonił i rzekł swym pełnym, dźwięcznym i pięknie brzmiącym głosem:

— Panowie! Jako przewodniczący Wielkiej Rady czuję się w obowiązku na przemówienia wasze i żądania dać wam kilka słów odpowiedzi, która chwilowo powinna was uspokoić, wlać wam nową nadzieję na przyszłość i dać możliwość nowe do celu prowadzące przedsięwziąć czyny.

Panowie! Jednym z waszych życzeń, najszczerzych i najgorętszych, jest wojna. Uznaję słuszność tego żądania, cenię powody i pobudki, które w was tę chęć wzbudzają, bo i mię samego ożywia i podtrzymuje w dalszym działaniu ta sama myśl. Lecz z drugiej strony trzeba się zastanowić, czy sztandar bojowy teraz podniesiony nie upadnie za małą chwilę, czy nie zabraknie ramion do jego trzymania.

Tu dały się słyszeć szmery i krzyki, które można było tłumaczyć jako zaprzeczenie powyższego zdania.

Leśnicki ciągnął dalej.

— Widzę po waszych ruchach i po waszym zapale, że uznajecie ostatnie moje zdanie za niesłuszne. Zdaje się wam, że w waszych ramionach stalowych jest dość siły, a w waszych piersiach dość odwagi, by śmiało rzucić się naprzód i wroga pokonać. Lecz czy zastanowiliście się nad tym, że Austriacy mają wielką armię, mają skarb duży, zapasy broni i liczne ludy, które choć niechętnie, lecz zawsze zmuszone będą wysłać przeciwko nam najlepszych swych synów. Czy pamiętacie o tym, że z pomocą przyjdą im drobni tyrani włoscy, dla których jedność Włoch oznacza utratę tronu i wygnanie, że naprzeciwko stanie papież i cała armia duchownych? Czy pamiętacie o tym wszystkim? Być może, iż ogień, który rozpala waszą krew, nakazuje wam o takich rzeczach zapomnieć. Lecz od tego jest starszyzna, dlatego wybrano wodzów i Wielką Radę, by to wszystko miała na oku. My radzimy, rozważamy oraz gromadzimy wszystkie możliwe do zwycięstwa środki i gdy nadejdzie godzina boju, damy wam znak. Wtedy w pierwszych szeregach poprowadzimy was na śmierć lub zwycięstwo.

Głośnie: *Viva!*, wyrzucone z tysiąca piersi wstrząsnęło sklepieniem sali.

Znowu zabrzmiał dzwonek przewodniczącego, a gdy się wrzawa nieco ułożyła, Leśnicki ozwał się:

— Czy ma jeszcze kto przedłożyć jakie wnioski?

Wtedy Stanisław szarpnął Jerzego i obydwaj wyszli na środek sali. Drugi, jako biegleszy i śmielszy, począł mówić:

— Przeświecna Rado! W imieniu mym własnym, jak i towarzysza mego, mam wnieść oskarżenie przeciwko jednemu z członków.

Szmer zdziwienia i niepokoju przebiegł po obecnych.

— Jakaż treść tego oskarżenia — spytał się Leśnicki — i kto jest oskarżonym?

— Oskarżam Białego Człowieka, zwanego Janem Jednookim, o nadużycie zaufania.

Przy tych słowach młodego mówcy, wyrzeczonych z ogniem, zapalem, a zarazem niezwykłą powagą, niektórzy członkowie Wielkiej Rady dostrzegli na twarzy swego przewodniczącego jakieś przelotne, lecz dość gwałtowne wzruszenie.

Lecz może mylili się ci panowie, gdyż po chwili twarz ta przystojna, całkiem pozbawiona zarostu, promieniejąca zdrowiem i zadowoleniem z własnego „ja”, była spokojną i gładką, jak gładkim jest zwierciadło jeziora po połknięciu w swych nurtach nieszczęśliwego topielca. Może ów ruch twarzy był złudzeniem optycznym, wywołanym grą migotliwego światła, które raz ciemniejszym, drugi raz jaśniejszym, wprost oślepiającym blaskiem płonęło w elektrycznych lampach.

— I jakież to nadużycie popełnił Jan Jednooki? — odezwał się po chwili Leśnicki.

Lecz znowu, mimo woli zapewne, w głosie jego czuć było pokład ironii, szczyptę niewytłumaczonego na razie szyderstwa.

Jerzego atoli nie zachwiał ów głos, niby to niedowierzający, niby to drwinami napojony, bo śmiało odpowiedział:

— Wiem, że podnoszę oskarżenie przeciwko jednemu z najczynniejszych, choć na nader smutnym polu, członków. Przyznaję otwarcie, że wiem, iż walczę przeciwko ulubieńcowi pana prezesa, lecz rękawicy raz rzuconej nie cofam, owszem. Wystąpię z dowodami.

Jerzy Rybacki był człowiekiem młodym, pełnym męstwa, odwagi i szlachetności zarazem. Mało znał świata i ludzi, mówił przeto zawsze, wszędzie i każdemu prawdę w oczy, choćby ona nie wiedzieć jak gorzką była.

Popelniał przeto przez tę otwartość raz za razem ten błąd, że dla swej sprawy zrażał ludzi jak najpotrzebniejszych, odpychał ich na bok, czynił nawet swymi wrogami.

I w tym przypadku było tak samo.

Rybacki, wypominając Leśnickiemu jego przychylność dla Jednookiego, dopuścił się owego fatalnego błędu, że od razu usposobił przewodniczącego dla swej sprawy jak najgorzej, wrogo niemal.

Owa niechęć uwidoczniła się jasno i zrozumiale w następującym ostrzeżeniu Leśnickiego:

— Muszę atoli zwrócić członkowi uwagę, niech w każdym razie pamięta o tym, iż Jednooki jest nieobecnym na zgromadzeniu, a to dla wypełnienia rozkazów przeze mnie mu udzielonych. Nieobecni bronić się nie mogą, łatwo więc jest napadać na nich.

— Napadać na nikogo nie myślę — szorstko odparł Jerzy, rozniewany na przewodniczącego, iż nie chce uznać jego dobrych zamiarów. — Chcę tylko wyświecić jedno nadużycie. Ocenienie zaś go i napiętnowanie zostawiam walnemu zgromadzeniu.

— Mów pan.

— Wiadomo wszystkim, że Jednooki z polecenia Wielkiej Rady zabił hrabiego Kazimirskiego. Była to kara za dokonaną zdradę.

— Cóż dalej?

— Otóż teraz właśnie przechodzę do oskarżenia. Wiadomo również, że Jednooki dostał rozkaz zabrania stu dwudziestu tysięcy reńskich, które niegdyś hrabia przywłaszczył sobie nieprawnie z pieniędzy powierzonych mu przez towarzystwo. Proszę rozpamiętać, że w rozkazie wyraźnie stało: „Zabrać sto dwadzieścia tysięcy”. Dlaczegoż więc Jednooki wziął znacznie większą sumę, bo dwa miliony? Jest to już prosta kradzież, a kraść „Białemu Człowiekowi” nie wolno, gdyż przez to pada niepochlebny, wprost uwłaczający cień na całe stowarzyszenie.

— Skąd członek wie, że Jednooki zabrał dwa miliony?

— Tak mówi opis zbrodni, umieszczony w gazetach.

— Artykuł dziennikarski nie stanowi jeszcze dowodu. Żałuję bardzo, że Jednookiego nie ma, gdyż poddałbym go przesłuchaniu. Dopóki ono nie nastąpi, sprawy nie mogę rozstrzygnąć i muszę ją odroczyć.

Jerzy skłonił się i wstąpił do szeregu, a wzrok przewodniczącego, nacechowany złośliwą niechęcią, ścigał go tak długo, dopóki nie zmieszał się z tłumem.

Na tym skończyły się obrady jawne.

Wielka Rada cofnęła się do swej kancelarii, gdzie toczyły się poufne narady i przedstawiano piśmienne sprawozdanie.

O północy miano zastawić wspaniałą ucztę w sali balowej, której podwoje dotychczas były zamknięte. Tłumy więc członków błąkały się po sali narad i po sąsiednich mniejszych salonach, zabawiając się to rozmową, to grą w karty, bilard i szachy.

Jerzy porzucił na chwilę Stanisława i błąkał się samotny. Pytanie Włocha poruszyło w nim dawno nietykaną strunę, która, raz drgnąwszy, nie chciała się uciszyć, lecz wydawała coraz to nowe, coraz to głębsze tony.

Przed jego oczyma żywo rysowały się wspomnienia młodości, a na ich tle poruszała się żywa mimo wieku, czerstwa, okrągłutka i rumiana jak bułka, starszuszka, jego opiekunka, którą on nazywał babcią.

A choć tę babcię kochał i żywił dla niej w sercu wdzięczność, to przecież dzisiaj odzywała się w nim jakaś żalność, gorzka niby piołun, ku dobrej staruszce w białym czepcu i merynosowej sukni za to, że nie przedsięwzięła lub zostawiła czegoś takiego, co by mogło objaśnić go co do jego pochodzenia.

Nawet nędzarz zostawia w spadku synowi nazwisko i kilka owych ciepłych uścisków, a on nawet tego od swych rodziców nie dostał. Babcia zostawiła mu trochę grosza, lecz z ust jej wiedział doskonale, że to jej własny, osobisty majątek.

Gdyby Jerzy mógł całkiem pewnie opierać się na teoriach dziedziczności, która wówczas dopiero zaledwie poczyniała być nauką, byłby niemylnie przyczynił się do przekonania, że rodzicami jego muszą być ludzie nader wykształceni,

usposobień artystycznych i nawyknień pańskich, a może nawet należeli do rodziny wysoce arystokratycznej.

Jerzy był delikatny, smagły, ręce i nogi miał zgrabne a małe, nawyknięcia dość pańskie, lubił zbytek, wygodę, szafował groszem dość hojnie i nieogłędnie.

Gminnych wyrażań, gminnych ruchów nie cierpiał i nienawidził. Brzydził się pospolitością, cenił odwagę i rycerskość.

Nie dziwota więc, że u kobiet miał szczęście niesłychane, lecz jako natura na wskroś artystyczna był nader wybrednym i im silniej się zapalał, tym prędzej potem chłódł.

Przyznać atoli było trzeba, że umiał milczeć i każda oddająca się mu kobieta mogła być spokojna o swą cześć. Jerzy nic nigdy nie wyznał, nawet Stanisław i dziadzio Kalasanty więcej mogli się domyślać, aniżeli wiedzieć coś pewnego.

Błąkając się pogrążony w myślach, ani nawet nie uważał Jerzy, gdzie i dokąd idzie. Szedł coraz dalej, do coraz innych komnat, gdzie było puściej, dlatego wkrótce znalazł się zupełnie z daleka od ludzi, w jakiejś nieznaney mu dotychczas komnacie.

Nie było w niej nikogo, tylko z oddali dochodził szum i pomieszana wrzawa.

Jedyna lampa elektryczna, zawieszona u stropu, oświecała wnętrze umeblowane ładnie, a nawet wytwornie. Wzdłuż ścian obitych makatami stały niskie, szerokie, międko wyścielone sofy zapraszające do spoczynku.

Jerzy nagle poczuł się zmęczonym.

Usiadł więc, rzucił się raczej na jedną z sofek, oddychając ciężko i głęboko.

Natrętne myśli ścigały go ciągle. Teraz znowu przyszedł mu na myśl przewodniczący i sprawa Jednookiego. Dlaczego pierwszy był tak opryskliwym, dlaczego drugi tak rzadko zjawia się na posiedzeniach?

A przecież przed sobą samym przyznać musiał, że jest coś, co wiąże go z tymi ludźmi, istnieje pewna przychyłność niewytłumaczona. Skąd się ona u niego wzięła? Gdyby to nie było śmiesznym, powiedziałby, że jest to głos krwi. Lecz jakież związki może zachodzić pomiędzy nim a Leśnickim, bogatym muzykiem i Jednookim, zagadkowym człowiekiem, pół na pół szubrawcem. To tylko przywidzenie rozgrzanej wyobraźni. Dość już tych złudzeń.

Wstał i chciał odejść.

Wtem dały się słyszeć jakieś kroki i ktoś z tyłu za nim postępujący krzyknął:

— Panie Rybacki.

Obrócił się i ze zdziwieniem cofnął.

Przed nim stał... Jednooki.

Miał on wzrok groźny, nic dobrego niewrózący, a minę ostrą. Wyciągnął rękę, jakby chciał Jerzego zatrzymać.

Lecz Jerzy nie był jednym z tych, którzy się dadzą zastraszyć.

— Czego pan sobie życzysz? — spytał spokojnie.

Ta zimna krew oddziałała i na Jednookiego.

Sklonił się lekko ze zgrabnością światowca, często nawiedzającego salony, opuścił rękę, a głos nieco przyciszywszy, rzekł:

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie pan prześladujesz?

— Nigdy nikogo nie prześladuję, a tym bardziej pana, o którym wiem, że walczysz ze mną za jedną sprawę.

— Cóż miało w takim razie znaczyć pańskie oskarżenie?

— O ile to oskarżenie jest słusznym, sam pan jesteś przekonany najlepiej — odparł zimno Jerzy i zabierał się do odwrotu.

— Słusznym czy niesłusznym — zawołał Jednooki rozdrażniony, bo w jego żrenicach z powrotem zapaliły się iskry gniewu — to mało mnie obchodzi. A nim odejdiesz młodzieńcze — tu Jerzego uchwycił za ramię — dam ci jedną radę. Nie zaczynaj z Jednookim, jeżeli ci życie miłym, nie zaczynaj, bo ja mścić się umiem.

— Nie boję się takich gróźb — odrzekł Rybacki, wyrwawszy się z uścisków żelaznej, muskularnej dłoni swego wroga.

— I tego się nie boisz? — ironicznie zawołał Jednooki, a przy tych słowach błysnął sztyltem, wysuniętym z rękawa.

— Na broń znajdę broń — brzmiała dumna odpowiedź. — Postępuj pan uczciwie, a pierwszy stanę po twojej stronie i wtedy już nie o karę, lecz o pochwałę dla ciebie wniosę.

To powiedziawszy, zniknął, Jednookiego pozostawiając samotnym w oddalonej od zgłęku i tłumu komnacie.

Ten długi patrzył za odchodzącym i kilka razy szepnął:

— Dzielna krew, dzielna krew.

Potem rzucił się na kanapę i bezmyślnie patrząc przed siebie, zadumał się mocno. Wreszcie ocknął się i znowu szepnął:

— Dziwna rzecz, miałbym wszelkie powody nienawidzić tego chłopca, bo podgląda me zamiary i może mnie do zguby przyprowadzić, a przecież mam dla niego jakąś tajemną sympatię. On jeden z nich tutaj ma głowę, on zdaje się przeczuwa, kto ja jestem i do czego dążę, inni to głupcy. Lecz to źle, bardzo źle dla niego, bo mimo niewytłumaczonej przychylności będę go musiał kazać usunąć z chwili, gdy stanie mi się zanadto niebezpiecznym.

Tu znowu zamyślił się, wreszcie, wydobywając jakiś stary, podniszczony portret kobiety, rzekł raz i drugi, rzuciwszy na niego okiem:

— A przecież jest niesłychanie do niej podobnym. Ten sam nos, oczy, usta, owal i układ twarzy, kolor włosów, a jak się śmieje, to przysiągłbym, że ją mam przed oczyma. Dziwna rzecz! Lecz skądże znowu, przecież Marianek umarł. A właśnie liczyłby tyle lat, co on. Szkoda, wielka szkoda.

I znowu począł dumać i myśleć, snuć nić projektów i zamiarów na przyszłość oraz obliczać prawdopodobieństwo powodzenia.

Tymczasem Jerzy, przeszedłszy kilka pokoi, zmieszał się z tłumem i teraz dopiero zastanawiając się nad całym tym zdarzeniem, począł chłódnać ze wzburzenia, które nim ogarnęło.

Mimo gniewu atoli musiał przyznać sam przed sobą, że osoba Jednookiego nie sprawiała mu wstrętu, jak sobie dawniej przedstawiał.

— To nie jest prosty człowiek — myślał. — Tu ukrywa się jakaś tajemnica. Za elegancki jest, za wytworny i za dobrze się wyraża jak na prostego łotra. Kto to jest?

Wtem ktoś dotknął jego ramienia.

Odwrócił się i ujrzał Stanisława.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu lica.

— Ach, jak to dobrze — zawołał — że cię spotykam. Mam ci opowiedzieć kapitalną awanturę.

I odmalował przyjacielowi całą swą rozmowę z Jednookim.

— Kto to może być? — zakończył wreszcie pytaniem.

— Może jaki międzynarodowy awanturnik, który pozyskał zaufanie starszyny.

— Może jaki Włoch lub Polak, który naumyślnie otacza się takim nimbem zgrozy, by odpychając wszystkich od siebie, tym łatwiej ukryć swą osobistość.

— Wszystko być może. Lecz, wiesz, po co mamy zajmować się tą sprawą? Popatrz lepiej na te różnobarwne tłumy.

— Prawdę mówisz, Stanisławie, to jest precudne.

— I czyż nie warto być malarzem?

— Och! Warto, mój drogi.

— Przenosić na płótno te postacie, śmiałe, dumne, których oczy błyszczą się jak rozżarzone węgle, które swą delikatną regularnością przypominają posągi starożytnych Greków, w muskułach których znać zręczność i siłę zarazem. Nie wiem, czy może być coś bardziej pożądanego dla malarza.

— A wiesz, przyszła mi obecnie do głowy myśl bardzo śmieszna.

— Cóż takiego?

— Cały ten tłum taki ruchliwy, taki gwarny, taki wspaniały rzucić z tych podziemi na rynek krakowski i zamiast tych mdłych promieni elektryczności oświetlić go zdrowym i ciepłym światłem słonecznym.

— Niezła myśl!

— A około tego tłumy zdrowych, rośliwych i silnych mężczyzn postaw naszą młodzież, złożoną z cherlaczków bladych, pokaszlujących, stękających...

— Wiesz, Stanisławie, ty świetnie chwytasz kontrasty.

— Lecz za to z drugiej strony trzeba przyznać, że nasze krakowskie kobiety nie powstydzilyby się towarzystwa tych południowców, bo i w nich samych, można by powiedzieć, jest jakiś południowy pierwiastek.

— No, przesadzasz trochę!

— Nie, mój drogi. Porównaj te postacie wysokie, te ciała pełne, zdrowe, białe, wydatne w biodrach, te usta jakby stworzone do pocałunku, oczy nieco rozmarzone

i często połyskujące zmysłowym jakimś odcieniem. Porównaj je z obrazami pochodzącymi z czasów odrodzenia, a podobieństwo widoczne, leży ono, jak na dłoni.

Rozmowę tę przerwał głos mistrza ceremonii, który z pomocą swych zastępców zapraszał wszystkich zgromadzonych na ucztę.

Nie trzeba było długo czekać.

Na znak jego dany berłem, które trzymał w ręku, bez najmniejszego szelestu usunęła się część jednej ściany bocznej.

Tu z piersi obecnych wyrwał się jednomyślny okrzyk zachwyty.

Jeżeli Sala Narad odznaczała się wielkością i wspaniałością urządzenia, to malała ona i gaśła w porównaniu z Salą Balową.

Trzy razy większa, o pół raza wyższa, oświetlona miriadami olbrzymich lamp wydawała się raczej placem olbrzymim aniżeli salą.

Ustawiono w niej długie stoły pysznie przyozdobione bukietami i wspaniałą zastawą.

Umieszczona na jednej z galerii muzyka grała na powitanie wchodzących biesiadników *Marsyliankę*. Tłum stanął i z kilku tysięcy piersi zgodnie wzleciał ku niebotycznemu sklepieniu ów hymn, tak prosty w słowach, a tak wspaniały w treści.

Wreszcie pieśń ucichła, lecz echo jeszcze chwilę grało.

Spokojnie i w porządku pozajmowano miejsca przy stołach. Jerzy i Stanisław usiedli obok siebie, tuż przy całej gromadce Włochów.

Pierwsze dania spożywano w milczeniu. Lecz przy następnych poczęły krążyć kielichy, a pierwsze zdrowie wniósł Leśnicki na cześć króla sardyńskiego Wiktora Emanuela.

Ciemne policzki Włochów zafarbowwały się rumieńcem uciechy i radości. Gesty stały się żywsze, spojrzenia bardziej ogniste, bardziej płomienne.

Poczęli przechylać się do swych sąsiadów Polaków i wesołe toczyć rozmowy.

— Z czego te ściany? — spytał jeden.

— Ze srebra chyba — dorzucił drugi — bo iskrzą się i błyszczą jak ów szlachetny metal.

— To sól — odpowiedział Jerzy.

— Ha! Ha! — buchnęli Włosi śmiechem. — Chcesz pan nas, cudzoziemców, brać na fundusz?

— Ależ zaręczam panom, że mówię całkiem poważnie.

— Więc to sól tak błyszczy, iskrzy się i olśniewa oko?

— Tak, panowie. To, w czym znajdujemy się obecnie, to najstarsze, dzisiaj opuszczone, zaniedbane i zapomniane, niegdyś najbogatsze i najruchliwsze kopalnie soli.

— Wiemy o tym, że wy słyniecie z posiadania tych podziemnych bogactw.

— Otóż Leśnicki z lat dawnych o nich wiedział z ust swego ojca, który podobno był górnikiem, rozumie się, na wyższym stopniu zostającym oraz wykształconym

i z chwilą, kiedy szło o wynalezienie schronienia dla „Białych Ludzi”, postanowił te opuszczone kopalnie wyzyskać.

— Świetna myśl.

— Prawda, że świetna. Każdy zapomniał już bowiem o tych pieczarach, wydrążonych w ziemi pracą kilku wieków i przed kilku wiekami, a dawały one nie tylko bezpieczne, lecz i całkiem wygodne schronienie, choćby nawet i dla dwudziestu tysięcy ludzi.

— To prawda. Na przykład dzisiaj...

— Z pomocą więc dość znacznych nakładów pieniężnych urządzono te podziemia suche i zdrowe stosownie do ich przyszłego przeznaczenia.

— I urządzono wspaniale, jak widzimy.

— Nie tylko, panowie, wspaniale, lecz również i całkiem bezpiecznie.

— Jak to pan rozumiesz?

— Rozumiem to w ten sposób, że środki bezpieczeństwa zastosowano tutaj takie, jakie tylko dzisiejsza sztuka i mechanika zna najlepsze. Nie sposób więc, aby ktoś niepowołany, nieznający haseł i naszych zwyczajów dostał się między nas niespodzianie.

— A czy zdarzały się podobne usiłowania?

— Nie brakowało usiłowań bezwiednych raczej aniżeli przedsięwziętych z pewnym celem i samowiedzą.

— Boć przecie rząd ani publiczność nie wiedzą o naszym siedlisku?

— Do ostatnich czasów tak, ale przed kilku tygodniami poczęły między tą ostatnią krążyć głuche wieści, w każdym razie dla nas nie bardzo przyjemne ani w skutkach bezpieczne.

— Czy zapobiegiecie temu?

— Postaramy się.

— No, lecz wróć pan do poprzedniej opowieści.

— Otóż zdarzało się, że jaki taki przypadkiem, trafem ślepym wszedł niepostrzeżony do tajnego korytarza, za którym z naszych członków mniej ostrożnych.

— Cóż wtedy?

— Wtedy policja nasza, która przez tajne okienka nawet w ciemności może ustawicznie badać i bada wszelkie przejścia, pozwoliła mu najspokojniej dotrzeć do okrągłej sali i tam dopiero chwycono go w pułapkę.

— Musiał mieć świetną minę taki przyłapany?

— Raz nawet komisarz policji dostał się w nasze ręce. Każdy z nich, rozumie się, trzęsie się i blednieje jak papier, gdy ujrzy się otoczonym, prosi i zaklina, lecz los przeznaczony nie może go minąć.

— Pewno karzecie go śmiercią?

— Ach! Nie. Wywozimy go z kraju do naszych kolonii, położonych w Południowych Stanach Ameryki i tam zostaje niewolnikiem, pilnie strzeżonym, a uprawiającym plantacje trzciny cukrowej.

- Ho! Ho! I czy takie jarzmo ma dźwigać przez całe życie?
- Och! Nie. Z chwilą rozwiązania się naszego towarzystwa i on odzyska wolność.
- A więc z chwilą wypędzenia Austriaków z Włoch!
- Tak.
- Robicie ich więc współuczestnikami naszej sprawy w ten sposób.
- Jak to?
- Jasna rzecz, że muszą do tej błogiej chwili wzdychać tak jak my, jeżeli wiedzą, o co rzecz idzie.
- Nie, pozostawiamy ich w nieświadomości, by czasem w razie ucieczki...
- A, rozumiem.

Tu rozmowa zesła na inne tory.

Wino rozgrzewało głowy biesiadników, toasty szły za toastami, jedna mowa następowała po drugiej, a każda z nich była bardziej porywająca, zapalna i ognista.

W tylnej ścianie pod galerią, gdzie siedziała muzyka, za tajemnym skinieniem mistrza ceremonii ukazała się scena. Wyobrażała ona precudny ogród, pełen łagodnie płynących strumyków, fontann różaną wodą w górę bijących, kwiatów rozkwitłych i drzew, których gałęzie ugięły się pod ciężarem złocisto połyskujących owoców.

Naraz wypadł na scenę ową tłum różnobarwnych, strojnych, błyszczących złotem i kosztownymi kamieniami bajader, których ubiór uwydatniał ich wdzięki.

W milczeniu rozpoczął się jeden z owych pływających tańców wschodnich, w którym tancerka, prawie ciągle na jednym pozostając miejscu, więcej tańczy całym ciałem aniżeli nogami.

Te wyginania się kształtnych i gibkich postaci obudzały pożądliwość Włochów. Zapatrzeni w nie zapomnieli o całym świecie. W takt tańca mlaskali językiem lub uderzali nożem o próżne kieliszki.

Tworzyło to dziwną, lecz zgodną muzykę.

A bajaderki jakby chciały jeszcze bardziej rozpalic i tak już gorącą, bo południową krew, żywo pulsującą w żyłach gości, przyspieszały coraz bardziej rytmiczny takt tańca.

Włosi przytupywali nogami, twarze ich czerwieniały pałającym rumieńcem, oczy połyskiwały silnie i ledwie na wierzchu nie wyskoczyły ze swej oprawy.

Znać było, że gdyby się nie powstrzymywali, może rzuciliby się ku scenie, by pochwycić sniade a zarumienione, wiotkie a przecież zdobne w pełne formy tancerki w swe objęcia.

Jerzy nie lepszym był od południowców, bo patrzył tak jak oni namiętnie i tak jak oni zapalał się. Kars, przeciwnie, był naturą więcej północną, zimną. W jego przyglądaniu się temu uroczemu widowisku było więcej refleksji i zastanowienia się. Chwilę jedną i drugą poświęcił patrzeniu się na ów balet, lecz natychmiast malarz wystąpił w nim na pierwszy plan. Badał grę światła i cieni, barwy sukien bajader, linie delikatnych konturów ich ciał gibkich niby włoskie przydrożne topole.

Wkrótce atoli odwrócił się od sceny, by badać uczucia i wrażenia, malujące się na twarzy widzów. Tu spotkał nieprzebraną kopalnię typów, studiów i drobnych rysów, które, na pozór nieznaczne, są nieraz stanowczą wskazówką, dopełniającą czyjąś charakterystykę.

Spostrzegł atoli również, że wielu z członków, a mianowicie i Wielka Rada, i Leśnicki, usunęło się z sali. Zapewne udali się na narady, chcąc zużytkować jak najlepiej czas zawsze drogi.

I nagle kiedy zapał dosięgał już swego szczytu, kiedy bajadery coraz to żwawszy i żywszy przybierały takt i tempo, kiedy ruchliwi Włosi zdawali się zamieniać w jeden, olbrzymi a gorący płomień, do sali wpadło kilka postaci drżących i białych, których przemokła odzież czyniła dziwnie śmiesznymi.

Zalęknieni i zdyszani, nie mogli w pierwszej chwili wśród tej wrzawy i hałasu, jaki panował, przyjść do głosu. Był to Leśnicki, otoczony Wielką Radą.

Lecz w końcu spostrzeżono ich.

Zerwano się z krzeseł i oczekiwano ich słów.

Przeczuwano jakieś nieszczęście!

— Panowie — krzyknął Leśnicki — odwaga i spokój, gdyż inaczej wszyscy jesteśmy zgubieni. Woda w podziemiu. Jeszcze chwila, a ten straszny nieprzyjaciel i tu wtargnie.

7.13
Adam Pierzchnicki.

Tajemnice Warszawy

POWIEŚĆ

na tle wypadków z lat ostatnich

== Z ILLUSTRACJAMI. ==

Tom I.

WARSZAWA

Nakładem „Taniej Biblioteki”

—
1909.

Tajemnice Warszawy

Powieść na tle
wypadków z lat
ostatnich

Adam Witold Koszutski
[Adam Pierzchnicki]



1909

Adam Pierzchnicki to pseudonim Adama Witolda Koszutkiego (1872—1933), literata i publicysty socjalistycznego. W swojej publicystyce, twórczości satyrycznej i literackiej zwracał uwagę na niesprawiedliwości społeczne, atakował klasy posiadające i lojalistyczną postawę działaczy i publicystów. Krytykował kler, „handel żywym towarem”, narastający antysemityzm, fałszywą moralność mieszczańską i inne ówczesne bolączki życia robotniczego. W 1905 roku założył „Kurier Nowy” skierowany do szerokiej publiczności czytelniczej (wydawany w nakładzie 40 000 egz.), a z części dochodów z pisma prowadził bezpłatną piekarnię dla strajkujących robotników. Pismo nie przetrwało długo. W 1906 roku, po wydaniu nadzwyczajnego dodatku, ostrzegającego przed mającym nastąpić pogromem ludności Warszawy inspirowanym przez władze carskie, pismo zostało zawieszone, a Koszutski uwięziony w cytadeli i skazany na zesłanie do Archangielska. W więzieniu nabawił się przewlekłego zapalenia oskrzeli (bronchitu). Po powrocie ze zsyłki (nie jest pewne, czy trafił ostatecznie do Archangielska) założył skierowany do czytelników robotniczych tygodnik polityczno-społeczny „Życie Warszawskie” i tygodnik polityczno-satyryczny „Diabeł warszawski”, co naraziło go na

grzywny i procesy karne. Przed I wojną światową angażował się również w pracę społeczną na rzecz robotników i spożywczy ruch spółdzielczy.

Tajemnice Warszawy zostały wydane w 1908 roku i są powieścią osadzoną w realiach ogarniętej wrzeniem Warszawy. Przenika je pesymizm związany z klęską rewolucyjnych uniesień. W przedmowie czytamy:

Wszystko, co było, minęło, poszło w cień, rzeczywistość zastąpiła krainę marzeń, duch ludzi potężny opuścił skrzydła [...] Krew nie leje się już potokiem, jak dawniej, ale nie oschły w oczach łzy, cmentarzom przybywa mniej mogił zielonych, ale cmentarzyska duchowe pełne smukłych krzyżów, pełne upiornych wizji, ciszą grobową straszne...

W takiej chwili, w chwili kiedy [...] przyszłość stoi przed nami tak ciemna [...] my podejmujemy wydawnictwo *Tajemnic Warszawy*. W wydawnictwie tym zamierzamy uchwycić całokształt objawów życiowych serca naszego kraju i pokazać Wam, Czytelnicy, Was samych jak w zwierciadle, Wasze dusze, Wasze ideały, Wasze cnoty i Wasze zbrodnie.

Pozbawiona wyraźnej linii dramaturgicznej powieść opowiada losy członków bliżej nieokreślonej organizacji socjalistycznej. Pojawiają się tam między innymi dr Kazimierz i jego towarzyszka Zofia, których miłość zaczyna się w etapowym więzieniu przed zsyłką do guberni Archangielskiej za działalność konspiracyjną. Do grupy należy też przybyły z Litwy Zygmunt, eksksiądz, który wstąpił do organizacji bojowej, gdzie

nawiązał nieszczęśliwy romans z Heleną, siostrą Zofii. Jest także Piotr — inżynier w fabryce niemieckiego fabrykanta Szulca, przybyłego z Saksonii, lubiany przez robotników, związany z córką fabrykanta, którą przeciąga w kierunku „sprawy robotniczej”. Głównym antagonistą bohaterów powieści jest Wacław Świrkowski, „anarchista ducha”, cyniczny publicysta, kombinator, szkodnik społeczny i herszt bandytów, który, będąc kretem w organizacji, jest sprawcą jej problemów. Utrudnia walkę z warszawskimi mętami, przejmuje organizację bojową chłopów, ściągając ich na ścieżkę rabunkową, zamieniając ekspropriację w napady rabunkowe i doprowadza do klęski organizacji.

W powieści odzwierciedlone zostały osobiste doświadczenia i główne wątki publicystyki autora. Mamy wątek szlachetnego dziennikarza, który przeciwstawia się postawie kolegów z redakcji „Blagiera narodowego” i angażuje się w pomoc głodującym robotnikom, wspierając działanie darmowej piekarni. Główny bohater, podobnie jak Pierzchnicki, trafia do więzienia przed zsyłką do guberni Archangielskiej, gdzie opada z sił i choruje. W warstwie perswazyjnej zawarte są wątki takie jak krytyka wyzysku fabrycznego, moralności mieszczańskiej (między innymi instytucji małżeństwa, będącej

„komedią mieszczańską i kościelną”), kościoła katolickiego, który „wprzęga maluczkich w rydwan bogaczy”, pozwalając na wyzysk i podtrzymując ciemnotę, postulat wolnej miłości i powrotu do natury, a także aktualne bolączki społeczne. W tym kontekście powieść stanowi ciekawy przykład wykorzystania formy zeszytowej powieści sensacyjnej w celu dotarcia do szerokiego czytelnika z ideami społecznymi i politycznymi.

Powieść wydana została początkowo w formie dzieśięciu zeszytów nakładem Taniej Biblioteki w Drukarni Ludwika [?] Straszewicza w Warszawie w 1908 roku. W 1909 roku nakładem tego samego wydawcy zaś w trzech tomach. To ostatnie jest podstawą niniejszego wydania, z którego przedrukowujemy fragmenty.

Łukasz Biskupski

Adam Witold Koszutski [Adam Pierzchnicki], *Tajemnice Warszawy. Powieść na tle wypadków lat ostatnich. Z ilustracjami* (s. 9—16, 30—92), nakładem Taniej Biblioteki, Warszawa 1909.

1. W etapowym więzieniu

Godzina pierwsza w nocy.

Cela więzienia etapowego na Pradze, tzw. *peresilna*, tonie w szarym mroku. W małej niszy nad drzwiami umieszczono wprawdzie lampkę, lecz światło to migotliwe tylko i blade rzuca błyski.

Dwie gromadki ludzi siedzą na narach, w środku celi ustawionych, narach drewnianych, brudnych obrzydliwie, kędy normalnie sypiają więźniowie na siennikach, zasianych niezmienną od niepamiętnych czasów słomą, pełnych wszy do tego stopnia, że niewiele mija się z prawdą humorystyczny termin, iż te sienniki same chodzą.

Wszystkich zesłańców, czekających w *peresilnej* na hasło wymarszu na kolej, jest czterdziestu kilku, w tej liczbie zaś trzy kobiety. Jedna gromadka, większa, z kobietami, zasiadła po prawej stronie narów, druga po lewej, niby parlament z prawicą i lewicą. Ci po prawej to polityczni, po lewej — zwykli złodzieje lub mordercy. Nawet wspólna dola nie zdołała połączyć tych ludzi. Trzymają się z dala, patrzą na siebie z nienawiścią i wstrętem.

Za składkowe pieniądze kupiono sobie świece łojowe, dwie świece: polityczni swoją, złodzieje swoją i urządzono wspaniałą ucztę. Żołnierze, przeznaczeni jako warta, zgodzili się przynieść produkty ze sklepiku. Był chleb biały, masło, cukier, herbata, kiełbasa sucha, słowem lukullusowe potrawy, a nawet nie brakło na wety papierosów „Malina” lub „Bartek” po 3 kop. za 10 sztuk.

Zjedzono już te smakołyki w milczeniu i zapalono papierosy.

— Kiedyż nas wreszcie pognają na kolej? — przemówił barczysty mężczyzna, niegdyś robotnik z fabryki „Wulkan.”

— Niedługo już, Władysławie, niedługo — odrzekł blady, zmizerowany młodzieniec, ale z dziwnie iskrzącymi, czarnymi oczyma. Już niedługo pójdziemy daleko, daleko i nie wszyscy wrócimy do kraju, bodaj w lepszych czasach.

— Ej, dlaczego nie wszyscy, Kazimierzu? Znowu was smutne jakieś napastują myśli...

— Nie smutne. Tak tylko mówię, bo będę kędyś na archangielskich stopach bielił swoje kości. Zresztą to wszystko jedno. Każda ziemia może być matką i każda macochą, to zależy od warunków... Dla nas każda jest macochą, chociaż głupie serce do jednej dziwnie przywarło...

— Człowiek jest jak kot, przywiązuje się do miejsca i tęskni. Oj, jak okropnie tęskni... Ja wam to mówię, bo pod wpływem tej tęsknoty już raz uciekłem z Onegi.

— Sybirskie tundry, kraju daleki!
Głos powitania bracia wam ślą,
Wyniani z kraju, lecz nie na wieki,
Rozstanie nasze uczcijmy łzą! —
począł nucić Kazimierz, patrząc smutnymi oczyma na błądy płomyk świecy.
— Ciekawam, kto ułożył tę pieśń — zapytała młoda blondynka.
— Jakiś więzień pospołu z tęsknotą — odrzekł Kazimierz.

I toczyła się dalej rozmowa o kwestiach społeczno-ekonomicznych, o ich stosunku do patriotyzmu i rozmaitych jego rodzajów, lecz całej tej rozmowy nie możemy tutaj powtarzać.

— Patriotyzm, który każe nienawidzić ludzi dlatego tylko, że należą do innej narodowości, patriotyzm jako wykładnik zaborczych instynktów jest wstrętny i wypleniać go trzeba — konkludował Kazimierz — ale patriotyzm szlachetny, będący przywiązaniem do terenu naszego działania, dążnością swobodnego rozwoju w myśl indywidualnych właściwości narodowych, to uczucie godne szacunku.

— Gdzież istnieje taki patriotyzm? — zapytała jedna z kobiet. — Każdy patriotyzm to synonim nienawiści plemiennej. O uczuciu idealnym, o jakim mówiliście, nie można nawet marzyć wobec braku uświadomienia ogółu.

— Bez uświadomienia ogółu o niczym w ogóle myśleć nie można, bo każda działalność, choćby najszlachetniejsze miała pobudki, będzie spaczona, każdy system, choćby najbardziej na sprawiedliwości oparty, runąć musi i zamienić się w szereg nieprawości.

— A więc waszym zdaniem tylko o uświadamianie starać się trzeba?

— Tak.

— Jesteście niepoprawnym teoretykiem, podczas gdy życie nie znosi teorii, a domaga się energicznego działania, chociażby nawet błędnego, byle wyrывało z bezczynności.

— Nie zawsze jest chwila do czynu stosowna — począł mówić Kazimierz, lecz nie zdołał rozwinąć obszernie tej myśli, bo zakaszał się silnie, a na chustecę, którą przyłożył do ust, pokazała się krew. Zjadło go kilkumiesięczne więzienie, był zagrożony suchotami.

Wszyscy więźniowie okazali współczucie dla chorego, a nawet jeden z grupy zbrodniarzy, wysoki, chudy, kościsty blondyn, specjalnie zbliżył się do Kazimierza, który położył się na narach silnie zdenerwowany i osłabiony. Otoczyły go kobiety, bardziej nawykłe do pielęgnowania chorych.

— Dziękuję wam towarzyszeki. Niepotrzebnie się trudzicie — mówił spokojnie, chociaż smutno. — Chciałbym umrzeć, ale to niestety jeszcze nieprędko nastąpi. Szkoda, że mnie nie rozstrzelali. To takie proste i wcale niestraszne. Stałbym przed nimi i patrzył, jak celują. To nawet musi być wcale zajmujące, emocjonuje. Takiej emocji nie dozna lada burżuj. No i ja już nie doznam przynajmniej na teraz. Psiakrew! Tego mi tylko żal w życiu, zresztą niczego.

— Nie macie nikogo na świecie? — zapytała cicho jedna z kobiet, która usiadła obok chorego.

— Nikogo...

Suchotnik, mówiąc to, zamyślił się, a twarz skrzywiła mu się kurczowo, jak gdyby tłumiony płacz wykoślawiał mu wszystkie mięśnie, targał wszystkie nerwy.

Po chwili wybuchnął:

— Czemu mnie o to pytacie? Czemu? Budzicie wspomnienia, które już umarły, a przynajmniej zdało mi się, że umarły.

Ta, która zadała to pytanie, mimowolnie zwiesiła teraz głowę i patrzyła w brudne cegły podłogi więziennej.

— Rodziców nie mam już dawno. Matka, rodząc mnie, umarła, a ojciec był suchotnikiem i nie na długo płuc mu starczyło. Miałem lat dwanaście, kiedy umarł — mówił Kazimierz. — Suchoty to jedyne po ojcu dziedzictwo. Od tego czasu szedłem o własnych siłach. Dawałem korepetycje i kończyłem szkoły. Mieszkalem w domu pewnego robotnika. Kilkoro dzieci, ich dwoje i ja mieszciliśmy się w dwóch małych stancyjkach. Była nędza, ale jakież to miłe czasy. Wesolo nam płynęły dni, chociaż czasem głód kurczył żołądek i doskwierał w kiszkach szkaradnie. Za to jakaż to była stypa wspaniała, kiedy kto z nas przyniósł do domu parę złociszów. Była wtedy i wódka i sucha kielbasa. Wnet zagrał jaki grajek na harmonii i hasaliśmy i śmialiśmy się, jak gdyby skrzynie złota stały do naszej dyspozycji.

Kobieta z niezwykle zainteresowaniem słuchała tego prostego opowiadania, tych wyznań suchotnika, które wywołała. Im dłużej opowiadał Kazimierz, tym bardziej zapalał się do wspomnień niewyszukanych, biedaczych, szarych, ale dla niego drogich.

— Wiecie, towarzyszeko Zofio? Jakże ja bardzo kochałem wtedy wszystkich ludzi! Jak okropnie mnie serce bolało ich bólem, jak mi żal było zawsze tych zgłodniałych, oberwanych dzieciaków, co brudne i opuszczone gromadami goniły po ulicy, popod naszymi oknami. Rosły bez nauki, bez opieki, narażone ustawicznie na złe wpływy. Próbowałem je gromadzić koło siebie i uczyć, ale mi się bały, uciekały ode mnie, wołały włóczyć się całymi dniami, zresztą i ja miałem czasu zbyt mało.

Ale silniej niż wszystkich kochałem córkę mojego gospodarza, o kilka lat młodszą od siebie. Była bardzo ładna. Miała bujne blond włosy, niebieskie oczy i cerę różową jak kwiat...

W tym miejscu przerwał opowiadanie i zamyślił się smutno.

— I cóż się stało z tą dziewczyną? — pytała Zofia.

— Co się z nią stało? Stara jak świat historia. Dała się uwieść synowi fabrykanta za ładną sukienkę, za kolację w knajpie, za rozmaite obietnice. Później ją rzucił, rodzice z domu wypędzili, a ona chodziła po ulicy. Chciałem się do niej zbliżyć, ale uciekła ode mnie jak te dzieci, które pragnąłem koło siebie

zgrupować. Myślałem, że powoli ją przyhołubię jeszcze i dźwignę z bagniska, w którym ugrzęzła. Stało się inaczej. W kilka dni później wyczytałem w gazetach, że prostytutka Maria S. otruła się kwasem karbolowym.

Przestał mówić i łyż mu potoczyły się po twarzy. Po chwili zanucił cicho:

— Oj! Na bok łyż, skarga i jęk!

Dla nas muzyką jest kajdan brzęk...

Oprócz kobiety opowiadania Kazimierza słuchał z głębokim wzruszeniem także zbrodniarz, ten sam, który się do niego zbliżył, gdy chory dostał ataku kaszlu. W kazamacie panowała prawie cisza. Mówiono półgłosem i czasem ktoś zanucił pieśń smutną. Nastrój chwili, jednej z ostatnich już przed opuszczeniem kraju, budził we wszystkich wspomnienia i utkliwiał dusze. Opowiadano sobie dawne dzieje własne, czyniono wyznania. Naraz zbrodniarz ów zawołał głośno:

— Słuchajcie wy polityczni! Chęłpicie się, że jesteście szlachetnymi ludźmi, a tymczasem postępujecie nieraz gorzej niżeli nasi.

— Kiedyż to tak? — zapytał Władysław.

— Ot, co tu dużo gadać?! Jeśli politycznemu dzieje się krzywda, my go żałujemy, ale wy nas za to tępicie jak szkodliwe zwierzęta. A przecież złodzieje są także ludźmi. Nie nauczyli nas pracować, źle wychowali od dziecka, to i trudno, musimy kraść. Potem i na poprawę nie pora, choćby dusza chciała.

— Na poprawę zawsze pora.

— Oj! Nieprawda. Jeśli złodziej chce pracować, żaden pracodawca nie da mu u siebie roboty, a robotnik nie chce z nim razem pracować. Cóż człowiek pocznie, jeśli żyć musi? Co?

Na to pytanie nie było odpowiedzi, więc złodziej mówił dalej:

— Pilnujcie wy dzieci, by nie szły na marne, a nam dajcie pokój. My jesteśmy straceni. Chcemy kraść delikatnie, ale jak burzuj nie da się okraść, jak na złodzieja czyha „pajak,” to i ukrztusić trzeba, bo to o własne gardło idzie, a zawsze „bliższa koszula ciała niż kaftan”.

— To prawda, ale nam idzie o to, żeby takie zapanowały stosunki na świecie, w których nikt nie potrzebowałby stać się złodziejem, w których nie byłoby opuszczonych i zaniedbanych dzieci — zauważył ktoś z boku.

— O ludzie! — zawołał złodziej. — Gdybym choć rok przed śmiercią mógł jeszcze być porządnym człowiekiem!

Ten moment i te wyznania obopólne zbliżyły wszystkich do siebie. Stali się więcej niż rodziną. Jednym wspianym akordem uderzały serca i myśli się spłótły dziwnie miłośnie ze sobą. Znikły sprzed oczu duszy skazańców stęchłe opary zgnilizny życiowej i świat się im wydawał piękny. Zrozumieli bezwiednie głęboką filozofię Chrystusa, że można i trzeba kochać nawet swoich wrogów, chociaż walcząc z nimi, zniewalał ją stosunki. [...]

3. Przygotowania do pogromu. Romans księdza

W mieszkaniu Piotra zebrało się kilkanaście osób. Piotr był inżynierem fabrycznym, ukochanym przez robotników, toteż w rękach swoich koncentrował robotę całej dzielnicy. Naradzano się nad sprawą bandytyzmu, który rozwiłmożnił się straszliwie w ostatnich czasach, a podszywając się pod organizację społeczną, przynosił jej wielką stratę moralną, zohydzał w oczach wielu ludzi sympatyzujących ze sprawą.

— Słuchajcie towarzysze! — mówił Piotr. — Trzeba raz wreszcie opanować tę bolączkę, bo jeśli my osobiście nie poradzimy, nie można się spodziewać skutecznego przeciwdziałania z żadnej strony.

— Słusznie! Słusznie! — wołano dokoła.

— Szkoda tylko — zabrał głos jeden z obecnych — że razem z towarzyszem Kazimierzem zginęły ślady kryjówek bandyckich.

— Jak to? — zapytał drugi.

— Towarzysz Kazimierz — tłumaczył Piotr — zajmował się w ostatnich czasach przed aresztowaniem sprawą bandytyzmu i zebrał już dość liczne nici w swych rękach. Przypuszczam, że zdoła podzielić się z nami swoimi wiadomościami w tym względzie, bo wraz z innymi wysłano go już etapem. Z drogi łatwiej mu napisać i list wysłać aniżeli z więzienia. Dziś zrana żegnaliśmy ześląńców na kolei. Przy smutnym tym akcie była i towarzyszka Helena, obecna tutaj, bo jej siostra Zofia również wyjechała tym samym etapem.

— Tak — wtrąciła Helena. — Zdaje mi się nawet, że wiadomości, w każdym zaś razie listy, otrzymamy rychlej, niż moglibyśmy przypuszczać, bo jeden z żołnierzy należących do konwoju dawał nam jakieś znaki porozumiewawcze. Zwrócił na to uwagę ksiądz Zygmunt, ale nie byliśmy pewni, zresztą wzruszenie chwili, zaśląbnięcie matki, wszystko to przeszkodziło nam w zbliżeniu się do tego żołnierza w odpowiedniej porze, a moment właściwy rychło minął i po wtórnie już nie nadarzyła się sposobność.

— Więc towarzysz Kazimierz zesłany?!

— I wasza siostra Zofia również zesłana?!

Odzywały się głosy pełne szczerzego współczucia.

— Szkoda ich. Tacy dzielni. Ciekawa rzecz, kto ich zasypał?

— Jak ich skazano? — zadawano sobie pytania.

— Ponieważ nie znaleziono przy nich żadnych dowodów i śledztwo nic nie wykryło — tłumaczył inżynier Piotr — więc pojechali na zwykłą zsyłkę do Archangielska. Ale nie pora tu na wspomnienia, chociażby takich jak Kazimierz i Zofia. Zebraliśmy się, aby radzić nad innymi sprawami.

— Towarzyszu Piotrze! Macie rację, ale pozwólcie, że nad tym, co spotkało tamtych naszych, również trzeba pogadać. Kiedy o tym już mowa, proponuję, abyśmy zrobili składkę i posłali trochę grosza, bo im tam ciężko będzie wyżyć na obczyźnie — wołał jeden z robotników, a wszyscy potakiwali mu żywo.

— Dziękuję wam za wasze dobre serca — odrzekł Piotr — ale Kazimierz i Zofia w tej chwili nie potrzebują pomocy. Zebrałem już dla nich trochę pieniędzy i wręczyłem, zanim jeszcze poszli na etap. Jeśli będzie znowu potrzeba, udam się do was po składkę.

Inżynier Piotr z własnych funduszków przyszedł z pomocą przyjaciółom, nie przyznał się jednak do tego wobec zebranych, tłumacząc im rzecz całą w sposób niezgodny z prawdą.

— Pamiętajcie, towarzyszu, bo my zawsze gotowi! — wołano.

— Dla Kazimierza ostatni grosz damy, krwi spod serca utoczym, tylko powiedzcie...

— Dobrze, dobrze! Tymczasem zaś mówcie, co wiecie o kryjówkach bandytów. Ktoś z was trafił może na jakiś ślad? Macie pewno jakie plany? Skoro tak się źle składa, że nie możemy na razie skorzystać z wywiadów Kazimierza, musimy działać na własną rękę. Towarzysz Hieronim miał się zająć śledzeniem. I cóż dotychczas zrobiliście w tym kierunku, Hieronimie?

— Niewiele. Psia k... ich mać, dobrą mają organizację.

— Wyrażajcie się parlamentarniej, towarzyszu! — z uśmiechem strofował inżynier Piotr. — Są tutaj między nami i kobiety.

— Przepraszam — odparł zawstydzony robotnik. — Takie to już paskudne przyzwyczajenie. Człowiek od dzieciństwa tak się wyrażał i nie było komu zwrócić uwagi. My przecież jesteśmy tylko roboczymi maszynami, to i mniejsza o to, jak taka maszyna rośnie, byle jej tryby dobrze chodziły.

— Więc nic nie wiecie?

— Tyle co nic. Są szynki po przedmieściach, a także i w miastowych dzielnicach, gdzie się schodzą te łajdaki. Gospodarze takich szynków są jednocześnie paserami. Odbierają towar i wnet go przez swoich agentów wysyłają precz za Warszawę, do Cesarstwa, a nawet zagranicę. Podobno nawet po piwnicach tych szynkowni znajdują się całe formalne warsztaty, w których fachowcy łamią kosztowności, przetapiają złoto, wyjmują z nich drogie kamienie itd. Inni po lombardach zastawiają kradzione rzeczy, a jak przyjdzie rewizja, to nigdzie nic nie znajdzie, zawsze zdążą ci paserzy wczas ukryć przedmioty skradzione.

— Umieją się dobrze urządzać — zauważył ktoś z boku — bo to u nas tak zawsze, że ręka rękę myje, noga nogę wspiera.

— Śledziłem długo — opowiadał dalej Hieronim — i nie mogłem wysledzić, aż tu przypadek zwykły naprowadził mnie pewnego dnia na małe odkrycie. Wracałem wieczorem do domu. Przechodzę około domu, w którym znajduje się prywatny lombard. Godzina była stosunkowo już późna, więc lombard zamknęli. Patrzę, około mnie przechodzą jacyś ludzie. Jeden z nich niesie w rękach coś zawiniętego w papier. Zawiniątko było niewielkie, ale ciężkie, bo chłop, co je niósł, choć tęgi i barczysty jak wół, ale z trudem, znać, dźwigał, a pot mu na czoło wstąpił.

Z tym, co zwrócił moją uwagę obscurnym wyglądem, szło jeszcze trzech porządnie ubranych, w cylindrach na głowie i każdy z nich także coś niósł, ale fanty drobniejsze i lżejsze. Zacząłem im się przypatrywać i spostrzegłem, że kieszenie mieli wyładowane, aż odstawały od boków.

Staję sobie pod ścianą i czekam. Wszyscy czterej przeszli, spierając się ze sobą o coś siarczyście. Co mówili, rozumieć dokładnie nie mogłem, usłyszałem tylko, jak ten, co dźwigał najcięższy tobół, wymawiał innym: „To mi lale, nieść im się nie chce, przy robocie także z nich mała pociecha, do podziału zaś to są. Chcielibyście nie tylko równo, ale może jeszcze więcej. Niedoczekanie!”.

Wpadli do bramy, gdzie lombard. Poszedłem za nimi. Weszli na piętro i zadzwonili do jakiegoś mieszkania. Drzwi się otworzyły najpierw z łańcucha. „A to panowie?”, zagadał jakiś człowiek z długą brodą. „Cóż? Jest co nowego?”. „Jest, jest, Żydzie, tylko puszczaj prędko i ładuj monetę”. Tyle usłyszałem, po czym drzwi otworzyły się na piętrze i czterech ludzi z pakunkami weszło do wnętrza. Siedzieli tam niedługo, ale starczyło mi czasu, by przeczytać nazwisko właściciela tego mieszkania i sprawdzić, że to jest lombardnik.

Zaledwie schowałem się w niszy koło schodów, kiedy te draby wyszły od lombardnika. Obejrzeni się po wszystkich kątach, czy ich kto nie spostrzegł i spokojnie zaczęli schodzić na dół. Byłem już pewny, że to są bandyci, którzy ograbili sklep jubilerski tego właśnie dnia po południu i udałem się za nimi, aby się dowiedzieć, dokąd oni pójdą.

Na rogu dobrali sobie cztery ćmy, wytargowali się z nimi o cenę, łajac przy tym ostatnimi słowami te nieszczęśliwe istoty, zawołali dorożki i czterema powozami, po parze w każdym, pojechali. Słyszałem, jak się kazali zawieźć do knajpy na róg Chmielnej. Poszedłem tam, ale że to piechotą musiałem odbyć tę drogę, co oni jadąc, więc znacznie później przybyłem na miejsce.

Wszedłem do sali, ale nigdzie nie zauważyłem moich panów z panienkami. Pytam tedy kelnera: „Mój panie! Czy tu do was przyjechali przed chwilą tacy czterej panowie z kobietami? „A przyjechali”, odrzekł. „Są w gabinecie. Może pana tam zaprowadzić?”. „Nie. Dziękuję, niech mi pan tylko powie, czy ci panowie tu często bywają? Mam do nich interes i chciałbym się z nimi zobaczyć, ale nie dziś, tylko wtedy, kiedy będą sami, bez kobiet”.

Kelner spojrzał na mnie podejrzliwie i nie kwapił się jakoś z odpowiedzią. Spostrzegłszy to uspokoiłem go: „Możesz pan być ze mną zupełnie otwarty. Jestem kolegą tych panów”. „Kiedy tak”, odparł, „no to możesz ich pan tutaj codzień zastać o tej samej porze. Zwykle piją na sali wódkę i piwo, czasem tylko bawią się w gabinecie. Pewno wtedy, kiedy im się trafi jakiś »lepszy interes«. Ale to nie moja rzecz, proszę pana, niech panowie robią, jakie chcą i mogą interesy, bodaj płacili za jedzenie i picie, a kelnerowi dali *trinkgeld* jak się patrzy. To mój interes, a tamto wasz. Co mi do tego?!”

Podziękowałem za informacje, wypilem szklankę piwa, obiecałem przyjść na drugi dzień i wyszedłem kontent, że przypadkiem znalazł jedną chociaż norę

bandytów. Ale tam można nakryć tylko część ptaszków, gdzie inni się obracają, to na pewno nie wiem, a powtarzać nie chcę niepewnych wiadomości.

— Jest to już coś, Hieronimie — zauważył Piotr. — Po nitce dojdziemy do kłębka, ale istotnie wiemy za mało, by zaczynać robotę. Spłoszylibyśmy tylko niepotrzebnie ptaszków. Musimy śledzić dalej.

Kiedy te słowa domawiał Piotr, dał się słyszeć u drzwi wchodowych dźwięk dzwonka.

— Przyjdźcie do drugiego pokoju dla większego bezpieczeństwa, jeśli nie nasz człowiek, lepiej niech was tu nie widzi — zauważył gospodarz i poszedł osobiście otworzyć.

We drzwiach ukazał się żołnierz.

— Do was pismo, *barin* — mruknął i oddał listy. — *W peresilnej ja potuczył.*

Piotr odebrał listy, podziękował, uraczył żołnierza wódką i płacąc hojnie za fatygę, rzekł:

— Uczciwy z was człowiek. Macie serce. Będzie z was dobry obywatel, kiedy z osobistym narażeniem usłużyliście biednym ludziom.

— Ja wasz brat — odrzekł żołnierz.

Krótko trwała rozmowa. Inżynier był mocno wzruszony otrzymaniem jakichś wiadomości od nieszczęśliwych przyjaciół, więc rzucił tylko kilka myśli i pożegnał się z żołnierzem.

Jedna koperta zaadresowana była ręką Kazimierza do Piotra Pohoreckiego, inżyniera, druga pismem kobiecym do Anieli i Heleny Majorkiewicz. Ten list pisała Zofia do matki i siostry.

Piotr wszedł do pokoju, w którym ukrył swoich gości, zawiadomił ich o otrzymaniu listów, Helenie oddał dla niej przeznaczoną kopertę, sam zaś rozerwał swoją i czytał zrazu cicho. Na twarzy jego od samego początku malowała się radość, lecz w miarę czytania wyraz rozradowania stale się podnosił i stawał coraz promienniejszy. Piotr zawołał:

— Wobec was, towarzysze, nie mam tajemnic. Wszyscy znacie i kochacie Kazimierza tak, jak na to zasługuje, więc przeczytam wam głośno list od niego. Są tam wiadomości osobiste, odnoszące się jedynie i specjalnie do jego osoby, ale zarazem są i te, których tak potrzebujemy, aby wykonać wyrok, jaki wydaliśmy nad zbrodniarzami.

— Czytajcie, inżynierze! Czytajcie! — wołano.

Kazimierz pisał:

„Mój drogi Piotrze!

W więzieniu rozchorowałem się na dobre. Płuca, na które, jak ci wiadomo, stale niedomagam od dłuższego już czasu, wyrządziły mi szelmowską niespodziankę. Dostałem ataku. Głupstwo... Trochę tylko wylało się tej czerwonej substancji i jeszcze zostało aż nadto dosyć, abym mógł żyć jakiś czas i być pożytecznym dla tych, których tak ukochałem, dla najbiedniejszych i opuszczonych

przez los. Gorzej tylko, że chwilowo straciłem chęć do życia, zwątpiłem zupełnie w siebie, w świat, w trud i jego potrzebę. Była chwila, że stałem się mazgajem i bardziej jeszcze niż mazgajem, bo pesymistą.

Uleczyła mnie z tej ohydnej choroby, z tej słabości ducha, Zofia, ten anioł poświęcenia, ten duch opiekuńczy i dobry. Kocham ją i jestem kochany. Może to z mojej strony podłe, ale silniejsze nad rozum, silniejsze od nas obojga. Przez nią odkryła moja dusza takie wspaniałe i świetlane horyzonty, że olśniony nimi chciałbym wołać: Hosanna! Chciałbym świat cały przycisnąć do łona i dać mu takie szczęście, jakie ja czuję w sobie.

Przez czas jakiś będziemy oboje z Zofią unieruchomieni, ale wrócimy znowu do Warszawy, aby razem z wami prowadzić rozpoczęte dzieło miłości wszechbra-
terskiej. Dokąd nas zesłają, jakie będzie ostateczne miejsce naszego przeznaczenia, doniesiemy. W tej chwili wiem tylko, że wyznaczono nam gubernię archangielską. Byłbym strasznie uradowany, gdyby Zofia otrzymała tę samą miejscowość, co i ja, na pobyt. To ułatwiłoby nam sytuację.

Tyle o swoich osobistych sprawach. A teraz zakomunikować wam muszę adresy kryjówek bandyckich, które udało mi się odkryć, gdy byłem jeszcze wolny. Tu w więzieniu wiadomości moje w tym kierunku rozszerzyły się znacznie, dzięki pewnemu skazańcowi, który był bardziej nieszczęśliwy niż występny, a który przyłgnał do mnie i do Zofii, wyrzekając się swej przeszłości. Jest to niejaki Andrzej, człowiek ze złotym sercem. Będziemy mieli z niego wielką pociechę. Andrzej fundusz swój 500 rubli, pochodzący, niestety, z kradzieży, oddaje do twojej dyspozycji. Prawym właścicielom oddać tych pieniędzy nie ma sposobu”.

Przerwał na chwilę czytanie listu Piotr, a na twarzach wszystkich malowało się silne wzruszenie.

— Dajcie nam takich ludzi więcej! — wołano. — Nie byłoby nienawiści do inteligentów. Wy, panie inżynierze Piotrze i Kazimierz możecie z nami robić wszystko, bo wy jesteście samą prawością i samym sercem. Wszystko macie dla bliźnich, nic dla siebie.

— Nie chwalcie tak, nie chwalcie, bo my przede wszystkim pracujemy dla idei, którą ukochaliśmy, a więc dla naszego umiłowania, dla siebie. My jesteśmy takimi samymi egoistami, jak ten człowiek, który zgarnia grosz do grosza lichwą i krzywdą drugih. Ta tylko różnica między nami i nam podobnymi a tamtymi, co krzywdę czynią, że tamci ślepi są, my zaś w sposób właściwy patrzymy na życie i istotę szczęścia.

Ale mniejsza o teorie i filozoficzne spory! W dalszym ciągu listu Kazimierza są najdokładniejsze adresy tych nor bandyckich, których daremnie dotychczas szukaliśmy. Prócz tego posyła nam Kazimierz kilka adresów jeszcze większych zbrodniarzy niżeli bandyci, bo tych, co zajmują się handlem żywym towarem. Zwabiają oni ubogie nieletnie dziewczęta, córki nasze i siostry, i obietnicami dobrobytu wciągają te

nieszczęśliwe, często głodne i obdarte istoty na drogę upodlenia, handlu ciałem swoim i duszą. Są między tymi zbrodniarzami inteligenci na stanowiskach, kupcy, a nawet lekarz, któremu odebrano prawo praktyki za spędzenie płodu. Lecz ogół tych zbrodniarzy rekrutuje się głównie spośród wykołajców, których nędza pchnęła na drogę takiej ohydy, jaką równą lub większą jeszcze spotyka się tylko wśród ludzi, będących za pieniądze narzędziem w rękach osób, zajmujących się specyficzną polityką.

— A więc kiedy zrobimy porządek? — pytano w zgromadzeniu.

— Powoli! Powoli! — uspokajał Piotr. — Trzeba się poważnie naradzić, dobrze zorganizować, adresy jeszcze raz sprawdzić, rozebrać z namysłem między siebie role i dopiero zacząć. Inaczej narazimy tylko swoich na niebezpieczeństwo i nic nie zrobimy.

Zacząto omawiać kwestię wykonania pogromu, którego plan powstał poza wszelką partyjną organizacją, z inicjatywy osób gorących, niemogących spokojnie patrzeć na wstrętne wrzody społeczne i brudne grzęzawiska moralne.

Tymczasem ksiądz Zygmunt, który niedawno przybył z Litwy i po raz pierwszy brał udział w konspiracyjnym zebraniu, rozmawiał z Heleną, zapatrzony w nią jak w obraz.

— Księżu! — mówiła ładna dziewczyna, kokieteryjnie uśmiechając się do młodego człowieka w sutannie — księżu Zygmuncie! Co księdza właściwie skłoniło do rzucenia intratnej parafii i do puszczenia się w wir walki zawrotny, w którym zginąć tak łatwo? O ile słyszałam, był ksiądz zastępcą kanonika i dziekana. Kariera wielka w tak młodym wieku.

Ksiądz Zygmunt był to istotnie prawie młodzieniec. Przed pięciu laty dopiero został wyświęcony. Znakomity, płomienny mówca, pełen energii i bezinteresowności, pełen wielkich talentów, posiadacz historycznego, szlacheckiego nazwiska, znajdował się na drodze do wysokich kościelnych dostojenstw.

— Panno Heleno! Chciałem być kapłanem Chrystusowym i dlatego włożyłem na siebie tę czarną sukienkę, lecz w istniejących warunkach nie mogłem. Przekonałem się, że musiałbym pójść drogami występku, więc rzuciłem wszystko i jestem między wami, aby potępiony, obrzucony klątwą, pracować dla dobra ogółu.

— A czy ksiądz wytrwa?

— Chcę wytrwać i Bóg da, wytrwam.

— Dla siebie niczego ksiądz nie pragnie? Czy młodość nie zawoła czasem o swoje prawa? — szeptała Helena, patrząc z szatańsko kokieteryjnym przymileniem.

Oczy ich się spotkały. Zadrżał. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, Helena wprost demoniczny wpływ wywierała na niego. Teraz zaś, kiedy zaczęła mówić, kiedy znać umyślnie rozmowę kierowała na osobiste tory, poczuł, że dłużej opierać się jej nie może. Z gorącymi wypiekami krwi na twarzy zawołał głosem przytłumionym:

— Dotychczas, do tej chwili, nic dla siebie nie pragnąłem, teraz pragnę ciebie, Heleno! Pragnę cię bardziej niż nieba, bardziej niż prawdy, dla której rzuciłem

przyszłość i dostojeństwa, jakie mnie czekały. Chociażbyś była piekłem, pożądam cię, Heleno!

I przysunął się do niej blisko, korzystając z tego, że wszyscy zajęci byli naradą i nikt na nich nie patrzył. Pochwycił ją za rękę, a ona mu tej ręki nie broniła, lecz oddała uścisk namiętny za uścisk. Stali tak obok siebie i tonęli oczyma w oczach.

Tymczasem Piotr zreasumował uchwałę zebrania, mocą której oddano Hieronimowi i jemu samemu adresy do sprawdzenia i postanowiono w odpowiedniej chwili rozpocząć krwawą wyprawę przeciw bandytom i handlarzom żywym towarem.

Poczęto wychodzić. Ksiądz Zygmunt i Helena ocknęli się wreszcie.

— Do jutra — zawołał on.

— Do jutra — odpowiedziała.

Była to ich pierwsza miłosna schadzka.

4. Herszt bandytów

Wacław Świrkowski zajmował skromne, ale wygodne i stosunkowo obszerne mieszkanie kawalerskie w parterowym domku otoczonym zielenią przy ul. Tamka. Dwa pokoje umeblowane zwykłymi ogrodowymi, na biało pomalowanymi, sprzętami, czyniły dość oryginalne wrażenie. Ściany pokrywały przeróżne napisy i malowidła, umieszczane tutaj przez licznie nawiedzających gospodarza gości.

Jakie stanowisko społeczne zajmował Wacław i z czego żył, trudno określić. Najchętniej filozofował, czasem pisał artykuły do gazet postępowych, socjalistycznych, ludowych, dalej do organów polityki realnej, układał statuty stowarzyszeń kooperacyjnych, był jednocześnie filosemitą, antysemitą, demokratą i demagogiem, szlachcicem, ceniącym tradycje i uznającym za człowieka tylko tego, kto posiada szereg przodków za sobą. Słowem, jego fizjonomia moralna zmieniała się w miarę potrzeby i warunków. Znał się na wszystkim, wszystkim się interesował i umiał wcisnąć się ze sobą wszędzie, gdzie tylko sądził, że znajdzie coś interesującego dla siebie, coś godnego uwagi. Sam wprawdzie nie wysuwał się na pierwszy plan, chętnie kryjąc się za plecami drugich, lecz nigdy nie usuwał się od rzucania inicjatywy, od porady i namowy. Czynił to zawsze z dziwną bezinteresownością, nie szukając ani nagrody pieniężnej, ani uznania i zaszczytów.

Zdawało się, że jedynym celem i zadaniem Wacława było trzymać rękę na pulsie życia w całym tego słowa znaczeniu, dotycząc się wszelakich tego życia objawów. I cel osiągał. Lubiono go wszędzie i ceniono jego umysł, przyznając jednogłośnie, że jest prawdziwie inteligentnym człowiekiem. Byli i tacy, którzy na działalność Wacława patrzyli mocno krytycznie, zarzucali mu niektórzy rzeczy rozmaite, nie miał nikt jednak żadnych dowodów. Ścisłe dochodzenia nie

wykazały nic, co mogłoby mu ubliżyć, a tym więcej nakazywało go uznać za jednostkę niebezpieczną lub szkodliwą. On sam niejednokrotnie mawiał:

— Ludzie są piekielnie głupi, a w głupocie swej dochodzą do podłości. Rzucają podejrzenia tam, gdzie nie ma ani krzty racji. Mickiewicza nawet i Towiańskiego zrobiono onego czasu szpiegami. Mogą sobie o mnie mówić, co chcą. Zrozumieć tego nie są w stanie, że człowiek miewa swoje indywidualne kąty patrzenia, swoje własne widnokreśli duchowe i swoje specjalne umiłowania. Ci ludzie wietrzą ciągle, że każdy działać musi koniecznie dla pieniędzy i upodlać się dla pieniędzy, jak gdyby nie największą korzyścią i szczęściem było stworzenie sobie własnego świata ducha, własnych ideałów, stojących ponad szablonem jakichkolwiek partii.

To dowodzenie, niezwykła otwartość, przyznawanie się do czynów, które u kogo innego byłyby potępione oraz ścisłe śledztwo, które nic złego nie wykazało, wreszcie tysiące nieraz ważnych przysług, oddawanych sprawie i ludziom, zjednały Wacławowi Świrkowskiemu zaufanie w szerokich sferach i u wielu ludzi czynu i idei. Ci, którzy mimo wszystko mieli go ciągle w jakimś niejasnym i nieokreślonym podejrzeniu, umilknąć w końcu musieli, przypisując mu cechy bardzo interesującego i ciekawego oryginała. Istotnie, Wacław na miano tego oryginała w zupełności zasługiwał, cokolwiekby o nim jeszcze można było powiedzieć.

Do interesującego tego człowieka zbliżył się zaraz po przybyciu z Litwy ksiądz Zygmunt i on to wprowadził go na zebranie do inżyniera Piotra.

W tej chwili przechadza się Świrkowski szerokimi krokami po pokoju i monologuje:

— Ta hołota nie przychodzi. Już piąta, a mieli być tutaj o czwartej trzydzieści. Sami sobie winni, jeżeli dostaną się w pułapkę.

Dobrze się stało, że ten pocziwy idiota, ksiądz Zygmunt, wprowadził mnie do drugiego pocziwego szaleńca, inżyniera Piotra. Inaczej moje bydełko znalazłoby się w prawdziwej suchej łaźni.

Gdyby ktoś z moich „najszczerzych przyjaciół” odkrył tę moją rolę, uznano by mnie za zwykłego kanalię, chociaż i teraz już wielu chciałoby mnie za takiego przedstawić. Ja generalnym hersztem bandytów! To istotnie dla tych ciemiegów, kierujących się nawet w najważniejszych sprawach życia i ducha tylko szablonem, byłoby nad możność wszelkiego rozumowania. Jedynie szaty rozedrzeć z oburzenia i przejść do porządku dziennego nad tego rodzaju człowiekiem. Oni nie mogą pojąć, że anarchizm ducha, że ustawiczna rozterka, w jakiej bytować trzeba tu na ziemi, prostą drogą prowadzi człowieka myśli do rozmaitych, dla niego samego dziwnych i często niezrozumiałych szprynców.

Filisterska moralność, cnota pochodząca z braku sposobności albo potrzeby do zbrodni, szablony, które zupełnie wyjałowiły i stłumiły siły ducha, te wszystkie marionetki partyjne i bezpartyjne, deklamujące, bohateryzujące lub płaczące, doprowadzają wprost do moralnego kataru. Rzygać się chce po prostu!

Małpy, nie ludzie! Znieść ich nie mogę. Jeden dach postawiłbym nad nimi i umieścił szyl: *Szpital dla paralityków ducha*.

Te moje zwierzęta w ludzkim ciele i ludzkim ubraniu. Te kanalie, dla których wyprawić bliźniego na drugi świat, to tyle znaczy, co dla kobiety wiejskiej zabicie wszy wyjętej z włosów dziecka podczas milej sjeisty na przyzbie w poobiednich godzinach. Te zgraje bandytów i łajdaków spod ciemnej gwiazdy są daleko bardziej interesujące, daleko bardziej są ludźmi.

Jakaż różnica między przeciętnym filistrem a moim bandytą? Pierwszy okrada bliźniego z ostatniego grosza w interesie, wydziera mu ostatni kęs chleba, żre się jeden z drugim o ten chleb, o każdy grosz, wyzyskuje jeden drugiego i zowie się moralnym, szlachetnym obywatelem, podporą dobrobytu i zamożności kraju. Mój bandyta kradnie z kieszeni portmonetkę, z prywatnej kasy ogniotrwałej lub banku czy innych instytucji pieniądze i nazywa się zbrodniarzem, szumowiną, człowiekiem wyjętym poza nawias stosunków towarzyskich i obyczajowych.

Pan, z dużym i pełnym brzuchem, kupuje sobie ubogą dziewczynę i ma szacunek, ale ona, sprzedając się lub jej pośrednik, który sprzedaż ułatwia, znowu godni potępienia i wzgardy. Gdzież tu równowaga pojęć w tych króliczych mózgach? Bandyta zabija od razu, jeśli coś lub ktoś stanie mu na drodze i jego bezpieczeństwu osobistemu zagrozi, więc godzien sądu, więzienia, stryczka, ale jednocześnie szacunkiem otaczać każą tych, którzy powoli zabijają np. zamykając nędzarzy we wstrętnych norach mieszkalnych, skazując ich na głód i trucie się alkoholem, na wegetację w ciemnocie i upodleniu.

Milsi mi są, po tysiąckroć milsi, owe kanalie, bandyci! Ot, gdyby mnie teraz usłyszał który z filarów zdawkowej i kurs mającej moralności, powiedziałby pełen zgrozy:

— Patrzcie, do jakiego zdziczenia doprowadza anarchia myśli, jacy obłąkańcy rodzą się pośród tych, którzy nie uznają tradycyjnych porządków!

— Bydło!

Dalszy potok monologowania przerwało Świrkowskiemu wejście trzech ludzi.

— Jesteście wreszcie?

— Ano, spóźnił się, a drudzy przyjdą jeszcze później, bo nie mieliśmy czasu — była robota.

— Wiem, ale tak długo? Jakże się wam udało?

— Przeczytacie w gazetach. Już tam pisarki pewno ładują artykuł pt. „Straszną zbrodnią”. Mają o czym pisać i zarobią na chleb te głodomory. Nie mieliby do garnka co wstawić, żeby człowiek od czasu do czasu jakiego porządnego kawału nie zrobił, jakiej dużej roboty nie machnął.

— I cóż, obławowaliście dobrze kabzę?

— A cóż to? — Za darmo by człowiek sobie ręce paskudził nad krztuszeniem tego chudziaka? — mówił pierwszy z bandytów.

— Więc zabiliście? — skrzywił się Świrkowski.

Nie lubił dowiadywać się takich rzeczy, obraz zabijania człowieka wstręt mu sprawiał, raziił jego zmysł estetyczny.

— Powiadam wam, nie było co do garści wziąć — przechwalał się cynicznie drugi zbrodniarz, przy czym zrobił ruch dłonią, ilustrujący wykonaną czynność.

— Ledwie ścisnąłem, ot, tak tylko trochę, delikatnie, a już jęzor wystawił jak pies, kiedy ziaje i charczeć zaczął...

— Lepiej było nie zabijać.

— A jakże! Może głaskać i pieścić go mieliśmy... A czego się stawiał, czego nie chciał oddać po dobroci? Jeszcze mu się zachciało wzywać pomocy!

— Jednego tylko zabiliście?

— Jednego. Inni byli mądrzejsi. Jak ino spenetrowali, co się święci, posiadało wszystko jak trusie, gębę rozdziawiło i patrzyło, jakeśmy garnęli złoto i papiery. Towarzysz Alfred stał i trzymał rewolwer gotowy do strzału, a my zwijaliśmy się, że aż tchu trudno było złapać. Później kazaliśmy mu przez pół godziny siedzieć cicho i nie ruszać się, zesłiliśmy spokojnie na dół i dorożką odjechaliliśmy tutaj.

— Trzech towarzyszy zostało w pobliżu na warcie, aby się przekonać, czy kanackom za prędko nie przyszła ochota ruszyć się za nami. Dlatego ich tu jeszcze nie ma, ale tylko ich patrzeć, bo im pilno do działów.

— Uf! Spracowaliśmy się setnie. Dajcie wódki, Wacławie. Wam to żyć, nie umierać! Herszt do gotowego.

— Milczeć, hołota! — wrzasnął zdenerwowany Wacław. — Milczeć albo poszli won! I więcej mi się nie pokazywać! Wy, parobki! Czy sami wiedzielibyście, dokąd iść i kiedy? Ja wam powiadam, beze mnie już dawno dyndalibyście na szubienicy.

— No, no, nie gniewajcie się zaraz! Cóż to, pożartować nawet nie wolno?

— Nie wolno! — irytował się herszt Świrkowski.

— Już dobrze, dobrze. Nie będziemy, tylko dajcie pić, bo w gardle wyschło jak w gnojnicach na upale.

— Nie mam dla was — wołał zły jeszcze herszt.

— Macie, macie. No, dajcie, zapijem na zgodę — przymilał się jak dziewczka bandyta.

Wacław, mruczając pod nosem, poszedł do szafki i wyjął gąsior z nalewką. Nalał cztery kieliszki, trącili się i wypili.

— Jak będą i tamci, powiem wam coś takiego, że wam ciarki pójda po skórze, od stóp do głowy.

— Nie żartujcie, panie starszy! Mówcie zaraz, jeżeli co ważnego.

— Zaczekajcie! Powiedziałem, jak tamci przyjdą.

— Ale co to znów nowego?

— To nowego, że gdyby nie ja, jutro, a może jeszcze dzisiaj krztusilibyście się tak jak ten przed chwilą.

— Ooo! — wyrwał się niesformułowany dźwięk z gardzieli bandytów. — Niech herszt nie robi sobie takich głupich szpasów z nami.

— Ja wam tu poszpasuję lepiej, jeśli wam nic nie powiem. Przypomnicie sobie dopiero wtedy, że to nie były żarty, kiedy wam ostatnia para wychodzić będzie z cielska, a nogi wierząć poczną w przedśmiertnych drgawkach.

Kłócili się, używając wyrażenń dobitnych, ze specjalnego słownika pochodzących, co im jednocześnie nie przeszkadzało „zalewać robaka” co chwilę napelnianymi kieliszkami.

— Dosyć już, dosyć! — wołał herszt Świrkowski. — Popijecie się, zanim jeszcze drudzy przyjdą, a tu zdrowego rozumu trzeba, bo namyślić się musicie i naradzić, co dalej robić.

Bandyci uznali słuszość ostrzeżenia i pod wpływem tajemniczych grózb swego herszta paniczny strach ogarniał ich coraz silniej. Znali go, że nie traci słów na darmo i skoro mówi o niebezpieczeństwie, to musi ono grozić istotnie.

Sposępniały im twarze i siedzieli w milczeniu. Upłynęło w ten sposób około pół godziny, gdy na schodach usłyszano kroki.

— Nasi idą! — zawołał jeden z bandytów.

Do pokoju wkroczyło znowu trzech ludzi: reszta bandy grasującej w Warszawie i dokonującej licznych, często krwawych, zawsze niesłychanie śmiałych napadów i grabieży.

— Co słyszać? — zapytał herszt.

— Dziękować Bogu, wszystko w porządku — odparł jeden z nowo przybyłych, mężczyzna rozrośły i barczysty jak tur, z miną okrutnika i kretyna zarazem. — Alfred tak tych baranów przeraził wyciągniętym rewolwerem, że siedzą spokojnie chyba jeszcze do tej pory. Przez całe pół godziny nikt z domu nie wyszedł.

— A teraz rachować się i dzielić! — krzyknął drugi.

Wyłożono z kieszeni pieniądze. Okazało się, że łup był wspaniały: z górą 1 000 rubli w gotówce. Podzielili się, przy czym stwierdzić trzeba wielką zgodność, a nawet przyzwoitość koleżeńsko-towarzyską, rzadko spotykaną u tzw. ludzi „porządnych”, którzy razem prowadzą interesy i dzielą się spółkowymi zyskami. Gdy dokonano podziału, ozwał się ów barczysty:

— Widzę, żeście tu nie próżnowali. Nalewka jest, kieliszki są, toć i my przecież nie od macochy.

Przepili.

— Ale coście wy tacy osowiali, jakby wam kury proso wyjadły? Nasz herszt także jakoś patrzy tak dziwnie, jak dziwka, kiedy pierwszy raz chłop od niej odejdzie i dobrze nie wie, co się z nią stało?

Gruby żart nie wywołał wrażenia, jakiego się spodziewał bandyta. Śmiał się sam, pokazując zdrowe zęby, wtórowali mu dwaj z nim razem przybyli, ale Świrkowski i reszta towarzystwa zachowała się obojętnie.

— Co się to stało? Czy wam może żal tego cherlaka? No, to dajcie na mszę za jego duszę. Bez spowiedzi wyprawiliśmy go na tamten świat, więc w ogniu

pewno się teraz smaży. Ale ksiądz od św. Aleksandra i na to poradzi, tylko że trudniejsza sprawa z takim, co bez paszportu chce do nieba, więc musicie dać co najmniej 5 rubli. Za mniejsze pieniądze słabsza będzie modlitwa i słabsza nadzieja odpuszczenia grzechów.

Cóż?! Żal wam grosza? Wstyďte się! To przecież dla proboszcza, a zresztą on w procencie i za wasze dusze pomodli się. To dobry interes.

— Nie żartujcie, Józefie! — ozwał się Alfred. — Tu nie do żartów podobno, herszt ma nam coś wyjawić, coś złego...

— Ano, niech gada. Słuchamy.

Wacław powtórzył wszystko szczegółowo, co słyszał na zebraniu u inżyniera Piotra.

— A psiekrwie! — zawołał Alfred. — Czego im się to zachciewa?! Do skóry nam się dobrać mają ochotę.

— Niedoczekanie ich...

— Zadźgamy wszystkich, to drugi raz nie poważy się nikt nastawać na nasze życie.

— Nie tak od razu. I oni nie głupcy. Musicie działać bardzo ostrożnie i sprytnie. Inaczej nie dacie rady, bo ich jest więcej — zauważył ostrzegająco herszt Wacław.

— A cóż to? Nie znajdziemy pomocników? Trza nam tylko udać się do „tune-lu” na Wolę, a na gwizdnięcie będzie nas taka chmara, że ich czapkami zakryć możemy.

— Po co? To zła rada. Zrobi się z tego dużo krzyku, dowiedzą się pająki, pójdzie śledztwo, przycapią którego, ten zasypie i może być brzydki interes — przedkładał Świrkowski.

— A jakżeż inaczej robić? — pytali wszyscy. — Od tego wy hersztem jesteście, żebyście radzili, wy macie głowę, gadajcie. Pokażcie, co umiecie...

— Milczeć!

— No, mówcie, panie herszcie! — wołano.

— Trzeba inżyniera Piotra i robotnika Hieronima zwabić na jakieś odludne miejsce, pochwycić i schować. Zabijać ich byłoby niebezpiecznie. Lepiej wsadzić do jakiej piwnicy, usta zakneblować, aby nie krzyczeli, związać im ręce i nogi, niech siedzą.

— Doskonale! Hurra, pan Wacław! Hurra, nasz herszt! To ci głowa nie od parady! — wołano i porwano na ręce Świrkowskiego, obnosząc go w triumfie po mieszkaniu.

— Dość już, dość! — krzychał herszt. — To jeszcze nie wszystko! Słuchać dalej!

— Słuchamy, słuchamy.

— Ani Piotrowi, ani Hieronimowi nie może stać się żadna, najmniejsza nawet krzywda. Niech im włos z głowy nie spadnie, to byłoby źle, rozumiecie?

— Dlaczego? Nic skapować nie możemy — odpowiadano.

— Na mój rozum — odezwał się Józef — lepiej byłoby zadławić tych alegantów, bo wtedy moglibyśmy spać spokojnie.

— Głupcy jesteście. Dopokąd oni żyją i wy jesteście pewni swojej głowy. Jeżeli im stałoby się coś złego, zemsta ich towarzyszy dosięgłaby was, choćbyście się w myśnię dziurę schowali.

— Ale cóż my z nimi zrobimy? Przecież całe życie ich trzymać w tym więzieniu nie można. Zresztą jeszcze gorzej będzie, skoro ich szukać poczną, bo wtedy i nas z większą zaciętością śledzić będą i tępić. Zdaje mi się, że herszt coś przemądrzył i przełajnował w swojej kalkulacji — odezwał się znowu Józef, najinteligentniejszy z sześciu bandytów.

— Oj, głowo, ty głowo! — drwił Świrkowski. — Ślepy zobaczyłby, że nie na to schowacie Piotra i Hieronima, aby czekać, aż ich znajdą.

— A na co?

— Na to, by natychmiast dać znać do ich organizacji, że żyją i są w waszych rękach, że zostaną wypuszczeni na wolność, skoro was zostawią w spokoju. Umrą zaś, jeżeli komukolwiek z was chociaż jeden włos z głowy spadnie.

— A to Bismarck, ten nasz herszt! — zachwycano się ogólnie oryginalnym i sprytnym pomysłem.

— Pamiętajcie, że to, na co się ważycie, jest bardzo ryzykowne, że możecie się jeszcze gorzej wsypać, jeżeli nie będziecie umieli dobrze chodzić około interesu, ale innej rady ja dla was nie widzę wobec tego, że was właśnie mają na oku i gdziekolwiek się ruszycie, po piętach wam deptać będą,

— Prawda, prawda! — wołano. — Trzeba tak zrobić, jak herszt radzi. Innej rady nie ma.

— Czy macie taki dom i taką piwnicę?

— Mamy.

— Gdzie?

— Za Belwederską rogatką. Na tyłach ulicy Parkowej, już w polach, mieszka Gruba Mańka, kochanka Józefa. Tam często schodziliśmy się dla podziału łupu i tam chowaliśmy rozmaite pakunki. Wejście do piwnicy prowadzi prosto z sieni. Mieszkanie Mańki jest samo w sobie, nie ma żadnych sąsiadów, nikt nie podpatrzy ani nie usłyszy. Choćby się darli z początku jaśni panowie aleganty — opowiadał Alfred.

— Tak. U Mańki będzie dobrze, tylko muszę babę uprzedzić, że będzie miała gości, aby się przygotowała na ich godne przyjęcie. Niech włoży czystą koszulę i majtki z koronkami, żeby się im spodobała — śmiał się zadowolony Józef.

— Ale jak zwabić jasnych panów na tę wizytę? Nie zechcą może tak od razu czynić tyle zaszczytu naszej Mańce i nam. Ceregielować się będą pewno — dowcipkowano. — Trzeba ich mocno prosić, aż nam sił starczy.

— Co do zwabienia, to rzecz łatwa — zauważył Świrkowski.

— Słuchamy, mówcie.

— Alfred i Józef pójdą do restauracji na Chmielną. Tam na pewno znajdą się także Piotr z Hieronimem. Zaproponują wam pewną robotę, prosząc, abyście sobie dobrali jeszcze kilku towarzyszy. W ten sposób będą chcieli zwabić was w pułapkę. Wy udajcie, że macie ochotę, ale że musicie się jeszcze porozumieć ze swoimi, czy i oni zechcą, bo jeżeliby ci mieli właśnie jakie inne zajęcie, musielibyście poszukać drugih.

— Bardzo dobrze, ale dlaczego tylko we dwóch mamy być na Chmielnej, przecież lepiej byłoby od razu ubić interes, nie rozkładając go na raty.

— Słuchajcie tylko i wykonujcie to, co wam powiem, bo silniejsi jesteście w rękach niż w głowie. Cóż z tego zawiązałoby się, gdybyście od razu wszystko skończyli? Piotr i Hieronim poszliby do swoich i tyle widzielibyście ich, gdy tymczasem wy musicie ich złapać tak, aby się nawet nie spostrzegli.

— Prawda.

— Otóż reszta bandy czekać będzie w mieszkaniu Grubej Mańki, a wy zaprzyjaźnicie się tymczasem z Piotrem i Hieronimem. Wypijecie po kilka kieliszków i po przyjacielsku pójdziecie lub pojedziecie na ulicę Parkową. Jak już będą w domu Mańki, łatwo sobie z nimi dacie radę.

— O, to fraszka.

— Doskonale obmyślane! — zawołał z zapalem Alfred. — Do roboty zatem, do roboty! A to kawał im wyszykujemy, że się im odechce na drugi raz naszej skóry. Nie dla takich szewców ona przeznaczona i nie zaraz jeszcze będą ją darli. Złamięcie wy jeszcze niejednego zęba wprzód, zanim nas dostaniecie do swojej garści. Ano, potańcujemy trochę, tylko nóg nie połamcie, wy eleganty.

I znowu zajrzeli do gąsiora z nalewką, aby oblać plan Wacława Świrskiego, który z każdym dniem rósł w powagę u swoich podwładnych, coraz bardziej stając się im potrzebnym.

— Wicie, panie herszcie, że mając taką głowę jako kierownika, możemy spać spokojnie i rozszerzyć swoją organizację — marzył głośno Józef. — Tyle pieniędzy wala się po świecie, ludzie nie umieją z nich korzystać, że tylko schylać się i brać je pełną garścią, a wnet człowiek się dorobi i będzie mógł sobie spokojnie odpocząć na stare lata albo i wcześniej jeszcze stanie się porządnym obywatelem, otoczonym szacunkiem rozmaitych darmożjadów, którzy będą pożyczać pieniądze, pić, hulać i bawić się z nami, chwalić w oczy nasz rozum, dżentelmenerię, a poza oczy wymyślać na nas rozmaite głupstwa. Tylko trzeba liczbę członków bandy powiększyć, bo z tymi siłami, co są, nie na wszystko ważyć się można. Prawda, panie herszcie?

— Prawda, prawda, ale „przed niewodem ryb nie łówcie”, bo nie wiadomo, czy to już nie początek końca — odrzekł Świrski. — Dzisiaj Piotr i Hieronim oraz ich organizacja, jutro przyjdą inni jacy ludzie i schwytają was...

— Nie, nie, nie! Do tego nie dojdzie. Wierzę w to, że nas zawsze osłonicie swoim sprytem, panie Wacławie.

— Będę się starał i mam nadzieję — odparł mile pogłaskany w ambicji herszt. — Tymczasem idźcie już i sprawcie mi się tym razem dobrze. Zobaczymy, czy macie spryt. Będzie to wasz egzamin, a jeżeli wypadnie dobrze, pomyślę dla was o rzeczach większej wagi, o porządnym robotach, na których zarobimy ładne tysiące rubli. Mam już coś takiego na widoku, traktuję z dyrektorem pewnej instytucji finansowej, któremu potrzebni są ludzie zdolni do wszystkiego, ale nie wiem jeszcze, czy mogę was rekomendować, czy można z wami pójść na ten interes, bo jest on delikatny bardzo.

— Przekonacie się, panie herszcie, że my jesteśmy do wszystkiego: i do tańca, i do różańca nadamy się doskonale.

Bandyci wyszli, aby przygotować i nastawić sieci na Piotra i Hieronima, stosując się ściśle do planu ułożonego przez Świrковского.

Dwóch z bandytów udało się do knajpy na Chmielną, inni podążyli za rogatek Belwederską, aby przygotować wszystko w mieszkaniu Grubej Mańki.

Świrkowski pozostał sam i znowu podług zwyczaju począł monologować:

— Torby sieczki to wszystko niewarte! Stanowczo za późno lub za wcześniej urodziłem się. Gdyby to były czasy rycerskie, stworzyłbym jaką porządną watahę z takich zuchów i uganiałbym na kresach, łupiąc dwory, gwałcąc ekonomki i drobne szlachcianeczki, rozbijając tatarskie i tureckie haremy. Stepowy wicher, stepowy nastrój, cichy, tajemniczy, rzewny, kurhany, strachy i dziwy, stepowa swoboda, kondemnata i szubienica w grodzie — oto życie godne człowieka, którego natura nie stworzyła geniuszem, a wlała w niego tyle cech geniuszu.

Gdyby znowu żyć w czasach, kiedy wreszcie rozum zapanuje, a szczerść będzie jedyną dźwignią życiową i jedynym regulatorem stosunków ludzkich, również byłoby pół biedy... Ale czy przyjdą kiedy takie czasy? Bóg to wie.

Istnieć i wegetować w obecnych warunkach, w tej atmosferze dusznej od kłamstwa i obłudy, nie mieć wprost czym oddychać moralnie, za jedyny cel wysiłków traktować rubla, to straszne. Za rubla kupować wstęp między ludzi, szacunek, miłość, dochodzić do przekonania, że bycie kanalią jest szczytem, praktyczność alfą i omegą, a zarazem koroną wszystkiego, że posiadłszy jeszcze bezczelność ma się zapewnione powodzenie. Stwierdzać to wszystko codziennie to katusza, tym straszniejsza katusza, że nie ma na nią rady, nie ma lekarstwa, że albo trzeba się z tymi stosunkami godzić, albo nie istnieć...

A jednak istnieć trzeba, bo świat jest piękny, bo taki czar wieje od pól, od lasów, od drzew, od kwiatów, że nawet w kłamstwo chce się wierzyć, nawet głupotę chce się uważać za rozum, nawet kupiony pocałunek, zapłacona miłość i cześć ludzka staje się czymś droгим i miłym.

Wszystko jedno, dziś bandyci, jutro inne kanale służyć mi muszą. Niech się leje krew, niechaj płyną łzy głupców. Nie będę na nie patrzył, nie będę ich widział, przestaną więc czy nie, zacząć istnieć dla mnie, a świat mój to ja, prawdą moją i ukochaniem moim ułuda, piękny miraż ducha, wreszcie on sam, duch, którego tchnę we wszystko, do czego się zbliżę, aby je pojąć i swoim uczynić.

5. Strajk w fabryce — zamach na dyrektora

W fabryce starego Szulca, przybysza z Saksonii, który, jak tylu innych, na naszym niedołęstwie dorobił się milionowej fortuny, trwa strajk. Robotnicy od kilku dni nie przyszli do pracy.

W fabryce tej Piotr pracował jako inżynier. Posiadając pełne zaufanie i miłość robotników, szanowany był jednocześnie przez właściciela fabryki za nieposzłakowany charakter oraz wielkie zdolności techniczno-fachowe, którymi przysparzał przedsiębiorstwu znacznych korzyści.

Skutkiem tych właściwości Piotr stał się obecnie osobistością kierującą losami strajku, tym więcej, że robotnicy wybrali go za jednego z delegatów, upoważnionych do prowadzenia układów o dalszą pracę i jej warunki. Lista warunków była długa, lecz streszczała się głównie w żądaniach podwyższenia zarobku o 25 procent, ludzkiego obchodzenia się z pracującymi, skrócenia dnia roboczego o półtorej godziny, usunięcia znienawidzonego dyrektora oraz zniesienia hańbiącej osobistej rewizji.

Przed fabryką tłum ludzi. Furta wejściowa zamknięta, olbrzymie cielsko zabudowań fabrycznych, zwykle ruchliwe, dziś stoi ponure, milczące, jak martwe. Z komina nie płynie szary dym ku niebu jako widomy świadek wysiłków ludzkich i krwawego znoju dla chleba, maszyny nie huczą i nie warczą, nie zagłuszają, jak zwykle, westchnień ludzkich, gdy im trud zbyt cięży, gdy ich niedola zbyt silnie przygniecie.

Na ulicy gwar z każdą chwilą potężnieje i rośnie. Od czasu do czasu słychać grube przekleństwo. Jak fale morza w momencie burzy namiętności ludzkie podnoszą się, atmosfera staje się coraz gorętsza.

— Towarzysze! Zburzyć to gniazdo krzywdzicieli naszych! Dalej, do kamieni! Bomby tu dawać! — wołano.

Piotr podtrzymany rękami robotników otaczających go zwartą masą dokoła, wskoczył na pryzmę kamieni szosowych i począł przemawiać. Przy pierwszych jego słowach uciszyło się, jakby anioł milczenia powiał skrzydłami nad tłumem.

Towarzysze! — wołał inżynier doniosłym głosem. — Uspokójcie się przede wszystkim. Sprawę swoją powierzyliście wybranym delegatom, do grona których i ja mam zaszczyt należeć. Teraz my zaczniemy działać, a powodzenie naszej misji bardzo od waszego zachowania się zależy. Niechaj nie znajdzie się między nami człowiek małoduszny, stójcie twardo na zajętych stanowiskach, ale stójcie jak ludzie dojrzały, walczący legalnie i uczciwie o los swoich rodzin, o chleb dla głodnych dzieci. Niech waszej ręki nie skała zbrodnia, niech duszy waszej nie zbruka zaprzaństwo i zdrada sprawy ogółu dla osobistej korzyści! Żądacie rzeczy słuszych.

Im dłużej mówił Piotr, tym silniej się zapalał, głos jego nabierał metalicznego dźwięku, oko gorzało fosforycznym blaskiem, porywał swoją wymowę, siłą argumentacji, znajomością doli, a nade wszystko duszy robotników.

Gdy skończył, grom oklasków świadczył o uznaniu dla mówcy i dla człowieka. Silne dłonie pochwyciły go i uniosły w powietrze.

— Niech żyje inżynier Piotr! — wołano. — On nam nie da zrobić krzywdy.

— Do kancelarii delegaci! My chcemy zakończyć strajk, nam pilno do pracy, bo ona naszą chlubą i żywicielką. Zobaczymy, czy właściciel zechce także, byśmy wrócili, aby znowu ruszyły maszyny.

Okna kantoru fabrycznego wychodziły na ulicę, więc głosy wzburzonych robotników słyszano tam zupełnie wyraźnie. Za biurkiem siedział stary Szulc, nie tracąc jowialnej miny człowieka pewnego siebie i wiedzącego z góry, co uczyni oraz błąd ze złości i strachu dyrektor, inżynier Maks Müller, z pochodzenia Niemiec, lecz mówiący dobrze po polsku, zaaklimatyzowany zupełnie w Warszawie, dzięki znanej plemieniu teutońskiemu łatwości przystosowywania się do każdych warunków etnograficznych, jeżeli to przystosowanie jest potrzebne i przynosi zysk materialny.

— Panie Szulc! — przemówił Müller. — Sądzę, że nie ustąpimy przed tą hołotą. Inżyniera Piotra należałoby dla przykładu usunąć. To znany i niebezpieczny buntownik. Przewraca w głowach robotnikom. Im się zdaje, że fabryka dla nich, a nie oni dla fabryki. Gdyby pan spełnił ich żądania, dochody fabryczne zmniejszyłyby się znacznie. Zresztą dziś żądają tyle, a jutro gotowi postawić nowe żądania. Apetyty tych drabów rosną jak na drożdżach i nie wiadomo, do czego by doszło, gdybyśmy chcieli liczyć się z takimi półgłówkami jak Piotr — historycznie znanym typem demagoga.

Stary Szulc uśmiechał się w czasie przemówienia dyrektora i milczał. Pozwolił mu się wygadać.

— Panie Müller, co powiedziałbyś na to, gdybym spełnił żądania robotników i podwyższył im płacę? Zresztą trzeba porozumieć się z ich delegatami. Kocham moją fabrykę i nie chcę, aby była nieczynna. Mniejsza o to, że dochody moje się zmniejszą. Zawsze starczy jeszcze na życie.

— Zrobi szanowny pan, co zechce, ja tylko wyrażam swoją opinię.

— Bardzo dziękuję, panie dyrektorze! Każ pan otworzyć furtkę. Niech wejdą delegaci. Chcę z nimi osobiście pomówić.

Müller posłuszny wyszedł, aby wydać rozporządzenie otwarcia furty. Kiedy wszedł z powrotem do kantoru, dały się słyszeć przez okno gromkie okrzyki:

— Precz z Müllerem!

— Precz!

— To gadzina! Przez niego cierpimy. To nasz wróg. On podszczuwa na nas fabrykanta.

— Taczkami go wywieziemy na śmieci, jeżeli nie ustąpi dobrowolnie.

— Dość już naszej krzywdy!

Dyrektor zbłądł jak chusta.

— Słyszysz pan, panie Szulc? To za wierną służbę dla interesu, dla pana.

— Słyszę — odpowiedział fabrykant, nie tracąc ani na chwilę swej jowialnej miny.

— I cóż pan na to?

— Ano nic. Nie kochają pana, dyrektorze...

— Zatelefonuję po policję.

Nie domówił tych słów, gdy delegaci weszli do kantoru, a na ich czele Piotr.

— Nie uczynisz pan tego — zawołał i chwycił za rękę dyrektora, który już brał za słuchawkę. — Przychodzimy z różdżką oliwną pokoju. Nie pragniemy walki, którą panowie chcieć ten sposób wzniecić, dyrektorze, panie Müller.

— Precz stąd! Wy chcecie rządzić, warunki narzucać, korzystając ze słabości i dobroci pana Szulca? Niedoczekanie wasze! Najpierw powrócić do pracy, zdać się na łaskę, a potem czekać, co z wami postanowi właściciel fabryki. Podniesie wam coś z łaski — to jego rzecz. Nie mam prawa mieszać się do tego. Nie moja kieszeń na tym ucierpi, ale nie zniosę niesubordynacji, dopokąd jestem. Do roboty, kanalie!

Szulc milczał i uśmiechał się niezmiennie, zaś w grupie delegatów zakotłowało jak w ulu po tych słowach dyrektora. Jeden z robotników przyskoczył naprzód i czerwony z oburzenia, straciwszy zupełnie panowanie nad sobą, wrzasnął:

— Psie! Nie będziesz więcej gryzł!

Wydobył z kieszeni rewolwer i skierował w pierś Müllera.

— Niech będzie koniec twój, bydlę!

Rozległ się odgłos wystrzału, lecz Müller nie był raniony. Kula utkwiała głęboko w drewnianym parapecie okna. Piotr, błąd jak gdyby wszystka krew spłynęła mu z twarzy, stał obok robotnika, któremu wczas zdolał podbić rękę w górę i w ten sposób przede wszystkim zapobiec rozlewowi krwi. Równocześnie, prawie po skierowaniu strzału w pustą przestrzeń, inżynier schwycił dłoń strzelającego i w jednej chwili wyrwał mu rewolwer dzięki herkulesowej swej sile, którą znali wszyscy robotnicy, a która imponowała im nieledwie w tym samym stopniu, co rozum jego i serce pełne poświęcenia.

— Dyrektorze! Nie igraj pan z ludzkimi nerwami. Umknąłeś pan tylko przypadkowo katastrofie, a człowiek ten o mało nie stał się zbrodniarzem, o mało pańska krew nie spadła na jego sumienie. A wszystko to dzięki obopólnej zapamiętałości, dzięki temu, że nie chcecie ludzkich spraw załatwiać i omawiać po ludzku. Niechaj smutny ten fakt, jakiego byliśmy, niestety, naoczniymi widzami, stanie się dla pana przestrogą. Tymczasem zaś puśćmy go w niepamięć, aby nie zaognić jeszcze bardziej rany, która krwawi ustawicznie skutkiem braku taktu we wzajemnych stosunkach pracodawców i robotników.

— Czy to kazanie, panie inżynierze? — zapytał nadrabiając miną Müllera.

— Wszystko mi jedno, jak pan chcesz słowa moje pojmować. Spełniam tylko obowiązek.

Kiedy mówił Piotr, wbiegła do kantoru córka Szulca, znana w narzeczu robotników „Spaśna Lolka”. Prerażona wystrzałem, drżąc o życie ojca, którego

kochała i u którego była jedynaczką, pędziła co sił, toteż tchu nie mogła złapać, tak była zdyszana. Do zmęczenia dziewczyny przyczyniała się jej korpulencja, przechodząca istotnie zwykłą miarę w młodzieńczym wieku, a zakrawająca już na tuszę mężatki.

— Lola! Tutaj? Po co? — przemówił po raz pierwszy fabrykant Szulc.

— Ojcze! Ty żyjesz i nic ci się nie stało? Nie jesteś raniony?

— Uspokój się dziecko! Nie do mnie strzelali. To był tylko przypadkowy wystrzał. Głupstwo, nic więcej. Wracaj do siebie. To nie dla ciebie miejsce...

— Nie pójdę, ojcze, nie ruszę się stąd, choćbyś mnie wypędzał. Jeżeli wyrzucisz, wrócę — wołała zdenerwowana dziewczyna, a zobaczywszy Piotra, którego od dawna już знаła i obdarzała względami, zwróciła się do niego — Panie inżynierze! Co się tu dzieje? Na miłość Boską, ratuj pan mojego ojca! Niechaj biorą wszystko, tylko niech jemu krzywdy nie robią. Panie Piotrze! Pan jesteś taki szlachetny człowiek...

Złożyła ręce jak do modlitwy, prosząc o zachowanie życia ojca. Włosy jej się rozwiały na ramiona rannego negliżyka, w którym wbiegła, rękawy odsłaniały okrągłe, białe, jak utoczone gałeczki, ręce, a spod niedopiętych guzików gorsu widać było ciało różowe, krwiste, piersi pełne, dziewicze, twarde, marmurowe. W takim stanie podniecenia nerwowego tworzyła Lola naprawdę piękny obraz kobiety.

Piotr, słaby na wdzięki płci drugiej jak pokaźna większość mężczyzn, mimo powagi chwili, nie mógł zapanować nad nagłym seksualnym wrażeniem i począł się jąkać, dając odpowiedź uspokajającą.

— No, zostań już, zostań, ty nieznośna dziewczyno, skoro jesteś taką kochającą córką — odezwał się wzruszony istotnie Szulc. — Panie Piotrze, racz przedłożyć żądania robotników.

Piotr odczytał warunki, pod jakimi zdecydowano się powrócić do pracy.

— Zgódź się, ojcze, zgódź — prosiła Lola. — Masz dosyć pieniędzy. Zresztą, po co ci one? Wystarczy nam do śmierci to, co mamy.

— Cóż mam robić?! Słyszysz pan, panie inżynierze, córka moja, jedyna dziewczynka mego mienia, każe przyjąć warunki, więc przyjmuję. Jedno tylko zastrzeżenie: na usunięcie dyrektora zgodzić się nie mogę stanowczo. Pan Müller pojedzie na trzymiesięczny urlop, a jeżeli uzna sam, że wytworzyły się zbyt przykre stosunki pomiędzy nim a robotnikami, skutkiem czego sam zechce fabrykę opuścić, wówczas wypłacę mu odszkodowanie i pożegnaj go z żalem.

— To znaczy, panie Szulc, że się pan pozbywasz mnie w sposób delikatny i polityczny. Pan inżynier będzie zadowolony. Ustępuję panu chętnie, panie demagogu i rad zobaczyć nowe rządy w fabryce, które doprowadzą do ruiny.

— Gdybym nie cenił wyżej spokoju setek ludzi, gdyby mi nie chodziło o załatwienie sprawy, pożałowałbyś, panie Müller, słów swoich. Zmusiłbym cię z ławością do zadławienia się kalumnią i podłą insynuacją, ale w tej chwili stoję ponad nią. Możesz pan sobie myśleć i mówić, co chcesz i jak chcesz, a nie

wyprowadzisz mnie z równowagi, dopokąd nie skończę sprawy zażegnania strajku. Później gotów jestem do rozpraw osobistych, jakkolwiek również niechętnie reaguję na zaczepki osobiste i uczyć rozumu takich, jak pan, ludzi.

Dyrektor Müller, zirytowany i zgnębiony, wyszedł do drugiego pokoju. Pod jego nieobecność fabrykant Szulc i delegaci zawarli układy i Piotr wyszedł uradowany, aby obwieścić o pomyślnym wyniku rokowań.

— Niech żyje inżynier! Niech żyje pan Szulc! — brzmiały okrzyki.

Wówczas jeden z robotników, należących do delegatów strajkowych, w te odezwał się słowa:

— Panie Szulc! Nie stracisz pan nic na udzielonej poprawie naszej doli. Spokojni o los naszych rodzin pracować będziemy wydatniej. Bliska przyszłość o tym pana najlepiej przekona.

— Mam nadzieję i wierzę, a palacze niech idą rozpalać ogniska, by fabryka jutro znowu ruszyła normalnie.

— Ruszy.

Teraz dopiero Lola spostrzegła krzyczącą niedokładność swojej garderoby i zawstydzona uciekła do mieszkania. Stary Szulc wyszedł, aby spotkać Piotra, z którym chciał pomówić o sprawach osobistych i fabrycznych, lecz inżyniera nie było nigdzie w obejściu. Prawdopodobnie wraz z robotnikami podążył do miasta.

6. Nie oprzesz się kobiecie

Dyrektor Müller zdał czynności w ręce właściciela fabryki Szulca i przyjął trzy-miesięczny przymusowy urlop, z którego miał więcej nie wrócić. Fabryka po tygodniowym strajku ruszyła. Inżynier Piotr stanął na posterunku, zawsze jednakowo energiczny, ruchliwy, czynny, wymagający, a zarazem sprawiedliwy. Robotnicy, kochając go, jednocześnie uznawali w nim kierownika, słuchali i spełniali chętnie każde jego rozporządzenie.

Już przed strajkiem opowiadali ludzie półgębkiem, że „Spaśna Lola” leci na inżyniera, bo oczu ciekawych nie uszły spojrzenia, jakimi obrzucała go, ilekroć się spotkali. Spotkania te były jakoś częstsze, niż normalnie mogły być przypadkowe zetknięcia dorosłej córki właściciela fabryki z inżynierem prowadzącym dział mechaniczny. Lola umiała znaleźć sobie zawsze jakiś specjalny interes, aby przyjść do fabryki. To szukała ojca, który właśnie wtedy nie był obecny, to chciała zobaczyć pewną osobiłość, nawiasem mówiąc zupełnie nieosobliwą, sto razy przez nią widzianą i nieprzedstawiającą dla panny z jej sfery żadnego zaciekawienia. Słowem pozory uzasadniające przebywanie jej w fabryce były wprost naiwne i „szydło z worka” wychodziło na każdym kroku.

Spotkawszy Piotra, rumieniła się aż po uszy, witając go dłużej niż potrzeba, zatrzymywała dłoń jego w swojej drobnej, ale pulchnej rączce, starała się prowadzić z nim rozmowy, przeciągając je nadmiernie, tak, że inżynier był często

w kłopotcie, bo mu to przeszkadzało w czynnościach, narzucała mu się wprost ze swoją osobą, chociaż młody człowiek bynajmniej nie miał ochoty uskarżać się na towarzystwo. Przeciwnie, zauważono i to także, iż Piotr bardzo chętnie przedstawiał w towarzystwie Loli, a w oczach jego pojawiały się takie błyski, ilekroć ją zobaczył, jakich nigdy nie miał kiedy indziej.

Robotnicy mawiali:

— A niech im tam Bóg da jak najlepiej, skoro się coś między nimi święci. I nam się pewno poprawi dola, jak tylko Piotr obejmie fabrykę.

Inżynier o tej ewentualności nawet nie myślał. Wrażenie, jakie wywierała na nim ładna dziewczyna, było mimowolne i mimowiedne, dotychczas jednak nie pochwycił się jeszcze nigdy na gorącym uczynku dalej idących pożądań lub marzeń. Nie miał przede wszystkim i czasu, cały oddany zawodowej pracy, i idei. Nie pozwoliłaby mu na to duma osobista, rozumiał bowiem, że w istniejącym układzie społecznym od córki właściciela fabryki, dziedziczki milionowej fortuny, dzieli go przepaść ogromna. Wreszcie nie uznawał instytucji małżeństwa w jej przestarzałej formie, wyrażał tyle razy przy sposobności stosownych dysput ostrą krytykę komedii mieszczańskiej, połączonej z zawieraniem małżeństwa oraz komedii kościelnego obrządku, który sprzęga raz na zawsze ludzi, rozchodzących się często ze sobą natychmiast prawie po opuszczeniu kościoła.

— Prawo takie jest potwornym bezprawiem, bo nie opiera się na przyrodzonych konsekwencjach i podstawach, ale jest sztucznym wytworem ludzkiej próżności — mawiał.

W tych warunkach nie można było przypuszczać nawet na chwilę, aby Piotr chciał wystąpić w roli zabiegającego o względy panny, wychowanej w dostatkach oraz posiadającej z natury swego wychowania i pozycji towarzyskiej wprost odmienny kąt patrzenia na życie.

Na drugi dzień po uruchomieniu fabryki Piotr jak zwykle pracował w swoim oddziale maszynowym, gdy zjawił się woźny z kantoru, prosząc w imieniu Szulca, aby inżynier zechciał się pofatygować do kantoru w bardzo ważnej sprawie. Podążył na wezwanie.

— Przepraszam, że pana trudziłem, kochany panie Piotrze — odezwał się uprzejmie właściciel fabryki. — Mam do pana dwie bardzo ważne prośby. Jedną osobistą, drugą w imieniu mojej córki.

— Z przyjemnością służę i czekam na zlecenie — odparł z przyjaznym uśmiechem inżynier.

— Otóż, panie inżynierze, z góry zastrzegam, że nie możesz staremu odmawiać.

— Będę się starał, ale o cóż chodzi?

— Müllera wyrzuciliście i zostałem sam. Czynności jest bardzo dużo i nie poradzę im bez pomocy. Musisz pan zatem podjąć się zastępstwa dyrektora.

— Zaszczyt mi to przynosi, lecz przyjąć nie mogę.

— Dlaczego?

— Powiedziano by, że należąc do przeciwników dyrektora, działałem we własnym interesie.

— Przewidywałem skrupuły pańskie, lecz są one nieuzasadnione. Nie obejmuje pan posady pana Müllera, lecz jego zastępstwo. Nigdzie nie jest powiedziane, że Müller nie wróci lub że na jego miejsce nie zostanie zaangażowany w właściwej porze kto inny. Ale o dyrektora fabryki nie jest tak łatwo. Z rękawa nie wytrząsa się takich ludzi, gdy tymczasem fabryka nie może być pozbawiona fachowego i zdolnego kierownika. Pomiędzy urzędnikami tylko pana uważam za odpowiedniego do tych czynności, więc nie masz pan prawa, inżynierze, odmawiać. Jest to zresztą pański obowiązek. Nawarzyłeś pan piwa, prowadząc strajk, pomóż więc teraz pić to piwo — uśmiechał się Szulc.

— Za zaufanie dziękuję. Argumenty pańskie są do pewnego stopnia słuszne, więc przez trzy miesiące będę spełniał zastępczo czynności pana Müllera, jeżeli taka jest pańska wola. Co ludzie powiedzą, nic mnie to nie obchodzi, ale jedno zastrzeżenie...

— Słucham i z góry się zgadzam, kochany panie.

— Pensję, za zastępstwo mi przypadającą, przeznaczam na kasę zapomogową dla robotników i ich rodzin. Niech to będzie pierwsza cegiełka do stworzenia instytucji bardzo potrzebnej i pożytecznej. W dalszym ciągu sami robotnicy pamiętać będą o jej rozwoju, a właściciele fabryk również przyczyniać się powinni do zaopatrywania funduszów kasy.

— Myśl piękna i szlachetna. Składam na ten cel kwotę, równającą się wysokości pańskiej ofiary.

— To nie ofiara, panie Szulc, to obowiązek.

— Niech i tak będzie. My starzy nigdy nie zrozumiemy was, młodych. Dawniej robotnik nie zarabiał nawet połowy tego, co obecnie i było dobrze!

— Tak, ale dawniej wszystkie produkty były grubo tańsze, wreszcie podwyższenie się stopnia kultury u ogółu podnosi jednocześnie potrzeby i wymagania ogółu.

— No, mniejsza już o to. Nie chcę wszczynać z panem społeczno-ekonomicznej dysputy, bo masz zawsze, kochany inżynierze, tysiąc argumentów. Z jednego tylko zdaję sobie dokładnie sprawę. Wy, młodzi, reprezentujecie zacier fermentu, potrzebny do wszelkiego ewolucyjnego pochodzenia społeczeństwa naprzód. Bez was ludzkość zakrzepłaby w pewnych formach. Ani sztuka, ani umiejętności nie ulepszałyby się, przeciwnie, doszłyby do zaniku i upadku, my zaś starzy jesteśmy tym ciężkim balastem, który nie pozwala, aby lot waszego postępu stał się zbyt górny i podniebny, abyście nie zerwali z ziemią, kiedy ona jest waszą żywicielką i bez niej nie obeszlibyście się nigdy, nie moglibyście czerpać sił do lotu.

— A więc porozumieliśmy się. Cieszę się z tego niewymownie.

— Uczciwi ludzie zawsze się porozumieją i rozumieją, chociażby wręcz odmiennie na pozór były ich światopoglądy.

— Zrozumięją się zawsze i szanować się będą, to prawda, ale o porozumienie trudniej, panie Szulc, bo rozbieżność interesów przeszkadza.

— A wspólna miłość wszystkiego, co piękne i szlachetne, czyż to nie dostateczny kit i równoważnik rozbieżności interesów?

— Niestety, nie. Sentyment, chociażby najszlachetniejszy i największy, traci swoją potęgę w zetknięciu z podłym i wstrętnym realizmem życia. Tylko niewielu wybranym wolno spoglądać na świat z lotu ptaka, oceniać objawy i fakty *subspetieaeternitatis* — uśmiechnął się smutno inżynier Piotr. — Ale miał szanowny pan drugie jeszcze dla mnie polecenie.

— Prośbę, nie polecenie — poprawił Szulc. — Otóż Lola prosi, abyś ją pan zechciał oprowadzić po fabryce i udzielić pewnych wskazówek.

— Z prawdziwą rozkoszą to uczynię.

Gdy Piotr domawia te słowa, weszła do kantoru córka fabrykanta.

— Ojciec zakomunikował panu moją prośbę? — spytała. — I cóż pan na to?

— Sprawia mi to niewymowną przyjemność — odrzekł.

Za pół godziny inżynier podał ramię Loli, aby być przewodnikiem w zwiedzaniu fabryki.

Wieża o objęciu dyrektorstwa przez Piotra rozeszła się po fabryce ku uciesze robotników. Dawni koledzy, widząc inżyniera w towarzystwie córki właściciela i na nowym stanowisku, kłaniali się pierwsi już z daleka. Zmienili się nie do poznania. Na każdym kroku spotykał uniżoność, a ci, którzy go przedtem traktowali protekcyjnie, obecnie najbardziej starali mu się nadskakiwać.

Stara piosenka ludzkiej podłości...

Szli obydwójce dziedzińcem fabrycznym prowadzącym do hali maszyn.

— Musi być bardzo przyjemnie panować tak nad siłami przyrody, jak pan panujesz — mówiła Lola.

— Panowanie samo przez się dawać może rozkosz tylko próżnemu człowiekowi, a absolutna dążność do władania znamionuje złe instynkty. Człowiek uduchowiony pragnie być przede wszystkim pożytecznym, a jeżeli posiadał przeświadczenie tej użyteczności, posiadał względne szczęście.

— Czy pana nie nęci nigdy sława łącząca się zawsze z władaniem?

— Sława daje wielkie zadowolenie o tyle, o ile płynie znowu z pobudek tej użyteczności, ona jedna świadczy o wartości człowieka.

— Więc nie rozumie pan takiego Herostrata, który dla pozyskania sławy podpalił świątynię?

— Rozumie, bo człowiek, który wiele przeboleł i wiele skutkiem tego przemyślał, rozumie wszelkie ułomności bliźnich.

— Czy przemyśleć można tylko wtedy, gdy się cierpi?

— W każdym razie cierpienie jest najlepszym nauczycielem życia. Człowiek, skazany na cierpienie, może pod jego wpływem popełniać wiele błędów, a nawet zbrodni, ale złym bywa rzadko. Człowiek, dla którego życie było jedynie tęczową

złudą lub snem, nie był nigdy całym i pełnym człowiekiem, nie mamy co do niego żadnego sprawdzianu, czy jest uczciwym, czy wrodzonym zbrodniarzem.

Lola stanęła przed wejściem do budynku fabrycznego, zadając te pytania. Znać było, że pragnie przedłużyć sam na sam z inżynierem, że jej więcej o jego obecność chodzi niż o oglądanie hali maszyn, w której zresztą była już niejednokrotnie.

— Ale ja panią nudzę moimi poglądami, moimi indywidualnie, gdy tymczasem zapomniałem o celu naszej przechadzki. Pójdźmy więc. Oto hala maszyn, oto moje królestwo, jak ją pani raczyła nazwać.

— Nie. Pan mnie nie nudzi. Chciałabym tak z panem rozmawiać długo, długo, chciałabym pana słuchać i uczyć się. Pan pierwszy dopiero wyzwolił myśl moją z powijaków szablonu. Pański świat ducha jest taki inny aniżeli ten, w którym wzrosłam, taki wielki, piękny...

— Cieszę się z tego, chociaż z drugiej strony przepowiadam pani, że niebawem powrócisz do dawnego swojego świata. Ten mój nie dla takich, jak pani, ludzi. Trzeba się w nim urodzić, aby w nim żyć.

— Czy to obelga?

— Nie. Nie mam zamiaru ani powodu pani obrażać. Tylko twierdzę, że dobrowolnie nie porzuca się pałacu, aby zamieszkać w lepiance, chociażby z tej lepianki rozpościerał się widok na niebo i gwiazdy, na wspaniałe kobierce kwiatów łąkowych. Światło elektryczne i sztuczne gazony ogrodu dla wielu są miłsze. Wygody życiowe rozleniwiają i przyciągają do siebie, stwarzając specjalny rodzaj estetyzmu.

— To sybarytyzm, nie estetyzm.

— Sybaryci bywają również estetami. Wszystko zależy od hodowli ciała i duszy.

— A więc i duszę hodować można?

— Nie tylko można, ale trzeba.

— A jeżeli ta dusza, mimo specjalnej hodowli, ma swoje odrębne porywy, swoje nieokiełznane dążenia, swoje wprost różne od otoczenia cechy i nie da się wtłoczyć w sztucznie stworzone warunki?

— Bywa i tak, lecz wypadki takie zdarzają się rzadko. Chrystus powiedział: „Chociaż duch ochoczy, ale ciało mdłe” — zaśmiał się Piotr. — Pójdźmy do hali maszyn!

— Jeszcze chwilkę! Tylko małą chwileczkę... Otóż chcę panu powiedzieć, muszę to panu powiedzieć, że nie jestem sybarytką, że pan się myli, tak mnie określając.

Mówiąc to, Lola miała pełne oczy łez.

— Krzywdzi mnie pan, sądzi zbyt powierzchownie i nie chce zadać sobie trudu, aby mnie chociaż trochę głębiej poznać. Tego nigdy nie spodziewałam się po panu. Ja nie chcę, żeby mnie pan tak sądził. Niech wszyscy o mnie myślą i mówią, co chcą i jak chcą, tylko nie pan, nie pan jeden. Słyszysz pan! Panu nie wolno! — wołała prawie.

Zdziwił Piotra nagły wybuch Loli, choć z drugiej strony wydała mu się w tym podnieceniu jeszcze ponętniejszą. Jej wydatna pierś falowała jak po silnym

zmęczeniu. Wogóle nie przypuszczał, że zupełnie teoretyczna rozmowa taki przybierze kierunek, więc nie wiedział na razie, co począć i jak uspokoić rozhisteryzowaną wprost dziewczynę.

— Niech pani nie bierze słów moich tak poważnie do serca, panno Lolu — zaczął przemawiać łagodząco. — Widzi pani, tak mi się zdawało, więc mówiłem, ale może się myłę, pewnie się myłę. Skoro pani tak gorąco protestuje, gotów jestem zmienić mój sąd.

— Tak. Myli się pan, myli, myli — krzyczała formalnie. — Wspomniał pan o Chrystusie. Otóż Chrystus brał swoich wyznawców spośród ludzi ubogich duchem. Mówił im: „Pójdźcie za mną”. I szli. A tyłu z nich zginęło w cyrku Nerona. Tyłu wybrało śmierć męczeńską dla idei. A byli między nimi i tacy, którzy sami nigdy nie cierpieli, którzy urodzili się w bogactwie i zbytkach, dzieciństwo spędzili w złotej kołysce. Pan dla mnie jesteś tym Chrystusem. Poszłam za panem i nie wrócę już z obranej drogi. Słyszysz?! Nie wrócę...

Zapałała się coraz bardziej i stała naprzeciw niego z pałającym na twarzy rumieńcem, rozgrzana i dysząca miłością zmysłową. Pierwsza uchwyciła go za rękę, ścisnęła ją mocno i zawołała:

— A teraz pójdźmy do hali maszyn!

Piotr dał się prowadzić. Starał się być zimny i milczący. Pamiętał, że jest ubogim inżynierem, pracującym, jak każdy inny robotnik, w fabryce jej ojca, że interesy tej panny i jego idą w rozbieżnych wprost kierunkach, że trudno im o jakąś ideową styczność. Myśli błędziły mu w próżni i w jakimś okropnym, dręczącym chaosie.

Gdyby nie ta sytuacja, dałby się porwać córce milionera, czuł, że jej szalony temperament działał mu na nerwy. Czasem budziły się w nim nawet dziwne uczucia, a puls bił mu w skroniach, krew burzyła się na widok bujnych kształtów dziewczyny, jej czerwonych, nieco za grubych warg, brwi czarnych, zrastających się w foremnych łukach pod jasnym, wysokim czołem. Musiał z całych sił panować nad sobą, tym więcej, widząc, iż panna czeka tylko na pierwsze skinienie, aby mu się rzucić w objęcia.

Nie sprzeniewierzy się swoim zasadom — myślał — on, który postanowił cały, bezwzględnie, poświęcić się sprawie, a Lola przeboleje prawdopodobnie pierwszy zawód w miłości. Z takim posagiem i zmysłową urodą łatwo jej przyjdzie zapomnieć o nim w ramionach innego mężczyzny. Obudziła się już w niej cała siła Boża wola, chodzi więc o to, by długo nie czekała na tego, kto przyjdzie ma, aby zerwać rozkwitły kwiat, dojrzałe jabłko z jabłoni.

Takie i tego rodzaju myśli przemknęły mu, jak błyskawica, przez głowę, sprawiając jednak ból i piekielną przykrość. Czuł, że trudno mu będzie oderwać się i uciec od Loli, a jednak uznał to za konieczne. Pod wpływem tego postanowienia odyskiwał częściowo dawną równowagę umysłową, dawne panowanie nad sobą i swoimi wzburzonymi nerwami.

— Dlaczego pan milczy?

— Mówiłem tak dużo. Niech mi pani pozwoli odpocząć — zaczął tonem pozornie obojętnym i żartobliwym. — Odpoczynek to będzie zresztą potrzebny dla niewolnika, który za chwilę służyć pocznie swojej pani jako informator przy maszynach i ich rozmaitych właściwościach.

— Nie chcę mówić o maszynach. Cóż mnie obchodzą te szkaradne, czarne, bezduszne cielska, wiecznie ryczące, walające i mordujące ludzi!

— Co do maszyn, to lepsze one, aniżeli pani sądzi. Nie są nawet takie bezduszne, bo duszą ich jest człowiek, myślą ich praca człowieka, a walają i męczą mniej niż życie.

— To mnie w tej chwili nic a nic nie obchodzi. Chcę z panem mówić o sobie, o panu, o nas, o ludziach, o naszej wspólnej przyszłości. Wie pan, czego teraz chcę?... A mnie nie wolno odmawiać, jeżeli czego bardzo pragnę.

— Warunki bywają czasem silniejsze od nas i od naszej chęci, od najgorętszych nawet naszych pragnień.

— Nie znam takich warunków i biorę sama, czego mi nie chcą dać dobrowolnie. Matka moja była Włoszką, więc w moich żyłach płynie gorąca krew Południa. Patrz pan, jak te młoty i walce miażdżą żelazo, a i one są także tylko żelazne.

— Cóż stąd?

— To, że silniejsza wola łamie i miażdży słabszą wolę człowieka.

— To aforyzm tylko. Częstokroć tak się układają stosunki...

— Nudny pan jesteś z tymi jakimiś stosunkami. My zawsze panować musimy nad stosunkami. Dlatego wasz naród upadł, że rządziły nim zewnętrzne stosunki, a nie miał w sobie tyle energii i hartu, by zdusić i zmienić stosunki.

— „Upaść może naród wielki, zniszczyć tylko nikczemny”, powiedział nasz Staszic. Płynie stąd, nie tylko dla narodu, ale i dla jednostek, nauka, że można być nieraz zwyciężonym przez silniejszych od siebie zapaśników, ale zostać sobą trzeba koniecznie, aby się odrodzić do nowego życia wśród stosowniejszych dla siebie okoliczności. Niech pani o tym pamięta.

— Nie chcę takiej filozofii. To filozofia słabości. Wasz Staszic mówił w ten sposób, bo był filozofem zwyciężonych i pocieszycielem pognębionych na duchu. Ja pochodzę z narodu zwycięzców, najeźdźczego wprawdzie i mniej szlachetnego dlatego właśnie, ale szczęśliwszego i silniejszego. Mój atawizm daje mi skłonności zaborcze. Chcę i będę z nich korzystała. Rozumiesz pan?

— Siła bywa czasem słabością silnych, bo gdyby nie czuli się tak silnymi, nie rozbiliby się o mur z granitu, który wzrósł, choć nie wiedzieli o jego istnieniu. Filozofia Staszica nie jest filozofią słabości, ale raczej refleksją szlachetności i cnoty.

— Walka z Arimanem przypomniła się panu z mitologii. Wolę być tym Arimanem, jutro zwyciężonym, byle dzisiaj do mnie należało.

— *Carpe diem!*

— Tak. *Carpe diem!*

Dzikię wprost i nieokiełznane roznamiętnienie przebiegało z twarzy dziewczyny. Głosiła hasła, do których sama niedawno jeszcze nie byłaby się przyznała nigdy. Piotr patrzył na nią z rosnącym wciąż zainteresowaniem. Namiętność jej udzielała mu się, mimo wszelkich wysiłków panowania nad sobą i uczuciem.

— Dużo rzeczy nauczyłam się od pana — zaczęła mówić łagodniej i bardziej miękko, znowu po kobiecemu — ale bierności w pewnych wypadkach nie rozumiem, szczególnie w takim, jak pan, człowieku. To dla mnie niespodzianka.

Dziewczynie zdawało się, że inżynier potrzebuje słów zachęty. Obawą i skrupułami towarzyskimi tłumaczyła sobie całe jego zachowanie, więc coraz silniej atakować postanowiła, przyjmując na siebie świadomie rolę zaczepną, skoro spostrzegła, że on na tę drogę nie wchodzi.

Maszyny huczały, czyniąc piekielny łoskot i głużyły ich rozmowę. W hali panował ruch i zamęt ciągły. Robotnicy pracowali z wytężeniem. Kręcili się tu i tam, jak duchy potępieńców i, jak one, czarni od sadzy i smarów, którymi namaszczano tryby i osie kół rozpędowych oraz rozmaitych kółek. Organizm tej wiecznie czynnej, wiecznie pracującej części fabryki podobny był do żywego organizmu, trującego się nieustannie nad utrzymaniem życia.

— Pójdźmy stąd, panie Piotrze! Mam już dosyć tej hałaśliwej pańskiej hali maszyn.

I nie czekając na odpowiedź, pierwsza skierowała się ku drugim drzwiom w głębi, snadź dobrze obeznana z rozkładem fabrycznych pomieszczeń i zakamarków. Inżynier szedł posłusznie za nią.

Znaleźli się w małej, zaciemnionej, prawie pustej komórce, której przeznaczenie nie dość ściśle dawało się określić. Był to rodzaj składu niewiadomego użytku rupieci. Lola weszła tam prawdopodobnie umyślnie, bo z komórki nie było drugiego wyjścia i trzeba się było cofnąć, aby się wydostać inną, właściwą drogą na zewnątrz.

— Zabłądziliśmy — odezwała się z dziwnym, kuszącym uśmiechem.

— Łatwo nam przyjdzie wydostać się z kniei — odrzekł inżynier. — Pomogę pani chętnie, bo przecież nie zapomniałem o roli przewodnika i opiekuna, któremu zaufała ojciec swój skarb bezcenny.

Wprawdzie mówił tonem żartobliwym, lecz umyślnie ostatnie słowa podkreślił z pewnym naciskiem, nadając im jakby specjalne znaczenie.

— Poczekaj pan! Muszę trochę odpocząć.

Nagle pochwyciła dłoń Piotra i ściskając ją obydwiema swymi rękami, patrzyła mu namiętnie w oczy. Usiadła w pozie szatańsko kuszącej, odsłaniając grubą, ale kształtną łydkę.

— Dlaczego pan jesteś taki niedobry?

— Nie rozumiem — wyjąkał Piotr, ale twarz mu pałała purpurowym rumieńcem, serce tłukło jak młot, drżenie ogarnęło całe ciało, oddech stawał się coraz bardziej przyspieszony i urywany.

Zakryła mu usta, a potem zarzuciła obydwie ręce na szyję, przyciągnęła twarz jego do swojej palącej twarzy i wpiła usta w jego wargi.

Stał oszołomiony, a ogień krwi buchnął mu znowu do skroni. Oczy przyciemniły mu się jakby jakąś kataraktą, pokryło je bielmo przepotężnej żądz, zapomniał o wszystkim i miażdżył jej usta swoimi ustami.

Osunęła się i runęła na stos leżących desek. W bezprzytomnym niemal od ekstazy stanie przymknęła powieki. On upadł na nią całym ciężarem ciała, czując pod sobą młode, kwitnące zdrowiem, ciało rozkochanej i bezwiednie ukochanej kobiety.

Wreszcie i chwila rozkoszy, chwila bezbrzeżnego szału i ekstazy minęła, bo wszystko mija na świecie. Podnieśli się, zmęczeni oboje, ale spragnieni siebie jeszcze i jeszcze, ale rozkochani w sobie bardziej niż przedtem. Ten moment zapomnienia zdecydował wprawdzie o wielu rzeczach, otworzył przed nimi nową kartę w księdze życia, dotychczas nieznaną, przeczuwaną tylko i upragnioną, mimo to jednak nie wiedzieli, co począć i jak się mają nadal zachować wobec siebie.

Szpecially Piotr czuł w sobie cały bezmiar najrozmaitszych, wręcz sprzecznych myśli, uczuć i wrażeń, całe brzemie odpowiedzialności za to, co się stało. Był samco dumny, że posiadał dziewczę, która przedtem do nikogo jeszcze nie należała, a oddała mu się z dobrej, własnej woli, czuł się szczęśliwy, bo długo jej pożądał, tajemnie marząc w bezsenne noce o jej białym łonie, o jej namiętym uścisku i o jej gorących pocałunkach. Teraz marzenia te ziściły się, stały rzeczywistością. Miał ją i mógł mieć zawsze, ilekroć tego zapagnie. Wystarczy tylko słowo powiedzieć, wystarczy nawet jedno nieme spojrzenie, a ona zarzuci mu białe utoczone ręce na szyję, poda mu usta, padnie w jego objęcia, tak jak dziś, jak przed chwilą.

Czy tylko powinien był to uczynić, co uczynił? Co jej teraz powie, jak spojrzy jej i staremu Szulcowi w oczy, jak spotka się z ludźmi, którzy pewno domyślą się od razu wszystkiego, poznają po niej, po nim, po ich wzajemnych stosunkach? To przerażało go i onieśmiewało. Był jak mały chłopczyk, przerażony, że stłukł wazon z saskiej porcelany, ceniony przez opiekunów, stłukł na takie drobne kawałki, że się już ani zlepić, ani zdrutować nie dadzą.

Ona, ta „spaśna Lola”, taka zawsze pewna siebie, patrząca śmiało w oczy wszystkim, również stała przez chwilę ze spuszczonej oczyma, nie zdając sobie dokładnie sprawy z następstw tego, co się stało, chociaż to, co się stało, sama wywołała, sama i zupełnie świadomie spowodowała. Igrając z ogniem, rzucając się w objęcia ukochanego, może nie wiedziała, że wszystko to tak prędko nastąpi, że ogień ogarnie ich oboje tak potężnie...

Lekko i powoli ujęła go pierwsza za rękę.

Poczuł aksamitne, ciepłe dotknięcie jej dłoni, rozkoszną, dreszczem przejmującą pieśczętą ciała i zadrżał znowu. Już nie czekał na impuls dalszy z jej strony, już nie

chciał i nie miał siły panować nad sobą, więc porwał ją w ramiona, tulił i gniótł do piersi i całował namiętne. Znowu rozdzwoniły się im serca, znowu przyszła niepa-mięć wszystkiego, a przemożna rozkosz zapanowała nad ich nerwami.

— Mężu ty mój najdroższy! — przemówiła Lola.

Nie odrzekł ani słowa, bo go przeraziła ta nazwa, ale zamknął jej usta poca-lunkiem.

— Pójdźmy do hali maszyn, do twojego królestwa, Piotrze.

— Pójdźmy!

— I dokąd mnie później zaprowadzisz? — mówiła już z uśmiechem, odzysku-jąc pewność siebie i równowagę umysłu.

— Nie wiem. Jestem podły...

— Nie przesadzaj! Czy jesteś niezadowolony z tego, co się stało? Czy żałujesz może? Ja nie. Stało się to, co się stać musiało, co się stać powinno.

— Tak, ale co dalej, co teraz pocniemy? Gdybyś była ubogą dziewczyną, zwykłą Lolą, bez tego wstrętnego balastu złotego, zabrałbym cię do siebie i uczynił szczęśliwą.

— A tak nie zabierzesz? Dlatego, że przypadek dał mi majątek, mam być nie-godną tego? Więc ty, który zawsze wyrażałeś lekceważenie złota, teraz stajesz się także jego niewolnikiem, tylko w odwrotnym kierunku niż inni ludzie. Czyż to nie wszystko jedno? Niewola zawsze jest niewolą, w tej czy w innej formie.

— Wyrzeknij się majątku i zostań moją, nie biorąc od ojca nic i nie wnosząc nic do naszego wspólnego domu.

— To byłoby niepraktyczne, wprost dziecinne. Dlaczego mam się zrzekać tego, co ułatwia życie, tego, co wprawdzie jest tylko symbolem wartości, środkiem do celu, ale zawsze jest siłą, bez której w obecnym ustroju społecznym tak ciężko żyć? Dlaczego mam się wyrzekać pieniędzy, kiedy one w twoich i moich rękach mogą się przydać nie tylko nam? No, powiedz — dlaczego?

— Nie będę ci, Lolu, mówił, że na każdym rublu, branym przez nas do ręki, jest bliźnich naszych łza i krew, nie będę o tym mówił, bo to znana historia, a mimo to trzeba byłoby długo się na niej zatrzymywać, lecz powiem ci tylko jedno na usprawiedliwienie mojego żądania, mojej prośby...

— Co? — przerwała.

— Oto ojciec twój, oto ludzie zawistni mogą posądzać mnie o chciwość, a ty nie zechcesz, by ten, którego kochasz, musiał się wstydić twojej miłości.

— O cóż chodzi? Wszak jesteś daleki od chciwości! Wiem o tym dobrze i ty wiesz, więc co cię obchodzą ludzkie sądy?

— Właściwie nic. Masz słuszność, ale ojciec twój nie będzie chciał może wierzyć i obawiam się trudności z jego strony, właśnie skutkiem tej bezwiednej niewiary. Gdybym był bogaty osobiście, co innego.

— Ojciec, jako człowiek praktyczny, wzięłby ci za złe przede wszystkim owo lekceważenie grosza lub w tym właśnie dopatrywałby się nieszczerości.

— Jakież z ciebie psycholog, Lolu. Zaczynam cię podziwiać.

— A widzisz. Więc myśleć i wiele rozumieć mogą nie tylko ci, którym życie szło po grudzie, którzy dlatego wiele przecierpieli, jak to twierdziłeś niedawno w naszej rozmowie.

— Gdyby nie miłość nasza, nie zdobyłabyś się na tę obserwację psychologiczną. Miłość zatem, będąca jedną z najsilniejszych dźwigni, zastąpiła w danym wypadku cierpienie jako impuls myślenia i zastanawiania się nad życiem i duszą.

— Prawda.

— Więc zgadzasz się na moją propozycję?

— Nie, bo uważam ją za nieuzasadnioną. Obawy twoje są płonne, skrupuły zbyt liczne, natomiast obawiam się dla nas pewnych trudności, płynących z innych źródeł.

— Lolu! Uspokajasz i przerażasz mnie jednocześnie. Czemu igrasz ze mną jak kot z myszą? Pokazując już niebo, nagle zakrywasz je jakimiś czarnymi chmurami.

— Chcesz mnie więc tak bardzo, stary dzieciaku?

— Chcę, jak chcę życia i lepszej doli dla wszystkich ludzi. Powiedz, jakie przewidujesz trudności?

— Ojciec mój, jak ci wiadomo, jest w przyjaźni z kolegą szkolnym, kupcem, dalekim nawet naszym krewnym, Maurycym Wagnerem. Otóż w ostatnich czasach syn tego przyjaciela zaczął się do mnie zalecać, a ojciec dawał mi już do poznania, że byłby rad, gdybym wyszła za młodego Wagnera, bo ma to być człowiek bardzo solidny, porządny i wykształcony, co najważniejsze zaś, posiada pół miliona majątku.

— Jak sądzisz, czy ojciec będzie chciał cię zmuszać?

— Nie przypuszczam. Zanadto mnie kocha i zbyt jest rozsądny, ale mimo woli będzie dla ciebie niechętny i zechce prawdopodobnie czynić trudności.

— Czy w danym razie jesteś przygotowana na walkę? Czy byłabyś zdolną oprzeć się ojcu i uciec z domu?

— Bądź spokojny, że to uczynię, chociaż wołałabym uniknąć tej ewentualności.

Rozmawiali w ten sposób, chodząc po fabryce pod pozorem oględzin. Trwały one długo i stary Szulc przyszedł po córkę, aby ją zabrać ze sobą do domu. Dziewczyna czuła się osłabioną i mocno zdenerwowaną.

Poszli.



TAJEMNICZE PRZYGODY
SZERLOKA HOLMESA
SŁYNNEGO AGENTA ŚLEDZCZEGO

Rzeźnia ludzka.



- Zaczekaj wyżle policyjny! - mruknął Czerwony Bill - zaraz i na ciebie przyjdzie kolej. .

Tajemnicze Przygody Szerloka Holmesa

słynnego ajenta
śledczego

Zeszyt 33
Rzeźnia ludzka

1908

Postać Sherlocka Holmesa z Baker Street, najśłynniejszego na świecie detektywa, znają nawet osoby niezainteresowane literaturą kryminalną. Skłonny do dziwactw, chłodny, przenikliwy detektyw w odchodzącym w przeszłość typie dżentelmena zawładnął masową wyobraźnią. Twórca tej postaci, sir Arthur Conan Doyle (1859—1930) był okulistą z Edynburga, który przed trzydziestką porzucił praktykę lekarską i poświęcił się pisarstwu. Między 1888 a 1927 rokiem wydał cztery powieści i pięć zbiorów opowiadań o przygodach Holmesa i jego przyjaciela, a początkowo również współlokatora, dobrodusznego doktora Watsona, który u jego boku cierpliwie poznawał zasady dedukcji. Ich dialog:

„— Ależ to genialne, Holmesie!
— Elementarne, Watsonie!”

przeszedł do języka potocznego. To Watson (wyjąwszy cztery opowiadania) jest narratorem, jego też, nie tylko z powodu praktyki medycznej, ale i doświadczeń z wojny afgańskiej, uważa się za alter ego Conan Doyle’a. Sam Sherlock jest postacią zdecydowanie bardziej wyrazistą: interesuje się chemią, zasadami logiki, gra na skrzypcach, trenuje boks, nie stroni od narkotyków. Jest też zatwardziałym kawalerem i drwi z rodzinnej stabilizacji Watsona. Jego charakterystyczna, wychudzona sylwetka, ostre

rysy, peleryna w pepitkę, czapka z dwoma daszkami i fajka w zębach to raczej kreacja Sydneya Pageta, pierwszego ilustratora opowiadań publikowanych w magazynie „The Strand” niż Doyle’a. Niekonwencjonalny detektyw ma wielu wrogów, ale przede wszystkim prowadzi długoletnią walkę z „Napoleonem zbrodni”, demonicznym profesorem Moriartym. Kiedy w opowiadaniu *Ostatnia zagadka* obaj spadli w przepaść do wodospadu, wielbiciele serii okryli się żałobą i pisarz musiał wskrzesić Holmesa w następnym utworze. Wkrótce utwory Doyle’a zaczęto też swobodnie parafrazować na zamówienie rozmaitych przedsiębiorców kulturalnych, którzy wykorzystywali brak restrykcyjnych i skutecznych przepisów o prawie autorskim, publikując kolejne przygody „brukowego bastarda kreacji Conan Doyle’a”. Tego typu brukowe „szerloki” zawładnęły wyobraźnią młodych czytelników na równi z literackim pierwowzorem.

Pierwsza w kolejności powieść o Sherlocku Holmesie, *Studium w szkarłacie*, wyszła po polsku w 1903 roku pod tytułem *Czerwonym szlakiem*, ale wcześniej ukazało się *Znamię czterech* (1898) i *Pies Baskerville’ów* (1902) oraz pojedyncze opowiadania. Czytelnicy mogli więc znać tę postać, kiedy w latach 1907—1908 w Warszawie opublikowano

dwanaście zeszytów anonimowego autorstwa z apokryficznej serii *Sherlok Holmes i jego przygody*, a w tym samym czasie w Krakowie — 13 zeszytów z cyklu *Ciekawe przygody detektywa-geniusza Sherlocka Holmesa*. Drukowana tu *Rzeźnia ludzka* to trzydziesty trzeci zeszyt z najdłuższej serii *Tajemnicze przygody Sherlocka Holmesa słynnego agenta śledczego*, która ukazywała się nakładem Wydawnictwa Jana Fiszera w Warszawie — od 1907 do 1909 roku wyszły osiemdziesiąt dwa numerowane i cztery nienumerowane zeszyty. Był to polski przekład serii *Detektiv Sherlock Holmes und seine weltberühmten Abenteuer* wydawanej w Berlinie przez „Verlagshaus für Volksliteratur und Kunst” (później, z uwagi na konflikt z posiadaczem niemieckich praw do książek Doyle’a, tytuł zmieniono na *Aus den Geheimakten des Welt-Detektivs*). Oryginalny tytuł opowiadania brzmiał *Der Mädchenmörder von Boston*.

Na przykładzie *Rzeźni ludzkiej* widać, że parafrazy daleko odbiegały od elegancji i ironii stylu oryginału. Narracja jest trzecioosobowa, ale zamiast Watsona prowadzi ją Harry Taxton, który nie wchodzi już w tak subtelny i wieloznaczną relację z detektywem. Wyraźniej też widać schematy i tropy literatury brukowej: naiwny zachwyt bogactwem, upodobanie do podtekstów

erotycznych i do makabry. Oryginalne opowieści o Holmesie opierały się rzecz jasna na zbrodni, lecz na wieńcząca *Rzeźnię*... wizję poćwiartowanych ciał młodych kobiet w różnych stadiach rozkładu sir Conan Doyle raczej by sobie nie pozwolił, nie było to zgodne z estetyką jego powieści. Zarazem też silniej, bo niejako w imieniu prostych ludzi, dochodzi tu do głosu pragnienie sprawiedliwości społecznej, której Sherlock jest obrońcą.

Justyna Jaworska

Tajemnicze Przygody Sherlocka Holmesa słynnego agenta śledczego. Zeszyt 33 [1908]: *Rzeźnia ludzka*. Drukarnia Wojciecha Korfantego, Warszawa 1907—1909.

1. Profesor Remington

— Czy podobna, panie Sherlock Holmes, opuszczasz pan Boston i ze swoim pomocnikiem panem Taxonem powracasz do Londynu?

To mówiąc, Percy Martlok, superintendent policji stolicy stanu Massachusetts, gorąco uściśnął dłoń wielkiego detektywa, który przypadł do niego z pożegnaniem.

— Prawdę mówiąc — ciągnął naczelnik — porzucasz nas pan w chwili najbardziej krytycznej. Liczyłem, iż nie odmówisz mi pan swojej nieocenionej pomocy w sprawie niezmiernie ważnej, jak...

— Zatem niceście panowie nie zbadali do tej pory? — zapytał z uśmiechem Sherlock Holmes.

— Niestety nie. To ustawiczne znikanie z Bostonu kobiet i dziewcząt w dalszym ciągu wstrząsa całym miastem, a my... jesteśmy bezsilni i bezradni!

Pomyśl pan, w ciągu kilku tygodni znika dziesięć dam, przeważnie z lepszego towarzystwa, znika, powiadam, a nikt nie jest w stanie wytłumaczyć, co się z nimi stało. Czy to nie można oszaleć?

Poszukiwaniami zajęli się najdzielniejsi nasi agenci policyjni i wszystko to na nic! Jesteśmy ciemni jak tabaka w rogu!

Zły i zdenerwowany naczelnik policji, mężczyzna już w poważniejszym wieku, biegł wzruszony po pokoju.

W końcu stanął i spojrzał na detektywa.

— Czy nie dasz się pan uprosić? — mówił żałośnie. — Błagam, zostań pan jeszcze i dopomóż mi wyciągnąć ten ciężki wóz z lepkiego błota. Boć to przecież istna epidemia. Pani Edyta Remington, małżonka profesora uniwersytetu Howarda, w Cambridge od czterech dni, wyszła z domu i dotychczas nie powróciła. Profesor był u mnie przedwczoraj straszliwie zrozpaczony.

— Panie Mortlok! — tak mówił. — Pan musisz odnaleźć moją Edytę! Jeżeli żądasz zapłaty, ofiarowuję ci cały mój majątek! Była bardzo piękna i lękam się, iż padła ofiarą tych niecných zbrodniarzy, którzy wybierają właśnie najprzystojniejsze i najbogatsze kobiety i dziewczęta.

Ten człowiek prawie umiera z rozpacz, a ja nie mogę mu dopomóc!

— Co, panie prezydencie, myślisz o tym? — zapytał Holmes i usiadł przy nim na kanapie, zaciekawiony tym szczególnym wypadkiem. — Może nie żyli ze sobą szczęśliwie?

— O ile wiem — odparł zagadnięty — było to małżeństwo dobrane i zgodne. On był najszcześliwszym mężem...

— A Edyta?

— Sądzę, że była cnotliwa, a przynajmniej nic złego o niej nie słyszałem. Tylko...

— Tylko co? — powtórzył Holmes z ożywieniem.

— Ona już raz opuściła męża.

— O, to warto zapamiętać. Jak długo byli w rozłące?

— Kilka dni.

— Kiedy to było?

— W roku zeszłym, mniej więcej o tej porze. Profesor wyjechał w krótką podróż. Mówił mi o tym wczoraj. Gdy powrócił z wycieczki naukowej do domu, nie zastał swojej pięknej małżonki. Ukazała się dopiero po upływie kilku dni. Profesor utrzymuje, iż powodowana zazdrością śledziła go.

— Było to wkrótce po ich ślubie? — badał Holmes z uśmiechem.

— Tak jest.

— Ha, może miała ku temu powody. Od jak dawna pani Edyta znikła z domu?

— Od czterech dni.

— To może jeszcze powróci.

— Obawiam się, że tak nie będzie — odrzekł naczelnik policji i, sięgnąwszy do biurka, podał gościowi fotografię. — Spójrzysz pan na ten portret. Czy nie zachwycająca kobieta?

Genialny kryminalista długo nie odrywał oczu od fotografii.

— Rzeczywiście, to piękność pierwszorzędna. Amerykanka?

— Nie. Profesor przywiózł ją sobie z wycieczki wakacyjnej do Paryża, pani pochodzi znad Sekwany.

— Znasz ją pan bliżej?

— Spotykałem ją kilka razy w towarzystwie. Poznałem w niej kobietę dobrze wychowaną, niezmiernie uprzejmą, ułożoną i sympatyczną. Nie dziwię się więc, iż ten przykry wypadek ścina go z nóg po prostu. Uważałem, iż szczerze ją kocha.

— Czy mógłbym na pewien czas zatrzymać fotografię? — zapytał Holmes.

— To się rozumie — odparł prezydent policji i twarz mu się rozjaśniła. — Nieprawdaż, pan mi dopomożesz odszukać ją?

Zanim detektyw zdołał odpowiedzieć, zapukano do drzwi.

— Co nowego, Byde? — zwrócił się naczelnik tonem dość szorstkim do przybyłego. — Czy nie mówiłem, aby mi nie przeszkadzano w rozmowie z moim znakomitym gościem?

— Przepraszam — rzekł policjant — profesor Remington...

— Chce się ze mną widzieć?

— Prosi, aby go pan prezydent zaraz przyjął.

— Niech wejdzie. To się może dobrze składa, panie Holmes. Niech panu sam opowie o szczegółach zniknięcia małżonki... Cóż panie profesorze, jakie przynosisz pan wiadomości?

Urzędnik policyjny skłonił się i podszedł na spotkanie wysokiego, chudego mężczyzny, który z ciężkim westchnieniem bolesnym wyrzekł głosem zdławionym:

— Edyty wciąż nie ma. Dowiadywałem się u wszystkich moich znajomych i przyjaciół, lecz nikt z nich nie może mi udzielić wiadomości. Raz jeszcze powtarzam, iż moja nieszczęśliwa żona należy bezwarunkowo do tych ofiar, które w ostatnich czasach znikły i prawdopodobnie wpadły w szpony bezecznych zbrodniarzy.

— Nie mamy jeszcze żadnych dowodów — starał się pan Mortlok pocieszać niefortunnego małżonka. — Przedstawiam panu profesorowi pana Sherlocka Holmesa, największego kryminalistę naszych czasów. On panu powie, iż zdarzają się sprawy, których na poczekaniu wyjaśnić niepodobna. Niechże pan nie traci nadziei, iż pan Holmes, skoro nam przyrzeknie wziąć to w swoje ręce, będzie umiał rozwikłać nici i ująć je w kłębek.

Profesor spojrział na Holmesa z podziwem i zarazem z otuchą.

— Pan Holmes? — zawołał. — Czy dobrze słyszałem? Sherlock Holmes? O, jeżeli człowiek tak słynny i znakomity weźmie mnie w opiekę, to nie wątpię w pomyślne następstwa. Szanowny panie — tu mocno uścisnął dłoń detektywa — błagam na wszystko, nie odmawiaj mi pomocy. Widzisz pan, jak jestem zrozpaczony. Zajmij się pan odszukaniem zaginionej.

Sherlock Holmes rzekł z ukłonem:

— Postaram się być panu pomocnym, panie profesorze. Wstrzymam się z wyjazdem do Anglii i będę usiłował wyjaśnić zagadkę, która poruszyła opinię Bostonu. Panowie pozwolą rozmówić się z moim pomocnikiem i zawiadomić go o zmianie moich projektów.

Przystąpił do telefonu i kazał się połączyć z biurem przedsiębiorstwa żeglugi na linii Boston—Kingstown—Liverpool. Przywołał do aparatu Taxona i polecił mu, aby nie nabywał biletów okrętowych, lecz powrócił do hotelu i tam oczekiwał jego przybycia.

— Teraz moi panowie — rzekł, odkładając tubę telefonową — jestem na wasze rozkazy i natychmiast wezmę się do pracy. Pan dyrektor da mi oczywiście upoważnienie na piśmie.

— Z wielką przyjemnością — odrzekł skwapliwie Mortlok. — Przede wszystkim przyjmij pan dzięki za tak życzliwą gotowość. Swoją drogą z góry wiedziałem, iż kryminalista pańskiej miary nie odrzuci sposobności i chętnie zajmie się sprawą, jaka rzadko się zdarza w praktyce policyjnej.

— Na to się zgadzam — potwierdził Sherlock Holmes. — Trudno oprzeć się pokusie. To znikanie kobiet i dziewcząt z murów Bostonu przedstawia się nader tajemniczo i z tego powodu ma dla mnie wiele uroku.

— Bo też jesteś pan detektywem z powołania, a zadanie agenta policyjnego traktujesz nie jako interes dochodowy, lecz jako posłannictwo społeczne w połączeniu z przyjemnością sportsmana.

— Tego nie będę się starał ukrywać — odrzekł Holmes z uśmiechem. — Dlatego też nie będę tracił drogiego czasu i udam się z panem profesorem do jego mieszkania, gdzie poczynię pewne badania.

— Nie masz pan nic przeciwko temu? — zagadnął Remingtona.

— Ależ bardzo proszę — odparł tenże z wyrazem nadziei na bladej twarzy. — Służę panu.

Powóz profesora oczekiwał przed biurem dyrektora policji.

Szybko minęli rozrzuconą na południowym cyplu miasta dzielnicę handlową Charles-River, najstarszą w Bostonie i zabudowaną na sposób staroeuropejski.

Przejechali wzdłuż kilka szerokich ulic, most łączący Boston z Cambridge rozłożony nad rzeką Charles i stanowiący oddzielne miasto z odrębnym zarządem, lecz należący do obszarów Bostonu.

Mieszkanie profesora Remingtona znajdowało się w pobliżu słynnego uniwersytetu Howarda i na podobieństwo gmachów tegoż zakładu naukowego było otoczone pięknym ogrodem w rodzaju parku.

Urządzenie mieszkania, do którego wszedł Sherlock Holmes, świadczyło o możliwości i dobrym smaku właściciela.

Dom był zbudowany w stylu willi modernistycznej, a sprzęty odznaczały się wykwintem i przepychem.

We wszystkich pokojach panowała atmosfera szczególnego komfortu i ładu, przede wszystkim zaś w gabinecie profesora. Znakomity detektyw pociągnął Remingtona najpierw do pracowni, gdzie w ciszy i z dala od świadków pragnął raz jeszcze wypytać go o szczegóły zniknięcia małżonki.

— Wybacz mi pan niedyskrecję — rozpoczął — lecz muszę być dobrze poinformowanym, zanim zacznę działać. Czy żona pańska nie zdradzała usposobienia ekscentrycznego? Czy już przedtem nie popełniała czegoś, co można by uważać za oryginalność? Nareszcie czy, wychodząc z domu po raz ostatni, nie zdradzała wybitniejszego wzruszenia?

— Nie mogę nie powiedzieć, niestety — odpowiedział profesor. — Gdy wychodziła z domu, byłem wtedy zajęty w kolegium. Co się zaś tyczy ogólnego usposobienia Edyty, to zapewniam, iż nigdy nie zauważyłem u niej nic szczególnego. Co najwyżej mogę tylko zaznaczyć, że ostatnimi czasami przestawała z wielu przystojnymi i młodymi kobietami, których nie znałem.

Sherlock Holmes słuchał uważnie.

— Jakże się w tymże czasie zachowywała względem pana?

— Jeżeli mam być otwartym — odrzekł po krótkim namyśle — Edyta już od dłuższego czasu traktowała mnie ozięble. Ten przykry stosunek w ciągu ostatniego roku jeszcze się pogorszył. Pan nie uwierzysz, jaką mi to przykrość sprawiało.

Nie mogłem doszukać się powodów jej postępowania ze mną tym bardziej, iż kochałem Edytę, a moje do niej przywiązanie wznagało się.

— Zdarzały się pomiędzy państwem sprzeczki, a może nawet zajścia?

— Tego nie bywało.

— Czy nie podejrzewasz pan nikogo o wpływ ujemny na pańską żonę? Może istnieje ktoś, kto podmówił ją do porzucenia domu?

— Nie, nie podejrzewam nikogo, na to mógłbym przysiąc.

— W takim razie może komuś zależało na tym, ażeby żona pańska usunęła się z domu lub nawet, wybaczone panu, moja otwartość, może ów ktoś wolałby, gdyby pani Edyta żyć przestała?

Profesor starał się opanować pomieszanie w połączeniu z przestrachem, jego bladą twarz oblały silne rumieńce.

— Co panu też do głowy przychodzi? Panie Holmes... — nagle drgnął. — Ha, tego jeszcze brakowało! Świat gotów mnie posądzić, iż mi na jej śmierci rzeczywiście zależało.

— Cóż byś pan wtedy odpowiedział?

— Niestety, nie znalazłbym tłumaczenia... okoliczności mówiłyby przeciwko mnie. Bo wiedz pan, iż po jej śmierci byłbym jedynym i wyłącznym spadkobiercą. Ludzie o tym wiedzą i nie wątpię, że smutny fakt, jaki zaszedł, będą wyjaśniać w ten, a nie inny sposób. Żeniłem się jako człowiek zupełnie ubogi. Całe moje utrzymanie składało się ze skromnej pensji profesorskiej. To wszystko, co pan widzisz, wniosła mi Edyta, jej posagowi zawdzięczam życie na szeroką skalę! Do niej należy ten dom, park, sprzęty, słowem wszystko.

— Małżonka pańska posiada i kapitały złożone u bankiera?

— O tak, Edyta ma pokaźny majątek.

— Dowiadywałeś się pan u jej bankiera, czy puszczając się w świat, wycofała swoje wkłady?

— Tak właśnie uczyniła.

— Hm, więc żona pańska odwiedzała bankiera? Czy w dniu wyjazdu?

— Nie, na kilka dni przedtem.

— To mogłoby oznaczać, że wybierając się w podróż tajemniczą, miała plan z góry ułożony. Może nierychło powróci, a może znikła na zawsze.

— Nie wiem doprawdy, co o tym myśleć. — westchnął profesor.

— Dopytywałeś pan w hotelach? Czy, opuściwszy dom, nie przeniosła się do jednego z hoteli?

— Owszem i tego nie zaniedbałem. Edyta nie mieszka w żadnym ze znanych hoteli.

— Dzięki za wyjaśnienia. Nie będę pana trudził dalszymi zapytowaniami. Pozwolisz mi pan rozmówić się z pokojówką pani Edyty?

— Ależ z chęcią. Miała tylko jedną zaufaną służącą, mianowicie starą Jefferson, którą przywiozła ze sobą z domu rodzicielskiego. To poczciwa kobieta i możesz pan polegać na jej zeznaniach. Sądzę, że moja obecność przy jej badaniu nie będzie potrzebna.

— Wcale nie — odrzekł Sherlock Holmes. — Bądź pan łaskaw zaznajomić mnie z panią Jefferson.

— Poprowadzę pana do niej — odparł i otworzył drzwi na szerokie schody marmurowe, okryte grubym i miękkim dywanem. Dwaj panowie udali się na pierwsze piętro do pokoiów przeznaczonych dla pani domu.

Staruszka siwowłosa spojrzała na przybyłego siwymi, śmiałymi oczyma. Dopiero, gdy się dowiedziała kim jest ten pan nieznajomy, zmieszała się tak dalece, iż Sherlock Holmes musiał się wstrzymać z zapytaniem i poczekać, aż staruszka odzyska cokolwiek równowagi.

— Niechże się kochana pani nie obawia — mówił. — Będę ją prosił o udzielenie mi pewnych wyjaśnień, potrzebnych do sprawy. Sądzę, że znałaś pani dobrze panią profesorową.

— Jak własne dziecko.

— Zatem proszę mi powiedzieć, czy pani Edyta rzeczywiście kochała swego męża.

— Tak sądzą — odrzekła po namyśle i z pewnym ociąganiem.

— Profesor mówił mi o pani. Przez czas dłuższy przebywałaś w domu jej rodziców, nieprawdaż? Sądzę więc, że musisz wiedzieć, czy pani Edyta przed poznaniem swego małżonka miała narzeczonego lub w ogóle pozostawała w stosunkach z innym mężczyzną?

— O tak, o tym nikt jak ja nie może wiedzieć lepiej — odparła stara Jefferson. — Panią Edytę za jej czasów panieńskich nie łączyły z nikim żadne stosunki. To nie byłoby w jej charakterze.

— Nie w jej charakterze?

— Tak jest — potwierdziła z wyraźnym pomieszaniami.

— W domu jej rodziców musieli chyba bywać młodzi ludzie?

— A jednak... — odparła wstrzemięźliwie i z obawą, aby nie powiedzieć za wiele.

— To dziwne — zaznaczył Sherlock Holmes i spojrzał przenikliwie w oczy matrony. — Czy pani nie znajdujesz, że ta obojętność młodej panny przedstawia się nieprawdopodobnie? Bo zważ pani, iż panna młoda, przystojna i bogata w mieście wielkim jak Paryż, mogłaby znaleźć adoratorów.

— Pomimo to, powtarzam, moja pani stroniła od towarzystwa młodzieży, gardziła nią po prostu i usuwała się od towarzystwa. Miała kilka bliższych przyjaciółek i w ich towarzystwie czas przepędzała najchętniej.

— A jednak oddała rękę profesorowi i odważyła się pojechać z nim za ocean?

— To prawda, lecz stało się to prawie gwałtem, pod naciskiem matki, która jest urodzoną Amerykanką. Ona to popierała kandydaturę profesora Remingtona, pragnęła bowiem widzieć swoją córkę na stanowisku poważniejszym. Śmiało mogę powiedzieć, iż związek ten nastąpił wbrew woli i chęci mojej młodej pani.

— Profesor jest podobno dobrym mężem?

— Lepszego to już chyba trudno znaleźć na świecie — odpowiedziała gorąco.
— Kochał ją nadzwyczajnie i do ostatniej chwili był jej sługą i podnóżkiem.

— I ja tak myślę, kochana pani Jefferson — odrzekł detektyw. — A teraz proszę mi powiedzieć prawdę. Czy nie zjechała tu z Paryża jedna z dawnych przyjaciółek pani profesorowej?

— Nie wiem o tym.

— A może pan Remington miał kiedyś przyjaciółkę, która go znowu odnalazła?

Staruszka wzruszyła ramionami.

— Namyśl się pani dobrze. Na jej wyjaśnieniach zależy mi bardzo wiele. Przede wszystkim bądź pani przekonana, iż to, o czym mówimy, pozostanie w głębokiej tajemnicy. Powinnaś pani zrozumieć, iż zapytuję nie dla zadowolenia próżnej ciekawości.

— Ja też mówię szczerą prawdę — oznajmiła — i nie mam celu okłamywania pana. O przyjaciółce profesora nie słyszałam i wątpię, czy taka istnieje. Natomiast do mojej pani przychodziły młode damy. Wątpię jednak, czy będę mogła powiedzieć o nich coś bliższego. Chcąc mówić, trzeba wiedzieć na pewno.

— Mówże pani, co wiesz, ja też nie żądam więcej.

— Przed dwoma tygodniami, wieczorem moją panią odwiedziła młoda dziewczyna i poszła z nią do parku Fresh.

— Czemu nazywasz ją pani „dziewczyną”, a nie damą?

— Ponieważ istnieją różnice, proszę pana. Długo żyję na świecie i potrafię odróżnić zwyczajną dziewczynę od damy światowej. Dziwiła mnie serdeczność, z jaką moja pani przyjęła dziwnego gościa.

— Na czym ta serdeczność polegała?

— Pani ucałowała się z nią jak z zażyłą przyjaciółką.

— W pani obecności?

— Tak, lecz one nie wiedziały, że znajduję się w sąsiednim pokoju. Obydwie wkrótce potem wyszły do miasta, a że profesor miał wkrótce powrócić do domu, pobiegłam do parku Fresh, dokąd pani zwykle udawała się na przechadzkę.

Godzina była już późna i nie chciałam, aby pani powracała sama. Otóż przychodzę do parku i widzę panią profesorową spacerującą z ową dziewczyną pod ramię.

— Jak pani sądzisz, czym sobie ta dziewczyna mogła zaszkodzić sympatią pani Remington?

— W tym tkwi tajemnica. Bo czy mam powiedzieć prawdę?

— Oczywiście, słucham.

Staruszka odrzekła słabym, drżącym głosem:

— Nie chciałabym rzucać podejrzeń na moją panią, lecz... nie wolno mi kłamać przed przedstawicielem sprawiedliwości. Dziewczyna, którą moja pani dobrała sobie do towarzystwa, była jedną z tych ulicznych, jakie włóczą się po mieście, a których nie brakuje i w Paryżu.

— Z czego pani wnosisz, że to była ulicznica?

— O, jestem starą kobietą i wiele widziałam w moim życiu. Tak panie, ja się nie myślę, niestety!

— Rozmawiały po angielsku?

— Nie, proszę pana, po francusku.

— Wiesz pani na pewno?

— Mogę to potwierdzić pod przysięgą.

— Nie widziałas pani jej portretu u profesorowej?

— Nigdy.

— Zaprowadź mnie pani do buduaru.

Staruszka poprowadziła gościa na korytarz, uchyliła drzwi przysłonięte jedwabną portierą. Detektyw znalazł się w urządzonym z niezmiernym przepychem pokoju kobiecym.

Sherlock Holmes bywał w najwspanialszych apartamentach, lecz ten buduar olśnił go po prostu. Był to pokój urządzony w stylu paryskim.

Pod oknem stało wytworne biurczko mahoniowe.

Ten sprzęt zwrócił uwagę detektywa.

— Masz pani klucz od tego biurka? — zwrócił się do przewodniczki.

— Nie mam, pani Remington, jak się zdaje, zabrała go ze sobą.

— To nic nie znaczy — odrzekł spokojnie i sięgnął do kieszeni, z której dostał klucz uniwersalny, stalowy, wytwornej roboty ślusarskiej.

Po chwili szuflada została otwarta.

Leżały w niej paczki listów, starannie poukładane i przewiązane błękitnymi wstążeczkami.

Sherlock Holmes na razie nie zwracał na nie uwagi. Zaciekawily go liczne fotografie, ułożone w porządku. Wydobył je i przerzucał na podobieństwo talii kart.

— Zbliź się pani — rzekł do starej Jefferson. — Proszę przejrzeć te fotografie. Czy nie ma tu portretu owej dziewczyny z parku Fresh?

Stara pokojowa uważnie przeglądała portrety młodych kobiet i dziewcząt.

Z paczki wydobyła jedną z fotografii.

— To ona! — zawołała z przejęciem. — O tak, nie myślę się, to ta sama!

— Bardzo dobrze — odparł ze spokojem. — Teraz ja sam zbadam ją uważniej. Tak, buzia wcale niebrzydka, typ prawdziwej paryżanki. Odzież trochę przygnieciona, lecz kosztowna. Dziewczyna wystawiła tu swoje wdzięki na pokaz.

A teraz obejrzymy fotografię z drugiej strony. Może natrafimy na coś, co nas naprowadzi na drogę...

Co? Nie ma dedykacji? Aha, tu na rożku jest coś nabazgrane. Hm, tego niepodobna odczytać gołym okiem.

Napis był zatarty, jakby go chciano wyskrobać szczyrzykiem.

Holmes sięgnął do kieszeni po lupę.

Skierował ją na odwrotną stronę fotografii i po chwili jego cienkie wargi skrzywiły się w sarkastycznym uśmiechu.

— Ach — szepnęła do siebie tak cicho, iż staruszka nie mogłaby go zrozumieć — tak więc nie omyliłem się. Ta przystojna dziewczyna jest rzeczywiście Francuzką. Nakreśliła kilka wierszy, które brzmią bardzo serdecznie. Wystosowane do „przyjaciółeczki” Edyty. Podpisane imieniem Heloizy.

Skrętnie ukrył fotografię w pugilaresie obok portretu Edyty, którego mu dostarczył naczelnik policji.

Przejrzenie listów nie zabrało mu wiele czasu. Wszystkie pochodziły od profesora Remingtona z czasów, gdy był jeszcze narzeczoną.

Uporządkował listy i przewiązał wstążeczkami, złożył je na poprzednim miejscu, po czym zamknął szufladę.

— Jak się pani zdaje — badał jeszcze — czy pani profesorowa wybrała się w dłuższą podróż i czy w ogóle jest nadzieja, że powróci?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Myślę — powtórzył — czy wzięła walizę z bielizną i odzieżą? Gdzież jest pokój garderobowy pani Remington?

— Proszę, niech pan pozwoli.

Wprowadziła go do wielkiego pokoju, którego ściany przysłaniał szereg pokazanych szaf. Detektyw otwierał je kolejno.

— Bądź pani łaskawa sprawdzić, co właściwie brakuje pomiędzy odzieżą podróżną tej pani? Aha, a może wzięła ze sobą małą torebkę podróżną?

— Jakby pan zgadł — odrzekła pani Jefferson zajęta przeglądaniem szafy — brakuje małej torebki.

— To dobrze, dziękuję pani. Wiadomości, jak na teraz, wystarczają mi. I jeszcze jedno: zanim się pożegnám z profesorem, powiedz mi pani, czemu to pani Edyta rok temu odjechała od męża na czas dłuższy?

— Nie wiem i nic nie mogę o tym powiedzieć, pomimo najlepszych chęci.

— Nie wiesz pani, czy to możliwe?

— Zapewniam, iż nie mam wyobrażenia.

— Wierzę pani. Do widzenia, kochana pani Jefferson, a proszę nie rozpowiadać o naszej rozmowie nikomu, pani rozumie, ani żywej duszy. Czy mogę mieć nadzieję?

— Umiem milczeć, jeżeli potrzeba. Czy i wobec profesora?

— Sam mu powtórzę to, co będę uważał za stosowne. Od zachowania tajemnicy zależeć będzie odnalezienie pani Remington, a myślę, iż pani chciałaby ją odzyskać.

— Pan nie uwierzy, jak mocno leży mi to na sercu — odrzekła ze łzami w oczach. — Kocham moją panią jak nikogo na świecie. Wychowałam ją na własnych rękach... przy tym gdzież bym się podzielała na stare lata? Będę milczała jak grób, możesz pan być spokojny.

Sherlock Holmes poklepał ją po ramieniu, pożegnał się z profesorem i żywo podążył do hotelu, w którym Harry oczekiwał go niecierpliwie.

2. Zagadkowe ogłoszenia

Harry Taxon pałał ciekawością, pragnął bowiem dowiedzieć się czym prędzej, co skłoniło jego mistrza do odłożenia wyjazdu z Ameryki i to w ostatniej chwili.

Sherlock Holmes, wchodząc do pokoju, ujrzał Harry'ego, który bujał się w fotelu i dla skrócenia oczekiwań przeglądał z roztargnieniem najświeższy numer „Heralda” bostońskiego.

Młody człowiek zerwał się z fotela niby wysadzony sprężyną.

— Dobry wieczór, mój chłopcze — rzekł detektyw z uśmiechem przyjacielskim. — Cóż, dziwią cię moje najnowsze rozporządzenia?

— I ja tak myślę — odrzekł również z uśmiechem. — Gdyby nie to, znajdowalibyśmy się teraz na pełnym morzu.

— Przykro ci, że jeszcze na kilka dni zostaniemy w Bostonie?

— To nie, ale to miasto, prawdę mówiąc, nie bardzo mnie nęci.

— W Londynie lepiej, co?

— Też pytanie! Tam człowiek doznaje przynajmniej wrażeń.

— Pomiędzy włóczęgami, mordercami i rabusiami? Podniosłe wrażenia!

— W każdym razie to uczy i bawi.

— No, no, uspokój się, przyjacielu. Tego rodzaju rozrywek i tu możesz mieć po uszy. Tylko cierpliwości.

— Ma pan może coś nowego do roboty?

— Naturalnie, w tym właśnie celu zostałem.

— O cóż idzie? Może jakie śliczne morderstwo, ważną kradzież, zrabowanie banku lub coś podobnego?

— Nie zgadłeś. Będziemy szukać śladów zaginionych kobiet.

— Aha, czytałem o tym w „Heraldzie” bostońskim, wypisano cały szereg artykułów.

— Tak? Masz te numery?

— Mam je ułożone. Służę.

Harry podał Holmesowi kilka egzemplarzy wielkiego dziennika i wskazał na ustępy nakreślone ołówkiem.

Detektyw miejsca naznaczone szybko przebiegł oczyma.

— Hm — oznajmił — nic nowego. Wszystko to wiem od inspektora policji, który łamie ręce z powodu opieszałości swoich agentów.

Muszę jednak dokładnie odczytać całe artykuły.

Lecz cóż ja widzę? Harry, z ciebie też oryginał. Pomiędzy najświeższe egzemplarze dzienników włożyłeś stare numery. Zajmujesz się archeologią, jak widzę? Też idea, szperać w starych gazetach!

— A niechże cię też... — rzekł Harry. — Nie spojrzałem na daty i czytałem wiadomości sprzed tygodnia. Co to znaczy roztargnienie!

— Które ci wspaniałomyślnie przebaczam i nawet jestem z tego kontent. Zostaw te stare gazety.

— A to po co? — zapytał ze zdumieniem.

— Spójrzj uważnie na rubrykę ogłoszeń.

Harry odwrócił właściwą stronicę i z wolna orientował się w kolumnie zapelnionej anonasami.

Mistrzowi wydało się te zbyt powolnym.

— To dopiero niedołęga! — zawołał niecierpliwie. — Czy nie widzisz tu, z prawej strony u góry w szpalcie końcowej, ogłoszenia na pozór pozbawionego wszelkiego sensu?

— To prawda, mistrzu, same głupstwa bez żadnej treści.

— Ja zaś inaczej o tym myślę. W tych oderwanych głoskach i sylabach musi jednak tkwić głęboki sens — rzekł Sherlock Holmes. — Autor lub autorka ogłoszenia nie chciała po prostu, aby je zrozumieli ludzie niepowołani.

— Sądzisz pan, że mu się uda rozwiązać tą tajemniczą zagadkę? — zapytał Harry z niedowierzaniem.

— Wszystko na świecie jest możliwe — odparł, wyciął anons i schował do pugilaresu. Następnie nabił i zapalił fajkę.

— O teraz, mój chłopcze, puścimy się na wycieczkę nocną po Bostonie.

Harry podskoczył z radości.

— Nie myśl — ciągnął genialny kryminalista — iż idę łowić zbójów. O nie, przejdziemy się do zakładów, w których jest coś ciekawego do oglądania.

— Może na przykład do szynkowni urządzonych dla kobiet?

— Ha, ha! Z góry wiedziałem, że mi zadasz to zapytanie — zaśmiał się detektyw. — Ale nie kramarz się, śpiesz mój synku i wystąp w pełnym rynsztunku. Żywo.

— Słucham pana — zawołał Harry i jednym susem wpadł do przyległego pokoju, gdzie przebierał się pospiesznie.

W ciągu kilku minut ukazał się w przebraniu wytwornego dandysa, z elegancką laseczką w ręku, ukrywającą długi i ostry sztylet.

Sherlock Holmes ze swojej strony wystąpił pod postacią obywatela wiejskiego z okolic Bostonu.

Wdział surdut staroświeckiego kroju, czarny wysoki krawat i niemodny kapelusz filcowy, a głowę okrył siwą peruką.

Zadowolenie Harry'ego nie miało granic.

— Czy jesteś ze mnie zadowolony, kochany wuju? — zapytał żartobliwie. — Daję głowę, że nikt nas teraz nie pozna!

— Zaraz się o tym przekonamy — oświadczył Holmes, wziął go pod ramię i wyszedł na schody hotelowe, a stąd o piętro niżej, do poczekalni hotelowej.

Służba wyfraczona na siwowłosego staruszka i jego młodego towarzysza nie zwracała uwagi.

— To dobry znak — szepnął detektyw. — Ci ludzie znają nas przecież, pomimo to uważają nas za gości przybyłych w odwiedziny do lokatorów tutejszych.

Siądźmy na chwilę i przejrzyjmy dzienniki, w których może się znajdzie powtórzenie anonsu. Mamy jeszcze dość czasu na włóczęgę.

Obydwaj przeszli do czytelnia, zażądali herbaty i zajęli się przeglądaniem gazet.

Na stole leżał cały stos gazet wieczornych, jakich mnóstwo wychodzi w Bostonie.

O tej godzinie czytelnia była prawie pusta, goście hotelowi jeszcze nie zaczęli się schodzić na zwykłą lekturę wieczorną.

Długo szperali bez żadnego skutku. Sherlock Holmes sięgnął w końcu po małą, niepoczytną gazetkę, która leżała oddzielnie jeszcze nierozcięta.

Spojrzał na dział ogłoszeń i uśmiechnął się na znak zadowolenia.

Na przedostatniej stronicy znalazł inserat zupełnie podobny do wyciętego z „Heralda”, ogłoszenie było oznaczone tą samą datą.

— Harry — mruknął mu na ucho — przysuń się do mnie i spojrzysz na to ogłoszenie. Wszak jest podobne do tamtego słowo w słowo?

— Zupełnie — odrzekł zdziwiony. — Cóżby to miało znaczyć?

Holmes sięgnął do pugilaesu, wydostał anons i porównywał obydwie.

Treść pierwszego była następująca:

„He, zo, kaj, mnie, pe, dzi, wie, rem, ri, na, ve, e, wia, mem, scu, dę, ka, ra, je, go, wa, chać, to”.

Odczytywali i składali sylaby w najrozmaitszy sposób a nie mogąc z nich wymiarować sensu, porównali ten anons z następnym, który brzmiał: „loi, cze, na, na, wno, siał, czo, Her, zo, A, nu, w, do, miej, przyj, w, żdym, zie, stem, to, je, z, bą”.

To drugie również nie doprowadzało do wyników.

Naraz Holmes uderzył w dłonie i zawołał:

— Mam nareszcie! Jedno ogłoszenie jest uzupełnieniem drugiego. Zróbmy próbę.

Szybko wyciągnął ołówek z notatnika i przepisywał sylaby z ogłoszeń, mieszając je ze sobą w taki sposób, iż utworzyły tekst na ten raz zupełnie zrozumiały:

„Heloizo! Czekaj na mnie na pewno, dzisiaj wieczorem, Harrison Avenue, w wiadomym miejscu. Przyjdę w każdym razie, jestem gotowa jechać z tobą”.

Znakomity detektyw wyciął z gazetki i to drugie ogłoszenie, schował razem z pierwszym, szybko dopił herbatę i z Harrym opuścił hotel.

— O ile poznałem Boston w ciągu tak krótkiego czasu — mówił Holmes — wiem, iż wesole córki Aten amerykańskich zbierają się głównie w „barze” przy Sharomutt Avenue. Idźmy tedy do tej szynkowni. Może tam znajdziemy tę, która jest mi bardzo potrzebna.

— Co za jedna?

— Niejaka Heloiza, pod której adresem były zamieszczone owe ogłoszenia. Ona mnie najlepiej objaśni, co się stało z żoną profesora Remingtona. A gdyby mi się udało odnaleźć Edytę, wtedy nie wątpię, iż wytropię i pozostałe kobiety.

Szybko minęli kilka ulic jaskrawo oświetlonych lampami elektrycznymi oraz blaskiem wystaw sklepowych, stąd zboczyli w ulicę mniej ożywioną i wreszcie znaleźli się u celu.

Była to piwiarnia „Pod dzikim kotem”, jedna z najbardziej podejrzanych w Bostonie.

Okna tego zakładu były szczelnie zasłonięte firankami, co zabezpieczało wnętrze knajpy od ciekawych oczu profanów. Przy tym zasłony tłumiły wrzawę krzyków i wrzasków, jakie rozbrzmiewały w przybytku farbowanych piękności.

— Odwagi, Harry — szepnął Holmes i ciągnął go za sobą do „salonu”.
— W Londynie odwiedzaliśmy gorsze zakłady, a nie stało nam się nic złego. Mamy wszak wypróbowaną broń, bez której nigdy bym się wejść tu nie odważył. W Ameryce ludzie chwytają się rewolweru lub noża przy łada sposobności, tu trzeba być bardzo ostrożnym.

Po tym ostrzeżeniu otworzył drzwi i obydwaj weszli do izby zadymionej oraz przepelnionej najniemożliwszymi zapachami.

3. Cenne wiadomości

W szynkowni, napelnionej gośćmi płci obojga, było dymno i niesłychanie gorąco.

Pomiędzy mężczyznami pijącymi i palącymi uwijały się krzykliwe i jaskrawo odziane „damy” ze światka ulicznego.

Atmosfera zakładu uczęszczanego prawie wyłącznie w nocy dla nowo przybyłych była nie do wytrzymania.

Czuli się obcymi wśród mężczyzn pijanych o powierzchowności podejrzanej i tych kobiet wywleczonych z nor upadku moralnego.

Holmes postanowił szybko rozejrzeć się w towarzystwie, w razie gdyby tu nie znalazł poszukiwanej Heloizy, porzuci lokal pijaństwa i gniazdo zepsucia.

Lecz trudno mu było orientować się wśród tłumnego i ruchliwego zbiegowiska. Przy tym nie wiedział na pewno, czy niedobra przyjaciółka pani profesorowej istotnie uczęszcza do ohydnej knajpy, którą odwiedził, zdając się jedynie na los szczęścia.

Bar jednakże miał opinię głównego punktu zbornego prowadzących się niemoralnie dziewcząt Bostonu.

Dokoła siedziały w pozach zalotnych umalowane „piękności”, strojne w sztuczne kwiaty i pomięte a zbrukane suknie jedwabne. Krzyczały, śmiały się do rozpuku, przeważnie bez usprawiedliwionego powodu i zwracały się z natrętnymi prośbami do podchmielonych mężczyzn o szklankę grogu.

Tuż obok dwóch detektywów siedziała ulicznica, której Holmes, wiedziony niewytłumaczonym przecuciem, kazał podać kieliszek grzanej wódki.

Może też ta uczerniona dziewczyna udzieli mu pożądanych wskazówek o Heloizie.

— Cóż, moja piękna panienko — zagadnął małą brunetkę czupurnie uczesaną — nudzisz się, jak widzę i poziewasz. Czy nie zechciałabyś przyłączyć się do

naszego towarzystwa? Przyprowadziłem tu przystojnego chłopca, który chciałby użyć przyjemności pogawędzenia z dowcipnymi damami.

Brunetka przysunęła swój stołek do ich stolika.

Sherlock Holmes kazał przynieść kolejną porcję wódki i trącił się z nową znajomą. Ta nie dała się prosić i wychyliła kieliszek jednym duszkiem.

Po drugiej kolejce wpadła we właściwy ton. Trzpiotała się, wyśpiewywała piosenki uliczne i w ogóle zachowywała się hałaśliwie jak pozostałe koleżanki.

Detektyw wyzyskał stosowną chwilę, nieznacznie wydobył z pugilaresu fotografię Heloizy i podsunął ją przed oczy dziewczyny.

— Znasz ją, moja stokrotko? — zapytał z niechcenia.

— Ba, któżby jej nie znał — odparła bez namysłu. — Któżby nie znał małej paryżanki?

— Zapewne bywa w zakładzie tutejszym?

— Dawniej bywała, ale myśmy ją stąd wykopały za drzwi.

— A to czemu? — badał z niewinnym uśmiechem na twarzy. — Posprzeczaliście się z koleżanką?

— Koleżanka? — mruknęła pogardliwie. — Dziękuję za taki zaszczyt.

— Czemu? Cóż wam zrobiła złego?

— To gałganica ostatniego rzędu! — prawiała z oburzeniem. — Uprawia fach, który prędzej lub później doprowadzi ją do więzienia. Znam ją jak zły szeląg, ponieważ mieszkaliśmy na jednym piętrze. Heloiza odnajmowała dwa pokoje od niejakej pani Fox... dwa pokoje, rozumiesz staruszkę? Żadnej z nas nie stać na podobne zbytki. A jakie meble, jakie suknie i okrycia! Ta bestia nie należy do naszej sfery, zapewniam pana.

— Doprawdy, nie rozumiem cię, moja mała. Hej, kelner, proszę ponczu dla pani! Otóż, co miałem rzec, to jakaś dziwna dziewczyna ta Heloiza?

Mała brunetka na hojnego i wymownego staruszka spojrzała podejrzliwie.

— Nie pojmuję doprawdy — rzekła — co pana może obchodzić ta wstrętna Francuzica? Też pomyśl, obnosić fotografię podobnego potwora.

Zamyśliła się i nagle utkwiała w nim swoje czarne, rozgorzałe oczy.

— A może masz pan w tym jaki interes?

— Jakiż miałbym mieć interes? — zagadnął i z jej ruchów starał się wymiarować sens ukryty w zapytaniu.

— Bo gdyby tak było, to...

— To co, moja duszko?

Ulicznica wychyliła nowy kieliszek i zatrzęsa się, jak to robią pijacy.

— Ha — ciągnęła — nie byłoby w tym nic dziwnego. Jak myślę, jesteś pan człowiekiem dość zamożnym i może masz córkę?

— Jakbyś zgadła, moja miła — zapewniał Holmes. — Jestem ojcem trzech dorodnych córek. Nie uwierzysz, wiele mam z nimi kłopotów. Dziewczęta pragnęłyby wyjść za mąż...

Brunetka stuknęła o stół pustym kieliszkiem.

— Otóż widzisz, mój staruszkule, po co tu było kręcić i mówić ogródkowo? Mam bystry wzrok, oho, wiem, gdzie trawa rośnie i zaraz pomyślałam, iż nie przychodzisz do naszej knajpy dla prostej rozrywki.

— Zgadłaś! — zawołał, a jednocześnie łamał głowę nad wymiarkowaniem, co ta dziewczyna ma właściwie na myśli.

Lecz ona sama wybawiła go z kłopotu.

— Teraz już wiem, czego mam się trzymać. Nie oszukuj mnie pan i powiedz otwarcie: pańska córka też wpadła w sidła Heloizy?

— Skąd wiesz? — mruknął z doskonale udanym zdumieniem.

— Wiem, wiem! — tu zniżyła głos. — Jak już powiedziałam, jestem dziewczyną może... jak wy to nazywacie... upadłą, ale nikogo nie oszukałam i nie okradłam. Tymczasem ta paryżanka... Co mi tam, nikt mi nie zamknie ust, jeżeli chodzi o sprawiedliwość. Ona udaje co innego, a robi znowu co innego. Mieszkanie z dwóch pokoiów z jedwabnymi firankami i meblami krytymi pluszem jedwabnym! Skąd Heloiza czerpie te dostatki? Z rabunku. Wiesz pan kogo okrada? — mówiła zgorączkowana. — Czepia się młodych, przystojnych pań. Po co ona to robi? Oczywiście dla wyprowadzenia ich w pole. Nie wiem, jakich używa sposobów dla przypodobania się tym głupim gęsiom, ale to pewna, iż nosi na palcach pierścionki z brylantami.

Kelner na skinienie Sherlocka Holmesa przyniósł trzy kufle wina mrożonego na ochłodę.

Dziewczyna rzuciła się skwapliwie na przysmak nieznany i coraz bardziej ośmielona i rezolutna, ciągnęła:

— Opowiadałam to, bo widzę z pańskiego zaciekawienia, iż masz kogoś bliższego, co się też załapał. Nieraz myślałam, iż byłoby dobrze zawiadomić policję, ale... Pan wiesz, unikam policji z zasady. Niech ta wstrętna zbrodniarka padnie z innej ręki. Pan jesteś człowiekiem uprzejmym i potrafisz obchodzić się z damami. Dla pana nie mam żadnych tajemnic.

Otóż od czasu awantury, jaką zrobiłyśmy Heloizie, straciłam ją z oczu. Spotkałam ją dopiero przed czterema dniami. Była wystrojona jak córka milionera, to mnie zastanowiło. Pomyślałam, mam trochę wolnego czasu, zobaczmy, dokąd ona idzie.

— I poszłaś? — wzrok detektywa zapalał blaskiem fosforycznym.

— Poszłam oczywiście. Heloiza, szeleszcząc swoimi jedwabiami, powlokła się na Harrison Avenue, tu zwolniła kroku i przechadzała się, jakby czekała na kogoś. Wkrótce z bocznej ulicy ukazała się wytworna młoda dama, serdecznie przywitała się z paryżanką i zagadnęła do niej po francusku.

— Która była godzina? — spytał detektyw.

— Jakoś pomiędzy siódmą i ósmą wieczorem, zapalali latarnie na ulicach. Obydwie odjechały dorożką.

— Cóż w tym dziwnego? — wtrącił się Harry po porozumieniu się wzrokiem ze swoim mistrzem.

Dziewczyna skrzywiła twarz uśmiechem wyrażającym politowanie.

— Młodzi panowie bywają niedomyślni — odparła rezolutnie. — Czytaliście panowie ostatnie, gazety? Jeden z moich znajomych mówił, iż gazety dzisiejsze są przepełnione opisami o nowym dziwie. Znowu znikła bez wieści jedna dama z towarzystwa... żona profesora!

Pochyliła się do ucha Holmesa i szepnęła:

— Kobieta, która odjechała z Heloizą, była owa pani profesorowa. Jak ona się tam nazywa? Aha, przypominam, pani Remington.

Siwy jegomość w staromodnym surducie drgnął.

— Et, gdzieżby zaś profesorowa... — uśmiechnął się z niedowierzaniem.

Ulicznica uderzyła pięścią w stół.

— Już mi pan głowy nie zawracaj. Jeżeli tak mówię, to muszę mieć zasady. Rok temu pani Remington też znikła z Heloizą!

— Skąd masz te wiadomości?

— Czy już nie mówiłam, że mieszkalam z paryżanką na jednym piętrze? Ta profesorowa często ją odwiedzała w mieszkaniu, które Francuzka odnajmowała od pani Fox przy Silver Street. Spotykałam panią Remington na korytarzu, nie-raz po dwa razy dziennie i poznałabym ją po ciemku.

— Jak długo profesorowa przebywała u Heloizy?

— Trzy lub cztery dni. Gospodyni nie była z tego niezadowolona, nowa lokatorka doskonale płaciła za komorne i usługi. Znam wybornie głos pani Remington i naśladowałabym, gdyby nie to, że jestem pijana. O ile mogłam zmiarkować z ich rozmów, znały się jeszcze z czasów paryskich.

— To dobrze, moje dziecko — rzekł Holmes z zadowoleniem. — Twoje zeznania mogą mi się przydać przed sądem. Nie lękaj się i bądź pewna hojnej zapłaty. Daj mi swój adres i opisz mi dokładnie miejsce na Harrison Avenue, gdzie obydwie przyjaciółki wsiadły do dorożki. Ta ulica jest bardzo długa.

— Odnajdziesz je pan bez trudu. Wsiadły na stacji dorożkarskiej, jak mi wiadomo, jest tam tylko jedna stacja.

— Wybornie. Powiedz mi jeszcze, czy pani Remington miała ze sobą torbę podróżną?

— Nawet sporą torbę.

— A może odjechały na dworzec kolejowy?

— To możliwe, ale na pewno powiedzieć nie mogę.

— O tym się dowiem. Do widzenia na tymczasem, moja szczebiotko.

Sherlock Holmes zapłacił należność za poczęstunek, wsunął w rękę dziewczyny kilka dolarów i, pożegnawszy ją uprzejmie, wyszedł wraz z Harrym.

4. U Czerwonego Billa

— Co o tym myślisz, Harry? — zapytał Holmes, gdy się już znaleźli na ulicy.
— Opłaciły nam się odwiedziny tej spelunki.

— To prawda — odrzekł zapytany. — Co pan myśli robić?

— Pójdziemy najpierw na Harrison Avenue, które jest stąd niedaleko.

Idąc szybko, minęli kilka ulic i wkrótce znaleźli się na bulwarze oświetlonym rzęsiście. O kilkadziesiąt kroków dalej ujrzeli stację dorożek, na której w tej chwili naliczyli ledwie kilka powozów.

Holmes zwrócił uwagę na woźnicę, którego powierzchowność wyróżniała go spośród kolegów.

Był to człowiek już stary, siwowłosy, z dość długą brodą i czerwonym nosem na pomarszczonej twarzy.

— Cóż moi panowie — zagadnął, spostrzegłszy ich badawcze spojrzenia, jakimi mierzyli przystanek — może pojedziemy?

— Owszem, mój przyjacielu — odrzekł detektyw. — Chciałbyś nas zawieźć?

— Ma się rozumieć. Dziś, do diabła starego, mam przez cały dzień pech. Marny miałem zarobek.

— Hm, to niesprawiedliwość losu, nie powinieneś stać bez pasażerów.

— Oj, to prawda!

— Uważam — ciągnął detektyw — iż jesteś pan najstarszym wiekiem spośród kolegów.

— Zgadłeś pan. Jestem starym wygą dorożkarskim, od wielu lat stoję na tej stacji.

— I uważasz bracie na wszystko, co się dokoła dzieje?

— Zapewne. Aha, chciałbyś się pan czego dowiedzieć? — i zmierzył nieznanego swymi małymi, żywo biegnącymi oczami.

— Mówisz jak jasnowidzący.

Sherlock Holmes sięgnął do pugilaresu i pokazał woźnicy fotografię Heloizy oraz żony profesora.

— Powiedz mi przyjacielu — zapytał — nie przypominasz sobie przypadkiem, czy na tej stacji nie wsiadały do której z dorożek te dwie damy?

Stary spojrzął z uwagą na fotografię.

— Możliwe — odparł po chwili. — Było to przed paru dniami.

— Wyśmienicie. Nie moglibyście wskazać mi numeru dorożki, do której wsiadły?

— Czemu nie? Widzę, iż mam do czynienia z panami, którym nie zależy na kilku dolarach — i zrobił odpowiedni ruch rękoma.

— Taki to z ciebie ptaszek? — zaśmiał się Sherlock Holmes i, odbierając fotografię, wcisnął mu w dłoń kilka monet. — Oho, wiecie, z której strony wiatr wieje. Cóż, jesteście zadowoleni?

— Dziękuję, teraz możemy pogawędzić — odparł, chowając pieniądze do kieszeni. — A więc chciałbyś pan wiedzieć, którą z dorożek pojechały? Masz pan szczęście. To ja je zawoziłem.

— Dzielnie, mój drogi przyjacielu. Dokąd pojechały?

Wóznica zdjął kapelusz i poskrobał się w głowę.

— O, to niełatwa sprawa...

— Czemu? Czy zapomnieliście w jakim kierunku wieźliście te dwie kobiety?

— Gdzieżby zaś — odpowiedział z figlarnym uśmiechem — ale czy to wypada zdradzać tajemnice prywatne i jeszcze młodych kobiet?

— Nie róbże głupstw, przyjacielu — uspokajał Holmes jego skrupuły, przy czym wydobył z portmonetki dwie sztuki złota.

— Muszę wiedzieć koniecznie, dokąd się udały te panie. Bardzo mnie to interesuje, rozumiesz?

I podał dorożkarzowi nową dozę pieniędzy.

— Interesują pana te damy? — powtórzył wóznica. — Hm, wątpię, czy będę mógł cośkolwiek powiedzieć.

— Co znaczą wasze kaprysy?

— Bo widzi pan... Ja sam z ich zachowywania się niewiele zrozumiałem. Wyglądały nie jak złodziejki, które, wsiadając do dorożki, każą stawiać budę, ale jak obłąkane. W pierwszej chwili nie mogłem wyjść z podziwu, co może oznaczać tak niedobre towarzystwo. Jedna wyglądała na damę, druga... O, znam się na tym, bo jestem starym, wytrawnym bostończykiem. Ta druga była to po prostu najzwyczajniejsza dziewczka uliczna, nawet pomimo wykwintnego stroju. Jak jestem John Snubbs, nigdy nic podobnego oczy moje nie oglądały. Teraz dopiero zaczynam pojmować... Jesteście panowie agentami policyjnymi, a te dwie musiały spłacać coś porządnego. Tylko czemu one tak trzpiotały się i chichotały? Z drugiej strony, jeżeli panowie jesteście naprawdę detektywami, to znam prawo i wiem, że nie powinienem milczeć.

— Może zgadłeś, kochany Snubbs. Nie trzymajże nas dłużej w niepewności i mów, co wiesz. Dokąd je zawiozłeś?

— Ha, ha! — wóznica zaśmiał się z wielkiego zadowolenia. — Stary Snubbs ma dobry węch, co? Od razu zwierzyłem, iż przyszlście tu panowie nie na przechadzkę, ja się na tym znam.

— Nie trzymajże nas i nie zabieraj nam czasu! — zawołał Holmes, już wychodząc z cierpliwości.

Snubbs spojrział na niego z przestrachem.

— O, zaraz krzyki! Ależ co mam robić, powiem, tylko daj pan ucho.

Wychylił się z kozła i szepnął detektywowi na ucho:

— Pojechały do Czerwonego Billa.

— Do Czerwonego Billa?

— Myślę, że go pan znasz. Detektyw nie znałby człowieka, o którym mówi cały Boston?

— Czegóż one mogły chcieć u Czerwonego Billa? — zapytał Holmes, który jako obcy nie miał wyobrażenia ani też nigdy nie słyszał o tym człowieku.

— Mój Boże! — mruknął dorożkarz z wyrazem zgrozzenia. — Powiadasz pan, że jesteście detektywami, a nie wiecie, czego mogą chcieć kobiety od Czerwonego Billa? Chcą tego, co i wszystkie inne damy tego pokroju.

— Ów Bill urządza wesołe zebrania? Z podejrzanymi kobietkami?

— Oho, widzę, że się na ten raz pomylił — rzekł Snubbs, na którego twarzy zaznaczyło się niezadowolenie. — Popełniłem jednym słowem głupstwo. Panowie nie jesteście detektywami. Gdybyście naprawdę należeli do policji, to musielibyście wiedzieć, czym jest zakład Billa. Tam schodzą się przeważnie studenci.

— Ja też tylko żartowałem — podchwycił Sherlock Holmes, któremu wahanie dorożkarza wypadło na rękę. — Nie mamy nic wspólnego z policją i nie ścigamy zbrodniarzy. Przyjechaliliśmy z daleka i chcemy obejrzeć osobliwości waszego miasta. Możesz pan mówić z nami otwarcie. Te dwie panie zainteresowały nas, rozumiesz, panie Snubbs, że w tym nie ma nic dziwnego. Jak mówiliście, Czerwony Bill utrzymuje zakład restauracyjny?

— A przynajmniej coś w tym guście. Sprowadził się do nas od niedawna i założył handel delikatesów w połączeniu ze składem wędlin przy ulicy Mystic.

— Co znowu?! Zebrania odbywają się w wędliniarni? — zapytał ze zdumieniem Holmes.

— Nie w samej wędliniarni — objaśniał stary. — Przy sklepie Bill urządził piękny salon restauracyjny, oprócz tego kilka oddzielnych gabinetów, w których zamożna młodzież, ba, nie tylko młodzież, w dobranym gronie używa swobody. Albo to raz zawoziłem ładne parki do zakładu Czerwonego Billa? Jak myślę, paniczom podoba się ten lokal, niektórzy bywają tam stale i nie opuszczają żadnego wieczora.

— Ten Bill musi chyba być człowiekiem miłym i uprzejmym?

— Tego bym właśnie nie powiedział — rzekł Snubbs. — O ile go poznałem, to grubianin pierwszej klasy i wątpię, czy drugiego podobnego można spotkać w Bostonie.

Gdybyście go panowie zobaczyli! Aż ciarki przechodzą po skórze, gdy się na niego popatrzy. Prawdziwy tygrys!

— Co pan też mówisz?! — dziwił się detektyw. — Wiecie co? Przychodzi mi do głowy osobliwy pomysł. Zawieźcie nas staruszku do Czerwonego Billa. Pali mnie chęć okrutna zaznajomić się z tym oryginałem. A może dowiemy się tam czego o naszych znajomych damach. Daleko stąd?

— Najmniej godzina drogi, zakład znajduje się przy końcu miasta.

— To nie szkodzi. Pokażecie nam po drodze tutejsze osobliwości. Ale ba, przedtem pojedziemy na ulicę Silver.

— Jak się panom podoba, jestem od tego, aby wozić porządných pasażerów. Proszę wsiadać.

John Snubbs poprawił się na koźle, zapytał o numer domu i zaciął szkapę, która umiarkowanym truchtem powiozła ich w głąb miasta.

Niebawem dorożka zatrzymała się przed domem, w którym pani Fox odnajmowała pokoje.

Wąskimi schodami dwaj detektywi dostali się na drugie piętro staroświeckiego domu.

Na odgłos dzwonka otworzyła dama otyła, gładko uczesana, o powierzchowności niezbyt wzbudzającej zaufanie. Siwa, w białym czepeczku na czubku głowy, wyrzała przez szparę i badawczo zerknęła na stojących przed nią mężczyzn.

Ci, jak widać, pomyślnie wytrzymali próbę jej oględzin, ponieważ gospodyni uśmiechnęła się ze słodką uprzejmością.

— Czym panom mogę służyć? — wysepleniła. — Pozwolicie panowie do mieszkania?

— Bardzo chętnie, pani Fox — odparł Holmes. — Nie zabierzemy pani zbyt wiele drogiego czasu.

Gospodyni rozwarła drzwi i długim korytarzem poprowadziła gości do własnego pokoju utrzymanego z wyszukaną czystością i starannością.

Na ścianach detektywi ujrzeli rozwieszone za szkłem kartony z cytatami i przysłowiami moralnymi, co świadczyło o niej jako o kobiecie zacnej i pobożnej.

Na domiar tych dowodów mogła służyć i otwarta Biblia, a na niej złożone okulary w rogowej oprawie. Miało to oznaczać, iż szanowna pani Fox na przyjęcie gości oderwała się od lektury religijnej.

Biblia leżała na stoliku, do którego był przysunięty wielki fotel z wysokim oparciem wyściełanym skórą.

— Może panowie życzą rozmówić się z panną Liddy? — zadała zapytanie, bystro wpatrując się w nieznanym.

— Nie, szanowna pani — odparł Sherlock Holmes z galanterią. — Przybyliśmy w innej sprawie. Z panną Liddy niedawno rozmawialiśmy w barze.

— Co też pan mówi? — zawołała zdumiona. — To ona przysłała panów do mnie?

— Dała nam przynajmniej adres pani — poprawił detektyw. — Przyszliśmy prosić panią o drobną grzeczność.

— Jeżeli będę w możności, to z całą przyjemnością — rzekła zaciekawiona.

Sherlock Holmes położył przed nią fotografię żony profesora.

— Bądź pani łaskawa powiedzieć, czy znasz tę damę?

Stara zwlekała z odpowiedzią, starając się ukryć pomieszanie.

— Nie przypominam sobie — bąknęła z wyraźnym niezadowoleniem. — Być może, że widziałam kiedyś przelotnie, ale na pewno powiedzieć nie mogę.

— Doprawdy?

— O tak, mój panie.

— Hm, w takim razie postaram się dopomóc słabej pamięci pani — rzekł Holmes już innym tonem i utopił wzrok badawczy w twarzy gospodyni.

— Rok temu, ta dama mieszkała tu, w pani zakładzie, a przedtem stale odwiedzała swoją przyjaciółkę Heloizę. Myślę, że musisz pani chyba pamiętać te szczegóły?

Pani Fox znowu spojrzała na portret z udanym skupieniem i uderzyła w pulchne dłonie.

— Tak, proszę pana. Wpatruję się w fotografię i teraz dopiero spostrzegam pewne podobieństwo do damy, która, jak pan to trafnie powiedział, rok temu odwiedzała Heloizę, a nawet w ciągu kilku dni mieszkała w moim domu.

— Dziękuję za informacje — skłonił się. — Czy powtórzysz to pani i na policji?

— Czemużby nie? Nic tu nie ma do ukrywania. Bo czy to zbrodnia, iż przyjaciółka odwiedza przyjaciółkę i przebywa u niej w gościnie?

— Boże uchowaj — odparł Holmes z ironią. — Zwłaszcza, gdy towarzystwo, z którego korzysta dama z inteligencji jest tak doskonale dobrane. Zatem możemy odejść.

Zwrócił się do drzwi i skinął na Harry'ego.

Pani Fox nagle zastąpiła im drogę.

— Szanowni panowie wybaczą — rzekła — ale czy mam prawo zapytać, z jakiego powodu panowie interesujecie się ową damą?

— I owszem — odpowiedział znakomity kryminalista — pani powinnaś nawet o tym wiedzieć. Dama, która odwiedzała jej dom, zginęła przed czterema dniami i nikt nie wie, gdzie się podziała. Policja szuka jej na wszystkie strony, jak dotąd bezowocnie. A może wiesz pani, dokąd wyjechała ta kobieta?

— Co do tego rzeczywiście nie mogłabym udzielić żadnych wyjaśnień. Bo niech pan sam zauważy, co mnie to wszystko może obchodzić i czy dlatego, iż zajmuję się odnajmowaniem pokoiów, powinnam się opiekować moimi lokatorkami? Tego rodzaju rzeczy nie należą do gospodyni, która, jak ja, ma zajęcia po uszy i ani chwili wolnego czasu.

— Nie gniewaj się pani za moją ciekawość — wtrącił Holmes ze złośliwym uśmiechem. — Chciałbym jednak wiedzieć, jakim sposobem umiesz pani łączyć czytanie Biblii z utrzymywaniem pokoiów? Przedsięwzięcie wymaga istotnie wiele pracy i zachodów. Tym bardziej, gdy się trzyma na stacji kobiety, żyjące tak wesoło i nieregularnie!

— Toteż modłę się na intencję tych stworzeń nieszczęśliwych — twierdziła z oczywistą wzniesionymi w górę — i mam nadzieję, że moje prośby będą wysłuchane.

Sherlock Holmes widząc, iż nic więcej nie wydusi z chytrej baby, pożegnał ją i wraz z Harrym wyszedł na ulicę.

— To dopiero przewrotna czarownica — odezwał się Harry, gdy już byli na schodach. — Aż mi się niedobrze robiło, gdy słuchałem jej wykrętów.

— W każdym razie opłaciła nam się wizyta — odparł Holmes szczerze zadowolony. — Teraz pojedziemy do wędliniarni Czerwonego Billa i popatrzymy, co się tam dzieje w jego salonie schadzek.

— Bardzo pragnę poznać tego człowieka — zaśmiał się Harry Taxon — ale jestem ciekawy, czy się tam czegoś dowiemy o pani Remington i jej przyjaciółce Heloizie.

— Nie traćmy nadziei, mój chłopcze. Powierzam się losom, które sprzyjały mi już nieraz w rozmaitych ciężkich okolicznościach. A zwłaszcza, gdy człowiek nie traci energii, nie lęka się przeszkód i kuje żelazo póki gorące. Musimy się brać do rzeczy z wielką ostrożnością. Tak mi coś szeptę, że ów Czerwony Bill, którego dorożkarz nazwał buldogiem, jest chłopcem sprytnym, a przy tym podejrzliwym, tego będziemy zmuszeni głaskać przez rękawiczki.

Dorożka powiozła ich do lokalu Czerwonego Billa.

Pojechali przez Cambridge i minęli leżącą obok Somerville miejscowość kąpielową Bostonu.

W uliczce wąskiej i ciasnej, oddzielonej od Cambridge strugą Chelsea, wyczytali napis Mystic Street. Dorożka zatrzymała się przed domem o powierzchowności wcale przyzwoitej.

Z lewej strony na parterze mieścił się sklep, którego wielka wystawa lustrzana była zawieszona wieńcami krótkich a grubych kiełbasek. Dołem w szyku symetrycznym były rozłożone najrozmaitsze delikatesy, a więc ryby, konserwy, wielkie homary itp.

Salon dla gości, pomieszczony na prawo od bramy, kuśił wzrok swymi wielkimi, starannie utrzymanymi oknami, zawieszonymi białymi jak śnieg firankami.

Nad sienią, na całą szerokość domu, zwieszał się duży szyld, na którym kołysała się czerwona latarnia.

— Panowie długo zabawią u Czerwonego Billa? — zapytał Snubbs. — Mam czekać?

— To będzie zbyteczne — odparł Holmes. — Jeżeli macie pragnienie, to każę wam wynieść spory kielich brandy.

Woźnicy zaśmiały się oczy.

— Jeżeli pan łaskaw, to będę bardzo obowiązany.

Holmes zapłacił za jazdę, poklepał dorożkarza po ramieniu i wszedł z Harrym do salonu restauracyjnego.

Było tu gości niezbyt wielu.

Za stołami bardzo czysto utrzymanymi siedzieli po większej części studenci, którzy zbierali się tu na wieczerzę.

Większość ich mieszkała w pobliżu uniwersytetu w Cambridge lub Somerville. Publiczność oprócz studentów składała się też i z artystów, kapłanów muz, ludzi, którzy pragną nasycić głód i pragnienie za tanie pieniądze.

Czerwony Bill zdawał się odpowiadać gustom słuchaczy uniwersytetu Harvarda, jego krewkość zdradzała coś z energii młodzieńczej.

Studenteria na rachunek Billa tworzyła na poczekaniu mnóstwo anegdot, które zwykle krążyły pomiędzy stolikami.

Bill potrafił przypodobać się swoim gościom, za tanie pieniądze dawał duże porcje, lecz wymagał, aby je zjadano ze szczętem.

Biada temu z gości, który się ośmielił zostawić na talerzu choćby kąsek mięsa! Bill, który sam zanosił porcje, rzucał się wtedy jak brytan na gościa, który zawierał znajomość z jego niewyczerpanym słownikiem łajañ i klątw.

Niekiedy porywał niefortunnego gościa za kołnierz i wyprowadzał za drzwi. Załatwiał tę operację osobiście, własnymi żyłastymi rękoma i nie uciekał się do pomocy parobków.

Sam też zarządzał wędliniarnią i restauracją.

Tylko w salonie za bufetem stał jego brat Abner Wilkins, któremu pomagała jego żona imieniem Mabel.

Bill załatwiał klientelę w wędliniarni, sam szlachtował wieprze, sam też przerabiał mięso na wędliny.

Kielbaski jego fabrykacji zyskały szeroki rozgłos z powodu specjalnego, bardzo delikatnego smaku.

Prowadził nimi handel na szeroką skalę, więc i teraz dwaj nowi goście ujrzeli publiczność pochyloną nad talerzami pełnymi smacznych kielbasek.

Ogień pod wielkim kotłem płonął od rana do wieczora. I dziś noże oraz widelce były w ożywionym ruchu, goście chciwie garnęli się do specjałów, z których słynęła firma Czerwonego Billa.

Holmes i Taxon zasiedli w kącie, kazali podać piwa i, pijąc je z wolna, śledzili ruch gości, którzy przewijali się około ich stolika.

Ci goście nie zaciekawiali ich.

Za to osoba gospodarza pochłaniała całą ich uwagę.

Małżonkowie krzątający się za bufetem odznaczali się układnością oraz uprzejmością. Tym niemniej oboje wydali się detektywom osobistościami podejrzanymi.

Szczególnie wyraz ich oczu nie wzbudzał zaufania. Zarówno mąż, jak i jego żona nie znosili wzroku ludzkiego i co chwila, gdy kto do nich zagadał, opuszczali oczy.

Pod spojrzzeniami Holmesa i Harry'ego kręcili się jak węże.

Abner Wilkins, szczupły i bardzo chudy, miał drobną, zmiętą twarz, na której sterczał nos długi i spiczasty jak dziób u ptaka. Jego uśmiech miał wyraz szatański.

Co się tyczy małżonki, ta była wiernym jego uzupełnieniem, niepodobna wyobrazić sobie kobiety brzydszej i nieprzyjemniejszej.

Sherlockowi Holmesowi udało się przywabić ją do swego stolika.

— Niechże mi powie, szanowna pani gospodyni — zagadnął z wyszukaną uprzejmością i podsunął dla niej krzesło — czy oprócz tego salonu macie państwo i gabinety?

Mabel Wilkins drgnęła i kocimi oczyma zmierzyła detektywa.

— Skąd pan przychodzi do podobnego zapytania? — odparła skrzeczącym głosem.

— Ot, przyszło mi na myśl, czy goście, którzy tak tłumnie odwiedzają państwa zakład, nie mają tu trochę za ciasno? Uważam, iż bywają tu studenci nie tylko z uniwersytetu Harvarda ale i z Rich..., o, jak to się tłoczy!

— Co znowu! — odrzekła. — Miejsca mamy dla wszystkich gości pod dostatkiem. Młodzież zjada i wynosi się. Jedni ustępują miejsca drugim. Spójrz pan, jak oni się zmieniają.

— Jaka szkoda, że państwo nie macie pokoju zapasowego! — westchnął detektyw. — Przyszedłem tu właśnie z moim młodym kolegą od Stowarzyszenia Pracowników Portowych. Posiadamy klub, lecz nie zdobyliśmy się jeszcze na lokal zebrani. Towarzysze uprosili mnie, abym się zajął wyszukaniem jakiego odpowiedniego miejsca przy bardziej znanym zakładzie restauracyjnym, gdzie moglibyśmy się schodzić po parę razy w tygodniu. Myślę, że przyjmując nas na lokatorów, mielibyście państwo niezły zarobek.

— To prawda — zaznaczyła Mabel — byłoby to nieźle, ale cóż, kiedy nie mamy stosownego pomieszczenia. Nasze mieszkanie prywatne jest tak szczupłe, że o oddaniu panom jednego z pokoiów mowy być nie może.

— To szkoda — powtórzył Holmes. — Nasze stowarzyszenie składa się z kilkudziesięciu członków. Każdy z nas lubi zjeść i wypić.

— Nic na to nie poradzę ani mój szwagier Wiliam, właściciel tego zakładu.

— Może bym się jednak z nim zobaczył — obstawał przy swoim detektyw. — Opowiadano mi, że lokal tutejszy jest obszerny. Szwagier pani zajmuje się głównie fabrykacją kielbas?

— O tak — zawołała z widocznym zadowoleniem, iż rozmowa weszła na jej ulubiony temat.

— Nasze wyroby słyną w całym Bostonie. Pan jeszcze nie próbował naszych kielbasek?

— Przyznaję się ze wstydem, że jeszcze nie. Może będziesz pani tak dobra, przynieść nam po parze. Ale jeszcze jedno zapytanie: Czy szwagier pani nie pokaże się dziś w zakładzie?

— Owszem, lecz w tej chwili jest przy pracy.

— Zatem nie przeszkadzajmy mu. Gdzież jest jego warsztat?

— W oficynie, w głębi podwórza.

— Urządzenie wygodne i praktyczne. Gospodarz może pracować spokojnie, nie odrywając się do gości. Bywają tu również i damy?

To ostatnie zapytanie Holmes wypowiedział głosem nieco podniesionym i ostro spojrzał w oczy brzydkiej kobiety.

— Jesteś pan bardzo ciekawy — mruknęła z niechęcią i wstała od stołu. — Obejrzyj się pan po sali, a będziesz miał odpowiedź gotową. U nas nie bywają kobiety.

— Żałuję — pokiwał głową — a chciałem tu bywać z żoną, ponieważ lokal bardzo mi się podoba.

— To mnie cieszy — odparła już rozpogodzona — ale pójde zamówić kielbaski. Spodziewam się, że będą panom smakowały.

I znikła w przyległym pokoju.

5. Straszne odkrycie

Jeszcze się za nią drzwi nie zamknęły, gdy otwarły się inne, z podwórza. Do sali wtoczył się mężczyzna okazałego wzrostu i barczysty.

— Czerwony Bill! — szepnął Harry Taxon.

Pan Wiliam Wilkins w pełni zasługiwał na przydomek „Czerwonego”.

Ten człowiek był istotnie czerwony, począwszy od rudej czupryny do twarzy i rąk.

Twarz miał purpurową o wyrazie rozjuszonego buldoga, pod zaczerwienionym nosem zwieszały się wąsy barwy cegły. Czapka i koszula były sporządzone z czerwonej materii, a ręce miał umazane krwią.

Wstrętny człowiek wszedł do sali bez marynarki, jak stał przy pracy. Rozrosłe członki oraz muskuły szyi świadczyły o herkulesowej sile Czerwonego Billa. Był jednym słowem podobny do kariatydy, jakie zdobią frontony pałaców, tylko wy-ciosany przez rzeźbiarza realistę.

Wszedł groźny i posępny, powitał gości lekkim ruchem okrągłej głowy i, nie zdejmując czapki, podążył do sąsiedniego sklepu z wędlinami.

— Harry — mruknął Holmes — co myślisz o naszym gospodarzu?

— Kawał krwawego mięsa — brzmiała odpowiedź. — Wygląda jak zbrodniarz, dla którego wytoczenie krwi jest zabawką.

W poplamionym fartuchu i z tymi rękoma na czerwono wypstrzonymi ma wygląd zabójcy, który powraca z miejsca popełnionej zbrodni.

— Pst, Harry, nie tak głośno — ostrzegał detektyw. — Co prawda jest to i moje zdanie. Doskonały typ zdecydowanego zbrojcy.

— Jego krewni nie są o wiele sympatyczniejsi — dodał Harry. — Czy zdarzało się panu oglądać większych potworów? Dziwna rzecz, że goście chcą od-wiedzieć tę budę.

— A jeszcze dziwniejsze, iż „damy” chętnie się tu zbierają. Zgadnij, kto nas okłamał: dorożkarz Snubbs czy pani Mabel Wilkins?

Snubbs zapewnia, iż Heloiza zajechała tu z panią profesorową, a także iż do zakładu tutejszego uczęszcza wiele „podobnych” kobiet. Opowiadał nam o gwarnych a hucznych zebraniach i o gabinetach. Ta baba utrzymuje zaś, iż w restauracji bywają tylko mężczyźni, komu z nich wierzyć?

— Oczywiście Snubbsowi — odrzekł Harry Taxon głosem stanowczym.

— A ja wierzę obojemu — odezwał się Holmes. — Mój chłopcze, znaleźliśmy się w nie lada norze zbrodniczej, bo że ci Wilkinsowie są złoczyńcami w najgorszym

gatunku, o tym wkrótce się przekonamy. Uważałeś, jak Mabel na mnie spojrzała, gdy ją zapytałem o gabinety?

— Jakże nie miałem zauważyć? Skoczyła jak pantera. Oho, mistrzu, tu się dzieje coś strasznie niedobrego. Ładny zakład!

— Dlatego też musimy zwęszyc tajemnice tego podejrzanego domu — zaopiniował Sherlock Holmes. — Nie ulega wątpliwości, iż muszą tu być jakieś ukryte gabinety.

Przerwał, albowiem weszła pani Mabel, wnosząc talerze z kielbaskami.

Holmes kazał podać jeszcze piwa i sięgnął po nóż oraz widelce, zabierając się do kielbasek, których widok i zapach były rzeczywiście obiecujące.

Ledwie odkrajał pierwszy kawałek, zatrzęsął się z przerażenia na widok drobnego przedmiotu, który wypadł z kielbaski na talerz.

Holmes ze zręcznością magika pochwycił ten przedmiot, co zwróciło uwagę Harry'ego.

— Co pan tam ma, panie Holmes? — zapytał z cicha. — Zdaje mi się, że pan coś wydobył z kielbaski i ukrył w kieszeni?

— Pst! O tym dowiesz się później — odszepnął detektyw. — Na miłość Boską, chłopcze, ani się waż pokosztować tego paskudztwa. Musimy wyjść stąd czym prędzej! Zrobiłem nadzwyczajne odkrycie, które mi wiele daje do myślenia. Schowaj kielbaskę do kieszeni, ale tak, aby tego nikt nie spostrzegł.

To powiedziawszy, uważnie rozejrzał się dokoła i uspokojony tym, iż nikt na nich nie zwraca uwagi, też ukrył swoją porcję w obszernej kieszeni surduta.

Dokończyli piwa i z minami najobojętniejszymi pod słońcem wstali ze swoich miejsc. W tejże chwili, co obydwaj zauważyli, w ścianie za barem otworzyło się małe okienko, skąd wyrzała para oczu, która zmierzyła ich przenikliwie.

Ta para oczu należała do Czerwonego Billa.

Pani Mabel nie było w sali, Holmes sądził przeto, iż Bill uprzedzony przez nią o nowym interesancie, chce się z nim rozmówić.

Po upływie kilku chwil Mabel powróciła, podeszła do ich stołu i zabierała nakrycia.

Sherlock Holmes zapłacił rachunek.

— Macie państwo kielbaski rzeczywiście wyborne — zwrócił się do kobiety. — Chciałbym zabrać ze sobą do domu kilka tych smakołyków.

— To niech pan idzie do sklepu — odparła. — Tu w sali nie wydajemy wędliny na miasto, na to jest sklep, w którym klientelę załatwia mój szwagier Wilkins.

— Ach, więc ten tęgi pan, który przechodził przez salę jest Wiliamem Wilkinsem?

— Oczywiście.

— Rozmawiała z nim pani w mojej sprawie?

— Mówiłam, ale ani słyszeć o tym nie chce. Zresztą niech pan sam z nim pomówi, chociaż jestem pewna, że się to na nic nie przyda.

Holmes skinął na towarzysza, z którym znikł za drzwiami środkowymi, łączącymi salę ze sklepem za pośrednictwem sieni.

Czerwony Bill stał za bufetem zajęty rozkładaniem oraz gatunkowaniem towaru i nie zwracał na przybyłych uwagi.

Patrząc na niego z bliska, tym bardziej przekonywali się o niezwyklej budowie człowieka, którego powierzchowność mogła pobudzić do przestרחu.

— Dobry wieczór panu — rzekł na powitanie detektyw. — Prosimy o pół tuzina kielbasek. Przed chwilą jedliśmy je z wielkim apetytem w salonie restauracyjnym. Są to delikatesy, jakich nigdzie się nie dostanie.

Czerwony Bill podniósł głowę, a nie mówiąc ani słowa, zdjął z kołka cały wieńiec i odciął żadaną ilość kielbasek, które zawinął w papier i podał detektywowi.

— Jak myślę, musi pan mieć pokaźne obroty — zagadnął ostatni. — Przyrządzasz je pan we własnym warsztacie lub bierzesz od rzeźników z miasta?

Bill zwrócił swoje małe, złością pałające oczy na mówiącego.

— Nie wygrałem czasu na loterii i nie mogę wdawać się z gośćmi w pogadanki — warknął. — Zresztą, cóż to pana może obchodzić, czy są wyrabiane tu lub gdzie indziej.

I nie zajmując się dłużej dwoma gośćmi stojącymi przed ladą, zawrócił się, mrużąc niezrozumiale i znikł w małej izbie za sklepem.

Holmes mrugnął na pomocnika i wyszedł z nim na ulicę.

— Z tego nic nie wydobędziesz — rzekł idąc chodnikiem. — Oho, to ostrożna sztuka, ten nic nam dobrowolnie nie wyśpiewa. Trzeba nam co prędzej jechać do Cambridge. Zobacz, Harry, czy Snubbs jeszcze nie odjechał.

— Stoi przy swojej dorożce.

— To mnie cieszy. On nas zawiezie do Cambridge.

Żywo zbliżyli się do dorożki, wsiedli i pojechali.

— Zaraz pomyślałem że panowie niedługo tam zabawią — mówił woźnica.

— Dokąd mam jechać?

— Jedź pan do Cambridge, przed willę profesora Remingtona, tylko nie żałuj pan koni. Bardzo nam zależy na czasie. Nie zapomnę o przyzwoitym napiwku.

Snubbs z fantazją potrząsnął lejcami i ruszył przyspieszonym kłusem.

— Cóż, sir — odezwał się po chwili — dowiedział się pan czego o owych damach?

— Nie, mój przyjacielu — odrzekł Holmes. — Powiedział nam, że damy nie odwiedzają tego zakładu. To coście nam opowiadali o zebraniach w towarzystwie dam, jest tylko waszą fantazją.

— Jakże to — zawołał Snubbs z oburzeniem — miałbym panom zawracać głowę? To się po mnie nie pokaże. Jestem uczciwym człowiekiem i nie mam zwyczaju kłamać.

Ma się rozumieć, gospodarz wodził panów za nos, bo nie chciał przed nieznajomymi zdradzić tajemnic swego zakładu. Oho, mnie nie oszuka! Wiem, że utrzymuje kilka osobnych gabinetów. Na przykład przedwczoraj zabawiało się tam więcej niż dwadzieścia wesołych damulek. Pan myśli, że nie mam kolegów, którzy mi o tym

opowiadają? Ja sam tego wieczora przewiozłem najmniej sześć, wszystkie były młode i przystojne. Gdyby było potrzeba, mogę przysiąc.

— Odwoziliście je z powrotem do miasta? — zapytał Sherlock Holmes, którego zastanowiły wiadomości Snubbsa.

— Ani jednej — odrzekł. — Płaciły mi za kurs po przyjeździe przed zakład Czerwonego Billa i żadna z nich nie żądała, bym na nią zaczekał.

— Czy możecie wasze zeznania powtórzyć w urzędzie policyjnym?

— Czemuż by nie? Jestem człowiekiem prawym i nie robię nic, z czym bym się potrzebował tać.

— Snubbs, trzymam was za słowo. Zaczekacie na mnie przed willą profesora, skąd pojedziemy do urzędu policji.

— Pan mnie przstrasza — rzekł dorożkarz. — Sądziś pan, że u Czerwonego Billa wyprawia się coś złego? — i zaciął konie biczem.

W dziesięć minut niespełna dorożka zatrzymała się u celu.

Dwaj detektywi wysiedli przed pięknym parkiem, jaki otaczał gmachy uniwersytetu. Harry pałał ciekawością, co właściwie ma na myśli jego nauczyciel, który przez resztę drogi milczał i co chwila pocierał czoło.

Zanadto dobrze znał swego mistrza i wiedział, iż w podobnych chwilach przezywać mu nie należy.

Dozorca, pilnujący bramy parkowej, oznajmił nocnym gościom, iż profesora nie ma w domu.

— Znajdziemy go prawdopodobnie u inspektora policji — mruknął znakomity kryminalista i wraz z Harrym powrócił do dorożki. Kazał jechać do urzędu policyjnego.

Przed domem mieszczącym biuro detektyw skinął na policjanta ulicznego, powierzył jego opiece dorożkę i poprowadził Snubbsa za sobą.

Pan Mortlok przyjął ich natychmiast i poprosił do swego gabinetu.

Jak przewidywano, profesor znajdował się w urzędzie.

— Nie spodziewałem się widzieć pana tak szybko u siebie — rzekł uprzejmie dyrektor. — Co słysząc? Ma pan jakie wiadomości o pani Remington? Jak pan widziś, profesor oblega mnie zapytaniem, na które niestety nie mogę mu udzielić odpowiedzi.

— Za to ja jestem w stanie udzielić panom niektórych informacji — odparł Holmes z powagą — i na ich potwierdzenie przyprowadzam świadka. To dorożkarz Snubbs, który stale zatrzymuje się na przystanku przy Harrison Avenue. Pan dyrektor pozwoli, iż w jego obecności zadam świadkowi zapytania?

— Bardzo pana proszę — rzekł z ukłonem pan Mortlok.

— A więc powiedz nam, panie Snubbs, przede wszystkim, dokąd zawiozłeś mnie i mego pomocnika?

— Do Czerwonego Billa przy Mystic Street.

— Ta obskurna knajpa przy ulicy Somerville? — wtrącił inspektor.

— O tak — potwierdził Sherlock Holmes i zwrócił się do woźnicy.
— Czemu kazałem wam pojechać do tej knajpy?
— Gdyż opowiadałem, że przed kilku dniami woziłem do Czerwonego Billa damę, której fotografię pan mi pokazywał.

Holmes wydobył z kieszeni portrety profesorowej oraz Heloizy i podał Snubbsowi.

— Czy to te same damy?

— Tak jest, proszę pana — przyznał woźnica.

— Nieprawdaż, panie profesorze, ta fotografia przedstawia pańską żonę?

— Oczywiście — Remington skinął głową i zadrżał.

— Profesor zna tę drugą kobietę?

Remington sięgnął po fotografię kobiety.

— Nie — odrzekł. — Nie widziałem tej kobiety nigdy w życiu.

— Czy pan się nie mylisz? A może spotykałeś ją w Paryżu?

— Nie, wiem na pewno.

— Nie znałeś jej pan za czasów panieńskich pani Edyty?

— Nigdy. Alboż ta dama była przyjaciółką mojej żony?

— Tak przypuszczam.

— Na jakich podstawach?

— W sposób nader prosty, panie profesorze. Znalazłem tę fotografię w biurku pańskiej małżonki, obok listów, które pan pisał, będąc jeszcze narzeczoną.

W szufladzie natrafiłem jeszcze na wiele innych fotografii młodych dam, których powierzchowność wskazuje, iż należały do dobrego towarzystwa. Prawie wszystkie są Amerykankami, o czym mi mówią firmy zakładów fotograficznych. Nie wiem, czy to czasem nie stowarzyszenie lub klub kobiecy.

A teraz przeczytaj pan dedykację na odwrotnej stronie fotografii. Doprawdy, pojąć nie mogę, jaką rolę ta Heloiza mogła odgrywać wobec pańskiej żony.

Otóż owa Heloiza zawiozła panią Edytę do knajpy Czerwonego Billa. Jak świadczy Snubbs, miało to miejsce przed kilku dniami. Powiedzcie mi, panie Snubbs, ale dokładnie, kiedy zawieźliście owe dwie panie na ulicę Mystic w Sommerville?

— Było to w ubiegły wtorek, proszę pana.

— Czyli w dniu, gdy pani Edyta wyszła z domu po raz ostatni.

Profesor załamał ręce.

— W głowie mi się pomieścić nie może, co mogłoby skłonić moją żonę do puszczania się po nocy w towarzystwie kobiety, której nie znała i to gdzie? Do osławionej knajpy na przedmieściu!

— Zdaje mi się, iż jestem na drodze rozwiązania tej zagadki — oznajmił Holmes. — Zanim to nastąpi, proszę pana Snubbsa, aby potwierdził, co mi opowiadał, gdyśmy powracali z ulicy Mystic. Przedwczoraj wieczorem woziliście cztery młode i przystojne damy również do Czerwonego Billa?

— Tak jest. Wsiadły na przystanku przy Harrison Avenue i kazały się zawieźć do Czerwonego Billa, inni dorożkarze, a moi koledzy, tegoż wieczora wozili tam też sporo młodych dam.

Dwa miesiące temu już mi się zdarzyło wozić na ulicę Mystic dwie bardzo przystojne i wesołe panienki.

— Jak pan myślisz, po co one jeździły do Billa?

— Tego już nie wiem — odrzekł Snubbs po namyśle. — Może miały tam wesołe zgromadzenie? Bo ja to mogę wiedzieć? Jedno tylko powiem. Jestem starym, wytrawnym dorożkarzem i zdarzało mi się wozić najrozmaitszych pasażerów. Ale co te wszystkie panie porabiają u Czerwonego Billa, to przechodzi moje pojęcie.

Inspektor policji raz jeszcze spojrział na fotografię Heloizy i pokręcił głową.

— Licho wie, co to wszystko znaczy. Ale przypominam sobie! Moi agenci już raz pokazywali mi portret tej dziewczyny jako niebezpiecznej specjalistki od wciągania młodych kobiet w zasadzkę.

— Na czym polega owa zasadzka? — zapytał Holmes.

Inspektor rozłożył ramiona na znak niezaradności.

— Były to tylko przypuszczenia moich ludzi, bo właściwie nie zdołano zarzuć tej kobiecie nic realnego.

Sherlock Holmes uśmiechnął się nieco złośliwie.

— Jestem obcym w tym wielkim mieście. To nie przeszkadza, iż udało mi się w ciągu dnia dzisiejszego poczynić następujące uwagi, spostrzeżenia i odkrycia. W Ameryce istnieją najrozmaitsze kluby i stowarzyszenia, o jakich się nie śniło mieszkańcom Starego Świata. Przypuśćmy, iż pani Remington należała do bardzo rozwiniętej i humanitarnej instytucji poprawy kobiet upadłych. Ożywiona uczuciami idealnymi, odwiedza nory upadku oraz zgnilizny moralnej i roztacza opiekę nad dziewczętami z najniższych sfer społecznych. Odwiedza je przeto, namawia do poprawy i tym samym wchodzi z nimi w stałe stosunki. Ale dziewczyna, która raz dotknęła błota, nierychło, a mówiąc prościej, niechętnie powraca do cnoty i obowiązków. Któż nam zaręczy, iż Heloiza, jedna z pupilek dobroczynnej pani, nie pozostawała w spójni ze zbrodniarzami najgorszego kalibru i nie odwdzieczyła się swojej dobrodziejce najczarniejszą zbrodnią? Przypuśćmy dalej, iż pewnego wieczora spotyka się z panią Remington i zaprasza ją uroczyście na zgromadzenie filantropijne do „klubu” na przedmieściu? Dobrodziejka wierzy, a nie znając stosunków, jedzie z nią do wstrętnej nory przy ulicy Mystic? Róbnmy swoje moi panowie oraz oczekujemy logicznego rozwiązania moich wywodów — ciągnął genialny detektyw — i nie zapominajmy, iż idzie tu nie tylko o panią Remington, ale i o wysledzenie przyczyn zniknięcia całego grona kobiet, równie jak ona nieszczęśliwych ofiar tajemniczego zamachu. Lękam się, moi panowie, i nie będę tał przed profesorem, iż w zakładzie Czerwonego Billa, owym miejscu zagadkowych schadzek, dzieją się straszliwe zbrodnie. O ile moje przypuszczenia są słuszne, to wkrótce powinno się ujawnić.

Gdy to mówił Sherlock Holmes, profesor siedział w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach, a jego piersią targały ciężkie westchnienia.

Detektyw zbliżył się i położył rękę na jego ramieniu.

— Bądź pan mężczyzną — przemówił serdecznym tonem.

— O, szanowny panie Holmes — odrzekł profesor przez łyzy — jakże drzę na myśl, co się mogło stać z moją drogą, nieszczęśliwą Edytą! Lecz niech pana nie krępuje moja obecność. Mów pan wszystko, co mu jest wiadomym o losie kobiety, którą ukochałem nade wszystko! Sądzi pan zatem, iż znikła wszelka nadzieja?

— W tej chwili nic nie można powiedzieć stanowczego — odrzekł Holmes.

— Przyrzekłem, iż dołożę wszelkich starań do rozwikłania tej zagadki i jak pan widzi, robię starania. Tylko odwagi i męstwa, profesorze — mówił jeszcze i wydobyl z kieszonki u kamizelki ów drobny przedmiot, znaleziony przy rozbrajaniu kielbaski w restauracji Billa. — Powiedz mi pan, czy ten kamyk od pierścionka nie był własnością jego małżonki? Jest to pieczętka miniaturowa z inicjałami E. R. wygrawerowanymi w twardym kamieniu.

Profesor wziął w drżące ręce krążek krwawnikowy, podniósł do oczu i zawołał:

— Tak, moja żona tę maleńką pieczętkę nosiła w pierścionku, był to mój подарunek zaręczynowy. Te głoski oznaczają imię i nazwisko Edyty Remington. Gdzież pan ten kamyk znalazłeś?

— Tego panu na razie powiedzieć nie mogę — odparł Holmes — wkrótce dowiesz się pan. A teraz bądź pan łaskaw zostawić mnie z panem inspektorem, z którym w obecności mego pomocnika pragnąłbym się naradzić.

Profesor sięgnął po kapelusz.

— Zatem pozostawiam panów. Mogę mieć nadzieję, iż zawiadomisz mnie pan, gdyby zaszło coś nowego?

— To się rozumie — odrzekł inspektor.

Profesor pożegnał ich i wyszedł z głową opuszczoną i przepełnioną smutnymi myślami.

Snubbs również chciał odejść, lecz pan Mortlok zatrzymał go.

— Wasze zeznania będą wciągnięte do protokołu i po podpisaniu będziecie mogli odejść. Pan sekretarz czeka na was w swoim pokoju.

Snubbs znikł w towarzystwie woźnego, Mortlok zaś zamknął za nim drzwi i podał dwóm detektywom krzesła.

— Teraz będziemy mogli spokojnie porozmawiać — odezwał się, podając gościom cygara. — Gdzież pan znalazł tę pieczętkę, panie Holmes?

— U Czerwonego Billa. Mój pomocnik poświadczy, w jakich warunkach dostała się do moich rąk.

— Przy rozkrwaniu kielbaski — wtrącił Harry. — Jak panu inspektorowi wiadomo, kielbaski Billa mają ustaloną sławę. Otóż pieczętka wypadła z kielbaski. Nie jedliśmy ich naturalnie i zabraliśmy przysmaki ze sobą.

Inspektor spojrzał na Taxona przejęty zdumieniem.

— Co? Pieczętka znalazła się w kielbasce?

— Tak było istotnie — dodał Holmes. — Wiesz pan, jaka myśl strzeliła mi do głowy? Ta pieczętka mogła się dostać do kielbaski razem z... palcem pani Remington.

Pan Mortlok zbladł i zerwał się z fotela.

— Masz pan piekielne kombinacje, panie Holmes! — zawołał. — Chciałbyś pan utrzymywać, że pani Edyta Remington została zamordowaną i... strach powiedzieć... posiekaną na mięso do kielbas?

— To bardzo możliwe — potwierdził detektyw ze spokojem i powagą. — Bill należy do rzędu ludzi, po których można się spodziewać wszystkiego. Jego krewni, obsługujący zakład, mają miny zdecydowanych zbrodniarzy, a lokal posiada niezawodnie skrytki tajemnicze.

Panie Mortlok, znasz mnie pan z opinii i wiesz, iż nie lubię budować zamków na lodzie. Otóż wiedz, iż budowa moich obliczeń i kombinacji w tej sprawie jest następująca:

Czerwony Bill, który jest rzeźnikiem fachowym, wpadł na szatański pomysł wyrobienia kielbasek, których nadzwyczajny smak zjednałby mu najszerze powodzenie.

W tym celu mięso wieprzowe miesza z mięsem... młodych kobiet.

Ściąga je do swego zakładu za pośrednictwem sfory agentek. One to występują w roli pensjonarek zakładu św. Magdaleny, wchodzą w bliższe stosunki z młodymi członkiniami instytucji i... reszty łatwo się domyślić.

Inspektor otarł pot z czoła.

— Macie panowie te kielbaski? — zapytał głucho.

Holmes rozwinął papier, w który Czerwony Bill zawinął mu swój towar:

— Oddam te kielbaski naszemu chemikowi do analizy. Są to rzeczy zadziwiające. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Jak mi pan mówiłeś i co potwierdza profesor, pani Remington już raz, rok temu, znikła z domu. Powiedz mi pan, cóż ona robiła w mieszkaniu Heloizy, dziewczyny najgorszego prowadzenia?

— Dziwi mnie pańskie zapytanie — zaznaczył szorstko Sherlock Holmes. — Heloiza potrafiła wyzyskać entuzjazm opiekunki upadłych i dla zaskarżenia jej względów, z planem ułożonym z góry, uczyniła ją stróżką swojej cnoty. To śmieszne, lecz prawdziwe. Damy amerykańskie, jak to już sprawdziłem, niebacznie korzystają z prawa absolutnej swobody, a w swoich działaniach filantropijnych posuwają się aż do dziwactw. Mamy tu zatem do czynienia z następstwami waszej filantropii amerykańskiej.

Pan Mortlok nachmurzył się.

— To prawda, gorzka prawda. Co pan teraz czynić zamierzasz?

— Pójdę natychmiast do jaskini lwa — to rzekł i podniósł się. — Harry będzie mi towarzyszył.

— Podam panom do pomocy kilku lub, jeżeli potrzeba, kilkunastu policjantów.

— Tym lepiej. Harry zatrzyma ich w pobliżu zakładu i będzie stał w odwodzie.

— W tej chwili sprowadzę ich z koszar — dodał inspektor. — Wybiorę ludzi najodważniejszych, a przy tym roztropnych i silnych.

6. W warsztacie Czerwonego Billa

Od narady urzędników policyjnych upłynęło kilka godzin.

Na zegarach miejskich wybiła godzina druga po północy. Gęsta mgła napływająca od morza otuliła ulice i oplótła domy w dzielnicy Somerville.

Na wysokim murze ogradzającym dom Czerwonego Billa stał samotny mężczyzna i uważnie rozglądał się dokoła.

Raz jeszcze obszedł szczyt muru, spojrzał na pustą ulicę Mystic i przekonawszy się, iż nikt go nie podgląda, zrećźnie ześlizgnął się na chodnik.

Po chwili zza zakrętu wąskiej uliczki wynurzyła się postać młodego chłopca, uzbrojonego w długą drabinę sznurową, którą zaraz też zarzucił na parkan murowany.

— Harry, podtrzymaj drabinę, a ja przeleżę. Na froncie domu wszystko zasnęło, restauracja i sklep są od dawna zamknięte. Myślę, że i mieszkańcy pokładli się na spoczynek, zresztą to się zobaczy.

— A mnie się zdaje — szepnął Taxon — że na podwórzu ktoś na kamieniu toczy nóż.

— Możliwe. To znaczy, iż Czerwony Bill pracuje. Może mi się uda schwytać go na gorącym uczynku. Gdyby mnie opadły psy, rzucę im mięso zatrute, które wzięłem ze sobą. A teraz słuchaj uważnie co ci powiem:

Jeżeli zejść na podwórze i nie ściągnę drabiny, ma to znaczyć, że zwęszyłem niebezpieczeństwo. W razie przeciwnym zabiorę ją i pójdę w głąb podwórka, gdzie poszukam piwnicy, w której Bill przechowuje mięso. Na wszelki wypadek drogę przez podwórze będę posypywał piaskiem, czyli że ty i policjanci łatwo znajdziecie mnie po śladach.

Na wypadek nagłego niebezpieczeństwa dam znać gwizdawką. Na ten sygnał przybiegniecie o ile możności najspieszniej. Zapamiętaj to, ponieważ tu idzie o moje życie.

Zaczekaj więc, aż przeleżę przez mur, po czym powróć do oddziału policjantów.

— Słucham pana. Wszystko będzie wykonane ściśle według pańskich rozkazów.

— A więc do widzenia, chłopcze.

— Szczęśliwej drogi.

Holmes, odziany jak zwykle, wskoczył na mur i po chwili znikł po tamtej stronie.

Oczyma przyzwyczajonymi do ciemności ogarnął podwórze. Tu wszystko spało, najłżejsze szmery nie naruszały ciszy nocnej.

Dał Harry'emu znak umówiony i ściągnął do siebie drabinkę.

Ostrożnie posunął się w podwórze, drabinkę ukrył w bezpiecznym kącie i, zapewniwszy sobie odwrót, sięgnął do woreczka z piaskiem.

Stąpał w butach o podeszwach kauczukowych, starając się nie sprawiać najmniejszego szelestu i zbliżał się do budynków położonych w oficynie.

Poruszał się wśród nieprzeniknionych ciemności. W pobliżu szopy usłyszał dochodzące spod ziemi rytmiczne uderzenia.

Staął przed budowlą i nasłuchiwał. Dotknął ręką drzwi, które były zamknięte.

Nacisnął guzik latarki i opatrzył zamek wielki, zardzewiały i mocny. Drzwi do środka były zamknięte na sztabę żelazną, którą można było otworzyć przy pomocy klucza uniwersalnego, z jakim znakomity detektyw nigdy się nie rozstawał.

Z cicha a ostrożnie usunął przeszkody i otworzył drzwi.

Przy świetle lampki elektrycznej spostrzegł, iż miejsce, w którym się znalazł, było warsztatem, gdzie Czerwony Bill fabrykował kielbasy. Znajdowały się tu wszelkie przybory rzeźnicze jak niecki, siekacze, przyrząd do mielenia mięsa itp.

— To jeszcze nie wszystko, czego szukam, stary rozbójniku — mruknął do siebie nieustraszony detektyw. — Twoja pracownia specjalna musi się znajdować na dole, skąd dochodzi hałas topora. Myślę, iż tę pracownię łączy z warsztatem przejście podziemne. Trzeba to zbadać.

Nachylił się i, przyświecając latarką, opatrywał każdą deskę podłogi z osobna.

— Aha — szeptał — mamy więc drzwi w podłodze, którymi mistrz schodzi do swojej podziemnej otchłani. Drzwi zamknięte na sztuczny zamek? To nas bynajmniej nie zniechęca. Poszukajmy sprężyny, która wprawia w ruch drzwi umieszczone w podłodze.

Pograżył się w poszukiwaniach ukrytej sprężyny.

Mechanik, który urządzał maszynierię był nie lada spryciarzem. Sherlock Holmes nie mało się natrudził nad badaniami, które nie doprowadzały go, pomimo to, do żadnych wyników.

Z kłopotów wyprowadził go prosty przypadek.

Szukając i oglądając najdrobniejsze szczegóły, nadepnął na guzik ukryty w podłodze i, gdy tego najmniej oczekiwał, drzwi same się otworzyły, a Holmes ani się tego spodziewając, z wolna i z cicha opuszczał się pod podłogę.

Nastąpiło to tak nagle, iż nocnemu gościowi zabrakło czasu do namysłu.

Po chwili uczył pod nogami podłogę piwnicy, przy czym uderzył głową w ścianę tak mocno, że aż stracił przytomność.

Zbudziło go z tego stanu silne kopnięcie w bok.

Otworzył oczy i spostrzegł z przerażeniem, iż całe ciało i wszystkie członki krępują mu grube powrozy.

Stał nad nim Czerwony Bill triumfujący i szatańsko uśmiechnięty.

— Mam cię chłopaczku! — zawołał i pod nos detektywa podsunął olbrzymią, zaciśniętą pięść. — Złapałeś się? Ha, poznaję cię wyżle policyjny. Byłeś dziś wieczorem w moim sklepie w masce! Chciałoby ci się przewąchać tajemnice Czerwonego Billa, psie przeklęty!

Spodobała ci się fabryka kielbas, co?

Masz ochotę przekonać się, jak Czerwony Bill wyrabia swój towar?

Przy tych słowach olbrzym porwał Holmesa lekko jak piórko, zarzucił na ramię i poniósł do ciemnej izby, położonej tuż za piwnicą.

Oczom detektywa przedstawiła się izba warsztatu rzeźniczego.

Oświetlona bekami gazowymi była straszliwa i posępna nad wszelki wyraz.

Pośrodku stał pień do rąbania mięsa. Wielkie strugi krwi połyskiwały na podłodze, krew stwardniałą warstwą osiadała na ścianach jaskini.

Najokropniejszym był jednak widok zwłok ludzkich, te wisiały na hakach przy ścianie, obok odartych ze skóry oraz oczyszczonych cieląt i wieprzów.

W straszliwym warsztacie zwisały zwłoki dwu kobiet, szczątki rozrzucone na podłodze i pieńku świadczyły, iż nędzny zbrodniarz przerabiał na kielbasy jeszcze więcej ludzkiego materiału.

Holmes przymknął oczy, nie mogąc znieść straszego widoku. Czerwony Bill zauważył to jego wzruszenie i zgrozę.

Podszedł do niego i mruknął drwiąco:

— Tak, mój chłopcze, obejrzyj się dokoła, a uważnie. Prawda, jakie to piękne damy? Czerwony Bill ma dobry gust, nieprawda? Wszystkie młode i przystojne. Smaczne bywają z nich kielbaski! Czasy są ciężkie, mój chłoptasiu, materiały drogie, konkurencja szalona. Kto chce żyć, musi mieć głowę na karku — zaśmiał się głosem szaleńca. Sherlock Holmes siedział na ziemi zimny i zdrtętniały.

Czerwony Bill zamierzył się na więźnia wyostrzonym toporem, lecz wstrzymał zamach po namyśle.

— Na ciebie przyjdzie czas, nic pilnego — skrzeczał. — Zabaw się cokolwiek i popatrz, jak się u mnie fabrykuje kielbasy.

Popchnął go pogardliwie na ziemię, w tejże chwili Holmes usłyszał straszliwe warczenie. Spojrzał i zadrzał.

Z przyległej piwnicy wybiegł olbrzymi buldog, obwąchał ofiarę i wyszczerzył wielkie, ostre zęby, jak widać zaprawiony do szarpania ludzi na strzępy.

Lecz Bill usunął psa.

— Cicho mi, Filaks! — zawołał. — Naprzód ja się nim pobawię, potem będzie twój. Wątpię, czy się bardzo uraczysz, chłop chudy i suchy jak drewno.

I przystąpił do roboty, której widok burzył krew w żyłach świadka.

Sherlock Holmes w tej chwili krytycznej otrząsnął się ze zgrozy i przywołał na pomoc całą zasób energii.

Stwierdził, iż jeżeli teraz nie pomyśli o środkach ocalenia, to będzie na zawsze zgubiony.

Powziąwszy to postanowienie, sięgnął zębami do gwizdawki uwiązanej pod szyją i zadął.

Odgłos zbliżony do ryku syreny okrętowej wstrząsnął ścianami podziemia i przez otwarte drzwi wybiegł na podwórze.

Czerwony Bill skoczył przerażony i w pierwszej chwili nie mógł zmiarkować, skąd się wziął ten gwizd silny i przeciągły.

Jego ofiara siedziała bez ruchu z rękoma skrępowanymi za plecami.

Rzeźnik rozglądał się dokoła, nie wiedząc, co ma na razie przedsięwziąć.

Holmes zaś czujnym uchem uchwycił szmery u drzwi, które zostały otwarte.

Naraz do lochu wbiegł Harry Taxon z podniesionym rewolwerem w rękę, spoj-rzał na swego mistrza, ogarnął wzrokiem izbę i krzyknął w pełni przerażenia.

Zawtórowali mu policjanci, zgromadzeni za jego plecami. Ich wzrok również nie był w stanie znieść straszliwej dekoracji ścian i podłogi.

Dog straszliwie zawarczał i rzucił się na Harry'ego, który celnym strzałem tru-pem położył rozszałałą bestię.

— Zostawcie mnie, zostawcie! — krzyknął Sherlock Holmes. — Najprzód rozprawcie się z Billem, chwytajcie go!

Harry pomimo rozkazu uklęknął przy swoim mistrzu i jednym cięciem ostre-go noża wyswobodził go z pęt.

Ten zerwał się, z rąk najbliższego policjanta wyrwał rewolwer i szybko jak wi-cher popędził do sąsiedniej piwnicy.

Nie upłynęła minuta, gdy ohydny morderca, krwią ludzką zbroczony Bill, zna-laż się w jego rękach.

— Mamy Czerwonego Billa! — zawołał, zwracając się do nadchodzącego in-spektora policji. — Mamy potwora, jakiego świat nie widział! Hej, towarzysze, bierzmy się teraz do jego dwojga krewniaków. Bill spętany i z gębą zakneblowa-ną nie ucieknie. Jazda na górę!

Oddział z Harrym na czele rzucił się na górę, wpadł do domu frontowego podobny do burzy i, wyłamując drzwi po drodze dla pośpiechu, wtargnął do sypialni potwornych małżonków.

Oboje zaspani i nieprzytomni, nieprzygotowani na podobne odwiedziny, pod-dali się w milczeniu.

— Gdzieżecie podziali panią Remington? — huknął Holmes do zdrętwia-łego ze strachu szwagra Billa. — Może wasz współnik już zdążył przerobić ją na kielbaski?

— O ile wiem — mruknął zbrodniarz — ta dama została zamkniętą w lodowni.

— Prowadź mnie do lodowni. Ludzie, za kołnierz go, a mocno. Idź przodem, zbój!

Wilkins widząc, iż wszelkie widoki ratunku są dla niego stracone, zaprowadził policjantów do wielkiej izby urządzonej według wszelkich zasad sztuki zamrażania.

Na ohydny widok, jaki przedstawiała lodownia, zarzućmy zasłonę dyskrecji.

W salonie restauracyjnym odbyły się badania przedwstępne.

— Zatem pani Remington...

Czerwony Bill mówił twardym głosem zakamieniałego zbrodniarza:

— Zamordowałem ją jeszcze przedwczoraj. Otrzymałem większe zamówienie kielbas dla osad okrętowych i byłem zmuszony zaopatrzyć się w większe ilości mięsa. Z tego powodu moje agentki zwołały swoje piękne i młode opiekunki na zgromadzenie ogólne.

— Zamordowałeś je wszystkie?

— Co do jednej, panie inspektorze — odrzekł z czelną śmiałością.

— Cóż się dzieje z twoimi agentkami? Gdzie jest Heloiza?

Czerwony Bil zerknął spode łba i zawarczał:

— Dziewczęta uliczne, które sprowadzały mi młode damy na rzeź, zepsute powodzeniem rozbijały się po mieście. Odwiedzały restauracje i odgrywały rolę pań światowych. Lękałem się, aby która z nich nie wypaplała się i... pozarzynałem je przed kilku dniami. Miałem zamiar zebrać nową gromadę agentek. Teraz już za późno.

Sherlock Holmes nie chciał już dłużej słuchać tych wstrętnych zeznań.

— Oddaję trójkę zbrodniarzy w pańskie ręce — rzekł do inspektora. — Pan również zechcesz zawiadomić o tym, co zaszło, nieszczęśliwego profesora. Dziś przed południem przyjdziemy do pana z pożegnaniem.

Znużony i zdenerwowany Sherlock Holmes, okryty nowymi laurami, tegoż dnia z Harrym odpłynął do Londynu.

10000.- Cui. P 29597/1937

Nr 1-8

6.8

KĄŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ. Nr. 1. Cena 10 gr.



POSTRACH LONDYNU



WYDAWCA
WILKINSON

Miw. 173360

W. 173360
262

Lord Lister

Tajemniczy Nieznajomy

Zeszyt 1

Postrach Londynu



1937

To pierwszy zeszyt przygód lorda Edwarda Listera, powszechnie szanowanego wiktoriańskiego dżentelmena, który jako tajemniczy włamywacz John Raffles wspierał najuboższych, okradał łajdaków i grał na nosie londyńskiej policji.

Postać Arthura J. Rafflesa stworzył brytyjski pisarz, poeta i dziennikarz Ernest William Hornung (1866—1921). Opowiadania o Rafflesie z cyklu *In the Chains of Crime* zaczął publikować w prasie w 1898 roku, a rok później wydał je w książce, którą dedykował bratu swojej żony, Arthurowi Conan Doyle'owi. Samego Rafflesa/Listera z jego przyjacielem i sekretarzem Charlesem Brandem u boku porównywano zresztą często do stworzonej przez Conan Doyle'a pary Sherlock Holmes i doktor Watson, choć podobno żyjącymi wzorami dla tych postaci byli również zaprzyjaźnieni z Hornungiem Oskar Wilde i lord Alfred Douglas. Sam Conan Doyle wysoko cenił styl i biegłość narracyjną szwagra, miał jednak wątpliwości, czy bohater-złoczyńca nie będzie stanowił dla czytelników złego przykładu, a zarzut ten powtarzali i późniejsi krytycy. Po polsku wyszły trzy książki Hornunga: *Raffles włamywacz dla dobrej sławy* (Lwów 1922), *Włamywacz Raffles mój przyjaciel* (1929) i w powojennej „serii

z jamnikami”, w tłumaczeniu Miry Michałowskiej, *Raffles* (1985).

Jednak jako bohater zeszytów Lord Lister zaistniał za pośrednictwem apokryficznej serii niemieckich *Groschenhefte* autorstwa Kurta Matulla i Theo Blakensee, która, zmieniając parę szczegółów (m.in. imię bohatera), rozwijała listerowskie uniwersum. Przygody Listera pod nazwą *Lord Lister, genannt Raffles, der Meisterdieb*, a następnie *Lord Lister, genannt Raffles, der große Unbekannte* ukazywały się w latach 1908—1910 i zostały wznowione w dwudziestoleciu międzywojennym. Pierwsze polskie wydanie, *Lord Lister zwany Raffles, mistrz włamywaczy*, ukazało się już w 1908 roku nakładem krakowskiego „Wydawnictwa Powieści Popularnych”, w warszawskiej drukarni Lepperta i spółki. Opowiadania o Rafflesie ukazywały się później w seriach krakowskich: „Senzacja” (1910) i „Senzacyjna Biblioteka” (1916), wreszcie od 1937 roku łódzkie wydawnictwo „Republika” drukowało zeszyty serii *Lord Lister. Tajemniczy Nieznajomy*, której pierwszy odcinek przedrukowujemy. W Łodzi ukazały się dziewięćdziesiąt cztery odcinki — wybuch wojny spowodował, że polscy czytelnicy nie doczekali ślubu głównego bohatera.

Lord Lister, jak głosiła reklama, „spędza sen z oczu oszustom, łotrom i aferzystom, zagrażając

ich podstępnie zebranych majątkom. Równocześnie Tajemniczy Nieznajomy broni uciśnionych i krzywdzonych, niewinnych i biednych". Czytelnicy pokochali przygody Rafflesa, które łączyły elegancki sztafaż powieści detektywistycznej z ludowym przesłaniem historii zbójckiej. Bohater, niczym Robin Hood czy Rinaldo Rinaldini, pragnął „przywrócić zachwianą równowagę pomiędzy klasą posiadaczy a ludźmi umierającymi z głodu", zapewne z powodu nędzy, w której sam wyrósł (choć poznajemy kilka sprzecznych wersji jego biografii). Obrabowywał więc sejfy spekulantów i lichwiarzy, a następnie łożył na przytulki, wynagradzał ofiary oszustw i wyzysku. Jego nieodłącznym prześladowcą był niezbyt roztargniony komisarz Baxter ze Scotland Yardu, co pozwalało czytelnikom bezkarnie śmiać się z władzy. Raffles działał wraz z dwoma pomocnikami — wiernym Charlesem Brandem (który zajmował się jego finansami, ale też świetnie strzelał i był nie do rozpoznania w kobiecym przebraniu) oraz służącym i kierowcą — olbrzymem Hendersonem. Sam główny bohater często się przebierał, zmieniał tożsamość i wygląd (w tym nawet kolor oczu) do czego przydawały mu się znajomość chemii i medycyny oraz talent wynalazcy. Nieustanny kamuflaż był częścią jego gry w kotka i myszkę

z policją z jednej, a „prawdziwymi łotrami" z drugiej strony. Równolegle śledziła go prasa, a kolejne jego wyczyny trafiały do gazet, co nadawało im nowoczesny rys. Bardzo podobnie, choć we francuskim kontekście, skonstruowana została postać Arsena Lupina, arystokratycznego włamywacza z powieści i opowiadań Maurice'a Leblanca, ukazujących się od 1907 roku. Charakterologicznie (i kulturowo, zgodnie ze stereotypem narodowym) bohaterów różniło jednak podejście do dam: Francuz był niepoprawnym uwodzicielem i kobieciarzem, tymczasem Anglik, choć czuły na krzywdę niewieści, zachowywał się z niekazitelną powściągliwością.

Justyna Jaworska

Lord Lister. Tajemniczy nieznajomy. Zeszyt 1: Postrach Londynu.
Wydawnictwo „Republika" Spółka z o. o.
Stefan Pietrzak, Łódź 1937.

Prześladowana niewinność

Około godziny szóstej wieczorem, bogaty kupiec branży jedwabnej, Lucas Brown, dał znak swemu głównemu buchalterowi, aby zamykał biuro.

Okna biura wychodziły na jedną z najruchliwszych ulic Londynu i mister Lucas Brown mógł przyglądać się spacerującym tłumom przez zasunięte żaluzje.

Zanim pracownik zdążył podnieść się zza biurka, mister Brown dodał spieszenie:

— Proszę mi przysłać nową naszą urzędniczkę, miss Walton. Pragnę z nią pomówić.

Buchalter uśmiechnął się pod wąsem. Znając od dawna swego szefa, wiedział dokładnie, jakiego rodzaju rozmowę miał on na myśli. Brown angażował do swej firmy jedynie młode i przystojne dziewczyny, które wpadły mu w oko. Korzystając z ich braku doświadczenia i naiwności, czynił z nich swe powolne narzędzia.

— Czy jest pan zadowolony z pracy miss Walton? — zapytał się buchaltera, który szedł właśnie zawołać dziewczynę.

— O, w zupełności — odparł mąż zaufania.

— To cudownie — Brown zatarł z zadowoleniem swe tłuste, obwieszone pierścieniami ręce. — Bardzo mnie to cieszy. To bardzo miłe i ładne dziecko. Przy odrobinie sprytu mogłaby mieć u mnie święte życie.

Fala hałasu wdarła się z ulicy przez okna. To roznosiciele gazet wybiegli tłumem z redakcji, wykrzykując ile sił w piersiach szczegóły najnowszej sensacji:

— Ostatni wyczyn Rafflesa! Kradzież brylantów wartości przeszło sześciu milionów! Sprawca kradzieży — Tajemniczy Nieznajomy! Nieuchwytny Raffles! Raffles! Raffles!

Przechodnie wydzielali sobie formalnie gazety z rąk:

— Niech mi pan skoczy po gazetę — rzekł Brown do buchaltera. — Jakiś nowy kawał spletał ten wisielec.

Buchalter wyszedł i wrócił po chwili, niosąc numer gazety, której cała pierwsza strona poświęcona była wyczynowi Rafflesa. Mister Brown szybko przebiegł wzrokiem artykuł:

— Zupełnie niebywały człowiek! Nie ma chyba sobie równego! Z jaką zręcznością trzyma on w szachu cały Scotland Yard. Doprawdy, od czasu, gdy Sherlock Holmes wycofał się do zacisza domowego, główna kwatera naszej wspaniałej policji upodabnia się coraz bardziej do przytułku dla starych kobiet!

— W samej rzeczy — przyznał buchalter. — To prawdziwy geniusz. Uważam, że człowiek ten zmusza nas do podziwu. Niewątpliwie posiada całkiem niezwykle właściwości. To król wśród przestępców, Napoleon w swoim rodzaju. A zewnętrznie, ma wygląd skończonego gentlemana.

— Przesadza pan, mój drogi. Ten dziwaczny entuzjazm udzielił się całemu Londynowi, prawdziwa gorączka. Gdziekolwiek się udasz, wszędzie pełno nieprawdopodobnych historii o tym gentlemanie-przestępcy. Ładny mi gentleman — tu Brown wydał pogardliwie swe grube wargi. — Pan również, panie Tomasz, posiada dość dziwne pojęcie o tym, jakim powinien być w rzeczywistości prawdziwy gentleman.

— Bynajmniej, panie Brown. Przecież wszystkim wiadomo, że ten przestępca cały swój łup obraca na wspomaganie biednych i nieszczęśliwych z Whitechapel i East Endu.

— W takim razie to wariat — odparł Brown z flegmą. — Inaczej użyłby tych pieniędzy na bardziej normalne cele. Pieniądze można wydawać na przyjemności lub kobiety. Cała ta kanalia z Whitechapel nie zdołałaby wyciągnąć grosza z mej kieszeni.

— Zupełnie w porządku — odparł buchalter, tłumiąc śmiech. — Właśnie przeciw takiemu stanowi rzeczy występuje Raffles. Zamiast wyciągać z pańskiej kieszeni poszczególne grosze, woli zabrać panu cały portfel. Jest to bez porównania dla biedaków korzystniejsze.

Mister Brown ściągnął brwi i odpowiedział z lekka poirytowanym głosem:

— Zapomina się pan chwilami, panie Tomasz. Proszę zaprzestać tego rodzaju poufałości. Gdybym nie znał pana od wielu lat jako mego wiernego i zaufanego pracownika, wysnułbym z pańskich słów niepożądane wnioski. Ale nie będziemy dysputowali więcej na temat Rafflesa. Najważniejsze, żeby nas zostawił w spokoju. Niech się zajmuje pieniędzmi innych, byleby tylko nie ruszał moich.

— Miejmy nadzieję. Posiada pan ich tyle... Trudno po prostu wierzyć, żeby nie złożył któregoś pięknego dnia nam wizyty — rzekł buchalter.

— Co też pan wygaduje! — rzekł Brown. — Czy można mieć za dużo pieniędzy? Jestem wprawdzie milionerem, dostawcą Dworu Angielskiego. Powodzi mi się dobrze, ale czy jest to powodem, aby mieć dosyć?

— Tym przyjemniej będzie Rafflesowi, gdy przyjdzie do nas w odwiedziny.

— Niech pan przestanie, działa mi pan na nerwy. Słuchając pana, wydaje mi się, że stoi on już pod moimi drzwiami.

Buchalter roześmiał się:

— Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby włożył kilka banknotów do mej kieszeni — rzucił. — Podobno lubi on dopomagać biednym.

Szef wyprostował się w całej swej okazałości i zawołał ostrym tonem:

— Czy nie zaprzestanie pan swych głupich żartów? Mimo iż jestem w najlepszym humorze, działa mi to na nerwy. Niech diabeł porwie Rafflesa! Od czasu,

gdy cały Londyn pełen jest jego nazwiska, nie mam spokojnej chwili ani we dnie, ani w nocy. Ciągłe mi się wydaje, że ktoś dobiera się do mojej kasy. Nie chcę więcej słyszeć o nim. Proszę zawezwać miss Walton.

Gdy buchalter wyszedł, mister Brown zbliżył się do swej ogniotrwałej kasy, stojącej obok biurka i uważnie sprawdzał lśniące zamki z metalu i ciężkie zasuwę.

— Można stracić nerwy przez tego łotra — szeptał. — Nie potrafię opanować strachu.

Przekonawszy się, że wszystkie zamki funkcjonują sprawnie, zmienił kombinację sobie samemu tylko znaną i zanotował ją starannie. Właśnie kończył to zajęcie, gdy weszła miss Walton.

Choć ubrana nadzwyczaj skromnie, każdym swym ruchem musiała czarować mężczyzn na nią patrzących. Jasne, spokojne oczy patrzyły poważnie z delikatnej twarzy. Zatrzymała się niepewnie w progu.

— Proszę się zbliżyć, moja ślicznotko — rzekł Brown, wodząc zachwyconym wzrokiem po zgrabnej figurce. Zapomniał zupełnie o Rafflesie. Wstał, podszedł do młodej dziewczyny i ujął jej delikatną dłoń w swe grube, obwieszone pierścieniami, palce. Ruchem pełnym kurtuazji wskazał jej miejsce na kanapie. Na samo dotknięcie jego ręki doznała uczucia odrazy. Ogarnęła ją niewytłumaczona niczym obawa. Brown usiadł bliźniutko kanapy, tuż naprzeciw dziewczyny i delikatnie gładził jej rękę, patrząc przy tym wymownie w jej jasne oczy. Wypieki wstydu wystąpiły na twarz miss Walton.

— Ma pani prześliczne ręce — zaczął Brown. — Czy nie szkoda niszczyć tych pięknych paluszków w żmudnej pracy biurowej? Byłyby bardziej odpowiednie do dotykania rąbka wytwornej toalety lub do noszenia drogocennych pierścieni.

Miss Walton, zaskoczona, ze zdumieniem spoglądała na tego przeszło pięćdziesięcioletniego człowieka. W swej naiwności przypuszczała, że pragnie jej okazać w ten sposób rodzaj ojcowskiej serdeczności. Brown natomiast całkiem inaczej tłumaczył sobie spokój, z jakim pozwalała mu trzymać swą rękę. Zachęcony jej zachowaniem, pochylił się do ucałowania jej ręki. Na dziewczynę podziałało to jak prąd elektryczny. Instynkt kobiecy ostrzegł ją przed grożącym jej niebezpieczeństwem. Wstała z kanapy i, usiłując opanować swe zdenerwowanie, rzekła:

— Już późno, panie Brown. W domu czeka mnie chora matka. Jeśli nie wrócę w porę, będzie niespokojna. Zechce mi pan wybaczyć i pozwolić mi odejść.

— O! — rzekł szef. — Nie jest znów tak późno. Co zaś dotyczy pani matki, będzie miała najlepszą w świecie opiekę, jeśli pani okaże się dla mnie trochę uprzejmieszka.

Miss Walton spoglądała nań oczyma pełnymi oburzenia. Uczucie strachu poczęło ją opanowywać coraz bardziej. Cofnęła się o krok. Brown podniósł się również, usiłując ująć jej rękę. Oczy jego płonęły, na twarzy malowało się pożądanie. Dotknął ramienia dziewczyny, która wyrwała mu się z krzykiem.

— Proszę mnie zostawić! Muszę iść do domu!

— Nie tak prędko, moja mała! — odparł Brown, zmieniając od razu ton głosu i sposób zachowania się. — Musisz pogadać jeszcze ze mną, czy chcesz, czy nie chcesz. Do domu zawsze zdążysz. Będiesz mi wdzięczna za to, że cię tu zatrzymałem.

Chciał ją ująć i przyciągnąć do siebie. Dziewczyna skoczyła w bok:

— Proszę mnie zostawić! Bo będę wzywała pomocy!

— Oho! — zaśmiał się stary zwyrodnialec. — Potrafisz złościć się, piękna kotko. Twoje krzyki nie na wiele się przydadzą. Nikt ich nie usłyszy! Jesteśmy sami w biurze.

Miss Walton powiodła dokoła zrozpaczoną wzrokiem. Brown zasłaniał sobą drzwi. Przez okno spostrzegła stojącego na ulicy przed domem eleganckiego, wysokiego, młodego człowieka, który kupował gazetę wieczorną. W chwili, gdy Brown usiłował po raz wtóry do niej się zbliżyć, szybkim ruchem podbiegła do okna, otworzyła je i krzyknęła w stronę stojącego młodego człowieka:

— Ratunku, na pomoc!

Młody człowiek odwrócił się zdziwiony. Ujrzała spokojne spojrzenie czarnych gorących oczu, jarzących się w ciemnej, spalonej od wiatrów twarzy.

— Natychmiast spieszę z pomocą! — rzucił nieznajomy.

Oddychając ciężko ze wzruszenia, miss Walton odeszła od okna.

Brown stał w środku pokoju z zaciśniętymi z wściekłości pięściami.

— Zapłacisz mi za to — krzyknął — szalona dziewczyno!

W tej samej chwili nieznajomy, niezatrzymywany widocznie przez nikogo, wszedł do pokoju.

— Czego pan tu chce? Proszę stąd wyjść, gdyż inaczej zawołam policję — rzekł kupiec pewnym tonem.

Nie racząc mu dać odpowiedzi, nieznajomy zwrócił się do miss Walton:

— W czym mogę pani pomóc? O ile zrozumiałem, napastowano panią?

Miss Walton spoglądała na swego zbawcę oczyma pełnymi zaufania i prośby:

— Proszę mi pomóc wyjść stąd — rzekła. — Ten człowiek obraził mnie w sposób dotkliwy.

Nieznajomy wlot ocenił sytuację. Zbliżył się do kupca, obrzucił go od stóp do głów pełnym pogardy spojrzeniem:

— Stary rozpustniku! — rzucił mu w twarz.

— Proszę stąd wyjść! — wykrzyknął Brown zduszonym od wściekłości głosem.

Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, nieznajomy zwrócił się uprzejmie do miss Walton:

— Czy zechce pani iść za mną?

Dziewczyna z pośpiechem opuściła pokój.

— Jest pani wydalona! — wykrzyknął w ślad za nią Brown.

Nieznajomy uśmiechnął się do siebie i odprowadził swą protegowaną do progu drzwi wejściowych. Na ulicy miss Walton w kilku słowach, lecz bardzo serdecznie, podziękowała swemu wybawcy. Chciała go już pożegnać, gdy poprosił nagle:

— Czy nie mogłaby mi pani padać swego adresu?

Bez wahania młoda dziewczyna napisała swe nazwisko oraz adres na kartce wydartej z notesu i dała je nieznajomemu. Mężczyzna schował ją starannie, ukłonił się głęboko i rzekł melodyjnym głosem, który długo jeszcze potem dzwigał w uszach dziewczyny:

— Niech pani wraca czym prędzej do domu, miss Walton, i dziękuje Bogu, że mnie postawił na pani drodze.

Myśląc o chorej matce, dziewczyna poczęła prawie biec do domu. Nie spostrzegła, że jej wybawca, zamiast iść swoją drogą, powrócił do biura i zamknął starannie za sobą drzwi.

Przez czas jakiś nasłuchiwał uważnie, po czym włożył na siebie czarną maskę i wślizgnął się do gabinetu kupca. Mister Brown w kapeluszu na głowie gotował się właśnie do wyjścia. Wydawało się, że zapomniał zupełnie o przykłej scenie sprzed paru minut. Zapalając cygaro, nucił wesoło arię z ostatniej operetki. Zapaloną zapałką dotknął kosztownej hawany, gdy nagle zatrzymał się jak wryty. Zimny dreszcz przeszył jego plecy. Tuż obok niego wyrósł, jakby spod ziemi, zamaskowany człowiek, trzymający rewolwer w ręce.

— Zechce pan łaskawie dotrzymać mi towarzystwa przez kilka chwil — usłyszał groźny głos. — Pragnę zapoznać się bliżej z panem i zawrzeć pewną korzystną transakcję.

Przerażenie pozbawiło kupca głosu. Kolana jego chwiały się. Wzrok mętniał tak, że cały gabinet zdawał się skakać przed jego oczyma.

— Proszę iść za mną! — rozkazał zamaskowany człowiek ostro.

Mister Brown usłuchał wbrew swej woli. Nie byłby w stanie stawiać najmniejszego oporu.

Droga, którą wiódł nieznajomy, prowadziła przez korytarz do pokoju, służącego urzędnikom za garderobę. Stała tam duża szafa, w której pracownicy wieszali swe palta i kapelusze. Człowiek w masce otworzył tę szafę i rozkazał wejść do niej Brownowi.

— Poproszę o portfel pański — dodał.

Drżący i szczęśliwy jednocześnie, że udało mu się wykpić stosunkowo tanim kosztem, kupiec wręczył mu swój wypchany portfel.

— Brak mi czasu dzisiaj — dodał nieznajomy — aby zająć się pańską prywatną kasą. Bądź pan jednak spokojny, uczynię to innym razem.

Nieznajomy zamknął za Brownem drzwi szafy i przeszedł do biura. Usiadł za biurkiem kupca, otworzył portfel i wyciągnął z niego garść banknotów. Wziął koperty z nagłówkami firmy i do każdej z nich włożył po parę banknotów. Zamiast wyjaśnienia napisał następujące słowa:

Proszę z nich zrobić dobry użytek. Przesyłam je z pozdrowieniami.

John Raffles.

Wyciskając na kopertach pieczęć wyobrażającą ukoronowaną trupią czaszkę, nieznajomy śmiał się do siebie. Listy te poukładał na miejscu każdego z pracowników. To uczyniwszy, powrócił do uważnego oglądania zawartości portfela. Zainteresował się pewnym listem. List ten pochodził od jakiegoś bankiera z Oxford Street i zawierał treść następującą:

Drogi Brownie.

Nasz ostatni interes dyskontowy przyniósł nam grube zyski. Doktor Walter, którego weksel znajdował się w naszym posiadaniu, przystał wreszcie na zapłatę pod groźbą rozprawy sądowej. Z interesu tego zapisałem dwieście funtów na Twoje dobro. Przyslij mi czym prędzej drugiego podobnego durnia. To są sprawy, którymi warto się zająć. Łączę serdeczne pozdrowienia.

Szczerze oddany

James Gordon.

— Muszę zapoznać się bliżej z tym człowiekiem — rzekł Raffles. — Ludzie tego pokroju powinni wpadać w moje ręce.

Włożył list do kieszeni, nasunął maskę i opuścił biuro. Gdy otwierał drzwi od ulicy, słyszał wściekłe walenie pięściami w drzwi szafy. To Brown usiłował wydostać się ze swego więzienia. Roześmiał się serdecznie i zniknął w tłumie.

Mali gazeciarze nie przestawali wykrzykiwać na całe gardło o ostatnim jego wyczynie, nie wiedząc zupełnie, że w międzyczasie zdążył dokonać nowego.

Stary lichwiarz

W swym małym „biurze” na Oxford Street bankier James Gordon liczył srebrne oraz złote monety, układał je w rulony i zamykał w kasie pancernej. Był to maleńki człowieczek, którego pomarszczona, stara twarz wyrażała przebiegłość i chciwość. Właśnie zdążył zamknąć kasę, gdy ktoś zapukał lękliwie do drzwi.

— Proszę wejść! — rzekł zachrypniętym, przykrym głosem.

Ukazała się kobieta lat około pięćdziesięciu. Pełna lęku i niezdeterminowania zatrzymała się na progu.

Człowiek obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

— Czego pani chce? — zapytał krótko, zajmując miejsce za biurkiem.

— Bardzo przepraszam — mamrotała niewyraźnie kobieta. — Nazywam się Anna Walton. Czytałam w gazetach ogłoszenie, że pan udziela pożyczek.

— To mój zawód — odparł bankier. — Przyszła mnie pani prosić o pożyczkę, czyż nie tak?

— Tak — odparła kobieta słabym głosem. — Jestem w bardzo trudnej sytuacji. Mąż mój zmarł zeszłego roku. Córka nie może znaleźć zajęcia.

— Czy przyniosła mi pani coś na zastaw? — zapytał bankier, bębniąc po stole swymi kościstymi palcami.

Kobieta spoglądała nań bez odpowiedzi.

— Cóż to, nie rozumie pani, czy też zaniemówiła pani nagle?

Mruknął po dłuższej pauzie:

— Pytam, czy pani ma rzeczy, które mogą służyć za zastaw?

— Mam zaledwie trochę gratów — rzekła kobieta z oczyma pełnymi łez. — Wszystko to nie przedstawiałoby dla pana wartości jednego funta.

Bankier Gordon zagwizdał wzgardliwie i roześmiał się brutalnie:

— Czy pani ma mnie za idiotę? Cały Londyn, wszyscy nędzarze z Whitechapel przychodziliby do mnie po pieniądze? To dobre! Ładnie bym wyszedł, gdybym wszystkim biedakom pożyczał pieniądze bez żadnej gwarancji. Niestety takich rzeczy nie robię.

— Jestem chora — rzekła kobieta. — Musiałam zwlec się z łóżka, żeby przyjść tu do pana i błagać o pomoc...

— Lepiej by pani zrobiła, zostając w łóżku. Naraziła mnie pani tylko na stratę czasu — odparł twardo bankier.

— Co mi teraz pozostało? Nie mam dokąd się zwrócić. Daję panu moje najświętsze słowo, że gdy tylko wyzdrowieję, będę pracowała dzień i noc, żeby oddać panu pożyczone pieniądze.

— Nie mogę z panią dłużej rozmawiać — odparł. — Powiedziała pani jednak, że ma pani córkę. Czemuż nie wysła jej pani wieczorem na Picadilly? Jeśli jest dość ładna, zarobi na życie swoje i matki.

Na dźwięk tych okropnych słów kobieta zbladła.

— Widać, że nie ma pan dziecka! — krzyknęła. — Inaczej nie mógłby pan tak mówić.

Bankier wzruszył pogardliwie ramionami i, wskazując na drzwi, rzekł krótko:

— Wynosić mi się czym prędzej! Nie mogę bez końca wysłuchiwać cudzych jereμιad. Mam dużo roboty!

Wolno, jak ktoś bardzo zmęczony, kobieta skierowała się do drzwi, które nagle otwały się same. Stał w nich człowiek młody i bardzo elegancki. Nowo przybyły położył dłoń na ramieniu nieszczęśliwej kobiety i rzekł:

— Proszę pozostać, pani Walton. Drzwi były niedomknięte i niechcący usłyszałem całą rozmowę. Mam nadzieję, że będę mógł pani pomóc.

Usłuchała nie bez wahania. Tajemniczy gość zamknął za sobą starannie drzwi. Gordon wstał i przyglądał się przybyszowi z niezdecydowaniem. Oceniał od razu wytworność jego wyglądu i przyszedł niezwłocznie do wniosku, że osobnik ten musiał należeć do najlepszego towarzystwa. Niedbałym ruchem nieznanym zdjął szare rękawiczki, wsunął monokl w oko i zapalił papierosa. Jak gdyby dla zaakcentowania swego lekceważenia zatrzymał kapelusz na głowie. Mógł liczyć lat około trzydziestu. Na twarzy jego malowała się duma i pewność siebie. Spoglądał na bankiera śmiałymi, zdecydowanymi oczyma.

Nerwowo niepokój opanował starca. Starł się domyśleć, czego mógł żądać od niego ten intruz. Sądząc po wspaniałym diamentowym pierścieniu, nie przyszedł

po pożyczkę. Gość milczał i z ironicznym uśmiechem puszczał w twarz bankierowi kłęby dymu.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał starzec.

— Bardzo wieloma rzeczami — odparł młody człowiek. — Dowiedziałem się o pańskim adresie podczas krótkiej wizyty, jaką złożyłem wczoraj wieczorem Brownowi. Miło mi pana poznać.

Czoło Jamesa Gordona rozjaśniło się na dźwięk nazwiska swego najlepszego przyjaciela, Browna.

Uklonił się uprzejmie, gestem wskazał mu miejsce i rzekł:

— Z kim mam przyjemność?

Nie spuszczać z oczu Gordona swego przenikliwego, spokojnego wzroku, nieznajomy odparł po chwili milczenia:

— Imię moje jest panu dobrze znane. Nazywam się... — tu zrobił nową pauzę, po czym rzekł wolno odmierzonym głosem: — John Raffles.

Bankier James Gordon podskoczył, jak gdyby ugryziony przez jadowitego węża. Prawą ręką niespokojnie błędził po papierach leżących na biurku w poszukiwaniu rewolweru.

— To pan jest Rafflesem! — szeptał niewyraźnie. — Raffles, ten który...

— Tak jest — przerwał gentleman. — Jestem tym, o którym pan myśli, Rafflesem. Tajemniczym Nieznajomym, który jako sport traktuje wyszukiwanie łotrów bez serca, jak pan, i który za pomocą pieniędzy odebranych pijawkom i wampirom usiłuje naprawić choć w części te zbrodnie, które wy popełniacie. A przede wszystkim — rzekł, zwracając się do pani Walton — powróćmy do najbliższej sprawy. Ile pani potrzeba pieniędzy? Pięćdziesiąt funtów, czy to dosyć?

— Och — zawołała nieszczęśliwa kobieta — wystarczy mi pięć funtów.

— Znam pani córkę i jestem szczęśliwy, że przypadek pozwolił mi oddać pani przysługę. Ale wróćmy do interesu.

Odwrócił się do Gordona:

— Proszę odliczyć natychmiast pięć funtów dla pani Walton.

Bankier chciał coś odpowiedzieć, lecz strach sparaliżował mu język. Jak za hipnotyzowany spojrzeniem Rafflesa podszedł do kasy, wyjął banknot pięćfuntowy i położył na biurku.

— Proszę wziąć — rzekł Raffles do kobiety. — Mister Gordon daje je pani z dobrego serca. Jest to najbardziej uczciwa transakcja, jaką zawarł w całym swym życiu, bowiem daje tę sumę bez procentów. To człowiek litościwy, pozwoli pani trzymać je aż do czasu, gdy zarobki się poprawią. Wie, że znajduje się pani w skrajnej nędzy i dlatego nie stawia pani żadnych warunków. Nader porządny człowiek, nasz bankier Gordon! A teraz zechce pani pójść do domu i zostawić nas samych.

Rozpływając się w podziękowaniach, biedna kobieta opuściła kantor. Zaledwie zdążyła zamknąć drzwi, Raffles odezwał się zupełnie innym tonem:

— Cieszę się, że poznałem nareszcie największego lichwiarza, najokrutniejszego dusiciela w całym Londynie. A teraz zechce pan łaskawie — tu nieznajomy wyciągnął rewolwer ze swej eleganckiej marynarki — zachowywać się najspokojniej.

Z uginającymi się nogami bankier usiadł na wskazanym mu przez Rafflesa miejscu. Był bezsilny. Widział, jak John Raffles otworzył kasę żelazną, wyjął z niej gruby pakiet weksli, które lichwiarz otrzymał od swych nieszczęśliwych dłużników i wsunął do swej teczki z wytwornej miękkiej skóry.

Bankier jęknął jak zwierzę złapane w potrzask. John Raffles spojrzał na niego z ironicznym uśmiechem:

— Czy ma pan jakieś życzenie? Żałuję pan prawdopodobnie, że zdejmuję z pana ciężar grzechów, które popełnił pan, wymuszając zobowiązania od nieszczęśliwych. Winien pan mi wdzięczność, że oczyszczam pańskie sumienie. Co do reszty, może się pan zwrócić do policji. Ale — tu wybuchnął śmiechem, zapalił nowego papierosa i ciągnął dalej — mam nadzieję jednak, że nie ma pan zbytnej ochoty do zobaczenia się z policją. Niewątpliwie wsunęłyby nos w pańskie podejrzone transakcje. Wytworzyłyby się zabawna sytuacja: oprócz szkód, jakie wizyta moja mogłaby panu przysporzyć, otrzymałby pan jeszcze dodatkowo parę lat więzienia. Byłby to dla pana pobyt pożyteczny. Bardzo przydałby się społeczeństwu, które pan dręczy swoją obecnością. Uważam pana za zbyt wielkiego tchórza, aby ośmielił się pan wezwać policję. Dlatego też ja sam będę miał przyjemność zawiadomić ją o napadzie.

Błada jak popiół twarz bankiera pokryła się ceglastym rumieńcem. Strach i nienawiść lśniły w jego oczach.

— Pan chyba żartuje — rzekł zachrypniętym głosem. — Po cóż by miał pan zawiadamiać policję?

— Powiedziałem to panu przed chwilą — odparł Raffles. — Oswobodzi to społeczeństwo od pańskiej osoby.

Bankier rzucił się na kolana i, składając błagalnie ręce, prosił o litość.

John Raffles pozostał niewzruszony. Jęki nędznika wzbudzały w nim wstręt.

— Jest pan tchórzem, jak wszyscy łotrzy — rzekł tonem pogardy. — Będę w stosunku do pana tak samo bezwzględny jak pan względem tych nieszczęśliwych, którzy wzywali pańskiej pomocy.

Raffles chwycił grubą książkę rachunkową i uderzył nią silnie lichwiarza w głowę.

— To na pamiątkę ode mnie — rzekł na widok leżącego na ziemi bankiera. Wyciągnął z kieszeni malutką fłaszeczkę z usypiającym płynem, wyjął chusteczkę z kieszeni bankiera, nalał parę kropel i przytknął do ust oraz nosa.

— Trzeba, żeby pozostał w tej pozycji tak długo, dopóki policja nie zdąży tu przyjść. Inaczej żart mógłby się nie udać.

Złodziej-dobroczyńca zabrał książkę rachunkową, portfel wypchany weksłami oraz zobowiązaniami i wyszedł z kantoru.

Starannie zamknął drzwi wejściowe i oddał klucz małemu pomocnikowi dozorczy.

— Mister Gordon musiał na dwie godziny opuścić biuro. Prosił mnie, abym oddał ten klucz.

— Doskonale — odparł dzieciak.

Wziął klucz, nie podejrzewając nic złego, i schował do kieszeni.

Postrach Scotland Yardu

Komisarz policji Baxter siedział w swym gabinecie w słynnym Scotland Yardzie, na dźwięk którego drżą przestępcy całej Anglii. Trzymał przed sobą aparat telefoniczny i z dużym zainteresowaniem śledził tajne wiadomości nadsyłane systemem Morse'a ze wszystkich zakątków kraju. Między palcami komisarza wiła się wąska taśma depesz. Nagle oczy jego otwarły się ze zdumienia, jak gdyby z taśmy tej wyrzwała ku niemu twarz widma. Zbladł i słaby okrzyk zamarł na jego wargach. Szybko chwycił rączkę dzwonka.

Agenci policji wyrosli jak spod ziemi.

— Co się stało, panie komisarzu? — zapytał wywiadowca Tyler, olbrzymi mężczyzna o potężnych barach.

— Makabryczna historia! — denerwował się komisarz, chodząc jak opętany po gabinecie — Diabelski kawał tego łotra, który musiał wejść w przymierze z szatanem. Już nic nie ma pewnego na świecie! Byle jaki złoczyńca może włączyć się do naszej tajnej sieci telegraficznej i przejąć nasze najbardziej sekretne wiadomości. Otrzymałem w tej chwili nieprawdopodobny telegram od tego łotra Rafflesa. To już chyba najbardziej zadziwiający z jego wyczynów. Spójrzcie panowie...

Wywiadowcy policji z zaciekawieniem skupili się dokoła swego szefa, szarpiącego ze zdenerwowaniem taśmę telegraficzną, na której widniały następujące słowa:

Do Pana Komisarza Policji Baxtera w Scotland Yardzie.

Pozwalam sobie zawiadomić panów w sposób, który wydaje mi się najszybszy, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin dokonam włamania do kasy pancерnej lorda Listera.

Aby ułatwić panom pracę, obiecuję uroczyście, że w przyszłości o wszystkich moich wprawach będę uprzednio zawiadamiał telegraficznie Scotland Yard.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i prawdziwego poważania.

— Raffles! — powtórzyli w zdumieniu agenci policji.

— Tak, panowie. Śmiałość tego łotra przechodzi wszelkie granice. Nie mogę myśleć o niczym innym... Raffles! Zawsze i wszędzie Raffles! Nazwisko to doprowadza mnie do oblędu! Wszystkie pisma angielskie i zagraniczne kpią z nas. I pomyśleć tylko: poczynając od dzisiaj, będzie nas zawiadamiał o wszystkich swych zamierzonych eskapadach. Czy można sobie wyobrazić podobną bezczelność?

— W każdym razie będzie to dosyć wygodne dla nas, komisarzu.

— Uprzejmy z niego człowiek! — odparł detektyw Marholm, którego złoczyńcy Londynu nazywali Pchłą z powodu wielkiej jego ruchliwości.

Uśmiechnął się ironicznie, wiedząc, że doprowadza tym do wściekłości swego szefa.

— Potrafi pan wspaniale znajdować okazję do śmiechu, agencie Marholm! — rzekł komisarz, waląc ze złości pięścią w stół.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Wywiadowca Tyler podniósł słuchawkę, reszta czekała w milczeniu. Wtem ten ciężki, będący uosobieniem siły, człowiek pobladł i począł drżeć na całym ciele. Prawą ręką kurczowo chwycił się stołu. Koledzy spojrzeli nań ze zdumieniem.

— Co się stało? — zapytał Barter.

Ruchem ręki Tyler dał mu znak milczenia. Pełnym wzruszenia głosem rzucił krótkie „tak” w kierunku telefonu, odwiesił słuchawkę i zaraportował:

— Musimy natychmiast udać się do biura bankiera Jamesa Gordona na Oxford Street. Bankier leży nieprzytomny przed kominkiem. Z kasy zabrano trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt pięć funtów sterlingów.

— Kto nadał tę wiadomość? — zapytał komisarz Barter, gotując się do wyjścia.

— Kto? — powtórzył wywiadowca, oddychając ciężko. — Sam złodziej. A dla pana, panie komisarzu, złoczyńca przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia, nie tając swego nazwiska: John Raffles!

Słowo to podziało jak eksplozja bomby. Po chwili ciszy Barter wykrzyknął:

— Naprzód chłopcy! Szkoda każdej sekundy! Co to za człowiek!

W kilka minut później wielkie auto policyjne opuszczało mury Scotland Yardu. Wewnątrz jego siedzieli komisarz Baxter z czterema najzdolniejszymi detektywami. W kilka minut znaleźli się przed domem, w którym mieścił się kantor bankiera Jamesa Gordona przy Oxford Street. Był to wielki budynek, zajęty od parteru aż po szóste piętro przez rozmaitego rodzaju biura. Dozorca zaprowadził agentów na czwarte piętro do lokalu Gordona. Drzwi były zamknięte. Na drzwiach widniała przybita pluskiewką kartka z następującym napisem:

Klucz od biura znajduje się u małego chłopca, pomocnika dozorczy.

Posłano natychmiast po chłopaka. Z poszarpanej kieszeni malec wyjął pęk kluczy. Jeden z nich otrzymał od pewnego jegomościa, który polecił mu zachować go aż do przyjścia Gordona.

— Jak wyglądał ten jegomość? — zapytał Baxter.

— Był mniej więcej pańskiego wzrostu — odparł chłopak. — Miał czarną brodę, ciemną twarz, czarny kapelusz. — Mówiąc jąkał się co chwila.

— Nareszcie udało nam się uzyskać rysopis tajemniczego nieznajomego! — rzekł komisarz. — Czy pamiętasz jakiego koloru miał oczy?

— Na to nie mógłbym odpowiedzieć. Ten pan nosił bardzo ciemne okulary.

Detektyw Marholm roześmiał się na głos.

— Nie traćmy lepiej czasu na niepotrzebne głupstwa — rzekł wywiadowca Tyler, otwierając drzwi.

Weszli do środka. Wszystko wyglądało tak, jak opisał głos nieznanego. W powietrzu unosił się słodkawy, mdły zapach chloroformu z eterem, niebezpiecznej mieszaniny, używanej przez złoczyńców londyńskich do usypiania ofiar, które chcą ograbić. Dzięki zabiegom policji James Gordon szybko wrócił do przytomności. Odzyskawszy mowę, krzyknął niezadowolonym tonem:

— Czego panowie tu chcą?

Zapytanie to tak zaskoczyło detektywów, że przez chwilę stanęli bez ruchu.

— Został pan okradziony — rzekł Barter, wskazując na otwartą kasę.

Bankier uczynił obojętny gest i zapytał powtórnie:

— Kim panowie właściwie jesteście?

Baxter i policjanci sądzili, że bankier jest jeszcze oszołomiony narkotykiem.

— Zostawmy go przez parę minut, niech przyjdzie do siebie — rzekł detektyw Marholm do komisarza. — Nie przypomina sobie widocznie tego, co się stało.

Ostra twarz Gordona, przypominająca drapieżnego ptaka, poczerwieniała ze złości.

— Jeszcze raz was się pytam — wykrzyknął swym zachrypniętym głosem — czego chcecie w moim biurze? Czy macie jakiś interes do mnie?

Komisarz odchylił palto, pokazując mu złożony znak na piersi.

— Jesteśmy agentami Scotland Yardu. Otrzymaliśmy informację, że u pana popełniono kradzież.

— Kto panów o tym zawiadomił?

— Złodziej sam — odparł komisarz.

— Oszałełicie! Wiem chyba lepiej od was, czy zostałem okradziony, czy nie!

Detektywi nie mogli zrozumieć dziwnego zachowania się bankiera.

— Czy chce pan z nas kpić? — zawołał Baxter zdenerwowany.

Mały człowiek podniósł się z podłogi. Nakazującym gestem wskazał na drzwi i rzucił przez zęby:

— Jeśli natychmiast nie opuścicie mego biura, zwrócę się o pomoc do najbliższego posterunku policji. Nic tu nie macie do roboty. Proszę wyjść.

Nie rozumiejąc zupełnie o co mu idzie, wywiadowcy kierowali się do drzwi. Od progu komisarz Baxter zwrócił się jeszcze do rozzłoszczonego bankiera:

— Niech pan się zastanowi nad tym, co pan robi. Wiemy o tym, że został pan napadnięty i okradziony. Zabrano panu trzy tysiące osiemset sześćdziesiąt pięć funtów sterlingów.

— Niech pan się miesza do własnych spraw, nie do moich — odparł bankier, kipiąc z wściekłości. — Powtarzam wam, że ja was nie wzywałem. A teraz po raz ostatni: proszę wyjść!

Nie było innej rady. Agenci jak niepyszni wynieśli się z biura. Na korytarzu spojrzeli po sobie zdumionym wzrokiem. Mieli wrażenie, że ogarnął ich nagły obłąd. Z zamkniętego biura dochodził ich odgłos złego śmiechu.

— Jest to najdziwniejszy wypadek, jaki zdarzył mi się w całej mojej karierze — rzekł Baxter do wywiadowcy Tylera. — Człowieka okradziono, to pewne, złodziej sam nas o tym zawiadomił i to, cośmy na miejscu zastali, potwierdziło prawdziwość jego informacji. Nie rozumiem, dlaczego właściwie poszkodowany wyrzucił nas za drzwi.

Jakiś mały chłopiec na posyłki wbiegł na korytarz, pytając o komisarza Baxtera.

— To ja — odparł komisarz.

Chłopiec oddał mu list, na którego kopercie widniał wypisany dużymi literami adres:

*Pan Komisarz Baxter u Jamesa Gordona, bankiera
Oxford Street.*

Komisarz śpiesznie otworzył list. Z koperty wypadł banknot dziesięciofuntowy i karteczka. W miarę czytania oczy Szefa Bezpieczeństwa zdawały się wychodzić ze swych orbit.

W zamian za przykrość jaką sprawiła panom moja ostatnia eskapada, pozwalam sobie przestać dziesięć funtów i mam nadzieję, że użyjecie ich na zjedzenie dobrego śniadania.

Raffles.

W bezsilnej złości zmiął kopertę i wsunął ją do kieszeni. Wstydił się pokazać list ten kolegom.

— Idziemy teraz do lorda Listera. Uprzednio zmobilizujemy Scotland Yard. Jestem pewien, że nędznik nie odważy się dokonać włamania. Tam schwytaliśmy go z pewnością.

Baxter nie zauważył, że agent zwany Pchłą uśmiechał się pod wąsem. W czasie całej swej kariery Marholm tak dobrze się nie bawił jak tym razem.

Przyjaciel nieszczęśliwych

Wytworne salony eleganckiego pałacyku, zajmowanego przez lorda Listera na Regent's Park wypełniał tego wieczoru tłum ludzi obojga płci w rozmaitym wieku i rozmaitego pochodzenia.

Wszyscy trzymali w ręce telegramy i rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Tematy tych rozmów były prawie jednakowe, bowiem identyczna była treść otrzymanych przez nich telegramów.

Celem zlikwidowania pańskiego rachunku u bankiera Gordona i dla skreślenia długu zechce pan zgłosić się dziś wieczorem do mnie

Lord Lister

Regent's Park 2.

Otworzyły się drzwi i lord Edward Lister, młody człowiek około lat trzydziestu, przystojny i dystyngowany wszedł do hallu. Za nim ukazał się jego sekretarz prywatny, trochę odeń młodszy. Sekretarz dźwigał tekę wypełnioną papierami.

Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w stronę lorda. Lord Edward Lister objął wzrokiem zgromadzonych i rzekł dźwięcznym głosem:

— Dziś otrzymałem tę tekę wraz z wszelkimi dokumentami od bankiera Gordona z poleceniem, abym zwrócił wam wszystkie weksle i zobowiązania przez niego posiadane.

Zapanowało milczenie. Jakiś stary człowiek, wyglądający jak emerytowany oficer, wstał i rzekł:

— Niechaj Bóg skarże tego niecnego lichwiarza.

— Przeklinam godzinę, w której nędza mych dzieci pchnęła mnie w szpony tego wampira — dał się słyszeć ostry głos kobiety. — Wszyscy ci, którzy go znają, myślą tak samo jak i ja.

Tu i ówdzie dały się słyszeć pomruki przeciwko bankierowi.

Lord Lister wysłuchiwał ich uważnie. Gdy hałas uspokoił się, z uśmiechem zabrał głos:

— Znam równie dobrze jak i wy opinię tego Shylocka. Na nieszczęście prawo jest bezsilne wobec potworów tego pokroju. Ci zbrodniarze, którzy potrafią swą działalność zamknąć w legalnych ramach, są stokroć niebezpieczniejsi od tych, których sprawiedliwość osadza za kratami. Dlatego też, drodzy moi, postanowiłem oddać wam dziś wasze zobowiązania, wymuszone na was przez tę pijawkę. Otwórz teczkę, Charlie!

Nieszczęśliwi nie wierzyli własnym uszom. Przecież to był prawdziwy cud. Z niedowierzaniem wyciągali ręce po swe dokumenty, badali prawdziwość własnego podpisu. Omyłka była wykluczona. Niewątpliwie były to ich weksle i obligi. Uczucie olbrzymiej wdzięczności dla lorda Listera, nieznanego dobroczyńcy, ogarnęło ich serca. Wszyscy chcieli ucisnąć jego rękę. Kiedy jednak podnieśli oczy w kierunku tego miejsca, gdzie stał jeszcze przed chwilą, nie było go już tam. Lord Lister zniknął. Hall powoli opróżniał się i cisza wieczorna poczęła królować w pałacyku.

W zacisznym gabinecie siedział zagłębiony w fotelu przed kominkiem lord Lister, paląc papierosa. Na twarzy jego o regularnych rysach malował się wyraz poważnego smutku. Rozmarzonym wzrokiem ścigał kapryśny taniec płomieni. Charles Brand, jego sekretarz prywatny i najlepszy przyjaciel, siedział opodal. Wielkie dwuskrzydłowe drzwi łączyły gabinet urządzone skromnie, lecz z dobrym smakiem, z pokojem sypialnym. Na lewo od tych drzwi stał wysoki zegar flamandzki, na prawo zaś kasa żelazna. Służący wniósł stos dzienników wieczornych. Pierwsze stronicie pism pełne były krzykliwych nagłówków:

Raffles przy pracy!

Scotland Yard wyprowadzony w pole!

Bankier londyński, który nie chce przyznać się, że go okradziono.

Lord Lister z uśmiechem podał gazety swemu przyjacielowi. Podczas gdy Charles Brand zagłębił się w lekturze, lord Edward z zainteresowaniem śledził wyraz twarzy swego przyjaciela. Spostrzegł, że młody człowiek zbladł wyraźnie.

Udając, że tego nie zauważył, zapalił drugiego papierosa. Zdążył zaledwie zaciągnąć się dymem kilka razy, gdy Charles Brand zapytał:

— Edwardzie, jak dalece jesteś wtajemniczony w interesy bankiera Gordona?

Lord Lister zaśmiał się znowu, strącił popiół ze swego papierosa do ognia na kominku i wzruszył obojętnie ramionami.

— Wtajemniczony w interesy Gordona? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czy czytałeś, że został on okradziony dzisiejszego ranka?

— Chcesz raczej powiedzieć, że policja ogłasza wieści o jego okradzeniu. Panowie ze Scotland Yardu opowiadają o kradzieży, podczas gdy sam poszkodowany zaprzecza temu kategorycznie.

— Jest to najbardziej tajemnicza historia ze wszystkich jakie słyszałem! — rzekł Charlie.

— Bynajmniej — odparł lord Lister. — Gdybym był detektywem, znalazłbym natychmiast brakujące ogniwo.

— W jaki sposób? — zapytał Charlie, spoglądając z zaciekawieniem na swego przyjaciela.

— Bardzo proste. Okradziony ma najwidoczniej poważne powody, aby unikać najmniejszego kontaktu z policją. Woli ponieść dotkliwą stratę niż narazić się na dochodzenie, które może jego samego zaprowadzić na ławę oskarżonych.

— Byłbyś świetnym detektywem!

— Niewątpliwie. Rok temu, kiedy życie dało mi się porządnie we znaki, zastanawiałem się poważnie nad tym, czyby nie wstąpić do spółki do jakiegoś poważnego detektywa w rodzaju Nicka Cartera, aby wspólnie ścigać przestępców. Zważywszy jednak wszystko dokładnie, przyszedłem do wniosku, że, szukając „sportu”, który by mi przywrócił zainteresowanie życiem, zrobię lepiej, wybierając rolę nie myśliwego, a zwierzyny. Zechciej mnie zrozumieć Charlie. Całą tę sprawę traktowałem wyłącznie z punktu widzenia sportowego.

— Słuchając ciebie Edwardzie, można by przypuścić, że interesujesz się szczerze tym nieuchwytnym przestępcą Rafflesem.

— Oczywiście. Raffles walczy ze złoczyńcami, którzy potrafili skryć się pod opiekuńcze skrzydła prawa. Ten tajemniczy nieznajomy robi więcej dobrego niż wszystkie instytucje filantropijne w całym Londynie. W najnędzniejszych dzielnicach, w kryjówkach nędzy imię Rafflesa powtarza się z czcią. Niewątpliwie on sam przysłał mi dziś przez swego zaufanego wszystkie weksle bankiera Gordona, abym zwrócił je prawym właścicielom.

— To naprawdę człowiek wybitny — rzekł Brand. — Mówi o nim cały świat, a mieszkańcy West Endu drżą na sam dźwięk jego imienia.

— O, z pewnością! — rzekł lord Lister. — Bogaci drżą, lecz biedni się cieszą!

Wszedł lokaj, niosąc na srebrnej tacy kartę wizytową. Twarz lorda Edwarda zacerwieniła się z radości na widok nazwiska, wypisanego na karcie.

— Wprowadź tę panią — rzekł.

Zwracając się do swego przyjaciela dodał:

— Charlie, teraz jesteś wolny. Będę prawdopodobnie zajęty cały wieczór. Dziś więc porzucimy nasze codzienne studia historyczne.

Charles Brand podniósł się, uściśnął przyjaźnie rękę Listera i wyszedł.

Zaledwie zdążył opuścić gabinet, gdy do pokoju weszła młoda kobieta o twarzy zakrytej gęstą woalką.

— Jakże się cieszę, miss Walton! — rzekł młody człowiek. Z galanterią ucałował rękę dziewczyny.

— Pozwoliłem sobie napisać do pani. Musiałem się koniecznie z panią zobaczyć i bardzo jestem wdzięczny, że pani przyszła.

— To ja jestem winna panu wdzięczność — odparła po prostu.

Odrzuciła w tył woalkę. Lord Lister ujrzał twarzyczkę Madonny o jasnych przezroczystych oczach, stanowiących kontrast z głęboką czernią gęstych włosów. Lord wskazał jej miejsce w fotelu blisko kominka i sam usiadł przy niej.

— Muszę panu podziękować za wezwanie — rzekła.

Jej duże oczy napęłniły się łzami.

— Potrzeba mi pańskiej pomocy. Mam ciężko chorą matkę, a wszystko to, co zostawił nam ojciec, zostało już dawno sprzedane. Na wszystkie strony starałam się o zajęcie. Jak się skończyło z mą ostatnią posadą, sam wie pan najlepiej. To co spotkało mnie u Browna zdarzało się prawie wszędzie. Och, to okropne! Gdy tylko rozpoczynałam jakąś pracę, mój szef, od którego zależałam, starał się mnie uwieść najpierw tysiącem obietnic a później groźbami. Ponieważ stawiałam opór, szybko znajdowałam się na bruku.

— Biedne dziecko! — rzekł lord Lister ze współczuciem. — Wiem, ile dziewcząt zeszło w ten sposób na złą drogę. Powinniśmy biczować tych nędzników, którzy je do tego doprowadzają. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób mogę pani pomóc?

Podniosła ku niemu swe rozświetlone słodyczą oczy i rzekła:

— Trudno jest człowiekowi nieprzywykłemu zebrać pomocy. Wiem, że ani jako robotnica, ani jako pracownica biurowa nie będę nigdy dostatecznie uprzejma względem mego szefa.

— Tak, ma pani słuszość — przerwał jej lord Lister — ale zostawmy tę sprawę. Wyjeżdżam w tych dniach w dość długą podróż i pragnąłbym pani dostarczyć zajęcia na czas mej nieobecności. Chodzi mi o przepisanie dużego dzieła. Zajmie to pani niewątpliwie kilka miesięcy. Praca ta pozwoli pani na pozostawanie w domu i pielęgnowanie chorej matki.

Zbliżył się do biblioteki i wyjął z niej pięć grubych tomów historii naturalnej.

— Dziś wieczorem służący mój zanieś te książki do domu pani. Ponieważ jednak nieobecność moja może się przedłużyć, zechce pani przyjąć te pieniądze jako zaliczkę na jej przysze wynagrodzenie.

Wyjął z kieszeni portfel i do leżącej na stole koperty włożył sporą ilość banknotów. Z wytwornym ukłonem podał kopertę dziewczynie.

— A teraz droga pani — rzekł, nie zostawiając jej czasu na odpowiedź — proszę wrócić do domu i z całym spokojem poświęcić się pielęgnowaniu chorej matki. Jeżeli honorarium, które zaofiarowałem, wydaje się pani zbyt wygórowane, to pozwalam sobie wyjaśnić, że przywykłem płacić wedle moich własnych dochodów, to jest po królewsku. Proszę nie krępować się z wydatkami. W żadnym wypadku niech pani nie uważa się za zobowiązaną w stosunku do mnie. Pieniądze te są zwykłym wynagrodzeniem za pracę.

Do gabinetu wszedł lokaj i zaanonsował:

— Komisarz policji Baxter ze Scotland Yardu.

— Baxter? — zapytała miss Walton i wyraz przerażenia pojawił się na jej pięknej twarzy.

— Co się pani stało? — zdziwił się lord Lister.

— Niech mi pan pozwoli opuścić ten dom, aby mnie nie spostrzeżono — rzekła drżącym głosem. — To mój daleki krewny, człowiek twardy i egoista. Gdy zwróciłam się do niego z płaczem, prosząc o pomoc dla mej matki, wyrzucił mnie za drzwi, mówiąc, że ludzie tacy jak my, którzy nic nie potrafią zrobić, powinni rzucić się do Tamizy, gdyż świat i tak na tym nic nie straci.

— Dobry obywatel! — rzekł lord Lister. — Proszę obetrzeć oczy, miss Walton. Niech pani nie myśli więcej o nieludzkiej okrutności tego człowieka. Od dziś ma pani we mnie brata, na którego zawsze może pani liczyć.

Słowa te napełniły serce dziewczyny pokrzepieniem i radością. Utonęła wzrokiem w oczach lorda Listera, szepcząc:

— W jaki sposób będę mogła się panu odwdziaczyć?

Przez chwilę lorda Listera ogarnęło pragnienie, aby otoczyć ramieniem kibić tego młodego oraz czystego stworzenia i przycisnąć dziewczynę do serca. Opanował się jednak. Nie chciał, aby pomyślała, że w ten sposób szuka sobie rewanzu. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Czuli, że miłość łączy ich niewidzialną a silną nicią. Lord Lister szybko odzyskał panowanie nad sobą. Ukłonił się przed dziewczyną, złożył braterski pocałunek na jej czole. Nie obraziła się.

— Niech pani wróci do siebie, panno Heleno — rzekł, nazywając ją po raz pierwszy po imieniu. — Niech Bóg ma panią w swej opiece. Kto wie, czy wkrótce nie będę potrzebował pani pomocy.

Wymienili krótki, serdeczny uścisk dłoni. Lord Lister wezwał lokaja i rozkazał mu wyprowadzić miss Walton tylnym ukrytym wyjściem.

— Za późno dla mnie — szepnął, gdy drzwi zamknęły się za młodą dziewczyną. — Na drodze, którą obrałem, nie wolno mi wzbudzać miłości. Gdybym ją poznał parę miesięcy temu, życie moje może ułożyłoby się inaczej.

Twarz jego spoważniała. Usiadł znów w głębokim fotelu przy kominku i zapalił papierosa. Zaciągnął się kilkakrotnie wonnym dymem, włożył monokl do

oka i z całkowicie obojętną miną wydał lokajowi rozkaz wprowadzenia komisarza policji Baxtera ze Scotland Yardu.

Kradzież z włamaniem

— Przyszedłem, aby pana bronić — oświadczył na wstępie komisarz Baxter po przywitaniu się z lordem Listerem.

Ironiczny uśmiech błąkał się koło warg młodego lorda.

— Mnie bronić? — rzekł. — To bardzo ciekawe. Nie przypuszczałem dotąd, że potrzebuję obrony. Czy jestem aż tak słaby?

Mówiąc to, wyprężył swe atletyczne muskuły i wzrokiem pełnym pogardy zmierzył niższego odeń o całą głowę komisarza.

— Nie chodzi tu o zamach na pańską osobę — odparł.

— Nie radziłbym nikomu próbować — zaśmiał się lord. — Mam za sobą kilka nagród bokserskich oraz zwycięstw w walkach francuskich. W klubie moim uważają mnie za najlepszego w szpadzie i na pistolety. Jeśliby pan chciał potrzywać między dwoma palcami pół pensa, obowiązuję się wytrącić je panu jednym strzałem, nie czyniąc przy tym nic złego.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział Baxter. — Powtarzam panu, że nie idzie tu o pańską osobę, ale o pieniądze.

Lord Lister wskazał niedbałym ruchem na kasę pancerną.

— Całe moje pieniądze tam się znajdują. I są bezpieczne. Gdyby ktoś chciał je wykraść, natrafiłby niewątpliwie na poważne trudności.

— Mimo wszystko, jeden z najgroźniejszych zлочyńców londyńskich zamierza złożyć panu dziś wizytę i zabrać to, co pan posiada cennego.

Lord Lister wybuchnął śmiechem.

— Doskonały kawał! — rzekł. — Skąd wiadomo, że ktoś zamierza mnie okraść?

Policjant przybrał ton wyższości, który szczerze ubawił Listera:

— Scotland Yard słyszy i wie wszystko. Nie bez powodu jesteśmy najlepszą policją świata.

— Co do tego nie ma wątpliwości! — rzekł młody arystokrata z odcieniem ironii.

Baxter wyczuł kpiny i odparł zdenerwowany:

— Wasza lordowska mość ma na myśli prawdopodobnie naszą ostatnią porażkę z Rafflesem, z Tajemniczym Nieznajomym? Twierdzą niektórzy, że po tym fakcie powinniśmy być nieco skromniejsi.

— Oczywiście — odparł lord Edward, zapalając drugiego papierosa. — Przyznaję, że ta strona waszej historii nie przysporzyła Scotland Yardowi sławy.

— Zgadza się z panem, ale mamy tu do czynienia z genialnym przestępcą. Nawet taki geniusz jak Nick Carter nie potrafiłby z nim sobie dać radę. Nawiasem mówiąc, mamy nadzieję, że schwytanie tego niebezpiecznego ptaszka nastąpi nie za długo.

Lord Lister zaciągnął się dymem swego papierosa i rzekł po chwili milczenia:

— Nie wydaje mi się, abyście mogli być tego pewni. Wracając do naszej sprawy, muszę przyznać, że złodziej, który ma zamiar mnie dziś odwiedzić, mógłby się ucieszyć niezgorszym łupem. Zarobiłem wczoraj na giełdzie dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów i nie zdążyłem ich jeszcze złożyć w banku. Przyjąłem jednak pod uwagę możliwość kradzieży, dlatego też nie umieściłem wszystkiego w jednym miejscu. Połowa znajduje się w kasie ogniotrwałej, reszta zaś w szkatule żelaznej stojącej pod łóżkiem mojej sypialni. Ot tam...

Przez otwarte drzwi widać było żelazną kasetę, umieszczoną na dywanie tuż obok łóżka.

— Dość praktycznie pomyślane — odparł Baxter. — Ale nie jest wykluczone, że złodziej po opróżnieniu kasy sięgnie również i po kasetę!

— O, to mi jest obojętne — oświadczył lord Edward. — Jestem ubezpieczony w dobrym towarzystwie od kradzieży. Nie przejmuję się niczym. Musieliby mi zwrócić pieniądze.

Zapanowało krótkie milczenie, które przerwał komisarz:

— Dla mnie i dla Scotland Yardu najważniejsza jest sprawa schwytania złodzieja. Dlatego też zwracam się do pana o zezwolenie czuwania nad mieszkaniem pańskim dzisiejszej nocy.

— Bardzo chętnie — odparł lord Lister. — Wszystko jest tu do pańskiej dyspozycji. Muszę pana jednak przeprosić. Jest godzina za piętnaście minut ósma, punktualnie za kwadrans mam spotkać się z przyjacielem. Służący mój — tu lord Lister nacisnął na guzik dzwonka — będzie służył informacjami oraz pomocą. Ale à propos, panie Baxter, czy nie wie pan, który z przestępców ma mnie zaszczyścić dzisiaj swoją wizytą?

— Oczywiście sławny Raffles we własnej osobie — odparł komisarz.

— Raffles! U licha! Toż to najlepsza okazja, aby zapoznać się z tą ciekawą osobistością. Przepraszę mego przyjaciela, że na skutek nagłej przeszkody nie mogę się z nim spotkać. W ten sposób dotrzymam panu towarzystwa. Być może wspólnymi siłami uda nam się położyć kres sprawkom Rafflesa!

— Przyjmuję to jako dobrą wróżbę — odparł Baxter.

— Jeżeli oczywista przyjdzie — rzucił lord Lister. — W każdym razie biorę automobil i śpieszę do teatru, aby powiedzieć memu przyjacielowi, że dzisiejszego wieczora jestem zajęty. Około godziny dziesiątej będę z powrotem.

— Ja zaś muszę wydać rozkazy moim ludziom — rzekł Baxter, wychodząc.

Lord Lister pożegnawszy się krótko, przeszedł przez sypialnię, włożył na siebie futro i wyszedł.

Tymczasem Baxter porozumiał się z czterema agentami, którzy wraz z nim byli u bankiera Gordona, co do planu dalszej akcji i podzielił role. On sam miał zainstalować się w gabinecie lorda Listera i tam spędzić noc, dwóch agentów miało pełnić straż na korytarzu, trzeci przed domem, czwarty na piętrze. W ten

sposób nic nie mogło ujść ich uwadze. Następnie komisarz wezwał do siebie lokaja i wraz z nim powrócił do gabinetu. Obydwa pokoje tonęły w ciemnościach. Lokaj zapalił elektryczność i pokazał Baxterowi, że wyłącznik znajduje się przy kominku.

Następnie weszli do sypialni. Szerokie, rozsuwane drzwi, których skrzydła ukrywały się w ścianie, oddzielały sypialnię od gabinetu. Tylko jedno małe, okratowane okienko dawało pokojowi temu światło. Drzwi na lewo prowadziły do łazienki. Ani sypialnia, ani kąpielowy nie posiadały oddzielnego wejścia. Przedostać się było można do nich jedynie przez gabinet. Komisarz obejrzał wszystko uważnie. Podniósł kołdrę, spojrzął pod łóżko, otworzył szuflady i szafy. Ostrożność swą posunął tak daleko, że z szafy wyjął wszystkie ubrania, aby przekonać się, czy ktoś nie jest za nimi ukryty.

Drobiazgowość ta ubawiła mocno lokaja.

— Przed panem nie skryłoby się ani źdźbło słomy, ani ziarenko kurzu! — dodał.

— Właśnie w tym celu to robię — rzekł Baxter, pusząc się dumnie. — Nic nie może ujść naszej uwadze.

— Czy nie jestem panu potrzebny? — zapytał służący.

Baxter odparł mu, że może udać się na spoczynek. Lokaj opuścił pokój i Baxter został sam w gabinecie. Policjant zagłębił się w fotel, stojący przy kominku i zabrał się do czytania wieczornych pism. Minęła godzina. Detektyw wyjął z kieszeni małą latarkę elektryczną, jaką posiadają wszyscy agenci policji. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, położył latarkę na kominku i wrócił do swego fotela.

Przełożył rewolwer do innej kieszeni, aby w razie potrzeby mieć go pod ręką.

Nic nie zakłócało głębokiej ciszy, w której pograżony był cały dom. Najmniejszy szmer nie zdradzał obecności detektywów.

Wielkie drzwi gabinetu zionęły ciemnością jak czeluść głębokiej pieczary. Gdy wzrok jego przyzwyczał do mroku, Baxter począł rozróżniać mgliste kontury przedmiotów. W ciszy rozbrzmiewał mo[notonny] odgłos wielkiego zegara. Głęboki dzwon jego wybił dziesiątą.

[...] Baxter nadstawił uszu, wstrzymując oddech [...] ostatniego uderzenia. Od strony [...] dał się słyszeć ostrożny szelest, szelest [...] zamka.

Krew na chwilę zatrzymała się w żyłach i fala domysłów załała mózg. Czyżby to było złudzenie? Wydawało się rzeczą niemożliwą, aby ktokolwiek mógł dostać się do pokoju. Zrewidował przecież wszystko i chyba jedynie w powietrzu mógłby się ukryć złodziej. Dał się słyszeć metaliczny suchy trzask, ktoś wyraźnie otwierał zamek. Momentalnie schwycił za rewolwer i zapalił elektryczną latarkę. Promień radości zajaśniał w jego oczach.

— Nareszcie w potrzasku — pomyślał, przeżywając naprawdę moment silnego wzruszenia. W sypialni tuż obok żelaznej kasety znajdował się człowiek,

w eleganckim wieczorowym ubraniu, w nieskazitelnie lśniącem cylindrze i czarnej masce, która zakrywała mu twarz.

— Ani kroku dalej! — zawołał komisarz rozkazująco. — Stać, bo strzelam!

Zamaskowany człowiek ze swej strony podniósł rewolwer, tak, że Baxter uznał za stosowne zgasić latarkę. Ciemności bowiem strzegły go przed celnością strzału. Jednocześnie dał ognia. Strzał widocznie chybił, ponieważ nastąpiła rzecz całkiem niespodziewana. Zamaskowany człowiek doskoczył do rozsuwanych drzwi i zamknął je, zanim komisarz zdążył zdać sobie z tego sprawę. Zwabieni odgłosem strzału, wywiadowcy zbiegli się do gabinetu. Baxter zapalił światło:

— Mamy go nareszcie, tego wspaniałego Rafflesa! Siedzi w sypialni jak mysz w pułapce. Uwaga, chłopcy, rewolwery w ręce i naprzód!

Podbiegł do drzwi wiodących do sypialni i otworzył je szeroko.

Agenci zatrzymali się w progu. Pokój zalegały ciemności, w których błyszczały jedynie metalowe refleksy otwartej kasety. Zapalono światło. Agenci przystąpili do przetrząśnięcia łóżka i otworzenia szafy. Nie znaleziono nikogo.

— Na pewno skrył się w łazience — rzekł detektyw Marholm, biegnąc do zamkniętych drzwi.

Przypuszczenie jego było prawdopodobnie trafne, gdyż drzwi łazienki zamknięte były od wewnątrz. Wspólnymi siłami detektywi rzucili się całym swym ciężarem na drzwi. Były dość silne i zamek nie ustępował łatwo. Dopiero po kilkakrotnie ponawianych wysiłkach udało im się wyważyć drzwi. Zbyteczny trud: ani śladu złodzieja! Podczas gdy agenci, opanowani jedną tylko myślą, aby czym prędzej dostać się do łazienki, nie zwracali uwagi na to co działo się w sąsiednim pokoju, drzwi olbrzymiego flamandzkiego zegara otwały się nagle i wyszedł z nich zamaskowany mężczyzna.

Zegar ten, jak wiadomo, stał na ścianie, dzielącej gabinet od łazienki tuż obok rozsuwanych drzwi. W tylnej ścianie zegara znajdował się tajemniczy otwór, wychodzący na łazienkę. Gdy drzwi pomiędzy gabinetem a pokojem sypialnym były otwarte, rozsuwane skrzydła wchodzące w ścianę zasłaniały otwór. Detektywi, pochłonięci poszukiwaniem złodzieja, nie spostrzegli tego mechanizmu.

Przez chwilę zamaskowany mężczyzna przyglądał się wysiłkom detektywów. Następnie zdecydowanym ruchem zasunął drzwi i zamknął je na klucz. W ten sposób został on na pewien czas oddzielony od detektywów, zamkniętych poza obrębem gabinetu. Z zimną krwią zbliżył się do kasy żelaznej, otworzył ją kluczem specjalnym, który miał przy sobie, wyjął znajdujący się w niej plik papierów i po chwili zniknął.

Zrozpaczeni wywiadowcy rozpoczęli atakowanie rozsuwanych drzwi. Wspólnymi siłami, po kilku minutach, udało im się wyłamać je i wyjść z zasadzki. Pomimo podniecenia, w jakim się znaleźli, stanęli nieruchomo na widok otwartej, zięjącej pustką kasy żelaznej.

— Do pioruna! — krzyknął Baxter, zgrzytając zębami.

— Szatan wpłatał się w tę aferę! To nadprzyrodzone sztuczki. W kasie nie ma ani grosza. Nie będzie więc trzeba spisywać protokołu zawartości — rzucił Marholm ironicznie. Ani jeden mięsień nie drgnął w jego nieruchomej twarzy.

— Naprzód! Musimy go schwytać! — krzyknął komisarz, biegnąc w kierunku drzwi wejściowych. Detektywi posłusznie wybiegli za nim. Na korytarzu natknęli się na lorda Listera, rozmawiającego ze swym przyjacielem Charlesem Brandem.

— Dobry wieczór panom! — rzekł lord Edward. — Dokąd tak śpieszycie, panie Baxter?

— Czy nie widział pan Rafflesa? — krzyknął komisarz.

— Ja? Skąd? — odparł lord Lister z uśmiechem. — Wracam z teatru. Wstąpiłem do klubu zaledwie na kilka chwil, ponieważ chciałem wziąć udział w schwytaniu przestępcy. Czyście go złapali?

— Do licha — odparł komisarz — żarty na bok. Widziałem go tak, jak pana widzę. Był tam w pańskiej sypialni i zrabował zawartość kasety.

— Tak? Cóż dalej? — zapytał młody lord ze wspaniałym spokojem. — Pozwolicie mu panowie umknąć?

Baxter nie odpowiedział, natomiast agent, zwany Pchlą, odparł za niego:

— Istotnie, pozwoliliśmy mu łaskawie umknąć, ułatwiwszy mu tę ucieczkę, dzięki sprytniej uprzejmości naszego szefa.

— Dość żartów — wrzasnął Baxter z wściekłością. — Ten człowiek, pamiętajcie me słowa, zawarł pakt z szatanem. Jest nieuchwytny! Zdołał uciec z tego pokoju pomimo mojej czujności. Wraz z najlepszymi moimi agentami strzegłem tych drzwi, jedynego dostępu do tego pokoju, o czym pan chyba wie najlepiej. Gdy tylko spostrzegłem go w sypialni, udało mu się szybko zamknąć rozsuwane drzwi. Mimo to natychmiast wdarłem się do pokoju tego wraz z moimi agentami. Podczas gdy staraliśmy się dostać do łazienki, gdzie wedle naszych przypuszczeń musiał się ukryć, powrócił cudem do pańskiego gabinetu i zamknął na klucz rozsuwane drzwi.

— Co za przedziwny człowiek! Przypuszczam, że zdążył się wykapać w międzyczasie? — zaśmiał się lord Edward.

— O nie, proszę pana, do tego nie doszło — wtrącił się detektyw Marholm. — Musiał jednak uciec przez rury wodociągowe w czasie, gdyśmy go szukali w pustej łazience. Zdążył w naszej nieobecności zoperować pańską kasę żelazną i skraść całą jej zawartość.

— Widzicie, Baxter — zaśmiał się lord Edward — Raffles raz jeszcze dotrzymał danego słowa!

— Ten człowiek przyprawi mnie o szaleństwo, mówię to dawno! — jęknął Baxter.

Lord Edward Lister zbliżył się do pustej kasety żelaznej. Z ust jego nie schodził spokojny uśmiech. Skinął na sekretarza, który przybiegł natychmiast. Wyciągnął z portfela polisę asekuracyjną i wręczył Brandowi.

— Jutro wczesnym rankiem — rzekł — udasz się do siedziby towarzystwa i złożysz oświadczenie o wysokości skradzionej sumy. Całkiem nieprawdopodobna historia! Muszę przyznać, że Raffles to prawdziwy geniusz. Dokonać kradzieży, mimo iż dom był silnie strzeżony przez najlepsze siły Scotland Yardu!

Zwrócił się do Baxtera i jego ludzi:

— A teraz panowie zechciejcie przyjąć ode mnie dobrą radę. Jeśli kiedykolwiek Raffles zakomunikuje wam, że zamierza popełnić u mnie kradzież z włamaniem lub bez, nie fatygujcie się i pozwólcie mu działać. Jeśli bowiem idzie o przyglądanie się kradzieży i wypuszczenie sprawcy jej, potrafię to zrobić równie dobrze jak i wy.

Komisarz Baxter z przykrością wysłuchał ironicznych słów lorda. Speszony pożegnał się szybko i wyszedł w towarzystwie swych ludzi.

Skoro drzwi zamknęły się za policją, lord Lister wybuchnął serdecznym śmiechem:

— Jutro jedziemy do Paryża — rzekł do swego przyjaciela Charliego. — Od dawna chcę złożyć wizytę memu dawnemu przyjacielowi, który zamieszkuje to miasto.

— Dobrze! — odparł Charles Brand. — Nic nie rozumiem z tej afery. Czy naprawdę miałeś dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów w kasie żelaznej i w kasie?

— Nie — oświadczył spokojnie lord. — Zarówno w jednej, jak i w drugiej, mogłeś znaleźć jedynie niezapłacone rachunki.

— Hm — chrząknął Charlie z niezdecydowanym wyrazem twarzy. Wyglądało to tak, jak gdyby obawiał się zrozumieć zbyt wiele. — To nie wydaje mi się wyrażne.

— Mój chłopcze, czy nie rozumiesz, że ten pakiet niezapłaconych rachunków, który policja pozwoliła skraść niejakiemu Rafflesowi, przyniesie nam dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów, wypłaconych przez kasę Towarzystwa Ubezpieczeń? Obojętne, czy w kasie znajdowało się tyle pieniędzy. Grunt, że komisarz policji i jego agenci stwierdzą, że taka była wysokość łupu i że towarzystwo zobowiązane będzie wypłacić mi tę sumę. W przeciwnym razie, do czego by ono w ogóle było potrzebne? Nie wypełniłoby swego głównego zadania!

— Na Boga, to wspaniała myśl! — rzekł zdumiony Charles Brand. — Ale jakim cudem udaje ci się od pewnego czasu kroczyć śladami Rafflesa?

Lord Lister wyjął papierosa ze swej złotej papierośnicy. Puszczając wolno w sufit kłęby dymu, rzekł z tajemniczym uśmiechem:

— Drogi przyjacielu, nie trzeba, abyś wiedział o tym zbyt wiele. Bądź zawsze moim wiernym i dobrym Charliem i niech to ci wystarcza. Proś Boga, abyś zawsze rozumiał tyle, ile potrzeba. Co do Rafflesa, mogę ci wyznaczyć tylko jedno. To mój ideał.

Atak podziemnego świata

Natychmiast po wyjściu agentów policji, bankier James Gordon skręcił na Oxford Street w pierwszą uliczkę w prawo i skierował się w stronę Tamizy. Tramwajem elektrycznym przedostał się na London Bridge. Na północ od tego sławnego mostu i od Tower rozciąga się najgęściej zaludniona, a zarazem najniebezpieczniejsza dzielnica Londynu. W labiryncie ulic, w starych murach domów, odrapanych składach, sklepach ze starzyzną i wiktuałami, wśród knajp marynarskich i domów gry znajduje swój przytułek prawdziwa nędza i świat przestępczy, świat, który wśród dnia szuka mroków, a na łowy wychodzi tylko nocą. Większość z tych podejrzanych spelunek łączy się ze sobą za pomocą podziemnych przejść, tworzących pod ziemią drugie miasto. Jeden z tego rodzaju sklepów cieszących się złą sławą należał do Irlandczyka Govern, łotra i lichwiarza, znanego policji pod nazwą Czarnego Jacka. Wywiadowcy ze Scotland Yardu uważali go za najbardziej chytrego i sprytnego pasera w całym Londynie. Jakkolwiek znajdował się w najjawniejszym kontakcie z wszelkiego rodzaju złodziejami kieszonkowymi, apaszami, dziewczynami i sutenerami, policji nie udało się dotąd natknąć się u niego na towar pochodzący z kradzieży. Czarny Jack potrafił wspaniale kryć owoce swoich przestępstw. Opowiadano, że w centrum Londynu posiadał kilka nieruchomości i że zainteresowany był finansowo w paru bardzo poważnych przedsiębiorstwach handlowych. Lokal, który zajmował, pełen był najróżniejszego towaru: baryłki z sucharami i z amerykańskim szmalcem, sztuki jedwabiu, sztaby metalowe, stosy ubrań, meble przesiąknięte zapachem ryb i oliwy zapełniały tak szczelnie pierwszy pokój, że z trudem pozostawiały wąskie przejście. Przez ten pokój przechodziło się do głównego kantorku, gdzie za zakurzonym biurkiem siedział Czarny Jack, od rana do północy obsługujący swą klientelę. Naftowa lampa, kiedyś używana na okręcie, słabo oświetlała pokój. Bankier Gordon i Govern przywitali się serdecznie, jak najlepsi znajomi. Od szeregu lat ci czcigodni obywatele prowadzili razem podejrzane interesy. Jak zwykle, gdy bankier Gordon składał mu wizytę, Govern zza małego kontuaru dotknął guziczka. Ukryty mechanizm zamknął automatycznie drzwi wejściowe. Zabezpieczywszy się w ten sposób przed niepożądanymi wizytami, Govern poczęstował bankiera cygarem.

— Najlepsze na świecie cygara! Dopiero wczoraj przybyły prosto z Hawany do portu, a już dziś rano mi je przyniesiono. Niestety, skradziono zaledwie pięćdziesiąt sztuk. Były pilnie strzeżone, gdyż przeznaczone są dla królewskiego dworu.

Mimo wyjątkowego smaku i dostojnego ich przeznaczenia, James Gordon nie odczuwał przyjemności z palenia. Zaciągnął się kilka razy i ze zdenerwowaniem opowiedział mu swą przygodę z Rafflesem.

— Pokażę mu z kim miał do czynienia! — rzekł, zaciskając pięści. — Zapłaci mi drogo za figiel, który mi spletał. Nóż pod zebro i będziemy skwitowani.

Przyjaciół podrapał się z zafrasowaniem w swą wełnistą czuprynę.

— Mój drogi — rzekł po namyśle — wszystkie nasze dotychczasowe interesy powiodły się nieźle i rozumiesz chyba, że łatwo nie pozwoliłbym obrażać swego przyjaciela. Ale w tym wypadku waham się. Stajesz do walki z człowiekiem, którego dotąd nikt zwyciężyć nie potrafił. Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, kim on jest istotnie?

Bankier nachylił się do ucha swego przyjaciela i szepnął:

— To lord Lister!

Na dźwięk tego nazwiska Govern stłumił w sobie okrzyk zdumienia i spojrział na bankiera osłupiałym wzrokiem:

— Skąd ty o tym wiesz? — zapytał po długim milczeniu.

Gordon wyciągnął z kieszeni list. Na kopercie Czarny Jack odczytał następujący adres: *Wielmożny Pan Lyon, Londyn, Strand nr 11.*

— Przecież to twój własny sekretny adres? — rzekł.

— Tak — odparł bankier. — Przypadkiem wstąpiłem tam, idąc tutaj. Chciałem się przekonać, czy nie było poczty i znalazłem ten oto list. Czytaj.

Jack wyjął z koperty list i odczytał głośno:

Drogi panie,

Na zlecenie bankiera Jamesa Gordona pragnę zwrócić panu jego depozyty, tytuły dłużne i zobowiązania. W sprawie tej proszę zgłosić się do mnie dziś wieczorem.

Lord Lister — Regent's Park 2.

Przeczytał treść listu po raz wtóry.

— Nic nie rozumiem! — rzekł wreszcie.

— Ale ja rozumiem! — krzyknął James Gordon. — Słuchaj! Raffles zabrał wszystkie moje weksle oraz inne zobowiązania. Ponadto wziął ze sobą książkę dłużną, gdzie zapisuję rachunki moich klientów. W książce tej odnalazł adresy i napisał listy, aby zwrócić mym dłużnikom dowody ich długów. Jak wiesz, mam w banku angielskim otwarte konto na nazwisko Lyon. Raffles, oczywiście, o tym nie wiedział i sądził, że Lyon był, jak inni, moim klientem. Napisał więc do niego list i podpisał nazwiskiem lorda Listera. Wynika z tego jasno, że lord oraz Raffles są jedną i tą samą osobą.

— Do diabła! — krzyknął paser. — To zupełnie wariacka historia!

— Czy masz coś odpowiedniego pod ręką? — zapytał Gordon, nie zwracając uwagi na podniecenie swego przyjaciela. — Potrzeba mi natychmiast dwóch najlepszych włamywaczy. Muszę jeszcze dziś wieczorem udać się z nimi razem do tego łotra i odzyskać mój majątek, zanim zdąży go rozdzielić pomiędzy mych dłużników.

— Dobrze, ale ja nic nie rozumiem z tego wszystkiego — odparł Jack, czytając list po raz dziesiąty. — Przecież to czysty wariat! Jak dotąd nie spotkałem jeszcze złodzieja, kradnącego dla dobra i przyjemności bliźnich. Kimkolwiek jest, zaraz wezwę tutaj dwóch moich najlepszych ludzi.

Ujął koniec akustycznej tuby, której połączenie znajdowało się w podziemiach i powiedział parę słów. Po upływie kilku minut dały się słyszeć z daleka trzy miarowe nawoływania.

— Są. Za chwilę będą tutaj — rzekł Jack do swego przyjaciela.

Nie upłynął kwadrans, gdy w starej szafie stojącej z boku dał się słyszeć lekki szelest. Handlarz starzyzną podniósł się zza kontuaru i otworzył drzwi tego antycznego mebla. Rozchyliwszy wiszące ubrania, dwaj podejrzani osobnicy wyskoczyli z szafy i podejrzliwym wzrokiem zmierzili bankiera.

Jack uporządkował starannie ubrania, zamknął szafę i zwrócił się do Gordona:

— To moje tajne przejście do podziemi. Wyratowało ono od szubienicy wielu ludzi ściganych przez psy Scotland Yardu.

Następnie, zwracając się do obydwóch apasów, rzekł:

— Dzieci, mam dla was robotę.

— Dobra — odpowiedział wyższy, którego twarz przecięta była blizną, pozostałą po cięciu nożem. Blizna ta biegła od ucha do podbródka. Otrzymał ją na pamiątkę od swych dawnych towarzyszy za zdradzenie jednego z nich wywiadowcom Scotland Yardu. W świecie przestępczym nadano mu przydomek Wieprz. Jego towarzysz, mniejszy od niego i pozbawiony jednego ucha, nosił nazwę Zając.

— Co mamy zoperować dzisiaj, przyjacielu? — zapytał.

Govern, czyli inaczej Czarny Jack, zaciągnął się dymem cygara i odparł:

— Pójdziecie z tym panem i otworzycie kasę ogniotrwałą. W magazynie znajdziecie palnik gazowy i wszystkie potrzebne narzędzia.

Lichwiarz wraz z włamywaczami wyszli razem ze spelunki pasera. Skierowali się w stronę samotnie stojącego budynku będącego „magazynem”, o którym mówił Czarny Jack. Zabrawszy przyrządy potrzebne do dokonania włamania i rozprucia kasy ogniotrwałej, zawołali fiakra i udali się na Regent's Park. W pobliżu pałacyku lorda Listera wysiedli z dorożki i poczęli zastanawiać się, z której strony dostęp będzie najłatwiejszy. Mimo swej ostrożności nie spostrzegli ukrytych w ciemnościach dwóch postaci. Byli to detektyw Marholm i wywiadowca Tyler. Pozostawił ich Baxter, polecając pilnować pałacyku, w którym, wedle jego przeświadczenia, musiał się jeszcze znajdować włamywacz. Z zachowaniem wszelkich ostrożności ludzie Czarnego Jacka wyjęli szybko z okna parterowego. W ten sposób mieli już otwartą drogę do wnętrza mieszkania lorda. James Gordon mimo swego strachu musiał iść tą samą drogą.

Detektyw Marholm zatarł z zadowoleniem ręce.

— Mamy niebywałe szczęście — szepnął wywiadowcy do ucha. — Do diabła, jestem pewien, że jutro dostaniemy awans!

Ścisnął mocno ramię kolegi i szepnął mu podnieconym tonem:

— Na Boga, Tyler, jeśli nie zgłupiałem z kretesem, to ten, który teraz przeciska się przez okno, jest nikim innym jak bankierem Gordonem we własnej osobie. Ten sam, któremu wczoraj złożyliśmy wizytę!

— Niemożliwe! — rzekł wywiadowca Tyler. Przyglądał mu się przez kilka sekund, po czym kiwnął ze zdumienia głową:

— Masz rację, Marholm — odparł. — Stawiam funta przeciwko pensowi, że to jest James Gordon.

— Bez wątpienia. Rozumiecie więc teraz dlaczego ten zuch, jakkolwiek został okradziony przez Rafflesa, przeczył temu kategorycznie. Nie chciał, abyśmy wkroczyli w jego podejrzone interesy.

— Tak, to oczywiste — potwierdził wywiadowca.

— Ho, ho — zaśmiał się Marholm. — Zawsze byłem zdania, że posiadasz więcej rozumu, niż na to wyglądasz.

— Bez głupich żartów! — mruknął wywiadowca obrażony. — Nie każdy może być geniuszem. Odkąd dwaj czy trzej wielcy detektywi olśnili cały świat swymi wyczynami, wymaga się od nas, biednych agentów Scotland Yardu, abyśmy odnajdywali ślad przestępcy po powietrzu, którym oddychał.

— To całkiem dobra idea — rzekł Marholm, dla którego wszystko stawało się tematem kpin. — Podszepnij to naszemu szoferowi. Hop, otóż i mamy ich w środku. Gdybyż ci chłopcy wiedzieli, że cały ten trud jest próżny, jak wnętrze ogniotrwałej kasy! Ale obojętne. Biegnij do najbliższego telefonu. Znajdziesz go przy piątej latarni, licząc od miejsca w którym stoimy. Zakomunikujesz natychmiast o wszystkim Scotland Yardowi.

— Idę — rzekł wywiadowca, oddalając się śpiesznie.

Gdy wrócił po upływie kwadransa, obydwaj wślizgnęli się do pałacu tą samą drogą, którą obrali włamywacze. Tłumiąc odgłos kroków, doszli do piętra, na którym znajdował się gabinet oraz sypialnia lorda Listera.

— Stać, bo strzele! — usłyszeli nagle głos dobiegający z małego przedpokoj.

Do uszu ich doszły przekleństwa i odgłos rewolwerowych strzałów. Rzucili się w kierunku drzwi wiodących do gabinetu i wpadli na uciekających w popłochu przestępców. Marholm zdzielił potężnym ciosem pięści włamywacza zwanego Wieprzem i, wykręciwszy mu rękę wedle wszelkich przepisów jiu-jitsu, rozłożył go na ziemi bez przytomności. Zwinniejszy i mniejszy Zając zdołał wymknąć się i, otworzywszy okno, zeskoczyć odważnie z pierwszego piętra.

— Dobry wieczór panom! — zabrzmiał dźwięczny głos. — Jak panowie widzą, nie pozwalam się okraść po raz wtóry.

Jednocześnie zabłyśło światło elektryczne. Ciekawy widok roztoczył się przed zdumionym wzrokiem detektywów. Obok kasy ogniotrwałej tulił się trwóźnie do ściany James Gordon. Na próżno starał się ukryć. Wywiadowca Tyler zbliżył się doń szybkim krokiem i nałożył kajdanki. Lichwiarz, trzęsąc się ze strachu i z nienawiści, obrzucił złym wzrokiem detektywów i lorda Listera. Na widok tego ostatniego diabelska radość zajaśniała w jego oczach.

— Udały się wam łowy, panowie — krzyknął w stronę detektywów.

— To pewne! — rzekł, śmiejąc się, Marholm, zajęty nakładaniem kajdanków na Wieprza, ciągle jeszcze nieprzytomnego. — Poszukiwaliśmy tego młodzieńca od dłuższego czasu. Może liczyć co najmniej na dwadzieścia lat ciężkich robót.

— O nie! — krzyknął James Gordon. — Nie o tym myślę. Mówiłem poprzednio o tym człowieku — rzekł, wskazując na Listera.

— Ten, któregoście schwytali, to sam Raffles — dodał.

— Oszalał zupełnie i gada od rzeczy — rzekł wywiadowca, wybuchając śmiechem.

— Chcesz teraz strugać wariata? — zapytał chytrze Marholm. — O nie, mój drogi — dodał. — Nie pozwolimy ci prowadzić się za koniec nosa.

— Przysięgam wam, panowie! — zaczął znów bankier, drżąc na całym ciele. — Zatrzymajcie tego człowieka! Zapewniam was, że to Raffles!

— Milczeć! — rzekł rozkazująco wywiadowca. — Nie znieważaj lorda Listera!

Przed domem zatrzymało się auto policyjne z wywiadowcami ze Scotland Yardu. Rozległ się głos komendy i po chwili cały pałacyk wypełnił się agentami policji. Po krótkim wyjaśnieniu, udzielonym przez detektywa Marholma, komisarz Baxter polecił odstawić bankiera do Scotland Yardu. Lichwiarz powtarzał w kółko swe oskarżenia skierowane przeciwko lordowi Listerowi, błagając komisarza i jego ludzi o danie wiary jego słowom. Widząc, że oskarżenia jego padają w próżnię, począł kłąć i złorzeczyć jak opętany. Miotał się, potrząsał dłońmi gestem rozpacz, wykrzykując nieustannie:

— Oto Raffles! Oto Raffles!

— Zabrać go! — rozkazał lakonicznie Baxter. — Symuluje obłąd!

Cztery silne dłonie zwały się na Gordona i wyciągnęły go z pokoju. Inni detektywi wyszli za nim. W ogrodzie znaleziono Zająca, który skacząc z pierwszego piętra, złamał nogę. Leżał tuż obok garażu, do którego dowłókł się resztkami sił. Detektyw Marholm, który ostatni wszedł do policyjnego auta, ujrzał w jasno oświetlonym oknie wytworną sylwetkę lorda Listera z papierosem w ustach, przyglądającego się ich odjazdowi.

Lord Lister przeciwko Scotland Yardowi

Nazajutrz około godziny dziesiątej rano przedstawiciel Towarzystwa Ubezpieczeń zgłosił się do Komisarza Policji celem zasięgnięcia informacji o włamaniu, którego ofiarą padł lord Lister.

— To niesłychane! — oświadczył komisarz. — Raffles kpi sobie wyraźnie ze mnie i ze wszystkich innych. W moich oczach dokonał kradzieży, mogę na to przysiąc.

— Nie do wiary! — odparł wysłannik Towarzystwa. — Trudno by naprawdę przyjąć możliwość tego faktu, gdyby się nie słyszało potwierdzenia z ust pańskich. Czy widział pan skradzione papiery?

— Tak — zapewnił komisarz. — Przekonałem się naocznie o istnieniu pieniędzy.

— Zechce pan łaskawie podpisać deklarację dla mojego Towarzystwa.

To mówiąc, agent wyjął z teczki formularz, stwierdzający, że wysokość sumy skradzionej u lorda Listera wynosiła dwadzieścia tysięcy funtów sterlingów. Nie wahając się ani przez chwilę, Baxter podpisał deklarację. Przedstawiciel zabrał ją i wyszedł.

Po jego wyjściu komisarz policji wydał nakaz sprowadzenia bankiera Gordona i jego współpracowników.

Więźniowie otoczeni agentami policji zjawili się wkrótce w gabinecie szefa. Na dźwięk swego nazwiska James Gordon stanął przed komisarzem. Zdawał sobie sprawę, że żadne wykręcanie ani chytne sztuczki nie mogą go wydostać z więzienia i postanowił, nie ukrywając prawdy, pociągnąć za sobą tego, który był przyczyną jego nieszczęścia. Zaczął opowiadać, w jaki sposób postanowił dokonać włamania u lorda Listera i dlaczego poprzedniego dnia nie chciał wyjawić policji szczegółów dokonanej u niego kradzieży. Na dowód, że mówi prawdę, złożył list, który poprzednio odczytał przyjacielowi swemu, Gubernatorowi.

Zeznanie to zrobiło olbrzymie wrażenie na obecnych. Zrozumieli wreszcie, że tajemniczy nieznajomy, genialny Raffles, został zdemaskowany i że wystarczy wyciągnąć rękę, aby schwytać najwspanialszą zdobycz, jaką dotąd Scotland Yard zdołał upolować.

— Dlaczego nie powiedział pan tego wcześniej? — krzyknął z wściekłością Baxter. — Wie pan przecież, że wyznaczono tysiąc funtów szterlingów nagrody za schwytanie Rafflesa?

— Mówiłem to już na wszystkie sposoby, ale nie chcieliście mi wierzyć — odparł James Gordon.

— Można stracić głowę z rozpacz! — [krzy]czał komisarz, przemierzając wielkimi krokami swój gabinet. Nagle odzyskując panowanie nad sobą, zako-menderował krótko:

— Naprzód chłopcy, tym razem nam nie umkniesz! Okrążymy go w jego własnej jamie. Jeszcze przed wieczorem wpadnie w nasze ręce!

Przy bramie Scotland Yardu Marholm zwrócił się do komisarza Baxtera:

— Uważa mnie pan za złego detektywa. Tym niemniej jednak uważam za swój obowiązek zwrócić panu uwagę na rzecz, która pana specjalnie winna interesować. Wiem, że godzinę temu reprezentant Towarzystwa Asekuracyjnego złożył panu wizytę. Należałoby, zdaniem moim, zawiadomić przede wszystkim Towarzystwo, aby nie czyniło żadnych wypłat lordowi Listerowi, alias Johnowi Raffles, aż do momentu otrzymania nowego rozkazu w tym względzie.

— Do pioruna! — zawołał Baxter, biegnąc z powrotem. — Ma pan rację, zapomniałem o tym zupełnie. Biegnę do telefonu. Chodź pan razem ze mną!

Jakkolwiek połączenie otrzymał prawie natychmiast, Baxter doznał nowego niemiłego rozczarowania. Dowiedział się, że Raffles ubiegł go znowu

i że Towarzystwo zdążyło mu już wypłacić premię ubezpieczeniową. Zły i zdenierwowany, komisarz wrócił do grupy agentów, oczekujących nań i auto ruszyło pełnym gazem w stronę Regent's Parku.

W tym samym czasie lord Lister, obojętny na czyhające niebezpieczeństwo, w gabinecie swym kończył pakowanie walizek. Lokaj miał właśnie włożyć bieliznę do sporego kufra, gdy wszedł Charles Brand. Sekretarz zdjął palto i kapelusz. Lord Lister, spoglądając na otwarty kufer, zdawał się zastanawiać przez chwilę.

— Nie, zdecydowałem się nie zabierać ze sobą tego kufra — rzekł półgłosem.
— Byłoby to z mej strony wielkim błędem.

— Przyda się w podróży niewątpliwie — zauważył Brand. — Nie zechcesz przecież obywać się bez najpotrzebniejszych rzeczy?

— Czemu nie? — odparł lord Lister. — Ten kufer stanowiłby dla mnie tylko kulę u nóg. Trzeba się nieustannie troszczyć o swój bagaż. Traci się cenny czas, który można rozsądniej zużytkować. Mając pieniądze, dostanę wszędzie to, czego mi potrzeba. Nie chcę dźwigać martwego ciężaru.

— Instynkt mówi mi — rzekł następnie do Branda — nie powinienem opuszczać Anglii, a w każdym razie chwilowo teraz. Mam tu jeszcze wiele do roboty. Uważam Londyn za miasto dające najwięcej możliwości ze wszystkich miast świata.

A następnie dodał:

— Słuchaj przyjacielu. Pojedziesz na Victoria Station i poczekasz na mnie przed kioskiem z gazetami. Nie zmienię planu. Jedziemy pierwszym pociągiem.

— Czemu nie mogę zostać i pojechać z tobą na stację? — zapytał Charlie.

Lord Lister spojrzał swemu przyjacielowi prosto w oczy:

— Drogi Charlie — rzekł — w ciągu sześciu miesięcy, które spędziłeś przy mnie, nauczyłem się cenić ciebie jako najlepszego i najwierniejszego towarzysza. Nie chcę więc mieć przed tobą żadnych sekretów.

Zaciągnął się dymem papierosa:

— Widzisz, Charlie — ciągnął dalej — pieniądze, które wydaję na przyjemności i na życie na szerokiej stopie, jak to przystoi gentlemanowi mego stanu, sumy łożone na pomoc niesioną nieszczęśliwym i wydziedziczonym, wszystko to płynie z jednego niewyczerpanego źródła: źródłem tym jest moja własna głowa!

Lord Lister zamilkł i zapalił nowego papierosa. Charles Brand spoglądał na niego z oczekiwaniem, pełnym niespokojnej ciekawości.

— Nie rozumiem, Edwardzie? — rzekł wreszcie. — Mówisz, że źródłem twej fortuny jest twoja głowa, twój mózg. Mimo to nie widziałem jeszcze nigdy, abyś uprawiał jakieś zajęcie zarobkowe. Może mi zechcesz wytłumaczyć, w jaki sposób można, nic nie robiąc, dojść do bogactwa?

— Oczywiście, że ci na to odpowiem — odparł, strącając popiół z papierosa i zbliżając się do swego przyjaciela:

— Raffles i ja to jedno!

Młody człowiek otworzył szeroko oczy, jak gdyby nagle ujrzał ducha.

— Żartujesz, Edwardzie? — rzekł z niedowierzaniem.

— O nie. Jestem tym, który przeszło od roku usiłuje pod pseudonimem Rafflesa przywrócić zachwianą równowagę pomiędzy klasą posiadaczy a ludźmi umierającymi z głodu.

— Czy to może być prawdą? — spytał Charles. Twarz jego wyrażała powątpiewanie.

— Daję ci słowo honoru — oświadczył lord Lister — że ja jestem Rafflesem.

— Więc jakżeś mógł... Nie jestem w stanie pojąć. Wydaje mi się to bajką z tysiąca i jednej nocy. Jak żeś do tego doszedł?

— Bardzo zwyczajnie. Mój ojciec i matka zostali ograbieni z całego ich majątku przez jakiegoś łotra, spekulującego na giełdzie londyńskiej. Młodość moją spędziłem w najokrutniejszej nędzy. Zrozpaczony ojciec popełnił samobójstwo, gdy tymczasem ów nędznik zaprzęgał poczwórne konie do karety, rozjeżdżając po naszych parkach i włościach. Wyzuł nas również z posiadania starego zamku w Szkocji. Majątek swój zrobił na nędzy nieszczęśliwych i na oszustwach. Niestety, prawo nie potrafiło obronić ojca mego przed tego rodzaju zbrodniarzem. Dowiedziałem się wówczas, że istnieje cała horda bandytów i łotrów, którzy dzięki podstępным spekulacjom pozbawiają mienia tłumy nieszczęśliwych. Dowiedziałem się, że biedni prowadzą żywot nędzny i ciężki, podczas gdy te pijawki pławią się w bogactwie i pozwalają sobie na wyszukane przyjemności. Postanowiłem wówczas sam jeden i bez niczyjej pomocy sprzeciwić się temu stanowi rzeczy i zwrócić szczerą ręką wydziedziczonym ich zagrabiony majątek. A teraz Charlie chcę ci zadać jedno pytanie: Czy chcesz pomóc mi w tej walce? Czy czujesz się na siłach? Mów śmiało. Wiesz, że cenię szczerość.

Nie wahając się, młody człowiek ścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń i oświadczył pewnym głosem:

— Nic mnie nie zwróci z raz obranej drogi. Cokolwiek by się stało, zawsze zostaję przy tobie i to, co ty czynić będziesz, uważać będę za dobre i słuszne.

— Zgoda — rzekł młody lord, skinąwszy głową. — Byłem tego pewien, słuchaj więc dalej. Po drodze na Victoria Station wstąpisz do siedziby Armii Zbawienia, zostawisz tej szlachetnej instytucji anonimowo pięć tysięcy funtów. Dalsze pięć tysięcy zaofiarujesz w centrali domów sierot i żłobków dla podrzutków. Resztę zachowasz dla mnie. Nigdzie nie podawaj mego nazwiska i nie żądaj pokwitowań. A teraz idź już, mój drogi, i oczekuj mnie w umówionym miejscu.

Charlie sprawdził, czy włożył portfel z banknotami do właściwej kieszeni. Obydwaj mężczyźni jeszcze raz wymienili gorący uścisk dłoni i nowy adiutant Tajemniczego Nieznajomego ruszył w dalszą drogę.

Lord Lister odprowadził go wzrokiem aż do drzwi, po czym zadzwonił na lokaja.

— Słuchaj, Fred — rzekł spokojnym tonem — mam zamiar wyruszyć w dość długą podróż. Powierzam ci cały mój dom. Będziesz go strzegł aż do nowych rozkazów.

— Tak jest — odparł wierny Fred z ukłonem. — Czy mam zapakować walizy?

— Nie, dziękuję. Nie zabieram ze sobą bagaży.
Nagle rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi frontowych.

— Czy pan zechce jeszcze przyjąć? — zapytał.

— Oczywiście — odparł lord Lister.

Fred pośpieszył do drzwi.

Po chwili do pokoju weszła miss Walton z dużym bukietem kwiatów w ręce.

Lord Lister zdawał się być zdziwiony i jednocześnie oczarowany jej widokiem.

— Proszę wybaczyć, milordzie, mą powtórna wizytę — rzekła melodyjnym głosem. — Pozwoliłam sobie przynieść panu trochę kwiatów z powodu wyjazdu. Niechaj one świadczą o serdecznej wdzięczności, jaką żywimy dla pana wraz z matką. Ze ślicznym uśmiechem wyciągnęła ku niemu naprawdę wspaniałą bukiet.

Lord Lister wzruszony, z kurtuazją wskazał jej miejsce na fotelu obok kominka.

— Nie będę pana długo zatrzymywała — rzekła dziewczyna z wahaniem. — Widzę, że jest pan zajęty pakowaniem. Nie chciałabym panu przeszkadzać. Jak to miło być musi wyjechać w daleką podróż. Od dzieciństwa marzę o zwiedzeniu dalekich krajów, o zobaczeniu południa i Włoch!

— Czy pani nigdy nie opuszczała dotąd Londynu? — zapytał lord Lister, starając się podtrzymać rozmowę.

— Nie, nigdy. Muszę wyznać ze wstydem, że choć jestem Angielką, nigdy dotąd nie widziałam morza. Nie możemy sobie na to pozwolić, milordzie, jesteśmy zbyt ubogie.

— Czym był pani ojciec, jeśli wolno mi zadać niedyskretne pytanie?

— Był oficerem marynarki. Zginął w katastrofie morskiej. Nie możemy nawet pomodlić się na jego grobie. Ciało jego pochłonął ocean. Matka moja otrzymuje niewielką pensyjkę, którą podczas jej długotrwałej, bo od lat się ciągnącej choroby, musieliśmy całkowicie zastawić. W ten sposób nie dostajemy z niej ani grosza.

— A ten wasz krewny, komisarz policji Baxter, czy nie pomaga wam w waszych strapieniach?

— To on właśnie zajął nam naszą pensję.

— Dobry krewniak! — rzekł lord Lister, śmiejąc się nerwowo. — Jaki was łączy stopień pokrewieństwa?

— To siostrzeniec mojej matki. Mówiłam już panu, że ma twarde serce.

— Nie jest on ani gorszy, ani lepszy od innych egoistów. Może uda mi się odplacić mu za to, jak postąpił względem was.

W tej chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi i na progu zjawił się lokaj.

— Bardzo przepraszam, milordzie. Ci agenci, którzy byli tu dziś wieczorem, zjawili się powtórnie.

Lord Lister zastanowił się przez krótką chwilę, zapalił nowego papierosa i odparł z uśmiechem:

— Mam wrażenie, że panowie ci zapomnieli tu czegoś.

— Zapomnieli czego? — powtórzył Fred, rozglądając się ze zdziwieniem po pokoju.

— Oczywiście, mój przyjacielu. Zapomnieli zabrać ze sobą złodzieja, którego poszukiwali.

— Jak to? Przecież go tutaj nie ma?

Fred osłupiałym wzrokiem i z odcieniem strachu rozglądał się po gabinecie. Lord Edward wybuchnął śmiechem i, klepiąc go przyjaźnie po ramieniu, rzekł:

— On jeszcze jest tutaj, Fredzie. Nic sędzę jednak, aby zdołali go schwycić.

Zbliżył się do okna i rozejrzał się po ulicy. Usłyszał lekki odgłos gwizdka. Tuzin policjantów otaczał dom.

— Osaczyli lisa — szepnął do siebie. — Dalejże, poprobujemy szczęścia. Zwrócił się do swego służącego:

— Słuchaj uważnie tego, co ci powiem, Fred. Ta pani jest moją sekretarką. Jeśliby ktokolwiek o to cię zapyta, odpowiesz w ten sposób. Dałem jej w prezencie kufer, ponieważ wyjeżdża w długą podróż. Wychodząc stąd, zabierze go z sobą. Masz więc zawołać dorożkę, która zawiezie miss Walton i jej bagaże na stację. Teraz zaś powiesz tym panom, że odbywam małą konferencję ze swą sekretarką i poprosisz o chwilę cierpliwości.

— Tak jest, milordzie — odparł stary służący i z głębokim ukłonem opuścił pokój. Zaledwie zdążył zamknąć za sobą drzwi, gdy lord Lister zbliżył się do miss Walton i ujął jej obie ręce w swoje dłonie.

— Nadszedł moment, droga panno Heleno — rzekł bardzo cicho — gdy może mi pani oddać dużą przysługę. Wczoraj wieczorem odebrałem staremu lichwiarzowi Jamesowi Gordonowi wszelkie jego skrypty dłużne i oddałem je nieszczęsnym jego ofiarom. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ten człowiek zdradził mnie przed policją. Otrzymał on ode mnie całkiem zasłużoną nauczkę. Cieszę się prawdziwie, że udało mi się wyświadczyć przysługę wielu nieszczęśliwym, których wydarłem z szponów tego wampira.

— Ma pan naprawdę szlachetne serce, lordzie Listerze. Mnie i matce mojej wyświadczył pan przysługę, której nigdy nie zapomnę. Jestem szczęśliwa, że mogę panu być w czymkolwiek pomocna.

— Musi pani zdobyć się na panowanie nad sobą, miss Heleno — dodał lord Lister. — Najmniejsze wahanie z pani strony może pociągnąć za sobą moją zgubę.

— O nie! — odparła z zapalem. — Może mi pan zaufać w zupełności. Musi mi pan tylko dokładnie powiedzieć, co mam robić. Proszę mi wierzyć, że kobiety są dobrymi sojuszniczkami.

W tej chwili zapukano do drzwi. Jakiś głos [...] i zachrypnięty, w którym lord Lister poznał od razu Baxtera, zawołał:

— Lordzie Edwardzie Lister! W imieniu prawa, proszę otworzyć!

— W tej chwili — odparł Lister. Pochylając się do ucha młodej dziewczyny, szepnął:

— Ta waliza jest dostatecznie wielka, żebym się mógł w niej zmieścić. Zamknij ją pani na kluczyk, zawieź na Victoria Station i zażąda osobnej garderoby. Tam dopiero mnie pani wypuści. Pieniędzy ma pani dosyć na opłacenie wszystkich kosztów. Jeśli policja panią zapyta, proszę powiedzieć, że rusza pani w podróż i że walizka ta stanowi pani własność. Czy pani mnie zrozumiała?

— Tak — odparła miss Walton zdecydowanym tonem.

Wzruszenie pozbawiło młodą dziewczynę rumieńców, które zwykle kwitły na jej twarzy. Była biała jak ściana i drżała ze zdenerwowania.

— Niech pani będzie mocną! — rzekł.

— Jestem nią — odparła, opanowując wzruszenie.

Nie zdążyła wymówić tych słów, gdy lord podbiegł do walizy. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszli komisarz Baxter, wywiadowca Tyler i Marholm wraz z dwoma policjantami.

Złoczyńca znalazł się w potrzasku. Z doskonałym spokojem wyszedł na spotkanie detektywów. Mimo beznadziejnej sytuacji z twarzy jego nie można było wyczytać strachu.

Z najpogodniejszą na świecie miną zażartował:

— Dzień dobry panom. Wolno mi zapytać, czemu zawdzięczam waszą wizytę? Skąd ten pośpiech? Czy Raffles nie zamierza po raz wtóry okraść mego mieszkania?

— Nie — odparł Baxter. — Raffles nie popełni więcej żadnej kradzieży w swym życiu, ponieważ aresztuję pana!

— Nie ma nic łatwiejszego — odparł król przestępców — niż zaaresztować Rafflesa przed jego schwytaniem.

— Myśmy go już schwytali — odparł Baxter.

— Bardzo szczęśliwie się złożyło — rzekł lord Lister. — Serdecznie wam winszuję zakończenia waszej gonitwy.

— Jak sam pan powiedział, jest to wypadek dla nas bardzo pomyślny. Lordzie Listerze, inaczej Johnnie Rafflesie, aresztuję pana w imieniu prawa!

Lord Lister utkwiał w komisarzu policji zimne spojrzenie swych czarnych oczu.

— Doskonały żart — rzekł po dłuższej pauzie. — Jeśli posiada pan więcej takich w swoim repertuarze, radziłbym panu wydawać tygodnik humorystyczny.

— Do diabła! — zaklął komisarz, nie posiadając się z gniewu, na widok ironicznie uśmiechniętego Marholma. — Już zbyt długo kpi pan z nas w żywe oczy.

— Teraz kolej przyszła na nas. Po raz ostatni wzywam pana do poddania się!

Lord Lister opierał się nonszalancko o kominek. Po twarzy jego przebiegł lekki uśmiech. Spokojnie palił swego papierosa, przyglądając się kłębowi dymu, unoszącym się w powietrzu:

— Żał mi pana, panie komisarzu Baxter.

— Dlaczego?

— Ponieważ pańskim udziałem stało się zajmowanie moją skromną osobą.

— O, to nie potrwa długo — odparł Baxter.

Doprowadzony do ostateczności spokojem lorda, zwrócił się z wściekłością do policjantów:

— Na co czekacie? Brac go!

— Proszę się zatrzymać. Przede wszystkim proszę pozwolić wyjść swobodnie tej pani, która jest moją sekretarką i wyrusza w podróż. Walizka stojąca w moim gabinecie stanowi jej własność.

Komisarz Baxter spojrział z zakłopotaniem na młodą dziewczynę. W zamieszaniu nie zwrócił początkowo na nią uwagi.

— Co robisz w tej jaskini zbrodni? — zawołał, rozpoznając w niej swą siostrzenicę.

— Zarabiam na chleb dla siebie i dla mej matki — odparła miss Walton dumnie.

— Świetny sposób zarabiania na chleb dla przyzwoitej panny! — wrzasnął komisarz. — Wyobrażam sobie, że twoja przy[stoj]na buzia odegrała tu główną rolę. Wpadłaś w oka temu zbrodniarzowi!

— Kanalio! — zagrmiał głos Listera. — Zapłacisz mi za tę zniewagę!

Prawą ręką sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął małe złote pudełeczko:

— Czy widzi pan to pudełko, panie komisarzu? — zapytał. — Otrzymałem je od swych przyjaciół, anarchistów rosyjskich. Miało mi oddać przysługę w ostatecznym momencie mego życia. Jest to kieszonkowa bomba dynamitowa, gotowa do wybuchu. Za chwilę wszyscy razem wyruszymy w podróż, z której się nie wraca. Nie można schwytać żywcem lorda Listera. Najwyżej lord Lister może was zabrać ze sobą na tamten świat.

Nie zdążył dokonać tego, gdy detektywi sparaliżowani początkowo ze strachu, ile sił w nogach rzucili się do ucieczki.

— Ratuj się, kto może! — zawołał Baxter, idąc w ich ślady.

Złote pudełko upadło na podłogę, była to zwykła złota papierośnica.

Na ulicy rozbrzmiewały sygnały policyjne. Słyszał było tumult uciekających. Lord Lister zwrócił się do miss Walton i rzekł szybko:

— Teraz, miss Heleno, mój los leży w pani rękach. Proszę wykonać dokładnie to, o co panią prosiłem.

Otworzył walizkę, wskoczył do wnętrza i zamknął przykrywą.

Po upływie trzech minut detektyw Marholm zajrzał lękliwie do gabinetu. Ujrzał na dywanie złotą papierośnicę i rozsypane papierosy. Na widok ten wybuchnął szczerym śmiechem. Nachylił się, aby zebrać papierosy i zawołał głośno w kierunku schodów:

— Wejdźcie śmiało na górę, chłopcy! Groźna bomba jest niczym innym jak niewinną papierośnicą. Raffles jeszcze raz zakpił sobie z nas zdrowo!

Marholm śmiał się do rozpuku.

Gdy komisarz i wywiadowcy z rewolwerami w ręce wpadli do gabinetu, Marholm rzucił się na fotel, wijąc się po prostu ze śmiechu. Baxter miotał się jak raniony

zwierz. Biegał po wszystkich zakamarkach mieszkania i rozkazywał swym agentom przetrząsać po dziesięć razy te same kąty.

— Nie mógł przecież wyfrunąć w powietrze — krzyczał. — Że nie wyszedł stąd drzwiami, to pewnie! Musiał gdzieś zaszyć się w jakąś przekłętą dziurę! Nie opuszczę tego domu, zanim nie przetrząsnę wszystkich ścian, cegła po cegle.

Pieniąc się ze złości, nie przestawał bębnić palcami po wieku walizki. Zwrócił się nagle do miss Walton i zapytał:

— Którędy uciekł?

— Nie wiem. Myślę, że ulotnił się przez tamten pokój — odparła.

Po krótkiej chwili zwróciła się do komisarza:

— Mam zamiar wyjechać z miasta pociągiem odchodzącym o godzinie dwunastej. Nie mogę więc czekać tu dłużej. Ponieważ wyjeżdżam z matką, bardzo was proszę panowie, abyście mnie nie zatrzymywali.

Zawołała lokaja i wraz z nim zniosła ze schodów ciężką walizę.

Detektyw Marholm, widząc, że zarówno dziewczyna, jak i stary służący uginają się pod ciężarem zbyt ciężkiej dla nich walizy, zwrócił się do stojących na dole policjantów, aby pomogli kobiecie:

— Pomóście znieść, tę walizę do dorożki — rzekł.

Miss Walton podziękowała mu uroczym uśmiechem. Na widok policjantów dźwigających ciężką walizkę odetchnęła z ulgą. Wydawało jej się, że samo niebo zdjęło z jej serca ciężar stufuntowy. Za nimi rozbrzmiewały przekleństwa i krzyki zdenerwowanego komisarza Baxtera, na próżno szukającego nieuchwytnego złooczyńcy. Starannie opukiwał ściany w nadziei odnalezienia sekretnego przejścia. Kazał sobie nawet dać drabinę i wdrapał się aż na dach.

Tymczasem miss Walton bez przeszkód dobrnęła do Victoria Station. Na dworcu zawołała tragarza i pod pretekstem, że musi coś wyjąć ze swej walizy, kazała ją zanieść do pustej salki. Gdy tylko została sama, otworzyła pokrywę walizy i lord Lister zdrów i wesół wyskoczył na podłogę. Przeciągnął się z rozkoszą, gdyż pobyt w walizce nie należał do najwygodniejszych. Ucałował z wdzięcznością obie ręce dziewczyny:

— Jest pani dzielną kobietą, miss Heleno — rzekł. — Zyskała sobie pani u mnie dozgonną przyjaźń. Mam nadzieję, że powrócę tu niedługo. Proszę mi pozwolić skomunikować się z panią i zasięgnąć wiadomości o zdrowiu jej matki.

Z pośpiechem opuścił salę.

Przed pociągiem idącym do Queenborough spotkał na skwerze Charlesa Branda.

— Najwyższy czas! — krzyknął sekretarz w jego stronę. — Pociąg odchodzi za pięć minut.

— Doskonale, Charlie — odparł lord Lister. — Muszę jeszcze jedno słowo przesłać telegraficznie.

Gdy wrócił z kiosku pocztowy, rzekł do swego przyjaciela:

— Rozmyśliłem się, zostaję w Londynie. Mam zamiar wynająć na czas pewien mały domek z ogródkiem w okolicy West Endu.

Rozmawiając wesoło, obydwaj mężczyźni zginęli w tłumie

W tym samym czasie komisarz Baxter przy pomocy specjalnie sprowadzonych robotników zrywał podłogę w gabinecie lorda Listera. Wywiadowca Marholm w dalszym ciągu badał skrupulatnie mury całego mieszkania.

Nagle spostrzegł, że drzwi rozsuwane pomiędzy gabinetem a sypialnią zamykając się, odkrywają w ścianie łazienki otwór, przez który można z łatwością wejść do wnętrza dużego stojącego zegara w gabinecie. Komisarz Baxter zaniepokoił się nagle podejrzanym szumem dochodzącym ze strony zegara. Nastawił uszu. Na twarzy jego pojawił się wyraz błęgiego zadowolenia.

— Mysz wpadła do pułapki — szepnął i skinął na agentów.

— Mamy go — szepnął. — Odkryliśmy jego kryjówkę. Jest tam, w zegarze!

Starając się czynić najmniej hałasu, agenci ustawili się dokoła. W tej samej chwili detektyw Marholm, nie przeczuwając nic złego, otworzył od wewnątrz drzwi zegara i wszedł do gabinetu. Natychmiast dwanaście pięści chwyciło go za ramiona i ręce.

— Czyście poszaleli? — krzyknął, otrząsając się jak dzik napadnięty przez psy gończe.

— Trzymać go, trzymać go! — krzyczał Baxter.

W swym zaślepieniu przypuszczał, że zamiast Marholma schwytał Tajemniczego Nieznajomego. Policjanci natomiast poznali swą pomyłkę i puścili kolegę. Marholm rozcierał zbolełe miejsca. Na ramionach i barkach wystąpiły liczne sińce, ślady żelaznych uścisków wywiadowców. Mimo bólu, Marholm nie mógł wstrzymać się od śmiechu na widok zawiedzionej miny komisarza Baxtera.

Baxter nie zdążył jeszcze ochłonąć ze swego oszołomienia, gdy do pokoju wszedł lokaj, niosąc telegram. Telegram ten zawierał następującą treść:

Komisarz Baxter w miejscu.

Winszuję sukcesu!

John D. Raffles.

Podczas gdy trzech policjantów podbiegło do swego szefa, niosąc mu pierwszą pomoc w ataku apoplektycznym, detektyw Marholm wybiegł do sąsiedniego pokoju, aby w samotności wyśmiać się tak, jak nie śmiał się dotąd nigdy w życiu.

KONIEC.

NR. 1. KAZDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ CENA 10 GR.

BUFFALO BILL

BOHATER DALEKIEGO ZACHODU

U PALA MĘCZARNI



Buffalo Bill

Bohater dalekiego
zachodu

Zeszyt 1
U Pała Męczarni



1938

Buffalo Bill, właściwie pułkownik William Frederic Cody (1846—1917), był jednym z najśłynniejszych bohaterów Dzikiego Zachodu. Osierocony w wieku jedenastu lat przez ojca, który był działaczem abolicjonistą, pracował jako przewodnik osadników, jeździec poczty konnej i zwiadowca. Dał się porwać gorączce złota, zatrudnił się przy ochronie budowy kolei, konwojował dostawy dla wojska, wreszcie wstąpił do armii Stanów Zjednoczonych. Walczył w wojnie secesyjnej po stronie Jankesów oraz w wojnie z Czejenami. Opinię wyśmienitego strzelca i swoje przezwisko zawdzięczał sprawności w łowach na bizony. W 1869 roku spotkał autora groszowych fabuł Neda Buntline'a, który z nim podróżował i wkrótce opisał jego przygody, dodając sporo własnej fantazji. Powieść *Buffalo Bill, King of the Bordermen* ukazała się w odcinkach w „Chicago Tribune” i szybko doczekała się dalszych części i licznych naśladownictw, a opowieści o Bufalo Billu stały się jednym z najpopularniejszych tematów amerykańskich *dime novels*. Sam Buntline napisał pod ich wpływem sztukę bulwarową *Traperzy prerii*, w której wystąpił u boku Buffalo Billa (1878). Pułkownik Cody polubił scenę i przez kilka sezonów latem jeździł jako zwiadowca, a zimą odgrywał sam siebie w teatrze, co podsunęło mu myśl o założeniu rewii.

Z przedstawieniem *Wild West Show* przez prawie trzydzieści lat objeżdżał Stany Zjednoczone, występując m.in. z kobietą-revolvercem Annie Oakley, Dzikim Billem Hickokiem i wodzem Siedzącym Bykiem. Miał też tournée po Europie, a w 1906 roku odwiedził Kraków i Radom.

W 1905 roku niemiecki wydawca Adolf Eichler zakupił na Europę prawa do serii *Buffalo Bill Stories* od wydawnictwa Street and Smith's co, wraz z serią opowieści o Nacie Pinkertonie, zapoczątkowało triumfalny pochód literatury spod znaku *dime novel* w Europie. Pierwsze zeszytowe cykle o Królu Prerii ukazały się w Niemczech w latach 1905—1914, w Krakowie w 1908 roku wyszedł w dwudziestu dwóch zeszytach *Buffalo Bill. Bohater Dzikiego Zachodu* (nakładem Spółki Wydawniczej Kavka i Sp.), sprzedawany jako „jedyne wydanie oryginalne”. Najobszerniejszą autoryzowaną wersję (ponad sto dwadzieścia zeszytów) wypuszczono w Lipsku w latach 1930—1933 pod tytułem *Buffalo Bill, der Held des Wilden Westens*. Jako *Buffalo Bill. Bohater Dalekiego Zachodu* w tłumaczeniu Z. Kupfera drukowało ją od 1938 roku łódzkie wydawnictwo Republika w cyklu *Co Tydzień Powieść*. Szesnastostronicowy zeszyt kosztował 10 groszy; do 31 sierpnia 1939 zdążyły się ukazać osiemdziesiąt dwa odcinki.

Odcinek *U pala męczarni* otwiera tę serię, stąd zwięzłe wprowadzenie, które prezentuje bohaterów na terenach łowieckich Wyoming. Trzech muszkieterów prerii (liczne fotografie przedstawiają Williama Cody'ego w muszkieterskim kapeluszu, z wężami i bródką, podobnie stylizował się hazardzista i zabijaka Dzikie Bill Hickock) bawi na polowaniu, lecz wkrótce angażuje się w spór między Czejenami a plemieniem Dakota i robi inny użytek ze strzelb. Sam Buffalo Bill przedstawiał się jako przyjaciel Indian (tu nazywa się bratem Samotnego Niedźwiedzia, wodza Czejenów), ale z drugiej strony jeszcze jako kawalerzysta walczył z Czejenami zaciekle, podobno w swoim teatralnym kostiumie. Kontrowersje budzą też opiewane tu łowy na bizony: to właśnie tacy myśliwi jak Cody, strzelający do zwierząt z karabinu dla sportu i chwały, zabijając po kilkadziesiąt sztuk dziennie, doprowadzili do wytępienia amerykańskich stad. Rozterki moralne są jednak bohaterom obce, kierują się oni przede wszystkim kodeksem honorowym i brawurą: „Była to epoka, gdy ludzi ceniło się nie według słów, lecz według pełnych odwagi i poświęcenia czynów”.

Warto zauważyć, że przewaga moralna, bitewna i strategiczna białych traperów nad Indianami nie zostaje ani przez chwilę zakwestionowana. Nawet Samotny Niedźwiedź przyznaje,

że walcząc o względy Smukłej Trzciny, nie może się mierzyć z „rycerzem stepu”. Buffalo Bill zostaje tu pokazany jako niepokonany wojownik, bezinteresowny obrońca, a zarazem cywilizacyjny wzór dla „dzikich”, którzy uciekają się do podstępów i okrucieństwa.

Indiańska odmiana westernu, której przykładem są przygody Buffalo Billa, rozwinęła się w Stanach Zjednoczonych głównie w latach 70. i 80. XIX wieku, kiedy zakładano rezerwy i walczono o złoto Gór Czarnych. Reportaże Sygurma Wiśniowskiego *Listy z czarnych Gór* (1875) i *W krainie czarnych stóp* (1880) czy powieść *Mieszkaniec puszczy* Marii J. Zaleskiej (1894) to polski wkład w gatunek, ale do klasyki należą przede wszystkim przygody Sokolego Oka autorstwa Jamesa Coopera (*Ostatni Mohikanin*, 1826, wyszedł po polsku w 1884) oraz powieści Karola Maya o Winnetou (od 1894). W skrajnie wyidealizowanej postaci szlachetnego białego narratora, Old Shatterhanda, często ratującego Winnetou z opresji, dopatrzyć się można wielu podobieństw do Buffalo Billa, który sam z siebie uczynił legendę.

Justyna Jaworska

Buffalo Bill. Bohater dalekiego zachodu.
Zeszyt 1: *U pala męczarni*. Wydawnictwo „Republika” Spółka z o. o. Stefan Pietrzak, Łódź 1938.

Czejenowie i Dakota

Najpiękniejszym terenem łowieckim w okresie kolonizacji Dalekiego Zachodu był Wyoming. Nawet dziś, gdy okolica ta została podniesiona do godności stanu, pozostała jednak ojczyzną różnorodnej zwierzyny, niespotykanej w podobnej obfitości w żadnej innej okolicy Stanów Zjednoczonych.

Tu właśnie dowódca pionierów, Buffalo Bill, zwykł polować w towarzystwie swych dzielnych i wiernych przyjaciół, Dzikiego Billa Hickocka i Nicka Whartona, na szare niedźwiedzie, pumy, czyli lwy górskie, wilki i inną grubą zwierzynę.

Z zadowoleniem powitała więc ta bohaterska trójka zaproszenie wodza Czejenów-Niedźwiedzi na wielkie łowy jesienne.

Od czasu strasznej walki, którą trzej wywiadowcy prowadzili przeciwko bandzie zwanej „Związkiem Śmierci”, stosunki między nimi a Czejenami były przyjacielskie. W walce tej, pełnej trudów i niebezpieczeństw, plemię Czejenów-Niedźwiedzi niejednokrotnie pomagało naszym bohaterom.

Buffalo Bill wypalił swego czasu „fajkę pokoju” z młodym wodzem tego plemienia, Samotnym Niedźwiedziem, który nazywał odtąd Cody’ego swym białym bratem.

W chwili, gdy zaczynamy śledzić ich losy, nasi bohaterowie, w drodze do wigwamów swych czerwonoskórych przyjaciół, rozłożyli się obozem obok szemrzącego strumyka w samym sercu krainy łowów, Wyoming. Polowali oni dotychczas sami i nie mogli uskarżać się na brak zdobyczy, o czym świadczyły liczne i cenne skóry, suszące się wpobliżu na trawie. Nie brakowało wśród obfitego łupu skór dwóch najgroźniejszych bestii prerii amerykańskiej: grizzly, szarego niedźwiedzia i pumy.

Pułkownik William F. Cody, nazywany przez rycerzy Dzikiego Zachodu Buffalo Billem lub Królem Granicy, nie osiągnął jeszcze w tym okresie szczytu sławy. Znany był jednak wszędzie, gdzie bielity się płótna [osadniczych] taborów i płonęły ogniska czerwonoskórych.

Jego nieodłączny towarzysz Bill Hickock, zwany także Dzikim Billem dla swej nieokiełznanej porywczosci, był postacią również sławną wśród mieszkańców Dalekiego Zachodu. Widok jego złotej czupryny wzbudzał więcej strachu w czerwonoskórych wojownikach niż widok pióropusza najdzielniejszego spośród wodzów. Indianie byli zdania, że strzelba Dzikiego Billa przemawia szybciej niż jego usta i tym bardziej mieli go w poważaniu.

Trzeci bohater naszego opowiadania, stary Nick Wharton, mimo nieco śmiesznego wyglądu także nie małą sławę zdobył sobie wśród prerii. [Był] niegdyś trapezem i zachował swój stary strój [wędrowca] w puszczy, który rozśmieszał mieszkańców [Wyoming]. Strzelba jego przemawiała tym samym językiem, [co] fuzja Billa Hickocka i biada czerwonemu czy białemu rabusiowi, który dostał się pod ostrzał starego Nicka.

Nick Wharton był nieco zgryźliwy w życiu codziennym, lecz nikt nie mógł mu nic zarzucić jako wywiadowcy i towarzyszowi w walce. Wierność i słowność Nicka były przysłowiowe wśród mieszkańców Dalekiego Zachodu.

Była to epoka, gdy ludzi ceniło się nie według słów, lecz według pełnych odwagi i poświęcenia czynów.

Buffalo Bill i jego towarzysze leżeli na trawie obok ogniska i prowadzili rozmowę o łowach.

— Puma, którą niedawno upolowałeś — rzekł Nick Wharton do Króla Granicy, pykając swą nieodłączną fajeczkę o krótkim cybuchu — jest znacznie większa od tej, którą ubiłem przed rokiem w Colorado. Pamiętasz, Cody?

Dowódca wywiadowców miał zamiar odpowiedzieć przyjacielowi, lecz Nick nie pozostawił mu czasu na reakcję i, wyciągając przed siebie ramię, rzekł:

— Spójrzcie, czy widzicie te ciemne punkty poruszające się na prerii? Ty masz lepszy wzrok, Cody, popatrz więc!

Słońce chyliło się już ku zachodowi i [horyzont] był [niezbyt wyraźny], tak że trudno było odróżnić jakąś postać w tak [dużej odległości]. [Należało jednak] zbadać sytuację, gdyż w owych czasach nietrudno było o potyczkę na stepie. Prawa, wydawane przez daleki Waszyngton, nie były przestrzegane przez bandy białych rozbójników lub czerwonoskórych „łowców skalpów”. Na stepie każdy obcy był wrogiem.

Buffalo Bill przestłonił oczy dłonią i po krótkiej chwili rzekł:

— Jakiś jeździec pędzi, co koń wyskoczy, tak jakby był ścigany. Straszny kurz, słabo widać. Preria jest bardzo wysuszona. Sądzę jednak, że ci, którzy go gonią, to Indianie. Pędzą jak stado wściekłych kojotów! Przygotujmy się na wszelki wypadek do walki. Wstawać, chłopcy!

— A gdybyśmy tak ruszyli im naprzeciw... — mruknął Bill Hickock. Wędrowcy rzucają spojrzenie na pasące się w pobliżu konie.

— Nie, nie możemy ich atakować. Oni galopują wprost na nas. Ten, który znajduje się na czele, wyprzedza znacznie swych prześladowców. Teraz widzę, że to napewno czerwonoskórzy. Jest ich zbyt wielu, abyśmy im mogli stawić czoła na otwartej przestrzeni. Zrobimy jednak małą niespodziankę. Żywo, przyjaciele! Ukryjmy się wśród drzew!

To rzekłszy, Cody chwycił swą fuzję, ujął konia za uzdę i skierował się w stronę pobliskiej grupy drzew. Towarzysze poszli w jego ślady i po chwili cała trójka znikła w cieniu liściastej fortecy.

Orle oko Buffalo Billa mogło już teraz zupełnie wyraźnie odróżnić postacie galopujących jeźdźców. Uciekającym był również Indianin. Nie zwrócił on uwagi na pozostawione przez białych ognisko i skierował konia wprost na miejsce ukrycia naszych bohaterów. Można było teraz dokładnie zaobserwować ściganego. Należał on do plemienia Czejenów i, o dziwo, jego skóra pokryta była barwami wojennymi tego plemienia.

Napełniło to białych zdumieniem, gdyż wiedzieli, że żadne z plemion indiańskich nie wkroczyło na ścieżkę wojenną.

— Znam tego człowieka! — zawołał nagle Buffalo Bill. — To Czerwony Nóż, jeden z najdzielniejszych i najzaufańszych wojowników Samotnego Niedźwiedzia, wodza Czejenów. Wódz wysłał go prawdopodobnie w poselstwie do nas. Może wzywa pomocy? Czejenowie wykopali topór wojenny!

Oko dowódcy zatrzymało się na prześladowcach czerwonoskórego, znajdujących się w odległości około pół mili.

— To Indianie z plemienia Dakota — rzekł wreszcie.

Dziki Bill gwizdnął przez zęby.

— Dakota — mruknął — to diabelnie silne plemię. Jeśli Samotny Niedźwiedź zadarł z nimi, tym gorzej dla niego i dla jego Czejenów.

— Nie sądzisz, że zbliżyli się już na odległość strzału, Buffalo? — spytał spokojnie Nick.

— Zaczekaj chwilę. Pozwolimy im jeszcze się zbliżyć — odparł Cody. — Nagły atak zbliska bardziej ich przerazi.

Tymczasem ścigany Czejen minął ognisko i pogalopował dalej w step.

Dakotowie zaś zatrzymali się przed ogniskiem, podejrzewając widocznie zasadzkę. Chwilę tę uznał Buffalo Bill za odpowiednią. Nadszedł moment decydujący.

— A więc? — szepnął Nick Wharton.

— Zaczynamy! — odparł Król Granicy.

Posel Samotnego Niedźwiedzia

Trzy karabiny odezwały się niemal jednocześnie i trzech Dakotów straciło swe rumaki. Biali nie strzelali do ludzi bez koniecznej potrzeby, chodziło im jedynie o unieszkodliwienie przeciwnika.

Nagły atak przeraził czerwonoskórych wojowników. Nim zdążyli zorientować się w sytuacji, huknęła następna salwa i dowódca Indian pochylił się na siodle. Ramię jego zwiślało bezwładnie, rażone celnym strzałem Billa Hickocka. Było to ostrzeżenie.

Indianie rzucili się do ucieczki, zabierając ze sobą trzech pozbawionych koni towarzyszy. Po chwili tylko kurz unoszący się nad prerią świadczył o tym, że byli tu jacyś jeźdźcy.

Teraz dopiero zbliżył się do naszych bohaterów wojownik czejeński, którego ścigali Dakotowie. Koń jego był okryty pianą i chrapał z wysiłku.

Indianin, mimo że był znużony daleką drogą i ucieczką przed swymi prześladowcami, nie dał po sobie poznać wyczerpania ani radości z uratowanego życia. Jego potężna, jakby odlana z brązu postać pochyliła się przed białymi w lekkim ukłonie.

Wojownik podniósł dłoń na znak powitania i przemówił:

— Witaj, o Wielki Wodzu o Długich Włosach i wy, biali bracia. Czerwony Nóż zawdzięcza wam życie. Gdyby nie wasze strzelby, które przemawiały bez wytchnienia, Czerwony Nóż polowałby teraz z przodkami w Krainie Wiecznych Łowów.

Buffalo Bill rzucił pytanie:

— Dlaczego to mój czerwony brat ozdobił swą postać barwami wojennymi? Czemu ścigali go Dakotowie?

— Topór wojenny został wykopany! — zawołał czerwonoskóry z nietajoną nienawiścią w głosie. — Psy dakotyjskie zdradziecko wstąpiły na ścieżkę wojenną. Wojownicy Dakota gorsi są niż kojoty, myszkujące po prerii w poszukiwaniu padliny, gorsi od...

— Ależ zgadzamy się w zupełności z tym sądem — przerwał z właściwym sobie rubasznym humorem Nick Wharton. — Cóż jednak Dakotowie wyrządzili tobie i twemu plemieniu, że wypowiadasz pod ich adresem tak gorzkie uwagi?

— Co zrobili?! — zawołał Czejen z dzikim błyskiem w oczach. — Zburzyli wigwamy mego ludu, podczas gdy wojownicy nasi polowali na stepie, a w obozie pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Psy z plemienia Dakota nie odważyły się zaatakować wojowników czejeńskich. Widzieli, że mężczyźni z plemienia Samotnego Niedźwiedzia ozdobią po walce swe namioty skalpami dakotyjskich tchórzów! Napaść na bezbronne squaw i dzieci okryła hańbą całe plemię Dakota.

— Zemsta Czejenów będzie jednak straszna! Wczoraj wieczorem odańczyli wojownicy Samotnego Niedźwiedzia „taniec mężnych” i pokryli swe oblicza barwami wojennymi! Wódz wysłał Czerwonego Noża, aby zaprosił białych braci na Radę Wojenną. Mądrość Wodza o Długich Włosach znana jest wśród naszego plemienia.

— Dlaczego jednak Samotny Niedźwiedź nie pozostawił części wojowników na straży obozu? — spytał Buffalo Bill wojownika.

— Uczyniłby to napewno — odparł Czerwony Nóż — lecz plemię nasze żyło w zgodzie ze wszystkimi szczepami czerwonoskórych w okolicy. Nie mogliśmy przypuszczać, że Dakotowie wykopią topór wojenny w tak nikczemny sposób. Dowiedzieliśmy się o ich napadzie od pewnej squaw, którą ocalała łaska Wielkiego Ducha. Przybyła ona do nas z tą straszną wieścią zupełnie niespodziewanie.

Buffalo Bill oddalił się na chwilę ze swymi towarzyszami i po krótkiej naradzie zwrócił się do Indianina:

— Jedziemy chętnie z tobą, Czerwony Nożu, i nie tylko weźmiemy udział w Radzie, lecz wstąpimy wraz z naszymi czerwonymi przyjaciółmi na ścieżkę wojenną przeciwko dakotyjskim zdrajcom.

— Musimy wyruszyć natychmiast — rzekł Czerwony Nóż. — Okolica pełna jest tych dakotyjskich zdrajców. Są liczni jak liście w lesie i musimy ich unikać, gdyż w przeciwnym razie możemy nigdy nie dotrzeć do obozu Samotnego Niedźwiedzia. Im prędzej dotrzemy do swoich, tym lepiej dla nas!

Osiodłano konie i po chwili czterech jeźdźców kłusowało rażno w kierunku wigwamów Czejenów-Niedźwiedzi.

Rada wojenna

Wkrótce po wyruszeniu w drogę zapadła noc. Ciemne chmury pokryły niebo, nie było widać gwiazd ani księżyca. Nie stanowiło to jednak przeszkody dla wywiadowców i ich czerwonoskórego towarzysza. Byli oni ludźmi tak zżyтыми z prerią, że wyczuwali kierunek i nierówność terenu niemal instynktownie. Nie obawiali się więc, że zgubią drogę wśród prerii.

W chwili, gdy nasi podróżni mijali niewielką grupę drzew, usłyszeli nagle okrzyk wojenny Dakotów i kilkanaście pierzastych strzał pofrunęło w ich kierunku. Odległość była jednak zbyt wielka, więc tylko jedna zbłąkana strzała utkwiała płytko w szyi konia Billa Hickocka.

Oczy Dzikiego Billa zapłonęły. Zerwał z ramienia karabin i strzelił na oślep w kierunku, skąd nadleciały strzały. Hukowi broni odpowiedział okrzyk bólu jednego z napastników. Bill Hickock szarpnął konia za cugle i chciał ruszyć na wroga, lecz wstrzymał go okrzyk Cody'ego:

— Nie rób głupstw, Bill! Nie mamy czasu na bezcelowe potyczki z Dakotami! Samotny Niedźwiedź oczekuje naszej rady i pomocy.

Buffalo Bill nie był mniej odważny od swego towarzysza, lecz czynami jego kierowała teraz rozważa. Rozumiał on dobrze, że walka z oddziałem Dakotów, ukrytym wśród drzew, naraziłaby całą czwórkę na niechybną śmierć lub niewolę, gorszą od śmierci. Ciemności nocne sprzyjały poza tym czerwonoskórym, którzy z łatwością mogli wciągnąć naszych bohaterów w zasadzkę.

Rozumiał to również Dzikie Bill, ale poniosła go niepomohowana żądza boju.

— Bezcelowe potyczki! — mruknął ponuro. — A kto zranił mego konia?

Nadciągał już świt, gdy Czerwony Nóż oznajmił, że zbliżają się do obozowiska Czejenów.

Oboz otoczony był niewielkim wzniesieniem. Z jednej strony opływał go wartki strumień, z drugiej zaś otwierała się droga w step. Dokoła obozu czuwały liczne straże, co świadczyło o wielkim doświadczeniu wojennym młodego wodza.

Należało się więc posuwać ostrożnie naprzód, by nie natknąć się niespodziewanie na wartownika, który mógłby, zwyczajem indiańskim, najpierw zaatakować przyjaciół, a potem ich dopiero rozpoznać. W stepie każdy był wrogiem.

Nagle Czerwony Nóż wydał donośny okrzyk, hasło swego plemienia. W tej samej chwili jakaś postać podniosła się z trawy i, osadzając obnażony tomahawk za pasem, rzekła:

— Dobrze, że Czerwony Nóż w porę okrzyknął się hasłem naszego plemienia. Tomahawk Żółtego Wilka ma siłę pioruna, a szybkość błyskawicy.

Wartownik zaprowadził gromadkę podróżnych w obręb obozu.

— Czy nie zwołano jeszcze Rady? — spytał Buffalo Bill. Na to odparł Żółty Wilk:

— Wojownicy naradzali się cały wieczór, lecz nic jeszcze nie zdecydowano. Samotny Niedźwiedź oświadczył, że oczekuje Wodza o Długich Włosach i jego przyjaciół.

Indianie pokładali więc w obecności Buffalo Billa i towarzyszy wielkie nadzieje. Nick Wharton był tym zaufaniem do swojej osoby nieco zakłopotany.

— Oto los bohatera! — rzekł do Króla Granicy.

— Ci czerwonoskórzy panowie oczekują od nas niezwykle czynów i rad. Jeśli im nie pomożemy, imię „bładych twarzy” straci wśród nich całą swą moc. Musimy bronić naszego honoru, aby nasza dobra sława nie wpadła w błoto. Ale jak im pomóc? Może ty wiesz, Cody?

— Tak, mój stary — odparł Buffalo Bill. — To nie będzie łatwe, ale musimy uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy. Dakotowie, jak wiesz, to niezwykle liczne i silne plemię. Są o wiele potężniejsi od garstki wojowników Samotnego Niedźwiedzia i w otwartej walce pokonają nas bez trudu. Tak, perspektywy są niezbyt różowe. Sądzę, że damy sobie jednak w jakiś sposób radę. Byliśmy przecież już w gorszych opresjach!

Gdy zbliżyli się do centrum obozu, młody wódz wyszedł im na spotkanie i powitał ich serdecznie, choć z godnością, jak nakazywał prastary indiański obyczaj.

Czerwony Nóż zdał wodzowi sprawozdanie ze swej wyprawy, pod niebiosą wychwalając męstwo swych wybawców.

Wkrótce potem Samotny Niedźwiedź zwołał Radę Wojenną.

Należy wyjaśnić, że Czejenowie-Niedźwiedzie to plemię bardzo nieliczne. Była to właściwie grupa, która odseparowała się od wielkiego narodu Czejenów wskutek nieporozumień z wodzem.

Komendę nad tą gromadą objął w owym czasie Samotny Niedźwiedź.

Gdy wojownicy zebrali się wokół ogniska, zabrał głos Czerwony Nóż:

— Nakazałem naszym squaw, dzieciom i starcom, aby pod opieką kilku wojowników udali się do pewnej jaskini górskiej. Powinni już tam być. Są oni zaopatrzeni obficie w suszone mięso i wodę na wypadek oblężenia. Jaskinia ta zapewni słabym naszego plemienia bezpieczeństwo. My zaś, wojownicy, ruszymy na wroga i pokonamy go!

— Wasi wrogowie są liczni, a was jest mało — odparł na to Cody. — Nie wiem zatem, czy rozsądnie byłoby ich zaatakować. Czyż nie ma żadnego sposobu, by skłonić resztę narodu Czejenów do połączenia się z wami przeciw Dakotom?

Wojownicy pochylili głowy.

— Nasi bracia czejeńscy odwrócili od nas swe oblicza — rzekł Samotny Niedźwiedź — a serce ich wodza, Białego Wilka, pełne jest nienawiści ku nam. Opuściliśmy plemię, gdyż Biały Wilk rządził nami nie jak wojownikami, lecz jak dziećmi.

Na to odparł Buffalo Bill:

— Biały Wilk może was nienawidzić, ale rozumie chyba, jakie niebezpieczeństwo grozi mu ze strony Dakotów. Zresztą, czyż głos wojowników czejeńskich nic nie znaczy w Radzie?

— Wszyscy boją się wodza — odparł Samotny Niedźwiedź. — Biały Wilk jest okrutny i bezwzględny. Jeśli mój biały brat tego sobie życzy, możemy wysłać posłów do wodza Czejenów. Nie jestem jednak pewny, czy zostaną oni uszanowani, czy nie spotka ich śmierć.

Mimo tych słów Samotnego Niedźwiedzia znalazło się wielu chętnych, lecz Buffalo Bill po krótkim namyśle rzekł:

— Niech mężni wojownicy zostaną przy swym wodzu. Ja udam się z poselstwem do Białego Wilka. Wódz Czejenów nie ośmieli się podnieść ręki na białego wodza. Pójdę więc.

Lecz Nick Wharton nie chciał zgodzić się na samotną wyprawę przyjaciela. Wydobyl z zanadru talię zapuszczonych kart i rzekł:

— Sam nie pojedziesz, Cody! Niech los rozstrzygnie, który z nas ma ci towarzyszyć.

Indianie z zainteresowaniem śledzili ruchy Nicka, który zmieszał karty i rozpoczął losowanie.

Bill Hickock wydał okrzyk radości, gdyż na niego padł los. Cody z uśmiechem przypatrywał się losowaniu, a wreszcie rzeki stanowczo:

— Powiedziałem, że pojedę sam i tak się stanie. Do granicy terenów łowieckich Czejenów-Niedźwiedzi towarzyszyć mi będzie kilku wojowników. Nikt z was, przyjaciele, nie pojedzie ze mną! Żądam tego!

Córka Tygrysięgo Serca

Buffalo Bill należał do tych, którzy kują żelazo póki gorące. W niespełna godzinę po zamknięciu Rady był już na siodle, dążąc w kierunku namiotu szczepu Czejenów, pozostającego pod wodzą Białego Wilka.

Ponieważ koń Billa był zmęczony wczorajszą podróżą, Samotny Niedźwiedź ofiarował mu jednego ze swoich. Trzech dzielnych wojowników towarzyszyło Królowi Granicy.

Czterech Jeźdźców posuwało się ostrożnie naprzód. Szczęśliwie uniknęli spotkania z dwiema niewielkimi grupami Dakotów, które dostrzegli zdaleka. Walka nie była obecnie celem Buffalo Billa.

Rankiem, drugiego dnia podróży, nasi podróżni zatrzymali się na brzegu lasu. Jeden z Indian, wskazując białemu widniejącą w odległości około dwu mil większą grupę drzew, rzekł:

— Za tymi drzewami płynie niewielki strumień, nad którego brzegiem stoją namioty Białego Wilka i jego ludzi. Biały wódz pojedzie dalej sam. To szaleństwo! Biały Wilk nienawidzi bladych twarzy. Wodzowi o Długich Włosach grozi śmierć!

Buffalo Bill uśmiechnął się w odpowiedzi. Rozważył on skrupulatnie wszystkie trudności i niebezpieczeństwa, zanim zdecydował się na tę wyprawę. Teraz nic go nie mogło powstrzymać od wykonania przedsięwzięcia. Śmiejąc się, pożegnał Cody ruchem ręki swych czerwonoskórych przyjaciół i ruszył lekkim galopem w stronę obozu Czejenów.

W pewnej chwili, gdy Buffalo zsiadł z konia, by poprawić rozluźniony popręg, zwierzę zaczęło zdradzać dziwne zaniepokojenie. Kręciło się wkoło, wyrывało cugle z rąk Cody'ego i parskalo, drżąc przy tym na całym ciele. Król Granicy rychło odgadnął przyczynę zaniepokojenia rumaka. Niezawodny instynkt syna prerii powiedział mu, że w pobliżu musi znajdować się jakiś wielki drapieżnik.

Tymczasem koń zdradzał coraz wyraźniejsze oznaki niepokoju. Buffalo Bill zaczął uważnie badać okolicę, zwracając bystre oczy zwłaszcza w tym kierunku, skąd dął wiatr, gdyż koń kierował się niewątpliwie powonieniem.

Wreszcie Cody dojrzał drapieżnika. W odległości kilkudziesięciu kroków widniała wśród trawy jakaś szara masa. Był to grizzly, szary niedźwiedź, najokrutniejsza bestia Ameryki Północnej. Olbrzym ten, gdy stanie na tylnych łapach, przewyższa wzrostem najroślejszego mężczyznę. Jego potężne łapy zaopatrzone są w straszliwe, zakrzywione pazury, którymi grizzly z łatwością potrafi rozszarpać bawołu. Najdzielniejsi wojownicy obawiają się spotkania z tym „samotnikiem prerii”, straszniejszym w walce od dziesięciu wrogich wojowników.

Buffalo niejednokrotnie polował na niedźwiedzie, których szare futro o srebrnym połysku jest niezmiernie cenne, lecz obecnie znajdował się w specjalnie nieprzychylnych okolicznościach. Nie chciał czynić użytku z broni palnej, by nie zdradzać swej obecności ewentualnym wrogom, a walka z grizzly przy pomocy broni białej równała się pewnej niemal śmierci. Pozostawała jeszcze możliwość, że zwierzę nie zaatakuje naszego bohatera. Było to mało prawdopodobne, gdyż szare niedźwiedzie są bestiami niezwykle krwiożerczymi.

Tymczasem grizzly zwęszył zdobycz. Podniósł swój ogromny łeb, wciągnął kilka razy ze świstem powietrze i ruszył w stronę Buffalo Billa. W tej samej chwili koń wyrwał się z rąk wywiadowcy i pomknął w step. Ucieczka była więc niemożliwa...

Król Granicy wydobył szybko zza pasa swój długi nóż myśliwski i przygotowywał się do spotkania ze straszliwą bestią. Nagle przysłała mu do głowy pewna myśl. Postanowił użyć sposobu łowców indiańskich, gdy przyjdzie im stanąć oko w oko z „samotnikiem prerii”. Szybko wydobył z kieszeni kurtki garść prochu i czekał na atak niedźwiedzia.

Grizzly zbliżał się szybko. Był to okaz niezwyklej wielkości, o potężnych łapach i straszliwych kłach, połyskujących złowrogo w otwartej paszczy. Jego małe ślepie błyszczały gniewnie, a z potężnej gardzieli wydobywał się pomruk wściekłości. Potwór stanął na tylnych łapach i runął jak lawina na Buffalo Billa. Król Granicy zręcznym skokiem wywinął się z pazurów bestii i rzucił jednocześnie garść prochu w ślepie niedźwiedzia. Oślepienie zwierzę ryknęło z bólu i wściekłości, szukając dokoła siebie poomacku wroga. Cody jednym skokiem znalazł się przy niedźwiedziu. Jego nóż myśliwski błysnął w powietrzu i zanurzył się po rękojeść w piersi drapieżnika. Bohater nasz z szybkością myśli odskoczył od rannego niedźwiedzia i zaatakował go powtórnie z drugiej strony.

Oślepiona bestia daremnie usiłowała dosięgnąć pazurami przeciwnika. Cody walczył szybko i skutecznie. Skrwawiony nóż jeszcze dwukrotnie zanurzył się w cielsko grizzly, który, rycząc z wściekłości, kręcił się w kółko jak oszalały. Wreszcie niedźwiedź usiłował rzucić się do ucieczki, lecz było już za późno. Krew płynęła z ran zadanych mu przez Króla Prerii i wkrótce drapieżnik padł w agonii na trawę stepową.

Buffalo Bill nie czekał dłużej. Musiał teraz odnaleźć konia, by móc kontynuować swą podróż. Przestraszony rumak nie chciał zbliżyć się do miejsca, gdzie padł niedźwiedź i Cody musiał długo uganiać się za wierzchowcem po stepie, nim zdołał ująć śmiertelnie przerażone zwierzę.

Kiedy Król Granicy znalazł się wreszcie w siodle, ruszył natychmiast ostrym cwałem w kierunku obozu Czejenów. Spieszył się bardzo, chodziło przecież o uratowanie plemienia Czejenów-Niedźwiedzi. Po kilku godzinach szybkiej jazdy Cody znalazł się wreszcie w pobliżu obozu czerwonoskórych.

Bohater nasz obserwował właśnie okolicę, chcąc znaleźć najdogodniejszą drogę do celu, gdy nagle, prawie spod samych nóg wierzchowca, zerwała się młoda dziewczyna i natychmiast oddaliła się na pewną odległość jak zaskoczony jelonek.

Nie wydawała się być zatrwożona. Przeciwnie, na widok białego oblicza niespodziewanego gościa zawołała z gniewem:

— Czego tu szukasz, psie o białej twarzy?!

Nie czekając na odpowiedź, ukryła się szybko za drzewem i wypuściła w stronę Buffalo Billa strzałę ze swego łuku.

Król Granicy był nieco zakłopotany. Prawo prerii nie pozwala kierować broni przeciwko kobiecie, nawet gdyby ta zagrażała życiu ludzkiemu. Z drugiej zaś strony wydawało się, że młoda Indianka nie pozwoli białemu posuwać się w stronę namiotów swego plemienia.

Pozostało mu jedynie wyjaśnienie przeciwniczce celu swej podróży i pozyskanie w ten sposób jej zaufania.

Buffalo Bill nie widział jeszcze nigdy Indianki o tak rzadkiej urodzie. Rysy jej były regularne i delikatne. Oliwkowa cera miała nieco jaśniejszy odcień niż u innych indiańskich squaw. Ruchy dziewczyny były pełne harmonii i wdzięku jak ruchy młodego daniela. Należało przypuszczać, że Indianka pochodziła z wysokich sfer swego plemienia.

Nasz bohater pozdrowił uprzejmie swą przeciwniczkę w języku czejeńskim i spytał ją o drogę do obozu Białego Wilka. Lecz nie wpłynęło to bynajmniej na zmianę w usposobieniu małej amazonki.

— Białe Wilk nie posiada przyjaciół wśród białych twarzy! — zawołała, napinając powtórnie cięciwę swego łuku. — Wódz nie żąda niczego od białych prócz tego, by nie wkraczali na jego tereny łowieckie.

— Jestem wysłannikiem i muszę niezwłocznie stanąć przed obliczem wodza — odparł Buffalo Bill. — Muszę z nim odbyć rozmowę, od której zależy honor i dobro waszego plemienia.

— Honor Czejenów nie wymaga opieki białych twarzy — odparła pogardliwie dziewczyna, lecz powodowana kobiecą ciekawością dodała zaraz: — A cóż to za poselstwo?

Buffalo Bill nie miał powodu do ukrywania celu swego przybycia, chciał jednak ukarać młodą Indiankę za jej zaczepną postawę. Rzekł więc:

— Mogę to wyjawić tylko przed wodzem i wojownikami na Radzie. Nie rozmawiam o rzeczach poważnych z pierwszą lepszą squaw, napotkaną na prerii. Jestem posłem wielkiego wodza Czejenów-Niedźwiedzi, Samotnego Niedźwiedzia! To wystarczy.

Słowa te wywarły ogromne wrażenie na dziewczynie. Odrzuciła łuk i zbliżyła się do Króla Granicy. Pochyliła się w ukłonie przed białym, a z oczu jej popłynęły niepowstrzymywane łzy wzruszenia. Gdy teraz spytała, z jakim poselstwem przybył Buffalo, ten zrozumiał, że nie było to podyktowane zwykłą ciekawością. Spytał więc:

— Czemu tak bardzo pragniesz poznać cel mojego poselstwa? Może ci go wyjawię...

Dziewczyna podniosła głowę i rzekła:

— Nie wstydzę się mej ciekawości. Wiedz, biały człowieku, że kocham Samotnego Niedźwiedzia. Dawno już wstąpiłabym do jego namiotu, gdyby mój wuj, Białe Wilk, nie wygnał go z obozu wraz z jego wiernymi wojownikami.

— Przeklęty! — zaklął z cicha Buffalo Bill. — Otóż i nowa komplikacja. Dlaczego Samotny Niedźwiedź nic mi o tym nie wspomniał?

— A czemuż to nie opuściłaś plemienia wraz z Samotnym Niedźwiedziem? — zwrócił się do dziewczyny.

Wyraz cierpienia odmalował się na twarzy Indianki. Odpowiedziała:

— Uczyniłabym to chętnie. Z ochotą dzieliłabym z Samotnym Niedźwiedziem jego walki i troski, lecz moja matka oraz młodsza siostra mieszkają w namiocie Białego Wilka. Gdybym opuściła obóz, wódz zemściłby się na nich straszliwie. Biały Wilk tak powiedział i wiem, że w tym wypadku dotrzymałby słowa.

Cody nie wahał się dłużej. W krótkich słowach nakreślił przebieg wypadków i zobrazował niebezpieczeństwo zagrażające plemieniu Czejenów-Niedźwiedzi. Gdy dziewczyna dowiedziała się, że biały złaczony jest z Samotnym Niedźwiedziem braterstwem krwi, stała się w stosunku do Buffalo Billa tak przyjacielska, jak przedtem była wroga.

Po poważnym namyśle młoda Indianka rzekła:

— Biały Wilk nie uczyni nic, by pomóc Czejenom-Niedźwiedziom. Nienawidzi on Samotnego Niedźwiedzia.

— Cóż więc uczynimy? — zapytał Cody ponuro.

— Pozostaje nam jedno — odrzekła dziewczyna. — Musimy skłonić wojowników, by stanęli po stronie Czejenów-Niedźwiedzi wbrew woli wodza.

— Czyż to możliwe? — spytał niedowierzająco Buffalo Bill. — Któż spośród plemienia odważy się wystąpić przeciw Białemu Wilkowi? Słyszałem, że władza jego w obozie jest nieograniczona.

— Tak! — odparła Indianka. — Jest jednak w obozie osoba, której wpływy są tak samo wielkie jak wpływy wodza.

— Któż to jest? — spytał Cody z ożywieniem.

Dziewczyna odpowiedziała spokojnie:

— Ja!

Widząc zdumienie malujące się na twarzy Buffalo Billa, narzeczona Samotnego Niedźwiedzia wyjaśniła:

— Tak, to prawda. Ojcem moim był Tygrysie Serce, największy spośród wodzów czejeńskich. Gdy zginął na ścieżce wojennej przed czterema laty, obrano wodzem jego brata, Białego Wilka. Lecz wojownicy nie zapomną nigdy Tygrysiego Serca, który prowadził ich tyle lat na zwycięskie walki! Jestem jego córką i stanowisko moje w plemieniu jest bardzo wysokie. Wojownicy cenią mnie i kochają. Myślę, że zdołam ich przekonać, by przeciwstawili się Białemu Wilkowi podczas Rady i by zdecydowali się na wypowiedzenie wojny Dakotom. Wiem, że nie będzie to łatwe...

— Udajmy się więc natychmiast do obozu! — zawołał Buffalo Bill.

— Nie, to byłby fałszywy krok — rzekła dziewczyna po chwili namysłu. — Ja pójdę pierwsza, biały człowieku. Porozmawiam z kilkoma wojownikami, którzy najbliżsi byli sercu mego ojca. Przygotuję ich na twoje przybycie, aby wiedzieli, jak zabrać głos na Radzie. Potem dopiero możesz się zjawić w obozie. Musisz być dumny i wyniosły. Zażadasz natychmiast po przybyciu zwołania Rady. Zbierz całą twą odwagę i przytomność umysłu. Jeżeli Biały Wilk zauważy na twym obliczu choć cień niepewności, nie opuścisz już nigdy obozu Czejenów, biały

człowieku. Gdyby wódz dowiedział się przed zwołaniem Rady o twojej misji, również grozi ci śmierć.

— Niech moja czerwona siostra nie boi się o mnie — rzekł Cody z uśmiechem. — Bywałem już w gorszych opałach.

— Człowiek, którego Samotny Niedźwiedź nazywa swoim bratem, nie może być tchórzem — rzekła dziewczyna z zaufaniem. — Bądź więc, biały człowieku, również bratem Smukłej Trzciny! A więc żegnaj. Spotkamy się na Radzie!

Porażka Białego Wilka

Buffalo Bill zjawił się w obozie po dobrej godzinie, według wskazówek Smukłej Trzciny, i zażądał, by go natychmiast zaprowadzono do wodza.

Biały Wilk był mężczyzną w sile wieku, o atletycznej budowie i pełnej godności postawie.

Jego wyniosła i pewna siebie mina świadczyła o tym, że wódz przywykł do bezwzględnego posłuszeństwa ze strony swych wojowników. Cody zrozumiał od razu, że niełatwo będzie przeciwstawić się podczas Rady takiemu przeciwnikowi.

Wódz Czejenów bystrym i wrogim spojrzeniem obrzucił niespodziewanego przybysza.

Zażądał on, by Buffalo Bill zdał mu natychmiast sprawę ze swego poselstwa, lecz Cody odmówił mu, wyjaśniając, że może to uczynić tylko przed Radą.

— Ja rządę plemieniem Czejenów — zawołał na to Biały Wilk — i tylko ja mam prawo przyjmowania posłów!

Buffalo nie uląkł się groźnego tonu wodza i odparł:

— Powiedziałem, że będę mówił tylko przed Radą.

Czerwonoskóry wyrwał zza pasa tomahawk, ale spojrzenie Króla Granicy unieruchomiło go. Cody nie wykonał żadnego ruchu, spojrzał tylko Białemu Wilkowi prosto w oczy. Spojrzenia dwóch mężczyzn skrzyżowały się na chwilę, walczyły ze sobą, wreszcie Indianin spuścił oczy i wsadził tomahawk na powrót za pas.

Życie Buffalo Billa wisiało podczas rozmowy z Białym Wilkiem na włosku. Wywiadowca rozumiał to dobrze. Rozumiał też, że to pierwsze zwycięstwo nad wodzem czerwonoskórych dało mu pewną przewagę moralną nad Białym Wilkiem. Długie lata spędzone wśród plemion indiańskich nauczyły Cody'ego, że zwycięstwo moralne nad czerwonoskórym bywa często poważnym atutem w ręku białego.

Było teraz widoczne, że Biały Wilk zdecydował się na zwołanie Rady. Nie znał on celu przybycia białego, nie wiedział również, że Cody jest posłem Samotnego Niedźwiedzia. Był raczej przekonany, że Buffalo Bill przybył z polecenia gubernatora „błędnych twarzy”, aby prowadzić rokowania ze szczepami Indian, zamieszkującymi tę okolicę.

Podczas gdy tam-tamy i bębny zwoływały wojowników na Radę, Buffalo Bill przechadzał się po obozie. Miał nadzieję, że napotka przed którymś z namiotów Smukłą Trzcinę. Dziewczyna nie dawała jednak znaku życia.

W obozie wrzało jak w ulu. Indianie tłumnie wylegli z namiotów i zaczęli się gromadzić wokół ogniska. Cody mógł się naocznie przekonać, jak liczni byli wojownicy czejeńscy. Było rzeczą jasną, że w połączeniu ze szczepem Samotnego Niedźwiedzi mogliby roznieść w puch Dakotów. Król Granicy widział broń rozłożoną przed namiotami. Karabinów było niewiele, lecz przed namiotem każdego z wojowników widniały liczne topory wojenne, noże oraz sprężyste, dalekonośne łuki wraz z kołczanami pełnymi pierzastych strzał. Plemię było więc w zupełnej gotowości bojowej. Trzeba było tylko wpłynąć na wojowników, by ruszyli na pomoc swym braciom, Czejenom-Niedźwiedziom.

Kobiety i dzieci, które nie miały prawa uczestniczenia w Radzie, również wyległy z namiotów, aby obejrzeć „bladą twarz”, która przybyła w poselstwie do plemienia. Za Codym biegły wszędzie ciekawe spojrzenia, pełne zdumienia, a czasami trwogi.

Wreszcie dwóch wojowników zbliżyło się do Billa, by zaprowadzić go na miejsce obrad. Buffalo oddał im dwa rewolwery i nóż myśliwski. Obyczaj indiański zabrania bowiem przybywania na Radę z bronią.

Gdy zbliżył się do środka koła, utworzonego przez wojowników i starców plemienia, rzucił baczne spojrzenie na zgromadzonych, nigdzie jednak nie ujrzał Smukłej Trzcin. Napełniło go to niepokojem.

Nie dając po sobie poznać wzburzenia, stanął Buffalo Bill w środku koła i obwieścił, że jest wysłannikiem plemienia Czejenów-Niedźwiedzi.

— Czemuż to Czejenowie-Niedźwiedzie nie mówią sami za siebie? — spytał Biały Wilk z ironią. — Odkąd to Czerwonoskórzy wysyłają w poselstwie blade twarze?

— Wielu było chętnych — odparł Cody — lecz ja, który jestem związany z wódzem Czejenów-Niedźwiedzi braterstwem krwi, nie pozwoliłem im na tę wyprawę, ponieważ obawiałem się, że zamordujesz ich, nie bacząc na świętość poselską.

Twarz Białego Wilka wykrzywiła się grymasem gniewu.

— Zabiję tę bladą twarz za te słowa! — krzyknął, nie mogąc opanować wzburzenia.

Drżąc z wściekłości, sięgnął dłonią za pas, gdzie zwykle tkwił jego tomahawk. Wódz nie znalazł broni, gdyż jak wszyscy przybył na Radę rozbrojony. Zwiększyło to jeszcze jego wściekłość.

— Możesz spróbować, gdy zakończymy obrady! — odparł spokojnie Buffalo Bill. — Teraz oddaję się pod opiekę Rady i gdyby stało mi się coś złego, wieczna hańba ciążyć będzie na plemieniu Czejenów, które wyklęte będzie spośród wszystkich szczepów czerwonoskórych. Czyż nie są to słowa prawa? — zwrócił się do starego kapłana, siedzącego obok.

Starzec uczynił gest potwierdzenia.

— Jest tak, jak mówi obcy biały człowiek. Krew, rozlana przy ognisku Rady, sprowadza na plemię gniew Wielkiego Manitu.

Biały Wilk potoczył dokoła gniewnym wzrokiem, nie śmiał jednak protestować przeciwko odwiecznym prawom Indian, żyjących wśród prerii. Spostrzegł, że wszyscy wojownicy z powagą skinęli głowami, akceptując słowa starego kapłana, biegłego w niepisanych prawach Czerwonoskórych. Gdyby wódz wystąpił przeciwko kapłanowi, straciłby całą popularność i posłuch wśród wojowników. Opanował się więc i zasiadł na powrót na swym miejscu głowy plemienia.

— Niech biały człowiek obwieści nam słowa Czejenów-Niedźwiedzi — rzekł Biały Wilk.

Buffalo Bill opowiedział, jak Dakotowie napadli znienacka na obóz.

— Te psy wzięły skalpy kobiet, dzieci, starców oraz waszych braci, o wojownicy! Krew Czejenów woła o pomstę! Walka Czejenów-Niedźwiedzi jest waszą walką. Czyż nie jesteście jednym narodem? Czyż Dakotowie nie są waszymi odwiecznymi wrogami? Gdy zwyciężą szczep Niedźwiedzi, zwrócą się przeciwko wam!

Buffalo Bill celowo użył indiańskiego sposobu wystawiania się, pełnego zacięcia oratorskiego i kwiecistości. Chciał on w ten sposób nawiązać między sobą a wojownikami czejeńskimi bezpośredni kontakt. Pragnął przemówić swym słuchaczom do serca.

Koło słuchaczy przyjęło zimno słowa białego. Jedynie stary kapłan i kilku wojowników czyniło głowami znaki aprobaty.

Cody zrozumiał, że przegrał walkę. Spostrzegł, że wpływ Białego Wilka był pośród plemienia zbyt silny, by słowa obcego białego człowieka mogły trafić wojownikom do przekonania.

Uratować sytuację mogłoby tylko wystąpienie Smukłej Trzciny, lecz nigdzie nie było widać śladu dziewczyny.

Kilku wojowników powstało, by odpowiedzieć Cody'emu, lecz wódz wstrzymał ich władczy gestem.

— Pozwólcie wodzowi Czejenów odpowiedzieć białemu intruzowi — rzekł. — Słuchaj, biały człowieku! Nigdy nie ruszymy z pomocą Czejenom-Niedźwiedziom, którzy opuścili własne plemię i totem. Raczej przyjdziemy z pomocą Dakotom!

Wielu wojowników przytaknęło tej przemowie z uznaniem, lecz liczniejsi, zwłaszcza spośród starszego pokolenia, ukazali twarze gniewne i groźne. Biały Wilk zagalopował się. Przecież Czejenowie-Niedźwiedzie byli mimo wszystko bliżsi plemieniu niż odwieczny wróg, czyli Dakota.

Wódz zrozumiał swój błąd i zastanawiał się właśnie, jak go naprawić, gdy nagle ukazanie się nowej postaci w kręgu ogniska wywołało olbrzymie wrażenie.

Była to Smukła Trzcina.

Nosiła na sobie wszystkie należące jej się z urodzenia i stanowiska ozdoby indiańskie. Zdobiła ją skóra daniela, przybrana barwnymi piórami i błyskotkami.

U pasa widniały liczne skalpy, trofea wojenne jej wielkiego ojca. Ramiona dziewczyny okryte były wspaniałym futrem jaguara. W dłoni dzierżyła Smukłą Trzcina tomahawk.

— Kto mówi o zgodzie z Dakotami?! — zawołała. — Kto śmie mówić o opuszczeniu naszych braci Czejenów-Niedźwiedzi? Oto tomahawk, którym Serce Tygrysie zabił wodza plemienia Dakota! Oto skalpy wojowników Dakota! Skalpy Czejenów zdobią wigwamy Dakotów. Nie ma zgody między nami! Czyż lew górski i kojot z prerii spoczywają w jednym legowisku? Wojownicy! Przypomnijcie sobie wielkie dni naszego plemienia, gdy żył jeszcze Serce Tygrysie. Wszystkie plemiona drżały przed nami! A dziś, czym jesteśmy? Cieniem dawnego imienia...

Czyż nie zasługujemy na pogardę, jeśli wzdramy się przed udzieleniem pomocy w niebezpieczeństwie naszym braciom, Czejenom-Niedźwiedziom? Jesteśmy pośmiewiskiem wszystkich. Błade twarze i czerwonoskórzy, wszyscy ludzie stepu twierdzą, nie bez słuszności, że Czejenowie nie są plemieniem dzielnych wojowników. Obóz ich to wioska pełna tchórzliwych squaw!

Wojownicy byli tak zdumieni nagłym pojawieniem się dziewczęcia i płomiennym przemówieniem, że nie zdali sobie sprawy ze złamania odwiecznego obyczaju. Wszak kobieta nie ma prawa brania udziału w Radzie i zabierania głosu w gronie mężów.

Pierwszy odzyskał równowagę ducha Biały Wilk i zawołał grzmiącym głosem:

— Wróć do twego wigwamu, kobieto! Nie ma dla ciebie miejsca w Radzie.

Smukła Trzcina spojrzała w stronę wodza ze spokojnym uśmiechem. Nie powstrzymując wzburzenia, Biały Wilk rzucił się w jej stronę z zaciśniętymi pięściami. Dziewczyna nie wahała się ani chwili. Topór wojenny Serca Tygryskiego błysnął nad jej głową, gotowy do ciosu. Lecz Buffalo Bill uprzedził ją. Widząc młodą Indiankę w niebezpieczeństwie, jednym susem znalazł się obok wodza i dwoma potężnymi uderzeniami powalił go na ziemię.

Wypadek ten był początkiem ogólnego zamieszania. Buffalo Bill zasłonił Smukłą Trzcinę swą potężną postacią przed atakami zwolenników wodza.

— Do mnie, do mnie, dzielni wojownicy, którzy walczyli u boku Tygryskiego Serca! — zawołała córka wodza. Imię ukochanego wodza podziałało na Indian jak iskra elektryczna.

— Bracia! — zawołał jeden ze starych wojowników. — Czyż nie zwyciężaliśmy zawsze pod dowództwem Serca Tygryskiego? Walczmy teraz u boku jego córki!

— Taka jest wola Wielkiego Ducha! — zawołał stary kapłan. — Sam Wielki Manitou mówi przez usta tej dziewczyny. Duch Tygryskiego Serca przybył na Radę i unosi się nad płomieniem ogniska! Nie opuścimy córki wielkiego wodza!

Po chwili połowa wojowników zgrupowała się u boku Smukłej Trzciny. Zwolennicy Białego Wilka nie szczędzili przekleństw i gróźb, lecz grupa stronników Smukłej Trzciny wciąż wzrastała.

Gdy Biały Wilk powstał z ziemi i ocenił sytuację, zapalał strasznym gniewem. Piana wystąpiła mu na wykrzywione usta, a zduszony głos wydobywał się

z konwulsyjnie zaciśniętej krtani. Ten wybuch nieopanowanego gniewu zdyskredytował go w zupełności w oczach plemienia.

— Bracia! — zawołał kapłan. — Czy pozwolimy panować nad sobą człowiekowi, który nie potrafi panować nad samym sobą?

— Nigdy! — odpowiedzieli chórem wojownicy.

Kapłan zwrócił się do trzęsącego się z gniewu Białego Wilka:

— Biały Wilku, plemię Czejenów przestało uważać cię za swego wodza! Nie chcemy twojej władzy. Uczynimy to, co nam rozsądek i obowiązek każą: ruszymy na pomoc naszym braciom!

— Któż powiedzie nas teraz do boju? — rzucił pytanie jeden z młodszych wojowników.

Odpowiedź kapłana była jasna i stanowcza:

— Będzie nas wiodła Smukła Trzcina. Czyż nie posiada ona więcej rozumu niż najstarsi plemienia? Czyż nie jest dzielniejsza od najodważniejszego wojownika?

Słowa te zostały przez wszystkich przyjęte z uznaniem.

Biały Wilk skierował się ku swemu wigwamowi, a w duszy jego, trawionej wściekłością, rodził się już plan zemsty.

Pojedynek

Kilkunastu zaledwie wojowników nie chciało opuścić Białego Wilka. Reszta jak jeden mąż przyłączyła się do oddziału Smukłej Trzciny, opowiadając się za walką przeciw Dakotom.

Za pośrednictwem starego kapłana obie grupy doszły do porozumienia, to znaczy, że miały się rozejść w spokoju, każda w swoją stronę.

Buffalo Bill spał tej nocy w namiocie kapłana. Jeszcze wieczorem kazał sprowadzić do obozu swych przewodników, którzy czekali na niego ukryci wśród pre-rii. Radość Czejenów-Niedźwiedzi z tak pomyślnego obrotu sprawy nie miała granic.

Następnego ranka zjawilo się w namiocie kapłana dwóch rosnących wojowników. Byli to wysłannicy Białego Wilka. Powitali w milczeniu obecnych i jeden z nich zwrócił się do Buffalo Billa:

— Oto słowa mojego wodza: „Powiedźcie białemu psu, że oczekuję go obok lasu na północ od obozu. Będziemy walczyli bronią, którą sobie biały wybierze. Jeśli błada twarz nie jest tchórzliwym psem, przybędzie, aby stoczyć ze mną pojedynek”. Oto słowa Białego Wilka. Jaką odpowiedź mam mu zanieść?

Buffalo Bill nie zareagował na obelżywe słowa, lecz spytał spokojnie:

— Gdzie znajduje się obecnie wasz wódz? Mogę z nim walczyć natychmiast.

— Pokażemy ci drogę — odparł wysłannik Białego Wilka.

Cody'emu towarzyszyło kilku wojowników, aby uniemożliwić wodzowi użycie jakiegos podstępów i zapewnić uczciwą walkę. Gdy przechodzili przez obóz,

rozeszła się już szeroko wieść o mającym się odbyć pojedynku i obok lasu zgromadziło się całe niemal plemię, chcąc przyjrzeć się walce dwóch potężnych przeciwników.

Wojownicy czejeńscy nie mieli zbyt wiele zaufania do sprawności bojowej Buffalo Billa. Widzieli wprawdzie ubiegłego wieczoru efekt jego potężnego uderzenia, lecz sądzili, że biały nie dorówna swemu czerwonoskóremu przeciwnikowi w walce na białą broń. Czejenowie nie wiedzieli, że mają przed sobą słynnego Króla Granicy, przed którym drżały serca Indian na całym Zachodzie. Cody nie chciał dać się poznać, gdyż wiedział, że Biały Wilk mógłby użyć jego sławy wojennej jako argumentu przeciwko niemu i w ten sposób uniemożliwić przymierze Czejenów z Samotnym Niedźwiedziem.

Jedynie trzech wojowników z plemienia Czejenów-Niedźwiedzi znało zręczność Króla Granicy we władaniu białą bronią wszelkiego rodzaju. Byli oni spokojni o wynik walki. Wiedzieli, że pewna ręka, siła i zręczność Wodza o Długich Włosach nigdy nie zawiodą.

Biały Wilk, nagi do pasa, czekał już na wroga. Mierzył on przeszło sześć stóp wzrostu. Pod brunatną skórą kłębiły się potężne zwały mięśni, będące rezultatem ustawicznych ćwiczeń i pełnego trudów życia na prerii. Widok znienawidzonego wroga podniecił czerwonoskórego.

— Błada twarz przywiodła wielu wojowników, czyż potrzebuje pomocy? — rzekł sarkastycznie.

Król Granicy odparł spokojnie:

— Nikt nie wmiesza się do walki, Biały Wilku, ani z mojej, ani z twojej strony. Bój musi być uczciwy.

Buffalo Billowi przysługiwało prawo wyboru broni, lecz odstąpił je wspaniałomyślnie Indianinowi.

Ten szlachetny gest Cody'ego wywołał zdumienie i niepokój wśród Czejenów, którzy teraz zupełnie już zwątpili w jakiekolwiek szanse zwycięstwa Buffalo Billa. Jeden z wojowników zwrócił się do Cody'ego:

— Mój biały brat popełnia czyn szalony! Nikt z nas nie dorówna ci we władaniu rewolwerem lub karabinem, lecz Biały Wilk wybierze napewno nóż lub tomahawk, a wtedy los twój będzie przesądzony.

Wojownik z plemienia Samotnego Niedźwiedzia, który znajdował się w pobliżu mówiącego, wyręczył Cody'ego w odpowiedzi:

— Niech mój brat będzie spokojny. Nasz biały przyjaciel dorówna Białemu Wilkowi w walce każdą bronią. Zresztą, niebawem się przekonamy.

Biały Wilk był pewny zwycięstwa. Jeden tylko Samotny Niedźwiedź przewyższał go we władaniu nożem i tomahawkiem, a białych wódz uważał za niedołęgów. Wybór Indianina padł na noże myśliwskie.

Wodzowie utworzyli koło, w którego obrębie stanęli dwaj przeciwnicy, uzbrojeni w długie myśliwskie noże. Biały Wilk był obnażony do pasa, a skóra jego

błyszczała od tłuszczu, którym się posmarował, by łatwiej wyslizgnąć się przeciwnikowi.

Buffalo Bill nie zadał sobie nawet trudu pozbycia się kurtki myśliwskiej. Stary kapłan dał znak i walka się rozpoczęła. Biały Wilk zamienił się w kłębek napiętych i drgających mięśni. Krążył dokoła Cody'ego, wypatrując momentu, w którym mógłby go zaatakować. Biały nie dawał się zaskoczyć i utrzymywał Indianina w pewnej odległości, bacznie mierząc go wzrokiem.

Wreszcie czerwonoskóry skoczył na swego wroga. Nóż błysnął w powietrzu, lecz nie wyrządził Buffalo Billowi żadnej krzywdy, przecinając jedynie kurtkę na piersi.

Z kolei Król Granicy zaatakował Indianina. Ruchy jego były szybkie jak myśl i nim Biały Wilk się zorientował, ramię jego obficie broczyło krwią. Buffalo Bill nie zamierzał zabić przeciwnika, chciał go tylko upokorzyć.

Indianin stał się ostrożniejszy. Pochylony tuż nad ziemią, krążył już w większej odległości od białego. Nagle Cody tygrysim skokiem znalazł się tuż przy Białym Wilku i po chwili nóż czerwonoskórego, zatoczywszy łuk, padł na ziemię. Indianin był rozbrojony. Nie spodziewał się łaski ze strony Buffalo Billa, oczekiwał więc śmierci.

Król Granicy odrzucił swą broń i, stanąwszy w postawie bokerskiej, zawołał:

— Znów jesteśmy jednakowo uzbrojeni. Broń się!

Biały Wilk, który zaznał już mocy uderzeń Cody'ego podniósł ręce w niezręcznej obronie, lecz w tej samej chwili potężny cios zwałił go z nóg. Walka była skończona.

Indianie ze zdumieniem patrzyli, jak Buffalo Bill obmywa ranę Białego Wilka i opatruje go. Był to dla nich widok zupełnie niecodzienny. Czyż nie prościej dobić i oskalpować przeciwnika? Postępowanie Buffalo Billa było dla czerwonoskórych zupełnie niezrozumiałe.

— Mój biały brat źle czyni — rzekła Smukła Trzcina. — Ten pies nieraz jeszcze stanie na naszej drodze. Obyś nie pożałował swego czynu. Powinieneś zatopić nóż w jego fałszywym sercu!

Ślubowanie Smukłej Trzciny

Buffalo Bill i Smukła Trzcina zebrali wokół siebie wszystkich wojowników, którzy stanęli po ich stronie. Plemię znów podzieliło się na dwie grupy. Po haniebnej porażce Białego Wilka pozostało przy nim już tylko kilku wojowników.

Przed wyruszeniem do obozu Czejenów-Niedźwiedzi plemię musiało przygotować zapasy żywności. Ponieważ wojna z Dakotami zapowiadała się na dość długi okres czasu, należało przygotować duże zapasy suszonego mięsa bawolego i „pemmi-kaun”, tzn. mączki mięsnej, używanej jako pokarm przez wszystkie plemiona indiańskie Północnej Ameryki.

Wojownicy zaczęli się więc przygotowywać do wielkich łowów na bawoły. Podczas gdy całe plemię wraz z kobietami, dziećmi i starcami przygotowywało

broń dla wojowników, rozpałało wielkie ogniska i szykowało juki do załadowania ubitej zwierzyny, kilku wojowników ruszyło w step, aby wytropić większe stado bawołów, których setki znajdowały się w owym czasie na prerii.

Wojownicy ci powrócili po dwu godzinach z wieścią, że na południe od obozu, w odległości kilku mil, pasie się wielkie stado bawołów, które może dostarczyć odpowiedniej ilości mięsiwa. Plemię dosiadło więc koni i żywo ruszyło we wskazanym przez wywiadowców kierunku. Należało poruszać się ostrożnie, by nie spłoszyć zdobyczy. Wojownicy przygotowali skóry bawole, którymi okryli siebie i konie, by w ten sposób zmylić czujność zwierzyny i zająć ją niepostrzeżenie.

Buffalo Bill poczuł się w swoim żywiole. Wszak przydomek jego świadczył o tym, że jest on najdzielniejszym łowcą bawołów na całym Zachodzie. Bohater nasz przygotował starannie naboje i fuzję, pragnąc popisać się przed swymi czerwonoskórymi przyjaciółmi zręcznością i celnością strzałów.

Po pewnym czasie ukazały się wśród prerii bawoły. Stado liczyło kilkaset sztuk. Pasło się ono, jak to leży w zwyczaju tych zwierząt, w szyku obronnym. Na krańcach pastwiska widać było potężne samce, które swymi ogromnymi rogami broń miały krów i cieląt pasących się w środku pastwiska.

Do uszu myśliwych dochodziły porykiwania ogromnych zwierząt, przypominające grzmoty wiosenne. Stado pasło się spokojnie, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, a tymczasem łowcy okrążali powoli zdobycz, nie budząc żadnego podejrzenia bawołów, które były zmylone skórami, okrywającymi wojowników i konie.

Wreszcie wojownicy zbliżyli się na odległość strzału z łuku. Jeden z wojowników, kierujący wyprawą łowiecką, dał sygnał i chmura pierzastych strzał pofrunęła w kierunku stada.

Myśliwi strzelali celnie. Wśród stada powstał popłoch i zamieszanie. Zwierzęta zbiły się w gromadę. Byki ryczały złowrogo, grzebiąc ziemię przednimi racicami, i, pochyliwszy potężne łby uzbrojone straszliwymi rogami, gotowały się do odparcia nagłego ataku. Ze środka stada dobiegało trwożliwe pobekiwanie cieląt, chroniących się pod opiekę matek.

Wojownicy zbliżyli się teraz na bardzo niewielką odległość. Istny deszcz strzał padł na gromadę bawołów i kilkanaście sztuk zwierzyny padło na ziemię. Przerażone stado poszło w rozsypkę. Na to czekali właśnie łowcy. Wśród dzikich okrzyków ruszyli za uciekającą zwierzyną. Każdy wojownik upatrywał sobie zdobycz na własną rękę i ścigał ją tak długo, póki nie dosięgnął zwierzęcia strzałą ze swego łuku.

Preria przedstawiała widok niezmiennie malowniczy. Wśród zieleni trawy uwijali się miedzianoskórzy wojownicy z pękami różnorodnych piór we włosach. Wielkie, szare cielska bawołów leżały miejscami nieruchomo, rażone strzałami.

Zdarzało się często, że oszalałe ze strachu zwierzę usiłowało atakować swych prześladowców. Jeźdźcy andyjscy jednak zwinnie unikali strasznych rogów bawolich, rażąc jednocześnie zwierzynę strzałami.

Smukła Trzcina brała udział w łowach na równi z mężczyznami swego plemienia. Władza ona łukiem lepiej od niejednego z wojowników i niebawem kilkanaście sztuk zwierzyny padło od jej celnych strzałów.

W pobliżu dziewczyny polował Król Granicy. Wojownicy, mimo iż byli zajęci ściganiem zwierzyny, nie mogli wyjść z podziwu nad celnością strzałów Cody'ego. Buffalo Bill nie ścigał bawołów. Wystarczyło, że wziął na cel jedno ze zwierząt, a zdobycz była pewna. Powalił on celnymi strzałami już trzydzieści bawołów i nie zamierzał bynajmniej przerywać polowania.

W pewnym momencie wydarzył się wypadek, który wzbudził przerażenie we wszystkich wojownikach. Smukła Trzcina zaatakowała wielkiego samca, który dotąd unikał strzały. Ręka dziewczyny była już zmęczona napinaniem łuku, dość, że grot utkwiał w potężnym karku bawołu, raniąc go lekko. Rozwścieczone bólem zwierzę ryknęło głucho, a potem, pochyliwszy potworny łeb, ruszyło jak lawina na swą prześladowczynię. Zdawało się, że nic nie ocali Smukłej Trzciny, której przerażony rumak stanął dęba, wyłamując się spod władzy amazonki.

Straszną tę sytuację dostrzegł Buffalo Bill. Nie chciał strzelić, gdyż obawiał się, że może chybić pędzącego jak lawina bawołu. Zeskoczył więc z konia i w kilku susach znalazł się przed Smukłą Trzcina, zasłaniając ją przed atakiem strasznego bawołu.

Wojownikom zaparło dech w piersiach, ponieważ oczekiwali niechybnej śmierci śmiałka, lecz Buffalo Bill działał szybko i pewnie. W chwili, gdy bawół znajdował się tuż przed nim, Cody ze złością pantery uskoczył w bok. Jednocześnie wznosił tomahawk i zadał nim strasliwy cios w głowę bawołu.

Wszystko to stało się tak szybko, że wojownicy nie mogli jeszcze ochłonąć z przerażenia, gdy bawół zwałił się na przednie kolana jak rażony piorunem, a potem runął całym ciężarem potężnego cielska, wznosząc kłęby kurzu.

Smukła Trzcina była uratowana.

Bohaterski czyn Buffalo Billa i rekordowa ilość zwierzyny ubitej przez niego zjednały Królowi Prerii sympatię i podziw całego plemienia. Człowiek, który włada równie dobrze nożem i tomahawkiem jak i karabinem, a także w bohaterski sposób ocalił życie córce Tygrysiego Serca, jest godny być przyjacielem i bratem czerwonoskórych wojowników.

Czejenowie pod wodzą młodej królowej opuścili obóz i ruszyli w kierunku terenów zajmowanych przez szczerp Samotnego Niedźwiedzia. Smukła Trzcina trawiona była niepokojem. Podjechała do Buffalo Billa i rzekła:

— Wodzu o Długich Włosach, serce moje ma złe przecucia. Pies, wabiący się Biały Wilk, napewno knuje coś przeciwko nam i Samotnemu Niedźwiedziowi. Sądzę, że należałoby wysłać kilku wojowników z powrotem, by śledzili posunięcia naszego wroga.

Buffalo Bill przyznał dziewczynie rację i po chwili czterech wojowników zawróciło konie i pogalopowało w stronę dawnego obozu Czejenów.

Nasza gromada posuwała się tymczasem rażno naprzód, płosząc po drodze niewielkie grupy Dakotów, pierzchające w popłochu przed tak poważną siłą.

Wreszcie ukazały się w oddali namioty Czejenów-Niedźwiedzi i niebawem orszak Smukłej Trzciny przybył do obozu. Samotny Niedźwiedź nie spodziewał się tak rychłego powrotu Buffalo Billa i tak pomyślnego rozwiązania sprawy. Radość młodego wodza była tym większa, że na czele wojowników ujrzał swą narzeczoną, Smukłą Trzcinę.

Dziewczyna nie okazała radości ani wzruszenia na widok ukochanego. Była wszakże wodzem Czejenów i nie mogła zajmować się sprawami prywatnymi. Gdy Samotny Niedźwiedź nawiązał z nią rozmowę na temat ich przyszłego małżeństwa, Smukła Trzcina rzekła:

— Nie poślubię cię, Samotny Niedźwiedziu, jeśli nie zwyciężymy w zupełności plemienia Dakota i jeśli ty w tej walce nie okażesz się najdzielniejszym spośród wojowników. Jesteś wodzem i musisz zasłużyć na to miano. Niechaj wszyscy wiedzą, że córka Tygrysiego Serca poślubi tylko najdzielniejszego wśród wojowników, który godnie potrafi podzielić z nią władzę nad plemieniem.

Samotny Niedźwiedź wyprężył się dumnie i rzekł:

— Smukła Trzcina powiedziała! Przyjmuję twe warunki i postaram się je wypełnić. O jedno tylko proszę: nie bierz pod uwagę czynów Wodza o Długich Włosach i jego białych przyjaciół. Nie ma takiego czerwonoskórego wojownika, który by im dorównał!

Złe nowiny Bawolego Czoła

Gdy Dakotowie dowiedzieli się o połączeniu Czejenów-Niedźwiedzi z macierzystym plemieniem, wycofali swe siły do kryjówek górskich, gdyż nie byli przygotowani do walki z tak licznym nieprzyjacielem.

Nie należało ich tam atakować, gdyż w górach łatwo mogli urządzić zasadzkę, w czym sprzyjała im natura.

Drugiego dnia po przybyciu Smukłej Trzciny i Buffalo Billa została zwołana wielka Rada Wojenna, na której wojownicy mieli ustalić plan działania.

Obrazy były już w pełnym toku, gdy nagle w kręgu ogniska ukazała się postać Bawolego Czoła, jednego z czterech wojowników wyznaczonych przez Smukłą Trzcinę do śledzenia poczynąń Białego Wilka. Wojownik staniał się z wyczerpania. Dziewczyna zwróciła się do niego z niepokojem:

— Mów, Bawole Czoło! Co się stało? Gdzie twój towarzysz?

Z ust wojownika padło jedno tylko słowo:

— Zabici!

Zgroza ogarnęła członków Rady, a Bawole Czoło przerywanym głosem mówił dalej:

— Spostrzeżliśmy, że Biały Wilk z garstką swych wojowników opuścił obóz i ruszył w kierunku namiotów plemienia Dakota. Zdrajca zdecydował się połączyć ze śmiertelnym wrogiem przeciwko nam. Chcieliśmy wrócić do was i przywieźć wam tę wieść, lecz wichrzyciel chytrzejszy jest od lisa stepowego.

Jego wojownicy zaskoczyli nas, gdy odpoczywaliśmy przy ognisku i wkrótce byliśmy ich jeńcami. Biały Wilk zażądał, byśmy przystąpili do jego zradzieckiej bandy, a w razie sprzeciwu groził nam torturami. Moi towarzysze zginęli. Mnie udało się wyrwać ze szponów Białego Wilka, oto jakim kosztem... — Bawole Czoło wskazał na straszliwie poranioną pierś. Mężny wojownik osłabł z wysiłku i upływu krwi, dlatego osunął się na ziemię.

Oddano go pod opiekę Billa Hickocka, który pieczołowicie opatrzył mu ranę, a reszta wojowników zgrupowała się na powrót wokół ogniska.

Smukła Trzcina stanęła w blasku ognia i zawołała porywczo:

— Gdzież jest wojownik, który pomści naszych braci?! Ten, kto zabije Białego Wilka, będzie jedynym godnym mojej ręki, ten będzie największym wojownikiem plemienia!

Słowa te wywarły olbrzymie wrażenie na wojownikach. Wszyscy przysięgli śmierć nikczemnemu zdrajcy, padały gromkie okrzyki i gniewne spojrzenia. Jeden tylko Samotny Niedźwiedź pozostał milczący, zajęty swymi myślami.

Bufallo zbliżył się do niego i położył mu rękę na ramieniu. Samotny Niedźwiedź drgnął jak obudzony ze snu, a Król Granicy rzekł:

— Czy mój czerwonoskóry brat nie chciałby zdobyć nagrody przyrzeczonej przez Smukłą Trzcinę?

Wódz nie odrzekł ani słowa, lecz jego płonące oczy były aż nadto wymowne.

— Dobrze — rzekł Bufallo Bill. — Mam plan, którego wykonanie zapewni ci tę nagrodę. Jest to jednak bardzo niebezpieczne.

— Samotny Niedźwiedź nie lęka się niebezpieczeństw! — odparł czerwonoskóry.

— Posłuchaj więc — rzekł Bufallo. — Czy słyszałeś o świętym bębnie wojennym Dakotów? Jak wiesz zapewne, jest to ich talizman, który ma przynosić szczęście w walce. Przed bitwą ich kapłan uderza w bęben, którego dźwięki są hymnem zwycięstwa. Dakotowie mniemają, że ich powodzenie wojenne zależy od posiadania tego bębna. Wiesz jednak o tym, prawda?

— Mój biały brat powiedział — odparł Indianin. — Mówią tak wśród wszystkich szczepów czerwonoskórych.

— A więc — ciągnął Bufallo — musisz zakraść się do obozu Dakotów i porwać ich talizman. Gdy przyniesiesz bęben, ogłoszą cię najdzielniejszym wojownikiem plemienia. Serca Dakotów napętnią się trwogą, gdy spostrzegą brak bębna wojennego, a wtedy łatwo będzie zadać im klęskę.

Wódz Czejenów zawołał gorąco:

— Uczynię to lub zginę! Może spotkam również zdrajcę, Białego Wilka, a wtedy zdobędę na pewno Smukłą Trzcinę.

— A czy wiesz, gdzie znajduje się święty bęben Dakotów? — spytał Bufallo. Samotny Niedźwiedź pokręcił przecząco głową.

Cody wyjaśnił:

— Dowiedziałem się od pewnego starego wojownika, którego uratowałem z pazurów szarego niedźwiedzia, że bęben ukryty jest w świętej jaskini Dakotów, tam gdzie grzebią oni swych wodzów i kapłanów. Drogę do jaskini znam i wskażę ci ją. Będę ci towarzyszył do granic obozu Dakotów. Oto plan wskazujący położenie świętej groty — Bufallo wydobył z kieszeni ołówkę oraz kawałek papieru i nakreślił w sposób możliwie najprostszy drogę, którą miał odbyć Samotny Niedźwiedź.

Po krótkich przygotowaniach obaj mężczyźni ruszyli w drogę, nie wyjaśniając nikomu celu swej wyprawy.

Smukła Trzcina wezwała na naradę kilku wojowników oraz Billa Hickocka i Nicka Whartona. Słowa dziewczyny brzmiały poważnie:

— Wiem, że Bufallo i Samotny Niedźwiedź udali się na niebezpieczną wyprawę. Nie trudno się domyśleć, że celem ich jest obóz Dakotów. Nie wolno nam pozostawić ich na pastwę niebezpieczeństwa. Jutro rano wyruszymy na czele większej grupy wojowników w ich ślady. Jeśli wpadną w ręce wroga, oswobodzimy ich, a gdyby było za późno... — tu głos dziewczyny zadrżał lekko — pomścimy ich!

Następnego ranka oddział, złożony z dwustu Czejenów, nie licząc dwóch białych, ruszył śladami Bufallo Billa i Samotnego Niedźwiedzia, które wiodły do obozu Dakotów.

Smukła Trzcina była bardzo niespokojna. Dziki Bill bezskutecznie usiłował dodać jej otuchy. Nie wierzył on zresztą własnym słowom, gdyż wiedział, znając Bufallo Billa, że wyruszył on na bardzo niebezpieczną wyprawę.

Jeden tylko Nick Wharton nie utracił równowagi ducha. Był on również szczerze zmartwiony nagłym wyjazdem Cody'ego, lecz nie stracił humoru. Starzec cwałował różne przy boku Smukłej Trzciny oraz Billa Hickocka i mruczał pod nosem, puszczając kłęby dymu ze swej fajeczki:

— Łatwo odgadnąć, w jakim kierunku pojechał Buffalo. Oczywiście do obozu Dakotów, to jasne. Diabli wiedzą, czego on tam szuka. Zresztą nasz Bufallo zawsze ma jakieś nadzwyczajne pomysły, a ty się tłucz człowieku po stepie z tą czerwoną królową i jej bandą upierzonych wojowników.

Oddział Smukłej Trzciny posuwał się naprzód szybko, lecz ostrożnie. W odległości pół mili od czoła pochodu cwałowała przednia straż, w liczbie czterech wojowników, przeszukując starannie okolicę. W ciągu pierwszego dnia podróży nie napotkano żadnych śladów nieprzyjaciela.

Smukła Trzcina chciała wyruszyć jeszcze w nocy w dalszą drogę, lecz Bill Hickock i Nick Wharton wyperswadowali jej to. Konie i ludzie potrzebowali odpoczynku.

Z nadejściem świtu ruszono w dalszą drogę. Po kilku godzinach jazdy straż przednia dała znać, że w okolicy ukazali się jacyś jeźdźcy. Oddział nasz posuwał się teraz z największą ostrożnością, nie chcąc natknąć się na wroga.

Wkrótce wywiadowcy zameldowali, że jeźdźcy są już bardzo blisko. Byli to Dakotowie, którzy myszkowali po prerii w poszukiwaniu taborów białych osadników, które były nielada kąskiem dla czerwonoskórych łupieżców.

Spotkanie oddziału Smukłej Trzciny z oddziałem dakotyjskich jeźdźców było nieuniknione. Należało przygotować się do walki.

Wojownicy czejeńscy poprawili popręgi u siodła oraz przygotowali noże i tomahawki. Biali sprawdzili swe karabiny. Po chwili zjawili się wszyscy czterej wywiadowcy. Objasnili oni, że oddział Dakotów, w sile około dwustu ludzi, znajduje się w odległości niespełna mili od orszaku Smukłej Trzciny. Wkrótce na horyzoncie ukazały się sylwetki wrogich wojowników. Na czele nieprzyjacielskiego oddziału kłusował potężny wojownik, w którego dłoni połyskiwał obnażony tomahawk.

Dakotowie rzucili się natychmiast do ataku, rozpoznawszy z daleka barwy wojenne Czejenów.

Przywództwo nad wojownikami Smukłej Trzciny objął Dzikie Bill. Był on doświadczonym „rycerzem stepu” i przemyślnie zarządził obronę. Na jego rozkaz Indianie zsiadli z koni, które wytresowane specjalnie położyły się wśród trawy, a wojownicy, ukryci za tym żywym murem, oczekiwali z napiętymi łukami na przeciwnika.

Dakotowie nadjechali w szalonym pędzie wśród dzikich okrzyków wojennych. Powitał ich grad strzał wojowników czejeńskich. Kilku Indian z plemienia Dakota zważyło się z koni, które bez jeźdźców uszły w step.

Nieprzyjaciel cofnął się na pewien czas, aby potem ze zdwojoną energią ruszyć do ataku.

Teraz odezwały się karabiny Nicka Whartona i Dzikiego Billa. Biali strzelali szybko i celnie, a ich broń palna czyniła wśród nieprzyjaciół większe spustoszenie niż łuki czerwonoskórych.

Dakotowie cofnęli się jeszcze raz. Dłuższą chwilę powstrzymywali się od działania, naradzając się widocznie nad sytuacją. Wreszcie po raz trzeci rozległ się ich okrzyk wojenny. Ruszyli teraz do natarcia ukryci pod brzuchami koni, aby uniknąć dziesiątkujących ich strzałów. Manewr ten, stosowany nader często przez Indian, niewiele im pomógł. Kule i strzały raziły teraz wierzchowce, które, padając, przygniatały swym ciężarem jeźdźców.

Po odparciu trzeciego ataku Dzikie Bill dał sygnał do przeciwnatarcia. Wojownicy czejeńscy w mgnieniu oka znaleźli się na siodłach i z dzikim okrzykiem rzucili się w ślad za ustępującym wrogiem. Rozpoczęła się walka na białą broń. Topory wojenne i noże błyskały w świetle słońca, słychać było przeraźliwe wrzaski trwogi Dakotów i okrzyki zwycięstwa Czejenów.

Po upływie pół godziny walka była definitywnie zakończona. Zwycięstwo oddziału Smukłej Trzciny było bezapelacyjne.

Bill Hickock zabronił wojownikom ścigania niedobitków. Nie było na to czasu. Po krótkim wypoczynku oddział ruszył w dalszą drogę.

W świętej grocie

Samotny Niedźwiedź był mistrzem w podchodach. Wiedział on, że obozu Dakotów strzegą liczne czaty, krył się więc przemyślnie w wysokiej trawie. Pozostawił Cody'emu swą fuzję, która mogłaby mu krępować swobodę ruchu, a pozostawił sobie tylko rewolwer.

Niezuważony dotarł do lasku, skąd tylko kilkaset metrów dzieliło go od wzgórz, wśród których ukryta była święta grotka. Korzystając z licznych zagłębień terenu, zaczął ostrożnie posuwać się naprzód.

Nagle poczuł, jak gdyby silny podmuch wiatru tuż obok ucha i spostrzegł strzałę, która utkwiała nieopodal w ziemi. Odwrócił się ze sprężystością pantery i ujrzał dwoje płonących oczu, wpatrzonych w niego z nienawiścią.

Niedaleko czał się w trawie wojownik dakotyjski. Zanim Samotny Niedźwiedź zdołał się zorientować, świsnęła druga strzała, która utkwiała tuż obok niego. Wojownik znów napiął łuk, szykując się do następnego strzału.

Samotny Niedźwiedź nie czekał dłużej. Jego myśliwski nóż zatoczył błyszczący łuk i po chwili rozległ się bolesny okrzyk śmiertelnie ugodzonego wartownika Dakotów.

Samotny Niedźwiedź zbliżył się do pokonanego wroga. Wartownik dakotyjski leżał nieruchomo. Nóż wodza Czejenów-Niedźwiedzi przebił serce wroga. Młody przywódca rozejrzał się uważnie na wszystkie strony i stwierdził, że w okolicy nie było innych straży. Mógł więc swobodnie się poruszać.

Wódz Czejenów rzucił jeszcze raz okiem na plan i ruszył naprzód. Szczęśliwie dotarł do wzgórz. Znalazł się przed wąską gardzielą skalną, która według planu prowadzić miała do grotki. Indianin wpłynął w wąwóz i po chwili ogarnęły go ciemności. Korytarz rozszerzał się stopniowo, aż w końcu Samotny Niedźwiedź poczuł, że otacza go wolna przestrzeń. Zapalił łuczywo, które zabrał ze sobą i ujrzał w jego wątłym świetle ogromne stalaktyty, zwieszające się z sufitu świętej grotki.

Śmiało skierował się w głąb jaskini. Pośrodku wznosiło się podwyższenie, na którym spoczywały szkielety wodzów plemienia Dakota. Widok ten zmroził krew w żyłach Samotnego Niedźwiedzia, który nigdy dotąd nie zaznał uczucia trwogi.

Lecz rychło prawdziwe niebezpieczeństwo kazało mu zapomnieć o niesamowitym widoku. Nieoczekiwany hałas dał się słyszeć z głębi jaskini. Indianin natychmiast odzyskał zimną krew i przytomność umysłu. Zbliżył się szybko do wzniesienia. Przecucie nie omyliło go. Wśród prochów wodzów leżał święty bęben. Samotny Niedźwiedź chwycił go i rozejrzał się za miejscem schronienia.

Z głębi grotki dobiegł go straszliwy krzyk wojenny Dakotów.

Samotny Niedźwiedź zgasił łuczywo i pociemku cofnął się w kierunku wyjścia, prześlizgując się bezszelestnie obok ścian. Zmylił jednak drogę w ciemnościach, ukrył się więc ze swą zdobyczą pod wielką skałą.

Płomień pochodni oświetlił tymczasem grotę, a w jego świetle zarysowały się postacie Dakotów. Wrzask trwogi i wściekłości dobiegł uszu młodzieńca. Dakotowie spostrzegli brak talizmanu.

Skała kryła dobrze Samotnego Niedźwiedzia, gdyż nie dopuszczała do jego kryjówki światła pochodni. Gdy Dakotowie oddalili się nieco od wodza Czejenów, przeszukując grotę, zaczął on znów szukać wyjścia. W pewnej chwili poczuł podmuch świeżego powietrza. Zdawało mu się, że jest ocalony. Ostrożnie wpełznął w korytarz, gdy nagle stopa jego poślizgnęła się na gładkiej skale i młody wódz runął na ziemię. Bęben uderzył o skały ze straszliwym hałasem, który, zwielokrotniony przez echo, rozniósł się po wszystkich zakątkach jaskini. Samotnemu Niedźwiedziowi pozostawało tylko jedno wyjście, walka.

Chyboczące światło pochodni zbliżało się szybko, a po chwili ukazała się postać kapłana Dakotów. Samotny Niedźwiedź nie miał nic do stracenia. Wydobyl zza pasa rewolwer i strzelił prosto w twarz kapłanowi. Niestety, proch był widocznie wilgotny i zamiast strzału dał się słyszeć tylko suchy trzask spuszczonego kurka.

Kapłan wydał okrzyk szatańskiej radości i zaatakował śmiało wodza Czejenów. Ten, nie rozporządzając inną bronią, z całej siły ugodził kapłana rękojęcią swego ciężkiego colta.

Kapłan runął na ziemię jak podcięte drzewo. Samotny Niedźwiedź zabrał mu tomahawk. Był teraz uzbrojony i gotował się do ostatecznej rozprawy z nadciągającą hordą prześladowców.

Samotny Niedźwiedź, pozostawiawszy nieprzytomnego przeciwnika na placu boju, cofnął się szybko ku wyjściu. Za sobą słyszał już głosy nadbiegających wrogów.

Gdy wojownicy Dakota dostrzegli naszego bohatera, ten zatrzymał się i, oparty o ścianę skalną, z tomahawkiem w dłoni oczekiwał znaku. Dakotowie zatrzymali się na chwilę, zdumieni i zaskoczeni dzielną postawą młodzieńca, lecz wkrótce rzucili się do ataku. Topór wojenny wodza Czejenów poruszał się w jego pewnej dłoni z szybkością błyskawicy. Już po pierwszym ataku dwóch wojowników musiało wycofać się z pola walki, brocząc obficie krwią. Reszta, w liczbie pięciu, rzuciła się na Samotnego Niedźwiedzia ze zdwojoną zaciekłością. Młody wódz oparty o ścianę nie dopuszczał do siebie prześladowców na odległość ramienia uzbrojonego w tomahawk. Po chwili najzacieklejszy z przeciwników runął na ziemię z rozpiętą czaszką. Jeszcze jeden potężny cios i oto trzech tylko wojowników dakotyjskich pozostało z nacierającej grupy. Dakotów ogarnęło przerażenie. Sądziło, że Czejenowi przysły z pomocą duchy górskie, które kierują jego ramię i tomahawk. Zawahali się więc i cofnęli w głąb jaskini, aby sprowadzić pomoc. Samotny Niedźwiedź miał więc znów wolną drogę przed sobą i ponownie nabrał otuchy. Rzucił się ku upragnionemu wyjściu z jaskini.

Wreszcie wydostał się na światło dzienne, lecz znajdował się na wąskiej ścieżce nad brzegiem skalistej przepaści. Grota miała widocznie wiele wyjść i Samotny Niedźwiedź natrafił na jedno z nich, prowadzące wprost ku przepaści.

Młody wódz zdecydował, że lepiej zginąć w otchłani, zabierając ze sobą święty bęben Dakotów, niż dostać się do niewoli wroga. Z nadludzką odwagą jednym skokiem rzucił się w skalistą przepaść. Dzielny młodzieniec zatrzymał się jednak na jednym z występów skalnych, po których toczył się w dół, zaś święty bęben Dakotów runął z ogłuszającym łoskotem w bezdenną otchłań. Samotny Niedźwiedź osiągnął swój cel. Dakotowie stracili swój talizman.

Wódz Czejenów leżał bez przytomności na występie skalnym, wydany na pastwę zemsty Dakotów. Kilku wojowników, znających dobrze drogi wśród skał, dotarło do zemdlonego wroga i po godzinie cały obóz Dakotów rozbrzmiewał dziką radością z powodu pojmania wodza Czejenów.

Poświęcenie Buffalo Billa

Podczas gdy w świętej grocie rozgrywały się te dramatyczne wydarzenia, Buffalo Bill, w oczekiwaniu na swego czerwonoskórego przyjaciela, był pełen niepokoju.

Następnego ranka postanowił działać. Pozostawiwszy spętane konie w stepie, zaczął skradać się w kierunku obozu Dakotów. Po pewnym czasie osiągnął szczyt niewielkiej wyniosłości zwanej Wzgórzem Kojotów. Stąd mógł dokładnie obserwować działania wrogów. Spostrzegł, że cały obóz przygotowuje się do wielkiej uroczystości. Kilku młodych wojowników zajętych było wbijaniem w ziemię wielkiego słupa.

Dreszcz zgrozy przeniknął Cody'ego, ponieważ przygotowywano „pał męczarni”.

Wkrótce tłum wojowników, kobiet i dzieci zebrał się wokół słupa i dały się słyszeć niecierpliwe okrzyki. Tłuszcza dzikich żądała krwawego widowiska.

Wojownicy podprowadzili do słupa swą ofiarę. Był nią Samotny Niedźwiedź...

Szlachetne serce wielkiego wywiadowcy ścisnęło się z bólu na widok przyjaciela, przywiązanego do „pała męczarni”.

— Czekaj, przyjacielu — rzekł Buffalo Bill do siebie. — Sądzę, że Dakotowie będą woleli na mnie wypróbować swe diabelskie sztuczki.

To rzekłszy, zerwał się na równe nogi i, porzucając wszelkie środki ostrożności, puścił się biegiem do obozu wrogów.

Uwaga Indian tak była zaabsorbowana jeńcem, że nikt nie zauważył nadejścia białego bohatera. Gdy Buffalo zjawił się wśród Dakotów, dzicy byli zdumieni i przerażeni jego widokiem.

Jeden tylko Biały Wilk, zdrajca znajdujący się w obozie Dakotów, poznał swego śmiertelnego wroga i rzucił się na niego z nożem w dłoni. Powstrzymała go jednak silna dłoń wodza plemienia, który następnie zwrócił się do Billa:

— Z czym przybył Wódz o Długich Włosach do obozu swych wrogów?

Cody, dzierżąc w każdej dłoni gotowy do strzału rewolwer, odparł z wyszukaną grzecznością:

— Witaj, Żelazna Ręko! Spotykaliśmy się dotąd tylko na ścieżce wojennej, lecz znamy się dobrze nawzajem. Oto moje dwa rewolwery, każda kula równa się śmierci jednego z twoich wojowników. Ostatnia pozostanie dla mnie, a przedostatnią poświęcę memu przyjacielowi, Samotnemu Niedźwiedziowi.

Czyż nie chcielibyście, o wojownicy, ujrzeć przy „palu męczarni” waszego największego wroga, Wodza o Długich Włosach?

— Biały wódz rzekł! — odparł Żelazna Ręka. — Nikt nie wytępił tylu wojowników Dakota, co ty!

— Dobrze — rzekł Cody — więc oddam się w wasze ręce w zamian za życie mego czerwonego brata!

Propozycja ta wprawiła w zdumienie wojowników. Ich dzikie serca przejęte były wielkością poświęcenia białego.

Po chwili milczenia rzekł Żelazna Ręka:

— Jesteś największym wojownikiem, jakiego znam! Przyjmuję twą propozycję.

Bufallo Bill bez słowa odrzucił broń i pozwolił się skępować. Samotny Niedźwiedź usiłował protestować, lecz układ był już zawarty. Dwóch wojowników odwiązało go od pala i zaprowadziło na prerię, poza obręb obozu.

Król Granicy stał oto przywiązany do „pala męczarni”. Dokoła narzędzia tortur ułożono kilka stosów drewna, a największy umieszczono tuż u stóp Bufallo Billa.

Wojownicy zapalili drewno i gryzący dym zaczął ogarniać Cody’ego. Płomienie ślizgały się po jego wysokich butach, kurtka z jeleniej skóry zaczęła się tlić, lecz twarz bohatera nie zdradzała strachu ani bólu. Z ust jego nie wydarło się ani jedno westchnienie, ani jeden okrzyk bólu.

Na widok tak niezwyklej wytrzymałości i odwagi Żelazna Ręka zbliżył się do pala i zamierzał zapalić stos, znajdujący się u stóp bohatera. W chwili, gdy wyciągał rękę z pochodnią, rozległ się nagle strzał i wódz runął martwy u stóp swej ofiary.

Okrzyki wściekłości oraz przerażenia rozległy się wśród Dakotów i w tej samej chwili Czejenowie wtargnęli do ich obozu. Na czele wojowników kroczyła Smukła Trzcina w towarzystwie Czerwonego Noża, Nicka Whartona i Billa Hickocka, którego celny strzał powalił wodza Dakotów.

Walka była krótka, lecz krwawa.

Dakotowie, nieprzygotowani na atak, stracili głowę i rozbiegli się w nieładzie po prerii, ścigani i tępieni przez Czejenów.

Nick Wharton i Dziki Bill oswobodzili Cody’ego i natychmiast rzucili się w wir walki.

Tymczasem, wśród ogólnego zamieszania, Biały Wilk podkraść się do wycieńczonego torturą ognia wywiadowcy, chcąc na nim wyrzucić zemstę.

Nie uszło to jednak uwagi starego Nicka. Jeden strzał z rewolweru wystarczył, aby posłać nikczemnego zdrajcę w zaświaty.

Walka była skończona.

Jakie były dalsze losy naszych bohaterów?

Samotny Niedźwiedź, wyleczywszy się z ran odniesionych podczas wyprawy do groty, poślubił Smukłą Trzcinę.

Przedtem jednak królowa zwołała Radę, która miała zaakceptować to małżeństwo. Rada uznała młodego wodza za najdzielniejszego spośród wojowników i nic nie stało na przeszkodzie szczęściu młodej pary.

Lecz Smukła Trzcina przypomniła sobie, że obiecała swą rękę temu, kto uśmierci Białego Wilka. Poczciwy, stary Nick Wharton miał ogromny kłopot, by jej wytłumaczyć, że daleki jest od zamiarów matrymonialnych. Wreszcie Bufallo Bill wybawił przyjaciela z opresji, ogłaszając wszem i wobec, że Nick... posiada pięć żon.

Aby uczcić wielkie zwycięstwo nad Dakotami oraz zaślubiny Smukłej Trzcin i Samotnego Niedźwiedzia, plemię Czejenów urządziło wspólną uroczystość.

Rankiem wojownicy przygotowali swe rumaki i przed tłumnie zgromadzoną ludnością całej wioski rozpoczęli popisy. Indianie słyną jako niezrównani jeźdźcy, toteż było na co patrzeć. Jeźdźcy czejeńscy tworzyli z końmi jakby jedną całość, czuli się na siodle tak pewnie jak w wygodnym fotelu.

Jeden z wojowników popisywał się jazdą na kilku koniach od razu w pozycji stojącej. Skakał z niezwykłą zręcznością z jednego wierzchowca na drugiego, ani razu nie tracąc równowagi.

Popisy te wzbudzały hałaśliwy zachwyt, a Buffalo Bill, Nick Wharton i Dzik Bill przypatrywali się im ze zrozumiałym zainteresowaniem, byli bowiem sami wyborowymi jeźdźcami.

Potem nastąpiło ujeżdżanie dzikich mustangów. Zaszedł tu wypadek, który ogromnie podniósł znaczenie starego Nicka w oczach wojowników czejeńskich. Oto jeden z mustangów zrzucał wszystkich śmiazków, usiłujących go dosiąść. Najdzielniejsi jeźdźcy plemienia nie mogli mu dać rady.

Wystąpił wtedy stary Nick Wharton. Z zadziwiającą jak na jego wiek zręcznością i lekkością skoczył na grzbiet krnąbrnego zwierzęcia i po chwili cwałował po stepie.

Mustang szarpał się na wszystkie strony, usiłując zrzucić jeźdźcę, lecz starzec siedział w siodle jak przyrośnięty i wkrótce koń był zupełnie obłaskawiony.

Następnie wojownicy odtanńczyli przy ognisku szereg tańców, naśladując wybornie ruchy zwierząt i ptaków, a wreszcie odbyły się zapasy, które przeciągnęły się do późnego wieczoru.

Plemię Czejenów cieszyło się ze zwycięstwa.

Bufallo Bill i jego dwaj dzielni towarzysze wypoczywali jeszcze przez kilka tygodni w obozie Czejenów, a potem ruszyli w dalszą drogę po prerii.

Znów odezwał się w ich sercach zew stepu i żądza przygód...

KONIEC

KRWAWY SOBOWTÓR.



1. Ucieczka z galer.

— Rocambol, wszystko przygotowane. Dziś o pierwszej w nocy uciekamy.

— Wiesz, Jean, nie mam najmniejszej ochoty do ucieczki.

— Co?... Po tylu trudach, kiedy trzeba tylko odgiąć kraty, by być na wolności, ty się cofasz!...

— Jean! Czy ty wiesz, co to jest przez trzy lata wieść żywot galernika, przykutego w dzień do taczki, któremu tylko w nocy pozwalają swobodnie wyciągnąć strudzone członki!

— Ha... ha... ha.... — zaśmiał się Jean, — Rocambolu, więc zaniechasz zemsty nad swym śmiertelnym wrogiem, dzięki któremu zostałeś niewinnie oskarżony i skazany na piętnaście lat ciężkich robót?

Rocambol, klasycznie zbudowany mężczyzna, lat około trzydziestu, wzdrygnął się, jakby go żmija ukąsiła i złowrogo zabłyśły mu oczy.

— Masz słuszność Jean! — odparł po chwili. Ja muszę być na wolności, muszę się krwawo zemścić

Rocambol

herszt Czarnej Ręki

Zeszyt 1

Krwawy Sobowtór

Zeszyt 5

Noc w podziemiach



1924

Rocambol był szlachetnym awanturnikiem i przestępcą o nadludzkich właściwościach, „słynnym transformistą” (mistrzem przebieranek), a zdaniem niektórych, pierwszym superbohaterem kultury popularnej. Za jego postacią stał Pierre Alexis Wicehrabia Ponsondu Terrail (1829—1871), francuski autor powieści grozowych. Wicehrabia zaczął swoją karierę literacką od powieści gotyckich o wampirach, wydał też cykl historyczno-przygodowy o Henryku Burbonie i około siedemdziesięciu innych dzieł (pisał szybko), ale popularność przyniósł mu utwór *L’Héritage Mystérieux*, drukowany w odcinkach w 1857 roku w dzienniku „La Patrie”. Była to pierwsza z dziewięciu książek o Rocambolu. Całą serię pod wspólnym tytułem *Les Drames de Paris* pisarz ciągnął przez dalszych trzynaście lat, prawie do swojej śmierci.

Les Drames de Paris miały być odpowiedzią na wydane w 1843 roku *Tajemnice Paryża* Eugeniusza Sue, które zresztą doczekały się całej masy naśladownictw. Wspólny jest tu nie tylko Paryż jako miejsce akcji — miasto pełne kontrastów, pokazywane na pograniczu przybytków przepychu i świata przestępczego — ale i pełna nagłych zwrotów fabuła. Porwania, pościgi, pojedynki, tajemnicze listy, przebieranki, ukrywane tożsamości, rozpoznania, zaginione

skarby — wszystko to należy do klasyki powieści tajemnic, ale w prozie Pierre’a Ponsonadu Terrail akcja toczy się jeszcze szybciej niż u Sue, często bez większej dbałości o prawdopodobieństwo. Intensywność wydarzeń przestania często charakterystykę postaci, Francuzi ukuli nawet termin *rocambolique* („rokamboliczny”) na określenie fantastycznych przygód o zawrotnej dynamice.

Sam Rocambol miał być odpowiednikiem Rudolfa de Gerolsteina z *Tajemnic Paryża* — księcia, który pod robotniczym przebraniem pomagał biedakom. Można się w nim także dopatrzyć analogii do Jeana Valjeana z *Nędzników* Wiktora Hugo — obaj byli więzieni w Tulonie, obaj też porzucili drogę przestępstwa. Bohater jest sierotą wychowaną przez chciwą, starą właścicielkę szynku, w którym spotykają się typy spod ciemnej gwiazdy. Poznajemy go jako nastoletniego przestępcę, obdarzonego urodą, sprytem i licznymi talentami, ale pozbawionego sumienia. W pogoni za zyskiem młodzieniec nie tylko kradnie i morduje, ale i zdradza (na przykład swojego protektora i wychowawcę, sir Williamsa), wreszcie gołymi rękoma dusi przybraną matkę. Zostaje rozpoznany przez swą dawną przeciwniczkę, kurtyzanę Baccarat, która nakazuje oblać mu twarz kwasem i wtrąca do

lochu. Po dziesięciu latach bohater ucieka wreszcie z tulońskiej twierdzy i przeżywa nawrócenie — wraz z wiernymi pomocnikami nadal działa z zaskoczenia, ale już jako bohater pozytywny. Broni osieroconych dziewcząt, rozpracowuje przestępców, wyprawia się nawet do Indii, gdzie ratuje ofiary porywane do świątyni Kali. Trafia powtórnie do więzienia, gdzie przygotowuje nowy plan. Spotyka na swej drodze licznych wrogów, a córkę jednego z nich, piękną Miss Ellen, w końcu poślubia...

Przypominane tu apokryficzne przygody Rocambola, mocno uwspółcześnione, jeśli chodzi o realia (tango, aeroplan i inne rekwizyty epoki), ukazały się w 1924 roku w warszawskim Wydawnictwie Romi (R. Olesiński, W. Merkel i S-ka). Wydano co najmniej siedemnaście zeszytów (m.in. *Rocambol contra Sherlock Holmes* oraz *Warszawski bogacz w mocy Rocambola*). Związek z oryginalną historią Rocambola jest luźny — pozostaje przede wszystkim wzorcową postać, mistrz charakteryzacji i nieulękły demaskator, niepokonany w walce wręcz, szarmancki, działający w słusznej sprawie, zawsze nadludzkim wysiłkiem wydostający się z opresji. W tej wersji Rocambol jest znanym paryskim aktorem-transformistą, nieuczciwie skazanym za śmierć swojej ukochanej. Udaje mu się zbiec

i stanąć na czele organizacji „Czarna Ręka”, która na swoich wizytówkach i listach zamiast pieczętki zostawia czarny odcisk dłoni. Rocambol jest nieoficjalnym stróżem prawa, przywraca ład na własną rękę, skoro ani na prokuratora, ani na ministra sprawiedliwości (jak czytamy w *Krwawym sobowtórze*) nie można liczyć. W ten sposób mści się za swoje niesłuszne skazanie. Jak przystało na opowieść rokamboliczną, nagromadzenie atrakcji tworzy efekt komiczny, jak w scenie z *Nocy w podziemiach*, gdy bohatera tonącego wraz z ratowaną damą w piwnicy atakuje krokodyl...

Justyna Jaworska

Rocambol — herszt Czarnej Ręki.
Zeszyt 1: *Krwawy sobowtór*. Zeszyt 2:
Noc w podziemiach. Wyd. „Romi”.
Druk. R. Olesiński, W. Merkel i S-ka;
Akademicka, Warszawa 1924.

1. Ucieczka z galer

— Rocambolu, wszystko przygotowane. Dziś o pierwszej w nocy uciekamy.

— Wiesz, Jean, nie mam najmniejszej ochoty na ucieczkę.

— Co?! Po tylu trudach, kiedy trzeba tylko odgiąć kraty, by być na wolności, ty się cofasz?!

— Jean! Czy ty wiesz, jak to jest, przez trzy lata wieść żywot galernika, przykutego w dzień do taczki, któremu tylko w nocy pozwalają swobodnie wyciągnąć strudzone członki?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Jean. — Rocambolu, więc zaniechasz zemsty nad swym śmiertelnym wrogiem, dzięki któremu zostałeś niewinnie oskarżony i skazany na piętnaście lat ciężkich robót?

Rocambol, klasycznie zbudowany mężczyzna, lat około trzydziestu, wzdrzgnął się, jakby go żmija ukąsiła i złowrogo zabłysły mu oczy.

— Masz słuszność Jean! — odparł po chwili. — Ja muszę być na wolności, muszę się krwawo zemścić na tym łotrze, który zamordował Elwirę Ericson. Tak, dosyć nacierpiałem się niewinnie. Postaram się sprowadzić go na moje miejsce. À propos, mówiłeś Jean, że wszystko przygotowane. Czy tak?

— Rozumie się i to jak najlepiej. Kraty piłowałem całymi nocami przez sześć miesięcy kawałkiem stali, który nieznacznie oderwałem od jednej taczki. Odegniemy kraty i po kolei zsuniemy się cicho w wodę. Będziemy musieli płynąć jakieś dwa kilometry do dzikiego wybrzeża. Cicho. Dozorca idzie.

Obaj zaczęli przyspieszonym tempem rozbijać oskardami ziemię.

Do wieczora nie zamienili ze sobą ani słowa.

Była godzina dziewiąta wieczorem.

Południowe słońce, które cały dzień niemiłosiernie paliło, zachodziło teraz, rzucając krwawe blaski na zatokę.

Dozorcy gwizdkami oznajmiali galernikom, by, jak zwykle z kajdanami u nóg, szli do swych cel.

Tam dopiero uwalniano więźniów od ciężkich okowów.

Rocambol z Jeanem mieli wspólną celę.

Gdy na korytarzu uciły kroki dozorców, Jean odezwał się do towarzysza:

— Wszystko idzie pomyślnie, teraz tylko czekajmy ciemnej nocy.

— O, chciałbym już być w Paryżu i stanąć oko w oko z tym nędznikiem.

— Pomału, Rocambolu, będziesz i w Paryżu — odparł Jean, leżąc na narach. — Grunt, żeby nam się ucieczka udała, reszta to głupstwo.

Noc powoli otuliła ziemię gęstym mrokiem.

W celi więźniów zaległa cisza.

Po upływie trzech godzin, które dla Rocambola zdawały się być wiekiem, w głównym korytarzu więziennym zegar wybił dwanaście uderzeń.

— Jeszcze godzina — szepnął Jean.

Upłynął wyznaczony czas.

— No, pora wziąć się do roboty — szepnął Jean do Rocambola, zrzucając więzienne ubranie.

Rocambol, nie odpowiadając nic, zrzucił też swoje ubranie. Pozostali tylko w białiznie.

Po chwili usunięto kraty. Jean wskoczył na okno i zsunął się w wodę.

Noc była ciemna. Jean płynął bez szelestu. Czuł, że Rocambol podąża za nim.

Płynęli tak godzinę.

Rocambol zauważył, że ruchy towarzysza stają się powolniejsze. Jean opadał z sił i, upłynawszy jeszcze ze sto metrów, zanurzył się w wodę.

Nasz bohater, widząc, jak kompan znikł pod falami, dał nurka i po chwili wypłynął z nim na powierzchnię morza.

— Zostaw mnie, ratuj się sam, Rocambolu — wyszeptał Jean.

— Jak zginiemy, to razem — odpowiedział drugi uciekinier, podtrzymując jedną ręką omdlałego towarzysza.

Płynął teraz, pracując jedną ręką.

Po kilkunastu minutach Rocambola też siły zaczęły opuszczać, lecz nie wypuszczał z ręki Jeana. Po chwili wraz z nim zanurzył się w wodę.

Do brzegu było jeszcze pół kilometra.

Cofnijmy się teraz trzy lata wstecz.

Sala Najwyższego Trybunału w Paryżu była przepełniona. Mężczyźni przyszli wysłuchać obrad w sprawie zamordowanej artystki, olśniewającej piękności z *Le Chat Noir*: Elwiry Ericson. Kobiety zaś przyszły, by ujrzeć mordercę.

Gwar na sali był niezwykle.

Cały Paryż uwielbiał Elwirę Ericson, primadonnę operetki. Młodzież szalała za nią. Po każdym akcie obsypywano ją mnóstwem kwiatów. Głowy hrabiowskie, znakomości Paryża, olbrzymie fortuny korczyły się przed nią. Kobiety zazdrościły jej piękności i powodzenia.

Lecz Elwira Ericson była nieprzystępna. Do jej prywatnego mieszkania miał prawo wstępu tylko jeden zdolny aktor, André Rocambol.

Chociaż Rocambol miał nie mniej wielbicieli niż Elwira Ericson wielbicieli, to stawiał ponad wszystkie kobiety artystkę.

Zapalonym wielbicielem Elwiry był prokurator Sądu Najwyższego, Edmund Cocin, który nienawidził Rocambola jako swego rywala.

Powoli Paryż przyzwyczał się do oglądania artystki tylko ze znanym aktorem.

Pewnego dnia służąca, powróciwszy z miasta, zastała trupa Elwiry.

Wiść ta z szybkością błyskawicy obiegła Paryż.

Tłumy ludzi zbiegły się pod mieszkanie zamordowanej.

Nieopisane zdumienie wstrząsnęło tłumami, bo prymitywne śledztwo wskazało Rocambola jako mordercę.

Toteż nic dziwnego, że taka moc ludzi przybyła na obrady sądowe w sprawie zamordowanej Elwiry Ericson.

Kiedy obecni poczęli wyrażać swą niecierpliwość tupaniem, wszedł woźny, oznajmiając urzędowym głosem:

— Sąd idzie. Wstać.

Po tych słowach, jak za pociągnięciem czarodziejską różdżką, w sali zapanowała głęboka cisza.

Wszedł przewodniczący w otoczeniu przysięgłych.

Po chwili czterech policjanci wprowadzili Rocambola, sadzając go na ławie oskarżonych. Wszystkie kobiety skierowały nań swój wzrok.

Aktor był błydy, lecz piękny. Damy nie mogły oderwać oczu od jego posągowej postaci i pełnej sentymentu twarzy.

Oskarżał prokurator Cocin.

W dość długim przemówieniu obwinił Rocambola o morderstwo połączone z rabunkiem biżuterii. Oskarżenie swe opierał na sztylcie znalezionym w mieszkaniu pozwanego i jego ucieczce z Paryża.

Następnie przewodniczący przesłuchiwał świadków.

Na sali panowała grobowa cisza.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy? — zapytał przewodniczący Rocambola.

— Nie! Do rzeczy niepopołnionej nie mogę się przyznać. Jestem niewinny — odpowiedział spokojnym, dźwięcznym głosem aktor.

— A co powie oskarżony w kwestii znalezionego w materacu zakrwawionego sztyletu? — pytał przewodniczący.

— Żadnego sztyletu nie posiadałem. Podrzucił ktoś. Dla wielu byłem rywalem!

— A dlaczego oskarżony uciekł z Paryża?

— Z Paryża nic uciekałem. Jechałem do Reims, gdzie zostałem zaangażowany na występy — odparł Rocambol. — Zresztą, po co to wszystko? Wszak dozorca domu, w którym mieszkała zamordowana, zeznał, iż tego dnia, na godzinę przed wykryciem zbrodni, widział szybko wychodzącego z bramy pana prokuratora Cocin.

— Szaleńcze! — krzyknął przewodniczący. — Prokurator Cocin zbrodniarzem! Ale nie udało się tobie sławny transformisto. Ucharakteryzowałeś się na pana prokuratora Cocin'a i ciebie to widział dozorca. Wspomnianej osoby nie było tego dnia w Paryżu.

Po tych słowach przewodniczącego sąd udał się na naradę.
Aktor zbladł. Był zgubiony.
Po upływie półgodziny sąd wrócił, uznając Rocambola winnym morderstwa, popełnionego na osobie Elwiry Ericson.
Odczytano wyrok.
Rocambol został skazany na piętnaście lat ciężkich robót.
W taki to sposób nasz bohater dostał się na galery, skąd po trzech latach, za namową Jeana, spróbował ucieczki.

Kiedy Rocambol wraz z Jeanem zanurzył się w wodę, całą resztką sił starał się wydostać na wierzch i wypłynąłby, lecz towarzysz pociągnął go na dno.

Znalazłszy się na dnie, nasz bohater odbił się i, nie wypuszczając z objęć Jeana, począł szybko iść w górę.

Dotkliwy ból otrzeźwił zupełnie byłego aktora, gdyż uderzył głową o coś twardego.

W odległości kilometra od brzegu, do którego płynął z Jeanem Rocambol, zatrzymał się okręt korsarski. Szalupa z tego statku płynęła do brzegu, by ukryć zrabowane rzeczy. O dno tej jednostki uderzył się głową były aktor.

Nasz bohater, wypłynąwszy na powierzchnię, otworzył oczy i zobaczył o parę metrów od siebie oddalającą się łódź.

— Ludzie, ratujcie! — krzyknął.

Siedzący w łodzi usłyszeli krzyk. Szalupa zatrzymała się.

Po chwili Rocambol z Jeanem zostali wciągnięci do łódki. Byli uratowani.

— Uciekliście z galer, podoba mi się wasza odwaga — rzekł kapitan korsarskiego okrętu do wyratowanych. — Potrzeba mi odważnych ludzi. O ile chcecie, mogę was przyjąć.

Rocambol z Jeanem nie słyszeli słów kapitana. Wyciągnięci z wody stracili przytomność i leżeli w łodzi jak kłody.

Zaczynało świtać.

Rocambol oprzytomniał, lecz nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Obok niego leżał Jean w dalszym ciągu bez przytomności. Nasz bohater począł go szarpać za ramię.

— Jean, gdzie jesteście? — pytał, kiedy towarzysz otworzył oczy.

Były aktor, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, powstał i, chwytając się na nogach, począł posuwać się przy ścianie. Doszedł do drzwi i nacisnął klamkę.

Otworzywszy drzwi, cofnął się z powrotem, zasłaniając sobie oczy, oślepiony światłem słonecznego dnia. Kiedy przyzwyczaił wzrok do jasności, zobaczył uwijających się marynarzy na pokładzie. Zrozumiał, że był na jakimś okręcie.

— Nareszcie zuchu przyszedłeś do siebie — rzekł kapitan korsarskiego statku.
— Ładnych parę dni miałem z tobą kłopot. Myślałem, że cię gorączka zabije.
— Dajcie mi jeść! — rzekł na to Rocambol.

Minęło kilka dni.

Uciekinierzy pracowali wraz z marynarzami. Władze morskie były alarmowane o tajemniczym ginięciu statków. Skonstatowano, iż łodzie kupieckie były rozbijane i rabowane przez korsarzy pod dowództwem wytrawnego wilka morskiego znanego pod pseudonimem „Czarnej Ręki”.

Na schwytanie piratów wysłano trzy pancerne, wojenne statki pod dowództwem admirała.

Rocambol z Jeanem dostali się właśnie na ów poszukiwany korsarski okręt.

I tak przez trzy miesiące pływali nasi bohaterowie po różnych morzach, rozbijając małe kupieckie statki. Były aktor stale myślał o ucieczce z korsarskiego okrętu.

Jednego dnia statek zatrzymał się w pobliżu Wysp Kanaryjskich.

Noc była ciemna i mglista.

Rano cała załoga została zelektryzowana krzykiem dyżurnego marynarza:

— Flota wojenna, jesteście otoczeni!

Przestraszeni owładnięci korsarzami. Bezradnie skupili się koło dowódcy, czekając na jego rozkazy.

Dowódca korsarzy, który już nieraz zaglądał śmierci w oczy, spokojnie począł badać sytuację.

Trzy pancerne statki, z działami wymierzonymi w stronę pirackiego okrętu, stały w pobliżu.

— Chłopczy! — rzekł dowódca korsarzy. — Nie z jednej opresji wychodziliśmy cało. Ale dziś przepadliśmy. Ani ja swym rozumem, ani wy swą odwagą i walecznością nic nie poradzimy. Jak kto może, niech się ratuje. Do lądu jest niedaleko.

Wypowiedziawszy to, dowódca pirackiego statku skoczył z pokładu w morze, a za nim kilku korsarzy.

Mieli oni zamiar dopłynąć do lądu Wysp Kanaryjskich.

Zaledwie jednak dowódca korsarzy upłynął kilkanaście metrów, krzyknął przeraźliwie i skrył się pod wodę, która się zaczerwieniła. Został porwany przez rekina. Osoby płynące za kapitanem widziały jego śmierć, a nie chcąc dzielić jego losu, wróciły na okręt.

Panika ogarnęła korsarzy. Biegali jak obłąkani, nie widząc żadnego ratunku.

Wszystkiemu z zimną krwią przyglądał się Rocambol. Genialna myśl przyszła mu do głowy. Skinął na Jeana i począł z nim mówić szeptem.

— Odwagi, towarzysze! — gromkim głosem krzyknął Rocambol w stronę szykujących się do obrony korsarzy. — Jeszcze nic straconego. Zachowajcie zimną krew, a uratujemy się.

Korsarze otoczyli go w okamgnieniu.

— Jak? W jaki sposób? Mów! — posypały się liczne pytania.

— Ja was wyratuję — rzekł Rocambol. — Wymagam od was tylko posłuszeństwa.

— Ale jak wyratujesz? Mów prędzej! — odezwały się zdenerwowane głosy.

— Mam plan i przeprowadzę go! — odparł Rocambol. — Wypełniajcie tylko moje polecenia, a wyniesiecie zdrowo głowy.

I tak Rocambol objął dowództwo nad dwunastoma korsarzami. W lot spełniano jego rozkazy.

Tymczasem rozwidniło się zupełnie. Promienie słoneczne rozproszyły mgłę.

Na statku korsarskim wywieszono białą flagę na znak poddania się.

Z jednego z pancerników spuszczone cztery szalupy. Wsiedli w nie uzbrojeni marynarze ze starym admirałem, dowódcą tej wyprawy. Pomimo znaku poddania się, dwa pozostałe pancerniki nie przestały trzymać korsarskiego statku pod lufami dział.

— Panie admirale — raportował Jean, kiedy ten wszedł na pokład. — Poddajemy się i oddajemy w ręce sprawiedliwości naszych tyranów i ciemnych, którzy groźbą rewolwerów zmuszali nas do rozbojów.

Admirał rzucił okiem w stronę, gdzie leżało pięciu skrępowanych ludzi. Byli to Rocambol i czterej korsarze.

— Tak, admirale — rzekł były aktor. — To są ludzie niewinni. Mówią prawdę.

Wszystkich korsarzy przewieziono na pancernik. Rocambola i skrępowanych umieszczono na dnie pancernika. Jeana i pozostałych w obszernej kajucie. Wszystkich pilnowali zbrojni marynarze.

Dwa pancerniki pozostały pod dowództwem admirała. Jeden pod dowództwem oficera wioził korsarzy, by postawić ich przed sądem.

Cztery dni drogi brakowało jeszcze do portu Marsylii, a korsarze siedzący z Jeanem, zaczęli wątpić w możliwość wyratowania się.

Pancernik wiozący korsarzy przebył wieczorem Cieśninę Gibraltarską. Przed północą dowodzący nim oficer, młody, trzydziestoletni, o mocno wichrami opalonej twarzy, gwizdkiem zwołał obsługę do siebie.

— Chłopcy, możemy wszyscy zarobić ładne pieniądze — mówił oficer do podwładnych mu marynarzy. — Po północy zatrzymamy się u brzegów Hiszpanii, gdzie korsarze mają poukrywane duże pieniądze. Powiedział mi o tym jeden z nich!

Rozumie się, że marynarze zgodzili się na tak ponętną propozycję i z niecierpliwością oczekiwali zatrzymania się u brzegów Hiszpanii.

O drugiej po północy zarzucono kotwicę. Pancernik zatrzymał się w pobliżu brzegów oczekiwanego kontynentu.

— Trzech ludzi za mną — rzekł oficer. — Reszta niech spuszcza szalupy.

Szalupy spuszczone. Marynarze poczęli się niecierpliwić, bo oficer, oddaliwszy się z trzema marynarzami na spód okrętu, długo nie wracał.

Po upływie trzech kwadransów wrócił, a za nim trzej marynarze wynieśli trzy worki. Złóżwszy worki na pokładzie, oddalili się i po chwili przynieśli jeszcze dwa.

— W tych workach są ci, których własni towarzysze powiązali i oddali w ręce admirała.

Mówił to oficer do słuchających go z uwagą marynarzy.

— Ponieważ nie chcą wskazać miejsca, gdzie ukryli skarby — ciągnął oficer dalej — więc w szalupy ich i do brzegu. Rozpalicie ognisko i przypieczecie ich tak, aż im się języki rozwiążą. Za chwilę przybędę do was z tym, co zdradził tajemnicę ukrytych skarbów.

Marynarze szybko spełnili rozkaz i wrzuciwszy do szalup worki, popłynęli do brzegu. Na statku został tylko oficer i trzech marynarze.

Po chwili szalupy dobiły do brzegu.

Kiedy rozniecono ogień, marynarze wzięli się do rozwiązywania worków.

Jeden z marynarzy nagle krzyknął i cofnął się parę kroków w tył przerażony.

W worku skrępowany i zakneblowany leżał oficer, ich dowódca.

W pozostałych czterech workach znajdowali się ich koledzy.

Przerażeni marynarze zwrócili wzrok na morze. Pancernik oddalał się od brzegu i po chwili zupełnie zginął im z oczu.

Zostali wyprowadzeni w pole przez Rocambola, ale w jaki sposób?

Kiedy pancernik minął Cieśninę Gibraltarską, Rocambol począł działać. Przywołał pilnującego ich marynarza i kazał mu zawołać oficera. Kiedy żeglarz odszedł po dowódcę, korsarze rozwiązali naszemu bohaterowi zębami więzy, a Rocambol im. Gdy oficer przyszedł, rzucili się na niego oraz na towarzyszącego mu marynarza i w okamgnieniu skrępowali i zakneblowali ich.

Następnie Rocambol przebrał się w ubranie oficera dowodzącego pancernikiem i, naśladując jego głos, kazał sternikowi skierować okręt ku brzegom Hiszpanii. Marynarze zgodzili się na podstępłą propozycję byłego aktora. Trzej marynarze, którzy udali się z Rocambolem na spód okrętu, zostali też skrępowani i popakowani w worki. Przebrani korsarze przynieśli ich na pokład, nie zwracając na siebie uwagi w ciemnościach nocy.

Kiedy szalupy odbiły od statku, uwożąc w workach oficera i czterech marynarzy, Rocambol wypuścił resztę piratów i umknął, puszczając pancernik pełną parą.

Korsarze wybawieni w ten sposób przez naszego bohatera poczęli uwielbiać go i po prostu wybrali swym wodzem.

2. List Czarnej Ręki

Prokurator Edmund Cocin siedział w gabinecie. Wszedł lokaj i, podając na tacy bilet wizytowy, rzekł:

— Prefekt Paryża Fay chce się widzieć z panem.

— Prosić.

Po chwili wszedł prefekt. Był to szpakowaty mężczyzna. Przywitawszy się, siadł na fotelu i zaczął:

— Przypomina pan sobie sprawę sprzed trzech lat słynnego transformisty Rocambola, oskarżonego o zamordowanie aktorki Elwiry Ericson i skazanego na piętnaście lat ciężkich robót?

— Owszem — odparł prokurator. — Cały przebieg tej sprawy pamiętam doskonale!

— Otóż jak panu wiadomo — mówił dalej prefekt Fay — Rocambol uciekł. Schwymano go jako przywódcę korsarzy i kiedy jeden z pancerników wioził go do Marsylii, Rocambol wywiódł w pole dowodzącego oficera oraz całą załogę i uciekł na porwanym statku. Przedwcześniej znaleziono ów okręt u brzegów Francji, opuszczony zupełnie, a na nim list pod adresem pana.

Wypowiedziawszy to, prefekt Fay wręczył prokuratorowi kopertę.

Prokurator Cocin rozerwał ją i zaczął szybko czytać.

Treść listu była następująca:

Prokuratorze Cocin!

Odpowiedz za krzywdę wyrządzoną mi i za Elwirę Ericson. Dni twoje są policzone. Zemsta moja dosięgnie cię!

Dowódca „Czarnej Ręki” Rocambol.

Pod podpisem była odcisnięta czarna dłoń.

Prokurator, przeczytawszy list Rocambola, zbłądł i podał pismo prefektowi.

— I cóż powiesz na to, prefekcie? — zapytał.

— Skoro był zdolny uciec z galer, to tym bardziej będzie zdolny wykonać swe bezpodstawne pogroźki. Od dzisiejszego dnia będziesz otoczony opieką policji!

Wypowiedziawszy to, prefekt Fay opuścił gabinet prokuratora.

Prokurator Cocin, oszołomiony otrzymanym listem byłego aktora, począł nerwowym krokiem przechadzać się po gabinecie.

Kiedy tak prokurator rozmyślał, Rocambol zainstalował się w podziemiach przy bulwarze św. Wincentego ze swoją bandą.

Prokuratora, z polecenia prefekta Fay’a, strzegło dzień i noc kilku agentów.

Upłynęło kilka dni od czasu otrzymania przez naczelnika listu od Rocambola.

Prokurator Cocin prawie nie wychodził z domu. Wchodzących do mieszkania jurysty ajenci poddawali szczegółowej rewizji.

Sensacyjna wieść obiegła Paryż pewnego dnia: prokurator Cocin, pomimo iż go strzegli ajenci, zginął w tajemniczy sposób wraz z lokajem. Na biurku znaleziono kartkę z podpisem Rocambola i odciskiem czarnej dłoni.

Ajenci, zdumieni tym wypadkiem, nie mogli pojąć, w jaki sposób nasz bohater porwał prokuratora, gdy oni byli obecni obok sypialni.

Lokaj jurysty dopiero po czterech dniach zjawił się nagle na policji i wyświectlił całą rzecz.

Rocambol wiedział, że Cocin’a pilnują ajenci. Czekał więc cierpliwie na odpowiednią sposobność. Lokaj prokuratora, wysłany raz z listem na miasto, został schwytany przez dowódcę „Czarnej Ręki”, który zaciągnął go do swej kryjówki.

Były aktor ucharakteryzował się na służę i bez żadnych przeszkód dostał się do mieszkania prokuratora. W nocy wkradł się do sypialni i zachloroformował prokuratora Cocin'a, a kiedy ajenci zasnęli na swoich posterunkach, cicho, przy pomocy towarzyszy, wywiózł oskarżyciela sądowego.

Cały Paryż został poruszony tym faktem. Prefekt Fay był bezsilny, gdyż poszukiwania nie dały żadnych rezultatów.

Tymczasem prokurator Cocin od kilku dni siedział w ciemnym, wilgotnym lochu. Pewnego dnia Rocambol wszedł do tego pomieszczenia.

— Więc twierdzisz pan, że nie zamordowałeś Elwiry Ericson — rzekł nasz bohater.

— Nie! — odpowiedział prokurator Cocin.

— Łezesz pan! Nikt inny tego nie zrobił! Mam cię w swej mocy, mogę cię zabić jak zwyczajne zwierzę, ale tego nie zrobię. Puszczam cię na wolność. Ale dołożę wszelkich starań i dowiodę ci zbrodnię. A wówczas strzeż się!

Wypowiedziawszy to, Rocambol wyszedł. Następnie weszło do lochu dwóch członków bandy „Czarnej Ręki” i, zawiązawszy prokuratorowi oczy, wyprowadzili go z podziemia.

Mijały tygodnie i miesiące.

Prefekt Fay uruchomił cały sztab agentów, lecz, pomimo prowadzonych poszukiwań, nie mógł natrafić na ślad Rocambola.

Wraz ze wzrostem sławy byłego aktora wzrastał również przestrach prokuratora Cocin'a. W mieszkaniu otaczał się całą strażą.

Pewnej nocy prokurator, nie mogąc zasnąć, usłyszał w gabinecie podejrzany szmer. Wstał z łóżka, cicho na palcach podszedł do drzwi i zajrzał do gabinetu.

Najwyższe przerażenie odmalowało się na twarzy jurysty.

W gabinecie, przy biurku, siedział jego sobowtór i przetrząsał zawartość szuflad.

Prokurator raptownie otworzył drzwi.

— Ręce do góry! — krzyknął, kierując lufę rewolweru w pierś tajemniczego gościa.

Zagadkowy przybysz podniósł ręce do góry.

— Kim jesteś i czego szukasz? — zapytał prokurator.

— Jestem Rocambol — odparł zapytany po chwili milczenia.

— A więc skończą się dziś nasze rachunki. Twierdzisz, że jestem mordercą Elwiry i prześladujesz mnie, tymczasem sam zginiesz!

Po tych słowach prokurator pociągnął za cyngiel. Kurek spadł, ale kapiszon nie zbił. Wystarczyło to dla sobowtóra Cocin'a. Uderzeniem pięści pomiędzy oczy zamroczył oskarżyciela sądowego, sam zaś otworzył drzwi i wyskoczył.

Jurysta oprzytomniawszy, podszedł do biurka, by sprawdzić, co skradł tajemniczy sobowtór.

Otworzywszy szufladę, krzyknął przeraźliwie.

W szufladzie leżała zbroczona krwią chustka, a w niej były zawinięte jakieś papiery, złote pieniądze i parę sztuk biżuterii.

Przerażony prokurator chwycił dzwonek i począł wzywać lokaja. Sługa jednak nie zjawiał się.

Ze świecą w jednym ręku, a z rewolwerem w drugim prokurator udał się do kuchni, gdzie znalazł zakneblowanego i skrupowanego lokaja, którego natychmiast uwolnił ze sznurów i posłał po prefekta Fay'a, który niebawem przyszedł.

— Co się stało panie prokuratorze? — zapytał prefekt.

— Złapałem jegomościa, a właściwie swego sobowtóra, który podrzucił mi zakrwawioną chustkę z jakąś biżuterią — rzekł prokurator, podając prefektowi podrzucone przedmioty.

— Ależ to pierścień ministra sprawiedliwości — zawołał zdziwiony prefekt, wyjmując go ze zbroczonej chustki.

— Doprawdy? Nie może być! To może ministra zamordowano?

— Wszystkiego się można spodziewać po Rocambolu! — odparł prefekt i udał się powozem, co koń wyskoczy, do mieszkania ministra sprawiedliwości.

Po upływie pół godziny, rozbudziwszy służbę, prefekt Fay wchodził do mieszkania członka rządu.

W mieszkaniu ministra trzymało straż trzech Turków.

— Czy minister jest w domu? — zapytał jednego z obcokrajowców prefekt Fay.

— Minister od szóstej nie wychodził z domu.

— A był kto u ministra? — pytał prefekt dalej.

— Przed trzema godzinami był prokurator Cocin. Minister przyjął go w sypialni.

— Prowadź mnie do ministra — rzekł prefekt Fay.

Turek wypełnił rozkaz i udał się do sypialni, by zameldować ministrowi naczelnika Fay'a.

Po chwili przeraźliwy krzyk sługi doszedł uszu urzędnika.

Z pozostałymi dwoma Turkami prefekt szybko pobiegł do sypialni.

W drzwiach sypialni naczelnik Fay stanął jak wryty.

Straszny widok zmroził mu krew w żyłach.

W łóżku, z wykrzywioną boleśnie twarzą, leżał minister sprawiedliwości. W pierś jego tkwił nóż wbity po rękkość.

Całe łóżko było zbroczone krwią.

— Gdzie minister przechowywał pieniądze? — zapytał prefekt Fay przestraszonych Turków.

— W kasetce wmurowanej w ścianę.

Prefekt otworzył wskazaną kasetkę: była pusta!

— A dużo pieniędzy miał minister dzisiaj? — pytał dalej urzędnik.

— Minister podjął wczoraj z banku trzy miliony franków.

— Tak. Morderstwo zostało popełnione w celu rabunkowym — rzekł do siebie naczelnik.

Prefekt przed powrotem do domu zapieczętował mieszkanie ministra i aresztował trzech Turków.

3. Napowietrzna podróż

W pewnej kawiarni Paryża siedziało dwóch dżentelmenów, rozmawiając półgłosem. Byli to Rocambol i Jean.

— Kiedyż ja się zemszczę na prokuratorze? — mówił Rocambol. — Na żaden ślad zabójstwa Elwiry wpaść nie mogę!

— Czas zrobi swoje. Chociaż dotychczas nie mamy żadnych dowodów w rękę!

Po tych słowach były aktor zamyślił się. Myśli naszego bohatera przerwał krzyk chłopców sprzedających dziennik „Le Journal de Paris”.

— Tajemnicze morderstwo ministra sprawiedliwości! — krzyczeli na całe gardło gazeciarze.

Rocambol skinął na jednego chłopca i wręczył mu dwadzieścia centymów za dziennik „Le Journal de Paris”.

Przeczytał raz i drugi wiadomość o morderstwie:

Tajemnicze morderstwo ministra sprawiedliwości.

Wczoraj w nocy, w tajemniczy sposób, został zamordowany minister sprawiedliwości. Następujące szczegóły morderstwa są wiadome:

Prefekt policji Fay wczorajszej nocy został wezwany przez prokuratora Cocin'a. Prokurator oznajmił, że zastał w gabinecie tajemniczego osobnika, ucharakteryzowanego na siebie do złudzenia.

Zapytany kim jest, ów tajemniczy gość odparł, że nazywa się Rocambol. Niebawem jednak zdołał umknąć. Po ucieczce wtamywacza, prokurator znalazł podrzuconą chustkę zbroczoną krwią, w którą były zawinięte złote pieniądze i biżuteria.

Jeden z pierścieni prefekt poznał, że był własnością ministra sprawiedliwości, do którego natychmiast udał się.

W sypialni naczelnik znalazł zamordowanego ministra. W piersi członka rządu sterczał nóż wbity po samą rękkość!

W sprawie zamordowanego ministra zostali dotychczas aresztowani trzej usługujący mu Turcy.

Prawdopodobnie zbrodnię popełnił herszt bandy „Czarnej Ręki” Rocambol i podrzucił prokuratorowi dowody morderstwa, chcąc tym sposobem rzucić podejrzenie na prokuratora, a zarazem dokonać zaprzysiężonej zemsty.

— No i coś zrozumiałeś z tego? — zapytał były aktor Jeana.

— Prokurator zamordował ministra, poprzednio zmyśliwszy sobie całą tę historię, i chce wszystko zwalić na nas jak w sprawie Elwiry Ericson.

— Hm, dziwne! — mruknął Rocambol. — Sprawa wydaje mi się nie w porządku!

Powiedziawszy to, Rocambol przywołał kelnera i kazał mu przynieść atrament i papier listowy.

Skreśliwszy parę słów do prefekta Fay'a, wysłał z listem Jeana, sam zaś udał się do mieszkania prokuratora.

Rocambol, widząc, że do mieszkania prokuratora ajenci nie wpuszczają nikogo, poszedł do pobliskiego składu drzewa. Tam nasz bohater, hojnie wynagradzając właściciela, założył jego ubranie i po chwili opuszczał skład jako tragarz, niosąc kosz drzewa na plecach.

Rocambolowi udał się ten podstęp. Ajenci przepuścili go z drzewem do kuchni, ale na schodach odkleiły się naszemu bohaterowi wąsy i upadły na ziemię.

Spostrzegł to jeden z agentów i podbiegł do złodzieja, chcąc go schwytać, ale padł na ziemię uderzony silnie pięścią w piersi.

Rocambol rzucił kosz z drzewem i wybiegł na podwórko. Jednym susem przesadził dość wysoki parkan i począł uciekać.

Ajenci, strzelając, podążali za nim.

Rocambol, uciekając, wpadł na plac wojskowy, na środku którego znajdował się uwiązany balon.

Zaalarmowani żołnierze rzucili się w pogoń za Rocambolem.

Były złodziej, widząc, że jest otoczony ze wszystkich stron, wskoczył w kosz balonu i, odciawszy linę, uniósł się do góry.

Po chwili balon unoszący Rocambola wzniósł się tak wysoko w powietrze, że wyglądał jak mała piłeczka i gnany zachodnim wiatrem zginął z oczu agentom.

Tymczasem Rocambol oddalał się coraz bardziej od Paryża. Wiatr nie ustawał.

— Licho wie, gdzie zawędruję w ten sposób — mruknął przywódca „Czarnej Ręki”. — Trzeba zaryzykować, może się uda opuścić gdzieś balon.

Powiedziawszy to, Rocambol zaczął wspinać się po sznurach przytrzymujących kosz i tworzących siatkę balonu. Dostawszy się do powłoki sterowca, Rocambol zawisł w powietrzu na jednym ręku, drugą ręką wyjął scyzoryk z kieszeni i, otworzywszy go przy pomocy zębów, zrobił ostrzem mały otwór w powłoce balonu. Gaz powoli zaczął się ulatniać.

Po upływie kilku godzin balon opadł znacznie. Otwór zrobiony scyzorykiem, pod ciśnieniem gazu, stopniowo się powiększał.

Balon opadał coraz szybciej.

Gdy znajdował się jeszcze na wysokości około dwustu metrów, Rocambol spojrział z kosza w dół. Pod nim płynęła rzeka Garonna.

Nasz bohater, obawiając się rozbicia, wyskoczył z balonu.

Parę sekund powietrze świszcząco mu w uszach, zanim skrył się pod falami rzeki Garonny, wznosząc słup wody.

Rocambol, jako obeznany dobrze ze sportem pływackim, wypłynął po godzinie w pobliżu jakiegoś miasta.

Po chwili wylaż z trudem na brzeg podmiejski.

— Co to za miasto, obywatelu? — zapytał stojącego na brzegu rybaka.

— To chyba pan z daleka przybył, kiedy nie znasz pan Bordeaux.

— Aż do Bordeaux przywędrowałem. Bagatela — mruknął do siebie Rocambol i, podziękowawszy rybakowi za informacje, ruszył w stronę miasta.

Gdy osuszył się w podmiejskiej oberży, Rocambol skierował się na dworzec kolei żelaznej.

Nagle przed jednym ze sklepów jubilerskich Rocambol zatrzymał się na widok dużego sygnetu, który leżał na wystawie. Przerażony spoglądał na ten przedmiot.

— To sygnet Elwiry Ericson — rzekł do siebie i wszedł do sklepu.

— Pan będzie łaskaw pokazać mi ten pierścień — rzekł Rocambol, zwracając się do subiekta. Ten podał mu żądany przedmiot.

— Tak, nie myślę się, to pierścień Elwiry — rzekł do siebie nasz bohater i, zwracając się do subiekta, zapytał:

— Czy nie mógłby pan powiedzieć mi, od kogo pan nabył ów sygnet?

— W tej chwili — odparł subiekt i wyjął z szuflady duży notatnik. — Pierścień ten nabyliśmy przed trzema laty od Adolfa Ericsona.

— Kupuję ten sygnet — rzekł Rocambol — lecz proszę dać mi na papierze zaświadczenie, że został nabyty przez panów od sekretarza prokuratora Cocin'a.

Załatwiwszy wszelkie formalności związane z tą transakcją, herszt „Czarnej Ręki” wyszedł ze sklepu i udał się na dworzec kolei.

Po upływie paru godzin Rocambol jechał w wagonie pierwszej klasy do Paryża.

Po dotarciu do miejsca podróży nasz bohater pukał w umówiony sposób do drzwi kryjówki bandy „Czarnej Ręki”.

Członkowie grupy niezmiernie uradowali się na widok powracającego szefa.

Rocambol przyzwał Jeana i, oddalwszy się z nim do oddzielnego lochu, począł wypytwać go o wypadki zaszłe w Paryżu w czasie jego nieobecności.

Jean opowiedział mu o zdarzeniach ubiegłych dni.

— Przynieś mi kobiece ubranie — rzekł Rocambol.

Jean oddalił się i po chwili przyniósł żądane przedmioty.

Rocambol przebrał się i wyszedł z lochów jako elegancka dama. Wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do mieszkania prokuratora.

Ajenci jednak nie wpuścili przebranego za niewiastę Rocambola, kazać mu wyrobić sobie pozwolenie u prefekta policji Fay'a.

Nasz bohater zawrócił dorożkę i kazał jechać do biura naczelnika Fay'a.

Kiedy Rocambol wszedł do gabinetu, prefekta Fay'a nie było. Były aktor wdał się w pogawędkę z sekretarzem naczelnika, Adolfem Ericsonem. Urzędnik był nadzwyczaj uprzejmy dla eleganckiej kobiety.

Rocambol mimowolnie rzucił wzrokiem na sekretarza. Adolf Ericson był stryjecznym bratem Elwiry i oddawna zajmował stanowisko asystenta prokuratora, a ostatnio pełnił funkcję sekretarza prefekta policji.

Rocambol wyjął z torebki pierścion i, bawiąc się nim, rzekł do sekretarza:

— Otóż, proszę pana, chcę zobaczyć się z prokuratorem Cocin'em, ale nie wpuszczono mnie i kazano wyrobić sobie pozwolenie u prokuratora.

— A w jakim interesie szanowna pani chce się widzieć z prokuratorem? — zapytał sekretarz, strojąc uprzejmą minę.

— Otóż, proszę pana, udało mi się kupić pierścion należący do Elwiry Ericson, zamordowanej przed trzema laty. Wiedząc, że prokurator Cocin uwielbiał zamordowaną artystkę, chcę go odsprzedać prokuratorowi.

Mam wrażenie, że odkupi go ode mnie, bo ten sygnet będzie dla prokuratora czymś w rodzaju relikwii.

Sekretarz, kiedy to usłyszał, a następnie zobaczył pierścion, zbladł.

Oczu Rocambola nie uszła żadna zmiana fizjonomii urzędnika.

— Może pani będzie tak łaskawa i pokaże mi ten pierścion — rzekł sekretarz Adolf Ericson.

Rocambol wręczył mu pierścion.

— Tak, to jest sygnet mej stryjecznej siostry Elwiry — rzekł, oglądając sygnet. — Ja odkupię ten pierścion od pani, będzie to dla mnie pamiątka.

— Owszem, lecz nie wiem, czy mi pan zapłaci tyle, co może mi zapłacić za ten pierścion prokurator — odparł Rocambol, odbierając pierścion.

Lecz rozmowę tę przerwał wchodzący prefekt policji Fay.

Rocambol przedstawił swoją prośbę i bez żadnych trudności dostał na piśmie pozwolenie widzenia się z prokuratorem Cocin'em.

Podziękowawszy prefektowi, herszt „Czarnej Ręki” wyszedł i po upływie kilkunastu minut przed dom, w którym mieszkał prokurator, zajęła dorożka. Z pojazdu wysiadła elegancka dama, która po okazaniu agentom, dozorującym prokuratora, pozwolenia prefekta Fay'a, została wpuszczona.

Prokurator siedział w gabinecie w głębokim fotelu.

Lokaj zameldował mu wizytę jakiejś pani, która nie chciała wyjawić swego nazwiska.

Prokurator Cocin kazał prosić. Lecz po wyjściu sługi wyjął z biurka rewolwer i schował go do kieszeni.

Po chwili wszedł Rocambol. Przywitawszy się z prokuratorem, szepnął mu do ucha:

— Czy nas nikt nie podsłuchuje?

Prokurator zaciekawiony tym pytaniem, wyrzwał do przedpokoju.

— Nie, nikt nie jest świadkiem naszej rozmowy — rzekł, zamykając drzwi na klucz.

Po tych słowach nieznajoma dama nałożyła czarną maskę, zdjęła kapelusz oraz perukę. Oczom prokuratora przedstawił się zamaskowany mężczyzna.

— Jestem Rocambol — rzekła przybyła dama. Na te słowa prokurator szybko wyjął z kieszeni rewolwer i, skierowawszy go w stronę piersi byłego aktora, krzyknął:

— Najmniejszy ruch, a kula w łeb.

— Powoli, panie prokuratorze — rzekł spokojnym głosem Rocambol, nie ruszając się z miejsca. — Nie przyszedłem do pana w złych zamiarach. Chcę zadać panu parę pytań na temat, który interesuje pana nie mniej niż mnie.

— Proszę pytać! — odparł prokurator, nie opuszczając palca z cyngla.

— Poznaje pan ten pierścień? — rzekł Rocambol, wręczając prokuratorowi sygnet nabyty u jubilera w Bordeaux.

— Owszem. Jest to ulubiony sygnet Elwiry Ericson.

— A co może pan powiedzieć o nim?

— Więcej nic nie mogę powiedzieć prócz tego, co powiedziałem — odparł prokurator.

Rocambol zamyślił się na chwilę.

— Ten pierścień został sprzedany w Bordeaux przez byłego pańskiego sekretarza Adolfa Ericsona — rzekł herszt „Czarnej Ręki”, przeszywając prokuratora wzrokiem.

— Pierwszy raz o tym słyszę — odparł prokurator. — Ale do czego dąży pan, panie Rocambolu, i co mają znaczyć te pytania?

— Dążę do celu! Chcę wykryć mordercę Elwiry Ericson, który podrzucił mi narzędzia zbrodni, przez co zostałem skazany na ciężkie roboty. Ale pozostawmy na razie w spokoju kwestię morderstwa Elwiry Ericson — rzekł nasz bohater do prokuratora.

— Powiedz mi pan teraz, czy to prawda, że zastałeś pan w swoim gabinecie, jak podają gazety, swego sobowtóra, który podrzucił panu zakrwawioną chustkę i zrabowaną u zamordowanego ministra biżuterię?

— Najświętsza prawda — odparł prokurator i opowiedział Rocambolowi całe zdarzenie.

— Wierzę pańskim słowom — po chwili odparł były aktor. — Zapewne tu wchodzi w grę jakiś osobnik, który rzucił cień podejrzenia na mnie, a teraz chce rzucić na pana w sprawie zamordowanego ministra.

— Bez wątpienia — odparł prokurator — ale mój sobowtór, kiedy złapałem go w gabinecie, powiedział, że jest Rocambolem.

— To fałsz, to kłamstwo! — krzyknął nasz bohater. — Schwycę tego, co podszysza się pod moje pseudo i drogo mi zapłaci! Jakem Rocambol.

Pomówiwszy jeszcze chwilę, herszt „Czarnej Ręki” włożył z powrotem perukę oraz kapelusz i, pożegnawszy oślupiałego prokuratora, wyszedł.

— Muszę dostać tego nikczemnika w moje ręce! — mówił do siebie Rocambol na ulicy. — Odnajdę go, spod ziemi wykopię.

Czy nasz bohater odnajdzie mordercę Elwiry Ericson?

4. Tajemnica wyjaśnia się

W kilka tygodni po rozmowie z prokuratorem Cocin, Rocambol siedział przy butelce wina w jednej z restauracji Paryża i rozmyślał.

Na ślad sobowtóra prokuratora nie mógł herszt „Czarnej Ręki” natrafić.

— Czy faktycznie prokurator nie jest mordercą? Może odegrał tylko dobrze wystudiowaną rolę? A kto mógł zamordować ministra sprawiedliwości?

Rozmyślania te przerwał Rocambolowi głośny gwar. Do restauracji wszedł Adolf Ericson, sekretarz zamordowanego ministra, w otoczeniu kobiet i kolegów.

Rozrzutność asystenta zadziwiła trochę naszego bohatera.

Adolf Ericson za wynagrodzenie sekretarza nie mógł się tak bawić!

Urzędnik przypomniał Rocambolowi dobre czasy, kiedy przy boku jego kuzynki Elwiry spędzał przyjemnie wieczory. Rozmyślając tak, nasz bohater stuknął się w czoło. W głowie byłego aktora zaczęło się pojawiać podejrzenie.

— Adolf Ericson, kuzynek Elwiry, jest znanym hulaką i karciarzem. Gwałtem chciał odkupić ode mnie sygnet Elwiry, który sprzedał w Bordeaux!

Ericson jako sekretarz zamordowanego ministra napewno wiedział o pieniądzach.

Zgrał się w nocy w klubie i nie miał czym zapłacić! To jasne i możliwe.

Ale skąd się wziął sobowtór prokuratora?

I znów Rocambol wrócił pamięcią do dawnych czasów.

— Możliwe, że Ericson jest mordercą Elwiry i ministra. Mógł się ucharakteryzować na prokuratora Cocin’a. Przypominam sobie, jak wypytywał się mnie o sztukę charakteryzacji. Nawet uczyłem go, tak, pamiętam dobrze.

Po tych wnioskach Rocambol zadzwonił na kelnera i, uregulowawszy rachunek, wyszedł.

Herszt „Czarnej Ręki” udał się w stronę mieszkania Adolfa Ericsona.

W pomieszczeniach nie było nikogo, bowiem sekretarz mieszkał samotnie.

Rocambol, otworzywszy drzwi wytrychem, cicho wszedł do mieszkania.

Było to czteropokojowe, komfortowe lokum. Zbytek przebiegał w meblach i mówił o zamożności właściciela, co byłego aktora dziwiło, gdyż Adolf Ericson nie był bogaty.

Na biurku pod przyciskiem znalazł nasz bohater przedarty weksel, wystawiony na sekretarza, opiewający na sumę siedmiuset tysięcy franków.

Następnie Rocambol, przetrząsając zawartość bieliźniarki, znalazł na półce szpakowatą perukę, bokobrody i wąsy.

Podobne włosy miał prokurator Cocin.

Herszt „Czarnej Ręki”, po założeniu peruki i przyklejeniu sobie bokobrodów i wąsów, stanął przed lustrem.

— Podmalować się troszkę i sobowtór prokuratora jest gotowy — rzekł do siebie. — Nie ma wątpliwości, mordercą Elwiry i ministra jest Adolf Ericson.

Rocambol postanowił poczekać w mieszkaniu na powrót podejrzanego urzędnika.

Dobrze po północy Ericson wrócił do domu podchmielony.

Kiedy rozwiązywał krawat, zauważył w lustrze atletycznie zbudowanego dżentelmena w czerwonym dominie i w masce.

Był to Rocambol.

Ericson przestraszony cofnął się.

— Jestem Rocambol, przyszedłem pomścić Elwirę — rzekł gość spokojnym głosem.

Ericson szybko wyjął z kieszeni petardę i rzucił ją na ziemię.

Straszny huk wstrząsnął posadami domu.

Rocambol oszołomiony stracił przytomność na chwilę.

Kiedy herszt „Czarnej Ręki” oprzytomniał, w pokoju nie było już Adolfa Ericsona.

Rocambol w mgnieniu oka wciągnął spodnie i marynarkę, bo dotychczas był w dominie i podbiegł do okna.

Dorożką, co koń wyskoczy, uciekał sekretarz.

Rocambol jak szalony wybiegł na ulicę i wsiadł do drugiego pojazdu.

— Sto franków za dogonienie tamtej dorożki — krzyczał, wskazując oddalającego się Ericsona.

Zaczęła się szalona gonitwa. Jednak odległość pomiędzy Rocambolem i Ericsonem nie zmniejszała się. Ścigające się dorożki wyjechały na drogę prowadzącą do lasu Bulońskiego.

— Dwieście franków za dogonienie — krzyczał Rocambol.

Na drodze do lasu Bulońskiego koń z dorożki wiozącej Ericsona potknął się i padł.

Nasz bohater teraz szybko zbliżał się do Ericsona.

Sekretarz uciekał dalej pieszo. Na drodze prowadzącej do Lasu Bulońskiego stały konne policyjne posterunki. Adolf Ericson, gdy dopadł policjanta, ściągnął go z konia, sam zaś dosiadł zwierzęcia i, wbiwszy mu ostrogi w boki, pognął jak szalony.

Po chwili do ściągniętego z konia policjanta podjechał dorożką nasz bohater. Rocambol wyskoczył z powozu, wyrwał karabin z rąk bezradnie stojącego policjanta i, klękawszy na jednym kolanie, przyłożył karabin do oka.

Wymierzywszy dobrze, strzelił. Koń pod Ericsonem padł na przednie kopyta, zrzucając z siebie jeźdźca.

Kiedy Rocambol zastrzelił zwierzę, wsiadł w dorożkę i pognął naprzód. Po upływie dość krótkiego czasu wracał do Paryża, wioząc w powozie skrupowanego Adolfa Ericsona.

— A więc mów, dlaczego zamordowałeś Elwirę Ericson i ministra sprawiedliwości? — pytał Rocambol urzędnika, gdy znaleźli się w podziemiach.

— Nikogo nie zamordowałem. To kłamstwo — odpowiedział rozpaczliwym głosem Adolf Ericson.

Były aktor klasnął trzy razy w dłoń.

Na to hasło wszedł do lochu zamaskowany członek bandy „Czarnej Ręki” z olbrzymimi cęgami w ręku i począł rozniecać ognisko na środku lochu.

Ericson przyglądał się temu z trwogą. Serce mu biło jak młotem, zimny pot wystąpił na czoło. Zrozumiał te przygotowania, miał być torturowany.

— Powiesz, czy nie powiesz? — rzekł Rocambol. — Radzę ci, mów, bo będziemy zmuszeni rozwiązać ci język!

Ericson, przestraszywszy się tortur, począł mówić:

— Mordercę Elwiry Ericson, mojej kuzynki, jestem ja! Zgrałem się w karty i, nie mając czym pokryć honorowego długu, zwróciłem się o pożyczkę do kuzynki Elwiry. Ponieważ byłem w stanie nietrzeźwym, rozżłościwszy się odmową, chwyciłem nóż kuchenny i wbiłem jej w pierś.

Po dokonanych fackie oprzytomniałem. Chcąc się ratować i odwrócić podejrzenie ode mnie, ucharakteryzowałem się na prokuratora Cocin’a, jako że on był jednym z zapalonych wielbicieli kuzynki!

Wyszedłem z bramy tak, żeby mnie wszyscy widzieli.

Z zakrwawionym nożem udałem się do prokuratora, chcąc mu go podrzucić. Dostać się do mieszkania jurysty było łatwo, bo wtedy pełniłem funkcję jego sekretarza.

Lecz poprzedniego dnia, o czym nie wiedziałem, prokurator Cocin opuścił Paryż. Więc zamiast prokuratorowi, podrzuciłem nóż panu.

— Od tego czasu przyrzekłem sobie nie grywać więcej w karty. Po długim czasie spróbowałem raz szczęścia i wygrałem. I tak wygrywałem kilka dni z rzędu. Ale przyszedł czas, że przegrałem to wszystko i w dodatku dziesięć tysięcy franków, które dostałem na wypłatę.

Nie wiedziałem, co mam zrobić. Chciałem zastrzelić się!

Ale dowiedziawszy się, że minister sprawiedliwości podjął z banku trzy miliony franków, przebrałem się za prokuratora Cocin’a, i udałem się wieczorem do ministra. Chciałem zakneblować tylko ministra, lecz nie mogłem mu dać rady, a bojąc się być zdemaskowanym, zabiłem go. Pieniądze wyjąłem z kasetki i wyszedłem!

Następnie zakradłem się do mieszkania prokuratora i podrzuciłem zakrwawioną chustkę.

Oto wszystko, a do tego doprowadziły mnie karty!

Rocambol po wysłuchaniu tej mowy nie odpowiedział ani słowa i wyszedł.

Następnego dnia prefekt policji Fay, wszedłszy do swego gabinetu, znalazł na stole list od herszta „Czarnej Ręki”.

— Panie prefekcie — pisał Rocambol. — Niech się pan uda do mieszkania swego sekretarza Adolfa Ericsona, a znajdzie pan sobowtóra prokuratora Cocin’a.

Naczelnik udał się zaraz do mieszkania sekretarza. Drzwi były zamknięte. Prefekt przy pomocy ludzi wywarzył drzwi i zdumiony zatrzymał się na progu.

Na haku od lampy wisiały zwłoki prokuratora.

Jeden z ludzi towarzyszących prefektowi przeciął sznur i wisielec spadł na podłogę. Wisielcowi padającemu na ziemię zsunęła się peruka i pod nią zdziwiony prefekt ujrzał swego sekretarza Adolfa Ericsona.

Na biurku leżała kartka o następującej treści:

„Jestem mordercą Elwiry Ericson i ministra sprawiedliwości.

Rocambol zdemaskował mnie. Wolę nie żyć.”

Tak zginął marnie Adolf Ericson, zawodowy karciarz.

KONIEC

Zeszyt 5

1. W pociągu błyskawicznym

— Mam pewność Sift, że schwytamy ptaka jeszcze jutro wieczorem.

— Nie zapominaj jednak Smith, że Rocambol jest niezwykle przebiegłym i zręcznym przestępcą, że uciekł z galer pomimo największej czujności straży.

— Cóż z tego? Dyrekcja galer dała nam czek na sto tysięcy franków dla ułatwienia pogoni. Jesteśmy zresztą detektywami, mamy obowiązek złapać tego zbiegłego galernika.

Rozmowa powyższa toczyła się pomiędzy dwoma eleganckimi panami w przedziale pierwszej klasy błyskawicznego pociągu, pędzącego z Marsylii do Paryża.

Mężczyźni ci mówili głośno. Nie liczyli się zupełnie z obecnością w przedziale zgarbionego staruszka, który drzemał, kiwając się pociesznie i nie zwracał zupełnie uwagi na rozmówców. Panowie Smith i Sift byli tak dalece zajęci dyskusją, że nie spostrzegli, jak w pewnej chwili śpiący starzec otworzył oczy i bacznie się im przyglądał. Potem jednak zasnął znowu.

Do Paryża było już niedaleko, kiedy starszy pan obudził się, zdjął z półki małą ręczną walizkę i wyszedł z przedziału na korytarz.

W chwilę po jego wyjściu pan Sift wstał również i rzekł:

— Przejdę do restauracyjnego wagonu na mazagran. Czuję silne pragnienie.

Na korytarzu nikogo nie było i pan Sift kroczył, pogwizdując modne tango.

Kiedy mijał na wpół otwarty przedział, położony prawie przy końcu wagonu, jakaś dłoń chwyciła go nagle za kołnierz.

Chciał krzyknąć, ale potężny cios, wymierzony w samo ciemię, przyprawił go o utratę przytomności. Nie upadł jednak, gdyż sprawca niespodzianego zamachu chwycił go i wniósł do przedziału.

Rocambol nie tracił ani sekundy.

Ze zgrzybiałego starca w okamgnieniu zmienił się w silnego, rosnącego mężczyznę.

Natychmiast po zaryglowaniu przedziału przystąpił do gorączkowej pracy. Otworzył swoją walizeczkę i wyjął z niej najpierw butelkę białego płynu, którą odkorkował, a następnie przytknął do nosa p. Sfifta.

Potem wydostał dość duże składane lustro, pudełko ze szminkami i woreczek, wypełniony pęczkami włosów różnej barwy. Przyjrzał się uważnie śpiącemu, rozebrał go do naga i rozpoczął charakteryzację.

Nie upłynęło pięć minut, kiedy był gotów.

Wydobył wówczas z walizki duży worek gumowy, wpakował weń p. Sfifta, kieszonkowymi nożyczkami wyciął otwór dla powietrza i przewiązał worek w kilku miejscach mocnymi rzemieniami.

Wyjrzał przez okno. Pociąg zakręcał i szedł powoli. Jak okiem sięgnąć ani żywej duszy.

Chwycił tedy z siłą atlety tłumok, którego zawartość stanowiła osoba p. Sfifta i rzucił na ławkę, ciągnącą się tuż pod torem kolejowym.

— Prześpi tak parę godzin, a potem przez drugie tyle będzie się szamotał, zanim go znajdą i puszcza na wolność — rzekł do siebie, zapalając wonne cygaro, wyjęte z portcygara pana Sfifta, poczym sprawdził zawartość pugilaresu, zawierającego dokumenty i czek na sto tysięcy franków, a następnie opuścił miejsce swego czynu.

I oto pan Sift we własnej osobie wracał korytarzem wagonowym do pana Smitha.

Godzina dziewiąta rano następnego dnia.

Ktoś dobija się głośno do numeru zajętego przez pana Smitha.

To dobijanie się sprawia tyle szumu, że portier hotelu „Annabel” przybiegł z dołu i starał się uspokoić natręta. Nic nie pomogło jednak. Dziwny gość walił ciągle w drzwi, nie licząc się z niczym i klnąc przeraźliwie.

Nareszcie wejście otworzyło się.

Ukazał się w nim pan Smith w nocnym stroju.

Zagadkowy gość wpadł jak bomba do pokoju, wciągnął za sobą gospodarza i zatrzaskał drzwi przed nosem zdumionego portiera.

— Czyś zwariował Smith?! — wrzeszczał przy tym. — Chrapiesz sobie w najlepsze, jak gdyby nigdy nic.

W odpowiedzi pan Smith szeroko otworzył usta i wybałuszył oczy. Wreszcie wyjąkał:

— Co to ma znaczyć?

— Jak to? Pytasz się jeszcze? — wrzeszczał coraz bardziej zdenerwowany pan Sift i zanim zaspany detektyw ocknął ze zdumienia, wyłuszczył mu historię wczorajszego zamachu.

Pan Smith nie chciał wierzyć.

— Śniło ci się pewnie, mój drogi. Przecież wróciłeś z restauracyjnego wagonu, zajechałeś razem ze mną do hotelu i zająłeś pokój obok mnie.

— Ach ty głupcze! — krzyknął pan Sfft. — Nie domyślasz się jeszcze, że znowu jesteśmy ofiarami tego łotra.

Pan Smith nie odpowiedział.

Wybiegli razem na korytarz i wdarli się do sąsiedniego pokoju.

Od razu ujrzeli, że Rocambol nawet nie tknął łóżka.

Na stoliku leżała karta wizytowa z odcisniętą na niej czarną ręką.

Sfft zadzwonił na portiera.

— Gdzie jest człowiek, który zajął ten pokój? — krzyknął do wchodzącego.

— Wyszedł wczoraj wieczorem i kazał powiedzieć, żeby się pan nie fatygował niepotrzebnie do banku dziś rano, gdyż on już wszystko załatwi.

— Precz!!!

Portier znikł.

— Ta bestia odbierze nasze pieniądze z banku — wył już całkiem strapiiony Sfft.

— Nie traćmy czasu, może go jeszcze przyłapiemy. Bank otwierają o dziewiątej. Teraz jest dziesięć minut po dziewiątej! — krzyczał Smith.

Wybiegli.

W kasie banku dowiedzieli się, że czek został wypłacony przed piętnastoma minutami.

2. W knajpie „Pod Sztylętem”

Kręte schodki kamienne wiodły ku ledwo małą lampką naftową oświetlonemu korytarzowi, w końcu którego widniały niepozorne, ale dobrze okute i szczelnie zamknięte drzwi.

Młody mężczyzna w cylindrze i czarnym, długim palcie ostrożnie posuwał się wzdłuż korytarza, pragnąc widocznie zostać niedostrzeżonym.

Tajemniczy młodzian wślizgnął się do wnętrza.

Przy kilkunastu stolikach siedzieli mężczyźni i kobiety w najrozmaitszych strojach. Roznoszono napoje.

Przybysz, niezauważony przez nikogo, usiadł w najdalszym, najciemniejszym zakątku. Począł bacznie przysłuchiwać się rozmowom.

— Słuchaj, Jean, doprawdy jestem niespokojny o naszego wodza — zwrócił się wykwinny młodzian z monoklem w oku do obdartego straszliwie apasza.

— Tak, to dziwne, że nie mamy wiadomości. Powinien już być w Paryżu. Nie po to przecież zjechaliśmy się z całego świata, żeby czekać daremnie.

— Nasz wódz żartuje chyba — ozwały się głosy z różnych stron.

— Dobry wieczór, moi drodzy!

Te trzy wyrazy, powiedziane głosem spokojnym i wesołym, podziałały jak uderzenie pioruna.

Rocambol wstał i dał znak, że chce mówić. Cisza zapanowała w knajpce „Pod Sztyletem”.

Mowa Rocambola była krótka, ale treściwa.

— Panowie! Przybywam do was na krótko. Policja wie, że jestem w Paryżu i tropi mnie bez przerwy. Jutro rano najdalej opuszczę miasto. Dzisiaj w nocy natomiast muszę wyzwolić pannę Eleonorę Duse z rąk wyrodnego ojczyma, który chce zmusić ją do zrzeczenia się dziedzicznych praw do kopalni złota w Australii.

Pomocy waszej nie potrzebuję.

Jest to sprawa, z którą sam dam sobie radę.

Rozkazuję wam jedynie, abyście znikli z powierzchni ziemi aż do najbliższych dyspozycji.

Żegnam!

Rocambol wymówił ostatnie słowo i wyszedł.

3. W stalowych szponach

Było już bardzo późno, kiedy Rocambol zbliżał się do domu nr 46 przy ulicy Lamartine.

Dom z czerwonego granitu stał w ogrodzie otoczonym murowanym, bardzo wysokim parkanem.

Nad bramą wisiała tabliczka z napisem:

„Dom ten należy do Mariana Boileau”.

— Zdaje się, że z panem, panie Boileau, będę miał za chwilę zaszczyt się widzieć — pomyślał Rocambol, odczytawszy napis.

Zbadawszy położenie posesji, nasz bohater przekonał się, że na wschodzie ciągnie się nieobsiane pole, za którym znajduje się wał kolejowy. Doszedł również do wniosku, że jedyna droga do ogrodu, okalającego budynek, prowadzi przez parkan. Toteż niewiele myśląc, ze zdumiewającą zwinnością wdrapał się na ogrodzenie i, rozejrzawszy się uważnie, skoczył w ogród.

Spadł między gęste zarośla. Było to wyborne miejsce dla ukrycia odzieży.

Dom tonął w ciemnościach. W jednym tylko oknie na piętrze błyszczało słabe światelko.

Należało dostać się do środka.

Rocambol nie uznawał drzwi w takich wypadkach. Był zdania, że okno jest wygodniejsze, gdyż szybę łatwo można usunąć.

Zajrzał w pierwszy z brzegu parterowy otwór.

Wydobył dłuto i podważył szybę, która już zaczęła ustępować, kiedy nagle w głębi domu zabrzmiał dzwonek elektryczny. To go ucieszyło.

— Aha — pomyślał — dom jest dobrze strzeżony. Wiem więc napewno, że panna Eleonora jest tutaj więziona. Ale trzeba się mieć na baczności.

Nasłuchiwał.

W domu nadal panowała niezmacona cisza.

Wobec tego pracował dalej.

Szyba w końcu ustąpiła na tyle, że wsunąwszy rękę do wnętrza, wyjął ją z ramy okiennej.

Rocambol był nareszcie w tajemniczym domu.

Zapalił latarkę i ujrzał, że jest w przedpokoju, w którym znajdowało się kilkoro drzwi.

Otworzył wrota prowadzące do pokoju na prawo. Znalazł się w zacisznych wygodnie urządzonej buduarze.

Na toalecie stało mnóstwo flakonów z perfumami, pilniczów do paznokci, szczoteczek itp. Rozrzucone suknie kobiece i przewrócone krzesło wskazywały, że stoczono tutaj walkę.

— To pokój Eleonory. Stąd ją porwano — pomyślał po rozpoczęciu szczegółowej rewizji.

Na dnie szufladki nocnego stolika znalazł zapisany zeszyt, na okładce którego widniał tytuł: *Dziennik Eleonory Duse*.

Rocambol począł gorączkowo przerzucać kartki. Czytał z rosnącą uwagą.

Ustęp z dziennika Eleonory Duse, który przykuł uwagę naszego bohatera, był treści następującej:

19 marca. Ojczym jest dla mnie coraz surowszy, ogranicza coraz bardziej moją wolność osobistą.

Wczoraj naprzykład zabronił mi wchodzić do dużego salonu, w którym zamyka się całymi dniami.

Jest to niepokojące, gdyż człowiek ten waży się na wszystko, byleby usunąć mnie z drogi.

Również wczoraj przywieziono jakąś komodę, którą usiłował ukryć przed moim okiem i kazał szybko zanieść do dużego salonu. Zresztą jestem...

Rocambol nie dokończył czytać, gdyż nagle w przedpokoju rozległy się czyjeś kroki.

Zgasił szybko latarkę i z rewolwerem w dłoni ukrył się za firanką.

Do pokoju wszedł mężczyzna, mocno chwiejąc się na nogach.

— Jakem Kacper — rzekł wchodzący — widziałem tu przed chwilą światło. Pewnie mi się zdawało. Zawsze mi się, do diabła, zdaje po czerwonym winie, że widzę światło. I zdaje mi się jeszcze, że nie ja chodzę po ziemi, tylko ziemia chodzi pode mną. Dziwne jest jeszcze to, że czuję taką senność. Położę się do łóżka panienki. Przecież wyjechała jak [powiedział pan] Bileau. Nikt mnie tu nie znajdzie. O [ciężko jest] być lokajem. Nawet nie ma [wypocząć kiedy]. Ale, doprawdy, taki jestem osłabiony, że się wyśpię za wszystkie czasy.

Jeszcze coś mruczał pod nosem, aż rzucił się na łóżko i zapadł natychmiast w sen głęboki.

Rocambol zbliżył się do śpiącego pijaka i, poświeciwszy latarką, zajrzał mu w twarz.

Stanął zdumiony. Pijak był niezwykle podobny do naszego bohatera. Tylko czarne wąsiki różniły oblicze jego od wygolonej twarzy Rocambola.

— No, mam szczęście, nie trzeba się nawet charakteryzować — pomyślał.

Wąsiki wyrysował sobie czarną szminką, którą znalazł na toalecie panny Eleonory.

Rocambol zapinał na sobie ostatni guzik lokajskiego fraka, kiedy usłyszał donośne dzwonienie.

Począł z rozmysłem budzić pijaka:

— Kacperku, Kacperku, wstawaj! Pan dzwoni.

— Ach, drogi przyjacielu — bąkał przez sen Kacper — wyręcz mnie, błagam, jestem taki śpiący.

Głośnym chrapaniem zakończył Kacper swą prośbę.

Rocambol, kierowany instynktem, udał się na górę.

Niebawem znalazł się w gabinecie i ze słowami: „Słucham Pana”, ukłonił się nisko.

W gabinecie na skórzanych fotelach siedziało dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich siwy i tęgi o złym, [demoni]cznym wyrazie twarzy tłumaczył coś drugiemu,*** młodszemu, który słuchał uważnie.

Wejście Rocambola przerwało rozmowę i starszy mężczyzna zwrócił się do niego, wygrażając pięścią:

— Jesteś, łajdaku! Leć mi natychmiast na dół do kredensu i przynieś butelkę likieru. Oto klucze.

To mówiąc, rzucił mu pęk kluczy i kazał się wynosić.

Zaledwie Rocambol znikł za drzwiami, pan Boileau i jego towarzysz podjęli na nowo przerwana rozmowę. Nie wiedzieli bowiem, że lokaj zamiast iść po likier, stanął pod drzwiami i podsłuchiwał.

— Twoje zamiary — mówił młodszy jegomość — mogą spełznąć na niczym, jeżeli nie usuniesz jej zupełnie. Ukrywanie dziewczyny w domu jest niebezpieczne. Jest wielu ciekawych, których dziwi jej nagły wyjazd.

— Zupełnie słusznie. Trzeba z tym raz skończyć. Jutro omówimy to ostatecznie, a dzisiaj po likierze idź już do domu, gdyż nasze nocne rozmowy mogą wzbudzić podejrzenia. Ale, czekaj, czy ten łotr Kacper nie podsłuchuje nas? Taki mi coś dzisiaj był niewyraźny.

Pan Boileau wstał i otworzył drzwi, ale Rocambol był już na dole.

Otwierając kredens, zwrócił domniemany lokaj uwagę na jeden mały kluczyk, niepodobny do innych, który był używany do otwierania najbardziej skomplikowanych i przeważnie ukrytych zamków.

Toteż zdjął go z kółka i schował do kieszeni. Kiedy wnosił likier i oddawał klucze panu Boileau, ten nań nie spojrzął nawet.

Po jakimś czasie Rocambol, siedząc na dole obok śpiącego Kacpra, usłyszał pożegnanie gościa z gospodarzem i zatrzaśnięcie bramy wejściowej.

Teraz czekał, aby pan Boileau ułożył się do snu.

Gdy tak zwlekał, ponowny dzwonek zaważwał go na górę.

Pan Boileau leżał już w łóżku, w małej, jasno oświetlonej sypialni przyległej do gabinetu.

Pan Boileau kazał Rocambolowi zbliżyć się do siebie. Obejrzał go uważnie od stóp do głowy i widać było, że się czymś zaniepokoił.

Nasz bohater nie przypisywał jednak temu wielkiej wagi.

Pierwszy przerwał milczenie pan Boileau:

— Czego stoisz jak głupi? — zawołał. — Czy nie wiesz, że twoje miejsce jest pod ścianą, kiedy słuchasz moich rozkazów?

Były aktor stanął pod ścianą.

— Nie tutaj! — krzyczał ciągle niezadowolony pan Boileau. — Bliżej stołu, o tak, teraz dobrze.

Rocambol znowu wypełnił żądanie.

Nagle poczuł, że stało się coś strasznego. Był skrępowany.

Z niewidocznych otworów w ścianach wysunęły się dwie pary stalowych kleszczy. Jedna para objęła go wpół tak, że niemógł ruszać ani tułowiem, ani rękami, natomiast druga chwyciła go za nogi.

Boileau śmiał się przeraźliwie, wyraz jego twarzy był szatański.

— Mam cię ptaszku, po rączkach cię poznałem. Mój lokaj nie miał takich delikatnych, wypieszczonych dłoni. Mimo że jesteś dość sprytny, to jednak dałeś się wywieść w pole. No! No! Teraz pójdę po policję.

Wstał z łóżka i niebawem wyszedł.

Rocambol został sam.

Nie było ratunku.

Za chwilę wpadnie policja i aresztuje go.

4. W podziemiach

Najlżejsze poruszenie sprawiało mu dotkliwy ból.

Tak trawił drogocenne minuty w bezczynności i rezygnacji. Nagle usłyszał pijacką piosenkę, a potem ujrzał samego Kacpra, który jeszcze nie wytrzeźwiał.

Lokaj na widok Rocambola osłupiał.

— To ja czy nie ja? — wybełkotał w przerażeniu.

— Twój duch — odpowiedział nasz bohater grobowym głosem. — Jeżeli nie przyniesiesz natychmiast pilnika, zginiesz marnie.

To podziało.

Kacper wyskoczył z sypialni jak oparzony i po chwili wrócił z pilnikiem w dłoni.

Rocambol ledwo się wyzwolił ze stalowych szponów, rzucił się na draba i powalił go na ziemię.

Nie miał wiele do roboty.

Prześcierałem ściągniętym z łóżka pana Boileau skrępował lokaja i szybko opuścił przekłętą sypialnię.

Należało umykać.

Kiedy schodził ze schodów, przyszedł mu na myśl fragment z pamiętnika panny Eleonory Duse.

— Gdzie może się mieścić ten zagadkowy salon, o którym pisała? — pomyślał. — Właściwie nie zbadałem wnętrza pokoju mieszczącego się za jadalnią — rozumował dalej. — Trzeba będzie tam zajrzeć przed opuszczeniem tego domu.

Wszedł do parterowej jadalni i nacisnął klamkę od drzwi wiodących do niezbadanego pokoju.

Oczom jego przedstawiło się wielkie pomieszczenie, na którego całkowite umeblowanie składały się wyściełane krzesła rozstawione pod ścianami oraz jeden niezwykle w salonie mebel.

Była to palisandrowa komoda o dwóch szufladach, która była zbyt wielka, aby mogła odpowiadać swemu przeznaczeniu.

Rocambol próbował wyciągnąć szufladę, ale przekonał się rychło, że uległ złudzeniu wzrokowemu.

Szuflady były tylko wymalowane dla niepoznaki, komoda była wewnątrz pusta.

Chciał unieść wieko, było jednak mocno zamknięte.

Oglądając komodę ze wszystkich stron, natrafił na umieszczoną z boku dziurkę od klucza.

Rocambol zaczął szukać jakiegoś narzędzia, gdy nagle przypomniał sobie kluczyk, wykradziony panu Boileau.

Okazało się, że pasował doskonale.

Gdy wieko zostało uniesione, Rocambol wydał okrzyk zdumienia.

Komoda nie miała dna i w jej głębi widniał ciemny szyb.

Na środkowej ścianie komody zawieszona była zwinięta drabinka sznurowa.

Bez namysłu ją rozwinął i począł schodzić do szybu.

Trwało to bardzo długo i z liczby stopni wywnioskował, że szyb ma kilkanaście metrów głębokości.

Gdy znalazł się na dnie, zapalił latarkę.

Był w podłużnej, wilgotnej piwnicy. Wydawało mu się, że jest sam. Nie dowierzając jednak oczom, ruszył w głąb podziemia.

Nagle zatrzymał go głośny okrzyk niewieści. Skierował światło w miejsce, skąd głos pochodził i ujrzał młodą, zadziwiającą piękności kobietę, wtuloną w najgłębszy kąt piwnicy.

Wyraz jej twarzy znamionował przerażenie. Wyciągnięte ręce, jakby odpychały przybysza.

Rocambol domyślił się od razu, że ma przed sobą pannę Eleonorę Duse. Zaś przestraszony przypisywał nieporozumieniu, dzięki któremu przyjechała go za ojczyzna.

Pomimo niezwyklej okoliczności Rocambol uklonił się wytwornie i chciał zbliżyć się do kobiety, aby się przedstawić, ale ponowny okrzyk zatrzymał go w miejscu.

— Pani — rzekł — przybywam tu jedynie po to, aby cię wyzwolić z rąk twojego ojczyzna. Nie lękaj się przeto i pozwól mi się zbliżyć.

— Stój, nieszczęsny — zawołała w odpowiedzi młoda kobieta i zasłoniła ręką oczy.

Rocambol przestał rozumieć sytuację. Zdawało mu się, że panna Eleonora jest obłąkana.

Omylił się jednak. Sprawa rychło się wyjaśniła. Panna Duse bowiem, uspokoiwszy się nieco, rzekła:

— Panie, nie myśl, że jestem wariatką. Od pierwszej chwili, gdy tylko uniesiono wieko komody, wiedziałam, że idzie ktoś dobrze mi życzący. Ojczym mój nigdy nie przychodzi o tej porze, a przed przyjściem usuwa przeszkodę, której pan nie zauważył.

Idąc ku mnie, natknąłbyś się na druty elektryczne, które odgradzają mnie od reszty podziemia. Dotknięcie tych drutów zabija natychmiast.

Rocambol dostrzegł rzeczywiście siatkę z grubych drutów, oddzielającą go od panny Eleonory.

Drutów nie można było w żaden sposób usunąć za pomocą narzędzia trzymanego w ręce, gdyż prąd przedostawał się od razu do ciała.

Przeszkoda była prawie nie do przewyciężenia.

Nagle Rocambol uśmiechnął się wesoło i ustawił światło latarki na najbardziej splątane miejsce siatki elektrycznej, wyjął rewolwer i wypalił.

Druty pękły.

Po dwóch następnych wystrzałach siatka przestała istnieć.

Rocambol zbliżył się do panny Eleonory i, ucałowawszy ją w rękę, powiedział:

— A teraz uciekajmy, póki droga wolna. Zaraz wpadnie do domu policja, z którą niestety nie chciałbym się spotkać.

Pobiegli w kierunku drabiny, ale spotkał ich gorzki zawód.

Drabinka znikła.

Rozpacz panny Eleonory nie miała granic.

— Jesteśmy teraz oboje zgubieni — mówiła z przerażeniem w głosie. — Ojczym domyślił się wszystkiego.

Rocambol uspokajał ją, twierdząc, że Boileau złapał ich co prawda, ale na razie nic im nie grozi, gdyż nie wskaże on policji podziemia, w którym więzi własną córkę.

Podczas tej rozmowy pod ścianą przesunął się kot.

Zjawisko to nie zawierające z pozoru nic nadzwyczajnego, wzbudziło w Rocambolu wielkie zainteresowanie. Z zaciekawieniem obserwował ruchy zwierzęcia.

Ten zwykły kot — rozumował nasz bohater — może nam się bardzo przydać. Piwnica bowiem ma tylko połączenie z salonem. Kot zaś tą drogą dostać się tutaj nie mógł. Musi tedy istnieć inne połączenie ze światem, którego ja na razie nie znam, a które wskaże nam to zwierzątko.

Tak myśląc, Rocambol uczynił ruch ploszący kota. Zwierzę zwinnie wdrapało się po nierównej, chropowatej ścianie pod sufit i znikło w małymotworze.

Były aktor klasnął w dłonie.

— Jesteśmy uratowani! — zawołał. — Należy tylko wyjąć kilkanaście cegieł.

Wdrapał się po wystających kamieniach pod sufit i wsunął rękę w otwór.

— Jest to otwór, przez który przechodzi rura wodociągowa — zakomunikował pannie Eleonorze, śledzącej z zainteresowaniem jego ruchy. — Szkoda tylko, że nie ma się tu o co oprzeć, aby łatwiej było wyjmować luźno osadzone cegły. Aha, mam!

Rocambol rzeczywiście jedną dłonią zaczepił się o rurę przeprowadzoną pod sufitem.

Wisząc w powietrzu na jednej ręce, drugą wyciągał już ku najbliższej cegle, kiedy nagle zwałił się całym ciałem na ziemię.

Zardzewiała rura nie wytrzymała ciężaru człowieka i pękła, przełamując się na dwoje.

Z otworu trysnęły strumienie wody.

Nasz bohater, nie zwracając uwagi na silne potłuczenie, zerwał się na równe nogi.

Woda zalewała piwnicę z ogromną szybkością i po dziesięciu minutach mieli już jej po kostki.

Rocambol biegał po piwnicy jak szalony, opukując ściany.

W dwóch miejscach usłyszał głuchy dźwięk, świadczący o tym, że ściana jest cienka. Nie miał jednak żadnego narzędzia do przebicia otworu.

Woda tymczasem wzbierała coraz bardziej. Po niejakim czasie byli już zanurzeni do pasa.

Panna Duse mdlała ustawicznie i Rocambol musiał ją cucić, tracąc czas nadaremnie.

Nagle kobieta krzyknęła boleśnie.

— Co się stało? — zapytał Rocambol.

— Nastąpiłam na coś ostrego — odpowiedziała.

Nasz bohater, nic nie odpowiadając, znikł pod wodą.

W ręce trzymał kilof kamieniarski. Woda, zalewając podłogę, rozmiękczyła ją i zakopany przedmiot uraził nogę panny Eleonory.

Rocambol wziął się do burzenia ściany. Praca szła mu z trudem, byli bowiem zanurzeni do ramion.

Wykuł już dość głęboki otwór, kiedy kilof natrafił na coś twardego i niepodatnego.

— Jakiś metal — wyszeptał nasz bohater.

Tłukł w ścianę z podwojoną siłą. Wreszcie ostrze kilofa zaryło się głęboko i ukazała się oświetlona przestrzeń.

Rocambol nie czuł już ziemi pod stopami. Panna Duse dusiła się.

Wkrótce otwór był dostatecznie wielki, aby zmieścić człowieka. Chwyciwszy kobietę, wypłynął na powierzchnię. Z trudem przecisnęli się przez szczelinę.

Byli w pustej sześciennej komorze podobnej do wnętrza wielkiego pudła. Mała żarówka rozsiewała mdłe światło. Nie było żadnego otworu prócz dziury wykutej kilofem.

Rocambol dotknął ręką podłogi i poznał, że była zrobiona z blachy aluminiowej. Ściany okazały się z tegoż materiału.

— Zastanawiające — wymruczał pod nosem — ale o tym potem. Dobrze byłoby się teraz przespać. Jestem porządnie zmęczony.

Panna Duse podzieliła jego zdanie. Ułożyli się na aluminiowym pościu i usnęli snem sprawiedliwych.

Nie sądzony był im widocznie długi spoczynek, gdyż niebawem zerwali się jak oparzeni.

Byli istotnie poparzeni.

W czasie snu podłoga rozgrzała się z niewiadomej przyczyny, a teraz była już wprost piekąca.

Podbiegli do ścian. Były one rozgrzane jak blacha kuchenna.

Cóż należało czynić?

Z jednej strony olbrzymi rondel, w którym można się było żywcem ugotować, z drugiej podziemie zalane wodą.

— Musimy się stąd wynosić — syknął Rocambol, przestępując z nogi na nogę i oblewając się strumieniami potu.

Nasz bohater zbliżył się do otworu łączącego piekielną komorę z podziemiem i nasłuchiwał.

Szum spadającej wody ustał, strumień przestał przybierać.

— Wracamy do potoku, panno Eleonoro. Trudno, już taki nasz los — rzekł żartobliwie i skoczył w otwór.

Nie zdążył jednak podplłynąć z powrotem, by pomóc młodej dziewczynie, gdy ujrzał coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

Z otworu padało światło i oświetlało mroczną przestrzeń wodną.

W smudze tego światła, powoli przebierając niezgrabnymi łapami, pływał wielki krokodyl!

Potwór szeroko rozdziawił paszczę, ukazując dwa rzędy ostrych zębów, i mrugał małymi oczkami.

Gdy ujrzał człowieka, zaczął podplływać powoli, bez pośpiechu, mając prawdopodobnie pewność, że ofiara i tak mu nie ujdzie.

Rocambol domyślił się, skąd wziął się jaszczur w podziemiu. Oto swego czasu wielką sensację w Paryżu wywołało pojawienie się cyrku Bovis'a, który przywiózł do Paryża czternaście olbrzymich krokodyli.

Po pewnym czasie właściciel cyrku zbankrutował i był zmuszony sprzedać całą menażerię, łącznie z aligatorami. Zwierzęta i płazy zostały wykupione w okamgnieniu przez bogaczy Paryża.

Z pewnością Boileau kupił też jednego krokodyla i umieścił go w swych podziemiach.

Rocambol tymczasem wykonywał pod wodą jakieś gorączkowe ruchy. Jego rewolwer ukryty w gumowym, nieprzemakalnym futeraliku zawieruszył się gdzieś w kieszeni.

Krokodyl podpłynął już bardzo blisko, a broni ani śladu.

Nie było już czasu na poszukiwania.

W takich momentach Rocambol decydował się szybko.

Dał nurka i zanim zaskoczony niespodziewanym zwrotem płaz zdążył się również zanurzyć, Rocambol siedział już okrakiem na jego grzbiecie.

Teraz znalazł rewolwer bez trudu i, przyłożywszy lufę do oka krokodyla, wystrzelił.

Musiał szybko zeskoczyć ze swego nieprawdopodobnego rumaka, gdyż potwór natychmiast przewrócił się do góry brzuchem.

Rocambol, nie przyglądając mu się wcale, wrócił do aluminiowej komory.

Oczom jego ukazała się rozpaczliwa scena.

Panna Duse, nie mogąc samodzielnie wydostać się z rozżarzonego kotła, biegła po komorze, oślepiona bólem i strachem. Pomoc nadeszła w ostatniej chwili, gdyż jeszcze kilka minut spędzonych w skwarze mogłoby ją przypaść o utratę życia.

Rocambol nie tracił ani sekundy i wyniósł ją do zatopionej piwnicy. To orzeźwiło dziewczynę.

Na powierzchni pływał przewrócony do góry brzuchem, martwy potwór. Młoda kobieta, ujrawszy go, o mało znowu nie utraciła przytomności. Rocambol jednak wytłumaczył jej, że nie ma się czego obawiać:

— Będzie to nasza łódź, na której przebędziemy niebezpieczną drogę — zakończył swe wyjaśnienia.

Siadłszy na brzuchu krokodyla, Rocambol zamyślił się.

Naraz klasnął w dłoń:

— Wiem, skąd się ta gadzina tu wzięła. W ścianie musi być kłapa. Przypominam sobie, że podczas opukiwania ścian usłyszałem odgłos w dwóch miejscach.

Skoczył do wody i podpłynął do wymienionego miejsca. Wymierzył cios kilofem. Ściana była drewniana i rzeczywiście miała konstrukcję kłapy, która uchyliła się na chwilę pod naporem wody. Wewnątrz nowoodkrytego pomieszczenia ujrzał dzienne światło, pochodzące z góry. Była to sąsiednia piwnica, a raczej dno głębokiej studni, gdzie trzymano krokodyla.

Po podniesieniu kłapy woda szybko zaczęła się przelewać do owej studni. Przedostali się tam również Rocambol z panną Eleonorą.

Do ściany studni przymocowana była długa drabina. W górze widniał skrawek nieba, upstrzonego gwiazdami.

Byli na wolności!

W okamgnieniu wdrapali się na górę. Studnia stała w polu. Dom pana Boileau widniał w oddali.

— Chodźmy — rzekła panna Duse, stając na twardej ziemi i wciągając pełnymi piersiami powietrze. — Pójdziemy do mego brata, gdzie bezpieczeństwo będzie zapewnione.

— Nie, pani, jesteś wolna i ja ci już nie będę towarzyszył — odpowiedział Rocambol.

— Czemu?

— Muszę wrócić do domu pana Boileau.

— ?!!

— Zostawiłem w ogrodzie w kieszeni palta pewne dokumenty osobiste i dwieście kul rewolwerowych.

— Czy zobaczymy się jeszcze kiedyś, mój zbawco?

— Nie wiem, pani — rzekł Rocambol z ukłonem.

Panna Eleonora Duse westchnęła. W oczach jej błyszczał żal.

Nasz bohater skłonił się ponownie i rzekł: — Czas nagli.

Rozstali się.

Panna znikła w ciemnościach. Rocambol zawrócił i, pogwizdując, ruszył ku domowi pana Boileau.

5. Oblężona lokomotywa

— Włamywacz uciekł.

— Takie czekanie, aż sam wpadnie w nasze ręce, do niczego nie doprowadzi.

— Dajcie spokój. Dom jest doskonale obsadzony. Musi wpaść w nasze ręce.

— Jednakże znikł bez śladu. Rewizja nie dała żadnych wyników.

Powyższa rozmowa prowadzona była przez kilku detektywów, sprowadzonych przez pana Boileau, a pomiędzy którymi znajdowali się znajomi nasi, panowie Sift i Smith. W pobliskich zaroślach coś się poruszyło.

Rozmawiający detektywi nie usłyszeli jednak szmeru.

Mówili dalej, marznąc w porannym chłodzie.

Szmer powtórzył się.

Pan Sift nadstawił ucha.

— Mam wrażenie, że ktoś siedzi w tych zaroślach — rzekł.

Istotnie, w gęstwinie poruszał się jakiś cień.

Wszyscy detektywi, a było ich pięciu, jak na komendę wyciągnęli rewolwery.

Powoli postępowali ku zarośłom.

Nagle jakaś postać w czarnej masce wyskoczyła z zarośli i pędem rzuciła się ku bramie ogrodowej, od której przed chwilą odeszli detektywi.

Pięć strzałów zagrzmiało jednocześnie, leczani jedna kula nie trafiła.

Uciekający był już na ulicy.

Nie przewidział jednak, że stoi tam automobil, gotowy do pogoni.

Detektywi, widząc, z jak z niesłychaną szybkością nasz bohater ucieka wzdłuż ulicy w kierunku pola, skoczyli do samochodu. Rocambol biegał rekordowo. Nie mógł jednak dorównać dobremu automobilowi.

Toteż wynik pogoni byłby przesadzony, gdyby były aktor w porę nie dotarł do toru kolejowego, o którym wspominaliśmy wyżej.

Traf zrządził, że torem przejeżdżał pociąg kurierski.

Jednym susem Rocambol znalazł się na stopniu wagonu.

Auto właśnie skręciło raptownie i pędziło drogą wzdłuż toru.

Rocambol, nie zważając na grad kul posyłanych mu przez detektywów, wdrapał się na dach pociągu.

Nie odpowiadał na strzały, tylko biegł w kierunku lokomotywy.

Gdy już docierał do celu, poczuł w okolicy ramienia coś ciepłego.

Dotknął wspomniane miejsce ręką.

Dłoń zabarwiła się na czerwono.

Był ranny.

Nie zwracał na ten szczegół najmniejszej uwagi.

Biegł dalej.

Od lokomotywy dzieliła go węglarka.

Stopy jego obsuwały się ustawicznie. Z trudem utrzymywał równowagę.

Po chwili był we wnętrzu lokomotywy.

Maszynista i palacz ujrawszy go, krzyknęli przerażeni.

Rocambol nie pozwolił im się opanować.

Z rewolwerem w dłoni rozkazał im czym prędzej wycofać się z lokomotywy i odciąć ją od pociągu.

Musieli spełnić jego żądanie.

W mgnieniu oka wagony zatrzymały się, a wolna lokomotywa pędziła naprzód.

Rocambol został panem parowozu.

W pośpiechu, przez nieuwagę zacisnął jakąś korbę. Wewnątrz motoru coś ci-cho pękło. Lokomotywa jednak pędziła na razie dalej, tylko bieg jej stał się nieco powolniejszy.

Były aktor wyrżał na zewnątrz.

Od auta dzieliła go zaledwie kilkunastometrowa przestrzeń.

Nagle lokomotywa zaczęła zwalniać bardzo widocznie.

Było oczywiste, że zatrzyma się wkrótce zupełnie.

— No, trzeba będzie się bronić z tej fortecy — pomyślał Rocambol.

Niebawem lokomotywa stanęła zupełnie. Pierwszy strzał naszego bohatera zranił szofera w rękę.

Po następnym wystrzale samochód był pusty, a jego pasażerowie schronili się w rowie i stamtąd rozpoczęli regularne obłężenie.

Rocambol widział, jak dwóch z nich przepęzło na drugą stronę toru, aby odciąć mu odwrót.

Na strzały naszego bohatera prawie nie odpowiadali. Czekali, aż mu się wyczerpie amunicja.

Rocambol zamyślił się. Pod kotłem palił się ogień. W środku nagromadziło się już dużo pary. Wystarczyło zamknąć górną klapę, by tę fortecę na kołach wysadzić w powietrze.

Uczynił to.

W umyśle liczył sekundy.

W pewnym momencie skoczył w tył i znalazł się o dwa kroki za lokomotywą.

Nastąpił silny huk i w górę strzelił słup czarnego dymu.

Za lokomotywą, pod nasypem, znajdowało się głębokie zagłębienie. Rocambol wpadł do tego rowu, a gdy nastąpiła eksplozja, odłamki i dym przeleciały nad jego głową, nie robiąc mu najmniejszej szkody, lecz ogłuszając na kilka chwil.

Rocambol zerwał się i biegł przed siebie, niedostrzeżony na razie przez przeciwników.

Ci ostatni skupili się przy szczątkach parowozu.

— Wolał zginąć, aniżeli się poddać — rzekł Sift.

— Misja nasza jest wobec tego skończona — dodał Smith.

Nagle ktoś zawołał:

— Patrzcie, patrzcie!

Oczy zdumionych detektywów zwróciły się we wskazaną stronę.

Rocambol dopadł już samochodu i siedział przy kierownicy.

Motor był jednak uszkodzony jego własną kulą.

Wyskoczył więc i puścił się pędem w stronę widniejącej w oddali szopy.

Detektywi rzucili się za nim.

Rocambol czuł, że traci siły. Rana w ramieniu osłabiła go bardzo. Nie poddawał się jednak niemocy.

Z trudem dotarłszy do szopy, oparł się o ścianę i ciężko oddychał.

Nie miał już sił do dalszej ucieczki.

Pogoń zbliżała się pędkiem.

Rocambol nie chciał się poddać. Wyjął z kieszeni rewolwer i przyłożył lufę do skroni.

Wtem radość zaświeciła się w jego oczach.

Oto, co ujrzał: na aerodromie, położonym za szopą, stał biały, jakby gotowy do lotu, aeroplan.

Nadzieja przywróciła mu siły.

Ruszył ku latającej maszynie.

Obok aeroplanu przechadzał się mężczyzna w stroju pilota, paląc cygaro. Widać było, że gdy tylko dopali, siądzie do latającej maszyny. Wtem cygaro wypadło lotnikowi z ust. Wybałuszył oczy.

Aeroplan przejechał kawał pola i uniósł się w powietrze.

Trzymając się drabinki, zawisło w przestrzeni dwóch mężczyzn.

Byli to panowie Sift i Smith.

Już na znacznej wysokości wdrapali się do środka i niemal jednocześnie przyłożyli Rocambolowi rewolwery do głowy.

— Ląduj, łotrze! — krzyknął pan Smith.

— Ląduj, galerniku! — dodał pan Sift.

Z tych wykrzykników Rocambol rozumiał od razu, że ani Smith, ani Sift nie mają pojęcia o lotnictwie.

Odpowiedział im przeto:

— Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Aeroplan wznosił się coraz wyżej.

Detektywi zgłupieli.

— I cóż? — zapytał po długiej chwili Smith.

— I cóż? — dodał Sift.

— I nic — odpowiedział Rocambol.

Dosięgali już chmur.

— Pies! — zawołał Sift.

— Wydra! — dodał Smith.

— Bardzo mi przyjemnie, jestem Rocambol — odpowiedział nasz bohater.

Sytuacja dla detektywów stawała się nader przykra.

— Jakie warunki? — jęknął Smith.

— Więc, jakie warunki? — poprawił Sift.

— Nie ma warunków — odpowiedział Rocambol.

Upłynęła długa chwila.

Wreszcie nasz bohater rzekł wspaniałomyślnie:

— Szkoda mi was i dlatego puszczę was wolno.

— Otwórzcie to pudło. Leżą tam dwa spadochrony. Opuszczę się trochę niżej. Będziecie mogli skoczyć bez obawy.

— Boję się — wyjąknął Smith.

— I ja się boję — jak echo powtórzył Sift.

— Więc nie skaczcie — odpowiedział Rocambol. Znowu podnieśli się wyżej.

— No, zgoda, zgoda! — szlochał już Smith.

— Oj! Aj! Och! Ach! Zgoda, zgoda! — płakał Sift. Zdecydowali się wyskoczyć.

— No! Krzyżyk na drogę i hop! — zawołał Rocambol. Wyskoczyli niemal jednocześnie.

Gdy już stanęli na ziemi, spojrzeli w górę.

Aeroplan wyglądał jak mały punkcik i wkrótce zupełnie znikł im z oczu.

Nazajutrz w gazecie „Le Matin” zjawiał się sensacyjny artykuł pt.

Rocambol wysadza lokomotywę. Ucieka aeroplanem i wyrzuca stamtąd dwóch detektywów.

Tłumy rozchwytywały gazetę na ulicach Paryża.

Redaktorzy zacierali ręce z radości. Gazety szły im świetnie.

Dziennikarze błogosławili Rocambola, który dostarczył im tyle tematu do sensacyjnych artykułów.

Lecz wszystkim tym bynajmniej nie przejmowały się władze, które zarządziły pościg za aeroplanem, jednak nadaremnie. Aeroplan wiozący Rocambola znikł bez śladu.

JERZY ROLICZ



PRZYGODY 16 LETNIEGO PODRÓŻNIKA



CENA
10 GR.

5 Skarb Sundrama

Jerzy Rolicz

Przygody 16-letniego
podróżnika

Zeszyt 5

Skarb Sundrama

Ludwik Payor



ok. 1938

Skarb Sundrama to piąty odcinek serii zeszytowej Jerzy Rolicz — przygody 16-letniego podróżnika autorstwa Ludwika Payora, przedstawianego jako „polski Karol May”. O autorze wiadomo tylko, że pod zbliżonym nazwiskiem (prawdopodobnie pseudonimem) Ludwik Payer wydał powieść *Czarna wdowa* (Łódź, 1939). Zeszyty tej serii, drukowane przez warszawskie wydawnictwo Współpraca z siedzibą na Lesznie ukazywały się w 1938 roku. Znamy tytuły dziesięciu. Poza wymienionymi na karcie tytułowej i zapowiadanych szóstym *Martwym kręgiem* były to między innymi: *Diament śmierci*, *Demon Oceanu Indyjskiego*, *Tygrys z Benaresu* i *Tajemnica Tughów-Dusicieli*. W 1924 roku wychodziła seria Jerzy Werton. *Niezwykłe przygody 16-letniego podróżnika* niejakiego Ludwika Mac Toy’a, w której podobne tytuły wskazywałyby na to, że Jerzy Rolicz... był nieznacznie zmienionym wznowieniem.

W reklamie czytamy, że są to „emocjonujące opowiadania o dziejach 16-letniego chłopca wciągniętego w wir przygód w krajach podzwrotnikowych i w Ameryce...”. Bohaterem serii jest młody warszawiak Jerzy Rolicz, nazywany czasem przez autora Jerzykiem, który ma niewiele więcej lat od Stasia Tarkowskiego z powieści *W pustyni i w puszczy* (Sienkiewicz

drukował ją w odcinkach w „Kurierze Warszawskim” w latach 1910—1911) i pod wieloma względami go przypomina. Jest uprzejmy, jasnooki, bystry i szlachetny, a zarazem potrafi zręcznym chwytem obezwładnić przeciwnika, czyli stanowi wcielenie modelowego dla powieści przygodowej „twardego gentlemana”. Dobrze urodzony, ma „wystarczającą ilość pieniędzy, by obejrzeć to wszystko, co jest do obejrzenia”. Kocha przygody, przez co nie może wrócić do kraju, bo nowe perypetie wciąż go od tego odciągają.

W tym odcinku zastajemy Jerzego Rolicza w „murzyńskiej mieścinie” Lagos, do której przedarł się po przebyciu delty Nigru. Na targu kupuje amulet od jednookiej Melity, byłej niewolnicy. Straganiarce dał go na łożu śmierci jej biały właściciel i handlarz żywym towarem, okrutny Sundram, i polecił odsprzedać jedynie uczciwemu Europejczykowi, a Rolicz właśnie na takiego wygląda. Amulet zawiera mapę prowadzącą do skarbu, ledwie jednak Jerzy rzuca na nią okiem, wyrasta przed nim podły Jastrząb Hopkinson, były pomocnik Sundrama, od lat będący na tropie zdobyczy. Rolicz radzi sobie z natrętem jednym ciosem i wyrusza zgodnie z mapą, ale przeciwnika spotyka na swej drodze jeszcze trzykrotnie: w zajeździe, na statku, wreszcie

u samego celu. Tam odkrywa grób żony i dzieci Sundrama (właściwy tytułowy „skarb”) oraz kuferek kosztowności w pieczarze. Jastrząb Hopkins wpada w pułapkę i „zabija się na śmierć”, a Rolicz oddaje skarb misjonarzom, by „nie korzystać ze złota, zebranego kosztem krwi i nędzy murzyńskiej”.

Prezentowany odcinek idealnie wypełnia schemat popularnej powieści przygodowej, w której bohater najpierw dostaje wyzwanie lub klucz do tajemnicy, potem podejmuje decyzję o wyprawie, pokonuje przeciwników i wykonuje zadanie, ale „po rozwiązaniu sprawy usuwa się w cień”. Zarazem widać na jej przykładzie mnóstwo kolonialnych stereotypów. O „czarownicy” Melicie czytamy: „Ta kobieta była okropna: czarna, pomarszczona twarz, z której po prostu kapał brud, oraz resztki wystających zębów, stanowiły widok odrażający”. Dowiadujemy się też, że „czarni to wydrwigrosze” (to opinia samego Jerzyka), czytamy o ich bezczelności i lenistwie. Rodzina Sundrama zostaje „okrutnie wymordowana przez dzikich Murzynów”, co tłumaczy Roliczowi niechęć handlarza do tubylców. Zło rodzi zatem złoto, a jedyną pozytywną postać pośród czarnej „tłuszczy” i demoralizowanych, zamroczonych upałem i alkoholem białych kolonizatorów pozostaje szesnastoletni Polak, zuch i abstynent.

Można czytać Jerzego Rolicza... jako przejaw żywych w II Rzeczypospolitej fantazji o polskich wpływach w Afryce. W 1930 roku powstaje Liga Morska i Kolonialna, która snuje plany odebrania Mozambiku i Portugalii oraz pozyskania Madagaskaru od Francji, a w 1934 podpisuje umowę kolonizacyjną z Liberią. Rok później (1935) ukazują się *Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki Makuszyńskiego* i Walentynowicza o podróży małpki i murzynka Goga Goga z Arabii do Pacanowa, a Tuwim pisze mocno dziś rewidowanego *Murzynka Bambo*. Aż osiem książek podróżniczych o dzielnym Polaku wśród „dzikich” publikuje w latach międzywojennych Arkady Fiedler. Nie tak daleko im ideologicznie do popularnej powieści zeszytowej Ludwika Payora o młodym polskim dżentelmenie, który na własną rękę zaprowadza w Afryce sprawiedliwość.

Justyna Jaworska

Ludwik Payor, Jerzy Rolicz. *Przygody 13-letniego podróżnika*. Zeszyt 5: *Skarb Sundrama*. Wydawnictwo „Współpraca”, druk „Współpraca”, Warszawa ok. 1938.

1. Jednooka Melita

Najgorszym miesiącem na zachodnim wybrzeżu Afryki jest miesiąc lipiec. Trudny do wytrzymania klimat staje się wówczas po prostu okropny. Płuca daremnie usiłują schwycić odrobinę świeżego powietrza, a nawet bliskość oceanu nie przynosi żadnej ulgi. Panuje żółta febra i malaria, a jedynym ratunkiem dla Europejczyka są potężne dawki chininy i alkoholu.

Toteż biali mieszkańcy w szczególnie niezdrowych okolicach są prawie zawsze pijani, utrzymując, że tylko alkohol chroni od wszelkich chorób i pozwala łatwiej znieść tutejszy klimat. Ale rezultat tej metody po kilku latach pobytu w Afryce jest bardzo opłakany. Do Europy powracają ludzie zrujnowani fizycznie i umysłowo.

Klimat zachodnich wybrzeży posiada jeszcze jedną zgubną właściwość: działa drażniąco na system nerwowy białego człowieka. Łada błahostka, nic nieznaćące słowo potrafi wytrącić go z równowagi, a nawet doprowadzić do dzikiego szału. Dlatego też administracja francuska przenosi z powrotem do ojczyzny swych urzędników po kilkuletnim pobycie nad Zatoką Gwinejską.

Nie brak również w miastach portowych podróżników, a nawet awanturników, uciekinierów z katorgi lub też dezertków z Legii Cudzoziemskiej. Roi się od nich we wszystkich podejrzanych kawiarniach, brasseries — piwiarniach, barach i innych lokalach rozrywkowych.

Pewnego lipcowego popołudnia Jerzy Rolicz dotarł do nadbrzeżnej miejsciny Lagos. Był bardzo znużony po niezmiernie trudnej przeprawie przez deltę rzeki Nigru. Ostatni etap jego podróży wynosił przeszło pięćset kilometrów, które przebył konno, w czółnie oraz pieszo.

Początkowo, będąc w Duali, miał zamiar wsiąść na statek płynący do Dakaru, by następnie przesiąść się na parowiec udający się poprzez Cieśninę Gibraltarską do portu Algieru. Zmienił jednak zamiar. — Jestem w Afryce i mam dostateczną ilość pieniędzy, by obejrzeć to wszystko, co warte jest obejrzenia — pomyślał. — Gdy powrócę do Warszawy, nie będę już nigdy może miał powtórnej okazji ujżenia Czarnego Łądu.

Teraz, zamiast wsiąść na statek, udał się do Kamerunu, stamtąd zaś do portu Harcourt znajdującego się o paręset kilometrów na północ. Posuwając się ciągle w kierunku północnym, przebył deltę Nigru i wreszcie dotarł do Lagos, murzyńskiego miasta, gdzie rezydował komisarz rządu francuskiego.

Podróż ta nieco nadwyrężyła jego środki finansowe, ale to, co jeszcze pozostało, śmiało mogło wystarczyć na podróż do Warszawy i jeszcze pozostałaby mu spora sumka pieniędzy.

Ocierając obfity pot z czoła, Jerzy wymijał hałaśliwy rynek, gdzie Murzyni przykucnięci na gołej ziemi zachwalali swe różnorodne towary. Czego tutaj nie było? Placki maisu wysuszone na słońcu, orzechy kokosowe, gliniane naczynia z cuchnącym tłuszczem przeznaczonym do smarowania fryzury czarnych elegantek. Ale przeważali tutaj handlarze talizmanami i amuletami. Krzykliwie zachwalali swój towar, wywodząc na różne tony, że posiadają na sprzedaż cudowne, magiczne przedmioty, które mają uchronić nabywcę od nagłej śmierci, wszelkiej choroby, pożaru i złego uroku.

Pomimo znużenia, chłopca zainteresowały te przedmioty, rozłożone na brudnych płachtach. Z trudem powstrzymywał się od śmiechu, gdy przyjrzał się z bliska tym cudownym amuletom.

Były to zardzewiałe sprężyny od zegarów, śruby, pogięte druty, połamane czajniki, podkowki, szyjki i rączki różnych narzędzi i naczyń kuchennych oraz tysiące innych przedmiotów niewiadomego pochodzenia. Jerzy natrafił nawet na lornetę bez szkieł oraz szczątki instrumentu geodezyjnego, które zawędrowały tutaj, nie wiadomo w jaki sposób.

— Białe diable, młody białe diable! — rozbrzmiał nagle przenikliwy okrzyk w łamanej francuszczyźnie. — Spójrz tylko na me cudowne amulety... Spójrz tylko!...

Jerzy drgnął, nie spodziewając się tego wołania i spojrzał w kierunku, skąd głos ten pochodził. Nieopodal, na brudnej macie rozłożonej na ziemi, siedziała stara i brudna Murzynka o jednym oku. Ta kobieta była okropna: czarna, pomarszczona twarz, z której po prostu kapał brud oraz resztki wystających zębów stanowiły widok odrażający.

— Młody diable — skrzeczała — chodź tu, chodź tu, mam dla ciebie talizman... zupełnie inny talizman... Taki cudowny talizman nie dla głupich czarnych ludzi, lecz dla mądrych białych diabłów!..

Pomimo że wygląd czarownicy budził w nim odrazę, chłopiec zbliżył się i zapytał:

— Cóż chcieliście mi pokazać, czarna matko?

Wówczas handlarka kiwnęła nań kościstym palcem, przyzywając go bliżej ku sobie i czyniąc przy tym tajemniczą minę. Ale chłopiec nie miał najmniejszego zamiaru zbliżyć się do oblepionej brudem czarownicy.

— Mów z daleka — rzekł. — Ja dobrze słyszę!...

— Dobrze, piękny, biały, młody człowieku — zaskrzeczała. — Skoro nie chcesz zbliżyć się, będę musiała mówić głośno, choć to nie jest bezpieczne. A więc słuchaj, nazywam się Melita i wszyscy w Lagos, a nawet dalej wiedzą dobrze, że Melita jest uczciwą sprzedawczynią cudownych amuletów. Ale coż można zarobić, sprzedając

talizmany tym czarnym, głupim ludziom?... Z trudem, wielkim trudem zarobię pięć son albo dwa razy po pięć orzechów kokosowych... A tymczasem białe diabły zamknęły mego syna, jedyną światłość mego jedynego oka, w domu o grubych murach z grubymi kratami w oknach...

— Zamknęli syna w więzieniu! — wtrącił Jerzy. — Ale cóż to ma do rzeczy?

Stara handlarka westchnęła ciężko i odpowiedziała:

— Ja byłam w Algierze i Tunisie, i długie, długie lata żyłam pomiędzy białymi i pracowałam dla nich. A ja potrzebuję pięć razy po sto franków, by uwolnić mego syna. W zamian dam białemu talizman, który uczyni go bogatym, bardzo bogatym.

Chłopiec uśmiechnął się.

— Skąd wiesz, że talizman o którym mówisz, uczyni mnie bogatym? — zapytał — Czy nie możesz wykorzystać go raczej dla siebie?

Odpychająca twarz starej czarownicy wykrzywiła się w grymasie, który miał oznaczać uśmiech.

— O nie, młody panie — zawołała. — Duch Sundrama zabiłby każdego czarnego, któryby się ośmielił sięgnąć po te skarby. Czarnemu nie wolno zabierać skarbów Sundrama... O, nie, nie!..

Zagadkowe te słowa zaciekały Jerzego. Wiedział co prawda, że czarni to wydrwigrosze, ale ciekawość wzięła górę. Przysunął się do niej i zapytał:

— Opowiedzcie, kobieto, co to za historia z tym Sundramem? Ciekaw jestem ją usłyszeć.

Stara rozejrzała się dookoła i zaczęła szeptać:

— Jesteś znużony, jak widzę, więc przykucnij obok, a opowiem ci wszystko od początku. — Sundram był niegdyś handlarzem niewolników. Było to dawno, bardzo dawno. Bandy arabskich handlarzy łupiły całe wsie murzyńskie, uprowadzając w niewolę mężczyzn i kobiety. Sprzedawano je w Abisynii. Dzisiaj jeszcze niewolnictwo kwitnie w Abisynii¹. Otóż Sundram, aczkolwiek biały, stał na czele najgorszych okrutników. Ja byłam jego osobistą niewolnicą. Musiałam mu usługiwać od rana do nocy, a on nie szczędził mi przekleństw i razów. Od tego czasu znienawidziłam go oraz wszystkich białych diabłów. Krwawy Sundram pustoszył całe połacie kraju, uprowadzając czarny lud zakuty w dyby i kajdany. Handel ten przynosił mu niezmierne zyski, ale Sundram był człowiekiem chciwym i skąpym. Gromadził klejnoty, złoto i srebro, ukrywając je w miejscu jemu tylko wiadomym. Przyszła jednak ostatnia godzina na tego białego szatana. Ugodzony zatrutą strzałą, prawie dwa dni był w agonii. Miotał się na posłaniu ze skór zwierzęcych, przeklinał straszliwie, aż wreszcie zrozumiał, że nadeszła jego ostatnia godzina. Zawołał wówczas mnie do siebie i wręczył talizman, mówiąc: — „Słuchaj wiedźmo, daję ci ten talizman, wiedz jednak, że nie jest on twoją własnością. Prędej czy później sprzedasz go jakiemukolwiek białemu”

1 Znieśli je Włosi, po zdobyciu kraju Negusa.

— tutaj chwycił mnie za gardło, a jego twarz stała się straszna — „Pamiętaj, oddasz ten amulet tylko białemu. Biada ci, gdyby otrzymał go Murzyn. Przyjdę wówczas jako duch z tamtego świata i uduszę cię... Tymi oto rękami zadławię cię, po czym będziesz po wieczne czasy tułała się po dżungli, wyjąc jak hiena”.

Mówiąc to, czarownica zadrżała z trwogi, a pomarszczona jej twarz stała się popielata. Słowa umierającego handlarza niewolników dziś jeszcze, po tylu latach, napawały ją paniczną obawą.

— Przysięgłam na wszystkich dżinnów i szejtanów, że ślepo będę go słuchała. — „Ale pamiętaj Melito” — charczał w agonii — „wręczysz to białemu jak najpóźniej. Sprzedasz tylko wtedy, gdy pieniądze będą ci bardzo potrzebne... Pamiętaj jeszcze, że sprzedasz tylko temu białemu, który ci się spodoba — będąc pewna, że to będzie dobry człowiek”. — Następnie zaczął bredzić w agonii, wołając: „Ach te czarne bydlęta... te czarne bydlęta” — i z tymi słowy poszedł do piekła.

Jedyne oko Melity błysnęło:

— To wszystko — rzekła na zakończenie i wydobyła z całego stosu rupieci kłębek powiązanych gałganów — zaczekaj, pokażę ci ten talizman!

Rozwinęła gałgany i podała chłopcu kwadratowy kawałek zatłuszczonej skóry, do której przyczepiony był jedwabny sznurek.

Jerzy wziął talizman i przyjrzał mu się uważnie. Spostrzegł, że były to dwa cienkie kawałki skóry, zszyte brzegami w ten sposób, że stanowiły płaską torebkę zamkniętą ze wszystkich stron.

Chłopiec wyjął nóż, chcąc spruć szew, ale czarnoskóra handlarka chwyciła go za rękę, wołając:

— Nie, nie!... Trzeba ten amulet kupić, a potem możesz z nim robić, co ci się podoba!

Jerzy zawahał się. Spoglądał kolejno to na kawałek skóry, który trzymał w ręku, to na handlarkę. Miał wrażenie, że czarownica oszukuje go, chcąc wyłudzić od niego pięćset franków.

Pięćset franków za kawałek skóry! Trzeba było się zastanowić. Ale chłopiec był niezwykle ciekawy; w danym wypadku nie chodziło mu wcale o ukryte skarby, lecz przeczuwał jakąś tajemnicę i emocjonującą przygodę. Jeśliby handlarka zażądała pięć albo dziesięć franków, wówczas mógłby ją posądzać o oszustwo. Natomiast żądając całe pięćset, musiała być pewna swego, gdyż nigdy bezczelność czarnych nie posuwała się aż tak daleko.

Zresztą, Jerzy nie przypisywał zbyt wiele wagi do pieniędzy. Zarobił je z łatwością i w jego oczach pięćset franków nie przedstawiało zbyt wielkiej sumy. A pokusa przeniknięcia tajemnicy skórzanej torebki była zbyt wielka.

Sięgnął do kieszeni, wydobył portfel i wręczył starej Murzynce banknot pięćsetfrankowy.

— Dziękuję, biały młody człowieku! — zacharczała czarownica i szybko schowała pieniądze w stosie brudnych gałganów.

Jerzy rozpruł szew nożem i ujrzał w skórzanej torebce mały zwitek papieru. Wyjął go i rozwinął, nie zdążył jednak przyjrzeć się treści napisanej na tym skrawku, gdyż nagle uczuł, że ktoś stoi za jego plecami.

Obrócił głowę i ujrzał twarz Europejczyka w hełmie tropikalnym. Człowiek ten błyszczącym wzrokiem wpatrywał się w biały skrawek pergaminu, który znajdował się w ręku chłopca. Chuda jego twarz, okryta była rzadką, czarną bródką, a krogulczy nos czynił go podobnym do papugi.

We wzroku nieznajomego chłopiec wyczytał zawód i wściekłość.

2. Mister Hopkinson

— Boy!...

— Słucham.

— Hm, hm!...

— Czy pan chciał coś powiedzieć?

Jerzy z wolna obrócił się twarzą ku niemu i patrzył wyczekująco.

Chudy jegomość o krogulczym nosie chrząknął:

— Co to za papierek? — zapytał.

— Jaki papierek?

— Nie udawaj głupiego, chłopcze. Mówię o papierku, który trzymasz obecnie w ręku — w głosie jegomościa zadrgała ukryta groźba. Jerzy uśmiechnął się. Przeczuwał nieomylnym instynktem awanturę. I teraz nie żałował wcale owych pięciuset franków, ledwie bowiem nabył ten amulet, a już sprawa zaczęła przybierać ciekawy obrót.

Afrykańskie słońce oświeślało hałaśliwy rynek oraz czarne tłumy półnagich Murzynów. Chłopiec siedział tuż obok jednookiej Melity, która swym jedynym okiem wpatrywała się jak urzeczona w chudego jegomościa w korkowym hełmie.

Chłopiec usłyszał jej cichy szept: — Wystrzegaj się go... To były pomocnik Sundrama. On dawno już krąży w pobliżu i niejednokrotnie chciał dowiedzieć się, gdzie Sundram ukrył skarb... Ale ja mu nic nie powiedziałam, gdyż Sundram go nienawidził...

Słowa te wystarczyły chłopcu. Szybkim spojrzeniem obrzucił spaloną tropikalnym słońcem twarz nieznajomego, po czym skierował wzrok na olbrzymi rewolwer wiszący u jego pasa.

— Kto pan jest? — zapytał uprzejmym tonem. — I czemu mnie nagabujesz? Nieznajomy położył rękę na kolbie rewolweru.

— Nazywam się Hopkinson — odpowiedział, a głos jego zabrzmiał dziwnie ostro i chrapliwie — a znany jestem jako Jastrząb Hopkinson, he he!... Jastrząb Hopkinson, ładne przezwisko, co? Zapytaj się o mnie, chłopczyku, nad rzeką Zambeze, w Kamerunie, nad Białym i Niebieskim Nilem, a wszyscy, którzy mieli ze mną do czynienia, nazywają mnie Jastrzębiem Hopkinsonem, he, he!...

— He, he — powtórzył Jerzy — panie Jastrzębiu Hopkinsonie, bardzo mi przyjemnie było usłyszeć pańskie nazwisko i przezwisko, ale to wszystko nie wyjaśnia mi jeszcze, czemu nagabujesz mnie, pytając o rzecz, która znajduje się w moim posiadaniu!

Nieznajomy był zaskoczony szyderczym tonem chłopca. Przyjrzał mu się bacznie, jakby wątpił, czy ma rzeczywiście młodego chłopca przed sobą, a gdy się przekonał, że wzrok go nie myli, Jerzy bowiem wyglądał nie więcej jak na szesnaście lub siedemnaście lat — zmarszczył groźnie brwi i huknął:

— Nie zadzieraj nosa, żółtodziobie. Nie zadzieraj nosa, twój ton mi się nie podoba, ot co!

Jerzy uśmiechnął się powtórnie.

— A ja pana poproszę, byś poszedł dalej swoją drogą, ot co! — oświadczył, naśladując jego sposób mówienia. — Widziane te rzeczy, by starszy pan, zupełnie bez powodu zaczepiał młodego chłopca? — Właściwie czego pan chce ode mnie i czego pan sobie życzy?

Hopkinson wyciągnął rękę o palcach zakrzywionych jak szpony.

— Pozwól mi spojrzeć na ten papierek! — rzekł. — Nie zabiorę ci go, lecz tylko zerknę okiem!

— Panie Jastrzębiu Hopkinson — odparł Jerzy, nie ruszając się z miejsca — zabierz pan swą łapę. Ja za ten papierek zapłaciłem pięćset franków nie dlatego, by dać go panu do oglądania, lecz po to, by schować go do swej kieszeni!

Hopkinson rzucił się ku jednookiej Melicie, rycząc wściekle:

— Ty stara wiedźmo! A więc przecucie mnie nie myliło — tyś posiadała tajemnicę Sundrama. Czemu ukrywałaś to przede mną, megiero? Czy nie wypłaciłbym ci każdą żadaną sumę pieniędzy? Uciekałaś przede mną w przeciągu całych pięciu lat. Z Addis Abeby uciekałaś do Chartumu, następnie z El Obeidu przeniosłaś się do Kamerunu, a stamtąd do portu Harcourt, by wreszcie osiąść w Lagos. Ale ja wszędzie cię ścigałem, by odkupić od ciebie ten papierek.

Ścisnął pięść, podsunął ją pod nos Melity i zapytał ochrypłym głosem:

— Czemu sprzedawałaś tajemnicę Sundrama obcemu smykowi, którego ujrzałaś po raz pierwszy w życiu?

Melita nie przelekła się bynajmniej wyciągniętej pięści Hopkinsa.

— Słuchaj biały kłamco — rzekła powoli — ja nie boję się ciebie... Spróbuj ruszyć czarną kobietę, a moi czarni współbracia rozszarpiają cię na drobne strzępy. Spójrz tylko, jak dużo ich jest tutaj...

A gdy Hopkinson, mrużąc przekleństwa, cofnął pięść, stara ciągnęła dalej:

— Nie kłam, że nazywają cię Jastrzębiem... Ciebie nazywają wszyscy Sępem Hopkinsonem. Tak, Sępem, gdyż jak sęp albo hiena krążysz dookoła padliny... Pytasz, czemu nie sprzedałam ci tajemnicy Sundrama? O głupi sępie!

Czyś zapomniał, że ja byłam niewolnicą wyrwaną przemocą z mej rodzinnej wioski? Czyż miałam wydać bogactwo w ręce pomocnika handlarza niewolników?

Czy myślisz, że ja nie wiem, co byś uczynił, gdybyś był bogaty? Zebrałbyś wielką bandę i chwyciłbyś biednych Murzynów na własną rękę. I to samo uczyniłby każdy biały, którego spotykałam na swej drodze. Pieniądze dałyby wam potęgę i sposobność czynienia zła. Wyczytałam to w oczach każdego białego... I długie, długie lata daremnie szukałam białego o jasnym, uczciwym wzroku. Już zwątpiłam czy znajdę, a jednocześnie wiedziałam, że krążysz znów koło mnie gotowy do zadania mi śmierci... Lecz wasz Bóg był dla mnie łaskawy, ujrzałam tego młodego chłopca, w chwili gdy przechodził koło mnie. Melita ujrzała go i wyczuła, że ten chłopiec nie kocha złota ani pieniędzy, że jest silny, odważny i nie boi się śmierci... Melita wyczytała to z jego twarzy, gdy przechodził i zawezwała go do siebie...

Jerzy odezwał się:

— A więc oszukałaś mnie, mówiąc, że syn twój siedzi w więzieniu?

— Oszukałam cię, młody panie! Ja nie mam syna, ale chciałam wzbudzić litość w twym sercu.

Po czym zwróciła się do Hopkinsa:

— Słuchaj Sępie, co mówi Melita... Wiele, bardzo wiele ludzi zginęło z twej ręki, a wśród nich byli nawet bardzo zręczni i odważni... To ci jednak powiem, a będzie to moje ostatnie ostrzeżenie...

Tutaj podniosła głos i mówiła w proroczym natchnieniu:

— Pozostaw tego chłopca w spokoju, Sępie. Tobie się wydaje, że to jest dziecko, z którym dasz sobie łatwo radę. Ale ja cię ostrzegam przed nim, gdyż czuję, że zginiesz z jego ręki... Ten chłopiec nie jest zwykłym chłopcem... To diabeł, ha, ha, ha... — młody, biały diabeł, który zabije starego i okrutnego Hopkinsona... Jeśli chcesz jeszcze pożyć na tym świecie, więc idź swoją drogą i nie oglądaj się poza siebie... Usłuchaj rady starej Melity, Sępie!...

— Milcz, stara wiedźmo, zamilknij — ryknął Hopkinson, wykrzywiając się wściekle — Przysięgam, że wypędzę nędzną duszę z twego podłego ciała...

Jerzy przeciągnął się i rzekł:

— Dosyć tego, mister Hopkinson. Słucham dość długo twych wymysłów, aż wreszcie mi się sprzykrzyły... Czemu ubliżasz starej, bezbronnej kobiecie? Czy ci nie wstyd mister?

Jegośność znieruchomiał, jak gdyby otrzymał policzek. — Na co sobie ten wyrostek pozwala? — pomyślał z wściekłością. — Wytargam go za uszy i odbiorę papier Sundrama.

— Młokosie, żółtodziobie — wrzasnął, przyskakując do chłopaka. — Jakim tonem do mnie przemawiasz? Ja cię zaraz nauczę...

Nie dokończył jednak zdania.

Jerzy, nie ruszając się z miejsca, zgął nogę i wyprostował ją nagle. Hopkinson otrzymał potężny cios nogą w brzuch i poleciał jak wystrzelony z procy, prosto na sąsiedni stragan z jajkami i owocami.

Powstało nieopisane zamieszanie. Jegomość zwałił się prosto w stos jajek, wywracając wszystko na swej drodze. Rozległ się trzask łamanych desek, jajka przekształciły się w olbrzymią, lepką jajecznicę, a banany, ananasy, figi i daktyle rozsypały się dookoła. Scenie tej towarzyszył przeraźliwy wrzask właściciela zniszczonego towaru. W oka mgnieniu dookoła leżącego w żółtej masie Europejczyka zebrał się tłum Murzynów śmiejących się do rozpuku.

— Idź już, idź, młody, biały diable — szepnęła Melita — ciesz się, że nie omyliłam się względem ciebie... On zginie z twojej ręki, jeśli nie zejdziesz ci z drogi... Idź już i niech potężny Bóg białych kieruje twymi krokami!

— Bóg białych jest również Bogiem czarnych — odparł chłopiec poważnie. — Nie opuszczę cię, stara kobieto, ten człowiek może bowiem wyrządzić ci krzywdę!

Jednooka Melita roześmiała się skrzeczącym głosem:

— Nie obawiaj się o mnie. On nie ośmieli się w obecności mych współbraci ruszyć włos na mej głowie. Proszę cię, idź już stąd!

Jerzy powstał i pożegnał się z Murzynką, po czym oddalił się wolnym krokiem, nie oglądając się poza siebie. Oddalając się, słyszał głośny śmiech czarnej gawiedzi, rozpaczliwe krzyki zrozpaczonego handlarza jajkami oraz siarczyste przekleństwa Sępa Jastrzębia Hopkinsona, który z trudem wydobywał się z pięciuset złotych.

3. Zajazd dla białych

Był to jednopiętrowy dom, znajdujący się w sąsiedztwie rezydencji prefekta. Zajazd ten, przeznaczony prawie wyłącznie dla oficerów i żołnierzy batalionów afrykańskich, nosił nad wejściem szyld, a właściwie szeroką deskę, na której niezgrabnymi literami było wypisane:

Brasserie et l'hotel pour les Blancs,

co oznaczało: Piwiarnia i hotel dla białych.

Na dole mieściła się niska, brudna salka, o ścianach pokrytych rysunkami i napisami węglem. Długi, lepki od brudu bufet oraz kilka stolików stanowiły całe umeblowanie. Tysiące much łążyły po suficie, obsiadały butelki z wódką i winem oraz spocone twarze gości.

Za bufetem siedział leniwie oparty o kontuar wychudły właściciel zakładu. Jego twarz była pokryta śladami ospy, a znużone i głęboko zapadnięte oczy świadczyły o częstych atakach malarii.

Przy jednym ze stolików w głębi sali siedzieli dwaj mężczyźni w rozpiętych na piersi, białych kurtkach i popijając wino Kaut Sahel, prowadzili ścisłymi głosami następującą rozmowę:

— Wypoczywa na górze!

— Czy jesteś tego pewny?
— Przecież widziałem, jak szedł na górę!
— Niech go diabli porwą. Wpakował mnie w stos jajek i wystawił na pośmiewisko tych czarnych bydlaków!

— Ha, ha, ha! Ten smyk? I nie wstyd ci, że dałeś się zwyciężyć przez dzieciaka?
— Nie śmiej się Gibson, do wszystkich diabłów! Zamknij gębę, bo poznasz Jastrzębia Hopkinsona. To nie jest zwykły chłopiec. Stara Melita nazwała go małym diabłem i słowo daję, że nie widziałem niebezpieczniejszego skorpiona... Gryzie tak szybko, że nawet się nie spostrzeżesz!

— Bo nie widzisz dalej swego nosa! Niechby tylko natrafił na mnie, wyspałbym mu takich dwadzieścia pięć odlewanych, że przez trzy miesiące siadałby chyba na brzuchu, ha, ha, ha!...

Barczysty drab o czerwonej, przeciętej szramą, szerokiej twarzy śmiał się głośno, ukazując białe, wilcze zęby.

— Mówię ci, nie śmiej się Gibson, gdyż nie znasz tego chłopaka — ostrzegł go Hopkinson — ale mniejsza z tym, sądzę, że rychło będziesz miał okazję z nim się spotkać. Powracam do naszego tematu. Chłopiec posiada papierek Sundrama i należy mu to odebrać za wszelką cenę.

— Ba, papierek!...

— Głupcze! Czy ty wiesz, że ten papierek zawiera tajemnicę ukrytego skarbu?

— Skąd jesteś tego pewny? — zapytał Gibson.

Hopkinson trzasnął pięścią w stół i wino się rozlało.

— Po milion diabłów — warknął wściekle — czyżby ta jednooka megiera uciekała przede mną w ciągu pięciu lat, gdyby ten papierek nie przedstawiał żadnej wartości?

Gibson pokręcił głową:

— Jednego nie rozumiem — rzekł z powątpieniem — dlaczego ta stara nie sprzedała ci tej tajemnicy?

— Bo przeczuła, że za uzyskane pieniądze Sundrama zorganizowałbym olbrzymie przedsięwzięcie do handlu czarnym bytłem!

— Dobrze!... A dlaczego nie przywłaszczyła sobie skarbu?

— Bo, po pierwsze, jest analfabatką, wobec czego musiałaby przypuścić obcą osobę do tajemnicy, a po drugie, Sundram wmówił zabobonnej Murzynce, że przyjdzie do niej jako duch i udusi ją własnymi rękami, jeśli jakikolwiek czarny dotknie jego skarbów.

Gibson popadł w zamyślenie.

— To bardzo możliwe — rzekł po chwili — Sundram nienawidził Murzynów, gdyż ich krzywdził. Zawsze nienawidzimy tych, kogo krzywdzimy i prześladowujemy. — A więc zgoda, przystaję do spółki z tobą; odbierzemy papier temu żółtodzióbowi i odszukamy ukryty skarb...

Urwał nagle, gdyż Hopkinson chwycił go za rękę i wlepiając oczy w stronę schodów w rogu sali, wyszeptał:

— Patrz, patrz, o wilku mowa, a wilk tu!
Rzeczywiście, Jerzy schodził na dół, gdyż przespał się nieco w swym pokoju i teraz uczył głód.

Zbliżył się do gospodarza i zapytał uprzejmie:

— Jestem głodny, czy ma pan coś do zjedzenia?

Hotelarz otworzył zaspane oczy i wyrecytował:

— Jest wódka, wino i zimna kawa!

— To do wypicia, ale ja chciałbym coś zjeść!..

Właściciel zajazdu podrapał się w głowę:

— Hm — mruknął — w tym rozżarzonym piecu afrykańskim mało kto je, natomiast wszyscy piją. Więc naprawdę chcesz jeść, młody człowieku? — zapytał. — Na taki piekielny upał chce ci się jeść? Może lepiej napijesz się wódki z wodą sodową, to jest bardzo dobry środek przeciwko malarii, żółtej febrze, śpiączce, dżumie...

— Czy ma pan coś do zjedzenia? — powtórzył swe pytanie chłopiec, zniecierpliwiony gadatliwością hotelarza. — Jeśli nie posiadasz czegokolwiek do zjedzenia, będę wówczas zmuszony poszukać sobie żywność w innym zakładzie gastronomicznym.

— Ależ co znowu — zaprotestował oberżysta — czemu chcesz szukać jedzenia gdzie indziej, skoro ja mogę cię uraczyć plackami z kukurydzy, baraniami flakami w wołowym łoju oraz wódką, winem, rumem i zimną kawą...

— Zgadzam się tylko na placki z kukurydzy oraz na flaki z zimną kawą. Na inne trunki będę miał czas, gdy będę nieco starszy...

Wtem uczył czyjąś ciężką rękę na swym kołnierzu i jednocześnie ochrypły głos zabrzmiał nad jego uchem:

— A może chciałbyś mleczka, przebrzydły smarkaczu?

Jerzy obrócił głowę i ujrzał barczystego draba, który trzymał go za kołnierz. Obok stał Sęp Jastrząb Hopkinson i uśmiechał się szyderczo, mrużąc złośliwie oczy.

— No, mów, młokosie, czy wolisz mleczko prosto z rynsztoku, czy też dwa-dzieścia pięt odlewanych?

Chłopiec stał bez ruchu, a myśl jego pracowała gorączkowo. Zrozumiał w przeciągu jednej sekundy, że był to planowany napad na niego. Papierek Sundrama leżał w bocznej kieszeni, a pozycja chłopca była tym gorsza, że napastnik stał za jego plecami i mocną garścią trzymał go za kołnierz.

— Proszę, niech mnie pan puści! — rzekł spokojnym głosem. — Doprawdy, ja nie lubię takich żartów! Proszę mnie puścić.

— A jeśli nie uczynię tego? — zapytał Gibson szyderczo.

— Jeśli pan tego nie uczyni...

Rozegrała się błyskawicznie scena.

Chłopiec uniósł ręce do góry, przechylił je do tyłu i chwycił draba za klapy jego kurtki. Następnie gwałtownie pochylił się do przodu, pociągając z całych sił napastnika.

Gibson przeleciał ponad pochylonym grzbietem Jerzego i całym ciałem wyrznął o kontuar. Rozległy się huk, trzask, brzęk tłuczonego szkła oraz bolesne krzyki hotelarza, który znalazł się nagle pod wywróconym kontuarem.

Hopkinson stał zdrtwiał na miejscu. Wszyscy goście siedzący przy stolikach zerwali się ze swych miejsc.

Rozległy się ochryple śmiechy i brawa.

— Brawo, brawo, zuch chłopiec — wołano — wart jesteś całej rzeki wina. A toś go urządził, chłopcze! Chodź, oblejemy razem zwycięstwo?

Ale Jerzy nie zwrócił uwagi na te pijackie okrzyki.

Przystąpił do Hopkinsona i zapytał ugrzecznionym tonem:

— Czy i pan również żywi do mnie urazę?

Hopkinson posiniał:

— Ty mały łotrze! — wycharczał i chwycił rewolwer — ja ci pokażę!

Nie zdążył jednak wystrzelić, albowiem Jerzy wyciągnął błyskawicznie swoją broń i trzasnął kolbą w palec Hopkinsona.

Broń Sępa Jastrzębia Hopkinsona wyleciała z obolałych palców, a on sam począł skakać, pokrzykując z bólu.

— Ha, ha, ha! — rozbrzmiewał ogólny śmiech dookoła. — Co za wspaniały zuch, ten chłopak!

Jerzy wzruszył ramionami, następnie usiadł przy jednym ze stolików, czekając spokojnie, aż gospodarz wygramoli się spod kontuaru i przyniesie mu coś do zjedzenia.

Gibson powstał wreszcie. Przetarł czoło skaleczone odłamkami butelek i spojrzął na chłopca. Na stole, przy którym siedział Jerzy, leżał nabity rewolwer.

Ten widok podzialał uspakajająco na draba. Wymruczał pod nosem kilka przekleństw, po czym chwycił Hopkinsona ssącego swe palce i brutalnie wypchnął go z sali.

— Szczęśliwej podróży — rzekł Jerzy — sądzę, że nigdy się już nie zobaczymy!

Mylił się, niestety. Niedaleka przyszłość miała pokazać, że Gibson i Hopkinson nie mieli wcale zamiaru zrezygnować ani ze skarbu Sundrama, ani też z zemsty.

4. Pieczara Sundrama

Jerzy usiadł na łóżku w swym pokoju i wyjął papierek z kieszeni. Wyprostował go i zabrał się do studiowania pożółkłych liter wypisanych niewprawną ręką.

Treść kartki była następująca:

Loanda — — — Sud — — West — Sud

XXX Sundram. Uważaj na nogi. Do diabła z czarnymi. Księża Misjonarze, to święci ludzie.

Boże, odpuść mnie grzesznemu! Sundram, król i władca.

Jerzy w zamyśleniu opuścił kartkę na kolana. Nie ulegało wątpliwości, że Sundram był niespełna rozumu, dowodem czego była dziwna treść tego papieru. Ale, pomimo to, w słowach tych kryło się ziarno prawdy. Zagadkowe było pierwsze zdanie: Loanda, Sud, West, Sud oraz trzy krzyżyki, ale z całą pewnością kryło ono tajemnicę ukrytego skarbu.

— Loanda znajduje się w odległości dwóch tysięcy trzystu czy czterystu kilometrów od Lagosu, jeśli podążyć lądem. Byłaby to zbyt uciążliwa podróż z powrotem. Sądzę jednak, iż znajdę jakiś stateczek udający się na południe!

Zajął się swym plecakiem. Sprawdził, czy wszystko jest w porządku, opatrzył broń i wreszcie uznał, że gotów jest do wyruszenia w drogę.

Po chwili był już na ulicy. Słońce dzisiaj było mniej jaskrawe niż zazwyczaj i upał zwolnił. Była godzina ósma rano. Jerzy udał się do portu. Miał szczęście, o godzinie jedenastej miał odejść do Kapsztadu parowiec kursujący wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki.

Jerzy wynajął czółno i czarny jak heban przewoźnik zawiózł go na niewielki parowiec holenderski „Swakopmund”.

O jedenastej rozległ się przeciągły ryk syreny okrętowej, śruba zaczęła pruć wodę Zatoki Gwinejskiej i parowiec ruszył w drogę.

Chłopiec stał oparty o burtę i przyglądał się uciekającemu lądowi afrykańskiemu. — Zamiast powrócić do Europy — rozmyślał — oddalam się wciąż od niej, czyż mogłem jednak oprzeć się urokowi tej przygody? Nie pociąga mnie ukryty skarb Sundrama, ale sama tajemniczość przygody. Ciekaw jestem, czy znajdę go według opisu na karteczce.

Pogrążony w zamyśleniu nie spostrzegł, iż drzwi z kabiny uchyliły się ostrożnie i czyjaś głowa wyjrzała na pokład. Człowiek ten łudząco podobny był do mister Hopkinsona.

W rzeczywistości był to Sęp Jastrząb Hopkinson we własnej osobie. W jaki sposób znalazł się na tym statku? Skąd wiedział, że chłopiec tym właśnie statkiem uda się w drogę?

Wytłumaczenie było bardzo proste. Hopkinson i Gibson śledzili każdy krok Jerzyka. Widzieli, jak udał się do portu i rozpytywał pilota portowego o statek. Wiedząc, że chłopiec zamierza udać się na południe, mieli zadanie ułatwione. Oddalili się od portu, idąc wzdłuż wybrzeża, następnie przywłaszczyli sobie czółno murzyńskie, kołyszące się przy rafach nadbrzeżnych i w ten sposób dostali się do parowca „Swakopmund” wcześniej od Jerzego.

Tutaj zajęli kabinę na górnym pokładzie i czekali przybycia chłopca. Łatwo wyobrazić sobie radość tych dwóch opryszków, gdy ujrzeli go wreszcie na pokładzie.

— Zajął sąsiednią kabinę — szepnął Hopkinson, nadsłuchując — obecnie, chodzi tylko o to, by nie nawijać mu się na oczy, a papier jest nasz.

W drewnianej ścianie kabiny Gibson wyciął kieszonkową piłką kwadratowy otwór, dość obszerny, by mógł przezeń przesunąć się człowiek. Po wycięciu

kwadratu wstawił go z powrotem, a następnie wyświdrował dziurkę, by móc podpatrywać każdy ruch chłopca.

Widział, jak Jerzy uporządkował swe rzeczy, a następnie wyjął i obejrzał kwadratowy kawałek skóry Sundrama, po czym niedbale włożył ją do prawej kieszeni swej kurtki.

Gibson zatarł ręce z zadowoleniem.

— W porządku — wyszeptał, zwracając się do Hopkinsona, który stał obok niego — kiedy zapadnie noc, papierek będzie w naszym posiadaniu...

Parowiec pruć fale oceanu. Noc zapadła i cisza zapanowała na statku.

Jerzy spał.

Zrazu w kabinie panowała niczym niezmacona cisza. Po pewnym jednak czasie coś cicho zaszeleściło. W ścianie ukazał się czarny, kwadratowy otwór, następnie w otworze tym ukazała się głowa ludzka.

Cicho i bezszelestnie, tajemniczy nocny gość przelazł przez otwór, zbliżył się do wieszaka i począł przetrząsać kieszenie. Po chwili zaszeleścił papierek, ale to nie wystarczyło widocznie złodziejowi, gdyż szukał dalej i znalazł portfel zawierający banknoty. Przywłaszczył go również i powrócił do swej kabiny poprzez ten sam otwór. Rzucił na stół portfel oraz kartkę papieru. Hopkinson rzucił się chciwie na portfel i otworzył go. Ręce zaczęły mu dygotać, gdy wyciągał kolejno banknoty tysiącfrankowe.

— Pięć, sześć, siedem, osiem... — liczył — do licha, ten żółtodziób miał całą fortunę przy sobie. Dziewięć, dziesięć, jedenaście... Komu on to ukradł? Trzynaście, czternaście...

— Zostaw to na później — mruknął Gibson — zastanówmy się lepiej nad tą karteczką, która zaprowadzi nas do skarbu...

Usiedli przy stoliku i poczęli odczytywać skradziony skrawek papieru.

— Loanda, trzy kreski — czytał półgłosem Hopkinson — Sud, dwie kreski, West, dwie kreski, znowu Sud, jedna kreska, a następnie trzy krzyżyki oraz podpis Sundrama.

Ledwie doczytał karteczkę do końca, gdy nagle zerwał się ze swego miejsca jak oparzony, a Gibson poszedł za jego przykładem, albowiem kwadratowy kawałek deski wyleciał raptem z otworu w ścianie.

— Ręce do góry — zabrzmiał głos Jerzego — ręce do góry, bo strzelam, bezwstydni złodzieje!

To mówiąc, chłopiec przelaził przez otwór, trzymając w ręku nabity rewolwer.

Rozwiązanie tej zagadki było bardzo proste. Podczas gdy go okradano, Jerzy spał mocno, ale po pewnej chwili tajemny instynkt ostrzegł go przed niebezpieczeństwem.

Otworzył oczy i wśród ciemności panujących w kabinie spostrzegł jasne smugi na ścianie. — Co to może być? — pomyślał zdziwiony. — Czyżby ściana mej kabiny posiadała otwory?

Cicho podniósł się z łóżka i przybliżył się do ściany. Przyjrzał się tym smugom i przekonał się, że były to podłużne szpary, wycięte w drzewie.

Jerzy przyłożył oko i ujrzał dwie męskie głowy nachylone nad stołem. Byli to jego dobrzy znajomi — Gibson i Hopkinson.

Jednocześnie chłopiec usłyszał urywek rozmowy, prowadzonej półgłosem i zbladł. — Skradli mi portfel i pismo Sundrama — wyszeptał. — Dobrze, iż spostrzegłem się zawczasu.

Cicho oddalił się od ściany i po omacku odszukał swą ręczną latarkę. Przy świetle tej latarki sprawdził zawartość swych kieszeni, po czym wyjął rewolwer i ruszył z powrotem w kierunku ściany. Pchnął ruchomy kwadrat i po chwili znalazł się w sąsiedniej kabinie, mierząc do opryszków z rewolweru.

— Ręce do góry — zawołał — ręce do góry, bo strzelam, bezwstydni złodzieje!

Zbliżył się do stołu i zgarnął swe banknoty, portfel oraz pismo Sundrama. Po dokonaniu tej czynności wycofał się z kabiny, po czym zatrzasnął drzwi, zamknął je na klucz i pobiegł do kapitana, by donieść mu o zajściu.

Po pewnym czasie Hopkinson i Gibson zostali zakuci w kajdany i wtrąceni do celi pod pokładem.

Drogą prowadzącą na południe od Loandy szedł młody chłopiec z plecakiem. Pomimo piekielnego skwaru szedł rażno naprzód i szukał czegoś oczyma przy drodze.

Wreszcie wzrok jego padł na biały kamień przydrożny, na którym wyraźnie wypisana była cyfra: „trzy”.

— Trzy kreski oznaczają trzy mile w kierunku południowym od Loandy — wyszeptał — a teraz skręcimy na zachód, stosownie do wskazówek Sundrama!

Kierował swe kroki na zachód i uszedł dwie mile.

— Dwie kreski, dwie mile — szepnął — dżungla staje się coraz dziksza i nieprzystępna!

Znów skręcił na południe i wtem drzewa zrzedły nagle, a przed jego oczyma wyrosły skały. Pomiędzy tymi skałami Jerzy dojrzał mały kościółek, a obok zabudowania misyjne.

— Księża misjonarze — szepnął Jerzy — wszystko zgadza się co do joty z treścią karteczki.

Nagle stanął jak wryty. Wymijając jedną ze skał, ujrzał wejście do pieczary. Ale nie to uderzyło go. Przed pieczarą wzniesione były trzy wielkie krzyże nad trzema mogiłami.

Jerzy, mimo woli wzruszony tym niespodziewanym widokiem, zbliżył się do tych grobów i przeczytał słowa wyryte na płycie kamiennej.

Tutaj spoczywają:
MARTA SUNDRAM.
Żona Oliwiera Sundrama
KAROLEK SUNDRAM
Syn
ANNA SUNDRAM
Córka
okrutnie zamordowani przez dzikich Murzynów we wrześniu 1921 roku.
Świeć im Panie!

Krótki ten napis nadgrobnny mówił o wstrząsającej tragedii, jaka niegdyś tutaj się rozegrała. Teraz dopiero Jerzy zrozumiał, czemu zmarły handlarz Murzynów tak ich nienawidził.

— Trzy krzyże — wyszeptał i sprawdził na karteczce, odmówił krótką modlitwę za dusze umarłych, po czym odważnie zagłębił się w otworze prowadzącym do pieczary, świecąc sobie elektryczną latarką.

— Uważaj na nogi — przypomniał sobie treść kartki i w samą porę uskokzył na bok, byłby bowiem wpadł w przepaść.

Niebawem znalazł się w obszernej grocie i promień światła padł na napis wyryty na ścianie: Sundram.

— To tutaj — szepnął chłopiec. Ujrzał mały pagórek pośrodku pieczary, uklęknął i począł go rozgrzebywać. Po chwili oczom jego ukazało się wieko kuferka. Chciał go wydobyć, ale nie mógł, kuferek był bowiem zbyt ciężki. Odbił więc zamek i jego olśnionym oczom ukazały się nieprzebrane skarby: złote monety, diamenty i perły...

— Mamy cię, ptaszku — rozległ się dziki ryk za jego plecami i do pieczary wpadł Hopkinson w towarzystwie kilku Murzynów — bierzcie go, chłopcy, a dam wam tyle rumu, ile zechcecie!

Jerzy zerwał się z kolan, trzymając rewolwer w ręku. Strzelił w tłuszczę, raz i drugi, po czym zaczął uciekać tym samym przejściem, którym przyszedł. Gdy jednak znalazł się w miejscu, gdzie była przepaść, uskokzył na bok, a ścigający go Hopkinson runął na dół, zabijając się na śmierć.

Gibson został jeszcze przedtem zabity przez Hopkinsona, który chciał zagarnąć cały skarb dla siebie. Jerzy zaprowadził do pieczary ojców misjonarzy i darował im cały skarb Sundrama, nie chciał bowiem korzystać ze złota zebranego kosztem krwi i nędzy murzyńskiej.

KONIEC

Wydawnictwo powieści namiętnych

WYKAZANA **PRZEZ ŻYCIE**



tytuł Nr. 1.

Cena 10 groszy

Skazana przez życie

Edmund Bartoszek

ok. 1930

Skazana przez życie to przykład romansu obyczajowego z wpływami popularnej powieści modernistycznej. Utwór wyszedł w sześćdziesięciu zeszytach w łódzkim wydawnictwie „Ostoja” w 1932 roku. O jego autorze, Edmundzie Bartoszk, wiadomo, że pisywał do endeckiego dziennika „Rozwój”, który wychodził w Łodzi do 1931 roku, był też autorem wydanej przez „Republikę” broszury *Życie Marszałka Piłsudskiego* (1935) i opublikowanego w serii *Co Tydzień Powieść* (której był później redaktorem) *Demonia Erytrei* (1936). W okresie pisania *Skazanej...* sympatyzował z opozycyjnym wówczas obozem Narodowej Demokracji, można więc przypuszczać, że zawarta tu krytyka nierówności społecznych, biedy, bezrobocia i zubożonych elit wymierzona była w realia Polski sanacyjnej. Akcja powieści toczy się w Warszawie, co osadza ją daleko od powieści dworskiej (której przykładem była choćby wydana w 1909 roku *Trędowata* Heleny Mniszkówny) i zbliża do wielkomiejskiej panoramy, sięgającej jeszcze swoją tradycją do powieści tajemnic. Sceny z arystokratycznych salonów odsyłałyby do popularnego podgatunku, jakim był romans z życia wyższych sfer, Bartoszek kontrastuje je jednak z sentymentalnymi opisaniami nędzy i uzyskuje melodramat zaangażowany społecznie.

Konstrukcja *Skazanej przez życie* jest w uproszczeniu opowieścią o Kopciuszku, w czym przypomina schemat *Trędowatej* — zamożny i wysoko urodzony, choć z rozmysłem nieużywający hrabiowskiego tytułu, inżynier Mirski, podczas przejażdżki spotyka biedną, ale dumną Hankę, córkę górnika, który po wypadku w kopalni stracił źródło utrzymania. Dziewczyna jest jedyną żywicielką rodziny — ojca i młodszej siostry — pracuje jako panna na posyłki w zakładzie krawieckim, skąd zostaje wyrzucana przez kaprys hrabianki Lili Suchorzewskiej. Mirski lituje się nad dziewczyną, zabiera ją na kolację i obiecuje pomoc w znalezieniu posady. Pragnie dać jej miejsce we własnej fabryce, ale tożsamość dziewczyny pozostaje tajemnicą...

To dopiero początek historii miłosnej, w dalszych odcinkach na drodze zakochanym staną nie tylko różnice społeczne, ale i intrygi nieprzyjaciół. Wiecznie „zdehumorowana” hrabianka Lili, zainteresowana Mirskim, nie wybaczy mu odtrącenia, a jej wyrachowanej przyjaciółce, Mili Szelizance, też zależy na inżynierze, zaś Stefanowi Zasławskiemu, „potomkowi znanej, ale bardzo zubożałej rodziny”, zależy na Lili, co prowadzi do intryg i zawierania tajemnych sojuszy. Arystokraci tworzą środowisko zepsute i oderwane od życia.

Główny bohater przerasta swoje sfery pod każdym, także moralnym, względem. Powieść wieńczy spodziewany happy end, niepozbawiony jednak ambiwalencji moralnej. Zastawski odpowiedzialny za większość popełnionych zbrodni (truje własną ciotkę i próbuje otruć ojca głównej bohaterki, fałszuje weksle, by spłacać liczne długi karciane, porzywa i wywozi Hankę do szpitala psychiatrycznego, a następnie uwodzi i próbuje porzucić młodą dziewczynę, siostrę swojego przyjaciela z dzieciństwa) żeni się ze zbałamuconą przez siebie Elą i w nagrodę za ożenek otrzymuje sowity spadek po ciotce Elwirze. Przemianę wewnętrzną bohatera należy zresztą przypisać jej duchowi, który objawił się w mieszkaniu.

Konwencja romansowa (a więc przerysowane, jednowymiarowe postaci, ostra amplituda nastrojów, dość przewidywalny ciąg przeszkód, prowadzących zakochanych albo do szczęśliwego finału, albo do katastrofy) z jednej strony działała zachowawczo i w bezpiecznej, eskapistycznej, często konserwatywnej formie rozładowywała napięcia społeczne, z drugiej zaś potrafiła służyć czytelnikom za wzorzec emancypacyjny — mowa oczywiście o tych fabułach, w których bohaterki pokonywały przeciwności losu. Fabuła z bohaterką-aniółem spełniała

podstawowe dla romansu jako gatunku funkcje kompensacyjne, czyli pozwalała czytelniczkom marzyć, że i do nich uśmiechnie się szczęście. *Skazana przez życie*, przy wszystkich naiwnościach i dość pretensjonalnym stylu, była wręcz modelowym romansem na trudne czasy. Czytana dziś daje wyobrażenie o realiach i fantazjach dwudziestolecia międzywojennego.

Justyna Jaworska,
Monika Rawska

Edmund Bartoszek, *Skazana przez życie*. Zeszyt 1—3 (s. 3—42). Wydawnictwo i druk Zakład Graficzny „Ostoja”, wł. J. Kotkowska, Łódź ok.1930.

Nie mogła miejsca znaleźć dla siebie.
A tymczasem...

*

Hanka Zakrzewska pod osobistym nadzorem kierowniczkii magazynu zapakowała suknię balową do dużego pudła. Kierowniczka oświadczyła dziewczynie:

— Spiesz się! Klientka jest bardzo nerwowa. Bądź przygotowana, iż spotka cię jakaś nieprzyjemność.

Hanka wybiegła na ulicę, podążając szybkim krokiem w stronę Alei Ujazdowskich.

Nie szła, lecz prawie pędziła, potrącając przechodniów, byle jak najprędzej doręczyć pilną paczkę.

Już zarysowały się przed jej oczyma sztachety ogrodzenia pałacyku Suchorzewskich. Hanka wbiegła na jezdnię i nagle cofnęła się raptownie, gdyż omal nie wpadła pod koła mknącego szybko samochodu. Zderzyła się z jakimś wracającym z pracy robotnikiem i pudło upadło na chodnik, pokrywa odskoczyła, a rąbek ślicznej sukni balowej spłynął na brudną, zabłoconą płytę trotuaru.

W dziewczynę jakby grom strzelił. Spoglądała błędnymi oczami na dużą, ciemną plamę, pokrywającą lśniący jedwab. Dłuższa chwila minęła, nim Hanka wróciła do przytomności.

Nie było rady. Musiała odnieść suknię z powrotem do pracowni.

Pojawienie się Hanka w magazynie, z poplamioną suknią hrabianki Suchorzewskiej, wywołało prawdziwy popłoch. Zmobilizowano cały personel. Trzeba było delikatną tkaninę ostrożnie przeprać, wywabić nieszczęsną plamę, suknię wysuszyć i na nowo wyprasować.

Kierowniczka magazynu, obrzucając Hankę złym spojrzeniem, oświadczyła:

— Odniesiesz mi to na miejsce. Musisz tam być w ciągu pięciu minut. Jeśli nie przyniesiesz od hrabianki Suchorzewskiej kartki z usprawiedliwieniem, jutro się rozstaniemy. Nie będziesz miała po co w ogóle przychodzić.

Zakrzewskiej łzy zakręciły się w oczach.

Przecież tę ciężką pracę, tak zresztą podrzędną i tak źle wynagradzaną, przyjęła z musu. Przecież miała prawo ubiegać się o lepsze zajęcie! Jednak nie było czasu na zastanawianie się.

Chwyciła pudło i wybiegła ze sklepu.

Hanka weszła do buduaru hrabianki. Była tak zdyszana, iż słowa nie mogła wykrztusić. Spodziewała się, iż jakoś wytłumaczy klientce przyczynę opóźnienia. Nie miała jeszcze wyobrażenia o tym, co ją spotka za chwilę.

— Ty oślico! — wrzasnęła piękna Lili. — Przez twoje guzdralstwo ja tracę nerwy i spóźniam się na zabawę! Gdzie włóczyłaś się tak długo?! Co się z tobą działo?

Hanka spoglądała na hrabiankę Lili jak urzeczona. Takiego przyjęcia nie spodziewała się. Wiedziała, iż niektóre klientki są opryskliwe i nieopanowane, nawet bardzo opryskliwe. Ale żeby aż tak!

Zająknęła się. Już z jej ust miały popłynąć wyjaśnienia, gdy oto stało się coś strasznego: piękna Lili nie życzyła sobie, aby „jakaś tam dziewczyna z magazynu” zabierała głos. Hrabianka wymierzyła Hance siarczysty policzek.

Hanka zachwiała się jak podcięta kosą. Nagle rzuciła pudło i wybiegła na korytarz.

Jak wichler przemknęła po schodach, wypadła za bramę pałacową i pognąła na oślep przed siebie.

Szła jak błędna. Nie wiedziała, kiedy znalazła się na ulicy Pięknej, potem na Górnośląskiej. Wreszcie przez ulice Rozbrat i Szwoleżerów dotarła do Agrykoli, a następnie skręciła koło ogrodu botanicznego. Minęła jeszcze kilka ulic i opadła bezsilna na ławkę ogrodową, umieszczoną w cieniu drzewa, ukryła twarz w dłoniach i wybuchła gwałtownym szlochem.

Samochód inżyniera Zbigniewa Mińskiego sunął cicho po szosie od strony Siekierk. Kierowca skręcił w ulicę Gościniec, potem w ulicę Bartycką i, mijając stację pomp, pomknął w stronę ulicy 6 Sierpnia.

Inżynier Mirski odsunął wewnętrzną szybę, dzielącą go od szofera.

— Janie — powiedział. — Kupcie mi gdzieś tutaj ze dwie paczki papierosów.

— Natychmiast, proszę pana inżyniera.

Kierowca zwolnił bieg wozu, rozglądając się bacznie po okolicy. Wreszcie zatrzymał maszynę i wysiadł, udając się w stronę kiosku z papierosami.

Czekając na powrót Jana, Mirski próbował rozpoznać, na jakiej ulicy się znajdują. Nagle jego spojrzenie zatrzymało się na szczupłej dziewczęcej postaci, pochylonej na ławce u stóp rozłożystego drzewa. Nie było to wcale czymś nadzwyczajnym, że ktoś, mimo chłodnej pory, szukał wieczorem wypoczynku na ławce pod gołym niebem. Mirski jednak otworzył drzwiczki auta i ruszył w stronę samotnej postaci.

Dziewczyna zdawała się nie widzieć nadchodzącego mężczyzny. Z jej piersi wydobywał się gwałtowny, niepowstrzymany szloch.

Inżynier uczył, iż ogarnia go dziwne wzruszenie. Podeszedł do płaczącej i delikatnie pogłodził ją po głowie.

— Czemu pani tak rozpacza? Czy spotkało ją nieszczęście? — spytał łagodnie.

Podniosła na niego zalaną łzami twarz. Była przestraszona i jakby zawstydzona. Odwróciła głowę, nie powiedziała jednak ani słowa.

Mirski spostrzegł dopiero teraz, iż nieznajoma trzęsie się z zimna. Może i ze zdenerwowania. W każdym razie musiała mocno zziębnąć. Odziana była w lekki płaszczyk, bardzo zniszczony, co Mirski od razu zauważył, jakkolwiek światło latarni ledwie tutaj docierało.

— Proszę mi szczerze powiedzieć: co się stało, że pani tak rozpacza?

Głos Mirskiego brzmiał łagodnym naleganiem i budził zaufanie, ale dziewczyna uparcie milczała.

Kierowca wrócił tymczasem do samochodu i rozglądał się wokoło zdumiony, iż pasażer auta i zarazem jego właściciel tak niespodziewanie zniknął. Ujrzał po chwili inżyniera i uspokojony zajął miejsce przy kierownicy.

Mirski zastanowił się i po krótkim namyśle powiedział:

— Właściwie nie mam prawa wdzierać się w pani tajemnice. Ale nie mogę jej pozostawić w tym stanie.

A w myśli dodał: — Zbyt blisko stąd do Wisły.

Gdy dziewczyna i teraz pominęła milczeniem jego słowa, wziął ją bezceremonialnie pod rękę i pociągnął w stronę samochodu.

Nie opierała się. Biernie, jak martwy przedmiot, opadła na siedzenie wozu. Inżynier rzucił półgłosem adres szoferowi. Auto pomknęło ze zdwojoną chyżością naprzód.

Mirski zdawał się nie zwracać uwagi na nieznajomą. A ona, choć już zdołała opanować gwałtowny szloch, który jej serce rozdzierał, nie miała siły powstrzymać łez spływających po jej twarzy.

Gdy wóz zatrzymał się przed „Barem Nadwiślańskim“, inżynier zwrócił się do dziewczyny:

— Nie możemy wejść na główną salę. Jest pani jeszcze zbyt wzruszona. Znam ten lokal od dawna, bo stołowałem się tu niejednokrotnie. Wejdziemy do gabinetów gościnnych, które mieszczą się od podwórza.

Hanka zdawała się nie słyszeć i nie rozumieć. Bez oporu podążyła obok podtrzymującego ją pod ramię mężczyzny.

2. Spotkanie na balu

Kelner „Baru Nadwiślańskiego“, obsługujący gabinety, nie zdziwił się wcale, choć miałby zupełne prawo. Znał inżyniera Mirskiego jako człowieka, który posiadał duży majątek i zajmował dobre stanowisko w zakładach swego ojca, posiadacza olbrzymich obszarów ziemskich w różnych stronach kraju. Dlatego pojawienie się eleganckiego pana w towarzystwie młodej, spłakanej dziewczyny powinno zwrócić uwagę. Kelner jednakże wiedział, iż obowiązkiem jego jest niczemu się nie dziwić.

— Czym mogę państwu służyć? — spytał uprzejmie.

— Flaszkę dobrego wina, ale przedtem gorącą herbatę.

Kelner oddalił się, dyskretnie przymykając drzwi.

Hanka rozglądała się obojętnie po otoczeniu. Stopniowo wracał jej spokój. Inżynier nie mógł się powstrzymać, aby nie przyrzeć się swej nowej znajomej przy świetle.

Podsunał dziewczynie wygodny fotelik i prawie zmusił, aby zajęła miejsce.

Dopiero teraz mógł stwierdzić, iż była bardzo piękna. Błada i wymizerowana twarzyczka pociągała regularnością rysów i wyrazem szczerości w dużych, szarych oczach. Kształtną główkę okrywał beret pensjonarki.

— Czy pani uczy się jeszcze? — spytał. Był prawie zdziwiony, iż tym razem otrzymał odpowiedź. Nareszcie.

Dziewczyna zerwała berecik z głowy i odrzuciła w tył bujne, ciemnoblond włosy. Pokręciła główką na znak zaprzeczenia.

— Nie — odparła. — Nie uczę się już od pół roku. W czerwcu skończyłam szkołę.

Nim inżynier zdążył zadać nowe pytanie, kelner wniósł butelkę z winem, kieliszki i ciastka. Zaraz za nimi wszedł pikolak, niosąc szklanki z herbatą.

— Spędzenie takiego wieczoru jak dzisiejszy pod gołym niebem można przypłacić długotrwałą chorobą — powiedział inżynier, gdy znów zostali sami. — Napęlniam kieliszki. Wino jest dobre i rozgrzewa. Najlepiej od tego zacząć.

Dziewczyna jak automat spełniła polecenie swego przygodnego opiekuna. Na jej policzkach wykwitły rumieńce. Oczy rozbłyły.

— Pan jest bardzo dobry — szepnęła.

Mirski uśmiechnął się błado. Chcąc zmienić temat, spytał szybko:

— Może mi pani wreszcie powie, co to było tam w pobliżu Agrykoli?

Dziewczyna zmieszała się. Spuściła powieki, ale zaraz podniosła spojrzenie swych jasnych i szczerych oczu na inżyniera.

— Właściwie to nic ważnego. Zbyt silnie reaguję w niektórych wypadkach. Nie umiem się opanować.

— Jeżeli to nie jest tajemnica, to niech mi pani wyjawi wreszcie przyczyny dzisiejszego jej dramatu.

— Od paru miesięcy szukam pracy, jakoś bezskutecznie — Hanka mówiła szybko, by jak najprędzej skończyć przykrą rozmowę w niemiłej sprawie. — Ostatnio dostałam posadę dziewczyny na posyłki w dużym magazynie mód. Dziś wieczorem miałam odnieść sukienkę balową dla jednej z naszych klientek. Niestety, spiesząc się, upuściłam pudło przed samym pałacem tej pani. Suknia się przybrudziła. Trzeba ją było odświeżyć, a to zabrało sporo czasu. Kiedy wreszcie doręczyłam suknię hrabiance, ta uderzyła mnie w twarz.

Policzki Hanka znów pokryły się bledością. Tłumiąc łyzy, mówiła dalej:

— To nie byłoby może jeszcze tak straszne, ale uprzedzono mnie, że jeśli nie zdołam udobruchać klientki, która jest bardzo nerwowa, stracę nędzną posadę. Sto innych dziewcząt przyjdzie na moje miejsce. Dzisiaj o pracę trudno...

Inżynier zmarszczył brwi, słuchając opowiadania Hanki. Zagryzł wargi i potarł ręką czoło.

— Czy mógłbym wiedzieć, jak się ta klientka nazywa? — spytał wolno, tłumiąc zdenerwowanie.

— Owszem, mogę panu powiedzieć: Lili Suchorzewska.

Dziewczyna nie spostrzegła dziwnego błysku w oczach inżyniera. Otrząsając się z niemiłych wspomnień, odrzuciła swoim zwyczajem bujną czuprynkę na tył głowy i powiedziała z nieco sztuczną odwagą:

— To nic. Nie dam się! Muszę sobie poradzić. Gdyby nie to, że mój ojciec jest nieuleczalnie chory i mam jeszcze młodszą siostrę...

Tymczasem inżynier myślał:

— Dziewczyna jest na pewno głodna, a ja podejmuję ją kruchymi ciastkami. Zaiste doskonały sposób zaspokojenia głodu. No, ale przecież nie wypada mi częstować młodą panienkę na przykład porcją schabu z kapustą?

Zdecydowany, nagle wstał. Hanka podniosła się również.

— Jest już późno. Odwiozę panią do domu. Daleko pani mieszka?

— Zbyt daleko, abym miała odwagę korzystać z pańskiej uprzejmości — powiedziała Hanka z uśmiechem. — Między wylotem ulicy Pęcherskiej a Zbaraską. Krótko mówiąc, na polu za Okęciem.

— No, to zawsze prędzej się tam pani dostanie samochodem niż pieszo.

Pomógł dziewczynie wdziać płaszcz i odprowadził do samochodu.

W drodze nie rozmawiali ze sobą. Hanka odczuwała niewytłumaczoną sympatię dla tego człowieka, którego widziała dzisiaj po raz pierwszy. On zaś rozmyślał nad czymś uporczywie.

Kiedy samochód, po długim kołowaniu, zatrzymał się wreszcie przed sporym domem murowanym, inżynier powiedział do Hanki:

— Mam duże znajomości, przypuszczam więc, iż potrafię pani pomóc.

Ucisnął rączkę dziewczyny, może nawet trochę silniej, aniżeli zamierzał. Długo stała przed domem, spoglądając w stronę, gdzie dawno już znikło czerwone światło bezpieczeństwa u samochodu nieznanego pana, który tak szlachetnie odniósł się do niej.

A był przy tym taki przystojny!

Dopiero nazajutrz stwierdziła Hanka, iż nieznamy pan sięgnął do kieszonki w jej płaszczu. O tym, że nie był kieszonkowcem, świadczył najlepiej nowiutki banknot stużłotowy.

Hanka miała teraz jedno tylko pragnienie: dowiedzieć się, kim był jej tajemniczy dobroczyńca. I odwdziżyć mu się za wszystko. Odwdziżyć za wszelką cenę.

— Nasze auto jest usmarowane błotem, proszę pana inżyniera. Może wstąpiłobyśmy do jakiegoś garażu?

Mirski wzruszył ramionami:

— Głupstwo, Janie. Jest już późno. Musimy się spieszyć. Ostatecznie jest noc, ciemno.

— A no tak — przytaknął kierowca. — Z samochodem do salonu się nie wjeżdża. Zawsze jednak lepiej...

— Zostawcie, Janie! Powiedziałem, sprawa załatwiona.

Jan Kamiński dobrze znał swego chlebodawcę. Wiedział, że to „chłop dobry z kośćcami”, ale jak coś raz powie, to ani rusz nie ustąpi. Za żadne skarby.

— Zresztą, samochodem do salonu... — pocieszał się półgłosem szofer, zatrzymując auto przed podjazdem dużej, komfortowej willi państwa Sielańskich.

Gwaro tu było i rojno. Co rusz rozlegał się szum motoru samochodowego. Co chwilę zajeżdżała luksusowa limuzyna. Szoferzy, po otrzymaniu krótkich, zwięzłych rozkazów, odprowadzali wozy na bok, oczekując, aż państwo zdecydują się na powrót do domowych pieleszy.

Oslonięte roletami okna nie przepuszczały światła, które za to wylewało się szeroką strugą przez główne drzwi wejściowe. Wyfraczeni, uroczyści lokaje zdejmowali w szerokim holu futra z ramion przybyłych gości. Elegancyjny panowie w towarzystwie strojnych dam znikali w głębi apartamentów państwa Stefańskich.

Inżynier Mirski rzucił futro podbiegającemu doń lokajowi i lekkim krokiem wszedł na schody. Wysoki, szczupły brunet prezentował się we fraku nad wyraz korzystnie.

U wejścia do salonów witali goście gospodarze: znany przemysłowiec, barczysty oraz majestatyczny pan domu Aleksander Sielański, który chylił swą szronem siwizny przyprószoną głowę, całując rączki pań i ściskając dłonie panów. Jego małżonka, pani Ernestyna, kusząco piękna mimo swej czterdziestki, darzyła przybyłych ujmującym uśmiechem.

Tego wieczoru w eleganckiej willi Sielańskich gościł sam wybór towarzystwa stołecznego, to też goście, tłumnie napływający z obszernego holu, z jednakową byli witani uprzejmością. A jednak w odniesieniu do inżyniera Mirskiego gospodarze okazali jakby więcej uwagi i więcej mu też poświęcili czasu.

Po krótkiej, przelotnej pogawędce z panem domu inżynier przekroczył próg sali.

Na połyskującej jak lustro posadzce, w lustrzanej, wielkiej sali balowej krążyły już liczne pary. Ale nie wszyscy tu obecni tańczyli. Gdzieś tam tworzyły się grupki: młodzi panowie we frakach asystowali pięknym, wydekoltowanym damom w przepysznych toaletach.

Mirski zatrzymał się i rzucił spojrzeniem po sali. W tym momencie od jednej z grup oderwała się smukła sylwetka w różowej sukni, obramowanej złocistą, kosztowną koronką, zdążając w stronę przybyłego.

Inżynier uczynił ruch, jakby chciał uniknąć spotkania z uroczym zjawiskiem. Był jednak zbyt taktowny. Jak zwykle, gdy coś wywołało u niego niezadowolnienie,

ściągnął brwi i zagryzł wargi. Bez pośpiechu poszedł na spotkanie zdążającej w jego stronę panny.

— Nareszcie, panie Zbyszku! Przypuszczałam już, że pan nie przyjdzie. Byłby to drugi pech — mówiła prędko śliczna panienka, zaglądając głęboko w oczy mężczyźnie.

— Nie bądźmy przesadni — odpowiedział Mirski z powściągliwym uśmiechem na ustach. — Jakież był ten pierwszy pech? Jest pani podniecona, hrabianko?

— Teraz to już mija, ale istotnie zdenerwowałam się dzisiaj. Niech pan sobie wyobrazi: zmarnowałam dwie długie godziny i omal nie spóźniłam się na bal przez głupią dziewczynę z magazynu. Bezczelna! Chciała się jeszcze tłumaczyć!

— I jak pani na to zareagowała, hrabianko? — spytał inżynier, obserwując uważnie twarzyczkę panny Lili, pałającą rumieńcem gniewu.

— Musiałam ją skarcić. Nie wyobraża pan sobie, jak zuchwali są ci ludzie z niższych sfer. A szczególnie te dziewczyny!

Inżynier znów zmarszczył brwi i spojrzał na hrabiankę surowo, niemal groźnie. Już chciał rzucić szorstkie, ostre słowa, ale pohamował się.

— Czy jest pani tutaj sama, hrabianko? — spytał chłodno i obojętnie.

— Tak. Wprawdzie miała być ze mną matka, ale w ostatniej chwili zdecydowała się zostać w domu. Migrena...

— Najwidoczniej jest w rzeczywistości chora, jeśli zrezygnowała z przybycia na bal — powiedział z ukrywaną ironią.

Hrabianka rozmyślnie nie zwróciła uwagi na znaczenie słów inżyniera i ciągnęła dalej:

— Przybyłam tutaj pod opieką ojca. Już zdążył zebrać komplet i zasiadł do brydża.

Mirski widział skierowane na nich liczne spojrzenia. Czuł się, jakby był na cenzurowanym. Podał ramię hrabiance i za chwilę zmieszali się z tłumem tańczących.

Orkiestra grała melodyjne tango. Kosztowne pantofelki i lśniące lakierki w zgodnym rytmie wirowały wokół balowej sali. Upojne dźwięki melodii oczarowały tańczące pary. Z ust do ust płynęły ciche szepty. Oczy rzucały ogień. Wargi rozchyłyły się tęsknie.

Mirski również uległ czarowi chwili. Zapomniał, iż trzyma w objęciach rozkapryszoną córkę hrabiowskiej rodziny, nie liczącą się z nikim i z niczym. Jego umysł i serce zaprzętało wspomnienie tak niedawne, tak przelotne, mgławicowe, a przecież tak dziwnie słodkie.

Niekiedy opanowywał go gniew na samego siebie. On, mimo młodego wieku poważny człowiek na wysokim stanowisku, dysponujący krociami tysięcy, zainteresował się jak sztubak biedną dziewczyną, spotkaną przypadkowo na odludziu.

I cóż, że była nieszczęśliwa? Mało jest nieszczęść na tym łożu padole? Cóż z tego, że płakała. A to, że była ładna? Mirski w czasie swoich dalekich podróży

widował piękności wręcz olśniewające: czarnobrewę i śniadolice (a ten typ podobał mu się specjalnie) Hiszpanki, Włoszki, dziarskie Węgierki, delikatne, subtelne kwiaty północy, gibkie córki Szwecji, urocze, rozkwitłe jak brzoskwinie Greczynki, filigranowe córki wyspiarskiej Anglii.

A czy tu, w kraju, nie spotykał się z czarująco pięknymi kobietami? Czy nie wystarczyło rozejrzeć się po tej wielkiej sali, aby zebrać bukiet najcudniejszych, oszałamiających swą pięknnością istot?

Zarówno z uwagi na swoją powierzchowność, jak i przez stanowisko i majątek, nie miał nigdy powodu do narzekań na brak powodzenia. Aż dziwić się było trzeba, iż to go nie zepsuło. Ale tym niemniej miał prawo dziwić się samemu sobie, że tak go zajęła ładna wprawdzie, bo ładna, ale nieodznaczająca się niczym szczególnym, skromna dziewczyna z przedmieścia, uboga jak mysz kościelna. A może i uboższa, bardziej bezradna wobec nawału trosk i trudności materialnych.

Lili obserwowała spod oka swego partnera. Instynktownie wyczuwała, iż duża tego wybitnie przystojnego mężczyzny jest teraz daleko od tej sali, od tego tłumu, od niej, hrabianki Suchorzewskiej.

W zielonych oczach Lili rozbłysły iskry niechęci. Ze złośliwą przekorą postanowiła przywołać Mirskiego do rzeczywistości.

— Czy bardzo panu przeszkadza, Zbyszku? — spytała przymilnie, ze sztucznie, ale mistrzowsko wymodulowanym wyrzutem w głosie.

Inżynier oprzytomniał.

— Czy zapomniałem się? Może źle tańczy? — spytał zaskoczony.

— O, nie. Tym pan nie zgrzeszy — roześmiała się Lili. — Wydawało mi się tylko, iż zapomniał pan zupełnie o rzeczywistości. Wyobrażałam sobie, iż łąda moment zacznie pan szukać dzwonka, aby wezwać do swego gabinetu woźnego lub sekretarkę.

— Nikogo z urzędniczek ani z urzędników nie wzywam dzwonkiem — powiedział Mirski. — Umiem uszanować godność człowieka nie tylko w równym mi stanowiskiem, lecz bardziej jeszcze w podwładnym.

Hrabianka zagryzła wargi.

— Rozzuchwała pan tym ludzi. Ich trzeba trzymać krótko, jeżeli chce pan zyskać ich szacunek — rzekła cierpko.

— Moje zasady są inne, hrabianko. W tej kwestii nigdy się nie porozumiemy.

Orkiestra przestała grać. Mirski przeprowadził hrabiankę w stronę krzeseł.

— Może wstąpilibyśmy do bufetu? — zaproponował.

— Nie. Nie teraz. Myślę, że poświęci mi pan trochę czasu i uwagi? Czy będziemy jeszcze razem tańczyli?

W jej głosie brzmiała cicha, utajona prośba.

Zbigniew zrozumiał intencje hrabianki, lecz nie odpowiedział od razu.

I on roił, iż wieczór ten spędzi przy boku hrabianki Lili. Już niejednokrotnie zdarzyło mu się spotkać tę złotowłosą dziewczynę na zebraniach towarzyskich.

Widział, iż skłaniała się ona ku niemu w sposób niedwuznaczny. Dotąd uważał, że była w tym niewymuszona szczerłość, żywy odruch dziewczęcej duszy. Aż do dziś, kiedy zestawiał tę roześmianą, czułą, żądną zabawy i użycia złotowłosą panią z nikczemnicą, która przed paru godzinami biła po twarzy dziewczynę z magazynu bez żadnego istotnego powodu. Ujrzał hrabiankę w innym zupełnie świetle. W postępowaniu jej zobaczył to, czym brzydził się najbardziej: wychowanie.

Spojrzenia Zbigniewa i hrabianki Lili spotkały się. W jej oczach malowało się wyczekiwanie. W jego spojrzeniu — surowy namysł. Odpowiedział wolno, starając się nadać łagodniejszy akcent suchym, obojętnym, konwencjonalnym słowom.

— Przykro mi. Doprawdy będę musiał panią opuścić.

— Już pan odjeżdża?

— Nie. Chcę tu jednak z kimś porozmawiać — nie kłamał, wołał bowiem asystować komukolwiek innemu, byle nie hrabiance. — Poza tym... Poza tym nie omieszkam upomnieć się o zaszczyt zatańczenia z panią.

Musnął lekko ustami wydelikaconą rączkę hrabianki i za chwilę zniknął jej z oczu.

— To bardzo przystojny mężczyzna ten Mirski i bardzo dumny.

Hrabianka, zaskoczona, obejrzała się. Tuż za nią stała jej dawna przyjaciółka z pensji, Miła Szeliżanka, ognistooka brunetka o śniadej, drobnej twarzy.

— Boże, jaka miła niespodzianka! — zawołała Lili. — Co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

Przyjaciółki uściśniły się.

— Z kim jesteś tutaj, Milo?

— To tajemnica! — roześmiała się dziewczyna.

[Zeszyt nr 2]

— A zresztą, mogę ci powiedzieć. Adwokat Drwęski.

— Wiem. Młody człowiek, ale ma przyszłość przed sobą. Winszuję!

— Mimo to mogłabym ci zazdrościć, Lili. Zbigniew Mirski to dopiero par-tia.

Hrabianka zarumieniała się. Przerwała przyjaciółce:

— Aha, mówiłaś, że Mirski jest dumny? Mylisz się.

— W każdym razie na mnie w ogóle nie raczył zwrócić uwagi. Chociaż może masz słuszość, Lili. Czy już jesteście po słowie?

— Nie jeszcze, ale tak jakby już.

Panią ujęły się pod ręce i przeszły do zastawionego palmami kąta salonu.

— Nie. Zbigniew nie jest dumny — odezwała się Lili po krótkim milczeniu.

— Za to masz słuszość w tym, iż nie zwraca uwagi na inne kobiety. Inżynier to uosobienie solidności.

Mila roześmiała się. Lili spojrzała na przyjaciółkę zdumiona. Szeliżanka poważniała nagle.

— Powiedziałabym ci coś, Lili, boję się jednak, że cię tym urażę — rzekła z wahaniem.

Hrabianka chwyciła Milę za rękę.

— No wiesz, moja droga! Skąd znów te skrupuły? Mów, błagam cię! Jestem niesłuchanie ciekawa.

— A więc powiem ci, Lili. Otóż twój pan Zbigniew nie jest takim nieprzyjętnym i obojętnym wobec kobiet. Nie dalej jak dzisiejszego wieczoru widziałam go w samochodzie razem z jakąś młodą dziewczyną.

Lili zasępiła się.

— Może to był ktoś inny, podobny do inżyniera? — spytała.

Mila energicznie potrząsnęła główką.

— Pomyłka wykluczona — rzekła z uporem. — Jechałam wraz z rodzicami i z narzeczoną na bal do Sielańskich. Nie pamiętam dokładnie, na której ulicy wóz nasz musiał się zatrzymać, gdyż droga była zatarasowana. Obok naszego auta stał samochód inżyniera, którego szofer musiał zaopatrzyć się w benzynę. Zapomniałam ci dodać, iż rzecz miała miejsce przy stacji benzynowej. Wnętrze samochodu było oświetlone. Obok inżyniera siedziała młoda i bardzo ładna dziewczyna. Nie wiem, czy miała więcej niż osiemnaście lat. Najbardziej mnie zastanowiło, że była ubrana biednie, a twarz miała zmienioną jakby pod wpływem silnego wzburzenia. Zdaje się, iż płakała. Mogę cię zapewnić, iż dziewczyna ta nie należy do naszej sfery, o czym najlepiej świadczył jej nędzny, stary, zniszczony płaszcz i wymięty berecik.

— A jak się zachowywał inżynier? — spytała gorączkowo Lili, chłonąc z natężeniem słowa opowiadania przyjaciółki.

— Był poważny i zamyślony. Chwilami spoglądał na towarzyszącą mu dziewczynę. Musiał bardzo interesować się nią, bowiem nie zwracał najmniejszej uwagi na to, co działo się na zewnątrz.

Hrabianka pochyliła główkę. Myślała nad czymś intensywnie. Wreszcie odezwała się:

— Nie przypuszczasz chyba, że Mirski ma kochankę? W naszym świecie trudno byłoby ukryć coś takiego. A tymczasem inżynier uchodzi za uosobienie solidności, a zresztą wcale na to nie wygląda, aby mu zależało na jakiejś tam dzierlatce.

Mila wzruszyła ramionami.

— Tłumacz sobie, jak chcesz. Przyznam się, że i dla mnie sprawa ta przedstawia się bardzo tajemniczo. Ale przepraszam cię. Mój narzeczoną mnie szuka. Bądź zdrowa. Przypuszczam, iż zobaczymy się jeszcze.

Nim Lili zdołała się zorientować, Szeliżanka zerwała się z fotela i pobiegła do przystojnego, młodego mężczyzny.

Lili została sama. Długo rozważała w myślach słowa przyjaciółki.

— Musiała się pomylić — orzekła wreszcie hrabianka, wstając, aby przyłączyć się do grupy młodych dziewcząt, rozmawiających w innym kącie salonu.

Inżynier Zbigniew Mirski, w gronie kilku panów zgromadzonych w palarni, prowadził ożywioną rozmowę na temat aktualnych zagadnień politycznych i gospodarczych. Jego opinie i poglądy spotykały się z ogólną aprobatą. Świadczyły o tym, iż młody ten, ale wybitnie uzdolniony mężczyzna traktuje życie na serio, odnosząc się rzeczowo i ze znanstwem do najbardziej skomplikowanych kwestii.

Nikt z otoczenia Mirskiego nie przypuszczał ani przez chwilę, iż młody inżynier, biorąc czynny udział w dyskusji, błędzi myślą z dala od sali balowej, gdyż był ciągle jeszcze pod wrażeniem spotkania z biedną, sponiewieraną dziewczyną.

W kącie obszernego gabinetu, służącego teraz za palarnię, siedziała samotnie Mila Szelizanka, paląc nerwowo papierosa. Jej narzeczony brał udział w dyskusji w gronie gości otaczających Zbigniewa. Młoda dziewczyna nie odwracała ani na chwilę oczu od tej grupy, ale spojrzenie jej nie szukało młodego prawnika, a spoczywało uporczywie na osobie Mirskiego.

— Inżynier bardzo się pani podoba, prawda? — usłyszała nagle drwiący głos młodego mężczyzny o nieprzyjemnej twarzy i kłujących oczach.

Był to Stefan Zasławski, potomek znanej, ale bardzo zubożałej rodziny.

— To impertynencja zaskakiwać kobiety w ten sposób — odezwała się z nietajoną niechęcią Mila.

Stefan spokojnie zapalał papierosa.

— Ale przecież moje spostrzeżenie było trafne. Mirski bardzo się pani podoba — powtórzył młody człowiek.

— Czyżby to była zazdrość? — z szyderstwem spytała dziewczyna.

— Phi, zazdrość! Ja? Chyba ten pani adwokacik mógłby być zazdrosny! Mógłby i powinien — dodał, mierząc wiotką postacią Mili okiem wytrawnego znawcy.

Wstała, aby wyjść z pokoju. Zasławski, który już zajął miejsce w jednym z foteli, ujął ją za rękę. Delikatnie, lecz i mocno zarazem.

— Nie gorączkujmy się tak, panno Milo. Porozmawiajmy lepiej jak dwoje dobrych przyjaciół. Chcę tylko korzyści pani — rzekł.

— Cuda się dzieją. Ośławiony rozrzutnik rozmyśla o przynoszeniu bliźnim korzyści!

— Wolno pani żartować, ale niech pani poświęci mi kilka minut uwagi — odparł. A gdy dziewczyna z powrotem zajęła miejsce, ciągnął dalej: — Przecież pani kocha inżyniera.

Śniada twarz dziewczyny pobladła.

— Proszę mi zaufać, panno Milo. Pani zaręczyny do niczego jej jeszcze nie zobowiązują. A myślę, że jest pani warta takiej partii jak małżeństwo ze Zbigniewem.

Jestem gotów dopomóc pani. Chciałbym jednak dowiedzieć się przedtem, co opowiadała pani mej kuzynce.

— Hrabiance Lili?

— Tak. Widziałem, że była wstrząśnięta. I wiem, iż chodziło o Zbigniewa.

Dziewczyna popatrzyła badawczo na Stefana.

— Nie wiem do czego pan ostatecznie zmierza, ale porozmawiajmy.

— Do czego ja zmierzam, to się w przyszłości okaże. Tymczasem chcę pani pomóc.

Hrabianka Lili była niezadowolona.

Prócz jednego tanga z Mirskim — nie tańczyła zupełnie. Spodziewała się, iż Zbyszek nadejdzie lada chwila i z tej racji odrzucała wszystkie zaproszenia do tańca, których jej nie brakło.

Piękna, posażna i utytułowana panna zwracała powszechną uwagę. Niejeden z obecnych na balu młodzieńców uważałby pozyskanie względów hrabianki za ziszczenie się jego najśmielszych marzeń. Kapryśna hrabianka nie kryła swego niezadowolnienia i jakby zawodu, toteż grono otaczających ją młodych ludzi małoło ustawicznie. Około godziny czwartej nad ranem, kiedy zabawa wrzała w pełni, Mirski podszedł do hrabianki. Asystowali jej dwaj młodzieńcy: Andrzej Zembrzusi i kuzyn Stefan Zasławski. Oni jedni wytrwali na stanowisku, znosząc cierpliwie dąsy i uszczypliwości poirytowanej Lili. Inżynierowi towarzyszył baron Przyborski, więc w zacisznym zakątku salonu zebrało się, licząc razem z Lili, pięcioro osób.

Hrabianka na widok inżyniera odzyskała nagle dobry humor.

Rozejrzała się po sali. W różnobarwnym świetle reflektorów migotały w tańcu liczne pary. Bal udał się. Na żadnej twarzy nie zaznaczyło się znużenie.

— Wiecie panowie? — Lili mówiła teraz z rzadkim u niej tego wieczoru ożywieniem. — Bardzo tu nudno. Dziwię się sobie, iż mogłam tak długo wytrzymać.

— Nudziła się pani? W naszym towarzystwie? — spytał z żartobliwą urazą Andrzej.

— Nie zaprzeczysz, moja droga, iż czyniliśmy co w naszej mocy, aby cię zabawić — dorzucił Stefan.

— Nie wystarczy dobre chęci, którymi podobno piekło jest brukowane — roześmiała się Lili. — Myślę, iż zrobimy najlepiej, ulatniając się „po angielsku”.

— Może wstąpilibyśmy jednak przedtem do bufetu? — zaproponował baron, po przedstawieniu go Lili przez inżyniera.

— Najchętniej wpadłabym do jakiejś restauracji. Tutaj czuję się dziwnie skępowana.

Mirski zaaprobował w milczeniu projekt hrabianki. Lili uprzedziła zajętego przy brydżu hrabiego Suchorzewskiego, iż odjeżdża samochodem inżyniera do domu.

Za chwilę zawarczał wesoło motor i auto Mirskiego wytoczyło się za bramę.

— Dokąd? — spytał szofer.

— Do „Baru Nadwiślańskiego” — zaproponował Stefan. — Ten lokal jest otwarty przez całą dobę.

Szofer Jan i inżynier Zbigniew Mirski wymienili znaczące spojrzenia.

Tak samo jak ostatniego wieczoru Mirski z jego nową znajomą towarzystwo zajęło gabinet od podwórza. Ten sam kelner zwrócił się do inżyniera po dyspozycje.

Mirski zamówił wystawną kolację.

Przy stole toczyła się ożywiona rozmowa. Lili co chwila spoglądała na drzwi.

— Czy jest pani głodna, hrabianko? — spytał Andrzej Zembrzuski.

— Nie. Irytuje mnie tylko ten wstrętny kelner. Jak ci ludzie nie liczą się zupełnie z rozkazami. Nie mają najmniejszego poczucia subordynacji. Chociaż nie można się im dziwić. Panowie z najlepszych sfer nie umieją zmusić służby do szacunku.

Słowa te były wyraźnie zwrócone do Mirskiego. Inżynier zrozumiał aluzję.

— Widzę, to pani gotowa byłaby skarcić kelnera? — na ustach Zbigniewa zaigrał sarkastyczny uśmiech.

Lili nie zdążyła odpowiedzieć, bo oto otworzyły się drzwi i wniesiono zastawę.

Drobny incydent między hrabianką i Zbigniewem minął niepostrzeżenie, tylko Zasławski zwrócił nań uwagę. Lili, która doskonale rozumiała, o co inżynierowi chodziło, postanowiła zemścić się na nim, zwracając się wyłącznie to do Stefka, to do Andrzeja. Poświęciła nawet nieco uwagi grubokościstemu baronowi.

A Zbigniew?

On wdzięczny był jej za to.

Jeszcze kilka godzin temu wydawało mu się, iż kocha Lili. A teraz czuł do niej dziwną niechęć.

Wbrew własnej woli porównywał kapryśną hrabiankę, w jej kosztownej, balowej toalecie, z ubogą panienką z przedmieścia, w skromnej sukience i w starym, zniszczonym płaszczu.

Spoglądał w zadumie na dużą, brylantową klamrę, którą spięła hrabianka suknię, udając się na bal. Ileż by za taki klejnot można było otrzymać nowych płaszczy? Ilu ludzi ubrać?

Mirski nigdy nie kochał się w kosztownych świecidełkach. Dopiero teraz jednak uzmysłowił sobie, ile można zdziałać dobrego, wyzbywając się choćby części cennych, ale niemających żadnego praktycznego znaczenia błyskotek. Toż gdyby tę wspaniałą klamrę i inne klejnoty dam, będących na balu u państwa Sielańskich, spieniężyć i przeznaczyć uzyskane stąd środki finansowe na pomoc dla biedaków, tysiącom nędzarzy zapewniłoby się wydzwignięcie z ich ciężkiego położenia.

Porównywał pusty śmiech Lili i jej uszczypliwe, złośliwe żarty i dowcipy z pogodnym, dobrym uśmiechem znękaney niepowodzeniami i sponiewieranej nieśluszenie przez hrabiankę dziewczyny.

Gdyby mu kazano wybierać między hrabianką, kusząco piękną, elegancką, uwodzicielską, bogatą i skromnym dziewczętkiem gdzieś z Okęcia, byłby w kłopotcie. Jedno wiedział na pewno: nie wybrałby hrabianki Lili.

Na świecie dzień był już jasny, gdy samochód inżyniera wtoczył się w Aleje Ujazdowskie.

Mirski przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Nie próbował bawić hrabianki. Ta spoglądała spod oka na milczącego młodzieńca. Kiedy auto zatrzymało się przed bramą pałacu Suchorzewskich, Lili ziewnęła dyskretnie i rzekła do Mirskiego z urazą:

— Nie powiem, aby był pan dziś bardzo interesujący.

— Jestem zawsze jednakowy. Zdumiewa mnie nawet, iż dotychczas nie spostrzegła pani tego, hrabianko.

— Wymowny nie jest pan, rzeczywiście, nigdy. Ale tak oschłym, szorstkim prawie, nie widziałam pana jeszcze — wybuchnęła Lili. Nagle zmieniła ton:

— Panie Zbyszku! — powiedziała łagodnie, pieszczotliwym szeptem. — Proszę mi powiedzieć: pan jest na mnie o coś urażony?

— Na panią? — Mirski szczerze się zdziwił. — Do pani nie mam najmniejszej pretensji.

— A do kogo pan ma, jeśli wiedzieć wolno? — ton jej głosu brzmiał zaczepnie, zielone źrenice wświdrowały się jak szpilki w męską twarz młodego inżyniera.

— Mógłbym mieć pretensje do pani wychowawców — powiedział z zagadkowym uśmiechem i, nie dbając, jak na to zareaguje dumna hrabianka, wyskoczył z auta i podał rękę Lili, aby pomóc jej wysiąść.

— Żegnam pana — powiedziała Lili oficjalnym tonem.

— Mam zaszczyt życzyć pani dobrego snu — odparł chłodno Zbigniew.

W tej samej chwili hrabianka myślała:

— Widzimy się, prawdopodobnie, po raz ostatni.

— Mam tej znajomości po uszy! — mówił sobie w duchu Mirski.

Oboje mylili się. Mieli się spotkać jeszcze niejedną raz. Nie tylko na balach i na towarzyskich zebraniach.

3. W pogoni za szczęściem

Lili nawymyślała najpierw kamerdynerowi, który nie dość szybko otworzył jej drzwi do hallu, a swój klucz, niestety, gdzieś zapodziała, potem zrobiła awanturę pokojówce, że zbyt długo się „wyleguje”, choć Zosia tłumaczyła, iż dopiero co doszła do łóżka, znużona całonocnym oczekiwaniem na powrót hrabianki.

Wiedząc, iż hrabina, pani Klaudia, od dawna cierpi na bezsenność, udała się do komfortowej sypialni matki.

— Jak się bawiłaś, córeczko? Nie potrzebuję cię chyba pytać, czy miałaś powodzenie. Z twoją urodą, kochanie... Ja byłam w młodości bardzo piękna, ale ty mnie prześcignęłaś. Wierz mojemu doświadczeniu.

Lili zachnęła się.

— Co mi po tej urodzie, co mi po wszystkim! Zbigniew Mirski to wstrętny człowiek. Okropny!

Hrabina aż uniosła się na poduszkach.

— Dziecko, co ty mówisz? Zbigniew Mirski to mężczyzna dobrze wychowany, niezdolny do popełnienia nietaktu. Poza tym nie wyobrażam sobie dzielniejszego i bardziej prawego człowieka.

— Chciałabym, abyś słyszała te wszystkie impertynencje, jakimi mnie dzisiaj nocy uraczył.

— Mirski śmiał prawić impertynencje tobie? To niesłychane. Może go źle rozumiałaś? Oczywiście, iż natychmiast zerwiesz tę znajomość.

Lili tupnęła nóżką.

— Kiedy ja go Kocham! A on... On patrzy na mnie jak na malowidło, jak na coś, co raczej zawadza, jak na coś... Po prostu nie wiem, jak mam ci to określić, mam.

Suchorzewska uspokoiła się.

— Teraz już rozumiem. Zwykle droczenie się dwojga zakochanych.

— Mylisz się, mam. Jeszcze do dnia wczorajszego byłam pewna, że działam na niego. Mogłam się liczyć z tym, że zacznie się o mnie starać. Aż tu naraz...

— Ale co on ci takiego powiedział? — nalegała hrabina.

Lili rozpląkała się z irytacji.

— Zarzucił mi, że miałam złych wychowawców — powiedziała przez łzy.

Pani Klaudia zamyśliła się. Łzy córki wzruszyły ją, ale nie brała całej sprawy zbyt tragicznie.

— Wszystko jeszcze będzie dobrze, Lili, możesz wierzyć mojemu doświadczeniu. A teraz idź spać.

— Kiedy ja nie zasnę, mam. Jestem taka roztrzęsiona.

Pani Klaudia, starannie okrywając się bogato haftowaną kołdrą, jęła snuć półgłosem rozważania:

— Widzisz, Lili, Mirski uważany jest za doskonałą partię. Nie tylko dlatego, że jego ojciec ma grube kapitały, ulokowane w różnych spółkach akcyjnych i w majątkach ziemskich. Ten zdecydowany demokratą ma prawo do książęcego tytułu, którego nie używa ze względu na swoje przekonania. Zbigniew jest młodzińcem rzutkim, energicznym, a przy majątku swego ojca i pozycji społecznej może zdziałać bardzo wiele.

Hrabianka przyznawała matce słuszność. Dlatego właśnie tym bardziej bolało ją zachowanie się inżyniera. Nie mówiąc słowa, wyszła z sypialni matki.

Inżynier Zbigniew Mirski pojechał do domu, zrzucił strój balowy i, ubrany w szary garnitur, udał się do fabryki.

Było to wielkie przedsiębiorstwo metalurgiczne. Inżynier był kierownikiem działu technicznego firmy.

Zaraz po przybyciu do biura wezwał swego pomocnika, inżyniera Edwarda Wilskiego, który miał w swym ręku personalne sprawy przedsiębiorstwa, a więc między innymi również angażowanie pracowników.

— Dzień dobry, Wilski — Zbigniew uściśnął mocno dłoń podwładnego.

— Chciałbym pomówić z panem w kilku sprawach. Przede wszystkim chcę zatrudnić nową siłę. Czy byłoby to możliwe?

Wilski pokręcił głową.

— To byłoby dość trudne. Jak pan wie, od roku, po ostatniej reorganizacji biurowości, każdy ma akurat tyle pracy, ile powinien wykonać. W czasie urlopów pracownicy wzajemnie się zastępują.

— Wobec tego utworzymy nowy etat. Wspominałem już panu niejednokrotnie, iż chcę zaprowadzić szczegółowy wyciąg branżowy. Nie jest to konieczne, ale może przynieść korzyści przedsiębiorstwu. Praca nie byłaby trudna i żadnych specjalnych uzdolnień do tego nie potrzeba.

— Mimo to nie wiem, czy wolno nam tworzyć nowe etaty. Chciałem właśnie zakomunikować panu, że przeprowadzamy redukcję.

— W jakim zakresie?

— Wszystkim urzędnikom obniża się pensje od pięciu do dziesięciu procent.

— Ile da to w sumie?

— Około pięć tysięcy złotych miesięcznie oszczędności.

— Skąd pan wie o tym? — spytał Mirski.

— Dyrektor Hoffmann wezwał mnie wczoraj po południu. Powołując się na jeden z punktów protokołu walnego zgromadzenia akcjonariuszy firmy, nakazał obniżenie płac.

— Przecież na walnym zebraniu akcjonariuszy nie było o tym mowy.

— Istotnie. Powzięto tam jednak uchwałę o wprowadzeniu oszczędności. Dyrektor Hoffmann uważał, iż należy je uzyskać na tej właśnie drodze.

— Pójdzie pan zaraz do dyrektora Hoffmanna, Wilski, i powie mu pan, że redukcji płac nie będzie. Pensje są niskie, obniżać ich nie wolno. Natomiast ja zrezygnuję z pięciu tysięcy złotych miesięcznie.

Wilski słuchał zdumiony. Na twarzy inżyniera pojawił się ironiczny uśmiech.

— Uważa pan, iż przy moich warunkach materialnych taka kwota nie odgrywa żadnej roli?

— Tego nie myślałem — zastrzegł się Wilski. — Przeciwnie...

— Mniejsza zresztą o to. Uważam, iż pensja wynosząca piętnaście tysięcy złotych miesięcznie...

— Dyrektor Hoffman ma więcej — wtrącił Wilski.

— Wiem o tym. Otóż pensja taka jest w obecnych warunkach stanowczo za duża, wówczas kiedy szuka się oszczędności na drodze obcinania małych, parusetzłotowych zarobków.

Wilski skinął głową i wyszedł z gabinetu.

Inżynier zagłębił się w przeglądaniu raportów. Po upływie kwadransa Wilski wrócił.

— Dyrektor Hoffmann nie godzi się na tego rodzaju załatwienie sprawy. Uważa, iż panu przysługuje prawo do pensji w takiej właśnie wysokości. Jego zdaniem nie należy psuć ludzi.

Inżynier przeszedł się kilkakrotnie po pokoju z rękoma założonymi na plecach. Wreszcie, zatrzymując się przed Wilskim, powiedział:

— Dyrektor Hoffmann pójdzie na emeryturę. Wystąpi pan z odpowiednim wnioskiem. Motywem będą względy oszczędnościowe. Za dwie trzecie jego pensji zatrudnić możemy dwóch dzielnych fachowców, którzy rozumieją nowoczesne zasady pracy.

Wilski słuchał zdumiony.

— A co na to powie prezes rady? — spytał zaskoczony.

— Z ojcem załatwię tę sprawę. Mogę panu zresztą powiedzieć w zaufaniu, iż zamiar zwolnienia Hoffmanna istnieje już od dawna. Dzisiejsze jego ustosunkowanie się do kwestii obniżki płac i przeprowadzania oszczędności przyspieszyło decyzję. Co do zaangażowania tej nowej siły, sprawę funduszu na jej pensję jeszcze omówimy. Nie chciałbym występować w roli dobroczyńcy, który z własnej kieszeni opłaca pracowników.

Wilski wyszedł.

Inżynier zapoznał się z treścią raportów i odłożył je do szuflady. Wstał i narzucił na siebie futro.

Wolnym krokiem ruszył w stronę garażu. Jana nie było.

— Widocznie poszedł spać. To nawet lepiej — mruknął do siebie.

Sam zasiadł przy kierownicy. Postanowił dotrzymać przyrzeczenia danego wczoraj wieczorem biednej dziewczynie z przedmieścia.

Zgrabna postać w zniszczonym paltociku i w pensjonarskim berecie dziwnie absorbowała myśli inżyniera. Choć tak niedawno rozstał się z hrabianką, która przecież zajmowała już miejsce w jego planach na przyszłość, zdawał się zupełnie o niej zapominać.

Minął już zabudowania wąskich ulic podmiejskich i wyjechał na szosę. Orientował się dobrze. Jeszcze paręset metrów, a będzie mógł sympatycznej panience zwiastować tak miłą dla niej nowinę.

Zatrzymał samochód przed dużym, murowanym domem. Już wysunął nogę, aby zejść na jezdnię (chodników tu jeszcze nie było), gdy wtem spostrzegł w nieznaczej odległości drugi, podobny budynek. Przyszło mu na myśl, iż powinien był zapamiętać numer kamienicy.

— Może Jan zwrócił na to uwagę — powiedział do siebie, zawracając samochód z powrotem ku miastu.

Naraz, omal nie zaklął, tak go zaskoczyła drobnostka na pozór. Toż on nie znał nie tylko nazwiska, ale nawet imienia swej protegowanej. O kogo będzie się dopytywał? O dziewczynę, która ma chorego ojca i siostrę?

Nie było innej rady, jak zabawić się w detektywa amatora. I trawić może całe tygodnie na spacerach, łudząc się nikłą nadzieją, iż może, przypadkiem, spotka poszukiwaną.

Na to nie miał Mirski czasu.

Był jeszcze inny sposób. Ten mu się jednak mocno nie podobał.

Ale to był sposób najlepszy.

Na twarzy inżyniera pojawił się wyraz niechęci, gdy zatrzymał samochód przed pałacym Suchorzewskich. Zdecydowanym ruchem zamknął drzwiczki auta i zadzwonił do bramy pałacyku.

Idąc za wskazówkami kamerdynera, udał się na pierwsze piętro. Pokojówka z zakłopotaniem obracała w palcach wizytówkę inżyniera.

— Czy to bardzo pilna sprawa? — spytała. — Bo hrabianka dopiero położyła się i podobno źle się czuje.

Mirski zapomniał, iż pannie Lili należał się przecież odpoczynek.

— Przyjadę później lub zatelefonuję — oświadczył Zosi, obserwującej go z dużą ciekawością i nieukrywaną sympatią.

Zupełnie niezadowolony powrócił do fabryki.

Kiedy Jan odwoził go wieczorem do domu, inżynier zagadnął szofera.

— Czy znacie kogoś ze służby w pałacu hrabiów Suchorzewskich?

— Nikogo, proszę pana inżyniera. Nie zadaję się ze służbą.

Mirski uśmiechnął się.

— Tym razem będziecie musieli odstąpić od tej pięknej zasady, Janie. Życzę sobie, abyście mi w ciągu najbliższych dwóch dni dowiedzieli się dokładnie, w jakich magazynach ubiera się hrabianka.

Szofer popatrzył podejrzliwie na swego chlebobawcę.

— Czy zabraknie wam sprytu? Boicie się tego podjąć? — dopytywał Mirski, widząc, iż kierowca zwleka z odpowiedzią. — Wynagrodzę was za to specjalnie.

— O to mi nie idzie, proszę pana inżyniera. Tylko, bez urazy pana inżyniera, pomyślałem sobie, na co też to panu inżynierowi wiedzieć. Nie jestem, naturalnie, ciekawy i przepraszam bardzo. Postaram się wszystko dobrze załatwić.

— Możecie być ciekawy, Janie. Przrzekłem pewnej biednej dziewczynie zajęcie i teraz nie mogę jej znaleźć. A wiem, że pracowała w magazynie, w którym hrabianka zamówiła suknię balową.

— Jeżeli to jest ta sama, co ją pan inżynier zabrał z Agrykoli, można pojechać na Okęcie i znaleźć pannę. Tak byłoby najłatwiej.

— A czy Jan zapamiętał sobie numer domu?

Szofer zastanowił się.

— Nie. Nawet nie mogę powiedzieć, czy tam w ogóle był numer na bramie. A to gorsze, że takich samych budynków było sporo, choć w dużych odstępach jeden od drugiego.

— O, właśnie. A do tego ja w roztargnieniu zapomniałem spytać dziewczynę o jej nazwisko. Nie znam nawet jej imienia.

— Dowiemy się, proszę pana inżyniera. Wszystko się załatwi, jak trzeba — zapewniał solennie szofer.

— Polegam na was, Janie.

Już następnego ranka, kiedy Mirski jechał do fabryki, Jan podał mu arkusz papieru.

— Tam hrabianka kupuje swoje ubiory — powiedział do Mirskiego.

— Spisaliście się dzielnie — rzekł z uznaniem inżynier. — Zaraz zobaczymy.

Rozwinął arkusz. Dużymi, okrągłymi literami, stawianymi z widoczną starannością, wymieniono tam ni mniej ni więcej tylko dziesięć adresów różnych sklepów.

— Nigdy bym nie przypuszczał, iż hrabianka jest tak rozrzutna. Jeszcze jeden dowód, iż to pusta lalka, która myśli tylko o sobie i o zaspokojeniu swoich kaprysów — mruknął niechętnie.

A zwracając się do szofera, polecił:

— Weźcie sobie ten arkusz. Objedzicie wszystkie sklepy, których adresy są tu zapisane. W każdym zapytacie, czy to oni wysyłali hrabiance Suchorzewskiej różową, jedwabną suknię, ze złocistą koronką. Czy zapamiętacie to sobie?

— Różowa suknia z pozłacaną koronką — powtórzył szofer.

— Nie z pozłacaną, tylko ze złocistą. Ostatecznie możecie mówić, że ze złotą — wykladał cierpliwie Mirski. — Jak traficie na magazyn, który tę suknię dla hrabianki robił, musicie się dowiedzieć, jak się nazywa dziewczyna, która suknię odnosiła. Będą na pewno pamiętać, bo miała wypadek po drodze i trzeba było suknię odświeżyć. Pamiętajcie: imię, nazwisko i dokładny adres.

[Zeszyt nr 3]

— A gdybyście przypadkowo zastali panienkę w sklepie, każcie jej przyjść do fabryki. Niech się zgłosi do mnie w godzinach biurowych. Daję wam pięćdziesiąt złotych na wydatki i za fatygę.

Minęły dwa dni, gdy szofer zgłosił się wreszcie do gabinetu inżyniera.

— No i co? Dowiedzieliście się? — spytał nerwowo Mirski.

— Nie, proszę pana inżyniera. Jak kamień w wodę.

— Nie znaleźliście tego magazynu?

— Znaleźć znalazłem, tylko panna już tam nie pracuje. Oddali jej wszystkie papiery i nikt nie pamięta nazwiska ani adresu. Na imię to jej jest Hanka, proszę pana inżyniera.

Gdy szofer wyszedł, Mirski wstał z fotela za biurkiem i, spacerując po gabinecie, rozmyślał. Wreszcie powiedział do siebie:

— Hanka! Hanka ma na imię. To już jest coś. Znajdę ją. Znajdę, choćbym miał szukać jej na krańcach świata.

4. Jej tajemnica

Od opowiedzianych wydarzeń minęły miesiące.

Śródmieście Warszawy jarzyło się światłem reklam i neonów. Ale na przedłużeniu Okęckiej panowały ciemności.

Opuszczona to była uliczka, miejscami przechodząca w czyste, niezaorane pole, pozbawiona bruku, pełna za to wyrw i jam głębokich.

Przejsć tędy w ciemnościach było nie lada sztuką, domy tu bowiem pobudowano z dala jeden od drugiego, a tylko okna niektórych mieszkań słabo rozpraszały nieprzeniknione mroki tego dżdżystego wieczoru. Hanka Zakrzewska poruszała się tu jednak zwinnie i z pewnością siebie. Mieszkała w tym zapadłym kącie już od paru lat, mogłaby przejść tędy o każdej porze z zamkniętymi oczyma.

Choć był wczesny wieczór, zewsząd wiało pustką, dlatego dziewczyna posuwała się szybko naprzód. Kiedy wreszcie zamknęła za sobą drzwi parterowej izdebki w dużej, trzypiętrowej kamienicy, była zdyszana tak bardzo, że nie mogła słowa wypowiedzieć.

Z ciemnego kąta, przy małym, żelaznym piecyku, podniosła się drobna postać. Była to 16-letnia siostra Hanki — Jadzia.

— Czekaliśmy na ciebie — odezwała się do przybyłej.

Hanka wolno zdejmowała berecik. Energicznie potrząsnęła głową. Ciemnoblond loki opadły w tył.

— A czemu to czekaliście na mnie? Powinnaś przygotować herbatę dla ojca. Trzeba więcej o niego dbać.

— Daj spokój, Hanuś. Chciałem, abys i ty razem z nami wypila szklankę gorącej herbaty.

— No dobrze, ale przecież o wodę nie jest jeszcze tak trudno? Mogłeś ojcie zjeść kolację, a teraz przed snem mógłbyś znowu.

— Nie bądź no taka ważna, Hanko — odezwała się dziewczyna, zajęta rozpalaniem ognia. — O wodę, istotnie, jest jeszcze dość łatwo, ale o opał trudno. Nie mamy ani kawałka węgla i nawet drzewa zabrakło.

Hanka przestraszyła się.

— Doprawdy? Nie zwróciłam na to uwagi. I jakżeś sobie poradziła, Jadziu?

— Oho, to nie było takie trudne. Poszłam sobie na spacer i wzięłam moją teczkę szkolną. Nie uwierzysz, ile drzewa poniewiera się na bocznych ulicach. Ludzie strasznie mało o to dbają, a przecież drzewo kosztuje.

Twarz Hanki spochmurniała.

— I nazbierałaś dosyć? — wyrzekła z mimowolnym skrzywieniem ust.

— Jeszcze ile! — odparła Jadzia rezerwowo. — Na jutrzejsze śniadanie też starczy, a może nawet coś pozostanie. Zresztą jutro znów pójde. Mam przecież teraz wakacje.

— A jak cię ktoś znajomy zobaczy? — spytała Hanka.

— Niech tam. To ani kradzież, ani żebranie. Jeśli ja się nie przejmuję, to czemu ty się martwisz? Powiedz lepiej, jak ci dzisiaj poszło.

Na twarzy Hanki rozlał się wyraz goryczy.

— Dzisiaj tak jak i wczoraj, a prawdopodobnie tak samo jak jutro. Dostałam parę adresów do różnych domów. Chciałam nająć się do służby. Jak nie ma co do głowy włożyć, to trzeba pychę z serca zdjąć. Ale nie nadaję się.

— Ty się nie nadajesz? — spytała zdumiona młodsza siostra.

— Tak. Nie mam świadectw. Teraz wszędzie wymagają.

Suche gałęzie i kawałki drzewa płonęły wesoło, sycząc i trzeszcząc. Hanka wstała z krzesła i podeszła do okna. Uchyliła gęsto cerowaną i łataną, ale czystą firankę. Na podwórzu panowała nieprzebita ciemność. Dziewczyna odsunęła się od okna i zaciągnęła zasłonę.

— Ciemno, pusto i ponuro jak w mojej duszy — przemknęło jej przez myśl.

Szybko otrząsnęła się jednak z ciężkiej zadumy i zwróciła się do ojca:

— Było coś nowego? Jak ze zdrowiem? Nie ma pogorszenia?

Chory poruszył się niespokojnie.

— Jakby ci to powiedzieć, dziewczyno... Nic mi niby nie jest, a tylko wewnątrz odczuwam jakąś przykrą pustkę. Może to się znów coś przyplątuje.

— Nie, tylko ojciec jest głodny. Oto wyjaśnienie wewnętrznej pustki.

Słowa te były prawie szorstkie. Hanka pożałowała ich i zbliżyła się do ojca. Poglądziła ręką jego postarzałą, nieogoloną twarz.

Gdy młodsza z dziewcząt zajęta była nastawianiem wody na herbatę, druga, Hanka, mówiła głosem wzruszonym:

— Nie wierzę, aby mnie kiedykolwiek spotkało w życiu coś pomyślnego. Jedyne, co by mogło mnie naprawdę uszczęśliwić, to praca, płatna praca.

— Cierpliwości! — uspakajał córkę. — Cierpliwości i wytrwałości. To największe zalety w dzisiejszych czasach.

Odeszła od łóżka chorego i zajęła miejsce na krześle przy chwiejącym się, zdezelowanym stole.

Jadzia krzątała się przy kuchni, nucąc półgłosem smętną melodię. Hanka przeglądała strzępy gazety, upolowanej w jakiejś poczekalni. Po raz dziesiąty przebiegała oczyma pognieciony świstek papieru z częścią rubryki ogłoszeń,

zastanawiając się nad każdym anonsem po kilkakroć: pójść osobiście czy lepiej w ogóle zrezygnować już naprzód?

Chory tymczasem mówił ni to do siebie, ni to do córek:

— Przecież i nam było kiedyś dobrze. Praca w kopalni, dobre zarobki. Przydzielono nam kilkupokojowe mieszkanie z ogródkiem, w którym tak wczesnie zakwitały przyłaszczki i ciemierniki, a potem konwalie i stokrotki, niezapominajki, róże, tulipany i irysy. Wasza nieodżałowana matka była jeszcze wówczas w pełni sił, zdrowia i piękności. Ach, jaka to była dobra, idealna kobieta! Wyście jeszcze nosiły koszulki w zębach, Lutek chodził już do szkoły. A ja... Ja byłem pełen energii, siły i ambicji. Zdawało mi się, że góry mógłbym przenosić, gdyby mi tylko przyszła taka fantazja.

— Wtedy nie było jeszcze kryzysu. Wszystko rozwijało się w odrodzonym państwie. Ale kopalnia, w której byłem zatrudniony jako sztygar, zaczęła się chylić ku upadkowi. Najlepsi fachowcy przechodzili do przedsiębiorstw konkurencyjnych. Już i ja zacząłem o tym myśleć, czekałem tylko na odpowiedni moment. Tymczasem doszło stopniowo do tego, żeśmy musieli zamykać poszczególne szyby, w których eksploatacja przestała się opłacać. Pewnej nocy wypadł mi dyżur właśnie w takim szybie, w którym kończono ostatnie prace przed zamknięciem. Była może druga nad ranem, kiedy zaalarmował mnie ostry sygnał dzwonka. Telefonowano, iż szybowi numer pięć grozi niebezpieczeństwo. On właśnie miał być „zaplombowany”. Ledwie wyszedłem z windy, natknąłem się na górnika z nocnej szychty, pracującego w tym niebezpiecznym miejscu. Twarz miał zmienioną.

— Panie sztygar — mówił. — Możeby odwołać ludzi, bo przejście chce się zawalić.

— Nie trzeba, Piętka — odrzekłem na to spokojnie. — Znam ten szyb i myślę, że potrafiemy wszystko w porę załatwić.

— Wola wasza, panie sztygar — odparł na to Piętka. — Ja bym radził jeno odwołać ludzi i zabezpieczyć przejścia.

Machnąłem ręką. Słowa starego górnika podrażniły moją ambicję. Jak to? Prostý górnik, rębacz, ma się znać lepiej na rzeczy niż fachowy i wykwalifikowany sztygar? Posuwaliśmy się wolno chodnikiem. Piętka spoglądał na mnie z wyrzutem, ale nie sprzeciwiał się. Stanęliśmy u wejścia do bocznego korytarza. Zawahałem się, ale tylko na ułamek sekundy.

— Naprzód, Piętka! — rzekłem. — Zaraz będziemy po tamtej stronie.

Górník ruszył niechętnie i szedł z takim ociąganiem, że go rychło wyminąłem. Drwiłem w duchu z jego obaw. Chodnik już się skończył. Podniosłem w górę swoją lampkę i serce mi zamarło. Na ścianach przejścia rysowały się głębokie krechy, a jedna z nich rozszerzała się dosłownie na moich oczach.

— Piętka, wróć! — wołam. — Ja zarządzę alarm i ściągnę ludzi.

Stary górnik nie zdążył się cofnąć. Ledwie przebrzmiały moje słowa, rozległ się głuchy trzask i sklepienie chodnika runęło w dół. Piętka znikł jak odrobina pyłu

pod górą ziemi, węgla i połamanych belek, które do niedawna podtrzymywały strop. Mnie część belkowania przygniotła nogi. Nadbiegli z szybu górnicy, nie zważając na to, iż są żywcem pogrzebani, skazani na śmierć, pospieszyli mi z pomocą. Ostrożnie odsunęli część gruzów i ułożyli mnie na swoich kapotach. Jeden z nich, doświadczniejszy, nałożył opatrunek na moje na wpół zmiażdżone kończyny.

Dziewczęta dobrze znały historię tego okropnego wydarzenia, a jednak były skupione i uważne, jak gdyby słyszały to opowiadanie ojca po raz pierwszy.

— Byliśmy tak w obliczu śmierci przez blisko dwie doby. Przeżywaliliśmy chwile straszliwe. Górnicy z męską determinacją oczekiwali śmierci. Ja więcej niż śmierci lękałem się kalectwa. Gdybym był sam, byłbym z rozpaczny. Ale tutaj, wobec tych ludzi, którym powierzono przecież mojej opiece, musiałem zacisnąć zęby. Kiedy ostatnia nadzieja ratunku zniknęła, a powietrze w szybie stało się tak duszne, iż ludzie poukładali się na ziemi, nie mając siły utrzymać się na nogach, przyszła pomoc. Mnie odesłano do szpitala w Warszawie. Leczenie trwało bardzo długo. Gdyby mnie natychmiast wyniesiono na powierzchnię, obie moje nogi byłyby uratowane, a wówczas inaczej potoczyłoby się nasze życie. A tak... Wkrótce po wypadku kopalnia została zamknięta. Przyjechaliśmy do stolicy, tutaj wynajęliśmy mieszkanie, w którym do dzisiaj przebywamy. Matka przez szereg lat zarabiała szyciem, ślęczała po nocach, wreszcie sił jej nie starczyło. Zostaliśmy sami.

Młodsza z sióstr położyła postrzępioną serwetkę na proste krzesło, zastępujące choremu sztygarowi nocny stolik i ustawiła na nim herbatę i talerz z kromką chleba, posmarowaną masłem.

— Mnie się nie chce jeść. Byłam na podwieczorku u koleżanki.

— I ja zjadłam coś na mieście — powiedziała szybko Hanka, odwracając głowę, aby ją oczy nie zdradziły. Już dawno nie jadła chleba z masłem.

— Poprzestanę na herbacie — odezwał się sztygar. — Niedobrze jest sypiać z pełnym żołądkiem. Piękna to zasada: co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj, ale co masz zjeść dzisiaj, zjedz jutro.

Jadzia uprzątnęła talerz z chlebem i szepnęła do siostry:

— Nafta znów podróżowała i pieczywo również.

Hanka szybko zgasiła lampę.

— Chodźmy już spać — rzekła. — Ojcu potrzebny jest spokój.

Siostry sypiały na jednym łóżku, ukrytym za parawanem. Jadzia zasnęła prawie natychmiast, za to Hanka długo nie mogła zapaść w upragniony sen.

Przez jej skołataną zmartwieniami głowę przesuwali się ciężkie myśli. Za komorne nie płaciły dawno. Ale to było najmniejsze zmartwienie. Prawo nie pozwalało odebrać im dachu nad głową, chyba że otrzymałaby pracę. Ale wówczas płaciłaby za komorne. Nie było to wprawdzie przyjemne znosić docinki i szyderstwa gospodarza, o nie! Trzeba się jednak z tym pogodzić. Najgorzej się sprawa

przedstawia z tym wstrętnym przyzwyczajeniem, że człowiek musi jeść. Musi, bo inaczej z sił opadnie i umrze. Po prostu umrze. Ona, Hanka, chętniej zgodziłaby się na śmierć głodową, niż na tak nędzną vegetację.

A przecież mogłaby pomóc ojcu. Mogłaby obejść się bez szukania posady, przezwając wreszcie tę tułaczkę od domu do domu, tę prawie żebranię.

Tylko Hanka wzdrygała się na samą myśl o tym.

Gdy składała podanie w pewnej wielkiej firmie, jeden z prokurentów zatrzymał ją w swym gabinecie, rozmawiał życzliwie, a wreszcie oświadczył z nietajonym cynizmem:

— Bądźmy szczerzy. Posady pani nie damy, bo wszystkie miejsca zajęte, a nikogo bez powodu redukować nie można. Mógłbym pani pomóc, ale o tym chcę mówić z panią w cztery oczy, u mnie w domu.

Nie obraziła się. O, nie! Nauczyła się już panować nad sobą. Wstała z krzesła i skierowała się ku drzwiom. Kiedy pogonił za nią, próbując zatrzymać, odwróciła się i rzuciła mu prosto w twarz:

— Jest pan podły!

Widziała go później na ulicy. Kłaniał się jej i było widoczne, iż chce podejść i nawiązać rozmowę. Nie dopuściła jednak do tego. Zawsze przyspieszała kroku. Lękała się, iż wreszcie troska o ojca przeważać może na szali walki o to, co jest największą wartością dla kobiety uczciwej. O własną godność.

Hanka pod wpływem tych myśli czuła się jak zbita. Nagle wtuliła głowę w poduszkę i wybuchła tłumionym, spazmatycznym szlochem.

Jadźka zbudziła się i zrozumiała, że Hanka płacze. Nie chcąc budzić ojca, szepnęła:

— Możesz głodna, Hanka? Nie przejmuj się. Kto śpi, temu się jeść nie chce.

Hanka uspokoiła się prawie natychmiast.

— Et, głupia — wycedziła gniewnie przez zęby.

Przypomniła sobie naraz szlachetnego młodzieńca o pańskim wyglądzie, który pomógł jej tego pamiętnego wieczoru i obiecał posadę. Ale upłynęło już tyle miesięcy. I nic. Zapomniał.

Wyczerpana usnęła wreszcie. Ale nawiedziły ją przykre sny. Uciekała przed jakimś potwornym gadem czy monstualnych rozmiarów pajakiem. Uciekała, ale sił jej brakło i czuła, że lada chwila upadnie. Bo była przecież taka wściekle głodna.

Tego wieczoru, kiedy Hanka snuła swoje bolesne rozważania, Miła bawiła się wesoło na dancingu w restauracji „Arizona”. Już od paru tygodni nie widziała się ze Stefanem Zasławskim, dlatego była szczerze ucieszona, gdy przy jednym ze stolików dostrzegła młodego arystokratę. Skinęła porozumiewawczo w jego stronę. W chwilę później oboje znaleźli się w jednym z bocznych salonów restauracji, wyjątkowo pustym.

— Jakież jest twój plan, Stefanie? Mieliśmy go już tak dawno omówić.

— Dlatego jestem właśnie bardzo rad, że cię tu zastałem, Milo.

Oboje usiedli na ustawionych obok siebie fotelach i zatonęli w rozmowie. Ani hrabianka Lili, ani inżynier Mirski nie wyobrażali sobie, iż rozmowa ta rozstrzyga, być może, o ich losach.

BEZKARNI BANDYCI STOLICY

Powieść o Warszawie grozy i zbrodni.

ROZDZIAŁ I.

w którym tajemnicza taksówka mija rogatkę Warszawy.

Gdy noc zapada...

Gdy światła latarni zapłoną...

Gdy żarzą się różnobarwne neonowe reklamy,

Gdy księżyc wytoczy się na jasne, bezchmurne niebo,

Gdy z teatrów i kin publiczność spiesźnie powraca do domów,

Gdy tramwaje zjeżdżać już poczynają do remiz,

Gdy po brukach opustoszałych tętnią kroki policyjnego patrolu.

Wówczas gdy śpi już, lub gdy układa się do snu Warszawa twardej codziennej znoonej pracy, inna Warszawa budzi się do życia.

Nie widać jej za dnia i darmobyś za dnia jej szukał. Czai się gdzieś za węglami domów, kryje się gdzieś w najbardziej zapaśdłych zaułkach.

Kryje się w melinach w atmosferze zatęchłych, nędznych mieszkań, w komyszach przedmiejskich domów, wiadomych jedynie przestępczemu elementowi.

Ta Warszawa śpi w dzień gdy wszyscy pracują, a wieczorem, gdy mrok spada na miasto, gdy pełgać poczyną światła w starych obdrapanych latarniach, wychodzi na pracę, na łów.

Na ulicach i uliczkach przedmieść, na Burakowskiej i na Karolkowej, na Dzikiej i na Okopowej, na Ogrodowej i na Pawiej, na Ciepłej i na Zakroczymskiej, na Parysowskiej i na wielu wielu innych ukazują się charakterystyczne sylwetki, charakterystyczne cienie.

W dzień? W dzień odsypiali „robotę”, w dzień odpoczywali po hucznej libacji, w czasie której i noże były w robocie. Jak krety, chroniące się przed blaskami słońca, gnuśne wiedli godziny w oczekiwaniu swej pory.

Teraz wypełzają, wychodzą z bram szczerbatych, z małych pochylonych domków, w których króluje grzyb i wieczna wil-

Bezkarni bandyci stolicy

Powieść
o Warszawie grozy
i zbrodni

Andrzej Młot

1932

Powieść publikowano na łamach efemerycznego „Głosu Stolicy” od 16 września (wtorek, nr 1) do 16 grudnia (piątek, nr 99) 1932 roku. Periodyk ten miał być przystępną cenowo i treściowo popołudniówką, prezentującą punkt widzenia Polskiej Partii Socjalistycznej, lżejszą w treści niż oficjalny partyjny „Robotnik”, skierowaną do, jak czytamy w artykule programowym, „świata mózgu i mięśni”. Sensacja (proces kasiera Szpicbródki, głośna sprawa Rity Gorgonowej) przeplatała się w gazecie z tematami politycznymi.

Jednym z niezbędnych działów gazety o takim profilu była odcinkowa powieść sensacyjna. Treści dostarczył Andrzej Młot, pisarz polityczny, o którym niewiele wiadomo. W kolejnych odcinkach *Bezkarnych bandytów stolicy* czytelnik poznaje losy grupy warszawskich gangsterów, między innymi Rabina — alkoholika, który pragnie porzucić świat przestępczy; Sztajera — sadystycznego gangstera będącego prawą ręką Wstążki, herszta szajki, a zarazem miejskiego radnego. Grupa zajmuje się wyłudzeniem haraczy na targowisku Kercelak, handlem żywym towarem i sutenerstwem. Zawiazanie akcji stanowi przestępczy sąd, dintojra, na której zapada wyrok śmierci na Kostropatego, będącego ojcem aspiranta Grota, który rozpoczyna własne śledztwo w tej sprawie. Z kolei Rabin poszukuje swojej dawno zaginionej córki, nie wiedząc o tym,

że jest ona jedną z dziewczyn zniewolonych w kontrolowanym przez bandę lupanarze. Wątki te rozwijane są w kolejnych odcinkach.

Jak przekonuje Paweł Rzewuski w artykule *Bezkarni bandyci stolicy — powieść kryminalna jako narzędzie partyjnej propagandy* była to powieść z kluczem, napisana i opublikowana w celu dyskredytacji wrogiej frakcji w Polskiej Partii Socjalistycznej. Fabuła stanowi parafrazę historii postaci historycznych: działaczy politycznych i przestępców — Łukasza Siemiątkowskiego nazywanego Tatą Tasiemką i Józefa Łokietka znanego jako Doktor Łokietek, związanych z dawną PPS Frakcją Rewolucyjną skonfliktowaną z PPS. Tasiemka był radnym dzielnicy Wola, oskarżonym o zastraszanie warszawskich kupców, a Łokietek — szefem milicji PPS, którego skłonność do awantur była powszechnie znana. Ich powieściowi odpowiednicy, Wstążka i Rabin, przedstawieni zostali w złym świetle. Jak pisze Rzewuski: „Aluzje były na tyle czytelne, że każdy, kto na bieżąco śledził rozwój wypadków w procesie Siemiątkowskiego, mógł bez problemu rozszyfrować, o kogo chodzi”. Nawet sam tytuł powieści skrócony do akronimu BBS odsyłał do potocznej nazwy klubu parlamentarnego dawnej Frakcji Rewolucyjnej — Bezpartyjnego Bloku Socjalistów. Siemiątkowskiego aresztowano wiosną 1932 roku, a wyrok zapadł

w lipcu, w grudniu zaś za kraty trafił Łokietek — znający realia czytelnicy śledzili więc rozwój powieści niemal na bieżąco z doniesieniami o rzeczywistych wydarzeniach.

Wiele wydarzeń opisanych w powieści nie znajduje potwierdzenia w faktach, cała konstrukcja powieści ma jednak za zadanie oczernienie prawdziwych postaci, odnosząc się nie tylko do faktów, ale i plotek. I tak dintojra nad Kostropatym dotyczy wyjawienia przez niego dziennikarzom informacji o zniknięciu „generała” i jego walizek. Jest to czytelna aluzja do nigdy niewyjaśnionego zaginięcia generała Włodzimierza Zagórskiego, przeciwnika Józefa Piłsudskiego. Ważnym rekwizytem w tej historii był zaginiony bagaż Zagórskiego, w którym miały znajdować się ważne materiały. Tej zbrodni, jak przekonuje Rzewuski, nikt jednak raczej nie wiązał z bandą Łokietka.

Tym samym powieść ta stanowi ciekawy przykład tego, co Oskar Czarnik nazywa aktualizacją dziennikarską, czyli powiązaniem wydarzeń fabularnych z wydarzeniami aktualnie nagłaśnianymi przez media — w tym przypadku jest to aktualizacja mająca nie tylko funkcję uatrakcyjnienia, ale również cel polityczny.

Łukasz Biskupski

Andrzej Młot, *Bezkarci bandyci stolicy*. Powieść o Warszawie grozy i zbrodni, „Głos Stolicy” 13—28 września 1932 (nr 1—16).

Rozdział 1, w którym tajemnicza taksówka mija rogaatkę Warszawy

Gdy noc zapada...

Gdy światła latarni zapłoną...

Gdy żarzą się różnobarwne neonowe reklamy...

Gdy księżyc wytoczy się na jasne, bezchmurne niebo...

Gdy z teatrów i kin publiczność spieszenie powraca do domów...

Gdy tramwaje zjeżdżać już poczynają do remiz...

Gdy po brukach opustoszałych tętnią kroki policyjnego patrolu, wówczas gdy śpi już lub gdy układa się do snu Warszawa twardej, codziennej, znoonej pracy, inna Warszawa budzi się do życia.

Nie widać jej za dnia i darmobyś za dnia jej szukał. Czai się gdzieś za węglami domów, kryje się gdzieś w najbardziej zapadłych zaułkach.

Kryje się w melinach w atmosferze zatęchłych, nędznych mieszkań, w komy-szach przedmiejskich domów, wiadomych jedynie przestępczemu elementowi.

Ta Warszawa śpi w dzień, gdy wszyscy pracują, a wieczorem, gdy mrok spada na miasto, gdy pełgać poczyną światło w starych obdrapanych latarniach, wychodzi na pracę, na łów.

Na ulicach i uliczkach przedmieść, na Burakowskiej i na Karolkowej, na Dzikiej i na Okopowej, na Ogrodowej i na Pawiej, na Ciepłej i na Zakroczymskiej, na Parysowskiej i na wielu, wielu innych ukazują się charakterystyczne sylwetki, charakterystyczne cienie.

W dzień? W dzień odsypiali „robotę”, w dzień odpoczywali po hucznej libacji, w czasie której i noże były w robocie. Jak krety, chroniące się przed blaskami słońca, gnuśne wiedli godziny w oczekiwaniu swej pory.

Teraz wypelzają, wychodzą z bram szczerbatych, z małych pochylonych domków, w których króluje grzyb i wieczna wilgoć, wyłaniając się z zaułków mrocznych i smrodliwych.

Miny w miarę zawadiackie i znużone, w kątach oczu ślady wypisane przez nieprzespane noce i wychylone butelki. Tu i ówdzie szrama, od noża szeroka blizna. Junacki znak, którego się wstydzić nie należy.

Gromadzą się w małych kawiarenkach, gdzie łatwiej o wódki flachę niż o „pół czarnej”, oblepiają bufety małych restauracyjek, których pełno w tych dzielnicach. Znają się wszyscy, bez względu na to, czy czują do siebie sympatię, czy antypatię,

która lada moment przerodzić się może w krwawą, bezlitosną bójkę. W każdej kieszeni „spluwa”, tylko ręką sięgnąć. Tylko odbezpieczyć „branka”. A i noże sprężynowe nie od tego są, by rdzewiały.

Gdyby umiały mówić ściany melin, gdyby umiały opowiadać ściany małych, drugo- i trzeciorzędnych barów, gdyby mówić mogły i wołać kamienie brukowe, nie raz i nie dwa razy krwią obryzgane.

A bo to raz bowiem, a bo to raz! Małoż to razy nad ranem, gdy już szarzyć zaczyna, patrole policyjne natykają się w obchodzie na okrwawionego trupa człowieka sprawionego jak wieprz w rzeźni? Małoż to razy ciszę nocną tych stron Warszawy mąci szybki, nerwowy kaszel rewolweru, po którym następuje drugi, cichszy, rżęzący kaszel konającego?...

Na zakręcie zaś ulicy znikają, wsiąkają w noc cienie złowieszcze, zanim ktokolwiek zdoła przybiec na miejsce zabójstwa.

Farbuje się, czerwieni się krwią wyboisty, kanciasty bruk ulic, pije ją chciwie, żarłocznie pył uliczny. Zasłże mgłą śmierci patrzą nieruchome w odchodzącą noc oczy trupa.

Kto go osądził? Kto wydał wyrok? Kto ten wyrok wykonał?

W odpowiedzi na te pytania pada jedno krótkie słowo, które tłumaczy wszystko.

Słowo to brzmi „dintojra”.

Trudno by było wyliczyć jej ofiary, trudno by było odpowiedzieć w wielu wypadkach, czym i jak bardzo zawiniła ofiara wobec praw „ferajny”, iż nie cofnięto się przed zrobieniem roboty „na mokro”.

Być może wiedział zbyt wiele, być może „wsypał” lub chciał „wsypać”. Może być litość dla wszystkich, ale zawsze za mało będzie jej dla zdrajców.

Gdyby umiały mówić ściany melin warszawskich, gdyby umiały mówić „gabinety” przedmiejskich barów i restauracyjek... Jakże wiele miałyby do opowiedzenia.

Dnia tego wszyscy bez wyjątku posterunkowi w Warszawie kłęli służbę na czym świat stoi, chociaż to bowiem wczesna dopiero była jesień, ziąb tego dnia był taki, jakby zima była za pasem. Północny wicher dał mroźnymi podmuchami, a na dobiełek padał drobny, przenikliwy, jesienny deszcz, uparty, nieznosny, doprowadzający do rozpaczki każdego przechodnia, a coś dopiero posterunkowego, który miał obowiązek odcierpienia swych godzin służby na posterunku.

Po dniu tak fatalnym nastał wieczór wczesny, a po nim noc ciemna i mglista.

Była to taka noc, kiedy uzuchwała się zbrodnia, bo wie, że nocy takich jest niewiele, a wszystkie stworzone są przez szatana, żeby dopomóc jej — zbrodni. Nocy takiej szczerzy odważniej swe okrwawione kły występek, jak pies wyjący do księżycy, bo wie, że noc taka zapewnia mu bezkarność, że mrok i mgła czuwają i okryją każdą ohydę i każde okrucieństwo.

W taką noc właśnie, kiedy psa wygnać szkoda, gdy każdy kto może szczęśliwy jest, iż przebywa w domu, w ciepłym pokoju, ulicą Dziką szedł szybko

mężczyzna tęgiego wzrostu, [o] szerokich barach, ubrany tak, jak zazwyczaj ubierają się robotnicy.

Gdyby ulica nie była wówczas jakby wymarła, gdyby żółte światła latarni nie walczyły beznadziejnie z płachtami mgły, które je dławily, można by było zauważyć, iż mężczyzna ów chromał lekko na jedną nogę.

Spieszył się on najwidoczniej, a idąc rozglądał się bacznie w różne strony, jakby chcąc przebić wzrokiem woale mgły, jakby szukając kogoś.

Jakoż wreszcie znalazł to, czego szukał. Na rogu ulicy Dzikiej i Błońskiej stała stara, zniszczona taksówka. Otulony podartą bluzą, chroniący się jak tylko było można przed chłodem i wilgocią owej ohydnej nocy, drzemał w jej wnętrzu kierowca.

(Dalszy ciąg jutro).

Nieznajomy podszedł do taksówki i kilkakrotnie zapukał w szybę. Szofer ocknął się z drzemki i wysiadł z pośpiechem, robiąc miejsce pożądanemu gościowi. Był pewien, że przez całą noc nie zrobi ani jednego kursu.

Nieznajomy jednak nie kwapił się do wsiadania, lecz patrzył przez długą chwilę na kierowcę, jakby chciał z rysów twarzy odgadnąć człowieka.

— Chciałbyś zarobić, mój przyjacielu? — zapytał wreszcie.

— He! Kto by tam nie chciał dziś zarobić! — brzmiała wymijająca odpowiedź.

Nocny przechodzień zdawał się namyslać.

— Zarobić czasem można i to dobrze, ale czasem jest i ten warunek, że język trzeba trzymać za zębami.

Szofer spojrzał bystro na rośłego osobnika.

— To się wie — rzekł swoim zwyczajem, ani potakując, ani nie przecząc.

Tamten widocznie już się zdecydował, a i czasu nie miał zbyt wiele.

— Jedziemy — tu podał adres — ale ani pary z ust.

Szofer usłuchał w milczeniu.

W niecałe pół godziny potem przez jedną z rogatek Warszawy z szaloną szybkością przejechała taksówka. Wóz jechał tak szybko, że policjant ledwie zdążył zanotować numer rejestracyjny, co należało do jego obowiązków.

Gdy taksówka mijała posterunkowego, zdawało mu się, że widział przez moment w taksówce jakby jakieś szamocące się cienie i że coś, jakby krzyk, jakby wołanie o ratunek, doszło jego uszu.

Posterunkowy nie zwrócił jednak na to uwagi. Może wziął to za halucynację, za przywidzenie zmęczonych nerwów, za poświst wichru, który jęczał w konarach drzew.

Rozdział 2,

w którym w barze czcigodnego Kosowera odbywa się małe towarzyskie zebranie

„Rudy Czesiek” pociągnął tęgi haust piwa, zagryzł serem, jak to było jego zwyczajem, splunął przez szczerbę, jaką miał w zębach, tuż przed nosy własnych butów, mimo napisu, który upstrzony muchami głosił, iż płuć wolno tylko do spluwaczki, po czym nachylił się do „Sztajera”.

— A więc to dziś?

Zagadnięty uśmiechnął się drwiąco.

— Juści, że dziś! Im prędzej, tym lepiej. Ziąb aż w kościach łamie, mgły jest trochę, wiatr hula, wymarzona noc na robotę! „Rabin” przyjdzie lada chwila!

— „Wstążeczki” nie będzie?

„Sztajer”, mężczyzna o byczym karku i krwią nabiegłych oczach, aż ruszył ramionami, słysząc to dziecinne pytanie młodego druha.

— Tfu, do licha! Też masz pomysły! Pani Kosower, a podajże pani, do jasnej cholery, tę wódeczność! Żadnych kieliszków! Szklaneczka wystarczy! Angielka czy jak tam!

Nalał sobie pełną szklaneczkę „czystej”, podniósł pod światło, mlasnął zrazu językiem, jakby próbując mocy, po czym całą zawartość „angielki” jednym olbrzymim łykiem wlał w gardło, przyzwyczajone do podobnego traktowania go.

Wykrzywił twarz, która stała się jeszcze czerwieńsza, wzdrygnął się i skinął z zadowoleniem głową.

— W sam raz na taki ziąb! Grzeje jak diabli.

Ten, którego nazywano „Rudym Cześkiem”, a do którego skierowane były te słowa z szacunkiem, na jaki „Sztajer” widocznie zasługiwał, podsunął mu talerz z wędliną, z którego tęgi mężczyzna wziął kawałek kiełbasy i począł ją żuć w potężnych szczękach.

— Ty, „Rudy”, frajer jesteś i zielony! — ozwał się, gdy przełknął ostatni kęs. — „Wstążeczka” miałby tu przychodzić, żeby nie daj Boże wyspy!... Wiadomo, czort nie śpi! I „Wstążeczka” miałby ryzykować!... On, rajca miejski!...

— Myślałem, że jak „dintojra”...

— Dintojra dintojrze nierówna! Są takie, w których rozsądza „Wstążeczka”, ale nie w takich, gdzie mokra się kroi robota. Wówczas wyrok jest gotów, a dintojra jest formalnością!...

— Jakże to?...

„Sztajer” uniósł w górę potężne bary.

— Oj, za wcześniej ci kwiatku między starszyzną puszczone! Aż mi dziw, że „Rabin” ci pozwolił w takim gronie zasiadać!... Żeby z tego nie było biedy!

„Rudy Czesiek” obruszył się. Jakiś zły błysk zapalił mu się w niebieskich oczach.

— Nie gadalibyście bez potrzeby!...

Olbrzymi mężczyzna uniósł pięść i kilkakrotnie opuszczał ją na blat stołu, aż szklanki zadźwięczały, a butelka wódki zachwiała się, jakby była pijana.

— A ty stul gębę, jak „Sztajer” mówi i zniecierpliwienia nie okazuj! Kiedyś szczeniak, to się ucz. Kilku Żydom na Kercelaku brody poruszył i myśli, że cwaniak! Pokaż to, co „Rabin” potrafi!...

— Czy on naprawdę był rabinem, czy tylko tak się nazywa dla pucu? — zapytał „Rudy Czesiek”, znac nie mając zupełnie ochoty na zadarcie ze „Sztajerem”.

Nazywany „Sztajerem” mężczyzna odczuwał widocznie dalej przenikliwy chłód jesiennego wieczoru, bowiem ponownie napełnił „angielkę” i wypił, ją, nie tając oznak wstrętu dla palącego napoju.

— Br... Wredna wódka, ale grzeje, to grunt — postawił z hałasem szklankę na stole. — Pytałeś o „Rabina”... Niby czy prawdziwy, czy tylko przezwę ma taką! A juści prawdziwy! Najprawdziwszy z prawdziwych! W bożnicy siedział i nad biblią się kiwał! Pejsy i brodę miał, jak ten reb Don, co o nim w kurierach piszą... Świecenia ich tam miał jakieś mniejsze i byłby te inne otrzymał, niby na pełnego rabina, ale go jakaś chrześcijańska dziwka opętała. Dla niej talmud rzucił i zdjął chałat... Wyklęli go, że grzech, że to z chrześcijanką... A potem, jak się dało... W czasie wojny kradł trochę konie, trochę rozbijał. Potem o partię zawadził! Niejednego pruskiego szpicla i policjanta zakropił, a zawsze robota czysta jak złoto! Daliby Niemcy dużo za niego, ale szukali daremnie! A przezwisko „Rabin” nosi właśnie, że rabinem był, choć za nic w sobie wiary nie ma!...

(Dalszy ciąg jutro).

„Sztajer” chciał coś mówić, ale umilkł nagle, bowiem do sali baru Kosowera, przy ul. Dzikiej, gdzie siedział wraz z „Rudym Cześkiem”, wszedł właśnie ten, o którym była mowa.

Ten, którego nazywano „Rabinem”.

Nazwa ta tak do niego już przyrosła, jeszcze od okupacyjnych czasów, że mało już kto wiedział, jakie było jego prawdziwe nazwisko. Było to zresztą, po prawdzie, wszystkim obojętne. Czyż nie wystarczało im to, że „Rabin” umiał wywalczyć sobie szacunek i bezwzględny postrach, czyż nie wystarczało im to, że był zausznikiem i najbliższym z zaufanych potężnego, a nawet [dla] wielu nieznanego „Wstążeczki”.

„Rabin” zatrzymał się przez chwilę w progu, odpowiedział kilka słów na uniżone powitanie gospodarzy, po czym wszedł do izby, spojrzał przelotnie na dwu siedzących przy stole towarzyszy i skinął im głową.

Nie był wysoki, raczej średniego wzrostu, ale krzepki w sobie i barczysty, o wypukłej piersi i krótkich nieco, lecz masyśnych ramionach. Na pierwszy rzut oka można było ocenić, że człowiek ten odznaczał się siłą atlety.

Twarz miał gładko wygoloną, włosy na głowie rzadkie, starannie rozczesane na rozdział. Jedynie lekko garbaty nos zdradzał semickie pochodzenie.

Czarne oczy, w których czaiło się coś, jakby z tęsknej zadumy, właściwej typom wschodnim, przesłonięte były ciężkimi powiekami. Cerę twarzy miał żółtą, niezdrową, wargi grube, namiętne. Kwadratowy podbródek i wysokie czoło znamionowały silną wolę i inteligencję.

— Sami jesteście? — zapytał, przy czym spojrzał na złoty zegarek u przegubu ręki, stanowiący dziwny kontrast z jego zaniedbaniem i poplamionym odzieniem.

— Sami! — przytaknął „Sztajer”, witając z uszanowaniem przybyłego.

„Rabin” podał rękę „Sztajerowi”, skinął głową „Rudemu Cześkowi”, jakby podkreślając tym różnicę hierarchii, jaka istniała między nim a młodym kompanem, po czym usiadł przy stole.

— Powinien być lada moment! — ozwał się głosem spokojnym i równym, a przez to właśnie ogromnie sugestywnym.

— Grota jeszcze nie ma! — bąknął „Czesiek”.

— Wiem o tym. On przyjdzie najpóźniej. Powiadomiliśmy go, że zbiórka jest o pół godziny później, by przyszedł ostatni.

— A jeżeli nie przyjdzie?

„Rabin” uniósł ciężkie powieki i spojrzał na nabrzmiałą od alkoholu twarz „Sztajera”. W przeciwieństwie do otoczenia, w jakim się obracał, mówił bardzo czysto i dobrą polszczyzną, a sposób jego mówienia oznaczał człowieka z pewnym wykształceniem.

— Jeżeli nie przyjdzie — zagadnął powoli, biorąc w rękę dzwonko śledzia i kładąc je w grube mięsiste wargi. — Jeżeli nie przyjdzie, sam na siebie wyda wyrok... Jeżeli przyjdzie...

Prawa ręka groźnego herszta „Wstążeczki” i jego najbliższy zausznik przełknął smakowitego śledzia i dokończył tonem tak obojętnym, jak gdyby chodziło o odkorkowanie nowej wódki.

— ... jeżeli przyjdzie, my wydamy na niego wyrok śmierci...

Te spokojnie wypowiedziane słowa, decydujące o życiu i śmierci człowieka, przejęły dreszczem grozy „Rudego Cześka”. Chociaż w bandzie wrócono mu dużą przyszłość, nie mógł się jeszcze oswoić w owym robieniu człowieka na zimno, co cyniczny „Sztajer”, były pracownik rzeźni dziś utrzymujący się kupczeniem ciałami swych przyjaciół, nazywał żartobliwie „sprawianiem wieprza”.

„Rabin” tymczasem, tknięty nową myślą, ruchem brwi przyzwał olbrzymiego mężczyznę, by pochylił się ku niemu.

— Z Kosowerem gadałeś?

— Jeszcze nie.

— Załatw to zaraz, „Sztajer”... Już ty to umiesz! Ludzie się już zaczynają schodzić! Jednooki już jest. Zaraz przyjdzie „Błady Władek”... Tylko tak, żeby z tego nie było kłopotów.

— Nie bój się, „Rabinie”...

„Sztajer” przeciągnął się, wstał, prostując swą olbrzymią postać i skinąwszy bez słowa głową „Jednookiemu”, wyszedł do bufetowej sali.

„Jednooki” nie był wcale pozbawionym jednego oka, jakby należało mniemać z przezwiska, nie był wcale ślepym, a pseudonim powstał stąd, że w jakiejś bójce podbito mu lewe oko tak nieszczęśliwie, że od tego czasu opadała mu stale powieka do połowy oka, nadając mu tym wygląd zarówno odrażający, jak straszny.

„Sztajer” tymczasem podszedł do bufetu.

— Pani Kosower, a gdzie to czcigodny małżonek?

— W kantorku... Gra w „kiszkę”.

— Żeby mu tak w płucach grało! — zarechotał zadowolony ze swego dowcipu bandyta, który lubował się w grze słów. — Poproś go tu, pani Kosower, albo nie... to ja do niego pójde!

Nie pytając, czy pani Kosowerowa zgodzi się na to, czy nie, „Sztajer” pchnął drzwi kantorku, gdzie czcigodny pan Kosower zabawiał się grą w „kiszkę” ze swymi kompanami.

„Sztajer” ani spojrzał na nich.

— Słuchajcie no! Walcie się trochę przewietrzyć... Mam z Kosowerem do pogadania!

— Przewietrzyć na taki ziąb? Umarznąć można!

— Słuchaj jeden z drugim, kiedy mówię! Mam was za portki powynosić i drzwi wami otwierać?

Usłuchali, bo znali siłę jego pięści, a wiedzieli, że gdy we wściekłość wpadnie, kolbą rewolweru po łbach, gdzie popadnie, wali.

Po chwili w kantorku został sam „Sztajer” z Kosowerem, tłustym Żydem o krzywym nosie i przebiegłych oczach, w których tchórzliwa uległość mieszała się ze sprytem.

„Sztajer” rozwalił się w fotelu, z którego wyłaziły kłaki. Niby od niechcenia wydobyl z kieszeni wielką „siódemkę” i kilkakrotnie podrzucił ją na rękę, bawiąc się bronią.

— Kosower! — rzekł szczególnym tonem. — Pamiętasz, że dziś jest tak. Ani nas tu widziałeś, aniśmy tu byli... Mamy tu dziś delikatną robotę do zrobienia.

Żyd zbladł.

(Dalszy ciąg jutro).

— Panie „Sztajer” tylko błagam, żadna strzelanina!

— Ty, głupi! Jak kogo strzelą, to ciebie w tłusty pysk. Jakbym chciał u ciebie raban i mokrą robotę robić, to bym ci nie mówił, a kropił ze „spluwy”. Spróbowałbyś sypać... Gadałbyś coś... poznałbyś kogoś... ręka, noga, mózg... na ścianie... Nie o to chodzi. Jakby co i gdzie, to nas tu ani dziś nie widziałeś. Żeby ci na Torę kazali przysięgać... Każą, przysięgaj... nasz „Rabin” już cię rozgrzeszy.

Kobitę zaraz pošlij spać i powiedz jej mądre słowo. Przyjedzie tu po nas taksówka, szoferek nasz chłop i... pojedziemy...

— Pan „Sztajer” to jest cały Al Capone! — poświadczył uspokojony Kosower.

„Sztajer” uśmiechnął się znowu, ale zaraz spochmurniał, uświadomił bowiem sobie, że zaszczytny tytuł warszawskiego Al Capone znacznie bardziej przysługiwać mógł „Wstążeczce”, albo raczej „Rabinowi”, on zaś „Sztajer”, był tylko jednym z podwładnych i nie rozkazodawcą, lecz wykonawcą rozkazów. Bolało go to od dawna, nie miał jednak odwagi wyłamać się z posłuszeństwa „Rabinowi” i własną bandę utworzyć.

Nie było jednak czasu na refleksje, bowiem do drzwi kantorku rozległo się pukanie i ukazało się w nich do połowy zakryte powieką straszliwe oko „Jednookiego”.

— Jest! — rzucił krótkie słowo.

„Sztajer” wstał z wolna, jak gotujące się do skoku zwierzę.

— Jest! Kosower, otwórz nam gabinet... I wszystko, co trzeba, sam nam będziesz przynosił... Nie bój się... Grot zapłaci i to dobrze zapłaci! — zaśmiał się na całe gardło i znowu podrzucił browning na rękę.

Rozdział 3,

w którym w barze Kosowera odbywa się „dintojra” nad zdrajcą

Pokój, zwany szumnie przez człowieka bandy „gabinetem”, odznaczał się w pierwszym rzędzie tym, że cuchnął wilgocią i lepkiem brudem popstrzonych przez muchy tapet.

Niezależnie jednak od tego był to wymarzony lokal dla pogawędki właśnie w tym rodzaju, jaka toczyć się miała w gabinecie.

Kosower wiedział, że goście jego nie odznaczają się zbyt wielką cierpliwością i tak, jak dawniej szlachta łatwo i chętnie, o byle co, rwała się do korda, rwą się o co bądź, do rękoczynów i „bronków”, toteż w mig postarał się o wszystko, co potrzebne było do ceremoniału „dintojry”.

A więc naturalnie i wódeczności pod dostatkiem, wiadomo bowiem, gdy się ktoś przygotowuje do ułatwienia innemu drogi na tamten świat, musi z wychylonych kieliszków czerpać moc i natchnienie. Poza tym nieodstępna zagrycha, wśród której śledzie wodziły prym im należny.

Jedynie przed miejscem „Rabina” Kosower nie postawił szklaneczki na wódkę, bowiem herszt nie pił nigdy. Przynajmniej nikt nie widział go pijącego, chociaż mówiono sobie po cichu, że „Rabin” miewa okresy, kiedy zamyka się na cztery spusty w swym mieszkaniu i w samotności pije wódkę szklankami, ale tak, by nikt go pijanym nie widział. Potem odsypia te przerażające misteria sam na sam z butelką i znowu trzeźwy i spokojny, ułożywszy jakiegoś robaka, który go gryzie, zjawia się wśród towarzyszy.

W każdym razie nikt na świecie nie mógł się poszczycić, że widział „Rabina” pijanego, lub chociażby tylko pijącego.

Weszli do gabinetu zupełnie układnie i grzecznie, „Rabin” poufale pod pachę z Grot, mężczyzną młodym i jakimś niemrawym z pozoru, o twarzy pokrytej niezliczoną ilością dziobów — pozostałości po źle wyleczonej ospie. Stąd też w kołach wtajemniczonych znano go pod wołaniem „Kostropaty”.

Za nim szedł „Sztajer” z twarzą rozjaśnioną dziwnym grymasem, dalej „Jednooki”, którego opadła powieka drgała, jak zwykle, gdy był zdenerwowany, wreszcie „Błądy Władek” i „Rudy Czesiek”, który z nich wszystkich przeżywał wieczór największych emocji.

— To i jesteśmy wszyscy! — rzucił „Rabin”, siadając na kanapce i z zadowoleniem obejmując wzrokiem ustawione w rząd butelki. Chociaż bowiem sam nie pił i jako trzeźwy dbał o to, by nie popełniono jakiej gafy, nie był przeciwny temu, by towarzysze przepłukali gardła przed przykrą robotą.

Grot jednak — a było to jego prawdziwe nazwisko — zły czegoś i niespokojny, jakby przeczuwający, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, którego istoty nie mógł jeszcze zrozumieć, przesunął po obecnych spojrzeniem spode łba i wyraził swe niezadowolenie.

— Wszyscy, jak wszyscy!... Mówił mi „Rudy Czesiek”, że „Wstążeczka” chce się ze mną widzieć... Jeszcze go nie ma. Też sens ludzi w niedzielę wieczór i w taką pogodę ciągać.

„Rabin” przymrużył oczy.

— Jesteśmy wszyscy — rzekł z pewnym naciskiem w głosie — „Wstążeczka” nie przyjdzie...

— To co, „Czesiek” zalewał?...

— „Czesiek” nie zalewał. „Wstążeczka” miał przyjść, ale nie przyjdzie.

Jak zwykle w takich razach „Rabin” wziął inicjatywę rozmowy w swe doświadczone ręce, na co jego towarzysze w zupełności się zgadzali.

Grot chciał coś jeszcze mówić, jednakże „Rabin” nie dopuścił do tego. Niecierpliwym ruchem ręki dał mu znak, by porzucił ten temat rozmowy.

Chodziło o to, by uczestnicy „dintojry” nabrali pod wpływem alkoholu animuszu, chodziło też o to, by ofiarę oszołomić wódką, a taksówka z szoferem, który był również członkiem bandy, miała podjechać w pobliże baru Kosowera dopiero o pół do dwunastej.

Czasu było dość i nie należało się zbytnio spieszyć, by całą sprawę załatwić.

— Nie lubię rozprawiać na głodno — rzekł zaufany „Wstążeczki”. — „Sztajer” będzie tu markietanką — uśmiechnął się na to porównanie. — Ja, jak wiecie, nie piję, ale apetyt mam niezgorszy.

I „Rabin” jął dawać dowody tego apetytu, podczas gdy tamci, jedząc i pijąc również, zmienili temat rozmowy i jęli mówić o dziewczętach, przechwalając się swymi sukcesami na polu erotycznym.

(Dalszy ciąg jutro).

Grot coś węszył, miał niespokojne sumienie.

Pił i jadł z innymi, ale zastanawiał się, po co właściwie go tu wezwano. Nie chodziło tu przecież z całą pewnością o zwykłą popijawę.

Twarz „Rabina”, na którą zerkał od czasu do czasu, była jednak pokryta maską zwykłej obojętności. Całą swą uwagę zdawał się poświęcać wydobywaniu sardynek z puszki. Z twarzy pozostałych czterech także niczego nie mógł się domyśleć. Już co, jak co, ale maskować umieli się znakomicie.

Chcąc nie chcąc, musiał się dostosować do nastroju.

Wreszcie „Rabin” pierwszy skończył obfity posiłek, wychylił kufel piwa, którym nie gardził, ograniczając swą wstrzemięźliwość li tylko do wódki i otarł zatłuszczone palce w rogi kamizelki.

Był to jego stały zwyczaj, na skutek którego kamizelki jego ubrań były zawsze w niemożliwy wprost sposób poplamione.

— „Wstążeczki” nie będzie — rzekł nagle, jakby wracając do dawno przerwanej rozmowy, przy czym rozparł się wygodnie i nogę na nogę założył. — A czy wiesz, „Kostropaty”, dlaczego on nie przyszedł?...

W niewinnym tym pytaniu brzmiał niewątpliwy ton groźby, toteż Grot podniósł zaniepokojony głowę znad talerza, a tamci zrozumieli, że zabawa się zaczyna.

„Sztajer”, jako człek przewidujący, namacał w kieszeni „siódemkę”.

Przez chwilę w „gabiniecie” o ohydnych, upstrzonych przez muchy tapetach panowała zupełna cisza. Cisza ta była stokroć bardziej złowroga niż pytanie.

— Pytałem was, dlaczego nie ma „Wstążeczki”, ale nie odpowiedzieliście mi wtedy! — burknął Grot, ale oczy jego latały już niespokojnie od jednego z bojowców do drugiego.

„Rabin” pokiwał głową, jakby ze współczuciem i naraz przez stół się przechylił.

— Nie wiesz, dlaczego nie ma tu „Wstążeczki”? Powiem ci! „Wstążeczka” nie zasiada przy stole z kapusiami...

Mały ospowaty człowieczek wyprostował się nagle. Błysk zapalił się w jego ponurych oczach.

— „Rabin”, co wyście powiedzieli?...

Głos herszta ani na chwilę nie stracił swego uwodzicielskiego spokoju. Słowa padały odmierzane równo i beznamietnie.

— Albo pyska nie trzymasz, ścierwo! Może zaprzeczysz?

— Może zaprzeczysz? — jak echo powtórzył „Sztajer” głosem, w którym czała się wściekłość.

Grot skulił się w sobie i skurczył na siedzeniu.

Wiedział, że jest osaczony, ale nie wiedział, co i ile wiedzą ci ludzie o tym, czego wiedzieć nie powinni. Zrozumiał, że dał się wciągnąć w zasadzkę, że to niedzielne zebranie, to nie co innego, jak wyłoniony przez „Wstążeczkę”

trybunał doraźny, w świecie przestępczym „dintojrą” zwany. „Rabin” właśnie przezywał temu trybunałowi.

Zdawał sobie sprawę, że od jego zachowania się, od wytrzymania ataku oskarżenia, z którym „Rabin” miał lada chwila wystąpić, zależne są jego dalsze losy, zależne jest wprost życie.

Dlatego namyślał się długo z odpowiedzią.

— Co wy znowu? Awantury ze mną chcecie? — odezwał się, starając się zapanować nad swym głosem.

Chciał coś mówić jeszcze, twarze tamtych jednak przybrały wyraz surowy i obojętny, co sprawiło, iż słowa zamarły mu na ustach.

Przyszło mu na myśl, że być może przeżywa swój ostatni wieczór, że być może nie wyjdzie żywy z tej izby, że lada chwila skierują się ku niemu lufy „bronków” i że gruchną strzały, kładące kres jego istnieniu.

Członkowie bandy „Wstążeczki” nie mieli bynajmniej zamiaru sprzątać go i mordować na terenie szynku. Musieli najpierw dogadać się z „oskarżonym”, musieli wykazać mu jego winę, a dopiero potem...

Każdy z nich wiedział, co będzie potem. Sprawa była przesądzona.

Zapanowała cisza przy stole. Wszyscy przestali jeść, jedynie „Sztajer” napełnił sobie znowu szklaneczkę wódką. Przyzwyczajony był do takich spraw i nie czyniło to na nim większego wrażenia.

„Rabin” tymczasem odezwał się znowu.

— Próżne wasze wykręty! Wiemy, „Kostropaty”, że sypałeś i wiemy, co!

— Wiecie w takim razie więcej ode mnie.

— Ty w każdym razie wiesz za wiele i nie pamiętasz, że są sprawy, kiedy mordę na kłódkę trzeba trzymać.

— Nie jestem żółtodzióbem — bronił się nieustępliwie. — Wiem, co mam robić.

— Ale i my wiemy, co mamy robić. Już nie mówię, że syna w policji masz, bo przed nim byś z pewnością nie sypał. Z tego by nic nie wyszło. Ale ty, Grot — „Rabin” kołysał się w krześle, przewiercając zdradzieckiego kompana wzrokiem — lepszych sobie poszukałeś słuchaczów. Wiesz to i owo, i zachciało ci się zamienić to na pieniądze. To zła rzecz! Niby myślisz, że to się ukryło, że się z owym reporterem nieustannie zmałwiałeś?

„Kostropaty” zbladł. „Rabin” wiedział więc całą prawdę. Jeżeli tak było, był istotnie zgubiony.

Chciał znowu coś odpowiedzieć, lecz „Rabin” nie pozwolił mu już na to.

— Będziesz odpowiadał na pytania! To mi wystarczy.

— Mogę i tak.

— Nie udawaj chojraka. Boisz się i masz cykorię. Każdy zdrajca tchórzem podszyty.

— A ty mnie nie strasz, „Rabin”. Stary bojowiec jestem i nie boję się byle czego.

— To się okaże. Tymczasem gadaj, to ty mówiłeś coś z tym reporterem o zaginionym generale?

— O wielu rzeczach mówiłem.

— Ale i o tym też.

— O tym też. O różnych rzeczach mówi się w rozmowie.

— Tylko nie o tych, co grobem cuchną. Mówiłeś temu skrybie, że możesz dostarczyć o tym generale wiele ciekawych szczegółów.

— Nie, nie mówiłem tego.

— Teraz łżesz! Łżesz jak bura suka. Postępujesz jak tchórz.

— Nie jestem tchórzem.

(Dalszy ciąg jutro).

— A więc Grot. Wspomniałeś o walizkach tego generała. Wspomniałeś, że wiesz i że mógłbyś dostarczyć nazwiska wysokiego mężczyzny, który za kwitem odebrał wówczas walizki generała z przechowalni bagażu na Dworcu Wileńskim.

Teraz Grot nie miał więcej nic do powiedzenia. Był zdruzgotany.

„Sztajer” podniósł się od stołu w całej swej wysokości. Wartka fala krwi rzucała mu się do twarzy. O nim to bowiem, a nie o kim innym, była mowa. On to był owym mężczyzną, który podjął z dworca walizki zaginionego generała.

Przez długą chwilę bandyta nie mógł powiedzieć ani słowa, taka straszna wściekłość nim targała.

„Rabin” był dobrym dyplomata, toteż nie powiedział przedtem „Sztajerowi” ani słowa o tym, że Grot chciał go sypać przed reporterem kryminalnym. Chciał sypać i to dlaczego? Dlatego, że było mu potrzeba pieniędzy.

Olbrzymi bandyta odzyskał wreszcie dar mowy.

— Ty łotrze, ty drabie, ty...synie!!! — wydobyło się z jego warg.

Wówczas stało się to, czego nikt by się nie spodziewał. „Kostropaty” czuł się snadź bardzo dotknięty zachowaniem „Sztajera”, albo też zrozumiał, że po tym, co tu powiedziano, nie miał już nic do stracenia.

W opinii członków bandy popełnił czyn nie do przebaczenia. Był zaufanym członkiem bandy i korzystał z jej dochodów, nie wystarczyło mu to jeszcze i by zarobić trochę grosza, nie zawahał się zwąchać z jakimś reporterem, by zwierzyć mu się z tajemnic, które mu powierzono z pełnym zaufaniem.

Czekała go śmierć. Członkowie bandy gotowi byli przebaczyć wszystko, ale nie było przebaczenia dla zdrady.

„Kostropaty” nigdy nie uchodził za specjalnie odważnego, teraz jednak rozpacz i wściekłość dodały mu sił i gdy ujrzał tuż koło siebie zaczerwienioną, zięjącą złością twarz „Sztajera”, bez najmniejszego wahania i grzmotnął całą siłą swej ręki w tę gębę.

Uderzenie było niespodziewane i silne.

Wszystko, co nastąpiło potem, działo się w sekundach.

„Sztajer” uderzony w momencie, kiedy wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego, że Grot odważy się podnieść na niego rękę, zachwiał się i zatoczył.

„Rabin” i pozostali członkowie „dintojry” poderwali się z miejsc, chcąc rozdzielić wrogów, lecz było już za późno.

W ręku „Sztajera” zaczerniała lufa rewolweru.

Zanim zdołali mu broń wyrwać, zanim „Rudy Czesiek” zdołał chwycić go za rękę, nie chcieli bowiem, by w lokalu Kosowera doszło do jakiejś „mokrej roboty”, „Sztajer” odbezpieczył broń i strzelił.

Był nieprzytomny z gniewu, a gniew ten potęgowała znaczna ilość wypitego alkoholu.

Byłby zapewne oddał więcej strzałów, lecz „Rabin” bez ceremonii palnął go pięścią w ramię, tak, że rewolwer upadł na ziemię.

„Kostropaty” wydał okrzyk bólu, podniósł rękę do piersi i zwał się ciężko na krzesło, a z krzesła na podłogę.

„Sztajer” oprzytomniał trochę. „Dintojra” nie dobiegła tym razem do normalnego końca. Pierwotny plan wywiezienia Grota za miasto i tam pozbycia się go poszedł również w gruzy.

Nalana twarz „Rabina” była biała z emocji.

— „Sztajer”! „Sztajer”! Coś ty najlepszego narobił?!

Przez długą chwilę w „gabinecie” knajpy Kosowera panowało zupełne milczenie. „Rabin” pochylił się nad leżącym.

Przez ubranie przeciekała wąska strużka krwi. Herszt bandy dobył chustki do nosa, zębami wyrwał rożek z monogramem i przyłożył chustkę do rany, by upływ krwi zatamować.

Nie czynił tego bynajmniej z troskliwości o Grota.

Chodziło po prostu o to, by krew nie powalała podłogi i sprzętów w gabinecie, co mogło by mieć bardzo przykre następstwa.

„Sztajer” stał wyprostowany z ponurą, zawziętą twarzą. Ani przez chwilę nie żałował tego, co się stało, ani przez chwilę nie czuł obawy przed następstwami swego czynu. Ukarał zdrajcę, ukarał człowieka, który go spoliczkował.

Nie policzkuje się bezkarnie „Sztajera”. „Rabin” tymczasem szybko zorientował się w jakości rany odniesionej przez „Kostropatego”.

— Strzelony w lewą pierś, tuż pod obojczykiem. Omdlał tylko, bo to nic groźnego. Kula siedzi gdzieś pod łopatką, bo strzał był z bliska...

— Mógłby się z tego wylizać — mruknął „Jednooki”.

— Niedoczekanie jego. Teraz on się już wylizać nie może.

— „Czesiek”, odszukaj łuskę i schowaj. Gdy będziemy na ulicy, rzucisz do kanału.

— Dobra jest.

— Trzeba go będzie jakoś stąd wynieść i wykończyć.

— To będzie trudno zrobić, bez zwracania uwagi.

- Wyjrzyj, czy nie ma już „Szoferaka” z taksówką.
- „Szoferak” był jednym z członków bandy, który rozporządzał własną taksówką i był mistrzem w operowaniu fałszywymi numerami rejestracyjnymi samochodów.
- „Błady Władek” wyciągnął z kieszeni kamizelki zegarek niesłychanych rozmiarów.
- Gdzie zaś, jeszcze prawie godzina do terminu, na jaki był umówiony.
- Na twarzy „Rabina” zarysowało się zniecierpliwienie.
- Nie lubił, gdy coś nie szło według „programu”, który układał z prawdziwym artyzmem.
- Sytuacja nie jest wcale wesoła. Psiakrew! Co tu robić?
- „Sztajer”, nawarzyłeś piwa, pijże go teraz, cholero.
- Niby jak?
- Wywieść stąd trzeba tę gnidę — „Rabin” trącił nogą wciąż jeszcze omdlałego „Kostropatego”.
- On jednak musiał lepiej dostać, niż się zdaje.
- A niech tam!
- Stulcie gęby i słuchajcie, jak mówię, „Sztajer”, wal po jakąś taksówkę. Im prędzej, tym lepiej. Weź ze sobą „Cześka”.
- Oszalałeś, „Rabin”, żeby nas sypał?
- Oko dobre masz. Człowieka wybrać potrafisz, a zdarzy się coś nie w porządku, to i na kierowcę znajdzie się rada.

(Dalszy ciąg jutro).

W knajpie Kosowera przy ulicy Dzikiej dokonywa się „dintojra” nad jednym z członków bandy „Wstążeczki”, oskarżonym o wydanie tajemnicy, dotyczącej zaginionego generała, ciekawemu reporterowi. Podczas tego sądu wynika bójka między jednym z członków bandy „Sztajerem” a oskarżonym, noszącym pseudonim „Kostropaty”. „Kostropaty” zostaje ciężko raniony i członkowie bandy zastanawiają się, jak go usunąć z knajpy.

„Sztajer” ruszył ramionami i skierował się ku drzwiom. Za nim poszedł „Rudy Czesiek”. Nie wiadomo dlaczego „Sztajera” rwać zaczęła naraz noga, w którą przed laty był postrzelony. Starał się opanować przykry ból, lecz idąc, lekko utykał. Ból ten jednak pozwolił mu szybciej wytrzeźwieć. „Sztajer” kłął na czym świat stoi pogodę, która spowodowała ból starej rany.

Wyszedł z „Rudym Cześkiem” do bufetowej sali, z której było wyjście na ulicę.

Wyszedł i zmartwiał.

W opustoszałej salce, przy szklance piwa siedział wywiadowca policji.

W pierwszej chwili „Sztajer” chciał się cofnąć, zrozumiał jednak, że byłoby to podejrzané.

Szybko zorientował się w sytuacji. Wywiadowca, chłopak był młody, od niedawna nastał w policji i nie znał jeszcze znakomitej większości mętów warszawskich. Nie znał „Sztajera” ani „Cześka”, ani też całej zacnej kompanii, uczującej krwawo

u Kosowera. Być może nie był wcale na służbie i wracając do domu, wstąpił na piwo. „Sztajer” miał nad nim bezwzględną przewagę, znał go bowiem i wiedział, że ma do czynienia z wywiadowcą policji.

Bandyta miał różne znajomości i był niezgorzej poinformowany o rozmaitych tajnikach policyjnego wywiadu.

Jakby nigdy nic, pewnym krokiem przeszedł „Sztajer” przez knajpę i wyszedł na ulicę. Kosower, siedzący za bufetem, nie pytał go o nic. „Rudy Czesiek”, nie przeczuwający niczego, nie znał bowiem młodego wywiadowcy, poszedł w ślad za „Sztajerm”.

Znaleźli się na ulicy, bandyta przysunął twarz do twarzy młodszego kompana i szepnął do niego.

— W knajpie siedzi „hint”. Wracaj natychmiast i powiadom „Rabina”. Niech coś wymyśli, idę po taksówkę.

I sykając z bólu, bo noga darła go coraz bardziej, pokuśtykał w poszukiwaniu wozu, któryby odpowiadał jego celom.

Rozdział 4, w którym są momenty prawdziwie dramatyczne

„Rudy Czesiek” nie był jeszcze zbyt wypraktykowanym członkiem bandy, chociaż wcale nieźle zaprawiał się w swoim rzemiośle.

Wiadomość o tym, iż w knajpie przebywa wywiadowca policji, zakomunikowana mu przez „Sztajera”, zrobiła na nim zrozumiałe wrażenie.

Nic dziwnego. Brał przecież udział w robocie „na mokro”, a sądy doraźne nie żartowały i funkcjonowały sprawnie.

Toteż gdy wszedł z powrotem do gabinetu, twarz miał tak zmienioną, iż „Rabin” w pierwszym momencie zaniepokoił się.

— Co się stało? Czemu wróciłeś, „Czesiek”? Gdzie „Sztajer”?

— „Sztajer” poszedł po taksówkę. W pierwszej sali siedzi wywiadowca, „Sztajer” go poznał.

Spojrzeli wszyscy po sobie.

Wywiadowca?...

W tej chwili ranny, odzyskując przytomność, poruszył się i usiłował podnieść głowę.

Wzrok „Rabina” padł na rannego i zorientował się w grożącym niebezpieczeństwie.

Pochylił się i szybkim ruchem okrwawioną chustkę, tą samą, którą tamował krew, płynącą z rany Grota, wsadził mu w usta, jako knebel.

Był pewny, że „Kostropaty” nie będzie mógł krzyczeć, ale ostrożność nie zawadziła.

— Czekajcie tutaj. Ja wyjrzę.

Odważnie i pewnym krokiem wyszedł z gabinetu i udał się do sali, gdzie siedział wywiadowca.

Podszedł do bufetu, kupił papierosów, zamienił kilka nieznaczących słów z Kosowerem, po czym wrócił do towarzyszków.

— Mleczak! — skrzywił się do kompanów. — Ale i tacy mogą być niebezpieczni. Nie możemy tego lekceważyć.

Namyślał się przez chwilę. „Jednooki”, „Rudy Czesiek” i „Błady Władek” nie spuszczała oka z przywódcy.

— Nie będziemy czekać, aż on wyjdzie. Tu każda minuta jest droga. Wyjdziemy razem z Grotem, gdy tylko „Sztajer” wróci.

Plan „Rabina” był planem szaleńczym, ale „Rabin” lubił ryzyko.

Towarzysze jego spojrzeli na niego z zainteresowaniem, bowiem wiedzieli, że „Rabin” pełen jest zawsze niezwykłych, a doskonałych pomysłów i umieli to cenić. Pierwszym warunkiem, jaki powinien posiadać przywódca bandy, jest umiejętność imponowania kompanom swą szaleńczą odwagą i ryzykanctwem pomysłów. Zalety te „Rabin” posiadał w wysokim stopniu.

Herszt bandy i przewodniczący „dintojry” w kilku słowach wyjaśnił bandytom swój plan. Był on istotnie szaleńczy w swej prostocie.

— Nie bójcie się! — uspokajał swoich ludzi, chociaż wiedział, że ma do czynienia z elementem gotowym do wszystkiego i zdecydowanym na wszystko. — Uda się, musi się udać. On napewno popadnie wtedy znowu w omdlenie... Śladów krwi nie ma tu na podłodze. Wylew jest wewnętrzny... A gdyby już nie było innej rady, to po prostu pozwolicie trochę „bronkom” poszczekać. Dawno już nie było większej grandy.

(Dalszy ciąg jutro).

— Ładna granda... mord... To pachnie stryczkiem.

— „Czesiek”?... Tyś to powiedział?

„Rabin” podszedł kocim krokiem do młodego opryszka.

— Nieutkany jest jeszcze i nieskręcony ten sznur, na którym ja mam wisieć, a teraz ty pamiętaj na przyszłość na język, bo nie tylko za zdradę, ale i za tchórzostwo obrywa się kulę w piersi... Rozumiesz...

Powiódł oczyma po obecnych.

— Pamiętajcie — rzekł z naciskiem — w razie aresztowania lub wyspy zeznajemy wszyscy zgodnie, że „Rudy Czesiek” miał porachunki z „Kostropatym” i że to on do niego strzelał. On ma także siódmkę, jak „Sztajer”, zresztą jak tylko „Sztajer” wróci, zamieni z nim rewolwery.

Skinęli głowami. „Rudy Czesiek” zbladł. Wiedział, że gdy zechcą, potrafią go zgubić, że jest całkowicie w rękach „Rabina”, który pokazał znowu, co umie. To się nazywało bandycka dyplomacja!

Lecz „Rabin” nie zajmował się już dłużej „Cześkiem”. Były rzeczy ważniejsze, a „Sztajer” mógł wrócić lada chwila.

— Władek, weź jesionkę „Kostropatego” i ubierzcie go z „Jednookim”. Możecie zapiąć pod szyją... Ziąb dziś mocny... Tak... Dobrze...

Ranny, który był na pół przytomny, został ubrany w jesionkę.

W tej samej chwili zapukano do drzwi gabinetu.

Zapukano w sposób umówiony. Najpierw raz, potem przerwa, potem trzy razy.

To wracał „Sztajer”.

— Jest taksówka?

— Jakże kierowca?

— Czy mogę wiedzieć? Bratu własnemu nie lubię ufać... Wygląda jednak tak, że za samą gębę dałbym mu dziesięć lat paki.

— To nie stanowi. Są i klechy o takich twarzach...

„Rabin” był stuprocentowym antyklerykałem i nienawidził duchownych wszystkich wyznań.

„Sztajer” spojrzał na Grota:

— Cóżście go tak ustroili? By nie zmarł nieboraczek?

— Zobaczysz, dlaczego, A tamten tam siedzi?

— Kamieniem siedzi. W notesie coś skrobie.

— No, to czas nam w drogę „Sztajer”. Czekał no jeszcze. Wymień z „Cześkiem” rewolwer.

„Sztajer” spojrzał przenikliwie na „Rabina” i na „Cześka” i zrozumiał, co zaszło. Wyjął browning i wyciągnął go do „Cześka”.

— No, bierz i dawaj swój!

„Rudy Czesiek” błady był śmiertelnie, usłuchał jednak rozkazu, bo i co miał robić.

— A teraz do roboty. Pamiętajcie więc: spokój i zimna krew. Wyprowadzamy pijaka. Spił się do utraty przytomności i my, jego sztamacy, wlecemy go do taksówki, by odwieść go do domu...

— „Rabin”, to jest wariacki pomysł! — wmieszał się „Sztajer”, ale w głosie jego była nutka uznania dla pomysłowości i odwagi „Rabina”.

— Nie gadaj i ty! Władek i „Jednooki” bierzcie szanowne ciało...

Pochylili się i dźwignęli ciężkie ciało wpół przytomnego „Kostropatego”.

„Rabin” wyjął mu knebel z ust.

To już nie było niebezpieczne, a i w tym miał rację, że ranny zemdlął znowu z bólu, gdy go podniesiono dość brutalnie.

Niezwykły orszak ruszył ku drzwiom gabinetu.

Pierwszy szedł „Rabin”, za nim „Rudy Czesiek”, „Jednooki” i „Błady Władek” wlekli między sobą „pijanego do utraty przytomności”. „Sztajer” szedł jako straż tylna.

„Jednooki” i „Błady Władek” zarzucili sobie na szyje bezwładne ręce „Kostropatego” i nieśli go pod ramiona. Głowa rannego chwiała się to na jedną, to na drugą stronę. Nogi wlokły się po ziemi.

Gdy znaleźli się w pierwszej sali, Kosower, który nie słyszał strzału i o niczym nie wiedział, spojrział i zbladł śmiertelnie, nie odezwał się jednak ani słowem. Zbyt dobrą przeszedł już tresurę w służbie przestępczego świata.

Przechodzili tak właśnie obok wywiadowcy, który był głęboko pogrążony w jakichś rachunkach, gdy młody agent podniósł nagle głowę i spojrział na tę dziwną grupę.

— A co to znowu? — zapytał.

Zatrzymali się. Oddech zamarł im na chwilę w piersiach. „Rabin” zdecydowany na wszystko, ścisnął rewolwer w kieszeni. Chciał odpowiedzieć, lecz wyprzedził go pijacki, znakomicie odegrany śmiech „Sztajera”.

— Co ma być? Schłał się, za przeproszeniem, jak świnia, że na nogach ustać nie może, to go do domu, do jego starej odwozimy. No, walcie z nim, taksówka tam czeka...

To słowo „taksówka” było zupełnie niepotrzebne, ale „Rabin”, mimo to, odechnął z ulgą. Dobrze sprawił się „Sztajer”. To była przytomność umysłu...

Bandyci powlekli za sobą dalej postrzelonego. Przekonany widocznie o prawdziwości ich słów, wywiadowca rzucił okiem na bladego pijaka w jesionce o przekrzywionym na głowie kapeluszu i nic już nie powiedział.

Tylko, gdy tamci wyszli już na ulicę, zapytał:

— Ci tutaj często bywają?

— Gdzie tam. Pierwszy raz ich widziałem. Zabawili się u mnie, zapłacili, a to dla mnie najważniejsze. Spokojni goście...

— Spokojni? — powtórzył wywiadowca, ale z nutką zdziwienia w głosie.

— Naturalnie, że spokojni. Ot, upił się jeden z nich, to go do domu odwożą, żeby awantur nie wyczyniał. Czasem się zdarzają goście, że cały lokal do góry nogami wywracają. Wolę mieć do czynienia z takimi.

Wywiadowca pokiwał głową, jakby się godził i naraz rzucił pytanie, które świadczyło, iż nie był taki naiwny, jak mniemał „Sztajer”.

— Zapłacili panu, panie Kosower?

(Dalszy ciąg jutro).

Teraz na zacnego właściciela baru przyszła kolej zaniepokojenia się. Wywiadowca siedział przez cały czas w sali i musiał zauważyć, że nikt z paczki, która przed chwilą opuściła knajpę, nie regulowała rachunku. Kosower był o ten rachunek spokojny, bo wiedział, że „Rabin” na drugi dzień wszystko ureguje, jednakże należało coś odpowiedzieć wywiadowcy.

— Oni nie mieli zbyt wiele pieniędzy — wyjaśnił — więc złożyli się i dali mi pieniądze z góry na wódkę i zakąski.

Wywiadowca policji poprzestał na tym wytłumaczeniu. Pokręcił się jeszcze po knajpie i wreszcie, ku wielkiej uldze gospodarza, zapłacił za swoje piwo i wyszedł.

Tymczasem taksówka uwożąca rannego „Kostropatego” i członków bandy gnała ku jednej z rogatek warszawskich.

Grot siedział w środku, po obu zaś jego stronach czuwali „Sztajer i „Rabin”. Nie wiadomo, czy pęd powietrza, czy też co innego, spowodowało, że ranny odzyskał przytomność i że, jak gdyby, wróciły mu siły.

Może to przemówił instynkt życia. Ranny rozumiał, iż wiozą go po to, by go dobić, że każda minuta jest droga. Instynkt życia przemówił i mimo bolesnej rany i mimo osłabienia kazał szukać dróg ratunku.

W pewnym momencie Grot nie zważając, iż rana znów krwawić zacznie, zapominając o bólu, który paraliżował mu oddech, próbował wyrwać się z łap swoich oprawców. Była to jednak beznadziejna walka, w której uległ po krótkim szamotaniu.

To właśnie szamotanie widział policjant na rogatce, nie był jednak pewien, czy nie padł ofiarą złudzenia.

Taksówka mknęła ciemną szosą.

„Sztajer” znał takie miejsce, gdzie postanowił pozbyć się zdrajcy.

Znał zagajnik za ostrym wirażem szosy, gdzie można było ukryć ciało w młodym, porastającym lesie. Kilka dni upłynąć mogło, nim odkrytoby trupa.

Gdy pomyślał, że głupie pogawędki „Kostropatego” z reporterem na temat waliz zaginionego generała mogły pociągnąć dla niego skutki nieobliczalne, wściekłość chwyciła go za gardło i budziła się w nim tęsknota jak najszybszego wykończenia zdrajcy.

Taksówka mknęła jak ciemne widmo, łyskając ślepiami reflektorów.

Wreszcie.

Ostry zakręt i na prawo mały zagajnik.

To tutaj.

— Stój! — wrzeszczy „Sztajer” do kierowcy.

Taksówka przystaje, „Sztajer” wolno otwiera drzwiczki.

— Zgaś światło — mówi z cynizmem do szofera. — Do tego, co będziemy tu robili, światła nie potrzeba.

Kierowca patrzy na „Sztajera” szeroko otwartymi oczyma. Myślał może, godząc się jechać, że chodzi o jakie zgwałcenie dziewczyny w taksówce, o porachowanie komuś nieco kości. Ale tutaj było co innego.

Tu szykowała się zbrodnia.

Tu dobijać miano rannego.

Szofer nie był człowiekiem odważnym, ale i nie był tchórzem.

— Co chcecie zrobić? — zapytał.

— Nie twoja rzecz.

— Właśnie że moja.

— Stul głowę.

Wysiedli już wszyscy z taksówki i ranny słał się, znowu podtrzymywany przez zbirów. Zamglonym, pełnym przerażenia wzrokiem patrzył w mrok nocy.

Kierowca zdecydował się szybko. Zanim tamci zdążyli się zorientować, siedział już znowu w taksówce i włączył motor.

Zrozumieli, że chciał odjechać i zostawić ich o dwadzieścia kilometrów od rogatki. Uniemożliwiłoby to skończenie z Grotem, bo i jakże mogliby się potem szybko oddalić z miejsca zbrodni.

Nie można było do tego dopuścić. Zanim taksówka zdołała ruszyć, „Rabin” stał już na jej stopniach z rewolwerem w ręce.

— Ręce od kierownicy, bo walę w łeb!

Kierowca usłuchał. Zawsze lżej na świecie bez kilku gramów ołowiu w mózgu.

— Chłopcy, idźcie w las. Ja zostanę z tym bohaterem.

„Rabin” pozostał przy kierownicy, tamci zaś zniknęli w gąszczu zagajnika.

Przez długą chwilę cisza panowała wokół zupełna.

Naraz kierowca drgnął i przeżegnał się.

Z głębi zagajnika huknęły dwa strzały.

To „ferajna” kończyła porachunki z Grotem.

Upłynęło jeszcze dobrych kilka minut, gdy „Sztajer”, „Błady Władek”, „Czesiek” i „Jednooki” wrócili z zagajnika; ale już bez Grota.

Wówczas „Rabin” spojrzał na nich przelotnie i zapytał:

— Skończone?

— Skończone!

— „Jednooki”, poprowadzisz wóz.

— Czemu nie?

„Rabin” zwrócił się do kierowcy.

— Wsiadaj! — po czym do „Cześka” — Zabijesz tego człowieka.

Szofer począł drżeć jak liść osiki i nie mniej drżeć począł „Rudy Czesiek”.

„Rabin” dawał mu straszną szkołę za tchórzostwo.

— Chłopcy! — zabrzmiał cichy głos „Rabina”. — Jeżeli „Czesiek” go nie zabije, zabijemy obu.

(Dalszy ciąg jutro).

Lufy rewolwerów skierowały się na „Rudego Cześka”. Bandyta zrozumiał, że opór równa się śmierci. Dobył browninga „Sztajera” i kropnął prosto w twarz kierowcy.

Tamten z jękiem zwałił się na ziemię.

„Rabin” nie spojrzał nawet na trupa i zwrócił się do „Cześka”.

— Teraz widzisz już, że zabić człowieka, to wcale nie tak trudno. Nie drżysz. Przyzwyczajasz się.

Skinął na swe „towarzystwo” i ruszył do taksówki.

— Podwiesz nas „Jednooki”.

Tamten skinął głową i zajął miejsce przy kierownicy. Wnet jednak zwrócił się do „Rabina” i „Sztajera”.

— Nie mam klucza od startera.

„Sztajer” zżymnął się na nowe opóźnienie i przeszukał kieszenie zabitego. Znalazł wreszcie to, czego szukał.

Taksówka ruszyła z miejsca podwójnej zbrodni.

Dniało już, gdy rowerowy patrol policji państwowej, patrolujący szosę, natknął się w odległości dwudziestu kilometrów od Warszawy, na wirażu tuż przy gęstym zagajniku, na trupa mężczyzny z twarzą rozniesioną od kuli rewolweryjnej. Był to trup nieszczęśliwego szofera.

Bezkarni bandyci Warszawy krwią i mordem znaczyli swój zbrodniczy szlak.

Rozdział 5, w którym poznajemy zacnego herszta „Wstążeczkę”

Kosower był w głębi ducha przerażony w najwyższym stopniu, chociaż uspokajał się, że alarm pozostanie bez fatalnych następstw.

W całej Warszawie wrzało. Cała policja postawiona została na nogi. Szpalty pism wypełnione były opisem podwójnej zbrodni. Oto, poza ciałem szofera, w gęszczu zagajniku znaleziono ukryte w krzakach i zaroślach ciało drugiego zamordowanego, przy którym nie znaleziono żadnych papierów i dokumentów. To była już sprawność „Sztajera”, który polecił ludziom, by zabrali wszystko to, co mogłoby ułatwić śledztwo. Na drugi dzień po południu policja wykryła nowe ogniwo zbrodni. Tuż w pobliżu Warszawy, gdzieś na polach odludnych, znaleziono taksówkę pozbawioną rejestracyjnych numerów. Po bocznych numerach ustaliła policja, że była to taksówka, którą nieszczęśliwy szofer wywoził za miasto jakichś tajemniczych osobników.

Śledztwo miało iść w dwóch kierunkach, a więc stwierdzenia, z jakiego powodu wzięto taksówkę oraz ustalenia nazwiska zabitego mężczyzny znalezione go w zagajniku.

To pierwsze było łatwiejsze od tego drugiego. Urząd śledczy zrekonstruował sobie przebieg zbrodni.

Nie ulegało wątpliwości, że zabity nieznajomy był ofiarą jakiegoś samosądu, że wywieziono go za miasto, by załatwić z nim porachunki, że wreszcie szofer został zabity tylko dlatego, że bandyci obawiali się, by ich nie wyspał. Była w tym jednak zagadka, któż bowiem bierze na takie śmiertelne wycieczki szoferów, których potem musi się zabijać, by w ten sposób na ustach ich położyć pieczęć milczenia.

Cała Warszawa była do głębi wstrząśnięta potworną zbrodnią. Przypominano sobie i powtarzano, że zbrodni tak nieludzkiej nie zanotowano już dawno. Było publiczną tajemnicą, iż zbrodnica organ[i]zacja istnieje od pewnego czasu na terenie Warszawy i że członkowie jej hulają bezkarnie, ważąc się na wszystko, pewni, że wszystko ujdzie im płazem.

W bandzie tymczasem nie mniejsze panowało zaniepokojenie. Naczelny herszt bandy, „Wstążeczka”, który nosił zaszczytny tytuł „ojca miasta” i był radnym miejskim, wysłuchiwał sprawozdania „Rabina” i uznał, że tym razem postępowanie jego zastępcy było zbyt nerwowe i pośpieszne.

Tak samo zganiał surowo porywczość „Sztajera”, który porwał się do rewolweru, by krwią zapłacić za policzek. To właśnie popsuło całą sprawę.

„Wstążeczka” gładził się po wypukłym brzuszku, tarł ręką lśniąca łysinę, sepleniał, przenikliwym głosem szybko wyrzucając wyrazy i był niezadowolony, bowiem nie lubił roboty „na mokro”.

Zdawał sobie sprawę, że policja nie byłaby policją, gdyby tego lub owego nie wiedziała. Inna rzecz pobicie, inna połamanie komuś żeber, inna zaś rzecz dwa trupy naszpikowane kulami przy szosie.

„Wstążeczka” wiedział i zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że mając dostojnych protektorów, do czasu będzie bezpieczny. Gdyby jednak sytuacja uległa zmianie, z tymi wszystkimi robotami „na mokro” mógł być wielki kłopot.

„Wstążeczka” wiedział o tym, że jest w tej chwili potrzebny dla delikatnych zleceń, które od czasu do czasu otrzymywał, a które członkowie jego bandy wykonywali.

Obawiał się jednak stale, iż przyjdzie godzina, kiedy przestanie być potrzebnym i kiedy oczy, które dotąd przymykano, przestaną się nadal przymykać. Lepiej byłoby wówczas nie mieć podobnych spraw na sumieniu jak ta, która odbyła się dnia poprzedniego.

Faktem, który poważnie zaniepokoił „Wstążeczkę”, było spotkanie członków bandy z wywiadowcą, w momencie, gdy wynosili, a raczej wywlekali, z knajpy Kosowera ciężko rannego Grota. Ten człowiek mógł wszystkim zalać sadła za skórę.

„Wstążeczka” był przekonany, że wywiadowca ów po rozejściu się wiadomości o podwójnym zabójstwie na szosie domyśli się niewątpliwie, że ludzie, którzy wychodzili dnia poprzedniego wieczorem z knajpy Kosowera, byli to ludzie ci sami, którzy dopuścili się zbrodni.

Wywiadowca ten mógł mówić zbyt wiele, mógł płonąć chęcią ujęcia sprawców napadu.

Zeznanie jego mogło być groźne, a co do Kosowera, to „Wstążeczka” nie łudził się, że właściciel spelunki zastraszony odpowiednio nie potrafi się bronić przekonywująco, przeciwnie, że przy najlepszych chęciach załamie się nerwowo.

— „Rabin”! — ozwał się zafrasowany „Wstążeczka” — trzeba będzie, byś odnalazł tego człowieka i koniecznie z nim pomówił.

(Dalszy ciąg jutro).

„Rabin” nie miał wcale ochoty kłaść głowy pod ewangelię.

— Starzejesz się, Tata — odparł. — Nie głupim! Polezę może, by mu się pokazać?

„Wstążeczka” ruszył ramionami.

— Nie bój się, na wszystko są sposoby!

— Ja tu nie widzę żadnego sposobu.

— Udajesz tylko, jeżeli tak mówisz. Nie ma sposobu? A podsypać trochę forszę, to nie można?

„Tata Wstążeczka” zapalił nowego papierosa i wodząc jedną ręką po swym wydatnym brzuszku, mówił do „Rabina” z coraz większym zapałem, co objaśniało się tym, że coraz bardziej seplenił.

— Ty, przecież, „Rabin”, nie głupi chłop jesteś i bardziej uczony ode mnie. Znasz chyba dobrze ludzi. Za pieniądze brata każdy sprzedaje. To jest siła. Wierź mi. „Wstążeczka” ci to mówi. Wiesz, ja lubię pieniądze. Wszystko jedno skąd. Forsa to dobra rzecz. Każdy jej potrzebuje i z forszą to coś znaczysz, a bez forsy to jesteś nic. Mówisz o tym wywiadowcy, że w razie co oburzy się, świętego zrobi. Akurat! Forsa to jest taka rzecz, która czasem ludzi o dobrym wzroku czyni ślepy. Któryś to towarzysz powiedział kiedyś, że złoto oślepia. Miał rację. A ot i w mamrze siedzisz, to jak nie masz forsy, jesteś na więziennym wikcie, a masz forszę, to i tam żyjesz, jak król. Dlatego, „Rabin”, znajdź tego wywiadowcę i porządkaj mu srebrem. Zobaczysz, jeżeli co widział, to wzrok i pamięć straci.

„Rabin” ruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Stary był uparty, to była wiadoma rzecz, a i forszę lubił, czego najlepszym było dowodem, że wszędzie szukał jej źródeł i nie wstydził się żadnego. Mówiono nawet, że wszechwładny pan Kercelaku na niektóre trzeciorzędne domy publiczne nałożył haracz i że „od dziewczynki” procent bierze. Nie wszyscy jednak temu wierzyli, a nawet bardzo wielu w „ferajnie” odpierało z oburzeniem te nędzne plotki, które, ich zdaniem, żadnych nie miały danych.

„Rabin” sięgnął po butelkę wódki i nalał sobie pełną szklankę. Jak wiadomo, nie pił nigdy z ferajną i nikt nie widział go pijanego, jednakże „Wstążeczka” stanowiąc w tym wypadku wyjątek. Zdarzało się nieraz, że w obecności „Wstążeczki”, gdy sam na sam omawiali intymnie najrozmaitsze kombinacje, „Rabin” sięgał po butelkę, ale zawsze wtedy wypijał tak dużo i takimi olbrzymimi dawkami, że „Tasiemka” mitygować go musiał.

Tak było i tym razem. „Rabin” wychylił duszkiem całą szklankę wódki, wzdrygnął się, jakby go prąd elektryczny przebiegł, wykrzywił usta, splunął z niesmakiem i natychmiast jął sobie napełniać szklankę po raz drugi.

„Wstążeczka” położył na białej ręce „Rabina” swą rękę wielką i nieforemną.

— Słuchaj, „Rabin”, znów zaczynasz? Dawno już tego nie było. Nie wstyd ci?...

— Co mi tam ma być wstyd. Napadło mnie znowu i męczy, że rady sobie dać nie mogę. Stare rany bolą...

— Iiii... tam... Też powód, by się tak zapijać?

— Oj, jest powód, jest. „Wstążeczka”, ty przecież znasz moją historię.

— Juści wiem, miałeś być rabinem. Nie udało ci się... Nie wszystko układa się tak, jakby się chciało. Mało ci to dziewcząt, gdzie ręką sięgniesz. Musisz akurat myśleć ciągle o tamtym?

— Słuchaj, „Wstążeczka”. To nie tak łatwo. Próbowaleś, myślisz, że nie próbowałem. Ale czasem człowieka takie złe myśli nachodzą, że gdyby nie było pod ręką pełnego kielicha lub szklanki, diabli by mnie wzięli.

„Wstążeczka” ruszył ramionami, a wyraz twarzy znamionował, że nie mógł wywołać w sobie ani wyrozumienia, ani szacunku dla cierpień „Rabina”.

On zaś czuł widocznie tego wieczoru potrzebę wygadania się, potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego, co w nim tkwiło. Są czasem takie dni i ma je każdy, miał je i „Rabin”, człowiek bez skrupułów i bez sumienia.

— Wiesz co, „Wstążeczka”, gdyby nie ona, nie byłbym tu teraz z tobą. Brodę bym długą nosił i chałat i domem modlitwy rządził, rad mądrych z „Pisma” udzielał. Inne byłoby mo[j]e życie. A tak? Zakochałem się w niej. W chrześcijance. Dla niej rzuciłem wszystko. Przez nią najpierw konie po zagrodach chłopskich kradłem, bo wyklęła mnie rodzina i przy czarnych świecach rabini wielki „cherem” na mnie rzucili. Życ z czego nie było. Potem, gdy byłem już odważniejszy, po drogach rozbijałem. Potem...

Bandyta znowu do wódki sięgnął i ją żłopać jak spragniony i zdyszany biegiem pies żłopie wodę. Oparł się na rękach i mówił dalej monotonnym głosem. Okropne było to jego trzeźwe pijaństwo.

„Wstążeczka” nie przeszkadzał mu, chociaż na pamięć znał dzieje tego człowieka. Wiedział, że najlepsze, co zrobi, t[o] cierpliwość, a „Rabin” był zbyt cennym jego pomocnikiem, by chciał go sobie zrazić.

— Wiesz „Wstążeczka”, co było dalej. Każdy wpada, wpadłem i ja. Przyuważyli mnie. Dostałem kilka lat więzienia. Ostatni raz widziałem ją z córeczką, z moją córeczką, na rozprawie apelacyjnej. Czort z nimi. Podwyższyli mi wyrok w apelacji. Siedziałem w więzieniu, gdy przyszła wojna. Potem wywieźli nas w głąb Rosji. Gdy wróciłem, po kilku latach, nie znalazłem już ani jej, ani dziecka. Wojna tak przeorała kraj, poprzeczowała wszystkich. Diabli wiedzą, co się stało z moją córką. Może już nie żyją obie, może... czy ja wiem zresztą.

„Rabin” trząśł tragicznie swą uczoną głową. Podobnie jak u pospolitych członków bandy, tak i u „Wstążeczki” powszechny szacunek dla „Rabina” wywoływało to, że wyrażał się on bardzo poprawnie i inteligentnie. „Wstążeczka” nawet czasem lubił słuchać jego opowiadań.

Tym razem poklepał go po ramieniu i począł zachęcać, by nie brał sobie tego wszystkiego do serca. Kto wie zresztą, może się i znajdą, owa matka i córka. To, że lata od wojny upłynęły, nie było przecież żadną przeszkodą. Zdarzały się takie rzeczy. „Wstążeczka” sam czytał o nich.

(Dalszy ciąg jutro).

— Słuchaj stary — rzekł poważnie — mazgaisz mi się, a to dla takich jak ty zła rzecz. Porzuć wreszcie to szukanie. Jeżeli ma coś przyjść w życiu, przyjdzie samo.

W zapale pocieszycielskim „Tata Wstążeczka” nie zauważył nawet, że na końcu swych pociech powiedział coś zupełnie innego, niż na początku. Nie o to jednak chodziło.

„Rabin” tymczasem uczuł jakby pewną ulgę, że się wygadał z największego bólu swego życia, uspokoił się i już więcej nie pił.

W drzwiach knajpy ukazał się jakiś człowiek ubrany w tandetną jesionkę i rozejrzał się po lokalu.

Potem podszedł do dziewczyny za bufetem i szepnął jej jakieś słowo.

Dziewczyna wskazała mu stolik, przy którym siedział „Rabin” i „Wstążeczka”.

Przybyły zawahał się ponownie, obracając niepewnie kapelusz w rękach. Wreszcie zdecydował się i podszedł do stolika „Wstążeczki”.

Ciemno było w tym kącie, w którym siedział „Wstążeczka” z „Rabinem”, ponieważ „Rabin”, gdy pił w knajpie — co było rzadkim ewenementem — zaszywał się w kąt najciemniejszy.

„Wstążeczka” spojrzał na przybyłego.

— A czego? — burknął, przy czym, rzecz dziwna, głos jego stracił swe zwykłe seplenienie.

Nieśmiały człowiek skłonił mu się z niezgrabnym szacunkiem.

— Bo ja z Kerelaka jestem.

— No to i co?

— Względem mojej budki przychodzę.

— Co mnie tu zatrajlowujesz. Odpoczywam teraz i gadam, daj mi spokój.

Żydowski handlarz bał się najwidoczniej, ale nie ustępował.

— Panie „Wstążeczka”, pan się gniewa? Czemu? Załatwić można przecież wszystko, interesy przecież i w knajpie się robi.

„Wstążeczka” spojrzał na „Rabina”. Dziwna rzecz, były wśród spraw „Wstążeczki” i takie, których się wstydził. Do takich należało właśnie ściąganie haraczu z kupców na Kerelaku, główny dochód całej „ferajny”.

Herszt szajki wiedział doskonale o tym, że „Rabin” uważał to źródło dochodów za zupełnie niewłaściwe. Ten pogląd odpowiadał zresztą całej jego naturze, zuchwałej i przyzwyczajonej do zdobywania wszystkiego w życiu przez ryzyko i niebezpieczeństwo.

Walnąć komuś w łeb z browninga, dokonać zbrojnego rabunku, nie cofnąć się wobec najtrudniejszej sytuacji, to były rzeczy, do których „Rabin” był zdolny, ale terrorem wymuszać takie czy inne sumy na trwożliwych i lękliwych kupcach żydowskich, którzy niczego tak nie pragnęli, jak spokojnego prowadzenia handlu, to była zdaniem bandyty rzecz niegodna i niewłaściwa. „Rabin”, nie wiadomo skąd, odznaczał się tym, co można by nazwać bandycką rycerskością. Umiał wszystko zdobywać, lecz lubił zdobywać, ryzykując własną osobą.

Gdy „Wstążeczka” rozpoczął rozmowę z przybyłym, bandyta oparł się na łokciach i wpatrzył się nieruchomo w blat stołu, jakby chcąc i tym razem zaznaczyć w ten sposób swe stanowisko.

„Wstążeczka” dostrzegł to dobrze i zauważył, udał jednak, jak zwykle, że nic nie widzi.

— No, gadaj, gadaj, czego chcesz... Kto ci powiedział, że tu jestem?

— „Leon”, panie...

Herszt szajki uśmiechnął się,

— „Leon” ci to powiedział? No, jak „Leon”, to mogę cię wysłuchać i sprawę załatwić. Trzeba tak było gadać od razu. A co, pokłóciłeś się z „Leonem” i przyszedłeś do mnie, żebyśmy się pogodzili?

Kupiec z Kercelaka ruszył ramionami,

— Gdziebym się tam kłócił. Spokojny kupiec jestem. Z panem „Leonem” bym zaczynał? Pan „Leon” taki nerwowy, zaraz za rewolwer chwyta i po głowie nim wali.

„Ojciec miasta” zupełnie obojętnie przyjął do wiadomości ów fakt, dowodzący, że „Leon” był faktycznie szalenie nerwowym człowiekiem. Był ostrożny i zawsze baczyl, by nie wpaść. Toteż powoli, z namysłem ważąc słowo, jął mówić, złożwszy ręce na brzuchu.

— Po coś t[ui] do mnie przyszedł? Ja nie jestem od rozstrzygania sporów... Sąd jest od tego... Niepotrzebnie się fatygowaleś. Albo się sam z nim pogodzisz, albo idź do sądu, do policji i sprawiedliwości szukaj.

Nieśmiały handlarz z placu Kercelego znowu począł obracać w rękę kapełusz. Zrozumiał, że popełnił niezręczność.

— Panie „Tata” — rzekł, pochylając głowę — pan jest znajomym pana „Leona”, niech pan się za mną wstawi, niech pan porozmawia o tym z „Leonem”.

— Porozmawiać z nim. A jeżeli o to ci chodzi, to bardzo chętnie. Sędzia ja żaden nie jestem, „dintojry” nie odprawiam, gdy mnie jednak ktoś poprosi, mogę po przyjacielsku pogodzić obie strony.

— Właśnie, panie „Tata”. Po przyjacielsku, właśnie chciałem powiedzieć. Tak, po przyjacielsku...

— Co to takiego było z tym „Leonem”?

— Handlować nie mogę, nic nie mogę stargować, bo pan „Leon” zabił mi gwoździami budkie.

„Wstążeczka” udał znakomite zdziwienie:

— Zabił ci budkę? Gwoździami, mówisz? To łobuz! To żulik! Kiedy to było?

(Dalszy ciąg jutro).

— Skończ z nim! — burknął zirytowany „Rabin”, ale „Wstążeczka” za żadną cenę nie byłby się teraz wyrzekł rozmówki z handlującym na Kercelaku.

— Zabił mi budkie i targować nie da! — potwierdził Żyd, przestępując z nogi na nogę. — Panie „Leon”, mówię do niego, a pan mi dlaczego zabił budkie i handlować nie da, co panu, panie „Leon”, zawadza, że targuję, a on do mnie, że mnie po mordzie nawali i kości poprzetrąca, jeżeli mu nie dam spokoju. Ja bym mu dał spokój, żeby on mi tylko pozwolił budkie otworzyć, a on won...synu. Wyjął spluwę i począł mi grozić. Co ja miałem robić, ja poszedłem. Poszedłem, ale w południe wróciłem. Patrzę, a pan „Leon” łązi po placu. To ja do niego, żeby

otworzył, a on do mnie, że nie on to załatwia, żebym się wynosił do jasnej cholery... że jak „Tata” pozwoli, to budkie będzie można otworzyć.

— Tak powiedział?... I ty co?

— Co miałem, co robić, co? Przyszedłem do pana.

— O co się pokłóciłeś z „Leonem”, gadaj zaraz, że ci za karę budkę zamknął?

— O nic, o nic... Pytałem, nie chciał powiedzieć. Domyśl się, mówił...

— No, to już dobrze. Idź teraz zaraz do „Leona”, powiedz, że proszę go, by budkę pozwolił otworzyć. Zapłacisz tylko za gwoździe.

— Za gwoździe? Ile?

— Nie tak znowu wcale dużo. Sto złociszów...

Przybyły osłupiały wzrokiem popatrzał na mówiącego.

— Mam zapłacić sto złotych? Za gwoździe? Sto złotych? Bardzo są drogie te gwoździe... Gdzie pan „Leon” takie kupuje? Czy ja prosiłem pana Leona, żeby on mi budkę zabijał i targ niszczył?...

— Powiedziałem, że „Leon” dostanie sto złotych. Chciałeś pomocy, masz pomoc. Sto złotych, tyle są warte gwoździe. A jak ci się nie podoba, to won...

— Panie „Tata”! Sto złociszów to taki pieniądz. Ciężki, można powiedzieć, na teraźniejsze czasy. Ja zapłacę, tylko to za dużo, ja chcę zapłacić... Może dwadzieścia, może trzydzieści złotych...

— Sto! No dobrze zresztą. Dasz pięćdziesiąt złotych i ani już słowa o tym. Możesz iść...

— Gdzie mam iść? Pan „Leon” mi nie uwierzy, jak powiem na słowo...

— Co by tam nie uwierzył... Czekaj no, dam ci kartę... „Rabin”, masz ołówek?

— Mam.

— No, to daj szybko i niech on już raz idzie do diabła. Napiszę mu tę kartkę.

„Wstążeczka” niezbyt kaligraficznym i wyrobionym pismem nakreślił kilka słów do „Leona”.

— Masz. Wynoś się teraz. Niech cię tu nie widzę.

Kupiec z Kercelaka skłonił się i wyszedł. „Wstążeczka” i „Rabin” przez chwilę nic nie mówili do siebie. Żaden z nich nie miał specjalnej ochoty zaczynania rozmowy.

Wreszcie pierwszy odezwał się „Wstążeczka”:

— Może napijemy się jeszcze. „Rabin” chcesz piwa?...

— Piwa? Zawsze! — odpowiedział zapytany z dziwnym grymasem twarzy. — „Wstążeczka”, ja się boję, że wpadniesz w najbliższej przyszłości z tymi kupcami z Kercelaka. I ty wpadniesz, i „Leon”...

Herszt szajki ruszył ramionami.

— Będzie, jak będzie. Co się mam teraz przejmować? Żaden z tych kupców pary z ust nie puści, bo wiedzą dobrze, że marny byłby ich los.

„Wstążeczka” chciał jeszcze coś mówić, chciał tłumaczyć „Rabinowi”, że obawy jego są zupełnie zbyteczne, że jak na większych rzeczach nie wpadł, i na tym nie wpadnie, lecz nigdy nie było mu sędzone dokończyć swych argumentów w tej sprawie.

Przy stoliku ich stanął „Sztajer”, rzucając nieforemny cień na ścianę swoją olbrzymią figurą.

„Rabin” głowę podniósł.

— A, to ty „Sztajer?”... Dobrze, że przyszedłeś...

Bandyta poszedł za wzrokiem swego kompana i zauważył, że „Sztajer” swym przenikliwym spojrzeniem prześlizgnął się po fłaszce i szklance, które przed nim stały. Zmieszał się, choć rzadko mu się to zdarzało. Zapukał gwałtownie na kelnera.

— Zabrać to — rozkazał mu, wskazując na butelkę i szklankę.

„Sztajer” uśmiechnął się. Nic go to w gruncie rzeczy nie obchodziło, czy „Rabin” pije, czy nie pije, a zmieszanie kompana ubawiło go.

Przysunął sobie krzesło i rozsiadł się na nim wygodnie. Klepnął poufale „Wstążeczkę” po kolanach.

— No i co słysząc „Tato”?

— My tu już długo siedzimy i gadamy. Nic nowego... To ty przychodząc z miasta, powinienesz nam powiedzieć, co słysząc?

— Co słysząc?... Kuriery gwałt robią i krzyczą z powodu tego podwójnego morderstwa, które nazwały morderstwem na szosie. Piszą tam i o nas.

— O nas? — zaniepokoił się „Wstążeczka”.

— Tak! Piszą, że to nasza sprawka. Znają nas dobrze — zaśmiał się znowu nieprzyjemnie.

— Podejrzewać nas i mogą, ale nikomu z nas niczego dotąd nie dowiedli.

— I nie dowiodą!

„Wstążeczka” chciał się roześmiać, lecz „Sztajer” przeskoczył już na inny temat.

— Posłuchaj, „Rabin” — odezwał się — Ciebie to interesuje. Mam nową dziewczynkę. Mówię ci, cudło!...

Bandyta ożywił się. Pijacka tęsknota za kobietą, którą kochał, a która zaginęła bez wieści wśród zawieruchy wielkiej wojny, nie wyczerpywała — rzecz prosta — jego zainteresowania innymi kobietami.

(Dalszy ciąg jutro).

— Towar? — zapytał się cynicznie „Sztajer”, bowiem znany był z tego, że dostarczał, gdy tylko los nadarzył okazję, dziewczęta do domów publicznych.

„Sztajer” zrobił zagadkową minę i już miał coś odpowiedzieć, gdy nagle rzucił okiem na drzwi sali i słowa zamarły mu na ustach.

W drzwiach stał średniego wzrostu mężczyzna o młodej i świeżej twarzy. Ubrany był w krótką kurtkę z futrzanym kołnierzem. Na twarzy młodego człowieka malował się smutek i powaga. Kwadratowy, ścięty podbródek znamionował silną wolę i upór.

Zmieszanie i przerażenie „Sztajera” było zupełnie usprawiedliwione. We wzroku jego było coś tak szczególnego, że „Wstążeczka” i „Rabin” spojrzeli w tę samą

stronę, w którą spoglądał „Sztajer” i również nie mogli zamaskować swego wrażenia.

W drzwiach sali stał Jerzy Grot.

Jerzy Grot, aspirant policji, Jerzy Grot, syn człowieka, którego wczoraj zamordowali po strasznym wyroku „dintojry”.

Czego chciał tutaj? Czego szukał? Czy zjawił się tu przypadkowo, czy też naumyślnie?

Jerzy Grot tymczasem stał nieporuszony i patrzył na nich spokojnym, śmiałym wzrokiem.

Trzem zbirom siedzącym przy stoliku uczyniło się nieprzyjemnie i uczucie to potęgowało się z każdym ułamkiem sekundy.

Nie zdawali sobie sprawy, jak długo to trwało, wiedzieli w każdym razie, iż było to bardzo długo.

Jerzy Grot tymczasem uśmiechnął się jakoś szczególnie i ruszył od drzwi wprost ku ich stolikowi.

Nie było to może nic w rzeczy samej groźnego, zdarzało się bowiem, co prawda rzadko, że znając ich, siadywał z nimi czasami, jeszcze wtedy, gdy ani mu się śniło iść na policyjną służbę. Później jednak Jerzy Grot odnosił się do nich z tą dobrze zrozumiałą rezerwą, jakiej wymagało od niego zarówno noszenie munduru urzędnika policji, jak i dokładne zrozumienie wartości tych ludzi.

Chociaż więc nie było to nic dziwnego, jednakże mieszało się i stropili.

Aspirant Grot tymczasem stanął przy ich stoliku i z zupełną swobodą wyciągnął do nich rękę.

— Jak się macie — rzekł tonem swobodnym i niewymuszonym, choć zarazem poważnym. — Wiecie już zapewne, że mego ojca sprzątnęli.

„Sztajer”, który umiał dobrze w mordę walić i nieomylnie operować „spluwą”, który jednak nie umiał dyplomatyzować, był nadal zmieszany, „Wstążeczka” jednak i „Rabin” momentalnie opanowali sytuację.

Twarze ich przybrały wyraz smutny i przygnębiony i jęli składać Jerzemu Grotowi wyrazy współczucia z powodu nieszczęścia, jakie go spotkało. Jak to zwykle przy tym bywa, wychwalali zalety charakteru zmarłego.

Nie czuli się jednak dobrze i klęli w duszy na czym świat stoi, gdy aspirant bez ceremonii przysunął sobie krzesło i przysiadł się do nich.

— Zwolniłem się na kilka dni — mówił Jerzy Grot, sięgając po butelkę z wódką, dzień bowiem był zimny i przenikliwy, chłód przejmował do kości. — Przygotowania pogrzebowe — wyjaśnił. — Nie macie pojęcia, ile z tym kłopotu.

Zachowanie Grota wydawało się im podejrzanе. Musiał przecież chociażby z gazet wiedzieć, że w pewnych kołach twierdzono, iż „Kostropaty” padł ofiarą sądu, jakiego dokonali nad nim własni towarzysze. Jeżeli wiedział o tym, to co znaczyło jego zachowanie? Dlaczego zjawił się tutaj? Dlaczego zachowywał się w ten sposób. Należało się mieć na baczności. Należało uważać i kontrolować

każdy swój ruch, gest i słowo, jak również należało kontrolować najdrobniejsze szczegóły zachowania się Grota. Czyżby z tej strony groziło im niebezpieczeństwo?

Grot tymczasem przełknął kilka łyków wódki, dostosowując się bowiem do nich, pił dużym mikadkiem, po czym tonem niefrasobliwym ozwał się, nawiązując do kłopotów z przygotowaniami pogrzebowymi.

— Właściwie to najlepiej jest ze skazańcami. Z ich ciałami przynajmniej nie mają rodziny kłopotu. Po dwudziestu minutach zdejmuje się trupa z szubienicy, pakuje do prostej trumny i zakopuje na miejscu straceń. Żadnego kłopotu.

Mówił tak, a przy tym przez cały czas wzrok jego skierowany był na „Sztajera”.

Uchodził za bardzo zdolnego kryminalistę, toteż intuicją wyczuł, iż w pojedynku słownym „Sztajer” jest bezwzględnie najłabszy. Jakoż bandyta na przemian to bladł, to czerwieniał pod przenikliwym spojrzeniem urzędnika policji.

„Wstążeczka” uśmiechnął się jowialnie. Ten łysy, opasły mężczyzna umiał się uśmiechać z miną niewinnego dziecka.

— Co też panu, panie aspirancie Grot, przychodzi do głowy.

— My, policjanci, mamy czasem takie dziwne myśli.

Grot urwał i machnął ręką. Przez chwilę panowało milczenie. Aspirant wodził swym przenikliwym, poważnym wzrokiem od jednego do drugiego z obecnych.

Powoli i dobitnie sformułował krótkie pytanie.

— Czy wiecie, że piszą o was, że to wy sprzątnęliście mego ojca?

Zrazu nikt mu nie odpowiedział. Cisza panowała w dalszym ciągu.

„Sztajer” czuł, iż z dziką rozkoszą zadusiłby tego człowieka. „Rabin” poprawił się na krześle, podobny dziakiemu zwierzęciu szykującemu się do skoku. „Wstążeczka” tylko zachował swój ujmujący uśmiech.

(Dalszy ciąg jutro).

To był cios. Nie wiedzieli zrazu, co odpowiedzieć, nie wiedzieli, jak się zachować.

Grot począł się bawić widelcem i zdawał się wcale nie oczekiwać odpowiedzi. Tamci jednak zdawali sobie sprawę, że odpowiedź paść musi, że jakieś wyjaśnienie musi być dane.

Pierwszy odezwał się wreszcie „Wstążeczka”.

— Pisać i mówić mogą ludzie wszystko, ale to mało. Trzeba to udowodnić, trzeba dowieść, że to prawda.

— A czy pan w to wierzy, aspirancie Grot? — ozwał się z kolei „Rabin”.

„Sztajer” nie powiedział nic. Był słaby w słownej szermierce i obawiał się, by nie palnąć jakiegoś głupstwa.

W oczach Grota zabłysło coś, jakby isierki rozbawienia. Zagasły one natychmiast.

— Tak mówią — rzekł krótko.

— Jest pan zbyt mądrym człowiekiem, Grot, by wierzyć w takie oszczerstwa.

Syn zamordowanego pochylił się nad stołem.

— Ja wam wcale nie powiedziałem, że wierzę. Mówię tylko, że tak na mieście opowiadają, że niektóre pisma tak piszą. To naturalnie nie dowód, by to była prawda.

— Wiedziałem zaraz, że nie będziecie wierzyli tym potwornym plotkom.

— Ja też nie wierzę. Rozumiecie chyba, że nie mam ochoty ani siły, by brać jakikolwiek udział w śledztwie w sprawie tej ponurej zbrodni, koledzy zaś moi lubią wszystko wiedzieć i sprawdzić. Gdyby więc was o coś pytano, dobrze by było, by każdy z was miał już jakie „alibi”.

Było to powiedzenie bardzo chytre, którego celem było skompromitowanie „Wstążeczki” lub jego towarzyszy. „Rabin” jednakże wyprowadził z kłopotu zarówno siebie, jak i swych kompanów, odpowiadając spokojnie.

— Jak ktoś ma czyste sumienie, nie potrzebuje „już” mieć alibi. Wystarczy tylko, by sobie przypomniał, co istotnie czynił wtedy a wtedy.

Jerzy Grot popatrzał na niego bystro, jakby chciał przewiercić go wzrokiem, jednakże z „Rabinem” nie była taka łatwa sprawa, jak ze „Sztajerem” lub kimkolwiek innym.

„Rabin” spokojnie, lecz zuchwale wytrzymał spojrzenie wywiadowcy. Cekał cierpliwie odpowiedzi na to, co powiedział

— Bardzo słusznie! — przytwardził syn zabitego. — Dla człowieka, który ma czyste sumienie i uregulowane życie dowiedzenie swego alibi nie stanowi absolutnie żadnej trudności. Gdybym was podejrzewał faktycznie o jakikolwiek współudział w tej ohydnej zbrodni, nie siedziałbym wówczas z wami przy jednym stole.

„Sztajer”, który milczał dotąd ponuro, wmieszał się do rozmowy.

— Grot ma rację. Kto ma czyste sumienie, nie obawia się pytania o alibi.

— Ale alibi można sobie stworzyć — mówił aspirant Grot, ruszając głową. — To nie taka trudna rzecz — gdy się ma oddanych kompanów.

— Żaden oddany kompan nie powinien dla najlepszego nawet towarzysza ukrywać w ten sposób zbrodni — zawyrokował filozoficznie „Wstążeczka”.

Urzędnik policji sięgnął po papierosa.

— Wy, „Wstążeczka”, jesteście człowiek bywały i doświadczony. Każde wasze słowo to prawdziwa przyjemność. Wam to przynajmniej nie sprawiałoby żadnej trudności ustalenie swego alibi owej nocy, kiedy mój ojciec został przez partyjną „dintojrę” osądzony i skazany.

Powieki grubego herszta szajki zadrgały nagle.

— Alibi w sprawie waszego ojca? Śmieszna rzecz! Było się ze znajomymi i tu, i tam, jak to czasem bywa wieczorami. Piło się tu i tam, bo nikt z nas nie wylewał za kołnierz. To wszystko!

„Wstążeczka” przerwał na chwilę, sięgnął po wódkę, której nie miał już zamiaru więcej pić i wychylił nowe mikadko. Wraz z nim przyszedł mu pomysł nowego tricku niesłychanie zuchwałego i właśnie dlatego dobrego.

— Słuchaj Grot. To pytanie nie ma sensu. Jak ty sobie wyobrażasz? Czy gdybym chciał kogoś sprzątnąć, musiałbym dokonywać tego osobiście? Ja, którego niektóre pismaki nazywają warszawskim Al Capone? Przecież ja mam ludzi. Nie muszę sam tego robić, gdybym chciał. A alibi mam murowane.

To były słowa przechodzące wszystko swym zuchwalstwem, nie mniej była to prawda. Grot zwrócił się z kolei do „Rabina”.

— A wy? — zapytał, tonem grzecznym i uprzejmym, w którym jednak można się było dosłuchać pewnego nakazu.

„Rabin” lekko ruszył ramionami.

— Odpowiem pytaniem na pytanie. Grot, wy nas, zdaje się, przesłuchujecie?

— Ani mi się śni. Mówimy po prostu zupełnie przykładowo, ja zaś sam chcę się uspokoić, że to, o czym pisała część prasy, to kłamstwo wierutne.

— Niech i tak będzie. Mnie będzie trudno przedstawić alibi. Byłem owej nocy u kobiety. Nie wiem, czy zechce zjawić się w komisariacie lub sądzie, by potwierdzić moje słowa.

— Można by was po prostu nazwać dżentelmenem! — uśmiechnął się Grot.
— A teraz na was kolej, mój drogi „Sztajer”.

Olbrzymi bandyta przeciąg[n]ął się leniwo i spojrzał na mówiącego wzrokiem, w którym wyczytać można było największą nienawiść i wściekłość.

— Przez całą noc, o którą wam chodzi, mój Grot, piłem w Warszawie, łącząc od knajpy do knajpy. Ot taka noc, jakich wiele było w moim życiu.

(Dalszy ciąg jutro).

W knajpie Kosowera odbywa się „dintojra” nad jednym z członków bandy „Wstążeczki”, Grot (pseudonim „Kostropaty”), oskarżonym o wydanie tajemnicy o zaginionym generale. Jeden z bandytów, „Sztajer”, ciężko rani „Kostropatego”. Uczestnicy „dintojry” wywożą ranego, by go „wykończyć”. Przy tej okazji usuwają i szofera taksówki, który mógłby zdradzić bandytów. Syn zamordowanego, aspirant policji, Grot, spotyka się z mordercami ojca i próbuje ich wy badać.

— Piłeś, „Sztajerze”?

— Piłem. Każdy wie, że zalewam robaka.

— Może piłeś także u Joska?

— Na Gnojnjej?

— Nie, u rudego Joska...

— Piłem i tam.

— A w barze Kosowera? Czy nie piłeś tam również?

— Byłem i tam.

Grot z zadowoleniem poprawił się na krześle.

— Wiem o tym, że byłeś u Kosowera — przeciął krótko. — Mam nawet jeszcze inne dowody twojej tam bytności.

Aspirant policji, mówiąc te słowa, patrzył przy tym bandycie prosto w oczy. Urzędnik policji nie był podobny do swego ojca i rysy jego twarzy były znacznie

subtelniejsze, jednakże oczy miał te same, co ojciec. Oczy te przypomniały teraz „Sztajerowi” „Kostropatego” i wzdrygnął się.

— Dowody bytności? — ozwał się niezbyt pewnym tonem. — Jakież mogą tam być dowody mojej bytności, jeżeli nie było tam żadnej awantury?

Grot był ciągle tajemniczy.

— Mnie chyba, „Sztajer”, możesz powiedzieć prawdę. Chciałeś tam i to nie sam.

— To po co pytasz, skoro wiesz? — zapytał bandyta, którego już gniew zaczął ponosić na tę indagację.

— A może mógłbym się dowiedzieć, jakiego to pijanego mężczyznę pomagałeś wynosić od Kosowera do taksówki.

Po słowach tych zapanowało zupełne milczenie. Grot pokazał, co potrafi. A więc wiedział? Wiedział?

Sytuacja była poważna. Być może Grot wiedział sprawę tak, jak o niej mówił i wtedy nie było powodów do niepokoju, być może jednak aspirant policji wiedział wszystko bez żadnych obłonek. W tym drugim wypadku zarówno „Rabin”, jak i „Sztajer”, musieliby przyznać, że zostali „nakryci”.

Zawisli oczami na wargach Grota, jakby czekając, co powie.

Aspi[r]ant nie kwapił się jednak, by cokolwiek powiedzieć, by rozwiać wątpliwości, owe straszne wątpliwości obu mężczyzn. „Wstążeczka” bowiem, jako niezainteresowany bezpośrednio, nie przejął się tym tak bardzo.

Ostrzem noża zastukał Grot w talerzyk.

— Proszę płacić.

Sięgnął ręką do kieszeni, gdzie brzęczało srebro. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zabierał się do odejścia i chciał ich wydać na łup niepewności. Najgorsze było to, że ani „Rabin”, ani „Sztajer” nie mogli ani słowem wracać do tego tematu, by nie budzić zupełnie uzasadnionych już podejrzeń.

Przy stole powstała ciężka, męcząca atmosfera. Z wszystkich obecnych przy stoliku najlepiej może czuł się Jerzy Grot, chociaż wargi mu drżały niepohamowaną wściekłością na trzech zbirów.

Miał swoją metodę, którą postępował. Metodą tą było nabawić ich strachu, zasiać w ich duszy najgorsze wątpliwości i potem pozostawić ich na pastwę owych wątpliwości. Wiedział dobrze, że nie okażą flegmy i że nerwy ich pozostaną nadszarpnięte tą rozmową. Wiedział, że sieje ziarno, które wyda swe owoce. Wiedział, że niepewność zmusi zarówno „Rabina”, jak i „Sztajera” do takich czy innych posunięć, które ułatwią mu zdemaskowanie morderców ojca.

Grot bowiem nie mówił prawdy. Nie mówił prawdy, gdy ich zapewniał, że są u niego poza podejrzeniami, nie mówił prawdy, gdy oświadczył, że za żadną cenę nie prowadziłby dochodzeń w sprawie śmierci własnego ojca.

Sprawa miała się zupełnie inaczej. To sam Grot prosił swe władze przełożone, by pozwoliły mu pomścić śmierć „Kostropatego” i uzyskał pozwolenie brania udziału w akcji śledczej.

— Płacić! — powtórzył Grot.

Trzymał rękę opartą na stole i naraz uczuł, że ciężka ręka „Rabina” opiera się na jego dłoni i przygniata ją do marmurowego blatu.

— Poczekaj no, Grot. Nie tak szybko.

Aspirant policji obrócił twarz ku „Rabinowi”.

Twarcz bandyty była, jak zwykle, spokojna i tylko drgania dolnej szczęki znamięnowały zdenerwowanie.

Przenikliwe oczy „Rabina” starały się przewiercić Grota na wskroś.

Aspirant Grot nie zwalniał swej ręki spod nacisku ręki „Rabina” i wytrzymał jego groźny wzrok.

— Czego jeszcze chcecie ode mnie?

— Grot! Opowiadał pan tu rzeczy, które nam nie mogły być miłe. Robił pan jakieś aluzje, które były aż zbyt wyraźne. Ja tam nie lubię się patyczkować i chwytam byka za rogi, Grot! Gadaj po prostu: podejrzewasz nas?

— Podejrzewam cały świat. Kochałem ojca, choć nie słuchał rad moich i wdawał się z wami, i „spluwę” niepotrzebnie nosił. Gdy żył, mówiłem mu nieraz, że może się napytać nieszczęścia. Jakoż napytał się go. Nie ma ludzkiej siły, która by mnie odwiodła od zamiaru zemsty.

(Dalszy ciąg jutro).

„Rabin” uspokojony już nieco wydał wargi.

— Zemsta? To bardzo piękna rzecz. Nie bój się! Gdybym był w przeszłości księdzem, tak jak byłem rabinem, sam bym ci kazał o miłości bliźniego i odwodziłbym cię od tej myśli. Ale tak... palcem nie ruszę. Chodzi za to o co innego. Obraziłeś tu ludzi, którzy byli przyjaciółmi twego ojca.

— Obraziłem?

— Naturalnie. Czy to nam można tak bezkarnie zadawać głupie pytania, jak na śledztwie, robić docinki i przymówki, które każdego by obrażały? Chcielibyśmy, byś się nam z tego wytłumaczył.

Grot, chociaż nie było mu do śmiechu, roześmiał się bandycie prosto w twarz.

— „Rabin”, ty chyba od rzeczy mówisz. Ja mam się wam tłumaczyć? Ja, aspirant policji mam się tłumaczyć wam, bandzie najemnej, która przy każdej okazji gotowa byłaby sprzątnąć człowieka za umówioną zapłatę. Nie, nie będę się tłumaczył. Nie mam zamiaru. I powiem wam więcej, skoro ciągniecie mnie za język! Zamordowano mi ojca, może to wam pozwoli zrozumieć, że dla ujęcia sprawców mordu jestem gotowy na wszystko. Jestem gotów stosować przesłuchanie trzeciego stopnia, choć za stosowanie go wylewają na pysk z policji. Jestem gotów bić i katować, by wymusić prawdę, jestem gotów wsadzać ołówki między palce. Weźcie to sobie pod uwagę, jeżeli macie zamiar widywać się ze mną w tak przyjaznych jak dzisiaj okolicznościach.

Powiedziane to było tonem tak ostrym, bezwzględny i stanowczy, że „Wstążeczka”, „Sztajer” i „Rabin” umilkli i patrzyli osłupiali na młodą twarz aspiranta.

Tamten zdawał się być zadowolony z nauczki, jakiej im udzielił.

— Nie będziecie mnie chyba teraz zatrzymywać? — rzekł po uregulowaniu rachunku. — Do widzenia wam i pamiętajcie, że znajdę was chociażby pod ziemią, jeżeli będzie mi to w jakiegokolwiek sprawie potrzebne.

Wstał, skinął im lekko głową i odszedł od stolika.

Trzy pary oczu patrzyły za nim, a w każdej rysował się inny wyraz.

W oczach „Wstążeczki” było przede wszystkim zdziwienie i to zdziwienie, w którym była pewna dobroduszość. „Sztajer” patrzył za odchodzącym wzrokiem pełnym nieubłaganej złości. Jakże chętnie porachowałby wszystkie kości temu szczeniakowi, jak w duszy nazywał Grotą.

We wzroku „Rabina” dopiero była rozwaga i spryt. Człowiek ten umiał nie tylko mordować, lecz również umiał oceniać zimno sytuację i obmyślać plany strategiczne.

W każdym razie nie udało się. Mieli zamiar sterroryzować i nastraszyć aspiranta policji, tymczasem on nie tylko, że sam się nie nastraszył, ale nastraszył ich, obiecując im, że nie cofnie się nawet przed torturami, jeżeli tą drogą będzie mógł uzyskać potrzebne wiadomości.

— A to drań!

— Kto by przypuszczał, że posunie się do czegoś podobnego.

— Trzeba się nim zająć. On wie wiele i ani części nie powiedział.

— Cwany jest.

— Ale za mało cwany dla mnie — uśmiechnął się „Rabin”. — Już ja sobie z nim dam radę.

— Nie przeceniaj się, kochany „Rabinie” — uśmiechnął się „Wstążeczka”. — Nie trzeba zamykać oczu na rzeczywistość. Ty jesteś jeden i przy całych swoich zdolnościach, a po drugiej stronie jest cała policja, która z pewnością dołoży starań, by pomóc Grotowi. Walka będzie nierówna.

„Sztajer” jednak, który myślał dotąd, a którego myśl rozwijała się zwykle leniwo, pochylił się nad stołem.

— Czy zauważyliście? Ten drań mówił o tym, że byliśmy u Kosowera. Musiał mówić z tym wywiadowcą, który wtedy w knajpie myszkował.

„Rabin” popatrzał na swego druha i uderzył się w czoło.

— Prawda! Zapomniałem zupełnie. Więc tamten wywiadowca gada wszystko. Lekkomysłny chłopak! Poprzetrącają mu kości nasi ludzie, o ile my wcześniej nie załatwimy z nim tej sprawy.

— „Rabin”, ty chciałbyś?...

— Zostaw to mnie. Kto zaczął brnąć, musi brnąć dalej. Nie pozostaje nam nic innego. Pociesz się, „Wstążeczka”, co jak co, ale gdy dojdzie do rzeczy

poważnych, ja będę raz wisiał, bo jestem odważny, ty zaś będziesz siedział długie lata w kryminale, bo jesteś cały podszyty tchórzem. Nie wiem, co lepsze?

„Wstążeczka”, który bał się zawsze panicznie każdej „mokrej roboty”, uśmiechnął się kwaśno, „Rabin” zaś dał hasło do rozejścia się.

Pożegnali się z „Wstążeczką” i „Rabin” poszedł razem ze „Sztajerem”.

Nie poszli próżnować.

Tej samej jeszcze nocy na krótko przed świtaniem na ulicy Parysowskiej zastrzelony został zza węgła młody wywiadowca policji.

Był to młody urzędnik, którego zachowanie było nieposzlakowane i wzorowe. Energiczne śledztwo w sprawie zabicia młodego wywiadowcy nie dało żadnych rezultatów.

Była to nowa porażka policji, ale poradzono sobie, by ją pokryć. Zabity wywiadowca brał kilkakrotnie udział w większych likwidacjach organizacji komunistycznych, dlatego też nietrudno było uznać jego śmierci jako aktu zemsty za działalność wywiadowczą na tym polu.

JULIAN STARSKI.

DAMA W CZARNYM DOMINIE

ZAGADKA
PSYCHOLOGICZNO-KRYMINALNA

1

KAROL WINDHAM.

Przed oświetlonym a giorno wejściem sali „Filharmonji“ zatrzymała się taksówka, z której wysiedli dwaj młodzi panowie. Z trudem przecisnęli się przez gromady gapiów, obserwujących z zaciekawieniem napływające tłumy gości maskaradowych i skierowali się w stronę szatni.

— Takiego powodzenia nie miała, tdafe się, żadna maskarada w tym karnawale — rzekł jeden z młodzieńców, wskazując oczami na natłoczone publicznością schody...

Drugi nic nie odpowiedział, przytakawszy tylko słowom swego towarzysza ledwo dostrzegalnym poruszeniem powiek. Po oddaniu garderoby nie poszli na górę, gdzie zabawa wrzała już w pełni, lecz stanęli nieopodal schodów — tuż przy ścianie.

Poznać było po nich odrazu, że na kogoś czekają. Zapalili papierosy i, zamieniając z sobą od czasu do czasu parę krótkich, urwanych zdań, wodzili oczami po poruszającej się w nieładzie masie udzkiej.

— Wszystkie panie w maskach... — szepną Ryszard Ekman do swego przyjaciela Karola Windhama.

— Mhm... Zapowiada się wogóle ciekawie...

— Po czym tak sądzisz?

Windham wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Ekman uśmiechnął się pod nosem.

Dwaj panowie stali jeszcze w miejscu sporo czasu, wreszcie Ryszard rzekł, spoglądając na zegarek.

— Nie doczekamy się Inki. Dochodzi już druga, a umówiliśmy się na pierwszą...

Windham trzasnął nerwowo palcami, przez chwilę stał w miejscu, jakby się nad czymś zastanawiał, poczem odparł suchą:

— Pójdziemy na górę... Z kobietami zawsze ta sama historia...

Podążyli wolnym krokiem naprzód.

— A może — odezwał się Ekman — dziewczęta zrobiły nam niespodziankę i ubrały się inaczej, aniżeli zapowiadały?

— Nie... Byłem przed południem u Inki i widziałem jej różowy kostjum.

— Mogła to zrobić dla zmylenia śladów...

— Być może, chociaż wątpliwe...

— Jestem pewny, że tak się stało. Podejrzewam, iż dlatego wynalazła pretekst, by przyjść bez ciebie na mas-

Dama w czarnym dominie

Zagadka
psychologiczno-
-kryminalna

Julian [Ludwik] Starski



1927

Autor *Damy w czarnym dominie* Julian Starski (właściwe nazwisko Kałuszyner, później Ludwik Starski) należy raczej do historii polskiej kinematografii niż literatury. W wieku 19 lat rozpoczął pracę w łódzkim koncernie prasowym Republika, wydającym do 1923 roku „Express Wieczorny Ilustrowany”, na którego łamach ukazało się przynajmniej dwanaście powieści jego autorstwa. Pisał teksty piosenek dla kabaretów Qui Pro Quo, Gong, Morskie Oko, Perskie Oko oraz skecze i wierszyki satyryczne. Do 1939 roku stworzył kilkanaście scenariuszy filmowych, a po II wojnie światowej stał się jedną z ważniejszych postaci rodzimej kinematografii. Zastąpił jako pomysłodawca i scenarzysta pierwszego powojennego filmu *Zakazane piosenki*, autor scenariuszy filmów takich jak *Skarb*, *Przygoda na Mariensztacie*, *Hallo Szpicbródka*, czyli *ostatni występ króla kasiarzy*. Był ojcem scenografa, laureata Oscara, Allana Starskiego. Jego powieści nigdy dotąd nie doczekały się wznowień ani bardziej szczegółowych komentarzy, trzeba też przyznać, że nie wyróżniały się ani poziomem literackim, ani fabularnym od innych wydawanych w odcinkach w prasie powieści. Wobec późniejszej kariery autora można je traktować jako twórczą wprawkę czy też po prostu — młodzieńcze źródło utrzymania.

Powieść publikowano na łamach „Expressu Wieczornego Ilustrowanego” od 20 stycznia 1927 r. (nr 20, czwartek) do 9 marca 1927 r. (nr 68, środa) w odcinkach. Konstrukcja tytułu *Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno-kryminalna* sugeruje treści proponowane w tekście. Dziś, stosując ukonstytuowaną klasyfikację genologiczną nazwalibyśmy *Damę...* powieścią kryminalną w odmianie sensacyjno-awanturniczej. Widoczne są tu również nawiązania do powieści tajemnic, a za sprawą głównej tajemnicy fabularnej, nad powieścią unosi się duch modernistyczny. Powieść, zgodnie z cechami programowymi, dąży do iluzji werystycznej. Opisy trybu życia, nazwiska, elementy topografii miasta nieustannie odsyłają do rzeczywistości pozatekstowej Łodzi lat 30. XX wieku, stanowiąc jej wielobarwny portret obyczajowy. Bohaterowie czytują „Express Wieczorny Ilustrowany”, przesiadują w popularnych cukierniach, kawiarniach, bywają na dancingach w modnych wówczas lokalach, a pościgi samochodowe pędzą od Piotrkowskiej do willowej Rudy Pabianickiej. Pośrednio (w opowieściach bohaterów czy salonowych dykteryjkach) i bezpośrednio pojawiają się też osoby, które czytelnik zapewne rozpoznaje.

Tytułowe domino to strój maskaradowy, płaszcz z kapturem, często wraz z falbaną i maską, zasłaniającą część twarzy, w którym na najmodniejszych balach w mieście pojawia się (i zniką) piękna kobieta. Zakochują się w niej łódzcy kawalerowie: synowie fabrykantów, dziedzice wielkich fortun, ulega jej nawet komisarz, który miał rozwikłać zagadkę tajemniczej amantki. Kobieta ma tajemnicę — męża, który ją śledzi i próbuje pozbawić życia. Tymczasem niektórzy zeznają, że widzieli nie kobietę, a rośłego mężczyznę w dominie... Nie chcemy zdradzać rozwiązania głównej zagadki i zakończenia intrygi, by nie odebrać przyjemności lektury tej bodaj najbardziej szalonej i nieprzewidywalnej fabularnie powieści Starskiego — to właśnie satysfakcja czytelnicza była dla nas argumentem za wyborem tego właśnie tekstu do antologii.

Malwina Wadas

Julian [Ludwik] Starski, *Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno-kryminalna*. „Express Wieczorny Ilustrowany” 20 stycznia—9 marca 1927 (nr 20—68).

Przed oświetlonym *a giorno* wejściem sali filharmonii zatrzymała się taksówka, z której wysiedli dwaj młodzi panowie. Z trudem przecisnęli się przez gromady gapiów, obserwujących z zaciekawieniem napływające tłumy gości maskaradowych i skierowali się w stronę szatni.

— Takiego powodzenia nie miała, zdaje się, żadna maskarada w tym karnawale — rzekł jeden z młodzieńców, wskazując oczami na natłoczone publicznością schody.

Drugi nic nie odpowiedział, przytaknąwszy tylko słowom swego towarzysza ledwo dostrzegalnym poruszeniem powiek. Po oddaniu garderoby nie poszli na górę, gdzie zabawa wrzała już w pełni, lecz stanęli nieopodal schodów — tuż przy ścianie.

Znać było po nich od razu, że na kogoś czekają. Zapalili papierosy i zamieniając z sobą od czasu do czasu parę krótkich, urywanych zdań, wodzili oczami po poruszającej się w nieładzie masie ludzkiej.

— Wszystkie panie w maskach... — szepnął Ryszard Ekman do swego przyjaciela Karola Windhama.

— Mhm... Zapowiada się w ogóle ciekawie...

— Po czym tak sądzisz?

Windham wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Ekman uśmiechnął się pod nosem.

Dwaj panowie stali jeszcze w miejscu sporo czasu, wreszcie Ryszard rzekł, spoglądając na zegarek:

— Nie doczekamy się Inki. Dochodzi już druga, a umówiliśmy się na pierwszą...

Windham trzasnął nerwowo palcami, przez chwilę stał w miejscu, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym odparł sucho:

— Pójdziemy na górę... Z kobietami zawsze taka historia...

— A może — odezwał się Ekman — dziewczęta zrobiły nam niespodziankę i ubrały się inaczej, niżeli zapowiadały?

— Nie... Byłem przed południem u Inki i widziałem jej różowy kostium.

— Mogła to zrobić dla zmylenia śladów...

— Być może, chociaż wątpię...

— Jestem pewny, że tak się stało. Podejrzewam, iż dlatego wynalazła pretekst, by przyjść bez ciebie na maskaradę. Chce cię po prostu zaintrygować...

— Mówiła mi — odrzekł Windham — że woli przyjść z Bronką, bo gdyby była od razu w moim towarzystwie wszyscy domyśliliby się w lot, kto kryje się pod maską... Umówiliśmy się, że będę tu na nią czekał, nie podejść jednak do niej, by nie wzbudzić niczych podejrzeń... Dopiero po upływie pewnego czasu miałem do niej podejść na sali jak do zwykłej maseczki...

— Wyprowadziła cię po prostu w pole! — zaśmiał się Ekman, klepiąc swego przyjaciela po ramieniu. — Różowy kostium Inki i błękitny Bronki to bujda, bujda... Daliśmy się nabrać, nie ma co... Nasze panienki bawią się w jak najlepsze na górze, a my tu czekaliśmy przez godzinę zupełnie niepotrzebnie.

Windham był zupełnie zdehumorowany i mruknął coś pod nosem. Nagle usłyszał poza sobą charakterystyczny szelest jedwabiu. Odwrócił się szybko i szturchnął lekko Ryszarda łokciem.

— Patrz...

Lekkim, drobnym krokiem zbliżała się w ich stronę kobieca sylwetka, ubrana w czarne, jedwabne domino. Na głowie nosiła coś w rodzaju kaptura, łączącego się na karku z dominem, które dotykało niemal podłogi. Cała twarz zasłonięta była dużą, czarną maską, obszytą dokoła misternymi koronkami.

Ekman szepnął niedowierzająco:

— Inka?

— Zdaje się... — odparł Karol, obserwując bacznie nadchodzącą niewiastę.

Przesunęła się pospiesznie obok młodzieńców, nie obdarzywszy ich nawet przelotnym spojrzeniem. Po chwili zniknęła za drzwiami prowadzącymi na główną salę.

— Jeżeli to Inka, to gdzie jest Bronka? — zauważył Ryszard.

— A bo ja wiem... — mruknął Windham, podążając szybkimi krokami naprzód.

Po chwili znaleźli się na sali. Duszne powietrze, przesiąknięte mieszaniną najróżniejszych woni, uderzyło ich w nozdrza. Pod sufitem unosiły się gęste chmury dymu papierosowego. Skłębione pary danserów poruszały się z trudem po wyfroterowanej posadzce pod takt wrzaskliwego charlestona.

— Gdzie jest nasz stolik? — zapytał Windham.

— W lewej łóży...

Z ledwością posuwali się naprzód wzdłuż sznura krzeseł poustawianych pod ścianami.

— Duszno, duszno...

Odetchnęli swobodniej, gdy zajęli miejsca przy zarezerwowanym stoliku.

— Takiego przepełnienia jeszcze nie było — mruknął Windham, przyglądając się ciekawie tańczącym masom. Wzrokiem przebiegał po całej sali, szukając kogoś uparcie.

— Różowego kostiumu Inki nie widzę — rzekł po chwili — ale Czarne Domino tańczy z jakimś blondynem... To jest na pewno ona... Wzrost ten sam... Ruchy też jakby jej... Ale diabli wiedzą — zakończył, zapalając nowego papierosa.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, aż nagle Ekman odezwał się przytłumionym głosem:

— Idzie w naszą stronę...

— Kto?...

— Ta Inka, czy kto inny... No, to Czarne Domino...

(2)

Windham wytężył wzrok. Dama w czerni przesunęła się tuż za jego krzesłem. Przez ten czas zdążył spojrzeć w oczne otwory maski.

Spotkał się ze śmiałym, niemal wyzywającym spojrzeniem czarnych oczu. Trwało to przez ułamek sekundy. Kobieta w dominie zajęła sąsiedni stolik, przy którym usiadł również ów blondyn.

— To nie jest Inka — rzekł Karol do Ekmana — poznałem po oczach.

— Mnie też wydawało się to nieco dziwne, by zdecydowała się przyjść sama na maskaradę... Ale, ale, spójrz no na tę czarnulę, jak nas kokietuje...

Windham obejrzał się poza siebie.

— Rzeczywiście... — zaśmiał się cicho — jakaś tajemnicza bestyjka...

— Może znajoma?

— Być może... Poproszę ją do tańca...

Wstał i podszedł do sąsiedniego stolika. Blondyn spojrzał nań niespokojnie i poruszył bezdźwięcznie wargami. Widać po nim było, że nie czuł się bynajmniej zadowolony z zaproszenia, jakie otrzymała jego towarzyszka. Długo wodził oczami za oddalającą się odeń damą w czerni, wreszcie, nie mogąc opanować ogarniającej go desperacji, zawołał do kelnera:

— Panie starszy! Karafka czystej i zakąski!

Tymczasem Windham wyprowadził damę z łoży i objawszy jej kibić, zmieszał się z tłumem tańczących. Odurzył go jakiś specyficzny zapach bijący od danserki. Woń, którą trudno określić. Tak pachną tylko zmysłowe, pożądliwe brunetki.

Tańczyli tango, nie zamieniwszy przez dłuższy czas ze sobą ani jednego słowa. Karol czuł, jak jakaś nieokreślona moc bierze go w swe posiadanie. Końcami palców dotykał czarnej materii, pod którą wyczuwał jędrne, pulsujące gorącą krwią ciało.

Na piersiach czuł ciężar. Ta tancerka, nie krępując się żadnymi względami, oparła się, ułożyła w jego ramionach. Sama ograniczała się tylko do robienia *pas* tanecznych.

— Co za licho? — myślał Windham, spoglądając w oczne otwory gęstej maski.

Nie spuszczała zeń oczu, nie drgnęła nawet powiekami. Młodzieniec uznał za odpowiednie wszcząć banalną rozmowę, jaką prowadzą ze sobą zawsze tańczące pary.

— Świetnie pani tańczy...

Nie od razu odpowiedziała. Wyczuł, że uśmiechnęła się pod maską.

— Wiem o tym... — miała niski głos, za którym szaleją mężczyźni, uważając, iż jest on oznaką nieprzeciętnego temperamentu kobiecego. Rozmowa urwała się i, mimo iż Karol czynił próby ponownego jej zadzierzgnięcia, nie dawała się jakoś sklecić. Dama odpowiadała nader niechętnie, co zniechęciło młodzieńca do czynienia dalszych prób w tym kierunku.

Zamilkł ostatni takt rozlegnego tanga. Danserzy odprowadzali swoje damy na miejsce. Towarzyszka Windhama nie zdradzała jednak chęci powrotu do łoża.

— Czekaj pan, chwileczkę... Wyjdziemy z sali...

Znaleźli się po chwili na schodach.

— Nie chcę wrócić, bo mnie ten Zbyszek nudzi...

— Kto?

— Ten blondyn, z którym siedziałam przy stoliku. Prześladowuje mnie od kilku tygodni... Nie mogę po prostu pokazać się na maskaradzie...

Karol wsłuchiwał się z lubością w jej niski altowy głos. Mówiła śpiewnym akcentem lwowskim.

— Więc cóż zamierza pani uczynić?

— Sama nie wiem... Czekam na pańską propozycję.

Fala gorąca spłynęła mu z karku do nóg. Przeczuwał... Ujął ją za rękę otuloną w czarną, długą, jedwabną rękawiczkę.

— To może...

Przerwała mu, parsknąwszy szerokim śmiechem.

— Do pańskiej garsoniery, co?...

— Nie — odrzekł mocno urażony. — Chciałem pani zaproponować „Teatralną”...

— Niech się pan nie obraża — rzekła — ale sądziłam, że jest pan taki sam, jak wszyscy mężczyźni, którzy w takich sytuacjach nie zdobędą się nigdy na coś oryginalniejszego ponad zaproponowanie... kawalerki...

— Niechże więc panią pocieszy to, że jestem inny niż dotychczasowi pani znajomi...

W głosie jego dzwięczała nuta ironii... Udawała, że nie zauważyła tego.

— Możemy zejść do „Teatralnej”...

— Gabinet?

— Niech będzie...

— Pani chwileczkę zaczeka, zawiadomię tylko mego przyjaciela...

— Nie, nie... Po co? Zrozumie, że pan wyszedł gdzieś ze mną... Na łódzkich maskaradach jest to przecie przyjęte...

— Dobrze — odparł po krótkim namyśle Karol, a w duchu pomyślał:

— Jakaś dziwna kobieta...

Przeczuwał jakąś romantyczną przygodę...

Po którymś tam kieliszku wybornego koniaku, kiedy Karol poczuł pod czaszką ów błogi szum, ujął swoją towarzyszkę za rękę i rzekł:

— A teraz moja mała będzie łaskawa zdjąć maskę...

Mówiąc to, uczynił ruch ręką w kierunku jej twarzy. Odrzuciła lekko jego dłoń i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Nie, niee... nie można...

— Dlaczego?

Obejrzała się trwożliwie dokoła, po czym zaczęła szeptać pospiesznie, przysunawszy blisko twarz do jego twarzy.

— Widzisz, mój drogi, nie mogę, nie wolno mi...

Zaśmiał się na cały głos:

— Nie graj, proszę ciebie, roli jakiejś tajemniczej istoty... Przyznaję — zaintrygowałaś mnie bardzo, ale uważam, że ta maskarada powinna się wreszcie skończyć...

— Daj spokój — prosiła — czy ci nie wszystko jedno? Jeżeli masz jakieś wątpliwości co do mojej urody...

— Nie, nie — przerwał żywo — nie o to mi idzie... Ot, prosta ciekawość... I zresztą, po co to wszystko... Dość już tej tajemniczości...

Znowu próbował uczynić ruch ręką, ale go zatrzymała:

— Przestań, przestań... Nie wolno mi tego zrobić, w żaden sposób nie wolno...

— Dlaczego?

— Bo widzisz... jestem mężatką... Mam męża... zazdrośnego do szaleństwa, który jeśli się dowie...

Mówiła cicho, wolno, głosem z lekka drżącym, wpatrując mu się uporczywie w oczy... Ręce splecione na jego karku drżały z podniecenia... Przycisnęła ją sobie, jak mógł najbliżej...

— Nie dowie się, nie dowie... Skądże mógłby się dowiedzieć...

Potrząsnęła przecząco głową.

— Ty go nie znasz... Nie wiesz, co to za człowiek... Nie cofnie się przed niczym... Nie proś mnie więcej, bo tego uczynić nie mogę... Zrób ze mną wszystko, co chcesz, ale pozwól mi zachować *incognito*...

Mówiła tak szczerze, iż przestał już wątpić w prawdziwość jej słów.

Nie pozwoliła mu się nad niczym zastanawiać. Zanurzyła palce w jego bujnej czuprynie i przycisnęła ku sobie. Uległ całkowicie jej tajemniczemu czarowi i agresywnej kobiecości.

Pozwolił jej ze sobą czynić wszystko, co chciała... Widział nad sobą jej czarne oczy, wyzierające spoza maski i rozchylone czerwone usta.

Jakaś mgła przesłoniła mu oczy... Uniósł się raptownie i chwycił ją w objęcia... Głuchy jęk rozkoszy wydobył się z jej piersi... Miał wrażenie, że omdlewa mu w ramionach...

Ułożył ją delikatnie na kanapce i oparł głowę na jej młodych piersiach...

Po upływie kilkunastu minut w gabinecie było zupełnie ciemno... Panowała tu niezmacona niczym cisza... Mijały szybko godziny...

Główna sala pustoszała powoli... Do kelnera, który stał pod ścianą tuż obok drzwi gabinetowych, zbliżył się wysoki mężczyzna w czarnych, rogowych okularach. Był to Ryszard Ekman. Ujrawszy go, kelner pochylił z szacunkiem głowę.

— Moje uszanowanie dla pana...

— Dobry wieczór... Czy nie widział pan tu czasem pana Windhama?

— Pana Windhama? Zaraz, zaraz... Był z taką panią w czarnym płaszczu?...

— Tak... tak...

— Aha, już wiem... Powinien być w jakimś gabinecie...

— W którym?

— Nie wiem, ale zapytam kelnera, który mu usługiwał...

Zapytał pikolaka.

— Poproś tu pana Edwarda...

Chłopiec pobiegł w stronę bufetu, skąd wrócił po chwili z kelnerem.

— Pan Windham? W drugim gabinecie...

Ryszard podszedł do drzwi i zapukał delikatnie. Nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę. W gabinecie było ciemno.

— Karol? — zawołał Ekman, nie chcąc od razu zapalić światła.

Cisza...

— Karol!

Namacał na ścianie kontakt i zapalił światło. Ujrzał swego przyjaciela leżącego na kanapie.

Nikogo więcej w gabinecie nie było.

(4)

Tknięty złym przeczuciem młodzieniec skoczył ku kanapce. Za nim kelnerzy. Dostrzegłszy wąskie pasmo krwi na czole leżącego, Ryszard zbłądł raptownie i zwrócił się, drżąc na całym ciele, do kelnerów:

— Panowie... Prędej... Policja... Pogotowie... Tu zamordowano człowieka...

Z ledwością mógł się utrzymać na nogach. Jeden z kelnerów jak szalony wybiegł z gabinetu i dopadł telefonu. Ekman, nachyliwszy się nad przyjacielem, dotknął ręką pulsu. Bił słabo.

— Żyje — odetchnął z ulgą...

Tymczasem ponura wiadomość rozniosła się już po całym lokalu. Przed zamkniętymi drzwiami gabinetu poczęli się gromadzić przerażeni goście, a nie mogąc dostać się do wnętrza, zatrzymali wracającego od telefonu kelnera, którego zasypali nerwowymi pytaniami.

— Kogo, kogo? Kto?

— Ach, ta Czarna Dama?...

— A kim jest zamordowany?

Kelner starał się wydostać z tej opresji, zasłaniając się nieświadomością.

— Nie wiem... Sam nie wiem... Zaraz przyjdzie policja...

Po kilku minutach zjawił się na sali komisarz urzędu śledczego, Piasecki, w towarzystwie dwóch agentów. Widząc zbitych w kupę gości, ruszył w ich stronę. Wszedł do gabinetu, w którym zastał Ekmana i kelnera.

— Żyje... — rzekł Ekman, witając się z oficerem — ale nieprzytomny... Staram się go ocucić, ale nie idzie...

— Lekarz już był? — zapytał Piasecki.

— Nie jeszcze, ale już zawezwany...

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i na progu stanął starszy mężczyzna. Bez słowa podszedł do kanapki i zajął się ratunkiem.

— Stan poważny, ale nie beznadziejny... Kula utkwiała w czaszce, ale jej nie przebiła... Natychmiastowa operacja nieodzowna...

Wydał sanitariuszom krótkie dyspozycje. Przynieśli nosze, na które ułożyli chorego. Po chwili samochód pogotowia ruszył sprzed „Teatralnej” całą siłą benzyny.

W gabinecie pozostał komisarz, Ekman i dwaj kelnerzy.

— Czy nikt, prócz panów, nie wchodził po skonstatowaniu wypadku do gabinetu? — zapytał Piasecki.

— Nie...

— A z kim przebywał pański przyjaciel w gabinecie?

— Z jakąś nieznaną mu, o ile mi się zdaje, kobietą...

— Więc nie wie pan na pewno, czy to była jego znajoma, czy też nie?...

— Nie wiem. Zetknęliśmy się z nią na maskaradzie. Windham zaprosił ją do tańca, a potem zniknął mi z oczu... Nie przejmowałem się tym, gdyż domyślałem się, że zeszedł z nią do „Teatralnej”... Przypuszczam, iż była to jego jakaś znajoma...

Komisarz rozejrzał się bacznie dokoła, po czym przeszedł się kilkakrotnie po gabinecie. Dwaj wywiadowcy węszyli coś po kątach, odsuwali stoły, kanapki i oglądali dokładnie każdy najdrobniejszy przedmiot.

— To chyba jakaś romantyczna historia — wyraził przypuszczenie komisarz.

— I ja mam takie wrażenie — zgodził się Ekman. — Windham ma wielkie powodzenie u kobiet. Być może, że to jakaś zemsta za zawiedzioną miłość...

Piasecki przesłuchiwał jeszcze kelnerów i pikolaka. Na zasadzie tych zeznań mógł tylko stwierdzić, że Windham był w gabinecie z jakąś kobietą w czarnym dominie, że kobieta nosiła przez cały czas rękawiczki i piła bardzo dużo, więcej aniżeli jej towarzysz.

Tę ostatnią okoliczność stwierdził pikolak, który o późnej godzinie usługiwał w gabinecie i dwa razy wnosił tam po karafce wódki. Wódkę zamawiała niewiasta i, jak przypuszczał, ona ją tylko piła, gdyż Windham spał już wtedy na kanapie.

Zgoła nieoczekiwane zeznania złożył portier restauracyjny w chwili, gdy komisarz opuszczał już lokal. Widząc Piaseckiego, uklonił się uniesieniem i rzekł, miesząc się bardzo pod przenikliwym spojrzeniem policjanta:

— Bo ja, panie komisarzu... wiem coś... i chciałbym... jeżeli pan komisarz pozwoli...

— Co wiecie?

— Ja widziałem tę niby Czarną Damę, jak wychodziła z restauracji...

— Więc coś z tego? Nie tylko wyście ją widzieli...

Portier stropił się bardzo.

— Ale kiedy, proszę pana komisarza, ja widziałem to, czego nikt na pewno nie widział...

— A co takiego?

— Jak ta niby dama wychodziła, to ja tutaj stałem, bo mi za to płacą... A ona szybko, buch we drzwi... Potknęła się o chodnik i maska na chwilę spadła... Patrząc, a to mężczyzna. Nie bardzo się tym zdziwiłem, bo się na maskaradach często zdarza, że mężczyźni przebierają się za kobiety i na odwrót... Ale że tu mówią: „Kobieta strzelała w gabinecie”, więc chciałem panu komisarzowi opowiedzieć, co widziałem...

Piasecki spojrzał ze zdziwieniem na Ekmana, który wzruszył ramionami, chcąc widocznie w ten sposób zaznaczyć, że nic już teraz nie rozumie.

— A może wam się przywidziało? — zwrócił się komisarz do portiera.

Ten zaprzeczył żywo:

— To niemożliwe: widziałem dokładnie zarost, a zresztą od razu się przecie widzi z twarzy, czy to kobieta czy mężczyzna...

— Tak... — mruknął do siebie Piasecki i zamyślił się nad czymś głęboko.

— A czy nie widzieliście poza tym nikogo więcej w ten sposób ubranego, kto by wychodził z restauracji?

— Nie...

W rozmowę wtrącił się Ekman:

— Zaraz, zaraz... A czy nie zauważyliście rękawiczek?

— Tak, tak... Długie, czarne rękawiczki...

(5)

Komisarz wydał polecenie agentom:

— Przesłuchać służbę restauracyjną i z maskarady. Jeżeli będziecie mieli panowie coś nowego — telefonować do urzędu.

Podał rękę Ekmanowi.

— Do widzenia... Wezwę pana zapewne jutro do siebie...

— Wychodzę także... Odprowadzę komisarza...

— Proszę bardzo...

Wyszli na ulicę. Szli przez dłuższy czas w milczeniu.

— Hm... — odezwał się po chwili komisarz. — Sprawa nie jest taka prosta, jak mi się od razu wydawało... W tym tkwi jakaś zagadka...

— Jeżeli idzie o osobę przestępcy...

— To przede wszystkim. Z zeznań pańskich i kelnerów wynika, że owym Czarnym Dominem była kobieta, portier zaś twierdzi, że mężczyzna...

— Teraz zaczynam i ja wątpić, czy to była kobieta. Kibić co prawda kobieca, ale cóż można wiedzieć. Małoż to jest mężczyzn, którzy przebrani odpowiednio i ucharakteryzowani, z powodzeniem uchodzą za niewiasty?

— A głos?

— Słabo słyszałem, choć siedziała z jakimś bubkiem przy sąsiednim stoliku... Zdaje mi się jednak, że kobiecy.

— Ciekawa historia... Istnieją dwie możliwości: pod czarnym dominem krył się mężczyzna, który dla zmylenia śladów ucharakteryzował się na kobietę, albo też wchodzi tu w grę dwie osoby — mężczyzna i kobieta.

— Nie rozumiem.

— To znaczy, że Windham miał początkowo do czynienia z kobietą, którą zaprosił do tańca, a potem do gabinetu. Ów mężczyzna mógł tam przyjść dopiero później i dokonać zamachu na życie pańskiego przyjaciela. Strzału na pewno w ogólnej sali nie słyszano. Przygłuszyła go orkiestra i ogólny rozgwar. Przestępca mógł być jednak o tyle ostrożny, że zabrał owej niewieście domino, włożył je na siebie i wyszedł z gabinetu...

— Pan komisarz mówi: „zabrał” — w przypuszczeniu, że owa kobieta nie była w zмовie z przestępcą...

— Oczywiście, choć i ten drugi wypadek jest również prawdopodobny. Bardziej nawet aniżeli pierwszy, na co wskazuje już choćby sam fakt zniknięcia towarzyszki Windhama.

— Naturalnie...

— Nie chcę zresztą przesądzać sprawy aż do czasu przesłuchania Windhama... Sądzę, że za kilka dni będzie już można odeń coś wydostać...

Poszli przez ulicę Prezydenta Narutowicza i skręcili w Piotrkowską.

Wstawał szary, zimowy świt. Powoli gasły lampy elektryczne, a ulice mimo niedzieli poczęły się zaludniać. Nie widać było co prawda owych charakterystycznych dla Łodzi postaci robotników spieszących do fabryk. Przeważnie goście opuszczający lokale rozrywkowe wolnym, ociężałym krokiem wracali do domu, po nocy spędzonej w dusznej, zadymionej sali... Przygasłe spojrzenia, pośółkłe twarze, chwiejne, niepewne ruchy.

Ekman, mówiąc coś do komisarza, zderzył się piersią w pierś z jakimś osobnikiem.

— Do diabła! — zaklął. — Nie widzisz pan drogi?

— Przepraszam... Bardzo, bardzo przepraszam...

Ryszard, mruknąwszy jeszcze coś pod nosem, chciał już odejść, gdy nagle przypomniał sobie, że twarz tego osobnika jest mu dziwnie znajoma. Aha, przecie to ten blondyn, który siedział w łóżu w towarzystwie Domina. Nachylił się w stronę komisarza i szepnął mu kilka słów na ucho.

Piasecki zmarszczył brwi, przyglądając się bacznie szczupłemu młodzieńcowi, który był najwidoczniej pijany, gdyż uśmiechał się głupkowato i z trudem utrzymywał się na nogach.

— Pozwoli pan z nami do aresztu śledczego.

— Niby ja?

— Tak.

— A niby po co?

— To się później okaże...

Komisarz zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Wsiadamy...

Blondyn był bardzo całym zajęciem speszony... Ociągał się z każdym krokiem i nie przestawał pytać:

— Do urzędu? Mnie? Dlaczego właściwie, panie komisarzu?

Piasecki musiał go niemal siłą wtłoczyć do samochodu, który natychmiast ruszył z miejsca.

(6)

Po upływie kilkunastu minut w gabinecie komisarza Piaseckiego odbywało się przesłuchanie przytrzymanego na ulicy jegomościa. Wytrzeźwiał już zupełnie pod wpływem wrażenia, jakie na nim uczyniło to niespodziewane „aresztowanie”.

Drżał na całym ciele, spoglądając przerażonymi oczyma na komisarza, który, siedząc za biurkiem, czynił na skrawku papieru jakieś notatki.

— Pańskie nazwisko?

— Zbigniew Zawłocki...

— Zamieszkały?

— W Łodzi, panie komisarzu. Pracuję w biurze elektrotechnicznym „Lux”, gdzie jestem kierownikiem działu instalacyjnego. Mogą tam panu komisarzowi wydać o mnie referencje. Nie wiem co prawda, o co chodzi, ale...

Piasecki uśmiechnął się ironicznie, co zupełnie zbiło z tropu gadatliwego młodzieńca. Spojrzał błagalnym wzrokiem na Ekmana, który usadowił się opodal.

— Czy pan siedział w towarzystwie tej pani w czarnym dominie na wczorajszej maskaradzie? — indagował komisarz.

— Tak... Ja...

— Czy wiadomo panu, co zaszło potem w gabinecie „Teatralnej”?

— Nie... Nic nie wiem...

— A skąd pan zna tę panią? Kim ona jest?

— Znam ją od nocy sylwestrowej, nie wiem, kim jest i jak się nazywa...

— W jakich okolicznościach nastąpiło poznanie?

— Jak zwykle, na maskaradzie. Zwróciłem na nią uwagę ze względu na jej ekstrawagancki strój. Biła od niej jakaś demoniczna tajemniczość, coś takiego, co nas, mężczyzn, wprawia w stan podniecenia i gorączki. Zaprosiłem damę do tańca i przetańczyłem z nią całą noc... Była to noc, której nigdy nie zapomnę...

— A, to doskonale, że pan tak pamięta — przerwał z uśmiechem Piasecki — dowiemy się szczegółów.

Zawłocki skrzywił się jak dziecko, któremu wyrządzają krzywdę. Począł mówić tonem płaczliwym:

— Ależ, panie komisarzu, niech pan mnie zrozumie... Jestem dżentelmenem... Nie mogę przecie tak brutalnie, tak podle postępować względem kobiety, tym bardziej, że...

Zatrzymał się nagle w obawie, że zbyt dużo już powiedział.

— Że co? — podchwycił policjant. — Proszę mówić...

— Nie mogę, nie mogę... — wybuchnął młodzieniec. — Nie wiem, czego pan w ogóle ode mnie żąda, dlaczego pan mnie aresztował...

Piasecki spojrzał nań chłodnym, przenikliwym wzrokiem i odparł, skandując z wolna każdą sylabę:

— Proszę zeznawać dalej... Sprawa bardzo poważna...

Stanowczy ton przedstawiciela władzy odniósł pożądany skutek. Zawłocki puścił głowę i wyszeptał:

— Kocham tę kobietę, a to zobowiązuje mnie do pewnej dyskrecji... Prosiłbym bardzo, o ile możliwe, nie poruszać zbyt drażliwych szczegółów... Wierzę, że sprawa jest poważna i dlatego nie uchylam się od zeznań...

— Opowiedz więc pan dzieje owej nocy...

— Bo ja wiem, jak to powiedzieć... Tańczyliśmy, a potem poszliśmy do „Malinowej”, do gabinetów...

— Aha... — Piasecki zamyślił się na chwilę, po czym rzekł: — Nie będę pana męczył zbyt drastycznymi pytaniami, ale proszę dać szczerą odpowiedź na jedno...

— Słucham, panie komisarzu...

— Czy to na pewno kobieta?

— Kto? — Zawłockiego poderwało aż z miejsca.

— To Czarne Domino...

— Nie rozumiem, co ma znaczyć to pytanie...

— Zachodzi podejrzenie, że tą damą w czarnym dominie jest jakiś przebrany mężczyzna...

— Nie, stanowczo nie — przerwał żywo młodzieniec. — To jest na pewno kobieta. Na pewno... Widzę, że tu zaszła jakaś omyłka, jakieś nieporozumienie...

Piasecki począł bębnić palcami po blacie biurka. Ogarnęło go zdenerwowanie. Nie mógł w żaden sposób znaleźć jakiegos punktu wyjścia z tej zagadkowej sprawy, która gmatwała się coraz bardziej. Zawłocki odetchnął z ulgą i zapalił papierosa.

— Więc twierdzi pan stanowczo, że to była kobieta — powtórzył jak echo komisarz...

— Tak... Ale, ale... Wiem już, o co chodzi, wiem, wiem...

— Co takiego?

Piasecki i Ekman spoglądali ze zdumieniem na blondyna, który, bijąc się dłońmi po udach, powtarzał podniesionym głosem:

— Wiem, wiem już, o co chodzi, wiem...

— A więc mów pan — zirytował się komisarz...

— Panowie jesteście na fałszywym tropie. Jest dama w czarnym dominie i jest mężczyzna w czarnym dominie... I on bywa także od czasu do czasu na maskaradach...

Piasecki podniósł się z fotela.

— Skąd pan o tym wie?

— Zaraz panu wszystko opowiem — odparł uradowanym głosem Zawłocki, zadowolony, że zrobił swoim oświadczeniem takie duże wrażenie.

(7)

— Po owej nocy sylwestrowej — mówił blondyn — kiedy, mimo mojej gorącej prośby, Czarna Dama nie chciała w żaden sposób zdjąć maski z twarzy ani wyjawić swego nazwiska, byłem jak zahipnotyzowany.

Powiedziała tylko, że nazywa się Olga i nic poza tym.

Nie pozwoliła się nawet odprowadzić i zażądała słowa honoru, że nie będę jej śledził, gdy wyjdzie. Słowo dałem i dotrzymałem. Możecie sobie panowie wyobrazić, z jakim utęsknieniem, z jaką niecierpliwością czekałem na następną sobotę, a właściwie na maskaradę, na którą ona miała przyjść...

Wszedłem na salę z bijącym sercem... Szukałem, nie było jej... Byłem po prostu zrozpaczony. Wpadło mi na myśl, że, być może, zeszła do „Teatralnej”... Patrzę, siedzi przy jednym ze stolików... Sama... Czarne domino, czarna maska, czarne, długie rękawiczki... Byłem wtedy nie sam, ale w towarzystwie mego przyjaciela, Leckiego, który, gdy mu opowiedziałem o mojej nowej, tajemniczej znajomości, poprosił mnie, bym go z Czarną Damą zapoznał.

Podchodzimy więc we dwójkę do owego stolika. Jeszcze kilka kroków, gdy nagle Lecki staje w miejscu.

— Zwariowałeś, czy co do licha? — mówi do mnie.

Spojrzałem nań zdumiony.

— Co takiego?

— Zwariowałeś, powtarzam, czy jesteś w ogóle ślepy?

Trzymał mnie z całej siły za rękę i nie dał ani kroku dalej postąpić.

— Co ci się stało? — pytam, zdziwiony dziwnym postępowaniem.

— Patrz, niskie obcasy...

— Niskie obcasy? O czym mówisz?

— Spójrz pod stół, przy którym siedzi twoja donna...

Spojrzałem i, przyznam wam, panowie, zbaraniałem, spod czarnego domina wyzierały męskie lakierki o niskich obcasach.

— To niemożliwe... — wybełkotałem.

— Co niemożliwe? — zaśmiał się Lecki. — Przecież to jest mężczyzna, a nie jakaś kobieta... To ci dopiero kawał, ha, ha...

Nie dałem jeszcze za wygraną. Znając zamięłowanie mojej tajemniczej przyjaciółki do wszelkich ekstrawagancji, przypuszczałem, że specjalnie włożyła męskie lakierki, by wprawić mnie w zakłopotanie. Przesunąłem się z Leckim blisko stolika i jakby do siebie rzekłem na głos:

— Olga?

Czarne Domino zerwało się z miejsca. Ciemne, płonące oczy spojrzały mi w twarz. Usłyszałem gruby głos męski, pulsujący niezwykle nerwowością:

— Olga? Gdzie jest Olga?

Stałem jak wryty, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Gdzie jest Olga? — padło znowu pytanie, przejmujące mnie wielkim niepokojem, niemal lękiem. Rozumiałem, że ten mężczyzna zna tę kobietę, że łączy go z nią wiele, że nie wolno mi się wobec niego przyznać do tej znajomości. Widziałem, a właściwie domyślałem się, iż jest do najwyższego stopnia zdenerwowany i ledwo panuje nad sobą.

— Gdzie jest Olga? — powtórzył chrapliwym głosem.

Ręce mu się trzęsły, a pierś falowała w przyspieszonym tempie.

— Nie wiem — odparłem, jak mogłem najobojętniej. — Nie znam żadnej takiej pani.

— Pan wołał przecie: „Olga” — rzekł ów mężczyzna, wpijając we mnie złe, upiorne oczy.

— Mówiłem: „Olga”? Kłamałem jak najęty. Nic nie wiem o tym. Musiał się pan chyba przestyszeć. Nie znam kobiety o takim imieniu...

Bąknął: „Przepraszam” i usiadł na miejscu.

Lecki zabrał mnie z powrotem na maskaradę.

— Awantura wisiała w powietrzu — rzekł do mnie poważnym głosem. — Gdybyś się przyznał, że znasz Olgę, ten drab byłby cię zmasakrował... Musi o nią być bardzo zazdrosny.

Byłem wtedy zupełnie zdehumorowany i upiłem się w wielkiej żalości. Po jakiejś godzinie poszedłem do domu. Postanowiłem czekać na następną maskaradę. Ale... znowu niskie obcasy. Następna sobota — niskie obcasy.

Dopiero wczoraj ją spotkałem. Wysokie, damskie obcasy, zgrabne pantofelki balowe. Poznała mnie, ale przyjęła dość chłodno. Tańczyłem z nią, a potem zaprosiłem do swego stolika.

Chciałem jej opowiedzieć o mym niezwykłym zdarzeniu, ale w tej chwili podszedł do stolika jakiś pan i zaprosił moją towarzyszkę do tańca. Więcej już jej nie widziałem.

Z rozpaczy poszedłem do „Malinowej” i urznąłem się jak świnia. W tym stanie zostałem (nie mogę jeszcze pojąć dlaczego) sprowadzony przez pana komisarza do urzędu śledczego.

Mówiąc to, Zawłocki spojrzał pytającym wzrokiem na Piaseckiego, który oparł w zamyśleniu podbródek o dłoń. W gabinecie zapanowała głucha cisza.

— Ciekawe, co zezna Windham — rzekł po chwili komisarz, westchnąwszy głęboko.

(8)

Gdzie jest Olga?

Komisarz Piasecki wszedł w towarzystwie doktora Barleta do sali szpitalnej.

— Karol Windham, łóżko numer dwadzieścia trzy, ot, tam naprzeciw okna...

— Czy dłuższa rozmowa może choremu zaszkodzić?

— Nie. Jest on już na rekonwalescencji. Kryzys przeszedł szczęśliwie onegdaj... Zdrowy organizm zwyciężył...

Policjant zbliżył się do łóżka i przedstawił się Karolowi, który spojrzał nań szeroko rozwartymi ze zdziwienia oczami.

— Do mnie? Czym mogę panu służyć?

— Przyszedłem w sprawie owego zajścia w gabinecie „Teatralnej”, którego padł pan ofiarą.

Windham zmarszczył brwi i odparł sucho:

— To jest moja sprawa prywatna i sądzę, że nie powinna ona nikogo obchodzić...

— Nikogo może ona nie obchodzić — rzekł Piasecki — ale policję musi.

Nastąpiła kłopotliwa cisza, w czasie której Karol biedził się nad wyszukaniem jakiejś pokrętniej odpowiedzi. Żadna jednak szczęśliwsza myśl nie przychodziła mu do głowy.

— Nie mogę zresztą nic panu powiedzieć, bo nie wiem... Ktoś strzelał do mnie w gabinecie, o czym pan chyba wie. Nie mam wrogów, nikt mi nie groził zemstą, więc nikogo nie mogę podejrzewać i wskazać jako mordercę. To jest wszystko.

Piasecki uśmiechnął się pobłażliwie.

— Traktuje mnie pan niezbyt grzecznie, ale nie biorę tego za złe choremu, wyczerpanemu fizycznie i moralnie. Niemniej jednak proszę o składanie zeznań. Zaznaczam panu, że sprawa damy w czarnym dominie, owej panny czy pani Olgi, jest mi znana, brak mi jednak kilku szczegółów, o które...

Na dźwięk tego imienia Windham uniósł się na łokciach, oblewając się ciemnym rumieńcem.

— Skąd... skąd pan zna to imię?

— Powiem panu, o ile pan będzie nieco szerszy względem mnie, zgoda?

— Zgoda — odparł chory młodzieniec.

— Zanim przystąpimy do sedna rzeczy, zadam panu kilka pytań — dla pana może nieco dziwnych...

— Słucham...

— Jaki numer pantofli pan nosi?

— Trzydziesty ósmy...

— Aha... Czy pan zdejmował pantofle owej nocy w gabinecie?

Karol wzruszył ramionami.

— Rzeczywiście dziwne pytania. Któż to zdejmuje pantofle w gabinecie?

— Odpowiem panu na to nieco później... Teraz chciałbym usłyszeć od pana przebieg zajścia...

— Nic nie pamiętam... Byłem kompletnie pijany... Położyłem się na kozetce i zasnąłem...

— A pańska towarzyszka?

— Nie wiem... Zaznaczyłem już panu, że spałem, nic więc wiedzieć nie mogłem...

— Według pańskich słów wnioskuję, że pod czarnym dominem kryła się kobieta, prawda?

— No, chyba... — odparł Windham, patrząc ze zdumieniem na komisarza.

— A mężczyzny w gabinecie nie było?

Młodzieniec zawahał się przez chwilę, po czym rzekł:

— Zdaje się, że był...

— Dlaczego: „zdaje się”?

— Bo go nie widziałem... Światło było zgaszone...

— Kto zgasił?

— Nie wiem...

— Z czego pan wnioskuje, że w gabinecie był mężczyzna?...

— Słyszałem jego głos... Ktoś mnie zbudził ze snu, szarpiąc brutalnie za rękaw...

— I co mówił?

— Pytał się, gdzie jest Olga... Odpowiedziałem mu, że nie wiem... Byłem jak połamany, nie miałem sił, by podnieść się z kanapki, nie mogłem logicznie myśleć... A on znowu pyta, gdzie Olga. Jedynym moim pragnieniem było wówczas, by dano mi spać, chcąc więc uwolnić się od owego jegomościa, powiedziałem wreszcie: „Olga siedzi przy stole...”. Więcej już nic nie pamiętam, gdyż po tych słowach gruchnął wystrzał...

Zmęczony mówieniem Windham opadł ciężko na poduszki. Komisarz opowiedział mu pokrótce dotychczasowy przebieg śledztwa, po czym zadał pytanie:

— Jak pan przypuszcza, kto był tym mężczyzną?

— Nie mam pojęcia... Chociaż...

— Chociaż? — podchwycił łapczywie Piasecki.

— Mógł to być jej mąż...

— Dlaczego pan tak sądzi?

- Opowiadała mi, że ma męża, który jest o nią bardzo zazdrosny...
- Aha... Czy umówił się pan z Czarną Damą na następną maskaradę?
- Owszem...
- Powiedziała, że przyjdzie?
- Tak...
- Doskonale... Kiedy opuszcza pan szpital?...
- Lekarz mówił, że w piątek.
- To znaczy pojutrze... I będzie pan na sobotniej maskaradzie?
- Bezwzględnie — odparł Windham mocnym głosem.
- Piasecki wiedział już wszystko. Pożegnał się z chorym i wyszedł. Na korytarzu zatrzymał go doktor Barlet.
- No, jak tam przeszło przesłuchanie, panie komisarzu?
- Doskonale...
- Widzę, że jest pan bardzo zadowolony...
- Bezwzględnie... W sobotę wyjaśnię ostatecznie zagadkę tego Czarного Domina, zagadkę, jakiej podczas mej kilkunastoletniej pracy kryminalnej jeszcze dotychczas nie spotkałem...
- Życzę więc panu powodzenia...
- Dziękuję bardzo — odrzekł komisarz, uśmiechając się chytrze.

(9)

Chemin de fer

Patefon dał się w niemożliwy sposób. Stalowa igła uparcie zeskrobywała z płyty szlagiery taneczne, pod których takt tańczyli zaproszeni na „wieczorek” goście panny Julki Swolkienówny. *Twoja żona tańczy charlestona*, to znów *Pani mi się śniła* albo dysharmonijne fokstroty amerykańskie. Taniec nie ustawał ani na chwilę, mimo iż danserzy ledwo już posuwali nogami po wyfroterowanej posadzce.

Przy aparacie stał Julian Walder, który z powodu wyjątkowo dokuczającego mu dziś reumatyzmu nie mógł tańczyć, wobec czego nastawiał gramofon. Czynność dość nudna i niewdzięczna, więc młody urzędnik bankowy był bardzo niecierpliwy.

Kilkakrotnie próbował już zakończyć muzykę, ale rozlegające się za każdym razem okrzyki: „Mało! Mało!” zmuszały go do kontynuowania swojej misji. Wstawiał przeto igły w membranę, kręcił korbą i kłął w ducha, na czym świat stoi.

Zatrzymał przechodzącą obok niego Julkę i szepnął błagalnie:

— Panno Julko, już dosyć... Niech już skończą raz z tym tańcem i zabiorą się wreszcie do szmendeferka...

— Za chwileczkę będzie szmendeferek, panie Julku. Niech się porządnie wytańczę, to będzie spokój... Wszystko już przygotowane...

Walder denerwował się coraz bardziej.

— Rozbiję tę przeklętą skrzynię... — ślubował w duchu — jeżeli nie skończy się na tym charlestonie...

Byłby z pewnością tak uczynił, ale, na szczęście, Ryszard Ekman zawołał na cały głos:

— Moi państwo, przerwa! Julek odchodzi od gramofonu! Dziewiątka!

— Doskonale — zagrzemiał niski głos Fredka Paleckiego. — Panie grają z nami!

Całe towarzystwo ruszyło hurmem do przyległego saloniku i rozsiadło się za stołem. Julek Walder wyciągnął z kieszeni pięćdziesiąt złotych.

— Tyle tylko ryzykuję — rzekł do swojej sąsiadki — bo mam ostatnio pecha w dziewiątkę...

— W takim razie po co pan gra?

— Muszę... — odparł Walder krótko i zmarszczył brwi.

— Julek! Twój bank!

— Dawaj karty. Pięć złotych dla ciebie...

— Biorę...

— Osiem...

Walder zainkasował pieniądze i dał karty swojej sąsiadce.

— Dziesięć złotych dla pani...

— Gram za złotówkę...

— Pokrywam resztę — huknął Fredk Palecki. — Bardzo dobrze, że kobiety grają tak nisko... Mam szczęście...

— Siedem... — zaanonsował Walder i znowu zgarnął pieniądze.

Karta szła mu niebywale. Wycofał się z bankiem, który doszedł do dwustu złotych. Drżącymi rękami począł wypychać banknoty do kieszeni.

— Nie uciekaj, kochanie, biorę *de fer*... Sto złotych do ciebie...

Walder zawahał się przez chwilę. Ceglaste rumieńce wypełzły mu na policzki. Niebieskie żyłki pulsowały na skroniach.

— Dobrze... Daj kartę...

— Nie, kochanie, mam dziewiątkę... Jeszcze raz?

— Tak...

— Osiem...

— Psiakrew! — zaklął Walder. — Karta ci idzie... Daj jeszcze...

Znowu przegrał. Trzysta złotych powędrowało do kieszeni Paleckiego. Gra rozgorzała na dobre. Rozpoczynano banki z dwudziestu złotych. Demon hazardu ogarnął powoli wszystkich. Kobiety, jako niedysponujące zbyt wielką gotówką, wycofały się z gry i przeszły do buduaru Julki. Przyłączyło się do nich trzech młodzieńców bardziej łasych na flirciki aniżeli na „szmendeferka”...

Walderowi nie szła karta, co skłaniało go do jeszcze większego hazardu. Przegrał już całą pensję, którą dziś zainkasował.

— Daj spokój, Julek, nie graj... Nie masz dziś szczęścia...

— Szczęście przyjdzie... — odburknął Walder i sięgnął do tylnej kieszeni w spodniach. Wyciągnął portfel i zajrzał do wnętrza... Zaszleściły świeże banknoty stułotowe. Wyjął trzy sztuki, a po upływie godziny jeszcze pięć... Od czasu do czasu wygrywał, przeważnie jednak płacił.

O godzinie czwartej nad ranem tempo gry nagle opadło. Walder przegrał dwa tysiące, które wziął z banku dla chorego prokurenta. Miał mu zanieść do domu z samego rana. O godzinie piątej rezultat był taki sam. Gra została zakończona. Rumieńce ustąpiły już zupełnie z twarzy młodego bankowca. Był blady, a czoło miał zroszone kroplistym potem.

— Prosiłem cię, żebyś nie grał — rzekł doń Ekman.

— Nie szkodzi... Przegrałem nie tak dużo, jak ci się wydaje...

Wstał od stołu i niepostrzeżenie wyslizgnął się do korytarza. Był już zupełnie spokojny. Desperacja ustąpiła miejsca apatii. Włożył futro i, nie żegnając się z nikim, wyszedł na ulicę.

Poszedł przed siebie bez zastanowienia. Piotrkowska, Andrzeja, aleja Kościuszki. Śnieg chrzęści pod nogami miarowo, jednostajnie. Walder próbuje logicznie pomyśleć o swej katastrofalnej sytuacji, ale mózg odmawia posłuszeństwa.

— Co teraz będzie? Co będzie? — tłucze się uparcie pod czaszką.

Wsunął rękę do kieszeni. Browning. Obłądana myśl zaświtała w głowie.

— Zastrzelę się...

Przyspieszył kroku. Chciał być jak najprędzej w domu. Ujrzał przed sobą jakiegoś pana w wysokiej futrzanej czapce na głowie. Ubrany był w eleganckie futro.

— Temu forsy nie brak — pomyślał Walder.

Jegomość, słysząc, że ktoś za nim chodzi na zupełnie pustej o tej porze ulicy, obejrzał się trwożliwie poza siebie. Ujrzawszy przyzwyczajonego ubranego młodzieńca, odetchnął z ulgą i poszedł dalej swoją drogą.

A za nim jak cień posuwał się Walder ze spuszczoną głową i powtarzał w duchu:

— Temu forsy nie brak, psiakrew, ten ma forsy dosyć...

Z jakąś dziką zawiścią spojrzął na futrzanego kołnierza idącego przed nim mężczyzny.

(10)

Gdzie jest doktor Pożarow?

Wysoki pan w futrze zatrzymał się przed jedną z bram. Była już otwarta. Zaspány dozorca zmiatał z chodnika śnieg, spychając go do ścieku. Mężczyzna wszedł do bramy, a potem na schody tonące w półmroku. Za nim, skulony w pół, posuwał się bezszelestnie Julian Walder.

Przeszli tak, oddaleni od siebie o cały rząd schodów, dwa piętra. Walder, słysząc szcęk klucza wsuwanego do zamka, wyjął z kieszeni browning i przyspieszył kroku. Skradał się na palcach, jak mógł najciszej.

Jeszcze kilka schodów oddzielało go od pana w futrze, gdy nagle w klatce schodowej rozległ się tupot czyichś obutych w drewniane trepy nóg.

Przyłgnął do poręczy i zastygł w bezruchu. Przez ten czas mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Walder skoczył czym prędzej na trzecie piętro, gdzie przeczekał, aż tupot nóg na parterze ustał zupełnie.

— To był na pewno dozorca — mruknął do siebie, schodząc na drugie piętro.

Był bardzo podniecony i drżał na całym ciele. Zatrzymał się przed drzwiami, za którymi zniknął jegomość w futrze. Zaświecił zapalkę i przy migotliwym świetle przeczytał mosiężny szyldzik:

„Dr Włodzimierz Pożarow, lekarz chorób kobiecych”.

Zastanawiał się co począć.

— Zadzwonię... Wszystko mi jedno... — pomyślał gorączkowo.

Począł szukać po omacku guzika do dzwonka, gdy wtem rozległy się za drzwiami szybkie kroki. Opanowany nagłym strachem przykucnął w najciemniejszym kącie pod ścianą. Drzwi się otworzyły i na schody wyszła jakaś postać kobieca. Niewiasta musiała być bardzo zdenerwowana, gdyż, nie zamknąwszy nawet za sobą drzwi, zbiegła po schodach.

Mimo panującego półmroku, Walder zauważył, że nosiła gruby welon okrywający całą twarz. Poczekał, aż kroki jej ucichły i otworzył niedomknięte drzwi. Znalazł się w małym korytarzyku.

Przy świetle zapalanej zapalki ujrzał jedynie drzwi prowadzące w głąb mieszkania. Otworzył je i wszedł do pokoju. Namacał na ścianie, tuż przy wejściu, kontakt i przekręcił. Słabe, przyćmione światło rozlało się dokoła. Salonik był bardzo szczupłych rozmiarów.

Poprzez drugie drzwi wślizgnął się do następnego pokoju, którym była sypialnia z dwoma małżeńskimi łózkami. Ani żywej duszy.

— Co to? Co to? — Walder stał osłupiały z rewolwerem w dłoni.

Dalszych pokoi już nie było. Wrócił czym prędzej do korytarzyka. Drzwi wejściowe były zamknięte, tak jak je zostawił. Czuł, jak cała krew zbiegła mu do serca. Przebiegł jeszcze raz przez pokoje, rozglądając się bacznie dokoła. Gdzież podział się ów mężczyzna w futrze, który tu wszedł? Gdzie jest doktor Pożarow?

Drugiego wyjścia przecie nie ma, wszystkie okna są zamknięte, a zresztą mieszkanie znajduje się na drugim piętrze.

Młodzieniec objął dłońmi głowę, czując pod czaszką wielki zamęt...

— Aha, zaraz... A może kobieta, która wyszła z mieszkania była właśnie owym mężczyzną w futrze i dla jakichś tajemniczych, niezrozumiałych powodów ubrała się w szaty niewieście? Być mogło również i na odwrót, a mianowicie, że

mężczyzna, za którym Walder chodził na ulicy, był przebraną kobietą. Ale nie, to niemożliwe! Pamięta przecież tę męską, wygoloną twarz, gruby, męski kaszel, ciężki krok mężczyzny...

Ledwo trzymał się na nogach z niebywałego wzruszenia...

(11)

Błędnym spojrzeniem wodził dokoła, jakby od martwych mebli oczekując wyjaśnienia tej fatalnej zagadki. Nagle nowa myśl strzeliła mu do głowy:

— Czyż to nie podstęp ze strony doktora Pożarowa, który być może zauważył, iż jest przez kogoś prześladowany, wobec czego opuścił w sprytny sposób mieszkanie i udał się na policję? Ale i to jest bardzo mało prawdopodobne. Mógł przecież wszcząć na ulicy alarm, podejść do dozorczy albo po prostu skrócić w Piotrkowską... Więc cóż, cóż?...

Walder wszedł z powrotem do sypialni. Dwa niezasłane łóżka wskazują niezbicie, iż mieszkanie to zajmowane jest przez małżeństwo.

Na jednym z nocnych stolików — puder Cotty'ego i inne drobiazgi kobiece. Na drugim stoliku stoi popielniczka i niedopałki od cygar, a obok leży brzytwa i przybory do golenia.

Jeszcze raz przeszukał całe mieszkanie, zaglądając pod łóżka, za kotary, a nawet począł ostukiwać ściany w nadziei, iż znajdzie może jakieś tajne przejście do dalszych ubikacji. Bez skutku.

Ogarnęło go niezwykle zdenerwowanie. Począł szybkimi krokami przebiegać przez pokój, jakby porażony nagłym obłędem.

Nie zastanawiał się zupełnie nad tym, że igra z niebezpieczeństwem, że za chwilę mogą wrócić domownicy, a wówczas będzie zgubiony bezapelacyjnie. Zapomniał także o właściwym celu swej wizyty w mieszkaniu doktora Pożarowa. W pierwszym pokoju na stole leżał śliczny sznur pereł, jednakże Walder spojrzał nań obojętnie, nie dotknąwszy go nawet.

— Niech się stanie, co się ma stać... — rzekł półgłosem do siebie. — Będę tu czekał, aż ktoś przyjdzie...

Usiadł przy stole i oparł głowę na dłoniach. Nagle drgnął i skoczył na równe nogi. Usłyszał przy drzwiach wejściowych jakiś chrobot. Szczęk przekręcanego klucza, a potem zgrzyt zawiasów. Walder słyszał dokładnie bicie własnego serca... Szybkim krokiem wbiegła do pokoju gęsto zawoalowana kobieta. Ujrawszy w głębi sylwetkę męską, zachwiała się na nogach i jęknęła głucho:

— Boże, ratuj... Włodzimierz...

Walder podbiegł ku niewieście i podtrzymał ją ramieniem. Teraz dopiero, przyjrawszy się bliżej młodzieńcowi, zauważyła swą omyłkę. Odetchnęła z ulgą i szepnęła:

— Więc to nie Włodzimierz... Boże, dzięki ci, dzięki...

Oddychała szybko, trzęsąc się ze wzruszenia.

— A kim właściwie pan jest? Skąd się pan tu wziął?...
 Poprzez gęstą woalkę dostrzegł błyski w jej oczach.
 Młodzieniec nic nie odpowiedział, nie ochłonawszy jeszcze z wrażenia, jakie na nim uczyniły ostatnie wypadki.
 — Wyjdź pan stąd, wyjdź pan — poczęła mówić tajemnicza kobieta, łapiąc Waldera za rękę. — Wyjdź pan, tutaj nie wolno nikomu być, nie wolno...
 Obejrzała się z lękiem dokoła.
 — Nie ma go, nie ma Włodzimierza, ale lada chwila może się zjawić, a wtedy, biada ci, śmiałku...
 Uwolnił delikatnie rękę i odparł stanowczym głosem:
 — Nie wyjdę...
 Dama zerwała się z miejsca.
 — Co to znaczy? Proszę wyjść natychmiast!
 — Nie wyjdę — powtórzył młodzieniec z uporem.
 Załamała ręce i poczęła mówić błagalnym głosem:
 — Nie narażaj pan mnie, nie narażaj siebie... To się musi skończyć tragicznie... Boże, mój Boże...
 — Dlaczego?
 Nachyliła mu się do ucha i poczęła pospiesznie szeptać:
 — Pan tak mówi, bo pan go nie zna... Pan nie wie co to za człowiek...
 — Kto? Ten Włodzimierz?...
 — Psst... Cicho... Nie tak głośno... To jest mój mąż, Włodzimierz Pożarow... Straszny człowiek, straszny... Bez litości, bez serca... Jest tu gdzieś i czyha na mnie, na pana, na wszystkich, wszystkich, którzy odważą się mnie dotknąć...

(12)

Ujął ją silnie za dłoń.

— Po tym, co mi pani powiedziała, nie mogę odejść... Sumienie nie pozwala mi zostawić bezbronnej kobiety w obliczu zagrażającego jej niebezpieczeństwa...

— Niech pan odejdzie, zaklinam... Dam sobie z nim prędzej radę aniżeli pan... Chcę zostać sama...

Stawała się coraz więcej niespokojna. Oglądała się co chwila na wszystkie strony, jakby obawiając się, że ten groźny i upiorny Włodzimierz wszedł już do pokoju i podsłuchuje jej słowa.

Walder poczuł nagły przypływ niezwyklej energii.

— To są, proszę pani, rzeczy niesłychane... Domyślam się jakiejś straszliwej tragedii, którą pani przeżywa... Niech pani mi zaufa swoją tajemnicę, a dołożę wszystkich sił, by tego człowieka jakoś unieszkodliwić...

Potrząsnęła przecząco głową.

— Pan tego nie zrobi... Tego nikt nie zrobi...

— Dlaczego?...

Z piersi kobiety wydobyło się głucho łkanie. Poprzez gęstą woalkę poczęły przeciekać łzy. Walderowi zrobiło się jej żal. Byłby teraz wszystko uczynił, by przyjść nieszczęśliwej nieznamoj z pomocą. Ale w jaki sposób? Przyłgnął czołem do jej dłoni, otulonych w czarne rękawiczki.

— Niech pani się uspokoi, niech pani nie płacze... Postaram się wszystko pokojowo załatwić... Jako człowiek zupełnie pani obcy, który dostał się do mieszkania przez przypadek, nie mam może prawa żądać aż tak intymnych zwierzeń, niemniej jednak proszę mi powiedzieć, dlaczego ten mężczyzna panią prześladowe...

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Dobrze, powiem panu, choć to na nic się zda... I tak nic pan nie zrozumie... Panu się zdaje, że to jakaś zwykła tragedia małżeńska, jakie się dziś spotyka na każdym kroku, prawda? Ale to nie to... O takich rzeczach nie słyszy się często...

Spazmatyczne łkanie znowu wstrząsnęło jej ciałem. Z trudem wydobywały się słowa z jej gardła.

— Mam męża, którego nawet nie znam, którego widziałam tylko na fotografii...

— Co?! — nie mógł się powstrzymać od okrzyku wielkiego zdumienia graniczącego niemal z przerażeniem.

— Tak, to nie są żarty... Nie widziałam jeszcze dotychczas mego męża... Znam go tylko z tej oto fotografii, która stoi na biurku... Zobacz pan...

Walder zbliżył się do biurka i wziął do ręki oprawioną w czarną ramkę pocztówkę. Młody, przystojny mężczyzna o łagodnych rysach twarzy spoglądał bystrym, śmiałym wzrokiem przed siebie.

Był ubrany w popularny strój kaukaski, a na głowie nosił olbrzymią czapkę futrzaną. Z szerokiego pasa zwieszał się mały sztycлик.

Młodzieniec przyjrzał się bacznie twarzy i skonstatował, że był to ten sam mężczyzna, za którym siedł na ulicy.

Wyjął fotografię z ramki i na odwrotnej stronie przeczytał skreślony męską ręką napis:

„Mojej najukochańszej Oldze, żoneczce przenajśłodszej — Włodzimierz Pożarow”.

— Tego człowieka widziałem przed chwilą — rzekł Walder jakby nieswoim głosem. — Wszedł do tego mieszkania...

Spodziewał się, że słowa te zrobią na zawoalowanej damie potężne wrażenie, jednak przyjęła je z zupełną obojętnością...

— Wiem o tym doskonale, że on tu gdzieś jest w pobliżu, jak zawsze... Czyha na mnie, czeka tylko odpowiedniego momentu, by się ze mną krwawo obliczyć...

— Pani go wcale nie zna?

— Nie...

— Jak to? Męża, z którym pani wzięła ślub?

— Ślub nasz odbył się w inny sposób, aniżeli to się przeważnie dzieje... Pokażę panu kilka listów, które panu powiedzą, co skłoniło mnie do pobrania się z tym człowiekiem...

Mówiąc to, podniosła się z miejsca i wyszła z sypialni, skąd po chwili wróciła z paczką papierów w ręku.

— Proszę je czytać w takim porządku, w jakim panu podaję... Są pisane po rosyjsku, ale sądzę, że pan zna ten język...

Listy Włodzimierza Pożarowa

List pierwszy:

Olgo najmiłsza!

Chodzę od kilku dni jak obłąkany... Znalazłem w swoim pokoju na stole wiersz „Chciałabym pokochać...”, a pod nim podpis: „Olga”... Wiersz przeczytałem, a potem rozplakałem się z jakiegoś wielkiego szczęścia, które we mnie wstąpiło... Całowałem każdą literkę tej precudownej, przenaświetszej skargi młodego dziewczęcia, które zapragnęło kochać, a nie miało kogo... Olgo, Olgo jedyna! Jestem!... Jestem tym, który Cię zrozumiał, który Cię pokochał najczystsza miłością...

Twój Włodzimierz Pożarow

List drugi:

Dziewczyno moja jedyna!

Znowu chwytam za pióro, by do Ciebie kilka tych słów skreślić... Przeżywam najpiękniejsze chwile, jakie człowiek kiedykolwiek przeżywa... Kocham, kocham miłością płomienną, wielką, niepohamowaną... Żyję teraz tylko jedną myślą, jedynym potężnym pragnieniem połączenia się z Tobą na wieki... Kiedyż Cię wreszcie zobaczę, Olgo Ty moja? Kiedyż złożę gorący pocałunek na twych pąsowych ustach... Gdzie jesteś, Olgo?

Włodek

(13)

List trzeci:

Olgo!

Widziałem Cię dziś we śnie... Całą noc o Tobie śniłem... Tulilem Twą główkę do swych piersi i całowałem pachnące włosy... Choć dotychczas jeszcze Ciebie nie widziałem, stałaś przede mną jak żywa...

Gdy się przebudziłem, przeklinałem słońce, a wznosiłem modły na cześć nocy, która mi pozwoliła rozkoszować się szczęściem.

Szukam Cię, Olgo, ale znaleźć nie mogę... Szaleję z rozpacz i żalu, tęsknoty i smutku... Gdzie jesteś, dziewczyno? Gdzież mam Cię szukać?

Włodzimierz

List czwarty:

Moja Ty, najmojejsza!

List ten piszę już z Białegostoku... Nie mogłem usiedzieć w Moskwie... Rannym pociągiem wyjechałem z tego podłego miasta, gdzie Ciebie znaleźć nie mogłem.

Ciągle znajduję po Tobie jakieś ślady, które zbieram i chowam jak świętości... To garstkę pachnącego pudru, to rękawiczkę, to podwiązkę, to jakiś wierszyk. Wiem, że jesteś gdzieś bardzo blisko, a jednak tak daleko...

Wiem, że list ten otrzymasz, że go przeczytasz... Położę go jak zwykle na biurku, a Ty już na pewno po niego przyjdiesz.

Zegnaj, Ty moja niewidzialna...

Włód. Poż.

List piąty:

Najdroższa!

Tak już dalej być nie może... Nie zniosę tych nadludzkich cierpień, tych potwornych katuszy... Musisz zostać moją — na wieki. Chcę mieć przeświadczenie, że jestem Twoim panem, że nikt poza mną nie ma prawa do Ciebie... Zostań moją żoną.

List szósty:

Oszaleję ze szczęścia... Znalazłem przed chwilą na biurku kartkę, na której skreśliłaś te piękne jak miłość słowa: „Chcę być Twoją...”. Płakałem jak dziecko z potężnej radości... Potem spędziłem resztę dnia i całą noc na szukaniu Ciebie...

Gdzie się ukrywasz, dlaczego znaleźć Cię nie mogę?... Nie mogę już czekać... Idę jutro do popa i każę sporządzić akt ślubu... Nie zgodzi się na pewno, gdy sam pójde, ale biada mu, jeśli spróbuje zagrozić mi drogę do szczęścia...

List siódmy:

Olgo, żono moja!

Nareszcie mogę powiedzieć: żono... Pop, jak przypuszczałem, nie chciał mi dać ślubu bez Ciebie. Przystawiłem mu browning do głowy i kazałem pisać... Trząśł się i pisał... Dla pewności wpakowałem mu kulkę do czaszki, a trupa pochowałem w ogrodzie... Ale mam akt ślubny... Nazywasz się Olga Pożarowa...

List ósmy:

Oleczko! Jadę do Łodzi. Cała policja postawiona na nogi z powodu «zagadkowego zniknięcia popa». Boję się, żeby nie wpadli na mój trop. Może Cię tam w Łodzi wreszcie odszukam?

List dziewiąty:

Znalazłem dziś na biurku Twoją fotografię... Domyślałem się raczej, że to jesteś Ty, bo twarz przestonięta maską... To jest pewno jakiś strój maskaradowy, prawda?

Czarne domino, czarna maska, czarne rękawiczki... Jakaś upiorna, zła myśl przesładuje mnie od rana... Boję się, drżę z przerażenia... Olgo, czy ty mnie zdradzasz?!

List dziesiąty:

Podła!

Przypuszczałem, ale odsuwałem tę upiorną myśl od siebie. Teraz już wiem na pewno. Zdradzasz mnie! Skąd się wzięła w Twojej torebce męska chusteczka z inicjałami W. Z.? Pałam chęcią strasznej zemsty... Człowiek, który Cię dotknął, żyć nie może... Jestem zdecydowany na wszystko. Jakżeś mogła tak postąpić, Olgo, jakżeś mogła? Dlaczego mężczyzna, któremu jesteś najzupełniej obca, ma do Ciebie większe prawa aniżeli ja, mąż Twój prawowity? Ja Cię dotychczas nie widziałem, a inny! Boże mój, Boże!...

List jedenasty:

Utracona moja!

Nareszcie się stało to, co się stać musiało. Rozprawilem się krwawo z tym śmiałkiem, który odważył się zakosztować Twojej miłości.

Znalazłem go w gabinecie „Teatralnej”, gdy spał na kanapie. Ciebie już nie było. Na stole leżała jednak torebka i pudełko pudru... Twoje, Twoje... Zrozumiałem, co tu zaszło... W torebce znalazłem Twój browning... Nie namyślałem się ani chwili...

Skreśliłem światło... Budzę tego łotra. „Gdzie jest Olga?” — pytam. — „Tam, przy stole” — odpowiedział. Teraz nie miałem już żadnej wątpliwości, że to jest ten, który zmałował me szczęście, który mi Ciebie zabrał... Strzeliłem...

(14)

List dwunasty:

Cudzołożnico!

Każdy dzień następny potęguje moje cierpienia, każdy dzień utwierdza mnie w przekonaniu, że jednak nie jesteś bez winy... Szukam Cię coraz zacieklej, ale już nie po to, by Ci mówić o swej wielkiej miłości... Olgo, musisz zginąć!... Musisz życiem przyplacić krzywdę, jaką mi wyrządziłaś. Więc już nie mam Ci nic do powiedzenia. Żegnaj na wieki!

Twój Włodzimierz

Walder skończył czytanie listów i odłożył je na bok. Nie tylko, że nie wyświectliły mu one zagadki, ale jeszcze bardziej ją zagmatwały. Myśli rozpiechły się pod czaszką na wszystkie strony, huczały, przewalały się po mózgu z siłą i pędem orkanu.

Co to wszystko znaczy? Kim jest ta tajemnicza, zawoalowana kobieta? Kim ten Włodzimierz Pożarow, który nie może znaleźć swojej żony, mimo że z nią mieszka pod jednym dachem?

Czary czy co u licha?

Przetarł dłońmi oczy, jakby chciał sprawdzić, czy nie śni, czy to nie czasem jakiś przykry, koszmarny sen.

— Musiałem chyba za dużo wypić — mruknął do siebie, oparłszy rozpalone czoło o zimny blat stołu.

Powieki kleiły mu się do snu. Jak przez mgłę widział smukłą sylwetkę Czarnej Damy, przechadzającej się w zamyśleniu po pokoju.

Usłyszał jej głos, dochodzący jakby z oddali:

— Ostatni list znalazłam na biurku dzisiaj... Owładnął mną obłądny strach. Jak szalona wybiegłam z domu, ale na ulicy pomyślałam sobie, że nie zdołam nigdzie uciec przed tym strasznym człowiekiem... Wróciłam i zastałam tu pana...

Mówiła coś jeszcze, ale do uszu Waldera wpadały tylko strzępy słów. Młodzieniec nie miał w sobie tyle sił, by oprzeć się zdobywającej go senności.

Kobieta widząc, że zasnął, podeszła doń na palcach i złożyła przez woalkę pocałunek na jego czole.

Staromodny ścienny zegar wybił powoli godzinę jedenastą przed południem.

Sensacja

Przeszło kilka dni po opisywanych wyżej wypadkach z bramy szpitala św. Józefa wyszedł przygarbiony, blady mężczyzna i, podpierając się laską, skierował się do oczekującej nań taksówki.

Był to Karol Windham, który po długotrwałej chorobie opuszczał szpital. Z taksówki wyskoczył Ekman, który pomógł bardzo osłabionemu przyjacielowi wsiąść do samochodu.

— Daj pyska, Karolku! — zawołał Ryszard, gdy samochód ruszył z miejsca. — Udało się, nie ma co!... Komplikacje były już tak poważne, że pocziwy doktor Barlet obawiał się nie na żarty, iż zamienisz się w trupa... Daj pyska i ciesz się, że żyjesz...

Karol aż jęknął w silnym uścisku swego przyjaciela.

— Daj spokój, bo mnie zgnieciesz... Jestem bardzo osłabiony...

— Nie szkodzi... Przyjdiesz prędko do sił... Pojedziemy do Zakopanego. Tam się poprawisz należycie.

Windham potrząsnął przecząco głową i odparł cichym głosem:

— Nie, nie pojadę do Zakopanego.

— Dlaczego? Cóż to znowu za bziki?

— Na razie muszę być koniecznie w Łodzi. Mam kilka bardzo ważnych spraw do załatwienia.

Ryszard spojrzał nań przez zmrużone powieki.

— Ej, Karolku, ty mi coś kręcisz... Przyznaj się, co cię zatrzymuje w Łodzi... Powiedz szczerze...

Na bladą twarz młodzieńca wstąpiły ceglaste rumieńce. Bąknął coś pod nosem, nie chcąc dać wyraźnej odpowiedzi. Ekman jednak nie dawał za wygraną.

— Mam wrażenie, że to ta Czarna Dama wchodzi tu w grę, prawda?

— Tak...

— Czyń, jak uważasz... Co do mnie, radziłbym ci dać spokój tej niebezpiecznej zabawie.

— Dlaczego?

— Nic dobrego z tego nie wyniknie... Nie wiem co prawda, co zamierzasz uczynić, domyślam się jednak, że będziesz usiłował nawiązać z powrotem kontakt z tą kobietą...

— Muszę, chociażbym nie chciał... Ta cała przygoda wywarła na mnie zbyt silne wrażenie, ażebym mógł zaniechać jej wyświeatlenia...

— Pozostaw to już komisarzowi Piaseckiemu, który wziął się do tej sprawy z zapalem i pracuje nad nią bez wytchnienia w dzień i w nocy...

— I cóż?...

— Na razie utknął w martwym punkcie. Nie może w żaden sposób natrafić na ślad damy w czarnym dominie, która, zdaje się, zniknęła już zupełnie z horyzontu. Tak samo zginął z horyzontu ów jeszcze bardziej tajemniczy mężczyzna w czarnym dominie, który, wedle przypuszczeń Piaseckiego, jest właściwym zbrodniarzem...

— Byłeś zeszłej nocy na maskaradzie?

— Tak, byłem z Piaseckim... Szukaliśmy Czarnej Damy, ale nie znaleźliśmy jej... Wybieramy się również na jutrzejszą maskradę.

Oczy Windhama zajaśniały silnym blaskiem.

— Pójdę z wami — rzekł, marszcząc brwi.

(15)

Ryszard wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział. Jechali przez dłuższy czas w milczeniu. Auto trzęsło się niemiłosiernie po zniszczonym bruku ulicy Drewnowskiej, przemknęło przez Nowomiejską i wpadło, okrążając półkołem plac Wolności, w Piotrkowską.

Windham przysunął się do okienka i obserwował poprzez zroszone szyby miągające mu przed oczami sylwetki przechodniów. Czuł się jak człowiek, który wrócił po długiej nieobecności do rodzinnego miasta.

Nagle cofnął się w głąb samochodu z lekka zakłopotany. Dostrzegł w tłumie przechodniów Inkę Swolkienównę.

— Co słysząc u Inki? — zapytał, siłąc się na spokój. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Domyślał się, że dziewczyna wie już o jego romantycznej przygodzie. Nie byli ze sobą co prawda oficjalnie zaręczeni, ale w każdym razie Karolowi było niezwykle przykro.

— U Inki? — powtórzył Ekman. — Nic nowego... W ubiegłym tygodniu urządziła u siebie eleganckie przyjęcie, na którym bawiliśmy się doskonale. Ale,

ale!... Nie słyszałeś jeszcze z pewnością nic o skandalu z Walderem... Sensacja jakich mało...

— Mówisz o Julku Walderze?

— Tak, o tym samym...

— A cóż z nim zaszło aż tak sensacyjnego...

— Posłuchaj. Był również wtedy na przyjęciu u Inki... Różnieliśmy w dziewiątkę. Chłopak przegrał bardzo dużo pieniędzy... Byliśmy wszyscy trochę pijani, więc nie zwróciliśmy na to większej uwagi. A on przegrał nie swoje pieniądze. To się dopiero później okazało...

— Jeśli idzie o Julka — przerwał Windham — to nie jest taką sensacją, jak ci się zdaje. Człowiek, który od pierwszej chwili, gdy go poznałem, nie budził we mnie zaufania. Zawsze byłem do niego pod tym względem uprzedzony...

— Ale poczekaj, pozwól mi dokończyć... Zdarza się, że ludzie przegrywają cudze pieniądze... W dzisiejszych czasach nie jest to sensacją nawet wtedy, gdy to czyni nawet najlepszy znajomy... Ale z Walderem coś innego... Nazajutrz nie zjawił się w banku. Przypuszczano, że zachorował czy coś w tym rodzaju. Gdy nie przychodził jednak jeszcze przez następne dwa dni, posłano woźnego do mieszkania. Kawalerka, w której mieszkał Walder, była zamknięta i dozorca powiedział, że lokator już od kilku dni nie przychodzi do domu. W banku zrobił się ruch, tym bardziej, iż wiadano, że Julek wziął z kasy dwa tysiące złotych, które miał zanieść choremu prokurentowi... W pismach opisali soczyście: „Sensacyjna wiadomość o «złotym młodzieńcu», który zdefraudował pieniądze”...

Ekman zapalił papierosa i, zaciągając się kilkakrotnie, mówił dalej:

— Teraz dopiero następuje właściwa sensacja. Wczoraj nad ranem dano znać siódmemu komisariatowi, że na placu Hallera leży jakiś nieprzytomny mężczyzna... Był to, jak się chyba domyślasz, Walder... Dokumentów co prawda żadnych przy nim nie znaleziono, ale ponieważ policja wiedziała już o aferze w banku, nie trudno było stwierdzić tożsamość...

— Popełnił samobójstwo? — zapytał obojętnie Windham.

— Tak przypuszczał początkowo lekarz pogotowia, stwierdziwszy jakieś symptomy otrucia, oraz policja... Okazało się jednak, że Walder samobójstwa nie popełnił...

— Więc co? — zaciekał się Karol.

— Otóż tu tkwi cała tajemnica, owa „sensacja”, o której ci na początku wspominałem... W szpitalu lekarze doszli do przekonania, że Walderowi wstrzyknięto do krwi jakąś truciznę... O samobójstwie nie może być już mowy, choćby z tego względu, że ślady po nakłuciach znajdują się przy kręgosłupie... Dotychczas, zdaje się, nie stwierdzono, co to była za trucizna, która nie zabiła organizmu, ale znieczuliła system nerwowy...

— Więc żyje?

— Tak, żyje, ale jest zupełnie nieprzytomny... Lekarze przypuszczają, że chory się z tego nie wywinie...

— Rzeczywiście jakiś zagadkowa sprawa...

— Bezwzględnie... Mówiłem o tym z komisarzem Piaseckim, który słusznie wnioskuję, że Waldera podstępnie zwabiono do jakiegoś mieszkania, gdzie dokonano zastrzyków... Prawdopodobnie uczynił to jakiś lekarz czy felczer, który spreparował truciznę i zastrzyk, i wstrzyknął ją ofierze do krwi. Człowiek nieobznajomiony z medycyną nie mógł tego w żaden sposób uczynić...

— Zupełnie logiczne rozumowanie...

— Tak, nie rzuca jednak ono ani krzty światła na tę ciemną sprawę... Komu mogło zależeć na tym, by unieszkodliwić w tak wyrafinowany sposób Waldera? Chęć rabunku jest tutaj zupełnie wykluczona...

— Jeżeli się tak splotał przy dziewiątce — zaśmiał się Karol — to inaczej być nie mogło...

Ekman nic nie odpowiedział. Taksówka zatrzymała się przed domem, w którym zamieszkiwał Windham. Obaj młodzieńcy wysiedli z samochodu i zniknęli w głębi bramy...

(16)

Doktor Włodzimierz Pożarow

Inka Swolkienówna stała właśnie przed lustrem i pudrowała sobie nos, gdy do pokoju weszła pokojówka i rzekła:

— Przyszedł, proszę panienki, pan Windham...

— Pan Windham?... Zaraz, zaraz... Niech go Anna poprosi do salonu...

— Już tam siedzi...

— Sam?

— Tak, sam...

Przez twarz dziewczyny przebiegł cień niezadowolenia.

— Hm... Proszę powiedzieć, że zaraz wchodzę...

Przyczerniła brwi, obejrzała się ze wszystkich stron w lustrze, po czym udała się do saloniku. Karol podniósł się z krzesła.

— Dzień dobry, Inko...

Uśmiechnęła się niezdecydowanie, podając mu dłoń do pocałunku.

— Dzień dobry — odpowiedziała, siląc się na serdeczny ton.

Zauważyła, że i Windham czuł się jakoś niezbyt swobodnie. Wyciągnął z kieszeni papierosnicę i powoli zapalał papierosa. Widać było, że czekał, aż ona zacznie rozmowę. Przez kilka sekund panowało kłopotliwe milczenie.

— Jak się czujesz? — rzuciła pytanie Inka, przyglądając się swym wymanikirowanym paznokciom.

— Niezbyt świetnie. Jestem bardzo osłabiony... A co u ciebie nowego...

— No nic... Bez zmiany...

— Czyżby? — uśmiechnął się znacząco.

Zarumieniła się z lekka, pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi. Rozmowa nie kleiła się w żaden sposób. Znowu zapadła cisza, którą przerwał Karol.

— Przez cały czas mojej choroby ani razu nie odwiedziłaś mnie w szpitalu... Bardzo mnie to dziwiło...

— Nie powinno cię to było aż tak dalece dziwić...

— Dlaczego?...

— Zadajesz naiwne pytanie. Nie przypuszczasz chyba, iż dotychczas jeszcze nic nie wiem o twojej przygodzie w gabinecie „Teatralnej”...

— Cóż jednak ma jedno wspólnego z drugim?

— Jak to? — zdenerwowała się. — Czyż sądzisz, że jestem bez ambicji, że pozwolę ze sobą postępować w taki sposób? Dosyć najadłam się przez ten czas wstydu, dosyć miałam upokorzenia... Każdy mnie teraz palcem wytyka i mówi: „Ten Windham, bohater skandalu z Czarną Damą, to jej narzeczony...”. Z czym miałam przyjść do ciebie, skoroś nie zawahał się narazić mnie na podobną znie wagę?

Wysłuchał jej cierpliwie i rzekł, strząsając popiół do popielniczki:

— Inko, to nie jest to... Nie dlatego nie przyszedłaś do szpitala... Mówisz tak, bo ci z tym najwygodniej...

Zmieszała się bardzo pod jego przenikliwym spojrzeniem. On zaś ciągnął dalej:

— Gdybyś czuła do mnie to, co dawniej, potrafiłabyś mi wybaczyć ten niewłaściwy krok w chwili, kiedy walczyłem ze śmiercią... Nie masz odwagi, by wyznać prawdę...

Zawahała się.

— Mam... odwagę...

— Więc mów...

Zakłopotanie odbiło się na jej twarzy. Nie wiedziała, w jakiej formie powiedzieć mu o wszystkim. Przyszedł jej z pomocą.

— Słyszałem już, nawiązałaś stosunki z jakimś jegomościem...

— Tak — odparła zdecydowanie.

— Po cóż więc grałaś przede mną komedię, robiąc scenę zazdrości? Ja, widzisz, będę względem ciebie o wiele szerszy... Jestem również, że się tak wyrażę, zajęty... Bardzo zadowolony jestem, iż się wszystko tak składnie złożyło... Nie będzie historii, płaczów i tym podobnych awantur...

Wstał z krzesła, przeszedł się kilkakrotnie dokoła stołu.

— Nie będę przeciągał tej przykrej dla ciebie, a poniekąd i dla mnie wizyty — rzekł, stojąc przed nią. — Do widzenia...

Uklonił się i wyszedł.

Inka została jeszcze przez chwilę w saloniku, zamyśliwszy się nad czymś głęboko. Wreszcie podniosła się z krzesła i, machnąwszy niedbale ręką, rzekła do siebie:

— Włodek jest o wiele ciekawszy...

Wróciła do swego pokoiku i wzięła się z zapalem do toalety. Była już godzina szósta, a punktualnie o siódmej miała być w małej kawiarence na ulicy Narutowicza. Po upływie piętnastu minut była już zupełnie gotowa do wyjścia. Spojrzała jeszcze raz w lustro i uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem.

— Ładnie dziś wyglądam...

Wsiadła w tramwaj, który zawiózł ją przed samą cukierenkę. Zajrzała przez szybę do wnętrza. Przy stoliku w głębi siedział mężczyzna w eleganckim futrze i przeglądał gazety.

— To on — szepnęła Swolkienówna do siebie i weszła do kawiarni.

— Inka?

Mężczyzna odłożył na bok pisma. Przywitał się z dziewczyną i wskazał jej krzesło.

— Siadaj... Napij się herbaty?...

— Nie... Wyjdźmy stąd jak najprędzej... Nie chcę, żeby mnie ktoś tutaj widział...

— Pojedziemy do mnie, dobrze?...

— Dobrze... — odpowiedziała cicho.

— Nareszcie nabrałaś do mnie zaufania — szepnął mężczyzna, uśmiechnąwszy się triumfalnie.

Wyszli na ulicę i wsiedli do pędzącej dorożki.

— Aleja Kościuszki numer *** — zawołał towarzysz Inki do dorożkarza.

(17)

Ruszyli naprzód z kopyta. Inkę ogarnęło jakieś dziwne, nieokreślone podniecenie. Było jej zarazem i radośnie i smutno... Z całych sił przytuliła się do ramienia mężczyzny. Odpowiedział jej mocnym uściskiem dłoni, który przyprawił dziewczynę o niepokojne, przyspieszone bicie serca. Kątem oczu obserwowała piękną, męską twarz doktora Pożarowa. Działał na nią jak dotychczas żaden mężczyzna.

Miał jakąś zaklętą siłę w swych czarnych, głębokich oczach, siłę, której się w żaden sposób oprzeć nie mogła, a zresztą — nie chciała.

Wiedziała, że weszła na drogę, która, w pojęciu „lepszych rodzin”, uważana jest za niebezpieczną, czyniła to jednak z całą świadomością, na zimno, z wyrachowaniem. Tak się przynajmniej jej wydawało.

Wszystko jednak, co czyniła, było konsekwencją, realnym skutkiem jego myśli, jego planów, jego zamierzeń. Ale o tym Inka nie wiedziała, wiedział zaś doskonale on, doktor Włodzimierz Pożarow.

Zapoznał się ze Swolkienówną na jednej z ostatnich maskarad. Spodobała mu się bardzo od pierwszego wejrzenia. Smukła, rasowa brunetka, młoda, pulsująca życiem i zmysłami, odpowiadała najzupełniej jego na wskroś agresywnej, niemal krwiożerczej męskości.

A może to nie uroda Inki poruszyła tak bardzo Włodzimierza, ile podobieństwo dziewczyny do Olgi Pożarowowej, umiłowanej przezeń Olgi. Pożarow co prawda jeszcze nigdy jej nie widział, ale wyimaginowany jej obraz nosił w duszy.

Tak sobie ją wyobrażał, tę Olgę, niewidzianą kobietę, która była tragedią jego życia. I dlatego sięgnął po Inkę.

Nie czuł do niej żadnego sentymentu, nie kochał, nie lubił. Wybrał ją spośród tysiąca innych w nadziei, że zdoła jakoś siebie oszukać, że potrafi w siebie wmówić, że to jest ona — Olga.

Była mu we wszystkim uległa. Czyniła, co jej kazał. Jej pokora podniecała go jeszcze bardziej, budziła drzemiące w nim krwiożercze instynkty.

Czuł jakąś głęboką, wielką nienawiść do wszystkich kobiet, wśród których nie mógł znaleźć swojej jedynej.

Inka była dla niego uosobieniem zarówno tych milionów, jak też tej jedynej.

Nienawidził jej jak tamtych, bezimiennych, a pożądał jak tej jedynej, nigdy niewidzianej Olgi.

A Inka, kobietka, jakich w Łodzi tysiące znajdziesz, ładniutka, milutka, bezpretensjonalna, zupełnie nie przypuszczała, co się kryje w duszy tego „ciekawego człowieka”.

— Włodek mnie kocha — oto, co sądziła o wszystkim. Czuła się nad wyraz szczęśliwa i dyszała pragnieniem poznania przezuwanych jedynie dotychczas rozkoszy. Początkowo miała jakieś skrupuły, ale rychło je zwalczyła. Teraz była zdecydowana na wszystko. Spoglądała na rasową, wyrazistą twarz Pożarowa i czyniła porównanie z Windhamem:

— Jakże ten Karol śmiesznie wygląda wobec Włodka!... Tu siła, płomień, czyn — tam słowa puste, oklepiane, bez treści...

Dorożka zatrzymała się przed domem na Alei Kościuszki. Pożarow wyszedł pierwszy i podał ramię Ince.

Szybko zniknęli w tonącej w półmroku bramie.

Po chwili znaleźli się przed drzwiami zaopatrzonymi w mosiężny szyldzik z napisem: „Dr Włodzimierz Pożarow, lekarz chorób kobiecych”.

Inka słyszała dokładnie łomot własnego serca. Rozległ się zgrzytliwy szcęk wsuwanego do zamka klucza.

Weszli do ciemnej czeluści mieszkania. Pierwsza — Swolkienówna, za nią doktor Pożarow...

(18)

Inka odsunęła na bok niedopitą filizankę czarnej kawy i szepnęła słabym głosem:

— Tak mi jakoś dziwnie, niewyraźnie...

Doktor Pożarow uśmiechnął się zagadkowo.

— Może za dużo likieru było w kawie? To jest bardzo mocny likier...

— Być może...

Przechyliła w tył głowę i oparła ją na krawędzi krzesła. Przed oczami latały jakieś świetliste płatki. Nozdrza poruszały się w przyspieszonym tempie. Pożarow zbliżył się do niej i ujął delikatnie jej twarz w swoje dłonie. Drgnęła, czując na sobie jego pożądliwy wzrok.

— Inko!...

— Słucham cię, Włodku...

— Kochasz mnie?

Miał odpowiedzi chwyciła go za rękę i ścisnęła z całej mocy.

— Włodku, Włodku!...

— Chodź...

Wstała posłusznie i pozwoliła zaprowadzić się jak dziecko do sypialni. Na progu stanęła nagle uderzona widokiem łóżek małżeńskich.

— Co to? Co to?

Zrozumiał, o co jej chodzi. Nie dał jej przyjść do słowa.

— Potem wszystko ci powiem, potem, potem...

Siłą niemal ułożył ją na małej pluszowej kanapce i usiadł obok niej.

— Żle się czujesz, więc się prześpij trochę...

Przymknęła oczy, ale nie mogła zasnąć. W głowie czuła jakiś wielki zamęt. Drżała na całym ciele, oczekując z utęsknieniem jego pieszczot. Zagryzała wargi do krwi.

On zaś czekał. Cekał z całym wyrachowaniem, zdając sobie sprawę, że im bardziej przeciągnie chwilę wyczekiwania, tym pewniejsze, tym upojniejsze będzie zwycięstwo. Oparł głowę na jej piersiach, falujących pospiesznie pod delikatnym jedwabiem sukni, a palce wpił w jej krucz włosy. Czuł, jak do krwi jego przedostaje się z jej ciała potężny żar.

Rychło stracił panowanie nad sobą. Wessał się ustami w wargi dziewczyny, potem w szyję, w ramiona.

Nerwowymi ruchami rąk począł z niej ściągać suknię.

Próbowała mu się oprzeć, ale on z całą bezwzględnością usuwał wszelkie przeszkody.

— Włodek, Włodek...

Głuchy charkot wydobył się z jego gardła. Podobny był do jakiejś krwiożerczej bestii, która poczuła zapach świeżej, młodej krwi.

Chciwymi ustami wodził po jej ciele, zostawiając tu i ówdzie niebiesko-czerwone ślady.

Każde dotknięcie jego warg paliło dziewczynę jak rozżarzone żelazo. Jęcząc z cicha, wiała się z rozkosznego bólu, który ją na wskroś przejmował.

Miała wrażenie, że leci w głęboką, bezdenną przepaść.

Piers gniótł jej jakiś olbrzymi ciężar, od którego nie mogła się w żaden sposób uwolnić. A potem jakaś cisza, przeraźliwa, męcząca cisza.

Zasnęła.

Gdy się obudziła, była sama w pokoju. Szybko wciągnęła na siebie sukienkę i wyszła do salonu. Paliło się tu światło, nikogo jednak nie było. Zdziwiła się bardzo.

— Włodek!...

Nikt nie odpowiedział na jej wołanie. Jeszcze raz przeszła przez pokoje, korytarzyk i zajrzała do kuchenki. Doktora Pożarowa nie było. Ogarnął ją lekki niepokój. Bardzo nieprzyjemnie zostać samej w obcym mieszkaniu.

— Dokąd poszedł? — zadawała sobie pytanie, na które nie mogła znaleźć odpowiedzi. Czas mijał szybko, a Inka nie wiedziała co począć.

— Musi przecież zaraz wrócić... — pomyślała, siadając przy stole. — Co prawda niezbyt po dżentelmeńsku postąpił, ale musiało widocznie zajść coś poważniejszego, skoro zdecydował się na ten krok.

Zegar wybił dziesiątą. Inka zerwała się z miejsca.

— Pójdę sobie... Nie będę już czekała...

Jakiś wielki żal ścisnął jej serce. Łzy cisnęły się przemocą do oczu. Walczyła, by nie rozplakać się na dobre.

— Pójdę...

Nie mogła się jednak tak szybko zdecydować. Ociągała się z każdym ruchem.

(19)

Ciocia Głafira

W dość przyzwoitej kamienicy na ulicy Południowej mieścił się „domek” Głafiry Zublinowej, zwanej pospolicie Ciocią. Wchodziło się przez na wpół zapadłą, lichą oświetloną bramę na opustoszałe podwórze, potem do lewej oficyny i na trzecie piętro.

Dozorca, któremu Zublinowa płaciła stałą tygodniówkę, trzy złote groszy sześćdziesiąt, miał obowiązek dokładnego informowania gości, gdzie mieści się „domek”.

Ciocia była starą praktykantką w swoim fachu. W Moskwie, skąd uciekła podczas przewrotu bolszewickiego, miała znacznie elegantszy i większy „lokal”, dwadzieścia kilka „dziewczynek” i bogato zaopatrzoną piwnicę. Bywała u niej arystokracja moskiewska, magnaci, dygnitarze i oficerowie.

W Łodzi nie mogła prowadzić interesu na tak szeroką skalę, gdyż przede wszystkim nie miała koniecznych na taki lokal kapitałów, a poza tym było to mniej bezpieczne.

Przy takim stanie rzeczy jak obecnie, mogła liczyć na to, że policja nie tak prędko dowie się o istnieniu spelunki. Ale Ciocia nie była bynajmniej niezadowolona. Miała swoje stałe, dość pokaźne zyski, a zresztą była już za stara, zbyt mało czuła w sobie energii, by prowadzić taki „domek” jak ongiś w Moskwie. Tym bardziej, że wtedy żył jeszcze jej mąż, Iwan Aleksiejewicz Zublin, a teraz była zupełnie osierocona.

Miała więc Zublinowa w swoim „domku” na ulicy Południowej tylko trzy „dziewczynki”: tęgą, pulchniutką Kazię, o zadartym nosku i jasnych włosach, wysoką szatynkę Emmę, zwaną przez gości Dragonem i szczupłą, kościstą Salkę, która spełniała rolę „pięknej Żydóweczki”. Każdy szanujący się „lokal” musi mieć przynajmniej jedną taką Salkę czy Esterkę, by goście lubiący egzotyczne piękności byli zadowoleni. Salka była przeraźliwie chuda, skóra i kości, miała zbyt długi, wiecznie siny nos, ale przynosiła Zublinowej największe zyski.

— Nie rozumiem — mówiła zawsze Kazia do Żydówki — dlaczego te goście tak na ciebie lecą. Czarna jesteś jak kocmołuch, ciała nie masz za trzy grosze, a każdy, kto do Cioci przychodzi, pyta o Salkę... Czy Salka jest wolna? A kiedy będzie?... Czarujesz gości, czy co u licha?

Salka wzruszała ramionami i odpowiadała głosem, w którym dźwięczała nuta wyższości:

— Ty jesteś może ładniejsza ode mnie, Kaziu, Emma Dragon też, ale wy macie zwyczajny wygląd... Ja jestem inna... Mój ojciec był bogaczem i miał dom na Wolborskiej...

Zwykle po tych enuncjacjach czarnowłosej Salki w apartamentach Głafiry Zublinowej rozlegały się piski, wrzaski i krzyki. To Kazia i Emma, dotknięte słowami koleżanki, rzucały się na nią z pięściami i paznokciami. Interwencja Cioci była w takich rzeczach konieczna. Dziewczęta, wykrzyczawszy się nieco, uspokajały się bardzo szybko i znów żyły w najlepszej zgodzie i przyjaźni.

Apartamenty Głafiry Zublinowej składały się z małego korytarzyka, kuchni i czterech pokoi. Pierwszy pokój spełniał rolę saloniku, gdzie goście pili czarną kawę, wódeczkę, grali w karty i gaworzyli z dziewczętami. Następne trzy pokoje oddała Ciocia do dyspozycji swoich „dziewczynek”. Pierwszy należał do Kazi, drugi do Emmy, a w trzecim przyjmowała gości Salcia. Tak było naturalnie podczas godzin „urzędowych”. W rzeczywistości bowiem dziewczęta spały w kuchni na rozesłanych na podłodze siennikach, by nie niszczyły i nie brudziły pościeli.

Tylko Głafira Zublinowa spała w łóżku w pokoju Kazi.

Razem z dziewczętami spała w kuchni stara, kulawa Raja, spełniająca rolę kucharki i pokojówki. Zła, swarliwa kobiecina była istną udręką dziewcząt, które bały się jej jak ognia. Za to Ciocia miała do niej bezgraniczne zaufanie, gdyż знаła ją jeszcze ze swoich dawnych, świetnych czasów moskiewskich.

Raja była wtedy piękna i młoda, a miała tak szalone powodzenie, że była przyczyną głośnego w owych czasach pojedynku, podczas którego młody kapitan Wołczykow stracił prawą rękę.

Miała tyle lat co Zublinowa, jednakże życie zniszczyło ją bardziej aniżeli opływającą zawsze w dostatki właścicielkę „otwartego domu”.

Obie kobiety, Zublinowa i Raja, znały się od dzieciństwa i niemal jednocześnie rozpoczęły „karierę” u Osipowa. Potem wyszły za mąż i rozłączyły się na dłuższy okres czasu. Głafira owdowiała w dwa lata po ślubie i za pieniądze, które otrzymała w spadku po mężu, założyła sobie elegancki dom schadzek.

Mąż Rai zmarł znacznie później i zostawił ją z dzieckiem. Od tej chwili, aż do czasu kiedy obie przyjaciółki zetknęły się znowu w Wilnie, życie Rai było osłonięte tajemnicą. Nawet Głafira mało wiedziała, co jej koleżanka w ciągu tych lat robiła.

Raja niechętnie opowiadała o tych czasach i bardzo się denerwowała, gdy ją ciekawa Zublinowa w tej materii nagabywała. Musiała przeżyć jakąś poważniejszą tragedię, gdyż zestarzała się w tym okresie niezwykle, okulała na jedną nogę i straciła syna, jedynaka, którego bardzo kochała.

Z tym synem właśnie było coś „nieczystego”. Raz mówiła, że umarł na tyfus płamisty, drugi raz znowu, że go tramwaj przejechał.

Zublinowa węszyła jakąś skandaliczną historię, snuła tysiące najohydniejszych przypuszczeń i podejrzeń, wysilając swój spryt, by swą przyjaciółkę jakoś „złapać” i dowiedzieć się prawdy. Raja była jednak bardziej od niej kuta i chytrze omijała wszystkie zasadzki.

— Zamordowała synka, nie inaczej — myślała Głafira, spoglądając na złą twarz Rai. — Cóż innego mogłaby przede mną ukrywać?

Z Wilna przyjechały do Łodzi. Tu Ciozia wynajęła mieszkanie na Południowej, postarała się o dziewczynki i zaprowadziła interes, przynoszący jej bardzo poważne zyski.

Przyjaciółce swej płaciła jakąś lichą tygodniówkę. Miała w niej za to wierną służebnicę i powiernicę w interesach.

Dom Cioci Głafiry rozwijał się z każdym dniem. Odwiedzali go coraz bogatsi goście, czasem nawet z najwytworniejszych sfer łódzkich. Doszło do tego, że Zublinowa podwyższała dziewczętom gażę i dawała im lepszy wikt.

— Niech mają dziewczynki... — mówiła do Rai. — Sprawują się dobrze, więc należy im się wdzięczność... Pamiętasz, jak Osipow był z nas zadowolony? Skąpy był jak szatan, a ciągle nam dokładał do tygodniówek.

— Pamiętam, pamiętam — mruczała Raja, kuśtykając po kuchni. — Powinnaś jednak te dziewczuchy więcej ostro trzymać... Ta Salka jest niezła dziewczuszka, przynosi dużo zarobków, ale staje się coraz więcej niezdolna... Kocha się w tym wysokim szatynie i zaczyna lekceważyć innych gości...

— Nic nie szkodzi... To jest bardzo bogaty chłop i płaci tyle co dziesięciu innych...

— Głupstwa pleciesz... A co zrobisz, jak ci Salkę zdmuchnie sprzed nosa? Innej na jej miejsce tak prędko nie dostaniesz...

— Zdmuchnie? — zaniepokoiła się Ciozia. — Dlaczego?

— Mówisz jak dziecko. A dlaczego zdmuchnął cię twój Zublin? Bo się w tobie kochał... Ten szatyn kocha się także w Salce...

— Więc sądzisz, że się z nią ożeni? Nie, wydaje mi się to nieprawdopodobne... Jest za bogaty, a zresztą ona się kocha w nim, ale czy on w niej, nie wiem...

— Po co ma się ożenić? Dzisiaj to nie tak jak dawniej. Nie ożeni się, ale weźmie ją na stałą kochankę, wynajmie jej pokój i dziewczyna stracona...

Ciocia przyznała słuszność wywodom przyjaciółki i postanowiła zwracać baczniejszą uwagę na swą pupilkę. Kilka razy miała z Salką „poważne rozmowy” zmierzające ku zohydzeniu w oczach zakochanej prostytutki rodu męskiego w ogólności, a owego szatyna w szczególności.

Odnosiło to bardzo wątpliwy skutek, co przypравиło Zublinową o wielkie zmartwienie.

Dziewczyna przytakiwała co prawda słowom swej chlebobawczyni, lecz można było po jej minie poznać, że nie bierze sobie tego zbyt poważnie do serca.

— Dobrze, dobrze, Ciociu. Święta racja... Ale dzisiaj jest niedziela, będą goście, a jeszcze jestem nieubrana... Dochodzi godzina ósma...

Mówiąc to, wybiegła do swego pokoju, by dokończyć toalety. Emma Dragon pomagała jej w przypiekaniu włosów, a Kazia szperała w kuferku wśród stosu sukienek.

— Co dzisiaj włożysz, Salka?

— Sama nie wiem... Nie mogę się zdecydować...

— Może tę niebieską z żorzęty?

— Nie... On woli różową...

— Masz więc różową...

O godzinie dziewiątej dziewczęta były już ubrane i ufryzowane. Ponieważ gości nie było jeszcze widać, zasiadły do preferansa, którego zaczęły jeszcze przed dwoma dniami.

— Sześć czerwone — licytowała się Kazia.

— Siedem pik — odpowiadała Emma.

— Bez atu...

Grały jakąś godzinę, gdy u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Raja wypęzła z kuchni, by otworzyć, a Ciocia wpadła jak bomba do pokoju.

— Dziewczynki, schować karty! Goście są!...

W korytarzu rozległy się męskie głosy.

— Czy panienki wolne?

— A jakże, a jakże — informowała Raja. — Proszę dalej...

Zublinowa zapaliła wszystkie światła. W pokoju przyjęć zrobiło się jasno.

— Proszę zdjąć płaszcze, panowie, i zająć miejsca przy stole... Zaraz dziewczynki przyjdą...

Mężczyźni, śmiejąc się i dowcipkując, rozglądali się ciekawie dokoła.

A tymczasem w drugim pokoju dziewczęta tłoczyły się przed lustrem i pudrowały się pospiesznie. Kazia była pierwsza gotowa, więc skoczyła do drzwi. Przyłożyła oko do dziurki od klucza.

— Czterech ich jest — informowała więc koleżanki.

— A on? — rzuciła Salka pytanie.

— Wiesz przecie, że jest — odburknęła Emma. — Słyszysz jego głos, więc po co pytasz?

— Dla pewności — szepnęła Salka, tleniąc brwi.

Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Ciocia. Tak jak generał jednym spojrzeniem ocenia swoje wojsko, Ciocia zlustrowała swoje dziewczynki.

— Kazia, popraw włosy... Emma, halka ci wyłazi... Salka...

Ale Salka była już wśród gości. Ujrzawszy przez szparę uchylonych drzwi wysoką barczystą postać Ryszarda Ekmana, nie mogła się pohamować i z dzikim piskiem wbiegła do saloniku. Rzuciła się młodzieńcowi na szyję.

— Serwus, kochanie, serwus.

Ekman odsunął ją delikatnie, ale stanowczo od siebie.

— Uspokój się, panienko... Nie tak gwałtownie...

— Ale ta Estera leci na ciebie — zauważył półgłosem Windham.

Ryszard skrzywił się niesmacznie i bąknął coś pod nosem. W Salkę jakby piorun trzasnęła. Stała pośrodku pokoju z wpółotwartymi ustami, zaczerwieniona, drżąca ze wzruszenia. Kazia, która weszła już z Emmą do saloniku, uderzyła osłupiałą dziewczynę w bok.

— Salka, co ty? Ruszże się...

Opamiętała się szybko. Rumieńce zniknęły z twarzy, spojrzenie wyłagodziło się zupełnie. Ale to były tylko pozory. W sercu sponiewieranej dziewczyny szalała burza wezbranych namiętności.

Nie mogła w żaden sposób zrozumieć, co się z jej „chłopcem” stało. Uważała go już całkowicie za „swego”, a tutaj nagle taka zmiana.

Na stole pojawiła się maszynka kawy i likierek. Ciocia rozlewała brunatny płyn do małych, porcelanowych filiżanek.

Rychło humory doszły do najwyższego napięcia, podekscytowane oparami alkoholu. Dziewczęta skoczyły gościom na kolana, śmiały się, dowcipkowały, namawiając do jakiejś lepszej „fundy”.

— Ten likierek — do luzu! Daj, Ciociu, koniak i przyzwoite zakąski! — wołała Kazia.

Zublinowa miała już wszystko zawczasu przygotowane i czekała tylko na odpowiedni moment.

— A niechże będzie i koniak! — zadysponował Windham.

Kazia wrzasnęła na cały głos z uciechy i pocałowała swego towarzysza w ucho.

— Tak, to lubię... Jesteś kochany chłopczyk...

A w duchu robiła bardzo skomplikowany, jak na jej czterooddziałowe wykształcenie, rachunek.

— Butelka koniaku — piętnaście złotych, kanapki — dziesięć, papierosy — trzy... Razem dwadzieścia jeden... Z tego — dziesięć procent dla nas, to będzie, będzie...

Nie mogła w żaden sposób uporać się z kłębiącymi się pod czaszką cyframi, tym bardziej, że była już lekko podchmielona. Butelka została wypróżniona bardzo szybko, ale na jej miejsce pojawiała się nowa.

— Dwadzieścia jeden i piętnaście — liczyła Kazia — trzydzieści jeden, nie, trzydzieści sześć... Z tego dziesięć procent dla nas trzech...

I znów utknęła wśród płataniny cyfr. Nastrój przy stole stawał się coraz bardziej swobodny. Tylko Salka siedziała na końcu stołu, milcząca i ponura. Piła koniak szklankami i patrzyła tępo przed siebie. Nie obchodziło już jej nawet, że Emma Dragon siedziała na kolanach Ekmana i czule obejmowała go za szyję. Pragnęła teraz tylko jednego: by jej powiedział, dlaczego tak z nią postąpił.

— Dlaczego? Dlaczego? — pytanie to dręczyło prostytutkę i nie dawało jej spokoju.

Mogła co prawda poprosić Ryszarda do drugiego pokoju i pomówić z nim szczerze i otwarcie. Bała się jednak, że znów ją potraktuje jak psa i odepchnie od siebie. Nie potrafiłaby znieść po raz drugi takiego upodlenia.

Za wszelką cenę starała się uwolnić od tych myśli, próbowała utopić je w alkoholu, one wracały jednak bez ustanku, uporczywie.

— A może on ma rację? — zastanawiała się dziewczyna. — Przecie nie powiedział, że mnie kocha, że lubi — nic. Przychodził często — to prawda, brał zawsze tylko mnie, ale cóż z tego? Teraz zawstydziła go wobec kolegów, którzy na pewno będą się zeń wyśmiewali, że „sympatyzuje” z jakąś tam prostytutką.

— Psiakrew! — zaklęła głośno, stuknąwszy szklanką o stół.

— Co ci się stało? — zapytał Ekman, spoglądając zdziwionym wzrokiem na dziewczynę.

(22)

Salka spojrzała nań przeciągle, po czym, nie dając mu żadnej odpowiedzi, podniosła się z krzesła i wybiegła do drugiego pokoju. Wówczas Emma Dragon nachyliła się Ekmanowi do ucha i szepnęła:

— Idź no do niej, bo ona gotowa sobie coś złego zrobić...

Młodzieniec zastanowił się przez chwilę.

— Dobrze — odparł, zapalając papierosa.

Zastał Salkę leżącą na łóżku. Wtuliła twarz w poduszki i płakała. Ciałem jej wstrząsało spazmatyczne łkanie. Zrobiło mu się żal dziewczyny. Usiadł przy niej na łóżku i począł ją głaskać po kruczych włosach.

— Czego płaczesz, Salka? Co ci się stało?

Jego tkliwy ton rozrzewnił ją jeszcze bardziej. Poczęła głośno szlochać.

— Nic, nic... Ząb mnie boli...

— Histeryczka — pomyślał Ryszard, bębniąc palcami po krawędzi łóżka.

Sytuacja denerwowała go niezwykle. Domyślał się, że dziewczyna jest w nim zakochana i cierpi, nie mogąc pozyskać jego wzajemności.

Zauważył już od pewnego czasu, że Salka darzy go specjalnymi względami, ale nie brał tego tak poważnie. I on ją bardzo lubił i wołał anizeli korpulentną Kazię czy flegmatyczną Emmę, ale nic poza tym. Skądże! Samo przypuszczenie, że mógłby bliżej obcować z publiczną dziewczyną, wprawiało go w stan rozdrażnienia. A ona, widać, brała wszystko na serio. Postanowił jej wszystko wytłumaczyć.

— Salka...

Podniosła nań zapłakane oczy. Wyglądała teraz bardzo ładnie ze stygmatem cierpienia na przybladłej twarzy.

— Słucham...

Nie wiedział, od czego zacząć. Wstał i przeszedł się kilkakrotnie po pokoju. Zatrzymał się przed łóżkiem.

— Salka, ty się we mniekochasz?

Oniemiała na chwilę, porażona brutalnym pytaniem. Jakże można o tym w taki sposób mówić? Tak otwarcie, bezceremonialnie... Ona ledwo miała odwagę o tym myśleć, a on tak prosto z mostu. Z ust jej wydobyło się ciche westchnienie.

— Nie...

Przyjrzał się jej uważnie. Rozumiał, że kłamała, ale było mu z tym wygodniej.

— A więc bardzo dobrze — odrzekł, stając przy oknie. — Byłoby mi bardzo przykro... Lubię ciebie, owszem... Jesteś miłą dziewczyną i nie taka jak inne twoje koleżanki. Ale co do tego... Mam przecie narzeczoną i nie wolno mi się w takie rzeczy bawić...

Łgał, chcąc się pozbyć za jednym zamachem całej tej nieprzyjemnej historii. Salka uśmiechnęła się poprzez łzy.

— Ach, tak? — zapytała przeciągle.

Zerwała się z łóżka i skoczyła do lustra. Przemyśla oczy i przypudrowała twarz.

— Wróć tam do pokoju, bo chcę się przebrać... Całą sukienkę pogniotłam...

Skierował się ku drzwiom, ale nagle zatrzymał się w miejscu. Spojrzał na dziewczynę podejrzliwym wzrokiem.

— Nie bój się, nic sobie złego nie zrobię — zaśmiała się z przymusem, domyślając się, o co mu chodzi.

Mruknął coś pod nosem i wyszedł.

Salka wyciągnęła zaciśniętą pięść w stronę drzwi, za którymi zniknął Ryszard.

— Poczekaj, psi synu, poczekaj...

Nikt by teraz nie poznał w niej pokornej, wiecznie zalęknionej prostytutki. Oczy płonęły silnym blaskiem, piersi szybko falowały.

— Poczekaj, psi synu... — powtarzała drżącym z podniecenia głosem.

Powstało w jej duszy na wpół dzikie pożądanie zemsty. Upajała się samą myślą o niej. Przebrała się szybko w błękitną sukienkę i uśmiechnięta wbiegła do saloniku, gdzie zabawa wrzała w pełni. Towarzystwo było kompletnie pijane i wyprawiało niesłychane brewerie.

Korpulentna Kazia zrzuciła z siebie szatki i tańczyła na stole jakiś opętańczy taniec.

Były to raczej jakieś epileptyczne podrygi pijanej do nieprzytomności dziewczyny, która w stanie normalnym nie odważyłaby się na uczynienie nawet jednego *pas* tanecznego. Reszta towarzystwa była niezwykle zadowolona i zorganizowała *ad hoc* amatorski jazz-band.

Wicek Hordyński udawał saksofon, Olek Belkin trąbił na zaimprovizowanym z gazety puzonie, a Emma waliła z całych sił w szafę.

Tylko Windham stał milcząco na boku, nie biorąc udziału w zabawie. Do niego zwrócił się Ryszard.

(23)

— Nie jesteś, jak widzę, w humorze — zagadnął Ekman przyjaciela.

— Nie... Myślałem, że tu się jakoś rozerwę, ale na razie oni bawią się świetnie.

Ja — nie mogę...

Wskazał oczami na Belkina i Hordyńskiego, którzy porwali Kazię na ręce, tańcząc z nią dokoła stołu i dodał:

— Chodźmy stąd... Dłużej już nie mogę...

— Poczekamy jeszcze... Pójdziemy razem z nimi...

Usiedli na kanapce w drugim końcu pokoju. Milczeli, paląc papierosy.

— Rozmawiałem wczoraj z Inką... — rzucił w przestrzeń Windham.

— Poważna rozmowa?

— Mhm... Powiedzieliśmy sobie wszystko i rozstaliśmy się. Nie zaprzeczyła, że ma już kogoś...

— Mówiłem ci od razu...

— Trudno mi było uwierzyć...

— A kto to taki?

— Nie wiem... Widziałem go, gdy jechał z Inką w dorożce... Starszy gość, trzydziestokilkuletni...

— Co powiesz?... A ona wiedziała o tobie?

— Niby z tą Czarną Damą?

— Tak.

— Bezwzględnie... Zresztą sam jej potem powiedziałem. Głupia jest ta Inka i ogromnie nieciekawa...

Ziewnął szeroko i spojrzął na zegarek.

— Już piąta. Nie ma sensu dłużej tu siedzieć. Oni świetnie się bawią i tak prędko nie pójdą. Wynieśmy się stąd po angielsku.

— Dobrze — odparł Ekman, podnosząc się z kanapki.

Wyszli do korytarza i włożyli futra.

— Musimy się wyspać. Czeka nas maskarada...

— Naturalnie, naturalnie...

Ekman usłyszał poza sobą jakiś szelest. Obejrzał się szybko. Przed oczami mignęła mu postać Salki.

— Podśluchiwała — pomyślał obojętnie.

Nie przywiązywał do tego faktu większej wagi.

Tymczasem Windham nacisnął klamkę. Drzwi jednak były zamknięte.

— Kto nam otworzy? — zapytał.

Ryszard miał odpowiedzieć, zapukał w drzwi prowadzące do kuchni. Rozległy się nierówne kroki. Na progu stanęła Raja i obrzuciła młodzieńców pełnym nieufności wzrokiem.

— Proszę nam otworzyć — rzekł Ekman, wsuwając babie złotówkę do ręki.

— Już pan odchodzi? — zapytała, przykuśtykawszy do drzwi.

Windham przyglądał się zwiędłej twarzy Rai z zainteresowaniem. Widział tę kobietę po raz pierwszy w życiu, ale rysy twarzy były mu dziwnie znajome.

Nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, gdzie i kiedy zetknął się z osobą, która była niezwykle podobna do tej obrzydliwej staruchy.

Ten sam regularny nos, wąskie, zacięte usta i złe, błyszczące fosforycznym blaskiem oczy. Niepewność męczyła go niewymownie. Raja zauważyła, że jest obserwowana.

— A co to się tak pan przygląda? — zapytała niechętnie.

Karol wzruszył ramionami.

— Sam nie wiem...

— To i patrzeć nie trzeba, bo oczy wypłyną...

Ze słów jej wiała taka niesamowita złość, że Windham wzdrygnął się mimo woli. Ekman poklepał Raję po ramieniu i zaśmiał się na cały głos.

— Podoba mu się pani, więc się przygląda.

Starucha bąknęła coś jeszcze pod nosem i otworzyła drzwi. Na schodach Karol ujął za ramię swego przyjaciela.

— Diabli mnie po prostu biorą...

— Cóż się stało...

— Znam skądś tę obrzydliwą mordę i nie mogę sobie przypomnieć skąd...

— Masz na myśli Raję?

— Tak...

— Wielka rzecz... Byłeś tam już pewnie kiedyś...

— Nie, nie... Na pewno nie.

— Mniejsza zresztą o to. Nie ma się nad czym zastanawiać... Chodź...
 Na podwórzu Windham zatrzymał się znowu.
 — Głupstwo, a dziwna rzecz, że mnie tak intryguje i niepokoi...
 — Niepokoi?
 — Tak... Ta niepewność...
 — Daj już temu spokój... Podniecony jesteś alkoholem i nic więcej...
 — Być może... Ale czekaj, czekaj, już wiem...
 — Mianowicie?
 — Ten mężczyzna, który jechał z Inką w dorożce... Tak, tak... Ta sama twarz,
 te same usta i oczy...
 Ekman wzruszył ramionami i mruknął:
 — Głupstwo...
 — Głupstwo, a jednak ciekawa rzecz...

(24)

Pogodny wieczór zimowy. Godzina siódma. Ryszard Ekman wyszedł z „Grand Café”. Zatrzymał się przez chwilę na stopniu, obserwując przewalający się przez ulicę tłum ludzi. Jasna plama na ciemnym tle. Twarzyczka Inki Swolkienówny mignęła mu przed oczami. Wrył się w skłębioną masę i po chwili dotarł do dziewczyny.

— Dobry wieczór, Inko...

— Ryszard?

Uśmiechnęła się przyjaźnie i podała mu rękę na powitanie. Odgarnął rąbek rękawiczki i przytknął usta do wyperfumowanego ciała.

— Co słyszać?

— Jak widzisz, żyję...

Na usta cisnęło mu się zgryźliwe pytanie: „Z kim?”. Pohamował się jednak i wszczął beztreściową, szablonową rozmowę. Opowiadał o ostatnich skandalikach łódzkich, sypnął kilka aktualnych anegdotek, zakomunikował jedną „nadzwyczaj sensacyjną historię” o żonie jakiegoś dyrektora banku, po czym zahaczył o Windhama.

— Słyszałem, żeście się trochę pokłócili...

— Tak...

— Poważnie?

— Jeżeli idzie o mnie, traktuję tę sprawę poważnie. Zerwałam z Karolem wszelkie stosunki.

Zaśmiał się.

— Pogodzicie się, pogodzicie...

— Nie — odparła stanowczym głosem.

Spojrzał na nią zdziwiony. Ściągnęła brwi i powtórzyła:

— Nie...

— I to wszystko przez tę Czarną Damę?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie ciągnij mnie za język... Domyślam się, że Karol i tak już ci wszystko powiedział. Nie czyni sobie ze mnie tematu do „skandalików towarzyskich”.

— Źle mnie rozumiesz, Inko — rzekł nieco urażony. — Jeżeli interesuję się tą sprawą, to tylko dlatego, że chciałbym bardzo, abyście się pogodzili.

— Szkoda gadania, nic z tego nie będzie.

Szli dalej w milczeniu. Ryszard wyczuł, że Inka chciałaby się pozbyć jego towarzystwa. Skręcili w ulicę 6 Sierpnia.

— Ma teraz randkę — pomyślał, spoglądając z ukosa na Swolkienównę.

Była bardzo zakłopotana i zagryzała nerwowo wargi. Pożegnał się i odszedł.

W tej samej chwili z jednej z bram wychyliła się ostrożnie głowa Salki. Widząc, iż młodzieniec zniknął już w ciemnej perspektywie ulicy, poprawiła na sobie chustkę i poszła w ślad za Inką.

Ani Ekman, ani jego towarzyszką nie przypuszczali, że byli przez cały czas śledzeni. Salka chodziła za nimi krok w krok w nieznacznym oddaleniu.

W sercu dziewczyny szalała burza:

— Więc to jest ona, jego narzeczona. Jak czule do niej przemawia, jak serdecznie się uśmiecha. Teraz przystanęli, żegnają się.

Salka wskoczyła czym prędzej do bramy i myśli gorączkowo, co dalej czynić. Czy iść za nim i z nim załatwić sprawę, czy też za nią. Wybrała to drugie.

Da sobie łatwiej radę z kobietą, a zresztą on jest jej przecie miłszy. Nie ma sumienia, by mu zrobić co złego.

Teraz wyszła z bramy i już zupełnie śmiało idzie za tą szczęśliwą. W lewej ręce zaciska kurczowo buteleczkę z kwasem solnym. Otuliła się szczelnie chustką, by nikt nie dostrzegł, co trzyma. A tamta idzie prędko, niemal biegnie tak, że Salka z trudnością może nadążyć.

Potyka się co chwila i zderza raz po raz z jakimś przechodniem, gdyż nie przestaje przez cały czas myśleć:

— Jak to wszystko zrobić? Bez słowa podejść i chlusnąć żrącym płynem w twarz? Nie, taka zemsta nie ma uroku. Ona chciałaby przedtem pomówić, żeby tamta wiedziała, dlaczego to się stało. Że to przez miłość. Jak ja nie, to i ty nie. Dlaczego ty lepsza ode mnie? Że robisz to w modnej sypialni czy w salonie, a ja u Cioci Głafiry na żelaznym łóżku? Że ty za suknie, klejnoty, kolacje, a ja za gotówkę? Dlaczego tak ma być na świecie, że jednemu jest za dobrze, a drugiemu podle, jak już gorzej być nie może... Jak ja nie, to i ty nie...

Salka wie już, co zrobi. Podejdzie do niej i poprosi do bramy na chwilę rozmowy. Wszystko jej powie, a potem pryśnie w twarz i ucieknie. Jak złapią — to złapią, jak nie — jeszcze lepiej.

Trzeba tylko poczekać na odpowiedni moment. Są już teraz na Alei Kościuszki. Nagle Salka widzi, jak ta pani wchodzi do jednej z bram. Przyspieszyła kroku — niemal pędem wpadła za nią.

Ale tu — nieoczekiwana przeszkoda — dozorca. Stoi z miotłą i flegmatycznie zamiata bramę. Na elegancką panią w kapeluszu spojrzał obojętnie, jednakże dziewczyna w chustce, niespokojna, z rozgorączkowanymi oczami, wzbudziła w nim nieufność.

— Hej, panna, a dokąd to?

Salka zatrzymała się w miejscu zdezorientowana, zbита z tropu. Przez kilka sekund stała z na wpół otwartymi ustami, nie wiedząc co powiedzieć. Wreszcie wykrztusiła drżącym głosem:

— Niby ja? Służąca jestem tej pani.

— Tej, co tu weszła?

— No, chyba...

Dozorca pokiwał głową i nic nie odpowiedział. Salka wbiegła pośpiesznie do klatki schodowej. Biegnie szybko, przeskakując po kilka schodów naraz. Słyszy tam w górze kroki owej kobiety, potem chrobot otwieranych drzwi. Nie zdążyła.

Zakłęta szpetnie, nie wiedząc co teraz czynić. Dałaby już wszystkiemu dzisiaj spokój i wróciła do domu, ale nie może pokazać się przed dozorcą. Zeszła cicho po schodach na półpiętro i nasłuchuje, czy jest jeszcze w bramie i zamiata.

Wbiegła z powrotem na górę. Usiadła na krawędzi okna, bo nogi się pod nią trzęsły z wielkiego podniecenia.

A co będzie, jeśli ją jakiś lokator zauważy i powie stróżowi, że po schodach włóczy się „dziewka”? Bo to rzeczywiście trochę podejrzanie wygląda.

Nic by jej co prawda zrobić nie mogli, bo do głowy nikt nie wejdzie i nie przeczyta myśli. Ale ta faszka z kwasem solnym. Więc Salka szuka oczami miejsca, gdzie by ją podrzucić. Ot, do tego koszyka od śmieci. Teraz jest już zupełnie spokojna.

Nagle słyszy jak drzwi, za którymi zniknęła tamta panna, otwierają się. Wyszedł z nich mężczyzna w eleganckim futrze, w wysokiej czapce fokowej. Dostrzegł dziewczynę i spojrzał na nią badawczo.

Salka oblała się rumieńcem i stoi w miejscu jak skamieniała. Nie wie co zrobić, co powiedzieć. A on patrzy na nią i nic nie mówi. Boże, jakie okropne oczy!...

Wwiercają, zda się, jak świder do mózgu i wysysają świadomość. Chciałaby dziewczyna uciec od nich jak najdalej, ale nie czuje władzy w nogach. Jakby w ziemię wrosła. W tym samym momencie zauważyła na ustach mężczyzny czerwoną plamę. Krew, krew...

Serce przestało bić z przerażenia. Jak przez mgłę widzi, że mężczyzna zbliża się do niej i ujmuje ją za rękę... Przemogła się w sobie i mówi:

— Nie, nie, nie chcę...

— Chodź... Chodź...

— Nie, nie...

Wyrwała się z jego uścisku i dopadła poręczy. Zbiegła w dół, a on za nią. Na ulicy czuła się bezpiecznie.

Mroźne powietrze otrzeźwiło ją trochę. Pędem puściła się naprzód. Czuła, że ten straszny człowiek chodzi za nią krok w krok, ale bała się obejrzeć.

Światła latarni rzucają od czasu do czasu przed nią cień jego sylwetki.

— Boże, co się ze mną dzieje... — myśli Salka, obejmując głowę dłońmi.

Musi okropnie wyglądać, bo ludzie się za nią oglądają i wzruszają ramionami. Jakiś żołnierz przystanął i mruknął:

— To się dziewczucha urzęnęła, no, no...

A ona nic nie słyszy, nie widzi, pragnie tylko jednego — dostać się jak najprędzej do domu. Jest już na Zachodniej, na Zawadzkiej. Przecięła Piotrkowską i wbiegła w Południową. Już widzi trzypiętrową kamienicę, w której mieszka Ciocia.

Nagle czuje, jak ktoś ją łapie za ramię. Obejrzała się — Kazia.

— Salka, co z tobą?

— Nic, nic...

— Co ty, jak durna, latasz po ulicy...

— Do domu idę...

— Aha... Gościa masz...

— Nie zauważyłam...

Usunęła się dyskretnie na bok. Obok Salki stał mężczyzna w eleganckim futrze i fokowej czapce.

(26)

— Pójdę z tobą, malutka... — szepnął, nachyliwszy się do jej ucha. — Dam, ile zechcesz...

Ale Salka nie odpowiedziała mu ani słowa i wbiegła do bramy. Jak szalona wpadła na schody i zapukała nerwowo w drzwi. Otworzyła jej Ciocia.

— Boże święty, oszalałaś! Myślałam, że zbóje!... Drzwi o mało nie rozwaliłaś...

— Nic się nie stało... Uciekałam...

Zublinowa dopiero teraz zauważyła, że dziewczyna jest niezwykle blada i ledwo trzyma się na nogach.

— Przed kim uciekałaś?

— Potem powiem, potem...

Wbiegła do swego pokoju i rzuciła się na łóżko, dysząc ciężko ze zmęczenia. Tymczasem u drzwi wejściowych rozległ się dzwonek. Ponieważ Raja wyszła jeszcze przed godziną po sprawunki, Zublinowa musiała sama otworzyć. Do korytarza wszedł średniego wzrostu jegomość w bardzo eleganckim futrze i zapytał grzecznie:

— Czy można?

— Owszem, proszę bardzo — odparła Ciocia, w lot oceniając wysoką wartość gościa.

Uczyniła z wyszukany wdziękiem zapraszający gest.

— Pan do moich dziewczynek, prawda?

— Tak, do tej czarnej Żydóweczki...

— Aha, do Sali...

— Sądzę, że to ta sama...

Wprowadziła przybyłego do saloniku, po czym uchyliła drzwi, wiodące do pokoju Sali, i szepnęła:

— Salka, gość przyszedł!...

Następnie wróciła i poczęła zabawiać gościa rozmową, chcąc widocznie dać dziewczynie czas do przebrania się w wizytową suknię. Ale mężczyzna nie okazywał chęci do konwersacji, wobec czego Ciocia musiała zamilknąć, poważnie urażona tym niezbyt dżentelmeńskim postępowaniem...

— Może pan się czegoś napije? Likierku, winka?

Gość skrzywił się niesmacznie.

— Nie... Chyba, że ma pani czystą.

— Ależ proszę bardzo...

Wybiegła do kuchni, skąd po chwili wróciła z odkorkowaną butelką i kieliskami w ręce.

— Póki się dziewczynka nie przebierze — mówiła, stawiając wszystko na stół — może pan się sam poczęstować. Potem zaniósę wam do pokoju...

Mężczyzna nic nie odpowiedział i wziął flaszkę do ręki. Obejrzał ją pod światło, przytknął szyjkę do ust, przechylił w tył głowę i począł pić. Ciocia oniemiała po prostu ze zdumienia, szeroko otwierając oczy.

Widziała już dużo „śmirusów”, ale z podobnym rekordzistą zetknęła się po raz pierwszy. Gdy po chwili gość postawił na stole półlitrową butelkę, dno było pokryte cienką warstwą płynu.

— Boże święty! — zawołała Zublinowa, nie mogąc powstrzymać okrzyku zdumienia.

Z zajęciem przyglądała się twarzy gościa.

— Ładny chłop... — pomyślała. Zauważyła na lewym policzku tuż obok ust czerwoną plamę jakby od krwi.

— Pan się skaleczył...

— Gdzie? — gość zmieszał się bardzo i wyjął z kieszeni lusterko. Naślinił chustkę i wytarł policzek.

Po chwili zapytał:

— Co się stało z panienką? Powinna już być gotowa...

— Zobaczę...

Stwierdziwszy, że Salka zdążyła się już przebrać, Zublinowa wróciła do saloniku i rzekła:

— Proszę... Gotowa...

Mężczyzna podniósł się ociężale z krzesła i podążył do dalszych apartamentów.

— Trzeci pokój — poinformowała Ciocia.

Salka stała przed lustrem i poprawiała lśniąca grzywkę. Słyszając skrzypienie otwieranych drzwi, odwróciła się szybko i okrzyk przerażenia wyrwał się jej z piersi.

— A!

Przybyły przekręcił klucz w zamku.

— Cicho, głupia... Nie krzycz...

Podszedł do niej i ujął za rękę. Poglaskał ją delikatnie po trupio białej twarzy.

— Czego się boisz? Nic ci złego nie zrobię. Chcę się z tobą zabawić jak każdy inny. Zapłacę i odejdę.

— Nie... nie chcę... — wybełkotała z wielkim wysiłkiem.

— Musisz... Tobie nie wolno nie chcieć, kiedy ja chcę...

Przygarnął ją ku sobie i począł całować jej oczy.

Broniła się resztkami sił, starając się uwolnić z jego objęć. Ale on trzymał ją krzepko i wiódł w stronę łóżka.

Szarpnęła się i wyrwała z jego rąk. Była już przy drzwiach, ale on targnął ją brutalnie za rękę, aż zatoczyła się w miejscu i runęła na podłogę.

Cichy jęk wydobył się z jej piersi, gdy ujrzała nad sobą gorejące jakimś niesamowitym blaskiem oczy...

(27)

Komisariat policyjny. Ciemny, ponury pokój, oświetlony skąpo przez lampę z zielonym abażurem stojącą na stole. Za stołem siedzi dyżurny przodownik, Socha, i ziewa ze straszliwej nudy. Kreśli czerwonym ołówkiem jakieś zagmatwane figury na bibule.

Na ławce pod ścianą drzemie posterunkowy, oparłszy głowę o piec. Zegar powoli wydzwania jedenastą.

Z ust dyżurnego przodownika wydobywa się okrzyk zniecierpliwienia:

— Psiakrew, ohydna noc...

Posterunkowy zerwał się z drzemki i wyprężył jak struna.

— Słucham, panie przodowniku!...

— Nie do pana mówię...

Zaspany policjant nie tracił czasu na dalszą rozmowę i wrócił do przerwanego snu. W pokoju znów zaległa cisza, którą mąciło jedynie miarowe pukanie zegara.

Nagle drzwi wejściowe otworzyły się na oścież. Zimny prąd powietrza wtargnął do pokoju. Socha zerwał się na równe nogi.

— Kto tam?

Na progu stała jakaś starsza kobieta ubrana w wytarty pluszowy płaszcz, w zmiętoszonym kapelusiku na głowie, spod którego wзираły zlepięne kosmyki siwawych włosów.

Podeszła, utykając, do bariery i wyrzuciła z ust słowo:

— Zamordowałam...

Przodownik wybałuszył oczy. Posterunkowy podniósł się z ławki, oczekując ważkich rozkazów od swego przełożonego.

— Co jest? Co się stało?

— Zamordowałam... Proszę mnie aresztować...

Socha obrzucił spojrzeniem wątłą postać kobiety. Była biała, wzburzona. Pomyślał przez chwilę, że ma do czynienia z umysłowo chorą.

Podczas swojej pięcioletniej służby nie zetknął się jeszcze z podobnym wypadkiem, który go teraz wyprowadził po prostu z równowagi.

Wzrok jego padł na ręce przybyłej oparte o barierę. Widniały na nich obfite ślady zakrzepłej krwi. A więc nie wybryk obłąkanej kobiety, lecz straszna rzeczywistość.

— Panie posterunkowy!

— Słucham, panie przodowniku!

— Proszę zadzwonić do pana komisarza, jest teraz w kinie „Casino”.

— Rozkaz...

— Poważny wypadek. Niech tu natychmiast przybędzie...

— Rozkaz...

Posterunkowy skoczył do aparatu, a Socha przygotował papier do spisywania protokołu.

— Imię i nazwisko?

— Raja Anasjew...

— Wiek?

— Pięćdziesiąt dwa lata...

— Wyznanie?

— Prawosławna jestem...

— Co się stało?

— Zamordowałam...

— Kogo?

— prostytutkę, Salkę od Zublinowej.

— Gdzie to się stało?

— U tej właśnie Zublinowej, na Południowej numer ***... Przychodzę prosto stamtąd...

Starła się mówić spokojnie, choć głos drżał jej z wielkiego wzruszenia. Przodownik spojrzał w złe oczy zeznającej i pomyślał w duchu:

— Tak, nie kłamie... Ona zamordowała...

Tymczasem posterunkowy skończył rozmowę telefoniczną.

— Pan komisarz zaraz przybywa.

— Dobrze... Weźcie ze sobą dwu policjantów i pędźcie na Południową numer *** do Zublinowej. Mieszkanie obstawić i nikogo nie wpuszczać ani wypuszczać... Podejrzanych aresztować i trzymać aż do dalszych dyspozycji. Zrozumiano?

— Tak jest, panie przodowniku...

Posterunkowy zasalutował i wyszedł. Socha połączył się telefonicznie z pogotowiem, następnie z urzędem śledczym i z prokuraturą. Zaniechał dalszego spisywania protokołu, czekając na komisarza. Po upływie kilku minut wszedł do lokalu komisarz Raniewicz. Odebrał raport od dyżurnego przodownika, po czym przystąpił do badania kobiety.

Z zeznań Rai Anasjew wynikało, że mniej więcej przed pół godziną w domu publicznym należącym do Głafiry Zublinowej dokonała mordu na osobie prostytutki Salki. Nazwiska nie zna.

Zbrodni dokonała w ten sposób, że przegryzła ofierze tętnicę na szyi. Potem poczekała, aż nieszczęśliwa dziewczyna wyzionęła ducha, a następnie pobiegła do komisariatu, by oddać się dobrowolnie w ręce policji.

Zapytywana co do motywów swego potwornego czynu, odmówiła wyjaśnień, opisując natomiast szczegółowo okoliczności towarzyszące zbrodni. A więc weszła do pokoju dziewczyny, gdy ta już spała...

(28)

Przekreśliła kontakt, zbliżyła się do łóżka. Następnie odgarnęła z szyi śpiącej włosy i przegryzła zębami tętnicę. Salka nawet nie jęknęła.

Komisarz Raniewicz wzdrygnął się mimo woli, spojrzawszy z niejakim zdumieniem na kobietę, która z takim zimnym spojrzeniem opowiadała o swym przerażającym czynie.

W tej chwili rozległ się dzwonek aparatu telefonicznego. Komisarz ujął słuchawkę.

— Tu komisariat policji...

— Urząd śledczy... Komisarz Piasecki... Odstawić natychmiast kobietę, która popełniła morderstwo, do urzędu...

Raniewicz wydał odpowiednie dyspozycje, po czym udał się na miejsce zbrodni, na ulicę Południową.

Zeznania Głafiry Zublinowej

Protokół zeznań Głafiry Zublinowej, lat pięćdziesiąt trzy, przedstawiał się następująco:

„Pomiędzy godziną ósmą a dziewiątą wieczorem byłam sama w domu... Rāja Anasjewa, jak zwykle o tej porze, załatwiała gospodarskie sprawunki na mieście,

Emma Link poszła do matki, Kazia Ludwiczak — na randkę z narzeczonym, a Salka Blumenfeld miała przymiarkę u krawcowej...

Zostałam sama w domu... Zdrzemnęłam się na kanapce... Obudził mnie donośny dzwonek i silne pukanie w drzwi... Przestraszyłam się, myślałam, że bandyci... A to była Salka... Błąda jak trup, ledwo się na nogach trzymała.

— Co się stało? — spytałam.

A ona mi tylko powiedziała:

— Uciekałam...

— Przed kim?

— Potem wszystko powiem...

Więcej ani słowa. Uciekła do swego pokoju. Domyślałam się, że to może ją gonili alfonsi ze Wschodniej, którzy mają do dziewczyn jakieś stare urazy albo agenci z obyczajówki.

Długo się nad tym nie zastanawiałam, bo przyszedł akurat jakiś porządniejszy gość, który dopytywał się o Salkę. Powiedziałam mu, że dziewczyna jest wolna i zaprowadziłam go do jej pokoju. Sama położyłam się na kanapce, bo sądziłam, że wizyta zapowiada się na dłuższy czas.

Zanim zasnęłam, przyszła Raja. Była spokojna jak zwykle. Nie zdradzała żadnego podniecenia czy zdenerwowania. Powiedziałam jej, że u Salki jest gość i poleciałam go jej opiece. Miała uregulować z nim rachunek.

Potem zasnęłam. Spałam z jaką godzinkę, kiedy nagle — jakby pioruny zaczęły walić. Zrywam się z łóżka. To pukają do drzwi. Dziwię się, dlaczego Raja nie otwiera. Wbiegłam do kuchni.

— Raja! Raja!

Ale Rai nie było. Sama otworzyłam. Dwóch policjantów.

— Głafira Zublinowa? — pyta jeden z nich.

— Tak, ale co to ma znaczyć?

Jakieś złe przeczucie ścisnęło mi serce. A policjant mówi:

— Tu zamordowano dziewczynę...

Myślałam, że oszalał albo pijany.

— Gdzie? — wołam. — Gdzie zamordowano? Kogo?

— W tym mieszkaniu.

Weszli i oglądają się na wszystkie strony. Na progu do pokoju Salki stanęłam, jakby mnie kto obuchem w głowę uderzył. Słowa nie mogłam wypowiedzieć z przerażenia i okropnego strachu.

Cała ściana poplamiona krwią, na podłodze krwi tyle, że utworzyła się długa, dość szeroka struga. Salka leżała w łóżku, przykryta do połowy kołdrą.

Głowa zwisała bezwładnie tuż nad samą podłogą. Chciałam wejść do pokoju, ale policjanci nie pozwolili.

Powiedziałam im, że to zrobił na pewno gość, który był u Salki. Oni mi jednak powiedzieli, że nie, bo zamordowała jakaś starsza kobieta.

- Kto?
- Taka z czarnymi oczami, utyka na prawą nogę...
- Raja? — krzyknęłam przerażona.
- Nie wiemy, jak się nazywa... Ale mieszkała tutaj...
- Raja, Raja...

W saloniku na stole znalazłam dwadzieścia złotych i kartkę od Rai, w której pisała, że gość zostawił dwadzieścia złotych. Dalej zawiadamiła mnie w kilku słowach, że zamordowała Salkę i idzie na policję, by dać się aresztować.

Nie podała żadnych powodów, które ją do tego skłoniły. O ile wiem, Raja nie miała żadnej złości do dziewczyny, kłóciła się z nią rzadziej niż z Emmą i Kazią. Nie mogę się nawet domyślić, co było przyczyną tego strasznego czynu.

Cel rabunkowy jest wykluczony, bo gdyby Rai na zdobyciu pieniędzy zależało, to wiedziała, że ja mam ich więcej”.

(29)

Nazajutrz po opisywanych wyżej wypadkach Karol Windham i Ryszard Ekman siedzieli w „Grand Café” przy czarnej kawie. Z powodu wczesnej pory popołudniowej kawiarnia była niemal pusta. Tu i ówdzie siedział samotny gość i zajmował się bądź konsumpcją, bądź lekturą.

- Straszne, co się teraz na świecie dzieje — rzekł Ekman, odkładając „Express”.
- Masz na myśli morderstwo na Południowej?
- Tak... Ohyda, potworność... Stara kobieta zabiła młodą dziewczynę, przegryzając jej tętnicę... Niesłychane...
- Zdaje się, że to ta czarna Żydóweczka, która tak się do ciebie paliła...
- Tak, bardzo porządna dziewczyna...
- A ta Raja Anasjewa, co to za jedna?
- Ta, której się tak przyglądałeś, a która ci kogoś przypominała...
- Aha, już wiem... Okropna starucha... Zrobiła na mnie od razu fatalne wrażenie...
- Ciekawe, co ją skłoniło do popełnienia tego bestialskiego mordu... Policja nie może wydostać od niej żadnych zeznań w tym kierunku...
- Co do mnie, mam wrażenie, że to była zemsta.
- I ja tak sadzę, chociaż... Ale patrz, komisarz Piasecki... On nas najlepiej poinformuje. Pozwolisz, że go poproszę do naszego stolika, dobrze?
- Proszę bardzo...
- Ekman podszedł do komisarza, który, stanąwszy przy drzwiach wejściowych, rozglądał się bacznie po sali.
- Dzień dobry komisarzowi...
- A, moje uszanowanie...
- Uściśnęli sobie dłonie na powitanie.

— Pan komisarz, jak widzę, kogoś szuka...

— Znajomych, nie lubię sam siedzieć przy stoliku...

— A więc świetnie się składa... Zapraszam do mojego.

Piasecki przywitał się z Windhamem.

— Co słysząc, bohaterze „czarnej zagadki”?

— Dziękuję. Czuję się znacznie lepiej aniżeli wtedy, kiedy mnie pan badał w szpitalu...

— Sądzę — zaśmiał się Piasecki.

— *À propos* — wtrącił się do rozmowy Ekman — co słysząc ze sprawą Czarnej Damy?

— Na razie utknęliśmy w martwym punkcie... Mam nadzieję, że dzisiaj posunę się dalej...

— Dlaczego?

— Maskarada. Może przyjdzie.

— Aha, prawda. Ale były przecie już od owego czasu dwie maskarady, a Czarna Dama nie przysła.

— Mam przeczucie, że dzisiaj przyjdzie.

— I ja także... — wyrwał się Windham.

Piasecki spojrzał nań z uśmiechem i nic nie odpowiedział. Ekman mrugnął znacząco prawym okiem, po czym łyknął kawy i zapytał:

— A co tam nowego z tym morderstwem u Zublinowej? Czy ta starucha powiedziała już, dlaczego zabiła?

— Raja Anasjewa?

— Tak...

— Ona wcale nie zabiła — odrzekł komisarz.

— Jak to? — zawołali jednocześnie obaj młodzieńcy.

— Takie jest moje przekonanie — mówił Piasecki, zapalając papierosa. — A mówię to na tej zasadzie, że dzisiaj nad ranem na placu Hallera znaleziono młodą dziewczynę, zamordowaną w identyczny sposób, to jest przez przegryzienie tętnicy na szyi... Jak stwierdził lekarz, morderstwo zostało dokonane jeszcze wczoraj... Wszystko wskazuje na to, że działał tu osobnik seksualnie patologiczny, sadysta, gdyż obie ofiary, co wykazała sekcja, znajdowały się w momencie mordu w stanie ekstazy miłosnej.

— Więc sądzi pan — przerwał Ekman — że obu zbrodni dokonała jedna i ta sama osoba?

— Bezwzględnie... Na to wskazuje „system” — identyczny do najdrobniejszych szczegółów w obydwu wypadkach. Natychmiast po znalezieniu trupa na placu Hallera zbadałem Anasjewą. Zaprzeczyła kategorycznie, jakoby miała coś wspólnego z tym mordercą. Pokazałem jej fotografię zabitej. Nie знаła nawet tej kobiety.

— A kim jest właściwie zamordowana?

— Nie wiem. Nie znaleźliśmy przy niej żadnych dokumentów, które mogłyby stwierdzić identyczność... Jak wynika z ubioru, musiała to być kobieta z wyższych sfer...

— No, no, ciekawe... — rzekł Windham.

— Sfotografowaliśmy trupa i mamy zamiar dać fotografię do „Expressu”. Może ktoś pozna i ułatwi nam przez to śledztwo.

— Ma je pan przy sobie?

— Tak...

— Można obejrzeć?

— Proszę bardzo.

Piasecki wyjął z kieszeni kopertę. Wyciągnął z niej fotografię i podał Windhamowi. Ten wziął ją do ręki i począł oglądać. Nagle zatrzęsł się cały, zbłądł i krzyknął bezdźwięcznie:

— Inka!

— Co?! — Ekman chwycił fotografię.

— Swolkienówna!

(30)

Była to rzeczywiście fotografia trupa Inki Swolkienówny. Windham przyglądał się błędnym okiem zastygłej w grymasie bólu twarzy swej byłej narzeczonej. Na wpół rozchylone usta, z których wзираły dwa rzędy białych zębów, zdawały się jeszcze teraz wzywać ratunku. Oczy szeroko rozwarte, bez wyrazu, spoglądające przed siebie jakby ze zdumieniem.

Cała głowa opadała bezwładnie na prawe ramię. Z lewej strony szyi widniała ta czarna, duża plama. Było to widocznie miejsce, w którym została przegryziona tętnica. Na policzkach, na obnażonych piersiach i ramionach te same czarne plamy.

Zdjęcie zostało wykonane, gdy trup leżał jeszcze na placu. Na drugim planie widniała jeszcze sylwetka uzbrojonego w karabin policjanta.

Karol odsunął od siebie fotografię i opadł bezwładnie na oparcie kanapki. Objął dłońmi głowę i powtórzył kilkakrotnie:

— Boże, Boże...

Ekman milczał, paląc nerwowo papierosa. Piasecki wyjął z kieszeni ołówek i napisał na odwrotnej stronie fotografii: „Inka Swolkienówna”.

Następnie począł mówić dalej:

— Nie tylko te dwa morderstwa przypisuję owemu zagadkowemu zbrodniarzowi — sadyście. Przypominacie sobie pewno panowie, że niedawno znaleziono na tym samym placu, w tym samym niemal miejscu, odurzonego podskórnym zastrzykiem Juliana Waldera, urzędnika bankowego, który do dnia dzisiejszego nie odzyskał przytomności mimo energicznych zabiegów lekarzy. Wszystkie te trzy wypadki mają tyle wspólnych cech zewnętrznych, że siłą rzeczy narzucają

przypuszczenie, iż działał tu jeden i ten sam osobnik. Podczas jednak, gdy pobudki, jakimi się kierował przy dwóch ostatnich wypadkach są znane, pierwszy pozostaje na razie dla mnie niewytłumaczoną zagadką.

— Jeżeli zaś idzie o mnie — rzekł Ekman — nie rozumiem, dlaczego ta Raja Anasjewa twierdzi, że ona przegryzła dziewczynie tętnicę...

Piasecki wzruszył ramionami:

— Tego i ja nie wiem, ale przypuszczam, że czyni to, by ratować właściwego mordercę, który może być na przykład jej krewnym czy czymś w tym rodzaju...

— Wiem! — krzyknął nagle Windham, zrywając się na równe nogi. — Wiem, kim jest potworny zbrodniarz...

Komisarz i Ekman spojrzeli nań ze zdumieniem. Trząsł się cały i wymachiwał nerwowo rękami.

— Pan ma rację, panie Piasecki! Wszystko zgadza się z tym, co pan mówił. Tak! Tak! Teraz już rozumiem.

Z trudem zdołał go Ryszard uspokoić i posadzić z powrotem na miejscu.

— Słucham pana... — rzekł komisarz zelektryzowany słowami młodzieńca.

Karol odsapnął ciężko i zwrócił się do Ekmana:

— Pamiętasz, jak żeśmy byli owej nocy w lokalu Zublinowej? Drzwi otwierała nam ta Raja, prawda?

— Tak.

— Pamiętasz, jak mnie zastanowiło jej podobieństwo do jegomościa...

— ...który jechał w dorożce z Inką... — dokończył pośpiesznie Ryszard.

— Tak. Masz rację.

— A więc widzisz. Komisarz mówił, że ta starucha bierze na siebie winę, bo chce kogoś bliskiego ratować. To niezwykle podobieństwo mówi, że jest to brat albo syn...

— Zupełnie słusznie... Pan mi poda rysopis tego osobnika, a ja zbadam jeszcze raz Głafirę Zublinową. W swych zeznaniach wspominała ona o jakimś osobniku, który na krótko przed wykryciem zbrodni bawił u prostytutki Salki. Mężczyznę tego uważam od pierwszej chwili za właściwego mordercę.

— Wzrostu nie mogę określić — rzekł Windham — bo siedział w dorożce. Twarz pełna, smągła, starannie wygolona. Bardzo ładna. Oczy złe, bystre, przenikliwe. O ile jeszcze pamiętam — czarne albo brązowe. W każdym razie ciemne. Mogłem mu się dokładnie przyjrzeć, gdyż jechałem wtedy tramwajem, wzdłuż którego mknęła owa dorożka.

Komisarz notował skrzątknie na skrawku papieru słowa Karola.

— A jak był ubrany?

— W futro i wysoką, futrzaną czapkę...

— To jest ten sam — zawołał Piasecki — o którym mówiła Głafira Zublinowa. Wszystko więc przemawia za moimi przypuszczeniami.

Triumfujący uśmiech rozjaśnił twarz komisarza. Podniósł się i począł się żegnać z młodzieńcami.

- Wychodzę także — rzekł Windham.
- Dokąd? — zapytał Ryszard.
- Muszę jeszcze kupić koszulę na dzisiejszą maskaradę...
- Więc jednak pójdziesz? — zdziwił się Ekman.
- Tak — odparł Karol stanowczym głosem.

(31)

Czarne domino

Na spokojnej zazwyczaj ulicy Prezydenta Narutowicza panował ruch niepowседневni. W stronę gmachu filharmonii ciągnął nieprzerwany tłum dorożek, a i na chodnikach roiło się od przechodniów, udających się na maskaradę.

Głośnie, swobodne rozmowy, wrzaski trąbek samochodowych i nawoływania dorożkarzy stwarzały ten dziwny nastrój nocy karnawałowej, któremu każdy młody człowiek poddać się musi. Ba, nie tylko młody. Wśród różnobarwnego tłumu, zdążającego na dzisiejszy bal maskowy, niemało było przedstawicieli obu płci, poważnie już obarczonych latami.

Ale szło to wszystko raźnie naprzód — bez względu na wiek i stanowisko społeczne. Ledwo rozkwitła szesnastolatka obok matrony w balzakowskim wieku, tłuściutka kuchareczka obok damy z towarzystwa, młodszy ekspedient obok dyrektora banku.

Panie były przeważnie w maskach, jak tego wymagali organizatorzy „Nocy na księżycu”, najelegantszej, najwspanialszej (według zapewnień plakatów) maskarady w bieżącym karnawale. Pod samym gmachem filharmonii stworzył się już żywy zator, z którym nie mogli sobie dłużej dać rady trzech policjanci.

Tłum gapiów obserwował z bezmyślną ciekawością wchodzące do wnętrza „maseczki”, wyrażając na głos złośliwe uwagi:

— Spójrz no, Moryś, na tę maskę... To jest przyjaciółka mojej babki nieboszczki.

— Maseczko, obcas zleciał... Ot, tu, tu, tu...

— Rety, ale chudy babsztyl... Dmuchać, a przewróci się... Że też i takie mają nadzieję na powodzenie... Koniec świata...

Spostrzeżeniom tym towarzyszyły za każdym razem wybuchy śmiechu zebranej gawiedzi. Policjanci pracowali z godną podkreślenia gorliwością.

— Rozejść się, rozejść! Nie tamować ruchu! Rozejść się!

Nie na wiele jednak przydawała się interwencja przedstawicieli władz bezpieczeństwa. Tłum wyparty z jednego punktu, zbierał się pod drugim.

Spisano kilka protokołów, a dwóch zbytnio awanturujących się jegomości odprowadzono nawet do komisariatu.

Sytuacja uległa dopiero widocznej poprawie o godzinie wpół do drugiej, kiedy zziębnięci „manifestanci” poczęli coraz liczniej opuszczać „stanowiska”.

Nie było zresztą już po co czekać, gdyż gości przybywało teraz coraz mniej.

Wtedy to przed wejściem zatrzymała się taksówka, z której wysiadł Karol Windham w towarzystwie Ekmana. Oddali wierzchnie okrycia do szatni i udali się na główną salę.

Stanęli w drzwiach, uderzeni niespotykanym dotychczas bogactwem i oryginalnością dekoracji.

Twórcza fantazja artysty zmieniła salę na zawieszoną w przestworzach niebieskich planetę. Jakieś egzotyczne rośliny, palmy i kwiaty zwisały z balkonów i pięły się dokoła kolumn. Wystylizowane domki, w których mieściły się bufety albo kolektury loterii fantowej, wznosiły się tu i ówdzie, ciesząc się wielkim powodzeniem. Sufit miał wyobrażać przestrzeń międzyplanetarną, upstrzoną niezliczoną ilością gwiazd i planet.

Całość przedstawiała się bardzo efektownie i imponująco.

Tańczono dużo, lecz z trudnością poruszano się po obszernej przestrzeni.

Nasi przyjaciele rozglądali się ciekawie dokoła. Ekman szukał znajomych, a Windham — jej, Czarnej Damy, dla której właściwie przybył na dzisiejszą maskaradę. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo znajduje się pod wpływem jej tajemniczego czaru. Serce biło mu gwałtownie, gdy przebiegał wzrokiem tłumy rozbawionych gości. Jej jednak nie dostrzegał.

Zwrócił się do Ekmana:

— Zajmiemy stolik, dobrze?

— Owszem — zgodził się pytany.

Usiedli i zamówili trunki. Przez cały czas Karol nie zaprzestał gorączkowych poszukiwań czarnego domina. Wśród stłoczonej masy zauważył jakąś znajomą twarz. Przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że jest to komisarz Piasecki, ubrany po cywilnemu. Nosił elegancki smoking i lakierki.

— I ten się przebrał na maskaradę — po swojemu rzekł Windham.

— Kto? — zapytał Ekman.

— Ten twój komisarz...

— Piasecki? Aha, widzę go... Na stanowisku. Dzielny chłop...

— Na stanowisku? Nie rozumiem...

— Czy sądzisz, że przyszedł tu się bawić?

— A po co?

— Po Czarną Damę. Nie opuszcza od owego wypadku z tobą ani jednej maskarady.

Karol mruknął coś pod nosem i wychylił kieliszek koniaku. Zrobiło mu się nieprzyjemnie gorąco. Jakaś duszność legła na piersiach i męczyła go niewymownie. Przypisywał to osłabieniu po chorobie.

— Wyjdę trochę na schody... — rzekł do swego przyjaciela.

— Co ci znowu strzeliło do głowy?

— Duszno mi. Zaczepnę trochę świeżego powietrza i wrócę.

Podniósł się i, przeciskając się z trudem poprzez tłum tańczących, wydostał się na schody. Oparł się o barierę i zapalił papierosa. Było tu zupełnie pusto. Nic dziwnego. Zabawa wrzała już w całej pełni. Nagle usłyszał dochodzące go z dołu jakieś kroki.

Odwrócił się i zadrżał na całym ciele.

(32)

Ujrzał zbliżające się w jego kierunku Czarne Domino. Dama miała spuszczoną głowę, więc go jeszcze nie zauważyła. Zbiegł ku niej i chwycił ją za rękę.

— Olga — szepnął, wcisnąwszy usta w czarne rękawiczki.

Spojrzała nań swymi przepastnymi oczami, w których krył się jakiś lęk.

— Kto to? Aha, Karol...

Mocniej uściśliła jego dłoń. Windham drżał z wielkiego wzruszenia.

— Olga, Olga...

— Cicho... pst... — obejrzała się podejrzliwie dokoła. — Chodźmy na górę...

— Dobrze.

Chciał ją ująć pod ramię, ale nie pozwoliła. Stanęli już przy drzwiach, gdy nagle Karol zauważył w oddali smukłą sylwetkę Piaseckiego.

Przypomniał sobie, co mu Ekman mówił o celu bytności komisarza na dzisiejszej maskaradzie. Postanowił ratować Czarną Damę za wszelką cenę. Zatrzymał się w miejscu i ujął ją przemocą pod ramię.

— Chodźmy stąd, prędzej...

— Dlaczego? — zapytała, otwierając szeroko oczy ze zdumienia.

— Potem pani wszystko powiem, teraz nie ma czasu...

Pociągnął ją niemal siłą za sobą, bo mu się zdawało, że Piasecki ich zauważył. Zbiegli szybko po schodach i wpadli do stojącej przed filharmonią taksówki.

— Dokąd? — zapytał szofer, zatraskując drzwiczki.

— Wszystko jedno — rzucił Windham pośpiesznie. — Byle naprzód...

Gdy ruszyli z miejsca, zauważył, jak Piasecki w towarzystwie Ekmana i jakiegoś jegomościa w bekieszy zbiegał po schodach. Domyślił się, że ich gonili, bo zatrzymali jakąś taksówkę i wsiedli do niej.

Przechylił się więc do szofera i, wciskając mu do ręki banknot dziesięciózłotowy, rzekł:

— Pędź pan bocznymi ulicami, bo na Piotrkowskiej zatrzymają nas za szybką jazdę... Pędź pan ile sił, prędzej, prędzej...

Potem przez tylne okienko obserwował goniący ich samochód. Przestrzeń, jaka ich odeń dzieliła, wydłużała się coraz bardziej, aż po kilku skrętach nie widać było już zupełnie reflektorów.

— Dobra nasza — mruknął Windham do siebie, sadowiąc się wygodnie obok swojej towarzyszki.

— Co się stało? — zapytała drżącym z lekka głosem.

Opowiedział jej w kilku słowach przyczyny ucieczki. Dama była tym wszystkim bardzo przestraszona. Nie rozumiała jeszcze dokładnie, o co się rozchodzi.

— Więc czego chcą ode mnie? Jestem przecie zupełnie niewinną.

— O tym wie pani i ja, ale nie chce wiedzieć Piasecki. A zresztą nie chce może wcale aresztować pani, ale wybadać...

— Po co? Ja nic przecie nie wiem. Nic, nic... Uprzedzałam wtedy pana, żebyś się miał na ostrożności, że mój mąż to straszny człowiek...

— Mówiłem mu o tym wszystkim... To jest zresztą jego obowiązek, by wy dostać od pani zeznania...

— Jakże? Nie znam przecie mego męża, nie wiem, gdzie się teraz znajduje.

Windham spojrział na nią zdumiony, ale nie wiedząc, czy kpi z niego, czy oszałała. Ona zaś widząc jego zdumienie, mówiła dalej:

— O moim mężu wiem tylko jedno: że czyha na mnie, że pragnie nie tylko mojej zguby, ale i tych, którzy mnie dotkną... Wtedy strzelał do pana w gabinecie. Nie widziałam go... Przyszedł nagle, jak zawsze... Co się ze mną działo — nie wiem. W domu tylko znalazłam list, w którym mi donosił, że zabił tego, który śmiał sięgnąć po moją miłość... Więcej nic nie wiem. Myślałam, że pan nie żyje. Cieszę się bardzo, że pana widzę...

Łkanie wydobyło się jej z piersi.

Rozpłakała się na dobre. Przyłgnęła z całej siły do jego piersi i objęła go za szyję. Starał się ją uspokoić. Domyślał się, że przeżywa jakąś tragedię, której jednak w żaden sposób nie mógł zrozumieć.

Mówiła mu o mężu, którego nie zna. Młodzieniec począł podejrzewać już zupełnie, że ma do czynienia z obłąkaną. Dla sprawdzenia swoich przypuszczeń starał się mówić o rzeczach obojętnych.

Odpowiadała zupełnie logicznie. Postanowił dać temu na razie spokój.

Tymczasem taksówka gnała całą siłą benzyny naprzód, podskakując niemiłosiernie po nierównościach bruku. Windham uchylił firanki i wyjrzał przez okno. Skonstatował, że znajdują się już poza miastem.

(33)

— Gdzie jesteśmy? — zapytał szofera.

— Na szosie Pabianickiej — brzmiała odpowiedź.

Windham zastanowił się co czynić. Do swego mieszkania jechać nie mógł, jeżeli zależało mu na tym, by oszczędzić nadal swojej towarzyszce przykrości. Nie ulega wątpliwości, że Piasecki posłał już tam agentów. A więc do niej.

— Pojedziemy do pani, dobrze?

Z otworów maski spojrzały nań przestraszone, szeroko rozwarłe oczy.

— Do mnie? Nie, nie wolno... Nie wolno...

Nie pytał o powody, wiedząc z góry, że i tak niczego się nie dowie od tej tajemniczej kobiety. Jechali przez dłuższy czas w milczeniu, mocno przytuleni do siebie.

Nagle do uszu Karola doszedł daleki, przytłumiony szum motoru samochodowego. Wyrzwał przez tylne okienko. W oddali migotały dwa reflektory.

— Może to Piasecki — błysnęło mu w mózgu.

Powziął decyzję w jednej chwili.

— Zawracać do miasta — zawołał do szofera.

Taksówka zwolniła biegu i zatoczyła ostre półkole. Owe dwa reflektory zbliżały się z wielką szybkością.

Po upływie kilku sekund dwa pędzące w przeciwnych kierunkach samochody zrównały się przez moment ze sobą. Mimo wielkiej szybkości Windham dostrzegł w mijającym go aucie komisarza i Ekmana.

I oni musieli go dostrzec, gdyż zawrócili również z drogi.

Po szosie mknęły teraz za sobą dwa samochody, jeden za drugim. Przerażliwy warkot wdzierał się w ciszę nocną.

Karol, który przez tylne okienko obserwował ścigającą go maszynę, skonstatawał, że przestrzeń zmniejsza się bezustannie.

— Dogonią nas — mruknął do siebie.

— Dogonią? — szepnęła Czarna Dama, chwytając go nerwowo za rękę.

— Tak... Jadą prędzej od nas...

— Boże, mój Boże...

— Tak bardzo pani się boi?

— Boję się, ale nie ich...

— A kogo?

— Męża...

— Przecie go tutaj nie ma...

— Jest, jest — odparła nerwowo. — On jest wszędzie... Nie chcę, żeby mnie o niego pytali, bo nic im nie powiem... Nie dlatego, żebym nie chciała, ale dlatego, że nie wiem... A oni nie uwierzą... Niech mi pan oszczędzi przykrości, a nawet niebezpieczeństwa...

Złożyła ręce jak do modlitwy i spojrzała nań załzawionymi oczami. Nie mógł się oprzeć ich urokowi. Począł myśleć intensywnie nad sposobami ratunku...

Świtały mu w mózgu różne karkołomne pomysły, ale odrzucał je jako zbyt niebezpieczne i niedostatecznie pewne. Nagle zawołał z ożywieniem:

— Mam już sposób, mam...

— Słucham pana...

— Przebiorę się w czarne domino i wysiadę z samochodu. Rzucę się do ucieczki w przeciwną stronę. Wtedy oni będą na pewno mnie gonili, sądząc, że to pani. A pani tymczasem zdąży pojechać, gdzie tylko zechce.

Zastanowiła się przez chwilę nad jego projektem, po czym odparła:

— Dobrze... Ale maski nie zdejmę...

— Maska to głupstwo. Tak i tak jej nie zauważą. Grunt to domino.

— Dobrze...

— Więc szybko proszę się rozbierać, bo nie ma dużo czasu. Jeszcze kilka minut, a dogonią nas niezawodnie...

Zgasił lampę, gdyż o to prosiła i pomógł jej zdjąć domino, które wciągnął na siebie. Przedtem dał jej swój płaszcz i kapelusz.

— Stanąc na chwilę — zawołał do szofera — a potem znowu całą siłą naprzód według adresu, jaki wskaże ta pani...

Szofer kiwnął przytakująco głową.

Samochód zatrzymał się w miejscu, po czym pomknął naprzód. Karol pochwycił wzrokiem numer umieszczony pod czerwoną lampką: 1838.

— Przyda się... — mruknął do siebie.

Auto, w którym siedzieli Piasecki i Ekman, zbliżyło się na odległość kilkunastu kroków.

Silne reflektory oświeciły jakąś czarną postać niewieścią, która przygarbiona biegła w przeciwną stronę.

— A ot, masz ją pan! — zawołał Ekman.

— Kogo?

— Czarną Damę.

— Czy na pewno?

— Przysięgnę... Widziałem czarne domino... Musiało się coś stać... Stałmy...

— Stać!

Dwaj mężczyźni wyskoczyli z samochodu. Błysnęły nagle światełka lampek elektrycznych.

(34)

Wąskie pasmo światła padło na wysoką postać w czarnym dominie.

— Stać! — zawołał Piasecki, machinalnie sięgając po rewolwer.

Domino zatrzymało się w miejscu. W chwilę potem z ust Ekmana wydarł się okrzyk zdumienia:

— Karol!

— Tak, to ja — odparł Windham spokojnie.

— Pan Windham? — zdziwił się z kolei komisarz.

Na ustach młodzieńca pojawił się z lekka drwiący uśmiech.

— A gdzie jest Czarna Dama? — zapytał Ryszard, oglądając się na wszystkie strony.

— Pojechała tamtym samochodem do miasta.

Piasecki zagryzł wargi, by nie wybuchnąć.

— Pan postępuje co najmniej niewłaściwie, panie Windham — rzekł mocno wzburzonym głosem. — Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Powinienem właściwie pana aresztować...

— Za co?

— Za ułatwienie przestępcy ucieczki.

— Przestępca, panie komisarzu? Czyżby...

— Bezwzględnie — odparł twardo Piasecki.

Windham zaprotestował gorąco:

— Nie ma pan słuszności, pan jest w błędzie. Kobieta, z którą jechałem w samochodzie jest najzupełniej niewinna, jeżeli idzie panu o owe zajście w gabinecie „Teatralnej”.

Komisarz uczynił gest zniecierpliwienia.

— Nie pora teraz na dyskusję. Winna czy niewinna — sprawę tę bądź pan łaskaw pozostawić bardziej od siebie kompetentnym. Jedno mogę tylko panu powiedzieć: człowiek, który nic nie ma na sumieniu, nie będzie w tak przebiegły sposób unikał zetknięcia z policją.

— To ja to wszystko urządziłem. Ja ją namówiłem do tego przebrania...

— Dlaczego?

— Bo wiem, że kobieta ta nie ma nic wspólnego z tą sprawą, w którą usiłuje się ją wplątać... Jest pod terrorem swego męża i błagała mnie, bym nie dopuścił do głośnego skandalu. Uczyniłem to, o co mnie prosiła.

Komisarz mruknął coś pod nosem i siadł do samochodu. Ekman zajął miejsce obok niego, a Windham naprzeciwnie. Maszyna ruszyła z miejsca.

Piasecki był zdehumorowany i nerwowo palił papierosa. Nic dziwnego. Tyle czasu zmarnował, by nawiązać kontakt z tą tajemniczą damą w dominie, która mogłaby złożyć decydujące zeznania, a gdy już był u kresu uciążliwych poszukiwań, Windham popsuł mu całą robotę.

Spoglądał nań z ukosa, nie mogąc pohamować nurtującej go wściekłości. Nagle podskoczył aż na miejscu, zauważywszy, iż z jednej z fałd domina wystaje jakiś zapisany arkusik papieru.

— Pozwoli pan, panie Windham — rzekł, uśmiechając się zgryźliwie — że poddam pana osobistej rewizji...

— Co? — wykrztusił Karol, oblewając się purpurą.

Spojrzał pytającym wzrokiem na Ekmana, jakby oczekując odeń odpowiedzi, jak się ma wobec takiej sytuacji zachować. Ryszard był jednak niemniej poruszony nagłą decyzją komisarza.

Ten zaś zadowolony, że wywołał swoim oświadczeniem taką konsternację, uśmiechnął się pobłaźliwie i rzekł:

— Ta rewizja tyle jednak będzie miała wspólnego z panem, że nosi pan czarne domino, będące jedynym obiektem mojego zainteresowania. Krótko mówiąc, chcę poprosić pana o zdjęcie zapożyczonych szatek.

Widząc, że Windham zawahał się, Piasecki dodał sucho:

— Proszę, ale mam prawo żądać. Proszę to wziąć pod uwagę.

Młodzieniec zdjął z siebie domino i podał je komisarzowi. Ten wsunął rękę między fałdy. Znalazł tam dość obszerną kieszeń, z której wyciągnął małą, srebrną puderniczkę, szminki, ów zapisany arkusik papieru i kopertę.

Zarówno Windham, jak Ekman przyglądali się czynnościom komisarza z wielkim zainteresowaniem. On zaś zajął się czytaniem zdobytego listu.

Koperta nosiła jakiś dziwny adres:

„Olga Pożarowa
żona moja
przyjąć raczy”

(35)

Piasecki obejrzał uważnie kopertę, a nie znalazłszy w niej nic ciekawego dla siebie, odłożył ją na bok. Zabrał się do czytania listu.

Olgo!

Postanowiłem raz wreszcie skończyć z tym wszystkim. Długo się namyślałem, ale innego wyjścia nie widzę. Zbyt wiele przez Ciebie przecierpiałem, bym mógł Ci przebaczyć. Nie prosiłaś zresztą o to. Nie zdobyłaś się nawet na ten drobny wysiłek, by się jakoś wytłumaczyć, by mi w nadludzkich mękach ulżyć.

Mnie skąpiłaś nawet cienia swojej postaci, a innych szczerze obdarzałaś ciałem. Dla mnie nie starczyło jednego bodaj spojrzenia, inni natomiast mogli się do syta upajać Twoją miłością.

Uciekasz przede mną, kryjesz się — ja Cię jednak dosięgnę. A wtedy biada Ci, Olgo! Tylko we krwi Twojej znajdę ukojenie, tak jak we krwi tamtych dwóch znaleźć nie mogłem. Musisz zginąć. Żegnaj,

Twój mąż — Włodzimierz

Piasecki przeczytał list kilkakrotnie, nie mogąc się połapać w tej gmatwaninie.

— Jakieś osobliwe małżeństwo — mruknął do siebie, chowając list do kieszeni.

Miał już gotowy plan działania. W biurze adresowym zdoła odszukać miejsce zamieszkania owego Pożarowa, a wtedy zagadka zostanie wyświetlona. Chyba że, co nie jest rzeczą wykluczoną, ów Pożarow nie jest zameldowany pod prawdziwym nazwiskiem.

Komisarz Piasecki

Nazajutrz o godzinie dziesiątej rano komisarz Piasecki zjawił się w biurze adresowym, gdzie podano mu adres doktora Włodzimierza Pożarowa, zamieszkałego przy Alei Kościuszki numer ***. Piasecki triumfował. Wziął taksówkę i kazał się zawieźć pod zdobyty adres. Był w cywilnym ubraniu. Udał się do dozorczy domu, któremu pokazał blaszkę urzędową.

Stary Mateusz przyjął „honorowo” gościa z należytym szacunkiem, nie wiedząc po prostu, na czym go posadzić. Był bardzo przestraszony, choć mocno nadrabiał miną.

- Znacie dobrze wszystkich lokatorów? — zapytał komisarz.
- Niby z tego domu?
- Tak...
- Ho, ho!... Ja miałbym ich nie znać?
- A tego doktora Pożarowa?
- Też znam, naturalnie, że znam. Mieszka na froncie, drugie piętro, prawe drzwi.
- Co to za człowiek?
- Dozorca wzruszył ramionami i mruknął:
- Dziwny człowiek...
- Dokładniej gadajcie. Co znaczy dziwny?
- Sam nie wiem. Niby to doktor, a żadnego chorego jeszcze u niego nie widziałem. A forsy ma jak lodu. Zawsze bramowego złotówkę daje. Nigdy mniej. I niech pan komisarz sobie wyobrazi, że nawet służącej nie trzyma. Wszystko zwala na żonę.
- Aha, a ta żona?
- Nie znam jej. Cały dzień prawie w domu siedzi. Czasami wychodzi, ale taka obatuchana w jakieś szale, że mordy nie widać.
- A nie widzieliście jej w tym stroju?
- Mówiąc to, Piasecki rozpakował zawiniątko, z którego wyciągnął czarne domino.
- Tak. Ona niby zawsze w takich czarnych fatalaszkach chodzi. Czasami nosi maskę na twarzy. Późno wtedy wychodzi z domu, a nad ranem dopiero przychodzi. Wczoraj też. Mówi, że to na maskaradę. Ale diabli ją wiedzą.
- Sama chodzi na te maskarady czy z mężem?
- Sama. Nigdy jeszcze nie widziałem ich razem. Mąż jak z domu wychodzi, zawsze ją na klucz zamyka.
- Skąd o tym wiecie?
- Phi! Ja bym nie wiedział? A zresztą wszyscy lokatorzy się dziwią temu małżeństwu.
- A tak to u nich w mieszkaniu spokojnie?
- Spokojnie. Niby żadnych awantur nie było.
- Jak się wam zdaje, będzie ktoś teraz na górze?
- U doktora Pożarowa?
- Tak.
- Myślę, że będzie.

(36)

Piasecki podniósł się z miejsca.

- Chodźcie ze mną...
- Dokąd, panie komisarzu?
- Do tego Pożarowa.
- Już idę...

Narzucił na siebie kozuch, bo mróz siarczysty był na dworze, i wyszedł ze swojej izdebki. W bramie zagadnął Piaseckiego.

— Pan komisarz go zaaresztuje?

— Nie wasza rzecz... — brzmiała szorstka odpowiedź Piaseckiego, który się nad czymś głęboko zamyślił.

— To pewnie za komunizm — mówił niezrażony Mateusz — bo tak to porządny człowiek.

— Co? — zapytał komisarz, budząc się jakby ze snu.

— E, nie, tylko moim rozumem kalkuluję, że pan go chyba za komunizm aresztuje...

— Bo co? — zaciekawiał się Piasecki.

— Bo on niby jest z ruskich. Jak gada, to też ciągnie z ruska. A tam, to wiadomo, że wszyscy komuniści. Więc ja myślę...

Długo jeszcze stary dozorca bajdurzył, ale komisarz wcale go nie słuchał, zajęty swoimi myślami. Powoli wspinali się po schodach.

Piaseckiego ogarnęła jakaś dziwna trema. Nie wiedział, czemu ją przypisać. Szczwany lis policyjny, mający poza sobą niezliczoną ilość wypraw na groźnych bandytów, człowiek, który nie zawahał się swego czasu wejść do stodoły w Konstantynowie, gdzie ukryli się dwaj niebezpieczni opryszkowie, Sowa i Kolaszczuk, dzisiaj czuł się jakoś speszony.

— Co się ze mną stało? — pomyślał niespokojnie.

— Tutaj! — rozległ się nagle tubalny głos Mateusza.

Komisarz czuł wyraźnie, jak mu w piersiach serce pospiesznie łomocze.

— Zadzwońcie — rzekł do dozorczy.

Mateusz nacisnął guzik.

Za drzwiami — cisza.

— Jeszcze raz... Mocniej...

Bez skutku.

— Chyba dzwonek zepsuty — odezwał się dozorca.

— To zapukajcie...

Ale i pukanie, nawet bardzo mocne, nie na wiele się zdało.

— Nie ma nikogo — mruknął Piasecki.

— Chyba...

Komisarz zajrzał do dziurki od klucza. Klucz tkwił od wewnątrz.

— W mieszkaniu ktoś jest... Skoczcie po ślusarza... Znajdźcie go gdzieś blisko?

— Tak, w drugim domu...

— A więc — żywo!...

Mateusz zbiegł po schodach, jak mógł najszybciej. Po kilkunastu minutach wrócił w towarzystwie ślusarza. Jakie jednak było jego zdziwienie, gdy nie zastał na schodach Piaseckiego.

- Co się u licha stało?
- Niby z czym? — zapytał ślusarz.
- Ano z komisarzem...
- Może wszedł już do mieszkania?
- Może... Zapukam...

Walił we drzwi pięścią, ile mu sił starczyło. Nikt nie odpowiadał.

- Nie ma go tam...
- Pewnie sobie poszedł...
- Nie inaczej...
- Co więc zrobimy?

- Nie wiem. To już do nas nie należy — odparł sentencjonalnie dozorca.

Ślusarz zabrał swoje manatki, pożegnał się z Mateuszem i odszedł. A stary dozorca długo się jeszcze nad wszystkim zastanawiał w swojej izdebce.

— Hm... Tu jest coś niewyraźnego... A może ten „tajny” wcale nie jest „tajny”. Bo ten doktor Pożarow wygląda na zupełnie porządnego człowieka. Mosiężna blaszka — wielka rzecz. Jak złodziej jest sprytny to i mundur policyjski wytrzyma. Tu jest coś niewyraźnego. Będę musiał dzisiaj dać baczenie.

Łyknął dla animuszu spory haust wódki, wdział kozuch i wyszedł przed bramę. Oparł się plecami o mur i zapalił fajeczkę.

Stał tak kilkanaście minut, gdy usłyszał poza sobą czyjeś kroki. Obejrzał się i zetknął się oko w oko z lokatorem z drugiego piętra.

- A, pan doktor... — Mateusz otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

Pożarow spojrzał nań swoimi płomiennymi oczami, aż dozorcę gorąco od stóp do głowy oblało.

- Czego chcecie?

- A... a... niby... — zaczął się jąkać zmieszany.

Wówczas mężczyzna odsunął go na bok i poszedł swoją drogą. W ręce trzymał dość sporą walizkę. Zatrzymał przejeżdżającą dorożkę.

Mateusz usłyszał jeszcze słowa:

- Na Dworzec Kaliski — szybko!...

(37)

— Wyjeżdża? — zdziwił się dozorca. — Tak nagle, bez wymeldowania? Hm, w tym coś musi być... Skoczę do mieszkania.

W klatce schodowej uderzył go jakiś śwąd. Pospieszył, ile mu sił starczyło, na górę.

— Pali się! — krzyknął przerażony, stając przed drzwiami mieszkania doktora Pożarowa.

Ze wszystkich szpar wydobywały się szare smugi dymu. Mateusz pchnął drzwi, usiłując je otworzyć. Były zamknięte na zatrzask.

- Pali się! Pali się! — zaczął wołać jak opętany, zbiegając po schodach.

Ze wszystkich mieszkań wysypali się przerażeni lokatorzy. Zrobił się krzyk i gwar nie do opisania.

Dozorca tymczasem alarmował już telefonicznie o pożarze straży ogniową. Nie tracąc zbyt wiele czasu, pobiegł po ślusarza, by na razie dostać się do mieszkania i zająć się ratunkiem przed przybyciem oddziałów strażyackich.

Drzwi zostały wywalone w ciągu kilku minut. Energiczny dozorca wpadł na czele uzbrojonych w wiadra z wodą lokatorów do mieszkania.

W pierwszej chwili musieli się wszyscy cofnąć, nie mogąc znieść duszącego dymu, który się tu obficie nagromadził.

Jeden tylko Mateusz, nie tracąc zimnej krwi, wylał na siebie kubek wody i poprzez płonące już futryny drzwi, wtargnął do pierwszego pokoju.

Uderzyła go charakterystyczna woń benzyny.

— Podpalił, ścierwa... — błysnęło w mózgu dozorca.

Skoczył do okna i wybił szybę jednym uderzeniem pięści. Zimny prąd powietrza wdarł się do mieszkania, otrzeźwiając nieco Mateusza, któremu już tchu w piersiach brakowało.

W tej samej chwili wpadli do pokoju lokatorzy i poczęli zalewać wodą płonące sprzęty. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że ma się do czynienia z umyślnie wznieconym pożarem, na co wskazywał choćby już ten fakt, że płonęły rzeczy ustawione w różnych miejscach.

Ogień rozszedł się w zastraszająco szybki sposób, tak że kilku przezorniejszych lokatorów wycofało się zawczasu z niebezpiecznego terenu w obawie, by nie zostali odcięci od klatki schodowej.

Stary Mateusz pracował niezmordowanie, tłumiąc płomienie wodą i piachem. Nie na wiele się jednak jego praca zdała. Przesycone benzyną meble płonęły z suchym trzaskiem. Ogień wspinał się powoli po ścianach i zagrażał sufitowi.

Na szczęście rozległy się na ulicy sygnały trąbek strażyackich. Kilku strażaków wbiegło do mieszkania. Plutonowy, widząc dozorcę, zawołał:

— Tylko ten jeden pokój jest tutaj?

— Dwa...

— A tu drzwi zamknięte! Rozwalić!

Topornicy wzięli się do roboty. Na wpół już zwęglone drzwi nie stawiały długo oporu i przysły pod ciosami siekier.

Plutonowy wbiegł pierwszy. Była to sypialnia, w której ogień nie zrobił jeszcze takiego spustoszenia jedynie chyba z powodu braku dostępu powietrza.

Mimo to sytuacja była bardzo groźna, gdyż wszystkie meble, nie wyłączając łóżek, stały w ogniu. Założono gumy hydrantowe.

Nagle jeden ze strażaków krzyknął:

— Człowiek! Człowiek!

— Gdzie?

— W łóżku!

— Jezu! Przecie to komisarz! — wrzasnął Mateusz, spojrzawszy na leżącego na łóżku mężczyznę, na którym tliło się już ubranie.

Dwóch strażaków porwało na barki nieprzytomnego Piaseckiego i wyniosło z mieszkania. Rozluźniono na nim sznury, którymi był skępowany, i zajęto się ratunkiem.

Jednocześnie jeden z lokatorów pobiegł do telefonu, by zawiadomić pogotowie.

Komisarz odzyskał przytomność jeszcze przed przybyciem lekarza. Otworzył oczy i zdziwionym wzrokiem spojrzał dokoła.

Potał ręką czoło, jakby chcąc w ten sposób zebrać rozpierzchłe na wszystkie strony myśli.

— Pali się jeszcze? — zapytał policjanta.

— Tak jest, panie komisarzu...

— Skoczcie na górę i powiedzcie strażakom, żeby postarali się przynajmniej uratować fotografię, która stoi na biurku...

Policjant pośpieszył na górę, skąd po chwili wrócił z wiadomością:

— Biurko spłonęło.

— Psiakrew! — zaklął Piasecki, po czym zapytał: — A on uciekł, prawda?

— Kto, panie komisarzu...

— Doktor Pożarow...

— Uciekł, psia wiara — pośpieszył z odpowiedzią Mateusz.

— Widzieliście go?

— Widziałem. Wsiadł w dorożkę, kazał się zawieźć na Dworzec Kaliski.

— I nie próbowaliście go nawet zatrzymać?

— Nie. O niczym przecie nie wiedziałem.

— Prawda — odparł Piasecki i oparł się ciężko o ścianę.

Ledwo trzymał się na nogach z wielkiego osłabienia.

(38)

W Gdańsku

Komisarz Piasecki siedział w swoim gabinecie i przeglądał gazety. Wszystkie umieściły obszerne opisy jego przygody w domu doktora Pożarowa.

— Spudłowałem, nie ma co — myślał, bębniąc nerwowo palcami po stole. — Nie powinienem był wejść wtedy do mieszkania. A ten opryszek sprytnie się urządził. Cały czas stał za drzwiami, a gdy tylko dozorca odszedł, otworzył. Niech go kule biją...

Tok myśli został przerwany przez dyskretnie pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołał komisarz.

Na progu stanął najzdolniejszy agent kryminalny, Włodziewicz, prawa ręka Piaseckiego.

— Jest co nowego, panie Włodziewicz?

— Owszem, telefonogram...

— Skąd?

— Z Gdańska...

Komisarz podniósł się raptownie z miejsca.

— No i co?

— W porządku...

— Jest?

— Tak... Nawet pod tym samym nazwiskiem.

— Jako doktor Pożarow?

— Tak jest, panie komisarzu...

— No, no... Taki naiwny?

— Początkowo, jak mi mówili, zgłupiałem. Dla pewności sprawdziłem rysopis...

— Zgadza się?

— Najzupełniej... Jest nawet w futrze i w tej wysokiej czapce...

— Aha... Może pan odejść...

Włodziewicz skierował się ku drzwiom.

— Zaraz, zaraz... Poczekał pan...

— Słucham...

— Sam jest czy z żoną?...

— Sam... Zajął jeden pokój...

— W hotelu?

— Tak...

— W jakim?

— „Palast Hotel”.

— Znam, znam... A dał pan polecenie, by się policja nim zajęła?...

— Tak... Mówiłem, żeby go strzegli... Jak mnie informowali, ma on zamiar wyjechać z Gdańska... Porozumiewał się z amerykańskimi biurami okrętowymi...

— W takim razie muszę się spieszyć...

— I ja tak sądzę...

— O której odchodzi pociąg do Gdańska?

— Za godzinę...

— Doskonale. Pojedzie pan ze mną...

— Do usług, panie komisarzu...

— Przygotuj pan wszystko do odjazdu...

Agent wyszedł z gabinetu.

Po upływie pół godziny auto urzędu śledczego zawoziło komisarza Piaseckiego i wywiadowcę Włodziewicza na Dworzec Kaliski. Kupili bilety drugiej klasy i wsiedli do przedziału.

W drodze roztrząsali plany dalszego działania.

O godzinie pierwszej w nocy stanęli w Gdańsku. Piasecki połączył się telefonicznie z dworcem z hotelem „Palast”, gdzie mu powiedziano, że doktor Pożarow wyprowadził się przed sześcioma godzinami z hotelu.

— Jedziemy na policję — rzekł komisarz do swego podwładnego, odkładając słuchawkę.

Wzięli taksówkę, która pomknęła chyżo ulicami miasta. W dyrekcji policji dano im zgoła niespodziewane informacje. Okazało się, iż agenci zgubili ślad doktora Pożarowa.

— W jaki sposób? — zapytał Piasecki, czując, że ogarnia go wściekłość.

— Policjanci sami nie wiedzą — odparł kierownik brygady kryminalnej, Lauterberger. — Nie umiem w żaden sposób wytłumaczyć, w jaki sposób to wszystko się stało.

— Co mianowicie?

Lauterberger odrzekł:

— Muszę panom powiedzieć, że ten Pożarow to bardzo sprytna bestia. Jest w Gdańsku, jak stwierdziliśmy, od trzech dni i codziennie zmienia hotel. Ostatnio mieszkał w „Palaście”. Dzisiaj o godzinie piątej po południu wyprowadził się. Agenci, którzy szli krok za nim, widzieli, jak wchodził potem do hotelu „Royal”. Po upływie pewnego czasu jeden z nich wszedł do portiera i zapytał się o Pożarowa. Ten odpowiedział, iż taki zameldował się i zajął pokój numer trzysta pięć. Agent udał się do numeru, chcąc stwierdzić, co gość robi. Zajrzał przez dziurkę od klucza, w pokoju nikogo nie było. Numerowy wyraził przypuszczenie, iż, być może, nowo przybyły udał się do restauracji hotelowej. Tutaj jednak doktora Pożarowa nie było. Zaniepokojony przeszukał cały hotel, wszystkie najdrobniejsze nawet ubikacje. Ani śladu. Nawet walizki w numerze nie znaleziono. Było jasne, że Pożarow umknął. Ale w jaki sposób? To pozostaje dla mnie także zagadką. Agenci, którzy stali na ulicy, twierdzą kategorycznie, że każdego, kto tylko wychodził z hotelu, obserwowali dokładnie.

— Mógł się przebrać...

— Nie. Wysłałem najzdolniejszych detektywów, którzy na takie prymitywne sztuczki nie dadzą się złapać.

(39)

Piasecki westchnął głęboko.

— Trudno. Będzie trzeba na nowo rozpocząć poszukiwania.

— My w każdym razie rąk nie zakładamy — odparł Lauterberger. — Moi agenci węszą po całym mieście.

— Czy port pozostaje pod obserwacją?

— Naturalnie. Wszystkie hotele również.

Komisarz wstał i począł się żegnać. W tej samej chwili rozległ się dzwonek telefoniczny.

— Poczekaj pan... — rzekł Lauterberger, biorąc słuchawkę do ręki. — Może dzwoni jakiś agent. Halo! Halo! Aha, pan Szwarz? Słucham... Tak, tak... W jakim hotelu?... Aha... „Bristol”... Co pan ma zrobić? Zaraz się dowiem. Chwileczkę...

Piasecki domyślił się, o co idzie.

— Pożarow? — zapytał lakonicznie.

— Nie, ale jakaś Olga Pożarowa. Agent czeka na dyspozycje, bo nie wie co czynić.

— Bądź mu pan łaskaw powiedzieć, żeby nie opuszczał tej kobiety ani na krok, póki nie przyjdę.

— Dobrze... Halo, panie Szwarz! Strzec tej pani jak oka w głowie. Pan komisarz Piasecki przybywa natychmiast do „Bristolu” i da panu dalsze dyspozycje... Czy jest pan sam? Aha, świetnie...

Piasecki z Włodziewiczem wsiedli niezwłocznie do samochodu, którego użył im usługony Lauterberger. Szofer ruszył z miejsca całą siłą benzyny. Mknęli po opustoszałym z powodu późnej pory mieście z zawrotną szybkością.

— No, już ona chyba nam nie umknie — mruknął Włodziewicz, zacierając ręce.

— Mam nadzieję... Chociaż wątpię, czy będzie nam mogła dopomóc w tej sprawie...

— Sądzę, że tak... Jest na pewno w kontakcie z mężem, skoro przyjechała również do Gdańska.

— Ma pan słuszność... Wobec tego należałoby się zastanowić nad dalszymi krokami...

— Aresztować.

— Żonę Pożarową?

— Tak...

Komisarz zamyślił się na chwilę, po czym odparł:

— Uważam, że to do niczego nie doprowadzi. Wątpię w ogóle, czy jest w czymś winna. Może nic nie wiedzieć o sprawkach mężowskich, względnie mogła nie brać w nich udziału. Bo na przykład, jak wynika z listu, który znalazłem w czarnym dominie, pozostaje ona pod terrorem męża. Pożarow zapowiadał nawet swej żonie, że ją zabije...

— Wszystko jedno. Należy, uważam, Pożarową bezwzględnie przytrzymać i zbadać. Na pewno znajdziemy jakiś punkt zaczepienia dla dalszych poszukiwań.

— A ja jestem innego zdania. Wnioskuje, że skoro przyjechała do Gdańska, to na wezwanie męża. Nie ulega więc wątpliwości, że muszą się tu spotkać.

— Aha, rozumiem...

— Od razu dwie sroki za ogon złapać...

— Bezwzględnie...

— Oby się nam tylko powiodło...

— Oby, oby — westchnął głęboko Piasecki. — Bo ta sprawa już nazbyt się przeciąga...

— Tym większy będzie sukces...

Auto zatrzymało się przed hotelem zaopatrzonym w świetlisty szyld „Bristol”. Przed wejściem stał jakiś mężczyzna w cyklistówce. Ujrawszy policyjny samochód, zbliżył się doń i zwrócił się do wysiadającego komisarza:

— Czy mam przyjemność z panem komisarzem Piaseckim?

— Tak jest...

— Jestem Szwarc, agent tutejszego urzędu śledczego.

— Aha... To pan dzwonił do Lauterbergera...

— Ja. Mnie powierzona została sprawa doktora Pożarowa. Jestem tu z trzema wywiadowcami. Jeden z nich ma dyżur w portierni, drugi — na schodach przed numerem, w którym zamieszkała Pożarowa, a trzeci — na podwórzu.

— Jesteście, jak widzę, teraz bardzo ostrożni — zaśmiał się Piasecki.

— O, tak... Po tym krachu, jaki nas spotkał.

— Możecie już panowie odejść. My damy sobie radę.

— Dobrze.

Weszli do portierni. Piasecki zamówił pokój sąsiadujący z zajmowanym przez Pożarową.

— Będziemy dyżurowali na zmianę, panie Włodziewicz. Co dwie godziny jeden z nas się prześpi.

— Słucham, panie komisarzu.

Piasecki udał się do numeru i w ubraniu rzucił się na łóżko. Przez chwilę nasłuchiwał, czy z przyległego pokoju dochodzą jakieś odgłosy. Było cicho. Odwrócił się do ściany i zasnął.

(40)

Noc przeszła zupełnie spokojnie. Ani Piasecki, ani Włodziewicz, którzy na zmianę dyżurowali na korytarzu przed drzwiami pokoju, zajmowanego przez Czarną Damę, nie zdołali zaobserwować nic podejrzanego.

Około godziny dziesiątej przed południem drzwi otworzyły się i doktorowa Pożarowa, ubrana w swój dziwaczny strój, wyszła z numeru.

Udała się do kawiarni hotelowej i usiadła przy stoliku umieszczonym w samym końcu sali. Poznać było od razu po jej nerwowych ruchach i ciągłym rozglądaniu się na wszystkie strony, że trapi ją jakiś niepokój, niepewność.

Wzbudziła wśród gości hotelowych niezwykle poruszenie. Przy stolikach toczyły się ożywione rozmowy na temat zawołowanej kobiety, która usiadła samotnie w kącie i spożywała śniadanie.

Niektórzy twierdzili z całą pewnością, że jest to Turczynka albo Hinduska, w każdym razie nie niewiasta europejska. Gdzież bowiem w Europie znalazłaby się dzisiaj kobieta, która zdecydowałaby się na noszenie sukni po kostki, niemodnego, silnie wciętego żakieciku i woalki?

Byli i tacy, którzy zapewniali, że w sali restauracyjnej odbędą się niebawem zdjęcia do filmu, a dama w czerni jest ucharakteryzowaną aktorką. Wymieniano już nawet jej nazwisko, znanej diwy filmowej z Berlina.

Piasecki wraz z Włodziewiczem zajęli sąsiedni stolik. Komisarz co chwila przyglądał się uważnie Czarnej Damie, intrygowały go niebywale długie, czarne rękawiczki, które nosiła na rękach.

— Pan ma rację, panie Włodziewicz, ona musi być nie taka czysta...

— Po czym pan tak sądzi?

— Choćby po jej ubiorze. Po cóż, u licha, zakrywałaby sobie ciągle twarz i ręce?

— Być może z zamiłowania do ekscentryczności. Przecie i reszta stroju utrzymana jest w tym samym stylu.

— Diabli wiedzą, co to wszystko oznacza. W każdym razie najdalej posunięta ostrożność nie zawadzi.

— Co zamierza pan komisarz teraz uczynić?

— Chcę właśnie teraz o tym z panem pomówić.

— A więc słucham...

Piasecki zastanowił się przez chwilę, po czym wypił duszkiem filiżankę wystygłej kawy i rzekł:

— Muszę się z nią zapoznać. Będę się zachowywał tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Może w ten sposób zdołam coś przedrzeć od niej wydostać...

— A ja?

— Pańskie zadanie będzie polegało na inwigilowaniu mnie. Być może zajdą okoliczności, że będę potrzebował pomocy. To pozostawiam panu do załatwienia.

— Doskonale.

— A teraz odchodź pan od mego stolika i ucharakteryzuj się tak, ażebym nawet ja pana nie poznał.

Włodziewicz spełnił posłusznie rozkaz swego przełożonego. Po odejściu agenta Piasecki podniósł się z miejsca i podszedł do Czarnej Damy.

— Pozwoli pani, że usiądę przy jej stoliku?

Podniosła głowę. Zrobiła niezdecydowany gest.

— O co panu idzie?

Powtórzył pytanie.

— Przecie pan ma swój stolik — odparła z zakłopotaniem. — Nie widzę powodów, a zresztą...

Ale Piasecki siedział już obok niej i mówił spokojnie:

— Niech panią moje postępowanie nie zdziwi. Nigdy bym się na coś podobnego nie odważył, gdybym pani nie znał.

Poprzez gęstą woalkę dostrzegł niepokój w jej oczach.
 — Pan zna mnie?
 — Tak... Jestem łodzianinem... Bywam na maskaradach...
 — Ach, tak... — odetchnęła z ulgą.
 — Nazwiska ani nawet imienia, niestety, nie znam... Kilka razy widziałem panią w „Teatralce” lub na balach maskowych w filharmonii...
 — Nie przeczę... Możliwe... Ale, proszę pana...
 Nie pozwolił jej dojść do słowa.
 — Od pierwszego razu zwróciła pani moją uwagę. Czarne domino zaintrygowало mnie i...
 Przerwała mu przeciągłym śmiechem.
 — Dawno już nie słyszałam tak szablonowych, oklepianych komplementów...
 Ha, ha... Mógłby pan jakoś inaczej...
 Piaseckiemu zrobiło się cokolwiek przykro.
 — Mówię zupełnie szczerze... Nie dbam o formę...
 — Mniejsza o to, proszę pana... I tak już odchodzę...
 — Byłbym niezmiernie zadowolony, gdybym mógł pani towarzyszyć.
 Spojrzała nań przeciągle, aż go jakieś raptowne gorąco obleciało.
 — Idę do swego numeru — rzekła wolno, skandując każdą sylabę.
 Nie wiedział co na to odpowiedzieć. Przyszła mu z pomocą:
 — I co pan na to? Będzie mi pan towarzyszył?
 — Owszem — odparł jakby nieswoim głosem.
 — A więc proszę...
 Podała mu ramię.

(41)

Przeszli szybko przez salę restauracyjną pod kłującymi spojrzeniami zaintrygowanych gości. Piasecki czuł, że poczyną się z nim dzieć coś niezwykłego. Ogarnął go jakiś niepokój, którego nie mógł mimo usilnych starań poskromić. Fale krwi napływały do głowy i zalewały powoli świadomość. Oparł się ciężko o ramię damy. Rzucił cygaro, które palił.

— Mocne, psiakrew, zamroczyło...
 — Co pan mówi?
 — Nie jestem przyzwyczajony do cygar... Dym odurzył mnie cokolwiek...
 — Pan się źle czuje? — zapytała, uścisnąwszy silnie jego dłoń.
 — Przejdzie... To nic...

Wspinali się powoli po schodach wyłożonych czerwonym suknem. Komisarz stawiał z trudnością każdy krok. Jakiś dziwny bezwład paraliżował jego ruchy. Widział ciągle przed sobą gęstą materię woalki, spoza której spoglądały nań czarne oczy Pożarowej. Patrzył w nie jak zahipnotyzowany, konstatując w duchu, że są piękne.

Stanęli przed drzwiami numeru. W tej samej chwili przez korytarz przeszedł wolno jakiś starszy, szpakowaty jegomość i, wpatrując się bacznie w Piaseckiego, potrafił go przez nieuwagę. Komisarz odwrócił się szybko. Błady uśmiech wykwitł na jego wargach.

— To Włodziewicz... — pomyślał. — Żółte buciki...

Zgrzyt klucza w zamku rozniósł się echem po korytarzu.

— Proszę, pani pozwoli...

Dama weszła do pokoju, a za nią Piasecki. Drzwi zamknęły się cicho. Komisarz, który z trudnością utrzymywał się na nogach z niezwykłego zmęczenia, usiadł na sofce stojącej pod ścianą. Promienie marcowego słońca wpadały poprzez szyby do pokoju. Zmrużył oczy.

— Razi pana światło? Spuszczę rolety.

— Nie, nic... Niech się pani nie fatyguje...

— Nic nie szkodzi... Nie lubię światła dziennego...

Podeszła do okna i poczęła odwijać sznurek z kołka.

Spoglądał na jej smukłą sylwetkę.

— Przystojna kobieta — mruknął do siebie.

Spuściła rolety i usiadła obok niego na sofie.

Nie zdjęła żakietu ani nawet kapelusza. Uczynił ruch w kierunku woalki. Usunęła zręcznie głowę na bok.

— A cóż to znowu? — zapytała swoim niskim, śpiewnym głosem.

— Proszę to zdjąć...

— Co?

— Woalkę... Zasłonę... Chciałbym wreszcie ujrzeć pani buzię...

Zaśmiała się kokietyryjnie.

— Nie, mój panie, tego się nie da zrobić...

Zrobił zdziwioną minę.

— Dlaczego? Nie rozumiem...

— Jeżeli chce pan, bym była dla niego dobra, proszę mnie o to nie pytać... Dobrze?

— Trudno, rzeczywiście, mi się na to zgodzić... Ta woalka rzuca nieznośny cień na nasze słoneczne sam na sam.

— Mówiłam już panu — odparła ze śmiechem — że nie znoszę słońca... Znacznie lepiej czuję się w cieniu...

Ujęła jego głowę w dłoń i oparła na swoich kolanach. Próbował zaprotestować, uwolnić się z jej objęć, ale nie czuł w sobie tyle siły, by zdobyć się na jakiś energiczniejszy gest. Spokojnie, ulegle pozwolił ze sobą robić wszystko, co chciała.

Ciepło bijące z jej ud odurzyło go zupełnie. Nie zastanawiał się już nad niczym, nie dopuszczał do mózgu żadnej myśli. Ogarniał go jakiś ekstatyczny bezwład. Nagle sobie coś przypomniał:

— Włodziewicz... Dyżuruje na korytarzu... Dziurka od klucza... Otrzymał rozkaz inwigilowania...

Podniósł się ociężale z sofki i skierował kroki w kierunku drzwi. Kobieta spojrzała nań ze zdumieniem.

— Odchodzi pan?

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie, nie...

Zdjął z wieszaka kapelusz i powiesił go na klamce.

Włodziewicz, który stał na korytarzu i przez dziurkę od klucza obserwował wszystko, co się dzieje w pokoju, nie mało był zdziwiony postępowaniem Piaseckiego.

— Ho, ho — pomyślał — zdaje mi się, że komisarz porządnie się do tej kobiety rozmigdał... Ale go naciąga, ojej... Jak Boga kocham, że ulegnie... O, już... Cholera! Nic nie widzę... Zasłonił otwór w zamku...

Wywiadowca odstał od drzwi i poskrobał się z zakłopotaniem w kark.

— Co robić? Ano, będę dyżurował, jak mi kazał...

Począł się przechadzać wolnym krokiem po korytarzu. Chwilkę porozmawiał z numerowym, potem, oparłszy się o ścianę, czytał gazetę, wypalił pięć papierosów, a komisarz Piasecki nie wychodził z pokoju.

Spojrzał na zegarek. Upłynęły już dwie godziny.

— Zejdę na obiad — postanowił — głodny jestem jak stado wilków. On tak prędko chyba nie wyjdzie...

Zatrzymał się jeszcze przed drzwiami i przyłożył ucho do szpary. Usłyszał jakieś szmery.

Nagle zatrząsł się cały i skamieniał w miejscu z niezwyklego przerażenia. Na czoło wystąpiły mu krople zimnego potu. Usłyszał najwyraźniej głos męski.

— Gdzie jest Olga? — mówił. — Gdzie jest Olga?

Ledwo słowa te przebrzmiały, gdy ciszę panującą w całym hotelu przerwał głośny huk wystrzału rewolwerowego.

(42)

Włodziewicz stracił w pierwszej chwili przytomność umysłu. Rozległo się jeszcze pięć wystrzałów, następujących szybko po sobie. A potem rozdzierający głos Piaseckiego:

— Włodziewicz, na pomoc! Włodziewicz!

Agent począł walić pięściami w drzwi, usiłując wywalić je ciężarem ciała. Zbiegła się służba hotelowa i goście, którzy, nie orientując się w sytuacji, odciągnęli siłą Włodziewicza od drzwi.

— Po policję! — wołał purpurowy z podniecenia numerowy do liftboy'a. — Pędź po policję!

Nagle rozległ się szcęk klucza w zamku i na korytarz wyszedł mężczyzna w futrze i w wysokiej fokowej czapce.

W lewej ręce trzymał dużą, skórzaną walizkę, a w prawej rewolwer. Wszyscy cofnęli się przed nim w przerażeniu, tylko Włodziewicz wyrwał się z rąk trzymających go ludzi i skoczył doń z krzykiem:

— Stać, stać! Trzymać go! Zabił!

Ale wtem zamilkł i osunął się ciężko na podłogę. Otrzymał potężny cios kolbą rewolweru w skroń. Nim przerażeni tym wszystkim goście zdolali uprzytomnić sobie, co zaszło, po mężczyźnie nie było już śladu.

Zbiegł po schodach na dół. Portier, który puścił się za nim w pogoń, widział tylko jeszcze jak wpadł do stojącej opodal taksówki. Po kilku minutach do hotelu „Bristol” przybyła policja, zaalarmowana telefonicznie przez chłopca od windy.

Nikt nie mógł powiedzieć, co się stało. Policjanci weszli do numeru, gdzie znaleźli leżącego na sofce bez przytomności Piaseckiego.

Znalazł się wśród gości hotelowych jakiś lekarz z Hamburga, którego niezwłocznie sprowadzono.

Włodziewicz odzyskał przytomność jeszcze przed jego przybyciem, wobec czego lekarz zajął się komisarzem.

Okazało się, że Piasecki był tylko ogłuszony potężnym uderzeniem jakiegoś tępego przedmiotu, które pozbawiło go przytomności... Zabiegi lekarskie odniosły pomyślny skutek...

Ostatnia zbrodnia doktora Pożarowa

Tegoż jeszcze dnia wieczorem mówił Piasecki do swego agenta, siedząc z nim w jednej z kawiarni gdańskich:

— Gdy tylko o tym wszystkim zaczynam myśleć, czuję w głowie zamęt... Nic nie mogę zrozumieć... Wszedłem do pokoju z kobietą... Nikogo więcej tam nie było... Byłem jakoś dziwnie zmęczony i senny... Położyłem się na sofce i zasnąłem... Zbudził mnie męski głos: „Gdzie jest Olga?”.

Pytanie to nie było mi obce. Zerwałem się na równe nogi i ujrzałem jego, doktora Pożarowa. Mierzył z rewolweru do mnie... W ostatniej chwili złapałem go za rękę i skierowałem lufę w sufit... Dał sześć strzałów... Magazynowy rewolwer... Potem zdołał jakoś wyrwać rękę z moich uścisków i trzepnął mnie w skroń... Głupi jestem, jak Boga kocham, zupełnie głupi... Skąd się on tam wziął w tym numerze...

— Może był gdzieś schowany... W szafie, pod łóżkiem...

— Niemożliwe... Do naszego przyjsia, jak pan widział, wywiadowcy strzeegli hotelu, a znali go już przecie dobrze...

Włodziewicz wzruszył ramionami.

— Mógł się jakoś przedostać...

— A gdzie podziiała się Czarna Dama? To stanowi dla mnie jeszcze większą zagadkę. Przeszukaliśmy wszak potem pokój dokładnie... Innych wejść nie ma... Okno było zamknięte, a zresztą — czwarte piętro...

— Znajduję tylko jedyne, choć bardzo wątpliwe, wytłumaczenie tej zagadki. Ot, po prostu on i ona to jedna osoba. Ta Czarna Dama była przebranym doktorem Pożarowem...

Twarz Piaseckiego pokrył rumieniec.

— Nie zawracaj pan głowy — rzekł z lekka zmieszany. — To była stanowczo kobieta... Ja przecie wiem...

Agent uśmiechnął się chytrze.

— O, tak... Pan może to wiedzieć...

Komisarz nic nie odpowiedział. Przypomniało mu się, że ta sama kwestia wypłynęła w swoim czasie, gdy badał Karola Windhama po zajściu w gabinet „Teatralnej”.

— Nie wierzę w siły nadprzyrodzone — rzekł po pewnym czasie — ale, jak Boga kocham, będę musiał je uznać... Inaczej nie umiem sobie tego wszystkiego wyobrazić...

— Do tego, mam nadzieję, nie dojdzie... Przedtem ten przeklęty Pożarow wpadnie w nasze ręce...

— I ja na to liczę...

— Lauterberger postawił na nogi całą policję... Z Gdańska na pewno się nie wymknie...

— Dobrze, że mi pan przypomniał... Muszę zadzwonić do Lauterbergera. Może ma jakieś nowiny dla mnie.

(43)

Mówiąc to, Piasecki podniósł się z miejsca i udał się do hallu, skąd po chwili wrócił z zafrasowaną miną.

— No i co? — zapytał Włodziewicz.

— Nic nowego... Agenci nie wpadli jeszcze na trop...

Następne dni przeszły w gorączce oczekiwania, nie przynosząc pomyślnych rezultatów. Były chwile, że komisarz tracił już nadzieję odnalezienia doktora Pożarowa lub jego żony i chciał wracać do Łodzi.

— Źle jest, panie Włodziewicz, nic już nie zdziałamy...

— Nie, panie komisarzu, tak źle nie będzie. Musimy mieć tylko trochę cierpliwości, bo po tylu wpadkach Pożarow jest, naturalnie, ostrożniejszy... Jeszcze dzień, dwa, a musi wpaść w ręce policji... Jeżeli nie on, to przynajmniej jego żona... Mówiłem od razu, żeby ją aresztować...

— Niech ją jeszcze raz dostanę w swoje ręce, no, no...

I tak przechodził dzień za dniem, a sprawa nie posuwała się nawet o krok naprzód.

Minęły już dwa tygodnie od czasu, gdy komisarz ze swym agentem przybyli do Gdańska, dwa tygodnie kompletnej beczynności. Aż piętnastego dnia, w pogodne południe marcowe, Piasecki przechodząc przez Hundegasse, zetknął się oko w oko z Czarną Damą. Nie zauważyła go i poszła dalej. Dogonił ją.

— Przepraszam panią...

Odwróciła się szybko.

— Ach, to pan...

— Tak, ja — odparł szorstko. — Poproszę panią na policję.

— Nie rozumiem pana... Co to ma znaczyć?

— Jestem komisarzem policji łódzkiej... Aresztuję panią...

— Mnie?... Dlaczego?...

Ze słów jej wiała taka naturalna szczerość, że Piasecki zawahał się przez chwilę.

— Jak to się dziwnie składa — mówiła dalej Czarna Dama. — Miałam właśnie teraz zamiar udać się na policję, ale nie bynajmniej po to, by mnie aresztowano...

— A w jakim celu?

— Powiem panu, jednak nie tu, na ulicy... Wstąpmy do tej kawiarenki...

— Dobrze — zgodził się Piasecki po krótkiej chwili namysłu. Podejrzewał jakiś podstęp, więc postanowił mieć się na baczności.

Weszli do małej cukierenki i usiedli przy stoliku.

— Słucham panią...

Miał odpowiedzi wyjęła z sakiewki arkusik zapisanego papieru i podała go komisarzowi.

— Proszę pana, niech pan to przeczyta... To jest list od mego męża...

Piasecki czytał:

ŻEGNAJ OLGO!

Dawno już postanowiłem zgładzić Cię ze świata, by wraz z Twoim życiem prze-rwać pasmo mych nadludzkich cierpień. Szukałem Cię, i jak zawsze, bezskutecz-nie... Nie po to, Olgo, by nieść Ci z pokorą i uwielbieniem swoją wielką miłość... Nie chciałaś, bym był dla Ciebie aniołem miłości, będę więc Twoim aniołem śmier-ci... Czulem Cię zawsze blisko siebie, ale nigdy tak blisko, bym Cię mógł dostrzec lub dotknąć... Kilka bezsennych nocy strawiłem na poszukiwaniu sposobów zgła-dzenia Cię ze świata. I sposób niezawodny, pewny znalazłem.

Żegnaj, Olgo! Twoja ostatnia godzina wybiła.

Włodzimierz Pożarow

Skończywszy czytanie listu, komisarz rzekł:

— Przyznam się pani, że nic absolutnie z tego wszystkiego nie rozumiem...

— I ja również...

Spojrzał na nią groźnie.

— Nie pora teraz na kpiny... Żądam wyjaśnień...

— Nie kpię, proszę mi wierzyć, nie kpię... Ten człowiek prześladowuje mnie już od kilku lat... Siłą, szatańskim podstępem zrobił ze mnie swoją żonę... Nie widziałam go jeszcze dotychczas, a znam go tylko z fotografii...

— Tak? I nie widziała go pani nawet wtedy, w numerze hotelu „Bristol”?

— Nie... Przysięgam — nie...

— Dość już tych bajdurzeń! — huknął Piasecki pięścią w stół. — Pani mnie tymi banialukami nie zbije z tropu... Proszę zaprowadzić mnie do swego mieszkania, a potem na policję...

Podniósł się z miejsca. A ona poczęła mówić poważnie przełknięta:

— Pójdę z panem na policję, pójdę... Sama chciałam tam iść i prosić o pomoc, o opiekę... Ale do domu nie pójdę... Tam śmierć czeka na mnie...

— Wariatka — pomyślał komisarz, głośno zaś rzekł: — Ja pójdę z panią, nic się pani nie stanie...

Zwiesiła głowę...

— Pan mnie przed nim uchronić nie zdoła...

— To się zobaczy — odparł krótko.

— I w ogóle nikt, nikt... — dokończyła złamanym głosem.

Wyszli z kawiarenki i wsiedli do przejeżdżającej taksówki. Piasecki, spojrzawszy z ukosa na czarną woalkę, którą przesłonięta była twarz Pożarowej, dostrzegł, że gęsta materia wilgotnieje w okolicy oczu...

Czarna Dama płakała.

(44)

Jechali przez dłuższy czas w milczeniu, nie odzywając się do siebie ani słowem. Po półgodzinnej jeździe znaleźli się na przedmiejskich ulicach Gdańska. Z powodu szczupłości terenu szofer zmniejszył znacznie szybkość. Maszyna zatrzymała się przed jakimś małym, odrapanym domkiem stojącym na samym krańcu ulicy w zupełnym odosobnieniu. Piasecki wsunął nieznacznie rękę do kieszeni i odsunął bezpiecznik rewolweru.

— Pani tutaj mieszka?

— Tak...

Komisarz zwrócił się do szofera:

— Pan tutaj zaczeka, pod żadnym pozorem nie wolno panu odjeżdżać. Zrozumiano?

Szofer skinął głową na znak zgody.

— Proszę, niech pani prowadzi — rzekł Piasecki do Czarnej Damy, puszczając ją przodem.

Weszli na zupełnie wymarłe podwórze. Panowała tu cisza nieprzerwana ani jednym odgłosem.

Komisarz rozejrzał się ciekawie dokoła. Ani znaku życia. Wszystkie szyby w oknach, powleczone grubą warstwą kurzu, wskazywały, że dom nie jest zamieszkały.

Dama skręciła na lewo do pierwszego wejścia. Wspinali się po skrzypiących, drewnianych schodach. Przykra woń wilgoci i zgnilizny buchała z ciemnych czeluści.

— Które piętro? — rzucił pytanie Piasecki.

— Drugie... — brzmiała odpowiedź wypowiedziana drżącym głosem.

Zatrzymali się przed drzwiami mieszkania.

— Pani ma klucz?

— Tak...

Zanim jednak włożyła klucz do zamka, złożyła ręce jak do modlitwy i po-
częła mówić szybko, nerwowo:

— Błagam pana, nie wchodźmy tam, nie wchodźmy...

— Dlaczego? — zapytał sucho.

Suchy spazm wydobył się z jej piersi. Oparła się ciężko o mur, powleczoney
zeszłą skorupą pleśni.

— Boję się, boję się... Tam czeka na mnie śmierć... Błagam pana...

Chwycił jej rękę i zmarszczył brwi.

— Proszę powiedzieć prawdę — rzekł przyciszonym głosem — tam jest on?

— Kto? — zapytała zdziwiona.

— Pani mąż...

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, tam jego nie ma... Mówiłam przecie panu, że go jeszcze nie widzia-
łam, choć wiem, że jest blisko mnie, że mnie prześladuje i czyha na moje życie...
Zamknęłam zresztą mieszkanie.

— Niech pani otworzy — odparł po krótkiej chwili namysłu.

Zachrotał klucz w zardzewiałym zamku i drzwi stanęły otworem. Znaleźli
się w małym korytarzyku. Na prawo była kuchnia. Nie stał tu ani jeden mebel,
ani jedno naczynie.

— Ile tu jest pokoi?

— Jeden...

Weszli do pokoju, w którym panował okropny bezład. Na ścianie wisały jakieś
stare, poszarpane obrazy, z których farba zesza już zupełnie. Przy oknie biurko,
a na nim kałamarz, pióro i skrawki niezapisanego papieru. Przy ścianie, naprze-
ciw okna stała mocno już zniszczona szafa, trzymająca się z trudem na dwóch
spróchniałych nóżkach.

Obok szafy, w rogu pokoju, olbrzymi, staromodny piec, z wystającą galeryj-
ką, na której znajdowały się obtłuczone figurynki gipsowe. Przed piecem, na pod-
łodze, była przybita mosiężna blacha pokryta zielonym grynszpanem.

Wszedłszy do pokoju, Piasecki zwrócił uwagę na wielką, skórzaną walizkę sto-
jącą pod biurkiem. Znał ją z opowiadania stróża Mateusza i Włodziewicza, któ-
rzy widzieli ją w rękach doktora Pożarowa.

— Czyja to walizka?

— Mojego męża...

— A co się w niej znajduje?

— Teraz jest pusta... Mąż używa jej podczas podróży...

Piasecki nachylił się i podniósł walizkę. Dama mówiła prawdę. Walizka była lek-
ka. Począł oglądać skrawki papieru leżące na biurku. Potem przeszukał szuflady.

Przez cały ten czas kobieta stała spokojnie i wodziła tępym wzrokiem dokoła. Zauważyła na galeryjce pieca kopertę.

— List, list... — zawołała drżącym głosem i pobiegła w kierunku pieca.

Ledwo jednak stanęła na mosiężnej blasze, gdy nagle rozległa się silna detonacja. Piasecki zerwał się z miejsca, nie wiedząc, co się stało.

Gęsty dym przesłonił mu zupełnie widok. Skoczył do okna i wybił szybę uderzeniem pięści. Dym rozwiął się zupełnie pod naporem wiatru.

Teraz dopiero komisarz dostrzegł leżącą na podłodze postać Czarnej Damy. Leżała na wznak z rozkrzyżowanymi rękami. Ze środka czoła sączyła się szeroka struga krwi.

— Co to? Co tu się stało? — powtarzał Piasecki zbielełymi ustami.

Spojrzał na piec i wszystko zrozumiał. Pomiędzy kaflami znajdowała się szeroka szpara, z której wydostawał się niebieskawy dym.

Podszedł ostrożnie do pieca i wyjął ze szpary dużych rozmiarów łuskę po wystrzelonym naboju. Do łuski przyczepiony był miedziany drucik od elektryczności, który przechodził przez wnętrze pieca i łączył się z blachą znajdującą się na podłodze.

Gdy Czarna Dama stanęła na tej właśnie blasze, druciki zetknęły się ze sobą, a iskra elektryczna spowodowała wystrzał. Koperta, leżąca na galeryjce, była puśta i służyła tylko po to, by zmusić ofiarę do stanięcia na fatalnej blasze.

— To jest robota Pożarowa — przemknęło przez myśl komisarza. — Niezawodny sposób, o którym wspominał w liście...

Nachylił się nad leżącą nieruchomo Czarną Damą i ujął za puls.

— Nie żyje — szepnął do siebie.

Ujął brzeg gęstej woalki i odkrył twarz.

Spojrzał i straszny krzyk przerażenia wydobył się z jego piersi...

To była twarz Pożarowa.

(45)

W kilka dni po opisywanych wyżej wypadkach łódzki „Express Wieczorny Ilustrowany” zapowiedział drukowanie rewelacyjnych pamiętników komisarza policji śledczej, Piaseckiego, wyświetlających ostatecznie zagadkę damy w czarnym dominie.

Zapowiedź ta wywołała łatwo zrozumiałe zaciekawienie i poruszenie w całym mieście, które od dłuższego już czasu żyło pod znakiem „czarnej tajemnicy”.

Skąpe wiadomości, jakie dochodziły z Gdańska, nie tylko nie zdołały rozświetlić frapującej zagadki, ale wręcz przeciwnie, gmatwały ją coraz bardziej. Oczekiwano tedy ukazania się pamiętników głównego bohatera sprawy z gorączkową niecierpliwością. Domorośli kryminolodzy usiłowali podczas rozmów kawiarnianych wyjaśnić zagadkę w różne możliwe i niemożliwe sposoby.

Aż wreszcie nadszedł dzień, kiedy „Express” wydrukował na pierwszej stronie tytuł: *Wyjaśnienie zagadki Czarnej Domina! Dwoista jaźń doktora Włodzimierza Pożarowa! Pamiętniki komisarza policji śledczej, Piaseckiego.*

Temat został ujęty w formę barwnego opowiadania, opisującego w sposób chronologiczny rozwój wypadków związanych z osobą damy w czarnym dominie.

Pamiętniki ukazywały się codziennie i werbowwały dla pisma liczne rzesze czytelników. Nakłady, które doszły do zawrotnych wprost liczb, były rozprzedawane niemal w godzinę po wyjściu numeru spod prasy. Punkt kulminacyjny tkwił w ustępach opisujących akcję komisarza Piaseckiego w Gdańsku:

„...Odkrycie jakiego dokonałem” — pisał komisarz szóstego dnia — „omal nie przyprawiło mnie o obłęd... Odsłoniłem woalkę i zamiast twarzy kobiecej ujrzałem twarz mężczyzny, twarz doktora Włodzimierza Pożarowa. Nie wiedziałem wówczas, co się ze mną dzieje... Jak szalony wybiegłem z mieszkania i wpadłem do oczekującego na ulicy samochodu.

— Na policję! — zawołałem do szofera. — Na policję!

Musiałem wyglądać strasznie, bo się ludzie za mną oglądali na ulicy. Lauterberger nie mógł mnie uspokoić. W beładnych, urywanych zdaniach opowiedziałem mu moją przygodę. Myślał, że oszalałem, że bredzę w gorączce. Wziął ze sobą kilku policjantów i pojechał ze mną na miejsce wypadku.

Przybył tam również prokurator, sędzia śledczy i lekarz sądowy. Nikt jednak nie umiał wyjaśnić zagadki.

Dopiero sekcja zwłok Czarnej Damy, dokonana nazajutrz w gdańskim pro-sektorium, wyświetliła ostatecznie tajemnicę, nad którą biedziłem się bezskutecznie tak długo. Protokół obdukcji, spisany przez doktora Reinholda Nikkego, przedstawiał się zgoła sensacyjnie.

Wynikało zeń, że Czarna Dama nie była ani kobietą, ani mężczyzną, a właściwie była i mężczyzną i kobietą. Rzadko spotykany okaz hermafrodytyzmu przy przewadze pierwiastków kobiecych.

Beładna mieszanina fizjologicznych cech obu płci.

Protokół roił się od różnych określeń naukowych i był dość szczegółowy. Nie będę go tu przytaczał w jednym miejscu, ale w miarę potrzeby będę czerpał zeń dane.

Dla mnie stało się już wszystko zrozumiałe. A więc doktor Pożarow i jego żona stanowili jedną osobę. Dwie płci, dwie dusze zakłęte w jedną powłokę cielesną. Hermafrodytyzm nie tylko pod względem płciowym, ale i psychicznym.

Rozmawiałem potem długo na ten temat z doktorem Reinholdem Nikkem, który mi powiedział, że aczkolwiek wypadki hermafrodytyzmu, szczególnie tak jaskrawego, są bardzo rzadkie, niemniej pewnym jest ich występowanie.

Doktor Pożarow (czy doktor Pożarowa, jak wolicie) jest wypadkiem o tyle osobliwym, że co pewien czas cechy charakterystyczne jednej płci brały górę nad drugimi, usuwając je zupełnie w cień. I tak przez pewien czas doktor Pożarow był mężczyzną, by potem stać się kobietą. Nie tylko fizjologicznie, ale i psychicznie.

Przeobrażenia płci, według mniemania doktora Nikkego, musiały następować w momentach silnych wzruszeń, prawdopodobnie po ekstazach miłosnych.

Przypuszczeniom tym przyznał słuszość, przytaczając jako dowody fakty przeze mnie ustalone podczas śledztwa. Pożarow żył więc życiem podwójnym, nic o tym nie wiedząc.

Kochał się w kobiecie, którą był sam. Jako kobieta drżał ze strachu przed mężczyzną, którym był nikt inny — tylko on.

Mogę sobie już nareszcie wytłumaczyć wypadek, który zdarzył się w swoim czasie w gabinecie «Teatralnej» z panem Karolem Windhamem, a którego w żaden sposób nie mogłem zrozumieć.

Pan Windham, jak wiadomo, zaprosił do gabinetu ubraną w czarne domino damę, którą spotkał na maskaradzie. Dama nosiła na twarzy maskę, której mimo prośb i nalegań nie chciała zdjąć.

Wstydziła się widać swego męskiego zarostu. Nie zastanawiała się zapewne głębiej nad tą anomalią, którą nawiasem mówiąc, spotykamy bardzo często, tak samo jak kompletny zanik zarostu u mężczyzn”.

(46)

„Z tych samych powodów” — pisał dalej komisarz Piasecki — „nosiła swe czarne, długie rękawiczki, które ukrywały jej męskie, owłosione ręce. Jak sobie czytelnicy przypominają, pana Windhama znaleziono potem w gabinecie z postrzeloną skronią. Po Czarnej Damie ani śladu.

Nikt nie widział, jak wyszła. Jedynie portier złożył ważniejsze zeznania. Widział, jak ktoś ubrany w czarne domino opuszczał restaurację, nie była to jednak kobieta, lecz mężczyzna. Zapytałem go, skąd ma tę pewność, na co on mi odpowiedział, że owej osobie spadła maska z twarzy, więc mógł to stwierdzić.

Dziwiła mnie wówczas jeszcze jedna rzecz: panu Windhamowi ściągnięto z nóg pantofle. Komu mogło na nich zależeć? Zbrodniarz nie połakomiłby się na nie, o ile by strzelał z chęci zysku materialnego, mógł wszak zabrać owej ofierze grubo wypchany portfel.

Podejrzywałem przez pewien czas kogoś ze służby restauracyjnej, ale ponieważ sprawa ta wydawała mi się wówczas zbyt miernej wagi, dałem jej spokój. Dzisiaj dopiero wiem, jakie wielkie znaczenie posiadały te właśnie zaginione pantofle.

Gdybym wtedy rozwiązał zagadkę ich zniknięcia, sprawa Czarnej Damy byłaby już od dawna zlikwidowana. Wróćmy jednak do tego, co się działo wówczas w gabinecie.

Pan Windham bawił się ze swoją towarzyszką znakomicie. Trunków było sporo, więc i nastrój swobodny. Młodzieniec, widać, mniej był wytrwały na alkohol, gdyż położył się na kozetce i zasnął.

Tak zeznał pikolak, który potem wnosił jeszcze trunki do gabinetu na zamówienia niewiasty. Ona natomiast piła dużo.

Pikolak wyraził się:

— Piła zupełnie nie jak kobieta, tylko jak mężczyzna.

Chłopiec, jak widzimy, był więc bardzo spostrzegawczy.

Być może, że już wtedy Czarna Dama nie była kobietą, lecz mężczyzną, doktorem Pożarowem, albo też znajdowała się w transie przeobrażania płci. I nagle — stało się. Pierwiastki męskie wzięły górę nad kobiecymi. Mężczyzna nie wiedział, że przed chwilą był kobietą. Owych przerw czasu wywołanych przemianą płci absolutnie nie odczuwał. W ogóle, jak podkreślił doktor Nikke, był to osobnik pod względem psychicznym również zboczony, anormalny.

Teraz był mężczyzną, zazdrosnym mężem Olgi Pożarowej. Znalazł na stole torebkę swojej żony. Owładnęło nim uczucie silnej zazdrości.

Na kozetce spał młody mężczyzna.

Aha, więc jego żona była z tym młodzieńcem w gabinecie. On, mąż, nie wiedział jeszcze nawet swej ukochanej małżonki, nie miał jeszcze szczęścia dotknąć jej, a ten... Doktor Pożarow zajrzał do torebki swej żony. Znalazł w niej mały, damski rewolwer. Zgasił światło i podszedł do śpiącego młodzieńca.

— Gdzie jest Olga?

Otrzymał odpowiedź:

— Siedzi tam przy stole...

Teraz nie miał już żadnych wątpliwości. Wystrzelił. Dokonawszy zbrodni, postanowił uciec. Postąpił kilka kroków w stronę drzwi, ale musiał zawrócić. Nie mógł swobodnie się poruszać, gdyż nosił damskie obuwie na wysokich obcasach. Wówczas to zdjął panu Windhamowi pantofle z nóg i włożył je.

Tak przedstawia się owa «tajemnica» gabinetu «Teatralnej». Nie doszedłem do jej wyświetlenia drogą domysłów i przypuszczeń, lecz na zasadzie wyników prowadzonego przeze mnie śledztwa, jako też znalezionych listów, które pisał Pożarow do swej żony”.

Na tym kończyły się pamiętniki komisarza policji śledczej, Stanisława Piaseckiego.

Raja Anasjewa

Zapadał zmrok. W sali szpitalnej zapalono światła. Był to szpital przeznaczony dla aresztantów i więźniów. Okna zakratowane, przy drzwiach policjant.

Lekarz w białym płaszczu obchodził w towarzystwie sanitariuszki salę, zatrzymując się przy każdym łóżku.

Badał chorych szybko, pospiesznie, wydając od czasu do czasu jakieś polecenia siostrze miłosierdzia. Dłużej zatrzymał się przy łóżku opatrzonym numerem czterdzieści trzy.

— Jak tam dzisiaj, przeszło? — rzucił pytanie pod adresem sanitariuszki.
— Trzydzieści dziewięć i cztery... Bez zmiany...
Lekarz ujął chorą za puls, po czym rzekł cicho:
— Jeszcze dzień, dwa, dłużej nie przetrzyma...
Chora musiała dosłyszeć słowa doktora, gdyż otworzyła nagle oczy i uniosła się na łokciach.
— Popa, popa... — wyszeptała bezkrwistymi wargami.
— Trzeba posłać po popa — mruknął lekarz.
Sanitariuszka skinęła, potakując głową. Chciała już odejść, gdy chora dała jej znak, by się zatrzymała.
— Niech tu także przyjdzie... ten komisarz... który tu przychodził... komisarz...
— Aha... Dobrze.
Po upływie pół godziny przyszedł pop do szpitala.
Posiedział kwadrans przy chorej i odszedł. Potem przyszedł Piasecki. Ujrawszy go, Raja Anasjewa (ona była to bowiem) ożywiła się bardzo. Na wysuszoną, kościstą twarz wystąpiły ceglaste rumieńce. Uniosła się ciężko na łokciach.
— A co? Namysliła się pani? — rzekł komisarz, siadając na krześle przy łóżku.
— Śmierć idzie — odparła Raja bezdźwięcznym głosem. — Nie chcę zabierać ze sobą do grobu tajemnicy... Nie chcę, byście myśleli o mnie źle...

(47)

Nabrała w zapadłe piersi oddechu, szykując się, widać, do większego wysiłku. Oczy jej błyszczały niezdrowym blaskiem. Spoglądały w przestrzeń i zasnutę mgłą okna, w które stukał monotonnie drobny deszcz marcowy.

— Nie będę dużo mówiła... bo nie potrafię... Boję się, że nie skończę, że śmierć przeszkodzi wypowiedzieć wszystko, co muszę... Byłam w Moskwie w takim domu... Razem z Głafirą Zublinową... Dobrze nam się wiodło... Dobre życie, wolne życie... Aż zakochał się we mnie ten mój... Anasjew Iwan... I on nie był mi obojętny... Pobraliśmy się...

Żyliśmy ze sobą dwa lata, zgodliwie, przykładowie... Ale potem było źle... Nie miałam dziecka... A tak bardzo chciałam, tak gorąco pragnęłam... I on, ten mój, też chciał... Robił mi wyrzuty, że to niby przeze mnie... Że dziecka mieć nie mogę...

„Ty taka, ty owaka” — krzyczał — „po co cię za żonę wzięłam, kiedy mi dziecka dać nie możesz. Przyszedłbym, zapłacił i poszedł... A jak jesteś żona — to żona...”. Po całych dniach się zapłakiwałam z wielkiej żalości... I powiedział: „Chodź do doktora”. Poszliśmy... Badał doktor mnie, badał jego, a potem mówi w te słowa: „Żona jest zdrowa, może rodzić, ale pan... To nie jej wina...”

Niby że mój Iwan był kiedyś chory na brzydką chorobę i od tego to całe nie-szczęście... Teraz to mnie cholera brała... Za moje łzy i za to wszystko, czego się

nasłuchiwała... Nic mu nie powiedziałam, ale pomyślałam sobie: „Muszę mieć dziecko...”.

Raja opadła ciężko na poduszki zmęczona mówieniem... Suchotnicze jej piersi wznosiły się i opadały w przyspieszonym, nierównym tempie... Sięgnęła ręką po szklankę wody, którą wypila niemal jednym haustem.

— ...Mój mąż pracował w fabryce — poczęła mówić dalej. — Tydzień w nocy, tydzień w dzień... Czekałam tydzień, aż pracował w nocy... Zaraz, pierwszego wieczoru, upudrowałam się, uczesałam i wyszłam na ulicę...

Powiedziałam sobie: wszystko mi jedno kto, byleby był silny i zdrow... Nawinał mi się pod rękę jakiś chłop... Wysoki jak dąb, młody, ładny... Robię do niego oko: „Chodź ze mną... Chodź...”. „A dużo będzie kosztować?...”. „Nic” — mówię — „gołąbku, ani kopiejki...”

Zaciągnęłam go do siebie... Aż tu, jak piorun, Boże święty, mąż mój, Iwan... Urządzili w fabryce strajk i dlatego tak wcześniej przyszedł... Mój gość drapnął przez okno...

A Iwan do mnie z pięściami, czerwony jak ogień, ledwo dyszeć może ze złości... „Więc ty taka” — krzyczy z pianą na ustach. — „To kiedy ja pracuję, ty się łajdaczysz...” I zaczął bić... A ja mu: „Iwan, nie bij... To pierwszy i ostatni raz... Zawsze wierna byłam jak suka... Tylko dla dziecka to zrobiłam...”

Bił, bił, aż kości trzeszczały... „Ażebyś ty samego Lucypera urodziła, ścierwo... Diabła żebyś urodziła...” Rozpił się potem Iwan, na suchoty zapadł i poszedł... Przed śmiercią błagałam go, by wybaczył... A on cięty był jak cholera... Nie chciał, nie chciał... W ostatniej chwili jeszcze wyszeptał: „Ażebyś diabła urodziła...”

To były jego ostatnie słowa...

Wody, wody...

Piasecki nalał z karafki wody i podał szklankę. Przełknęła kilka kropel zaledwie, bo ją suchy, krótki kaszel począł męczyć...

Na chusteczce osiadły brudnożółte plwociny, pocętkowane czerwonymi nitczkami krwi.

— Niech pani tyle nie mówi — rzekł komisarz. — Tylko to, co ważniejsze...

Raja uśmiechnęła się blado.

— Boi się pan, że nie zdążę?... Zaraz, zaraz, już kończę...

Poprawiła pod głową poduszkę i poczęła mówić:

— Wiedziałam, że takie przekleństwo umierającego musi się sprawdzić... Bałam się tego dziecka, bałam się jak śmierci... Ale urodził mi się chłopak, zdrowy, ładniutki... Dałam mu na imię Włodzimierz...

— Włodzimierz? — przerwał nagle komisarz...

Zdziwiła się:

— Tak, bo co?

— Pożarow?

— Skąd pan wie? Takie nazwisko sobie potem dorobił...

— Wiem, wiem... Już wszystko rozumiem... Ale niech pani dalej opowiada.

— No i rósł mi mój Włodek na pociechę... Aż do szóstego roku życia... I zaczęło się nieszczęście... Sprawdziło się przekleństwo Iwana... Takiego dziecka jeszcze nie widziałam... Patrzę, a to nie chłopak... Dziewczynka... Boże Świąty, przewidziałam się, czy co... Zdiera z siebie porcieta, bo chce takie sukienki nosić jak koleżanki... Poleciałam do popa... Głową pokiwał i powiedział, że to się zdarza... Zamartwiałam się, ale powoli się przyzwyczaiłam... Tak co miesiąc, co dwa, co trzy... Raz chłopiec, raz dziewczucha... Musiałam szyć i ubranka, i sukienki... Lata szły, lata szły...

Wyrósł mój Włodek na jurnego chłopaka...

(48)

Odetchnęła ciężko i otarła chusteczką czoło, pokryte kroplami potu.

— Wstyd mi było przed ludźmi... Nie wiem czego, ale wstyd... Udałam się do machera... Zrobił paszport na imię Olgi... Potem przeprowadziłam się na inną ulicę... Niby z synem i córką... Włodek miał już lat osiemnaście... Ładny chłopak był, a i dziewczucha — niczego... Były felery — prawda... Pan się, pewno, domyśla, jakie...

Aż się sama dziwiłam, jak to się wszystko odbywa... Przychodzi chłopak do domu, ale jakoś zły i wściekły... Nic nie mówi, tylko kładzie się w ubraniu na łóżko i patrzy w sufit... Oczy mu martwieją w ślup... Jak u lunatyka... Wstaje z łóżka, mnie nie widzi, choć oczy ma otwarte... Potem zdejmuję z siebie ubranie...

Włodek — mówię — Włodek... A on nic... Nie widzi, nie słyszy... Po kilku minutach przychodził do siebie... Ale już inny, zupełnie inny... Piersi się jakoś uwypukliły... Dziewucha... Okresu kiedy była chłopcem nie pamięta zupełnie... Nie istniał dla niej...

— Pożarow używał tytułu doktora — przerwał Piasecki. — W jaki sposób mógł uczęszczać do szkoły, na uniwersytet?

— Nie chodził nigdy do szkoły — odparła Raja — czytać i rachować ja go nauczyłam... Musiałam uczyć podwójnie, bo czego się nauczył jako chłopak, nie umiał, gdy był dziewczyną... Diabli twór, nie inaczej... Dwie dusze w jednym ciele... Nie był doktorem, ale tyle, co doktor umiał... Sam się uczył, zdolny był...

Z dziewczyną miałam większy kłopot. Bo zarost miała na twarzy, a i ręce męskie, owłosione... Od osiemnastego roku życia musiała nosić woalkę i rękawiczki, bo jej wstyd było przed ludźmi... I znowu przeszło kilka lat... Jednego wieczoru przychodzi Włodek do domu...

„Mamo” — mówi — „zakochałem się...”. „W kim?”. „Nie wiem... Nie znam jej, nie widziałem... Czuję tylko, że jest gdzieś obok mnie, blisko, blisko, ale jej dosięgnąć nie mogę... Nazywa się Olga... Wiem z listu, który do mnie napisała...”. Tego już było za wiele na moje siły... Bałam się, żeby sobie z tego kochania, co złego nie zrobił, więc mu mówię: „Olga? Znam ją... Z żołdatami się włóczy...”.

Ledwo to powiedziałam, on wyjął z kieszeni rewolwer i we mnie mierzy... Dopadłam do okna i wyskoczyłam z pierwszego piętra... Od tego czasu kuleję... Włodka już więcej nie widziałam... Uciekł gdzieś... Bez śladu... Bał się pewno, że dam znać policji... Ale ja milczałam...

Nie widziałam go z jakieś dwadzieścia lat... Przez ten czas dużo się u mnie zmieniło... Przeprowadziłam się potem do Wilna, gdzie spotkałam się z Głafirą Zublinową... Razem przyjechałyśmy do Łodzi, gdzie Głafira założyła sobie za uzbierane pieniądze „domek” na ulicy Południowej...

Przygarnęła mnie do siebie, dobrze traktowała, a i ja byłam jej wierna i oddana...

Przed miesiącem wyszłam po obiedzie na miasto po sprawunki... Tak jak codziennie... Wróciłam pomiędzy siódmą a ósmą... Otworzyła mi Zublinowa. Powiedziała: „Salka ma gościa... Załatw z nim rachunek, bo ja się chcę przebrać...”. „Dobrze” — mówię i siadam przy stole.

Nagle słyszę coś jakby bieganie, jakby krzyk, jakby łoskot... Przestraszyłam się i pukam do pokoju Salki... Otwiera mi gość... Cały we krwi umazany... Usta, twarz, ręce... Wyciągnął ręce do mojej szyi, ale nagle krzyknął: „Mama!”. To był Włodek... Wciągnął mnie do pokoju, do nóg padł i stopy całował... Zauważyłam leżącą na łóżku Salkę...

Nie żyła już... „Zabiłem” — mówi Włodek — „zabiłem, ale ty musisz mnie ratować...”. Pocałowałam go w czoło i powiedziałam: „Idź stąd, prędko, idź... Ja wszystko załatwię...”. A gdy poszedł, pobiegłam na policję i powiedziałam... że to ja zrobiłam...

Zatrzymała się na chwilę, po czym szeptem dokończyła:

— Czekałam cierpliwie... Myślałam, że teraz on zajmie się mną, swoją matką, która, żeby go ratować, poszła za niego do trumny... Ale nie... A mnie choroba zaczęła coraz więcej dokuczać... Suchoty. Przenieśli mnie tu do szpitala... Czuję, że śmierć się zbliża... Nie chcę, żeby tak źle o mnie myśleli... A szczególnie Głafira... Niech pan jej o tym wszystkim powie, bo ona o niczym nie wie... To jest wszystko, co chciałam powiedzieć...

Porwał ją ponownie suchotniczy kaszel...

Piasecki podniósł się z wolna z miejsca i opuścił salę szpitalną...

KONIEC

1930 25 Rom

Rinaldo Rinaldini.



WARSZAWA NAKŁADEM „KSIĘGARNI POPULARNEJ” S^{to} Krzyska 42.

Cena 30 kop.

Rinaldo Rinaldini

Życie i czyny
słynnego bandyty
włoskiego,
romantyczne
opowiadanie
z przeszłego
stulecia



1910

Klasyka romansu zbójckiego. Powieść pod tytułem *Rinaldo Rinaldini, der Räuber-Hauptmann* opublikował w 1798 roku August Christian Vulpus, wówczas sekretarz w teatrze dworskim w Weimarze oraz pracownik weimarskiej biblioteki, później szwagier Goethego i radca dworu, autor około sześćdziesięciu powieści historycznych, który sławę zyskał właśnie dzięki przygodom Rinalda.

Osadzona w Italii historia nieślubnego syna księcia Nikinora, który zostaje oddany na wychowanie wieśniakom, wstępuje do wojska, zabija dowódcę i dezertuje, po czym ukrywa się jako herszt zbójckiej bandy, powstała pod wpływem *Zbójców* Schillera (1781) i była wielokrotnie tłumaczona i naśladowana (jako *Ferradini*, *Orlando Orlandini*, *Sallo Sallini*, *Carolo Carolini* etc.). Na polski przełożył ją hrabia Bruno Kiciński, wydawca, poeta i tłumacz m.in. Byrona i McPhersona. Pierwsze dwa tomy ukazały się w 1814 roku jako *Rinaldo Rinaldini, herszt zbójców. Romans historyczny wieku osiemnastego i do końca stulecia* miały dziewięć wydań, do tego trzeba doliczyć łącznie siedemnaście wydań trzech różnych wersji skróconych. Przedrukowany tu fragment (z którego wypadł wątek dezercji) pochodzi z popularnej przeróbki *Rinaldo Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty*

włoskiego, która wyszła po raz pierwszy w 1910 roku nakładem Księgarni Popularnej, skrócona i bez podania nazwiska autora.

Podobnie jak Schillerowski Karol Moor, Rinaldo jest wysokiego stanu i zostaje wydziedziczony (choć w odróżnieniu od Karola we wczesnym dzieciństwie, a prawdę o swoim pochodzeniu poznaje dopiero pod koniec powieści), ma odwagę i charyzmę, a przy tym czułe serce i wrażliwe sumienie. Swoją zbójczą robotą zaprowadza na własną rękę sprawiedliwość, biorąc w opiekę starców i sieroty (choćby i przemocą, jak w scenie, w której odbija Cyganom sierotę Rozalię). Daleko mu do głębi refleksji Moora, tak jak on gardzi jednak rabunkiem, oddając się marzeniom o porzuceniu bandy i szczęściu u boku ukochanej. Tyle że Karol wiernie i aż do tragicznego końca kocha Amalię, natomiast Rinaldo pragnie poślubić Aurelię, daje się uwieść Olimpi, opiekuje się Rozalią, ma dziecko z Dianorą, romansuje z Fortunatą... Byłby nowym Don Juanem, gdyby nie to, że jego uczucia są zawsze szczere. Typowe dla romansu zbójckiego jest też w *Rinaldzie* zagęszczenie akcji (ucieczki, przebrania, nagłe rozpoznania) i szybkie przygodowe zakończenie. Karol Moor dobrowolnie oddaje się w ręce sprawiedliwości, tymczasem Rinaldo, ledwie poznawszy rodziców, dostaje

kilkadziesiąt kul z karabinu, gdy próbuje zbiec po drabinie sznurowej z wieży zamku otoczonego wojskiem. W „ludowej” wersji banda odbija potem ciało swego herszta. Przytoczmy niezamierzenie komiczne ostatnie zdanie: „Rozpoczęła się zacięta walka, która się zakończyła bardzo po-myślnie dla rozbójników; zdobyli oni śmiertelne szczątki ukochanego swego wodza i z płaczem wielkim rzucili się na trupa, usypali oni w lesie wspaniały kopiec z kamieni i tam spoczął na wieki dzielny i nieustraszony ich wódz”.

Typowy romans zbójceki, ogromnie modny do połowy XIX w., ustąpił potem powieści detektywistycznej i powieści tajemnic, lecz tacy bohaterowie jak Robin Hood, Ondraszek, Zorro czy nawet Rumcajs zajęli trwałe miejsce w kulturze popularnej. Warto tu wspomnieć o chętnie wyświetlanych w Polsce filmach płaszcza i szpady (jak francuska seria przygód Angeliki z lat 60.) czy o fenomenie serialowego i filmowego Janosika Jerzego Passendorfera (1973—1974). W krajach socjalistycznych narracje o szlachetnych zbójcach miały „słuszny” wydźwięk klasowy, ale ich popularność przed II wojną, a także w latach 90. i później świadczyłaby o tym, że potrzeba sprawiedliwości społecznej i marzenie o samozwańczym opiekunie ubogich są ponad systemowe. *Rinaldo Rinaldini*

był też dwukrotnie filmowany w Niemczech: powstała niema ekranizacja pod tym samym tytułem w 1927 r. i trzynastoodcinkowy serial w 1968 r.

Justyna Jaworska

Rinaldo Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty włoskiego, romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia (s. 3—43). Nakładem Księgarni Popularnej, Świętokrzyska 42, Warszawa 1910.

1. Obóz Rinaldo Rinaldiniego

Noc była ciemna, wiatr świszczał przeraźliwie, a suche drwa trzeszczały na ogniu, przy którym się ogrzewali jacyś dziwnie przystrojeni mężczyźni. Byli to rozbójnicy, którzy sobie w lesie rozłożyli obóz i widocznie, powróciwszy z jakiejś wycieczki awanturniczej, obecnie odpoczywali. Przy śpiewie i winie czas im upływał i znać było po nich, że się znacznie musieli obłowić podczas ostatniego rabunku, gdyż przed każdym leżała spora kupka złotej monety i przeróżnych pierścieni oraz naszyjników.

Nieopodal tej grupy rozbójników stał o drzewo oparty mężczyzna, o silnej budowie ciała. Z dumnej jego postawy i śmiałego wejrzenia poznać można było, że prawdopodobnie musi to być dowódca tejże bandy.

I rzeczywiście był to ich wódz, sławny bandyta Rinaldo Rinaldini. Nie brał on w tej chwili udziału w ochoczej zabawie swych towarzyszy, lecz pogрузił się w głębokiej zadumie. Wspominał teraz swe lata młodociane, kiedy jeszcze na jego sumieniu nie ciążył żaden grzech i żadną zbrodnią nie splamił swych rąk.

Żywo w pamięci stały mu owe chwile, kiedy jeszcze pasał owce i bujał swobodnie po świecie. Ach, jakżeż szczęśliwym czuł się wówczas!

Rodziców swych nie znał on wcale i w wielkiej tajemnicy wychowywał się u jakiegoś pasterza, który go następnie, gdy już dorósł, używał do pasania bydła.

Były to najszczęśliwsze chwile w jego życiu, które, niestety, nie trwały długo. Uprzykrzył sobie jednostajne życie wśród trzody i, korzystając pewnego razu ze sposobności, przyłączył się do bandy włóczęgów, którzy napadali na przejeżdżających podróżnych. Śmiałość i odwaga Rinaldo Rinaldiniego stała się postrachem, gdziekolwiek się tylko pojawił.

Pomimo tego wszystkiego, nie czuł się wcale szczęśliwym. Przeklinał on często siebie i swoje przeznaczenie, które go postawiło na czele bandy rozbójników. Pragnął jednakowoż dobrze czynić ludziom przy każdej sposobności i zawsze stawał w obronie niesprawiedliwie pokrzywdzonych, wspomagał biednych i szlachetnymi czynkami zjednywał sobie serca uciśnionego ludu.

Rinaldo Rinaldini, pomimo zdobytej sławy, nie czuł się jednak szczęśliwy w obecnym swym awanturniczym życiu, pełnym przygód i przeróżnych niespodzianek, które mu niemal każda chwila przynosiła. Tęsknił teraz za spokojem i chętnie by oddał wszystkie swe zrabowane skarby, gdyby mógł na powrót wieść życie uczciwego człowieka, nieobawiającego się niczego. Zazwyczaj w chwili, gdy go największa rozpacz ogarniała, brał do ręki gitarę i zaczynał nucić jakiś smutny romans:

Gdzie ty, złoty śnie serca? W niedawnej godzinie,
W upojeniach miłości żyliśmy oboje,
Jam marzył, że promienny sen nasz nie przeminie,
I jak fanatyk w bóstwo, w serce wierzył twoje.
I szalony, upojony,
Z myślą w przyszłym złotym niebie,
Jak wędrownik nieustrudzony
Biegłem w przyszłość, tam... do ciebie!
Walk tysiącem i pogonią
Utrudzone zwiały skrzydła,
W końcu drogi chwytam dłonią,
Zamiast szczęścia — bańką z mydła!
Pryśła bańka, jak gwiazda pod powłoką chmurną
Znikłaś spod mego oka na wieki, na wieki,
Więc stoję bolejący, smutny i kaleki
Nad grobem marzeń złotych, nad wspomnienia urną.
O nie tej boleję rany,
Nie za tobą tęsknię, płaczę!
Żal mi tęczy złud rozwianej,
Której nigdy nie obaczę.
Żal, że znikła miłość biała,
Co raz tylko w sercu gości,
A którą tyś podeptała,
Puste dziecię, bez litości.
Dziś, choć zimne szyderstwo zimnym sercem włada,
Choć do ruiny złudzeń młody duch przywyknął,
Gdy myśl w zagasłą przeszłość wspomnieniem zapada,
Żal mi snu promiennego, co pierzchnął i zniknął.
Ach, i z piersi wciąż się zdaje,
Gorzka, smutno skarga płynąć:
Czemu miłość w sercu wstaje,
Jeśli gasnąć ma i ginać?
Czemu w szale upojenia,
Złote gonić malowidła,
By po krótkiej chwili snienia,
Zdobyc bańkę — bańkę z mydła.
Kwiat, co w sercu kwitnął na dnie,
I woń dziecku niósł pustemu
Zimny kaprys zdeptał zdradnie
I kwiat skonał! Czemu? Czemu?

Gdy skończył Rinaldo śpiew, który go znacznie uspokoił, położył się pod drzewem i zasnął. Niedługo jednak doznał on słodkiego wywczasu, wkrótce obudziło go kilku bandytów, którzy mu zdali raport, że Altawerde wraz z kilkoma rozbójnikami napadł na jakiegoś księcia neapolitańskiego, który wiozł ze sobą sporo kosztowności i że podczas bójki zamordowano trzech ludzi z otoczenia księcia.

Rinaldo Rinaldini zmarszczył tylko brwi i zawołał gniewnie:

— Po co żeście niepotrzebnie przelewali krew ludzką? Mówiłem wam tyle razy, nie mordujcie ludzi, gdy tego ostateczność nie wymaga!

— Dobrze, kochany wodzu — rzekł Girolamo, jeden ze zbójców. — Zastosujemy się na przyszłość do twych rozkazów, a teraz przyjmij szkatułkę złotą, którą ci przysłał Altawerde. Znalazł on ją przy podziale zdobyczy.

Rinaldo otworzył szkatułkę i wyjął z niej medalion pięknej kobiety i jakiegoś oficera.

Następnie zbójcy przedstawili Rinaldiniemu spis wszystkich rzeczy zrabowanych księciu oraz opowiedzieli mu, jak Altawerde podzielił cały łup pomiędzy bandę. Rinaldini tylko skinął głową na znak, że się zgadza z tym podziałem.

Następnie Rinaldini wydał hasła i polecił rozstawić posterunki w lesie dla większego bezpieczeństwa i zyskania chwili spoczynku. Podczas gdy jedni legli spać przy ogniu, drudzy czuwali, dając sobie od czasu do czasu sygnały.

Kiedy zaczęło świtać, Rinaldo Rinaldini zwołał wszystkich zbójców do siebie i rzekł:

— Towarzysze, czyście słyszeli o odezwach miasta Genui, Wenecji, Luki? Oznaczyły one znaczną sumę za moją głowę.

— Bądź spokojny, kochany wodzu, póki jesteśmy z tobą, to włos z głowy ci nie spadnie! — i przy tych słowach dzielny Girolamo wzniósł oręż do góry.

Wszyscy zbójcy uczynili to samo, wołając:

— Niech żyje Rinaldo Rinaldini!

— Dziękuję wam towarzysze za przywiązanie, jakie macie do mnie. Otóż wiedziecie o tym, że przedsięwziął wyruszyć w góry Albanii. Jeśli się mój zamiysł uda, to zyskam wiele.

Okrzyk radosny wydali wszyscy zbójcy i w niedługim czasie byli już gotowi do pochodu. Rinaldini podzielił ich na oddziały i wskazał im drogi, którymi się mają udać. Rinaldo pozostał sam jeden tylko i niebawem udał się przez gęste zarośla w drogę. Po parogodzinnej uciążliwej podróży dotarł do nędznej chatki, przed którą stał jakiś starzec, zajęty kopaniem ziemi.

Rinaldini znał go już od dawna, więc przywitał się z nim po przyjacielsku.

— Czyś przypadkiem nie zabłądził? — zapytał się starzec Rinaldiniego. — Jeśli chcesz, to mogę cię zaprowadzić na właściwą drogę.

Rinaldini odrzekł mu:

— Znam swą drogę doskonale, lecz pragnę nieco u ciebie odetchnąć, bom znudzony bardzo uciążliwą podróżą. Sądzę, że nie odmówisz mi gościnności.

— Jeśli nie pogardzisz ubogą moją chatką i skromnym mym pożywieniem, to możesz się rozgościć i być tak długo, jak tylko zechcesz.

Rinaldini podziękował mu za uprzejme zaproszenie i wszedł do izdebki pustelnika.

Była ona nader schludnie utrzymywana, znajdowały się w niej niezbędne sprzęty gospodarskie. Na stole leżała wielka Biblia, w której się pustelnik często zagłębiał, obok Pisma Świętego znajdowała się świeżo rozpoczęta kobieca pończocha.

Rinaldini zapytał się go żartobliwie, czy w chwilach wolnych zajmuje się robbieniem pończoch.

Pustelnik odrzekł:

— Tę pończochę zostawiła przez zapomnienie wychowanica, córka zagrodnika z sąsiedniej wioski. Jest to młoda dziewczyna, która mnie czasem, dla pogawędzenia o świętych rzeczach, odwiedza.

Rinaldini usiadł na ławce, a starzec wyniósł z alkierza chleb, ser, owoce i obydwaj zaczęli zajadać z apetytem, popijając winem, które Rinaldini przyniósł ze sobą.

Podczas kiedy tak najspokojniej siedzieli przy stole, zapukano gwałtownie do drzwi. Rinaldini skrył się do alkierza.

Do izby weszło kilku rozbójników.

— Hej, stary kościotrupie, dawaj nam pieniądze i kosztowności, które posiadasz! — zawołał jeden ze zbirów.

— Jestem ubogi i nie posiadam żadnych skarbów. Cały mój majątek mieści się w tym oto woreczku.

— Ha, stary łajdaku! Pieniądzy nie masz, a wino sobie zapijasz. Przynieś i nam natychmiast wina.

— Kiedy nie mam więcej wina. Tylko tyle, co jest w butelce — rzekł pustelnik.

— Kłamię, szelma — rzekł jeden ze zbójców. — Związać go i bić dopóty, aż się przyzna, gdzie jest wino schowane.

Zbójcy w okamgnieniu pochwycili starca i zaczęli go niemiłosiernie katować, wtem otworzyły się drzwi od komórki i na progu stanął Rinaldo Rinaldini.

Zbójcy aż oniemieli z przestachu.

— Nikczemni ludzie! — krzyknął. — Kto was namówił do tego czynu, ażeby napadać bezbronnego starca i pastwić się nad nim?

Lecz żaden ze zbójców, z wielkiego przestachu, nie był w stanie słowa wymówić.

— Cóż, nie dowiem się, kto był sprawcą tego napadu! — huknął gromkim głosem po raz wtóry Rinaldini. — Jeśli mi nie odpowiecie, to tu zaraz pierwszego z brzegu trupem położę — i przy tych słowach począł mierzyć z pistoletu.

— To Paulo nas namówił do tego — rzekł jeden ze zbójców trwożliwym głosem.

Rinaldini wystrzelił i Paulo z łoskotem padł na ziemię.

— A teraz wynoście się stąd i zabierzcie ze sobą Paula. Wkrótce się z wami rozprawię za napasć! — zawołał Rinaldini.

Zbójcy bez szemrania zabrali ciężko rannego Paula ze sobą i wynieśli się co tchu z izby pustelnika.

— Więc tobie, Rinaldini, zawdzięczam swe życie — szeptał cicho Donato (tak zwał się ów pustelnik). — Dzięki ci stokrotnie, żeś mnie uwolnił od tych opryszków.

Rinaldini przystąpił do starca i zdjął mu z rąk pęta, którymi go zbójcy związali. Następnie dał mu się wina napić, by go przywrócić do przytomności.

— Któż to jest? — zapytał się Rinaldini, wskazując na wiszące na ścianie obrazy.

— To są moi dobrzy znajomi — odparł pustelnik. — Lada chwila spodziewam się ich przybycia.

Rinaldini porównał medalionik z wiszącymi na ścianie obrazami i przekonał się, że są to jedne i te same osoby, co zastanowiło go wielce. Lecz nie rozpytywał dłużej pustelnika, pogрузzył się w głęboką zadumę i po chwili zasnął.

Gdy się przebudził, ujrzał dziewczynę, którą niedawno poznał. Zwała się Aurelią. Przystąpił do niej, by nieco z nią rozmawiać.

Wtem spostrzegł w zaroślach jakiegoś zbójcę, który mu dawał tajemnicze znaki. Rinaldini pożegnał się z Aurelią, która weszła do chaty pustelnika, sam zaś udał się do zbójcy.

— Co mi masz do powiedzenia? — zapytał się go Rinaldini.

— Wodzu kochany, przybywaj natychmiast do obozu, gdyż wynikły rozruchy pomiędzy zbójcami z powodu Paula, którego skazują na śmierć za nieposłuszeństwo i przekroczenie naszych przepisów. Tylko ty jeden możesz nas uspokoić i przywrócić porządek.

Rinaldini szybko pobiegł do obozu i zastał Paula skępowanego na ziemi. Winowajca, gdy go spostrzegł, począł błagać o przebaczenie.

— Ja ci nic pomóc nie mogę. Skoro prawo skazuje cię na śmierć za napasć na bezbronного starca, to ja nie mogę łamać przepisów.

— Ja, w imieniu mych towarzyszy, proszę o łaskę dla Paula, daruj mu życie! — błagał Girolamo.

— Praw łamać mi nie wolno — odpowiedział Rinaldo.

— Dzielny Rinaldini stoi wyżej ponad prawem! — zawołała Florilla, jedna z towarzyszek bandy.

— Tak, nasz Rinaldini jest wyższy nad prawo! — zawołali wszyscy zbójcy jednogłośnie.

— W takim razie ułaskawiam Paula na wasze żądanie, ale za krzywdę wyrządzoną starcowi zanieście mu teraz beczułkę wina, niech się biedak nieco pokrzepi. Lecz wiedźcie o tym, że na przyszły raz bezkarnie wam taka rzecz nie ujdzie.

— Przyszekamy, przyszekamy! — zawołali zbójcy.

Paulo rzucił się do nóg Rinaldiniemu i ze łzami w oczach począł mu dziękować, wołając:

— Niech żyje Rinaldo Rinaldini, waleczny nasz mąż, wielki nasz dowódca!
Nieograniczony pan życia i śmierci
— Niech żyje Rinaldo Rinaldini! — zawołali chórem wszyscy zbójcy.
— Niech żyje pan życia i śmierci naszej! — wołał uradowany Paulo.

2. [R]inaldini wybawia Rozalię

Rinaldini, wydawszy odpowiednie rozkazy, poszedł powtórnie do chatki pustelnika, lecz Aurelii już u niego nie zastał, począł więc ze starcem o niej rozmawiać.

— Ona wstępuje wkrótce do klasztoru i już jej więcej nie zobaczysz.

— Czy to być może?! — zawołał przerażony Rinaldini. — Ja ją od pierwszego wejścia pokochałem całą duszą i pragnąłem poślubić! Któż ją oddaje do klasztoru?

— Ja ją oddaję — rzekł Donato — ponieważ zmiarkowałem, że pałasz afektami miłosnymi ku niej.

— Och, ja nieszczęśliwy! Zniweczyłeś zamiary mego serca! Ona była wybranką moją, miała zostać moją żoną. Chciałem porzucić dotychczasowe towarzystwo i z człowieka występnego pożytecznym zostać. Teraz wszystko stracone! — zawołał Rinaldini, rozpaczliwie załamując ręce.

— Wpierw oczyścić się ze swych grzechów, a później dopiero pomyśl o swym ślubie. Sam namówilem Aurelię, ażeby wstąpiła do klasztoru.

— Zrobiłeś mnie nieszczęśliwym człowiekiem — rzekł smutnie Rinaldini — lecz nie mam do ciebie urazy, masz oto na pamiątkę medalionik, gdyż należy on do twych znajomych.

— Dzięki ci stokrotne za podarek, który jest dla mnie nader droгим i stanowi cenną pamiątkę.

Kiedy tak jeszcze siedzieli, wszedł do izby książę De La Rocella, sąsiad pustelnika i, spojrzawszy na Rinaldinięgo, zapytał go:

— To pan jesteś tym nieznajomym, z którym dziś Aurelia rozmawiała? Czy mógłbyś wymienić swe nazwisko?

— Jestem Rinaldo Rinaldini — rzekł on i szybko wyszedł z chaty. Książę de La Rocella aż się wzdrygnął, usłyszawszy to.

Na drodze spotkał Rinaldini jednego ze zbójców, który mu doniósł, że jakieś towarzystwo rozłożyło się w lesie i ucztuje w najlepsze. Rinaldini ucharakteryzował się naprędce i wraz z Cinciem, przebrani za leśniczych, udali się do obozującego w lesie towarzystwa.

— Dzień dobry państwu — rzekł grzecznie Rinaldini. — Jestem leśniczym w tych dobrach i wraz ze swym pomocnikiem wyszliśmy na zwiady, gdyż krążą pogłoski, że sławny Rinaldini wraz ze swoją bandą w tych okolicach czyni wielkie spustoszenia. Na jego głowę naznaczono znaczną nagrodę, pragnęlibyśmy go schwycić. Bardzo się dziwię, że państwo nie lękacie się tu siedzieć, skoro Rinaldo jest w pobliżu.

Na te słowa Rinaldiniego damy aż pobladły z przestachu. Lecz jeden z ich towarzystwa, chcąc dodać im otuchy, rzekł:

— Nie mogę pojąć niedołęstwa rządu włoskiego, ażeby takiego łotra nie można było schwycić i on tak bezkarnie bujał sobie po świecie.

— Och! To niełatwa sprawa z tym Rinaldinim — odrzekł mu Rinaldini. — Niedawno przeciwko niemu wysłano cały oddział wojska i on wszystkich w pień wymordował, banda jego dokonywa cudów waleczności.

Rozpoczęto sobie opowiadać przeróżne sztuczki Rinaldiniego i jedna dama z towarzystwa, rozochocona tym, co obecnie słyszała, zawołała naraz:

— Ach, jakbym ja pragnęła zobaczyć choć raz tego sławnego bandytę! Tyle się już nasłuchiłam o tym Rinaldinim.

A Rinaldo jej na to:

— A czyby się pani nie przeraziła, gdyby on tak w tej chwili stanął przed panią i pistolet swój przyłożył do piersi pani, a jego pomocnik rzucił się na resztę towarzystwa?

I przy tych słowach Rinaldo i Cincio wyjęli pistolety, wołając:

— Oddajcie nam wasze kosztowności i pieniądze!

Całe towarzystwo aż oniemiało z przestachu, widząc skierowaną ku sobie broń. Jeden zaś z panów zawołał:

— Panie leśniczy, niech pan sobie z nas nie żartuje! Widzisz pan przecież, że damy już mdleją z przerażenia!

— Ależ ja nie żartuję wcale — odrzekł spokojnie Rinaldini. — Pragnęliście zobaczyć mnie, otóż mnie i macie. A teraz wydajcie mi bez żadnych ceregieli swoje kosztowności, gdyż nie mam wiele czasu. Nie opierajcie się, bo może to który z was życiem przypłacić, ja żartów nie lubię.

Wszyscy bez szemrania zaczęli z palców zdejmować złote pierścienie i oddali to, co mieli przy sobie.

— No, a teraz żebyście nie myśleli, że Rinaldini jest złym człowiekiem, dam wam kartę bezpieczeństwa od siebie. Możecie sobie teraz spokojnie odbyć dalszą podróż, już żaden z moich ludzi nie wyrządzi wam najmniejszej przykrości. Wypłatałem wam małego tylko figła na własne wasze żądanie, a teraz bądźcie wszyscy zdrowi i polecam się nadal łaskawej waszej pamięci.

Przy tych słowach skłonił się z rycerską galanterią całemu towarzystwu.

W niespełną godzinę po tym wypadku dały się słyszeć liczne strzały w lesie. Rinaldini spostrzegł od razu, że musi to być utarczka ścigających go dragonów z jego ludźmi. Wkrótce nadbiegł A[l]tawerda i przyniósł jakiś list.

Rinaldo zaczął czytać głośno:

„Odezwa do wszystkich zbójców z bandy Rinaldo Rinaldiniego.

Podaje się do wiadomości wszystkim bandytom, że który opuści swego dowódcę Rinaldo Rinaldiniego, zostanie zupełnie ułaskawionym. Ten zaś, który go dostawi do władzy żywego lub trupa, otrzyma nagrody dwadzieścia tysięcy raków”.

— A teraz wybierajcie, co wolicie? — rzekł Rinaldini do zgromadzonych koło siebie towarzyszy. — Czy mnie wydać władzy i otrzymać ułaskawienie i nagrodę, czy też walczyć ze mną mężnie i nie poddać się?

— My ciebie nie opuścimy nigdy, będziemy z tobą walczyć na życie i śmierć! Albo zginiemy wszyscy, albo przebijemy się teraz przez wojsko i uciekniemy w inne strony.

— Takich zuchów to lubię! — zawołał Rinaldo Rinaldini. — A więc, przyjaciele, weźcie za oręż!

— Do broni! Do broni! — zawołali zbójcy. — Niech żyje Rinaldo Rinaldini!

I rozpoczęła się wkrótce krwawa utarczka z dragonami. Zbójcy walczyli mężnie i cały oddział niebawem poszedł w rozsypkę.

Towarzysze Rinaldiniego okazali się dzielnymi w boju. Dużo z nich legło podczas bitwy lub dostało się do niewoli, lecz sam Rinaldini zdołał zbiec do granicy ze szczupłą garstką zbójców. Gdy dotarł w bezpieczne miejsce, skąd nie groziło mu już żadne niebezpieczeństwo, upadł prawie bez sił na ziemię, tak był znużony przebytą walką.

Przeleżał tak do samego rana, następnie przeszedł przez las i przybył do strumyka, w którym się orzeźwił. Posiliwszy się nieco mlekiem i owocami, wyruszył w dalszą drogę i napotkał bandę Cyganów.

Herszt zbliżył się do Rinaldiniego ze słowami:

— Toś ty jest Rinaldinim! Już miałem sposobność cię raz widzieć. Ho, ho, ptaszku, już teraz chyba nie ujdiesz i wydamy cię w ręce sprawiedliwości.

— Milcz, łotrze! — zawołał Rinaldini. — Ublizas mi tylko, porównując mnie z tym zbójem. Jestem leśniczym i wczoraj brałem udział w obławie na Rinaldiniego. A teraz pokażcie mi swoje paszporty, gdyż mam prawo takich jak wy, włóczęgów, przyaresztować.

— E, czego się pan zaraz gniewasz, panie leśniczy — rzekła stara cyganka. — Ot, skosztuj pan lepiej naszej wódki, przecież się pogodzimy, nasz wódz tylko zażartował z pana!

— Ja żartować z siebie nie dam! — zawołał Rinaldini, wypiwszy wódkę. — Pokażcie no ptaszki, czy są wasze paszporty w porządku.

— Słuchaj, Rozalio, daj no panu leśniczemu kawałek ciasta na przekąskę — rzekła ta sama stara cyganka.

— A wy komu tę dziewczynę ukradliście? — zapytał Rinaldini. — Ładne dziecko, nie ma co?

— Dziewczynę tę powierzono naszej opiece — odpowiedziała cyganka.

— To dziewczę jest moje — zawyrokował Rinaldini. — Macie tu za nią dzieśięć dukatów, ale ostrzegam was, że gdy natraficie na drugiego leśniczego, to tak łatwo się nie wykręcicie.

Rozalia była niezmiernie wzruszona, że znalazła zbawcę w Rinaldinim.

— Panie, jakże ci mam dziękować za to, coś dla mnie uczynił? — rzekła Rozalia.

— Będę najwierniejszą dla ciebie sługą, by ci okazać moją wdzięczność.

— O! Nie dziękuj mi wcale, nie jestem leśniczym, ale Rinaldinim.

— O mój Boże! — zawołało przestraszone dziewczę.

— No, nie lękaj się wcale. Nie zrobię ci nic złego. Jeśli chcesz, to odprowadzę cię na powrót do Cyganów.

— Za nic w świecie nie chcę do nich powrócić — zawołała przestraszona Rozalia. — Wolę już być razem z tobą, bo wiem, że jesteś szlachetnym człowiekiem, słyszałam wiele dobrych rzeczy o tobie.

— Dziękuję ci za zaufanie, jakim mnie obdarzasz — rzekł Rinaldini. — Pragnę ja już od dawna odsunąć się od swych towarzyszy i prowadzić spokojne życie. Mam znaczne skarby zakopane w ziemi, które mi wystarczą na kupienie kawałka gruntu i urządzenie sobie gospodarstwa. Jeśli chcesz, Rozalio, możesz zostać u mnie gospodynią.

— Z największą wdzięcznością przyjmuję u pana ten obowiązek — zawołała radośnie Rozalia.

3. Napad na zamek

Rinaldini wraz z Rozalią puścili się w dalszą drogę i dotarli do ruin starego zamku.

— Tu musi być zapewne schronienie zbójców — rzekł Rinaldini. — Uchodźmy lepiej stąd, ażeby się z nimi nie spotkać.

Lecz zaledwie to wyrzekł Rinaldini, przystąpił doń jakiś uzbrojony bandyta.

— Poddaj się, człowiecze, gdyż jestem Batistellim, który nikomu życia nie daruję! Jestem wodzem najemniejszych zbójców.

— To ty mi się wpięrow poddaj! — zawołał Rinaldini. — Wiedz o tym, że jestem Rinaldinim, który nikomu nie ustępuje.

— Ach! Jakżeż się czuję szczęśliwym — zawołał Batistelli — że nareszcie spotkał swego współzawodnika! Teraz miecz musi rozstrzygnąć, który z nas zostanie wodzem nadal.

Nastąpiła walka zapaśnicza dwóch wodzów. Jeden i drugi był wielkim mistrzem w sztuce szermierskiej, lecz Rinaldini zręcznym cięciem położył trupem swego przeciwnika.

Zabrawszy Batistellimu pieniądze oraz kosztowny pierścień z palca, puścił się w dalszą drogę z Rozalią i przybył do Florencji.

Tam kupił sobie konia i przebrał się za magnata, Rozalię zaś po męsku ubrał i tak dalej puścił się w świat.

Zamiarem Rinaldiniego było odwiedzić najpierw Donata i dowiedzieć się coś o Aurelii, której wcale zapomnieć nie mógł.

Donato na razie nie mógł rozpoznać Rinaldiniego i wielce się ucieszył, gdy ten zdjął sobie przyprawioną brodę i dał mu się poznać. Pierwszem zapytaniem było, co słyhać z Aurelią i gdzie się obecnie znajduje.

Donato mu opowiedział, że Aurelia już wyszła za mąż za jakiegoś magnata i że jest córką zakonnicy i księcia De La Rocella.

Rinaldini posmutniał na tę wiadomość. Kochał Aurelię szalenie, więc też przygnębiająco oddziaływała na niego wieść o zamążpójściu jej.

Po parogodzinym wypoczynku u Donata Rinaldini pożegnał się z nim czule. Nieopodal jego chaty miał Rinaldini zakopane znaczne skarby, które mu się w tej chwili bardzo przydały. Kupił sobie powóz i zaczął podróżować jako hrabia Dalbrogo, Rozalia zaś przebrana była za lokaja.

Pewnego razu zdarzyło się, że przyjechali do jakiegoś miasteczka, w którym się odbywał jarmark. Rinaldini wysiadł z powozu i przechadzał się po rynku. Naraz usłyszał jakiegoś śpiewaka, który opiewał jego bohaterskie czyny. Przystanął i począł się przysłuchiwać wraz z gromadką ludzi. Był ciekawy, co też o nim mówią.

Śpiewak wychwalał odwagę Rinaldiniego w swych pieśniach oraz to, jak w swych towarzyszach potrafił on pobudzać ducha męskiego. Następnie w końcowej zwrotce dodał, że Rinaldini jak prawdziwy bohater legł na placu boju, wołał raczej śmierć ponieść na miejscu, aniżeli znosić hańbiącą niewolę.

— A teraz pomódlmy się za grzeszną duszę tego strasznego zbroja — rzekł śpiewak, zdejmując kapelusz z głowy. Wszyscy zgromadzeni zaczęli się modlić za duszę Rinaldiniego, on zaś to samo uczynił.

Zaledwie jednak postąpił kilka kroków, spotkał się naraz z księciem De La Rocella.

— Czyś ty zmartwychwstał? — zapytał się książę Rinaldiniego z przestachem. — Żyjesz więc i nie lękasz się chodzić pomiędzy tymi ludźmi?

— Jak widzisz, książę, żyję jeszcze i jestem teraz w twojej mocy! Możesz ze mną postąpić, jak tylko zechcesz.

— Nie obawiaj się mnie, nie jestem szpiegiem i nie wydam cię wcale. Strzeż się tylko, ażebyś się sam nie złapał.

— Ja to jestem pewny siebie — rzekł wesoło Rinaldini. — Zresztą dwustu ludzi czuwa nade mną i w razie niebezpieczeństwa pospieszy mi z pomocą.

Rinaldini, pożegnawszy się z księciem De La Rocella, poszedł do lasu i spotkał się ze swymi ludźmi. Ci go uprosili, ażeby się więcej już od nich nie odłączał, lecz pozostał z nimi razem.

Rinaldini im przyrzekł, że na powrót obejmie dowództwo i weźmie udział w obławach. Razu jednego Rinaldini, przechadzając się po okolicy, zbliżył się do jakiegoś wspaniałego zamku, począł mu się bacznie przyglądać i ujrzał w altanie ogrodowej przy zamku jakąś kobietę. Któż jednakże opisze jego zdumienie, gdy w tejsz kobiecie rozpoznał Aurelię, którą tak ubóstwiał.

Rinaldini postąpił kilka kroków ku altanie.

Aurelia, usłyszawszy szelest kroków, podniosła się z ławki, lecz gdy ujrzała Rinaldiniego, krzyknęła z przestachu.

Rinaldini zaczął ją uspokajać i wkrótce Aurelia ochłonęła z chwilowego przeżenia.

Opowiedziała mu wszystkie przejścia swego życia i że ją zmuszono do zaślubienia człowieka, którego wcale nie kochała, lecz jedynie na prośby ojca przystała na ten związek, w którym się czuje bardzo nieszczęśliwą.

Rinaldini przedstawił się jej jako hrabia Dalbrog, następnie począł opowiadać o swej bytności u starca Donata, a także, że niedawno spotkał się z jej ojcem, księciem De La Rocella.

Aurelia całym sercem lgnęła do Rinaldiniego i poczęła mu się wynurzać ze swych smartwien.

— Ach, nie uwierzysz, kochany hrabio Dalbrog[o], jak podle ze mną mąż postępuje. Jest to niegodziwiec, jakiego trudno drugiego na świecie spotkać. Wyobraź sobie, hrabio, że w zamku trzyma on jeszcze wszystkie swe dawne kochanki i te ladacznice ubliżają mi przy każdej sposobności.

— Ależ to niegodziwość posunięta do najwyższego stopnia! — zawołał z oburzeniem Rinaldini. — I pani to wszystko znosisz cierpliwie i nie poskarżyłaś się pani swemu ojcu, księciu Da La Rocella. Czyżby on został obojętnym na to, że jego córka zostaje tak haniebnie traktowaną?

— Drogi hrabio Dalbrog — odrzekła mu Aurelia — pisałam już niejednokrotnie do swego ojca, uskarżając się na swą ciężką niedolę, lecz dotychczas nie otrzymałam od niego żadnej odpowiedzi. Sądzę, że mąż mój przejmuje listy pisane do ojca i niszczy takowe — z westchnieniem dodała Aurelia.

— Ha! Ten podlec gotów jest się wszystkiego dopuścić! — zawołał ze złością Rinaldini. — No, ale taki stan dłużej trwać nie może, należy mu zapobiec zawczasu. Ja sam nie pozwolę na to, ażeby panią mąż katował. Ślady masz na ciele jego brutalnego obchodzenia się z tobą i należy temu raz położyć koniec.

— Ach! Wątpię, hrabio Dalbrog, czy co wskórasz u męża mego. Jest on ordynarnym gburem, a przy tym otoczył się jak najgorszym towarzystwem. Sami karciarze, szulerzy, z którymi cały dzień gra oraz bawi się wraz z tymi kobietami, bezwstydnymi do najwyższego stopnia i na takim hulaszczym życiu schodzi im dzień po dniu.

— Już ja się z nim rozprawię i nauczę go, jak ma żonę szanować. Rozpędzę ja całe to miłe towarzystwo na cztery wiatry — rzekł ze stanowczością Rinaldini.

Zaledwie jednak wyrzekł te słowa, stanął przed Rinaldinim mąż Aurelii wraz ze swym towarzystwem, mocno podochoconym.

Rinaldini spostrzegłszy go, natychmiast powstał i zbliżył się do męża Aurelii, przedstawiając się:

— Jestem hrabia Dalbrog, przyjaciel teścia pańskiego, księcia De La Rocella. Pozdrawia on pana i zawiadamia jednocześnie, iż wkrótce do pana przybędzie.

— Bardzo mnie to cieszy, panie hrabio Dalbrog — odparł mu mąż Aurelii. Następnie, zwracając się do żony, począł jej czynić uwagi, dlaczego pana hrabiego nie prosiła do pokoju, lecz przyjmuje go w altanie.

— Daruje mi pan hrabia, ale moja żona jest nader niedbale wychowana i nie zna obyczajów towarzyskich.

— Oh! Przeciwnie, szanowny panie — odrzekł mu Rinaldini. — Posiadasz pan w swej żonie klejnot nieoszaczowany, którego tylko należycie ocenić nie potrafisz.

— Eh, taki klejnot to możesz sobie w każdej chwili zabrać i oddać go na powrót ojcu, księciu De La Rocella — szyderczo rzekł mąż Aurelii.

— Tak tylko nikczemni ludzie postępują — zapalczywie zawołał Rinaldini.

I rozpoczęła się zażarta kłótnia pomiędzy Rinaldinim a mężem Aurelii, następstwem której było, że Rinaldini, rozwścieczony do najwyższego stopnia, wybiegł z zamku.

Na świeżym powietrzu ochłonął nieco i [począł] obmyślać plan, w jakiby tu sposób oswobod[zić] [Au]relię z niegodziwych rąk jej męża. Bolało go to bardzo, iż kobieta, którą on ubóstwia, znosi ciężką niedolę, więc postanowił przy pomocy swych ludzi ją ocalić, mężowi zaś jej dać porządną nauczkę na przyszłość.

Rinaldini był przede wszystkim człowiekiem czynu i co postanowił, wykonać musiał, więc też, gdy powrócił do swych towarzyszy, natychmiast uszykował oddział ludzi, którzy o północy mieli urządzić napad na zamek.

Gdy nadeszła oznaczona godzina, Rinaldini wraz z wybranymi przez siebie zuchami po cichutku zakradł się do zamku. Z odźwiernymi załatwili się krótko, wiążąc ich jak barany i zatkali im usta, by nie krzyczeli. To samo zrobili ze służbą zamkową. Gdy już byli pewni siebie, że wszelkie przeszkody zostały usunięte, weszli do salonu, w którym mąż Aurelii hulał sobie w najlepsze ze swymi gośćmi. Aurelia zaś wystawioną była na szyderstwa i żarty kobiet, dlatego siedziała w kącie salonu i opłakiwała swą niedolę.

Rinaldini pewnym krokiem przystąpił do męża Aurelii i zawołał:

— No, przyszedłem teraz, ażeby się z panem rozprawić!

— Hej, służba, wyrzucić tego śmiałka! — krzyknął mąż Aurelii.

— Jużem się ze służbą twoją załatwił, mój panie — z uśmiechem rzekł Rinaldini.

— Jakim prawem śmiesz pan mój dom nachodzić? — [rz]ekł ze złością mąż Aurelii.

— Jestem Rinaldini, który może sobie na [to po]ozwolić!

Wszyscy goście aż potruchleli, usłyszawszy to, Aurelia zaś zemdląła.

Rinaldini pobiegł do Aurelii, by ją przywrócić do przytomności i, zwracając się do Altawerda, rzekł:

— Możecie sobie teraz pohulać nieco w tym zamku, możecie go do szczytu zrabować, ale nie palić. Tym panom zaś oraz bezwstydnym ich kochankom dajcie dobrą nauczkę, ażeby na drugi raz uszanowali nieszczęśliwą kobietę i nie drwili z jej niedoli. Po pięćdziesiąt batów należy się każdemu, by wiedzieli, że Rinaldini karze niegodziwe postęпки!

Aurelia, gdy przyszła do przytomności, zawołała trwożliwie.

— Tobie to Rinaldini zawdzięczam swe ocalenie! O, bądź wspaniałomyślnym i nie chciej używać twe[j] przewagi, gdyż i tak już dużo wycierpiałam na tym świecie! Jeśli chcesz jeszcze jeden uczynek miłosierny zrobić dla mnie, to odwieź mnie na powrót do klasztoru, w którym byłam, a będę cię błogosławić za to do końca żywota swego.

— O, pani! Wierz mi, że każde twe życzenie jest dla mnie rozkazem — rzekł z uczuciem Rinaldini. — Pragnę jedynie twego szczęścia i raduję się wielce, gdy mogę ci w czymś przyjść z pomocą.

— Dziękuję ci, panie, za twoją troskliwość dla mnie — odrzekła mu Aurelia.

Podczas kiedy Altawerda wraz z towarzyszami wesoło się zabawiali z gośćmi męża Aurelii, a także i z nim samym i jego kochankami, okładając wszystkich nielitościwie różgami, Aurelia przygotowywała się do podróży i z nastaniem brza-sku rannego wyruszyła wraz z Rinaldinim do klasztoru świętej Klary.

Po kilku godzinach szczęśliwie dotarli do miejsca przeznaczenia i Aurelia gorącymi słowami zaczęła mu dziękować za jego szlachetny uczynek:

— Póki życia mego, nie zapomnę tego, co dziś pan dla mnie zrobił — szeptała Aurelia z wdzięcznością.

Na te słowa Rinaldo Rinaldini zdjął ze swego palca złoty pierścień i, podając go Aurelii, rzekł:

— Przyjmij to pani na pamiątkę ode mnie i nie zapomnij mnie, gdyż jestem na tym świecie bardzo nieszczęśliwym człowiekiem. Módl się za mnie Aurelio i bądź szczęśliwa, gdyż dla mnie jasny promień szczęścia nigdy nie zabyłśnie.

4. Florilla

Rinaldini, pożegnawszy się z Aurelią, udał się do swych towarzyszy, znajdujących się w górach Albano. Trwożliwe wiadomości przynosili co chwila zbójcy do obozu, wojsko się zbierało i mieli znów urządzić wielką obławę na rozbójników.

Rinaldini wydał odpowiednie rozporządzenia swym ludziom, aby, przebrani, do innej, bezpieczniejszej dostali się miejscowości.

Sam zaś Rinaldo Rinaldini z kilkoma towarzyszami, jako rycerze, konno wyruszyli w dalszą podróż. Najpierw postanowił on odwiedzić księcia De La Rocella, ojca Aurelii i uwiadomić go o wszystkim, co zaszło.

Gdy Rinaldiniego książę zobaczył, zawołał z oburzeniem.

— Cożeś ty nam najlepszego zrobił, nieszczęsny człowieku?! Zhańbiłeś nasze nazwisko, teraz posądzają nas wszyscy, żeśmy się z tobą i z całą bandą rozbójników porozumiewali i uplanowali zamek zburzyć, by oswobodzić Aurelię.

Rinaldini położył na swej piersi rękę i zawołał uroczystym głosem:

— Ja kocham Aurelię i dla niej gotów jestem do wszelkich poświęceń. Jeśli sobie tego życzysz, mogę się natychmiast oddać w ręce sprawiedliwości i dowieść, żeż działał na własną rękę i nie porozumiewał się z tobą. Oddaję się tobie na

łaskę i niełaskę. A teraz przyjmij cały mój majątek, który przy sobie posiadam. Przeznaczam go na posag dla Aurelii.

— Ja nie chcę zrabowanymi pieniędzmi zapewniać przyszłego szczęścia Aurelii, one ją tylko unieszczęśliwić mogą. Aurelia pozostanie do końca życia w klasztorze.

Rinaldini ponurym wzrokiem spojrział dookoła i rzekł grobowym głosem:

— Wszystko mi się teraz nieszczęści, ze wszystkich stron dochodzą tylko złowrogi wieści, serce mi mało nie pęka z żalu, że nie mogę zaznać spokoju i uczciwego żywotu wieść. Żegnam cię, książę. Pozdrów Aurelię ode mnie.

Położenie Rinaldiniego stawało się coraz niebezpieczniejsze, cała jego banda została niemal rozbita przez wojsko, wielu z nich dostało się do niewoli i wielu zdołało zbiec. Rinaldini postanowił Rozalię wysłać do starca Donata, aby sam był bezpieczniejszym, będąc swobodnym.

Kilku ze swoich wiernych towarzyszy wysłał Rinaldini do różnych miast, aby ci znowu utworzyli nową bandę. Następnie wyznaczył im miejsce, gdzie się znów wszyscy spotkać mają.

W taki sposób rozpieczęśli się wszyscy zbójcy [na] różne strony. Rinaldini, przebrany za pustelnika, pewnego razu przybył do Kalabrii, gdzie już od samego rana panował niezwykley zgiełk w całym mieście. Począł się on wtedy wypytwać o przyczynę tego ożywienia.

— Mają jakąś kobietę dziś publicznie bić różgam[i] na placu — odrzekł mu ktoś z przechodniów.

Rinaldini, zaciekawiony wielce, postanowił przypatrzeć się tej egzekucji i wraz z tłumem narodu przystanął na placu.

Po niedługim czasie ujrzał Rinaldini, jak wojsko pod bronią prowadziło na plac jakąś kobietę i rozpoczęło katowanie na przygotowanym poprzednio w tym celu w[iz]niesieniu. Rinaldini przeraził się niezmiernie, gdyż kobietą, która otrzymywała chłosty, była Florilla, jedną z towarzyszek bandy jego.

Florilla w niebogłosy krzyczała, gdy kat po obnażonym ciele ciął ją różgami i krew strumieniem wytryskała po każdym razie.

— Ratunku! Ratunku! Boże! Ratuj mnie! — wołała Florilla.

Nagle przerwała i wśród tłumu przypatrującego jej się spostrzegła Rinaldiniego. Szalona myśl przyszła jej teraz do głowy, zdradzić i wydać Rinaldiniego, a uwolnić się przez to od swych katów.

— Czegóż mnie bijecie, niegodziwi ludzie? — wyrzekła [***] Florilla. — Patrzcie, oto tam stoi Rinaldo Rinaldini, [stra]sny zbójca — i przy tych słowach Florilla patrzyła na nieopodal niej stojącego Rinaldiniego. — Łapcie i biczujcie go na śmierć, bo ja jestem niewinną kobietą.

Nastąpił ogromny popłoch pośród tłumu po słowach Florilli, policja z wydobytymi pałaszami pospieszyła ku Rinaldiniemu.

Jeden tylko Rinaldini nie stracił przytomności umysłu w chwili, gdy już był zgubiony i policja miała go schwytać.

Na wrzask ludu:

— Łapcie! Trzymajcie Rinaldinięgo!

Rinaldini, skorzystawszy z ogólnego zamieszania, pochwycił pierwszego z brzegu stojącego mężczyznę, i popchnąwszy go policjantom w ręce, zawołał:

— Bierście go! Oto jest Rinaldini, a pilnujcie go dobrze, żeby wam nie uciekł.

Wszyscy rzucili się na podsuniętego przez Rinaldinięgo człowieka i zaczęli go bić niemiłosiernie. Sam zaś Rinaldini czym prędzej uciekł z tegoż miasta i dopiero za roгатką przypisał sobie czarną brodę i przebrał się za kupca podróżującego.

W taki to sposób, dzięki rozwadze i przytomności umysłu, ocalał. Lecz któż opisać zdumienie policji oraz wszystkich ludzi, którzy w domniemanym Rinaldinim, przez nich obijanym, poznali jak najspokojniejszego obywatela miasta, a nie żadnego rozbójnika. Był on sobie zwyczajnym majstrem rzeźniczym, którego tłum w chwili rozgorączkowania się i ogólnego zaślepienia wziął za niebezpiecznego Rinaldinięgo.

Wszyscy osłupieli na razie. Najbardziej zaś złorzeczyła policja, że się tak dała wywieść w pole przez Rinaldinięgo, który tymczasem, gdy oni oprzytomnieli i spostrzegli swą pomyłkę, był już daleko poza miastem.

Szczęśliwie przybył Rinaldini po tym wypadku do Neapolu, gdzie pod przybranym nazwiskiem hrabiego Moretti wkręcił się do towarzystwa najwykwintniejszego. Zapoznał się on wkrótce z całą arystokracją miejscową i polubili go wszyscy, gdyż był nader uprzejmy i wesoły w towarzystwie, zwłaszcza kobiety za nim przepadały.

Zjednał on sobie wielu przyjaciół z arystokracji rodowej, a między innymi także jakiegoś kapitana korsykańskiego, z którym żył na poufalej stopie.

Pewnego razu kapitan rzekł do Rinaldinięgo:

— Przede mną daremnie się maskujesz, mój drogi. Wiem ja dobrze, kim jesteś, mnie nie zmylisz, poznałem cię od pierwszego razu.

Rinaldini przeraził się po tych słowach, lecz chcąc ukryć swe wzruszenie, z udaną obojętnością zawołał:

— E, to być nie może, skądżeby mnie pan mógł znać, chyba się pan myli?

A na to mu kapitan korsykański odrzekł:

— Nie obawiaj się pan niczego, nie jestem szpiegiem. Nie wydam pana, możesz mi pan zaufać, że nie zrobię użytku z tego, co wiem.

Lecz Rinaldini nie dał za wygraną i, chcąc przekonać kapitana, że nie jest tym, za którego on go uważa, rzekł tonem obrażonego w swej dumie:

— Więc za kogóż mnie pan bierzesz? Mów pan otwarcie, gdyż nie lubię żadnych tajemnic.

— Jesteś człowiekiem, który przyobiecał sobie, że się poprawi i zmieni dawny tryb życia i właśnie w tej chwili znajdujesz się na drodze poprawy i dążysz zmaza[ć] wszystkie swe złe uczynki popełnione poprzednio.

Po tych słowach kapitan korsykański wyszedł z pokoju.

Rinaldini, usłyszawszy to, w głęboką pogrążył się zadumę i długi czas myślał nad tym, kto by to mógł być owym kapitanem korsykańskim, lecz żadną miarą nie mógł się domyśleć jego osobistości.

Po kilku tygodniach, po owej rozmowie z kapitanem, przyszła pewnego razu jakaś młoda dziewczyna do Rinaldiniego z bilecikiem miłosnym, w którym mu wyznała swą miłość jakaś hrabianka i prosi na wszystko, ażeby przybył nazajutrz do kościoła świętego Wawrzyńca dla dalszego porozumienia się z nią.

Zaledwie wyszła dziewczyna od Rinaldiniego, której tenże dał przychylną odpowiedź, iż się zgadza przyjść na schadzkę do kościoła świętego Wawrzyńca, gdy wtem, jak spod ziemi wyrosły, stanął przed nim kapitan korsykański i rzekł stanowczym głosem:

— Rinaldini, jeśli chcesz uniknąć wielkiego nieszczęścia, to nie chodź jutro do kościoła świętego Wawrzyńca.

Rinaldini z osłupieniem spoglądał na kapitana [i] rzekł:

— Któż pan jesteś, że wiesz o najdrobniejszych szczegółach mego życia?

— Poznasz mnie wkrótce — rzekł tajemniczo kapitan korsykański. — Ufaj mi tylko i nie wąż się pójść jutro do kościoła.

Rinaldiniego tajemniczość ta poczęła niepokoić i na razie nie wiedział, jak postąpić ze sobą: czy pójść na schadzkę miłosną, czy tego zaniechać zupełnie.

Następnego dnia taż sama dziewczyna przyniosła mu powtórnie drugi miłosny bilecik, tym razem był on podpisany imieniem: „Aurelia”. W bileciku znowu zapraszała go Aurelia na schadzkę do kościoła, ażeby przybył na pewno.

Rinaldini zachwycony był tym bilecikiem miłosnym i gorącymi pocałunkami namiętnie go okrywał, dziewczynę zaś, która mu go przyniosła, obdarował dwoma dukatami i z nadmiaru szczęścia zawołał:

— Przyjdę do ukochanej Aurelii, choćby się niebo i piekło sprzysięgło przeciwko mnie, choćbym miał tysiączne przeszkody do zwalczenia... to przyjdę, przyjdę niezawodnie!

— Oh! To jeszcze wielkie pytanie, czy pójdziesz do Aurelii! — zawołał nagle korsykański kapitan, który jakby zły duch stanął naraz przed zdumionym Rinaldinim.

— Rinaldo Rinaldini nie łamie danego słowa! — rzekł dumnie Rinaldini. — Powiedziałem, że przyjdę na schadzkę i żadna siła nie zdoła mnie powstrzymać od tego postanowienia.

I wyrzekłszy te słowa, Rinaldini nienawistnym okiem spojrzał na korsykańskiego kapitana.

A ten mu na to:

— No, no mój paniczku, zobaczymy jeszcze, czy co będzie z tej miłosnej schadzki.

5. Schadzka miłosna

Pogróżki kapitana korsykańskiego wielce niepokoiły Rinaldiniego, lecz pomimo tego nazajutrz rano o oznaczonej godzinie poszedł do kościoła świętego Wawrzyńca zobaczyć się z Aurelią.

Kochał ją całym sercem oraz bezustannie nią tylko był zajęty i, idąc do kościoła, na wszystkie strony pilnie spoglądał, czy przypadkiem nie ujrzy ubóstwiającej przez siebie kobiety.

Daremnie jednakże wodził oczyma dookoła, Aurelii nie było ani w kościele, ani też nigdzie nie mógł jej zoczyć.

Ujrzał jednakże dziewczynę, która mu przynosiła bileciki od Aurelii.

Dziewczyna zbliżyła się doń i szepnęła po cichu do ucha:

— Moja pani przeprasza pana bardzo, że nie mogła przyjść do kościoła dla bardzo ważnych przyczyn, ale prosi pana, abyś raczył ją odwiedzić. Ja mam pana zaprowadzić do niej!

Rinaldini uszczęśliwiony był tym zaproszeniem i przez drogę już obejmował w myśli czule ukochaną Aurelię oraz namiętnie ją całował. Przyspieszył kroku, niemal począł biec, tak, że idąca z nim razem dziewczyna nie mogła mu kroku dotrzymać. Pragnął on jak najrychlej paść do kolan najdroższej Aurelii.

Przybywszy do jej mieszkania, rzucił się Rinaldo z radosnym okrzykiem do nóg Aurelii.

— Boże! Jakież ja szczęśliwy — wołał z zachwytem Rinaldini — że cię znowu widzę. Sądziłem, że już nigdy cię nie zobaczę — i począł z zapalem całować jej ręce, przy tych słowach szepcąc namiętnie: — Aurelio, czy to ty jesteś rzeczywiście? Czy ja marzę i widzę cię we śnie, czy też mam szczęście być z tobą razem?

Aurelia na to słodziutkim wyrzekła głosem:

— Jestem Aurelią, ale nie tą samą, o której pan myślisz.

W pokoju, w którym się znajdował Rinaldini wraz z Aurelią, było ciemno, okno zostało różowymi firankami przysłonięte, oprócz tego Aurelii twarz była gęstą woalką okryta.

Rinaldini był rozmarzony do najwyższego stopnia i na razie nie odczuł różnicy, że się znajduje z obcą kobietą, a nie ze swym ideałem serca. W nader krótkim czasie Rinaldini zapomniał się do tego stopnia, że z nieznajomą sobie damą był już na najpoufalszej stopie i, obejmując ją wpół, oddawał się słodkiej rozkoszy. Zawołowana dama nie broniła mu się wcale, przeciwnie, zachęcała go nawet do pieszczot miłosnych.

W chwili, gdy Rinaldo Rinaldini czule ścisnął nieznajomą damę, wszedł nagle kapitan korsykański do pokoju i złapał ich na gorącym uczynku. Szalonym wybuchnął on gniewem, wołając donośnym głosem, rozwścieczony do najwyższego:

— Niegodziwa kobieto! Wynoś się natychmiast z mego domu, nie wartaś mieszkać pod jednym dachem ze mną! Precz, wiarołomna istoto, zwróć mi zaraz mój pierścionek zaręczynowy i wynoś się do diabła!

Aurelia, drżąc z przestachu, zdjęła z palca pierścioneł i oddało go kapitanowi.

Ten ostatni z przekleństwem na ustach wyszedł z pokoju, odgłaszając się Rinaldiniemu, że nie daruje mu swych krzywd.

Rinaldini zatrwożył się tym wielce i rzekł do Aurelii:

— Cóżże pani zrobiła teraz najlepszego? Ten człowiek gotów mnie teraz zgubić, zna on wszelkie moje tajemnice i prześladowuje mnie jak zły duch swoją osobą, gdziekolwiek się tylko ruszę.

— Oh! Nie obawiaj się go pan wcale. Kapitan nie jest zdrajcą, lecz gdyby cię skrzywdził, to pierwsza bym mu ten sztylet w serce jego wbiła — rzekła Aurelia.

— Odważną jesteś kobietą — odparł jej Rinaldini — i przez to podobasz mi się bardzo.

Aurelia na to, przymilając się Rinaldiniemu, rzekła:

— Nie kocham wcale kapitana korsykańskiego oraz zadowolona jestem z tego, że zerwał ze mną, gdyż serce moje ciebie tylko wybrało i do ciebie pragnę jedynie należeć. Na dowód, że jestem twoją wyłączną własnością, biorę ten pierścień na swój palec, by on mi ciebie przypominał.

I to mówiąc, Aurelia zdjęła Rinaldiniemu pierścień z palca i włożyła go sobie na palec.

Rinaldini przycisnął ją namiętnie do swego serca i zawołał:

— Zachwycająca jesteś, o moja najdroższa Aurelio.

— Muszę ci wyznać szczerze — odrzekła mu Aurelia — że moje właściwe imię jest Olimpia, ale dowiedziałam się, że jesteś zakochany w pewnej damie, która się zwie Aurelią, więc postanowiłam pod tym imieniem przybranym pozyskać twe serce i względy.

Przez długi czas rozmawiali ze sobą czule Rinaldini wraz z Olimpią, następnie pożegnał się on z nią serdecznie.

Rinaldini wiódł teraz życie beczynne, z dala od bandy zbójeckiej, w Neapolu jako hrabia Moretti.

Pewnego razu, spacerując po mieście, słyszał strzały armatnie. Był to sygnał, że jakiś okręt przypłynął do portu.

Zaciekawiony wielce, czy przypadkiem ktoś ze znajomych nie przypłynął, udał się na wybrzeże, aby być obecnym przy wylądowaniu podróżnych.

Naraz jakiś mężczyzna rzucił mu się na szyję i poczał go czule całować. Radość Rinaldiniego nie miała granic, gdy w owym mężczyźnie poznał przebraną Rozalię.

Rinaldini powiódł ją do swego mieszkania i przyrzekł, że już się nigdy w życiu więcej nie rozstaną i żyć ze sobą nadal będą wspólnie.

Rozalia poczęła opowiadać Rinaldiniemu swe przygody i wypadki, które od chwili ich rozstania się ze sobą jej się przytrafiły.

Rinaldini z zajęciem przysłuchiwał się najdrobniejszym szczegółom jej przygód. Rad był wielce, że ma swoją wierną kochankę przy sobie, która mu obecnie wszystkie zakopane skarby przywiozła.

Rozalia, spożywszy sutą kolację, którą Rinaldini na przyjęcie towarzyszeki kazał przygotować swej służbie, udała się następnie na spoczynek, gdyż wielce była znużoną przebytą podróżą. Zaledwie się też położyła, zaraz usnęła twardo.

W chwilę po uśnięciu Rozalii zapukano do drzwi i Rinaldini wyszedł z pokoju. Zawiadomiono go, że jakaś dziewczyna przyszła do niego z listem.

Rinaldini domyślił się od razu, że zapewne jest to służąca Olimpii, która go znowu zaprasza do siebie na miłosne pieszczoty. Rinaldini, nie chcąc się przed służbą swą zdradzić, powiedział jej, że za chwilę powraca, sam zaś z dziewczyną poszedł do Olimpii, która się już wyprowadziła od kapitana korsykańskiego.

Olimpia oczekiwała Rinaldinię z pełnym pucharem wina w ręku i, zobaczywszy go, z radosnym okrzykiem rzuciła mu się na szyję.

— Ach! Jesteś tu nareszcie. Och, z jakim utęsknieniem na ciebie czekałam, a teraz napijemy się wspólnie za twoje zdrowie! — zawołała wesoło Olimpia, wznosząc puchar wina do góry. Rinaldini wypił z niego i ucałował serdecznie O[l]impię.

Naraz jakiś zamaskowany człowiek wszedł do pokoju i podał Rinaldiniemu mały bilecik.

Rinaldini począł czytać:

„Niebezpieczeństwo wielkie grozi tobie, Rinaldini. Skryj się czym prędzej, gdyż policja jest na tropie i wkrótce cię schwyta, jeśli nie opuścisz tego miasta.”

Rinaldini przeraził się wielce po przeczytaniu tej złowrogiej wieści i postanowił prędko pożegnać się z Olimpią.

— Już mnie opuszczasz? Ach, ja nieszczęśliwa! — zawołała smutnie Olimpia.

— Muszę natychmiast opuścić Neapol — rzekł pospiesznie Rinaldini. — Pilne interesy wymagają mego natychmiastowego wyjazdu.

Olimpia poczęła rzewnie płakać, Rinaldini zaś ją uspokajał:

— Nie płacz, moja droga, powrócę wkrótce i niejedną słodką chwilę spędzimy wspólnie jeszcze!

6. Zdrajca Ludowiko

Rinaldini pospiesznie powrócił do swego domu, lecz jakież było jego zdumienie, gdy na progu mieszkania spotkał znowu tego samego mężczyznę, który mu poprzednio wręczył bilecik.

— Któż pan jesteś, czy znowu mi przynosisz niepokojące wiadomości? — zapytał go Rinaldini.

— Jestem życzliwym twym przyjacielem — odrzekł nieznajomy człowiek, zdejmując maskę.

Rinaldini poznał jednego ze swej bandy Ludowika i przywitał się z nim serdecznie.

Ludowiko uwiadomił go, że jest członkiem tajnego zgromadzenia i ważne misje mu polecono do wykonania, a przy tym dowiedział się, iż policja w Neapolu wie już o jego bytności w tym mieście i niech się strzeże i czym prędzej ulatnia, by nie wpaść w jej ręce.

Rinaldini podziękował Ludowikowi za okazaną mu życzliwość. Następnie prosił go, ażeby Rozalię tymczasem zawiózł do Kalabrii wraz ze swymi skarbami, do Cincia, który obecnie w zastępstwie Rinaldiniego objął dowództwo nad bandą zbójców. Sam zaś wyjedzie natychmiast do innego miasta włoskiego, dla zmylenia czujności policji.

Podczas kiedy Rinaldo rozmawiał z Ludowikiem, przebudziła się Rozalia i zawołała do siebie kochanka.

— O, mój najdroższy, nie dowierzaj zbyttnio Ludowikowi, gdyż przekonałam się, że to podły człowiek i jeśli możesz, to zerwij z nim zupełnie wszelkie stosunki.

Rinaldini zaczął ją uspokajać:

— Wiem, kochana Rozalio, że Ludowiko jest zdolny do najnikczemniejszego czynu, lecz na razie jest on mi potrzebny, więc muszę z nim żyć na przyjacielskiej stopie.

Rozalia przez długi czas nie mogła się uspokoić. Nareszcie udało się Rinaldinemu przekonać ją, że czuwają nad nim jego towarzysze, którzy w razie niebezpieczeństwa pospieszą mu z pomocą.

Rozalia uwierzyła słowom Rinaldiniego i po chwili znów, zmęczona okrutnie przebytą podróżą, zasnęła smacznie. Skorzystał z tego Rinaldini i wysunął się cichutko z pokoju na ulicę.

Zaledwie uszedł kilka kroków, zobaczył naraz idącą przed nim Olimpię z jakimś panem. Uczucie zazdrości zawrzało w jego sercu, postanowił ich śledzić. Niedługo spostrzegł, jak Olimpia weszła do swego mieszkania wraz z nieznanym sobie mężczyzną. Czym prędzej Rinaldini pobiegł za nimi i, wszedłszy do Olimpii pokoju, zauważył, że ów nieznajomy jest znanym w całym Neapolu rozpustnikiem.

Rinaldini, oburzony do najwyższego stopnia niewiernością Olimpii, zawołał zapalczywie:

— Ach, niegodziwa kobieto, mało ci mieć jedne[go] kochanka, musisz ich mieć naraz kilkunastu?! Zwróć natychmiast mój pierścionek, gdyż nie chcę cię znać dłużej, niech się drudzy zachwycają twymi wdziękami.

Olimpia z obojętnością zupełną zwróciła mu pierścio[nek], mówiąc:

— Masz, panie hrabio, twój pierścionek na powrót. Zapłać mi teraz tysiąc dukatów, jeśli nie chcesz, aże[by] mi rząd takową sumę wypłacił za twoją głowę, bo wiem, że nie jesteś żadnym hrabią Morettim, ale rozbójnikiem Rinaldo Rinaldinim.

— Więc już tak nisko upadłaś, podła kobieto — zawołał rozwścieczony Rinaldini — że do wszelkiej niegodziwości posunąć się jesteś w stanie! Dobrze, zapłacę ci te pieniądze, przyslij tylko do mnie swą służącą.

I oburzony do najwyższego stopnia opuścił mieszkanie Olimpii.

A ona jeszcze na odchodnym szyderczo zawołała:

— To trudno, mój panie hrabio! Przekonałeś się teraz naocznie, do czego to może doprowadzić czł[o]wieka zbyt chytrość do pieniędzy. Mnie na przykład do wiarołomstwa i zdrady, ciebie zaś do rozboju, a innych znów na wszelkie bezdroża.

I przy tych słowach Olimpia roześmiała się pogardliwie.

Postępowanie Olimpii usposobiło Rinaldiniego do smutnych rozmyślań i przyszedł do przekonania, że należy mu czym prędzej uciekać z Neapolu, jeśli nie chce dłużej pozostać ofiarą wyzysku takiej Olimpii lub też jej podobnych osób. Skoro się dowiedzą ludzie, że bawi w mieście pod przybranym nazwiskiem hrabiego Moretti, wówczas jest zgubionym człowiekiem.

Niepokój coraz większy go ogarniał i w takim usposobieniu przybył do swego mieszkania. Tu wydał Ludwikowi odpowiednie rozporządzenia, Rozalii zaś kazał zapakować wszelkie kosztowności i zabrać pieniądze. Sam Rinaldo pospiesznie się przebrał za pielgrzyma, przyprawivszy sobie nos i wielką brodę. Gdy się żegnał z Rozalią, biedna dziewczyna zemdląa kilkakrotnie, gdyż nie spodziewała się, że po tak długim niewidzeniu się z nim znów będzie zmuszona rozłączyć się z Rinaldinim na czas dłuższy. Mieli się dopiero zobaczyć na Sycylii. Rozalia z Ludwikiem miała płynąć okrętem do tegoż miasta, Rinaldini zaś jako pielgrzym pieszo miał odbyć podróż.

Gdy się zaczęło zmierzchać, Rinaldini wymknął się z domu. Po kilkudniowej pielgrzymce raz pewnego w lesie napadli na Rinalda rozbójnicy i zażądali pieniędzy.

Rinaldini począł im tłumaczyć:

— Czy tak się godzi postępować, że napadacie biednych pielgrzymów? Czyż wam nie zakazał tego Rinaldini, ażebyście biednych ludzi zostawili w spokoju?

Rozzuchwaleni zbójcy jednakże krzyczeli:

— Oddaj nam czym prędzej swoje pieniądze, gdyż nie mamy czasu z tobą się tak długo rozprawiać!

— Słowo honoru wam daję, że nie mam przy sobie pieniędzy — zaklinał się Rinaldini.

— Milcz, łajdaku, ze swym honorem! — krzyczeli zbójcy. — Jeśli natychmiast nie wydasz pieniędzy, to kula rewolwerowa łeb twój roztrzaska.

— No, to strzelajcie! Jeśli się tego nie obawiacie uczynić, jestem Rinaldo Rinaldini.

I przy tych słowach Rinaldo odjął sobie przyprawioną brodę i nos.

Przestraszeni zbójcy padli mu do nóg, błagając o przebaczenie. Rinaldini przemówił do nich:

— Nie lękajcie się mnie, nie jestem mściwy. Wszelkie urazy zaraz zapominam i na dowód, że wam przebaczam, macie tu każdy po trzydzieści dukatów.

Rozbójnicy, wzruszeni wspaniałomyślnością wodza, padli mu znów do nóg i ucałowali mu dłonie, następnie oszołomieni hojnym datkiem zawołali z radością:

— Niech żyje Rinaldo Rinaldini, sławny nasz wódz!

— A teraz zaprowadźcie mnie do waszego obozu — rzekł Rinaldo — gdyż jestem bardzo strudzony swą pielgrzymką. Chciałbym także po przebytych kłopotach odpocząć trochę swobodnie w bezpiecznym miejscu, abym się nie potrzebował trwożyć, że mnie policja ściga.

Zbójcy zaprowadzili Rinaldiniego do obozu, w którym tymczasowo obecnie objął dowództwo Cincio. Ten uradował się wielce, zobaczywszy Rinaldiniego.

— Kochany nasz wodzu, witamy cię wszyscy serdecznie! Spodziewamy się teraz, że już nas nic nie rozłączy ze sobą. Mamy tu bezpieczną kryjówkę w lesie, a nieopodal znajdują się ruiny starego zamku, z podziemnymi lochami, tam możesz sobie żyć spokojnie, nikt cię tam nie doścignie. Oprócz tego udało mi się utworzyć nową bandę, złożoną ze stu dzielnych towarzyszy. Ci będą czuwać nad twym bezpieczeństwem, więc przyjmij teraz naczelną komendę nad nami, a będziemy wiernymi twymi towarzyszami — prosił go Cincio.

Rinaldini przyjął ponownie dowództwo nad zbójcami. Ci zaś, uradowani wielce, wołali radośnie:

— Niech żyje Rinaldo Rinaldini, sławny nasz wódz!

Rinaldo zamieszkał w ruinach starego zamku i przez kilka dni odpoczywał sobie po przebytej podróży. Pewnego razu rozbójnicy przyprowadzili mu okutego w kajdanach Ludowika. Przybyła również i Rozalia wraz ze skarbami.

Rinaldini na razie nie mógł zrozumieć, dlaczego Ludowika okuto w kajdany.

Cincio zdał krótki raport, gdyż on go kazał okuć:

— Kochany wodzu, Ludowiko cię zdradził przed kapitanem korsykańskim. Dowiedzieliśmy się o tym, więc niezwłocznie postanowiliśmy schwycić go i oddać w twe ręce, byś postąpił z nim podług prawa.

Ludowiko błady jak chusta rzucił się do kolan Rinaldiniemu i ze łzami w oczach wyznał mu:

— Drogi nasz wodzu, postąpiłem nikczemnie. Wyznaję to, zdradziłem cię przed kapitanem korsykańskim w Neapolu, który, pałając do ciebie zemstą, żeś mu odbił Olimpię, wyjawiał jej rzeczywiste twe nazwisko. Ona też, korzystając z tego, wyłudziła od ciebie pieniądze i gdybyś nie uciekł z Neapolu, to wciąż ona wraz z kapitanem korsykańskim nagabywaliby cię o pieniądze, gdyż w taki sposób chciał się mścić na tobie twój rywal i dawniejszy kochanek Olimpii. Zawiniłem bardzo — mówił Ludowiko — więc ukarż mnie teraz z całą surowością prawa, tak jak ja na to zasłużyłem.

— Daruję ci twą winę! — rzekł z powagą Rinaldini. — Postąpiłeś po łotrowsku względem mnie, lecz mam nadzieję, że na przyszłość się poprawisz. Dziś już żałujesz swej winy, więc ci dlatego przebaczam i daruję wszystko.

Ludowiko gorącymi słowami począł mu dziękować za wspaniałomyślność jego.

Zebrani rozbójnicy, wzruszeni do najwyższego stopnia szlachetnością swego wodza, zawołali po kilka razy z zapalem:

— Niech żyje nasz wódz Rinaldo Rinaldini, chwała mu, chwała!

— Darowałem Ludowikowi dlatego życie — rzekł Rinaldo — że mam znowu przy sobie ukochaną moją Rozalię, a gdy ją widzę, to lekko zapominam wszelkie urazy. Ludowiko za zdradę zasłużył na śmierć, lecz że wyszedł teraz cało z tej sprawy, to jedynie może to zawdzięczać Rozalii.

Ludowiko przyczołgał się na kolanach do Rozalii i łzami dziękczynnymi okrywał jej dłonie.

Wileńskie Starostwo Grodzkie

Exemplarz obywatelski

Wiek

Emk. 15

5000

Juanita
dela Guerra

ZABIŁEM
BRAMA

ZESZYT 1 BEZPŁATNY DODATEK
OKAZOWY

DO MAŁEGO DZIENNIKA
SZCZEGÓŁY NA OSTATNIEJ STRONIE OKŁADKI

Zabiłem brata

Powieść z ostatniej
wojny domowej
w Hiszpanii

Juanita Dela Cuezca

1936

Utwór *Zabiłem brata*. Powieść z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii ukazywał się w odcinkach jako dodatek do wileńskiego oddziału „Małego Dziennika” i nie wyszedł oczywiście spod pióra Juanity Dela Cuezca, najpewniej za tym pseudonimem stał polski autor z kręgów narodowo-katolickich. Gazeta „Mały Dziennik”, redagowana w Niepokalanowie od 1935 roku przez franciszkanów z zakonu Maksymiliana Marii Kolbego, utrzymana była w linii ideowej wydawanego tam do-tychczas miesięcznika „Rycerz Niepokalanej”, najpopularniejszego tytułu prasowego dwudziestolecia międzywojennego. Kosztowała zaledwie 5 groszy i docierała do prostego czytelnika, miała więc charakter zdecydowanie brukowy. Treści antysemickie czy antyliberalne połączone z lękami przed bolszewizmem i masonerią były w niej przekazywane przystępnie, często w formie sensacyjnych doniesień, a nakład niedzielny sięgał 220 000 egzemplarzy. Powieść zeszytowa *Zabiłem brata* miała zawrotny nakład 100 000 egzemplarzy i sama redakcja podkreślała, że z uwagi na doniosłość tematu zależy jej na jak najszerzej dystrybucji.

Hiszpańska wojna domowa wybuchła w 1936 roku, kiedy u władzy Drugiej Republiki Hiszpańskiej stanął koalicyjny

Front Ludowy (republikanie byli wspierani przez liberałów, komunistów i anarchistów), a ich reformom sprzeciwili się katolicycy konserwatyści i monarchiści pod wodzą generała Franco. Konflikt nabrał szybko charakteru rozgrywki europejskiej, preludium do II wojny światowej — rządowych republikanów wspomagały komunistyczne Brygady Międzynarodowe, a za frankistami opowiedziały się faszystowskie Włochy i nazistowskie Niemcy. Wojna zakończyła się ostatecznie w 1939 roku zwycięstwem Franco, którego dyktatura przetrwała jeszcze niemal czterdzieści lat.

Akcja *Zabiłem brata* toczy się w pierwszym roku wojny i łączy sensacyjną oraz romantyczną fabułę z dość nachalną propagandą frankistowską. Akcja tej „najaktualniejszej powieści doby współczesnej” toczy się w kilku miejscach: w Madrycie, Barcelonie, Maroku, a wreszcie w Toledo, gdzie oddziały Franco bronią się w twierdzy Alcatraz. Główni bohaterowie, bracia Diego i Jose Javier, są synami komunizującego tokarza z zakładów kolejowych Larridy w Madrycie. Tokarz jest człowiekiem nieczułym, bije żonę i spiskuje wraz z towarzyszami, „napętliając całe mieszkание smrodliwym dymem z fajek”. Jose podziela lewicowe i antyklerykalne zapatrywania ojca — nie cierpi na przykład zakonnic (te nie pozwalają mu

dreńczyć zwierząt). Diego zaś jest chłopcem szlachetnym i w miarę pobożnym. Już w dzieciństwie między braćmi wybucha niechęć, ich drogi wcześniej się rozchodzą. Obu widzimy powtórnie jako trzydziestolatków: okrutny Javier wstępuje do rządowej milicji, prostonijnny Diego jest sierżantem w powstańczym wojsku generała Franco. Obaj kochają się w tej samej dziewczynie, pięknej Dolores, studentce ze skromnego, lecz porządnego domu, która jako narzeczona Diega wciąga go do Falangi (a następnie drży o jego bezpieczeństwo, bo dzielni falangiści nieustannie się narażają „czerwonym zbirom”). Kiedy Diego rzeczywiście wpada w ręce komunistów, Javier próbuje przekonać Dolores, że jej narzeczony nie żyje i sam się o nią stara, bo „pożąda jej całym jestestwem”. Dziewczyna stawia mu opór, co prowadzi do dalszych perypetii znanych z powieści tajemnic (jak porwanie, uwięzienie, ucieczka w chłopięcym przebraniu itp.). Równolegle kibicujemy przygodom Diega. Finał jest spektakularny — powstańcy przedostają się podziemnym tunelem z twierdzy do klasztoru, w którym chronią się „czerwoni”. Tam równoległe dotąd ścieżki bohaterów przecinają się i Jose strzela do Diega... Ostatni akapit w stylu notatki prasowej uspokaja czytelnika, że Diego przeżył i poślubił pielęgniarkę Czerwonego Krzyża

(w domyśle Dolores), która pielęgnowała go w lazarecie.

Próby uwiarygodnienia tej dość sztampowej fabuły i nadania jej waloru historycznego są nie do końca udane. Atrakcją „dokumentalną” miały być tu fotografie, wybrane jednak dość niefortunnie — Dolores, w powieści brunetka, na zdjęciu jest blondynką, tłum w Madrycie ubrany jest w stroje krakowskie, przejeżdżające auto robi wrażenie wyciętego z reklamy itd. Warto jednak zwrócić uwagę na język, do cna przesiąknięty ideologią. Gdy Diego odrzuca zaloty komunistki Rebeki, nazywając ją „parszywą żydówką”, mamy wrażenie, że autor, kimkolwiek był, przemówił tu swoim własnym głosem...

Justyna Jaworska

Juanita Dela Cuezca, *Zabiłem brata*. Powieść z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii (s. 3—4, 35—48, 77—94, 150—160), nakładem oddziału Małego Dziennika, Drukarnia „Promień”, Wilno 1936.

Oczy całego świata zwracają się dziś ku Hiszpanii, której najlepsi synowie krwawią się w nierównym boju z wrogami wiary świętej i ojczyzny. Komuniści postawili za zadanie obrócić ten piękny kraj w krainę niewoli i też, republikę sowiecką, lecz geniusz rasy hiszpańskiej ozwał się i oto wybuchła bratobójcza wojna. Koleje tej wojny emocjonują dziś wszystkich. Oburzają nas okrucieństwa „Frontu Ludowego”, porywa i wzbudza podziw nieopisane męstwo bohaterskich obrońców Alkazaru.

Oddział „Małego Dziennika”, chcąc dać swym czytelnikom jak najwięcej danych o tej najstraszniejszej, bo toczącej się między braćmi, wojnie od dnia dzisiejszego będzie dodawał po trzy zeszyty tygodniowo, niezmiernie ciekawej i aktualnej, pisanej na podstawie oryginalnych korespondencji powieści pt. „Zabiłem brata”.

„Zabiłem brata” jest na wskroś sensacyjną, najaktualniejszą powieścią doby współczesnej i zawiera opis niezwykłych przygód Dolores Mollar, studentki uniwersytetu madryckiego i Diego Javiera, sierżanta piechoty, przedzierających się przez niebezpieczeństwa wśród okrutnych czerwonych milicjantów, poprzez ogarnięte ogniem namietności rewolucyjnych miasta hiszpańskie do wojsk gen. Franco.

Powieść „Zabiłem brata” zawiera opisy bratobójczych walk, dzikiego okrucieństwa zezwierzęconych komunistów i Żydów z milicji ludowej, palenia kościołów i z drugiej strony, bohaterstwo i poświęcenie powstańców. Część akcji toczy się w oblężonym przez wojska czerwone Alkazarze w Toledo, który bohaterstwem swych obrońców zadziwił cały świat cywilizowany.

Na tym tle rozwija się i kwitnie frapująca miłość Diega i Dolores, ciągle rozłaczanych przez okrutny los.

Powieść „Zabiłem brata” będzie bogato ilustrowana oryginalnymi zdjęciami z placu boju i okolic, w których się toczy akcja, na wzór zagranicznych wydawnictw tego rodzaju, co jest innowacją na naszym rynku wydawniczym i niezmiernie uplastycznia wrażenia z przeczytanej powieści.

Powieść „Zabiłem brata” będzie dostarczona czytelnikom po niskiej cenie, mimo zwiększonych kosztów wydawnictwa i druku.

Mimo ogromnego nakładu (ponad 100 000 egz.), wobec zainteresowania się naszą powieścią literalnie wszystkich, spodziewamy się wielkiego zapotrzebowania na zeszyty z całej Polski, prosimy więc o wcześniejsze zgłaszanie zamówień.

Administracja oddz. „Małego Dziennika”

6. W mundurze milicjanta

Diego już był syty. Znalazł w małym zaułku jakąś zakazaną dziurę — knajpę, którą ominęły wydarzenia wczorajsze i tam najadł się dobrze i zapłacił słono. Teraz czuł się nawet w dobrym humorze i wyobrażał, że mu wszystko pójdzie lekko. Ruszył przed siebie w poszukiwaniu noclegu.

Szedł dość szybko, słabo orientując się w tej części miasta, do której zabłądził, zwłaszcza, że było bardzo ciemno. W ten wieczór w Madrycie nie zapalono latarni ulicznych.

Na którymś rogu niespodziewanie zamajaczyły przed nim jakieś postacie.

— Stój, kto idzie? — zabrzmiał groźny okrzyk i Diego zalał snop światła z elektrycznej latarki.

— Swój, towarzyszu, milicjant — odparł Diego spokojnym głosem.

— Czego włóczysz się sam? Coś ty za jeden? Może jesteś szpiegiem powstańców? Milicjanci pojedynczo nie chodzą — mówił szybko jeden z nich, wodząc po całej postaci Diega snopem światła.

Diego zdążył się już przyjrzeć, mimo ciemności, tym, co go zatrzymali. Ten, co pytał, był mężczyzną dość potężnym, drugi wyglądał mizernie.

Jak błyskawica w mózgu Diega zrodziła się myśl i równie szybko przeszła w czyn. Zanim wysoki skończył swe pytania, karabin Diega opisał łuk z ramienia do ataku i szybki, niemal jak kula, przebił brzuch komunisty, który nie zdążył krzyknąć. Drugi, zdezorientowany, usiłował zarepetować broń. Spóźnił się jednak, bo bagnet Diega z równym impetem przeszył go swym żądłem.

W tej chwili za rogiem rozległy się głosy i znowu światło oślepiło na chwilę Diega. Nadchodził patrol.

Diego ujrzał w bok rozwartą czelusć bramy i zanim nowi wrogowie zdążyli obejrzeć jego krwawą robotę, rzucił się w podwórko. Przebiegł ze dwadzieścia metrów, słysząc ciągle za sobą tupot nóg prześladowców i krzyki: „Stój”. Oglądał się w prawo i w lewo, szukając schronienia, ale nie widział nic. Otaczały go czarne ciemności. W szybkim biegu omal nie rozbił głowy o mur, który znienacka wyrósł przed nim.

Przez chwilę posuwał się wzdłuż muru, czując pod ręką szerokie cegły i dygocząc cały z emocji bliskiego niebezpieczeństwa. Raptem wyrosła przed nim jakaś skrzynia, prawdopodobnie śmietnik, na którą bez namysłu skoczył.

Chwycił rękami parapet muru, przerzucił się na drugą stronę i zawisł w powietrzu.

Poziom drugiego podwórza był o wiele niższy. Skoczył jednak bez wahania i pobiegł w kierunku, gdzie coś bieleło [się] w ciemnościach.

Był to stos połupanego drzewa, położonego również obok muru odgraniczającego tę posesję od następnej.

Na tle nieba rysowały się nad nim konary potężnych drzew. Diego postanowił przedostać się za mur. Czas już był najwyższy, gdyż jego prześladowcy domyślili się snadź, gdzie zniknął tajemniczy zbieg i słychać było, że gramolili się na

tamten mur. Lekko, jak kot, wdrapał się wygodnie po szczapach, jak po schodach na mur, przedostał się na drzewo, i po konarach zsunął się na dół.

Był w jakimś parku. Otaczała go pod drzewami nieprzenikniona ciemność. Pod stopami czuł trawę. Wyciągnął przed siebie ręce i krok za krokiem posuwał się naprzód, objając się o pnie.

Pogoń go widocznie zgubiła, gdyż nie słychać było żadnych szmerów.

Posuwając się więc bez obawy naprzód, natrafił na żywopłot. Przedostał się przezeń z łatwością, bo krzaki nie miały kolców. Znalazł się na szerokiej żwirowej alei, gdzie było o wiele widniej. W oddali, na końcu alei błyszczało światło.

Diego podążył w kierunku oświetlonego punktu, przezornie kryjąc się za żywopłotem.

Rozdział 7, w którym rozstrzygają się losy świata

W ciągu kwadransa dotarł do takiego miejsca, skąd mógł wygodnie obserwować wszystko, co się działo na dobrze oświetlonej, wielkiej werandzie willi niegdyś należącej do jakiegoś arystokraty.

Widok był naprawdę niecodzienny. Przy długim, szerokim stole obficie zastawionym jadłem i napojami siedziało w niedbałych pozach około 30 osób.

Uwagę Diega zwrócił wysoki, szczupły blondyn, który powstał z kielichem w ręku i z widoczną trudnością posługując się językiem hiszpańskim, powiedział:

— Zdrowie towarzyszki Rebeki Kohn i towarzysza Lwa Abramowicza Sierpowa, którzy przybyli tutaj z odległego Związku Sowieckiego, aby pomóc ludowi Hiszpanii w walce z przeklętym faszyzmem i klerykalizmem. Od chwili, gdy płonie ogniem czerwonej rewolucji Hiszpania, pożar obejmie wreszcie całą Europę. Towarzysze! Widzę już świt rewolucji światowej. Madryt płonie. Teraz kolej na Paryż. Stamtąd ponieśliśmy wyzwolenie moim braciom, proletariuszom niemieckim, jęczącym pod ciężką pięścią uzurpatora — Hitlera. Z Berlina poprzez trupa Polski podamy rękę braciom klasowym w Rosji.

Proletariat całej Europy patrzy na was i czeka od was wielkich rzeczy, towarzysze hiszpańscy! W imieniu moich rodaków, bojowników o lepszą dolę proletariatu niemieckiego, zamkniętych w obozie koncentracyjnym w Dachau, skąd niedawno uciekłem, życzę wam zwycięstwa i wznoszę okrzyk: „Niech żyje czerwony związek republik sowieckich Europy!”

Blondyn skończył swe przemówienie, a właściwie zagłuszyły je dzikie wrzaski całego towarzystwa. Słychać było pijackie głosy wrzeszczące: „Śmierć faszystom i burżujom! Precz z opasłymi księżmi i grandami! Proletariat hiszpański nie zawiedzie swych braci. Powiesimy Hitlera i Mussoliniego!”

Zabawa wrzała w całej pełni. Odkorkowywano wciąż nowe butelki gdzieś zrabowanych win najprzedniejszych hiszpańskich i francuskich marek. Pojawiły się

na stole oryginalne kształty butelek z drogimi likierami. Do stołu usługiwało kilku ludzi w białych kitlach, widocznie kelnerów z jakiejś restauracji. Jeden z nich, starszy człowiek o poważnym wyglądzie *maitre d'hotela* pierwszorzędnego zakładu, nalewał do kieliszka likier opasłemu Żydowi, którego nazywano Lewem Abramowiczem. Ten gadał, wciąż gestykulując z ożywieniem. Nieostrożnym ruchem potrącił staruszka nalewającego tak, że kilka kropel spadło komuniście na ubranie. Lew Abramowicz wybuchnął z wściekłością:

— Durniu! Stary bałwanie, zniszczyłeś mi nowiutką marynarkę. Nie podchodź do mnie, ty idioto!

Stary kelner, który usługiwał całe życie swym arystokratom i temu zawdzięczał pełen godności układ, skłonił się w milczeniu i chciał spokojnie odejść.

Jednak jego spokój do reszty rozjuszył aroganckiego Żyda, zgodnie z tradycją swego narodu, odważnego wobec bezbronnych. Zerwał się z miejsca, podbiegł do spokojnie oddalającego się starca, porwał go za kark, obrócił i kilkakrotnie pięścią uderzył go w twarz, tak, że aż biedak krwawi się zalał.

— Bydlę! — wrzeszczał — on mi wielkopańską dumę pokazuje. Ja ciebie, durniu, nauczę. Mówiłem, żeby tych bałwanów tu nie wpuszczać. Kto go wie, może to szpieg obrzydłych generałów z Afryki. Zawołać wartę, niech go zabierze do aresztu. Już ja go wybadam. Nie darmo przyjaźniłem się z Hirszem Jagodą w Moskwie.

Z głębi domu wypadło kilku obdartusów z karabinami i gdzieś powlokło nieszczęsnego kelnera.

— Wy też won! — zwrócił się do reszty posługujących Żyd — a nie podsłuchiwać pod drzwiami, bo jak którego złapię, to kula nie minie za szpiegostwo.

Wszyscy kelnerzy znikli. Żyd wrócił, sapiąc, do stołu. Całe towarzystwo rozbiło się na grupki, półgłosem rozmawiające między sobą. Kilku już zupełnie upiło się. Paru z nich chrapało, wygodnie rozwalwszy się na stole, inni spoglądali przed siebie błędnymi, bezmyślnymi oczami.

Lew Abramowicz zaczął tonem rozkazującym:

— Jesteśmy sami. Możemy więc dalej prowadzić narady rozpoczęte w salonie przed kolacją. Przedstawiliśmy już towarzyszowi Largo Caballero swoje poglądy na rewolucję komunistyczną w Hiszpanii i uważamy, że chwila obecna jest najlepsza do zmiany ustroju. Ci bałwani z szopki Frontu Ludowego nie wiedzą, że własnymi rękami kopią grób dla siebie. Przecie my, komuniści, odwziewamy się im za pomoc okazaną w dojściu do władzy tym, że rozstrzelamy ich w pierwszej kolej.

— Głupi ci socjaliści i ludowcy, że nam wierzą — odezwał się któryś z Hiszpanów.

— Ale do rzeczy, nie czas rozważać i filozofować. Może ten, co innych przeżywa, sam okaże się najgłupszym, gdy dojdzie do czego — perorował przybysz z Rosji. — Towarzysz Miguel Baraja był dziś w ministerium wojny, niech nam opowie, jak przedstawia się sprawa z rewoltą wojskową. Wszak ma najświeższe wieści z pierwszego źródła. Przed nim nie kłamali, tak jak okłamują przez radio cały świat.

Diego, leżący wciąż za żywoplotem, nastawił ucha. Teraz mógł najlepiej dowiedzieć się o sytuacji i zdecydować o dalszym postępowaniu. Nie wiedział wprawdzie, jak wydostanie się z tego parku, ale ufał w swój szczęśliwy los i nawet cieszył się, że mógł zobaczyć i usłyszeć tyle ciekawych dlań rzeczy.

Tymczasem przy stole podniósł się wysoki brunet, widocznie student czy dziennikarz i zaczął opowiadać. Wszyscy słuchali go z zaciekawieniem.

— A więc dowiedziałem się, że zbuntowała się dywizja piechoty w koszarach la Montana. Bunt stłumiono. Wybuchł również bunt w szkole oficerskiej w Toledo. Tam buntownicy zamknęli się w starej mauretańskiej fortecy Alkazar i bronią się. Przypuszczalnie wytrwają kilka dni, o ile wcześniej nie poddadzą się. O wiele gorsze wieści nadchodzą z Afryki. Wszędzie, w Tangerze, w Villa Cisneros, w Melili, gdzie przebywa ten stary buntownik Franco, wszędzie zbuntowały się oddziały wojskowe. Na północy dawni nasi wrogowie — karliści też podnieśli sztandar buntu i podobno zajęli Burgos. Mam wrażenie, że faszysti musieli być wcześniej zorganizowani i cała akcja wygląda na dobrze rozplanowaną. Sądzę jednak, że damy sobie z nimi radę, gdyż plan, który za chwilę towarzyszym przedstawię, jest tak pomyślany, że my mieć będziemy wszystkie atuty w ręku.

Tu zniżył głos, wydobyl z kieszeni dość duży plik papierów i rozwinawszy go, zaczął czytać:

— Walka nasza miała rozpocząć się w sierpniu. Ponieważ jednak dopuściliśmy do wybuchu rewolty faszystów, wobec tego wszystko będzie przyspieszone.

Plan obejmuje Hiszpanię, Francję oraz Włochy. Naszym zadaniem będzie utrzymać wszystkie siły burżuazji hiszpańskiej w defensywie dopóty, dopóki nie pomogą nam z zewnątrz. Nie wierzę zresztą, aby faszysti zdołali zbyt szybko rozwinąć jakąś energiczniejszą akcję w samej Hiszpanii; raczej po opanowaniu Maroka będą próbowali przedostać się na półwysep, co im nie przyjdzie łatwo, bo marynarka jest nasza. Z karlistami na północy łatwo sobie damy radę. Musimy jednak liczyć się z tym, że faszyzmy włoski i niemiecki zechcą pomagać generałom buntowników i wojna może zamienić się w europejską. Byłoby [to] dla nas jeszcze lepsze, gdyż wtedy moglibyśmy próbować wywołać rewolucję we Włoszech i w Niemczech. Pamiętajcie, co mówił Lenin: „Proletariat ma najlepszą okazję do rewolucji, wtedy gdy trwa wojna, bo wówczas każdy robotnik ma karabin w ręku. Wtedy wojnę imperialistyczną trzeba zamienić w rewolucję klasową”. Rząd Frontu Ludowego we Francji powinien nam pomóc, gdy to jednak nie stało się wtedy, instrukcja Kominternu przewiduje, iż tam wybuchnie również rewolucja. Sygnałem do niej będzie bunt marynarzy na krążowniku „Suffren”. W ten sposób pomoc będziemy mieli zapewnioną. W dodatku towarzysze nasi we Włoszech wywołają rewoltę, co uniemożliwi interwencję Mussoliniego na terenie Hiszpanii. A więc za dwa miesiące powinniśmy być panami całej zachodniej Europy.

Skończył. Przez chwilę panowała cisza, potem rozległy się rzęsiste oklaski.

Narada skończyła się szybko. Jeszcze kilku przemawiało, kilku stawiało za-
pytania, ale nikt już niczego specjalnie sensacyjnego nie powiedział.

Od stołu wstały trzy osoby. Byli to Rebeka Kohn, Sierpow oraz jakiś nieznany
osobnik też o rysach semickich. Zebrali się razem i z wolna, spacerkiem idąc, weszli
w aleję. Nie chciało im się widocznie daleko odchodzić, bo zatrzymali się wkrótce
tuż obok krzaka, za którym siedział schowany Diego. Rozglądali się przez chwilę.

Gdy oczy ich przyzwyczaiły się do ciemności, zauważyli ławkę, siedli na niej
i półgłosem zaczęli rozmawiać.

Nie zdali sobie sprawy z tego, że ktoś ich słucha. Zresztą podobne podejrze-
nie nie mogło im nawet powstać w głowie.

Nie krępowali się więc wcale, a widząc z dala, że towarzystwo przy stole skoń-
czyło dyskusję ideową i zwyczajem burżuazji pije w dalszym ciągu, snuli swoje
myśli, dzieląc się wrażeniami ostatnich wydarzeń.

— Głupi oni są — powiedziała Rebeka. — Gdyby wiedzieli, że tysiące ta-
kich rąk, jak oni, nie są warte twojej głowy, Lwie Abramowiczu!

— Zresztą nie chodzi nam o ich głupi socjalizm. To jest tylko broń, ale do-
bra broń! — powiedział Sierpow. — Rebeko, pamiętaj, że największym naszym
wrogiem jest Rzym! Ten Mussoliniego, ale jeszcze więcej ten z Watykanu.

To rzymscy księża przeszkadzają nam najwięcej w dążeniu do podbicia świa-
ta. To oni wypędzili Izraela z Hiszpanii.

Dlatego ich przede wszystkim musimy zgnieść.

Mówił z coraz większą pasją, ściszoną, namiętym głosem:

— Dzień nasz jest bliski! Panujemy nad połową świata! Czego nie zdobędzie
nasz kapitał, to wszystko szturmem wezmą podniecone przez nas tłumy rewo-
lucjonistów. Niech ci durnie nie myślą, [nie] pozwolimy [im] zatrzymać się.

A teraz nadszedł czas zemsty! Wszystko, co rzymskie w Hiszpanii, musi być
zniszczone. Te ich kościoły, którymi tak się szczycą, spalimy! Tłumy czarnych
księży poprowadzimy na szubienice!

Zepsujemy im wszystko, co przez wieki robili! Niech pamiętają Hiszpanie, że
ośmielili się podnieść dłoń na naród żydowski.

A ty, Rebeko, masz wielkie zadanie do spełnienia! Zdemoralizujesz kobiety
hiszpańskie. Niech nie myślą o domu, o dzieciach i mężu. Rozpętasz w nich szal
zniszczenia!

Musisz stworzyć oddziały bojowe kobiet. Niech walczą, niech niszczą, niech
mordują, a nie będzie miała Hiszpania matek.

— Tak jest, mistrzu — powiedziała Rebeka.

Na wschodzie niebo zaczęło się wyjaśniać.

Błyszczące dotąd gwiazdy zmatowiały i zblakły. Rodził się dzień.

Sierpow rozejrzał się.

— Chodźmy już — powiedział.

Dolores stanęła przerażona. Rozumiała, że każde słowo protestu mogło ją bardzo drogo kosztować, trudno jednak było zgodzić się na propozycję milicjantki. Nie mogłaby się później nikomu ze swych znajomych i kolegów organizacyjnych na oczy pokazać ze świadomością, że choć raz w życiu użyła pozdrowienia komunistycznego. Zresztą nie pozwalała jej na to wrodzona ambicja.

Coś trzeba jednak było robić. Po krótkiej chwili namysłu wybrała taktykę biernego oporu i postanowiła nic nie robić i nic nie mówić.

Stała więc blada i milcząca, czekając, co dalej będzie.

— Aha. Nie chcesz. Pewnie jesteś burżujką, albo może, co gorzej, faszystką — powiedziała dowodząca patrol. — No to dobrze. My takich właśnie szukamy. — Jak się przejdziesz do najbliższego komitetu walki z faszyzmem, to zaraz opowiesz, co myślisz i czym się zajmujesz. Marsz naprzód — powiedziała, widząc, że Dolores ogląda się tak, jakby chciała uciekać. — Jesteś aresztowana.

Perspektywa była bardzo nieprzyjemna. Dolores dawno już słyszała, co się dzieje w komitetach walki z faszyzmem. Opowiadano jej po cichu w domu rodziców takie historie, że włosy na głowie stawały dęba. Podobno kto tam raz trafił, ten nie powinien mieć nadziei, że wyjdzie.

Komuniści nie bardzo silili się na przeprowadzanie drobiazgowego śledztwa. Chodziło im po prostu o to, aby jak najwięcej „burżujów” na tamten świat wysłać. Dlatego starali [się] prędko załatwić sprawę o „szkodnictwo” przez krótki wyrok: „Z polecenia ludu rozstrzelać”.

Bywały gorsze wypadki, a to wtedy, gdy chcieli napędzić strachu ofierze czy jej krewnym lub wówczas, gdy chodziło o wydobycie jakichś ważnych zeznań.

Wtedy trzymano uwięzionego przez czas dłuższy, katując go i przedłużając w nieskończoność jego cierpienia.

Komisja mieściła się w dawnym domu towarowym. Długi, czerwony budynek, pełen kiedyś wrzawy, krzyku tragarzy i robotników wnoszących i wynoszących paczki i skrzynie z towarami, dziś milczał ponuro.

Wątpliwy zaszczyt, iż został siedzibą jednej z rejonowych komisji walki z faszyzmem, zawdzięczał swym pakownym i obszernym piwnicom, w których na miejsce składów wina (wina dawno nie było, gdyż już w pierwszych dniach rewolucji towarzysze je wypili) mieściły się więzienia pełne zwolenników powstania i wszystkich tych, którzy nie spodobali się milicji, a szczęśliwie zostali odprowadzeni do aresztu, unikając modnego i częstego „wykonania wyroku na miejscu.”

Przed wejściem stał samochód ciężarowy, a z niego wyładowywała się grupa czerwonych. Wśród nich uwijał się jakiś komisarz, coś rozkazując.

Dolores, zbliżając się, rozpoznała w nim Josego. Nie chciała jednak zwracać jego uwagi. Nie mogła przecież po niedawnej, burzliwej rozmowie zwracać się doń po pomoc.

Tymczasem on odwrócił się i poznał ją. W oczach jego zarysowało się zdziwienie:

— Co tu robisz, towarzyszeko? — zapytał.

Po czym widząc, że dziewczyna milczy, sądząc z min milicjantek, [że] jest aresztowana, zwrócił się do komendantki patrolu:

— To musi być jakaś omyłka. Ja tę twarzyczkę znam. Pochodzi z dobrej proletariackiej rodziny. Przypuszczam, że chyba nie mogła zrobić nic złego.

— Zachowywała się podejrzanie — odpowiedziała milicjantka.

— Wszelkie podejrzenia w stosunku do niej są bezzasadne. Chorowała niedawno bardzo mocno, gdyż faszyści zabili jej brata na jej oczach. Od tego czasu miewa nerwowe napady załęknienia. Może to wzbudziło wasze podejrzenia. Zresztą proszę ją zaraz wypuścić.

Milicjantki nie oponowały i wkrótce zawróciły się i poszły z powrotem do miasta na nowy „połów”.

— Ach tak — powiedział Jose. — Nie chciała pani ze mną pójść na spacer ulicami miasta. Spróbowała teraz pani sama i skończyło się nieprzyjemnością. Dobrze chociaż, że trafiła pani na mnie. Ale nie mam ochoty dalej pani wstydzić. Odprowadzę panią do domu.

A widząc, że Dolores ma taką minę, jakby nie chciała się zgodzić na tę propozycję, powiedział:

— Po ulicach Barcelony nie jest zbyt bezpiecznie chodzić samej. Sprawiedliwość ludowa poszukuje zdrajców, a ludzie są omylni i łatwo można wpaść w kłopoty.

Nie odpowiedziała ani słowa. Milcząc, ruszyli w stronę domu.

Jose patrzył z ukosa na jej zgrabną figurkę i myślał o otrzymanym przed chwilą rozkazie udania się do Afryki, skąd miały przybyć główne siły powstańcze, w celu zorganizowania tam komórek agitacyjnych. Komórki owe miały rozniecić ferment buntu wśród oddanych powstańcom plemion arabskich.

— Iść w gardło wroga — myślał — to niebezpieczna wyprawa. Kto wie, czy wrócę. Nie wątpię, że Diego poległ. Jak tu wytłumaczyć tej głupiej dziewczynie. Trudno, zechce czy nie zechce, przed odjazdem muszę jakkolwiek nią owładnąć.

Wyszli już za miasto. Skracając drogę, ruszyli przez pustą, piaszczystą plażę, która oddzielała domki dzielnicy rybackiej, w której mieszkali rodzice Dolores, od morza.

Zbliżyli się szybkim krokiem ku już widniejącym chałupom, gdy wtem Jose zwolnił kroku i poszedł za Dolores. Teraz zaczął mówić:

— Dolores, *seniorita*, przypominam, co mówiłem przed paru dniami o swojej miłości. Odrzuciła pani wprawdzie moje oświadczenia, lecz nie należę do takich, co łatwo zrażają się pierwszą odmową. Diego na pewno poległ, a pani widzi, jakie są teraz czasy. Bez męskiej opieki tak delikatnej kobiecie żyć trudno. Pani musi przyjąć moją ofertę i jeszcze dziś zostać moją żoną. Nie mam czasu na długie wstępy, ale mówię to, co czuję, pragnę, żeby mi pani tak samo odpowiedziała.

Dolores zbyła go pogardliwym milczeniem, tylko przyspieszyła kroku.

— Pogardzasz mną, nie chcesz nawet rozmawiać. Nie bądź głupia, jestem teraz bogaty, wracajmy do miasta, przynajmniej zabawimy się. Wszystko, co kiedyś było dla bogaczy, dziś stoi dla nas otworem. Nie masz po co wracać do swoich starych.

Dolores wciąż milczała. Jose przysunął się do niej i nachylając się, mówił szybko, namiętym głosem, chwilami ścisząc się do szeptu:

— Tutaj, niedaleko, jest na przedmieściu porzucona przez jakiegoś burżuja willa, bardzo pięknie urządzona i umeblowana. Osadzę ciebie w niej, dam ci służącą i ochronę z kilku towarzyszy, którzy są mi wierni jak psy i będziesz czekała, aż wrócę. Bo ja muszę wyjechać, daleko wyjechać.

Znajdowali się już blisko osad rybackich, ale w miejscu zupełnie pustym. Jose sądził, że nikt tu nie usłyszy, ani [nie] zobaczy.

Porwał raptem Dolores wpół i usiłował powalić ją na syпки piasek wydmy. Przegiął ją niemal zupełnie w tył, usiłując jednocześnie zbliżyć swoje wargi do jej ust.

Dolores była tak zaskoczona tą niespodzianą napaścią, że nawet nie próbowała się bronić. Oprzytomniała jednak natychmiast.

Ręce jej próbowały rozerwać żelazne kleszcze ramion napastnika. Głowę skrzyła twarzą w bok, unikając zetknięcia się z jego ustami, nogami silnie wparła się w piasek, nie pozwalając na powalenie.

Lecz słabe siły kobiece szybko wyczerpywały się. Czowała, że długo nie będzie mogła opierać się. Jose nie przestraszył się oporu. Stawał się coraz silniejszy, coraz bardziej agresywny.

Dolores raptem wpiła się paznokciami w opasujące się ramiona mężczyzny i jednocześnie zawołała z całej siły:

— Na pomoc, na pomoc!

Jose rozwścieczony bólem od zadrapania i podniecony jej oporem, raptem puścił ją tak niespodzianie, że aż zachwiała się na nogach, i zaraz palnął ją pięścią między oczy. Dolores upadła ogłuszona...

Jose pochylał się nad swoją ofiarą, gdy raptem czyjeś ręce ujęły go za gardło i siłą oderwały od dziewczyny.

Porwał ze złością za ręce nieznanego napastnika, usiłując oswobodzić się. Parę silnych szarpnięć wystarczyło. Zerwał nieznanego ze swego karku i całą mocą swych potężnych mięśni eksszofera cisnął go na piasek, aż ziemia jęknęła.

Poznał starego Mollara, który tu nie wiadomo jak się znalazł. Starego uderzenie trochę oszołomiło, lecz zerwał się natychmiast z ziemi i podbiegł do Josego.

Ten go przyjął tak potężnym uderzeniem pięści, że stary omal znowu nie upadł. Widać jednak było, że szykuje się całym wysiłkiem woli do dalszej walki. Jose nie chciał próbować siły swych pięści na staruszkę i odskoczywszy kilka kroków w stronę Dolores, zaczął gorączkowo odpinać pochwę rewolweru.

Dolores szybko zorientowała się w sytuacji. Wzrok jej padł przypadkiem na leżący w pobliżu dość duży kawał piaskowca. Schwyciła go mocno i prawie bezwiednie z całej siły uderzyła nim młodego komunistę po głowie. Na jego

nieszczęście w czasie szamotaniny ze starym Mollarem spadł mu hełm i teraz kamień okazał się niebezpieczną bronią.

Jose bez jęku runął twarzą w piasek.

Dolores porwała ojca za rękę, jakiś czas biegli, milcząc i nie oglądając się. Wtem doleciał ich krzyk:

— Ja wam dam! Wróć niedługo, ale nie sam!

W kilka godzin potem ulicą osady rybackiej pędziły dwa auta ciężarowe pełne uzbrojonych milicjantów. W pierwszym obok szofera siedział Jose z obandażowaną głową.

Auta zatrzymały się przed domkiem Mollarów. Jose wydawał rozkazy:

— Tu widziałem, jak z tego domku stary rybak dawał jakieś znaki w stronę morza, powiewając płachtą. Żywo otoczyć cały dom!

Milicjanci rozbiegli się we wszystkie strony. W domku było cicho. Ku zamkniętym drzwiom podążył Jose z kilkoma milicjantami. Posypały się uderzenia kolb.

Drzwi z trzaskiem wpadły do wnętrza. Jose z rewolwerem w rękę wbiegł do izby i zatrzymał się zdziwiony. Mieszkanie było zupełnie puste, panował w nim tylko nieopisany nieład. Wszystko tak wyglądało, jakby gospodarze w niesłychanym pośpiechu opuścili je i nie zdążyli wszystkiego zabrać.

Jose na czele swej bandy dał upust swej wściekłości, rozbijając i niszcząc skromne mienie Mollarów. Kazał szczątki połamanej chudoby zebrać na jeden stos w pokoju, który kilka dni temu był świadkiem jego porażki miłosnej, oblać przyniesioną z auta benzyną i podpalić.

Po kilku minutach płomienie ogarnęły cały dom.

Ale gdzie znikli mieszkańcy? Jose trzęsąc się cały z wściekłości, myślał o tym zagadnieniu i nie mógł go rozwiązać.

Mieszkańcy okolicznych domów ukryli się tymczasem. Milicjanci wysłani na poszukiwania nie mogli nikogo znaleźć.

Dopiero po kilku kwadransach jeden z „towarzyszów”, badając wybrzeże, odkrył pod wywróconą łodzią zupełnie zdzieciniałego, starego, chyba stuletniego rybaka. Wyciągnięto go z jego improwizowanej kryjówki i stawiono przed komisarem.

— Gdzie się podziali szpiegdy z tego domu? — pytał trzęsącego się ze strachu starca. — Odpowiadaj szybko, w przeciwnym wypadku będziesz oskarżony o dopomaganie wrogom ludu. — A widząc, że stary nic nie rozumie, dodał: — W tym domu, który się pali, ukrywała się rodzina szpiegów faszystowskich. Nie wiemy, gdzie znikli. Musisz nam powiedzieć.

Stary popatrzył przez chwilę nieufnie na wypytującego, obejrzał się wokoło i widocznie zrozumiał, że cała przygoda może skończyć się dlań smutno, bo padł do nóg Josego i wyjąc coś niezrozumiale, zdawał się prosić o litość.

— Wstawaj — krzyknął zniecierpliwiony Jose.

— Jeśli powiesz, nie kłamięc, wszystko, co wiesz, nie stanie się ci nic złego.

Stary podniósł się z wolna i powiedział:

— Oni poszli zapewne do proboszcza kościoła Santa Cruz. To ich dawny znajomy i przyjaciel. Zawszę pomagał im w rozmaitych okolicznościach.

— Dosyć — krzyknął Jose i zwrócił się do milicjantów: — Wsiadamy — powiedział i skierował się do samochodu, a zanim jego ludzie.

14. Rebeka Kohn nudzi się

Zapadał zmrok. Przez bogate firanki zasłaniające elegancki gabinet przedostały się ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Na przykrytym modnym dywanem tapczanie, w pozycji pół siedzącej, pół leżącej, spoczywała młoda kobieta. Przy tapczanie, na małym stoliku, obok stojącej lampy elektrycznej, leżał stos książek. Kobieta jedną z nich trzymała w ręku i czytała, ale widocznie bez większego zainteresowania, gdyż co kilka chwil podnosiła głowę, odpoczywała i ze znudzoną miną przewracając kartki, pograżała się w dalszej lekturze.

Kobieta była przystojna. Słabe światło nie pozwalało na zbyt dokładne rozróżnienie jej kształtów, ale w jasnym kręgu promieni lampy widać było wychylające się spod niedbale narzuconego eleganckiego szlafroka, kształtne, wysmukłe nogi. A w tych momentach, gdy podnosiła głowę, można było spostrzec ciemną, opaloną twarz o semickich rysach, otoczoną wieńcem ciemnych włosów.

Za storą zasłaniającą drzwi, na wprost tapczanu, dał się słyszeć słaby szelest. Po chwili ktoś lekko zapukał, na przyzwalające „wejść”, stanęła w nich jakaś postać.

Była to pokojówka, widać obca, bo pierwsze jej słowa były wypowiedziane tak okropną hiszpańszczyzną, że słuchając ich, autentyczny potomek hidalgów skrzyłby się z bóleści.

Oznajmiła przybycie Lwa Abramowicza Sierpowa.

— Możesz nie kaleczyć hiszpańskiego, mówiłam ci już o tym wiele razy — powiedziała leżąc na tapczanie kobieta. — Wprowadź tego pana, który przyszedł.

Po chwili zjawił się Sierpow. Wszedł energicznym krokiem, rozejrzał się i powiedział:

— Elegancko tu u ciebie, Rebeko. Widocznie chcesz żyć tak, jak kiedyś w Nowym Jorku. Jak zauważyłem, sprowadziłaś ze sobą nawet nieodstępną Molly. To jednak nie jest dobrze, mogłaś pozwolić sobie na to w Moskwie, gdzie nikt nie ośmieli się naszym życiem zainteresować się, ale tu, w mieście walczącej rewolucji, to jest niewskazane. Zresztą zdobyłaś sobie w roku 1934 piękny pseudonim rewolucyjny „*la Passionara*”, wprawdzie pod innym nazwiskiem, ale to obowiązuje. Musisz zlikwidować ten luksus, później, po kilku miesiącach, jak zwyciężymy gojów, odbijesz sobie z nawiązką wszystkie trudy, jakich zaznasz teraz.

— Przyznam ci szczerze, Lwie Abramowiczu, — powiedziała Rebeka — że mnie trochę nudzą ci Hiszpanie wraz z całą rewolucją. Jestem jak zawsze oddana naszemu

narodowi i walce o panowanie Izraela nad światem, ale warunki, w jakich to robimy teraz, są jednak okropne. Ci nasi towarzysze z Frontu Ludowego są tak fantastycznie ciemni, że nigdy sobie nie wyobrażałam ich takimi. Plotą ciągle o tym, jak to będzie w przyszłym ustroju socjalistycznym, a gdy przychodzi do zabijania wrogów, to muszą przedtem dobrze się upić.

To samo z kościołami, pamiętam, ile to trudu kosztowało mnie, nim przekonałam komitet rewolucyjny w Asturii w r. 1934, że trzeba robić zamachy na te twierdze klerykalizmu. Czy wiesz, co mi odpowiadali? Że szkoda te budynki niszczyć, bo dużo pięknych wspomnień łączy się z nimi.

To samo z kobietami. Kazałeś mi stworzyć milicję kobiecą. Zaczęłam tę robotę, zgromadziłam wszystkie madryckie prostytutki i czuję, że ta praca nie na wiele się zda. Zdemoralizować ich już bardziej nie można, a do walki się nie nadają. Siedzą całymi dniami na dworcach i w koszarach milicji i w ten sposób „pracują” dla ludu. Obawiam się, że w ten sposób zamiast demoralizować kobiety hiszpańskie, dokonam dzieła demoralizacji milicji ludowej. Mam dość roboty. Zamknęłam się w domu i studiuję Pitigrillego. To jest bliższe mojej duszy.

Zorientowała się, że jej gość słucha wszystkiego, ale wydaje się, że myślał jest daleko. Wobec tego przeszła na tory mniej polityczne:

— Lwie Abramowiczu, widzę, że pan jest, zdaje się, trochę zmęczony, przydałoby się coś pokrzepiającego.

Wstała, podeszła do biurka stojącego opodal i nacisnęła taster dzwonka. W chwilę potem [pojawił]a się pokojówka Molly:

— Słucham pani.

— Przynieś nam wina, tego lepszego, i ciastek.

— W tej chwili.

Za kilka minut w pokoju płonęły wszystkie lampy. Przy zastawionym na poczekaniu stole zasiadła gospodyni i jej gość.

Sierpow był, zdaje się, w złym humorze, bo mówił niewiele, ale za to jego towarzyszka, nie wiadomo dlaczego, pogrążyła się we wspomnieniach i opowiadała bez przerwy.

— Pamiętam ostatnie dni w Nowym Jorku. Czy przypominasz sobie, mistrzu, „Astoria Palace” na 42 Avenue? Lustrzana posadzka sali, palmy między stolikami, dyskretne światło mlecznych kul w żyrandolach, służba snująca się między stolikami. Czarne fraki panów. Jakże pięknie na ich tle odbijały wspaniałe toalety dam. Wtedy były tak modne lamy. Czy pamiętasz, miałam wtedy suknię z lamy czarnej ze srebrem i te klejnoty, co mi przywiózł z Rosji, ten... Zapomniałam, jak on się nazywał, on też był z Homla, syn Herszka, krawca z rynku. Potem pojechał na robotę do jakiejś kolonii angielskiej i tam go podobno rozstrzelano. Zawsze mówił, że z moim bratem chodził do chederu. Jeszcze w Homlu kochał się we mnie.

Wtedy w „Astoria Palace” już go nie było. Był wtedy ten blondyn, pamiętasz go — Aston, oficer marynarki. Chodziło nam o plan łodzi podwodnej, ale

naprawdę durzyłam się w nim. Był taki przystojny i tak cudnie wtedy wyglądał we fraku. Zamówił szampana. Podali nam go jak wodę sodową. Była prohibicja, ale piło się bardzo przyjemnie, może przyjemniej, niż w zwykłych warunkach.

Szampan równie dobrze perlił się w szklaneczkach, jak i w kryształowych kieliszkach. Murzyni z niezrównaną pasją grali charlestona. Sunęliśmy z Astonem po śliskiej posadzce. Jakiż on był miły wtedy, jaki dobry, inny niż później, kiedy złapał mię przy biurku i chciał zastrzelić. Uciekłam...

Sierpow przerwał:

— Bardzo przyjemnie jest czasem pogadać o wspomnieniach, ale po pierwsze, nie należy się roztkliwiać, a po drugie, musimy omówić pewne sprawy aktualne. Sytuacja na froncie zaczyna być niepokojąca. Buntownicy zdołali przeprawić się z Afryki i, o ile doniesienia naszej, rozlazłej zresztą łączności, są ściśle, to zajęli już Sewillę. Na północy też nie jest lepiej. Ten przeklęty generał Mola potrafił zmobilizować całe bydło faszystowskie w Nawarze i panuje nad dość wielką częścią kraju. Musimy zrobić wszystko, żeby rebelię jak najprędzej zlikwidować.

Ponieważ faszyci włoscy i niemieccy pomagają naszym zbuntowanym generałom, więc porozumieliśmy się z rządem francuskim i mają oni wystąpić z propozycją podpisania przez wszystkie państwa Europy paktu o nieinterwencji w sprawach hiszpańskich. To nam powinno ułatwić akcję, bo Włochy i Niemcy przestaną dostarczać gen. Franco broni, a my nasze „przesyłki” z Rosji i Francji i tak nadal będziemy otrzymywać.

Tymczasem jednak trzeba przykręcić śrubę terroru u nas. Niech na burżuazję padnie strach. Musimy im pokazać, że wojny nie wygrają, a walka z nami oznacza ich zupełne wyniszczenie.

Dlatego musisz zająć się trochę pracą w więzieniu. Masz zdrowe nerwy, nie potrzeba ci wódki ani eteru przed każdą egzekucją — możesz więc śmiało zajmować się prowadzeniem śledztwa.

Ludzie miejscowi nie mają w tym wprawy. Tymczasem trzeba zwiększyć liczbę aresztowanych i skazanych. Trzeba bezlitosnych metod z tą kanalią.

Jeszcze dziś musisz udać się do więzienia w Escorialu i rozpocząć tam nowe, surowsze o wiele niż dotychczas, rządy. Przypuszczam, iż przydadzą ci się tam twoje „milicjantki”. Taka krwawa, bez obawy o przykre następstwa, robota będzie dla nich właśnie dobra.

Wypił jednym haustem stojącą przed nim szklaneczkę wina, wstał, włożył płaszcz i poszedł w kierunku drzwi.

Tam na chwilę przystanął, odwrócił się i powiedział:

— Jedź więc do Escorialu.

Potem włożył na głowę czapkę i bez żadnego pożegnania wyszedł.

21. Pokusa

Diega wyprowadzono z sali badań na korytarz. Szli bardzo długo, skręcając w coraz inne korytarze. Wchodzili na piętra, znowu schodzili po schodach w dół, wreszcie znaleźli się najwidoczniej w innej części zamku.

Korytarz był czystutki, zaślany chodnikiem zupełnie głuszącym odgłos kroków.

Milicjant idący przodem pchnął jakieś drzwi. Znaleźli się w dużym pokoju, jak wszystkie komnaty Escorialu.

Nad głowami ich rozpiął się sklepiony strop sufitu. W pokoju było szaro. Jak widma mającymi ostrołukowe wycięcia okien. Mimo surowego stylu komnaty, czuć w niej było miłe ciepło i silną woń jakichś wschodnich perfum.

Milicjant przekręcił taster, zapalając elektryczny żyrandol. Opalizujące światło załało pokój.

Gdy oczy Diega, po mroku korytarzy, przyzwyczały się do silnego blasku, zauważył oszałamiający przepych urządzenia.

Surową prostotę ścian łagodziły draperie bogatego obicia i tiulowe zasłony na oknach.

Posadzkę całkowicie zakrywał puszysty smyrneński dywan. Pod jedną ze ścian stała niska, szeroka, wschodnia sofa, zakryta porozrzucanymi poduszkami. Reszty umeblowania dopełniały złożone, kryte różowym atłasem foteliki, kanapki i taborety. Harmonizowały z nimi stylem stoliki i konsolki przy ścianach, dźwigające masę bibelotów i najrozmaitszych ozdób.

Milicjanci zawrócili się i wyszli. Diego został sam.

Po chwili wyszedł doń lokaj, o dziwo, przybrany w dworską liberię i wskazał mu drzwi z boku.

Diego wszedł do równie zbytkownej sypialni, pośrodku której dumnie stało wspaniałe, staroświeckie łóż z baldachimem.

Służący wskazał mu otwarte w głębi drzwi do łazienki, gdzie czekała nań przyjemna kąpiel i pidżama z miękkiej flaneli.

Lokaj, wciąż milcząc, zręcznie ogolił go, a po kąpeli i przebraniu się przeprowadził do pierwszej komnaty.

Teraz znów drzwi korytarza otworzyły się i stanęła w nich Rebeka. Zwróciła się do Diega z uśmiechniętą twarzą i powiedziała:

— Jestem strasznie zmęczona — po czym przeszła do sypialni.

Diego pozostawał na chwilę sam. Był oszołomiony niezwykłą przemianą, która zaszła w jego losie. Nie mógł po prostu zebrać myśli. Nad wszystkimi uczuciami dominowało wrażenie, że za chwilę z jakiegoś kąta wyskoczy gromada milicjantów i powłoką go znowu poprzez mroczne korytarze, by wtrącić do pełnej brudu i robactwa celi, na twarde prycze między swarliwych towarzyszy.

Z sypialni bez szelestu wyszła Rebeka, jakże inna niż wtedy za biurkiem. Zamiast skórzanej kurtki miała na sobie czarny, jedwabny, chiński szlafroczek

malowany w ogromne róże. Wyglądała nawet pociągająco, gdyby nie pewien wyraz okrucieństwa zastygły w kącikach ust.

Zaprosiła Diega, który wciąż jeszcze stał, na sofę i opuszcila się obok niego na poduszki. Mówiła sennym, omdlewającym głosem:

— Tak męczy mię to wszystko, co mi kazali robić. Chciałabym wyjechać stąd daleko, odpocząć i zapomnieć o całym otoczeniu.

Urwała. Diego milczał, a w głowie świdrowała mu myśl:

— Co to wszystko ma znaczyć? Może ta kobieta chce mi rzeczywiście zwrócić wolność?

Tymczasem służący cicho nakrywał stół. Rozłożył obrus śnieżystej białości, porozstawiał na nim kryształowe kieliszki i karafki z winem. Znikał za drzwiami, przynosząc stamtąd chłodne przekąski

Skończył podawać i przysunął foteliki.

Rebeka zaprosiła Diega:

— Siadajcie towarzyszu. Tutaj nic innego zrobić nie można. Nie mieszkam tutaj, tylko odpoczywam po całodzienniej pracy, dlatego też i kolacja będzie niezbyt dobra. Oni tu niczego nie mają.

Usiadła naprzeciw niego tak, że ich kolana stykały się. Diego pozostający od dłuższego czasu na więcej niż skromnym wikcie więźnia Frontu Ludowego, był nadzwyczajnie wygłodzony, toteż z niezwykle apetytem zabrał się do jedzenia.

Rebeka sięgnęła po karafkę napełnioną przejrzystym płynem i napełniła z niej kieliszki:

— No, towarzyszu, za powodzenie rewolucji — i przechyliła jednym tchem kieliszek.

Diego poszedł za jej przykładem, poczuł w ustach dziwny, palący smak i zakrztusił się. Rebeka roześmiała się:

— Nie piliście towarzyszu wódki? Muszę was nauczyć tego kunsztu. Mnie tu, u was w Hiszpanii podoba się wiele rzeczy, ale nie rozumiem, jak wy obcho-dzicie się bez tego napoju. Powtórzmy raz jeszcze, towarzyszu.

Diego wypił jeszcze kieliszek, ale czuł, że ma dość. Palący, dotąd nieznany trunek działał niezwykle mocno na jego osłabiony więzieniem organizm.

Czuł, że jest z lekka pijany... W milczeniu dokończyli kolację.

Tylko pod stołem coraz mocniej przyciskały się doń kolana Rebeki. Wreszcie wstali. Znów bez szelestu zjawił się służący, sprzątnął nakrycia i postawił na niewielkim stolczku przed sofą maszynkę z kawą, małe filiżaneczki, likier i egipskie papierosy.

Rebeka położyła się na sofie, przysunęła stolczek, nalała sobie i Diego różowego *abricotinu* i ciągnęła wolno napój z kieliszka. Diego nerwowo gryzł ustnik, patrząc na piękną kobietę.

Komunistka zmrużyła oczy. Patrzyła na Diega, i myślała, czego on właściwie czeka:

— Czyż nie robię na nim żadnego wrażenia? A może się mnie boi? Trzeba go ośmielić.

Diego właśnie gasił w popielniczce papierosa i miał właściwie ochotę podziękować swej gospodyni za przyjęcie i odejść. Zdawało mu się, że jego obecność tutaj jest całkowicie zbędna. Przeczuwał wprawdzie intencje pięknej Żydówki, ale nawet przed sobą samym udawał, że jej nie rozumie.

Był jednak więźniem i musiał ulegać jej woli. Podczas gdy ona obok prężyla się jak kotka, wzrok jego pobiegł w stronę okien, szukając drogi ucieczki. Nie wiedział jednak nawet, na którym piętrze się znajdowali.

Usiłował tylko przebić wzrokiem zasłonę z tiulu od szyb.

Rebeka tymczasem uklękła za nim na sofie, objęła go znienacka za szyję i wpiła się żarłocznym pocałunkiem w jego wargi. Oszło mi to na chwilę, ale zaraz stanęła mu przed oczyma słodka twarzyczka Dolores.

Delikatnie rozluźnił jej ręce zaciśnięte dookoła szyi i oswobodziwszy się, wstał.

— Towarzyszko — powiedział — to już szczyt dobrego przyjęcia. Czy warto mną, skromnym milicjantem, robotnikiem o czarnych dłoniach, tak się zajmować?

W głowie krążyła uparcie myśl:

— Jak odczepić się od tej baby? Przed półgodziną ludzi na śmierć wyprawiała, widziałem przecież, w jakim stanie prowadzili moich poprzedników, a teraz wdzięczy się do mnie. Spodobałem się jej widocznie, a myśl o tym wcale nie jest przyjemna.

Głośno dodał:

— Dziękuję bardzo za kolację — i wyraziście spojrzał w kierunku drzwi.

Rebeka gwałtownie wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju:

— Dawno już myślałam o tym — mówiła szybko — żeby znaleźć kogoś takiego, kto by mi pomagał w pracy, był moim adiutantem. Ty, choć jesteś tylko milicjantem i robotnikiem, możesz nim zostać. Będziesz miał własny samochód, szofera.

Wybierzesz sobie, jaką zechcesz willę, będziesz mógł spełniać swoje zachcianki, będziesz miał mnie.

Mój adiutant będzie miał lepiej niż przyboczni oficerowie Alfonsa XIII. Pracy nie będziemy mieli wiele. Ja mam wiele większą władzę, niż ty sądzisz. Może nie wiesz, kim jestem? Ja, Dolores Ibarruri w roku 1934 zasłużyłam na przydomek „*la Passionaria*”, pod którym mnie zna cała Europa.

Przerwała. Przez głowę Diega szybko biegły myśli:

— W ładne ręce trafiłem. To jest ta diablica, która gardła księżom przegryzała. Słyszałem o tej wiedźmie, jakeśmy tłumili rewolucję w Asturii w 1934 roku. No, to ona już nie jest taka młoda.

I to świństwo czuli się do mnie. Jak tu najprędzej stąd się wynieść?

Rebeka mówiła dalej namiętnie:

— Czego „*la Passionaria*” zapragnie, wszystko musi mieć. Ja dziś rządę Hiszpanią! Tu, w Escorialu, gdzie przedtem siedzieli koronowani durnie. Mam większą władzę niż Azana i przywódcy związków zawodowych. Musisz zostać moim adiutantem.

I znowu z pantery zmieniła się w łaszczącą się kotkę:

— Podobasz mi się. Jesteś piękny — szeptała, zatrzymując się koło niego.

Diego cofnął się.

Znowu wybuchła:

— Gardzisz mną. Chciałam ci ofiarować miłość, siebie! Czy rozumiesz, głupcze? — krzyknęła.

— Zamknąć cię każę w najgłębszym z podziemnych lochów. Zwiążę ci ręce i nogi drutem kolczastym, pasami skórę zdzierać będę. Ty niewolniku, ty głupi ciemny chłopie, któryś nigdy nie widział innej kobiety, jak stajenna dziewczka. Ja ci pokażę!

Każę specjalnie z Rosji sprowadzić Chińczyków, biegłych w najwymyślniejszych katuszach. Będiesz konał w męczarniach przez długie tygodnie.

Twoje piękne, czarne oczy wydrę świdrem, wytnę lampasy z twych nóg i przybiję ci szlify gwoździami do ramion. Poznasz, co to znaczy mieć obrazić. „*La Passionaria*” umie się mścić!

Urwała, spojrzała na Diega, który przyglądał się jej raczej zdumiony, niż przestraszony. Rebeka postanowiła przypuścić ostateczny atak.

Zrzuciła z siebie szlafrok. Była zupełnie naga. Podeszła do niego, ujęła za ramiona... Diego nie mógł opanować siebie.

Pchnął ją tak silnie, że aż się zatoczyła.

— Odczep się ty... parszywa Żydówko! — krzyknął.

Rebeka wściekła się. Zapomniała, gdzie jest, co robi i nie panując ani trochę nad porywem zmysłów, wymyślała w żargonie. Odezwała się w niej krew wielu pokoleń ordynarnych przekupek miasteczkowych:

— A ganef, brech dy kopf, anumlik auf dych... — wrzeszczała, choć Diego nie rozumiał ani słowa.

Nagle podbiegła do drzwi wejściowych i nacisnęła dzwonek.

Diego zrozumiał, że jest źle i rzucił się do okna. Zerwał firankę, zbił szybę i ujrzał przed sobą kraty.

Odwrócił się. Przy drzwiach stała Rebeka, trzymając w ręku brauning. Czarny otwór lufy znalazł się na wysokości jego oczu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i zobaczył formalny tłum milicjantów wytrzeszczających zdziwione oczy na widok nagiej komisarki z rewolwerem i nieładem w pokoju oraz ubranego w elegancką pizamę mężczyzny, w którym by nigdy nie poznali niedawnego więźnia.

Nie stropiło to wcale Rebeki, donośnym głosem wydawała rozkazy:

— Zabrać tego bandytę. Ukrywał się w łazience. To na pewno ktoś z byłych burżujów, którzy tu przedtem mieszkali.

Tłumaczenie wcale nie brzmiało przekonująco, ale nie przyszło jej nic do głowy, a milicjanci byli tak oszołomieni tym, co zobaczyli, że nie słuchali jej słów.

Stali przez chwilę, wahając się i nie wiedząc, co robić, aż im przerwała ostro:

— Czego gapicie się durnie? Wziąć go natychmiast i rzucić do lochu trzeciego piętra.

Ujęli Diega wyrywającego i broniącego się pod ręce i poprowadzili, a raczej powlekli korytarzami.

Materiały kontekstowe

Ks. A. Lisiecki

Kolportaż pożytecznych pism i książek

Referat wypowiedziany na zebraniu XX. Patronów i wicepatronów
związku tow. Robotniczych dnia 1.3.1909 w Poznaniu

[Poznań 1909, Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha]

Dzieje i rozwój dotychczasowy Związku Towarzystw Robotniczych wskazują na to, że Związek pozbywa się szczęśliwie pierwszej, zasadniczej troski swojej, która dotychczas pochłaniała całą prawie jego uwagę i większą część jego działalności. Po dziesięcioletniej, rzetelnej pracy stoimy wobec faktu, że dzieło rozpoczęte spoczęło na pewnych podstawach. Ostatnie sprawozdanie wykazuje okazałą liczbę 205 towarzystw oraz poważny zastęp 29 100 członków. Sposób pracy i urządzenie wewnętrzne Związku oraz poszczególnych towarzystw zostały dokładnie określone i ustalone, tak że dalszy normalny i spokojny rozwój uważać można za zapewniony. Do stworzenia tych podwalin zmierzały wszystkie wysiłki głównego zarządu. Praca Związku była dotychczas, wobec tego, z natury rzeczy więcej zewnętrzną, agitacyjną, organizacyjną.

Obecnie, po tak szczęśliwym załatwieniu tego pierwszego, zasadniczego zadania Związek bez wątpienia starać się będzie o to, ażeby na tej silnej podstawie rozbudować swe wielkie dzieło. Będzie zmierzał do urzeczywistnienia wielkich celów i zadań naszych towarzystw robotniczych, ażeby dźwignąć stan robotniczy w myśl encykliki *Rerum novarum*. W tym to celu już teraz założył kilka sekretariatów oraz biur bezpłatnych obrony prawnej, w tym również celu zajął się obecnie urządzeniem tak ważnej instytucji kas pośmiertnych.

Bez kwestii jedną z najważniejszych spraw, wysuniętych na czoło naszych usiłowań jest „praca oświatowa” w obrębie towarzystw robotniczych. Ustawy nasze obejmują i określają to zadanie zaraz w pierwszym zasadniczym paragrafie. Każde też towarzystwo od pierwszej chwili istnienia swego zmierza do wywiązania się z tego zadania. Toć przecież wspólne posiedzenia, wykłady, odczyty, deklamacje, śpiewy, biblioteka, a nawet zabawy są tylko środkiem do kształcenia umysłu i serca tych, którzy w nich udział biorą. Lecz ani w poszczególnych towarzystwach naszych, ani w Związku, ani w ogóle nigdzie u nas nie zwrócono dotychczas wcale uwagi na jeden z najlepszych i najpotężniejszych środków pracy oświatowej, na kolportaż pożytecznych pism i książek.

Niechże mi będzie wolno przy tej sposobności zwrócić uwagę na to, że w naszym społeczeństwie w ogóle niedoceniaamy wartości i ogromnego znaczenia dobrze zorganizowanej pracy oświatowej. Więcej może instynktownie aniżeli celowo garniemy się do tego w obrębie naszych organizacji. W naszych miastach i miasteczkach powstają komitety odczytów ludowych, ale instytucja, która świadomie i celowo zmierza do złączenia tych wszystkich usiłowań, a której zadaniem [jest] prowadzić systematycznie i prawidłowo cały ruch oświatowy w najszerzych warstwach społeczeństwa naszego, nasze towarzystwo Czytelni Ludowych mało dotychczas [jest] zrozumiane i mało bardzo liczy szczyrych pracowników.

Rzecz, którą w niniejszym referacie zamierzam przedstawić, należy właściwie do kompetencji Towarzystwa Czytelni Ludowych, ale ponieważ ta instytucja znajduje się obecnie w okresie reorganizacji i z natury rzeczy praca agitacyjna i organizacyjna wszystkie prawie jej siły pochłania, ponieważ nadto stan robotniczy przede wszystkim oświaty potrzebuje, a kolportaż u nas już w niepowołane dostał się ręce, powinien nasz Związek sprawą tą się zająć w najbliższym czasie dla dobra członków swoich.

Nie dosyć może zdajemy sobie sprawę z tego faktu, że złe książki szerzą się dzisiaj w zastraszający sposób między naszym ludem. Nie mam tu na myśli złych bibliotek, z których by ludzie gorszące książki brali, bo bibliotek u nas w ogóle jeszcze mało, a te, które istnieją i są dla ludu przeznaczone, założyło Towarzystwo Czytelni Ludowych lub mieszczą się w obrębie naszych towarzystw, więc polecać je tylko można i usilnie starać się o to, ażeby się mnożyły i jak najlepiej rozwijały. Ale za to w tysiącach egzemplarzy rozchodzą się broszury i dzieła, zanoszone do domów i wciskane w ręce przez zręcznych kolporterów. W Warszawie, we Lwowie, w Krakowie i tutaj, w Poznaniu istnieją księgarnie nakładowe i główne składy, które wydają na świat tego rodzaju lekturę i zajmują się jej rozpowszechnianiem.

Co do treści, są to po większej części tłumaczenia podobnych wydawnictw niemieckich, rzeczy nie tylko bez jakiegokolwiek wartości literackiej, ale nawet wprost szkodliwe, często niemoralne, obliczone na zaspokojenie najniższych instynktów czytającego ludu. Należą więc do tych arcydzieł przede wszystkim tak modne dzisiaj powieści kryminalne z nieśmiertelnymi: Sherlockiem Holmesem, Harrym Taxonomem, Nickiem Carterem, Natem Pinkertonem, Buffalobillem, Jackiem Texasem itp. w głównej roli, z okładką kolorową, przedstawiającą w jaskrawych barwach najgroźniejszą sytuację powieści. Od morderstw, samobójstw, pojedynków, uwięzień, gwałtów i tym podobnych scen grozą wstrząsających roi się w tego rodzaju produktach umysłowych. Im treści okropniejsza, tytuł więc obiecujący, a obrazek jaskrawszy, tym więcej czytelników, tym większy zysk nakładcy i kolporterów.

Do tej samej kategorii należą powieści, rozmazujące w nieskończoność, najczęściej w sposób brudny i ohydny, w kilkudziesięciu zeszytach ilustrowanych, pod bardzo ciekawym tytułem, głośne i z gazet znane skandaliczne wypadki.

Na dowód niechaj służy szereg tytułów oraz próbki takiej reklamy:

1. Z serii Sherlock Holmes:

*Profesor Flax, wielokrotny morderca,
Jaskinia zbrodniarzy na Korfu,
Pościg w pustyni,
Tajemnicze morderstwo w dolinie Boscombe,
Zniknięcie panny młodej.*

Na odwrotnej stronie okładki czytamy między innymi:

Dlaczego szczeni się ludzkość tym zdumiewającym człowiekiem? Dlaczego przestępcy wszystkich krajów drżą przed Sherlockiem Holmesem? Dlaczego miliony czytelników zachwycają się tajemnicami jego pamiętnika?... To stanowi treść sensacyjnych, wysoce interesujących, przykuwających uwagę opowiadań, które ofiarujemy publiczności w pięknie wydanych tomach po niskiej cenie 25 fenigów.

Kto przeczytał jedno z tych opowiadań, ten pozostanie naszym czytelnikiem i zachwyconym zwolennikiem pełnym podziwu dla mistrza detektywów, najślynniejszego i największego prześladowcy przestępców całego świata. Co tydzień ukazuje się jedno opowiadanie. Do nabycia w każdej księgarni. Nakładem wydawnictwa „Powieści popularnych”, Marszałkowska nr 143. Druk Lepperta i S-ki, Warszawa Elektoralna nr 30. Składy główne: na Galicję: Stefan Kawka w Krakowie; na Księstwo Poznańskie i Śląsk: J. Themal w Poznaniu, ulica Szeroka nr 10.

2. Z serii Nick Carter:

*Carruthers, król zbrodniarzy czyli żywcem pogrzebany,
Córka gałganiarza,
Banda podpalaczy,
W jaskini zbrodniarzy,
W pogoni za uwodzicielem.
Kobieta — Demon¹,
Walka o milion.*

3. Z serii Jack Texas:

*Krwawa poczta w Farmington,
Upiór z Fort Leaton,
Tajemniczy zamek w Meksyku. Kradzież milionowa w San Francisco.*

Na ostatniej stronie okładki widnieje następująca reklama:

Był człowiek, gdy rozważycie jego czyny, a równego mu nie znajdziecie. Jack Texas! To imię wymawiają Amerykanie z dumą i czcią! Jack Texas! Już od dawna to imię obiegiło kulę ziemską! Jack Texas! Wiadomo od dawna, iż należy on do bohaterów ostatnich czasów, dla którego miliony serc radośnie biją! Co tydzień wydanie oddzielny tomik opisu sławnych i godnych podziwu przygód Jacka Texasa, największego zwycięzcy Indian. Cena tomu z kolorowaną ilustracją 15 fen. Drukarnia Aleksandra Rippera w Krakowie. Nakładem księgarni komisowej w Warszawie, ulica Waliców 5. Składy główne na Galicję: Fabian Himmelblau, ul. św. Tomasza; na Księstwo Poznańskie i Śląsk: J. Themal w Poznaniu, ulica Szeroka 10.

1 Że tego rodzaju elaboraty są tłumaczeniem z niemieckiego, dowodzi spis wydawnictw księgarń nakładowej A. Eichlera w Dreźnie, Rosenstr. 107. Czytamy tam w katalogu pod zbiorowym tytułem: Nick Carter: *Carruthers, der Verbrecher-König, Ein Kampf um Millionen*. W katalogu berlińskiej księgarni: *Verlagshaus für Volkslitteratur und Kunst*, Berlin S. W. 61, Gitschinerstr. 13: *DämonWeib*. Drukarnia, litografia i nakład Alfreda Zonera w Warszawie, Ludna nr 4.

4. Z serii powieści, wychodzących zeszytami, przytaczamy następujące sensacyjne tytuły:

Wolnomularze, czyli tajemnice łóż masonskich,

Szesnaście lat na Sybirze,

Fatalny tron, czyli car Aleksander III i jego dwór,

Oblubienica Wenecka,

Królowa awanturnica, sensacyjna powieść z życia serbskiej pary królewskiej Dragi i Aleksandra.

Napisal serbski pułkownik M,

Groby Sybirskie czyli tajemnice zamku carskiego.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki, Lwów, Łyczakowska 13. Klisze do ilustracji z zakładu M. Hegedüsa w Lwowie, ul. Kopernika 8. Wydawca i odpowiedzialny redaktor R. Landau we Lwowie. W Poznaniu skład główny u W. Wilaka, ulica Szewska.

Powyższe próbki to oczywiście tylko bardzo mała, znikająca część prawdziwej powodzi podobnych utworów literackich, zalewających rynek sprzedaży dzieł dla ludu przeznaczonych.

O wartości tych elaboratów niechaj świadczy list pewnej niemieckiej nakładowej księgarni wystosowany do swego autora, oddrukowany swego czasu w „Germanii”. Choć tutaj bezpośrednio chodzi o niemieckie książki, to jednakowoż myśli w tym liście zawarte warto przytoczyć, boć, jak wyżej nadmieniałem, polskie wydawnictwa są najczęściej tłumaczeniem pokrewnej literatury niemieckiej. Oto pobożne i wielce budujące życzenia nakładcy:

„Ukończyliśmy już druk czwartego zeszytu Pańskiej powieści, a jeszcze w niej nie ma żadnej strasznej sceny. Kiedy Pan wreszcie wsadzi jakie morderstwo lub coś podobnego...? Nie mógłby Pan np. ze starego proboszcza wiejskiego zrobić intryganta? W ogóle konieczną jest rzeczą stworzyć jak najwięcej czarnych charakterów. Do zeszytu siódmego, krytycznego, potrzeba koniecznie szczegółowego opisu sceny jakiego zabójstwa, które ma się ciągnąć przez cały 8. numer, a skończyć się może dopiero w 9.”

Wiedzą oczywiście ci ludzie, że im treść jest więcej obfita w takie okropności i nieprawdopodobieństwa, tym ci lepiej. Lektura taka z pewnością nie tylko nie kształci, nie podnosi i uszlachetnia czytelnika, ale budzi w nim niskie popędy i namiętności.

Nie możemy niestety przy tej sposobności pominąć szczegółu, że podobne sensacyjne powieści ukazywały się również czcionkami „Katolika” w Bytomiu, gorąco polecane i reklamowane w „Katoliku”, „Górnoślązaku” i w „Dzienniku Śląskim”. Niektóre z tych wydawnictw zeszytowych są dobre, jak np. *Pomsta Boża*, powieść na tle ostatniej rewolucji rosyjskiej, jak wychodzący obecnie *Rycerz Maryi* Gruszeckiego. Ale „Katolik” również gorąco polecał nakład Szabika w Katowicach pt. *Klimczok, herszt rozbójników na Śląsku* oraz *Żywcem pogrzebana* — nakład W. Spychałowicza w Bytomiu. Układ tych powieści, których tysiące egzemplarzy się rozeszły skutkiem zręcznej agitacji niczym się nie różni od wyżej wspomnianych utworów; wartość literacka poniżej zera.

Dowodzi tego wymownie treść umieszczona na ostatniej stronie poszczególnych zeszytów, z której wyjmujemy następujące zdania:

Żywcem pogrzebana. Jest to nadzwyczaj ciekawa powieść, opowiadająca tragiczny los matki żywcem pogrzebanej. Jest to wyjaśnienie strasznej tajemnicy autora dr med. Kellera, której uczestnikiem on sam był, a mianowicie pogrzebanie pozornie zmarłej hrabiny, powtórne zawarcie związku małżeńskiego hrabiego z oszustką, która potrafiła pięknoscią swoją usidlić hrabiego itd. Tak ciekawej powieści, jak ta, zapewne jeszczeście nie czytali. Skoro tylko otrzymacie pierwszy zeszyt, przeczytajcie go, a nie będziecie się mogli doczekać drugiego. Treść każdego zeszytu będziemy ogłaszali w „Katoliku”, „Górnoślązaku” i w „Dzienniku Śląskim”. Podczas wychodzenia tej powieści nie będzie wydawnictwo „Katolika” powieści w zeszytach 10-fenigowych wydawać, przeto prosimy zapisywać sobie powieść *Żywcem pogrzebana* u agentów i kolporterów wymienionych gazet.

Jan Tadeusz Klimczok. Z zamku hrabiowskiego do jaskini zbójców. Z milionera w jednej nocy żebrakiem i złoczyńcą. Przez tysiące ludzi przeklęty — a tylko od jednego serca niezmiernie kochany. Któż jest ten człowiek, którego spotkał ten dziwny los? Jest to mąż, którego pamięć pozostanie niezapomniana u tych, którzy widzieli go kochającego, cierpiącego, walczącego i zwyciężającego. To Jan Tadeusz Klimczok, najśmielszy herszt rozbójników na Śląsku. Powieść *Klimczok* wychodzi w zeszytach po 10 fen. i można ją abonować u wszystkich agentów i kolporterów gazet polskich, albo też wprost od wydawcy. Czcionkami „Katolika”, spółki wydaw. z o.o. w Bytomiu.

Zwrócić również należy uwagę i na to, że wychodząca w Poznaniu jako tygodnik „bardzo poczytny” „Biblioteka Powieści” umieszcza stale takie bezwartościowe, a nawet wprost szkodliwe płody, jak np. *Tajemnice grobowca*, *Mistrz zbrodni*, *Czerwony testament*, *Dwukrotnie zaślubiona*, *Trupia rzeka*, *Reporter zbrodni*, *Na dnię przepaści* (w 5 tomach), *Tajemnice Petersburga*, *Z tajemnic wschodu*, *Tajemnicza zbrodnia*, *Sprawa kryminalna*, *Zgubna miłość*, *Historia dwudzie-stoletniej kobiety*... i bardzo, bardzo wiele innych. Powyższe tytuły wyjęte tylko z ostatnich czterech roczników, a „Biblioteka Powieści” rozpoczęła w bieżącym roku czternasty rok swego istnienia.

„Głos Wielkopolek” umieścił w dodatku powieściowym następujące utwo-ry tej samej kategorii: *Naręczona prokuratora*, *Przeklęta*, *Wyspa obłąkanych*, *Dziesiątka czerwieni*.

„Praca” drukuje następujące powieści: *Czarna ręka*, *Rozczarowanie*, *powieść z współczesnego haremu tureckiego*.

Również niektóre z naszych codziennych pism politycznych dają w felietonach swoich czytelnikom tego samego rodzaju interesującą lekturę.

Wiele z tych romansów wychodzi, jak wiadomo, tygodniowo zeszytami. A zeszyty tak są pisane i tak obliczone ich zakończenie, ażeby czytelnik pobudzony nieprzepartą ciekawością dalszy ciąg kupował. Odnosi się to tak samo do wielkich powieści, obejmujących kilkanaście lub kilkadziesiąt, a nawet sto i więcej zeszytów, jak i do powiastek mniejszych, na jednym zeszycie się kończących. Kolporterzy, którzy roznoszą tę literaturę po domach i literalnie do rąk ją wci-skają, każą podpisywać zobowiązania, na mocy których księgarnie następnie zmuszają swych odbiorców do nabywania dalszych zeszytów. Jeżeli tedy zeszytów takich ukaże się kilkadziesiąt, 50, 100 a nawet 150, a tak bywa bardzo czę-sto, tedy całe arcydzieło, do tego nieoprawne, kosztuje 5—15 marek. Suma to

oczywiście znaczna, którą trojaczkami płacą po większej części nasi robotnicy i robotnice, służące, terminatorzy, szwaczki, czeladź rzemieślnicza i kupiecka. Gdybyśmy tę ogromną sumę policzyli, to kto wie, czybyśmy się nie przekonali, że nasze warstwy inteligentne u nas tyle nie wydają na lekturę dla siebie.

Oczywiście, że tę stratę materialną, boć pieniądze na ten cel wydane należy uważać jako wyrzucone bez celu, przewyższa o wiele strata i szkoda moralna wyrządzona tego rodzaju lekturą.

Powieści takie wychodzą zresztą nie tylko periodycznie jako dodatki powieściowe do gazet i pism tygodniowych, jako serie, które można abonować, przepełniają one często jako książeczki ludowe półki naszych „ludowych” księgarń.

Artykułem bardzo poczytnym, chętnie kupowanym, często wydawanym, a także do domów roznoszonym i do rąk wciskany są książki obliczone na ciemnotę i przesąd ludu naszego. Do tego działu należą wszystkie senniki egipskie i nieegipskie, kabały, sybille, karty wróżbiarskie, planety itp.

Oto znowu kilka ciekawych tytułów tego rodzaju:

Nowa Wielka Sybilla, zawierająca przeszło 70 odpowiedzi na wszelkie zagadnienia życiowe, ułożone według najcelniejszych ksiąg kabalistycznych i astrologicznych z dodaniem sztuki wróżenia z ręki, o znakach niebieskich albo konstelacjach słonecznych, o dniach, miesiącach i latach feralnych oraz przepowiednie przyszłości za pomocą planet i znaków. Cena z gwiazdą szczęścia tylko 50 fen. Z fr. przesyłką 60 fen., poleca i przesyła odwrotnie F. Chocieszyński. Poznań.

Przepowiednie o przyszłej wojnie europejskiej według objawienia św. Jana. Cena 15 fen.

Największy ilustrowany sennik zestawiony według źródeł egipskich, chaldejskich, asyryjskich, babilońskich, perskich i arabskich, zawierający kilka tysięcy wykładów snów z wstępem o snach i widzeniach sennych oraz dodatkiem zawierającym naukę o zodiaku niebieskim itd., itd. Wydanie ozdobione 150 obrazkami.

Księga planet zawierająca kilka ogólnych uwag o planetach, sztuka rozpoznawania swych planet, dni feralne według 12 miesięcy ułożone, dni szczęścia, itd.

Terno, Ambo, Solo, czyli szczęśliwy gracz w loterię. Wskazówki jak grać w loterii, aby zostać bogatym.

Sennik królowej Saby...

Otóż krótki i bardzo pobieżny tylko pogląd na kilka interesujących działów „literatury ludowej”. Nie potrzebujemy długo rozwodzić się nad tym, dlaczego wszystkie wyżej przytoczone utwory obok, jak widzieliśmy, czasem dość znacznej straty materialnej, także wielkie moralne szkody czytelnikom swoim przynoszą.

Toć przecież we wszystkich tego rodzaju książkach i broszurkach roi się od głupstw i nedorzeczności, nie ma w nich ani żdźbła zdrowej, umysł i serce podnoszącej myśli. Głównymi bohaterami tych romansów nie są bynajmniej ludzie znakomici i wielcy dobrodziejcie cierpiącej ludzkości, lecz zbrodniarze i ludzie, którzy się nieustannie stykają ze zbrodnią. Zbrodniarzy tych przedstawia powieść, mimo okropności, jakie popełniają, bądź co bądź, zbyt często w świetle korzystnym, jako ludzi w gruncie serca wcale niezłych, owszem szlachetnych,

często jako rzeczników dobrej sprawy, jako mścicieli biednych, nieszczęśliwych, ciemnionych, a zbrodnię samą nieraz jako rzecz, którą należy wyrozumieć jako coś niepospolitego, czasem szlachetnego.

Jasną jest również rzeczą, że takie ciągle stykanie się ze zbrodnią przez czytanie tych książek, ten nieustanny widok krwi i okropności przytępiają szlachetne i delikatne uczucia serca, a fantazję rozbudzają i roznamiętniają. *Exemplatrahunt!* Gazety już nieraz podawały wiadomości, że rzeczywistych przestępstw i zbrodni dopuszczano się na wzór w książkach wyczytanych opisów...

Cały wreszcie bogaty dział senników, planet, kart wróżebnych itp. jest wprost obliczony na łatwowierność i ciemnotę ludu naszego. Odbiorców chętnych po jarmarkach, u kolporterów i w specjalnych składach naliczyć by można tysiące. Że wczytywanie się, co więcej, gruntowne studiowanie tych cudowności oświaty nie szerzy, owszem, ludzi ogłupia i czyni ich więcej jeszcze zabobonnymi, tego nie potrzeba szeroko udowadniać.

Zdawać by się mogło, że przecież w naszym społeczeństwie takie właśnie książki i tego rodzaju kolportaż tak gwałtownie się jeszcze nie szerzą. Przypatrzmy się jednakowoż bliżej tej sprawie, a przekonamy się, że jest rzeczywiście gorzej, aniżeli byśmy mogli przypuszczać.

Tak np. w samym Poznaniu kolportaż wyżej opisany już przybrał zastraszające rozmiary. Mówię o polskich książkach, polskich kolporterach i polskich księgarniach. W oknach wystawowych niektórych nawet lepszych księgarni pełno takiej literatury. Istnieje ponadto w Poznaniu kilka specjalnie tej literaturze poświęconych składów, mających tłumy całe odbiorców właśnie z naszych sfer rzemieślniczych i robotniczych. Kolporterzy snują się od domu do domu, od mieszkania do mieszkania i wszędzie swój towar wciskają. Pierwsze zeszyty nowych wydawnictw rozdzielają gratis, licząc niezawodnie na rozbudzoną ciekawość. W Poznaniu już bardzo wiele rodzin systematycznie zaopatruje się w taką strawę dla siebie i niechętnie tylko czyta coś innego. To jest, zdaje się, powód, dla którego niektóre nasze dzienniki polityczne i czasopisma drukują również tego rodzaju powieści. Wielu rodziców nierozsądnych dzieciom swoim takie właśnie książki daje w upominku. Przede wszystkim młodzież rozchwytuje te elaboraty, kilkunastoletnie niedorostki i podlotki karmią się setkami takich broszur. Musi to oczywiście bardzo szkodliwie oddziaływać na ich młodzieńcze umysły i na ich wrażliwe serca.

Nie tylko w Poznaniu samym, ale również i na prowincji ten właśnie kolportaż ogromnie się szerzy, a jest rzeczą łatwą do zrozumienia, że bardzo się przyjmuje i opłaca się swoim przedsiębiorcom. Nie są mi znane pod tym względem lokalne stosunki większej części naszych miast, miasteczek i wiejskich parafii, ale wiem, że na południu Księstwa, w powiatach ostrowskim, odolanowskim, ostrzeszowskim, krotoszyńskim i kępińskim, taki kolportaż już bardzo dobrze jest zaprowadzony. Specjalnych polskich księgarni wprawdzie jeszcze nie ma, ale

rzeczy te można oglądać wystawione w oknach już istniejących księgarni, składów papieru, obrazów itp. W poszczególnych miejscowościach, np. w Ostrowie pracuje czterech czy pięciu kolporterów poznańskich księgarni, którzy roznoszą swój towar po domach, idą na wieś i tam chętnych znajdują kupców. W ten sposób rozchodzą się dziesiątki tysięcy tych książek, a ludzie zaciekawieni jaskrawym obrazkiem i treścią, przygotowani trochę na taką lekturę podobnymi powieściami niektórych naszych czasopism, powodowani niską ceną poszczególnych zeszytów chętnie je kupują.

Gdyby pod tym względem zbadać inne okolice Księstwa, z pewnością przekonalibyśmy się, że i gdzie indziej taki kolportaż się szerzy.

Radą najskuteczniejszą na zwalczenie groźnego niebezpieczeństwa jest zaprowadzenie kolportażu dobrych książek i czasopism.

Nam szczególnie, patronom i prezesom towarzystw robotniczych, organizacji naszej młodzieży polsko-katolickiej nie wolno oczu zamykać na tak niebezpieczne objawy. Obowiązkiem naszym obmyślenie odpowiednich środków, a najlepiej powołanie do życia kolportażu książek dobrych, interesujących, a podnoszących i kształcących umysł i serce. Nie czekajmy, aż zło nam ponad głowy wyrośnie, nie mówmy, że w niektórych miejscowościach i okolicach tego niebezpieczeństwa nie ma. Być może, że tak jest, aleć przecież niedobrze jest czekać aż do chwili, kiedy ono przyjdzie, kiedy zgorszenie znajdzie swe ofiary. W naszych czasach, stojących pod znakiem tak dogodnej komunikacji, ponadto nieustannego ruchu ludności nawet najodleglejszy i najspokojniejszy zakątek odczuwa wszystko, co się dzieje na szerokim świecie.

Zresztą ujemne skutki istniejącego u nas kolportażu dają się odczuwać niemal wszędzie. Wielu, a może prawie wszyscy, z ambony nieraz już przestrzegaliśmy parafian, ażeby się nie pozwolili oszukiwać wędrownym kupcom na książki, obrazy, dewocjonalia itp. Ni stąd, ni zowąd zjawiają się po wsiach jacyś ludzie spod ciemnej gwiazdy i roznoszą swoje towary. Jak to każdy z nas już się nieraz przekonał, są to po większej części rzeczy bez wartości, obrazy po części religijne, okropne w wykonaniu i niezmiernie drogie.

Kolportaż wreszcie, dotychczas istniejący nawet w imieniu księgarni dobrych i zasłużonych, kolportaż szerzący dzieła warte rozpowszechnienia jest niedostatecznie zorganizowany i przynosi dziś więcej szkody aniżeli pożytku. Wina na odnośne księgarnie spada o tyle, że biorą często jako kolporterów ludzi niesumiennej i nie dość ściśle ich działalność kontrolują. Kolporterzy, ażeby sprzedać jak największą ilość egzemplarzy, korzystają z pobożności i łatwowierności naszego ludu. Powołują się często bez upoważnienia na pozwolenie i polecenie miejscowego duszpasterza, opowiadają ludziom niestworzone historie o sobie i o księgarni, a wreszcie nakłaniają do kupienia książki obietnicami wprost nieprawdopodobnymi. Księgarnia oczywiście obietnic tych nie spełnia i spełnić nie może, nie wie zwykle o tym, co taki kolporter nakłamał, a ludzie, którzy

zobowiązali się do zakupienia dzieła, widząc teraz, że ich oszukano, zamówionych książek odebrać nie chcą. Księgarnie zwykle grożą w takich wypadkach adwokatem i procesem. Powstaje stąd łatwo dające się zrozumieć rozgoryczenie, które się obraca przeciw księgarni, może nawet przeciw proboszczowi, który przecież książki te polecał, a co najgorsze, budzi się niechęć przeciw książkom i ich kupowaniu w ogóle.

Otóż znowu jeden z wielu powodów, ażeby kolportaż pożytecznych książek i czasopism uczciwie i racjonalnie zorganizować.

Lecz to wszystko, cośmy dotychczas przytoczyli, to tylko jedna strona tak ważnej sprawy. Niebezpieczeństwa grożącego ze strony kolportażu nieodpowiedniego lub źle zorganizowanego nie można usunąć prostymi przestrogami, może z ambony, może na posiedzeniach towarzystw, choćby najwymowniejszym wskazywaniem na złe skutki wypływające z czytania złych książek. Nie wystarcza, bo faktem jest, że lud nasz, nawet najprostszy, odczuwa potrzebę czytania. Ci, którzy intensywnie pracują w czytelnich ludowych, wiedzą, jak chętnie, jak chciwie garną się ludzie do bibliotek. Wobec tego nie można się dziwić, że biorą w braku czegoś lepszego to, co im dotychczas istniejący kolportaż daje, a daje tak łatwo, tak tanio, w tak ponętnej szacie. Człowiek spracowany, znużony pracą całego dnia, chętnie wieczorem lub w niedzielę rozerwie się książką, byle lekką, piękną a zajmującą.

Otóż z tego pragnienia uczciwej rozrywki, z tej istniejącej potrzeby czytania należałoby skorzystać. Boć przecież jest rzeczą pewną, że nawet w formie najprostszej, najciekawszej powiastki może wnikać do serca i do umysłu ludu naszego dużo dobrych myśli i pożytecznych wiadomości, które go podniosą i przyczynią się do uszlachetnienia jego duszy.

Chcąc wyczerpać myśl tutaj poruszoną, trzeba by wypowiedzieć osobny obszerny referat o korzyściach, płynących z czytania dobrych książek.

Samo się przez się rozumie, że wobec doniosłego znaczenia i wielkiego zadania, jakie książki mają do spełnienia między naszym ludem, trzeba mu dawać to, co pod tym względem mamy najlepszego. I tutaj również grzeszymy brakiem zrozumienia istotnej potrzeby takich właśnie dobrych i najlepszych książek dla ludu naszego. Stąd to pochodzi, że do bardzo niedawnego czasu większa część naszych bibliotek i czytelni ludowych była nieodpowiednio zaopatrzona. Prawie wyłącznie znajdowały się w nich książki tak zwane „ludowe”, a w gruncie rzeczy utwory wprawdzie nieszkodliwe, ale też bez żadnej wartości. Każda prawie czytelnia ludowa do niedawnego czasu składała się prawie wyłącznie z rozmaitych *Żywotów, Nauk moralnych i obyczajowych, Pielgrzymek, Lekarstw na biedę, Rozpraw o cholerze, Słów prawdy o papierosianej modzie, Piekieł zwyciężonych*, a między powieściami był zawsze nieśmiertelny *Kasper Pokraka, Rinaldo Rinaldini, Sześć beczek złota, Odzyskana córka*, dalej niby popularne, a w rzeczywistości strasznie nudne i trudne do zrozumienia przeróbki historycznych

powieści Kraszewskiego i wiele, wiele innych zupełnie bezwartościowych „ludowych” książek². W ostatnim dopiero czasie zerwaliśmy z tą tradycją.

Wobec otwartej kwestii kolportażu pożytecznych pism i książek nasuwałoby się może przypuszczenie, że akcja ta jest niepotrzebną, że to samo zadanie szerzenia dobrych książek i pism wśród ludu naszego spełnia przecież Towarzystwo Czytelni Ludowych oraz nasze biblioteki parafialne, towarzyskie itp. już istniejące urządzenia. Wobec tego należy sobie uprzytomnić:

1. Towarzystwo Czytelni Ludowych niestety nie wszędzie jeszcze zorganizowane i nie wszędzie tak się rozwija, jakby to być mogło — głównie dla braku zrozumienia potrzeby jego rozwoju i konieczności jego pracy, szczególnie w naszych warunkach. Dla braku zrozumienia ze strony tych właśnie, którzy by mogli i powinni pod tym względem wiele uczynić.

2. Biblioteki parafialne i biblioteki w obrębie naszych towarzystw istniejące, nie znajdują się wszędzie, a gdzie istnieją, tam po większej części nie odpowiadają warunkom i rzeczywistym potrzebom. Między towarzystwami robotniczymi nie brakuje takich, które o bibliotekę wcale nie dbają, w wielu towarzystwach nie ma nawet tyle książek, ilu jest członków.

3. Tak czytelnie ludowe, jak i wszystkie inne biblioteki, jakeśmy to sobie przed chwilą uprzytomnili, nie są zaopatrzone dotychczas w stosowne książki. Nad odpowiednimi wskazówkami, tak koniecznymi dla nas, pracuje obecnie T. C. L.

4. Wszystkie biblioteki dotychczas istniejące, otwarte są dla czytelników tylko bądź to w czasie posiedzeń towarzystw, a więc raz lub dwa razy miesięcznie, bądź to, jak w czytelniach ludowych, raz lub dwa razy tygodniowo.

Ale chociażby te niedomagania zupełnie nie istniały, chociażby czytelnie i biblioteki nasze rozwijały się zupełnie prawidłowo i w zupełności odpowiadały potrzebom ludu łaknącego dobrych książek, do czego bezwarunkowo usilnie należy dążyć, to za zorganizowaniem kolportażu dobrych książek i czasopism przemawiają jeszcze inne względy.

Wiadomo, że lud nasz, chociaż tak chętnie przeczyta książkę „podaną” sobie, nie tak łatwo jeszcze zdobędzie się na mały wysiłek, ażeby pójść po nią do biblioteki lub czytelni, a tym mniej, ażeby sobie kupić jakie dobre dziełko w księgarni. Tymczasem nietrudno wcale nakłonić go do wzięcia, a nawet zakupienia książki wtenczas, gdy mu ją kolporter do domu przyniesie.

Za zajęciem się kolportażem przemawia wreszcie i ten wzgląd, że w ten sposób dopomożemy ludowi do urządzenia małych dobrych „biblioteczek domowych”. Biblioteczka taka to prawdziwy skarb rodzinny, boć przecież mamy książki i dzieła wielkiej wartości, książki, które nie tylko w każdej czytelni znajdować się powinny, ale które winny być stałą własnością rodzin. Na taką biblioteczkę domową

2 Cfr. ocenę spisu książek poleconych przez T. C. L. w Poznaniu w *Poradniku dla samouków*, t. IV, str. 350.

do stałego użytku jej właścicieli składałyby się zasadnicze dziełka treści religijnej, przede wszystkim apologetycznej, dobry zbiór żywotów świętych, podręcznik historii ojczyznej, zbiorów poezji, wypisy skarbów literatury naszej, kilka dobrych powieści, książki obrazkowe i książki do czytania dla dzieci, zawodowe książki gospodarcze, przemysłowe itd.

Zwróćmy na koniec uwagę na to, że konieczność szerzenia dobrych książek treści religijnej, a przede wszystkim apologetycznej, wynika z rzeczywistej potrzeby i faktycznie istniejącego niebezpieczeństwa, którego nam lekceważyć nie wolno. Właśnie pod względem religijnym niewiele gruntownych wiadomości lud nasz posiada. Młodzież przede wszystkim, która w szkole, jak bolesne doświadczenie uczy, nie odnosi żadnej korzyści z nauki religii pobieranej w obcym języku, nie ma po prostu skąd czerpać najprostszych wiadomości, zasad wiary i moralności chrześcijańskiej. Dwa lata katechizacji i nauki przygotowawczej do sakramentów św. z dziećmi, które po części w początkach nauki czytać katechizmu nie umieją absolutnie, nie wystarczą. Toć wiemy, że sumienny katecheta z wielkim wysiłkiem zaledwie przejdzie to, co najniezbędniejsze. Jeżeli zaś dziecko ani w szkole, ani w domu od rodziców ciężką pracą cały dzień zajętych, zresztą tak często pod tym względem niedbałych i po części niezaradnych, ani z nauki przygotowawczej do sakramentów św. potrzebnych wiadomości religijnych nie zdobędzie, jeżeli tak młodzieniec idzie w świat między obcych, między innowierców, tedy niebezpieczeństwo utraty wiary, której zasad nie zna, jest rzeczywiście bardzo wielkie.

Z tego smutnego stanu zdają sobie doskonale sprawę protestanci i właśnie obecnie rozwijają gorączkową działalność agitacyjną. Na odnośne niebezpieczeństwo zwróciła władza duchowna naszą uwagę w ostatnich miesiącach. Założono przecież w południowych powiatach Księstwa osobne towarzystwo z jawnym celem agitacji protestanckiej między naszym ludem polsko-katolickim, na którego czele stanęli pastory Harhausen ze Skalmierzyc i Rosenberg z Kępna. Na pograniczu, w Skalmierzycach, zjścia ostatnich dni, przejście kilkunastu rodzin polskich emigrantów z Królestwa na protestantyzm, rzucają jaskrawe światło na ich ruchliwą działalność.

Wiemy również, jak bardzo agituja za swoją sprawą anabaptyści, że urządzają pogadania i wykłady, na które lud nasz uczęszcza, że rozrzucają tysiącami swoje odezwy, broszury, że mówią i piszą o wielkich misjach dla Polaków-katolików...

Czyliż to nie są dostateczne powody do szerzenia pism religijnych i apologetycznych za pomocą zorganizowanego kolportażu? W ten sposób choć w części uzupełni myto, czego pod tym względem ludowi, a szczególnie młodzieży naszej braknie. Oczywiście znowu tu należy zwrócić uwagę na to, ażeby dzieła tego przede wszystkim rodzaju, przeznaczone dla kształcenia ludu pod względem religijnym, były jak najlepsze, ażeby mogły faktycznie spełnić wielkie zadanie swoje.

Kolportaż pożytecznych pism i książek, za którego zorganizowaniem tyle względów przemawia, w życie wprowadzić nie jest rzeczą tak łatwą i prostą, jakby się to zdawać mogło, już z tej przyczyny, że pole to u nas dotychczas zupełnie odłogiem leży. Należy więc stworzyć po prostu wszystko.

W tym celu byłoby z pewnością najlepiej pozostawić rozpatrzenie całej tak doniosłej sprawy Głównemu Zarządowi Związku, odnośnie ks. Sekretarzowi Generalnemu, albo powołać zaraz osobną komisję, która by sposób działania dokładnie obmyśliła.

Zadaniem tej komisji byłoby przygotowanie gruntu przez odpowiednie artykuły, odezwy itp., zestawienie rozumowanego katalogu książek i pism odpowiednich do kolportowania, postaranie się o nowe stosowne wydawnictwa, wskazanie drogi i sposobu szczegółowego zorganizowania kolportażu.

Bądźmy przeświadczeni o tym, że odpowiednim ujęciem tak ważnego dzieła damy niemały przyczynek do rozwiązania zaniedbanej u nas jeszcze kwestii oświaty ludowej.

Zygmunt Wasilewski

O sztuce i człowieku wiecznym

[Lwów 1910, Nakładem Towarzystwa Wydawniczego Warszawa — E. Wende i SP. Kijów
— L. Idzikowski]

1. Opowieść i poezja. Rzecz o granicach między wrażliwością estetyczną a ciekawością

Pobieżna obserwacja rynku księgarskiego przekonuje, że publiczność kieruje wydawcą, a wydawca, pośrednio, piśmiennictwem. Dotyczy to przede wszystkim dziedziny powieściopisarstwa. Jeżeli nie współtwórcą, to sprawcą moralnym powieści jest czytelnik, czyli publiczność. Gdyby nawet w innych dziedzinach sztuki wydawało się nam rzeczą sporną uznawanie twórczości za sprawę społeczną, za pewien proces konwersacyjny między tym, co tworzy a tym, co odbiera, to w powieści widzimy wyraźnie, że bez słuchacza nie mogłaby ona powstać. Można wyobrazić sobie w poezji, muzyce, malarstwie zasadę: „Sobie śpiewam, nie komuś”, ale jest rzeczą wątpliwą, czy ktokolwiek układałby powieści dla siebie. U podstaw powieści leży bajka, oto jej cecha najistotniejsza. Opowieść wymaga autora, ale przede wszystkim potrzebuje słuchacza.

Każdy nosi w sobie bajkę, fantazje na tematy ciekawe, a niezbyt zrozumiałe. W bajce, jak przysłowie stare poucza, połowa jest prawdy. Jest ona częściową próbą rozwiązywania spraw niezbadanych, ale w jednej drugiej, i to stanowi jej wartość obiegową, jest płodem bezinteresownej igraszki fantazji. Bajka zajmuje miejsce niezabudowane w myśli ludzkiej, ma swój powab umysłowy. Rozum zdrowy łaknie bajki i to łaknienie jest pierwiastkiem twórczym. Wyobraźnia po wszystkie czasy była potrzebą powszednią i funkcją stałą umysłu, tak powszechną, że dość rzucić ziarno fantazji, aby wyrastało drzewo.

Dzisiejsza powieść artystyczna odebrała nam poczucie bajki, przenosząc zainteresowanie w dziedzinę estetyczną. Głód opowieści jednak nie zanikał, ukrył się tylko przed światłem sztuki w sferach oświeconych, a pozostał w całej pełni tam, gdzie umysły do szukania prawdy artystycznej nie dorosły. Ze zdziwieniem, a nawet zgorszeniem, patrzymy na powieści Doyle’a albo Leblanca, rozpierające się (dzięki demokratyzmowi wydawcy) na półce księgarskiej obok Reymonta *Chłopów* lub *Próchna* Berenta. Coś nowego widocznie się stało na rynku piśmienniczym. Rządzą nim dwa czynniki: pisarze i publiczność. Pisarze się nie zmienili, owszem,

coraz dalsi byli od bajki. Widocznie wtedy wtargnęła na rynek nowa publiczność. Pojawił się demokratyczny głód bajki.

Krytyk, świadomy dziejów powieści, przypomni sobie, jak bliskie pokrewieństwo łączy wszystkie typy powieściowe. Niedawne to czasy, kiedy istniał tylko jeden rodzaj powieści, opartej na bajce. Dzisiejsza powieść literacka jest zjawiskiem nowym, jest sztucznie szczepioną gałęzią na pniu bajki.

Cofnijmy się przez Sienkiewicza i Krászewskiego do romansu XVIII wieku, potem do przekładanych w XVI wieku przygód Aleksandra Macedońskiego, Meluzyny, historii o Magielonie, królownie neapolitańskiej, Marcholcie, Sowizdrzale. Cofnijmy się do kronikarzy naszych jako historyków bajecznej Polski lub wreszcie do najpierwszych śladów piśmiennictwa zakonnego w XII i XIII w., z opowieściami o żywotach św. Wojciecha lub Stanisława. A idąc tak z piśmiennictwem śladami bajki, dojdziemy do kresu, gdzie jeszcze nie było pisarstwa, a jednak istniała bajka w formie opowieści. Kto ją tworzył, nie wiadomo. Bajka wędrowała przez góry, morza i bory. Doszły te opowieści drogą folkloru do naszych bibliotek, słuchamy ich po wsiach wśród ludu.

Druk ustalił formę opowieści i pomału emancypował ją od bezpośredniej współtwórczości ludu. Historia powieści to dzieje wydobywania się na wierzch indywidualności twórczej aż do wybicia nazwiska na utworze, aż do ostatecznego pokonania słuchacza przez twórcę w myśl arystokratycznej zasady: „Sobie śpiewam — nie komuś”.

W historii tej widać wyraźnie ścieranie się dwu pierwiastków: ludowego i literackiego. Lud to umysłowość powszechna, to słuchacz bajki, jej sprawca moralny. Lud to pokłady publiczności, z których kultura artystyczna wyłamuje pomału zastęp zwolenników prawdy artystycznej, tzw. sztuki dla sztuki. Poza tą garstką wszystko jest dla sztuki ludem i w tym znaczeniu wyrazu tego używam, mówiąc o powieści ludowej i o ludzie jako jej miłośniku.

Powieść ludowa w takim znaczeniu jest przeciwstawieniem powieści literackiej jako utworu artystycznego. Niczym więcej. To głównie chciałbym uzasadnić.

Ta przeciwstawność powstała niedawno, odkąd artyzm piśmienniczy, uprawiany dawniej tylko w rymie i rytmie poetyckim, zagarnął na swój użytek prozę. Artyzm, zaszczerpiiony na romansie, wydał dzisiejszą powieść, ulegającą prawom rozwoju twórczości czysto artystycznej. Powieść ta, jako forma poezji, podlega kryteriom psychologii sztuki i, pomimo pozornych podobieństw, różni się zasadniczo od powieści ludowej. Błędem jest więc poczytywać za powieść ludową tylko utwory przez lud opowiadane, pamięcią pokoleń nam przekazane i dziś w folklorze spisane. Druk w twórczości nie jest czynnikiem zasadniczym. Pod naciskiem potrzeb umysłowych typu ludowego pękały formy słowa drukowanego. Cóż z tego, że przygody Aleksandra Macedońskiego w XVI wieku były drukowane, po literacku tłumaczone? Dzieliły one los bajek opowiadanych, skoro

wplotła się w nie postać Łokietka. Lud schwycił z głodu bajkę klasyczną i tworzył ją dalej, nawet w druku.

O powieści ludowej trzeba to powiedzieć, co orzekło prawo rzymskie o poszukiwaniu ojcostwa: tylko matka zawsze jest znana. W powieści ludowej znana jest zawsze rodzicielka: publiczność. Typ powieści rozpoznać można tylko po rysach wewnętrznych. Ludowa ma rysy przemożne publiczności, czyli słuchacza, literacka posiada rysy indywidualne autora. Na ludowej powieści spoczywa piętno potrzeb umysłowych ludu, opowiadającego sobie bajkę, ślad poszukiwania faktów dla zaspokojenia ciekawości i rozszerzania zakresu osobistych doświadczeń i wiadomości. Powieść zaś artystyczna nie ma nic innego na celu poza sztuką wyjawiania piękna.

Forma w utworze artystycznym zespolona jest z treścią organicznie, tak, że forma w dziele sztuki staje się momentem zasadniczym jako własność indywidualna twórcy. To jest kwalifikacją powieści literackiej. Powieść ludowa natomiast ma swój punkt ciężkości w bajce (fabule) jako własność słuchacza. Forma jest rzeczą podrzędną. Powieść artystyczna odpowiada na pytanie: „jak?”, a ludowa na pytanie: „co?”. Owo „jak?” jest subiektywne, indywidualne. „Co?” natomiast obiektywne, powszechne. Powieść ludowa toczy się fabułą, dopóki starczy ciekawości w czytelnikach, dopóki jest co opowiadać ciekawego. Nikt się tu nie troszczy o autora, o wszystkim decyduje bajka. Toteż powieść ludowa ma tendencję gubienia metryki. Niepomna ojcostwa, zna tylko matkę swoją: rzeszę słuchaczy.

Stąd wniosek, że i utwory literackie, z przewagą materii nad formą, jako bliższe umysłowości ludu, mogą należeć do typu utworów ludowych pomimo artystycznej formy. Dotyczy to zwłaszcza utworów epicznych, traktowanych klasycznie z przedmiotowością, usuwającą zupełnie pierwiastek subiektywny twórcy. Wielkie talenty narracyjne w rodzaju Sienkiewicza są dobrodziejstwem dla słuchaczy typu ludowego. Artyzm ich wszelako jest zbytkiem, na który pozwolić sobie może tylko wysoka kultura społeczeństwa. Wielki talent nie tylko opowie rzeczy niespodziewanie ciekawe, wprawiając w zdumienie, ale w dodatku pokaże je jak żywe. Ale ta forma artystyczna sama w sobie nie będzie przedmiotem podziwu czytelnika typu ludowego. Równie chętnie przeczyta on historię o Magielonie, o ile opisane tam fakty są nie mniej ciekawe.

Cechą istotną również jest forma wierszowana dawnego eposu. Okruchy opowieści ludowych, opowiadanych prozą, mają tę samą naturę, co epos rytmiczny i rymowany czasów dawnych. Schwycono je w rym i rytm dla ściślejszego zapamiętania i dla tym lepszego efektu przy opowiadaniu publicznym, a więc kontrolowanym. Ktokolwiek jednak przyłożył fantazję do tych opowiadań, to wiadomo, że pierwiastek subiektywny zwietrzał, wyparował niejako z eposu. Bo epos był własnością słuchacza, który nie mógł ustawiać się w roli twórcy. Pozostał w nim obiektywny fakt: to właśnie, co dla umysłu ciekawego było w opowiadaniu rzeczą zasadniczą.

Jak dalece twórczość jest sprawą towarzyską, nie zaś osobistą, widać najlepiej w pierwotnej twórczości poetyckiej, a szczególnie w powieści, nim wyhodowano w niej gałąź artystyczną. Typ eposu wyjaśnić można zarówno w jego treści, jak i w formie nawet, niczym innym tylko udziałem słuchaczy w tworzeniu opowieści. Po zastosowaniu druku rym i rytm wychodził z użycia jako zbyt kosztowny środek mnemoniczny. Epos, rozebrany z formy wierszowanej, przerodził się w romans, mnożący się odtąd usiłowaniami indywidualnym autorów w niezliczonych płodach fantazji, a zawsze według zapotrzebowań rynku ludowego. I znowu w czasach fabrykacji powieści drukowanej nic się nie zmieniło w typie powieści ludowej przez to, że przybito na okładce nazwisko autora. Dzisiaj jest zwyczajem wystawianie książki dokładnej metryki, mają więc metrykę i powieści typu ludowego. Ale że ta potrzeba nie wiąże się z istotą tego rodzaju twórczości, mamy dowód w niezmiernej poczytności fabrycznych imitacji Doyle'a, które się obywają bez nazwiska autora, ale za to obejść się nie mogą bez godła Sherlocka Holmesa. Publiczność łaknie Holmesa, nie Doyle'a.

Wobec powyższych wyjaśnień pojęcia ludowości, staje się rzeczą jasną, że za podstawę rozróżnień między powieścią artystyczną a ludową nie można brać kwestii wątków powieściowych. Będzie mowa niżej, jak zmieniały się tematy w powieści ludowej odpowiednio do zainteresowań epoki. W każdym razie jest faktem, że powieść artystyczna nie zna ograniczeń w wyborze tematów. Zbrodnie są wątkiem *Dziejów grzechu* Żeromskiego i powieści Doyle'a. Różnica ujawnia się dopiero w sposobie ich traktowania odpowiednio do celu, jaki powieści przyświeca.

Nie decyduje też o rzeczy wartość literacka w znaczeniu poprawności słowa, barwności i budowy. Conan Doyle talentem pisarskim przewyższa setki autorów, którzy jednak dla rodzaju swej twórczości, a przynajmniej manieri, należą do typu artystów. Słowem, w rozróżnianiu typów powieściowych usunąć trzeba na bok kwestię stopnia talentów. Powieść ludowa to niekoniecznie powieść zła, literacka to nie zawsze powieść dobra. Różnice tkwią w psychice obu rodzajów twórczości.

Powieść polska rozdzieliła się nie tak dawno. Kraszewski jeszcze łączył obie metody powieściopisarskie: był zaciekawiający i w miarę literacki. Pisał jednak przede wszystkim z myślą o fabule, aby dać jak najwięcej ciekawego i pożytecznego czytania. Nie gardził przy tym dydaktyzmem i moralizowaniem. Powieściopisarzem typu ludowego nie był z powodu swego racjonalizmu, który mu nie pozwalał na przekraczanie ram prawdopodobieństwa. Pisarz ludowy ma tylko jedno zadanie przed sobą: sycić ciekawość czytelników. Wszelki inny cel dodany łamie powieść w typie. Kraszewski oprócz instrukcji umysłowych kładł w powieść zadania wychowawcze. Chciał być pożytecznym jako publicysta i moralizator.

Powieść zaś ludowa uczy trafem, gdyż nie jest to jej zadaniem głównym. Rolą tego typu utworów jest pobudzać ciekawość, podobnie jak zadaniem powieści artystycznej jest bezinteresownie działać na wrażliwość estetyczną. Kraszewski nie zadowolili żadnego typu umysłowości: ani ludzi wyrafinowanych estetycznie, ani umysłów typu ludowego. Dał jednak podwaliny powieści literackiej.

Dziennikarstwo, które się podówczas rozwinęło, zdjęło z powieści obowiązki publicystyczne, kultura artystyczna dokonała reszty. Powieść literacka pozbyła się pomału zadań nie należących w psychice sztuki. I trzeba być sprawiedliwym. Dziennikarstwo, któremu krytyka nie szczędzi pocisków za marnowanie powieściopisarstwa dla swoich celów wydawniczych, okazało się na ogół czynnikiem dla literatury wyzwalamym. Gdyby nie rozwój publicystyki dziennikarskiej, literatura nasza spełniałaby dotychczas jej rolę jako wyrazicielki i kierowniczkii opinii. Dziennikarstwo wyzwoliło poezję, powieść i dramat od wszelkich innych posług poza służbą sztuce. Niewątpliwie dziennik, żądający od powieściopisarza dbałości o poczytność, może słabsze talenty zdemoralizować. Dziennik, powiadają, wytwarza tandetę artystyczną bez wyraźnego typu. Gdyby nie gazeta, nie miałyby możliwości ujawnienia się talenty słabsze i to jest jedyna wina prasy. Ale czemu dzienniki nasze nie wytworzyły od razu własnej powieści typu ludowego? Z tego punktu zarzuty byłyby bardziej uzasadnione.

Bo o co chodzi? Dziennik przyspieszył demokratyzację społeczeństwa. Tędy wtargnął na rynek czytelniczy lud łaknący bajki, niedociągnięty w kulturze życia estetycznego. Wydawca musi mu dać powieść. Więc wstydząc się dawnej powieści ludowej, o której zresztą słuch w świecie literackim zaginął, a z drugiej strony, ulegając podaży literatów, wprowadził do odcinka powieść typu artystycznego. Oczywiście wynikły stąd nieporozumienia między czytelnikiem a pisarzem.

Na terenie dziennika starły się dwa czynniki powieści, o których była mowa: pierwiastek indywidualny twórczości i głód bajki. Zetknęli się ze sobą opowiadacz i słuchacz. Ten słuchacz, który dawniej był współtwórcą powieści i ten opowiadacz, który się poczuł świeżo w prawie dążenia do zupełnej indywidualności.

Antagonizm między pisarzem a czytelnikiem typu ludowego wzrastał. Łagodzone go ustępstwami na rzecz smaku nieliterackiego, jednak bez robienia zasadniczych zmian w typie powieści artystycznej. Usiłowano zjednać czytelnika tematami seksualnymi, licząc na jego zmysłowość, oraz plotką, przez podsuwanie mu tematów z tak bliskich sfer, że poznawał nieraz osoby sportretowane. Schlebiano w powieści sferom społecznym i towarzyskim, łaskocząc miłość własną czytelnika, schlebiano gustom czytelników, przystosowując się do ich konwencjonalnego sposobu widzenia rzeczy. Uczyniono wszystko, żeby powieść pokroju artystycznego zniżyć i spopularyzować, ale nie wyrzeczono się manieri artystycznego cieniowania, pretensjonalności studiów mających czynić z powieści „dokumenty” życia. Utwory

tego rodzaju, pozbawione szczerości, tym bardziej dogadzać mogą umysłowości ludowej.

Powieść ludowa, zepchnięta w XIX stuleciu ze stołu literackiego, snuła swoje dawne tradycje za opłotkami cywilizacji. Kiedy do literatury wchodzi Sienkiewicz, pisarz gminny Żołzikiewicz czytał *Tajemnice dworu madryckiego*, rozpowszechniane w tanich wydawnictwach poza prasą, która rzuciła na nie anatemę. Ostatniej próby połączenia dwu typów powieści w jedno dokonał Sienkiewicz w swoich powieściach historycznych. Zrobił to uniesiony poczuciem obowiązku tworzenia kultury umysłowej dla mas, a bardziej może z instynktu twórczego zespolenia się z ludem, który dotychczas był sam współtwórcą powieści. W wysokiej kulturze umysłowej ludzie dochodzą do tego rodzaju demokratyzmu artystycznego.

Sienkiewicz mocą swojej poczytności odkrył granice nowego czytelnictwa w zdemokratyzowanym społeczeństwie. Zobaczył wokół siebie naród, czekający na opowiadanie wspólne dla wszystkich. Porzucając skupiska literackie i towarzyskie pewnych kół oświeconych, dla których dotąd pisywał, zapragnął być pisarzem całego ogółu czytającego. Próba była wspaniała. Podnosząc legendę do wysokości arcydzieł poetyckich, stworzył epokę w czytelnictwie polskim. Jeszcze nigdy w Polsce tyle ludzi nie słuchało społem bajki przy wspólnym ognisku. Zrobił to, co można było wymarzyć najlepszemu w interesie kultury czytelnictwa, o czym zaledwie pomyśleć mógł Mickiewicz, puszczając w świat *Pana Tadeusza*. Sienkiewicz zbłądził pod strzechy.

Ale wtedy dopiero wyszedł na jaw antagonizm, o którym była mowa. Rosnąca z biegiem lat poczytność Sienkiewicza wywołała reakcję w rzeszy pisarskiej. Był to czas skrajnego subiektywizmu w sztuce, obserwacji wewnętrznej i odosobnienia poetów. Powieść literacka stawała się dla mas coraz mniej zrozumiała. Zaczęto nawet powątpiewać, czy jest ona zrozumiała dla samych autorów. Pisarze wpadli w chorobę niepopularności, ogłosili się wyzwolonymi i, odchodząc od mas, zabrali ze sobą sztukę. Sztuka bowiem istnieje dla sztuki, a oni są sztuką. Czynili to oczywiście w poczuciu fatalistycznej zależności swojej od środowiska, na złość temu środowisku, w nadziei jednak, że ogół ze złości również czytać będzie ich utwory. Bo jeżeli tam, w tym otoczeniu „mydlarzy”, zawsze był głód bajki, to po tej stronie nie zbywało nigdy na głodzie poczytności. Ofiarą tego niezaspokojonego głodu pisarzy padł Sienkiewicz. Uznano go za odstępcę od zasad czystej sztuki, za tajnego sprzymierzeńca tłumu głodnego bajki, tłumu, który jest wrogiem zapatrzonego wewnątrz siebie fakira.

Na takie czasy trafił w Polsce Conan Doyle.

Przedstawione wyżej fakty świadczą o tym, że podział powieści na dwa typy, powieść artystyczną i ludową, ma swoje uzasadnienie głębokie, sięgające zagadnień psychologicznych. Chciałem wskazać, że sprawa tego podziału rozstrzyga

się w psychice słuchacza (czytelnika), którego w sztuce powieściowej, jako czynności towarzyskiej, uważać należy za czynnik współtwórczy. Decydującą mianowicie okolicznością jest to, że stosunek słuchacza do powieści każdego z tych typów jest psychologicznie odmienny. Powieść artystyczna, jak w ogóle artyzm, działa na wrażliwość estetyczną. Powieść ludowa zaś obliczona jest na elementarną wrażliwość intelektualną, mianowicie na instynkt ciekawości.

Oczywiście pamiętać trzeba zawsze o tym, że w umysłach z pewną kulturą nie ma władz odosobnionych, że każda umysłowość jest oparta w całości i w najdrobniejszych szczegółach na reprezentacji wszystkich podstawowych władz psychicznych. Umysł normalny dostępny jest w zasadzie wrażeniom zarówno intelektualnym, jak i estetycznym lub uczuciowym. Zdolność odbierania tych wrażeń jest różna, zależnie od stopnia i rodzaju kultury. Wrażliwość estetyczna jest, zdaje się, ostatnim etapem rozwoju psychicznego. Człowiek odsłania się na wrażenia zewnętrzne po nasyceniu, może wyczerpaniu, wrażliwości elementarniejszej, mianowicie uczuciowej, gdzie reaguje ruchem, wolą i czynem oraz intelektualnej, której odpowiada praca poznawczą. Wrażliwość estetyczna duszy pierwotnej przejawia się najczęściej surogatami, pośrednimi czynnościami duchowymi jak pożądanie, ciekawość, chęć naśladowania. W czystej zaś postaci jako napawanie się pięknem i chęć powtarzania oraz wzmacniania tej rozkoszy, przejawia się wyjątkowo.

Ciekawość sąsiaduje z estetyzmem, ale nie jest jego zasadą. Ciekawość, jako popęd bezinteresowny poznawania, daje początek rozbieżnej drodze duchowej, którą na co dzień dążą tłumy znacznie większe niż szlakiem potrzeby estetycznej, rozpoczynającym się u tegoż rozstaju. Od wyżej opisanego rozdroża pierwszych drgnień ducha zaczyna się również trzeci szlak: pożądań, chęci, działań, szlak najpowszechniejszego życia. Każdy ma przed sobą te trzy drogi, właściwie każdy na spodzie duszy ma taki punkt pierwotny, gdzie te jego potrzeby, spoczywające w stanie potencjalnym, nieodróżnicowane, przemawiają jednym zbiorowym głosem w interesie jakiejś potrzeby, która jest bezinteresowna. Bezinteresowność jest zasadniczą cechą tych potrzeb, zaspokojenie ich bowiem nie daje praktycznych korzyści dla sprawy życia.

I dobrze jest, choćby przy sposobności takiej jak powieść, uprzytomnić sobie znaczenie tego zagadnienia dla psychologii piękna i sztuki. Bo oto nie istnieje jeden sposób zaspokajania tych potrzeb. Nie tylko sztuka, jako artyzm, tu się rodzi. Do tych potrzeb, w ich stanie pierwotnym, instynktowna wynalazczość dostawia różne praktyki, których jednak w całości za początek sztuki poczytywać nie można. Tak jak całość potrzeb bezinteresownych nie płynie całkowicie z poczucia piękna, tak samo nie wszystkie sposoby ich zaspokajania leżą w istocie tego, co później nazwie się artyzmem.

Sztuką trzeba nazywać wszystko to, co wiąże się z zaspokajaniem żądzy piękna. Tymczasem zabawa, gra, którą niektórzy psychologowie biorą za początek sztuki artystycznej, jest praktyką zaspokajania żądzy ruchu i czynu bez interesu

życiowego. Przy dalszym specjalizowaniu się potrzeb i władz duchowych sztuka oddala się od tego rozdroża, wchodząc na własną drogę. Tak samo gra, jako zabawa, wkracza na drogę odrębną, przeradzając się w sporty, a nawet w sztukę życia towarzyskiego, mającą swoje stałe formy. To samo dzieje się z żądzą ciekawości i z powstającymi dla niej praktykami zaspokajania. Pierwiastek bezinteresowności towarzyszy człowiekowi na tej drodze nieraz bardzo długo. Popycha go do prac, z wyparciem się praktycznych korzyści życia, jedynie dla rozkoszy wiedzy, a na poziomie niezróżnicowanej pierwotności potrzeb występuje jako igraszka ciekawości zaspokajana opowiadaniem bajek.

To, że bajka może być spisana, nie czyni jej literaturą piękną w znaczeniu sztuki poetyckiej. Tak samo jak bezinteresowny marsz oddziału gimnastycznego nie może być brany, pomimo zewnętrznego podobieństwa, za czyn praktyczny takiegoż oddziału, zdążającego przeciw wrogowi.

Z tych rozróżnień, powiedzmy nawiasem, wynika wniosek, że twórczość pierwotna, będąca przedmiotem folkloru, może być tylko w części uważana za początek sztuki w ścisłym znaczeniu. Do sztuki należą liryka, melodie, koncepcje barw i linii w zdobnictwie. Do ćwiczeń intelektualnych należy bajka (powieść), zagadka, do trzeciej zaś kategorii bezinteresownych ćwiczeń ruchowych: gry, zabawy itp.

Wróćmy jednak do powieści. Z tego, że ciekawość jest jej czynnikiem twórczym, wynika jej egzotyczność. Sztuka szuka piękna w rzeczach najbliższych, ciekawość zaś z zasady dąży za tym, co nieznane. Kto chce podzielać na wrażliwość pierwotną ciekawości, musi ją wprowadzić w zdumienie, w podziw. Stąd c u d o w n o ś ć w powieści ludowej.

Egzotyczność biorę nie tylko w znaczeniu terytorialnym, jak to przywykliśmy myśleć, poczytując za szczyt egzotyczności powieści Lotiego. Istnieje egzotyczność historyczna, przenosząca wyobraźnię w czasy odległe, ale jest też egzotyczność społeczna. Umysł pierwotny znajduje rozrywkę w zmianie środowiska. Ciekawość jego jest natury osobistej, wyobraźnią dopowiada on sobie to, czego nie zdobył doświadczeniem życiowym we własnym środowisku. Otoczenie poznawał praktycznie samym życiem, kierując się w nim instynktami zachowawczymi i uczuciami, działaniem zdobył wiedzę praktyczną. Od święta, dla igraszki umysłu, gdy się wyćwiczyły już zdolności analogii i uogólniania, pragnąłby podziwu bezinteresownego. Własne środowisko nie jest zdolne sprawić mu tej przyjemności.

Wyobraźnia ludowa ma właściwość aparatu fotograficznego, który nie zdejmuje tego miejsca, na którym stoi. Jest to psychologicznie rzeczą tak pewną, że można się tym kierować przy dochodzeniu genezy utworów ludowych. Szopka nasza powstała zapewne w środowisku ludowym, a nie mieszczańskim. Między figurami bowiem, które w interludiach pokazuje, nie ma mieszczan, a za to jest chłop i wszystko, co dla mieszczanina było rzeczą mniej lub bardziej egzotyczną.

Potrzebą egzotyczności tłumaczy się nie tylko historyczność, ale co ciekawsze, osobliwy proceder społeczny opowiadania bajek z życia sfer oddalonych dziejowo. Znamy cykle powieści kosmogonicznych z czasów walk ludzi z przyrodą, powieści o żywotach świętych, powieści o królach i dworach, rycerskie, szlacheckie, mieszczańskie, chłopskie. Powieści typu ludowego mają tę właściwość, że wchłaniane są przez pokolenia i klasy nowe, które udziału w opowiadanych awanturach brać nie mogły. Wygląda na to, że warstwy schodzące z pola dziejowego opowiadają o sobie następcom, warstwom nowym, niesłyszane dzieje.

A proces tego opowiadania zasadza się na tym, że nowe warstwy idą do powieści po egzotyczność, powieść zaś idzie do ludu z cudownością. Potrzebą słuchacza jest usłyszeć coś nowego, niesłyszanego. Opowiadacz zaś, który może mówić tylko o tym, co mniej więcej zna, sili się na cudowność, aby rzecz była ciekawsza. Zapewne, gdzieś na dworze księcia, dajmy na to w XIII wieku, powieść ta lub owa powstała na zamówienie dla kogoś, kto w tym czasie najwyżej był oświecony. Ale potem, w miarę podnoszenia się kultury, powieść ta opadała w coraz niższe sfery i przez to stawała się egzotyczną. Na ogół jednak w pisaniu powieści liczonego się z naturą przyjemności, jaką dać miała lektura, mianowicie liczonego się z potrzebą ciekawości. A nie brakło przy tym tendencyjności. Przez powieść odbywała się także propaganda. Kronikarze na dworach książęcych opowiadali książętom i rycerzom bajeczne rzeczy o początkach tronu, zakonnicy opowiadali ludziom świeckim żywoty świętych, rzecznicy stanu rycerskiego opowiadali tłumom nierycerskim bohaterskie dzieje oręża.

I wszystko przybierało formę powieści dzięki prawu egzotyczności i cudowności obowiązującemu umysł prosty. Słuchano ciekawie rzeczy nieznanymi i nieprzeżywanymi z bliska, opowiadający zaś igrali zdumieniem i podziwem słuchaczy, zdobywając cudownością uwielbienie dla spraw i ludzi, przysłoniętych mgłą oddalenia. Nie wystarczały do ujarzmienia wyobraźni złożone pojęcia świętości, królewskiej wielkości, bohaterstwa. Jedynie przekonującym okazywał się cud, olśniewający wyobraźnię intelektualną, zniewalający ją bierną rozkoszą poznawania faktów bez potrzeby łączenia ich w związki przyczynowe.

Opowiadania zakonników w Polsce XII i XIII wieku o św. Wojciechu i o św. Stanisławie, jeżeli odsuniemy pierwiastek religijny, były sensacyjnymi powieściami. A gdy nadeszła literatura świecka, zmienił się tylko dobór wątków powieściowych. Tworzono powieści o cudach dokonywanych przez rycerzy, którzy w bajce przedłużali istnienie swoich form przeżytych. Najmniej zapewne interesowali się tymi powieściami sami rycerze, szły one na pokarm wyobraźni ludowej sfer nowych. W czasach ożywienia się czytelnictwa w sferach mieszczańskich największym powodzeniem cieszyły się powieści na tle szlacheckim, znowu według praw egzotyczności i cudowności. Powieść szlachecka była legendą o złotych czasach szlacheckich, o cudach moralności, o fantazji i szczęśliwości

w białych dworach. Przeznaczona była ta opowieść dla sfer miejskich, dla tych, którzy tego życia nie znali.

O cudowność w ogóle w czasach nowożytnych było coraz trudniej, gdyż warstwy społeczne coraz lepiej znały się wzajemnie. Kto nie czytał powieści literackiej dla celów estetycznych, brał, jak Zołzikiewicz, powieść staroświecką. Ale i powieść literacka nie mogła rozwijać się całkowicie przeciw prawu zasadniczemu bajki. Prawem słuchacza było znać ultrarealistyczną powieść mieszczańską Emila Zoli, który nie uchronił się od mimowolnego dążenia do opowiadania niesłychanych rzeczy o życiu wielkomiejskim dla wywołania podziwu tych, którzy go nie znali. Ten pierwiastek socjologiczny, tworzący się między pisarzem a czytelnictwem, decyduje o rozwoju powieści jako bajki. Tak jak o losach towaru decyduje zapotrzebowanie na rynku, podobnie tu rozstrzyga zapotrzebowanie umysłowe egzotyizmu, czegoś, co by rozszerzało zakres doświadczeń osobistych i obserwacji w dziedzinę nieznaną, aż do niepoznawalności.

Od ludu się zaczęło, na ludzie się kończy. Powieść się rozdzieliła, bo trzeba było wrócić wprost do cudowności. Do zasobów powieściowych poprzednich okresów, przechowywanych wśród ludu: religijnych, królewskich, rycerskich, szlacheckich przybyła literatura powieściowa wielkich miast, wywołana ciekawością tych sfer ludowych, które do miasta się zbliżały i kazały sobie opowiadać o cudach miejskich. Na tle tych zapotrzebowań powstała powieść kryminalna.

Powieść ludowa a moralność to także zagadnienie niepozbawione znaczenia literackiego.

W zasadzie nie powinno być mowy o moralności tam, gdzie rzecz polega na bezinteresownym poruszeniu umysłu bez zamiaru zużytkowania tych poruszeń w kierunku zmysłowym lub etycznym. Wzruszenie bierne, estetyczne czy intelektualne nie ma innych konsekwencji prócz rozrywki. Powieść sensacyjna wywołuje przyjemny stan podniecenia ciekawości i w tej tylko przyjemności ma swój cel. Jesteśmy jednak tak przybici doświadczeniem, iż każde zadowolenie wiedzie do nadużycia, a każde nadużycie do złego, że pojęcie przyjemności kojarzy się wprost z kwestią szkody, jaką ona wyrządza. A czy to nie szkodliwe? Co do powieści, pytanie to może mieć znaczenie choćby ze względu na młodzież, która przepada za powieścią awanturniczą w ogóle, a dziś za kryminalną.

Oczywiście jedno tylko może być zdanie. Etycznie dobre jest to, co robi dobry człowiek. Powieść awanturnicza jest dobra moralnie, o ile ją opowiada człowiek moralny. Boć przecież nie o to tylko chodzi, żeby czyny opowiadane były cnotliwe. Nawet w Piśmie Świętym spotykamy fakty negatywne w postaci zła brojącego. Chodzi o to, w jakim świetle są one przedstawione. W życiu otoczeni jesteśmy bezpośrednio zdrożnościami, nieraz ohydą, ale od tego jest kierownictwo etyczne, abyśmy, bez obawy zepsucia, o to się ocierali. W powieści

ludowej kierownikiem etycznym jest autor, który urokiem swego opowiadania zmusza mimo woli do posłuchu i dla umysłu niezorganizowanego może stać się przewodnikiem fałszywym. Może on narzucić młodocianemu umysłowi niewłaściwe etyczne stanowisko i taki sposób widzenia rzeczy, który je ukazuje w perspektywie odmiennej od tej, jaką przedstawia etyka życia codziennego. Autor, niemający właściwego poczucia moralnego, uniesiony tematem awanturniczym, łatwo sympatie swoje związać może z czynami niemoralnymi i narzucić to stanowisko czytelnikowi.

Powieść ludowa leży w nizinie, tam, gdzie twórczość nie wybiega dążeniem do bezwzględności poza dobro i zło, jak to się dzieje w sztuce lub nauce. Nadto traktuje ona o czynach ludzkich, co ją wiąże z zagadnieniami moralnej natury. Im bliżej poziomu życia, tym aktualniejsze się stają sprawy moralności. Nawet literatura piękna, dopóki znajduje się na poziomie niskim, musi być tendencyjną. Mimo woli, wlokąc się po ziemi, potrąca o życie praktyczne, więc chce je regulować pouczeniami i wzorami. Jest to dowód na samodzielność sztuki, gdy rzeka się ona zadań regulowania praktycznych spraw życia i, nie troszcząc się zbytnio o wybór przedmiotu zainteresowania, ze wszystkiego stara się zrobić tylko jedno: rzecz wzruszającą estetycznie. Toteż gdy sztuka wzrasta w siłę, pierwszym zadaniem krytyki staje się protestować przeciwko narzucaniu twórczości jakichkolwiek innych zadań prócz artystycznych. Stało się tak i z powieścią naszą w ostatnich czasach. Dość zestawień powieści sielskie Kraszewskiego z powieściami Dygasińskiego albo z dzisiejszą powieścią-poematem: *Chłopami* Reymonta, aby zrozumieć ewolucję, którą przebyła powieść literacka w kierunku artystycznym, wycofując się z tendencyjności moralno-społecznej.

Krytyka stoi dziś na gruncie walki z „moralnością” w sztuce. I ma w zasadzie słuszność. Bo tam regulatorem dostatecznym jest prawda artystyczna, która stoi poza dobrem i złem. Ale w takim rodzaju twórczości jak powieść fantastyczna typu ludowego pytanie brzmi: „Gdzie szukać prawdy?”. I w tym właśnie tkwi sekret powieści typu ludowego: utwór, który przeszedł próbę poczytności u ludu lub też został napisany przez człowieka z talentem, umięjącego trafić w styl tego typu, nie wprowadza nigdy zaburzeń do świata pojęć moralnych czytelnika. W powieści prawdziwie ludowej miara etyczna rzeczy jest zawsze ludowa. Człowiek prosty wytworzył sobie wewnętrzny świat moralności długotrwałym doświadczeniem praktycznym i to jest w nim trwałe. Egzotyczność i cudowność rozszerzają dla niego świat zewnętrzny, ale w sferze moralności rządzi się miarą subiektywną.

I to jest probierzem zasadniczym powieści ludowej. Ludową lub przydatną dla mas jest powieść, która, poza właściwościami wyżej zaznaczonymi, kieruje się logiką moralną zrozumiałą dla prostego serca. Według tej miary bohaterstwo musi być szlachetne, zasługa znajduje nagrodę, a przynajmniej zło jest ukarane. Zwycięstwo dobra nad złem: oto zasadniczy rys tej powieści.

Zdarza się w twórczości nowożytniej tego typu, że powieść nie wytrzymuje tej miary. To dowodzi jednego z dwojga: albo autor nie ma kwalifikacji twórcy ludowego, albo czytelnicy stracili kwalifikacje moralne ludu. Zdarza się to z ludem wielkomięjskim, który dostarcza nie tylko czytelników, lecz i autorów. Ten lud wywarł swój wpływ na twórczość ogólną. Mianowicie pisarze, pozostający pod wpływem zdegenerowanego tłumu wielkomięjskiego, wydobywszy się mocą talentu na wyższe szczeble twórczości artystycznej, niemało sprawili zamętu w sztuce propagandą seksualizmu, satanizmu itp. Bo z tłumem, z tłem społecznym sztuka ma dwojaki stosunek: z tłumu wychodzą twórcy, do tłumu idą dzieła.

Dla tego tłumu wielkomięjskiego ze zwyrodniałymi instynktami pisze się też książki ludowe, nieraz w sposób fabryczny. Autorowie chcą mu dogodzić, a często samym autorom, z tegoż tłumu pochodzącym, zbywa na zdrowym instynkcie. Anglik Conan Doyle jest niezrównany w pomysłowości, ale oprócz podziwu budzi też sympatię. I niczym innym ta sympatia się nie tłumaczy, jak tylko zdrowiem moralnym jego powieści. Trafił w ton zdrowego serca ludowego.

Lud, łaknący bohaterstwa i pościgu za złem, przychodzi do miasta po bajkę. Co może w życiu miejskim poruszyć jego wyobraźnię w tym zakresie, co rozpląmieni jego fantazję?

Ideał wszechmocy Waligórow, świętości sług bożych, bohaterstwa rycerzy, w miarę poznawania z bliska świata i ręki ludzkiej, nieco zmałał. Nim się doszło do miasta, pozostało z tego ideału tylko trochę wiary w cudowną moc sprytu, najlepszej broni w lesie ludzkim. Detektyw: oto materiał na bohatera wielkiego miasta, widzianego z dołu. Wykorzystał go Conan Doyle na nowo i konsekwentnie, nie rażąc nigdzie zdrowego instynktu moralnego dusz prostych. A że człowiek kulturalny dochodzi na powrót do instynktów zdrowych, więc łatwo było jego powieściom, z takim talentem pisanim, dojść do wysokich sfer czytelnicznych. Nie ujawnił zaś tej trafności w rozumieniu umysłów prostych pisarz francuski LeBlanc. Ma on dar pomysłowości, ale brak mu instynktu pisarza ludowego. I pomylił się. Rabuś Arsene Lupin nie może być bohaterem sympatycznym. Powodzenie jego powieści jest już bardziej literackie. Oby to źle nie świadczyło o geniuszu francuskim!

Psychologii tego typu powieści, który nazwałem ludową, odpowiada swoista forma. Znana jest oschłość eposu starożytnego i w ogóle opowieści ludowych. Jest to cecha stała utworów tego rodzaju, w których praca twórcza usiłuje odpowiedzieć jedynie na pytanie słuchacza o to, co się stało, a nie na pytanie, jak to autorowi się przedstawia. Powieść opowiada pośpiesznie, mając do czynienia z ciekawością słuchacza, a nie z nastrojem delektującym estety, który, bez względu na stronę życiową faktu, pragnąłby jak najdłużej lubować się widokiem jego piękna i odnajdywać w nim coraz to subtelniejsze powaby.

Ten typ powieści wytworzył się za czasów opowiadania. Właściwy artyzm poetycki mógł powstać dopiero po zastosowaniu druku, który utrwala słowo w formie, zachowując barwę subiektywną twórcy. W opowiadaniu, podawanym z ust do ust, wszelki subiektywizm poetycki zatracą się, pozostaje tylko, jeżeli była, poezja faktów. W opowiadaniu giną nawet przesłanki drobniejsze, nie trzymające się mocno faktów głównych, których uzasadnienie zatracą się przez to. Ale wskutek tego opowieść, starzejąc się, zyskuje na cudowności. Im starsza, tym lepsza: jak wino. Powieść artystyczna zaś tym lepsza, im świeższa, im więcej w niej pierwiastku subiektywnego, współczesnego, bo pierwiastek ten łączy właśnie czytelnika z autorem.

Powieść ludowa jest wyzuta z pierwiastku subiektywnego. To ją czyni podobną do powieści naturalistycznej, ale podobną karykaturalnie. Dzisiejsza poczytność powieści kryminalnych, następująca prawie bezpośrednio po triumfach powieści naturalistycznej Zoli, jest dla sztuki zdarzeniem nie tyle tragicznym, ile ironicznym. Bo ta poczytność zbiega się z niesłychanym upowszechnieniem kinematografu, który jest bratem rodzonym powieści ludowej.

Nic tak dobrze nie wyjaśnia natury powieści sensacyjnej jak kinematograf. Jest ona kinematograficznym opowiadaniem zdarzeń. Dobry, w pojęciu ludowym, kinematograf stara się w szybkim przedstawieniu unaocznici rzeczy niesłychane i niewidziane. Jak się to robi, to wszystko jedno, byle ciekawość była podrażniona do rozkosznego stanu podniecenia. Tak samo jak w powieści Doyle'a nie chodzi widzowi o prawdę, jeno o formalne prawdopodobieństwo na podobieństwo obrazu, podobnie tutaj nikt nie dba o „jak?“, każdy chce zobaczyć „co?“. Nie artystyczność obrazu, lecz żywy fakt jest tutaj podstawą zainteresowania. Obraz ten, urwany w miejscu mniej ciekawym, przerzuca się na epizod sensacyjniejszy, byle tylko prędko, byle jak najwięcej było niemożliwości, bo możliwości widzowie znają.

A przecież podstawą kinematografu jest ta sama fotografia, która dla naturalizmu na ogół była wzorem do naśladowania. Powieści Zoli ze stanowiska fotografii były wielkim, uczonym kinematografem, obliczonym na ciekawość tłumu oświeconego. Był to ciężki aparat z prawdziwymi fotografiami, nawet skorygowanymi artystycznie w perspektywie i zabarwionymi. Można się było na tym widowisku uczyć, nieraz wzruszyć jak prawdziwym życiem. Gdzież się podział ten aparat z czasów, kiedy fotografie były nowością? Powieść artystyczna zarzucała fotografię, a lud (i młodzież) przystosował kinematografy do swoich potrzeb, którym dotychczas tylko powieść służyła.

Jak fotografia sama w sobie sztuką nie jest, tak i fakt, który ciekawość pragnie zobaczyć, nie ma sam w sobie warunków piękna. Piękno jest widzeniem duszy estetycznej. Dopiero jej wdanie się w przedmiot zaczyna sztukę. Jeśli zaś nie poczucie estetyczne ma decydować, lecz ciekawość niespodzianek, to wystarczy ująć kinematograficznie prawdziwe zdarzenie, np. skok z estrady do basenu

kąpielowego, i pokazywać je odwrotnie. Zdumienie i podziw będą tym większe, a zadanie kinematografu, jako sztuki ludowej, tym lepiej spełnione. Nawet gdy dojrzeją potrzeby estetyczne mas, rozrywka kinematograficzna będzie niezbędną. Nie należy się tym gorszyć. Każdy człowiek oświecony zresztą ma w sobie tyle pierwotności, że z chęcią przypatruje się kinematografowi i czyta powieść sensacyjną. Czyni to nieraz z przesytu prawdy życiowej czy artystycznej.

Kinematograf dostroił umysły do powieści ludowej, ale i bez niego, dla umysłowości społeczeństw szybko demokratyzujących się, jak nasze, cały świat przedstawia się kinematograficznie. W miarę dźwigania się w górę warstw ludowych demokratyzuje się typ umysłowości powszechnej. Patrzymy na świat, coraz szybciej pędzący naprzód, z pewnym zdziwieniem i bodaj właśnie ta gra nieprawdopodobieństw jest potrzebą naszego umysłu w ciężkim okresie dziejowym przemiany społeczeństwa. Nim zaczniemy nowy okres kultury umysłowej, opowiadajmy ludowi bajki o życiu miejskim i cudach cywilizacji. Ale myślę, że nawet wtedy, gdy dokonamy ostatniego podboju wewnętrznego na polu demokratyzacji i nic współczesnego nie pozostanie już dla nikogo tajnym w społeczeństwie (przez co uszczupli się zakres tematów egzotycznych), nawet i wtedy nowy okres dziejów rozpoczniemy od powieści kinematograficznej mówiącej o tym, jakie cuda działy się podczas długich i ciężkich dni mozolnego unarodowienia się społeczeństwa.

Będzie to piękna powieść ludowa o czasach bajecznych, które były przed właściwymi dziejami narodu.

Prawdziwe tajemnice Krakowa

[„Przegląd Powszechny”, R. 9: 1892, t. 33, s. 195—228]

Nie bez wahania się i namysłu odważyliśmy się ten artykuł w naszym piśmie ogłosić. Nie wątpiliśmy bynajmniej o prawdziwości tego, co się w nim zawiera, aż do najmniejszych szczegółów, bo otrzymaliśmy go od poważnego i dobrze nam znajomego człowieka, o którego zupełnej prawdomówności jesteśmy pewni. Ale obawialiśmy się możliwych ujemnych następstw, osobiście przyczynienia się może w pojedynczych przypadkach do reklamy złego. Ostatecznie powiedzieliśmy sobie, że lepsze światło, choć rażące, od ciemności kryjących sidła i, wykreśliwszy tylko najjaskrawsze ustępy, wydrukowaliśmy całą rzecz dla przestrogi rodziców, wychowawców i wszystkich, którzy z obowiązku, bądź nad prywatną, bądź nad publiczną moralnością czuwać powinni — nie tylko w Krakowie, ale i w innych miastach.

Autor złożył w nasze ręce dokumenta, i całą odpowiedzialność za tę publikację bierzemy na siebie.

Redakcja.

Szedłem sobie kiedyś ulicą Szpitalną, bez pośpiechu — co mi się rzadko zdarza — i przypatrywałem się nieokazałym, jak wiadomo, wystawom sklepowym... aż tu uderzył mię, zza szyby antykwarza, tytuł książki: *Tajemnice Krakowa*. Co za tajemnice mogą być w Krakowie, myślę sobie. Tajemnice Paryża, Londynu, a choćby Petersburga, na to zgoda! Tam mogą być kryjówki, pieczary, ukryte zbrodnie. Ale w tym Krakowie, który się mieści na jednej dłoni, który każdy z nas zna jak swą kieszeń, w Krakowie, gdzie nawet nie ma kanałów, gdzie mogą być tajemnice? Zaintrygowany wchodzę i kupuję. Ba, ale to nie jeden tom, tylko trzy spore tomy, w czerwonej okładce. Chyba drogo zapłacę za swą ciekawość! Gdzież tam, bez wielkiego targu kupiłem te trzy tomy za 1 złr [złoty reński]. Byłbym jeszcze taniej kupił, gdybym nie był żałował czasu na targi...

Deziluzja zaczęła się dopiero, kiedy powróciwszy do domu, otworzyłem łąpczywie książkę... Jeśli miałeś kiedykolwiek w ręku jaką książkę, prócz *Rinalda Rinaldiniego*, *Historii o Magielonie* i *Proroctw królowej Michaldy ze Saby*, to wątpię, czy skończysz już nie wszystkie trzy, ale i pierwszy tom. Wierzyć się nie chce, że znajdują się dziś, nie między Hotentotami, ale w Galicji, ludzie tak ograniczeni, naiwni, co przełknąć są w stanie stek bzdur, wobec których błędną

cudaczne przygody przez pięcioletnich chłopaków nawzajem sobie i to w gorącej opowiadane. A przecież tacy znajdować się muszą, bo inaczej p. Fischer nie wydawałby pewnie swym nakładem *Tajemnic Krakowa*. Prawda, że tajemnice te odgrywają się w najgłośniejszej części nie w rzeczywistym, ale w podziemnym Krakowie, w jakichś krakowskich katakumbach, w których nie brak olbrzymich sal balowych, gabinetów złotem i srebrem kapiących, kryształowych galerii... Ale i to, co w górnym Krakowie dzieć się ma, przechodzi najśmielsze oczekiwania. W każdym domu są tajne drzwi, zapadające się podłogi, rozstępujące się za pościśnięciem jednej sprężyny ściany i sufity. Każdego poranka ginie kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu od kul, trucizny, sztyletów, a każdego wieczora zamordowani z martwych powstają, by mordować znów swych zabójców i tak w koło, głupie i nudne, do ostatnich granic możliwości, te *Tajemnice*...

Rozczarowanie moje względem książki p. Kropidełki było więc zupełne. Głupi byłem, myślę sobie, że m. reńskiego na nią wydał... Jednak ten sposób, jakim takie książki za oczy chwytają, dał mi do myślenia. Rembrandtowski obraz ciemnej antykwarni utkwiał mi w pamięci, zacząłem do niej, i do drugih podobnych, zaglądać coraz częściej, coraz głębiej. Rzeczy wprzód dla mnie niezrozumiałe, jak kiedy się z białego dnia do ciemnicy wchodzi, zaczęły się powoli wyjaśniać, tłumaczyć i tak po nitce do kłębka, odkryłem nie fantastyczne, ale prawdziwe tajemnice Krakowa. Takie, że gdybym je był znalazł spisane w książce p. Kropidełki, nie byłbym im uwierył.

Ale nie uprzedzajmy końcowych wniosków. Po trochu opowiem czytelnikowi, com widział — gdzież tam, com widział, dziesiątą część tego, com widział, opowiem! A czytelnik domysli się reszty, jeśli potrafi.

Wąska, długa izba, przez drzwi tylko skąpo oświetlona, ze stęchłym, różnymi a nieokreślonymi woniami przesyconym powietrzem, robi w pierwszej zwłaszcza chwili na wchodzącym bardzo niemiłe wrażenie. Zdaje mu się, że dostał się do piwnicy, do lochu w suterrenach. Powoli zmysły osuwają się, wchodzi w kompromis z otoczeniem, oko do półmroku przywyka i zbytnio się nawet nie dziwi, że chociaż zmrok już i na ulicy, to tutaj z wysoko posuniętych względów ekonomicznych lampa się jeszcze nie pali. Najczęściej cały „handel książkami” ogranicza się na jednej tej izbie. W paru zasobniejszych antykwarniach, za pierwszą znajduje się jeszcze druga, do której wstęp samym tylko właścicielom otwarty. Mieszczą się tam książki, na które we właściwym sklepie miejsca widać zabrakło, mieści się czasem „wypożyczalnia”, złożona z kilkuset powieści. Z podłogi wyrastają mniej lub bardziej regularne piramidy, zbudowane z setek starych książek szkolnych. Śmiaćka, który na wszelkie przeszkody nie zważając, przedrzeć by się chciał do tej fortecy i bliżej ją zbadać, odpędzi — niechybnie niż kartaczownice — widok spośród stosów zadrukowanej bibuły wynurzających się, ręką ludzką od chwili rannego przebudzenia się niedotkniętych łóżek, betów, poduszek...

Przez całą długość sklepu ciągnie się wielka, licznymi szufladami i schowkami opatrzona lada, która zarazem tworzy czasami mur graniczny między dostępnym dla szerszych warstw apartamentem a tylnym alkierzem. Na ladzie tej, równie jak w biegnących wokół szafach, na półkach nieco na zewnątrz wystających, jak w każdym kącie i zakątku, leżą rozrzucone książki, broszury, stare ilustrowane pisma, powycinane z nich obrazki. Wśród tego morza zadrukowanej bibuły występują gęste wyspy, bardzo oddaloną lub żadnej z drukarską farbą niemające styczności: stare kałamarze, kufle i szklanki, skrzypce, świeczniki, notesy. Nieco z boku, dla prywatnego może użytku właścicieli zarezerwowane: chleb, jajka. O! Bo „lada” nie do jednego tylko służy użytku. W jej najtajniejszym wnętrzu kryją się niedostępne dla zwykłych profanów książki i inne „kupieckie” artykuły. Obszerna jej powierzchnia służy za schronienie dla podręcznej biblioteczki, a przy tym zastępuje pokój jadalny, spiżarnię i kuchenkę, na której pani „antykwarek”, nie formalizując się obecnością częstszych przynajmniej gości (czego sam byłem świadkiem), sieka sobie kotlety i ulepia smaczne kluseczki.

Białego muru na lekarstwo nie widać. Wszystkie ściany od podłogi do sufitu wytapetowane półkami, w których książki, gorzej od śledzi w beczce, tłoczą się jedna na drugiej, bywa, że i w parę rzędów napakowane. Wyjątek stanowi, bodaj czy nie jedyny, antykwarnia pod firmą Chaberskiego, która przed laty kilku przeszła na własność Pinkasa Dintenfassa. Półki nie wszystkie tu jeszcze zajęte, książki na nich w jednej pionowej pozycji ustawione. Jakim sposobem w innych antykwarniach właściciel odnaleźć jest w stanie książkę, broszurę, o którą go pytasz, jak ten chaos w jego głowie w pewne kategorie się grupuje, to już jego tajemnica. W każdym razie zna on w ogóle bardzo dobrze to swoje państwo. Potrafi odnaleźć broszurkę zagrzebaną pod stosem innych. Dosięże bystrym wzrokiem powieść, co utonęła w szeregu dzieł teologicznych. Rozumie się, nie zawsze pierwszemu jego zapewnieniu wierzyć można. Czasem wydaje mu się, że ma, szuka istotnie dość długo i nie znajduje. Czasem obiecuje dopiero gruntowniej przy wolniejszej chwili, jutro, pojutrze poszukać, co oznaczać może, że rzeczywiście spodziewa się jeszcze żądanej książki odnaleźć lub żywi nadzieję, że ją tymczasem od któregoś z kolegów gdzieś z boku będzie mógł wydostać. Nieraz i tej nadziei nie ma, ale jeśli kogoś o amatorstwo książek podejrzewa, rad go często u siebie oglądać, bo jeśli nie, to czemuż by co innego nie miało mu się spodobać? Przy oglądaniu tyłu tak różnych książek, przyjdzie przecież silniejszy apetyt na którąś z nich i będzie interes. Więc zapalczywie szuka, choć pewien, że nie znajdzie. Książki z kupki na kupkę przerzuca, a tymczasem spogląda spod oka, czy „amator”, przepatrując z nudów to te, to tamte książki, nie zastanawia się dłużej nad jedną. Kto wie, może wędka schwyciła rybę?...

Rozejrzyjmy się nieco po gęsto zapchanych półkach. Kto pilnie a wytrwale szuka, znajdzie tu nieraz bardzo ciekawe, a nawet rzadkie druki, ze wszystkich gałęzi nauki i literatury. Wszakże z natury rzeczy są to *rarinantes in gurgite vasto*, a na

szeroki ten i głęboki ocean zaczernionego papieru składają się głównie trzy działy: książki szkolne, książki religijne — do nabożeństwa, teologiczne i ascetyczne, wreszcie powieści. Drugi z tych działów nieraz bardzo bogaty. Antykwarze nabywają po śmierci wielu księży całe ich, mozolnie i skrzętnie przez długie nieraz życie zbierane, biblioteczki za tak bajecznie małe pieniądze — w ścisłym słowa znaczeniu: na wagę — że mogą następnie odprzedawać je bardzo tanio, a przecież jeszcze z wielkim zyskiem dla siebie. Niektóre dzieła, jak np. czterotomowy *Komentarz do Psalterza* przez ks. Fr[anciszka] Pawłowskiego, pokutują po wszystkich bez wyjątku antykwarniach, a zbyt ich, sądząc ze śmiesznie małej ceny i z natręctwa, z jakim te tomy do ręki wepchnąć usiłują, ani łatwy, ani prędkie. Dość powiedzieć, że cztery grube tomy ofiarują od pierwszego słowa za 60 c. Co bardziej zastanawia, to niedawno wydane, pięknie oprawne książki do nabożeństwa. Książkę taką — której sama aksamitna oprawa, zdobna w gustownie niby z kości słoniowej wyrzeźbionego anioła, kosztowała co najmniej trzy lub cztery floreny — ofiarowywała żydówka jednemu z mych przyjaciół za półtora reńskiego, a po targu pewnie by na połowę tej ceny się zgodziła. Jak ta książka tu przywędrowała? Czy dziewczyna, która może otrzymała ją na imieniny w podarunku, spieniężyła ją za kilkanaście krajcarów? Czy kupcowa, popatrzywszy śmiało w oczy sprzedającemu, rzuciła mu w twarz prawdziwy, niestety, zarzut: „To kradzione”? A biedaczysko, nie wiedząc, jak się tłumaczyć, wziął z chęcią „szóstkę” i wyszedł w dodatku ze sklepu z wdzięcznością w duszy dla pocziwej żydówki, która zguby jego nie chciała? Któż to wie, kto wybadać zdoła puszczy antykwarskich przepastne krainy?

— Czy ma pani jakie powieści, może jakie nowsze?

W jednej chwili jawi się na stole pięć, dziesięć, piętnaście tomów, w ogóle trochę już podartych, ze śladami palców i ołówków, ale niektóre zupełnie nowe, niepoprzecinane. Na pierwszym miejscu, niemal regularnie figurują: *Tajemnice Krakowa* i Feldmanna *W okowach*, *Piękna Żydówka*, *Żydziak*.

— Niech pan to bierze — zachęca żydówka — to bardzo ciekawe, to panowie różni bardzo biorą. *W okowach* mieliśmy 15 egzemplarzy, wszystko wzięli, tylko ten jeden został.

— A cóż w tym ciekawego?

— No, bo ja wiem! Mówią, że takie rzeczy interesujące. Niech pan bierze, ja dam tanio.

Jakże oprzeć się tak przekonywującym argumentom? Biorę *Tajemnice*, biorę *W okowach*, i po niedługim targu płacę za pięć nowych tomów — 2 złr. A tym dowodem niezbyt skrupulatnego liczenia się z groszem, zyskuję sobie od razu zaufanie i łaski, jako „solidny kundman”.

— Może tę powieść, może jeszcze tę...

Stos rośnie i rośnie, kupcowa zachwala: Mewes, *Chrześcijanin i żydówka*, *czyli serce i złoto* — to bardzo chwala! Malwikowski, *Tajemnica pani Krzuckiej*,

Katarzyna Cornaro, czyli Ofiara inkwizycji weneckiej, Hacklaender, *Tajemnice miasta*, Garibaldi *Panowanie mnicha*, *Historia żon z najpiękniejszych kronik*, Born, *Tajemnice dworu stambulskiego*, Dumas, *Mężczyzna i kobieta*, Boccaccio, *Dekameron, sto zajmujących powiastek*, De Kock, *Magazynierki*, Gozlan, *Niagara, powieść o stu trzydziestu kobietach*.

— Cóż, czy to nie ciekawe? Czy pan nic nie kupi? A może pan chce kalendarza jakiego? Może nowego? Ja mam *Ananas* na ten rok, tam są „hecowne” rzeczy...

— A z francuskich książek nic nie ma?

Różne na to odpowiedzi. W jednym sklepie kupiec odpowiada kategorycznie: „nie” i dobrze by było wszystko, gdyby nie mały bęben, co tędy i owędy się kręci i na cały głos woła: „Tato ma pod stołem!”. Żał mi się szczerze zbyt szczerego chłopaka zrobiło i udałem, że nie słyszę. Tato udał także, że nie słyszy, ale pomimo tego, nie chciałem być w skórze nie dość z dyplomacją antykwarską obeznanego synalka.

Gdzie indziej wychodzi na jaw parę francuskich powieści, które przypadkowo tu się dostały, bo antykwarnie liczą w ogóle tylko na czytających po polsku i po niemiecku.

— Miałam dużo powieści Zoli — spowiada się kupcowa (nie ręczę, czy szczerze) — ale wszystko wykupili, zwłaszcza do wypożyczalni. Dużo kupił Gumpłowicz na Brackiej, przychodzą tu i inni i biorą. Ale ja będę mieć niedługo. Jak pan będzie kiedy tędy przechodził, to proszę wstąpić, my już będziemy pamiętać, osobno na bok odłożymy.

— A nie ma ilustrowanego Zoli?

— Nie, nie ma. To drogie, ale czemu nie? Można dostać, sprowadzić... A może jeszcze między tymi powieściami co się panu spodoba, proszę lepiej przepatrzeć.

Siadam, przepatruję, w powieści Mewesa brakuje paru kartek. *Tajemnice stambulskie* tak zniszczone czytaniem, że się w strzępy rozlatują. Inne znów *Tajemnice* zatłuszczone i zaplamione prawdziwie tajemniczą ingrediencją, złożoną z masła, atramentu, ludzkiego potu i kilku innych niedocieczonych czynników. Najefektowniejsze, najpięprzniejsze ustępy podkreślone, czasem ilustrowane niewprawnym ołówkiem młodego czytelnika. Tymczasem wchodzą i wychodzą coraz inni interesanci. Handel „książkami i piśmiennymi materiałami” toczy się żywo. Najwięcej uczennic i studentów, dziewcząt trudniących się szyciem, rzemiosłem, rzadziej obsługą i chłopców w wieku od 14 do 20 lat. Ten żąda ołówka, tamta notesu, ów łyżwy próbuje, jakiś romantycznie nastrojony młodzieniec pyta, czy tu gitary nie dostanie. Inny pobrzękuje na skrzypcach, cała gromada chłopaków wpada po gramatyki, wypisy, młoda dziewczyna przynosi kupioną wczoraj *Historię naturalną* i lamentuje, że kilku kartek brak.

— To każdyby tak mógł powiedzieć — irytuje się żydówka. — Czemu panielka zaraz wczoraj nie odniosła? Ja i tak tracę, ja sklep zamknę.

Narzekania, lamenty nie ustają, a pod ich wpływem i dla zachowania reputacji „domu”, wobec ciekawie przysłuchujących się gości, serce kupcowej mięknie. Szuka w drugiej izdebce, znajduje i każe sobie kilkanaście centów dopłacić, bo: „ja tej nie mogę dać za takie same pieniądze, co tamtej”, albo nie znajduje, czy znaleźć nie chce i dla skrócenia niemiłej sceny pociesza słodkim głosem:

— Niech panienka przyjdzie kiedy indziej, za kilka dni, może ja gdzie tymczasem tę *Historię* znajdę.

To „tymczasem” nie nastąpi nigdy, ale czas zyskany, wszystko zyskane. Zresztą taka „gąska” będzie się pewnie obawiała wezwać opieki starszych. W dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach „interes” się uda, w setnym zapłaci się parę centów wśród krzyku, jęku, włosy sobie z głowy wyrrywając...

Inni przychodzą nie kupować, ale sprzedawać, biedacy! Ciężka chyba nędza, lub smutniejsza od niej lekkomyślność do tego kroku musiała ich przyniewolić! Największa procesja ciągnie z końcem szkolnego roku. Niepotrzebne już na rok przyszły szkolne podręczniki, „nagrody pilności”, otrzymane na gwiazdkę kalendarzy, gromadzą się w antykwarni stosami. Ale i w zwykły, np. jesienny wieczór wsuwa się co parę minut, to z nietajoną nieśmiałością, to głosem i ruchami odwagi sobie dodając, biedne jakieś indywiduum i z kieszeni surduta, spod zarzutki, wyciąga jedną, parę książek. Żydówka, wzór uprzejmości dla gościa, który już nabył bez zbytnich targów parę broszur, a przy tym pokazał niepusty pulares, znosi mu kupy książek do przejrzenia. Niebo i ziemię, najwyższe i najniższe półki porusza. Cóż dziwnego, że w tak gorączkowym zajęciu nie dostrzega świeżo przybyłej, pokornie, cicho czekającej. Wreszcie spostrzec zechciała, ale dotychczasowy uśmiech i ocukrzona słowa w jednej chwili znikają, twarz przybiera lekceważący wyraz.

— Czego pani sobie życzy?

Biedaczka pokazuje grubą książkę na sprzedaż.

— To nic nie warte. Co mi z tego? Ja takie książki furami mogę dostać. Mnie to już wielu przynosiło... A wieleż pani sobie życzy?

— Przed rokiem kupiłam tę książkę za 4 złr. Jeszcze zupełnie nowa. Teraz sprzedałabym chętnie za 2 złr.

Trzeba być portrecistą, raczej karykaturzystą, żeby opisać wyraz twarzy, mającej oznaczać osłupienie bieglej w swym rzemiośle komediantki-antykwarki: wzniesienie rąk, jakby o pomstę do nieba wołających, szybkie odwrócenie się i zajęcie się naprędce wymyśloną robotą na znak, że dłużej słów tracić szkoda.

— A wieleż pani dałaby? — pyta nieśmiało sprzedająca.

— Dwadzieścia centów, najwyżej dwadzieścia i to jeszcze stracę...

W żałobie chodząca dama wzięła z wolna książkę ze stołu i poszła dalej, do innej antykwarni, gdzie uda jej się może sprzedać książkę o 10 c drożej. A może się nie uda i jutro tu powróci. Mniejsza o to, tymczasem kupcowa nabyła już parę książek od młodych studentów, po 10, po 15 c sztuka. Zapłaciła chyłkiem

wsuwającemu się chłopakowi — bodaj czy niezatrudnionemu w jednej z miejscowych drukarni lub introligatorni — kilkanaście centów za dopiero co spod prasy wyszły romans. Jak chłopak ten czy dziewczyna przyszli do posiadania tej książki, co ją to obchodzi? Byłe interes szedł...

Za falą kupujących i sprzedających napływa fala wypożyczających. Każda antykwarnia jest zarazem wypożyczalnią otwartą dla tych przynajmniej, którzy we właścicielu z jakiego bądź powodu specjalnego niezaufania nie wzbudzają. Niemal każda jest wypożyczalnią nie tylko w rzeczywistości, ale i z imienia, z szyldu, urzędowo. Wielki, rękopiśmienny katalog *in folio* brudny i pomięty, że przez rękawiczki brać go trzeba, zawiera 200, 800, czasem 500 tytułów niemieckich i mniej więcej tyleż polskich powieści. W paru antykwarniach znajduje się jeszcze osobny katalog polskich i niemieckich poezji. Dla okazu i przykładu wyliczmy kilka powieści, na chybił trafił wyjętych i zanotowanych z katalogu wypożyczalni Taffeta na ul. Szewskiej:

Born, *Adrianna narzeczona skazańca, czyli tajemnice Bastylli*,

Boccaccio, *Dekameron, sto zajmujących powiastek*,

Dumas (syn), *Mężczyzna i kobieta*,

— *Sprawa Clemenceau, pamiętnik obwinionego*,

Hugo W., *Rok dziewięćdziesiąty trzeci*,

De Kock: cały szereg powieści,

Zola: cały szereg powieści po polsku i po niemiecku,

Schücking, *Odaliski* — itd., itd.

W innych wypożyczalniach na Grodzkiej, jak na Szewskiej, na Stradomiu, jak na ulicy św. Anny, te same, aż do znudzenia książki. Ci sami „najpoczytniejsi” królują autorowie. W ciemnej dziurze Samuela Breitera, jak w wyjątkowo porządnie wyglądającym handlu pod firmą Chaberskiego, znajdziesz w katalogu niektóre czerwonym ołówkiem podkreślone, obiecujące nazwiska: Boccaccia, Borna, Carraciola, Kotzebuego, de Kocka, Balzaca, Zoli, Hacklaendera, Sue’go. A z polskich: Feldmanna, Zapolską, Bałuckiego, Kropidełkę. Jest i Korzeniowski, jest Kraszewski, Łoziński, Sienkiewicz. Po zużyciu kartek spostrzec można, które najwięcej interesują czytelników. Otóż jeśli od biedy *Ogniem i mieczem* wytrzymuje konkurencję z *Tajemnicami świata* lub *Błądą hrabiną*, to *Stara baśń*, *Poeta i świat* ustąpić musi z pewnością placu *Zawikłanej intrydze*, *Tajemniczej intrydze*, *Kryminalnym aktom*, itp.

Łatwe warunki prenumeraty wpuszczają całe tłumy, już nie wybrańców tylko, ale najszerzych warstw czytających w te „tajemnicze”, zbyt często w najgorszym znaczeniu „kryminalne”, światy. Wypożyczalnie-antykwarnie zawarły, zdaje się, między sobą kartel, którego dość ściśle się trzymają. Wypożyczający składa jeden reński kaucji i 40 c miesięcznej opłaty, za co wolno mu co dzień wziąć do domu nową książkę.

— Są tacy — skarżyła mi się żydówka — co za swoje 40 c 30 książek przeczytają.

Obok wypożyczalni na mniejszą skalę urządzonych i będących tylko filiami antykwarni, rzuca kilka wielkich zakładów, wyłącznie na wypożyczanie książek obrachowanych, codzienną umysłową strawę setkom i setkom krakowian i mieszkańcom krakowskiej okolicy. Tym licznym zastępom wszelkiego stanu, płci i wieku, co czytać chcą i lubią, a sami sobie drogiej książki kupić nie mają ani chęci, ani często możliwości. Wszedłszy do wielkiej, wokoło przez parę obszer-nych pokoi szafami z książkami zastawionej wypożyczalni I. Gumpłowicza przy ulicy Brackiej, czy rano, czy wieczór, z pewnością zawsze kilka osób zastaniesz. Młoda jakaś pani z przybraną, bo afektowaną miną wielkiej damy, francuskie powieści przebiera, inna załatwia rachunki z kilku miesięcy i domaga się ostat-niej powieści Bourgeta, opowiadając przy tym — co najmniej niepotrzebnie — że po poprzednie syna przysyłała i czytała je z wielkim zajęciem. Oficerski służący przecisnął się naprzód z kartką od swego pana, w której tenże uprasza o cztery tomy Breiera: *Die Geheimnisse von Wien*, albo od biedy *Wiener Hexen, Eine Napoleonische Frauenverfolgung, Der Pandur und das Kroatenmädchen*. Parę pokojówek w chustce zwykłych dziewczyn i w kapeluszu „panien służących” czeka cierpliwie i niecierpliwie, kiedy i na nie kolej przyjdzie. Dały się już, rade nierade, uprzedzić butnemu forysiovi, ale jegomościowi w nie bardzo świeżym surducie kroku nie ustąpią. Dostać wprzód muszą Hacklaenderów, Heinów, Zapolskich, Dygasińskich, Kropidełków dla swego państwa, z których kto wie, czy i same — gorsząc się i skarżąc przed sąsiadkami nad grzeszną ciekawością swych pań i panów — korzystać w wolnych chwilach nie będą.

Gruby, drukowany *Katalog wypożyczalni książek polskich, niemieckich, fran-cuskich i angielskich I. Gumpłowicza* pozwala, z fotela się nie ruszając, rozglądać się po tych szafach, z których rozlewają się we wszystkich kierunkach strumienie oświaty, bodaj tylko, czy zdrowej! Spis polskich książek mieści się na 188 stro-nicach, z tych 34 stronice zawierają dzieła historyczne, naukowe, pamiętniki itp.¹ Od str. 35—42 podróże; od 42—52 książki dla młodzieży; a od 52 do końca ciągnie się beletrystyka. Pierwszy zwłaszcza dział złożony z książek, które w ten lub ów sposób, przypadkowo, za tanie pieniądze w ręce wpadły, najznakomit-szych autorów ani śladu. Nazwiska np. Szuskiego próżno szukać, Stanisława Tarnowskiego jest jedno, jakby na żarty *Wspomnienie pośmiertne po śp. Leonie Kaplińskim*. Nie masz nawet całego, z pewnością przecież poczytnego, Szajnochy, Stanisława Smolki i wielu, wielu innych. Jest natomiast Buchner *Obrazy fizjo-logiczne*, są cztery dzieła Darwina, jest kilka specjalnie lekarskich, dla szerszych kół co najmniej niewłaściwych, rozpraw. Jest smutnej sławy *Przewodnik, czyli skryte rzędy Jezuitów*, *Pantheon* Trentowskiego, pełna ohydnych bluźnierstw

1 Do tych dzieł historycznych itd. dostała się jeszcze, mówiąc nawiasem, pewna garstka książek, która z historią i z pamiętnikami luźny chyba ma związek, a w każdym razie figuruje następ-nie i w powieściowym dziale. Znajduje się tu np. W. Hugo *Historia zbrodni, zeznanie świadka; Dumas Mężczyzna i kobieta* itd.

Idea Żukowskiego, itd., itd. W spisie książek dla młodzieży znajduje się Dumasa *Historia dziadka do orzechów* (*Histoire d'un casse-noisette*), prawdopodobnie z powodu owego „dziadka”, który wszakże innego rodzaju daje nauki, niż to zapewne mniemał naiwny układacz katalogu.

Ale mniejsza o pierwsze te dwa działy i tak stosunkowo niewielu o nie pyta! Beletrystyka to grunt, to właściwy interes. Nie dziw, że tutaj też dopiero znaleźć rzeczywiste staranie się przedsiębiorców. Bałuckiego jest np. powieści 39; Bykowskiego 11; Czajkowskiego 12; Dycalpa 15; Jeża 30; Kaczkowskiego 23; Korzeniowskiego 31; Kraszewskiego około 200; Orzeszkowej 33; Wilkońskiej 28; Zacharyasiewicza 36. Z tłumaczeń: Balzaca utworów 10; Borny 8; Daudeta 5; starszego Dumasa 21; młodszego 11; Gaboriau 10 w 25 tomach; Wiktora Hugo 13; de Kocka 27 w 82 tomach; G. Sand 7; E. Sue 13 w 53 tomach; Zoli 6... *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

Tak wygląda katalog polskich książek — a jakież są niemieckie, francuskie katalogi? Idą tu również oczywiście w gęstych szeregach i Zola, i Maupassant, i Sue, ale wobec śmielszych, „nowożytniejszych” kolegów, rumienić się sami muszą i ustępować na szary koniec. Chęć się oni, że napotkawszy błoto, nie obchodzą go, ale śmiało brną środkiem. Dzisiejsi dekadenci chęć się znowu, że tylko i wyłącznie w błocie siedzą, nim się pieszczą, w coraz nowszych, wyszukańszych postaciach przed oczami czytelnika je rozmazują. Bezecnego przywódcy dekadentów, p. Catulle Mendès, znajdujemy siedm utworów, które nie wiedzieć, jak nazwać, bo to, co zazwyczaj rozumiemy pod wyrazem „pornograficzny”, dla utworów tych o wiele za słabe. Same tytuły, choć to dopiero osłony, wstręt budzą: *Jupecourte, La première maitresse, Monstres parisiens*... a kiedy się parę wierszy bezczelnej przedmowy przeczytało, odrzuca się książkę ze zdziwieniem, że policja takie książki w publicznej czytelni toleruje, podczas gdy konfiskuje inne, nie przeczymy, że zupełnie na to zasługujące, ale w porównaniu do tamtych, bezkarnie się produkujących, białe jak śnieg, czyste jak kryształ. Inny, godny poprzednika dekadent, Armand Silvestre, występuje w najnowszym dodatku do katalogu z czterema świeżo do wypożyczalni sprowadzonymi, a jak niedawno temu wyraził się o nim eufemistycznie sprawozdawca „Ateneum”² „nie zawsze przyzwoitymi” powieściami. Dialogi *Les maitresses parisiennes* mają na celu przyzwyczaić czytelnika do zgniłej atmosfery, w którą go wprowadzają, wytłumaczyć mu, że trzeba być bardzo naiwnym, aby czuć do niej ze średnich wieków zapożyczony wstręt. Pamiętniki *Aus dem österreichischen Klosterleben* malują przez dwa grube tomy zakonników jako obrzydłych obłudników, klasztory jako przystanie zgnilizny i lenistwa. Przytoczmy jeszcze kilka innych tytułów, nie zapominając, że to nie spis, ale wyrywki i to wyjętych nie z właściwego katalogu, ale w ogóle tylko z najnowszego dodatku do katalogu:

2 „Ateneum” z października 1801: *Nowa literatura francuska*, str. 119. „W rękopiśmiennym dodatku do katalogu znajdują się również świeżo sprowadzone książki Silvestre’a, Mendès’a, Zoli...”

Belot A., *Adultère, dernière aventure parisienne*,
 — *Courtisane*,
 Grenville-Muray, *La cabale de boudoir*,
 Latertè, *Alexandre II, détails inédits sur sa vie intime et sa mort*,
 Mary J., *L'aventure d'une fille*,
 — *L'ami du mari*,
 — *Les scandales de Berlin*,
 Racot, *La maitresse invisible*,
 Rachilde, *La marquise de Sade*,
 Rachilde, *Messalinen Berlins, Realistische Novellen*,
 — *Schöne Sünderinnen, oder der neue Mephisto*,
 Stahl, *Pariser Liebesabenteuer*,
 Touchard-Lafosse, *Pariser Nächte*,
 — *Die Operndamenu*,
 — *Galanterien und Abenteuer hübscher Mädchen*,
 Varennes, *Geheimnisse von Bruxelles*,
 Vidocq, *Die Geständnisse eines Erzsichelmes, oder die wahren Geheinhusen von Paris* (12 tomów).
 Wachenhusen, *Des Königs Ballet*,
 — *Berliner Photographien*,
 Winterfeld, *Die Ehefabrikanten*,
 — *Modelle. Komischer Roman*, itd., itd.

Z ogółu tych tytułów może już czytelnik nietrudne do wyciągnięcia wnioski sam sobie dośpiewać.

Wypożyczalnia Fischera na ulicy Grodzkiej, nie na tak wielką skalę urządzona, głównie na żydowskich czytelników obrachowana, godnie przecież rywalizuje z koleżanką swą na ulicy Brackiej w doborze najbardziej, mniejsza o to z jakich powodów, „zaciekawiających” książek. Czytających po francusku niewielu się tu zgłasza, dlatego roztropany właściciel wydrukował tylko polski katalog (str. 48) i niemiecki (str. 97). Francuskie, mniej liczne książki, muszą się rękopiśmiennym, a mówiąc nawiasem, tysięcznymi błędami naszpikowanym spisem zadowalać. Te ostatnie są mniej liczne, ale nie oznacza to wcale, jakoby ich brakować miało. Np. Balzaca jest utworów 29; starszego Dumasa 29; młodszego 40; de Kocka 25; Musseta 8; G. Sand 15; E. Sue 17, itd. Ciż sami „poczytni” autorowie zajmują poczesne miejsce i w polskim, i w niemieckim katalogu, z tą różnicą na pociechę naszą — jeśli o pociesze mowa tu być może — że polskich tłumaczeń o połowę mniej będzie, niż niemieckich. W ogóle punkt ciężkości w wypożyczalni Fischera spoczywa na powieściach niemieckich, a między tymi na romansach kryminalnych: romansach, skierowanych wprost lub pośrednio przeciw religii i Kościołowi katolickiemu. I wreszcie, jeśli dosadnie, ale nie przesadnie wyrazić się wolno, na romansach „kanałowych”. Kilka tytułów rzuci nam na nie wystarczające światło. I tak:

Z pierwszej kategorii:

Das eingemauerte Mädchen. Wiener Criminalgeschichte. 2 Bde,

Zahlheim. Wiener Criminalroman. 5 Bde.

Die Banditen. Erzählung aus den Criminal Acten. 3 Bde,

Erinnerungsbilder aus dem Leben eines Criminalisten,

Das Libell. Criminalroman. 4 Bde,

Kriminalgeschichten. 6 Bde,

Die indische Fürstin, oder geheimnissvolle Verbrechen. 4 Bde,

Criminalbibliothek. 6 Bde,

Damen auf Reisen. Criminalgeschichte.

Z powieści antyreligijnych:

Päpstin Johanna, genannt der Papst im Unterrock. 4 Bde,

Die Geheimnisse Roms im XIX. Jahrhundert. 3 Bde,

Die Geheimnisse der Inquisition,

Papst Ganganelli. 3 Bde,

Geheimnisse eines Beichtstuhles. 5 Bde,

Die Jesuitenbeute. 4 Bde,

Marie, die Spanierin, oder das Schlachtopfer eines Mönches,

Barbara Ubryk, oder der Fluch der Karmeliterin. 3 Bde,

Der Mönch und die Dame,

Zur Ehre Gottes. Jesuitengeschichte. 2 Bde,

Barbara Ubryk, oder die Geheimnisse des Karmeliter Klosters in Krakau. 4 Bde,

Die Gesellschaft der Nacht, oder die Verbrechen unter dem Priestergewand des Ordens Jesu. 2 Bde.

Z pornograficznych:

Eine Prostituirte,

Aus dem Leben einer leichten Person,

Russische Hofgeschichten. 3 Bde,

Coulissen Geheimnisse aus der Künstlerwelt. 2 Bde,

Galante Geschichten. 3 Bde,

Galante Memoiren,

Nonne und Maitresse,

Heine H.: Sämmtliche Werke,

Die Geheimnisse von Pest,

Die neuen Geheimnisse von Paris,

Eine Courtisane,

Die Bachantin,

Die galanten Damen der Weltgeschichte.

Już duszno się nam robi, ale nie skończyliśmy jeszcze z antykwarniami. Wychodząc z ciemnych i stęchłych wypożyczalni na Grodzkiej, wstąpmy do otwartych podcieni Dominikańskich na Stolarskiej, może tu świeższym odetchniemy powietrzem.

Trzeba wiedzieć, że niektóre antykwarnie, mimo znajomej już nam wszechstronności swego handlu, miewają też swoje specjalności, obrachowane szczególnie na pewnego rodzaju klientów, np. na lud wiejski, na studentów, na amatorów śliskich opowiadań, pornograficznych powieści i rycin... Dwa wielkie kramy z książkami przy Stolarskiej pod firmą: Malka Zuckermann i Ira Himmelblau, mają podobnie swą specjalność i to bardzo wybitną. Do wnętrza sklepu, ciemnej, stęchłym cholerycznym powietrzem przesyconej jamy, kupcowa puszcza natrętnego przybysza z nietajoną niechęcią. Nierada może popisywać się przed nim z nagromadzonymi tu szczyrykami, łyżwami, różnymi częściami ubrania, kałamarzami, lichtarzami, grzebykami i lusterkami, fotografiami osób prywatnych, o których niejedną z pewnością zajmującą można by opowiedzieć historię — jak, od kogo, jakimi drogami tutaj przywędrowały. Zresztą, po cóż wstępować do sklepu, kiedy przed nim na długim stole rozłożone są i do kupowania zapraszają, tłoczący się do pobliskich jatek i sklepików lud wiejski i miejską służbę, książki do nabożeństwa spod ciemnej gwiazdy, rzekomo pobożne, w gruncie szkodliwe, zabobonami przepełnione broszury, senniki, kabały, loteryjne poradniki. Cała to, nad wszelki wyraz bolesne uczucie wzbudzająca, literatura jarmarczna, targowa, nieraz odpustowa, której opłaciłoby się poświęcić kiedyś bardziej wyczerpujące studium. Głównymi jej dostawcami są prasy drukarskie w Nowym Sączu, Bochni, Wadowicach, choć i drukarnia Pobudkiewicza w Krakowie sporą gromadkę „kabał” i „wyroczni” ma na sumieniu. Kupcząca żydówka tak przywykła zachwalać na wszystkie tony naiwnym chłopkom, z otwartymi ustami słuchającym kucharkom, te „nieomyłne przepowiednie”, „ze wszystkich najdoskonalsze senniki”, że gdy kogo bądź ujrzy zatrzymującego się i biorącego *Wykład snów* do ręki, usta jej mimo woli, wbrew rozsądkowi, który by im nieraz milczenie nakazać powinien, do tych pochwał się otwierają. Wybór obfity. Oto:

Wykład snów, czyli najdoskonalszy sennik, zawierający przeszło 4000 snów, z ich oznaczeniem i szczęśliwymi numerami numerowej i klasycznej loterii w abecednym porządku podług szwedzkich i egipskich rękopisów. Wydanie czwarte z rycinami. Nowy Sącz. Nakładem i drukiem Józefa Piszsa. 1891.

Sennik, czyli wykład snów z liczbami na loterię, podług ks. Anastazego z roku 1205, zebrał J. S. Wadowice. Drukiem i nakładem Franciszka Foltyna. 1887.

Największy sennik egipski, czyli wykład kabalistyczny snów z przydaniem odpowiednich liczb do stawiania na loterię. Wydanie pomnożone i poprawione przez Jana Wąsika. Nakład i druk W. Piszsa w Bochni.

Kabała, czyli sztuka wróżenia kropkami, która od wielu jest poważana. Kraków. Nakładem i drukiem F. K. Pobudkiewicza...

Kilka to tytułów dla przykładu, kto ciekawy, może sobie ten spis podwoić i potroić. A nie jestże to wyzyskiwaniem na wielką skalę ciemnoty i zabobonności biednego ludu? Czy nie ma na takie okpiwanie paragrafu w kodeksie? Jeśli potrzeba by jeszcze jakiego argumentu za zniesieniem loterii, to te rozłożone

na antykwarskich straganach, nęcące cudackimi, czarnoksięskimi obrazkami senniki i kabały, w których loteryjne numery tak wielką odgrywają rolę, za poważny argument starczyć chyba mogą.

Wokoło senników, gramatyk, książek do nabożeństwa i powieści, grupują się w wystawowych ramach obrazy i obrazki, fotografie, czasami różnobarwne i różnokształtne bilety z powinszowaniem imienin. Handel rycinami i fotografiami zajmuje w niejedynej antykwarni równorzędne miejsce ze sprzedażą i wypożyczaniem książek. Zaledwie z paru wykluczonym jest w zasadzie, jeśli może nie zawsze w praktyce, w niektórych tworzy właściwą specjalność. Żydówka dostrzegła już przez brudną szybę przyglądającego się wystawionym obrazkom przechodnia, wychodzi i uprzejmie do wnętrza zaprasza.

— Ależ ja kupować nie myślę.

— Niech pan obejrzy, co to szkodzi? Może się co spodoba. Ja mam rozmaite, bardzo ładne obrazki.

Czy bardzo ładne, zobaczymy, to pewna, że ich dużo i rozmaite. Np. u Mojżesza Taffeta całe szuflady zapchane sztychami wyciętymi z pism ilustrowanych, ze starych książek, kolorowanymi i niekolorowanymi, świeckimi i pobożnymi. Jacy barbarzyńcy powycinali ze starych foliałów te sztychy bardzo nieraz dobrze zachowane, mające nieraz dla znawców wartość istotną?! A sztychów tych, przeróżnych, misternie ozdobionych tytułowych kartek, dużo. Widać złodzieje — bo chyba tylko złodzieje mogli się takiego wandalizmu dopuścić — grasowali po jakiej większej bibliotece. W oko mi wpadł sztych z XVII wieku, wyobrażający jakiegoś świętego, jeśli się nie mylę, św. Franciszka Borgiasza.

— Wiele pani za to chce?

Żydówka zacenila 1 złr 20 c. Po chwili powtórzyłem to samo pytanie żydowi, który poprzednio w innym kącie był zatrudniony, wziął do ręki, popatrzył i odparł głosem pewnym:

— Mogę dać za 60 c.

Co za szkoda, że zamieniony w niewidzialnego chochlika, nie mogłem być świadkiem sceny, która nastąpić musiała po moim wyjściu między tą kupczącą parą, że nie słyszałem wzajemnie udzielanych sobie napomnień, jak należy się z głupimi kundmanami zachowywać i nie psuć świetnie rozpoczętego interesu! Tymczasem podziwiać tylko należało heroiczne panowanie nad sobą tak Nielitościwie skompromitowanej żydówki. Ani jeden muskuł na twarzy jej nie drgnął, ani jednym słowem nie próbowała protestować. Kto wie, czy w razie energicznej interpelacji nie gotowa byłaby przysięgać się, że i ona za ten obraz chciała tylko 60 c i że z pewnością musiałem się przesłyszeć. Już to ci panowie, a przede wszystkim te panie, jak sto razy miałem sposobność się przekonać, tak są przyzwyczajone do posługiwania się słowami według formułki Tailleranda dla zakrywania swych myśli, że nie robi im najmniejszej trudności, nazwać jakąś rzecz w przeciągu pół minuty i czarną, i białą. Zaklinać się na

wszystkie świętości, że przed paru dniami nabyły same jakąś książkę za 2 guldeny, a za chwilę odstąpić ją za 50 c. Zaręczać uroczyscie, że po żądany obrazek będą musiały gonić na koniec Kazimierza, pisać do Wiednia lub Berlina. I kto jeszcze wie, czy i tam, mimo tak rozległych stosunków, jak bodaj nikt inny w Krakowie, kto wie, czy wydostać, wynaleźć go potrafią. A gdy wzruszasz ramionami, nie okazujesz chęci grubo zapłacić za taką nadzwyczajną grzeczność i do wyjścia się zabierasz, wyciągnąć co prędzej tenże sam obrazek... z dolnej szuflady.

— To pan o tym obrazie mówił? — tłumaczą się, jeśli która naiwniejsza tłumaczyć się raczy — wprzód nie zrozumiałam, myślałam, że o innym.

W danych do przejrzania tekach i pudełkach z lito-, chromo- i fotografiami, znajdując się różne, do różnych gustów i guścików zastosowane: widoki gór i miast, wizerunki Matki Boskiej i świętych, podobizny Kochanowskiego, Hirscha i Mickiewicza, fotografie i szkice ze znanych włoskich, flamandzkich, francuskich obrazów. Podczas kiedy je przeglądasz, sprytna kupcowa z oka cię nie spuszcza, stara się odgadnąć, jeśli skądinąd jeszcze nie odgadnęła, co ci bardziej do serca i wyobraźni przemawia. Tymczasem wchodzi, gwizdząc, do sklepu młody jakiś kawaler i pyta obcesowo:

— Ma też pani fotografie?

— Jakie fotografie? Czy tak może z różnych obrazów?

— Takie, jakem dawniej kupował.

Odgrywa się teraz mała komedyjka, obecnością moją, jako nieznanego i niewypробowanego kupca, spowodowana. Żydówka udaje, że szuka żądanych fotografii i znaleźć nie może, wreszcie znajduje jedną, pokazuje i pyta:

— Takie?

Na potwierdzający znak szuka niby znowu, przed chwilą zaręczała wprawdzie, że oprócz stosu przede mną rozłożonego nie ma ani jednej więcej, ale o zaręczeniu tym już zapomniała i, co mniej jeszcze przynosi honoru dyplomatycznym jej zdolnościom, nie pomyślała nawet o zaproponowaniu młodemu przybyszowi, aby i on się rozglądał w pokazywanych mi szkicach i fotografiach. Szukając, pyta mię zniecierpliwionym nieco głosem, czym jeszcze czego nie wybrał. Rada by mię z duszy, serca za dziesiątą bramę wygonić, ale ponieważ ja domyślić się w żaden sposób nie chcę, że jestem tu niepotrzebnym i niewygodnym świadkiem, przeto ostatecznie — mimo gorliwego przerzucania i przewracania po szufladach — nie znajduje.

— Niech pan przyjdzie za kwadrans — zwraca się do czekającego. — Jeszcze poszukam, może co znajdę.

Trzeba wiele siły nad sobą, aby powstrzymać śmiech gwałtem na usta się cisnący. Przecież przed półgodziną w identyczny zupełnie sposób pożegnany zostałem przez panią H...³, która również z powodu niedyskretnych, nie dość znanych świadków, nie mogła przede mną otworzyć fotograficznych swych

3 A w każdym razie przez żydówkę, zarządzającą antykwarnią pod firmą Józefa H... na ul. Szpitalnej.

skarbów, również kazała przyjść nieco później. Przecież właśnie w celu skrócenia sobie chwil oczekiwania wstąpiłem do antykwarni Taffeta...

Pierwszy akt komedyjki skończony, drugi się rozpoczyna. Fotografia pokazana zamówionemu za kwadrans jegomości, mogła mię zaciekawić, mogła obudzić jakie podejrzenia, trzeba podejrzenia te rozprosyć. Niby od niechcenia bierze żyd w rękę odnalezioną na okaz fotografię, zgrabnie z inną ją zamienia i następnie nowy ten okaz, znowu przypadkiem i od niechcenia, jak najbliżej ku mnie podsuwa. Nie dosyć uprzejmości! Abym się nie żenował dokładnie przypatrzeć podsunętej fotografii i przekonać się, że przedstawia najniewinniejszą w świecie sielankową scenę, usuwa się antykwarska para w dwa kąty sklepu, tyłem się obraca i gorliwie czegoś między półkami poszukuje.

Oni poszukują, choć nie ręczę, czy dobrze wiedzą czego, ja flegmatycznie szkic po szkicu kilkakrotnie ze wszystkich stron oglądam, minuta po minucie płynie, kwadrans już upłynął, a ja na złość się nie wynoszę.

— Znalazł pan co czy nie? — pyta zirytowany antykwarz. — Pan i tak nic nie kupi, po co pan ma czas na próżno tracić?

Spokojna odpowiedź, że za użycie własnego czasu ja sam tylko odpowiadam i że chcąc coś zakupić, muszę się dokładnie w towarze rozpatrzyć — przywraca, choć pozornie, do równowagi nerwy rozdrażnione obecnością natręta. Wreszcie kwadrans minął, zjawia się młody kupiec na fotografii, a widząc mię na dawnym miejscu, robi kwaśną minę.

— Jeszcze nie miałem czasu poszukać — zwraca się doń antykwarz z równie skwaszoną miną. — Proszę zająć tu kiedy indziej, jak pan kiedy będzie ulicą przechodził, jutro, pojutrze.

Do jutra trudno pozostać na niezbyt, bądź co bądź, miłym stanowisku, zresztą ostrożny p. Taffet, choćby miał ku temu i wolę i możliwość, niewiele więcej mógłby mi pokazać, niż mniej podejrzliwa, a bardziej na grosz łakoma zarządczyni H...owskiej antykwarni. Za pierwszej mej bytności, na proste pytanie: „Ma pani fotografię?”, rozłożyła również szereg widoków, kilka tuzinów drogą licytacyjną nagromadzonych niepoczesnych jakichś, wielkich i małych głów, męskich figur w tużurkach, kobiecych w sukniach po szyję zapiętych. Ale gdy podane tuziny szybko przerzuciwszy, do odwrotu się zabierałem, wypłynęła nagle z boku fotografia wyobrażająca mniej już niewinną, haremovą scenę.

— Może pan chce tego rodzaju?

— A ma pani takie? — spytałem, puszczając ze wstrętem łódkę na brudne te wody, bo inaczej dotrzeć było niepodobna do czarnego kontynentu, który przecież zbadać należało, aby przestrzec naszą publiczność przed rosnącymi na nim bujnie zatrutymi ziołami.

— Mogę mieć, czemu nie i lepsze jeszcze. Ja mam tu często takie ciekawe wzory do malowania, sprowadzam sobie, to drogo kosztuje. Tak za miesiąc będę miała...

Ale wnet chciwość przemogła:

— Jeśli pan będzie jutro tędy przechodził, to proszę wstąpić, coś będę miała. Pan będzie kontent...

Chcąc dotrzeć do celu, wracam nazajutrz. Jejmość z uśmiechem tryumfu wydobyla z szuflady cały pakiet specjalnie dobranych fotografii z mitologicznych obrazów Tycjana, Veronesa, Carraccia, niekończący się szereg nimf, bogiń, satyrów. Wstrętniejszymi od samych fotografii były ich pochwały, zachęty do kupna.

— To bardzo piękne! Czy pan dobrze się przyjrzał? Tego jeszcze nikt nie widział — kłamała jak najęta, choć wiedziała doskonale, że te fotografie, jako wyobrażające dzieła mistrzów policyjnie zakazane jeszcze nie są, że przeto są w jawnym handlu i nie szukając daleko, w pobliskiej antykwarni (na Florjańskiej), należącej również do klanu H...ów, zajmują one kilka przegródek w wielkiej skrzyni z fotografiami, którą na pierwsze słowo do dowolnego oglądnięcia ci otwierają.

— Innych pani nie ma?

— No, niech pan jutro wstąpi. Albo może się pan teraz przejdzie, a za kwadrans będzie tędy przechodził, to ja tymczasem poszukam.

Wróciłem za kwadrans, wróciłem nazajutrz. Miałem cierpliwość wracać przez cztery, pięć dni, a cierpliwość moja była nagradzana coraz nowymi odkryciami, aż mi włosy na głowie stawały. Zaczynało się za każdym razem od powtórzenia tego samego dialogu. Żydówka zaklinała się regularnie na początku, że więcej nic nie ma i dostać nie może, potem dawała coś jeszcze bardziej pieprznego od ostatniej dawki, a na końcu i to *motu proprio*, bez żadnych namawiań z mej strony, zaręczała, że za dwa, trzy dni wydobędzie jeszcze nowe, daleko „piękniejsze”. Ile przy tym, a jak nieraz niezgrabnie, nakłamała się, tego na byczej skórze nie spisać. Raz opowiadała o jakimś osobnym sklepie w Krakowie, który trudni się sprzedażą tego rodzaju towarów, w parę dni później, na wzmiankę o owym sklepie, mającym rzekomo gdzieś daleko, het, aż za fabryką cygar się znajdować, zachnęła się jak od węża ukąszona, przysięgając się, że o niczym takim, o niczym podobnym nie wie, nie mówiła, mówić nie mogła. Sklep zapadł się, a na jego miejsce wystąpił na jaw tajemniczy jakiś malarz, który „ma bardzo piękne rzeczy, ale boi się sprzedawać i tylko dla mnie obiecał, że parę sztuk odstąpi”. W parę tygodni później odnalazłem ów zagadkowy sklep i zagadkowego malarza. Sklepem była jedna z pobliskich H...owskich antykwarni, malarzem brat czy kuzyn antykwarki z Szewskiej, H... z ul. św. Jana, w którego szufladach i otwartych tylko dla wybrańców schowkach, ukrywała się największa część towaru, niby to zdobywanego „z takim trudem i z tak daleka”, jak bez zająknięcia poetyzowała wymowna kupcowa.

Aby dać choć dalekie wyobrażenie o tym, co te ohydne fotografie przedstawiały, uporządkuję je tak, jak mi je dzień za dniem podawano. Nr 1: fotografie z rycin, romansowe, ale jeszcze dosyć przyzwoicie ubrane. Nr 2: jak już wspomniałem, wybór najrozpuśtniejszych scen, jakie są między dziełami klasycznych

malarzy. To się jeszcze zaślania płaszczykiem sztuki — mniejsza o to. Nr 3: bajadery, sceny haremowe, w wysokim stopniu dekolowane, ale jeszcze opatrzone podpisami bądź malarzy, bądź fotografów. Nr 4: istoty z półświata, w niemożliwym stroju i pozach, z natury fotografowane, bez żadnego podpisu fotografa, więc bezwarunkowo policyjnie zakazane. Nr 5 i nr 6 przechodzą już wszystko, co można powiedzieć i do ostatnich krańców bezceństwa dochodzą.

Mój Boże! Co się dzieje z prostoduszną młodzieżą, która niebacznie wpada między zębate koła tej piekielnej maszyny!... Ta cała taktyka, zależąca na stopniowym podawaniu coraz bardziej trujących dawek, służy handlarzowi do dwójakiego celu: najprzód, podniecając coraz więcej złą ciekawość, podbija on stopniowo ceny (nr. 5 i 6 sprzedają się pięć, sześć razy drożej niż nr 1). A przy tym jest to środek ostrożności, handlarz przez ten czas eksperymentuje na kliencie, stara się zbadać, czy mu nie grozi z jego strony niebezpieczeństwo wyjawienia jego karygodnych postępów. Toteż dla baczego obserwatora ciekawym jest widokiem owa ciągła, na zewnątrz tak jasno przebijająca się walka w duszy handlarza, handlarki, między chciwością a bojaźnią. Walka, w której czasem bojaźń, częściej chciwość bierze górę. Jeden, z dającą do myślenia otwartością, wylicza kilka sklepów, niemal wyłącznie chrześcijańskich, w których można dostać „bardzo ciekawych” wizerunków — „Tylko nie wiem — kończy swą opowieść — czy oni pokażą, bo oni się boją”. Jak gdyby sam się nie bał, jak gdyby nie dlatego właśnie z taką podejrzaną szczerością i usłużnością występował, aby wybać, czy i jak daleko może się sam na grząskim tym gruncie bezpiecznie posunąć. Drugi, mniej biegły w sztuce dyplomatycznej, wprost wyznaje: „Ja się boję, a nuż mię kto wyda”. Trzeci opowiada w zaufaniu, że od czasu do czasu chodzą „szpiegi” i trzeba się mieć przed nimi na baczności. Ale spróbuj te wahania się i odmowy wziąć na serio, zastrzeż się: „Ja pana do niczego namawiać nie chcę”, a w jednej chwili zwykle bojaźń policji ustąpi przed bojaźnią utraty dobrej sposobności do zrobienia świetnego interesu.

Cóż dopiero, gdy przypadkiem otworzy się portmonetka i bystre, semickie oko, zagłębiwszy się w niej co prędzej, odkryje pękaty zwitek różnej wielkości banknotów? Oko płomienieje, w wyobraźni zaciera się, niknie groźny obraz policyjnego komisarza, twarz w najponętniejszy uśmiech się stroi, usta otwierają się do okrzyku:

— Są pieniądze, będzie i towar!

Nie za macedońskich tylko czasów pieniądze szturmem brały fortece, odmykały najwarowniejsze wrota. Tu już nie pieniądze nawet, ale tylko ich nęcący widok wpuścił do tajnych kryjówek antykwarskich fortec, otworzył magicznym swym wpływem szuflady i usta. Po całym H...owskim klanie obieć musiała wieść o gościu interesującym się pewnymi specjalnościami, a mającym pieniądze. I odtąd, gdy pożądaný ów gość przekraczał progi (mniejsza o to, Saula, Salomona czy Izaaka), częstowano go bez dłuższego już zachodu, bez wstępnych

ceremonii, owymi specjalnościami. Jeden pokazuje album napełniony „bardzo pikantnymi” fotografiami (nr 5 i 6) i obiecuje wystarać się o cały zbiór „nowych, wielkich fotografii, gdzie wszystko wyraźnie będzie” (*sic*). Drugi namawia gorąco do nabycia „na niewidziane”, całej wielkiej kolekcji „bardzo ładnej” za 18 złr, „bo ten pan, co to ma, boi mi się dać do sklepu” — i dla zachęty opowiada o jakimś hrabim, który niedawno temu nakupił tego towaru za 80 złr, lub znowu pyta kilkakrotnie, natrętnie, czy ma co sprowadzić: „Czy pan będzie jeszcze kupował, czy pan jeszcze raz tych fotografii nie przejrzy?”. Inny jeszcze pokazuje „z wielkim trudem nabytą” kolekcję najohydniejszych litografii, zaklinając się, że taki zbiór to i 100 złr wart, ale on taniej odstąpić gotów.

— A może taką miniaturkę, może taki na kości słoniowej ręcznie malowany obrazek? (nr 4).

I choć odpowiedzi nie otrzymał, sięga wprawną ręką na sam spód szuflady, wydobywa bardzo niewinnie wyglądającą kopertę, odrzuca kilka kawałków zadrukowanego papieru i wyciągnąwszy spośród nich ów obrazek, biegnie do drzwi patrzeć, czy kto podejrzany ulicą nie przechodzi, czy jaki niepożądany w tej chwili gość ku sklepowi się nie zwraca. Biedny gościu, który się teraz tu zjawisz! Dziwić się musisz czemu uprzejmy zazwyczaj żyd, w tak złym jest humorze, niczego nie ma na składzie, zatrzymuje cię różnymi sposobami przy drzwiach samych, dobrze jeśli opryskliwym słowem wprost za drzwi nie wyrzuci!...

Czasami, gdy na ladzie pojawić się ma grubszy stos silnie „kompromitującego” towaru, środki ostrożności się zdwajają. Podrastająca, szesnastoletnia może, ale wtajemniczona już w *arcana regni* dziewczyna, bierze za rękę małe żydziątko, które dotąd swobodnie po sklepie hasało i wszędzie wściubiąło zabrudzony swój nosek i wyprowadza je „na cukierki”. Żydówka odbywa straż przed sklepem, żyd przy drzwiach staje, gotów własną pierś nastawić, a natręta nie puścić.

— Czego pan chce? — pyta gniewnie zbliżającego się studenta.

— Ma pan gramatykę Małeckiego?

— Nie mam. Niech pan jutro przyjdzie, to poszukam. Teraz nie mam czasu. Zaraz sklep zamykam.

H...owie są bardzo ostrożni, bo się już kiedyś raz czy parę razy sparzyli. Większa nieco swoboda panuje w handlu Jakuba S... przy ulicy Szewskiej. Pan S... daje od razu wielki miniaturowy album do obejrzenia i wybrania sobie fotografii, które on już w najkrótszym czasie sprowadzić obiecuje. Album ten zawiera z parę tysięcy miniaturowych fotografijek wszelkiego rodzaju. Obok „Madonn” i „Zdjęć z krzyża” długie szeregi „Wener”, dalej znów św. Józef, pruscy i francuscy generałowie, a między święte, między rodzajowe fotografijki wciskają się szkaradne. Ta mieszanina, niebędąca zresztą bez racji i celu, budzi nie do opisanie obrzydzenie, spotęgowane jeszcze zachwalaniami żydówki.

— U nas rozmaite państwo masę fotografii wedle tego albumu obstalowują, co tydzień obstalunek. Taki album, to tylko ma Biasion i ja...⁴ Co? Pan z tego sobie nic nie wybierze? Czy nie wielki wybór? Proszę jeszcze raz pomału obejrzeć, może pan dobrze nie widzi? Ja pożyczę okularów...

Wypisałem w notesie parę numerów, żyd patrzył na tę robotę z nietajonym strachem:

— Niech pan lepiej w notesie nie pisze...

Uspokoilem go zapewnieniem, że do mego notesu nikt z pewnością bez mojej wiadomości nie zaglądnie, a słowa te musiały trafić mu do przekonania, bo po chwili zwierzył się, że ma jeszcze inny, mały katalog, daleko ciekawszy, ale gdzieś zarzucony w papierach, i kazał na kwadrans się wynieść „To ja tymczasem poszukam”. Istotnie, po kwadransie „zguba” odnalazła się. Żyd w milczeniu podał ćwiartkę papieru, zawierającą niemiecki spis „pikantnych fotografii”. Na ćwiartce tej wydrukowane było widocznie, gdzie i u kogo owego towaru można nabyć, ale przezorny antykwarz odciął niepotrzebne to dla szerszych kół uwiadomienie. Równie, jak silne żywią podejrzenia, że z pokazywanego poprzednio albumu wydarł pierwszą tytułową kartkę. Podejrzeń rozchwiać nie były w stanie rzucone niby przypadkowo słowa o „wiedeńskim kupcu”, „wiedeńskim sklepie”. Jeśli to katalog wiedeńskiego kupca, czemuż ceny w nim wyłącznie w markach i fenigach podane? Na końcu katalogowej ćwiartki stała „bardzo ważna uwaga” i żyd nie omieszkiał ze swojej strony zwrócić na nią uwagi ze szczególnym przyciskiem, że za wymienione powyżej dość słone ceny dostaje się: *Unangezogene Figuren aus dem Leben*, za też same, ale *angezogene Figuren*, ceny spadają do 20 i 10 fen.

Zresztą, po cóż w Wiedniu czy w Berlinie szukać, co w Krakowie dostać można? Za parę dni pokazała się paczka, z pewnością świeżo nie sprowadzonych fotografii, odpowiadających numerom 4 i 5. Wyszło na światło z najciemniejszych kącików parę ręcznie malowanych, obrzydliwych obrazów. I znów za kilka dni otworzyło się nieznane mi dotąd pudło z chromolitografiami, na wierzchu same porządne i pobożne, w środku mieszały się wizerunki świętych, z jakkolwiek jeszcze możliwie prezentującymi się baletniczkami, na spodzie znowu baletniczki, ale już w niemożliwych strojach i pozach.

— Teraz mam mało — ubolewała kupcowa — prawie wszystkie lepsze wyprzedalam, za parę tygodni będzie wielki wybór.

4 Swoją drogą i to kłamstwo, jak tyle innych. W parę dni później wstąpiłem do I...ka i spytałem o fotografie, obrazy. Kupiec bardzo był ostrożny, wszystkie przedłożone mi okazały tak były skromne i poważne, że to aż dawało do myślenia. Za stołem stał młody chłopak, lat może 15 (zdaje mi się, syn kupców), i najspokojniej wertował znajomy mi doskonale album z miniaturowymi fotografiami. Oczywiście panom sklepu i na myśl nie przyszło, że album to najlepszym dla mnie wyjaśnieniem, co sądzić o zapewnieniach: „Więcej nic nie mamy!” Mimowoli nasunęło mi się musiały na myśl — nie wchodzę w to, na jakiej podstawie oparte, o ile rzeczywistości odpowiadające — słowa, usłyszane wczoraj dopiero czy przedwczoraj od paru wizytami spoufalonego antykwarza: „I... ma piękne rzeczy, ale każdemu nie pokaże... boi się”.

Omylić się tu łatwo, ale zdaje mi się, że fotografie grają w miłym tym interesie pierwszorzędną rolę. Po nich idą litografie i chromolitografie, następnie ilustrowane pornograficznie książki, broszury, kalendarze. Dalsze dopiero miejsca, na szarym końcu, zajmują ręcznie malowane obrazy i obrazki, miniaturki w rączkach od piór, w różnych zabaweczkach osadzone, fotografie do stereoskopów otwierające się i przybierające za pociągnięciem tasiemki najrozmaitsze, najnieestetyczniejsze kształty bilety i pajace.

Główny transport „pikantnych”, ilustrowanych książek przyplywa do Krakowa z Pesztu, a w szczególności z nakładowej księgarni G. Grimma. Księgarnie Izraela Herzoga, W. Poturalskiego (w Podgórzu), łoża portiera na dworcu kolejowym mają bogate zasoby tych wydawnictw, uderzających z daleka niemożliwymi, w siedm kolorów tęcz mieniącymi się okładkami, które co najmniej nie ustępują w niczym rysunkom, ściągającym rokroczne konfiskaty na wydawany we Lwowie kalendarz *Figa*⁵. Już sam tytuł katalogu G. Grimma dość wymowny *Pikante Lektüre in deutscher Sprache*, przy odrębnych działach i dziełach dodana zachęta *Textpikant, reichillustrirt*. A jakie to ilustracje, powiedzieć wystarczy, że dostrajają się one wybornie do tekstu Mendèsa, Silvestre’a, Sataneli itd. Tłem, główną osią Grimmowych wydawnictw było — przynajmniej po koniec 1891 r. — trzytygodniowe ilustrowane pismo „Caviar, pikante und heitere Blätter”, z którego wyborowe, najpieprzniejsze rysunki i historyjki skupiały się w wydawanym na końcu roku *Caviar Kalender*. Pieprzny, bardzo pieprzny ten „Caviar” być musiał, kiedy rząd niemiecki zabronił mu w lutym r[oku] z[eszłego] wstępu do całego cesarstwa, a wydawca w ogłoszeniach swych ofiaruje po kilkakrotnie, nawet austriackim i węgierskim prenumeratorom, przysyłanie „Caviaru” w szczelnie zamkniętych kopertach. Zaniknięcie niemieckiej granicy znacznie widać zmniejszyło liczbę amatorów i spowodowało p. Grimma do zawieszenia swego wydawnictwa z końcem 1891 r. Inna kwestia, czy nie dlatego tylko, aby po paru miesiącach wypłynąć z tego samego rodzaju, ale w odmiennym formacie, inaczej zatytułowanym skandalicznym pismem! Tymczasem pp. Poturalscy i Herzogi, pp. portierzy

5 *Figa* bierze stąd zdaje się nazwę, że od szeregu lat pokazuje figę wszelkim urzędowym dekretem i konfiskatom. „Kurier Polski” w numerze z 21 listopada r[oku] z[eszłego] podał do wiadomości, że skonfiskowany przez prokuratorę z powodu silnie nieprzyzwoitej treści i rycin kalendarz *Figa* był jednak w kilka tygodni po ogłoszeniu tej konfiskaty wystawiony w oknach księgarni Friedleina i że sprzedawano go tamże bez najmniejszego skrupułu. Inne księgarnie, których wymienić nie mamy powodu, przed ogłoszeniem konfiskaty znaczną liczbę *Figi* sprzedały. W pierwszych jeszcze dniach grudnia (1891 r.) wystawioną była w łożu portiera na krakowskim dworcu kolei żelaznej *Figa* z r. 1890, w niczym co najmniej od edycji z roku następnego nie lepsza, również przez prokuratorę zakazana. Na dworcu lwowskim spostrzeżliśmy *Figę* 30 grudnia r[oku] z[eszłego]. Parę tych faktów tłumaczy nam, dlaczego, choć *Figa* regularnie jest konfiskowaną i zakazywaną, niemniej najregularniej każdej jesieni się pojawia. Widocznie wydawca, p. Zygmunt Gollob, niewiele traci na konfiskatach. Największą część egzemplarzy sprzedaje przed ogłoszeniem konfiskaty, resztę jeśli się da, nieco drożej, jak znacznie drożej krakowski portier kolejowy kazał sobie zapłacić, po ogłoszeniu.

kolejowi, zadawałać się muszą rozprzedażą poprzednio już nagromadzonych u siebie „kawiorowych” książek i kalendarzy, a zgrabnie wszystkie okoliczności wyzyskując, zachęcać będą do ich nabycia półgłosem wypowiedzianą uwagą:

— To nadzwyczajnie ciekawe! To w Niemczech zakazane!

À propos „Caviaru” i p. Poturalskiego z Podgórze, opowiadał mi jeden z mych przyjaciół ciekawą historyjkę, którą tutaj, jako dość charakterystyczną, pozwolę sobie powtórzyć. Przyjaciół mój, w przedsięwzięte przeze mnie studia wtajemniczony, ciekawym był, czy i gdzie kupić będzie mógł, od pierwszego zapytania dopiero co skonfiskowany najnowszy rocznik *Figi* i w tym celu, błakając się raz po Podgórze, zawadził o założoną przed kilku dopiero miesiącami „Księgarnię i skład nut i materiałów piśmiennych” W. Poturalskiego. *Figi* nie było, natomiast przedłożono mu do przejrzenia kilkanaście kalendarzy lwowskich, krakowskich, warszawskich. Po schowaniu do kieszeni warszawskiego *Faceta* i *Syreny*, próbujących wedle sił sprostać konfiskowanej lwowskiej koleżance, ujrzał on przed sobą cały stos Grimmowskich i nie tylko Grimmowskich wydawnictw: *Intime Scenen*, *Badegeschichten*, *Das pikante Buch*, smrodliwy (bo inaczej go nazwać niepodobna) *Junggesellen-Almanach* itd. Uprzejmy do zbytku księgarz obiecał jeszcze w dodatku sprowadzić na przyszły tydzień zapas ciekawych fotografii i wśród mnogich ukłonów, upraszając, aby i na przyszłość handlu jego nie pomiąć, odprowadził do drzwi cennego gościa.

W oznaczonym terminie gość zjawia się, ale zamiast ukłonów i grzeczności spotyka się z ponurą twarzą, nietajoną niechęcią. O sprowadzeniu fotografii mowy już nie ma, na zapytanie czy nie nadeszła tymczasem nowość jaka, otrzymuje lakoniczną, jak lód zimną odpowiedź: „Nie, nie nadeszła!”. Cóż za przyczyna tej zmiany? Za chwilę wyjaśnia ją sam księgarz, nie dość nad sobą panujący. W ostatnich kilku dniach pojawiła się właśnie w „Kurierze Polskim” znana już nam wzmianka o wystawionym na sprzedaż, mimo konfiskaty, kalendarzu *Figa*, a ponieważ przyjaciel mój za pierwszą swą bytnością w księgarni się pytał, przeto p. Poturalski podejrzewa go zapewne o autorstwo tej wzmianki i febrycznie o własną skórę się lęka.

— Pan tu sobie notował, pan jeszcze na mnie w gazetach napisze. Ja młodzieży nie demoralizuję. Tylko proszę na mnie nic nie pisać, bo ja także odpowiednich środków potrafię użyć.

— *Qui s'excuse, s'accuse* — odpowiedział mu po prostu, rękę na klamce trzymając, a ponieważ nie wie, czy p. P. po francusku rozumie, prosił mnie, aby dodać tu dla jego nauki polskie tłumaczenie: „Na złodzieju czapka gore!”⁶.

6 Odnosnie do powyższej treści, notujemy dla przestrogi świeże, jakieśmy zrobili, doświadczenie. Uderzyło nas, że pewien drobny anon, ogłaszający fotografie, niby dla użytku malarzy, z pewnej firmy zagranicznej, powtarzał się ustawicznie w wielu gazetach naszych. Napisawszy pod wskazanym adresem z żądaniem okazów, otrzymaliśmy natychmiast fotografie, odpowiadające nr. 4 autora, a w dodatku katalog firmy, pełen tak ohydnych rzeczy, że zakasowuje niewątpliwie wszystko, co autor może pod nr. 5 i 6 rozumieć. Nie omieszkaliśmy oczywiście przestrzec Redakcję gazet, które ogłaszały te anonse, za co otrzymaliśmy uprzejme podziękowania. (Przypisek Redakcji).

Czy prócz książek, fotografii, obrazów, wcale nie niewinnych bawidełek, nie ma jeszcze czasami w zwiedzanych przez nas lokalach innego towaru na sprzedaż, do wypożyczenia? Nie myślę się podobno, sądząc, iż jest w Krakowie jedna przynajmniej — dotąd tu niewzmiankowana — wypożyczalnia, w której książki stanowią tylko pretekst do zupełnie innego handlu... W każdym razie wszystkie pozory za tym przemawiają. Szyld, donoszący o istnieniu wypożyczalni, tak się jakoś wstydliwie ukrywa, że kto o nim z góry nie wie, niełatwo go chyba odnajdzie. Odnalazłszy, przechodzisz przez wielkie podwórze, szukasz znowu jakiegoś orientującego napisu na brudnych, obszarpanych, od ulicy znacznie oddalonych zabudowaniach. Jest wreszcie napis, otwierasz drzwi i przez ciemny korytarzyk dostajesz się do kuchenki. Za kuchenką brudny pokój, w którym stoi parę czy jedna szafa z książkami, samowar, sztucce, talerze. Za tym pokojem drugi, niemniej brudny, od rana nieposprzątny. W tym pokoju dają ci do przejrzenia katalog polskich książek, niemieckie książki są również, ale, rzecz oryginalna, dotąd w katalog niewciągnięte. Stąd przez otwarte drzwi widać elegancko, nawet ze zbytkiem umeblowany salonik, z którego, a może jeszcze z dalszych apartamentów, dolatują dźwięki fortepianu. Mimo woli zaczyna ci być nie swojsko, przez myśl przelatują w młodości czytane, straszne historie. Przypominasz sobie, że od ulicy tu daleko, żeś w samej głębi jakiegoś nieznanego ci, tajemniczego gmachu.

— Nie znalazłem ani jednej książki dla siebie odpowiedniej.

Żydówka, stara, brzydotą odstrasżająca, przyjmuje te słowa do wiadomości z filozoficznym spokojem, zdawałoby się nawet, że z nich w gruncie zadowolona, co prędzej tylko rada by się pozbyć intruza, a jego dalszych poszukiwań za książkami wcale nie pożąda. Gdy wychodzisz, znajdujesz pusty niedawno korytarzyk, zaludniony kilkoma ludzkimi istotami. Czy może teraz dopiero, kiedy na dworze już ciemno, zaczną się do pustej dotychczas wypożyczalni schodzić interesanci?

Dość już bodaj tego dobrego! Zwiedziliśmy pobieżnie kilka zaledwie handli, kilka nor z książkami i obrazkami. Któż powie i obliczy, jaki strumień zepsucia z tych czeluści płynie? Zapewne kto trucizny umyślnie szuka, a środki po temu posiada, ten i z daleka potrafi jej dostać, ale iluż takich, którzy o truciznie tej wyobrażenia by nie mieli, gdyby nie znaleźli jej na miejscu? Gdyby usłużny kolega czy koleżanka nie zaprowadzili ich do znanego już sobie handlu, a nabyty tam obrazek nie kursował później z ręki do ręki — po całej klasie, w całym warsztacie, w całej szwalni? Iluż nie brukałoby nigdy swej wyobraźni błotem francuskich, niemieckich romansideł, gdyby im tego błota nie podrzucały za bezcen wypożyczalnie i antykwarnie? Nie jedyna to zapewne, ale bodaj czy nie jedna z ważniejszych przyczyn tego zepsucia, które dziś może nie jest większym niż było dawniej? W to nie wchodzę, ale w każdym razie jest wcześniejszym i o tyle niewątpliwie szkodliwszym, że rozkwitające dopiero serca i umysły zakaża. I pomysleć sobie, że tu idzie o nieprawie zyski kilku przekupniów!

A jeżeli kiedy, to dziś chwila do zajęcia się skutecznie tą sprawą. Dziś, zapewne wskutek nadmiaru nadużyć, wieje po Europie jakiś wiatr reakcji i obostrzenia środków obronnych przeciwko nim. Gazety nasze raz po raz donosiły w ciągu ubiegłego roku o rozmaitych rozporządzeniach, jakie wydały w tym duchu rządy w Niemczech, w Szwajcarii, we Francji. Austriacki minister nakazał przed kilkoma miesiącami osobnymi reskryptami większą baczność i energię w tej mierze, a w wiedeńskim parlamencie toczyły się znów na tenże sam temat ożywione i wyjątkowo zgodne rozprawy. Poczta belgijska, z rozkazu ministra, odmówiła transportu sześciu gazetom paryskim z powodu ich niemoralności. Energiczni Australijczycy odsyłają do Francji lub rzucają do morza olbrzymie paki z powieściami, już nie Mendesa, nie Silvestre'a, ale o wiele niewinniejszego Zoli. Stany Pensylwanii, wedle świeżo uchwalonego prawa, karzą grzywną 500 dolarów i rokiem więzienia każdego, kto „przyczynia się do wystawy, sprzedaży lub pożyczania nieprzyzwoitych broszur, obrazów lub książek”. Czyż i u nas nie czas, jeśli droga nam moralność, droga młodzież polska, przyłączyć się, i to energicznie, do tej kampanii?

Pewne początki uświadomienia sobie zła i chęci walczenia z nim już się zarysowały. Towarzystwo Nauczycieli Szkół Wyższych powzięło na walnym zebraniu odbytym we Lwowie 16 kwietnia 1889 cały szereg daleko idących uchwał, a mówiąc dokładniej, życzeń, postulatów, odnoszących się do wypożyczalni i antykwarni. Warto postulatory te w dosłownym tekście przypomnieć:

„Walne Zgromadzenie uznaje za rzecz pożądaną:

- a) by przedsiębiorstwom utrzymującym wypożyczalnie książek zabroniono dostarczania młodzieży szkolnej książek do czytania, by natomiast biblioteki szkolne dla uczniów obficie niż dotąd były zaopatrywane w odpowiednie książki, iżby potrzeba szukania ich w wypożyczalniach okazała się zbędną,
- b) by wszelkiego rodzaju antykwariuszom wzbroniono nabywania książek od uczniów,
- c) by istniejące przepisy co do prywatnego kolportażu złych książek, niemoralnych fotografii i obrazów ściśle były przestrzegane...”⁷

Następne Walne Zgromadzenie zebrane w Krakowie w pierwszych dniach kwietnia 1890, obradowało ponownie i obszernie nad tą samą sprawą⁸, ale zgodziwszy się w ogólnych słowach na „potrzebę uregulowania stosunków antykwarskich”, nie przyszło do żadnych praktycznych wniosków. Referent prof. Mieczysław Zaleski przedłożył kilka bardzo dobrych uwag i spostrzeżeń, odnoszących się niemal wyłącznie do sprzedaży książek szkolnych i popełnianych przy tym oszustw. Innych punktów dotknął tylko mimochodem. Rozprawy, toczone nad tym referatem, a bardziej jeszcze rozprawy z roku zeszłego, okazały dowodnie, że są członkowie Towarzystwa, którzy patrzą na antykwarnie, na wypożyczalnie, na wpływ przez nie szerzony tak optymistycznie, że prawdziwie tej dobrej wiary,

7 „Muzeum”, Rocznik V, str. 404.

8 „Muzeum”, Rocznik VI, str. 394 i nast.

blizszą znajomością tego, co w szkole i poza szkołą się dzieje, niezamąconej, pozazdrościć by im można, gdyby... gdyby byli uczniami, nie nauczycielami.

Mniej różowo, nie tając (nie wiedzieć dlaczego i przed kim) tego, co utaić się nie da i czego, przed sobą przynajmniej, taić nie wolno, nie pytając: „Z czego żyć będą rodziny antykwariuszy”, zapatrywała się na tę sprawę redakcja „Muzeum”, w artykule omawiającym nakazaną przez ministra Gautschare wizję bibliotek szkolnych⁹:

„Troskliwość władz” — tak kończy się ten artykuł — „o wybór stosownych książek dla młodzieży zasługuje na zupełne uznanie. Ale czy ta troskliwość może przynieść jakiekolwiek owoce, jeśli uczniowie nawet w czasie lekcji szkolnych mogą prześiadywać w bibliotekach i czytywać dowolnie dzieła, nie powiemy niemoralne, ale dla ich wieku nie całkiem stosowne? Czy owe usiłowania władzy naczelnej osiągną zamierzony skutek, jeśli każdy uczeń za bajecznie niską cenę, bo za kilkadziesiąt centów na miesiąc, może wypożyczać od antykwariuszy najwstrętniejsze romanse, nieobyczajne piśmidła i jeśli swawola niesumiennej przekupniów posuwa się do tego, że w wystawach księgarskich, umieszczonych tuż obok zakładów naukowych, wybitne miejsca zajmują sprośne i ohydne dzieła i obrazy? Dopóki takiemu publicznemu zgorszeniu tamy się nie położy, wszelkie wysiłki tak naczelnej władzy szkolnej, jak grom nauczycielskich w tym kierunku podjęte, uważać należy za zmarnowane. Stanie się zadość formie, a rzecz pozostanie ta sama”.

Złote słowa! Uogólnijmy je, połóżmy zamiast samych wyłącznie uczniów i uczennic, wszystkie te, mniejsza o to niskie czy najniższe, średnie czy wysokie warstwy społeczeństwa, które w tych źródłach chorobliwe pragnienie zaspakajają. Spytajmy, co się dzieć musi w innych miastach, we Lwowie, w Warszawie, na prowincji, kiedy — jak zaręczali mówcy na nauczycielskich zebraniach — w Krakowie plaga antykwarska najslabiej jeszcze i najniewinniej grasuje, a znajdziemy usprawiedliwienie i odpowiedź, dlaczego pozwoliliśmy sobie zaprosić czytelników naszych w niemiłą wędrówkę po tajemniczych tych, a w najdrobniejszych szczegółach zgodnie z prawdą odmalowanych „krakowskich podziemiach”¹⁰.

9 „Muzeum”, Rocznik II, str. 134.

10 W chwili oddania tego artykułu do druku, z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że kompetentna władza, uprzedzając nasze pismo, zajęła się zbadaniem i skarceniem omówionych tu nadużyć. (Przyp. Redakcji).

W rymsztoku. Garść uwag o literaturze brukowej

[„Tygodnik Ilustrowany”, 1909 nr 12, s. 234]

Tajemnicze przygody agenta śledczego!, Hrabina zbrodniarką, czyli szatany miłości!, Pamiętniki kata paryskiego!, Lidia, czyli córka hrabiny żebraczkii!, 40 razy żonaty, czyli niewinne ofiary miłości!

Na placach publicznych, na każdym rogu ulicy obskakuje cię, spokojny i stępczny obywatelu, zgraja małych oberwańców, ochrypłym, wrzaskliwym głosem zachwalając swój towar.

Dzieci ulicy, dzieci nędzy wielkomiejskiej. Niedorozwinięte fizycznie, przedwcześnie dojrzałe duchowo, pędzą swe dzieciństwo niesielskie, nieanielskie na ohydny handel rozpustą drukowanego słowa.

Prostytucja hrabiny... na ulicy...!, Noc poślubna artystki operetki, pani...!, Tajemnice akuszerki!, „Niech pan kupi, bardzo ciekawe! Jeszcze dziś nic nie ja-dłem!”.

Natrętnie, drapieżnie, to znowu pokornie i błagalnie, to napastując, to żebrząc, mali cynicy obnoszą po mieście owoc wiadomości złego i dobrego, przyszłe pokolenie „bandytów” i „alfonsów”.

Idą w świat świstki nędznej bibuły, pisane szkaradną polszczyzną, o treści...

Ach! O treści wymownie świadczy okładka. Dość spojrzeć na nią, by mróz przeszedł po kościach błogich posiadaniem.

Beati possidentes!

Niech drżą „burzuje”! Śmierć przekłętym ochraniaczom ich dobra, „łapaczom”, „szpiclom”, „salcesonom”, czy jak zwać tych genialnych detektywów (oczywiście, szlachetnie bezinteresownych!), którym w sławie wszechświatowej nikt nie dorównał: ani Newton, ani Kopernik, ani Dante, ani Mickiewicz, ani Napoleon, ani Kościuszko! Chwała wam! Od sypialni „błędnej hrabiny” do suterenu, „barłogów zbrodni”, na wszystkich ustach wasze imię!

Bądźcie spokojni i cichego serca! Żaden wódz, zwycięzca w dziesiątkach bitew, otoczony szumnymi sztandarami i radosnymi okrzykami wojennego ludu, żaden uczony, co nad księgami wiek cały się garbi, żaden artysta, z głową pełną natchnień, nie przyjdzie wydrzeć wam panowania nad światem.

Chyba że zjawi się rywal srogi, w postaci sympatycznego „włamywacza-salonnowca”, a wtedy kto wie, czy nie przyjdzie wam władzę dzielić się na poły?

Najbujniejsza wyobraźnia hiper-supra-non-plus-ultra-romantyczna nie wymyśli tylu okropieństw, ile ich znalazło się na okładkach tych piśmideł, istnych zakał drukowanego słowa. Wymyślne tortury, potworne widma, szkielety w trefnych podrygach, poćwiartowane kadłuby, toczące się głowy, żywcem krzyżowane, na wolnym ogniu smażone ofiary: oto garsteczka malinek tych niewonnych kwiatów, na śmietniku piśmienniczym uszczkniętych.

Wije się w mękach dusza nędzna czytelnika jak owad na szpilce, przypiekany nad świecą, ale w końcu doznaje rozkoszy. Albowiem istnieje sprawiedliwość, czarna zbrodnia zapada w otchłań piekielną, a cnota jaśniej jak najczyściej wyblichowane płótno...

A nowoczesny „rycerz bez strachu i zarzutu”, „słynny agent śledczy”, zabity i pogrzebany, rzec by można pokrajany, osolony i zapeklowany, cudem wstaje z martwych i ukazuje się przerażonym oczom swych prześladowców jak bóg zemsty, jak straszny wysłaniec Temidy.

Kamienicznicy, kupcy i inni opaśli „burżuę” śpijcie snem niewiniątek w łóżach puchowych.

Nadto już, nadto, doprawdy, rozpanoszył się u nas gość natrętny, literatura brukowa. Jak tchórz swym zapachem wypłasza z cudzych nor ich właścicieli, tak ona gotowa zabić w nas chęć do wszelkiej uczciwszej lektury. Kto? Jacy oprawcy? Gdzie? W jakich wertepach przychodzą na świat te wrzaskliwe bękarty piśmiennictwa? Autorowie, a często i wydawcy, przezornie kryją swe nazwiska. W tym akcie kupna-sprzedaży, wbrew wszelkim zasadom kodeksowym, jest jedna tylko osoba prawna: nabywca. Ale za to tych nabywców — legion. Kiedy niedawno jakiś urwis spod ciemnej gwiazdy, w rozrzuconym po ulicach Warszawy świstku, cisnął pecyną błota w zasłużonego pisarza, we wszystkich kawiarniach, biurach, kantorach, sklepach, salonikach mieszczańskich o niczym innym nie mówiono przez dwadzieścia cztery godziny. Pomysłowy dławigrosz (bo wydławił grosze od łatwowiernych) zarobił sobie na sławę Herostrata, jednodniową, nie mówiąc o innych, widomszych zarobkach.

Zapomniano o was, cne Magellony, „królewny neapolitańskie”, odeszłyście w cień Meluzyny sławne, wy, które bawiłyście i wzruszałyście tyle pokoleń ojców naszych, niemal od wynalezienia druku. Poszedł za wami i czcigodny Alibaba, tak dzielnie zachowujący całość swej skóry, mimo niecných zakusów aż 40 rozbójników, i przeznacny Aladyn ze swą lampą cudowną i pocziwy Rinaldo Rinaldini, dziś już nikomu niestraszny...

Naiwna, śmieszna, nędzna była ta literatura kramikowa, ale obok wszystkich zmyśleń potwornych była w niej odrobina poezji, w najgrubszej formie podanej, „łyżka dziegciu w beczce miodu”, jak mówią nasi wschodni sąsiedzi. Wobec dzisiejszych bezceństw drukowanych wszystkie te „cudowne historie” to dziecinna igraszka. Takiego rozpasania drukowanego słowa chyba nigdy jeszcze w Polsce nie było.

A gdzież podzieje się tymczasem kultura umysłowa? Potrzeby estetyczne? Poziom moralny czytelnictwa?

Co powiedzieć o młodzieży, która zaczytuje się plugawymi bredniami, niewiele zapewne ciągnąc z nich pożytku duchowego?

A co pomyśleć o szerokich warstwach czytelniczych, które, wczoraj zaledwie posiadłszy klucz do wszelakiej mądrości — umiejętność czytania, dziś dobierają się z tym kluczem do szafki z truciznami, nie bacząc na pięknie na niej wymalowane piszczele, na krzyż z trupią główką pośrodku?

Ot, ostatnio 14-letnia dziewczyna, naczytawszy się piśmideł kryminalnych, zamordowała swą złą opiekunkę. Straszne owoce!

Więc cóż? Chwytać po ulicach rozwrzeszczanych gawroche'ów i karać więzieniem za to, że nie stało dla nich miejsca w szkole? Ustanowić jakąś nową społeczną czy narodową cenzurę? Wszystkie te środki policyjne są i niedostępne dla nas i niemoralne. W tym kierunku nic zrobić nie możemy i nie zrobimy.

Powtarzamy: w tej sprawie jest jedna tylko strona — nabywca. Niech jego nie stanie i wydawnictwa zapadną się pod ziemię. „Taki wieszcz, jaki słuchacz”. Takie ma naród piśmiennictwo, jakiego potrzebuje.

Światła, więcej światła! A przebrzydłe gacki i posępne puchacze znikną, rażone jego blaskiem, pokryją się po norach i dziuplach.

Jeden tylko znamy egzorcyzm, jedno „tabu” tajemnicze na nasz dorobek umysłowy: tym zaklęciem potężnym jest oświata.

Ona jedna władna jest wykrzyknąć groźne, nakazujące:

— A kysz! A kysz!

Stanisław Dzikowski

Za kulisami „literatury” sensacyjnej

[„Świat: pismo tygodniowe ilustrowane”, Rok VI, nr 18 z dnia 6 maja 1911, s. 7—9]

W ostatnich czasach poruszano niejednokrotnie szkody, jakie wyrządza, zwłaszcza w naszych smutnych warunkach, tzw. „literatura” sensacyjna. Opinię publiczną bowiem poruszyły bardzo żywo dwa fakty szczególniejszego rodzaju. Oto w mieszkaniu Dłużniewskiego, osławionego przywódcy bandy łódzkiej, odkryto całą niemal bibliotekę, składającą się z tak zwanych „Sherlocków Holmesów”. A nim z pierwszego ochłonęliśmy wrażenia, już znowu doniosły nam dzienniki, że 16-letni Edward Tober dokonał ohydneho morderstwa pod wpływem „literatury” sensacyjnej. Te właśnie fakty skłoniły współpracownika naszego do nakreślenia kilku interesujących obrazów, bezpośrednio z życia czerpanych. Być może, iż rzuci to nieco światła na sprawę dość tajemniczą, o której pisano u nas dotychczas z dość odległego stanowiska.

Panowie autorzy

W jednej z naszych najpopularniejszych cukierni, która już od lat wielu cygańskiej sławy używa, zbiera się co dnia, przy jednym i tym samym stoliku, towarzystwo dosyć dziwaczne.

Już z daleka wywołuje wrażenie, zastanawiając zgryźliwością swych twarzy i niedbałym gestem lekceważenia, który przewija się przez wszystko. Niepodobna jednak przy tym określać ich wspólną, ogólnikową miarą, albowiem w każdym z nich wyraża się odrębnie melancholijny los życia. Tylko może w przyblakłych oczach i sieci drobniotkich zmarszczek widać jednakowe u wszystkich zmęczenie.

Są to panowie, którzy „robią” trochę w dziennikarstwie, trochę w sporcie, trochę w humorze, przeważnie jednak „robią” w sensacji.

Oto ich dziełem wszystkie primaaprilisowe niespodzianki, dodatki nadzwyczajne, bombastyczne broszurki, jednodniówki pseudosatyryczne, a właściwie pamfletowe. Ich dziełem niektóre *Tajemnice Warszawy* albo intrygujące *Pięć dni bez nogi* i wreszcie bomby grywane w ogródkowych teatrzykach, ich dziełem to wszystko, co w gwarze figlarnej nazwał ulicznik warszawski „bujdą na resorach”.

Dzień w dzień przychodzą owi panowie do popularnej cukierni, aby napić się czarnej, pomówić o interesach i dyskutować *de publicis*. Czasami zdarza się, że jeden lub drugi ubije szczęśliwie interes z „wydawcą” i złowi do ręki „wołów”

kilkanaście. Wtedy brany jest na stronę i zasypywany rozlicznymi ofertami, albowiem panowie ci rzadko „istnieją” w powszechnym posiadaniu gotówki.

Poza tym zachowują się z dystynkcją i godnością wrodzoną jako ludzie, którzy już z niejednego pieca chleb jedli i raz na wozie, a częściej pod wozem bywali.

A ludzie zdarzają się wśród nich różni. Patrzcie!

Oto gentleman, w którego postaci widać wyraźnie wspomnienie lepszych czasów. Głowa rozpołowiona aż do karku strasznym przedziałem, wyblakłe, niebieskie oczy, szydercze spojrzenie i gest podupadłego właściciela stajni wyścigowych.

Obok zaś niego człowiek melancholijnie zaniedbany, o twarzy dziwnie smutnej. Niegdyś poeta o wybitnych zdolnościach, dziś odznacza się nienawiścią zwichniętego talentu, który fatalizm losu zepchnął w objęcia dziwnego cynizmu i pogardy dla wszystkich i wszystkich.

Tuż obok niego zasiadło indywiduum o twarzy zawziętej, złej i mściwej. Ten jest najniebezpieczniejszy! Kiedy bowiem tamci z uśmiechem lekceważenia spoglądają na sprawy ziemskie, on wierzy w swoje posłannictwo i swoje zadania, posiada nawet jakieś tępe doktryny, które propaguje w swych wydawnictwach pseudoliterackich.

Spogląda na niego z pewnym szacunkiem człowiek lat czterdziestu, roztyły burżuj w wyszarzałym tużurku i zielonym kapeluszu. Jest to grafoman wiecznie nienasycony, plaga wszystkich redakcji, wydawca świstków tygodniowych, które zapisuje samodzielnie od początku do końca. Przez grzeczność tytułują go towarzysze „panem redaktorem”.

Do kompletu należy jeszcze czasami jakiś semicki wierszokleta o chytrym spojrzeniu i kilku żółtodzióbów, czyli początkujących literatów.

Panowie ci żyją wiecznie w atmosferze krwawej, pożądamy rozruchów, morderstw, wielkich procesów kryminalnych, afer sensacyjnych. Wypadki nawet najstraszniejsze nie zadowolają nigdy ich pożądlivej wyobraźni. Mszcząc się za własne niepowodzenia, wymordowaliby chętnie całą ludzkość. Obserwując życie, cieszą się, kiedy widzą nikczemny rys bestii ludzkiej, jest to bowiem dla jednych narkotyczny trunek zapomnienia, dla drugich przyjemne podniecenie chwili.

Nie należy jednak uważać ich za najszkodliwszych. Ci ludzie, noszący na sobie wieczne piętno nieporadności życiowej, nie umieją robić interesów naprawdę korzystnych. Skazani na pogoń za rublem lekceważą nawet własne pomysły i zamiary. A zresztą ci podupadli „literaci” nawet w dziedzinie literatury sensacyjnej nie potrafili zdobyć sobie większego powodzenia. „Talent”, w który wierzą niezlomnie, narażony jest i tutaj na próby bardzo złośliwe.

To zaś, co piszą, niejednokrotnie nosi charakter mocno niezdecydowany. Zdarza się czasami, że w okropnych nonsensach i sensacyjnych ohydach płaczą się jakieś echa dawnych usiłowań i zamiarów.

I dlatego wydawcy „literatury” sensacyjnej bardzo rzadko zwracają się do nich z poważniejszymi obstalunkami.

Przeto ci panowie rządzić się muszą własnym, nieszczęśliwym przemysłem, który nie ma nic wspólnego z kupiecką kalkulacją.

Literatura sensacyjna jest dla innych kopalnią złota. Ci zaś podupadli panowie mogą być zaledwie dla szkiców niniejszych tłem groteskowym.

U największego hurtownika literatury sensacyjnej

Począwszy od ulicy Świętokrzyskiej, po równoległych jej arteriach, ciągną się długim sznurem podrzędne księgarnie i antykwiariaty. I kiedy wieczorem na ulicach różnobarwne światła zapłoną, w ich oknach wystawowych błyszczą refleksem jaskrawym tytułowe strony sensacyjnych powieści, widnieją z daleka wielkimi wypisane literami zachęcające napisy.

Po całym zaś mieście rozsiani sprzedawcy gazet niemniej efektownie improvizują wystawy.

Są to jednak tylko poszczególne posterunki największego hurtownika warszawskiego.

Dziwnym zrządzeniem losu hurtownikiem tym jest człowiek wyznania rzymsko-katolickiego, który zdołał do pewnego przynajmniej stopnia przezwyciężyć konkurencję firm żydowskich. Posiadając doskonałą organizację handlową, jako organizator mniejszych hurtowników i kolportażu *en gros* pan ten jest nie do przezwyciężenia. Dlatego też aspiracji wydawniczych nie ma wcale, jego specjalnością w tym kierunku są sprzedawane na ulicach *Piosenki kabaretowe*, których najmniejszy nakład wynosi sto tysięcy egzemplarzy. Owa doskonała organizacja handlowa pozwala mu na szereg bardzo korzystnych spekulacji, w których nie ryzykuje prawie nigdy, a zarabia olbrzymie sumy na samym tylko pośrednictwie.

Hurtownia ta leży na krańcu jednej z pierwszorzędnych ulic naszych. Niepozorna z zewnątrz, składa się z dwóch olbrzymich pokoi, wypełnionych doszczętnie literaturą sensacyjną. Na olbrzymich półkach, sięgających aż do samej powały, rozmieszczono setki tysięcy egzemplarzy kilku nowości sensacyjnych, mających obecnie największe powodzenie.

Biorę do ręki kilka zeszytów i czytam:

— *Józef Petrosino, pogromca Czarnej Ręki, Jack Teksas, Panna sklepowa, czyli dzieje kobiety upadłej i naturalnie Przygody najślawniejszych agentów policyjnych.*

Właściciel hurtowni, człowiek o twarzy pospolitej i chytrym spojrzeniu małych oczek, objaśnia mi:

— To są rzeczy, których idzie najwięcej!

Powoli dowiaduję się szczegółów, bardzo interesujących.

Przed wszystkim „Sherlocków Holmesów” dziś nikt już nie wydaje.

— Jest starych dosyć — objaśnia mi mój informator. — Sam Fiszer puścił w świat ze dwa miliony. A teraz jeszcze, po jego śmierci, zostało z pół miliona. Sprzedajemy stare. Mamy za to inne nowości.

- Kto to wydaje?
- Ano wydają warszawscy i zagraniczni. Tylko że warszawscy nie umieją. Są tu tacy różni, co próbują. Jest jeden zecer, kilku żydków. Ale cóż, puszcza dwadzieścia, trzydzieści zeszytów, idzie dobrze, a tu przy czterdziestym już kłapa.
- I tak chyba dosyć.
- Mój rozmówca skrzywił się.
- To nie jest interes. Interes to jest sto czterdzieści zeszytów i sto tysięcy nakładu.
- U licha! — wołam w zdumieniu. — Ale któż to robi?
- Twarz „hurtownika” przyoblekła się dyskretną mgławicą zazdrości.
- Jest taki, kiedyś żydek w chałacie z Walicowa, teraz pan całą gębą. W Krakowie wydaje wszystko. O, ten *Jack Teksas* jego i *Petrosino* i *Panna sklepowa* jego.
- A pomocnik hurtownika, który przysłuchuje się za „ładą” naszej rozmowie, aż ręce niespokojnie załamuje i woła jakby w zachwyceniu:
- Jak to, panie? Idzie, jak idzie!
- I rzeczywiście, podczas naszej rozmowy co chwila ktoś wpada, rzuca pieniądze i porywa całe stosy plugawej bibuły. Co chwila też wchodzi do sklepu trwożliwie chłopiec w uczniowskiej czapce i kładąc miedziaki, szepce nieśmiało:
- *Jack Teksas*, zeszyt czterdziesty drugi.
- Tymczasem przychodzi mi na myśl, aby zestawić ceny literatury sensacyjnej z cenami tej prawdziwej. Pomaga mi w tym „hurtownik”.
- Rezultaty naszego rachunku są straszne!
- Jeden tom literatury sensacyjnej, ze sto zeszytów po sześć kop., kosztuje właśnie tyle, co kompletne wydanie dzieł Słowackiego, z sześciu tomów się składające.
- A przecie jaki tu papier, jaki druk i kalkulacja też inna.
- Nie pytam już więcej o nic, to mi wystarczy zupełnie.
- A mój informator targuje tymczasem jakiś sensacyjny dodatek, który wyszedł przedwczoraj i nie „poszedł”.
- Wiele pan chce?
- Osiem za setkę!
- Sześć dam.
- Wreszcie staje na siedmiu.
- Co pan z tym robi, przecież to już nieaktualne? — pozwalam sobie zauważyć.
- Ten pan wszystko sprzeda — odpowiada nieszczęsny wydawca.
- A „hurtownik” sentencjonalnie dodaje:
- Każdy ma swoich frajerów!

Król sensacji

Człowiek, o którym chcę mówić, już od lat kilku zalewa całą Polskę swymi strasznymi wydawnictwami. Jego romanse są równie poczytne w Królestwie Polskim,

jak i w Galicji, jak w Poznańskim. W ostatnich nawet latach próbował on podobno z powodzeniem eksportu do Ameryki.

Niegdyś ubogi chałcaciarz, dziś zajmuje całe piętro na pierwszorzędnej ulicy, posiada jadalnię w stylu empirowym, a gabinet na sposób amerykański urządzony. Interesy swoje prowadzi systemem bardzo nowoczesnym, administrując nimi sam jeden przy swoim biurku.

Zresztą Warszawa jest tylko jego stacją centralną. Wydawnictwa swoje, jak i pismo tygodniowe, które zawiera wyłącznie powieści sensacyjne, drukuje za granicą.

W wydaniach zeszytowych doszedł już do rekordowej cyfry stu czterdziestu. Używa w tym celu kruczków przedziwnych. I tak np. pewną serię zeszytów rozdaje wszystkim za darmo, aby hojność swą przerwać w miejscu najbardziej interesującym. Pomysł ten do tej pory nie chybił jeszcze nigdy. Ludzie są wiecz- nie naiwni.

Aby pomówić z tym „królem sensacji”, użyłem podstępów.

Przedstawiłem mu się mianowicie jako przedsiębiorca, otwierający biuro dzienników w Łodzi.

„Znakomity” wydawca był bardzo niezadowolony z wizyty o tak późnej porze (była to godzina ósma wieczorem). Skoro jednak usłyszał słowo „interes”, poprosił mnie do swego wspaniałego gabinetu.

Kiedy opowiadałem mu, że pragnąłbym zawrzeć z nim stosunki handlowe i sprowadzić najbardziej poczytne wydawnictwa, on obserwował mnie przenikliwie i szybko.

Twarz jego uczyniła na mnie wrażenie wprost przejmujące. Ostre, semickie rysy pokrywała maska niepokojącej obojętności, a tylko koło ust, nad którymi czerniał wąs przyszyty, wisiał uśmiech tak okropnie szyderczy, że miało się ochotę wcisnąć go temu człowiekowi przemocą w gardło.

Wydało mi się bowiem, że jest to uśmiech człowieka, który jak pasożyt przekłety, z pełną świadomością, opiera swoje istnienie na upadku moralnym nie- szczęśliwego społeczeństwa.

Rozmawialiśmy dość długo. Mówił bardzo źle po polsku, ale robił wrażenie człowieka inteligentnego, może nawet za inteligentnego.

— Ja panu pokażę to, co idzie najlepiej.

Zadzwoił, wydał dyspozycje i niebawem służący rozłożył przede mną stos najohydniejszych wydawnictw zeszytowych.

— To wydają w Krakowie? — zapytałem.

— Za moje pieniądze — odpowiedział spokojnie.

Po chwili dodał znowu:

— To się teraz bardzo rozchodzi, najwięcej ze wszystkiego.

— Robi pan dobre interesy?

— Pcha się jako tako!

— A wszystko na tych sensacjach!

Spojrzał na mnie przenikliwie, jakby zaniepokojony tonem mojego głosu, i po chwili zauważył spokojnie:

— Ja wydaję także dobre książki — z obrazkami.

— Ale na nich nie robi pan interesów?

Uśmiech zadrgał nowym szyderstwem w kącikach ust.

— Wiadome, śmieci idzie zawsze najwięcej.

Ułożyliśmy potem warunki: dwa ruble pięćdziesiąt za setkę.

— A po ile sprzedają ci, co od pana kupują?

— Nie wiem, dają chłopcom to trzy, to cztery kopiejki. Oni nie umieją kalkulować!

— A pan? — wyrwało mi się niechcący.

Błysnął oczyma, ukrywając uśmiech zadowolenia.

— Ja kalkuluję!

Juliusz Kaden-Bandrowski
Ballada o książce

[*Za stołem i na rynku*, Lwów 1932]

1. Matrona

Matrona, zamożna krewna, osoba z lepszego świata, dyplomacja, reprezentacja, uroczysta zapchajdziura.

Leży toto czworokątne, grube, opasłe, ciężkie, złożone, odgniatane we floresy, w precelki, w dzyndzyki, w gzymsy, w groszki, w kropki, w rzuciki, w pałaczkiki, w żyły, w żylaki, w guzy, w papilotkowe loczki, w zefirek, w chmurki — tłoczzone w napuszczanym płótnie. Które to płótno jest jak skóra trwałe.

Albo leży toto, tłoczone w skórce, która jest wytrzymała, jak metal.

Kanty ma to zdwojone w double-skórce, albo okute w mosiądz prawdziwy, żeby Niemcy wiedzieli o tym mosiądzu, to by razem z klamkami zaraz do armat swych poodbierali.

Na grzbiecie ma, to matroniszczce, czworogranną łatę czerwoną z safianu, ze złotym tytułem i z autorem. Na przykład: *Pan Tadeusz* — przez Adama Mickiewicza. Albo: *Stara Baśń* — przez J[ózefa] Kraszewskiego. Albo *Grottgger* — przez A[ntoniego] Potockiego.

Wszystkie boki ma złożone hartownie. Złoto trzyma się dotąd, choć przez letnie miesiące, gdy dom bawi na letnisku, słońce tu operuje, jak chce.

Ale co może słońce wobec dawnej solidnej roboty, kiedy to nie było gadania ani żadnych „związków”, tylko majster mógł rznąć czeladnika w ucho, ile włożył?!

Więc rzecz jest odrobiona na amen, a wszystkie ozdoby — też na amen.

Matroniszczce to można otwierać. Operacja połączona będzie zawsze z jęklwym odgłosem dyskrecji obrażonej.

Głos otwarcia: szumi, jak świeża, dobrze prasowana pościel.

Stronice glansowane, z numerami porządkowymi na dole. Nie na górze. Nie, jak w ordynarnej, zwykłej książce!

W książce galowej, salonowej, w takiej salonce zarezerwowanej, w takiej uroczystej *séparée* nie może być gminnych porządków: cyfry wszystkie ze specjalnymi, stylowymi ogonkami kryją się na dole.

Wszystko jest tu zresztą obmyślane pieczołowicie. Obrazki w treści przegradza stosowna bibułka. Na bibułce jest napis, wyjaśniający znaczenie obrazka.

Obrazki te wszyscy doskonale znamy, ale taka książka wiekopomna, reprezentacyjna, wizytowa, jubileuszowa przewiduje, że mógłby znaleźć się ktoś nieuświadomiony.

Treść obrazków przeważnie Andriollego. Ileż tu samej prawdy historycznej, rzeczywistości, i naprężonych żył, i wiekopomnych zmarszczek hetmańskich!

Obecnie nie znalazłby malarz modeli takich. Nie ma już w Polsce takich zdrowych siłaczy. W czasie Andriollego mogli być jeszcze. Od powstania wielkich miast i połączonego z nimi zepsucia datuje się upadek.

Gmach ten, to ciężkie pudło, płyta grobowa z metalowymi kantami leży od lat w każdym szanującym się salonie. Na kapie, czy też na nicianej dzierganinie, czy na innej jakiejś kochanej robótce rodzinnej, która czepia się gości za guziki i zawsze chce lecieć na podłogę z całą zastawą podwieczorku.

Gmach ten — widzimy, przenosząc toto na fortepian dla uczynienia miejsca talerzykom — gmach ten, ta matrona reprezentacyjna odparzyła już sobie od robótki rodzinnej, zawsze tu rozścielonej, tylną swoją okładkę.

Odparzyła, a równocześnie w ciągu tak długich lat zapocił się już pod nią i zmatował cały prostokąt polityury.

Stolarz mówił, że poprawi, lecz żeby potem kłaść książkę w inne miejsce, bo inaczej będzie znowu to samo.

Gdzie jest to miejsce?

Nie ma. Po tygodniu książczysko leży znów, gdzie przedtem, na lewo od japońskiego wazonika.

Należy teraz jeszcze zbadać sprawy dwie:

Primo: Rodowód przedmiotu.

Secundo: Jego cel użytkowy.

Dlaczego, kiedy, z jakiego powodu w cichym twoim domu, skromny Polaku, znalazła się ta gruba kilkusetstronicowa wiekopomna ostentacja?

Ileż razy, gestykulując, spierając się, kłócąc, dowodząc, walisz ją po grzbiecie, jakbyś miał do niej wszelkie prawo? A jednak mówmy brutalnie, nie kupiłeś jej za pieniądze!

Księgę tę dano ci w prezencie.

Kiedy?!

Wiem kiedy. Gdy odrobiłeś dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat kieratu: nauczycielstwa, sędziostwa, prezesostwa lub radcowania.

Na imieniny.

Wtedy to zeszli się poufnie twoi koledzy i powiedzieli sobie: „Złotej papierosnicy nie damy mu, bo to za drogo... I obraziłby się z pewnością. Tyle wszędzie teraz w kraju nędzy! Może by mu się futro przydało, ale — z jego astmą? Za ciężkie będzie. Tu trzeba coś dla domu i żeby raz na zawsze została jakaś pamiątka”.

Coś... z duszy!

Wtedy to dano ci ten złożony safianowy kawałek. Kawałek twojej zapomnianej duszy.

Do czegoż ci on służy? Obejrzałeś obrazki, wygładziłeś ochronne bibułki, położyłeś rzecz całą pod wazonikiem japońskim i nigdy nie czytałeś.

Służy ci, gdy cię interesent zastaje bez kołnierzyka! Możesz wtedy powiedzieć, zręcznie zaokrągliwszy ramię: „O, proszę, ma pan tu coś do czytania, ja zaraz”.

Służy ci na Boże Narodzenie do utrwalania równowagi źle osadzonego drzewka.

Służy ci, gdy masz dać dziecku rycyny. Obiecujesz za to oglądanie tej książki z salonu.

Służy ci, by twój podwładny, który czeka na ciebie w saloniku, mógł powiedzieć ulatującym sprzed rycin bibułkom: „Ten stary cymbał trzyma mnie tu już trzydzieści minut”.

Służy ci... Gdy przechodząc w zimie o zmroku przez ten pokój, zobaczysz nagle złote strączki, tłoczone na czerwonym safianie, odwracasz głowę. Przypominają ci się nagle koledzy, podpisani na pierwszej stronicy daru, trzech już nie żyje, czwarty... jest na nerki w Egipcie...

Od wczoraj masz ostatnią swoją analizę. Niedobra...

Przystanąłeś, patrzysz na złożone grube strączki, tłoczone na okładce, zdaje ci się, że zaczynają rozlać się po stole jak robactwo.

2. Kamieniczniczka

Odziedziczona, przychowana i rozmnożona. Zamieszkała, niby w kamienicy, w dużej, orzechowej lub też dębowej szafie frontowej, bibliotece o trzech woletach, tryptykoidalnej, z fryzem na górze. W bibliotece o trzech szybach dygocących, przesłoniętych zieloną rozsuwaną firanczką.

Dwa piętra z mezaninem, razem trzy. Górne piętra za szkłem.

Mezanin stanowią trzy obszerne szuflady, na ilustracje, dyplomy, atlasy i pisma.

Parter masywny, zamykany na drzwi materialne w dębie, czy też w orzechu.

Dwupiętrową tę budowlę z fryzem, przedstawiającym trójkąt (czy nie opatrność?!), upstrzony rżniętymi różami, galeryjką na podłuz i toczonymi kuleczkami po rogach wspominanie w rodzinie z pewnego rodzaju rozczarowaniem.

Nikt z was po śmierci staruszka ojca nie spierał się o ten kawałek schedy.

Jeżeli przy papierach wartościowych, przy domku, placyku, jakimś tam kawałeczku lasu czy pola, a nawet przy tak serdecznych pamiątkach jak zegarek złoty, złote spinki, jubileuszowy pierścionek, jeżeli nawet przy tych drobiazgach zachodziły pewne niejasności, to tu, mój Boże!

Dwaj młodszy bracia powiedzieli zgodnie, nie patrząc na swe żony, które już naprzód przytaknęły głowami: „Jako najstarszy bierzesz tę bibliotekę”. Jasne.

Żona twoja spojrzała na twych braci podejrzliwie, lecz ty westchnąłeś skrycie... Nie przez chęć zysku, czy też żądzę posiadania drukowanych mądrości, nie dlatego też, że bibliotekę tę wytrącą ci bracia przy rozdziale innych pożyteczniejszych przedmiotów!

Westchnąłeś, gdyż w dzieciństwie jeszcze marzyłeś, by „mieć na własność” te trzy drewniane kulki toczone, które zdobią dębowy gzymsz szafy. No i nagle bez żadnych kłopotów masz kulki z całą szafą.

Dziwna to rzecz marzenie ludzkie...

Chodzi teraz o to, gdzie ją postawić?

Przy ustawianiu okazało się, że biblioteka nie ma czwartej nogi. Nie jest to nawet właściwie noga, a tylko podstawa. Gdzież teraz znaleźć odpowiednią?

Nadawałaby się doskonale podstawa ze starej komody. Antyk. Ze starej komody po babce żoninej (mieli wielkie majątki na Wołyniu), sztucznie otwieranej (mowa o komodzie) z umarłym lustrem zielonym w wierzchniej pokrywie.

Stary klocek komody pasowałby... w sam raz.

Albo zawołać stolarza. Stolarz może przyjść dopiero w piątek, a tu trzeba by skończyć z tym ostatecznie i zrobić już porządek.

Wtedy to służąca wasza Rózia (ileż to lat temu, co się też dzieje teraz z tą Rózią) podłożyła grube polano z kuchni.

Co powiedziałeś wówczas?

Powiedziałeś: „Rózia ma też pomysły!”.

Polano dotąd trwa i dźwiga bibliotekę. Kopie się je po całej jadalni przy każdym wielkanocnym sprzątanu i znów wieczorem podtyka się na miejsce. Gdzie tu w Wielkim Tygodniu szukać robotników?

Bibliotekę tę bowiem ustawiliście w jadalni. Gdzież indziej mogła stanąć?

W sypialni — nie. Za uroczysty mebel, za poważny.

W salonie — nie. Dąb w stylu rokoko nie godziłby się z twoim empirowym mahoniem.

W pokoju chłopców — zniszczą w jednej chwili. Najlepiej więc w jadalni.

Naprzeciw kredensu.

Zatwierdziłeś to zdaniem, które podobało się twojej żonie i zostało poniekąd w twojej rodzinie jako doskonałe, murowane powiedzenie.

Powiedziałeś: „Kredens duchowy naprzeciw kredensu żołądkowego!”.

Jeszcze dziś, ile razy są goście i odsuwając krzesła od stołu, uderzają o wypukły mezanin biblioteki, żona twoja uśmiecha się i przecinkując słowa bystrzymi spojrzeniami, dorzuca lekko: „Kredens duchowy naprzeciw gastronomicznego”.

Prawda! Podczas takiego przyjęcia młody twój asystent, chcąc specjalnie podziękować twojej żonie za jakąś potrawę, mimochodem zwałił ustawioną na mezaninie sałatkę z pomidorów.

Kretyn.

Dzieląc się wieczorem wrażeniami z przyjęcia, zacząłeś z uśmiechem: „Ten kretyn” — żona nie dała ci skończyć. Uznała, że pan Stefan, ów właśnie twój asystent, jest człowiekiem „na miejscu”, i bardzo dla domu oddanym. Uważała od dawna, że to ty raczej właśnie powinieneś bibliotekę przenieść do siebie, do gabinetu.

Nie wiadomo, dlaczego odpowiedziałeś nagle: „Za nic w świecie!”.

Mało obcowaleś z tą biblioteką, przyznać jednak trzeba, że masz dzięki niej kilka pięknych wspomnień. Jedno z pierwszych, gdy w parę miesięcy po śmierci ojca postanowiłeś zrobić porządek z książkami.

Było to w czasie wiosennych wyścigów. Pierwsze dnie. Dziś już niepodobna sobie nawet wyobrazić, że mogło być u ciebie w domu zajść coś podobnego...

Niebywałe historie!

Twoja żona zaczęła bywać na wyścigach. Najspokojniej, najprzystojniej w świecie, ze swymi braćmi (cymbały) i jeszcze kilku jakimiś znajomymi.

Przyszedłeś na dwa ostatnie biegi. Była w różowej sukni, rozprawiała z ożywieniem o totalizatorze i śmiała się, pierwszy to raz widziałeś wtedy, dla siebie, nie do ciebie...

Do nikogo, w powietrze, pierwszym swym narzeczeńskim uśmiechem.

Przyjechaliście potem do domu.

Nie chodziło tu bynajmniej o przegrane pieniądze.

Już przedtem bolała cię głowa. Nie chodziło też wcale o przerwanie załoby po niedawnej śmierci twojego ojca. Można było poczekać z tą suknią. Ale, mniejsza już o to!

Po prostu: migrena.

Dla dystrykcji postanowiłeś wtedy właśnie na oszklonym górnym piętrze szafy doprowadzić książki do porządku.

Całe górne oszklone piętro, bagatela, trzy godziny roboty.

Przez niziutką półkę najwyższą pojechał cały Kraszewski w wybladłym pomidorowym płócienniku.

Za nim Kaczkowski.

Układając go, rzekłeś: „Albo na przykład *Olbrachtowi rycerze* — świetna rzecz. Ale czy to kogo obchodzi? Ludzie wolą marnować czas byle jak”.

Kraszewski, Kaczkowski, Klementyna z Tańskich w tekturowym marmurku. Kremera odrzuciłeś do naukowych.

Klaczko.

Biorąc go do ręki, rzekłeś: „Chyba też dział naukowy? *Wieczory florenckie*. A mówią, że to Żyd”.

Zamyśliłeś się, żona siedziała przy oknie, wpatrzona w roziskrzone na niebie gwiazdy.

Po postanowiłeś jechać dalej Orzeszkową, Dygasińskim, Sienkiewiczem, Prusem, Konopnicką.

Pięćdziesiąt tomów Sienkiewicza.

Prusowi krzywdą się stała, nie ma co.

Gdzie tu wsadzić Sewera?

— Popatrz no, ojciec miał nawet Przybyszewskiego. Wyspiański, pierwsze wydania. I Staffa czytało ojczysko, czy co? Nic nie rozumiem...

Ułożywszy książki „raz na zawsze”, umywszy ręce w trzech wodach z tego kurzu, zacząłeś długie kazanie do żony. Rozprasza się, ma pod ręką takie skarby, a tymczasem... Przecież nie samym ciałem żyje człowiek. Duszę też trzeba trochę rozwijać. Potem dzieci spytają o to, o tamto — i co?

Objąwszy ją przy oknie, powiedziałeś wyraźnie, że jest głupia. Może nawet za głupia.

Rozpłakała się, jej łzy tak pięknie błyszczały w księżycowym świetle.

Czyż nie miłe, nie cenne wspomnienia?

A inne, też dzięki bibliotece, po szkarlatynie malców.

Niechże biorą, co chcą, nie zależy ci na tych szpargałach, Bóg łaskaw, wszystko tak szczęśliwie minęło.

Pomalowali całego Szekspira. Hamlet dostał czerwone spodnie, na falistą grzywę czarny cylinder i papierosa do ust, z dymem, zakręconym przez dwie stronicę. Kaliban jest ogolony i siedzi przed Prosperem w pruskiej pikielhau-bie. Pięćdziesiąt tomów Sienkiewicza stoi jako wigwamy Indian, naprzeciw w jubileuszowej, choć nieoprawnej ciągle jeszcze Orzeszkowej mieszkają czar-ni Zulusi.

Cieszysz się. Po stole, po kołdrach, poduszkach, wszędzie wałęsają się książki, furkocąc syrkimi kartkami. Latają aż pod sufit. A niech latają, nie ma nad zdrowie w domu!

Rzecz prosta: święta takie są rzadko. W dzień powszedni biblioteka spełnia prace pokątne. Za fryzem pod dębową galeryjką chowacie klucz „od góry”. Nie wolno go nikomu pożyczać, kuchty bowiem, jedna drugiej „przez złość” kradnie bieliznę i szukaj potem wiatru w polu.

Chowacie tam też papier do pakowania, klucz od piwnicy i stare gazety.

W oszklonych pomieszczeniach pierwszego piętra, w rogach, pod ściankami stoją „głównie” stare leki. Szprycka do oka z kroplami, które ogromnie zmętniały. Zapomniana fłaszeczka z jodyną. Jodyna dawno wyschła, ale przedtem nadżar-ła korek, który, nie wiedzieć jakim cudem, sam wpadł do środka butelki. Maść do wywabiania odcisków... Zapomniana zapałka z „nakręconą” watką do zęba. Czarne przepalone już żarówki, a wyrzucić nie można, bo jak huknie, to cały dom na nogi postawi! Kokardki kotyliona. Jakaś forma wycięta w żelatynowym papierze do tortu, czy na ubranie dla dziecka.

Na stryszkach, to jest między książkami a spodem wyższej kondygnacji, mamy akta wszelakie. Kwity za komorne. Stare weksle. Zapłacone rachunki. Sztynna okładka z gumką po biletach Cooka. Klucz od fortepianu. Zostawiona przez kogoś przed laty, czysta, zaprasowana chusteczka do nosa. Stary rulon z dziecinnymi powinszowa-niami imienin.

Szeroki występ mezaninu służy jako bufet. Mimo że jest kredens naprzeciw; lecz takich miejsc do stawiania nigdy w żadnym domu dosyć. Mezanin biblioteki służy jako bufet i jako łącznik w całym życiu domowym.

Tu cisną chłopcy szkolne książki, gdy wrócą ze szkoły. Tu po drodze stawia służąca doniczki z kwiatami. Przy wszelkich sprzątaniach tu leży ścierka do kurzu i piórkowy czub do zmiatania obrazów. Tu zazwyczaj czekają gazety i listy. Tu pod ciężarkiem, żeby przeciąg nie zwał, leżą telegramy i pasta do froterki.

Małoż to roboty ma biblioteczka? Tu w razie przyjęć stoi serwisik z wódeczką, wino, piwko. Nie trzeba uczonego, żeby poznał po odparzonych tonsurkach od kieliszków.

Tu przecie, gdy już wytrzymać nie możesz, tak ciągle chcą od ciebie czegoś wszyscy, zerwawszy się od stołu, rzucasz pomietą serwetę.

I w końcu... Tu stała się ta rzecz potworna! Gdy stanąwszy przy mezaninie zacząłeś swe kazanko do synów, że już dłużej nie możesz, dosyć, nie masz pieniędzy na takie błazeństwa!

Wskazałeś gestem Nelsona oszklone zielone firaneczki biblioteki i krzyknąłeś: „Zamiast włóczyć się tak, wołałbyś jeden z drugim przeczytać coś kiedyś, trochę rozumu do głowy sobie włożyć!”

Starszy syn warknął: „Na przykład?”

„Jak to na przykład?!”. Szukasz w myślach, nie znajdujesz, rozděła ci się pustka w całej głowie i nie zdążyłeś drzwi zamknąć, gdy twój starszy syn cisnął nożem w szyby biblioteki. Stłukł, szkło bryznęło na podłogę, uciekł z krzykiem przez kuchnię.

Powróciłeś tu cicho, na palcach.

Poprzez rozdartą firankę nóż tkwi w ścianie bibliotecznej szafy, a zarazem, jakoby w twoim sercu. I tylko nie wiesz, nie rozumiesz, pojąć nie możesz, dlaczego serce to jest jakby ze starej, zielonej, wypłowiałej satyny...

3. Książka — Ulicznica

Rodzi się jak pchła z piasku.

Z niczego, z mnóstwa, z mrowia, z jakiegoś bezustanku, z jakiejś wielości sypkiej, nieujętej. Z ciekawości, głupoty, z prostackiego marzenia, pospolitego kłamstwa, z asfaltu, z sinych woni gazoliny, mobil oil, benzyny, tygodni białych, gwiazdkowych, wielkanocnych, wyprzedaży, rzymskiej łaźni, tureckiej, kroniki, przystanków tramwajowych, banków i klasycznej loterii, ze stadionu, ze wszystkich piłek ręcznych, nożnych, rzucanych, z wyrobu gumowego, boksu, tenisa, z wystawy rękawiczek, napierśników, majtek, z telegramu, transakcji, telefonu, z tygodnia lasek, krawatek, pidżam i z uroczystej defilady na placu Odrodzenia!

Tłoczona jest na śmieciu, strzępach, gałganach, szmatach, pachnie chlorkiem, krochmalem; starą kawiarnią, młodym potem, poczekalnią fryzjera, piwem, barem, piżmem, toaletową wodą, mydliną.

Tłoczona jest na śmieciu, ulanym z wyrzuconych nieczystości, stronice rozdeptane posiada, krzywe, brudne, łamiące się rozgłośnie, jak kelnerskie półkoszulki.

Stronice na wieki przesiąknięte upiornym światłem gazu, pozszywane nie dbale, we wszystkich zgięciach trzeszczące żalosnym niedowładem.

Na wierzchu nosi fular, ozdobę, coś jakby kolorowy szalik apaszowski — okładkę kolorową ze strasliwym zabójstwem odzianym w koronkowe majtki, okładkę kolorową z miłością w generalskim mundurze, okładkę kolorową z podróżą w brzuchu zastrzelonego słonia, okładkę kolorową z haremem zgwałconych hrabin na Saharze, okładkę kolorową z następcą tronu u stóp demonicznej brunetki, okładkę kolorową z plecami krwawymi od kańczuga, okładkę kolorową z angielskim kaskiem, czarną czapą czerkiesa, bokobrodami przewrotnego lorda, dwupłatowcem, który uwozi młodą parę z paszczęki krokodyla, z orangutanem, w którym zakochała się amerykańska miliarderka.

Okładkę pełną nieprzytomności naiwnej, rozbestwionej, splakanej, szalejącej tumanami odętej bujdy od Leningradu, Irkucka, Charbina po Rio de Janeiro.

Od Rio de Janeiro przez wszystkie wody, góry, brzegi aż pod poduszkę, gdzie właśnie uczeń ukrywa te książeczki.

Od Rio de Janeiro aż po krainę najtajniejszych ukradków, zakrytych z wierzchu botaniką, chrestomatią, logiką po tę krainę, którą przemierza się oczyma cielecego zachwyty.

Rodzi się, jak pchła z piasku, z niczego. Tłoczona jest na śmieciu, ciało ma kruche, marne, odziana jest potwornie. Jest bezwstydna, przerosłe swoje kształty wywala spod odzieży, pachnie kanałem.

Malowana jej gęba nie zamyka się ani na chwilę od najświętszych maksym i taką właśnie: najtańszą, pospolitą, najgłupszą rozwożą, noszą, rozdzielają i obysyłają wszędzie, za witrynami, w koszach, na ladach, wózkach, na ramionach, pod pachą.

Nie wpuszczają do domów, do szkół czy do bibliotek. Ma wszystkie drzwi zamknięte, lecz przeciska się progiem, szczeliną, szparą, rozrywana wzdłuż nierozciętych kartek pośpiesznymi palcami, składana wspak, łamana, pożyczana, dzielona na kawałki, przykryta, przysiedziana, zachowana jak stary pieski ochłap na później pod dywanem, zatajona pod hydrantem klozetu.

Najpodlejsza rzekomo, a przecie najdumniejsza.

Nieistniejąca niby w żadnych spisach, lekturach, a przecie oczywista, gdyż więcej czytała!

To ona właśnie żyje!

Ona nędznym swym ciałem obdziela wszystkich, ona swą szorstką ręką urabia serce pokolenia, ona szeroką gębą głosi najpowszechniejsze słowo!

Ona, najpospolitsza rzecz, powszechna prawda, marzenie w brudnej ścierce.

Tego uczyć się trzeba, panowie poeci, panowie pięknoduchy, panowie rarytasy: by się wizja waszmościów rodziła, jak pchła z piasku, z niczego. Z asfaltu, z mobil oil, z gazoliny, ze stadionu, z wystawy rękawiczek, krawatek, czy z loterii.

Albowiem ta ulicznica niestrudzona, odbijana w tysiącach egzemplarzy jest właśnie tylko siostrą, młodszą i lepszą siostrą tamtej starszej, złocistej, wzniosłej, haftowanej, która na niebotycznym tronie przezacnych cnót zasiada i woła szklanym głosem świętości niedosiężnej: „Świat ma być dla wszystkich!!!”.

Klin.
Książka na ulicy

[„Przegląd Księgarski” 1930, nr 16, s. 226—227]

Obok wielkich księgarń, szanownych firm, mieszczących się we własnych gmachach, które nęcą publiczność reklamą pięknych, efektownych okien wystawowych, obok księgarń mniejszych, położonych dalej od środka miasta, od wykwinnych aż do najskromniejszych, zaniedbanych jak na zapadłej prowincji, zajmują się jeszcze sprzedażą książek w stolicy koledzy ubożsi, którzy, wzięwszy stos broszur na rękę lub umieściwszy je w koszu dużych rozmiarów (ba, nawet jeden z nich w starym wózku dziecinny), oferują je przechodniom, zachęcając do kupna w najrozmaitszy sposób.

Jedni wykrzykują ceny uderzające często taniością w porównaniu z cenami książek w księgarni, zaznaczając wyraźnie i donośnie: „Tylko pięćdziesiąt groszy, co w sklepie kosztuje trzy złote”, inni wywołują tylko zachęcające tytuły: *Romans kurtyzany* lub *W sidłach namiętności*, a inni szeptem, tylko na ucho, polecają artykuły, niby zakazane „erotyki”, jak Boccaccia, Aretina, Brantoma, no i (o zgrozo!) Forela.

Ci księgarze wędrowni, odwiedzający też lokale drugiego rzędu i pomniejsze cukiernie (bo do pierwszorzędných ich nie wpuszczają), kroczą z powagą od stolika do stolika w poszukiwaniu odbiorców, jako też tamci, zamożniejsi już właściciele koszów, stolików czy wózków dziecinnych, mający swe ustalone tradycją stanowiska jak np. na placu Napoleona obok gmachu poczty, u wejścia do ogrodu Saskiego od strony ulicy Marszałkowskiej, na Nalewkach, przy ulicy Żabiej, Franciszkańskiej itd., zasługują już od dawna na swoją kartę w historii księgarstwa.

Wiele się o nich słyszy i słyszało przy omawianiu spraw związanych z puszczaniem niektórych wydawnictw „na kosze”. Nieraz, choć tylko pośrednio, napuśli dużo krwi księgarzom, gdy okazało się, że słuszne są reklamacje oburzonego klienta, który żądał zwrotu pieniędzy za książkę, kosztującą w koszu połowę lub jeszcze taniej. Były też czynione próby ze strony księgarstwa uniemożliwienia im dalszego wykonywania zawodu księgarskiego na ulicy, jednak życie poszło swoim trybem, a księgarstwo uliczne istnieje w dalszym ciągu.

Jak się dowiaduję w rozmowie z jednym z cukiernianych księgarzy, który od dwudziestu sześciu lat już sprzedaje książki i który nie szczędził mi informacji,

zachęcony do tego zaofiarowanym papierosem, obroty jego i kolegów są bardzo skromne, szczególnie, że jak to z natury rzeczy wynika, dni niepogodne są wyłączone od pracy. Zarabiają jednak przeciętnie od dziesięciu do piętnastu złotych dziennie, bo korzystają z wysokich rabatów. Za książki płacą zawsze gotówką, ale mają prawo zamiany artykułów słabych na lepsze idące.

W książki zaopatrują się w kilku źródłach, przeważnie jednak u znanego szeroko nabywcy resztek nakładów, który już rozprzedał wiele książek nieidących, tzw. „trupów”. Dokonał tego cudu naturalnie za pośrednictwem naszych księgarzy wędrownych, właścicieli „koszów” oraz małych księgarń, przeważnie prowincjonalnych, które dobrze wiedzą, gdzie zawsze jest sposobność do nabycia książki z większym rabatem mimo obniżenia obowiązującej ongiś ceny brutto u wydawcy.

Główną podstawą ich handlu jest beletrystyka wszelkiego rodzaju, przeważnie „najlżejsza” literatura życia seksualnego, no i *erotica*. Uskarżał się mój rozmówca, że, niestety, mają bardzo mało tego towaru do dyspozycji. Dla stałych odbiorców nie mają nowości z tej dziedziny, wobec czego stale jeszcze takie książki jak *Decameron*, *Jak Pipa swą córkę na kurtyzanę wychowała* są ich żelaznym asortymentem. Broszur popularnych nie sprzedają wcale, gdyż są za tanie i nie mają zbytu, a naukowych dzieł też nie, bo są grube i ciężkie, więc nieodpowiednie do handlu obnośnego, głównie zaś dlatego, że brak na nie odbiorców. Zaznaczyć jednak trzeba dla sprawiedliwości, że przedrukowane wydanie dzieł Mickiewicza w jednym tomie Piniego (dawne wydanie Altenberga) w czerwonej oprawie, ze złożonymi napisami, należy również do stale idących artykułów, co dowodzi, że jednak jest zapotrzebowanie na tanie wydawnictwa naszych wieszczów.

Amerykańskiej kariery „od sprzedawcy ulicznego do milionera” żaden z naszych księgarzy ulicznych nie zrobił. Jeden tylko dorobił się nieznacznego majątku (małej nieruchomości), ale ze sprzedaży książek nie w Warszawie, a na rozjazdach, następnie na jarmarkach, w miejscach odpustowych itd. Szczęśliwiec ten wywalczył sobie też wstęp do kilku biur państwowych i komunalnych, gdzie pozyskał stałych klientów.

Zapytałem swego informatora, dlaczego wobec takich wyników, osiągniętych przez jednego z nich, nie wybierają się również, przynajmniej od czasu do czasu, na prowincję, wszak Polska wielka i znalazłoby się dość odpowiednich terenów dla intensywnej sprzedaży książek, ale na to pytanie nie otrzymałem już odpowiedzi. Wolą widocznie pozostawać w Warszawie, gdzie odbywają codziennie swe kursy na tych samych ulicach, wstępując do tych samych lokali i przeważnie z tym samym, mało urozmaiconym asortymentem.

Najlepszymi odbiorcami ich, na których polują w okolicy dworca, przeważnie na rogu ulicy Złotej i Marszałkowskiej przy cukierni Grodzickiego, są przyjezdni, którzy są chciwi na „okazję”, w cenach zaś książek nie orientują się wcale. Im też często „fuksem” sprzedają książki po wyższej cenie od księgarskiej.

Przy końcu rozmowy kolporter utyskiwał wielce na konkurencję „Raju”, która daje się jemu i jego kolegom silnie odczuwać.

Tu należy przypomnieć, że wydawnictwo „Rój” bierze również udział w sprzedaży książki na ulicy. Zainstalowało ono kilka stolików-księgarni, w których sprzedaje przeważnie własne nakłady (po cenach katalogowych). Czynne są te księgarnie do późnego wieczora, a także w niedziele i święta. Wszystkie te stoliki, w liczbie trzech, ustawione są w centrum miasta, w sąsiedztwie księgarni: jeden przy Marszałkowskiej, drugi na Nowym Świecie, trzeci na Krakowskim Przedmieściu.

Dla asortymentów stołecznych, poza tym w ogóle dla księgarzy w większych miastach, stanowi „książka na ulicy” objaw wielce niepożądany ze zrozumiałych względów konkurencyjnych. Szczególnie jest niemiły i pociąga za sobą wiele konfliktów, gdy jakiś wydawca puści swe wydawnictwa „na kosze”, bez uwiadomienia o tym księgarń, by i te mogły odpowiednio ceny obniżyć.

Dla wydawców natomiast, którzy muszą mieć jakąś możliwość wyzbycia się nieidących wydawnictw, nabywcy resztek nakładów, a więc i sprzedawcy-kolporterzy, są bardzo pożyteczni. Na tym jednak by kolporterzy sprzedawali książki koniecznie na ulicy wielkich miast, chyba specjalnie im zależeć nie może. W wielkim mieście, jeżeli ktoś zechce się zaopatrzyć w lekturę, ma dużo sposobności do tego w dość licznych księgarniach. Gdyby jednak który z nich chciał specjalnie popierać sprzedaż uliczną, powinien zrezygnować z rozpowszechniania swych wydawnictw za pośrednictwem księgarń związkowych.

Natomiast tak asortymentyści, jak i wydawcy, z pewnością nie będą mieli żadnych zastrzeżeń przeciwko kolporterom odwiedzającym domy, szczególnie w małych miastach i na prowincji. Taka ich praca zarobkowa przyczyni się do propagandy czytelnictwa wśród sfer nieodwiedzających księgarni.

Zasady wydania

Materiał niniejszego wydania stanowią teksty powieści publikowanych pod koniec XIX i na początku XX wieku w formie osobnych zeszytów, w prasie lub jako druki zwarte, a także teksty eseistyczne i publicystyczne.

Powieści przedrukowane zostały z następujących wydań:

Adolf Rode [George Füllborn], *Barbara Ubryk czyli Tajemnice klasztoru karmelitów w Krakowie. Z notatek pewnego zakonnika spisał Dr. Rode. Przekład z niemieckiego*. Nakładem Jana Breslauera, Warszawa 1869—1970.

J. F. Born [George Füllborn], *Izabella Królowa Hiszpanii. Powieść historyczna*. Wydawnictwo „Powieść Zeszytowa”, Warszawa 1939.

Karol Kropidełko [Adam Nowicki], *Tajemnice Krakowa, romans współczesny. Napisał dr. Karol Kropidełko*. Nakładem i drukiem Józefa Fischera, główny skład w Warszawie u Leopolda Ebera, Kraków 1888.

Adam Witold Koszutski [Adam Pierzchnicki], *Tajemnice Warszawy. Powieść na tle wypadków lat ostatnich*. Nakładem Taniej Biblioteki, Warszawa 1909.

Tajemnicze Przygody Szerloka Holmesa Słynnego Ajenta Śledczego. Zeszyt 33 [1908]: *Rzeźnia ludzka*. Drukarnia Wojciecha Korfantego, Warszawa 1907—1909.

Lord Lister. *Tajemniczy незнаjomy*. Zeszyt 1. Wydawnictwo „Republika” Spółka z o. o. Stefan Pietrzak, Łódź 1937.

Buffalo Bill. Bohater dalekiego zachodu. Zeszyt 1: *U pala męczarni*. Wydawnictwo „Republika” Spółka z o. o. Stefan Pietrzak, Łódź 1938.

Rocambol — herszt Czarnej Ręki. Zeszyt 1: *Krwawy sobowtór*. Zeszyt 2: *Noc w podziemiach*. Wyd. „Romi”. Druk. R. Olesiński, W. Merkel i S-ka; Akademicka, Warszawa 1924.

Ludwik Payor, Jerzy Rolicz. *Przygody 13-letniego podróżnika*. Zeszyt 5: *Skarb Sundrama*. Wydawnictwo „Współpraca”, druk „Współpraca”, Warszawa ok. 1938.

Edmund Bartoszek, *Skazana przez życie*. Zeszyty 1—3. Wydawnictwo i druk Zakład Graficzny „Ostoja”, wł. J. Kotkowska, Łódź ok. 1930.

Andrzej Młot, *Bezkarci bandyci stolicy. Powieść o Warszawie grozy i zbrodni*. „Głos Stolicy” 13 września—16 grudnia 1932.

Julian [Ludwik] Starski, *Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno-kryminalna*. „Express Wieczorny Ilustrowany” 20 stycznia—9 marca 1927.

Rinaldo Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty włoskiego, romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia. Nakładem Księgarni Popularnej, Warszawa 1910.

Juanita Dela Cuezca, *Zabiłem brata. Powieść z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii*. Nakładem oddziału Małego Dziennika, Drukarnia „Promień”, Wilno 1936.

Nie zrezygnowano z oznakowania pierwodrukowych odcinków powieści tam, gdzie były one wyodrębnione.

Dla uporządkowania tekstu, w przypadku gdy układ drukarski utrudniał odbiór czytelniczy, kolejne akapity łączono lub rozdzielano.

Podczas lektury warto pamiętać, że na pierwotny kształt tekstów utworów w pierwodruku, czasem daleki od poprawności językowej, wpłynął sposób publikacji i mechanizmy edytorskie właściwe literaturze brukowej. Najprawdopodobniej w pierwodrukach nie dokonywano korekty tekstu lub dokonywano jej bardzo po-bieżnie, nie przywiązując szczególnej wagi do dbałości o poprawność językową.

Tekst niniejszego wydania powieści musiał wobec tego zostać poddany licznym modyfikacjom.

Poniższe zasady wydania zostały zastosowane z uwzględnieniem właściwości języka i stylu poszczególnych powieści.

Oto najważniejsze decyzje wydawnicze, przykłady ingerencji i dokonanych zmian w różnych warstwach języka tekstu: interpunkcji, ortografii oraz fleksji, a także przykłady modyfikacji stosowanych form zapisu.

Podczas przygotowywania tekstów powieści do edycji problemy edytorskie pojawiły się przy pracy nad szczególnie niedbałą w pierwodrukach interpunkcją. Doprowadzono ją do stanu współczesnego, jednak z pewnymi wyjątkami. Uwzględniono bowiem zasady współcześnie obowiązującej interpunkcji logiczno-składniowej, starając się jednocześnie nie dokonywać zbyt drastycznych ingerencji w tekst. Wydanie niniejsze zachowuje więc do pewnego stopnia swoistą młodopolską manierę interpunkcyjną, polegającą na pomnażaniu znaków: pytajnika, wykrzyknika i wielokropka. Ich redukcja wprowadzana była tylko w wypadkach hipertrofii, burzącej logiczny sens zdania. Potrójny łącznik pełniący funkcję myślnika bądź wielokropka, podyktowany prawdopodobnie pamięcią o manierze modernistycznej, zastąpiono odpowiednimi znakami interpunkcyjnymi. Dla zachowania oryginalnego charakteru intonacyjnego tekstu pozostawiano dwuznak wykrzyknikowo-pytajnikowy („?!”). Również inne, występujące często, sygnały emocji, zawieszenia głosu, wykrzyknienia oraz towarzyszące im znaki interpunkcyjne pozostawiono bez zmian. Podejmując wszystkie tego rodzaju decyzje, mieliśmy na uwadze zachowanie pewnych szczególnych właściwości prozodii i dynamiki tekstu.

Zapis dialogów, monologów oraz przytaczanych przez narratora myśli bohaterów, który w pierwowzorze stosowany był niekonsekwentnie, ujednolicono, stosując się do obowiązujących współcześnie zasad interpunkcji.

Zgodnie z dzisiejszymi normami stosowano przecinki, usuwając przed spójnikiem *i*, dodano przecinki po wykrzyknieniach (np. *O, nigdy żaden...*). Do współczesnej normy dostosowano interpunkcję w zdaniach podrzędnie złożonych. Uwspółcześniono również funkcję dwukropka. Usunięto znaki zapytania w zdaniach niebędących faktycznie pytaniami. Rozmowy bohaterów przytaczane w postaci mowy zależnej umieszczano w cudzysłowach.

Pod względem ortografii wprowadzono nieliczne zmiany. Jako nadrzędne kryterium przyjęto komunikatywność tekstu dla współczesnego odbiorcy i zgodność z obowiązującą obecnie normą.

Zmodernizowano pisownię łączną i rozdzielną, np. *poprostu* → *po prostu*, *dla tego* → *dlatego*, *na prawdę* → *naprawdę*, *za nadto* → *zanadto*.

Zmodernizowano pisownię wyrażen *potym* → *potem*, *przyczym* → *przy czym*, *potrochu* → *po trochu*, *gdzieindziej* → *gdzie indziej*, *zwolna* → *z wolna* w znaczeniu przysłówkowym.

Do dzisiejszych zasad ortograficznych dostosowano pisownię przeczenia nie z czasownikami i imiesłowami, np. *niezwęgliła* → *nie zwęgliła*, *niemogąc* → *nie mogąc*. W przypadku zapisu *nie* z imiesłowami, kiedy *nie* nie jest zaprzeczeniem tylko przeciwstawieniem pozostawiono pisownię oddzielną.

Zgodnie z dzisiejszą normą zapisywano również przyimki, np. *nakoniec* → *na koniec*, *z pod* → *spod*, *po pod* → *popod*, *z tąd* → *stąd*.

Partykuły *-że*, *-ż* pisano łącznie, np. *bądźże*, *odkądże*, *dlaczegóż*.

Partykułę *-no*, zgodnie z dzisiejszą normą, zapisywano oddzielnie.

Partykułę *zapewne* zapisywano łącznie.

Pisownię głosek i oraz y transkrybowano zgodnie z dzisiejszymi regułami jako i, y, j, np. *djabel* → *diabeł*, *Gracyan* → *Gracjan*, *zakrystyi* → *zakrystii*, *patrijotyzm* → *patriotyzm*.

Do współczesnej postaci doprowadzono zapis samogłosek nosowych, np.: *przeięż* → *przecież*.

Zgodnie z dzisiejszą normą stosowano rzeczowniki, które w wyniku rozwoju języka zmieniły swój rodzaj, np. *album* (r. n. → r. m.).

Pozostawiono końcówkę *-a* w bierniku l. mn. wyrazu *projekta* (= *projekty*), *komplementa* (= *komplementy*).

Inne, rzadkie lub pojedyncze w podstawie wydania, świadectwa szczególnych cech fleksji modernizowano, np. *bzdurstw* → *bzdur*, *wrzekomo* → *rzekomo*, *z fotelu* → *z fotela*, *o hrabiu* → *o hrabi*, *dzymys* → *gzymys*.

Nie zachowano *e* pochylonego, transkrybowano je jako *y* lub modernizowano do postaci *e* jasnego, zgonie z normami dzisiejszej wymowy

Oboczne jeszcze w niektórych przypadkach pisowni z początku xx wieku głoski o, u, ó doprowadzono do stanu dzisiejszego np. *kurytarz* → *korytarz*, *doktór* → *doktor*, *tualety* → *toalety*, *tłómacząc* → *tłumacząc*, *Jakób* → *Jakub*. Podobnie postąpiono w przypadkach oboczności *j*, *i* w przykładach typu *warjatka* → *wariatka*, *bruljon* → *brulion*.

Pisownię głosek dźwięcznych i bezdźwięcznych (*t*, *d*, *s*, *z*) modernizowano np. *zkąd* → *skąd*, *mnóztwo* → *mnóstwo*, *blizki* → *bliski*, *paznogie* → *paznokcie*, *wykoślawiał* → *wykoślawiał*, *muszkuł* → *muskuł*).

W wyrazach obcego pochodzenia zredukowano podwójne spółgłoski, zgodnie z pisownią dzisiejszą (*Teressa* → *Teresa*, *ekskommunika* → *ekskomunika*, *korespondencja* → *korespondencja*, *pessimista* → *pesymista*).

Zmodernizowano nazwy miejscowe oraz pochodne od nich przymiotniki, zapisywane przez autora według dawnego uzusu.

Zachowano dawne formy wyrazów: *przyjm* (= *przyjmij*), *prościejsze* (= *prostsze*), *nieruchomie* (= *nieruchomo*), *przyciśniony* (= *przyciśnięty*), *rękopisma* (= *rękopisy*), *ciągniono* (= *ciągnięto*), *autorowie* (= *autorzy*), *dosięże* (= *dosięgnie*) itp. Pozostawiono także skrócone formy liczebnika: *siedm* (= siedem), *ósm* (= osiem) itp.

Pozostawiono dawne formy przysłówków określających czas: *nakoniec* (= *w końcu*), *najprzód*, *pierwej* (= *najpierw*).

Zachowano typową dla języka tamtych czasów formę zaimka osobowego: *przygotowując one* (= *przygotowując je*).

Pozostawiono pisownię wyrazu *aleganty* (= *eleganci*), jako odzwierciedlenie swoistej gwary przestępczej.

Zachowano również swoiste cechy języka epoki przy stopniowaniu przymiotników: *najwyrafinowańsze* (= *najbardziej wyrafinowane*), *najboleśniejsze* (= *najbardziej bolesne*), *najwyuzdańsze* (= *najbardziej wyuzdane*) itp., a także swoiste dla tamtych czasów sformułowania, np. *zapłacę swą ciekawość*.

We fragmencie powieści *Zabiłem brata* zachowano przeważającą formę zaimka wskazującego *mię* (*mnie*), natomiast we fragmencie powieści *Bezkarci bandyci stolicy* pozostawiono słowo *budkie* (= *budkę*), jako charakterystyczną cechę wymowy Żydów polskich zamieszkujących rejony stolicy, posługujących się gwara Mazowsza.

Tytuły utworów i modlitw oraz wyrażenia obce oddawano kursywą: *Ciebie Boże chwalimy*, *Ut vivant mortui, et moriantur viventes!*, ograniczając tym samym ilość cudzysłowów.

Do współczesnej postaci doprowadzono zapis liczebników oznaczających godziny, zapisując je w postaci słownej, np. 5 → *piąta*, 4½ → *czwarta trzydzieści*. Uwspółcześniono również formę odmiany liczebników w połączeniu wyrazów *trzechmiesięczny* → *trzymiesięczny*.

Do współczesnych zasad doprowadzono zapis skrótów jednostek monetarnych, np. *złr* (= *złoty reński*), *kop.* (= *kopiejka*).

Modernizowano końcówki narzędnika i miejscownika l. poj. r. m. i r. n. oraz l. mn. zaimków i przymiotników -em, -emi do postaci: -ym, -ymi np. ładnem → ładnym, *czarnem* → *czarnym*, *przedniemi* → *przednimi*. Analogicznie postąpiono w przypadku zaimków, dokonując zmian w rodzaju: *tem* → *tym*, *naszem* → *naszym*.

Przymiotniki typu *spólny*, *spółczesny* doprowadzono do postaci poprawnej współcześnie.

Zmodernizowano dawną konstrukcję zdaniową zawierającą rzeczownik r. ż. w bierniku na zawierającą występujący w jego miejscu dzisiaj rzeczownik r. ż. w dopełniaczu np. *Nie mam powodu panią obrażać* → *Nie mam powodu pani obrażać*.

Oczywiste błędy druku poprawiono bez sygnalizowania tej ingerencji. Nie informowano czytelnika o ingerencjach w tekst umożliwiających poprawienie prostych błędów drukarskich, tj. o poprawkach licznych, drobnych błędów. Poprawki te polegały najczęściej na usunięciu lub uzupełnieniu pojedynczych liter i wyrazów oraz na drobnych ingerencjach merytorycznych.

W celu zachowania spójności publikacji ujednolicono zapis numeracji rozdziałów — cyfry rzymskie zostały zamienione na arabskie. Usunięto również słowo *rozdział*, z wyjątkiem nagłówków, w których zostało ono wykorzystane jako część tytułu: np. *Rozdział 1, w którym tajemnicza taksówka mija rogatkę Warszawy*.

Wszystkie teksty zostały opatrzone komentarzem rzeczowym, zawierającym objaśnienia filologiczne i historycznoliterackie.

Bibliografia

- J. Bachórz, *Polska powieść tajemnic. Szkic stuletniej kariery* [w:] *Romantyzm a romanse: studia i szkice o prozie polskiej w pierwszej połowie XIX wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 2005, s. 209—248.
- S. Baczyński, *Powieść kryminalna*, Wydawnictwo Literacko-Naukowe, Kraków-Warszawa 1932.
- A. E. Balicki, *Zaraza* [w:] *Ukochane muzy nasze, czyli miłość w kajdanach. Sensacyjna opowieść o dziewięciu lotrzykach i Sherloku Holmesie*, nakładem autora, Kraków 1908, s. 1—9.
- J. S. Bogucki, *Kapitałści*, nakładem i drukiem Józefa Unger, Warszawa 1852, t. 1—4.
- M. Brzeziński, *Co i jak nasz lud czyta*, „Głos”, 1890, nr 19, s. 214.
- F. Bursowa, *Brukowa powieść zeszytowa i jej czytelnictwo*, Biblioteka Publiczna m. st. Warszawy, Warszawa 1998.
- J. R. Cox, *The Dime Novel Companion: A Source Book*, Greenwood Press, Westport—London 2000.
- O. Czarnik, *Bibliografia powieści odcinkowych: 1918—1926*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1979.
- O. S. Czarnik, *Literatura w prasie codziennej: wzorce fabularne sensacyjnych powieści w odcinkach z lat 1918–1926*, „Kwartalnik Historii Prasy Polskiej”, 1979, nr 3, s. 3.
- O. S. Czarnik, *Proza artystyczna a prasa codzienna: 1918—1926*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1982.
- K. Dmitruk, *Kultura popularna — obieg — literatura* [w:] *Literatura i kultura popularna*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 1992, nr 2, s. 3—24.
- W. Dropiowski, *Wynik kwestionariusza przedłożonego uczniom, a odnoszącego się do ich zajęć pozaszkolnych*, [w:] *Sprawozdanie z czwartej konferencji dyrektorów szkół średnich galicyjskich*, Drukarnia Władysława Łozińskiego pod zarządem J. Niedopada, Lwów 1913, s. 321—339.
- J. Dunin, *Książka i czytelnictwo popularne: przyczynek do polskiego słownictwa księgoznawczego*, „Roczniki Biblioteczne”, 1971, z. 1—2, s. 349—360.
- J. Dunin, *Moja Łódź pełna książek — o kulturze książki ze źródeł i wspomnień*, Łódzka Księgarnia Niezależna, Łódź 2002.
- J. Dunin, *Papierowy bandyta: książka kramarska i brukowa w Polsce*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1974.
- J. Dunin, *Warsztat bibliograficzny i biblioteczny badacza literatury tandetnej*, [brak inf. o aut.], „Studia o Książce” 1970, nr 1, s. 117—131.
- J. Dunin, *Wydawnictwa popularne w opinii publicznej na przełomie XIX i XX wieku*, „Przegląd biblioteczny” 1965, nr 4, s. 220—239.
- J. Dunin, Z. Knorowski, *Polskie powieściowe serie zeszytowe: materiały bibliograficzne*, Uniwersytet Łódzki, Łódź 1984.
- J. Dunin, K. Mierzwianka, *Polska powieść zeszytowa: materiały bibliograficzne*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1978.
- J. Dunin, *U źródeł czytelnictwa ludowego* [w:] *W świecie pieśni i bajki: studia folklorystyczne*, red. R. Górski i J. Krzyżanowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1969, s. 85—95.

- J. Dzierzkowski, *Eugeniusz Sue*, „Dziennik Literacki” 1857, nr 102—104.
- S. Dzikowski, *Za kulisami „literatury” sensacyjnej*, „Świat” 1911, nr 18, s. 7—9.
- U. Eco, *Eugeniusz Sue: socjalizm i pocieszenie* [w:] *Superman w literaturze masowej: powieść popularna — między retoryką a ideologią*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1996.
- A. Gemra, *„Kwiaty zła” na miejskim bruku: o powieści zeszytowej XIX i XX wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1998.
- W. Gutowski, I. Michalska, *Piękna siostra*, Warszawa [bdw].
- C. Hernas, *Potrzeby i metody badania literatury brukowej* [w:] *O współczesnej kulturze literackiej*, red. S. Żółkiewski i M. Hopfinger, Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław—Warszawa—Kraków—Gdańsk 1973, t. I, s. 15—45.
- M. Hłasko, *Piękni dwudziestoletni*, Wydawnictwo Da Capo, Warszawa 1994.
- J. Kaden-Bandrowski, *Ballada o książce* [w:] *Za stołem i na rynku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Lwów 1932, s. 151—166.
- W. L. Karwacki, *Żywoł robotnika w pieśni* [w:] *Polska klasa robotnicza. Studia historyczne*, red. A. Kizys, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1978, t. 8, s. 292—360.
- H. Kirchner, *Powieść popularna* [w:] *Literatura polska 1918—1975*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1993, t. 2: 1933—1944, s. 824—848.
- J. Kolbuszewski, *Powieść popularna na przełomie XIX i XX wieku* [w:] *Literatura i kultura popularna*, „Acta Universitatis Wratislaviensis” 1991, nr 1, s. 97—110.
- M. Krzepakowski, „*Ostatnie Wiadomości*” (ze wspomnień), „Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” 1970, t. IX, nr 2, s. 443—457.
- D. Kulczycka, A. Narolska, *Eugeniusz Sue: życie — twórczość — recepcja* [w:] *Scripta Humana*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2014, t. 3.
- A. Lisiecki, *Kolportaż pożytecznych pism i książek*, Drukarnia i Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1909.
- A. Martuszevska, *Ta trzecia: problemy literatury popularnej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Gdańskiego, Gdańsk 1997.
- G. Nieć, G. Wrona, „*Walka z lekturą zakazaną*”. Bibliologiczne spojrzenie na dyskusje wokół książki „zakazanej” i jej wpływu na dzieci i młodzież w końcu XIX w. i na pocz. XX w., „Toruńskie Studia Bibliologiczne” 2013, t. 6, nr 2 (11), s. 135.
- A. Ochocki, *Reporter przed konfesjonalem, czyli jak się przed wojną robiło gazetę*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1980.
- A. Potocki i Z. Wasilewski, *W sprawie czytelnictwa ludowego*, „Głos”, 1890, nr 18, s. 216.
- E. Pieścikowski, „*Emancypantki*” Bolesława Prusa, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970.
- S. Reymont, *Warszawskie wydawnictwa popularne w latach 1880—1914* [w:] *Z dziejów książki i bibliotek w Warszawie*, red. S. Tazbir, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961, s. 385—432.
- J. Rosnowska, *Dzierzkowski*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971.
- P. Rzewuski, *Bezkarci bandyci stolicy — powieść kryminalna jako narzędzie partyjnej propagandy*, „Kultura Popularna”, 2016, nr 47, s. 41—50.
- H. Sienkiewicz, *Szkice węglem*, PIW, Warszawa 1960, s. 17, 28.
- A. Ślapa, *Chłopięca pasja książek* [w:] *Kopiec wspomnień*, S. Broniewski, B. Drobnier, A. Pronaszko, A. Świdorska, M. Turski, A. Wasilewski i A. Ślapa, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1959, s. 238.
- Słownik literatury popularnej*, red. T. Żabski, Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 2006.

- J. Springhall, *Youth, popular culture and moral panics. Penny Gafs to Gangsta Rap 1830—1996*, Macmillan, Houndmills, Basingstoke, Hampshire, New York 1998.
- E. Sue, *Tajemnice Paryża*, Glücksberg, Warszawa 1844.
- F. Sulimierski, *Przegląd najnowszych plodów piśmiennictwa polskiego 1870—1871*, Drukarnia J. Ungra, Warszawa 1872.
- S. Tomaszewski, *Odrażający złoćnicy i poczciwi rzemieślnicy. O sposobach prezentacji postaci miejskich plebejuszy w polskich powieściach tajemnic okresu międzypowstaniowego*, „Prace polonistyczne” 1983, t. XXXIX, 97—122.
- J. Tuwim, *Książki, Chopin i Inowłódz (1936—1911 = XXV)* [w:] *Tam zostałem. Wspomnienia młodości*, red. T. Januszewski, Czytelnik, Warszawa 2003, s. 62—79.
- M. Waliński, *Pieśń jarmarczna? Nowiniarska? Ballada? Czy — pieśń dziadowska? Prologomena do badań pieśni dziadowskiej* [w:] *Wszystek krąg ziemski. Antropologia—historia—literatura. Prace ofiarowane Profesorowi Czesławowi Hernasowi*, red. P. Kowalski, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1998, s. 164—194.
- Z. Wasilewski, *O sztuce i człowieku wiecznym*, E. Wende i Sp., Lwów 1910.
- B. Wiczorkiewicz, *Warszawskie ballady podwórzowe. Pieśni i piosenki warszawskiej ulicy*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971.
- B. Winnicka, *Koszutski Adam Witold (1872—1933)* [w:] *Słownik Biograficzny Działaczy Polskiego Ruchu Robotniczego*, red. F. Tych, Muzeum Niepodległości w Warszawie — Książka i Wiedza, Warszawa 1992, t. 3, s. 322—323.
- W. Władyka, *Krew na pierwszej stronie: sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Czytelnik, Warszawa 1982.
- B. Wojnowska, *Literatura popularna w oczach publicystów „Głosu” i „Przeglądu społecznego” (1900—1907)*, „Pamiętnik Literacki” 1988, t. LXXIX, nr 2, s. 50—73.
- W ryzsztoku. Garść uwag o literaturze brukowej*, [brak inf. o aut.], „Tygodnik Ilustrowany” 1909, nr 12, s. 234.
- Wzrost czytelnictwa i jego kierunek*, [brak inf. o aut.], „Niwa” 1873, nr 30.
- T. Żabski, *Proza jarmarczna XIX wieku. Próba systematyki gatunkowej*, „Acta Universitatis Wratislaviensis”. No. 1403, Wrocław 1993.
- S. Żółkiewski, *Kultura literacka (1918—1932)*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973.
- S. Żółkiewski, *Společne konteksty kultury literackiej na ziemiach polskich: 1890—1939*, Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 1995.

Spis ilustracji

- Il. 1 Adam Witold Koszutski [Adam Pierzchnicki], *Tajemnice Warszawy. Powieść na tle wypadków lat ostatnich*, 1909.
- Il. 2 Witold Gutowski, *Dziewczę fabryczne*, 1938.
- Il. 3 Witold Gutowski, *Sieroca Dola*, ok. 1938.
- Il. 4 Witold Gutowski, *Księżniczka Tatjana. Wielka miłość bohatera znad Wołgi*, 1935.
- Il. 5 Witold Gutowski, *Piękna Siostra. Historia wielkiej miłości i czystego serca*, ok. 1938.
- Il. 6 *Aus den Geheimakten des Welt-Detektivs*, z. 42. *Der Mädchenmörder von Boston*, 1908.
- Il. 7 *Kartusz, Postrach tyranów*, przed 1924.
- Il. 8 *Szał złota*, ok. 1938.
- Il. 9 Henryk Orłowski, *Na Sybir, czyli Maria, córka katorżnika*, 1937.
- Il. 10 *Harry Dickson. Przygody zagadkowego człowieka*, z. 3 *Alarm w przestworzach*, 1938.
- Il. 11 Adam Witold Koszutski [Adam Pierzchnicki], *Tajemnice Warszawy. Powieść na tle wypadków lat ostatnich*, 1909.
- Il. 12 Księgarnia z literaturą brukową. Opis pod zdjęciem: „Jeden z największych składów trucizny”, „Świat” 1911, nr 18.
- Il. 13 Opisy pod ilustracjami: „Tajemnice akuszerki! Bardzo ciekawe!...”, „Niech pan kupi! Jeszcze dziś nic nie jadłem!...”, „Przyszły bandyta”. „Tygodnik Ilustrowany” 1909, nr 12. Ze zbiorów Cyfrowej Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.
- Il. 14 Opis pod zdjęciem: „Marysia studiuje «Sherlocka Holmesa» — pieczeń się przypala”. „Świat” 1911, nr 18.
- Il. 19 Opis pod ilustracją: „Główna zaprawa, na której wyrastają wstrząsające morderstwa”. „Kolce” 1911, nr 18.

Okładki i strony tytułowe:

- s. 46 *Barbara Ubryk czyli Tajemnice klasztoru karmelitów w Krakowie. Z notatek pewnego zakonnika spisał Dr. Rode. Przekład z niemieckiego, 1869—1970. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej — Polona.*
- s. 80 *Izabella Królowa Hiszpanii. Powieść historyczna*, 1939. Ze zbiorów Polony.
- s. 100 *Tajemnice Krakowa, romans współczesny. Napisał dr. Karol Kropidełko*, 1888. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej.
- s. 140 *Tajemnice Warszawy. Powieść na tle wypadków lat ostatnich*, 1909. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

- s. 180 *Tajemnicze Przygody Szerloka Holmesa Słynnego Ajenta Śledczego*. Zeszyt 33 [1908]: *Rzeźnia ludzka*, 1907—1909. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej — Polona [rekonstrukcja].
- s. 222 *Lord Lister. Tajemniczy nieznajomy*. Zeszyt 1, 1937. Ze zbiorów Cyfrowej Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.
- s. 264 *Buffalo Bill. Bohater dalekiego zachodu*. Zeszyt 1: *U pała męczarni*, 1938. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej — Polona.
- s. 302 *Rocambol — herszt Czarnej Ręki*. Zeszyt 1: *Krwawy sobowtór*. Zeszyt 2: *Noc w podziemiach*, 1924. Ze zbiorów prywatnych Łukasza Biskupskiego.
- s. 338 *Jerzy Rolicz. Przygody 13-letniego podróżnika*, ok. 1938. Ze zbiorów prywatnych Sławomira Stachyry.
- s. 358 *Skazana przez życie*. Zeszyty 1—3, ok. 1930. Ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego.
- s. 388 *Bezkarni bandyci stolicy. Powieść o Warszawie grozy i zbrodni*, 1932. Ze zbiorów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego.
- s. 430 *Dama w czarnym dominie. Zagadka psychologiczno-kryminalna*, 1927. Ze zbiorów Biblioteki Cyfrowej Regionalia Ziemi Łódzkiej przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Łodzi.
- s. 524 *Rinaldo Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty włoskiego, romantyczne opowiadanie z przeszłego stulecia*, 1910. Ze zbiorów prywatnych Sławomira Stachyry.
- s. 552 *Zabiłem brata. Powieść z ostatniej wojny domowej w Hiszpanii*, 1936. Ze zbiorów Biblioteki Narodowej.

Podziękowania

Redaktorzy tomu składają podziękowania panu Sławomirowi Stachyrze za udostępnienie swoich zbiorów oraz pracownikom Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego, w szczególności Czytelni Głównej i pani Aleksandrze Chruściel, za stworzenie dogodnych warunków do pracy naukowej.

Seria „Archiwa popkultury”:

Janusz Dunin, *W Bi-ba-bo i gdzie indziej. O humorze i satyrze Miasta Łodzi od Rozbickiego do Tuwima.*

Tomasz Majewski, *Dialektyczne feerie. Szkoła frankfurcka i kultura popularna.*

red. Barbara Gierszewska, Roman Włodek, Adam Wyżyński, *Od „Sodomy i Gomory” do „Pépé le Moko”. Film zachodnioeuropejski w polskiej prasie 1918—1939. Recenzje.*

red. Piotr Olkusz, Monika Wąsik, *Teatry dla masowej publiczności.*

Łukasz Biskupski, *Kinofilia zaangażowana. Stowarzyszenie Miłośników Filmu Artystycznego „Start” i upowszechnianie kultury filmowej.*

„Czy widział ktoś takiego człowieka, który z uśmiechem na twarzy spaceruje z armatą na plecach? Czy słyszał ktoś o takim człowieku, który napadnięty przez czterech drabów, zamyka ich w szafie, bierze ją na plecy i zanosí w biały dzień przed gmach policji?”

Mimo względnie licznych opracowań naukowych poczynsz od studiów Janusza Dunina, z literaturą obiegu brukowego trudno zapoznać się bezpośrednio. Zrozumienie narodzin nowoczesnej kultury polskiej jest jednak niepełne bez dogłębnego poznania zakorzeniającej się wówczas na rodzimym gruncie kultury popularnej, a w tym wypadku – beletrystyki rozrywkowej nazywanej literaturą brukową, tandetną, uliczną, sensacyjną, wagonową, kolejową czy groszową. Twórczość ta, wydrukowana na papierze fatalnej jakości, krzywo pocięta i pozszywana, ignorowana przez biblioteki i piętnowana przez inteligenckich moralistów jednocześnie była ważna dla dużej grupy czytelników. Stanowiła narzędzie upowszechnienia aktywnego czytelnictwa i demokratyzacji przyjemności lektury, a także przejaw modernizacji społeczeństwa polskiego. Chociażby z tego powodu warto jej się bliżej przyjrzeć.

Archiwa Popkultury to seria wydawnicza pod redakcją naukową dr Tomasza Majewskiego poświęcona wczesnej kulturze popularnej rozumianej jako wytwór urbanizacji i wielkomiejskiego doświadczenia nowoczesności. Ukazywać się w niej będą teksty źródłowe, takie jak antologie XIX-wiecznego protokomiksu i ilustracji prasowej, powieści gazetowej oraz zeszytowej z obiegu brukowego, jak również opracowania monograficzne instytucji rozrywkowych w rodzaju wczesnego kina, wodewilu czy cyrku. W ramach Archiwów Popkultury przypomniane zostaną również pionierskie prace z zakresu badań nad rodzimą kulturą popularną, autorstwa Janusza Dunina i Stanisława Baczyńskiego.

„Archiwa popkultury” pod redakcją Tomasza Majewskiego

UNIWERSYTET
 SWPS

PRZYPIS¹

